

# **Stracone złudzenia**





Ta lektura, podobnie jak tysiące innych, jest dostępna on-line na stronie wolnelektury.pl.

Utwór opracowany został w ramach projektu Wolne Lektury przez fundację Wolne Lektury.

---

HONORÉ DE BALZAC

# *Stracone złudzenia*

TLUM. TADEUSZ BOY-ŻELEŃSKI

# *Stracone złudzenia*

# DWAJ POECI

## OD TŁUMACZA

Powieść niniejsza jest pierwszym ogniwem cyklu, który znowuż stanowi jak gdyby rodzaj kręgosłupa dla całości *Komedii Ludzkiej* Balzaca, łącząc jej mniej lub więcej luźne zebro- wania. Miałem już sposobność zaznaczyć, jak bardzo zyskuje dzieło Balzaca na ujęciu go z perspektywy całości; to, iż w ostatnich czasach w Polsce genialny ten pisarz budził tak słabe stosunkowo zainteresowanie, ma niewątpliwie przyczynę w okoliczności, iż dawniejsze polskie wydawnictwa w osobliwy sposób pominęły właśnie te utwory, które pozwalają skupić świat *Komedii Ludzkiej* w organiczną całość. Jak gdyby zgodnie z po- gładami Balzaca na potężną rolę *myśli* w całokształcie zjawisk, tłem na którym się rozwija ten centralny niejako cykl powieści — *Dwaj poeci*, *Stracone złudzenia*, *Cierpienia wynalazcy*<sup>1</sup> — jest warsztat *myśli* ludzkiej, ujęty, jak zawsze u Balzaca, możliwie szeroko, wraz z wszystkim, co doń przynależy: od skromnej drukarenki na prowincji, gdzie samotny myśliciel waży wynalazki mające przetworzyć technikę książki i czasopisma, od ubogiej izdebki paryskiego poddasza, gdzie również myśliciel-asceta poczyna w klasztornej ciszy i skupieniu wielkie dzieła, aż do najjaskrawszych przybytków rozpusty ducha, błyszczą- cego świata teatrów, dziennika i wielkiego księgarstwa paryskiego. A ten świat, niby tysiącnymi mackami, styka się z dziedziną polityki, finansów, dyplomacji, przemysłu, zbytku, prostytucji i zbrodni.

W chronologii *Komedii Ludzkiej* (tzn. chronologii jej akcji, nie powstawania dzieł) cykl ten zajmuje, obok *Ojca Goriot*, miejsce jedno z najwcześniejszych. Chronologia ta rozpoczyna się mniej więcej zgodnie z wejściem w życie samego Balzaca, tj. około r. 1820; zapoznanie się zaś z paroma rysami życiorysu pisarza objaśni nam mechanizm przerabia- nia się w nim wrażeń i przeżyć osobistych w twórczy materiał, wskaże nam, ile z siebie, z krwi swojej serdecznej włożył ten *najobiektywniejszy* ze wszystkich pisarzy w każdą ze stworzonych przez siebie postaci. Początki zawodu piśmienniczego Balzaca nie były łatwe. Zawodu tego chwycił się wbrew woli rodziny, niewierzącej, wraz z bliższym otoczeniem, w jego talent, niemającej zresztą środków na zapewnienie mu warunków swobody i nie- zależności. Aby móc pisać, trzeba żyć, aby móc żyć, trzeba pisać: to błędne koło proble- matu wtrąca Balzaca na drogę fabrykowania na urząd lada jakich romansów — czasem na spółkę z siostrą! — które zresztą podpisuje zmyślnym nazwiskiem i których nigdy nie uznał publicznie za swoje. Ta pisanina miała mu zapewnić byt materialny i swobodę poświęcenia się swoim już, prawdziwym dziełom. Ale rychło spostrzega młody utopista beznadziejność tej pracy, która daje ledwie tyle, aby nędznie wyżyć, a równocześnie pochłania cały czas i zużywa siły pisarza, dlatego ciągle mu się roją w głowie jakieś wynalazki, przedsiębiorstwa, które mocą śmiałego i szczęśliwego rzutu *myśli* dałyby mu w krótkim czasie fortunę i niezależność. Zamówiona przez księgarza przedmowa do La Fontaine'a<sup>2</sup> wprowadza Balzaca na tę rzekomą drogę do fortuny. Wpada na pomysł — nowy wówczas i w zasadzie szczęśliwy — stworzenia tanich wydawnictw klasyków; wchodzi w spółkę, zakupuje małą drukarnię w Paryżu i z oszołomionego gorączką sławy młodego pisarza przedzierzga się na kilka lat w drukarza i wydawcę. Pani de Berny, ta kochanka-matka, jedyna, która wierzyła w przyszłość Balzaca i wszystko była gotowa jej poświęcić, ułatwia mu rozpoczęcie tego przedsiębiorstwa, opartego głównie na kredycie. Tanie wydawnictwa — później, po upadku Balzaca-wydawcy, przejęte przez księgarzy i zmienione w dosko- nały interes — kończą się kompletnym fiaskiem i deficytem; nie mogąc się pogodzić z katastrofą, Balzac brnie coraz głębiej w imprezy przemysłowe, rozszerza drukarnię, za- kupuje do spółki odlewnię czcionek, szamoce się, walczy, aż wreszcie po trzech latach pada, obciążony 70 000 franków długu — sumą jak na owe czasy i jego pozycję socjal- ną w danej chwili olbrzymią! — powodując tą katastrofą śmierć ojca ze zgryzoty, ruine

<sup>1</sup>*Dwaj poeci*, *Stracone złudzenia*, *Cierpienia wynalazcy* — Cykl ten obejmują niektóre wydania Balzaca pod wspólnym tytułem *Stracone złudzenia*; w osobowym związku z tym cyklem pozostają dalej *Blaski i nędze życia kurtyzany* oraz *Ostatnie wcielenie Vautrina*. [przypis tłumacza]

<sup>2</sup>*La Fontaine, Jean de* (1621–1695) — francuski poeta klasycystyczny, znany głównie jako autor bajek zwie- rzęcych. [przypis edytorski]

finansową matki i stwarzając dla siebie zobowiązanie, pod którego ciężarem będzie się ugiął przez całe życie.

Ten epizod z życia pisarza potrzebny był do zrozumienia, ile z niego samego, z własnych przeżyć i wzruszeń wchodzi zarówno w ambitne i niecierpliwe marzenia Lucjana, jak w „trzeźwe” kalkulacje skromnego Dawida. Każdego z nich obdzielił Balzac częścią swej bogatej indywidualności, której zresztą, prócz tych dwu postaci, starczyło na cały świat jeszcze. Interesujące jest, iż kreśląc fizyczny portret Dawida, Balzac odmalował niemal żywcem samego siebie, jeżeli zaś ukochanej jego nadał imię Ewy, to dlatego, aby pod tym przebraniem móc oświadczać się swej dalekiej *quasi*<sup>3</sup>-narzeczonej, Ewie Hańskiej, dla której tak samo — przez całe życie, niestety! — budował plany spokojnej i szczęśliwej przyszłości, wciąż odsuwające się w niksą perspektywę.

Jak w wielu innych utworach Balzaca, tak i tutaj uderzająca jest stosunkowa nikłość akcji w porównaniu do szeroko i aż nazbyt drobiazgowo podmalowanego tła; bo też powieść ta, bardziej jeszcze niż inne, jest organiczną częścią większej całości. Zresztą tło — jeden z wariantów tak nienawistnego Balzacowi życia prowincji — nakreślone jest z takim mistrzostwem, iż pomimo tylokrotnego powtarzania się satyry antyprowincjonalnej w nowożytniej beletrystyce niewiele chyba zdołała ona dodać do pierwszego, a tak bardzo definitywnego jej ujęcia w licznych utworach Balzaca. Obraz ten prowincji zyskuje jeszcze na głębi przez kontrast z drugą częścią cyklu (*Stracone złudzenia*), której treścią są dalsze losy Lucjana i pani de Bargeton w Paryżu.

Kraków, w grudniu 1918

## DWAJ POECI

W epoce, gdy zaczyna się ta historia, prasa Stanhope'a<sup>4</sup> i rulony do rozdzielania farby drukarskiej nieznanne były jeszcze w małych drukarniach na prowincji. Mimo specjalności, dzięki której miasto to pozostaje w zetknięciu z typografią paryską, Angoulême posługiwało się ciągle prasą drewnianą, któremu to instrumentowi język zawdzięcza wyrażenie „jęczenie prasy”, obecnie bez zastosowania. Zacofane drukarnie używały jeszcze poduszek skórzanych napojonych farbą, którymi tłocznik ręcznie pocierał czcionki. Ruchoma płyta, na której spoczywa forma pełna czcionek, była jeszcze z kamienia i usprawiedliwiała nazwę marmuru. Pochłaniające wszystko prasy mechaniczne tak dalece wtrąciły już w zapomnienie ten system, któremu zawdzięczamy, mimo jego niedoskonałości, piękne wydawnictwa Elzewirów, Plantynów i Didotów<sup>5</sup>, że trzeba nam wspomnieć tutaj nieco o starych narzędziach, do których Hieronim Mikołaj Séchard żywił zabobonne przywiązanie, odgrywają bowiem one swoją rolę w tej małej, a zarazem dużej opowieści.

Ów Séchard był to dawny robotnik przy tłoczni, z tych, których w gwarze drukarskiej robotnicy zajęci składaniem czcionek nazywają „niedźwiedziami”. Ruch naprzód i wstecz, dosyć podobny do ruchu niedźwiedzia w klatce, którym tłocznicy poruszają się od kubła z farbą drukarską do prasy i od prasy do kubła, stał się zapewne źródłem tego przydomka. Nawzajem niedźwiedzie nazywali składających czcionki „małpami”, z przyczyny nieustannych ruchów, jakie wykonują ci panowie, czerpiąc czcionki w stu pięćdziesięciu dwóch przegródkach, w których są zawarte. W smutnej pamięci epoce 1793 roku<sup>6</sup> Séchard, liczący około pięćdziesięciu lat, właśnie się ożenił. Wiek jego i świeże małżeństwo ocaliły go od wielkiego poboru, który powołał prawie wszystkich robotników do

Praca

<sup>3</sup>*quasi* (łac.) — jakby, niby. [przypis edytorski]

<sup>4</sup>prasa Stanhope'a — żelazna prasa wynaleziona ok. 1800 r. przez angielskiego polityka i uczonego Charlesa Stanhope'a (1753–1816); redukowała potrzebną siłę o 90%, zapewniając wydajność blisko 500 stron na godzinę. [przypis edytorski]

<sup>5</sup>Elzewirowie, Plantynowie, Didotowie — Elzewirowie: rodzina drukarzy i wydawców holenderskich działających w XVI–XVII w.; *Christophe Plantin* (ok. 1514–1589): niderlandzki drukarz i księgarz urodzony w Paryżu, założyciel oficyny wydawniczej znanej jako *Officina Plantiniana*, działającej w Antwerpii od 1876; *Didotowie*: francuska rodzina księgarzy i wydawców, z których najstarszy, François Didot (1689–1757), założył drukarnię i księgarnię w 1713, zaś jego potomkowie nieprzerwanie prowadzą przedsiębiorstwo drukarskie do dnia dzisiejszego. [przypis edytorski]

<sup>6</sup>epoka 1793 roku — okres kryzysu Rewolucji Francuskiej i terroru jakobińskiego, podczas inwazji koalicji Wielkiej Brytanii, Austrii, Prus i Hiszpanii w celu obalenia rewolucyjnej Republiki Francuskiej oraz jednoczesnego powstania rojalistycznego w Wandei. [przypis edytorski]

armii. Stary niedźwiedź został sam w drukarni, której pryncypał<sup>7</sup> umarł właśnie, zostawiając bezdzietną wdowę. Zakład zdawał się zagrożony natychmiastową ruiną: samotny niedźwiedź niezdolny był przeobrazić się w małpę, mimo bowiem iż uprawiał rzemiosło drukarza, nie nauczył się czytać ani pisać. Bez względu na jego nieudolność, reprezentant ludu, któremu pilno było rozpowszechnić piękne dekrety Konwentu<sup>8</sup>, ozdobił Sécharda dyplomem majstra-drukarza i zarekwirował jego drukarnię. Przyjąwszy ten niebezpieczny dyplom, obywatel Séchard spłacił wdowę pryncypała, oddając jej oszczędności żony, którymi zapłacił inwentarz drukarni w połowie wartości. To jeszcze nic. Trzeba było drukować, bez chyby i odwłoki<sup>9</sup>, dekrety republikańskie. W tych trudnych okolicznościach Hieronim Mikołaj Séchard miał to szczęście, iż natrafił na szlachcica z okolicy Marsylii, który nie chciał ani emigrować, aby nie postradać swych dóbr, ani pokazywać się, aby nie stracić głowy, a który mógł zarobić na życie jedynie za pomocą jakiegokolwiek pracy. Pan hrabia de Maucombe przywdział tedy<sup>10</sup> skromną katanę prowincjonalnego zecera: składał, przeglądał i sam poprawiał dekrety skazujące na karę śmierci obywateli, którzy ukrywali kogoś ze szlachty; niedźwiedź, który stał się pryncypałem, tłoczył je, dawał rozlepiać i obaj zostali zdrowi i cali. W roku 1795, gdy chmura terroru przeszła, Mikołaj Séchard zmuszony był szukać innego chwata, który by mógł być zecerem, korektorem i metrapaźem<sup>11</sup>. Pewien ksiądz, który później za Restauracji<sup>12</sup> został biskupem, wówczas zaś wzbraniał się złożyć przysięgi, zastąpił hrabiego de Maucombe aż do dnia, w którym pierwszy konsul<sup>13</sup> przywrócił religię katolicką. Hrabia i biskup spotkali się później na jednej ławce w Izbie Parów<sup>14</sup>. Jeżeli w roku 1802 Hieronim Mikołaj Séchard równie dobrze nie umiał czytać jak w 1793, to w zamian odłożył sobie dość ładny fundusik, aby móc opłacać zecera. Dawny robotnik, tak pełen beztróski o przyszłość, stał się bardzo groźnym pryncypałem dla swoich małp i niedźwiedzi. Skąpstwo zaczyna się tam, gdzie ubóstwo się kończy. Z dniem, w którym drukarz ujrzał możliwość uciulania fortuny, interes rozwinął u niego materialną inteligencję jego stanu, ale chciwą, podejrzliwą i przenikliwą. Praktyka jego urągała teorii. Doszedł do tego, iż jednym rzutem oka oceniał cenę stronnicy i arkusza, wedle każdego rodzaju pisma. Dowodził naiwnym klientom, że składanie dużymi czcionkami wypada drożej niż drobnymi; kiedy znowu chodziło o małe, powiadał, iż manipulacja nimi jest trudniejsza. Ponieważ skład był działem typografii, na którym nie rozumiał się nic, tak bardzo lękał się, aby go nie oszukiwano, iż godził się jedynie na akord. Jeżeli składacze pracowali na godziny, oko starego nie opuszczało ich ani na chwilę. Kiedy dowiedział się, że fabrykant jakiś jest w kłopotcie, skupywał papier za bezcen i gromadził go. Toteż w tej epoce był już właścicielem domu, w którym drukarnia mieściła się od niepamiętnych czasów. Miał szczęście w każdym kierunku: owdowiał i miał tylko jednego syna; umieścił go w liceum miejskim, nie tyle aby mu dać wykształcenie, ile aby sobie przygotować następcę. Obchodził się z nim surowo, aby przedłużyć trwanie władzy ojcowskiej. I tak w dnie wolne kazał mu pracować przy składzie, upominając, aby się nauczył zarabiać na życie i mógł kiedyś odwdziżyć się biednemu ojcu, który krwił sobie upuszcza, aby go wychować. Po wyjeździe księdza Séchard wybrał na prota<sup>15</sup> tego z czterech zecerów, którego przyszy biskup wskazał mu jako człowieka równej uczciwości co inteligencji. W ten sposób starowina zapewnił sobie możliwość doczekania chwili, w której syn będzie mógł prowadzić zakład i rozszerzy go młodymi i umiejętnymi rękami. Dawid Séchard ukończył w liceum angulemskim świetne studia. Mimo iż, wyrósłszy z niedźwiedzia, bez wiadomości i wychowania, ojciec Séchard dosyć lekceważył wiedzę, wysłał syna do Paryża, aby tam studiował wysoką typografię. Równocześnie zalecił mu usilnie,

Skąpiec, Bieda

Nauka, Pieniądz

<sup>7</sup>pryncypał (daw.) — zwierzchnik, przełożony. [przypis edytorski]

<sup>8</sup>Konwent — Konwent Narodowy, rewolucyjne przedstawicielstwo ludu francuskiego po obaleniu monarchii w latach 1792–1795. [przypis edytorski]

<sup>9</sup>bez chyby i odwłoki (daw.) — bezbłędnie i bezzwłocznie. [przypis edytorski]

<sup>10</sup>tedy (daw.) — więc, zatem. [przypis edytorski]

<sup>11</sup>metrapaź (z fr. *mettre en pages*: umieszczać na stronach) — łamacz, pracownik zecerni formujący kolumny druku ze szpalt złożonych przez zecera. [przypis edytorski]

<sup>12</sup>Restauracja — okres w historii Francji wyznaczony datami 1814–1830, od powrotu na tron dynastii Burbonów po upadku Napoleona I do rewolucji lipcowej. [przypis edytorski]

<sup>13</sup>pierwszy konsul — w latach 1799–1804 najwyższy urząd we Francji, sprawowany przez Napoleona Bonapartego. [przypis edytorski]

<sup>14</sup>Izba Parów — izba wyższa parlamentu francuskiego w latach 1815–1848. [przypis edytorski]

<sup>15</sup>prot — kierujący robotami w zecerni, metrapaź. [przypis tłumacza]

aby uskładał sobie sporą sumkę w mieście, które nazywał rajem robotników, radząc zgoła nie liczyć na sakiewkę ojcowską. Kształcąc się w swoim zawodzie, Dawid równocześnie dokończył w Paryżu edukacji. Prot firmy Didotów stał się uczonym. Z końcem roku 1829 Dawid Séchard opuścił Paryż, gdzie nie kosztował ojca ani szeląga, powołany przez staro-rego, aby objąć z jego rąk ster interesu. Drukarnia Mikołaja Sécharda posiadała wówczas jedyny dziennik ogłoszeń sądowych, jaki istniał w departamencie, dalej: roboty prefektury i biskupstwa — trzy klientele, które powinny dać w ręce wielką fortunę młodemu człowiekowi umięjącemu wziąć się do rzeczy.

Właśnie w tej epoce bracia Cointetowie, fabrykanci papieru, kupili patent drugiej drukarni istniejącej w Angoulême, którą aż dotąd stary Séchard umiał doprowadzić do zupełnej nieczynności. Dopomagały mu w tym przesilenia militarne, które pod Cesarstwem<sup>16</sup> zdławiły wszelki ruch przemysłowy. Z tej przyczyny zaniedbał jej nabycia, a oszczędność ta stała się źródłem ruiny dla starej drukarni. Dowiadując się o tej nowinie, stary Séchard pomyślał z zadowoleniem, że walka, jaka rozpocznie się pomiędzy jego zakładem a braćmi Cointetami, spadnie na syna, a nie na niego.

„Mnie by diabli wzięli — pomyślał — ale wychowanek firmy Didot da sobie radę”.

Siedemdziesięcioletni starzec wzdychał do chwili, w której będzie mógł żyć po swojej myśli. O ile miał mało wiadomości w wysokiej typografii, o tyle w zamian uchodził za niezmiernie mocnego w sztuce, którą robotnicy nazwali żartobliwie „lykografią”, sztuce wielce cenionej przez boskiego autora *Pantagruela*<sup>17</sup>, ale której kult, prześladowany przez stowarzyszenia żeglujące pod flagą „wstrzemięźliwości”, z każdym dniem bardziej idzie w zaniedbanie. Hieronim Mikołaj Séchard, wierny losowi, jaki wytyczyło mu jego nazwisko<sup>18</sup>, obdarzony był nieugaszonym pragnieniem. Żona jego utrzymywała przez długi czas w umiarkowanych granicach tę namiętność do tłoczonej winnej jagody, upodobanie tak naturalne u niedźwiedzi, że pan de Chateaubriand<sup>19</sup> zauważył je u prawdziwych niedźwiedzi w Ameryce; ale filozofowie stwierdzili, iż przyzwyczajenia młodego wieku wracają tym silniej w starości człowieka. Séchard potwierdzał to prawo moralne: im bardziej się starzał, tym więcej lubił pić. Namiętność ta wyciskała na jego niedźwiedziej fizjonomii<sup>20</sup> piętno, które czyniło ją oryginalną: nos przybrał wzrost i kształty wielkiego A, policzki upstrzone siecią żyłek podobne były do tych listków wina pełnych wypukłości fiołkowych, purpurowych, fantastycznie sfalowanych; rzekłbyś, potworna trufla zawinięta w liść winnej latorośli. Ukryte pod dwiema gęstymi brwiami, podobnymi dwom krzewom przyprószonym śniegiem, małe szare oczka, w których skryła się przebiegłość skąpstwa zabijająca w tym człowieku wszystko, zgoła uczucie ojcostwa, zachowywały swój spryt nawet w stanie opilstwa. Głowa łysa, ale okolona siwiejącymi, kręcącymi się jeszcze włosami, przywodziła wyobraźni obraz owych franciszkanów z opowiadań La Fontaine’a. Był krótki i brzuchaty, jak bywa u tych starych lampionów, które zużywają więcej oliwy niż knota; nadużycie bowiem we wszelkiej rzeczy popycha ciało na drogę, do której z natury jest skłonne. Opilstwo, jak praca umysłowa, tuczy człowieka tłustego, a wysusza chudego. Hieronim Mikołaj Séchard nosił od trzydziestu lat sławny pirożek municypalny<sup>21</sup>, jaki w niektórych prowincjach spotyka się jeszcze na głowie miejskiego dobosza. Kamizelka i pludry<sup>22</sup> były z zielonkawego aksamitu. Wreszcie miał na sobie stary brązowy surdut, pończochy z prążkowanej wełny i trzewiki ze srebrnymi klamrami. Kostium ten, w którym robotnik jawił się jeszcze pod powłoką mieszczanina, odpowiadał tak dobrze jego przywarom i nałogom, wyrażał tak wiernie jego życie, iż można by myśleć, że przyszedł na świat już ubrany; nie sposób było wyobrazić go sobie bez jego ubrania, tak

Pijaństwo

Strój

<sup>16</sup>*Cesarstwo* — tu: I Cesarstwo Francuskie, w którym najwyższą władzę sprawował Napoleon Bonaparte jako cesarz Francuzów, istniejące w l. 1804–1814 i w 1815. [przypis edytorski]

<sup>17</sup>*Gargantua i Pantagruel* — satyryczno-fantastyczna powieść François Rabelais’go (ok. 1494–1553). [przypis edytorski]

<sup>18</sup>*jego nazwisko* — fr. *sécher* oznacza suszyć, wysuszać. [przypis tłumacza]

<sup>19</sup>*Chateaubriand, François-René de* (1768–1848) — francuski pisarz i polityk, inicjator romantyzmu w literaturze francuskiej; rozgłos przyniosły mu dzieła opisujące życie Indian oraz piękno dzikiej przyrody: powieść poetycka *René* oraz opowiadanie *Atala*. [przypis edytorski]

<sup>20</sup>*fizjonomia* (daw.) — twarz. [przypis edytorski]

<sup>21</sup>*pirożek municypalny* — dwurożny kapelus, powszechny w XVIII i XIX w., szczególnie w wojsku i w marynarce, kojarzony często z Napoleonem Bonaparte. [przypis edytorski]

<sup>22</sup>*pludry* — spodnie; szczególnie: sięgające do kolan spodnie o bufiastych nogawkach, stanowiące element stroju męskiego w XVII i XVIII w. [przypis edytorski]



jak cebuli bez łupki. Gdyby stary drukarz od dawna już nie dał miary swojej ślepej chciwości, sposób wycofania z interesu wystarczałby, aby odmalować jego charakter. Mimo doświadczenia, jakie syn musiał wynieść z wielkiej szkoły Didotów, postanowił sobie zrobić jego kosztem dobry interes, który trawił w sobie już od dawna. Jeżeli interes dla ojca był dobry, dla syna musiał być zły. Ale w interesach stary drukarz nie znał syna ani ojca. Jeżeli zrazu widział w Dawidzie jedyne swoje dziecko, później ujrzał w nim naturalnego nabywcę, którego interesy przeciwne były jego własnym: chciał sprzedać drogo, Dawid powinien chcieć nabyć tanio, syn zatem stawał się nieprzyjacielem i zaporą. To przeobrażenie uczucia w interes osobisty, zazwyczaj powolne, kręte i obłudne u ludzi dobrze wychowanych, było szybkie i bezpośrednie u starego niedźwiedzia, który okazał, o ile przebiegła „lykografia” góruje nad oświeconą typografią. Kiedy syn przybył, stary przyjął go z tą kupiecką serdecznością, jaką kute wygi rozwijają wobec swych ofiar; zajął się nim tak, jak kochanek swoją lubą; podawał mu ramię, ostrzegał, gdzie trzeba nogę postawić, aby się nie powalać; kazał mu wygrzać łóżko, zapalił ogień, przygotował wieczerzę. Nazajutrz, spróbował upoić syna podczas obfitego obiadu. Hieronim Mikołaj Séchard, mocno „zaproszony” winem, rzucił od niechcenia: „Pomówmy o interesach!”, które to słowo zabrzmiało tak osobliwie pomiędzy dwoma czkaniem, że Dawid zaproponował odłożenie spraw do dnia następnego. Stary niedźwiedź zanadto dobrze umiał wyciągnąć przewagę ze swego pijaństwa, aby opuścić bitwę przygotowaną od tak dawna. Zresztą, nadźwigawszy się swój ciężar przez pięćdziesiąt lat, nie chciał, jak mówił, nieść go ani godziny dłużej. Jutro syn będzie pryncypałem drukarni.

Tutaj będzie może wskazane rzec słówko o samym zakładzie. Drukarnia, położona w miejscu, gdzie ulica de Beaulieu wychodzi na plac du Mûrier, usadowiła się w tym domu pod koniec panowania Ludwika XIV<sup>23</sup>. Toteż od dawna już budynek dostosowany był do potrzeb tego przemysłu. Parter zajmowała ogromna sala, oświetlona od ulicy starym witrażem, od dziedzińca zaś dużym oknem. Do gabinetu pryncypała można się było zresztą dostać oddzielnym korytarzem. Ale na prowincji proceder drukarski jest zawsze przedmiotem tak żywej ciekawości, że klienci woleli raczej wchodzić przez oszklone drzwi zecerni wychodzące na ulicę, mimo iż trzeba było schodzić o kilka schodków, ile że podłoga pracowni znajdowała się niżej poziomu ulicy. Ciekawscy, oszołomieni, nie zważali na niedogodności przedostawania się poprzez zaułki pracowni. Wypatrując oczy na dziwne kołyski utworzone z arkuszy rozciągniętych na sznurach przywiązanych do sufitu, potykali się o szeregi kaszt<sup>24</sup> zecerskich albo też zdzierali sobie kapelusz z głowy o sztaby żelazne podtrzymujące prasy. Śledząc zwinne ruchy zecera czerpiącego litery w stu pięćdziesięciu dwóch przegródkach kaszty, czytającego skrypt, odczytującego wiersz składu, wsuwając weń międzylinię, wpadali na ryzę papieru przyciśniętą ciężarami lub uderzali biodrem o róg ławki; wszystko ku wielkiej ucieście małych i niedźwiedzi. Nigdy nikt nie dotarł bez wypadku aż do dwóch wielkich klatek pomieszczonych na końcu tej jaskini. Były to dwie nędzne budki wychodzące na dziedzińiec, w których królowali z jednej strony prot, z drugiej pryncypał drukarni. W dziedzińcu mury były wdzięcznie ozdobione liśćmi wina, które, zważywszy reputację właściciela, posiadały sympatyczny koloryt lokalny. W głębi, przylegając do granicznego muru, wznosiła się przybudówka w nader opłakanym stanie, gdzie się moczyło i miesiło papier. Tam był ściek, gdzie się myło, przed i po użyciu, formy lub, aby użyć pospolitego języka, płyty z czcionkami; spływały z nich popłuczyny farby drukarskiej, które zmieszane z pomyjami gospodarstwa budziły w przybyłych na targ wieśniakach podejrzenie, iż diabeł odbywał swoje ablucje<sup>25</sup> w tym domu. Ta przybudówka podparta była z jednej strony kuchnią, z drugiej stosem drew.

Dom

<sup>23</sup>Ludwik XIV (1638–1715) — król Francji (od 1643), zwany „Królem Słońce”, panujący w okresie szczytowego rozwoju francuskiej monarchii absolutnej. [przypis edytorski]

<sup>24</sup>kaszta — element urządzenia drukarni: szuflada podzielona na przegródki zawierające czcionki drukarskie oraz materiał justunkowy, czyli materiał służący do wypełniania odstępów między wyrazami i wierszami. [przypis edytorski]

<sup>25</sup>ablucja (z łac.) — rytualne obmycie ciała lub jego części. [przypis edytorski]

wapnem, pokój ten zwracał uwagę cyniczną prostotą kramarskiego skąpstwa. Brudna posadzka nigdy nie była myta; sprzęt składał się z trzech lichych krzesel, okrągłego stołu i kredensu ustawionego między dwójgim drzwiami prowadzącymi do sypialni i salonu; okna i drzwi były ciemne od brudu; papier czysty lub zadrukowany walał się po wszystkich kątach; często na pakach papieru widać było wiktuały, flaszki lub talerze z obiadu Hieronima Mikołaja Sécharda. Sypialnia, której okno — w olów oprawny witraż — wychodziło na dziedziniec, obita była tanią i zmurszałą od starości materią. Było tam wielkie łóżko z kolumnami, ozdobione kotarą z czerwonej szarszy<sup>26</sup>, dwa wpół zbutwiałe fotele, dwa orzechowe wyścielane krzesła, stary sekretarzyk i na kominku zegar. Pokój ten, jawiący cechy patriarchalnej dobroduszości i pełen brunatnych cieni, był dziełem pana Rouzeau, poprzednika i pryncypała Hieronima Mikołaja Sécharda. Salon, odnowiony przez nieboszczkę panią Séchard, przedstawiał potworne boazerie pomalowane na kolor niebieskiej farbki; ściany ozdobione były tapetami przedstawiającymi sceny wschodnie. Umebłowanie składało się z sześciu krzesel wysłanych niebieskim juchtem<sup>27</sup>, o oparciach w kształcie liry. Dwa okna w grubych ramach, wychodzące na plac du Múrier, pozbawione były firanek, na kominku nie było ani zegara, ani świeczników, ani lustra. Pani Séchard zmarła wśród swoich projektów upiększania, niedźwiedź zaś, nie rozumiejąc pożytku upiększeń, które nic nie przynoszą, poniechał ich. Do tego to pokoju Hieronim Mikołaj Séchard zaprowadził *pede titubante*<sup>28</sup> syna i pokazał mu na okrągłym stoliku inwentarz drukarni, zestawiony pod jego kierunkiem ręką prota.

— Przeczytaj to, mój chłopcze — rzekł Hieronim Mikołaj Séchard, wodząc pijanymi oczyma z papieru na syna i z syna na papier. — Zobaczysz, jakie cacko-drukarnię ci oddają.

— „Trzy prasy drewniane podparte sztabami z żelaza, z płytą marmurową...”

— Moje ulepszenie — rzekł stary Séchard, przerywając synowi.

— „...ze wszystkimi utensyliami, kadziami na farbę, szczotkami, ławami etc.<sup>29</sup> tysiąc pięćset franków!” Ależ, ojciec — rzekł Dawid Séchard, upuszczając z rąk inwentarz — twoje prasy to graty nie warte stu talarów<sup>30</sup> i którymi trzeba w piecu zapalić.

— Graty?... — wykrzyknął stary Séchard — graty? Bier inwentarz i chodźmy! Zobaczysz, czy wasze kiepsko-ślusarskie wynalazki funkcjonują tak sprawnie jak te dobre, stare, doświadczone narzędzia. Później nie będziesz miał serca miotać obelg na uczciwe prasy, które chodzą jak dylizans pocztowy i które będą jeszcze chodzić przez całe twoje życie, nie żądając najmniejszej naprawy. Graty! Graty, którymi twój ojciec pracował przez dwadzieścia lat i które posłużyły, aby cię zrobić tym, czym jesteś.

Ojciec zląkł, nie potknąwszy się ni razu po spróchniałych, zużytych i trzęsących schodach; otworzył drzwi korytarza wychodzące na wielką salę, rzucił się na najbliższą z pras przebiegłe naoliwionych i wyczyszczonych i pokazał silne wiązania z dębowego drzewa wyszorowane przez ucznia.

— Nie cackoż<sup>31</sup> to taka prasa? — rzekł.

Właśnie była złożona jakaś karta zawiadomienia o ślubie. Stary niedźwiedź opuścił ramę na dekę<sup>32</sup>, dekę zaś na marmur, który puścił w ruch pod prasą; wyciągnął sztabę, rozwinął sznur, aby przyciągnąć marmur z powrotem, podniósł dekę i ramę ze zwinnością godną młodego niedźwiedzia. Prasa zażyta w ten sposób wydała śliczny pisk, rzekłbyś ptak, który uderzył głową o szybę i ucieka przerażony.

— Czy znajdzie się bodaj jedna prasa angielska, zdolna iść w tym tempie? — rzekł ojciec do zdziwionego syna.

Stary Séchard pobiegł kolejno do drugiej, do trzeciej prasy i w każdej z nich wykonał ten sam manewr z tą samą zwinnością. W ostatniej oczy jego mętne od wina dostrzegły miejsce jakieś niedoczyszczone przez ucznia; zakławszy siarczyście, pijak wziął się do czyszczenia połą surduta, jak makler, który doprowadza do blasku sierść konia prowadzonego na sprzedaż.

<sup>26</sup>szarsza — tkanina z drobnymi, ukośnymi prążkami. [przypis edytorski]

<sup>27</sup>jucht — wyprawiona skóra bydłęca. [przypis edytorski]

<sup>28</sup>*pede titubante* (łac.) — na chwiejnych nogach. [przypis edytorski]

<sup>29</sup>*etc.* (łac.) — skrót od *et caetera*: i tak dalej. [przypis edytorski]

<sup>30</sup>talar — w oryginalne: *écu*, w XIX w. potoczna nazwa srebrnej monety pięciofrankowej. [przypis edytorski]

<sup>31</sup>Nie cackoż — konstrukcja z partykułą *-że*, skróconą do *-ż*, o funkcji pytajnej; znaczenie: czyż nie cacko. [przypis edytorski]

<sup>32</sup>deka (daw.) — pokrywa prasy drukarskiej, dekiel. [przypis edytorski]



— Z tymi trzema prasami, bez prota, możesz jak nic zarobić swoje dziewięć tysięcy franków na rok, Dawidku. Jako przyszyły współnik sprzeciwiam się, abys je miał zastąpić tymi przeklętymi prasami żelaznymi, które niszczą tylko czcionki. Okrzykiwaliście cuda w Paryżu, widząc wynalazek przeklętego Anglika, wroga Francji, który chciał zapewnić fortunę odlewaczom. Och! Zachciało wam się stanhopów! Dziękuję za wasze stanhopy, które kosztują każda po dwa tysiące pięćset franków, prawie dwa razy tyle, ile są warte moje trzy klejnociki razem, i w dodatku drą ci na nic czcionki z przyczyny swojej nieelastyczności. Nie jestem uczony jak ty, ale pamiętaj to jedno: życie stanhopów to śmierć czcionki. Te trzy prasy będą ci pracować uczciwie, robota wyjdzie czysto i angulemczy cy nie będą wymagali więcej. Drukuj żelazem czy drzewem, złotem albo srebrem, nie zapłacą ci ani szeląga więcej.

— „*Item*<sup>33</sup> — czytał Dawid — pięć tysięcy funtów<sup>34</sup> czcionek, pochodzących z giserni<sup>35</sup> pana Vaflard...”

Na to imię wychowanek Didotów nie mógł powstrzymać się od uśmiechu.

— Śmieję się, śmieję! Po dwunastu latach czcionki są jeszcze jak nowe. Oto co się nazywa gisernia! Pan Vaflard jest uczciwy człowiek, który daje materiał twardy, jak się patrzy; dla mnie najlepszy giser jest ten, do którego zachodzi się najrzadziej.

— „...Oszacowane na dziesięć tysięcy franków” — podjął Dawid, czytając dalej. — Dziesięć tysięcy franków, ojczu! Ależ to czterdzieści su<sup>36</sup> za funt; firma zaś Didot sprzedaje nowy cycero<sup>37</sup> za tylko trzydzieści sześć su. Twoje łepki od gwoździ warte są tylko cenę materiału, dziesięć su za funt.

— Nazywasz łepkami od gwoździ garmondy, borgisy, ronda<sup>38</sup> pana Gillé, niegdys drukarza cesarskiego, czcionki warte po sześć franków za funt, arcydzieła rytownictwa kupione przed pięciu laty i które dziś jeszcze mają znak nowości, o!

Stary Séchard chwycił kilka kaszt napęcznionych czcionkami, które nigdy nie były w użyciu, i pokazał je synowi.

— Ja nie jestem uczony, nie umiem czytać ani pisać, ale znam się na tyle, aby wiedzieć, że czcionki pisane firmy Gillé były rodzicami angielskiego kroju twoich Didotów. Oto rondo — rzekł, wskazując kasztę i biorąc z niej M, rondo cycero, które jeszcze nie było pod prasą.

Dawid spostrzegł, że nie ma sposobu dyskutować z ojcem. Trzeba było wszystko przyjąć albo wszystko odrzucić, znajdował się pomiędzy tak i nie. Stary niedźwiedź wciągnął w inwentarz nawet sznury do rozwieszania. Najmniejsza ramka, tarcice, nieculki<sup>39</sup>, kamienie i szczotki do czyszczenia, wszystko było obliczone ze skrupulatnością skąpca. Całość sięgała trzydziestu tysięcy franków, łącznie z dekretem koncesji i wyrobioną klientelą. Dawid zapytywał sam siebie, czy rzecz jest do przyjęcia, czy nie. Widząc, iż syn nie odzywa się nic na tę cyfrę, stary Séchard zaniepokoił się; wołał bowiem gwałtowny spór niż milczące poddanie. W tego rodzaju handlach targ oznajmia zdatnego przemysłowca umiającego bronić swych interesów. „Kto na wszystko przystaje — mawiał stary Séchard — nic nie płaci”. Wciąż śledząc spod oka myśli syna, prowadził dalej wyszczególnienie nędznych utensyliów<sup>40</sup> potrzebnych do prowadzenia drukarni na prowincji; zaprowadził kolejno Dawida przed prasę do satynowania<sup>41</sup>, prasę do obrzynania do drobnych zamówień i zachwalał mu jej trwałość i praktyczność.

— Stare narzędzia są zawsze najlepsze — mówił. — W drukarstwie powinno by się je płacić drożej niż nowe, tak jak u fabrykantów malarskiego złota.

Ojciec, Syn, Handel

Handel

<sup>33</sup>*item* (łac.) — również; ponadto. [przypis edytorski]

<sup>34</sup>*funt* — dawna jednostka wagi, wynosząca 0,4–0,5 kg. [przypis edytorski]

<sup>35</sup>*gisernia* — zakład odlewający przedmioty z metalu; odlewnia. [przypis edytorski]

<sup>36</sup>*su*, właśc. *sous* (fr.) — dawna drobna moneta francuska o wartości 1/20 liry (funta), bita do 1795; później pot. nazwa monety o wartości 5 centymów, tj. 1/20 franka. [przypis edytorski]

<sup>37</sup>*cycero* — nazwa czcionki drukarskiej; także: jednostka typograficzna w systemie Didota równa 12 punktów typograficznych. [przypis edytorski]

<sup>38</sup>*garmondy*, *borgisy*, *ronda* — kroje czcionek drukarskich. [przypis edytorski]

<sup>39</sup>*nieculka* — mała niecka, drewniane podłużne naczynie. [przypis edytorski]

<sup>40</sup>*utensylia* (z łac.) — rzeczy użyteczne; narzędzia, sprzęt, przybory. [przypis edytorski]

<sup>41</sup>*satynowanie* — nadawanie papierowi gładkości i połysku. [przypis edytorski]

Potworne winietki przedstawiające Hymeny<sup>42</sup>, amory, zmarłych, którzy podnoszą kamień grobu, opisując literę V lub M, olbrzymie ramy splecione z masek na ogłoszenia widowisk, stały się pod wpływem nasyconej winem wymowy Hieronima Mikołaja przedmiotami ogromnej wartości. Pouczył syna, iż przyzwyczajenia mieszkańców prowincji zakorzenione są tak głęboko, iż na próżno by się kusił dać im ładniejsze rzeczy. On, Hieronim Mikołaj Séchard, sam próbował sprzedawać kalendarze lepsze niż „Double Liégois”<sup>43</sup>, drukowany na papierze do zawijania cukru! Otóż prawdziwy „Double-Liégois” miał lepszy zbyte niż najwspanialsze kalendarze. Dawid przekona się niebawem o ważności tej starzyzny, sprzedając ją drożej niż najbardziej kosztowne nowości.

— Ha! ha! Mój chłopcze, prowincja to prowincja, a Paryż to Paryż. Jeżeli przyjdzie tu klient z Houmeau zamówić sobie zawiadomienia ślubne, a ty mu je wydrukujesz bez amora z girlandkami, będzie miał uczucie, że ślub jest nieważny, i odniesie ci je, skoro zobaczy tylko proste M jak u twoich Didotów, którzy są chlubą sztuki drukarskiej, ale których wymysły dostaną się na prowincję nie pierwszej aż za sto lat. Ot co!

Ludzie szlachetni są złymi kupcami. Dawid był jedną z tych natur wstydlivych i czułych, które przeraża każda dyskusja i które ustępują z chwilą, gdy przeciwnik nieco nadto ukluje je w serce. Jego podniosły sposób myślenia i władza, jaką zachował nad nim stary opój, czyniły go tym bardziej niezdolnym do podtrzymania sporu pieniężnego z ojcem, zwłaszcza iż przypuszczał u niego najlepsze intencje; zrazu bowiem tłumaczył jego interesowną chciwość przywiązaniem starego drukarza do swoich narzędzi. Wszelako wobec tego, iż Hieronim Mikołaj Séchard nabył wszystko od wdowy Rouzeau za dziesięć tysięcy w asygnatach<sup>44</sup> i że w obecnym stanie rzeczy suma trzydziestu tysięcy franków stanowiła cenę szaloną, syn wykrzyknął:

— Ależ, ojcze, zarzynasz mnie!

— Ja, który dałem ci życie?... — rzekł stary pijaczyna, wyciągając rękę ku sznurom. — Ależ, Dawidzie, na ileż szacujesz samą koncesję? Czy wiesz, ile wart jest „Dziennik ogłoszeń”, po dziesięć su od wiersza, przywilej, który sam jeden przyniósł w ostatnim miesiącu pięćset franków? Mój chłopcze, zajrzyj do ksiąg, zobacz, co dają afisze i rejestry<sup>45</sup> prefektury<sup>46</sup>, roboty merostwa<sup>47</sup> i konsystorza<sup>48</sup>! Jesteś nygus<sup>49</sup>, który nie chce zrobić wielkiego losu. Targujesz się o konia, który zawiedzie cię kiedyś do jakiegoś pięknego folwarczku, jak mój w Marsac.

Do tego inwentarza dołączony był akt spółki między ojcem a synem. Dobry ojciec wynajmował spółce dom za cenę tysiąca dwustu franków, mimo iż nabył go za sumę sześciu tysięcy, oraz zachowywał dla siebie jeden z dwóch pokoików na poddaszu. Jak długo Dawid Séchard nie spłaci trzydziestu tysięcy franków, zyski mają się dzielić po połowie; z chwilą gdy wypłaci się z tej sumy, syn staje się wyłącznym i jedynym właścicielem drukarni. Dawid wziął pod uwagę koncesję, klientelę i dziennik, nie zaprzatając się narzędziami; pomyślał, iż zdoła się wygrzebać, i przyjął warunki. Przyzwyczajony do matactw chłopskich, nie rozumiejąc się nic na szerokich kalkulacjach Paryżan, ojciec zdumiony był tak szybką konkluzją.

„Czyżby ten chłopak znalazł gdzie jaki majątek? — myślał. — Albo też czy obmyśla sposób wyprawienia mnie z kwitkiem?”

W tej myśli wziął go na spytki dla dowiedzenia się, czy przywiózł jakie pieniądze, aby zeń wydobyć jakąś zaliczkę. Ciekawość ojca obudziła nieufność syna. Dawid pozostał sztywny i małomówny. Nazajutrz stary Séchard kazał uczniowi przenieść swoje meble do pokoiku na drugim piętrze, mając zamiar przewieźć je wózkami na folwark. Oddał trzy pokoje na pierwszym piętrze synowi zupełnie nagie, tak samo jak oddał mu w posiadanie

Cnota, Handel

Ojciec, Syn, Handel,  
Pieniądz

<sup>42</sup>Hymen (mit. gr.) — bóg małżeństwa, patronujący obrządkowi zaślubin. [przypis edytorski]

<sup>43</sup>„Double Liégois” — almanach (kalendarz z poradami i ciekawostkami), wydawany przez Stahla i osiągający w l. 1820–1833 rekordowy nakład 150.000 egz. [przypis edytorski]

<sup>44</sup>asygnata (daw.) — pieniądz papierowy; banknot. [przypis edytorski]

<sup>45</sup>rejestr (daw.) — rejestr, spis. [przypis edytorski]

<sup>46</sup>prefektura — we Francji: siedziba prefekta, naczelnika administracji departamentu, reprezentanta władzy centralnej. [przypis edytorski]

<sup>47</sup>merostwo — we Francji: siedziba mera, odpowiednika wójta, burmistrza lub prezydenta miasta. [przypis edytorski]

<sup>48</sup>konsystorz — urząd podległy biskupowi, kancelaria diecezjalna. [przypis edytorski]

<sup>49</sup>nygus (daw. pot.) — leń, człowiek wymigujący się od pracy. [przypis edytorski]

drukarnię, nie dając ani centyma<sup>50</sup> na zapłacenie robotników. Kiedy Dawid prosił ojca, aby w charakterze współnika przyczynił się do wkładów koniecznych dla wspólnej eksploatacji, stary drukarz udał głupiego. Nie był obowiązany, rzekł, wykladać jeszcze kapitał, dawszy samą drukarnię; układ był już zrobiony. Przyciśnięty logiką syna, odparł, iż kiedy kupił drukarnię od wdowy Rouzeau, dał sobie radę bez jednego szeląga. Jeżeli on, biedny robotnik pozbawiony nauki, zdołał tyle dokazać, wychowanek Didota tym bardziej to potrafi. Zresztą pieniądze, jakie Dawid uciulał, pochodziły z edukacji opłacanej w pocie czoła przez starego ojca, mógł tedy słusznie wyłożyć je obecnie.

— Coś zrobił z twymi oszczędnościami? — rzekł, wracając znów do ataku, aby rozjaśnić problem, który milczeniem syna zostawiło poprzedniego dnia nierozstrzygniętym.

— Ale czyż nie musiałem żyć? Czyż nie kupowałem książek? — odparł Dawid, obrzony.

— A! kupowałeś książki? Zły z ciebie będzie kupiec. Ludzie, którzy kupują książki, nie nadają się, aby je drukować — odparł stary niedźwiedź.

Dawid doświadczył najokropniejszego z upokorzeń, tego, które sprawia poniżenie ojca: trzeba mu było znieść wylew argumentów szpetnych, płaczkliwych, podłych, kramarskich, jakimi stary kutwa<sup>51</sup> uzasadniał odmowę. Zdławił w duszy boleść, widząc się sam, bez oparcia, znajdując w ojcu twardego i bezwzględne go spekulanta. Przez ciekawość filozoficzną chciał przejrzeć starego aż do głębi. Zwrócił mu uwagę, iż nigdy nie żądał odeń rachunku z majątku matki. Jeżeli ten majątek nie zdoła wyrównać ceny drukarni, powinien przynajmniej posłużyć do wspólnego jej prowadzenia.

— Majątek twojej matki — rzekł stary Séchard — to była jej piękność i rozsądek!

Usłyszawszy tę odpowiedź, Dawid przeniknął ojca w zupełności i zrozumiał, że aby uzyskać rachunek, trzeba by mu wszcząć proces trwający wieki, kosztowny i hańbiący. To szlachetne serce przyjęło brzemię, które miało na nim ciążyć, wiedział bowiem, z jak wielkim trudem przyjdzie mu się wypłacić z przyjętych względem ojca zobowiązań.

„Będę pracował — rzekł w duchu. — Ostatecznie, jeśli mnie będzie ciężko, starowinie też było nie lekko. Zresztą, czyż to nie będzie znaczyło pracować dla samego siebie?”

— Zostawiam ci skarb, mój synu — rzekł ojciec, zaniepokojony milczeniem syna.

Dawid spytał, co to za skarb.

— Maryna — rzekł ojciec.

Maryna była to tęga dziewczka wiejska, nieodzowna w funkcjonowaniu drukarni. Ona moczyła i obcinała papier, załatwiała posyłki, gotowała, prała, wyladowywała papier z wozu, chodziła odbierać pieniądze i czyściła szczotki drukarskie. Gdyby Maryna umiała czytać, stary Séchard zaprzęgałby ją jeszcze do składania.

Ojciec wyruszył na wieś pieszo. Mimo iż bardzo szczęśliwy ze sprzedaży, ukrytej pod mianem spółki, niespokojny był o sposób, w jaki syn się wypłaci. Po wzruszeniach sprzedaży przychodziły zawsze niepokoje o realizację. Wszystkie namiętności mają charakter na wskroś jezuicki. Ten człowiek, który patrzył na naukę jako na rzecz niepotrzebną, silił się uwierzyć w potęgę nauki. Hipotekował swoje trzydzieści tysięcy franków na pojęciach honoru, jakie w synu rozwinęło wykształcenie. Jako młody człowiek starannie wychowany, Dawid wyprze z siebie siódme poty, aby wypłacić się ze zobowiązań; nauka dostarczy mu środków po temu, okazał się pełen dobrych uczuć, zapłaci! Wielu ojców działających w ten sposób mniema, iż postąpili sobie po ojcowsku, jak to wytłumaczył sobie w końcu stary Séchard, w chwili gdy docierał do swej winnicy położonej w Marsac, małej wiosce o cztery mile drogi od Angoulême. Folwarczek ten, w którym poprzedni właściciel wybudował ładne pomieszkowanie, powiększał się z roku na rok od roku 1809, epoki, w której stary niedźwiedź go nabył. Zmienił prasę drukarską na prasę winną, a zbyt dawno, jak mówił, chodził koło wina, aby nie miał się na nim rozumieć. Podczas pierwszego roku wiejskich wywczasów ojciec Séchard ukazywał zatroskane oblicze sponad swoich tyczek, ciągle bowiem przebywał w winnicy, tak jak niegdyś w drukarni. Te niespodziewane trzydzieści tysięcy franków upajały go jeszcze bardziej niż sok winnej jagody, obracał je idealnie w palcach. Im mniej ta kwota mu się należała, tym bardziej pragnął ją zgarnać. Toteż, party niepokojem, często przybiegał z Marsac do Angoulême. Wspiął się po spa-

<sup>50</sup>centym — drobna moneta francuska o wartości 1/100 franka. [przypis edytorski]

<sup>51</sup>kutwa — skąpiec. [przypis edytorski]

Skąpiec

Handel, Książka

Syn, Ojciec, Skąpiec

Kobieta, Praca

Ojciec, Syn, Pieniądz,  
Honor

Chciwość

dzistościach skały, na której rozsiadło się miasto, zachodził do drukarni, aby przyjrzeć się, czy syn da sobie rady. Owóz prasy były zawsze na swoich miejscach. Jedyń uczeń, ustrojony w czapkę z papieru, czyścił gąbki. Stary niedźwiedź słyszał skrzyp prasy jęczącej pod jakimś zawiadomieniem o ślubie, poznawał stare czcionki, widział syna i prota, obu czytających w swoich klatkach książkę, którą stary brał za korektę. Zjadłszy obiad z Dawidem, wracał do folwarczku w Marsac, przeżywając swoje obawy. Skąpstwo ma, jak miłość, dar widzenia przyszłych wydarzeń, węszy je, przenika. Z dala od hali drukarskiej, gdzie widok narzędzi rozmarzał starego, przenosząc go w dniu, w których zdobywał majątek, Séchard spostrzegł u syna niepokojące objawy bezczynności. Godło „Bracia Cointetowie” przerażało go, widział je przesłaniające imię „Séchard i syn”. Słowem, starzec czuł powiew nieszczęścia. Przeczucie było słuszne: nieszczęście krążyło nad domem Séchardów. Ale skąpcy mają jakiegoś opiekuńczego boga. Przez zbieg nieprzewidzianych okoliczności ów bóg miał strząsnąć do mieszka pijaczyny cenę lichwiarskiej sprzedaży. Oto dlaczego drukarnia Séchardów upadała mimo elementów pomyślności. Obojętny wobec reakcji religijnej, jaką sprowadziła Restauracja dawnego rządu, ale równie obojętny dla liberalizmu, Dawid zachowywał w kwestiach politycznych i religijnych najbardziej szkodliwą neutralność. Żył w epoce, kiedy przemysłowcy prowincjonalni musieli wyznawać jakieś przekonania, aby mieć klientów, trzeba było bowiem wybierać pomiędzy klientelą liberałów i rojalistów. Miłość, jaka zakwitła w sercu Dawida, jego upodobania naukowe, szlachetna natura nie pozwoliły mu rozwinąć w sobie tej chciwości zysku, która tworzy prawdziwego kupca i która dałaby mu zgłębić różnice dzielące przemysł prowincjonalny od paryskiego. Odcienie, tak wyraźne w departamentach, giną w wielkim ruchu Paryża. Bracia Cointetowie nastroili się jednoznacznie z przekonaniem monarchicznymi, zaczęli ostentacyjnie pościć, uczęszczając do fary<sup>52</sup>, pielęgnować stosunki z księżmi i puszczać w świat pierwsze przedruki nabożnych książek, których potrzeba dała się uczuć. Cointetowie zajęli tedy pierwsi miejsce w tej zyskowej gałęzi i obnosili po mieście Dawida Sécharda, oskarżając go o liberalizm i ateizm. W jaki sposób, mówili, robić interesy z człowiekiem mającym ojca jakobina<sup>53</sup>, pijaka, bonapartystę, starego skąpca, który wcześniej czy później zostawi sterty złota? Oni byli biedni, obciążeni rodziną, podczas gdy Dawid był kawalerem i będzie bardzo bogaty, dlatego też żyje sobie wygodnie etc. Pod wpływem tych oskarżeń podnoszonych przeciw Dawidowi prefektura i biskupstwo przeniosły w końcu przywilej swoich zamówień na braci Cointetów. Niebawem ci zachłanni przeciwnicy, ośmieleni niezarnością rywala, stworzyli nowy dziennik ogłoszeń. Stara drukarnia została ograniczona do zamówień miejskich, dochód zaś z dzienniczka anonsów<sup>54</sup> zniżył się do połowy. Wzbogaceni znacznymi zyskami osiągniętymi na książkach do nabożeństwa oraz dziełach świątobliwej treści, bracia Cointetowie zwrócili się do Séchardów z propozycją nabycia ich dziennika, aby niepodzielnie już mieć ogłoszenia departamentu i obwieszczenia sądowe. Skoro tylko Dawid udzielił tej wiadomości ojcu, stary winiarz, przerażony już postępami domu Cointetów, spadł z Marsac na plac du Mûrier z chyżością kruka, który zwietrzył trupy na polu bitwy.

Stary odgadł w lot interes Cointetów, przeraził ich bystrością rzutu oka. Syn gotów był popełnić głupstwo, któremu on chce zaradzić, powiadał.

— Na czym będzie się opierać nasza klientela, jeżeli odda dziennik? Adwokaci, rejenci, wszyscy kupcy z Houmeau są liberalni; Cointetowie chcieli zaszkodzić Séchardom obwiniając ich o liberalizm; otóż przygotowali im w ten sposób deskę zbawienia: ogłoszenia liberałów przypadną Séchardom! Sprzedać dziennik?... Tobo już było lepiej sprzedać inwentarz i koncesję.

Zażądał tedy od Cointetów sześćdziesiąt tysięcy za drukarnię, aby nie rujnować syna: kochał syna, bronił tylko syna. Winiarz posłużył się synem, tak jak chłopci posługują się żonami: syn godził się albo nie godził, wedle propozycji, jakie stary wydierał, punkt po punkcie, Cointetom. Doprowadził ich, nie bez wysiłku, do ofiarowania sumy dwudziestu tysięcy za „Dziennik Charente”. Ale Dawid miał się zobowiązać pod karą trzydziestu tysięcy franków odszkodowania, iż nigdy nie będzie drukował żadnego dziennika.

<sup>52</sup>fara (daw.) — kościół parafialny. [przypis edytorski]

<sup>53</sup>jakobin — członek lewicowego, rewolucyjnego klubu politycznego działającego w okresie rewolucji francuskiej; przren.: zwolennik rewolucji. [przypis edytorski]

<sup>54</sup>anons — ogłoszenie. [przypis edytorski]

Skąpiec, Opieka

Nauka, Cnota, Chciwość,  
Handel

Chciwość, Ojciec, Syn,  
Handel

Sprzedaż ta była samobójstwem drukarni Séchardów, ale winiarz nie troszczył się o to. Po kradzieży przychodzi zawsze morderstwo. Stary myślał obrócić tę sumę na zapłacenie swego gruntu; aby go dostać w ręce, byłby dodał i Dawida na przykładkę, zwłaszcza iż ten nieporęczny syn miał prawo do połowy tego niespodzianego skarbu. Jako odszkodowanie szlachetny ojciec zostawił mu drukarnię, ale zachowując sobie jako czynsz mieszkania owe sławne tysiąc dwieście franków. Od czasu sprzedaży dziennika Cointetom stary rzadko pokazywał się w mieście; powoływał się na swój podeszły wiek, ale istotną przyczyną był brak zainteresowania drukarnią, która już doń nie należała. Mimo to nie mógł zupełnie zaprzeczyć się starego przywiązania, jakie miał dla swoich narzędzi. Kiedy własne jakie sprawy sprowadzały go do Angoulême, bardzo byłoby trudno rozstrzygnąć, co go bardziej ciągnęło do domu: prasy drewniane czy syn, do którego dla formy zachodził upominać się o czynsz. Jego dawny prot, obecnie zatrudniony u Cointetów, wiedział, co myśleć o tej ojcowskiej wspaniałomyślności; powiadał, iż szczwany lis zabezpieczał sobie prawo mieszkania się w sprawy syna, stając się przez nagromadzenie zaległych czynszów uprawnionym wierzycielem.

Niezaradność Dawida Sécharda miała przyczyny, które malują charakter tego młodzieńca. W kilka dni po instalacji w drukarni ojcowskiej spotkał jednego ze swych przyjaciół z kolegium, wówczas pogrążonego w najgłębszej nędzy. Przyjaciół Dawida Sécharda był to młody człowiek w wieku około dwudziestu jeden lat, nazwiskiem Lucjan Chardon, syn dawnego starszego chirurga wojsk republikańskich, który musiał ustąpić ze służby z powodu odniesionej rany. Naturalne skłonności uczyniły pana Chardona chemikiem, przypadek zaś osiedlił go jako aptekarza w Angoulême. Śmierć zaskoczyła go pośród prac przygotowawczych spowodowanych zyskownym odkryciem, którego poszukiwanie pochłonęło mu wiele lat badań naukowych. Chciał uleczyć wszelki rodzaj podagry<sup>55</sup>. Podagra jest chorobą bogatych, bogaci zaś drogo opłacają zdrowie, kiedy go im nie stanie<sup>56</sup>. Toteż aptekarz wybrał ten problem do rozwiązania pomiędzy wszystkimi, jakie nastęrczały się jego rozmyślaniom. Zawieszony pomiędzy wiedzą a empiryzmem, nieboszczyk Chardon zrozumiał, że jedynie wiedza może zapewnić mu fortunę; zapuścił się tedy w zgłębianie przyczyny choroby i oparł leczenie na pewnej diecie dostosowanej do każdego temperamentu. Umarł w czasie pobytu w Paryżu, gdzie starał się o aprobatę Akademii Nauk<sup>57</sup> i stracił w ten sposób owoc swoich prac. W przewidywaniu poprawy doli aptekarz nie szczędził niczego na wychowanie syna i córki, tak iż utrzymanie rodziny pochłaniało stale dochody z apteki. W ten sposób nie tylko zostawił dzieci w nędzy, ale jeszcze, na ich nieszczęście, wychował je w nadziei świetnych losów, które zgasły ze śmiercią ojca.

Znakomity Desplein<sup>58</sup>, który miał Chardona w opiece w ostatnich chwilach, mówił, iż umierając, szalał z rozpaczy. Ambicja ta czerpała pobudkę w gwałtownej miłości, jaką dawny chirurg żywił dla swej żony, ostatniej latorośli domu de Rubempré, cudownie przezeń ocalonej od szafotu w roku 1793. Mimo iż młoda dziewczyna nie chciała zgodzić się na to kłamstwo, zyskał na czasie, oświadczając, iż jest w ciąży. Stworzywszy sobie w ten sposób poniekąd prawa męża, ożenił się z nią mimo obopólnego ubóstwa. Dzieci, jak wszystkie dzieci miłości, otrzymały za całe dziedzictwo cudowną urodę matki, dar tak często zgubny, skoro towarzyszy mu nędza. Te tak żywo podzielane nadzieje, prace, rozpacz odbiły się głęboko na urodzie pani Chardon, tak samo jak powolne degradacje ubóstwa oddziaływały na tryb jej życia; ale dzielność jej, jak również i jej dzieci, równa była ich niedoli. Biedna wdowa sprzedała aptekę położoną przy pryncypalnej<sup>59</sup> ulicy Homeau, głównego przedmieścia Angoulême. Wartość apteki pozwoliła jej uzyskać sumę trzystu franków rocznej renty<sup>60</sup>, kwotę niewystarczającą nawet na własne utrzymanie, ale i ona, i córka przyjęły swe położenie bez rumieńca i oddały się pracy zarobkowej. Matka pielęgnowała położnice, wykwiłntne zaś jej obejście sprawiło, iż stała się poszu-

Uroda, Bieda, Dziedzictwo,  
Dziecko, Miłość

Pieniądz, Praca

<sup>55</sup>podagra — dna moczanowa, rodzaj zapalenia stawu, zazwyczaj u palucha u stopy. [przypis edytorski]

<sup>56</sup>nie stanie (daw.) — zabraknie. [przypis edytorski]

<sup>57</sup>Akademia Nauk — czołowa francuska instytucja naukowa, założona w 1666 przez Ludwika XIV, stanowiąca korporację uczonych zajmujących się naukami matematyczno-przyrodniczymi. [przypis edytorski]

<sup>58</sup>Desplein — w *Komedii ludzkiej* Balzaca: wybitny chirurg, nauczyciel Bianchona. [przypis edytorski]

<sup>59</sup>pryncypalny (daw., z łac.) — najważniejszy, główny. [przypis edytorski]

<sup>60</sup>renta — tu: dochód z kapitału ulokowanego w banku, w obligacjach, na giełdzie itp.; por. *rentier*. [przypis edytorski]

kiwana w bogatych domach. W ten sposób żyła, nie kosztując nic dzieci i zarabiając dwadzieścia su dziennie. Aby oszczędzić synowi wstydu, iż musi widzieć matkę w takim poniżeniu, przybrała imię pani Szarloty. Osoby, które pragnęły jej opieki, zwracały się do pana Postel, następcy nieboszczyka Chardona. Siostra Lucjana pracowała u bardzo zacnej kobiety, poważanej w całym Houmeau, pani Prieur, prowadzącej zakład wykwiutnego prania; w ten sposób zarabiała piętnaście su dziennie. Miała dozór nad robotnicami i cieszyła się w pracowni rodzajem zwierzchnictwa, które wznosiło ją nieco ponad klasę wyrobnic. Skromne owoce pracy obu kobiet, dołączone do trzystu franków renty pani Chardon, dochodziły ogółem sumy ośmiuset franków rocznie, z których te trzy osoby miały żyć, ubierać się i mieszkać. Ścisła oszczędność tego gospodarstwa zaledwie zdołała nastarczyć wszystkiemu tą sumą, prawie w zupełności pochłanianą przez Lucjana. Pani Chardon i córka jej Ewa wierzyły w Lucjana jak żona Mahometa w męża; poświęcenie ich dla jego przyszłości nie miało granic. Ta biedna rodzina mieszkała w Houmeau, w mieszkaniu najętym za bardzo skromną kwotę od następcy pana Chardona i położonym w głębi wewnętrznego dziedzińca ponad laboratorium. Lucjan zajmował tam nędzny pokoik na poddaszu. Zagrzewany przez ojca, który, zapalony do nauk przyrodniczych, popychał go zrazu na tę drogę, Lucjan był jednym z najświetniejszych uczniów kolegium w Angoulême, gdzie znajdował się w klasie trzeciej, w chwili gdy Séchard kończył studia.

Kiedy traf zrządził spotkanie dwóch towarzyszy z kolegium, Lucjan, zmęczony pićciem z grubej czary nędzy, był na drodze powzięcia jednego z tych ostatecznych postanowień, w jakie rzuca się człowiek, mając dwadzieścia lat. Czterdzieści franków miesięcznie, jakie Dawid ofiarował wspaniałomyślnie Lucjanowi, podejmując się nauczyć go rzemiosła prota, mimo iż prot był mu zupełnie niepotrzebny, ocaliły Lucjana od rozpacz. Węzły przyjaźni z kolegium, odnowione w ten sposób, zacieśniły się niebawem podobieństwami ich losów i różnicami charakterów. Obaj duchem bogaci w wielorakiej fortuny posiadali tę wysoką inteligencję, która stawia człowieka na równej stopie z wszelkimi szczytami, obaj zaś znajdowali się zepchnięci na sam dół społeczeństwa. Ta niesprawiedliwość losu stała się potężnym węzłem. Zarazem obaj zbliżyli się do poezji odmiennymi drogami. Mimo iż przeznaczony do najwyższych dociekań wiedzy przyrodniczej, Lucjan rwał się z całym ogniem ku sławie literackiej, podczas gdy Dawid, którego kontemplacyjny umysł usposabiał do poezji, skłaniał się z upodobania ku wiedzy ścisłej. To przestawienie ról zrodziło między nimi jakby duchowe braterstwo. Lucjan udzielił niebawem Dawidowi wysokich poglądów, jakie miał od ojca w przedmiocie zastosowania nauki do przemysłu, Dawid zaś wskazał Lucjanowi nowe drogi, jakimi należało mu się zapuścić w literaturę, aby zdobyć imię i przyszłość. Przyjaźń tych dwóch młodych ludzi stała się w niedługim czasie jedną z tych namiętności, jakie rodzą się jedynie w pełni młodzieńczego wieku. Dawid ujrzał niebawem piękną Ewę i pokochał ją tak, jak zdolne są kochać dusze melancholiczne i skłonne do medytacji. *Et nunc et semper et in secula seculorum*<sup>61</sup> liturgii jest dewizą tych wzniosłych nieznanych poetów, których dzieła polegają na wspaniałych epejach poczętych i zgubionych między dwojgiem serc! Kiedy kochanek przeniknął tajemnicę nadziei, w jakie matka i siostra Lucjana zdobyły to piękne czoło poety, kiedy poznał całe ich ślepe poświęcenie, czerpał słodycz w tym, aby się zbliżyć do ubóstwianej, dzieląc jej oddanie i nadzieje. Lucjan stał się więc dla Dawida bratem z wyboru. Jak owi ultra<sup>62</sup>, którzy chcieli być bardziej rojalistami niż sam król, Dawid prześcignął wiarę, jaką matka i siostra Lucjana miały w jego geniusz, psuł go tak, jak matka psuje swoje dziecko. Podczas jednej z owych rozmów, w których, gnębieni brakiem pieniędzy wiążącym im ręce, przetrzymywali, jak wszyscy młodzi ludzie, sposoby osiągnięcia szybkiej fortuny, przetrząsając bezowocnie wszystkie drzewa już obrane przez poprzedników, Lucjan przypomniał sobie dwie myśli rzucone kiedyś przez ojca. Pan Chardon wspominał o możliwości obniżenia o połowę ceny cukru przez użycie nowego składnika chemicznego i o takimże zmniejszeniu ceny papieru, przez uzyskanie z Ameryki pewnych materii roślinnych, analogicznych do tych, jakimi posługują się Chińczycy, i mało kosztownych. Dawid, który znał ważność tej kwestii, roztrząsanej już u Didota, chwycił się tej myśli, widząc w niej

Pieniądz, Praca

Przyjaźń, Artysta

<sup>61</sup>*Et nunc et semper et in secula seculorum* (łac.) — i teraz, i zawsze, i na wieki wieków. [przypis edytorski]

<sup>62</sup>*ultra* (pot.) — skrócone: ultraroyalści, skrajnie reakcyjna część monarchistów działających podczas restauracji władzy Burbonów (1815–1830). [przypis edytorski]



fortunę, i uważał odtąd Lucjana za dobroczyńcę, względem którego nigdy nie zdoła się wypłacić.

Każdy zgaduje, do jakiego stopnia dominujące myśli wewnętrzne i życie dwóch przyjaciół czyniło ich niezdolnymi do prowadzenia drukarni. Daleka od przynoszenia piętnastu do dwudziestu tysięcy franków, jak zakład braci Cointetów, drukarzy-nakładców konsystorza, właścicieli „Kuriera Charente”, odtąd jedyne go dziennika w departamencie, drukarnia Sécharda syna dawała ledwie trzysta franków miesięcznie, z czego trzeba było odciągnąć<sup>63</sup> pensję prota, płacę Maryny, podatki, czynsz, co uszczuplało dochód Dawida do stu franków miesięcznie. Ludzie czynni i przemyślni byliby odnowili czcionki, kupili prasy żelazne, zdobyliby w księgarniach paryskich dzieła, które by wydrukowali po niskiej cenie; ale pryncypał i prot, zatopieni w pochłaniającej pracy duchowej, zadowalali się robotami, jakich im dostarczali ostatni klienci. Bracia Cointetowie poznali się wreszcie na charakterze i przyzwyczajeniach Dawida; przestali go oczerniać; przeciwnie, roztropna polityka nakazywała im dać wegetować tej drukarni i utrzymywać ją w przyzwoitej mierności, iżby się nie dostała w ręce jakiegoś groźnego antagonisty; sami odsyłali nawet do niej drobniejszych klientów. Tak zatem, sam nie wiedząc o tym, Dawid Séchard istniał, mówiąc handlowo, jedynie dzięki zręcznemu wyrachowaniu konkurentów.

Zewnętrzny wygląd domu Séchardów był w harmonii z brudnym skąpstwem, jakie panowało wewnątrz, gdzie stary niedźwiedź nigdy nie dał nic naprawić. Deszcz, słońce, wpływy atmosferyczne każdej pory roku nadały drzewom od korytarza podobieństwo do starego pnia drzewa, tak były poorane nierównymi szczelinami. Fasada, licho sklecona z kamieni i cegieł ponarzucanych bezładnie, zdawała się ugiąć pod ciężarem dachu, zbutwiałego, przeciążonego owymi wklęsłymi dachówkami, jakie widnieją na wszystkich dachach południowej Francji. Mocno uszkodzone oszklenie opatrzone było olbrzymimi okiennicami o gęstych poprzecznych listwach, jakich wymaga gorąco klimatu. Trudno byłoby w całym Angoulême znaleźć dom równie zaniedbany; można powiedzieć, iż trzymał się jedynie siłą spójności cementu. Wyobraźcie sobie tę wielką halę, jasną w dwóch krańcach, ciemną w środku, o ścianach pokrytych afiszami i poczerniałych od dołu; z mnóstwem lin leżących po podłodze, stertami papieru, starymi maszynami, stosami kamieni do przyciskania zwilżonego papieru, szeregami kaszt i na końcu dwiema klatkami, w których, każdy po swojej stronie, siedzieli pryncypał i prot; zrozumiecie wówczas egzystencję dwóch przyjaciół.

W roku 1821, w pierwszych dniach maja, Dawid i Lucjan znajdowali się tuż koło okna wychodzącego na dziedziniec, w chwili gdy około drugiej popołudniu nieliczni robotnicy pracujący w drukarni opuszczali halę, udając się na obiad. Skoro pryncypał ujrzał, iż uczeń zamknął za sobą drzwi opatrzone dzwoneczkiem, wychodząc na ulicę, pociągnął Lucjana na dziedziniec, jak gdyby zapach papierów, farby drukarskiej, pras i starego drzewa był mu nie do zniesienia. Usiedli na jakiejś pace, skąd oczy ich mogły widzieć każdego wchodzącego do zakładu. Promienie słońca igrające w winnych liściach ogrodu pieściły dwóch poetów, okalając ich światłem niby aureolą. Kontrast stworzony przeciwieństwem tych dwóch charakterów i fizjonomii występował wówczas tak wyraźnie, że byłby skusił pędzel wielkiego malarza. Dawid miał kształty, jakie natura daje istotom przeznaczonym do wielkich walk, tajemnych lub jawnych. Z szerokiego torsu wyrastały silne ramiona harmonizujące z pełnią kształtów. Twarz jego, brązowa w tonie, żywa w kolorze, pełna, osadzona na grubej szyi, okolona bujnym lasem czarnych włosów, podobna była na pierwszy rzut oka do twarzy kanoników opiewanych przez Boileau<sup>64</sup>; ale baczniejsze spojrzenie zdradzało w bruzdach mięsistych warg, w dołku podbródka, w rysunku kwadratowo zakończonym nosa, w oczach przede wszystkim, nieustający ogień jedynej miłości, przenikliwość myśliciela, żarliwą melancholię ducha, który zdolny był ogarnąć dwa ostateczne krańce horyzontu, przenikając wszystkie ich zaułki, i który łatwo nużył się rozkoszami czysto idealnymi, wnosząc w nie jasność analizy. Jeżeli odgadywało się w tej twarzy błyski geniuszu gotującego się do lotu, widziało się też popiół obok wulkanu; nadzieja zamierała tam w głębokim poczuciu własnej nicości społecznej, w której

<sup>63</sup>odciągnąć (daw.) — odjąć. [przypis edytorski]

<sup>64</sup>Boileau, Nicolas (1636–1711) — francuski poeta i krytyk literacki; autor m.in. poematu dydaktycznego *Sztuka poetycka*, stanowiącego kodeks klasycyzmu, oraz heroikomicznego poematu *Le lutrin* (Pulpit, 1674–83), ośmieszającego duchowieństwo. [przypis edytorski]

Pieniądz

Dom

Uroda

niskie urodzenie i brak majątku więżą tyle wyższych duchów. Obok biednego drukarza, którego jego zawód, mimo iż tak bliski inteligencji, przyprawiał o mdłości, obok tego Sylena<sup>65</sup> ciężko wspartego na samym sobie, który pił wielkimi haustami z pucharu wiedzy i poezji, upijając się, aby zapomnieć o niedolach prowincjonalnego życia, Lucjan stał we wdzięcznej pozie, stworzonej przez rzeźbiarza dla indyjskiego Bachusa<sup>66</sup>. Twarz jego miała wytworność linii starożytnego posągu: miał czoło i nos greckie, aksamitną białłość kobiecą, oczy tak ciemnoniebieskie, że aż czarne, oczy pełne miłości, których białko co do świeżości nie ustępowało oczom dziecka. Nad tymi pięknymi oczyma, okolonymi długimi, ciemnymi rzęsami, rysowały się brwi jak gdyby wykreślone pędzlem chińskim. Na licach połyskiwał jedwabisty puszek, którego kolor harmonizował z kolorem jasnych, naturalnie kręcących się kędziurów. Boska słodycz oddychała w jego pozłocistych białych skroniach. Niewypowiedziana szlachetność rysowała się w krótkim, łagodnie podniesionym podbródku. Uśmiech smutnych aniołów błędził po ustach z koralu ozdobionych pięknymi zębami. Miał ręce człowieka dobrej rasy, ręce wykwentne, których skinieniu mężczyźni powinni być posłuszni, a które kobiety lubią całować. Lucjan był szczupły i średniego wzrostu. Widząc jego stopy, byłoby się tym bardziej skłonny wziąć go za przebraną młodą dziewczynę, ile że, podobnie jak większość ludzi sprytnych, żeby nie powiedzieć przebiegłych, posiadał biodra ukształtowane jak biodra kobiety. Ta wskazówka, rzadko zwodnicza, była prawdziwa u Lucjana. Skłonność jego ruchliwego umysłu sprowadzała go często, kiedy analizował obecny stan społeczeństwa, na teren deprawacji właściwej dyplomatom, którzy sądzą, iż sukces jest usprawiedliwieniem wszystkich, choćby najhaniebniejszych środków. Jednym z nieszczęść, jakim podpadają wielkie inteligencje, jest to, iż z konieczności rozumieją wszystko, złe równie dobrze jak dobre.

Uroda

Dwaj młodzi ludzie sądzili społeczeństwo tym bardziej z góry, im bardziej nisko byli w nim postawieni, ludzie bowiem zapoznani mszczą się za marność swej pozycji wyniosłością rzutu oka. Ale też rozpacz ich była przez to tym bardziej gorzka, iż szli w ten sposób szybciej jeszcze tam, gdzie ich niosło prawdziwe ich przeznaczenie. Lucjan wiele czytał, wiele porównywał, Dawid wiele myślał, wiele zgłębiał. Mimo pozorów krzepkiego i wiejskiego zdrowia drukarz był to duch melancholijny i chorobliwy, pełen zwątpień o samym sobie, podczas gdy Lucjan, obdarzony umysłem przedsiębiorczym, ale ruchliwym, posiadał śmiałość niezgodną z jego wejrzeniem miękkim, niemal wątłym, ale pełnym kobiecych uroków. Lucjan miał w najwyższym stopniu charakter gaskoński, śmiały, dzielny, awanturniczny, który przesadza sobie dobre i umniejsza złe, nie cofa się przed błędem, jeżeli widzi w nim korzyść i drwi z występku, jeżeli stanie się dlań szczeblem do wspięcia się wyżej. Ten ambitny popęd był wówczas stłumiony pięknymi złudzeniami młodości, zapalem niosącym go ku szlachetnym środkom, jakich ludzie zakochani w sławie chwytają się przed wszystkimi innymi. Dotychczas pasował się tylko ze swymi pragnieniami, a nie z trudnościami życia, z własną siłą, a nie z nikczemnością ludzi, która jest fatalnym przykładem dla wrażliwych duchów. Żywo pociągnięty świetnością umysłu Lucjana, Dawid podziwiał go, mimo iż starał się prostować błędy, w jakie wtrącała go „furia francuska”. Ten zacny człowiek miał nieśmiałe usposobienie będące w sprzeczności z jego silną budową fizyczną, ale nie zbywało mu na wytrwałości ludzi Północy. O ile widział wszystkie trudności, postanawiał sobie zwyciężyć je, nie dając się zniechęcić; a jeżeli posiadał nieugiętość cnoty iście apostołską, łagodził ją urokiem niewyczerpanej pobraźliwości. W przyjaźni tej, już wypróbowanej, jeden z dwu kochał bałwochwalczo, mianowicie Dawid. Toteż Lucjan przewodził nad nim jak kobieta, która wie, że jest kochana. Dawid ulegał z przyjemnością. Piękność fizyczna przyjaciela zawierała w sobie wyższość, którą uznawał, czując się sam, w swoim mniemaniu, ciężkim i pospolitym.

Rozum, Interes

Pozycja społeczna

Ambicja

Przyjaźń, Kobieta, Miłość

„Wołu należy cierpliwa orka, ptakowi szybowanie bez troski — mówił sobie drukarz. — Ja jestem wołem, Lucjan będzie orłem”.

Od trzech lat blisko dwaj przyjaciele złączyli swoje losy, tak świetne w przyszłości. Czytali wielkie dzieła, które pojawiły się od czasu pokoju na horyzoncie literackim i naukowym, dzieła Schillera, Goethego, lorda Byrona, Waltera Scotta, Jean-Paula, Berze-

Książka, Ambicja, Sztuka, Nauka

<sup>65</sup>Sylen (mit. gr.) — towarzysz boga vegetacji i wina Dionizosa, przedstawiany jako tłustawy mężczyzna z końskimi uszami, nogami i ogonem, często nadużywający wina. [przypis edytorski]

<sup>66</sup>Bachus (mit. rzym.) — bóg winnej latorośli i wina, odpowiednik gr. Dionizosa (Bachosa); wg niektórych opowieści zawędrował aż do Indii, które podbił. [przypis edytorski]

liusa, Davy'ego, Cuviera, Lamartine'a<sup>67</sup> etc. Rozpalali się przy tych wielkich ogniskach, próbowali się w dziełach poronionych lub zaczynanych, rzucanych i znów podejmowanych z zapalem. Pracowali bez ustanku, nie nużąc niewyczerpanych skarbów młodości. Jednak biedni, ale pożerani miłością sztuki i nauki, zapominali o obecnej nędzy, pracując nad podwalinami przyszłej sławy.

— Lucjanie, czy wiesz, co otrzymałem z Paryża? — rzekł drukarz, dobywając z kieszeni mały tomik *in 18*<sup>68</sup>. — Słuchaj!

Dawid przeczytał, jak umieją czytać poeci, idyllę Andrzeja Chéniera<sup>69</sup> zatytułowaną *Nerea*, potem *Młodego chorego*, potem elegię o samobójstwie, tę w stylu starożytnym, i dwa ostatnie jamby.

— To więc jest Andrzej Chénier! — wykrzyknął Lucjan kilkakrotnie. — Może doprowadzić do rozpacz — powtarzał po raz trzeci, kiedy Dawid, zbyt wzruszony, aby czytać dalej, pozwolił mu wziąć tomik. — Poeta odnaleziony przez poetę! — dodał, widząc podpis przedmowy.

— Stworzywszy ten tom — rzekł Dawid — Chénier mniemał, iż nie napisał nic, co by było godne ogłoszenia.

Z kolei Lucjan przeczytał epiczny ustęp *Ślepca* i kilka elegii. Kiedy natrafił na ustęp:

Jeśli tam szczęścia nie ma, zali<sup>70</sup> jest na ziemi?

ucalaował książkę i dwaj przyjaciele rozplakali się, obaj bowiem kochali do ubóstwienia. Liście winnego grona nabrały żywszych barw, stare mury domu, rozpadłe, spękane, nierówno poprzerywane szpetnymi szczelinami, przystroili się za dotknięciem palców wróżki we fryzy<sup>71</sup>, arabeski<sup>72</sup>, płaskorzeźby i niezliczone arcydzieła nie wiem jakiej już architektury. Wyobraźnia rozsypała swe kwiaty i rubiny na mały pokątny dziedzińczyk. Kamilla<sup>73</sup> Andrzeja Chéniera stała się dla Dawida jego ubóstwianą Ewą, dla Lucjana zaś wielką damą, w której kochał się nieśmiało. Poezja potrzęsnęła majestatycznymi fałdami swej gwiazdzistej szaty nad warsztatem, w którym wykonywali jednostajne ruchy niedźwiedzie i małpy kunsztu drukarskiego. Piąta godzina wydzwoniła, ale dwaj przyjaciele nie czuli głodu ani pragnienia; życie ich było marzeniem ze złota, mieli u swoich stóp wszystkie skarby ziemi. Spozrzegli ten niebieskawy skrawek widnokregu, jaki Nadzieja ukazuje palcem tym, których życie jest zdane na burze i którym powiada głosem syreny: „Idźcie, lećcie, ujdźcie nieszczęściu tą przestrzenią ze złota, srebra lub lazuru”. W tej chwili uczeń nazwiskiem Cerizet, urwis paryski, którego Dawid sprowadził do Angoulême, otworzył małe szklane drzwiczki wychodzące z hali na dziedziniec i wskazał dwóch przyjaciół nieznanemu, który zbliżył się z ukłonem:

— Panie — rzekł do Dawida, wyciągając z kieszeni ogromny zeszyt — oto memoriał, który pragnąłbym wydrukować, czy zechciałby pan oszacować koszt?

— Nie drukujemy, proszę pana, rękopisów tak obszernych — odparł Dawid, nie patrząc na zeszyt — zechciej się pan udać do braci Cointetów.

<sup>67</sup>*dzieła Schillera, Goethego, lorda Byrona, Waltera Scotta, Jean-Paula, Berzeliusa, Davy'ego, Cuviera, Lamartine'a* — Friedrich Schiller (1759–1805): niemiecki poeta i filozof okresu romantyzmu; Johann Wolfgang Goethe (1749–1832): najwybitniejszy niemiecki poeta i pisarz okresu „burzy i naporu”; George Gordon Byron (1788–1824): poeta, czołowy przedstawiciel angielskiego romantyzmu; Walter Scott (1771–1832): szkocki autor powieści historycznych i poeta, bardzo popularny w swojej epoce; Jean Paul Richter (1763–1825): pisarz niemiecki, jeden z głównych prekursorów romantyzmu w lit. niemieckiej; Jöns Jacob Berzelius (1779–1848): szwedzki chemik, jeden z założycieli nowoczesnej chemii, autor 8-tomowego podręcznika fizyki, chemii i mineralogii; Humphry Davy (1778–1829): brytyjski chemik, jako pierwszy wyodrębnił szereg pierwiastków, odkrył chlor i jod; Georges Cuvier (1769–1832): wybitny francuski zoolog i paleontolog, współtwórca anatomii porównawczej; Alphonse de Lamartine (1790–1869): polityk i pisarz francuski, uznawany za twórcę francuskiego romantyzmu. [przypis edytorski]

<sup>68</sup>*in 18* a. *octodecimo* — format niewielkich książek, o wymiarze 1/18 arkusza. [przypis edytorski]

<sup>69</sup>*Chénier, André de* (1762–1794) — poeta francuski, skazany przez sąd rewolucyjny na śmierć na gilotynie. [przypis edytorski]

<sup>70</sup>*zali* (daw.) — czy, czyż. [przypis edytorski]

<sup>71</sup>*fryz* — dekoracyjny pas pod gzymsem budynku. [przypis edytorski]

<sup>72</sup>*arabeska* — symetryczny, geometryczny ornament ze stylizowanych motywów roślinnych; tradycyjnie wykorzystywany w architekturze i sztuce arabskiej (stąd nazwa). [przypis edytorski]

<sup>73</sup>*Kamilla* (fr. *Camille*) — imię bohaterki *Elegii* fr. poety Chéniera, pod którym wychwalał swoją piękną przyjaciółkę Michelle de Bonneuil. [przypis edytorski]

— Ale przecież mamy ładne pismo, które mogłoby się nadać — zauważył Lucjan, biorąc rękopis. — Może pan będzie tak łaskaw wstąpić jutro i zostawi nam dzieło dla oceny kosztów druku.

— Czy nie z panem Lucjanem Chardonem mam zaszczyt...?

— Tak, panie — odparł prot.

— Szczęśliwy jestem — rzekł autor — iż mogłem spotkać młodego poetę, powołanego do tak świetnej przyszłości. Przysłała mnie tu pani de Bargeton.

Słyszac to imię, Lucjan zarumienił się i wybąkał kilka słów, aby wyrazić wdzięczność za względy okazywane mu przez panią de Bargeton. Dawid zauważył rumieniec i zakłopotanie przyjaciela. Usunął się, zostawiając go z obywatelem wiejskim, autorem memoriału o hodowli jedwabników. Szlachcic, popychany próżnością, pragnął go wydrukować, aby dzieło jego mogło się znaleźć w rękach kolegów z Towarzystwa Rolniczego.

— I cóż, Lucjanie — rzekł Dawid, skoro obywatel odszedł — czyżbyś był zakochany w pani de Bargeton?

— Do szaleństwa!

— Ależ przesady świata czynią, iż jesteście od siebie bardziej oddaleni, niż gdybyście byli, ty w Pekinie, a ona w Grenlandii.

— Wola dwojga kochanków zwycięża wszystko — rzekł Lucjan, spuszczać oczy.

— Zapomnisz o nas — odparł trwożliwy wielbiciel pięknej Ewy.

— Być może, iż, przeciwnie, poświęciłem ci mą ukochaną — wykrzyknął Lucjan.

— Co chcesz powiedzieć?

— Mimo mej miłości, mimo rozmaitych interesów, które mi każą szukać oparcia w jej domu, powiedziałem jej, iż nie wrócę nigdy, jeżeli człowiek, który przewyższa mnie talentem i wiedzą, jeżeli Dawid Séchard, mój przyjaciel, mój brat, nie znajdzie tam przyjęcia. Mam zastać odpowiedź w domu. Ale mimo iż cała arystokracja zaproszona jest na dziś wieczór, aby wysłuchać moich wierszy, jeżeli odpowiedź jest odmowna, noga moja nie postanie u pani de Bargeton.

Dawid ścisnął gwałtownie rękę Lucjana, otarłszy sobie oczy. Wybiła szósta.

— Ewa musi być niespokojna. Do widzenia — rzekł nagle Lucjan.

Pomknął, zostawiając Dawida na pastwę jednego z owych wzruszeń, które czuje się tak pełno jedynie w tym wieku, zwłaszcza w położeniu, w jakim znajdowały się te dwa młode łabędzie, którym prowincjonalne życie nie podcięło jeszcze skrzydeł.

— Złote serce! — wykrzyknął Dawid, towarzysząc okiem Lucjanowi, który przechodził przez halę drukarni.

Lucjan podążył do Houmeau piękną promenadą Beaulieu, przez ulicę du Minage i bramę św. Piotra. Jeśli was dziwi, iż wybierał drogę najdłuższą, wiedźcie, iż dom pani de Bargeton położony był na tej drodze. Doświadczał tyle rozkoszy, przechodząc pod oknami tej kobiety, nawet bez jej wiedzy, iż od dwóch miesięcy nie wracał do Houmeau inaczej.

Zbliżając się do alei Beaulieu, spojrzął na przestrzeń, jaka dzieliła Angoulême od Houmeau. Pojęcia miejscowe stworzyły zapory moralne o ileż trudniejsze do przebycia niż spadzistość, którą schodził Lucjan! Ambitny młodzieniec, który dostał się do pałacu Bargeton, rzucając sławę niby most zwodzony pomiędzy miastem a przedmieściem, odczuwał niepokój co do decyzji swej ubóstwianej, jak faworyt, który pokusiwszy się o rozszerzenie władzy, obawia się niełaski. Słowa te muszą się wydać dziwne tym, którzy nie zapoznali się jeszcze z obyczajami miejscowości dzielących się na górne i dolne miasto; toteż tym bardziej niezbędne jest wejść tutaj w niejakie objaśnienia dotyczące Angoulême, ile że pozwolą zrozumieć panią de Bargeton, jedną z najważniejszych osób tego opowiadania.

Angoulême jest to stare miasto zbudowane na szczycie skały podobnej do głowy cukru, a sterczącej ponad rozległymi łąkami, przez które przepływa Charenta. Skała ta łączy się ku Périgord z długim wzgórzem, które ucina nagłym spadkiem tuż nad gościńcem prowadzącym z Paryża do Bordeaux, tworząc w ten sposób rodzaj przylądka ograniczonego trzema malowniczymi dolinami. O znaczeniu, jakie miało to miasto w czasie wojen religijnych<sup>74</sup>, świadczą szanice, bramy i resztki forticy usadowionej na cyplu skały. Położenie miasta czyniło z niego niegdyś punkt strategiczny równie cenny dla katolików,

<sup>74</sup>w czasie wojen religijnych — mowa o wojnach hugenockich, toczonych w XVI w. we Francji pomiędzy katolikami a protestantami. [przypis edytorski]

jak i kalwinów<sup>75</sup>; ale to, co było dawniej jego siłą, dziś stanowi jego słabość; albowiem te szanice, jak również zbyt stromy spadek skały, nie pozwalając rozciągnąć się miastu nad brzegami Charenty, skazały je na najzgubniejszą martwość. W czasie kiedy rozgrywały się te wydarzenia, rząd usiłował popchnąć miasto ku Périgord, wznosząc wzdłuż ciągnącego się wzgórza pałac prefektury, szkołę marynarki, budowle wojskowe, jak również wytyczając drogi. Ale handel uprzedził te zabiegi, i to w innym kierunku. Od dawna już u stóp skały, nad brzegiem rzeki, wzdłuż której prowadzi wielki gościniec z Paryża do Bordeaux, wyrosła i powiększała się, niby gniazdo grzybów, mała miścina zwana Houmeau. Nikomu nie jest obca sława papierni angulemskich, które od trzech wieków z konieczności usadowiły się nad Charentą i jej dopływami, gdzie znalazły potrzebny spadek wód. Rząd założył w Ruelle najznaczącą gisernię dział dla marynarki. Ruch kołowy, poczta, gospody, warsztaty stelmachów<sup>76</sup>, przedsiębiorstwa wehikulów publicznych, wszystkie przemysły, które żyją z gościńca i z rzeki, ugrupowały się u stóp Angoulême, aby oszczędzić sobie trudności wynikłych ze stromego położenia miasta. Z natury rzeczy garbarnie, pralnie, cały przemysł wodny pozostał w pobliżu Charenty; w następstwie magazyny wódek, składy wszystkich surowców spławianych rzeką, wreszcie całe *transito*<sup>77</sup> okoliczności Charentę swymi zakładami. Przedmieście Houmeau zmieniło się w miasto handlowe i bogate, drugie Angoulême, i zaczęło z zawiścią spoglądać na górne miasto, które zostało siedzibą rządu, biskupstwa, sądu, arystokracji. W ten sposób Houmeau, mimo swej czynnej i wzmagającej się potęgi, pozostało tylko przyczepkiem do Angoulême. Na górze szlachta i władze, w dole przemysł i bogactwo — dwie strefy społeczne stale i wszędzie względem siebie nieprzyjemne nawzajem; trudno byłoby odgadnąć, które z dwóch miast bardziej nienawidziło swego rywala. Od lat dziewięciu Restauracja zaostrzyła ten stan rzeczy, dość spokojnie układający się za Cesarstwa.

Pozycja społeczna

Większość domów w Górnym Angoulême zamieszkała jest albo przez rodziny szlacheckie, albo przez starożytne rodziny mieszczańskie, które żyją ze swoich dochodów i tworzą rodzaj plemienia tubylców, do którego cudzoziemcy nigdy nie są dopuszczani. Zaledwie zdarzyło się, aby po dwustu latach zamieszkania, po spokrewnieniu się z jedną z miejscowych rodzin, jakąś rodzinę przybyłą z prowincji przyjęto za swoją; w oczach dawnych mieszkańców pozostaje ona zawsze wczorajszym przybyszem. Prefekci, naczelnicy poborów skarbowych, władze administracyjne, które następowały po sobie w ciągu ostatnich lat czterdziestu, próbowały cywilizować te stare rodziny, usadowione na swej skale na kształt nieufnych kruków; tubylcy przyjmowali bale i obiady, ale co się tyczyło dopuszczenia ich między siebie, stawiali stanowczy opór. Szydercze, obmowne, zawistne, skąpe, rodziny te żenią się jedynie między sobą, szeregują się w zwarty batalion, aby nie pozwolić wejść ani wyjść nikomu. Zdobyte nowożytnego zbytku są im zupełnie obce; wysłać syna do Paryża znaczy dla nich chcieć go zgubić. Ostrożność ta daje obraz zacofanych zwyczajów i obyczajów tych domów, opanowanych bezrozumnym rojalizmem, raczej zatrutych dewocją niż istotnie pobożnych i trwających w takiej samej martwość jak miasto ich i skała. Angoulême cieszy się mimo to wielką reputacją w sąsiednich prowincjach z powodu dobrego wychowania, jakiego ma sławę; sąsiednie miasta wysyłają tam córki do pensjonatów i klasztorów.

Pozycja społeczna

Łatwo pojąć, jak bardzo duch tej kasty oddziałuje na uczucia rozdzielające Angoulême i Houmeau. Przemysł jest bogaty, szlachta przeważnie biedna, jedno mści się nad drugim pogardą równą z obu stron. Mieszczaństwo Angoulême przejęło tę rywalizację. Kupiec z górnego miasta mówi o przemysłowcu z przedmieścia z pewnym niedającym się określić akcentem: „To człowiek z Houmeau!”. Podkreślając położenie szlachty we Francji i dając jej nadzieje niemożliwe<sup>78</sup> do ziszczenia bez powszechnego przewrotu, Restauracja rozszerzyła przedział moralny, który bardziej jeszcze niż przedział topograficzny dzielił Angoulême od Houmeau. Społeczeństwo szlacheckie, wówczas idące ręką w rękę z rządem, stało się bardziej wyłączone i nieprzystępne niż w jakiegokolwiek innej miejscowości

<sup>75</sup>kalwin — protestant, wyznawca doktryny Kalwina. [przypis edytorski]

<sup>76</sup>stelmach (daw.) — rzemieślnik zajmujący się budową i naprawianiem wozów. [przypis edytorski]

<sup>77</sup>transito (łac.) — tu: to, co przechodzi. [przypis edytorski]

<sup>78</sup>niemożliwy (daw.) — niemożliwy. [przypis edytorski]

Francji. Mieszkaniec Houmeau dość był wówczas podobny do pariasa<sup>79</sup>. Stąd zrodziły się te podziemne i głębokie nienawiści, które dały taką przerażającą jednomyślność rewolucji roku 1830<sup>80</sup>, i zniweczyły czynniki trwałego stanu społecznego Francji. Wyniosła pycha szlachty dworskiej oddaliła od tronu serca szlachty prowincjonalnej, tak jak ta znowu odstręczyła oden mieszczaństwo, raniąc je we wszystkich jego próżnościach.

Wprowadzenie zatem „człowieka z Houmeau”, syna aptekarza, do salonu pani de Bargeton stanowiło małą rewolucję. Któż był jej sprawcą? Lamartine i Wiktor Hugo, Kazimierz Delavigne i Canalis, Béranger i Chateaubriand, Villemain i pan Aignan, Soumet i Tissot, Benjamin Constant i Lamennais, Cousin i Michaud<sup>81</sup>, słowem zarówno dawne, jak i nowe znakomitości literackie, liberałowie, jak i rojaliści. Pani de Bargeton kochała sztukę i literaturę: gust niewątpliwie dziwaczny, mania, nad którą głośno ubolewało całe Angoulême, ale którą musimy umotywować, szkicując życie tej kobiety, urodzonej i stworzonej dla sławy, zamkniętej w ciasnym zakątku przez nieszczęśliwe okoliczności, kobiety, której wpływ zdecydował o losach Lucjana.

Pan de Bargeton był prawnikiem jurata<sup>82</sup> z Bordeaux, nazwiskiem Mirault, uszlachconego za Ludwika XIII<sup>83</sup>, po długoletnim piastowaniu urzędu. Za panowania Ludwika XIV<sup>84</sup> syn jego, już pod nazwiskiem Mirault de Bargeton, został oficerem Straży Bram królewskich i zawarł małżeństwo tak świetne pod względem pieniężnym, że za Ludwika XV<sup>85</sup> syn jego nazywał się już tylko, krótko i po prostu, panem de Bargeton. Ten pan de Bargeton, wnuk pana Mirault, jurata, tak bardzo dbał o należyte piastowanie godności prawdziwego szlachcica, że stracił na to prawie cały majątek swojej rodziny i tym samym położył koniec jej świetności. Dwoch jego braci, stryjecznych dziadków obecnego Bargetona, wróciło do przemysłu, tak że dziś jeszcze istnieje nazwisko Mirault w świecie handlowym miasta Bordeaux. Gdyby jego rodzony dziadek był wstąpił<sup>86</sup> w zaszczytne ślady Bargetona I i Bargetona II, wówczas Bargeton V, któremu możemy nadać przydomek „Niemy”, byłby nosił nazwisko margrabiego de Bargeton; byłby się połączył z jakąś wielką rodziną i został diukiem<sup>87</sup> i parem<sup>88</sup> jak tylu innych; podczas gdy teraz, w roku 1805, uważał za wielki zaszczyt, iż mógł poślubić pannę Marię-Luizę-Anais de Nègrepelisse, córkę szlachcica zapomnianego od dawna w swej rodzinnej wiosce, jakkolwiek był przedstawicielem młodszej linii jednej z najstarszych rodzin południowej Francji. Był je-

<sup>79</sup>*parias* — członek najniższej kasty w Indiach; przen.: najbardziej pogardzany i krzywdzony członek społeczeństwa. [przypis edytorski]

<sup>80</sup>*rewolucja lipcowa* (1830) — kilkudniowe powstanie we Francji, w wyniku którego obalony został Karol X Bourbon, usiłujący przywrócić absolutyzm, a na tron powołano Ludwika Filipa I. [przypis edytorski]

<sup>81</sup>*Lamartine i Wiktor Hugo, Kazimierz Delavigne i Canalis, Béranger i Chateaubriand, Villemain i pan Aignan, Soumet i Tissot, Benjamin Constant i Lamennais, Cousin i Michaud* — *Alphonse de Lamartine* (1790–1869): polityk i pisarz francuski, uznawany za twórcę francuskiego romantyzmu; *Victor Hugo* (1802–1885): francuski poeta, dramaturg, powieściopisarz i publicysta, czołowy prozaik francuskiego romantyzmu; *Casimir Delavigne* (1793–1843): francuski poeta i dramaturg, autor m.in. pieśni *La Varsoviennne* (*Warszawianka 1831 roku*); *Melchior de Canalis*: postać literacka, pojawiająca się w różnych utworach cyklu *Komedia ludzka* Balzaca; *Pierre Jean de Béranger* (1780–1857): francuski poeta, autor piosenek; *Chateaubriand, François-René de* (1768–1848): francuski pisarz i polityk, inicjator romantyzmu w literaturze francuskiej; *Abel-François Villemain* (1790–1870): pisarz i polityk francuski; *Étienne Aignan* (1773–1824): francuski tłumacz, dramaturg; *Alexandre Soumet* (1788–1845): francuski poeta, autor tragedii i poematów epickich; *Pierre François Tissot* (1768–1854): francuski publicysta i tłumacz; *Benjamin Constant* (1767–1830): polityk i pisarz francuski, autor m.in. powiastki *Adolf* i licznych dzieł z zakresu filozofii politycznej; *Félicité Robert de Lamennais* (1782–1854): francuski pisarz i ideolog, propagator socjalizmu chrześcijańskiego; *Victor Cousin* (1792–1867): francuski filozof i historyk filozofii, popularyzator niem. filozofii klasycznej; *Joseph François Michaud* (1767–1839): francuski historyk i publicysta. [przypis edytorski]

<sup>82</sup>*jurat* — członek rady miejskiej w niektórych miastach pld. Francji. [przypis edytorski]

<sup>83</sup>*Ludwik XIII* (1601–1643) — król Francji (od 1610), syn Henryka IV z dynastii Burbonów; do czasu jego pełnoletności realne rządy sprawowała jego matka, Maria Medycejska, potem kardynał Richelieu, który stał się twórcą systemu rządów absolutnych. [przypis edytorski]

<sup>84</sup>*Ludwik XIV* (1638–1715) — król Francji (od 1643), zwany „Królem Słońce”, panujący w okresie szczytowego rozwoju francuskiej monarchii absolutnej. [przypis edytorski]

<sup>85</sup>*Ludwik XV* (1710–1774) — król Francji (od 1715) z dynastii Burbonów, prawnuk i następca Ludwika XIV, ożeniony z Marią Leszczyńską; pod jego rządami podupadła gospodarka i finanse państwa. [przypis edytorski]

<sup>86</sup>*gdyby (...) był wstąpił* — przykład użycia czasu zaprzeczonego, wyrażającego czynność wcześniejszą niż opisana czasem przeszłym lub, jak w tym przypadku, niezrealizowaną możliwość; dziś: gdyby wstąpił. [przypis edytorski]

<sup>87</sup>*diuk* (fr. *duc*, z łac. *dux*: wódz) — książę (tytuł wyższy niż markiz). [przypis edytorski]

<sup>88</sup>*par* — członek wyższej izby parlamentu we Francji w latach 1814–1848. [przypis edytorski]



den Nègrepelisse pomiędzy zakładnikami Ludwika Świątego<sup>89</sup>; jednakże naczelnik starszej linii nosi znakomite nazwisko d'Espard, nabyte za Henryka IV<sup>90</sup> przez małżeństwo z dziedziczką tej rodziny. Szlachcic ten, młodszy syn młodszego syna, żył w majątku żony, małej wiosce położonej koło Barbezieux, którą znakomicie gospodarował, chodząc sam na targ sprzedawać zboże, sam przerabiając własne wino i drwiąc sobie z wszystkich docinków, byleby mógł gromadzić talary i zaokrąglić od czasu do czasu swą posiadłość.

Okoliczności dość rzadkie w głębi zapadłej prowincji, zaszczyty pani de Bargeton zamiłowanie do muzyki i literatury. Podczas Rewolucji<sup>91</sup> miejski ksiądz Niollant, najlepszy uczeń księdza Roze<sup>92</sup>, ukrył się w małym zameczku w Escarbas, unosząc zawiniątko z nutami. Opłacił sownie gościć starego szlachcica, zajmując się wykształceniem córki jego, Anais, zwanej przez skrócenie Nais, która bez tego wydarzenia byłaby pozostawiona samej sobie lub też, co jeszcze gorzej, pierwszej lepszej pannie służącej. Księżyna nie tylko był dzielnym muzykiem, ale posiadał także rozległe wykształcenie literackie, mówił po włosku i po niemiecku. Nauczył przeto<sup>93</sup> pannę de Nègrepelisse tych dwóch języków, zarówno jak kontrapunktu<sup>94</sup>; zapoznał ją z wielkimi poetyckimi dziełami Francji, Włoch i Niemiec, to znów przegrywał razem z nią utwory muzyczne wszystkich mistrzów. Wreszcie, aby czymś zapełnić pustkę głębokiej samotności, na jaką skazywały ten dom wypadki polityczne, nauczył ją greki i łaciny i dał nieco wiadomości z zakresu nauk przyrodniczych.

To męskie wychowanie, niezłagodzone czujną opieką macierzyńską, odbiło się na charakterze młodej osoby, którą i tak już wiejski tryb życia usposabiał do niezależności. Ksiądz Niollant, dusza zapalna i poetyczna, odznaczał się tym pokrojem umysłu właściwym artystom, który mieści w sobie wiele cennych przymiotów, ale który swobodą sądów i rozległością spojrzenia wznosi się ponad poziom mieszczańskiego horyzontu. O ile w życiu światowym ten krój umysłu umie zyskać przebaczenie swoich wysoków swą oryginalnością i głębią, o tyle może on być niebezpieczny w życiu prywatnym, a to dla różnych dziwactw, których może się stać powodem. Ksiądz posiadał wiele zapału i siły przekonania, toteż poglądy jego musiały się udzielić pannie de Nègrepelisse, u której wrodzona młodym osobom egzaltacja spotęgowała się jeszcze wiejską samotnością. Ksiądz Niollant przekazał młodziencek uczennicy swą śmiałość myśli, łatwość i bystrość sądu, nie bacząc, iż te przymioty, tak cenne dla mężczyzny, stają się ułomnościami u kobiety przeznaczonej do skromnych zadań matki rodziny.

Jakkolwiek ksiądz Niollant ustawicznie upominał uczennicę, aby się starała zachować tym więcej skromności i prostoty, im więcej posiada wiedzy i nauki, panna de Nègrepelisse nabrała znakomitego mniemania o sobie samej, a równocześnie powzięła głęboką pogardę dla ludzkości. Widując w swoim otoczeniu jedynie ludzi niższego stanu, przeciągających się dla niej w usłużności, nabrała wyniosłego obejścia wielkich pań, nie mając równocześnie słodkiej obłudy ich grzeczności. Głaskana we wszystkich próżnościach przez biednego księdza, który podziwiał w niej samego siebie, niby autor w swoim dziele, miała to nieszczęście, iż nie spotkała żadnego punktu porównania, który by jej ułatwił urobienie sądu o sobie samej. Brak towarzystwa jest jednym z największych niebezpieczeństw życia na wsi. Nie mając sposobności ponosić dla drugich drobnych przymusów nakładanych formami obejścia i ubioru, traci się zwyczaj krępowania się dla kogokolwiek. Wszystko wówczas wypacza się w nas w końcu, i forma, i treść. Z czasem śmiałość poglądów panny de Nègrepelisse, niezłagodzona obcowaniem towarzyskim, zaczęła się przebijać w jej obejściu, spojrzeniu; nabrała tej zbytnej swobody, która zrazu ma urok oryginalności, ale która jest do twarzy tylko kobietom awanturniczego życia. Tak więc to

Ksiądz, Nauczyciel

Pycha

<sup>89</sup>Ludwik IX Świąty (1214–1270) — król Francji; usprawnił administrację, system monetarny, zorganizował dwie wyprawy krzyżowe. [przypis edytorski]

<sup>90</sup>Henryk IV (1553–1610) — król Nawarry (od 1572), następnie król Francji (od 1589), pierwszy z dynastii Burbonów. [przypis edytorski]

<sup>91</sup>Rewolucja — tu: Wielka Rewolucja Francuska (1789–1799), podczas której doszło do głębokich zmian polityczno-społecznych i obalenia monarchii Burbonów. [przypis edytorski]

<sup>92</sup>Roze, Nicolas (1745–1819) — francuski kompozytor i muzykolog, twórca muzyki kościelnej. [przypis edytorski]

<sup>93</sup>przeto (daw.) — więc, zatem. [przypis edytorski]

<sup>94</sup>kontrapunkt (muz.) — technika kompozytorska polegająca na jednoczesnym prowadzeniu kilku zharmonizowanych linii melodycznych. [przypis edytorski]

wychowanie, którego szorstkości byłyby się wygładziły wśród wysokich sfer społecznych, musiało z czasem okryć ją śmiesznością w Angoulême, z chwilą gdyby wielbicieli przestali ubóstwiać jej wady, których wdzięk trwa jedynie równo z młodością. Co się tyczy pana de Nègrepelisse, ten byłby oddał wszystkie książki córki, aby ocalić chorego wołu. Był tak skąpy, że nie dałby jej ani dwóch su ponad dochód, który się jej z prawa należał, nawet gdyby chodziło o sprawienie jakiejś drobnostki najniezbędniejszej dla jej wykształcenia. Książd zmarł w roku 1802, przed małżeństwem drogiej uczennicy, małżeństwem, które byłby z pewnością odradzał.

Skąpiec

Z chwilą śmierci dobrego księdza stary szlachcic, zostawszy z córką na barkach, znalazł się w wielkim kłopotcie. Czuł się zbyt słaby, aby podjąć walkę, która musiała wybuchnąć pomiędzy jego skąpstwem a niepodległym umysłem niezatrudnionej dziewczyny. Jak wszystkie młode osoby, które wypadły z wytyczonej drogi, jaką kroczą zazwyczaj kobiety, Nais trzeźwo osądziła w duchu małżeństwo i niewiele się o nie troszczyła. Ze wstrętem myślała o podporządkowaniu swojej inteligencji i osoby jakiemuś człowiekowi bez wartości i wielkości osobistej, a takich jedynie mogła spotkać. Chciała rozkazywać, a miała słuchać. Pomiedzy poddaniem się owej grubej samowoli, owym umysłem niewyrozumiałym na jej upodobania, a ucieczką z kochankiem, który by się jej podobał, nie wahałaby się ani chwili. Pan de Nègrepelisse był jeszcze na tyle szlachcicem, aby obawiać się mezaliansu. Podobnie jak wielu ojców, postanowił wydać za mąż córkę nie tyle dla niej, ile dla własnego spokoju. Potrzebował jakiegoś arystokraty albo szlachcica niezbyt sprytnego, niezdolnego do robienia trudności w rachunkach z opieki ojcowskiej, dość nieznaczącego jako umysł i jako charakter, aby Nais mogła postępować według swojej fantazji, dość bezinteresownego, aby ją zaślubić bez posagu. Ale jak znaleźć kandydata, który by przypadł do smaku zarówno ojcu, jak córce? Podobny człowiek byłby w istocie feniksem<sup>95</sup> zięciów. Pod tym podwójnym kątem widzenia, pan de Nègrepelisse prowadził studia nad mieszkańcami prowincji: pan de Bargeton wydał mu się jedynym, który odpowiadał jego programowi.

Kobieta, Szlachcic,  
Małżeństwo

Pan de Bargeton, mężczyzna czterdziestoletni, mocno nadwyreżony wybrykami młodości, odznaczał się dość wybitnym niedołęstwem umysłu; ale zostało mu w sam raz na tyle zdrowego rozumu, aby administrować swoim majątkiem, jak również dość taktu w obejściu, aby zajmować miejsce w towarzystwie Angoulême, nie popełniając żadnej niezręczności ani głupstwa. Pan de Nègrepelisse wytłumaczył bez ogródek córce całą negatywną wartość owego wzorowego męża oraz wszystkie korzyści, jakie mogła wyciągnąć z tego związku dla własnego szczęścia: zaślubiła nazwisko i herb przeszło dwóchsetletni, kupowała sobie „parawan”, mogła kierować do woli swą przyszłością pod ochroną płaszczyka społecznego i przy pomocy stosunków, jakie umysł jej i uroda zdobędą jej w Paryżu. Nais uległa widokom podobnej swobody. Pan de Bargeton mniemał, iż robi znakomitą partię, obliczając, iż teść pozostawi mu niebawem piękny szmat ziemi, którą zaokrąglął z taką miłością; równocześnie jednakże pan de Nègrepelisse układał w duchu nagrobek dla zięcia.

W chwili obecnej pani de Bargeton liczyła lat trzydzieści sześć, mąż jej zaś pięćdziesiąt osiem. Różnica była tym bardziej rażąca, że pan de Bargeton wyglądał na lat siedemdziesiąt, podczas gdy żona jego mogła bezkarnie bawić się w młodą panienkę, nosić suknie z różowego muślinu i czesać się po dziewczęcemu. Jakkolwiek ich majątek nie przekraczał dwunastu tysięcy franków renty, mieszczono go pośród sześciu najznacniejszych fortun starego miasta, jeżeli wykluczmy przemysłowców i dygnitarzy administracyjnych. Konieczność utrzymywania stosunków z ojcem, po którym pani de Bargeton oczekiwała spadku, aby przenieść się do Paryża, a który kazał na siebie tak długo czekać, iż zięć zmarł wcześniej od niego, konieczność ta zmuszała państwa de Bargeton do mieszkania w Angoulême, gdzie świetne przymioty umysłu i niewydobyte skarby drzemiące w sercu Nais miały zmarnieć bez wydania owocu i z biegiem czasu zmienić się na śmieszności. W istocie śmieszności nasze są po największej części spowodowane przez jakieś szlachetne uczucie, przez jakieś przymioty lub zdolności rozwinięte do przesady. Duma, której nie łągodzą wielkoświatowe formy życia, staje się sztywnością, kiedy rozciąga się na dro-

<sup>95</sup>feniks — legendarny ptak odradzający się co kilkaset lat z popiołów; wg Pliniusza na świecie miał istnieć tylko jeden Feniks; tu przen.: coś osobliwego i trudnego do napatkania. [przypis edytorski]

biazgi zamiast nabierać wielkości w kręgu podniosłych uczuć. Egzaltacja, to bogactwo duszy, które stwarza święte, które może być źródłem ukrytych poświęceń i promieniującej poezji, staje się tylko przesadą, kiedy się zmagają z drobiazgami prowincjonalnego życia. Z dala od środowiska, gdzie błyszczą świetne umysły, gdzie powietrze naładowane jest myślą, gdzie wszystko się odświeża, wykształcenie nasze przeżywa się, smak ulega zepsuciu, podobnie jak stojąca woda. Z braku przedmiotu uczucia obniżają się, powiększając nadmiernie wszystkie drobiazgi; i tutaj leży przyczyna skąpstwa i plotkarstwa, które zatrują życie prowincji. Wkrótce naśladowanie ciasnych myśli i małostkowość udzielają się najwykwintniejszej naturze. Tak niszczej i giną ludzie stworzeni do wielkości, kobiety, które, pokierowane przez szkołę życia i urobione przez wyższe umysły, mogłyby być czarujące.

Pani de Bargeton chwyciła za lirę z powodu lada drobiazgu, nie odróżniając poezji osobistych od poezji publicznych. Istnieją w istocie owe niezrozumiane wzruszenia, które trzeba zachować dla samego siebie. Niewątpliwie zachód słońca jest wspaniałym poematem, ale czyż nie jest śmieszna kobieta, która maluje go wielkimi słowami przed gromadą zwykłych zjadaczy chleba? Istnieją owe rozkosze, którymi karmić się i wspólnie je odczuwać może jedynie dwóch poetów, dwa serca. Miała ona tę wadę, iż lubiła używać owych olbrzymich zdań, naładowanych napuszonymi wyrazami, zdań tak sprytnie nazwanych „tartynkami” w żargonie dziennikarstwa, które przyrządza je codziennie, i to bardzo niestrawne, dla swoich czytelników, ci zaś lękają się mimo wszystko. Miała zwyczaj nadmiernie rozrzuczać superlatywy, które wyprowadzały jej rozmowę na niebotyczne wyżyny; najmniejsze drobiazgi nabierały gigantycznych proporcji. W owej epoce zaczęła wszystko „typizować”, „indywidualizować”, „syntetyzować”, „dramatyzować”, „superiorizować”, „analizować”, „poetyzować”, „prozaizować”, „neologizować” i „tragizować”; gdyż trzeba na chwilę pogwałcić język, aby odmalować te nowe dziwactwa, w jakich grzęźnie wiele kobiet. Umysł jej rozpaliał się zresztą tak jak jej wysłowienie. Dytyramb<sup>96</sup> miała zarówno w sercu, jak na ustach. Rozpalała się, omdlewała, entuzjazmowała pod wpływem każdego zdarzenia: poświęcenia siostry miłosierdzia i stracenia braci Faucher<sup>97</sup>, ucieczki Lavalette’a<sup>98</sup>, jak również przygody jednej z przyjaciółek, która udając grubego głosu, wystraszyła złodziei. Wszystko dla niej było wzniosłe, nadzwyczajne, dziwne, czarujące, boskie. Zapalała się, unosiła, omdlewała, wzbijała w górę i opadała, zatapiała wzrok w niebiosach, to znów opuszczała go ku ziemi; oczy jej napełniały się ustawicznie łzami. Spalała swoje życie w ustawicznych zachwytach lub trawiła je w przesadnych oburzeniach. Uwielbiała paszę Janiny<sup>99</sup>, byłaby chciała walczyć z nim w jego seraju; znajdowała wielkość w losie kobiety zaszytej w worek i wrzuconej do wody. Zazdrościła lady Esther Stanhope<sup>100</sup>, tej „sawantce”<sup>101</sup> pustyni. Brała ją ochota zostać siostrą miłosierdzia i umrzeć na żółtą febrę

Poetka, Poezja

<sup>96</sup>*dytyramb* (lit.) — rozwinięta w kulturze greckiej pieśń pochwalna, utrzymana w patetycznym tonie. [przypis edytorski]

<sup>97</sup>*bracia Faucher* — bracia Cesar i Constantin Faucher (1759–1815), zwani bliźniakami La Réole, francuscy generałowie; podczas rewolucji walczyli z rojalistami w Wandei, ze względu na ciężkie rany zmuszeni do opuszczenia aktywnej służby, powrócili do armii podczas Stu Dni Napoleona, dowodząc w armii Pirenejów Zachodnich; aresztowani podczas Restauracji pod zarzutem stworzenia tajnego składu broni, rozstrzelani na rozkaz sądu wojennego 27 września 1815. [przypis edytorski]

<sup>98</sup>*Lavalette, Antoine Marie de* (1769–1830) — francuski polityk i wojskowy, stronnik Napoleona; po upadku cesarstwa skazany na śmierć (21 listopada 1815), w nocy poprzedzającej wykonanie wyroku uciekł z celi w ubraniu żony, która pozostała w więzieniu zamiast niego, i przedostał się za granicę. [przypis edytorski]

<sup>99</sup>*Ali Pasza Janiny* (1741–1822) — także: Ali Pasza z Tepelenu (w Albanii); możnowładca osmański, lennik sultana, władca Epiru. W 1785 został mianowany paszą miasta Janina, następnie podporządkowywał sobie Peloponez, Epir i terytoria należące do dzisiejszej Albanii, budując niezależne od Turcji grecko-albańskie państwo; w Janinie wznosił twierdzę, był mecenasem sztuki, przyczyniając się do zachowania starożytnej kultury greckiej; zawierał sojusze z Francją (Napoleonem Bonaparte), Wielką Brytanią, wspierał spiskowców greckich dążących do niepodległości. W 1821 sultan wystąpił zbrojnie przeciw Alemu Paszy, który po półtorarocznej wojnie zakończonej wielomiesięcznym oblężeniem Janiny, został pokonany, aresztowany i stracony w 1822 na jeziorze Pamvotida; ten finalny akt życia Alego Paszy zyskał artystyczne opracowanie w powieści *Hrabia Monte Christo* Alexandre’a Dumas. [przypis edytorski]

<sup>100</sup>*Stanhope, Hester* (1776–1839) — brytyjska awanturniczka i podróżniczka; w 1810 wyruszyła na M. Śródziemne, przeżyła rozbicie statku, przez dwa lata podróżowała po Grecji, wyspach greckich i na Bliskim Wschodzie, w 1814 zamieszkała w Libanie; słynęła z ekscentryczności, nosiła wyłącznie męskie ubrania i paliła fajkę wodną. [przypis edytorski]

<sup>101</sup>*sawantka* (daw.) — kobieta wykształcona, erudytką; w oryginale: *bas bleu* (dosł.: niebieska pończocha), co oznacza intelektualistkę odrzucającą konwenanse. [przypis edytorski]

w Barcelonie<sup>102</sup>, pielęgnując chorych: oto wielki, szlachetny los! Tęskniła za wszystkim, co nie było przezroczystą wodą jej życia, ukrytą wśród traw. Uwielbiała lorda Byrona, Jana Jakuba Rousseau<sup>103</sup>, wszystkie egzystencje poetyczne i dramatyczne. Miała w pogotowiu łzy dla każdej niedoli i fanfary dla każdego zwycięstwa. Sympatyzowała z ujarzmionym Napoleonem, sympatyzowała z Mehmetem-Ali<sup>104</sup> mordującym tyranów Egiptu. Ludzi genialnych stroiła w istną aureolę, wierzyła, iż żyją światłem i wonią. Większość osób uważała ją za osobę szaloną, której obłęd nie przedstawiał niebezpieczeństwa; jednakże bystry obserwator umiałby w tym wszystkim dojrzeć szczątków wspaniałego gmachu miłości, gmachu, który runął w gruzy zaledwo wzniesiony, resztek jakiejś niebiańskiej Jeruzalem, słowem miłości bez kochanka. I było to prawdą. Historię osiemnastu pierwszych lat małżeństwa pani de Bargeton można napisać w kilku słowach. Przez jakiś czas żyła ona własną treścią i odległymi nadziejami. Następnie, przekonawszy się, iż życie w Paryżu, do którego wzdychała, było dla niej zamknięte z powodu niedostatecznego majątku, zaczęła rozglądać się wśród osób, które ją otaczały i zadrzała na widok swego osamotnienia. Nie znalazła dokoła siebie żadnego człowieka, który by mógł w niej rozniecić jedno z tych szalonych uczuć, w jakie rzucają się kobiety popychane rozpaczą własnego życia bez wyjścia, bez wydarzeń, bez celu. Nie mogła liczyć na nic, nawet na przypadek, gdyż istnieją życia bez przypadku. W chwili kiedy Cesarstwo błyszczało całą swą świetnością, w czasie pochodu Napoleona ku Hiszpanii<sup>105</sup>, dokąd wysyłał kwiat swego rycerstwa, nadzieje tej kobiety, dotąd tak zawiedzione, odżyły. Parta naturalną ciekawością, zaczęła przyglądać się owym bohaterom, którzy zdobywali Europę na jedno słowo umieszczone w rozkazie dziennym i którzy wskrzeszali bajeczne czyny średniowiecznego rycerstwa. Najbardziej skąpe i odporne miasta zmuszone były podejmować gwardię cesarską, naprzeciw której wychodzili merowie i prefekci z mową powitalną na ustach, niby naprzeciw królów. Pani de Bargeton, przybywszy na redutę<sup>106</sup>, którą pułk wyprawił miastu, zakochała się w młodym szlachcicu, prostym podporuczniku, któremu przebiegły Napoleon ukazał buławę marszałka Francji. Miłość tę, powściągliwą, szlachetną, wielką, odbijającą od tak łatwo wówczas zawiązywanych i rozrywanych miłostek, uświęciła w jej czystości ręka śmierci. Pod Wagram<sup>107</sup> kula armatnia strzaskała na sercu margrabiego de Cante-Croix jedyny portret, który mógłby świadczyć o piękności pani de Bargeton. Długo opłakiwała pięknego młodzieńca, rozplomienionego sławą i miłością, który w dwóch kampaniach został pułkownikiem, a który list od Nais stawał powyżej cesarskich odznaczeń. Cierpienie rzuciło na twarz tej kobiety jakby zasłonę smutku. Zasłona ta rozproszyła się dopiero w owym straszliwym wieku, gdy kobieta zaczyna żałować swoich pięknych lat, których nie zdołała użyć, gdy widzi, jak róże zaczynają więdnąć, i gdy tęsknoty miłosne budzą się na nowo wraz z żądzą przedłużenia ostatnich wspomnień młodości. Wszystkie wyższości zmieniły się w jej sercu w jedną ranę, z chwilą gdy pochwyciły ją chłody prowincji. Podobna gronostajowi, umarłaby z rozpacz<sup>108</sup>, gdyby przypadkiem była się skalala zetknięciem z tymi ludźmi, których jedyną myślą była niedroga partyjka wieczorem, po dobrym obiedzie. Duma jej uchroniła ją od smutnych miłostek prowincjonalnych. Pomędzy pustką ludzi, którzy ją otaczali, a nicością kobieta tak niepospolita musiała przekładać nicość. Małżeń-

Małżeństwo

Kobieta, Cierpienie,  
Młodość, Miłość,  
Wspomnienia

Duma

<sup>102</sup>*Żółta febra w Barcelonie* — epidemia z 1821 roku, podczas której zmarło ok. 20 tys. spośród 120 tys. mieszkańców Barcelony. [przypis edytorski]

<sup>103</sup>*Rousseau, Jean Jacques* (1712–1778) — pisarz francuski, zaliczany do nurtu sentymentalnego, zwolennik życia blisko natury, krytyk cywilizacji, prekursor romantyzmu. [przypis edytorski]

<sup>104</sup>*Mubammad Ali* (ok.1769–1849) — namiestnik sultana ottomańskiego, władca i reformator Egiptu, twórca nowoczesnego państwa egipskiego, założyciel dynastii panującej w Egipcie do 1952; zlikwidował wewnętrzną opozycję, mordując mameluków (feudalną gwardię). [przypis edytorski]

<sup>105</sup>*pochód Napoleona ku Hiszpanii* — w lutym 1808 Napoleon nakazał wojskom francuskim obsadzić punkty strategiczne i fortece hiszpańskie, w maju zmusił króla Hiszpanii do abdykacji i osadził na tronie własnego brata, Józefa. Wkrótce jednak w całym kraju wybuchły walki powstańcze, zmuszając Francuzów do zwiększenia zaangażowanych sił z 12 tys. do 160 tys. [przypis edytorski]

<sup>106</sup>*reduta* (daw.) — bal maskowy. [przypis edytorski]

<sup>107</sup>*bitwa pod Wagram* (5–6 lipca 1809) — jedna z największych bitew w kampaniach napoleońskich, stoczona w pobliżu wsi Wagram, niedaleko Wiednia; siły francuskie pod dowództwem cesarza Napoleona Bonaparte pokonały w niej wojska austriackie dowodzone przez arcyksięcia Karola Ludwika Habsburga; kluczową rolę w batalii odegrała artyleria. [przypis edytorski]

<sup>108</sup>*Podobna gronostajowi, umarłaby z rozpacz, gdyby przypadkiem była się skalala zetknięciem z tymi ludźmi* — według legendy biały gronostaj woli umrzeć niż pozwolić myśliwym zbrukać czystość swojego futra. [przypis edytorski]

stwo i świat były dla niej niby klasztorem. Żył poezją jak karmelitanka żyje religią. Została prosta i silna jak drzewo, które zniosło uderzenie piorunu, nie dając się nim powalić. Godność jej zmieniła się w sztywność, królewskość uczyniła ją przesadną i wymuszoną. Jak wszyscy, którzy pozwalają się ubóstwiać jakimkolwiek dworakom, panowała przez swoje wady. Taka była przeszłość pani de Bargeton; trzeba było ją poznać dla zrozumienia stosunku do Lucjana, który wszedł do jej salonu w sposób dość szczególny. W ciągu ostatniej zimy przybyła do miasta osobistość, która wniosła nieco ożywienia w jednostajne życie, jakie pędziła pani de Bargeton. Świeżo otworzyło się miejsce dyrektora poboru podatków pośrednich; otóż dla objęcia tej posady przysłano z Paryża człowieka, którego burzliwe losy czyniły dość interesującym, aby ciekawość kobieca posłużyła mu za paszport do salonu monarchini tego kraju.

Pan du Châtelet, który przybył na świat po prostu jako Sykstus Châtelet, ale który od roku 1806 miał na tyle praktycznego zmysłu, iż zaczął się tytułować, był jednym z tych sympatycznych młodych ludzi, którzy za Napoleona uniknęli wszystkich konskrypcji<sup>109</sup> wojskowych, pozostając ciągle w bliskości słońca cesarskiego. Zaczął karierę od miejsca przybocznego sekretarza jednej z księżniczek domu cesarskiego. Pan du Châtelet miał wszystkie braki zdolności, jakich wymagało to miejsce. Dobrze zbudowany, ładny mężczyzna, dobry tancerz, zręczny bilardzista, biegły we wszystkich grach i ćwiczeniach, mierny aktor w teatrach amatorskich, salonowy śpiewak, wdzięczny słuchacz anegdot i dowcipów, gotów do wszystkiego, giętki, zawistny, posiadał wszystko i nic równocześnie. Nieuk muzyczny, umiał w potrzebie niezłe zaakompaniować damie, która dała się uprosić do zaśpiewania romancy<sup>110</sup> wykutej w pocie czoła w ciągu miesiąca. Niezdolny do odczucia poezji, podejmował się ułożyć w przeciągu dziesięciu minut jakąś improwizację, jakiś czterowiersz płaski jak uderzenie w twarz, w którym rymy sztukowały brak myśli. Pan du Châtelet posiadał jeszcze talent dokończenia tła haftu, którego kwiaty rozpoczęły dłonie księżniczki, umiał z nieskończonym wdziękiem trzymać motki jedwabiu, które ona zwijała, mówiąc jej równocześnie miłe błahostki, których pieprzna treść ukryta była pod gazą mniej lub więcej przezroczystą. Nie mając pojęcia o malarstwie, potrafił jednak skopiować jakiś pejzażyk, pochwycić sylwetkę, wyrysować i wykolorować kostium. Słowem, gromadził wszystkie te drobne talenciki, które były tak potężnymi dźwigniami kariery w owym czasie, kiedy kobiety miały na sprawy publiczne więcej wpływu, niżby się mogło wydawać. Uważał się za silną głowę w dyplomacji, owej umiejętności tych, którzy nie posiadają żadnej i którzy wydają się tym głębsi przez swą próżnię. Umiejętność to zresztą bardzo wygodna o tyle, iż dowody jej składa się przez wykonywanie jej wysokich powołań; że potrzebując ludzi dyskretnych, pozwala ignorantom nie mówić nic i kryć się za tajemniczymi potrząsaniem głową. Człowiekiem najtęższym w tej sztuce jest ten, który pływa, trzymając głowę ponad falą wypadków i zdając się nimi wówczas kierować: kwestia małego ciężaru gatunkowego. Tutaj, podobnie jak w sztukach pięknych, spotyka się tysiąc miernot na jednego genialnego człowieka. Pomimo zwyczajnej i nadzwyczajnej służby przy Jej Cesarskiej Wysokości, wpływ protektorki nie zdołał umieścić Châteleta w Radzie Stanu<sup>111</sup>: nie dlatego, aby nie mógł, jak tyłu innych, zajmować z wdziękiem referendarskiego<sup>112</sup> fotela, ale ponieważ księżniczka uważała, iż bardziej jest na swoim miejscu przy jej własnej osobie niż gdziekolwiek indziej. Mimo to otrzymał tytuł barona, przybył do Cassel jako nadzwyczajny wysłannik i istotnie okazał się tam bardzo nadzwyczajny. Inaczej mówiąc, Napoleon posłużył się nim w krytycznym momencie jako kurierem dyplomatycznym. W chwili gdy cesarstwo upadło, baron du Châtelet miał przyrzeczoną nominację na posła w Westfalii przy królu Hieronimie<sup>113</sup>. Postradawszy w ten sposób tę posadę, którą nazywał ambasadą rodzinną, popadł w rozpacz; puścił się

Mężczyzna

Polityka

<sup>109</sup>konkrypcja (daw.) — pobór do wojska. [przypis edytorski]

<sup>110</sup>romanca — sławiący bohaterów utwór liryczno-epicki, zbliżony do ballady, popularny w Hiszpanii w XV–XVI w. [przypis edytorski]

<sup>111</sup>Rada Stanu — jeden z organów ustanowionych przez konstytucję Bonapartego 13 grudnia 1799: przygotowywała projekty ustaw wniesione przez pierwszego konsula, projekty rozporządzeń administracyjnych oraz sprawowała funkcję najwyższego sądu administracyjnego. [przypis edytorski]

<sup>112</sup>referendarz — urzędnik administracji państwowej. [przypis edytorski]

<sup>113</sup>król Hieronim — Hieronim Bonaparte (1784–1860), młodszy brat Napoleona I, w l. 1807–1813 król nowo utworzonego Królestwa Westfalii. [przypis edytorski]

w podróż do Egiptu z generałem Armandem de Montriveau<sup>114</sup>. Rozłączony ze swoim towarzyszem przez nadzwyczajne wydarzenia, błąkał się przez dwa lata z pustyni w pustynię, od szczepu do szczepu, jako jeniec Arabów, którzy odprzedawali go jedni drugim, nie mogąc wyciągnąć żadnej korzyści z jego talentów. Wreszcie udało mu się trafić na statek angielski, na którym zdołał wrócić do Francji na rok przed swoim towarzyszem podróży. Jego świeże nieszczęścia, niejakię stosunki z dawniejszych czasów, przysługi oddane osobom będącym dziś u władzy, wszystko to zwróciło nań uwagę rządu i zjednało mu pierwszą wolną dyrekturę. Rola, jaką pan du Châtelet odgrywał w swoim czasie przy Cesarskiej Wysokości, opinia zdobywcy serc, szczególne wydarzenia jego podróży, jego nieszczęścia, wszystko to pobudziło ciekawość kobiecego świata w Angoulême. Poznawszy obyczaję górnego miasta, pan baron Sykstus du Châtelet umiał zachować się odpowiednio. Odgrywał rolę człowieka chorego, przybrał pozę obojętności i przeżycia.

Przy każdej sposobności ujmował się rękami za głowę, tak jak gdyby cierpienie nie zostawiało mu ani chwili spokoju: niewinna sztuczka, która przypominała jego podróż i czyniła go interesującym. Złożył wizyty naczelnym władzom: generałowi, prefektowi, generalnemu dyrektorowi skarbu i biskupowi, ale wszędzie okazał się grzeczny, chłodny, lekko wzgardliwy, jak człowiek, który nie czuje się na właściwym miejscu i czeka chwili, w której zajmie odpowiednie stanowisko. Pozwolił domyślać się tylko swoich towarzyskich talentów, które zyskały na tym, iż zostały nieznane; następnie, uczyniwszy się osobą upragnioną, a nie wyczerpując zaciekawienia, poznawszy do gruntu nicość mężczyzny, a przestudiowawszy wytrawnym okiem, w ciągu kilku niedziel w kościele katedralnym, kobiety, uznał w pani de Bargeton osobę, z którą zażyłość była mu po myśli. Rachował na pomoc muzyki, aby przedostać się przez próg tego domu niedostępnego dla obcych. Sprowadził sobie potajemnie mszę Miroira, wyćwiczył ją na fortepianie, następnie zaś, w jakąś piękną niedzielę, w którą całe towarzystwo angulemskie było zgromadzone w katedrze, zachwycił wszystkich ignorantów, przygrywając na organach, i pobudził zaciekawienie przywiązane do jego osoby, postarawszy się o niedyskrecję, która zdradziła imię wirtuoza. Przy wyjściu z kościoła pani de Bargeton wyraziła mu słowa uznania, ubolewała, iż nie ma sposobności, aby razem z nim uprawiać muzykę; w czasie tego rozmyślnie sprowadzonego spotkania potrafił zdobyć w naturalny sposób ów paszport, którego by nie był otrzymał, gdyby się o niego starał. Zręczny baron zaczął bywać u królowej Angoulême i otoczył ją kompromitującymi zalotami. Podstarzały piękniś (miał bowiem czterdzieści pięć lat) odgadł w tej kobiecie całą młodość do wskrzeszenia, skarby do wydobycia, być może w przyszłości bogatą wdowę do wzięcia, wreszcie związek z rodziną Nègrepelisse, ułatwiający mu w Paryżu oparcie o margrabinę d'Espard, której wpływ mógł mu na nowo otworzyć karierę polityczną. Pomimo smutnej i szpecącej jemioly, która psuła to piękne drzewo, postanowił zająć się nim, oczyścić je, uprawić i otrzymać zeń piękne owoce. Całe arystokratyczne Angoulême okrzyknęło się przeciwko wpuszczeniu giaura<sup>115</sup> do swego szczepu, salon bowiem pani de Bargeton był punktem zbornym towarzystwa wolnego od wszelkiej obcej domieszki. Jedynie biskup bywał tam dopuszczony na stałe, prefekt pojawiał się dwa lub trzy razy do roku. Generalny dyrektor skarbu nie mógł przedostać się do tego salonu; pani de Bargeton bywała na jego wieczorach, koncertach, lecz nie przyjmowała nigdy zaproszenia na obiad. Nie przyjmować generalnego dyrektora skarbu, dopuścić zaś prostego dyrektora podatków — to obalenie hierarchii wydało się nie do pojęcia wzgardzonym władzom.

Ci, którzy potrafią żyć się myślą z tymi małostkami, istniejącymi zresztą w każdej sferze społecznej, rozumieją łatwo, jak bardzo pałac państwa de Bargeton musiał się wydawać imponujący mieszczaństwu z Angoulême. Co się tyczy Houmeau, to wielkości tego Luwru na małą skalę, chwała tego angulemskiego pałacu Rambouillet<sup>116</sup> błyszczały dlań na kształt odległego słońca. W rzeczywistości wszyscy ci, którzy się tam gromadzili, były to najmizerniejsze umysły, najmarniejsze inteligencje, najobskurniejsze osobistości

<sup>114</sup>Armand de Montriveau — postać z *Komedii ludzkiej* Balzaca, generał, dawny żołnierz napoleoński, historia jego miłości do Antoniny de Langeais jest motywem powieści *Księżna de Langeais*. [przypis edytorski]

<sup>115</sup>giaur — niewierny, nie-muzułmanin. [przypis edytorski]

<sup>116</sup>pałac Rambouillet — tu: *Hôtel de Rambouillet*, paryska rezydencja Catherine de Vivonne, markizy de Rambouillet (1588–1665), gdzie prowadziła salon towarzyski i literacki, odwiedzany przez główne osobistości francuskiej arystokracji i literatury. [przypis edytorski]



na dwadzieścia mil wokoło. Dyskusje polityczne wylewały się tam w komunalach: „Codzienna”<sup>117</sup> była dla nich zbyt umiarkowana. Ludwik XVIII<sup>118</sup> uchodził za jakobina. Co do kobiet, te, przeważnie głupie, bez wdzięku, źle ubrane, wszystkie miały jakieś braki, które je szpeciły; nic nie było zupełne, ani rozmowa, ani toaleta, ani ciało, ani umysł. Gdyby nie zamiary na panią de Bargeton, Châtelet nie byłby tam wytrzymał. Mimo to manierę i duch kastowy, arystokratyczne tony, duma szlachcica na swoim małym zamczku, znajomość praw grzeczności pokrywały całą tę pustkę. Szlachetność uczuć była o wiele szersza niż w sferze wielkości paryskich; jaśniało tam istotnie czcigodne przywiązanie „pomimo wszystko” do Bourbonów. Społeczeństwo to można by porównać, jeżeli wolno użyć takiego obrazu, do srebra o staroświeckiej formie, szerniałego, ale mającego wagę. Nieruchomość przekonań politycznych podobna tu była do wierności. Oddalenie stworzone pomiędzy tym społeczeństwem a światem mieszczańskim, trudność dostania się doń stwarzały rodzaj wywyższenia i dawały mu pewną urojoną wartość. Każdy członek tej szlachty miał swoją cenę dla mieszkańców, podobnie jak muszelki zastępują srebro u Murzynów z Bambara<sup>119</sup>. Większość kobiet, ujętych grzecznościami pana du Châtelet i uznając w nim te zalety, na których zbywało mężczyznom z ich towarzystwa, starały się ułagodzić rozjątrzone miłości własne: każda spodziewała się zgarnąć spadek po Cesarskiej Wysokości. Puryści mniemali, iż będą zmuszeni spotykać intruza u pani de Bargeton, ale że poza tym nie znajdzie wstępu do żadnego innego domu. Du Châtelet zniósł wiele niegrzeczności, ale utrzymał się w pozycji, szukając oparcia o duchowieństwo. Następnie wszedł w słabostki, jakie prowincja wytworzyła w królowej Angoulême, znosił nowe książki, czytywał jej pojawiające się świeżo poezje. Rozpływali się razem nad dziełami młodych pisarzy, ona szczerze, on znudzony w duchu, ale znosząc cierpliwie romantycznych poetów, dla których, jako człowiek ze szkoły Cesarstwa, mało miał zrozumienia. Pani de Bargeton, zachwycona tym odrodzeniem poezji zbudzonym pod wpływem lilii burbońskich<sup>120</sup>, kochała pana de Châteaubriand za to, iż nazwał Wiktora Hugo „cudownym dziecięciem”. Bolejąc, iż może obcować z geniuszem jedynie z oddalenia, wzdychała za Paryżem, tą siedzibą wielkich ludzi. Pan du Châtelet, sądząc, iż czyni krok bardzo zręczny, objawił jej wówczas, iż istnieje w Angoulême drugie cudowne dziecko, młody poeta, który, sam o tym nie wiedząc, przewyższa świetnością blaski gwiazd konstelacji paryskich. Przyszły wielki człowiek urodził się w Houmeau! Zawiadowca kolegium pokazywał baronowi prześliczne wiersze jego pióra. Biedny i skromny, chłopiec ten był niby Chatterton<sup>121</sup> bez nikczemności politycznej, bez dzikiej nienawiści społecznych szczytów, która popchnęła angielskiego poetę do pisania pamfletów przeciw swoim dobroczyńcom. Skazana na towarzystwo pięciu czy sześciu osób, które podzielały jej zamiłowania artystyczno-literackie — jeden, ponieważ rzępolił na skrzypcach, drugi, ponieważ zdarzało mu się zanieczyszczać sepią<sup>122</sup> biały papier, ten ze swojego tytułu prezesa towarzystwa rolniczego, tamten z racji basowego głosu, którym pozwolił mu intonować na kształt pobudki myśliwskiej *Se fiat in corpo avete*<sup>123</sup> — pośród tych śmiesznych figur pani de Bargeton była jak człowiek trawiony głodem wobec teatralnego obiadu, w którym potrawy są z malowanego kartonu. Toteż nic nie mogłoby odmalować jej radości w chwili, gdy dowiedziała się o tej nowinie. Zapragnęła ujrzeć tego poetę, tego anioła, marzyła o nim, zapalała się, mówiła o nim całymi godzinami. W dwa dni później dawny kurier dyplomatyczny zapośredniczył, za pomocą zawiadowcy szkoły, przedstawienie Lucjana pani de Bargeton.

<sup>117</sup> „Codzienna” — „La Quotidienne”, rojalistyczna gazeta francuska wydawana od 1790 do 1847, kiedy połączyła się z „La France” i „L’Écho français”, tworząc „L’Union monarchique”. [przypis edytorski]

<sup>118</sup> Ludwik XVIII (1755–1824) — król Francji z dynastii Bourbonów, objął władzę po abdykacji Napoleona Bonaparte’go (1814). [przypis edytorski]

<sup>119</sup> Bambara — grupa etniczna w Afryce Zachodniej, gł. w pld.-wsch. Mali. [przypis edytorski]

<sup>120</sup> lilie burbońskie — godło dynastii Bourbonów: stylizowane lilie na błękitnym tle. [przypis edytorski]

<sup>121</sup> Chatterton, Thomas (1752–1770) — angielski poeta preromantyzmu, autor rzekomo średniowiecznych ballad; pozbawiony stalego zawodu i głodujący, popełnił samobójstwo. [przypis edytorski]

<sup>122</sup> sepią — ciemnobrunatny barwnik otrzymywany z gruczołu głowonoga o tej samej nazwie, używany dawniej jako atrament. [przypis edytorski]

<sup>123</sup> *Se fiat in corpo avete* (wł.) — ile macie tchu w piersiach. [przypis edytorski]

Wy tylko, biedni heloci<sup>124</sup> prowincji, dla których dystanse społeczne o ileż są dłuższe do przebycia niż w Paryżu, gdzie z dnia na dzień stają się one coraz mniejsze, wy, ofiary nielitościwych barier, pomiędzy którymi każdy z rozmaitych światów tego świata wyklina się nawzajem i mówi sobie „*Raka!*”<sup>125</sup>, wy jedynie zrozumiecie wstrząśnienie, które owładnęło mózgiem i sercem Lucjana Chardona, gdy imponujący rządca powiedział mu, że bramy pałacu Bargetonów miały się dlań otworzyć! Sława dotknęła ich czarodziejską różdżką! Znajdzie łaskawe przyjęcie w tym domu, którego stare gzymsy przyciągały jego spojrzenie, gdy przechadzał się wieczorem w Beaulieu z Dawidem, mówiąc sobie, że ich imiona nie przedostaną się może nigdy do tych uszu, głuchych na głos wiedzy, skoro wychodzi ze zbyt niskiego siedliska.

Siostra Lucjana była jedyną powiernicą sekretu. Jako dobra gospodyni, jako czarodziejska wróżka, Ewa wydobyła ze skarbczyka kilka luidorów<sup>126</sup>, aby kupić dla Lucjana wykwintne trzewiki u najlepszego szewca w Angoulême, nowe ubranie u najsłynniejszego krawca. Przybrała mu najlepszą koszulę żabotem<sup>127</sup>, który wyprała i wyprasowała sama. Cóż za radość, kiedy go ujrzała tak wystrojonego, jakże była dumna z brata! Ileż przestróg, zaleceń! Przewidziała tysiąc najgłupszych drobiazgów. Przyzwyczajenie do rozmyślań dało Lucjanowi nałóg opierania się o stół, skoro tylko usiadł, czasem zdarzało mu się nawet przyciągnąć stół, aby się na nim oprzeć; Ewa przestrzegła go, aby w tym arystokratycznym sanktuarium nie ważył się pozwalać sobie na tę naganną swobodę. Odprowadziła go aż do bramy św. Piotra, śledziła go wzrokiem, gdy szedł przez ulicę do alei, w której go miał oczekiwać pan du Châtelet. Następnie pocziwa dziewczyna wróciła do domu cała wzruszona, jak gdyby się spełniło jakieś wielkie wydarzenie. Lucjan u pani de Bargeton to było dla Ewy jakby zaranie świetnej przyszłości. Ta święta istota nie wiedziała, że gdzie zaczyna się ambicja, tam kończą się naiwne uczucia. W miarę jak Lucjan zbliżał się do pałacu, oswajał się stopniowo z zewnętrznymi zjawiskami. Ten Luwr, tak wyolbrzymiony jego wyobraźnią, był to dom wybudowany z miękkiego kamienia, obfitego w tej okolicy, któremu czas nadał złotawą patynę. Wyglądał dość smutno od ulicy, wewnątrz był bardzo skromny: był to dziedziniec prowincjonalnego domu, schludny i zimny; architektura prosta, niemal klasztorna, dobrze zachowana. Lucjan wszedł po starych schodach o balustradzie z kasztanu, których stopnie, począwszy od pierwszego piętra, nie były już z kamienia, lecz z drzewa. Minąwszy lichy przedpokój, wielki słabo oświetlony salon, ujrzał władczynię w małym saloniku wykładanym boazeriami rzeźbionymi w smaku XVIII wieku i pomalowanymi na szaro. Ściany obite były starym czerwonym adamaszkiem. Meble o staroświeckim kształcie kryły się smutno pod pokrowcami w białą i czerwoną kratę. Poeta ujrzał panią de Bargeton siedzącą na wyscielanej kanapie, przed okrągłym stołem pokrytym zielonym dywanikiem, oświetloną staroświeckim świecznikiem o dwóch świecach.

Królowa nie podniosła się z miejsca, wykręciła się tylko nader wdzięcznie na kanapce, uśmiechając się do poety, którego ten wężowy ruch bardzo przejął, zdawał mu się dystygnowany. Nadzwyczajna piękność Lucjana, jego nieśmiałe obejście, głos, wszystko w nim ujęło panią de Bargeton. Poeta był już poezją. Młody człowiek objął ukradkowymi rzutami oka tę kobietę, która wydała mu się w harmonii ze swym rozgłosem: nie zawiodła żadnego z jego pojęć o wielkiej damie. Pani de Bargeton nosiła, idąc za nową modą, berecik z czarnego aksamitu, spod niego wymykały się rozrzucone loki rudawoblond, błyszczące w świetle złotawym połyskiem o gorącym odcieniu. Dostojna pani posiadała ową wspaniałą cerę, którą kobieta okupuje mniemane przykre strony tego płowego odcienia włosów. Szare oczy migotały żywym blaskiem, nad nimi czoło, już pokryte zmarszczkami, sklepiało się śmiało zarysowaną płaszczyną; otaczała je obwódka o połysku masy perłowej, w której po obu stronach nosa dwie błękitne żyłki uwydatniały białość tej delikatnej oprawy. Nos zakrzywiony był nieco jak nosy Burbonów; włosy nie kryły całkowicie szyi.

Siostra

Kobieta, Uroda, Strój

<sup>124</sup>*heloci* — niewolnicy państwowi w Sparcie; warstwa społeczna, do której należeli potomkowie podbitych mieszkańców Mesenii i Lakonii; nie mieli żadnych praw, stanowili własność państwa i podstawową siłę roboczą na spartańskiej wsi. [przypis edytorski]

<sup>125</sup>*Raka!* — obelżywe słowo biblijne (zob. Mt 5,22). [przypis edytorski]

<sup>126</sup>*ludwik* a. *luidor* (fr. *Louis d'or*: złoty Ludwik) — złota moneta francuska z podobizną króla, bita w latach 1640–1791; ludwikami nazywano później tradycyjnie złote 20-frankówki. [przypis edytorski]

<sup>127</sup>*żabot* — ozdoba z marszczonej tkaniny umieszczana na przodzie koszuli lub bluzki. [przypis edytorski]

Suknia, niedbale spięta, odsłaniała nieco pierś śnieżnej białości, pozwalając zarazem oku domyślać się jej nieskazitelnych kształtów. Ręką starannie wypielęgnowaną, o palcach delikatnych, choć nieco suchych, uczyniła pani de Bargeton uprzejmy gest w kierunku młodego poety, aby mu wskazać krzesło stojące w pobliżu. Pan du Châtelet zajął fotel. W tej chwili dopiero Lucjan spostrzegł, iż byli sami.

Rozmowa z panią de Bargeton upoiła młodego wieszca z Houmeau. Trzy godziny spędzone w jej towarzystwie były dla Lucjana jednym z tych snów, które chciałoby się przedłużyć w nieskończoność. Kobieta ta wydała mu się raczej powiewną niż chudą, urodzoną kochanką bez miłości, chorobliwą mimo swej siły. Wady jej, podkreślone *stylem* obejścia, podobały mu się; ludzie młodzi bowiem dosyć zrazu smakują w przesadzie, tym kłamstwie pięknych dusz. Nie zauważył zupełnie skazy pokrytych siecią czerwonych żyłek policzków, którym smutki i jakieś dolegliwości nadały odcień ceglasty. Wyobraźnię jego uderzały zrazu te oczy pełne żaru, te pukle wytworne ociekające blaskiem, ta śnieżna białosc cery, świetlane punkty, które pociągnęły go ku sobie, tak jak motyla pociąga blask świecy. A potem dusza ta zbyt przemówiła do jego własnej, aby mógł trzeźwo osądzić kobietę. Poryw tej kobiecej egzaltacji, żywość frazesów, nieco trącących starzyzną i które pani de Bargeton powtarzała od dawna, ale które jemu zdawały się nowe i świeże, oczarowały go tym więcej, iż pragnął znaleźć<sup>128</sup> wszystko pięknym i godnym zachwytu. Nie przyniósł z sobą poezji, które miał odczytać, ale nie było o tym mowy; on zapomniał wziąć wierszy, aby mieć prawo powrócić, pani de Bargeton wspomniła o nich jedynie po to, aby go zachęcić do odczytania ich któregoś dnia. Czyż to nie było już jakby pierwsze porozumienie? Pan Sykstus du Châtelet nie był zadowolony z tego przyjęcia. Spostrzegł, późno nieco, możliwego rywala w tym urodziwym młodzieńcu. Odprowadził Lucjana aż do pierwszego zakrętu drogi do Beaulieu w zamiarze poddania go kunsztom swojej dyplomacji. Lucjan doznał niemałego zdziwienia, słuchając, jak pan dyrektor podatków pośrednich przyznawał sobie zasługę wprowadzenia go i dawał mu z tego tytułu rozmaite rady.

Dałby Bóg, aby spotkał się tam z lepszym przyjęciem niż on sam, mówił pan du Châtelet. Sam dwór jest z pewnością mniej napuszony i nieprzystępny niż to zbiorowisko mamutów. Trzeba być przygotowanym na śmiertelne uklucia, znosić upokarzające lekceważenia. Rewolucja z roku 1789 musi na nowo wybuchnąć, jeżeli ci ludzie się nie odmieniają. Co do pana du Châtelet, to jeżeli bywa jeszcze w tym świecie, to jedynie ze względu na panią de Bargeton, jedyną kobietę, którą można brać serio w całym Angoulême. Zaczął (powiadał baron) umizgać się do niej dla zabicia czasu i, sam nie wiedząc kiedy, zakochał się do szaleństwa. Spodziewa się, iż wkrótce będzie należeć do niego, kocha go, wszystko pozwala mu w to wierzyć. Kapitulacja tej dumnej królowej będzie jedyną zemstą, jaką chce osiągnąć to głupie gniazdo szlachciurów.

Châtelet mówił o swej namiętności jak człowiek, który by się nie cofnął przed zgładzeniem rywala, gdyby ktoś ośmielił się stanąć mu na drodze. Podstarzały motylek Cesarstwa spadł całym swoim ciężarem<sup>129</sup> na biednego poetę, próbując zmiażdżyć go wagą swej osoby, a zarazem napędzić strachu. Powiększył się w jego oczach, opowiadając niebezpieczeństwa swej podróży, i to nieco ubarwione; ale jeżeli zdołał podbić wyobraźnię poety, nie przestraszył bynajmniej kochanka.

Od tego wieczoru, mimo niezadowolenia starego eleganta, mimo jego pogroźek i postaw rycerskich, Lucjan pojawiał się nieraz u pani de Bargeton, zrazu z nieśmiałością człowieka z Houmeau; wkrótce jednak oswoił się z tym, co mu się wydawało z początku ogromną łaską, i odwiedzał ją coraz to częściej. Syn aptekarza był w oczach tego towarzystwa istotą bez znaczenia. W samych początkach, o ile jakiemu szlachcicowi lub któregoś z pań przybyłych w odwiedziny do Nais zdarzyło się spotkać Lucjana, odnosili się do niego z tą przygniatającą grzecznością, jaką ludzie wielkiego świata posługują się wobec niżej położonych istot. Lucjanowi świat ten wydał się zrazu nader ujmujący; z czasem jednakże zrozumiał uczucia, z jakich płynęły te ludzkie względy. Parę wzdargliwych spojrzeń, które pochwycił w przelocie, poruszyło w nim żółć do głębi i utwierdziło go w zaprawnych

<sup>128</sup>znaleźć coś jakimś (daw.) — uznać coś za jakieś; ocenić jako. [przypis edytorski]

<sup>129</sup>Podstarzały motylek Cesarstwa spadł całym swoim ciężarem... — ten motylek spadający całym ciężarem na Lucjana to przykład jednego z owych kwiatków, które dość często szpecą bujną i silną wegetację stylu Balzaca. [przypis tłumacza]

nienawiścią ideach republikańskich, którymi wielu z tych przyszłych patrycjuszów rozpoczyna swoje zetknięcie z wyższym towarzystwem. Ale jakich cierpień nie byłby przeniósł dla Nais! Słyszał, jak dawano jej to imię, gdyż pomiędzy sobą osoby tworzące ów klan, mężczyźni i kobiety, podobnie jak grandowie<sup>130</sup> hiszpańscy lub śmietanka wiedeńskiego świata, nazywali się po imieniu: ostatni odcień wymyślony dla wprowadzenia wyróżnień w sercu arystokracji angulemskiej.

Lucjan kochał Nais tą miłością, jaką każdy młody człowiek kocha pierwszą kobietę schlebającą jego próżności, Nais bowiem przepowiadała Lucjanowi wielką przyszłość, olbrzymią sławę. Pani de Bargeton rozwinęła całą zręczność, aby utrwalić w swoim domu młodego poetę: nie tylko wysławiała ponad wszelką miarę jego wartość, ale przedstawiała go zarazem jako biedne dziecko bez środków, któremu pragnęła ułatwić przebijanie się przez życie. Pomniejszała go, aby go zachować; robiła zeń swego lektora, swego sekretarza; ale równocześnie kochała go bardziej niż po straszliwym nieszczęściu, jakie ją spotkało, przypuszczała sama, iż zdolna jest kochać. W myślach obchodziła się z sobą bardzo surowo; mówiła sobie, że byłoby szaleństwem pokochać dwudziestoletniego chłopca, którego już sama pozycja towarzyska tak bardzo od niej oddala. Poufałościom, do jakich dopuszczała Lucjana, zadawała kapryśnie kłam wyniosłość zrodzona z tych skrupułów. Była z nim na przemian dumna i łaskawa, czuła i pełna pochlebstwa. Zrazu onieśmielony wysoką pozycją tej kobiety, Lucjan przeżył wszystkie obawy, wszystkie nadzieje i rozpacz, które wykuwają pierwszą miłość i wciskają ją tak głęboko w serce tymi falami na przemian szczęścia i cierpienia. Przez dwa miesiące widział w niej swoją dobrodziejkę, która zechciała się nim zająć z macierzyńską troskliwością. Jednakże zbliżenie postępowało. Pani de Bargeton nazywała swego poetę droгим Lucjanem, potem tylko „drogim”. Poeta, ośmielony, począł tę wielką damę nazywać po prostu Nais. Słyszając w jego ustach to imię, uniosła się owym gniewem, tak pełnym uroku dla młodej wyobraźni: obsypała go wymówkami, że używa imienia, którym posługują się wszyscy. Dumna i rasowa Negrepelisse oddała poecie jedno ze swoich imion, które było jeszcze nieużyte: chciała być dla niego Luizą. Lucjan dosięgnął trzeciego nieba miłości. Pewnego wieczora Lucjan, zastawszy Luizę z wzrokiem zatopionym w portrecie, który natychmiast ukryła, zapragnął go zobaczyć. Aby ułagodzić rozpacz tego pierwszego wybuchu zazdrości, Luiza pokazała portret młodego Cante-Croix i opowiedziała, nie bez łez, bolesne dzieje tej miłości tak czystej, a tak okrutnie przerwanej. Czy gotowała się popełnić jakąś niewierność względem zmarłego, czy też natchnęła ją myśl stworzenia Lucjanowi w tym portrecie rywala? Lucjan nazbyt był młody, aby analizować czynności ubóstwianej; popadł więc w rozpacz wielce naiwną z jego strony, gdyż Luiza dała w ten sposób hasło kampanii, w której kobiety pozwalają robić wyłom w mniej lub więcej pomysłowo podsycanych skrupułach. Ich dyskusje o obowiązkach, formach, religii są niby fortyfikacje, przeznaczone na to, aby je zdobywano szturmem. Niewinnemu Lucjanowi nie było trzeba tych kokieterii, byłby wojował z własnego popędu.

— Ja nie chcę wcale umierać, ja chcę żyć dla ciebie — rzekł rezolutnie pewnego wieczora Lucjan, pragnąc skończyć już raz z panem de Cante-Croix. Mówiąc to, objął Luizę spojrzeniem, w którym malowała się namiętność dojrzała do czynu.

Przerażona postęпами, jakie świeża miłość czyniła w niej samej i w jej poecie, Luiza przypomniała mu wiersz przyrzeczony do pierwszej stronicy albumu, szukając przedmiotu do sprzeczki w opieszałości, z jaką spełniał jej życzenie. Jakichż uczuć doznała, odczytując te dwie stances<sup>131</sup>, które wydały się jej oczywiście piękniejsze od najlepszych strof poety arystokracji, Canalisa<sup>132</sup>?

Nie zawsze tęcze magicznych kolorów  
Wśród welinowej igraszki Amorów  
Rozsnuwać będą swe nici;  
Oddechu lubej pieśń moja spragniona,  
Wszystkie radości i smutki jej łona

<sup>130</sup>grand — arystokratyczny tytuł hiszpański. [przypis edytorski]

<sup>131</sup>stanca (z wł.) — strofa. [przypis edytorski]

<sup>132</sup>Canalis — pod mianem Canalisa, Balzac mierzy, najczęściej niezyczliwie i sarkastycznie, w Lamartine'a, którego widocznie nie lubił. Niektóre wydania powieści kładą w tym miejscu wprost imię Lamartine'a. [przypis tłumacza]

Miłość, Sława

Miłość

Flirt

Poezja, Pocałunek

Z ust najmilejszych pochwyli.

A gdy pobladną wspomnienia i głoski,  
Niech ją te karty w marzenia bez troski  
Jak białe żagle powiodą  
Przez krajobrazy spełnionych już losów,  
W szczęśliwą przeszłość jak lazur niebiosów,  
Przeczystą lśniących pogodą.<sup>133</sup>

— Czy to naprawdę ja ci je podyktowałam? — spytała.

To podejrzenie płynące z zalotności kobiety, której rozkosz sprawia igranie z ogniem, napęliło łzami oczy Lucjana; ukoila go, składając po raz pierwszy pocałunek na jego czole. Lucjan stał się w jej oczach nieodwołalnie wielkim człowiekiem. Zapragnęła go kształcić; zamierzała nauczyć go języka włoskiego i niemieckiego, udoskonalić ułożenie; znalazła w tym cały szereg pretekstów, aby go trzymać nieustannie przy sobie, pod nosem swoich nudnych dworzan. Cóż za urok w jej życiu! Zabrała się na nowo do muzyki dla swego poety, któremu odsłoniła świat tonów; zagrała mu kilka pięknych utworów Beethovena i oślniła go; szczęśliwa z jego radości, mawiała obłudnie, widząc go na wpół omdlałym:

— Czyż nie można zadowolić się takim szczęściem?

A biedny poeta był na tyle głupiutki, iż odpowiadał:

— Tak.

Wreszcie rzeczy posunęły się tak daleko, iż Luiza zaprosiła Lucjana na obiad, sam na sam z nią i z panem de Bargeton. Mimo tej ostrożności całe miasto wiedziało o tym zdarzeniu, które wydało się czymś tak niesłychanym, iż każdy zapytywał sam siebie, czy to może być prawdą. Poruszenie było straszliwe. W oczach wielu zdawało się, iż społeczeństwo znajduje się w przededniu przewrotu. Inni wykrzyknęli:

— Oto owoc dzisiejszych liberalnych teorii!

Zawistny du Châtelet dowiedział się wówczas, że pani Szarlota, trudniąca się zawodowo pielęgnowaniem położnic, jest tożsamą z panią Chardon, matką „Chateaubrianda z Houmeau”, jak mawiał. Epitet ten obiegił miasto niby najświetniejszy dowcip. Pani de Chandour przybiegła pierwsza do pani de Bargeton.

— Czy wiesz, droga Nais, o czym mówi całe Angoulême? — rzekła. — Matką tego małego wierszoklety jest pani Szarlota, która przed dwoma miesiącami pielęgnowała moją bratową w połogu.

— Moja droga — rzekła pani de Bargeton, przybierając minę na wskroś królewską — cóż w tym tak nadzwyczajnego? Czyż nie jest wdową po aptekarzu? Zapewne, smutny to los dla panny de Rubempré. Przypuśćmy, że która z nas znalazłaby się bez grosza przy duszy... i cóż robiłybyśmy, aby żyć? Jakżebyś wyżywiła swoje dzieci?

Zimna krew pani de Bargeton położyła koniec biadaniom noblesy<sup>134</sup>. Wielkie dusze są zawsze skłonne podnieść nieszczęście do wyżyn cnoty. Przy tym wytrwałość w dobrym uczynku spotykającym się z potępieniem przedstawia niewysłowione uroki: rzecz w sobie niewinna nabiera powabów występku. Tego wieczora salon pani de Bargeton napęlił się przyjaciółmi, którzy przybyli, aby przemawiać jej do zastanowienia. Rozwinęła całą ciętość swego dowcipu: rzekła, iż skoro stan szlachecki nie jest zdolny wydać ani Moliera, ani Racine’a, ani Woltera, ani Massilona, ani Beaumarchais’go, ani Diderota<sup>135</sup>, trzeba pogodzić się z istnieniem tapicerów, zegarmistrzów, nożowników, których

Pozycja społeczna, Artysta,  
Nauka

<sup>133</sup> *Nie zawsze tęcze magicznych kolorów...* — przekład Edwarda Leszczyńskiego. [przypis redakcyjny]

<sup>134</sup> *noblesa* (daw., z fr.) — szlachta. [przypis edytorski]

<sup>135</sup> *Moliera, ani Racine’a, ani Woltera, ani Massilona, ani Beaumarchais’go, ani Diderota* — *Molier*, właśc. Jean Baptiste Poquelin (1622–1673): aktor i najwybitniejszy komediopisarz francuski; *Jean Baptiste Racine* (1639–1699): francuski poeta i dramaturg, autor m.in. *Andromachy* i *Fedry*; *Wolter*, właśc. François Marie Arouet (1694–1778): czołowy francuski pisarz, filozof i publicysta epoki oświecenia, znany z walki o wolność słowa i wyznania; *Jean-Baptiste Massillon* (1663–1742): francuski kaznodzieja i teolog; *Pierre Augustin Beaumarchais* (1732–1799): pisarz i dramaturg francuski, autor komedii takich jak *Wesele Figara* czy *Cyrulik sewilski*; *Denis Diderot* (1713–1784): francuski pisarz, krytyk i filozof, współredaktor *Wielkiej Encyklopedii Francuskiej*, autor powiastki filozoficznej *Kubus Fatalista i jego pan*. [przypis edytorski]

synowie stają się wielkimi ludźmi. Rzekła, że geniusz jest zawsze patentem szlachectwa. Zmyła głowę szlachcicom, że mają tak mało zrozumienia swoich prawdziwych interesów. Słowem, wytoczyła mnóstwo niedorzeczności, które byłyby olśniły ludzi mniej ograniczonych, a które w każdym razie przyniosły zaszczyt jej oryginalności.

W ten sposób burza została zażegnana strzałami armatnimi. Kiedy Lucjan, wezwany przez panią du Bargeton, zjawił się po raz pierwszy w starym spłowiałym salonie, w którym grano przy czterech stolikach w wista<sup>136</sup>, przyjęła go z wyszukaną uprzejmością i przedstawiła go tonem królowej, która życzy sobie, aby ją słuchano. Nazwała dyrektora podatków „panem Châteletem” i zmiażdżyła go, dając do zrozumienia, że nie jest dla niej tajemnicą improwizowane pochodzenie jego szlacheckiego przydomka. Od tego tedy wieczora Lucjan został przemocą wprowadzony w towarzystwo pani de Bargeton; przyjęto go jednakże jak jakąś jadowitą substancję, którą każdy przyrzekł sobie uprzętnąć, poddając odczynnikom impertynencji. Mimo tego triumfu panowanie Nais zachwiało się: znaleźli się odszczepieńcy, którzy próbowali się zbuntować. Idąc za radą pana Châteleta, Amelia, inaczej pani de Chandour, postanowiła przeciwstawić ołtarzowi nowy ołtarz, otwierając u siebie przyjęcia we środy. Pani de Bargeton przyjmowała codziennie; ludzie, którzy bywali u niej, byli tak w to włożeni, tak przyzwyczajeni do spotykania się przy tych samych stolikach, przy tym samym tryktraku<sup>137</sup>, do oglądania tych samych twarzy, tych samych świeczników, składania płaszczy, kaloszy i kapeluszy w tym samym korytarzu, że przywiązani byli do stopni na schodach w tej samej mierze co do gospodyni domu. Wszyscy pogodzili się z narzuconym im „ostem ze świętego gaju<sup>138</sup>, wedle konceptu Aleksandra de Brébiana. Wreszcie prezes Towarzystwa Rolniczego uśmierzył wzburzenie rozstrzygającą uwagą:

— Przed wybuchem Rewolucji — powiedział — najwięksi panowie przyjmowali u siebie Duclosa, Grimma, Crébillona<sup>139</sup>, ludzi, którzy tak samo jak ten gryziopiórek z Houmeau byli niczym; żaden jednakże nie wpuściłby do domu poborcy, jakim jest, koniec końców, Châtelet.

Du Châtelet zapłacił za Chardona, wszyscy poczęli go traktować z pewną oziębłością. Czując się zagrożony, dyrektor podatków, który od chwili gdy pani de Bargeton nazwała go tylko „Châteletem”, poprzysiął sobie w duchu, że musi mieć tę kobietę, wszedł na pozór w intencje pani domu, stanął po stronie młodego poety, oświadczając się jego przyjacielem. Ten wielki dyplomata, którego cesarz tak lekkomyślnie się pozbawił, zręcznie przyciągnął do siebie Lucjana, okazując mu jawną życzliwość. Aby wprowadzić w świat poetę, wydał obiad, na którym znalazł się prefekt, naczelnik skarbowości, pułkownik miejscowego garnizonu, dyrektor szkoły marynarskiej, prezydent trybunału, słowem wszyscy dostojnicy administracji. Biednego poetę fetowano tak wspaniale, że kto bądź inny niż dwudziestodwuletni chłopiec byłby silnie podejrzewał jakąś mistyfikację w pochwałach, jakimi zasypywano mu oczy. Przy deserze Châtelet nakłonił rywala do wygłoszenia *Ody umierającego Sardanapala*<sup>140</sup>, swego ostatniego arcydzieła. Słyszając ten utwór, dyrektor kolegium, człowiek z natury flegmatyczny, począł klaskać w ręce, utrzymując, że Jan Baptysta Rousseau<sup>141</sup> nigdy nie napisał nic lepszego. Baron Sykstus Châtelet pomyślał, że mały wierszokleta zadławi się prędzej czy później w tej cieplarni pochwał i zachwyty lub też w upojeniu przedwczesnej sławy pozwoli sobie na jakąś śmiałość, która go zepchnie z powrotem do dawnej nicości. Oczekując na rychły zgon tego geniusza, złożył, na pozór z całym wyrzeczeniem się, dawne pretensje u stóp pani de Bargeton; jednakże z wytrawnością bywalca ukartował sobie cały plan i ze strategiczną bacznością

Poeta

<sup>136</sup>wist — gra karciana dla czterech osób, popularna w XVIII i XIX w., poprzednik brydża. [przypis edytorski]

<sup>137</sup>tryktrak — gra planszowa dla dwóch osób. [przypis edytorski]

<sup>138</sup>chardon (fr.) — oset. [przypis tłumacza]

<sup>139</sup>Duclos, Grimm, Crébillon — Charles Pinot Duclos (1704–1772): francuski historyk i pisarz, współpracownik *Wielkiej Encyklopedii Francuskiej*; Fryderyk Melchior Grimm (1723–1807): francuskojęzyczny dziennikarz i krytyk sztuki, współpracownik *Encyklopedii*; Crébillon: tu zapewne Claude Prosper Jolyot de Crébillon (1707–1777), pisarz francuski znany w paryskich salonach dzięki publicznie odczytywanym tam libertyńskim opowiadaniom i dialogom o tematyce erotycznej, zwany Crébillonem synem dla odróżnienia od swego ojca Prospera Jolyota de Crébillona, dramaturga znanego z tragedii o akcji osadzonej w starożytnym Rzymie. [przypis edytorski]

<sup>140</sup>Sardanapal — legendarny ostatni król Asyrii, żyjący w przepychu zniewieściały i dekadenski władca, który swymi działaniami doprowadził do upadku państwa. [przypis edytorski]

<sup>141</sup>Rousseau, Jean-Baptiste (1670–1741) — francuski dramaturg i poeta. [przypis edytorski]



śledził postępy dwojga kochanków, upatrując chwili, w której będzie mógł zgubić Lucjana. Od tej pory zaczął się rozchodzić po Angoulême i okolicach głuchy szmer, zwia-  
stujący pojawienie się w mieście wielkiego człowieka. Powszechnie oddawano pochwały  
pani de Bargeton za troskliwość, jaką otaczała to młode orlątko. Raz zdobywszy uznanie  
swego postępowania, pani de Bargeton zapragnęła uzyskać sankcję generalną. Obębniła  
w całym departamencie proszony wieczór z lodami, ciastkami i herbatą, wielką nowość  
w mieście, w którym herbatę sprzedawano jeszcze w aptekach, jako kordiał<sup>142</sup> używany  
przeciwko niestrawności. Zaproszono kwiat arystokracji na wysłuchanie wielkiego dzieła,  
które miał odczytać Lucjan.

Luiza zataiła przed młodym przyjacielem trudności, które zwyciężyła, lecz wspomnia-  
ła mu w kilku słowach o sprzysiężeniu uknutym przeciwko niemu przez „towarzystwo”.  
Nie chciała pozostawiać go w nieświadomości niebezpieczeństw drogi otwierającej się  
przed genialnymi ludźmi i najeżonej przeszkodami nie do zwalzenia dla ludzi pospoli-  
tych. Z odniesionego zwycięstwa pragnęła wyciągnąć dlań naukę. Białą ręką ukazała  
mu sławę okupowaną nieustannym cierpieniem, mówiła o stosie męczeńskim, przez jaki  
trzeba mu się przedrzeć, słowem, przyrzadziła swoje najpiękniejsze „tartynki” i ukwieci-  
ła je najpompatyczniejszymi wyrażeniami. Była to podróbka owych improwizacji, które  
tak szpecą *Korynnę* pani de Staël<sup>143</sup>. Luiza uczuła się tak wielką przez swą wymowę, iż  
tym więcej pokochała beniaminka<sup>144</sup>, który stał się źródłem jej natchnienia; poradziła  
mu odważnie zaprzeczyć się ojca przybierając szlachetne miano de Rubempré, bez względu  
na krzyki, jakie wywoła ta zmiana, którą zresztą król ulegalizuje. Będąc spokrewnioną  
z margrabiną d’Espard z domu de Blamont-Chauvry, mającą ogromne wpływy u dworu,  
podejmowała się wyjednać tę łaskę. Te słowa „król”, „margrabina d’Espard”, „dwór”  
podziały na Lucjana niby widok wspaniałego fajerwerku; konieczność tego chrztu stała  
się dlań oczywistością.

— Drogi mały — rzekła Luiza głosem tkliwego natrząsania — im wcześniej to nastąpi,  
tym wcześniej uzyska sankcję.

Przebiegła jedną po drugiej kolejne warstwy społeczeństwa i dała poecie policzyć  
wszystkie stopnie, które przeskakiwał od razu dzięki tej zręcznej determinacji. W tej  
jednej chwili skłoniła Lucjana do zaparcia się gminnych poglądów o urojonej równości  
z roku 1793, obudziła w nim pragnienie wyróżnień, uprzątnięte dzięki trzeźwemu rozsąd-  
kowi Dawida, i wskazała mu wyższe towarzystwo, jako jedyną widownię, jakiej powinien  
się trzymać. Zajadły liberalista zmienił się w monarchistę *in petto*<sup>145</sup>. Lucjan skosztował jabł-  
ka arystokratycznego zbytku i sławy. Poprzysiągł przynieść do stóp swojej damy wieniec  
choćby krwią zbroczony; zdobędzie go za jaką bądź cenę, *quibuscumque viis*<sup>146</sup>. Aby  
dać dowód własnego męstwa, opowiedział obecne niedole, które ukrywał przed Luizą,  
wiedziony ową nieokreśloną wstydlivością związaną z pierwszym uczuciem. Odmalował  
cierpienia nędzy znoszonej z całą dumą, swoją pracę u Dawida, noce obracane na studia.  
Ten młodzieńczy zapal przypominał pani de Bargeton dwudziestosześcioletniego pułkow-  
nika; w spojrzeniu jej zamigotało coś miękkiego. Widząc, że imponująca dama jego serca  
poddaje się swej słabości, Lucjan pochwycił rękę, której mu nie wzbroniono, i ucałował  
ją z całym ogniem poety, młodego człowieka, kochanka. Luiza posunęła się tak daleko,  
iż zezwoliła, aby syn aptekarza dosięgnął jej czoła i przycisnął doń drżące wargi.

— Dziecko! Dziecko! Gdyby nas ktoś zobaczył, wyglądałabym bardzo śmiesznie —  
rzekła, budząc się z upajającego omdlenia.

W ciągu tego wieczora wymowa pani de Bargeton uczyniła wielkie spustoszenia  
w tym, co nazywało się w jej ustach „przesądami” Lucjana. Wedle jej słów ludzie ge-  
nialni nie mieli ani braci, ani siostr, ani ojca, ani matki; olbrzymie dzieła, które mieli  
wydać na świat, nakazywały im bezwarunkowy egoizm, każąc wszystko poświęcić dla  
swej wielkości. Jeżeli rodzina cierpi zrazu od tego drapieżnego łupiestwa, jakiemu pod-

Pocałunek

<sup>142</sup>*kordiał* (daw.) — lek wzmacniający (szczególnie serce; od łac. *cordialis*: serdeczny); później: wyborny trunek. [przypis edytorski]

<sup>143</sup>*pani de Staël*, właśc. *Staël-Holstein, Anne Louise Germaine, de* (1766–1816) — francuska powieściopisarka i publicystka pochodząca z Genewy, propagatorka pojęcia Romantyzmu; autorka m.in. powieści *Korynna* (1807). [przypis edytorski]

<sup>144</sup>*beniaminek* — ulubione, najmłodsze dziecko; ulubieniec. [przypis edytorski]

<sup>145</sup>*in petto* (wl.) — w głębi serca. [przypis edytorski]

<sup>146</sup>*quibuscumque viis* (łac.) — jakimikolwiek drogami. [przypis edytorski]

daje ją mózg tytana, odbiera później stokrotną nagrodę poświęceń wszelakiego rodzaju, dzieląc owoce zwycięstwa. Geniusz zawisły jest jedynie od siebie samego: on sam jest tylko sędzią środków, jakimi się posługuje, ponieważ on sam tylko zna swoje cele. Powołany do przetworzenia praw, powinien umieć postawić się ponad nimi; zresztą, kto umie zawładnąć swoją epoką, może po wszystko wyciągnąć rękę, na wszystko się ważyć, bo wszystko należy do niego. Przytaczała początki kariery Bernarda de Palissy, Ludwika XI, Foksa<sup>147</sup>, Napoleona, Krzysztofa Kolumba, Cezara, wszystkich tych wielkich graczy, zrazu przygniecionych długami lub nędzą, niezrozumianych, uważanych za szaleńców, za złych synów, złych ojców, złych braci, lecz którzy później stawali się dumą rodziny, kraju, całego świata.

Te rozumowania trafiały w sedno ukrytych wad Lucjana i przyspieszały skażenie jego serca, gdyż w gorączce swoich pożądań dopuszczał *a priori*<sup>148</sup> wszystkie środki. Ale chybić sukcesu jest zbrodnią społecznej obrazy majestatu. Czyż zwyciężony nie zdeptał wówczas wszystkich domowych cnót, na jakich wspiera się społeczeństwo, ze wstrętem pędzące precz Mariuszów<sup>149</sup> siadających na ruinach? Lucjan, który nie wiedział, iż znajduje się pomiędzy hańbą katongi a palmami geniuszu, bujał ponad górą Synaj proroków, nie widząc w dole Morza Martwego, straszliwego całunu Gomory<sup>150</sup>.

Luiza tak dobrze rozwiła serce i ducha swego poety z powijaków, w jakie omotało go życie prowincji, iż Lucjan zapragnął doświadczyć pani de Bargeton, aby się przekonać, czy może bez narażenia się na wstyd odmowy pokusić się o tę królewską zdobycz. Oznajmiony wieczór dał mu sposobność poważenia się na próbę. Ambicja wplatała się w jego miłość. Kochał i chciał się wspinać w górę: podwójne pragnienie bardzo naturalne u młodych ludzi, których serce jest równie zgłodniałe jak próżność. Zapraszając dziś wszystkie swoje dzieci do tej samej uczyty, społeczeństwo budzi ich ambicje od samego zarania życia. Odziera młodość z jej powabów i kazi większość jej szlachetnych uczuć, zaprawiając je rachunkiem. Poezja chciałaby, aby było inaczej; ale fakty zbyt często zadają kłam fikcji, w którą by się chciało wierzyć, aby można było pozwolić sobie na przedstawienie młodego człowieka innym niż jest w XIX wieku. Rachuba Lucjana wydawała mu się dziełem pięknego uczucia, przyjaźni jego dla Dawida.

Lucjan napisał długi list do Luizy, czuł się bowiem śmielszy z piórem w ręku niż ze słowami na ustach. Na dwunastu ćwiartkach, trzy razy przepisanych, opowiedział dzieje geniuszu swego ojca, jego straconych nadziei i straszliwej nędzy, na jaką on sam jest wydany. Odmalował swą drogą siostrę jako anioła, Dawida jako przyszłego Cuviera, który, zanim będzie wielkim człowiekiem, jest dla niego ojcem, bratem, przyjacielem; uważałby się za niegodnego miłości Luizy, swojej pierwszej chwały, gdyby nie żądał, aby uczyniła dla Dawida tej samej ofiary, jaką czyni dla niego samego. Raczej wyrzekłby się wszystkiego, niżby miał zdradzić Dawida Sécharda; chce, aby Dawid obecny był przy jego triumfie. Napisał jeden z tych oszalałych listów, w których młodzi ludzie grożą pistoletem w razie odmowy, w których kołuje kazuistyka<sup>151</sup> dzieciństwa, gdzie mówi nieopatrzna logika pięknych dusz, rozkosze gadulstwa zahaftowane owymi naiwnymi wyznaniem, wydzierającymi się z serca bez wiedzy piszącego i które kobiety tak lubią. Oddawszy list pannie służącej, Lucjan strawił cały dzień na przeglądaniu korekt, doglądaniu jakichś prac, porządkowaniu drobnych spraw w drukarni, nie mówiąc nic Dawidowi. W porze gdy serce jest jeszcze dziecinne, młodzi ludzie miewają te szczytne dyskrecje. Zresztą być może

Ambicja, Młodość

List, Miłość, Młodość

<sup>147</sup> Bernard de Palissy, Ludwik XI, Fox — Bernard de Palissy (ok.1510–ok.1589): francuski chemik, fizyk i geolog; Ludwik XI (1423–1483): król Francji (od 1461), złamał potęgę wielkich feudalów; Charles James Fox (1749–1806): brytyjski arystokrata i polityk, zwolennik zniesienia niewolnictwa, niepodległości Stanów Zjednoczonych i rewolucji francuskiej. [przypis edytorski]

<sup>148</sup> *a priori* (łac.) — z założenia, z góry. [przypis edytorski]

<sup>149</sup> Mariusz, właśc. Gajusz Mariusz (156–86 p.n.e.) — rzymski wódz i mąż stanu, przywódca stronnictwa ludowego (popularów), reformator armii rzymskiej, zwycięzca wielu wojen; na wygnaniu schronił się w ruinach Kartaginy. [przypis edytorski]

<sup>150</sup> Gomora — jedno z biblijnych miast nad M. Martwym, zniszczonych przez Boga deszczem ognia i siarki z powodu grzechu i zepsucia. [przypis edytorski]

<sup>151</sup> kazuistyka — drobiazgowo rozważanie szczegółowych problemów, najczęściej moralnych lub prawnych, poprzez podciąganie ich pod zasady ogólne; pot.: pokrętne argumentowanie w celu uzasadnienia założonej z góry tezy. [przypis edytorski]

Lucjan zaczynał lękać się siekiery Focjona<sup>152</sup>, jaką umiał władać Dawid, być może lękał się jasnego spojrzenia, które wnika aż w sam głąb duszy. Po lekturze Chéniera tajemnica przeszła mu z serca na wargi, sięgnięta wymówką, którą odczuł niby palec lekarza położony na ranę.

A teraz ogarnijcie myśli, jakie musiały oblegać Lucjana, podczas gdy schodził z Angoulême do Houmeau. Czy wielka dama obraziła się? Czy przyjmie u siebie Dawida? Czy ambitnego śmiałka nie strąca do jego dziury, do Houmeau? Mimo że przed pocałunkiem Luizy w czoło Lucjan mógł zmierzyć oddalenie, jakie dzieli królowę od faworyta, nie powiedział sobie, iż Dawid nie może przebyć w jednym mgnieniu oka przepaści, z jaką on sam pora<sup>153</sup> się pięć miesięcy. Nie wiedząc, do jakiego stopnia bezwzględny był ostracyzm zawieszony nad ludźmi ich sfery, nie pojmował, że druga próba tego rodzaju byłaby zgubą pani de Bargeton. Oskarżona i przekonana o spospolitowanie się, Luiza byłaby zmuszona opuścić miasto lub też kasta jej uciekałaby przed nią, tak jak w średnich wiekach uciekało się przed trędowatym. Klan najwyższej arystokracji, a nawet kler broniłby Nais wobec i przeciw wszystkim, w razie gdyby sobie pozwoliła na fałszywy krok; ale zbrodni obracania się w „złym towarzystwie” nie darowano by jej nigdy: albowiem jeżeli rozgrzesza się błędy władzy, potępia się je po abdykacji. Otóż przyjmować Dawida — czyż nie znaczyło abdykować? Jeżeli Lucjan nie ogarniał tej strony kwestii, jego instynkt artystyczny dawał mu przeczuwać wiele innych trudności, które go przerażały. Szlachetność uczuć niekoniecznie daje szlachetność form. Jeżeli Racine<sup>154</sup> miał wygląd najbardziej „urodzonego” dworaka, Corneille<sup>155</sup> podobny był wielce do handlarza wołów. Descartes<sup>156</sup> wyglądał na poczciwego kupca holenderskiego. Często, spotykając Montesquieu<sup>157</sup> z motyką na ramieniu, szlafmycą<sup>158</sup> na głowie, goście zjawiający się w la Brède brali go za prostego ogrodnika. Formy światowe, o ile nie są darem wysokiego urodzenia, wiedzą wyssaną z mlekiem lub przekazaną z krwią, stanowią przedmiot edukacji, którą los musi wspomagać pewną wytwornością kształtów, dystynkcją rysów, dźwiękiem głosu. Wszystkich tych ważnych drobiazgów zbywało Dawidowi, podczas gdy natura obdarzyła nimi jego towarzysza. Wraz ze szlachectwem wziął Lucjan po matce wysoko sklepioną stopę Franka<sup>159</sup>, podczas gdy Dawid Séchard miał płaskie nogi Welsza<sup>160</sup> i kark ojca swego, wyrobnika. Lucjan słyszał szyderstwa sypiące się na Dawida; zdawało mu się, że widzi uśmiech, jaki powściągnęłaby pani de Bargeton. Słowem, nie odczuwając wprost wstydu za swego brata, przyrzekał sobie nie poddawać się już w ten sposób pierwszemu popędowi i przedyskutować go na przyszłość. Tak więc po godzinie poezji i poświęcenia, po czytaniu, które świeżo ukazało dwom przyjaciółom gleby literackie oświetlone nowym słońcem, godzina polityki i jej rachub wybiła dla Lucjana. Wracając do Houmeau, żałował swego listu, byłby pragnął go cofnąć; dostrzegał bowiem przez szczelinę nieublagane prawa świata. Odgadując, jak bardzo zdobyta fortuna wspomaga ambicję, doznawał ciężkiego uczucia na myśl, iż trzeba mu będzie może cofnąć nogę z pierwszego szczebla drabiny, po której miał piąć się ku wielkości. Z kolei obrazy jego spokojnego i prostego życia, ozdobionego świeżymi kwiatami uczucia — ten Dawid pełen geniuszu,

<sup>152</sup>Focjon (z łac.), właśc. Fokion, zw. Dobrym (402–318 p.n.e.) — ateński wódz i polityk, ugodowy wobec Macedończyków, skazany przez Ateńczyków na śmierć za zdradę; oponent Demostenesa, który nazwał go siekierą swoich przemówień. [przypis edytorski]

<sup>153</sup>porać się — zмагаć się, walczyć; por. uporać się. [przypis edytorski]

<sup>154</sup>Racine, Jean Baptiste (1639–1699) — francuski poeta i dramaturg, autor m.in. *Andromachy* i *Fedry*. [przypis edytorski]

<sup>155</sup>Corneille, Pierre (1606–1684) — francuski dramaturg, autor tragedii klasycystycznych. [przypis edytorski]

<sup>156</sup>Descartes, René, pol.: Kartezjusz (1596–1650) — francuski fizyk, matematyk i filozof, prekursor europejskiej filozofii nowożytnej. [przypis edytorski]

<sup>157</sup>Montesquieu, Charles Louis de Secondat, baron de La Brède et de Montesquieu, pol. *Monteskiusz* (1689–1755) — francuski filozof i pisarz, teoretyk prawa, jeden z gł. przedstawicieli oświecenia; urodzony w zamku La Brède w pld.-zach. Francji. [przypis edytorski]

<sup>158</sup>szlafmyca (z niem.) — nakrycie głowy zakładane na noc, do snu. [przypis edytorski]

<sup>159</sup>Frankowie — lud germański, który w V w. opanował większość Galii i utworzył własne państwo, w szczytowym okresie, za panowania dynastii Karolingów, będące europejskim imperium (jego rozpad w 843 dał początek Francji, Niemcom i Włochom). Na terenach ob. Francji stopniowo zasymilowali się z ludnością galorzymską i ulegli romanizacji. [przypis edytorski]

<sup>160</sup>Welsz (fr. *Welche*, z niem. *Welsch*) — galijsko-romański dialekt języka lotaryńskiego, którym mówiono w zachodniej części Alzacji, w pobliżu granicy z Niemcami, obecnie zanikający; także: osoba z tego regionu. [przypis edytorski]

który go wspierał tak szlachetnie, który by oddał mu w potrzebie życie, matka, tak wielka dama w swoim poniżeniu, przypisująca mu tyleż dobroci, ile miał talentów, siostra, młoda dziewczyna urocza w swojej rezygnacji, jego dzieciństwo tak czyste i sumienne jeszcze nieskalane, nadzieje, których żaden wicher nie wysmażał — wszystko odkwitało w jego wspomnieniu. Powiadał sobie wówczas, że piękniej jest przebić zwarte bataliony ciżby arystokratycznej lub mieszczańskiej siłą powodzenia niż wybić się dzięki faworom kobiety. Geniusz jego zabłyśnie wcześniej czy później, jak geniusz tylu poprzedników, którzy opanowali społeczeństwo; wówczas kobiety będą go kochały! Przykład Napoleona, tak fatalny dla XIX wieku przez pretensje, jakie roznieca w tylu ludziach miernych, ukazał się Lucjanowi, który rzucił na wiatr swoje rachuby, wyrzucając je sobie. Taki był charakter Lucjana, przechodził od złego do dobrego, od dobrego do złego z jednaką łatwością. Zamiast miłości, jaką uczony ma dla swego schronienia, Lucjan doświadczał od miśnięcia uczucia wstydu, widząc sklep, nad którym jaśniał, żółtymi literami na zielonym tle, napis:

POSTEL, DAWNIEJ CHARDON  
APTEKA

Imię ojca wypisane tak w miejscu, gdzie przejeżdżały wszystkie powozy, raniło jego wzrok. Owego wieczora, w którym przekroczył bramę, ozdobioną drobną kratką w złym guście, aby pokazać się w Beaulieu, pomiędzy najwykwintniejszą młodzieżą górnego miasta, podając ramię pani de Bargeton, odczuł osobiście boleśnie rozdźwięk, jaki ujawnił mu się między tym mieszkaniem a jego sukcesem miłosnym.

„Kochać panią de Bargeton, posiadać ją może niebawem i mieszkać w tej szurzej jamie!” — mówił sobie, dążąc korytarzykiem do małego dziedzińca, gdzie liczne pakiety gotowanych ziół suszyły się rozłożone wzdłuż muru, gdzie uczeń czyścił kociołki apteczne, gdzie pan Postel, opasany fartuchem laboratoryjnym, z retortą<sup>161</sup> w dłoni, badał jakiś produkt chemiczny, równocześnie rzucając okiem w kierunku sklepu; jeżeli zaś przyglądał się zbyt bacznie preparatowi, ucho miał wyjęzione na dzwonek.

Zapach rumianku, mięty, destylatu rozlicznych ziół napępiał dziedziniec oraz skromny apartament, dokąd wchodziło się stromymi schodkami, które za całą poręcz posiadały dwa sznury. Jeszcze wyżej znajdowała się jedyna izdebka na strychu, gdzie mieszkał Lucjan.

— Jak się masz, urwisie — rzekł pan Postel, prawdziwy typ prowincjonalnego sklepiarza. — Jakże tam szacowne zdrówko? Co do mnie, właśnie dokończył doświadczenia nad melasą<sup>162</sup>, ale trzeba by na to waszego ojca, aby znaleźć to, czego szukam. To był człowiek całą głębią, świeć panie nad jego duszą! Gdybym był znał jego sekret na podagrę, obaj jeździlibyśmy dziś karetami!

Nie zdarzył się tydzień, aby aptekarz, równie głupi jak dobry człowiek, nie zadał pchnięcia sztyltem Lucjanowi, wspominając o nieszczytnej dyskrekcji, jaką ojciec jego zachował w kwestii swego odkrycia.

— To wielkie nieszczęście — odparł krótko Lucjan, któremu uczeń ojca zaczynał wydawać się straszliwie pospolity, mimo iż błogosławił go często: niejednokrotnie bowiem zacny Postel wspomagał wdowę i dzieci swego mistrza.

— Cóż tobie? — spytał pan Postel, kładąc epruwetkę<sup>163</sup> na stole laboratoryjnym.

— Czy nie przyszedł jakiś list do mnie?

— Ale owszem, i pachnie jak balsamy! Leży tam koło pulpitu, na ladzie.

List pani de Bargeton między słojami aptecznymi! Lucjan rzucił się w głąb sklepu.

— Spiesz się, Lucjanie! Obiad czeka od godziny, wystygnie zupełnie — zawołał miły, słodki głosik poprzez otwarte okno. Lucjan nie słyszał.

— Pani brat coś nie tego, panno Ewo — rzekł Postel, podnosząc głowę i przytykając znacząco palec do czoła.

Stary kawaler, dość podobny z wejrzenia do małej baryłki z wódką, na której fantazja malarza pomieściłaby szeroką czerwoną facjatę pocętkowaną ospą, przybrał, spoglądając

<sup>161</sup>retorta — narzędzie laboratoryjne używane do przeprowadzania procesu destylacji. [przypis edytorski]

<sup>162</sup>melasa — gęsty, ciemnobrunatny syrop, produkt uboczny przy wyrobieniu cukru. [przypis edytorski]

<sup>163</sup>epruwetka (daw., z fr.) — próbówka. [przypis edytorski]

na Ewę, minę ceremonialną i słodką, dowodzącą, iż nosił się z myślą zaślubienia córki swego poprzednika, nie mogąc wszelako uporać się z walką, jaką miłość i interes staczały w jego sercu. Toteż często powtarzał Lucjanowi to zdanie, które rzucił mu obecnie, kiedy młody człowiek przechodził obok niego:

— Ależ śliczna twoja siostrzyczka! Tobie także nic nie brakuje! Ojczulek wszystko robił galanto.

Ewa była słuszną brunetką, o czarnych włosach i niebieskich oczach. Mimo iż jawiła oznaki męskiego charakteru, była łagodna, tkliwa i skłonna do poświęceń. Jej niewinność, naiwność, spokojna rezygnacja, z jaką zносиła życie pochłonięte pracą, cnota jej, na którą nie targnęła się żadna obmowa, musiały oczarować Dawida Sécharda. Toteż od pierwszego widzenia wykwitła między nimi niema, głucha i prosta miłość, na sposób niemiecki, bez gwałtownych objawów ani niecierpliwych wyznań. Każde z dwojga myślało tajemnie o drugim, jak gdyby rozdzielał ich jakiś zazdrosny mąż, dla którego to uczucie byłoby zniewagą. Oboje kryli się przed Lucjanem, jakby mniemając, iż wyrządzają jakąś krzywdę. Dawid obawiał się, iż nie spodoba się Ewie, która ze swojej strony ulegała lękliwości związanej z ubóstwem. Prawdziwa zalotnica miała by śmiałość, ale dziecko starannie wychowane i zubożale dostrajało się do swego smutnego losu. Skromna z pozoru, dumna w rzeczywistości, Ewa nie chciała upęczać się za człowiekiem, który uchodził za bogatego. W tej chwili ludzie obznajmieni z rosnącą wartością ziemi szacowali na więcej niż osiemdziesiąt tysięcy posiadłość w Marsac, nie licząc terenów, jakie stary Séchard, wzbogacony oszczędnościami, szczęśliwy w zbiorach, zręczny w sprzedaży, miał zamiar do niej dołączyć, polując na sposobności. Dawid był może jedynym człowiekiem, który nie miał pojęcia o majątku ojca. Dla niego Marsac było folwarczyną nabytą w 1810 za piętnaście czy szesnaście tysięcy franków, gdzie bywał raz na rok w czasie winobrania i gdzie ojciec oprowadzał go po winnicach, chwając przed nim zbiory, których drukarz nie widział nigdy i o które troszczył się bardzo mało. Miłość uczonego nawykłego do samotności powiększała jeszcze uczucie, przesadzając sobie własną małość, i potrzebowała zachęty; dla Dawida bowiem Ewa była kobietą bardziej imponującą niż wielka dama dla pisarza adwokackiego. Niezgrabny i niespokojny przy swoim bóstwie, natychmiast po przybyciu gotujący się do odejścia, drukarz powściągał swoją miłość, zamiast ją wyrazić. Często wieczorem, ukuwszy jakiś pozór, aby się poradzić Lucjana, schodził z placu du Mûrier przez bramę Palet aż do Houmeau; ale dochodząc do zielonej bramy okratowanej żelazem, uciekał, lękając się, iż przybywa zbyt późno lub że wyda się natrętnym Ewie, która z pewnością już udała się na spoczynek. Mimo że ta wielka miłość wyrażała się jedynie w drobiazgach, Ewa zrozumiała ją dobrze; czuła się mile ujęta — mimo iż bez pychy — widząc się przedmiotem głębokiej czci zawartej w spojrzeniach, słowach, obejściu Dawida; ale największym powabem drukarza był jego fanatyzm dla Lucjana: odgadł najlepszy sposób spodobania się Ewie. Aby powiedzieć, w czym nieme słodcze tego uczucia różniły się od burzliwych namiętności, trzeba by je porównać do wiejskiego kwicia, w przeciwstawieniu do lśniących kwiatów ogrodowych. Były to spojrzenia słodkie i delikatne niby niebieskie lotosy pływające po wodzie, wrażenia ulotne jak słaby zapach eglantyny<sup>164</sup>, melancholie tkliwe jak aksamit mchów: kwiaty dwóch pięknych dusz, które rodzą się z ziemi bogatej, żywej, niezmiennej. Ewa niejednokrotnie już odgadła siłę ukrytą pod tą słabością; czuła tyle wdzięczności dla Dawida za jego nieśmiałość, że najlżejsze wydarzenie mogło sprowadzić bliższe zespolenie ich serc.

Lucjan zastał Ewę w otwartych drzwiach i nic nie mówiąc, usiadł przy małym stole wspartym na skrzyżowanych deskach, bez obrusa, na którym stało jego nakrycie. Biedne to gospodarstwo posiadało jedynie trzy srebrne nakrycia i Ewa używała ich wyłącznie dla ukochanego brata.

— Cóż ty tam czytasz? — rzekła, postawiwszy na stole półmisek, który zdjęła z ognia.

Lucjan nie odpowiedział. Ewa wzięła mały talerzyk wdzięcznie obłożony winnymi liśćmi i postawiła go na stole wraz z garnuszkiem pełnym śmietanki.

— Patrz, Lucjanie, dostałam dla ciebie poziomek.

Kobieta, Miłość

Miłość, Natura

<sup>164</sup>eglantyna (z fr.) — dzika różyczka. [przypis edytorski]

Lucjan tak zatopiony był w czytaniu, że nie słyszał. Wówczas Ewa usiadła koło niego, nie wydając najlżejszego szemrania; uczucie bowiem siostry do brata znajduje niezmierną przyjemność w jego bezceremonialnym obejściu.

— Ale cóż tobie? — wykrzyknęła, widząc łzy błyszczące w oczach brata.

— Nic, nic, Ewuś — rzekł, ujmując ją wpół, przyciągając do siebie, całując w czoło i we włosy, następnie w szyję, z zadziwiającą czułością.

— Kryjesz się przede mną?

— Więc słuchaj, kocha mnie!

— Wiedziałam, że to nie dla mnie te pocałunki — rzekła tonem dąsu biedna siostra, rumieniąc się.

— Będziemy wszyscy szczęśliwi — wykrzyknął Lucjan, połykając zupę wielkimi łyżkami.

— Będziemy? — powtórzyła Ewa.

Natchniona tym samym przecuciem, które ogarnęło Dawida, dodała:

— Będziesz nas mniej kochał!

— Jak możesz to przypuszczać, jeśli mnie znasz?

Ewa wyciągnęła doń rękę z żywym uściskiem; następnie sprzątnęła próżny talerz oraz glinianą wazkę i przsunęła potrawę przyrządzoną własnymi rękami. Zamiast jeść, Lucjan odczytał list pani de Bargeton, na który dyskretna Ewa nie spojrzała, tyle miała szacunku i względów dla brata: jeżeli chciał go jej udzielić, powinna czekać; jeżeli nie chciał, czy mogła wymagać? Czekala. Oto ów list:

List

Drogi przyjacielu, dlaczego miałabym odmówić Twemu bratu w wiedzy poparcia, jakiego użyczyłam Tobie? W moich oczach talenty mają równe prawa, ale nie są ci tajne przesady osób, które stanowią moje towarzystwo. Nie skłonimy do uznania szlachectwa ducha tych, którzy stanowią arystokrację nieuctwa. Jeżeli nie będę miała dość władzy, aby im narzucić pana Dawida Sécharda, uczynię ci chętnie ofiarę z tych mizernych ludzi. Będzie to niby starożytna hekatomba<sup>165</sup>. Ale, drogi przyjacielu, nie chciałbyś zapewne zmusić mnie, abym przebywała w towarzystwie osoby, której umysł albo obejście mogłoby mi się nie podobać. Twoje pochlebstwa pouczyły mnie, jak łatwo przyjaźń ulega zaślepieniu! Czy będziesz miał do mnie urazę, jeżeli przydam jedno zastrzeżenie do mej zgody? Chcę widzieć Twego przyjaciela, osądzić go, przekonać się osobiście, w interesie twojej przyszłości, czy się nie ludzisz. Czy to nie jest jedno z owych macierzyńskich starań, jakie winna mieć dla ciebie, mój drogi poeto,

*Luiza de Nègrepelisse?*

Lucjan nie wiedział, z jaką sztuką używa się w świecie słówka „tak”, aby dojść do „nie”, a „nie” do sprowadzenia „tak”. Ten list był dla niego triumfem. Dawid pójdzie do pani de Bargeton, zabył tam majestatem geniuszu. W upojeniu, jakie sprawiało mu zwycięstwo, dające mu wiarę w potęgę swego wpływu na ludzi, przybrał postawę tak dumną, tyle nadziei odbijało się na jego twarzy, opróżniając ją blaskiem, że siostra nie mogła się powstrzymać od powiedzenia mu, że jest piękny.

— Jeżeli taka jest, jak mówisz, ta pani musi cię bardzo kochać! W takim razie czeka ją dziś przykry wieczór, bo wszystkie kobiety będą cię wydzierały sobie. Piękny będziesz, Lucjanie, kiedy będziesz czytał swojego *Świętego Jana na Patmos*! Chciałabym być myszką, aby się tam wślizgnąć! Chodź, przygotowałam ci ubranie w pokoiku mamy.

Pokój ten nosił cechy schludnej i godnej nędzy. Było tam orzechowe łóżko przybrane białymi firaneczkami, u którego stóp rozciągał się chudy zielony dywanik. Komoda z blatem drewnianym, ozdobiona lustrem, oraz kilka krzeseł z orzecha dopełniały umeblowania. Na kominku zegar przypominał dni dawnego minionego dostatku. Okno zdobiły białe firanki. Ściany były obite szarym papierem w szare kwiatki. Podłoga, zapuszczona

Dom

<sup>165</sup>hekatomba (z gr.) — w staroż. Grecji ofiara składana bogom ze stu wołów; dziś także przen.: poświęcenie lub zagłada bardzo wielu ludzi. [przypis edytorski]

i farbowana przez Ewę, lśniła się od czystości. W środku pokoju stał stoliczek, gdzie na czerwonej tacy o złożonych różyczkach widniały trzy filiżanki i cukierniczka, z limuzyńskiej porcelany<sup>166</sup>. Ewa sypiała w przyległej alkówce, która zawierała wąskie łóżko, starą berzerkę<sup>167</sup> i stolik do roboty tuż pod oknem. Szczupłość tej marynarskiej kajuty wymagała, aby oszklone drzwi były wciąż otwarte dla powietrza. Mimo nędzy, jaka widniała w tych szczegółach, całość oddychała skromnością pracowitego życia. Dla tych, którzy znali matkę i dwoje dzieci, obraz ten przedstawiał wzruszającą harmonię.

Lucjan wiązał krawat, kiedy kroki Dawida rozległy się w małym dziedzińcu; równocześnie niemal pojawił się drukarz z miną człowieka, któremu spieszo przybyć.

— Zwycięstwo, Dawidzie — wykrzyknął ambitny chłopak — triumfujemy! Kocha mnie! Pójdiesz do niej.

— Nie — rzekł drukarz tonem zakłopotania — przychodzę ci podziękować za ten dowód przyjaźni, który mnie pobudził do poważnych zastanowień. Moje życie, Lucjanie, jest wytyczone. Jestem Dawid Séchard, drukarz królewski w Angoulême, którego imię wypisane jest na wszystkich murach u dołu afiszów. Dla osób tej kasty jestem rękodzielnikiem, przemysłowcem jeżeli wolisz, słowem, kupcem zagwoźdzonym w sklepie przy ulicy de Beaulieu, na rogu placu du Mûrier. Nie posiadam jeszcze ani majątku takiego Kellera, ani sławy Despleina: oto dwa rodzaje potęgi, której szlachta usiłuje jeszcze przeczyć, ale która, godzę się w tym z jej poglądami, niczym jest bez umiejętności życia i wykwintnej formy. Czym mogę usprawiedliwić to nagłe wywyższenie? Stałbym się przedmiotem szyderstwa zarówno mieszczan, jak szlachty. Co do ciebie, ty znajdujesz się w położeniu odmiennym. Prot nie jest zobowiązany do niczego. Pracujesz nad zdobyciem wiadomości niezbędnych dla twoich dzieł, możesz wytłumaczyć obecne zatrudnienie twoją przyszłością. Zresztą możesz jutro chwycić się czego innego, zacząć studiować prawo, dyplomację, wstąpić do urzędu. Słowem, nie jesteś ani zarejestrowany ani opatrzonej etykietką. Korzystaj z twojej dziewiczości społecznej, krocź sam i sięgaj po zaszczyty! Smakuj radośnie wszystkich rozkoszy, nawet tych, które dają próżność. Bądź szczęśliwy, ja będę się cieszył twoim powodzeniem, będziesz drugim mną. Tak, myśl moja pozwoli mi żyć twoim życiem. Dla ciebie festyny, blask świata i chybkie sprężyny jego intryg. Dla mnie surowe, pracowite życie przemysłowca i powolne prace wiedzy. Ty będziesz naszą arystokracją — rzekł, spoglądając na Ewę. — Kiedy będziesz się chwiał, znajdziesz moje ramie, aby cię podeprzeć. Jeżeli będzie ci trzeba uznać się na jakąś zdradę, będziesz się mógł schować w nasze serca, znajdziesz tam nieodmienną miłość. Protekcje, fawory, dobra wola ludzi, podzielone na dwie głowy, mogłyby się wyczerpać, szkodzilibyśmy sobie we dwóch; idź przodem, będziesz mnie holował, gdy będzie trzeba. Daleki od zazdrośczenia ci, poświęcam się tobie. To, coś zrobił dla mnie, ryzykując, iż stracisz twoją dobrodziejkę, twoją kochankę może, raczej niżbyś miał mnie opuścić, niżbyś miał mnie się zaprzeczyć, ta prosta rzecz, tak wielka, wiesz, Lucjanie, na zawsze związałyby mnie z tobą, gdybyśmy nie byli już jak dwaj bracia. Nie miej ani wyrzutów, ani zgryzoty, iż na pozór bierzesz lepszą część. Taki podział jest wedle mego smaku. Wreszcie gdybyś nawet sprawił mi nieco udręczeń, kto wie, czy nie będę zawsze twoim dłużnikiem?

Mówiąc te słowa, rzucił najtrwożliwsze spojrzenie ku Ewie, która miała oczy pełne łez, odgadywała bowiem wszystko.

— Wreszcie — rzekł do zdumionego Lucjana — ty jesteś zgrabny, masz ładną figurę, dobrze nosisz ubranie, wyglądasz na panicza w twoim niebieskim fraczku o żółtych guzikach i prostych nankinowych<sup>168</sup> spodniach; ja wyglądałbym wśród tych wszystkich ludzi na wyrobnika, byłbym niezgrabny, skrzepowany, mówiłbym głupstwa albo nic bym w ogóle nie mówił. Ty, aby uczynić zadość przesądowi nazwiska, możesz przybrać imię matki, kazać się nazywać Lucjanem de Rubempré; ja jestem i będę zawsze Dawidem Séchardem. Wszystko ci sprzyja, a wszystko mnie szkodzi w tym świecie. Stworzony jesteś, aby zdobyć w nim miejsce. Kobiety będą ubóstwiać twoją anielską twarz. Nieprawdaż, panno Ewo?

<sup>166</sup>limuzyńska porcelana — porcelana z miasta Limoges w zach. Francji. [przypis edytorski]

<sup>167</sup>berzerka — niski i szeroki fotel z wyścielanym, pełnym oparciem i siedzeniem, na którym kładziono poduszkę. [przypis edytorski]

<sup>168</sup>nankinowy — wykonany z nankinu, tj. gęstego płótna bawełnianego, przeważnie o barwie płowóżółtej, z którego od XIX w. wykonywano bieliznę i męskie spodnie. [przypis edytorski]

Pozycja społeczna

Przyjaźń, Poświęcenie

Lucjan skoczył Dawidowi na szyję i uściśkał go. Ta skromność przecinała wiele wątpliwości, wiele kłopotów. W jakim sposobie nie zdwoiłby swej czułości dla człowieka, który przez przyjaźń doszedł do tych samych refleksji, jakie jemu podyktowała ambicja? Obaj czuli, iż droga się wygładziła, serce ambitnego chłopca oraz jego przyjaciela wzbierało radością. Był to jeden z owych rzadkich momentów w życiu, kiedy wszystkie siły są łagodnie napięte, kiedy wszystkie struny drgają, wydając pełne tony. Ale ten rozsądek pięknej duszy potęgował jeszcze w Lucjanie skłonność, która popycha człowieka, aby wszystko odnosił do siebie. Wszyscy powiadamy, mniej albo więcej, jak Ludwik XIV: „Państwo to ja”. Bezwzględna czułość matki i siostry, poświęcenie Dawida, przyzwyczajenia, jakich nabral, widząc się przedmiotem tajemnych wysiłków tych trzech istot, dawały Lucjanowi wszystkie wady rozpieszczonego panicza, rodziły w nim ten egoizm, jaki pożera wysokie sfery, a który pani de Bargeton podsycala, zachęcając go, iżby zapomniał swoich zobowiązań wobec matki, siostry i Dawida. Jeszcze się to nie stało; ale czyż nie należało się lękać, iż rozciągając dokoła siebie krąg swojej ambicji, będzie zmuszony myśleć tylko o sobie, aby się w nim utrzymać?

Skoro minęło wzruszenie, Dawid zwrócił uwagę Lucjana, że jego poemat *Święty Jan na Patmos* jest może zanadto biblijny, aby go czytać wobec ludzi mało obeznanym z poezją apokaliptyczną<sup>169</sup>. Lucjan, który miał wystąpić wobec najtrudniejszej publiczności departamentu Charenty, wydał się niespokojny. Dawid poradził mu, aby wziął Andrzeja Chéniera i zastąpił przyjemność wątpliwą pewną rozkoszą. Lucjan czyta doskonale, spodoba się z pewnością i okaże skromność, która zapewne mu posłuży. Jak większość młodych ludzi, obaj przypisywali światowemu towarzystwu swoją inteligencję i swoje cnoty. Jeżeli młodość, która jeszcze nie zgrzeszyła, jest bez pobłażania dla błędów drugich, używa im także swoich wspaniałych wierzeń. Trzeba w istocie dobrze doświadczyć życia, zanim się uzna, iż wedle pięknego powiedzenia Rafaela<sup>170</sup>, „zrozumieć to znaczy dorównać”. Na ogół zmysł potrzebny do zrozumienia poezji rzadki jest we Francji, gdzie inteligencja wysusza rychło źródło świętych łez ekstazy, gdzie nikt nie chce podjąć trudu odcyfrowania rzeczy wzniosłych, zgłębiania ich dla zajrzenia w nieskończoność. Lucjan miał przeżyć pierwsze doświadczenie nieuctwa i chłodu świata, Wstąpił do Dawida, aby wziąć tomik poezji.

Młodość

Poezja

Skoro kochankowie zostali sami, Dawid uczuł się bardziej zakłopotany niż kiedykolwiek w życiu. Zdany na pastwę tysięcznych obaw, pragnął i obawiał się pochwały, byłby chciał uciec; i wstydlivość bowiem posiada swoją kokieterię! Biedny kochanek nie śmiał powiedzieć słowa, które by trąciło przymówką o podziękowanie; każdy wyraz zdawał mu się niebezpieczny; milczał tedy, zachowując wejrzenie zbrodniarza. Ewa, która odgadywała tortury tej skromności, bawiła się, przedłużając milczenie; ale kiedy Dawid skreślił kapelusze w ręce, aby odejść, uśmiechnęła się:

— Panie Dawidzie — rzekła — skoro pan wzgardził wieczorem u pani de Bargeton, moglibyśmy go spędzić razem. Ładnie jest, czy chce pan przejść się trochę wzdłuż Charenty? Pomówimy o Lucjanie.

Dawid miał ochotę upaść do stóp uroczej dziewczyny. Ewa zamknęła w tonie swego głosu nieoczekiwane nagrody; tkliwością akcentu rozwiązała trudności sytuacji; propozycja jej była więcej niż pochwałą; był to pierwszy podarek miłości.

— Tylko — rzekła, widząc gest Dawida — niech mi pan pozwoli kilka minut na przebranie się.

Dawid, który w życiu nie wiedział, co to jest aryjka, wyszedł, nucąc, co zdziwiło zanego Postela i zbudziło w nim silne podejrzenia co do stosunków Ewy i drukarza.

Najdrobniejsze okoliczności tego wieczoru wyryły niezatarty ślad w sercu Lucjana, tak skłonny do ulegania pierwszym wrażeniom. Jak wszyscy niedoświadczeni kochankowie, zjawił się tak wcześnie, że Luizy jeszcze nie było w salonie, pan de Bargeton znajdował się sam. Lucjan rozpoczął był już pierwsze kroki w tej szkole drobnych podłostek, którymi

<sup>169</sup>poemat „Święty Jan na Patmos” jest może zanadto biblijny, aby go czytać wobec ludzi mało obeznanym z poezją apokaliptyczną — Jan z Patmos (wyspa na M. Egejskim) jest autorem biblijnego *Objawienia św. Jana* (*Apokalipsy*); w tradycji chrześcijańskiej utożsamia się go z Janem Ewangelistą. [przypis edytorski]

<sup>170</sup>Rafael Santi (1483–1520) — włoski malarz, rysownik, architekt, jeden z najważniejszych twórców późnego renesansu. [przypis edytorski]



kochanek kobiety zameżnej kupuje swoje szczęście, a które dają kobietom miarę tego, co mogą odeń uzyskać; nigdy jednakże dotąd nie znalazł się oko w oko z panem de Bargeton.

Szlachcic ów odznaczał się ubóstwem umysłowym wahającym się pomiędzy nieszkodliwą nicością, która jeszcze jest w stanie coś zrozumieć, a wyniosłą głupotą, która nie chce niczego uznać ani niczemu się dać przekonać. Przejęty ważnością swoich obowiązków towarzyskich i pragnąc dla wszystkich być uprzejmy, przybrał, jako jedyną wymowę, nieschodzący mu z twarzy uśmiech. W dobrym czy złym humorze, niezmiennie się uśmiechał. Uśmiechał się, zarówno słysząc najsmutniejszą wiadomość, jak również gdy mu ktoś zwiastował jakieś szczęśliwe wydarzenie. Uśmiech ten starczył wszystkiemu, stosownie do wyrazu, jaki mu nadawał pan de Bargeton. Jeżeli trzeba było koniecznie bezpośredniego uznania, wzmacniał uśmiech uprzejmym głośnym śmiechem, decydując się na wydanie z siebie słowa jedynie w ostatniej konieczności. Pozostanie z kimś sam na sam przyprawiało go o jedyne zakłopotanie, jakie mąciło spokój jego wegetatywnego życia; wówczas bowiem zmuszony był szukać czegokolwiek w bezmiarze swej wewnętrznej próżni. Najczęściej wydobywał się z kłopotu, powracając do naiwnych obyczajów dziecięctwa: po prostu myślał głośno, wtajemniczał słuchacza w najdrobniejsze szczegóły swego życia; wypowiadał swoje potrzeby, swoje drobne wrażenia, które dla niego były czymś na kształt myśli. Nie mówił o deszczu ani o pogodzie; nie wpadał w te pospolite ogólniki, które stanowią ucieczkę głupców: przeciwnie, poruszał najbardziej poufne sprawy istnienia. — „Żona namówiła mnie dziś rano na cielęcinę, którą sama bardzo lubi, i dziwnie mi teraz nieswojo na żołądku. Wiem, że tak będzie, a zawsze dam się złapać; niech mi pan wytłumaczy coś podobnego?”. Albo: „Miałem właśnie zadzwonić, aby mi podano szklankę wody z cukrem, może i pan sobie życzy za jednym zachodem?”. Albo: „Jutro przejadę się konno, wybiorę się do teścia”. Te zwięzłe zdańka, które nie nastęrczały tematu do dyskusji, wrywały krótkie „tak” lub „nie” z ust gościa, po czym rozmowa upadała na płask. Wówczas pan de Bargeton żebrał pomocy interlokutora<sup>171</sup>, zwracając ku niemu swój nos opasłego mopsa; wytrzeszczał nań tępe oczy w sposób mający oznaczać: „I cóż pan powie?”. Nudziarzy lubiących rozprawiać o sobie ubóstwiał po prostu; przysłuchiwał się im z wyteżoną i pełną delikatności uwagą, która czyniła go w ich oczach tak cennym towarzyszem rozmowy, że gaduły z Angoulême przypisywały mu tajoną inteligencję i dopatrywały się niesprawiedliwości w powszechnym o nim sądzie. Toteż skoro im już zabrakło słuchaczy, szli kończyć swoje opowiadania lub wywody przed poczciwym szlachcicem, pewni, że spotkają się z pełnym uznania uśmiechem. W salonie żony, codziennie pełnym gości, czuł się pan de Bargeton wyśmienicie. Zajmował się najdrobniejszymi szczegółami: patrzył, kto wchodzi, witał nowo przybyłego z uśmiechem i prowadził go do żony; śledził tych, którzy zabierali się do odejścia, i odprowadzał ich do drzwi, odwzajemniając ich pożegnanie swoim wieczystym uśmiechem. Gdy wieczór był ożywiony i gdy już widział, iż każdy znajduje się przy swym zajęciu, szczęśliwy w swojej niemocie, wystawał jak bocian na długich nogach, udając, iż przysłuchuje się rozmowie politycznej, lub też przyglądał się kartom któregoś z graczy, nic nie rozumiejąc, ponieważ nie miał pojęcia o żadnej grze; wreszcie przechadzał się, zażywając tabakę i oddając się szczęśliwemu trawieniu. Anais stanowiła piękną stronę jego życia, dawała mu niesłychane rozkosze. Gdy robiła honory w salonie, wówczas wyciągał się w berżerce, podziwiając ją, ponieważ zdejmowała zeń ciężar rozmowy. Sprawiało mu przyjemność doszukiwanie się sensu jej odezwań; że zaś często chwycił go aż w długi czas po wypowiedzeniu zdania, pozwalał sobie na uśmiechy, które strzelały niby zagrzebane w ziemi i potracone nogą granaty. Szacunek jego dla żony dochodził zresztą aż do ubóstwienia; a czyż ubóstwienie czegokolwiek nie wystarcza dla szczęścia całego życia? Jako osoba rozumna i szlachetna, Anais nie nadużywała swojej przewagi, odgadłszy w mężu ową łatwą naturę dziecka, które niczego innego nie pragnie, jak tylko, aby nim kierowano. Nauczyła się dbać o niego tak, jak się dba na przykład o płaszcz; utrzymywała go czysto, czesała, karmiła, pielęgnowała; czując tę dbałość o siebie, pan de Bargeton nabrał dla żony psiego wprost przywiązania. Tak łatwo jest dawać szczęście, które nic nie kosztuje! Pani de Bargeton, nie widząc u męża innej słabości oprócz dobrego stołu, dawała mu znakomite obiady; miała dlań współczucie; nigdy się na niego nie skarżyła, tak iż ten

Głupiec

Żona, Szczęście

Żona, Mąż

<sup>171</sup>interlokutor (z łac.) — rozmówca. [przypis edytorski]

i ów, nie rozumiejąc, iż źródło milczenia leży w jej dumie, przypisywał panu de Bargeton jakieś ukryte przymioty. Ułożyła go zresztą niemal po żołniersku, tak iż człowiek ten ślepo poddawał się we wszystkim woli żony. Mówiła mu: „Trzeba, abys poszedł z wizytą do pana lub pani tej a tej”, i szedł natychmiast, jak żołnierz na posterunek. W jej obecności trzymał się nieruchomo, jak gdyby prezentując broń. W tej chwili była mowa o tym, aby przeprowadzić wybór niemowy na posła. Lucjan nie bywał w tym domu od dość dawna, aby mógł uchylić zasłonę, pod którą ukrywał się ów nieprawdopodobny charakter. Pan de Bargeton, zatopiony w swojej berżerze i zdający się wszystko widzieć i rozumieć, udrapowany godnością milczenia, zdawał mu się osobistością na wskroś imponującą. Zamiast uważać go słup granitowy, Lucjan uczynił zeń groźnego Sfinksa<sup>172</sup>, mocą tej skłonności, która ludziom obdarzonym wyobraźnią każe wszystko powiększać i wszystkiemu dawać życie; uważał tedy za potrzebne zabiegać się o jego łaski.

— Zjawiam się pierwszy — rzekł, kłaniając się z dozą uszanowania nieco większą od tej, do jakiej pocziwiec był przyzwyczajony.

— To dosyć naturalne — odpowiedział pan de Bargeton.

Lucjan przyjął te słowa jako zjadliwość zazdrosnego męża, zaczerwienił się i spojrzął w lustro dla nabrania równowagi.

— Pan mieszka w Houmeau — rzekł pan de Bargeton — a osoby, które mieszkają dalej, przybывают zawsze wcześniej niż te, które mieszkają blisko.

— Na czym to polega? — zapytał Lucjan, przybierając uprzejmą minę.

— Nie wiem — odparł pan de Bargeton, który już zapadł w swoją nieruchomość.

— Nie chciał pan nad tym pomyśleć — dodał Lucjan. — Człowiek zdolny uczynić spostrzeżenie, z łatwością znalazłby jego przyczynę.

— Ach — rzekł pan de Bargeton — przyczyny finalne! He, he!...

Lucjan począł wysilać mózg, aby podtrzymać rozmowę, która po tych słowach upadła.

— Pani de Bargeton zapewne się ubiera? — rzekł, drżąc z zawstydzienia głupotą tego zapytania.

— Tak, ubiera się — odparł mąż najnaturalniejszym tonem.

Lucjan podniósł oczy ku belkom sufitu pomalowanym na szaro, nie mogąc znaleźć jakiegoś zagajającego zdania; zarazem spostrzegł, nie bez przestachu, że mały wiszący świecznik ze starymi wisiorami z kryształu wyjęty był z osłaniającej gazy i opatrzony świecami. Meble były bez pokrowców, na czerwonym adamaszku widniały spłowiałe kwiaty. Te przygotowania zwiastowały, iż zebranie będzie niezwykle. W duszy poety poczęła się budzić wątpliwość co do stosowności własnego kostiumu: był w butach. Ze zdumieniem połączonym z obawą podszedł, aby obejrzeć wazon japoński zdobity konsolkę z girlandami, z czasów Ludwika XV; po czym przeląkł się, iż narazi się mężowi, nie starając się o jego względy, i postanowił próbować, czy pocziwiec nie ma jakiego konika, na którego by go można wsadzić.

— Pan rzadko wyjeżdża z miasta? — rzekł do pana de Bargeton, podchodząc ku niemu.

— Rzadko.

Znowu zapanowało milczenie. Pan de Bargeton śledził jak podejrzliwa kotka najmniejsze poruszenia Lucjana, który mącił jego spokój. Każdy z nich lękał się drugiego.

„Czyż miałby jakieś podejrzenia co do moich częstych wizyt? — pomyślał Lucjan. — Wydaje mi się jakiś bardzo niezyczliwy!”

W tej chwili, szczęśliwie dla Lucjana, z trudnością wytrzymującego niespokojne spojrzenia, jakimi pan de Bargeton obrzucał go, przechadzając się tam i z powrotem, stary służący, dzisiaj przybrany w liberię, oznajmił pana du Châtelet. Baron wszedł z całą swobodą, przywitał się przyjacielsko z Bargetonem, w stronę zaś Lucjana skierował lekkie skinienie głowy, które wówczas było w modzie, lecz które Lucjanowi wydało się lekceważące. Sykstus du Châtelet miał na sobie pantalon<sup>173</sup> olśniewającej białości, ze strzemiączkami, które utrzymywały je w formie. Trzewiki miał cienkie i lśniące, pończochy ze szkockiej nici. Na białej kamizelce zwieszał się czarny sznureczek przytrzymujący lornetkę. Czarny frak odznaczał się krojem i fasonem świadczącym o pochodzeniu paryskim. Cała postać

Moda, Strój

<sup>172</sup>*Sfinks* (mit. gr.) — skrzydlaty potwór o głowie kobiety i tułowiu lwa, zadający zagadki i pożerający tych, co nie umieli na nie odpowiedzieć; symbol tajemniczości, przenośnie: zagadkowa istota. [przypis edytorski]

<sup>173</sup>*pantalon* (z fr., daw.) — dziś: spodnie. [przypis edytorski]

usprawiedliwiała reputację pięknia i zdobywcy, ale wiek obarczył go już małym brzuszkiem, którego okrągłość z trudnością pozwalała się zaciskać w granicach elegancji. Baron malował włosy i faworyty<sup>174</sup> posiwiałe wśród trudów podróży, co nadawało mu wejrzenie nieco twarde. Cera jego, niegdyś bardzo delikatna, przybrała miedziany odcień, właściwy ludziom wracającym z Indii; bądź co bądź, cała postać, choć nieco śmieszna przez niestarzące się pretensje, zdradzała jednak ujmującego sekretarza do poszczególnych poruczeń jej Cesarskiej Wysokości. Ujął palcami lornetkę, obrzucił spojrzeniem nankinowe spodnie, trzewiki, kamizelkę, niebieski fraczek angulemskiego chowu, jakie miał na sobie Lucjan, słowem, całą osobę rywala. Następnie włożył lornetkę do kieszeni od kamizelki, jak gdyby chciał powiedzieć: „Jestem zadowolony”. Zmiażdżony w pierwszej chwili elegancją finansisty, Lucjan pomyślał, iż przyjdzie dlań chwila odwetu, gdy ukaże całemu zebraniu swoją twarz ożywioną tchnieniem poezji; niemniej jednak doświadczył w duszy żywego cierpienia, które wzmogło jeszcze ową wewnętrzną niepewność, spowodowaną mniemaną niechęcią pana de Bargeton. Baron zdawał się pragnąć przygnieść Lucjana całym ciężarem społecznej wyższości, aby tym bardziej upokorzyć jego nędzę. Pan de Bargeton, który liczył na to, iż teraz nie będzie się już potrzebował odezwać ani słowa, stropił się milczeniem, jakie zachowali obaj rywale, badając się wzrokiem; jednakże gdy już znajdował się w ostatecznym kłopotcie, miał jedno pytanie, które chował jako ostateczną deskę ratunku i które uznał za stosowne wyrzucić z siebie, przybierając minę pełną zainteresowania:

— I cóż, drogi panie — rzekł do pana du Châtelet — cóż tam nowego? Co mówią w świecie?

— Ależ — odparł ze złośliwą intencją dyrektor podatków — „coś nowego” to pan Chardon. Niech się pan zwróci do niego. Czy przynosi nam pan jaki ładny poemacik? — zapytał swobodnie baron, poprawiając pukiel starannie ułożonych włosów.

— Aby przekonać się, czy ma jaką wartość, powinien bym go przedłożyć pańskiej ocenie — odparł Lucjan. — Pan baron uprawiał poezję wcześniej ode mnie.

— Ba, jakichś kilka niezłych wodewilów skleconych dla rozrywki, jakieś okolicznościowe piosenki, romance, z których dopiero muzyka coś robiła, wreszcie sążniowa epistoła<sup>175</sup> do jednej z siostr *Buonapartego*<sup>176</sup> (niewdzięcznik!), to wszystko nie są jeszcze tytuły dla potomności!

W tej chwili pani de Bargeton ukazała się w całym blasku starannie wypielegnowanej toalety. Na głowie miała żydowski zawój ozdobiony wschodnią agrafą; gazowa szarfa, pod którą błyszczwały kamee<sup>177</sup> naszyjnika, okręcała się wdzięcznie koło szyi; suknia z wzorzysto malowanego muślinu, o krótkich rękawach, pozwalała jej odsłonić szereg bransoletek piętujących się na białych ramionach. Ten teatralny ubiór oczarował Lucjana. Pan du Châtelet posunął się w stronę królowej, zasypując ją ckliwymi komplementami, które wywołały na twarzy Luizy uśmiech zadowolenia, tak szczęśliwa była, że te pochwały spotykają ją w obecności Lucjana. Wymieniła tylko jedno spojrzenie z drogim poetą i odpowiedziała dyrektorowi podatków, raniąc go grzecznością, która odtrącała go na sto kroków.

Równocześnie zaczęły się zjawiać zaproszone osoby. Najpierw ukazał się biskup i wielki wikariusz<sup>178</sup>, dwie godne i uroczyście postacie, które tworzyły wybitny kontrast. Jego Dostojność był wysoki i chudy, towarzysz jego zaś krótki i tłusty. Obaj mieli oczy błyszczące, jednakże biskup był blady, zaś policzki wielkiego wikariusza tryskały rumieńcem zdrowia. Obaj odznaczeni umiarkowaniem gestów i poruszeń, wydawali się bardzo ostrożni; wstrzemięźliwość ich i milczenie miało w sobie coś onieśmielającego; uchodzili w okolicy za bardzo tęgie głowy.

<sup>174</sup>faworyty (daw.) — baczki, bokobrody. [przypis edytorski]

<sup>175</sup>epistoła — daw.: list; przen. długi, nudny list. [przypis edytorski]

<sup>176</sup>Buonaparte — prawdziwe brzmienie nazwiska cesarza Napoleona Bonapartego, który urodził się na Korsyce w szlacheckiej rodzinie pochodzenia włoskiego i zmienił nazwisko w wieku 27 lat; pierwotne brzmienie było używane przez jego wrogów dla wyrażenia pogardy dla obcego, który koronował się na władcę Francji. [przypis edytorski]

<sup>177</sup>kamea (z wł.) — ozdoba z kamienia szlachetnego lub półszlachetnego z płaskorzeźbą. [przypis edytorski]

<sup>178</sup>wielki wikariusz — tu: generalny wikariusz, duchowny wyznaczony przez biskupa diecezjalnego do pomocy w zarządzaniu całą diecezją jako jego pełnomocnik. [przypis edytorski]

Tuż za dwoma księżmi wkroczyła pani de Chandour i jej mąż, niezwykle osobistości, które mogłyby się wydać czystym wymysłem ludziom nieznaną prowincji. Mąż Amelii, kobiety, która występowała jako antagonistka pani de Bargeton, pan de Chandour, nazywany krótko Stanisławem, był to młody (niegdyś) człowiek, jeszcze szczupły w czterdziestym piątym roku, o twarzy z dziurkami jak sito. Krawat miał zawsze zawiązany w ten sposób, iż przedstawiał dwa groźnie sterczące ostrza, jedno na wysokości prawego ucha, drugie pochylone ku czerwonej wstążeczce Legii<sup>179</sup>. Kłapy u fraka były szeroko odgięte. Kamizelka, bardzo otwarta, odsłaniała koszulę wzdętą, nakrochmaloną, zapiętą o wiele za bogatymi i przeciążonymi guzikami. Słowem, cały ubiór odznaczał się przesadą, która nadawała mu takie podobieństwo do karykatury, iż widząc go, obcy nie mogli się wstrzymać od uśmiechu. Stanisław spoglądał ciągle po sobie od góry do dołu z pewnym zadowoleniem, sprawdzając liczbę guzików u kamizelki, śledząc faliste linie, jakie rysowały obcisłe majtki, pieszcząc swoje łydki spojrzaniem, które zatrzymywało się miłośnie na końcach bucików. Gdy przestawał się tak oglądać, oczy jego szukały lustra; badał, czy włosy są dość starannie ułożone, spoglądał po kobietach okiem pełnym zadowolenia z siebie, wkładając palec do kieszeni od kamizelki, przeginając się w tył i ustawiając się w „trzech czwartych”. Wszystkie te pozy koguta zapewniały mu powodzenie w arystokratycznym towarzystwie, w którym uchodził za model męskiej piękności. Rozmowa jego naszpikowana była przeważnie pieprznymi aluzjami, modą XVIII wieku. Ta nieznośna maniera czyniła go dość mile widzianym w towarzystwie kobiet: bawiły je te koncepcje. Pan du Châtelet zaczynał budzić w nim pewien niepokój. W istocie, zaintrygowane obojętnością pięknego podatka, pobudzone tonami dającymi do zrozumienia, iż niepodobieństwem<sup>180</sup> byłoby chcieć go wyprowadzić z obojętności, podrażnione wreszcie pozami znudzonego sultana, kobiety zabiegały się o niego żywiej jeszcze niż zaraz po przybyciu, odkąd pani de Bargeton zajęta była swoim angulemskim Byronem.

Strój

Fircyk

Amelia była to nieduża kobietka, o tonach niezręcznie komedianckich, pulchna, biała, z czarnymi włosami, przesadna, głośna, pozująca swą główkę obładowaną piórami w lecie, kwiatami w zimie; lubująca się w wymowie, niezdolna wszelako dokończyć zdania bez akompaniamentu gwizdu starannie tajonej astmy.

Pan de Saintot, nazywany Astolfem, prezes Towarzystwa Rolniczego, człowiek rumiany, wysoki i zażywny, wkroczył prowadzony przez żonę, dosyć podobną do gałęzi zasuszonej paproci; zwano ją Lili, skrócenie Elizy. Imię to, które nastroczało pojęcie czegoś dziecinnego, kłóciło się z usposobieniem i wzięciem pani de Saintot, kobiety uroczystej, nadzwyczaj pobożnej, karciarki namiętnej i zgryźliwej. Astolf uchodził za głowę naukową pierwszego rzędu. Mimo iż ignorant dziewiątej próby, wypocił wszelako artykuły *Cukier* i *Spirytus* w słowniku rolniczym, które to płody swego ducha złupił po kawałku we wszystkich artykułach dzienników i dawnych dziełach, gdzie była mowa o tych dwóch produktach. Cały departament wierzył, iż pracuje on nad traktatem o nowożytnej uprawie roli. Mimo iż spędzał całe rano zamknięty w gabinecie, nie napisał jeszcze ani dwóch stron w ciągu dwunastu lat. Jeśli ktoś go zaszedł, przyjmował go, przewracając w papierach, szukając zarzuconej notatki lub też zacinając pióro; ale czas, jaki spędzał w gabinecie, schodził mu na głupstwa: czytał pomalutko dziennik, wycinał scyzorykiem figurki z korka, rysował fantastyczne figury na bibule, przerzucał Cyncerona<sup>181</sup>, aby wyłowić zeń jakieś zdanie lub ustęp, którego treść dałaby się zastosować do bieżących wydarzeń; następnie, wieczór, siłił się sprowadzić rozmowę na przedmiot pozwalający mu powiedzieć: „Jest w Cynceronie strona, o której można by myśleć, iż napisał ją z myślą o tym, co się dzieje dzisiaj”. Po czym recytował ustęp, ku wielkiemu zdumieniu słuchaczy, którzy powtarzali między sobą: „Doprawdy, Astolf to istna studnia wiedzy”. Osobliwy fakt obiegał całe miasto i podtrzymywał pochlebne mniemania o panu de Saintot.

Pozory

Po tej parze wszedł pan de Bartas, zwany Adrianem, człowiek, który śpiewał basowe arie i miał ogromne pretensje do muzyki. Miłość własna uczyniła go niewolnikiem

Muzyka

<sup>179</sup> *Legia Honorowa* — najwyższy order francuski, ustanowiony przez Napoleona I w 1802 r. [przypis edytorski]

<sup>180</sup> *niepodobieństwo* (daw.) — coś niemożliwego a. nieprawdopodobnego. [przypis edytorski]

<sup>181</sup> *Cynceron*, właśc. *Marcus Tullius Cicero* (106–43 p.n.e.) — najwybitniejszy mówca rzymski, filozof, polityk, pisarz. [przypis edytorski]

solfedzia<sup>182</sup>: zaczął od podziwiania samego siebie w śpiewie, następnie jął<sup>183</sup> rozprawiać o muzyce, a w końcu wyłącznie się nią zajmować. Sztuka muzyczna stała się u niego rodzajem monomanii; ożywał się jedynie, mówiąc o muzyce; będąc gdzieś na wieczorze, przechodził męki, dopóki nie poproszono go, aby zaśpiewał. Z chwilą gdy raz odryczał swoją arię, zaczynało się dla niego życie: nadymał się, prostował na obcasach, przyjmując komplementy, robił skromne minki; mimo to przechodził od grupy do grupy, aby uszczknąć daninę pochwał; następnie, skoro temat się wyczerpał, powracał do muzyki, podnosząc dyskusję na temat trudności swojej arii lub wychwalając kompozytora.

Pan Alexander de Brebian, mistrz sepii, rysownik, który zanieczyszczał pokoje przyjaciół swymi niezdarnymi płodami i zapaskudzał albumy całego departamentu, wszedł razem z panem de Bartas. Każdy z nich prowadził pod rękę żonę przyjaciela. Wedle relacji skandalicznej kroniki miejscowej, transpozycja<sup>184</sup> ta była zupełna. Dwie kobiety, Lolotka (pani Karolina de Brebian) i Fifinka (pani Józefina de Bartas), w jednakim stopniu zaprzątnięte problemami chusteczki, garnituru, doboru paru klójących się kolorów, pragnęły za każdą cenę uchodzić za paryżanki i zaniedbywały dom, gdzie wszystko szło bezładu i składu. O ile obie żony, wciśnięte jak lalki w suknie sporządzone tanim kosztem, stanowiły obraz kolorów krzycząco jaskrawych, mężowie ich, w charakterze artystów, pozwalali sobie na prowincjonalne zaniedbanie, które czyniło z nich zjawisko istotnie osobliwe. Zużyte i pomięte suknie dawały im wejście komparsów<sup>185</sup>, jacy w małych teatrzykach przedstawiają wytworne towarzystwo sproszone na wesele.

Pomiędzy figurami, jakie wpłynęły do salonu, jedną z najbardziej oryginalnych była postać hrabiego de Senonches, arystokratycznie nazywanego Jakubem. Był to wielki myśliwiec<sup>186</sup>, wysoki, suchy, o ogorzalej cerze, ujmujący jak niedźwiedź, nieufny jak Weneccjanin, zazdrosny jak Maur<sup>187</sup>, i żyjący w doskonałym porozumieniu z panem du Hautoy, inaczej zwanym Francis, przyjacielem domu.

Pani de Senonches (Zefiryra) była to osoba postawna i ładna, ale o twarzy już pocętkowanej ostrością krwi, dzięki której uchodziła za kobietę wymagającą. Wiotka jej kibić<sup>188</sup>, delikatne kształty pozwalały jej przybierać omdlewające pozy, które trąciły afekcją, ale które stanowiły świadectwo zawsze zadowolanych kaprysów osoby kochanej.

Francis był to mężczyzna dość dystyngowany, który porzucił konsulat w Walencji i nadzieje kariery dyplomatycznej, aby zagrzebać się w Angoulême obok Zefiryry, inaczej zwanej Zizynką. Dawny konsul troszczył się o dom, zajmował wychowaniem dzieci, uczył je obcych języków, zarządzał majątkiem obojga państwa de Senonches z bezwzględnym poświęceniem. Angoulême pańskie, Angoulême urzędowe, Angoulême mieszczańskie długo komentowało tę doskonałą jedność stadła<sup>189</sup> w trzech osobach; ale z biegiem czasu ta tajemnica trójcy małżeńskiej wydała się tak rzadka i ładna, iż pan du Hautoy ściągnąłby na siebie opinię człowieka głęboko niemoralnego, gdyby objawił chętkę ożenienia się. Poza tym zaczęto podejrzewać niepokojące tajemnice w nadzwyczajnym przywiązaniu pani de Senonches do chrześniaczki, noszącej nazwisko panny de la Haye, która bawiła przy niej jako panna do towarzystwa, i mimo pozornych niepodobieństw wypływających z dat, znajdowano uderzające podobieństwo pomiędzy Franciszką de la Haye a panem Franciszkiem du Hautoy. Kiedy Jakub polował w okolicy, każdy pytał go o nowiny o Franiu, on zaś opowiadał o drobnych niedomaganiach swego dobrowolnego intendenta, okazując większą pieczołowitość o niego niż o żonę. Zaślepienie to wydawało się tak osobliwe u człowieka zazdrosnego z natury, że najlepsi przyjaciele pana de Senonches bawili się wyciąganiem go na słówka, objaśniając rzecz tym, którzy nie znali tajemni-

Strój

<sup>182</sup>solfedzio, częściej: solfèż (z wł. *solfeggio*) — czytanie nut głosem, podstawowe ćwiczenie w nauce śpiewu. [przypis edytorski]

<sup>183</sup>jął (daw.) — zacząć. [przypis edytorski]

<sup>184</sup>transpozycja — tu: zamiana, przestawienie. [przypis edytorski]

<sup>185</sup>kompars (daw., z fr.) — aktor występujący w roli drugoplanowej, statysta. [przypis edytorski]

<sup>186</sup>myśliwiec (daw.) — myśliwy. [przypis edytorski]

<sup>187</sup>zazdrosny jak Maur — odniesienie do postaci Maura Otella, tytułowego bohatera sztuki Szekspira, który powodowany obsesyjną zazdrością udusił swoją żonę, Desdemonę; Maurowie to europejska nazwa na określenie muzułmańskich mieszkańców Płw. Iberyjskiego i pln.-zach. Afryki, z pochodzenia w większości Berberów (rdzennych mieszkańców Afryki Płn.). [przypis edytorski]

<sup>188</sup>kibić (daw.) — talia. [przypis edytorski]

<sup>189</sup>stadło (daw.) — małżeństwo, związek małżeński; para małżeńska. [przypis edytorski]

cy, aby im dostarczyć zabawy. Pan du Hautoy był to wymuskany dandys<sup>190</sup>, u którego dbałość o własną osobę wyrodziła się w mizdrzenie i dzieciństwo<sup>191</sup>. Zajmował się swoim kaszlem, snem, trawieniem. Zefiryra doprowadziła swoje factotum<sup>192</sup> do tego, iż naprawdę zrobił się chorowity: otulała go w watę, spowijała, opychała lekarstwami; karmiła go wyszukаныmi potrawami jak pieska salonowego; nakazywała mu lub wzbraniała taką lub inną potrawę; haftowała mu kamizelki, fontazie<sup>193</sup> i chustki do nosa; przyzwyczała go w końcu do noszenia tak ładnych rzeczy, iż przekształciła go w rodzaj japońskiego bóstwa. Panowała pomiędzy tą parą harmonia bez najlżejszej chmurki: Zizynka spoglądała co chwilę na Frania, Franio zaś zdawał się czerpać myśli w oczach Zizynki. Ganili, uśmiechali się razem, zdawali się porozumiewać z sobą dla powiedzenia najprostszego „dzień dobry”.

Najbogatszy właściciel ziemski okolicy, człowiek będący przedmiotem powszechnej zazdrości, margrabia de Pimentel, i jego żona, którzy we dwoje reprezentowali czterdzieści tysięcy franków renty i spędzali zimę w Paryżu, przybyli ze wsi kareta wraz ze swymi sąsiadami, baronostwem de Rastignac. Tym ostatnim towarzyszyła ciotka baronowej oraz córki, dwie urocze młode osoby, doskonale wychowane, biedne, ale ubrane z tą prostotą, która tak podnosi naturalną urodę. Wejściu tych osób, które były niewątpliwie elitą zebrania, towarzyszyło chłodne milczenie i pełne zazdrości uszanowanie, zwłaszcza gdy każdy zauważył wyróżniające powitanie, jakim przyjęła ich pani de Bargeton. Te dwie rodziny należały do niewielkiej ilości ludzi, którzy na prowincji trzymają się powyżej plotek, nie mieszają do żadnej koterii, żyją w zacisznym ustroniu i zachowują godność nakazującą szacunek. Pana de Pimentel i pana de Rastignac nazywano wedle ich tytułów; żadna poufałość nie łączyła ich żon ani córek z wielkim światem Angoulême; zanadto blisko znajdowali się arystokracji dworu, aby zniżyć się do prowincjonalnych małostek.

Prefekt i generał zjawili się na końcu, w towarzystwie szlachcica wiejskiego, który tegoż samego dnia rano przyniósł Dawidowi swój memoriał o jedwabnikach. Był to z pewnością mer jakiegoś kantonu, człowiek zamożny i poważany, ale ubiór jego i wzięcie zdradzały, iż zupełnie odwykł od towarzystwa. Czuł się skrępowany w swoim ubraniu, nie wiedział, co zrobić z rękami, mówiąc, kręcił się dokoła interlokutora, podnosił się z krzesła i siadał, odpowiadając na pytanie, zdawał się gotów do oddawania posług domowych; był kolejno natrętny, niespokojny, poważny, skwapliwie śmiał się z każdego żartu, słuchał ze służalczym nabożeństwem, to znowu przybierał wyraz podejrzliwy, myśląc, iż sobie drwią z niego. Kilka razy w ciągu wieczoru, rozpierany swoim memoriałem, usiłował mówić o jedwabnikach, ale nieszczęśliwy pan de Séverac trafił na pana de Bartas, który mu odpalił muzyką i na pana de Saintot, który mu przytoczył Cycerona. Gdzieś w połowie wieczoru biedny mer doszedł w końcu do porozumienia z jakąś wdową i jej córką, paniami du Brossard, nie najmniej interesującymi figurami tego zgromadzenia. Jedno słowo określi wszystko: były równie ubogie, jak dobrze urodzone. Ubiór ich zdradzał tę pretensję do stroju, która osłania tajoną nędzę. Pani du Brossard wychwalała bardzo niezręcznie i przy każdej sposobności swoją roślą i pulchną córeczkę, liczącą dwadzieścia siedem lat, która uchodziła za biegłą fortepianistkę; przypisywała jej oficjalnie wszystkie upodobania ludzi mogących być kandydatami do małżeństwa. W pragnieniu ustalenia losu ukochanej Kamilli twierdziła, jednego i tego samego wieczoru, że Kamilla lubi koczownicze życie garnizonów i spokojne życie gospodarza wiejskiego, pilnującego zagrody. Obie zachowywały obrażoną, słodko-kwaśną godność osób, nad którymi każdy z przyjemnością ubolewa, którymi ludzie interesują się przez egoizm i które zgłębiły pustkę pocieszających słówek, jakimi świat lubi częstować nieszczęśliwych. Pan de Séverac miał pięćdziesiąt dziewięć lat, był wdowcem i bezdzietnym; matka i córka słuchały tedy z nabożnym podziwem szczegółów, jakich udzielał im co do swego gospodarstwa.

<sup>190</sup>dandys — mężczyzna przesadnie zwracający uwagę na strój i formy towarzyskie. [przypis edytorski]

<sup>191</sup>dzieciństwo (daw.) — dziś: dziecinada; postępowanie dziecinne, właściwe dzieciom, a nie dojrzałym ludziom. [przypis edytorski]

<sup>192</sup>factotum (łac. *fac totum*: rób wszystko) — zaufana osoba, wypełniająca wszelkie polecenia. [przypis edytorski]

<sup>193</sup>fontaż (z fr.) — fantazyjna, luźna kokarda noszona pod szyją przez mężczyzn, rodzaj dawnego krawata. [przypis edytorski]

— Córka zawsze lubiła zwierzęta — rzekła matka. — Toteż, ponieważ jedwab, jaki wyrabiają te małe bydłatka, interesuje kobiety, poproszę pana o pozwolenie odwiedzenia go w Séverac dla pokazania Kamilli, w jaki sposób to się zbiera. Kamilla jest tak inteligentna, że w jednej chwili zrozumie wszystko, co pan jej powie. Przecież ona kiedyś rozumiała odwrotny stosunek kwadratu odległości!

Zdanie to zakończyło chlubnie rozmowę pomiędzy panem de Séverac a panią du Brossard, po lekturze Lucjana.

Kilku codziennych gości w mieszało się swobodnie w zgromadzenie; przybyło także paru młodych obywatelskich synków, nieśmiałych, milczących, wystrojonych jak monstrancje, szczęśliwych, iż zaproszono ich na tę literacką uroczystość. Najśmielszy z nich rozzuchwalił się tak dalece, iż wdał się w dłuższą rozmowę z panną de la Haye. Wszystkie kobiety zasiadły poważnie kołem, za którym mężczyźni trzymali się stojąco. To zebranie ekscentrycznych osobistości, o najróżnorodniejszych kostiumach, o grubo malowanych twarzach, wydało się bardzo imponujące Lucjanowi, którego serce poczęło bić, gdy ujrzał się przedmiotem tylu spojrzeń. Jakkolwiek z natury śmiały, niełatwo wytrzymał tę pierwszą próbę, mimo zachęty ze strony swej uwielbianej, która rozwinęła całe bogactwo ukłonów i najbardziej wyszukanych gracji, przyjmując te znamienite szczyty angulemskiego świata. Gnębiące uczucie zakłopotania wzrosło jeszcze wskutek okoliczności łatwej do przewidzenia, ale która musiała zmrozić młodego człowieka, jeszcze nie obytego z taktyką świata. Lucjan, cały zmieniony we wzrok i słuch, słyszał, iż Luiza, pan de Bargeton, biskup i kilka osób zaufanych pani domu nazywają go panem de Rubempré, reszta zaś tej tak groźnej publiczności — panem Chardonem. Onieśmielony pytającymi spojrzeciami ciekawych, przeczłował dźwięk swego mieszczańskiego nazwiska po samym ruchu warg; odgadywał z góry powzięte sądy, jakie wydawano o nim z tą prowincjonalną szczerością, często zanadto bliską grubiaństwa. Te ustawiczne niespodziane ukłucia szpilką uczyniły go jeszcze bardziej nieswoim. Czekał z niecierpliwością chwili rozpoczęcia lektury, aby zająć rolę, która by uciszyła jego wewnętrzną torturę; ale Jakub opowiadał pani de Pimentel wypadki ostatniego polowania; Adrian zapuścił się z panną Laurą de Rastignac w rozmowę o nowej gwiazdzie muzycznej, Rossinim<sup>194</sup>; Astolf, który nauczył się z dziennika na pamięć opisu nowego pluga, wykladał go baronowi. Nie wiedział Lucjan, biedny poeta, iż żaden z tych mózgow, wyjąwszy panią de Bargeton, nie był zdolny zrozumieć poezji. Wszystkie te osoby, pozbawione wrażeń, zbiegły się tu, ludząc same siebie co do charakteru widowiska, jakie ich czekało. Istnieją słowa, które na kształt trąb i cymbałów budy jarmarcznej zawsze przyciągają publiczność. Słowa „piękno”, „sława”, „poezja” mają czar, który pociąga nawet najgrubsze<sup>195</sup> umysły. Skoro wszyscy się zebrali, kiedy ustały rozmowy, nie bez mnóstwa upomnień rozdzielanych niesfornym przez pana de Bargeton, którego żona wysłała niby szwajcara<sup>196</sup> uderzającego w kościele laską o posadzkę, Lucjan zasiadł przy okrągłym stole, w pobliżu pani de Bargeton, z uczuciem gwałtownego wstrząśnienia duszy. Oznajmił niepewnym głosem, iż aby nie zawieść niczyjego oczekiwania, odczyta świeżo odnalezione arcydzieła nieznanego wielkiego poety. Mimo iż poezje Andrzeja de Chéniera ukazały się w roku 1819, nikt w Angoulême nie słyszał jeszcze tego nazwiska. Każdy dopatrywał się w tej zapowiedzi sztuczki wymyślonej przez panią de Bargeton dla oszczędzenia miłości własnej poety i zostawienia słuchaczom swobody. Lucjan przeczytał najpierw *Młodego chorego*, przyjętego pochlebny szmerem, następnie *Ślepeca*, który to poemat wydał się tym tępych duszom zbyt długi. Podczas czytania Lucjan doznawał owej piekielnej męczarni, rozumiałej w pełni jedynie wybitnym artystom lub tym, których siła entuzjazmu i wysoka inteligencja wznoszą na ich poziom. Aby poezję oddać głosem, jak również aby ją odczuć, potrzeba na to religijnego skupienia. Musi wytworzyć się pomiędzy czytelnikiem a słuchaczami wewnętrzne porozumienie, bez którego elektryczne zetknięcia uczuć nie mogą mieć miejsca. Jeśli brakuje tego zespolenia dusz, wówczas poeta znajduje się w położeniu anioła, który próbuje śpiewać hymn niebiański pośród chichotu piekieł. Owóż w sferze, w której rozwijają się ich zdolności, bogato obdarzeni ludzie posiadają ów okrężny wzrok ślimaka, węch psa i ucho kreta;

Poezja

<sup>194</sup>Rossini, *Gioachino Antonio* (1792–1868) — włoski kompozytor operowy. [przypis edytorski]

<sup>195</sup>gruby (daw.) — prostacki, prymitywny. [przypis edytorski]

<sup>196</sup>szwajcar (daw.) — umundurowany sługa kościelny pilnujący porządku podczas nabożeństw i procesji. [przypis edytorski]

widzą, czują, rozumieją wszystko dokoła siebie. Muzyk i poeta równie szybko odczuwają podziw lub brak zrozumienia, jak roślina usycha lub odżywa w atmosferze przyjaznej lub wrogiej. Szmery mężczyzn, którzy przybyli tutaj jedynie przez wzgląd na swoje damy i którzy szeptali z sobą o interesach, odbijały się w uszach Lucjana mocą tej specjalnej akustyki, tak samo jak widział zachęcające rozdziawienia szczęk rozwartych gwałtownym ziewaniem i urągających mu szeregiem zębów. Kiedy, podobny do owego gołębia w czas potopu, szukał przyjaznego kącika, gdzieby jego spojrzenie mogło się zatrzymać, spotykał zniecierpliwione oczy ludzi, którzy mieli widocznie zamiar skorzystać z tego zebrania, aby pomówić między sobą o jakichś konkretnych sprawach. Z wyjątkiem Laury de Rastignac, dwóch lub trzech młodych ludzi i biskupa, wszyscy obecni nudzili się. Niewątpliwie ci, którzy rozumieją poezję, starają się rozwinąć w duszy to, co autor pomieścił w zarodku w swoich wierszach; ale ci lodowaci słuchacze, dalecy od wdychania duszy poety, nie słuchali nawet jego akcentów. Lucjan uczył tedy tak głębokie zniechęcenie, iż zimny pot oblał mu koszulę. Płomienne spojrzenie, rzucone przez Luizę, do której się obrócił, dało mu odwagę dokończyć, ale serce poety krwawiło się tysiącem ran.

— Cóż, bardzo się bawisz, Fifinko? — rzekła do sąsiadki sucha Lili, która oczekiwała, zdaje się, sztuk łamanych.

— Nie pytaj, duszko; kiedy słyszę czytanie, natychmiast oczy mi się kleją.

— Mam nadzieję, że Nais nie zechce nas zbyt często karmić wierszami wieczorem — rzekł Franio. — Kiedy słucham czytania po obiedzie, wyłączenie uwagi, do jakiego jestem zmuszony, fatalnie wpływa na moje trawienie.

— Biedny kiciuś — rzekła po cichu Zefiryra — napij się wody z cukrem.

— Dobrze recytuje — rzekł Aleksander — ale i tak wolę wista.

Słyszając tę uwagę, którą przyjęto jako dowcip ze względu na angielskie znaczenie słowa<sup>197</sup>, zwolenniczki kart zauważyły, iż deklamator potrzebuje wypoczynku. Pod tym pretekstem jedna czy dwie pary wymknęły się do buduaru<sup>198</sup>. Lucjan, ubłagany przez Luizę, przez uroczą Laurę de Rastignac i biskupa, obudził uwagę słuchaczy dzięki werwie kontrrewolucyjnych *Jambów*, które wiele osób, porwanych gorącą deklamacją, oklaskiwało, nie rozumiejąc. Na tego rodzaju ludzi działa podniesiony głos, jak na grube podniebienia ostrość mocnego trunku. Podczas gdy podawano lody, Zefiryra posłała Frania, aby obejrzał tomik, i udzieliła sąsiadce swej, Amelii, wiadomości, że wiersze, które czytał Lucjan, są drukowane.

— Ależ — odparła Amelia z widoczną błogością — to bardzo proste, przecież pan de Rubempré pracuje u drukarza. To tak — rzekła spoglądając na Lolotę — jak gdyby ładna kobieta sama sobie szyła suknie.

— Sam wydrukował swoje poezje — obieгло szeptem wśród kobiet.

— Dlaczegoż nosi tedy nazwisko pana de Rubempré? — spytał Jakub. — Skoro szlachcic pracuje własnymi rękami, powinien wówczas zrzec się nazwiska.

— On też w istocie porzucił swoje, które było gminne — rzekła Zizyna — i przybrał nazwisko matki, szlachcianki z domu.

— Skoro jego wiersze — rzekł Astolf — są drukowane, możemy je przeczytać i sami.

Na tych niedorzecznościach utknęła rozmowa, aż wreszcie pan du Châtelet raczył objaśnić to zebranie nieuków, iż zapowiedź nie była osłonką retoryczną i że te piękne poezje są to utwory zmarłego rojalisty, brata republikanina Józefa Marii Cheniera. Zebranie angulemian, z wyjątkiem biskupa, pani de Rastignac i jej córek, którzy odczuli tę wielką poezję, uważało, iż padło ofiarą mistyfikacji, i wzięto ten podstęp za obrazę. Głuchy szmer podniósł się wkoło, ale Lucjan go nie słyszał. Odosobniony od tego wstrętnego świata upojeniem, jakie budziła w nim wewnętrzna melodia, siłił się, aby ją oddać, i widział postacie jak gdyby przez chmurę. Odczytał posępną elegię o samobójstwie, ową w smaku starożytności oddychającą cudowną melancholią; później tę, która zawiera ów wiersz:

Słodkie są wiersze twoje, powtarzam je rada.

<sup>197</sup>*whist* (ang.) — milczenie [w XVII w. w Anglii karciana gra w wista była znana jako *whisk*, od czasownika znaczącego: machnąć, śmignąć, później nazwa uległa zmianie, zapewne pod wpływem wykrzyknienia *whist*: cicho, cisza; red. WL]. [przypis tłumacza]

<sup>198</sup>*buduar* — pokój pani domu służący do odpoczynku. [przypis edytorski]



Wreszcie zakończył uroczą sielanką zatytułowaną *Néère*.

Zatopiona w rozkosznym marzeniu, z ręką w puklach włosów, które rozplotła, nie wiedząc o tym, z drugą ręką obwisła bezwładnie, z oczyma roztargnionymi, sama w środku salonu, pani de Bargeton czuła się po raz pierwszy w życiu przeniesiona w sferę, która jej odpowiadała. Osądźcie, jak niemile zbudziła ją Amelia, która podjęła się wyrazić jej życzenia całego zgromadzenia.

— Nais, przyszedł tu, aby usłyszeć poezję pana Chardona, a ty nam dajesz wiersze drukowane. Mimo iż te kawałki są bardzo ładne, przez patriotyzm te panie wołałyby wino swojego chowu.

— Czy nie znajduje pan, że język francuski niezbyt nadaje się do poezji? — rzekł Astolf do dyrektora wymiaru podatków. — Proza Cycerona jest dla mnie tysiąc razy poetyczniejsza.

— Prawdziwa poezja francuska to poezja lekka, piosenka — odparł Châtelet.

— Piosenka dowodzi, że nasz język jest bardzo muzykalny — rzekł Adrian.

— Chciałabym bardzo poznać wierszyki, które doprowadziły Nais do zguby — rzekła Zefryna — ale po sposobie, w jaki przyjęła prośbę Amelii, nie ma, zdaje się, ochoty uczęstować nas próbką.

— Winna jest samej sobie, aby kazać mu coś zadeklamować swojego — odparł Francis — geniusz bowiem tego jegomościa stanowi jej usprawiedliwienie.

— Pan, który byłeś w dyplomacji, uzyskaj to dla nas — rzekła Amelia do pana du Châtelet.

— Nic łatwiejszego — odparł baron.

Dawny sekretarz do poszczególnych poruczeń, przyzwyczajony do tych drobnych sztuczek, podszedł do biskupa i zręcznie wysunął go naprzód. Zagadnięta przez duchowną osobę, Nais zmuszona była poprosić Lucjana o jakiś utwór, który umie na pamięć. Szybki triumf barona w tej negocjacji zyskał mu powłóczyście spojrzenie Amelii.

— Stanowczo, ten baron jest bardzo sprytny — rzekła do Loloty.

Lolota pamiętała słodko-kwaśne uwagi Amelii o kobietach, które same robią suknie.

— Odkądże to uznajesz baronów Cesarstwa? — odparła z uśmiechem.

Lucjan próbował przebóstwić swoją ukochaną w odzie, którą poświęcił jej pod tytułem wynalezionym przez wszystkich młodych ludzi na wyjściu z kolegium. Oda ta, pieoszona z takim umiłowaniem, upiękuszona całą miłością, jaką odczuwał w sercu, wydała mu się jedynym dziełem zdolnym walczyć z poezją Chéniera. Rzucił spojrzenie dość zdobywcze w stronę pani de Bargeton, wymawiając tytuł: *Do Niej!* Następnie upozował się dumnie dla wygłoszenia tego ambitnego utworu, bowiem jego autorska miłość własna czuła się pewniejsza za spódniczką pani de Bargeton. W tej chwili Nais pozwoliła oczom kobiet podchwycić swój sekret. Mimo iż przyzwyczajona górować nad tym światem całą wysokością inteligencji, nie mogła się powstrzymać, aby nie drżeć za Lucjana. Zachowanie jej było niepewne, spojrzenia prosiły niejako o pobjażanie; następnie zmuszona była trwać z oczyma spuszczoneymi i ukrywać zadowolenie, w miarę jak rozwijały się następujące strofy:

DO NIEJ

Z promiennych blasków fali lazuruwej,  
Kędy aniołów smętnych brać skrzydlata  
Powtarza szeptem u tronu Jehowy  
Skargi wszechświata,

Często cherubin, dziecię sfer podniebne,  
Gasząc blask złoty, co mu stroi ciemię,  
Zbywszy w błękitach piór okiście<sup>199</sup> srebrne,  
Schodzi na ziemię.

Śpieszy, gdzie czoła w zadumie się klonią,  
Geniusza w pętach pokrzepia zawody

<sup>199</sup>okiść — zamarznęty śnieg zwieszający się z gałęzi. [przypis edytorski]

I starca smutki koi miękką dłonią  
Dzieweczki młodej.

Zbiera łzy żalu posępnych zbrodniarzy,  
Matce strapionej szepce: „Miej otuchę!”  
Z radosnym sercem na swej szali waży  
Miłość i skruczę.

Jeden z tych posłów wśród nas tutaj bawi,  
Litośnie dzieląc ziemskie nasze losy,  
I patrzy okiem, co we łzach się pławi,  
W jasne niebiosy.

Nie czoła jego zaduma wpółsenna  
Boskości jego sekret mi zdradziła,  
Ni głosu słodycz, ani ta płomienna  
Ócz<sup>200</sup> jego siła;

Lecz gdy niebacznie biedne serce moje  
Na tyle czarów dłoń ściągnęło drżącą,  
Spotkało straszną archaniola zbroję,  
Chłodną i lśniącą...

Naucz mnie, naucz, cudny serafinie,  
Magicznej pieśni ziemi, nieb i morza,  
Ma jaźń niech z tobą na wieki popłynie  
W modre przestworza!

Niech zespolone bratnie nasze duchy  
Pośród szaleństwa nadobłocznej jazdy  
Sieją ku ziemi marzeń swych okrucy,  
Niknące gwiazdy...

— Czy rozumie pan tę szaradę? — rzekła Amelia do pana du Châtelet, zwracając się doń spojrzeniem pełnym zalotności.

— Phi! To wiersze, jakie fabrykowaliśmy mniej lub więcej wszyscy na wyjściu z kolegium — odparł baron z miną znudzoną, trzymając się w roli sędziego, któremu nic nie imponuje. — Dawniej błędziliśmy w mgłach osjanicznych: Malwiny, Fingale<sup>201</sup>, mgliste zjawiska, rycerze którzy wstawali z grobów z gwiazdami płonącymi nad czołem. Dziś tę poetycką tandetę zastąpił Jehowa, sfery, anioły, pióra serafinów, cała rajska garderoba odświeżona i polatana za pomocą słów takich jak „nieskończoność”, „bezmiar”, „samotność”, „jaźń”. Mamy jeziora, słowa boże, rodzaj uchrystianizowanego panteizmu, wzbogaconego rymem rzadkim, a mozolnie szukanym, jak „szmaragd” i „katarakt”, „ki-rys” i „Irys” etc. Słowem, zmieniliśmy szerokość geograficzną: zamiast bawić na Północy, jesteśmy na Wschodzie, ale ciemności zostały równie gęste.

— Jeśli oda jest ciemna — rzekła Zefiryra — oświadczyny wydają mi się bardzo jasne.

— A zbroja archaniola jest suknią z muślinu bardzo lekką — rzekł Franio.

Mimo iż grzeczność wymagała ostentacyjnego wyrażenia zachwytów nad odą ze względu na panią de Bargeton, kobiety, wściekle, iż nie mają na służbach poety, który by je

Poezja

<sup>200</sup>ócz (daw.) — dziś popr. forma D. l.mn: oczu. [przypis edytorski]

<sup>201</sup>Malwina, Fingal — bohaterowie epickich, rzekomo starożytnych poematów celtyckich *Pieśni Osjana*, opublikowanych w 1760 przez Jamesa Macphersona jako tłumaczenie z języka gaelickiego; mimo że w 1805 starożytny epos okazał się falsyfikatem, a rzekomy tłumacz autorem, tekst zyskał ogromną popularność w dobie romantyzmu i był tłumaczony na liczne języki w całej Europie. [przypis edytorski]

nazywał aniołami, podniosły się jakby znudzone, szepcząc tonem lodowatym: „bardzo ładne, śliczne, doskonałe”.

— Jeśli mnie kochasz, nie będziesz komplementował ani autora, ani jego anielicy — rzekła do swego drogiego Adriana Lolota tonem despotycznym, którego nie ważył się nie usłuchać.

— Ostatecznie, to tylko frazesy — rzekła Zefiryra do Frania — miłość zaś jest to poezja w czynie.

— Wiesz, Zizynko, miałem na myśli zupełnie to samo, ale nie byłbym umiał tak ładnie tego wyrazić — odparł Stanisław, muskając się od stóp do głowy piśczętliwym spojrzeniem.

— Nie wiem, co bym dała — rzekła Amelia do pana Châtelet — aby doczekać upokorzenia dumy Nais, która każe sobie świadczyć od archaniołów, jak gdyby była czymś lepszym od nas i zmusza nas do pospolitowania się z synem aptekarza i akuszerki, którego siostra jest gryzетка<sup>202</sup>, a który sam pracuje u drukarza.

— Wstępuje w ślady ojca, to bowiem, czym nas uczył, to istne ziółka — rzekł Stanisław, przybierając jedną ze swoich póź najbardziej wyzywających. — Dobre są czasem ziółka, ale ostatecznie wolalbym już co innego.

W jednej chwili całe towarzystwo jak gdyby się zmówiło, aby upokorzyć Lucjana jakimś słówkiem arystokratycznej ironii. Nabożna Lili dopatrywała się sposobności do chrześcijańskiego uczynku, mówiąc, iż czas oświecić Nais, bliską popelnienia szaleństwa. Franio, dyplomata, podjął się przeprowadzić głupi spisek, którym wszystkie te małe dusze zainteresowały się jak rozwiązaniem dramatu i w którym zaświtała im plotka do obnoszenia nazajutrz. Dawny konsul, nie mający wcale ochoty na pojedynek z młodym poetą, który na oczach ukochanej wpadłby w szal za pierwszym obelżywym słowem, zrozumiał, iż trzeba zamordować Lucjana poświęcanym żelazem, przeciw któremu zemsta byłaby niemożliwa. Poszedł za przykładem, jaki mu dał zręczny Châtelet, kiedy była mowa o tym, aby skłonić Lucjana do wygłoszenia wierszy. Podsunął się do biskupa, udając, iż podziela zachwyt, jakim oda Lucjana przejęła Jego Wielebność; następnie zmistyfikował go, objaśniając, iż matka Lucjana jest to kobieta wyższego umysłu, niezmiernie skromna, która dostarcza synowi tematu do wszystkich jego utworów. Największą radością dla Lucjana było, gdy widział, iż ktoś oddaje sprawiedliwość jego matce, którą ubóstwiał. Raz zaszczepiwszy tę myśl w biskupa, Franio zdał się na traf konwersacji, aby sprowadzić zabójcze słowo, które umyślił wymierzyć ustami Jego Wielebności. Kiedy Franio i biskup wrócili do koła, w środku którego znajdował się Lucjan, uwaga zaostrzyła się wśród osób, które mu już dawały pić cykutę małymi łykami. Zupełnie obcy salonowym manewrom, biedny poeta umiał tylko patrzeć na panią de Bargeton i odpowiadać niezdarne na niezdarne pytania, jakie mu zadawano. Nie znał imion i tytułów większości obecnych osób, nie wiedział, jak odzywać się do kobiet prawiących brednie, za które mu było wstyd. Czuł się zresztą odepchnięty o tysiąc mil od tych angulemskich bożyszczy, słysząc, jak go nazywają to panem Chardonem, to panem de Rubempré, podczas gdy między sobą wołali się Lolotą, Adrianem, Astolfem, Lili, Fifiną. Pomieszenie jego doszło szczytu, kiedy wzięwszy „Lili” za imię męskie, nazwał „panem Lili” brutalnego pana de Senonches. Nemrod<sup>203</sup> przerwał Lucjanowi „panem Lulu?”, które przypawiło panią de Bargeton o rumieniec aż po same białka.

— Trzeba być bardzo zaślepioną, aby wpuszczać tutaj i przedstawiać nam tego smarkacza! — rzekł półgłosem.

— Pani margrabino — rzekła Zefiryra do pani de Pimentel po cichu, ale w ten sposób, aby ją słyszano — czy nie znajduje pani wielkiego podobieństwa między panem Chardonem a panem de Cante-Croix?

— Podobieństwo idealne — odparła z uśmiechem pani de Pimentel.

— Sława ma swoje uroki, do których wolno się przyznać — rzekła pani de Bargeton do margrabiny. — Są kobiety, które pociągają wielkość, tak jak inne małość — dodała, spoglądając na Frania.

<sup>202</sup>*gryzетка* (daw., z fr. *gris*: szary; *griset*: tania, szara tkanina ubraniowa) — we Francji: młoda dziewczyna pracująca jako szwaczka, ekspedientka, modystka; nazwa od koloru odzieży noszonej z konieczności przez takie osoby. [przypis edytorski]

<sup>203</sup>*Nemrod* a. *Nimrod* — biblijny prawnuk Noego, sławny myśliwy. [przypis edytorski]

Zefiryra nie zrozumiała, konsul bowiem zdawał się jej bardzo wielki; ale margrabina przeszła na stronę Nais, podkreślając śmiechem przycinek.

— Panie drogi, pan jesteś bardzo szczęśliwy — rzekł do Lucjana pan de Pimentel, który, nazwawszy go wprzód panem Chardonem, poprawił się na „pan de Rubempré” — pan się musi nigdy nie nudzić.

— Czy pan szybko pracuje? — spytała Lolota takim tonem, jakim się mówi do stolarza: „Czy długo trwa robota takiej skrzynki?”.

Lucjan stał jak ogłuszony pod tym ciosem maczugi, ale podniósł głowę, słysząc jak pani de Bargeton odpowiada z uśmiechem:

— Moja droga, poezja nie rośnie w głowie pana de Rubempré tak jak trawa na naszych dziedzińcach.

— Pani — rzekł biskup do Loloty — niepodobna mieć nadto szacunku dla szlacheckich duchów, w które Bóg tchnął promyk swego światła. Tak, poezja jest rzeczą świętą. Kto mówi: poezja, mówi: cierpienie. Ileż milczących nocy kosztowały te strofy, które podziwiamy! Skłońcie się z umiłowaniem przed poetą, który pędzi prawie zawsze życie nieszczęśliwe i któremu Bóg z pewnością zachował miejsce w niebie, pomiędzy prorokami. Ten młody człowiek jest poetą — dodał, kładąc rękę na głowie Lucjana — czy nie widzicie jakiejś fatalności wypisanej na tym pięknym czole?

Szczęśliwy z tak szlachetnej obrony, Lucjan podziękował biskupowi tkliwym wejrzeniem, nie wiedząc, iż zacny prałat stanie się jego katem.

Pani de Bargeton rzuciła na obóz nieprzyjacielski spojrzenia pełne triumfu, które wbiły się, niby tyleż grotów, w serca rywalek, podwajając ich wściekłość.

— Och, Wasza Wielbność — odparł poeta, spodziewając się ugodzić te głowy głupców swoim złotem berłem — pospolity tłum nie posiada ani rozumu ani serca Waszej Wielbności. Nasze cierpienia nie są nikomu znane, nieznaną też nasza praca. Górnikowi z mniejszym trudem przychodzi dobywać złoto ze swej miny<sup>204</sup>, niż nam wrywać obrazy nasze z wnętrzości najbardziej niewdzięcznego języka pod słońcem. Jeżeli celem poezji jest doprowadzać myśl do tego punktu, w którym każdy może ją widzieć i odczuwać, poeta musi nieustannie przebiegać drabinę inteligencji ludzkich, aby uczynić zadość wszystkim; musi ukrywać pod najżywszymi barwami logikę i uczucie, dwie wrogie sobie potęgi. Trzeba mu zamykać cały świat myśli w jednym okresie<sup>205</sup>, streszczać całe filozofie w jednym obrazie. Słowem, wiersze jego są jak nasiona, których kwiaty powinny się rozwinąć w sercach, szukając w nich bruzd wyżłobionych osobistymi uczuciami. Czy nie trzeba wszystkiego wycierpieć, aby wszystko oddać? A czuć całą mocą, czy nie znaczy cierpieć? Toteż poezję poczyną się jedynie po ciężkich podróżach podjętych w rozległe krainy myśli i społeczeństwa. Czyż nie są nieśmiertelnymi trudy, będące rodzicielami tworów, których życie staje się bardziej autentyczne niż osób żyjących naprawdę, jak Klaryssa Richardsona, Kamilla Chéniera, Delia Tibulla, Angelika Ariosta, Francesca Dantego, Alcest Moliera, Figaro Beaumarchais’go, Rebeka Waltera Scotta i Don Kichot Cervantesa<sup>206</sup>!

— I które pan nam stworzysz...? — spytał Châtelet.

— Zapowiadać takie twory — odparł Lucjan — czyż nie znaczy dawać sobie dekret geniuszu? Zresztą, tego rodzaju poczynania wymagają długiej znajomości świata, studiów namiętności i interesów ludzkich, których nie mogłem dokonać; ale zaczynam! — rzekł z goryczą, rzucając spojrzenie mściciela po tym kręgu. — Mózg nosi swój plód długo...

— Poród będzie mozolny — rzekł pan du Hautoy, przerywając.

— Pańska nieoszacowana matka przyjdzie panu z pomocą — rzekł biskup.

<sup>204</sup>mina (daw.) — kopalnia. [przypis edytorski]

<sup>205</sup>okres — retorycznie ukształtowane zdanie złożone, stanowiące całość znaczeniową. [przypis edytorski]

<sup>206</sup>Klaryssa Richardsona, Kamilla Chéniera, Delia Tibulla, Angelika Ariosta, Francesca Dantego, Alcest Moliera, Figaro Beaumarchais’go, Rebeka Waltera Scotta i Don Kichot Cervantesa — Klaryssa: bohaterka powieści Samuela Richardsona *Historia Clarissy Harlowe* (1748); Kamilla (Camille): imię ukochanej w elegiach francuskiego poety André Chéniera; Delia: literacki pseudonim, pod jakim opiewał swoją ukochaną rzymski poeta Tibullus (54–19 p.n.e.); Angelika: jedna z bohaterek poematu rycerskiego *Orland szalony* Ariosta; Francesca de Rimini (1255–ok.1285): bohaterka historii miłosnej sportretowana w *Boskiej komedii* Dantego; Alcest: bohater komedii *Mizantrop* Moliera; Figaro: bohater komedii Beaumarchais’go *Cyrulik sewilski* oraz *Wesele Figara*; Rebeka: bohaterka powieści historycznej *Ivanhoe* Waltera Scotta; *Don Kichot*: tytułowy bohater powieści Cervantesa. [przypis edytorski]

To słówko tak zręcznie przygotowane, ta wyczekiwana zemsta zapaliła we wszystkich oczach błysk radości. Po wszystkich ustach przebiegł uśmiezek arystokratycznego zadowolenia, podkreślony przez tępotę pana de Bargeton, który po dobrej chwili zaczął się głośno śmiać.

— Wasza Wielebność jest trochę zbyt dowcipny dla nas w tej chwili, te panie nie rozumieją Waszej Eminencji — rzekła pani de Bargeton, która tym jednym słowem sparaliżowała śmieszki i ściągnęła na siebie zdumione spojrzenia. — Poeta, który czerpie wszystkie natchnienia w Biblii, posiada w Kościele prawdziwą matkę. Panie de Rubempré, zechciej nam powiedzieć *Świętego Jana na Patmos* albo *Ucztę Baltazara*<sup>207</sup>, aby pokazać Eminencji, że Rzym jest zawsze *Magna parens*<sup>208</sup> Wergiliusza.

Kobiety wymieniły uśmiešky, słysząc w ustach Nais dwa łacińskie wyrazy.

W zaraniu życia najdzielniejsi ludzie nie są wolni od chwil omdlenia. Cios ten zepchnął zrazu Lucjana na samo dno otchłani, ale tupnął o nie nogą i wypłynął na powierzchnię, przysięgając sobie, iż zapanuje nad tym światem. Jak byk skłuty tysiącem strzał, podniósł się wściekły i posłuszny głosowi Luizy, miał wygłosić *Świętego Jana w Patmos*; ale po największej części zielone stoliki znęciły już partnerów, którzy ciągnęli do kieratu swoich przyzwyczajęń, znajdując w nich przyjemność, jakiej nie dała im poezja. Przy tym zemsta za tyle podrażnionych miłości własnych nie byłaby zupełna bez tej biernej wzgardy, jaką objawiono dla rodzimej poezji, opuszczając Lucjana i panią de Bargeton. Każdy okazał się nagle bardzo zajęty; ten wdał się w rozmowę z prefektem o drodze powiatowej; ta poddała, aby urozmaicić przyjemność wieczoru za pomocą trochę<sup>209</sup> muzyki. Śmietanka Angoulême, czując się lichym sędzią w rzeczach poezji, była przede wszystkim ciekawa opinii Rastignaców i Pimentelów o Lucjanie i skupiła się dokoła nich. Przemoczony wpływ, jaki te dwie rodziny wywierały w całym departamencie, objawiał się zwłaszcza w wielkich okolicznościach; każdy zazdrościł im i zabiegał się o nie, każdy bowiem przewidywał, iż może potrzebować ich poparcia.

— Jak pani znajduje naszego poetę i jego poezje? — spytał Jakub margrabiny, u której często polował.

— Och, jak na wiersze prowincjonalne — rzekła z uśmiechem — są wcale niezłe; zresztą tak ładny poeta nie może nic robić źle.

Wyrok wydał się wszystkim czarujący; zaczęli go obnosić, wkładając weń więcej złośliwości, niż leżało w intencjach margrabiny. Po czym uproszono pana du Châtelet o towarzyszenie na fortepianie panu de Bartas, który zmasakrował wielką arię z *Figara*<sup>210</sup>. Z chwilą gdy raz otwarły się wrota dla muzyki, trzeba było wysłuchać romancy rycerskiej napisanej za Cesarstwa przez Chateaubrianda<sup>211</sup>, a odśpiewanej przez pana du Châtelet. Następnie przyszły „kawalki” na cztery ręce w wykonaniu młodych dziewczątek, na żądanie pani du Brossard, która chciała zabłysnąć talentem Kamilli przed oczyma pana de Séverac.

Pani de Bargeton, zraniona lekceważeniem, jakie każdy okazywał jej pocie, oddała wzgardę za wzgardę, usuwając się do buduaru na czas, przez który muzykowano. Za nią podążył biskup. Wielki wikariusz wytłumaczył Eminencji głęboką ironię Jej mimowolnego epigramu; biskup pragnął go tedy naprawić. Panna de Rastignac, którą poezja rozmarzyła, wsunęła się do buduaru niepostrzeżona przez matkę. Siadając na kanapie, na którą pociągnęła Lucjana, Luiza mogła, niesłyszana i niewidziana przez nikogo, szepnąć mu do ucha:

<sup>207</sup>*uczta Baltazara* — motyw zaczerpnięty z Biblii (Dn 5, 1–31). W oblężonym przez Persów Babilonie król Baltazar wydał ucztę, podczas której rozochoceni goście używali naczyń zrabowanych przez dziada Baltazara, Nabuchodonozora, ze świątyni w Jerozolimie, bezczeszcząc je w ten sposób. Wówczas ukazała się ręka pisząca na ścianie słowa: *Mane, tekél, fares*, co zwykle się tłumaczy: „policzone, zważone, rozdzielone” i oznaczać ma przepowiednię śmierci Baltazara, jak również upadku jego państwa. Proroctwo spełniło się jeszcze tej samej nocy. [przypis edytorski]

<sup>208</sup>*magna parens* (łac.) — wielka rodzicielka; określenie Rzymu użyte przez wybitnego rzym. poetę Wergiliusza (70–19 p.n.e.) w *Georgikach* II 173. [przypis edytorski]

<sup>209</sup>*trocha* (daw.) — odrobina, niewielka ilość czegoś. [przypis edytorski]

<sup>210</sup>*wielka aria Figara* — popisowa aria barytonowa *Largo al factotum*, wykonywana przez tytułowego cyrulika Figara w operze Rossiniego *Cyrulik sewilski* (1816). [przypis edytorski]

<sup>211</sup>*romancy rycerskiej napisanej za Cesarstwa przez Chateaubrianda* — mowa o balladzie śpiewanej przez Lautreca w opowiadaniu Chateaubrianda *Przygody ostatniego z Abenserażów*. [przypis edytorski]

— Drogi aniele, nie zrozumieli cię! Ale

Słodkie są twoje wiersze, powtarzam je rada...

Lucjan, pocieszony pochlebstwem, zapomniał na chwilę swoich cierpień.

— Nie ma sławy tanio nabytej — rzekła pani de Bargeton, ujmując go za rękę i ścisnąc ją. — Cierp, cierp, drogi przyjacielu, będziesz wielki, cierpienia są ceną twojej nieśmiertelności. Rada byłabym mieć do znoszenia wysiłki, walki! Niech cię Bóg strzeże od życia martwego i bez bojów, gdzie skrzydła orle nie znajdują dosyć przestrzeni! Zadzroszczę ci twoich cierpień, ty bowiem przynajmniej żyjesz! Rozwiniesz siły, możesz żyć nadzieją zwycięstwa! Walka, jaka cię czeka, będzie chlubna. Kiedy dosięgniesz królewskiej sfery, w której błyszczą wielkie inteligencje, wspomnij sobie biedne istoty wydziedziczone przez los, których dusza dławi się pod uciskiem moralnego azotu i które giną, mając ciągle świadomość, co jest życie, a nie mogąc żyć, które mają oczy zdolne do jasnego widzenia, a nic nie widziały, które posiadały delikatne powonienie, a nic nie czuły oprócz zapowietrzonych kwiatów. Wyśpiewaj wówczas losy rośliny, która usycha w głębi lasu, zduszona przez liany, przez wegetacje łakome, bujne, nieupieczona nigdy przez słońce, i umiera, nie zakwitnawszy nigdy! Nie byłoby to poemat pełen straszliwej melancholii, temat zupełnie fantastyczny? Cóż za cudowna kompozycja, taki obraz młodej dziewczyny zrodzonej pod niebem Azji albo też jakiejś córki pustyni przeniesionej w zimny kraj Zachodu, przyzywającej swoje ukochane słońce, umierającej z niezrozumiałego cierpienia, dławionej zarówno chłodem, jak miłością! Byłby to obraz wielu istnień.

— Odmalujesz w nim duszę, która zachowała pamięć nieba — rzekł biskup. — Poemat taki musiał być niegdyś stworzony, skłonny jestem dopatrywać się jego fragmentu w *Pieśni nad Pieśniami*<sup>212</sup>.

— Niech pan to napisze — rzekła Laura de Rastignac, wyrażając naiwną wiarę w geniusz Lucjana.

— Brakuje Francji wielkiego świętego poematu — rzekł biskup. — Wierzaj mi, chwała i fortuna staną się udziałem człowieka z talentem, który zechce pracować dla religii...

— On to podejmie, Wasza Wielebność — rzekła pani de Bargeton z emfazą. — Czy Eminencja nie widzi idei poematu żarzącej się już niby blask jutrzeńki w jego oczach?

— Nais poczyną sobie z nami dość szczególnie — rzekła Fifina. — Co ona robi?

— Nie słyszysz? Harcuje oklep na wielkich słowach, bez głowy i ogona.

Amelia, Fifina, Adrian i Franio ukazali się w drzwiach buduaru, towarzysząc pani de Rastignac, która szukała córki, gotując się do odjazdu.

— Nais — rzekły obie panie, zachwycone, iż mogą zakłócić *aparté*<sup>213</sup> buduaru — byłabyś bardzo uprzejma, gdybyś nam chciała zagrać jaki kawałek.

— Moje drogie dziecko — odparła pani de Bargeton — pan de Rubempré powie nam swego *Świętego Jana na Patmos*, wspaniały poemat biblijny.

— Biblijny! — powtórzyła Fifina ze zdumieniem.

Amelia i Fifina wróciły do salonu, unosząc to słowo jako nowy żer dla drwinek. Lucjan wymówił się od deklamacji, tłumacząc się brakiem pamięci. Kiedy pojawił się znów w salonie, nie budził już żadnego zainteresowania. Każdy zajęty był rozmową lub grą. Poeta zbył się już wszystkich promieni; właściciele ziemscy nie widzieli w nim nic użytecznego; ludzie z pretensjami obawiali się go jako siły niebezpiecznej dla ich ignorancji; kobiety, zazdrosne o panią de Bargeton, Beatrycze<sup>214</sup> tego nowego Dantego, wedle wyrażenia generalnego wikariusza, rzucały mu spojrzenia zimne i pogardliwe.

— Oto świat! — powtarzał sobie Lucjan, zstępując do Houmeau okrężnymi drogami; są bowiem chwile w życiu, iż chętnie obiera się drogę najdalszą, aby przedłużyć bieg myśli, w których się jest zatopionym i z których falą pragnie się płynąć.

<sup>212</sup>*Pieśń nad Pieśniami* — hebrajski poemat miłosny z IV–III w. p.n.e., zaliczany do ksiąg dydaktycznych Starego Testamentu. [przypis edytorski]

<sup>213</sup>*aparté* (fr.) — na stronie (teatr.); poufna rozmowa. [przypis edytorski]

<sup>214</sup>*Beatrycze* — ukochana wł. poety Dantego, umieszczona przez niego w *Boskiej komedii* jako przewodniczka po raju. [przypis edytorski]

Zamiast zniweczyć w nim odwagę, wściekłość odrzuconej ambicji dawała Lucjanowi nową energię. Jak wszyscy ludzie pociągnięci swoim instynktem w podniosłą sferę, w którą weszli, zanim mają siłę się w niej utrzymać, obiecywał sobie wszystko poświęcić, byle pozostać w wysokim towarzystwie. Idąc, rozbierał kolejno, jedną po drugiej, zatrute strzały, jakimi go ugodzono; rozmawiał głośno sam ze sobą, piorunował głupców, z którymi miał do czynienia; znajdował cięte odpowiedzi na głupie pytania, jakie mu zadawano, i wpadał we wściekłość, iż dowcip przychodzi mu tak poniewczasie. Skoro zbliżył się do drogi ku Bordeaux, wijącej się u stóp góry i ocierającej się o brzegi Charenty, zdało mu się, iż spostrzeża w świetle księżyca Ewę i Dawida siedzących na pniu nad brzegiem rzeki, opodal fabryki, i zeszedł ku nim małą ścieżynką.

Podczas gdy Lucjan biegł po swoje udręczenia do pani de Bargeton, siostra włożyła suknię z różowego perkalu w drobne paseczki, słomkowy kapelusz, lekki szalik jedwabny: ubiór prosty, ale który robił wrażenie strojności, jak zdarza się u osób, u których naturalny wykwint podnosi najmniejsze przybory. Toteż kiedy porzucała ubiór robotnicy, Ewa onieśmiała nadzwyczajnie Dawida. Mimo iż drukarz zdecydowany był mówić o swojej sprawie, kiedy podał rękę pięknej Ewie, aby ją przeprowadzić przez Houmeau, nie był zdolny wykrztusić słowa. Miłość lubuje się w tych pełnych czci onieśmieleniach, podobnych uczuciu, jakie wspaniałość Boga budzi w wiernych. Młoda para kroczyła w milczeniu ku mostowi św. Anny, aby przedostać się na lewy brzeg Charenty. Ewa, którą milczenie to wprawiało w zakłopotanie, zatrzymała się w połowie mostu, aby popatrzeć na wodę. Od tego miejsca aż do okolicy, gdzie budowano prochownię, rzeka tworzy niby długą wyspę, na której zachodzące słońce kładło w tej chwili radosne smugi światła.

— Ładny wieczór! — rzekła, szukając tematu do rozmowy. — Powietrze ciepłe i świeże zarazem, kwiaty pachną, niebo wspaniałe.

— Wszystko przemawia do serca — odparł Dawid, próbując dopłynąć do swej miłości przez analogię. — Nieskończoną przyjemnością dla kochających ludzi jest odnajdywać w szczegółach krajobrazu, w przejrzystości powietrza, w zapachu ziemi poezję, którą mają w duszy. Natura mówi za nich.

— I rozwiązuje im także język — rzekła Ewa, śmiejąc się. — Był pan bardzo milczący, kiedyśmy szli przez Houmeau. Wie pan, że czułam się zakłopotana!...

— Zdawała mi się pani tak piękna, że onieemiałem z podziwu! — odparł naiwnie Dawid.

— Czyż więc jestem mniej piękna w tej chwili? — spytała.

— Nie, ale jestem tak szczęśliwy, iż przechadzam się we dwoje z panią, że...

Zatrzymał się zakłopotany, tocząc wzrok po wzgórzach, po których zbiega droga do Saintes.

— Jeżeli pan znajduje jakąś przyjemność w tej przechadzce, cieszy mnie to niezmiernie; czuję się bowiem w obowiązku odplacić panu wieczór, który pan dla mnie poświęcił. Odmawiając pójścia do pani de Bargeton, był pan równie szlachetny, jak Lucjan, gdy narażał się na jej gniew swą prośbą.

— Nie szlachetny, ale rozsądny — odparł Dawid. — Skoro jesteśmy sami pod tym niebem, bez innych świadków prócz trzciny i krzaków okalających Charentę, pozwól mi, droga panno Ewo, abym zwierzył ci się z niepokoju, jaki budzi we mnie obecny kierunek życia Lucjana. Po tym, co mu powiedziałem, obawy moje wydadzą się pani z pewnością przeczuleniem przyjaźni. Ty, panno Ewo, i twoja matka, uczyniłyście wszystko, aby go wynieść powyżej jego stanu; ale podsycając tak jego ambicję, czyście go nie pchnęły nierozważnie na drogę wielkich cierpień? W jaki sposób zdoła utrzymać się w świecie, w który ciągną go upodobania? Znam go! Należy on do natur lubiących zbiory bez pracy. Obowiązki towarzyskie pochłoną mu czas, a czas jest jedynym kapitałem ludzi, którzy mają za cały majątek swą inteligencję; lubi błyszczeć, świat będzie drażnił jego pragnienia, których żadna suma nie zdoła zaspokoić, będzie wydawał pieniądze, zamiast zarabiać. Wreszcie, przyzwyczaiłyście go do wielkiego rozumienia o sobie; ale zanim świat uzna jakkolwiek wyższość, żąda wprzód świetnych rezultatów. Otóż sukcesy literackie zdobywa się jedynie w samotności i dzięki wytrwałej pracy. Co da pani de Bargeton twemu bratu w zamian za tyle dni spędzonych u jej stóp? Lucjan jest zbyt dumny, aby przyjąć jej pomoc, a my wiemy, że jest zbyt ubogi, aby nadal przebywać w otoczeniu, które jest dlań podwójnie rujnujące. Wcześniej czy później ta kobieta porzuci Lucjana, ztratci-

Strój

Miłość, Bóg

Ambicja

Czas

Twórczość, Samotność,  
Praca

szy w nim zamiłowanie pracy, rozwinięty upodobanie w zbytku, lekceważenie naszego skromnego życia, smak do rozrywek, skłonność do próżniactwa, tę rozpustę dusz poetycznych. Tak, drzę o to, aby ta wielka pani nie uczyniła sobie z Lucjana zabawki: albo kocha szczerze i doprowadzi go do zapomnienia wszystkiego, albo nie kocha i uczyni go nieszczęśliwym, on bowiem za nią szaleje.

— Mrozi mi pan serce — rzekła Ewa, zatrzymując się przy barierze biegnącej wzdłuż Charenty. — Ale dopóki matka będzie miała siłę wykonywać swe uciążliwe rzemiosło, dopóki ja będę żyła, owoce naszej pracy starczą może na wydatki Lucjana i pozwolą mu czekać chwili, w której zacznie się jego dobra dola. Nigdy nie braknie mi sił, myśl bowiem, że się pracuje dla ukochanej istoty — rzekła Ewa, ożywiając się — odejmuje pracy całą gorycz i wszystkie przykrości. Czuję się szczęśliwa, myśląc, dla kogo zadaję sobie tyle męki, jeżeli w ogóle to jest męka. Tak, nie obawiaj się pan, zarobimy dosyć pieniędzy na to, aby Lucjan mógł bywać w wielkim świecie. Tam jest jego los.

— Tam jest także jego zguba — odparł Dawid. — Posłuchaj mnie, droga Ewo. Powolne tworzenie dzieł geniuszu wymaga znacznej fortuny już gotowej albo też szczytnej abnegacji ubogiego życia. Wierząc mi! Lucjan ma tak wielki wstręt do braków i nędzy, z taką rozkoszą wdycha w siebie zapachy uczt świata, dym powodzenia, jego miłość własna tak rozrosła się w buduarze pani de Bargeton, iż raczej pokusi się o wszystko, niżby miał zstąpić z tych wyżyn; owoce zaś waszej pracy nigdy nie zdołają odpowiedzieć jego potrzebom.

— Zatem i pan jesteś tylko nieszczerym przyjacielem! — wykrzyknęła Ewa, zrozpaczona. — Inaczej nie odbierałbyś nam w ten sposób odwagi.

— Ewo! Ewo! — odparł Dawid. — Chciałbym być bratem Lucjana. Ty jedna możesz mi dać ten tytuł, który pozwoliłby mi wszystko przyjąć ode mnie, który dałby mi prawo poświęcenia mu się z tą świętą miłością, jaką ty wnosisz w swoje poświęcenia, ale z zastanowieniem opartym na rachunku. Ewo, drogie ukochane dziecko, spraw, aby Lucjan zyskał skarb, w którym mógłby czerpać bez wstydu! Sakiewka brata czyż nie będzie jak gdyby jego własną? Gdybyś znała wszystkie refleksje, jakie mi nasunęła nowa pozycja Lucjana! Jeżeli chce bywać u pani de Bargeton, biedny chłopiec nie może być dłużej moim protelem, nie może nadal mieszkać w Houmeau, ty nie powinnaś być robotnicą, matka wasza nie powinna wykonywać swego rzemiosła. Gdybyś zgodziła się zostać moją żoną, ułożyłoby się wszystko: Lucjan mógłby mieszkać na drugim piętrze u mnie, tymczasem zaś wybudowałbym mu mieszkanie nad oficyną w dziedzińcu, o ile by ojciec nie zechciał wystawić drugiego piętra. Urządźlibyśmy mu w ten sposób życie bez trosk, niezależne. Pragnienie moje dopomożenia Lucjanowi dałoby mi odwagę w chęci wzbogacenia się, jakiej bym nie miał, gdyby chodziło tylko o mnie; ale od ciebie zależy dać mi prawo do tego poświęcenia. Być może kiedyś uda się do Paryża, jedynej widowni, na jakiej może zabłysnąć i gdzie talenty jego znajdą ocenę i nagrodę. Życie w Paryżu jest drogie i nie będzie nadto nas trojga, aby go tam wspomagać. Zresztą i tobie, i twojej matce czyż nie będzie trzeba oparcia? Droga Ewo, oddaj mi rękę przez miłość dla Lucjana. Później pokochasz mnie może, widząc wysiłki, jakie czynię, aby mu dopomóc i aby ciebie uczynić szczęśliwą. Jesteśmy oboje jednak skromni w upodobaniach, wystarczy nam niewiele; szczęście Lucjana będzie naszą wielką sprawą, a jego serce będzie skarbonką, w którą włożymy nasze mienie, uczucia, wzruszenia, wszystko!

— Względy świata rozdzielają nas — rzekła Ewa, wzruszona tym, jak ta wielka miłość czyni się małą. — Pan jest bogaty, ja biedna. Trzeba bardzo kochać, aby zamknąć oczy na trudności tego rodzaju.

— Nie kochasz mnie tedy dosyć jeszcze? — wykrzyknął Dawid, zrozpaczony.

— Ale ojciec pański sprzeciwiłby się może...

— Dobrze, dobrze — odparł Dawid — jeżeli chodzi tylko o zgodę ojca, będziesz moją żoną. Ewo, droga Ewo, uczyniłaś mi życie bardzo lekkim do dźwignania od tej chwili. Miałem, ach! serce bardzo ciężkie brzemieniem uczuć, których nie mogłem ani nie umiałem wyrazić. Powiedz tylko, że kochasz trochę, a znajdę odwagę potrzebną, aby mówić o reszcie.

— W istocie — rzekła — zmusza mnie pan, abym musiała się wstydzić, ale skoro mówimy z sobą szczerze, powiem panu, iż nigdy w życiu moim nie myślałam o innym niż o panu. Widziałam w panu jednego z owych ludzi, z których uczucia kobieta może

Praca, Poświęcenie, Miłość

Twórczość, Bogactwo,  
Bieda

Oświadczyły



czuć się dumna, i nie śmiałam marzyć dla siebie, biednej robotnicy bez przyszłości, o tak wielkim losie.

— Dosyć, dosyć — rzekł, przysiadając na barierze, do której wrócili, chodzili bowiem tam i z powrotem jak szaleńcy, przebiegając wciąż tę samą drogę.

— Co panu? — rzekła, dając po raz pierwszy wyraz owemu tak pełnemu urokowi niepokojowi, jakiego kobiety doświadczają za istotę, która jest ich własnością.

— Samo dobre — odparł. — Widząc przed sobą szczęście całego życia, umysł jest jakby olśniony, dusza jakby przygnieciona. Dlaczego ja jestem bardziej szczęśliwy? — rzekł z wyrazem melancholii. — Ale wiem.

Ewa spojrzała na Dawida z minką zalotną i pytającą, która żądała wyjaśnienia.

— Droga Ewo, otrzymuję więcej, niż daję. Dlatego będę cię kochał zawsze lepiej, niż ty mnie kochasz, mam bowiem więcej przyczyn kochać ciebie; ty jesteś aniołem, a ja człowiekiem.

— Nie umiem tak ładnie mówić — odparła Ewa z uśmiechem. — Kocham pana z serca...

— Tyle co Lucjana? — przerwał.

— Dość, aby zostać twoją żoną, aby poświęcić się tobie i starać się nie sprawić ci żadnej przykrości w życiu, z początku nieco trudnym, jakie będziemy pędzić.

— Czy spostrzegłaś, droga Ewo, że pokochałem ciebie od pierwszego dnia, kiedy cię ujrzałem?

— Któż kobieta nie czuje, że jest kochaną? — spytała.

— Pozwól mi rozproszyć skrupuły, jakie w tobie budzi mój rzekomy majątek. Jestem biedny, droga Ewo. Tak, ojciec uczynił sobie przyjemność z tego, aby mnie zrujnować; uczynił przedmiot spekulacji z mojej pracy; zrobił tak, jak wielu mniemanych dobroczyńców ze swymi obdarowanymi. Jeśli stanę się bogaty, to dzięki tobie. To nie jest frazes zakochanego, ale refleksja myślącego człowieka. Muszę ci dać poznać moje wady, a są one ogromne jak dla kogoś, kto ma stworzyć swój los. Charakter mój, przyzwyczajenia, zajęcia, które mi się podobają, czynią mnie niezdatnym do wszystkiego, co jest handlem i spekulacją, a wszelako jedynie chwycenie się jakiegoś przemysłu może nam dać bogactwo. Może jestem zdolny odkryć kopalnię złota, ale osobliwie niezręczny, aby ją eksploatować. Ale ty, która przez miłość dla brata zniżyłaś się aż do najdrobniejszych szczegółów, która masz geniusz oszczędności, cierpliwą umiejętność czekania, tak cenną dla prawdziwego przemysłowca, ty zbierzesz ziarno, które ja posieję. Nasze położenie (od dawna bowiem czuję się członkiem waszej rodziny), ciśnie mnie tak bardzo, iż trawiłem dnie i noce na szukaniu drogi do majątku. Znajomość chemii i obserwacja potrzeb handlu naprowadziły mnie na drogę zyskownego odkrycia. Nie mogę ci nic jeszcze powiedzieć, przewiduję zbyt powolną drogę. Będziemy cierpieć, być może przez kilka lat; ale w końcu uda mi się odkryć metody techniczne, na których tropie nie jestem ja sam, i jeśli dojdę do celu pierwszy, staniemy się panami wielkiego majątku. Nie powiedziałem nic Lucjanowi, jego bowiem gorące usposobienie zepsułoby wszystko; przekształciłby moje nadzieje w rzeczywistość, żyłby jak wielki pan, zadłużyłby się może. Dlatego zachowaj sekret. Twoje słodkie i drogie towarzystwo samo jedno zdoła mi być pociechą w ciągu tych długich prób, tak jak pragnienie uczynienia cię bogatą, ciebie i Lucjana, doda mi wytrwałości i hartu...

— Odgadłam również — rzekła Ewa przerywając mu — że jesteś jednym z tych wynalazców, którym potrzeba, jak memu biednemu ojcu, kobiety zdolnej opiekować się nimi.

— Kochasz mnie tedy! Och, powiedz bez obawy mnie, który w imieniu twoim widziałem symbol twojej miłości. Ewa była jedyną kobietą istniejącą na świecie i to, co było materialnie prawdą dla Adama, moralnie stało się nią dla mnie. Mój Boże! Kochasz mnie!

— Tak — rzekła, przedłużając tę prostą sylabę, sposobem, w jaki ją wymówiła, jakby chcąc odmalować rozciągłość swego uczucia.

— Dobrze więc, usiądźmy — rzekł, prowadząc Ewę za rękę ku długim balom drzewa, jakie znajdowały się poniżej kół papierni. — Pozwól mi oddychać powietrzem wieczoru, wsłuchiwać się w nawoływania ptasząt, podziwiać promienie księżyca odbijające się w wodzie; pozwól mi napawać się tą naturą, w której każdym szczególe widzę wypisane

Kobieta, Miłość

moje szczęście i która ukazuje mi się pierwszy raz w swoim przepychu, oświecona miłością, upiększona przez ciebie. Ewo, ukochana moja, oto pierwsza chwila niezmaconej niczym radości, jaką los mi dał w życiu! Wątpię, aby Lucjan był kiedy tak szczęśliwy, jak ja jestem.

Czując wilgotną i drżącą w jego dłoni rękę Ewy, Dawid uronił na nią łzę.

— Czy nie mogę znać sekretu?... — rzekła Ewa pieszczotliwym głosem.

— Masz nawet prawo do tego, ojciec twój bowiem zajmował się tą kwestią, która niebawem stanie się poważna. Oto dlaczego: upadek Cesarstwa przyczyni się do rozpowszechnienia płócien bawełnianych<sup>215</sup>, z przyczyny taniości tej materii w stosunku do płótna lnianego. W tej chwili papier robi się jeszcze ze szmat konopnych i lnianych, ale ten produkt jest drogi, a jego koszt opóźnia olbrzymi rozwój, do jakiego siłą rzeczy idzie prasa francuska. Otóż nie można zwiększyć produkcji galganów. Galgany są rezultatem zużycia bielizny i ludność danego kraju dostarcza tylko ograniczoną ich ilość. Ta ilość może wzmoć się jedynie przez przyrost liczby urodzeń. Aby osiągnąć widoczną różnicę przyrostu ludności, kraj potrzebuje ćwierć wieku i wielkich przeobrażeń w obyczajach, handlu i rolnictwie. Jeżeli zatem potrzeby naszego przemysłu papierniczego przerosną ilość galganów dostarczanych przez Francję, czy to w stosunku podwójnym, czy potrójnym, trzeba będzie dla utrzymania papieru w niskiej cenie wprowadzić w jego wyrób inny czynnik. To rozumowanie opiera się na fakcie, na który patrzymy własnymi oczami. Papiernie angulemskie, ostatnie w których będzie się wyrabiał papier ze szmat nicianych, widzą, jak bawełna zalewa masę w stosunku wprost zastraszającym.

Na zapytanie młodej robotnicy, która nie wiedziała, co znaczy masa, Dawid udzielił jej w kwestii papiernictwa nieco wyjaśnień. Nie będą one może nie na miejscu w dziele, które swoje materialne istnienie zawdzięcza zarówno papierowi, jak tłoczni drukarskiej; ale ten długi nawias pomiędzy zakochaną parą zyska może na tym, jeśli się go po prostu streści.

Papier, wynalazek nie mniej cudowny od druku, któremu służy za podstawę, istniał od dawna w Chinach; stamtąd podziemnymi chodnikami handlu dotarł do Azji Mniejszej, gdzie wedle tradycji około roku 750 posługiwano się papierem z bawełny zmielonej i rozgotowanej na masę. Potrzeba zastąpienia pergaminu, który był niezmiernie kosztowny, doprowadziła przez naśladownictwo „papieru bombajskiego” (taka była nazwa bawełnianego papieru na Wschodzie), do wynalazku papieru szmacianego; jedni twierdzą, iż dokonali tego w Bazylei w roku 1170 jacyś zbiegowie greccy, drudzy utrzymują, iż pierwszy osiągnął to w Padwie, w roku 1301, Włoch imieniem Pax. Papier ów doskonalił się powoli i bez rozgłosu, ale pewne jest, iż już za Karola VI<sup>216</sup> wyrabiano w Paryżu z masy papierowej karty do gry. Kiedy nieśmiertelni Faust, Coster i Gutenberg<sup>217</sup> wynaleźli KSIĄŻKĘ, rękodzielniczy, nieznanymi, jak tylu wielkich artystów tej epoki, zastosowali papiernictwo do potrzeb sztuki drukarskiej. W owym wieku, tak tęgim, a tak naiwnym, nazwy rozmaitych formatów papieru, tak samo jak nazwy dawane czcionkom, noszą piętno naiwności epoki. Przed wynalazkiem papieru fabrycznego, o nieograniczonej długości, największe formaty były Wielki Jezus lub Wielki Colombier, a i ten ostatni służył jedynie do atlasów albo rycin. W istocie rozmiary papieru drukarskiego dostosowane były do rozmiarów płyty marmurowej tłoczni. W chwili, gdy rozgrywa się ta historia, istnienie papieru *ciągłego* wydawało się chimerą we Francji, mimo że już Dionizy Robert d’Esbonne około roku 1799 wynalazł do tego celu maszynę, którą później Didot-Saint-Leger pró-

<sup>215</sup>upadek Cesarstwa przyczyni się do rozpowszechnienia płócien bawełnianych — ponieważ bawełna pochodziła z kolonii brytyjskich, zaś upadek Cesarstwa spowodował zdjęcie nałożonej przez Napoleona tzw. blokady kontynentalnej, tj. całkowitego zakazu handlu z Wielką Brytanią. [przypis edytorski]

<sup>216</sup>Karol VI Szalony (1368–1422) — król Francji (od 1380) z dynastii Walezjuszów; w 1392 zapadł niespodziewanie na chorobę psychiczną, krajem rządziła skłócona rada regencyjna, co doprowadziło do walk stronnictw i klęsk Francji w wojnie stuletniej. [przypis edytorski]

<sup>217</sup>Faust, Coster i Gutenberg — Johann Fust a. Faust (ok. 1400–1466): drukarz z Moguncji, współpracownik Gutenberga; Laurens Janszoon Coster (ok.1370–1440): holenderski mieszczanin, rzekomy wynalazca sztuki drukarskiej w Europie, mający pierwszeństwo przed Gutenbergiem; obecnie uważa się, że opowieści o nim są zaś legendami; Johannes Gutenberg (ok.1400–1468): drukarz i wydawca z Moguncji, wynalazca druku z użyciem prasy drukarskiej i ruchomych metalowych czcionek. [przypis edytorski]

bował udoskonalić. Papier welinowy<sup>218</sup>, wynaleziony przez Ambrożego Didota<sup>219</sup>, datuje ledwo od roku 1780. Ten pobieżny rzut oka wykazuje niezbicie, że wszystkie te wielkie zdobycze przemysłu i inteligencji powstawały niezmiernie powoli, drogą niedostrzegalnych przyrostów, zupełnie tak jak postępuje przyroda. Aby dojść do swej doskonałości, pismo, a być może i mowa, potrzebowały tego samego szukania po omacku, co typografia i papiernictwo.

— Gałganiarze zbierają w całej Europie szmaty, starą bieliznę i kupują szczątki wszelakiego rodzaju tkanin — rzekł drukarz, kończąc wykład. — Te szczątki, przebrane i posortowane, gromadzą się u handlarzy szmat, hurtowników, którzy zaopatrują papiernie. Fabrykant płucze szmaty i gotuje je na rodzaj jasnego wywaru, który się cedzi, zupełnie tak samo, jak kucharka cedzi sos przez sito, przez żelazne krosna nazwane formą. Od wielkości formy zależy tedy wielkość papieru. W epoce gdy byłem w firmie Didot, zajmowano się już tą kwestią i zajmują się nią dziś jeszcze, udoskonalenie bowiem, którego szukał twój ojciec jest jedną z najbardziej palących dzisiejszych konieczności. Oto dlatego. Trwałość płótna w porównaniu do trwałości bawełny czyni w rezultacie nic lnianą tańszą od bawełnianej; mimo to, ponieważ większość klienteli są to biedacy, dla których odgrywa zawsze rolę doraźna suma, jaką trzeba wyjąć z kieszeni, wolą dać mniej niż więcej i w imię zasady *Vae victis*.<sup>220</sup> ponoszą olbrzymie straty. Klasa mieszczańska czyni tak jak biedni. Toteż szmat płóciennych brakuje. W Anglii, gdzie bawełna zastąpiła płótno u czterech piątych ludności, fabrykują już tylko papier bawełniany. Papier ten, który ma przede wszystkim tę wadę, iż przeciera się i łamie, rozpuszcza się w wodzie tak łatwo, iż książka z papieru bawełnianego zmieniłaby się w papkę po kwadransie moczenia, podczas gdy stara książka nie zniszczyłaby się nawet zanurzona na dwie godziny. Starą książkę dałoby się wysuszyć i mimo iż pożółkłaby i zbladła, czcionki byłyby jeszcze czytelne, dzieło nie uległoby zniweczeniu. Zbliżamy się do czasu, w którym, wobec zmniejszenia majątków przez ich wyrównanie, wszystko zubożeje; będziemy chcieli bielizny i książek tanich, tak jak żąda się dziś małych obrazów dla braku miejsca na pomieszczenie dużych. Koszule i książki staną się mniej trwałe, oto wszystko. Rzetelność wytworów zanika na całej linii. Problem, jaki się nastęrcza, jest najwyższej wagi dla piśmiennictwa, nauki i polityki. Toczyła się też kiedyś w moim gabinecie żywa dyskusja nad ingrediencjami<sup>221</sup>, jakimi posługują się Chiny do wyrobu papieru. Tam, dzięki gatunkowi surowca, papiernictwo od samego zaczątku osiągnęło doskonałość dla nas niedoścignioną. Zajmowano się wówczas wiele papierem chińskim, który przez swą lekkość i delikatność stoi o wiele wyżej od naszego, te cenne bowiem własności nie umniejszają jego mocy i mimo największej cienkości nie jest nic a nic przezroczysty. Pewien korektor bardzo wykształcony (w Paryżu spotyka się uczonych pośród korektorów: Fourier<sup>222</sup> i Piotr Leroux<sup>223</sup> są w tej chwili korektorami u Lachevardiere'a!...); zatem hrabia de Saint-Simon<sup>224</sup>, wówczas korektor, zaszedł do nas w pełni dyskusji. Powiedział nam, iż, wedle Kempfera<sup>225</sup> i du Halde'a<sup>226</sup>, podstawowy materiał papieru u Chińczyków stanowi *brussonatia*<sup>227</sup>, produkt czysto roślinny, jak i nasze. Inny korektor twierdził, że papier chiński fabrykuje się głównie z materii zwierzęcej, z jedwabiu, tak obfitego w Chinach. Uczyniono zakład.

<sup>218</sup>papier welinowy — cienki, gładki papier wysokiej jakości. [przypis edytorski]

<sup>219</sup>Didot, François-Ambroise (1730–1804) — członek znanej rodziny drukarzy, księgarzy i wydawców, syn założyciela rodu, François Didota; wynalazł nową prasę drukarską, jako pierwszy drukował na papierze welinowym. [przypis edytorski]

<sup>220</sup>vae victis (łac.) — biada zwyciężonym. [przypis edytorski]

<sup>221</sup>ingredienca — składnik. [przypis edytorski]

<sup>222</sup>Fourier, Charles (1772–1837) — francuski socjalista utopijny. [przypis edytorski]

<sup>223</sup>Leroux, Pierre Henri (1797–1871) — francuski filozof i działacz społeczny, teoretyk socjalizmu. [przypis edytorski]

<sup>224</sup>Saint-Simon, Henri de (1760–1825) — francuski pisarz i filozof, socjalista utopijny. [przypis edytorski]

<sup>225</sup>Kempfer, Engelbert (1651–1716) — niemiecki podróżnik, lekarz i przyrodnik, znany z podróży do Persji, Indii i Japonii; autor prac o roślinności i historii Japonii, będących w Europie przez długi czas głównym źródłem wiedzy o tym kraju. [przypis edytorski]

<sup>226</sup>du Halde, Jean-Baptiste (1674–1743) — francuski jezuita, historyk, znany z 4-tomowego opisu cesarstwa Chin (*Description géographique, historique, chronologique, politique et physique de l'empire de la Chine...*, 1735), powstałego na podstawie świadectw misjonarzy jezuickich. [przypis edytorski]

<sup>227</sup>*Brussonatia papyrifera* (łac.), pol. *brusonecja chińska* a. *morwa papierowa* (bot.) — gatunek roślin pochodzących z Azji; najstarszy z materiałów włóknistych używanych do produkcji papieru (ok. 100 n.e. w Chinach). [przypis edytorski]

Ponieważ panowie Didot są drukarzami Instytutu<sup>228</sup>, poddano oczywiście spór członkom tego uczonego zgromadzenia. Pan Marcel, dawny dyrektor Drukarni Cesarskiej, ustanowiony sędzią, odesłał obu korektorów przed księdza Groziera, bibliotekarza w Arsenale. Wedle sądu księdza Groziera, obaj korektorzy przegrali zakład: papieru chińskiego nie robi się ani z jedwabiu, ani z *brussonatia*; miazga jego pochodzi z utartych na proch włókien bambusa. Ksiądz Grozier posiadał książkę chińską, dzieło zarazem monograficzne i technologiczne, gdzie znajdowały się liczne ryciny przedstawiające fabrykację papieru we wszystkich fazach, i pokazał nam łodygi bambusa wymalowane w całych pękach w kącie fabryki papieru, wspaniale narysowanej. Kiedy Lucjan powiedział mi, iż ojciec wasz, drogą jakiejś intuicji właściwej ludziom talentu, przeczuł sposób zastąpienia szczątków bielizny za pomocą roślinnego materiału nader pospolitego, czerpanego wprost z ziemi, jak to czynią Chińczycy, posługując się włóknistymi łodygami, rozpatrzyłem wszystkie próby dokonane przez moich poprzedników i przystąpiłem wreszcie do badania kwestii. Bambus jest trzcina: naturalną tedy drogą pomyślałem o trzcinach naszego kraju. Cena pracy ręcznej nie odgrywa w Chinach żadnej roli, dzień pracy kosztuje tam trzy su, toteż Chińczycy mogą, po wyjęciu z formy, rozciągać swój papier, arkusz po arkuszu, między dwiema rozgrzanymi płytami z białej porcelany, za pomocą których prasują go i dają mu ten blask, trwałość, lekkość, tę miękkość satyny, które zeń czynią pierwszy papier w świecie. Otóż trzeba zastąpić sposoby Chińczyków udziałem jakiejś maszyny. Za pomocą maszyn można rozwiązać problem taniości, jaką daje Chińczykom niska cena pracy ręcznej. Gdybyśmy zdołali wyrabiać tanio papier o własnościach takich jak papier chiński, zmniejszylibyśmy przeszło o połowę wagę i grubość książek. Wolter oprawny, który na naszych welinach waży dwieście pięćdziesiąt funtów, nie ważyłby na papierze chińskim ani pięćdziesięciu. I oto niewątpliwa zdobycz. Miejsce potrzebne w bibliotekach będzie z pewnością kwestią coraz to trudniejszą do rozwiązania w epoce, w której powszechne zmniejszenie rzeczy i ludzi dosięga wszystkiego, nawet mieszkań. W Paryżu wielkie pałace, wielkie apartamenty ulegną prędzej czy później zburzeniu; nie będzie wkrótce fortun na miarę budowli naszych ojców. Jakież wstyd dla naszej epoki fabrykować książki bez trwałości! Jeszcze dziesięć lat, a papier holenderski, to znaczy papier ze szmat płóciennych, będzie zupełnie niemożliwy. Otóż brat twój udzielił mi myśli, jaką miał wasz ojciec, aby użyć pewnych włóknistych roślin do fabrykacji papieru; widzisz tedy, iż jeżeli mi się powiedzie, macie prawo do...

W tej chwili Lucjan zbliżył się do siostry i przerwał szlachetną deklarację Dawida.

— Nie wiem — rzekł — czy wam się wydał ten wieczór ładny, ale dla mnie był on okrutny.

— Mój biedny Lucjanie, cóż się stało? — rzekła Ewa, zauważywszy wzburzenie malujące się na twarzy brata.

Podrażniony poeta opowiedział swoje męki, wylewając w przyjacielskie serca fale myśli, które go nurtowały. Ewa i Dawid słuchali Lucjana w milczeniu, ze smutkiem patrząc na ten potok boleści, ujawniający tyleż wielkości, co małostek.

— Pan de Bargeton — kończył Lucjan — jest to starzec, który niebawem pożegna się z pewnością ze światem sprzątnięty jakąś niestrawnością; wówczas zapanuję nad tą dumną kastą: zaślubię panią de Bargeton! Czytałem tego wieczora w jej oczach miłość równą mojej. Tak, ona odczuła moje rany, uśmierzyła moje cierpienia; jest równie szlachetna i wielka, jak piękna i pełna uroku! Nie, ona nie zdradzi mnie nigdy!

— Czy nie jest pora, aby mu stworzyć spokojną egzystencję? — rzekł po cichu Dawid do Ewy.

Ewa przycisnęła w milczeniu ramię Dawida, który, zrozumiawszy jej myśl, skwapliwie opowiedział Lucjanowi plany, jakie obmyślił. Para zakochanych była tak pełna siebie samych, jak Lucjan siebie, tak iż Ewa i Dawid, w niecierpliwości zyskania aprobaty własnego szczęścia, nie spostrzegli odruchu zdumienia, jaki wymknął się ulubieńcowi pani de Bargeton, skoro dowiedział się o zamierzonym małżeństwie siostry i Dawida. Lucjan, który marzył o tym, aby znaleźć dla siostry świetną partię, gdy sam dojdzie do wysokiej pozycji, i w ten sposób stworzyć szersze podstawy dla swej ambicji, wiążąc się z jakąś

<sup>228</sup> Instytut — Instytut Francuski, obejmujący pięć towarzystw naukowych: Akademię Francuską, Akademię Napisów i Literatury Pięknej, Akademię Nauk, Akademię Sztuk Pięknych i Akademię Nauk Moralnych i Politycznych. [przypis edytorski]

potężną rodziną, z rozpaczą ujrzał w tym związku jedną przeszkodę więcej dla swoich światowych sukcesów.

„Jeżeli pani de Bargeton zgodzi się zostać panią de Rubempré, nigdy nie będzie chciała być bratową Dawida Sécharda!” To zdanie zawierało jasną i ścisłą formułę myśli, jakie szarpały sercem Lucjana. „Luiza ma słuszność! Ludzie przyszłości nigdy nie znajdują zrozumienia w rodzinie” — pomyślał z goryczą.

Gdyby Lucjan otrzymał wiadomość o tym związku kiedy indziej niż w chwili, kiedy w wyobraźni uśmiercił właśnie pana de Bargeton, byłaby z pewnością wzbudziła w nim najżywszą radość. Zastanawiając się nad swym obecnym położeniem, nad losem dziewczyny pięknej a bez majątku, byłby patrzył na to małżeństwo jak na nieoczekiwane szczęście. Ale on bujał właśnie w jednym z tych złotych snów, w których młodzi ludzie, dosiadłszy słówka „gdyby”, przeskakują wszystkie zapory. W tej chwili widział siebie panującego nad społeczeństwem; jako prawdziwy poeta cierpiał, iż tak rychło trzeba mu się osunąć w rzeczywistość. Ewa i Dawid myśleli, iż brat milczy przygnieciony taką wspaniałomyślnością. Dla tych dwóch pięknych dusz milczące przyjęcie było świadectwem prawdziwej przyjaźni. Drukarz począł z łagodną i serdeczną wymową malować szczęście, jakie czeka wszystkich czworo. Mimo protestów Ewy, umeblował pierwsze pięterko z przepychem zakochanego; wybudował z naiwną dobrą wiarą drugie dla Lucjana oraz przerobił poddasze dla pani Chardon, względem której chciał rozwinąć wszelkie starania synowskiej troskliwości. W końcu uczynił rodzinę tak szczęśliwą i brata swego tak niezależnym, iż Lucjan, oczarowany głosem Dawida i pieściznami Ewy, zapomniał, w cienistej alei drogi, nad brzegiem spokojnej i lśniącej Charenty, pod gwiazdzistym sklepieniem i w ciepłej atmosferze nocy, o raniącej koronie z cierni, jaką społeczeństwo wtoczyło mu na głowę. Pan de Rubempré ocenił wreszcie Dawida. Wrażliwość jego natury przeniosła go niebawem w czyste, pracowite i mieszczańskie życie, jakie wiódł był wprzód; Dawid ukazał mu je upiękzone i wolne od trosk. Zgiełk arystokratycznego świata oddalał się coraz bardziej. Wreszcie, kiedy wstąpili na bruk Houmeau, ambitny młodzieniec uściśnął rękę brata i dostroił się do pary szczęśliwych kochanków.

— Byleby tylko twój ojciec nie sprzeciwiał się małżeństwu — rzekł do Dawida.

— Wiesz dobrze, ile on troszczy się o mnie! Żyje sobie na własną rękę; ale pójdę jutro odwiedzić go w Marsac, choćby tylko po to, aby uzyskać przebudowy, które nam są potrzebne.

Dawid odprowadził brata i siostrę aż do mieszkania pani Chardon, którą poprosił o rękę Ewy z pośpiechem człowieka, który nie chce dopuścić możliwości odwłoki. Matka ujęła rękę córki, włożyła ją z radością w rękę Dawida, ośmielony zaś kochanek pocałował w czoło piękną narzeczoną, która uśmiechnęła się doń zarumieniona.

— Oto zaręczyny biednych ludzi — rzekła matka, wznosząc oczy, jakby dla uproszenia błogosławieństwa Boga. — Odważny jesteś, moje dziecko — rzekła do Dawida — jesteśmy bowiem pod znakiem nieszczęścia i lękam się, aby ono nie było zaraźliwe.

— Będziemy bogaci i szczęśliwi — rzekł poważnie Dawid. — Na początek zaprzestanie pani rzemiosła pielęgniarstwa i zamieszka wraz z córką i Lucjanem w Angoulême.

Trzej młodych zaczęło na wypródkę opowiadać zdumionej matce swój śliczny projekt, zapuszczając się w jedną z owych gawędek rodzinnych, w których zgarnia się zawczasu do spichrza wszystkie zasiewy i kosztuje z góry wszystkich radości. Trzeba było Dawida przemocą wypędzić z domu; byłby pragnął, aby ten wieczór trwał wiecznie. Biła pierwsza, kiedy Lucjan odprowadzał przyszłego szwagra do bramy Palet. Zaczynał pan Postel, zaniepokojony niezwykłym ruchem, przycupnął ukryty za oknem; otworzył żaluzje i mówił sobie, widząc o tej porze oświetlone okienko Ewy:

— Co się tam dzieje u tych Chardonów? Mój chłopcze — rzekł, widząc wracającego Lucjana — co się tam stało u was? Może byłbym na co potrzebny?

— Nie, panie — odparł poeta. — Ale ponieważ jest pan przyjacielem rodziny, mogę powiedzieć, o co chodzi: matka oddała Dawidowi Séchardowi rękę Ewy.

Za całą odpowiedź Postel zamknął gwałtownie okno, w rozpaczy, iż nie oświadczył się o pannę Chardon.

Zamiast wrócić do Angoulême, Dawid skierował się na drogę do Marsac. Nie spiesząc się, szedł przed siebie i właśnie w chwili gdy słońce wstawało, dotarł do ogródka okalają-

cego dom. Kochanek ujrzał pod drzewem migdału głowę starego niedźwiedzia wznoszącą się ponad żywopłotem.

— Dzień dobry, ojcie — rzekł Dawid.

— Jak to, to ty, mój chłopcze! Jakimż cudem znalazłeś się na gościńcu o tej porze? Chodźże tędy — rzekł hodowca wina, pokazując synowi małą furtkę. — Całe wino zakwitło cudownie, ani jeden szcep nie przemarzł! Będzie więcej niż dwadzieścia beczek z morgi<sup>229</sup> tego roku; ale też ile nawozu w to weszło!

— Mój ojcie, pragnąłbym z tobą pomówić w ważnej sprawie.

— No i cóż, jakże twoje prasy? Musisz zarabiać góry złota?

— Będę zarabiał, ojcie, ale na tę chwilę nie jestem bogaty.

— Wszyscy powstają tu na mnie, że nawozę jak diabli — odparł ojciec. — Mieszczuchy, to znaczy pan margrabia, pan hrabia, pan taki i taki, utrzymują, iż obniżam tym jakość wina. Na co służy wykształcenie? Żeby człowiekowi rozum zmącić. Posłuchaj! Ci panowie zbierają siedem, niekiedy osiem beczek z morgi i sprzedają po sześćdziesiąt franków, co daje najwyżej czterysta franków z morgi w dobrym roku. Ja zbieram dwadzieścia beczek i sprzedaję po trzydzieści franków, razem sześćset franków! Kto jest głupiec? Jakość! Jakość! Cóż mnie obchodzi jakość? Niech oni zachowają jakość dla siebie, panowie markizy. Dla mnie jakość to talary. Jak powiadasz?...

— Mój ojcie, żenię się, przychodzę prosić...

— Prosić? Och, nic a nic, mój chłopcze. Żeń się, owszem, ale żebym ci miał dać cośkolwiek?... Jestem w tej chwili bez grosza. Wkłady zrujnowały mnie! Od dwóch lat wkładam i wkładam; do tego podatki, koszta wszelakiego rodzaju; rząd bierze wszystko, co najlepsze idzie w kieszeń rządu! Oto już dwa lata, jak biedni właściciele winnic nie mają nic. Ten rok przedstawia się nieźle i oto szelmy beczki już są po jedenaście franków! Pracuje się na bednarza<sup>230</sup>. Po co ci żenić się przed winobranieniem?...

— Ojcie, przychodzę prosić tylko o pozwolenie.

— Och, to... to inna rzecz. A z kimże to masz zamiar się żenić, jeżeli wolno spytać?

— Zaślubiam pannę Ewę Chardon.

— Cóż to takiego? Co to za nasienie?

— Córka nieboszczyka pana Chardona, aptekarza z Houmeau.

— Ty żenisz się z dziewczyną z Houmeau, ty, obywatel, ty, drukarz królewski w Angoulême! Oto owoce edukacji! Oddawajże tu dzieci do szkół! Ho, ho, musi być tedy bardzo bogata, mój chłopcze — rzekł stary winiarz, zbliżając się do syna z pieszczotliwym wyrazem twarzy — jeżeli żenisz się z dziewczyną z Houmeau, to musi chyba tęgo być wypchana złotem! Dobrze! Zapłacisz mi zaległe czynsze. Czy wiesz, chłopcze, że oto już dwa lata i kwartał jak zalegasz: razem dwa tysiące siedemset franków, które by mi w samą porę spadły na zapłacenie bednarza. Od każdego innego niż syn miałbym prawo domagać się procentów, ostatecznie bowiem, interes interesem; ale tobie daruję je. No więc cóż ona ma?

— Ma to, co miała moja matka.

Stary winiarz już miał wykrzyknąć: „Tylko dziesięć tysięcy franków!”, ale przypomniał sobie, iż odmówił był zdania rachunków synowi, i wykrzyknął:

— Nie ma nic!

— Majątek matki stanowiła jej inteligencja i uroda.

— Idźże z tym na targ, zobaczysz co ci dadzą za ten towar! Do kroćset diabłów, biedni są ci ojcowie ze swymi dziećmi! Dawidzie, kiedy ja się żeniłem, miałem za cały majątek czapkę na głowie i tych dziesięć palców; byłem biednym drapichrustem; ale ty z piękną drukarnią, którą ci dałem, z twoim fachem i nauką, masz prawo zaślubić obywatelkę z miasta, kobietę z jakimi trzydziestoma, czterdziestoma tysiącami franków. Zostaw twoje miłości, a ja cię już wyswatam! Mamy o milę stąd wdowę trzydziestoletnią, młynarkę, która ma sto tysięcy franków w doskonałej ziemi, to coś dla ciebie. Możesz połączyć jej majątek z gruntami w Marsac; stykają się. O, cóż za ładny kawał ziemi mielibyśmy wówczas i jakbym ja na nim gospodarował! Powiadają, że ma się wydać za Courtois,

Ojciec, Chciwość

Kłamstwo

Interes, Małżeństwo

<sup>229</sup>morga — dawna miara powierzchni gruntu, nieco ponad 0,5 ha. [przypis edytorski]

<sup>230</sup>bednarz — rzemieślnik wyrabiający różne naczynia z drewna, w tym np. beczki. [przypis edytorski]

swego rządcę, tożes ty więcej wart od niego! Ja bym prowadził młyn, podczas gdy ona paradowała sobie w Angoulême.

— Ojcze, dałem słowo...

— Dawidzie, ty nie masz pojęcia o handlu, idziesz do ruiny. Tak, jeśli się ożenisz z tą dziewczyną z Houmeau, ubezpieczę się wobec ciebie sądownie, pozwę cię o czynsze, nie przewiduję bowiem nic dobrego. O moje biedne prasy! Moje prasy! Ileż to trzeba było pieniędzy, aby was naoliwić, utrzymać was, puścić w ruch! Jedynie dobry rok urodzaju mógłby mnie pocieszyć po tym, co usłyszałem.

— Mój ojcze, zdaje mi się, że dotąd mało sprawiłem ci zgryzot...

— A jeszcze mniej płaciłeś czynszów — odparł stary.

— Przyszedłem cię prosić, oprócz zezwolenia na małżeństwo, o to, abys mi wybudował drugie piętro i wystawił mieszkancko nad oficyną.

— Figę z makiem, nie mam ani szeląga, wiesz o tym. Zresztą, to by były pieniądze rzucone do wody, cóż by mi to bowiem przyniosło? Ha! Wstajesz o świcie, aby mnie nagabywać o budowę zdolne zrujnować króla! Mimo że dano ci na imię Dawid, ja nie posiadam skarbów Salomona<sup>231</sup>. Aleś ty oszalał! Zamieniono mi chyba moje dziecko u mamki! Ten zapowiada się solennie! — rzekł, przerywając sobie, aby pokazać Dawidowi szczep winny. — Oto dzieci, które nie zawiodą nadziei rodziców; nawieziesz je, przynoszą ci dochody. Oddałem cię do liceum, płaciłem ogromne sumy, aby z ciebie zrobić uczonego, umieściłem u Didotów: wszystkie te figle kończą się na tym, iż dajesz mi za synową dziewczynę z Houmeau bez grosza posagu! Gdybyś się nie był uczył, gdybyś był został pod moim okiem, byłbyś się prowadził wedle mej woli i ożeniłbyś się dzisiaj z młynarką stutysięczną, nie licząc młyna. Więc tak, twoja mądrość służy na to, abys sobie myślał, że ja cię wynagrodzę za te piękne uczucia, budując ci pałace?... Powiedziałby kto, doprawdy, że od dwustu lat w twoim domu mieszkaly tylko świny i że dziewczyna z Houmeau nie może się tam przespać. Ejże! Czy to może królowa francuska?

— Zatem, ojcze, wybuduję drugie piętro własnym kosztem; niechże syn wzbogaci ojca. Mimo że to wywraca porządek świata na opak, zdarza się wszelako niekiedy.

— Jak to, chłopcze, masz pieniądze na budowanie, a nie masz na zapłacenie czynszu? Spryciarzu, ty kręcisz z ojcem!

Kwestia tak postawiona stawala się trudna do rozwiązania, stary bowiem uszczęśliwiony był, iż może synowi nic nie dać, zachowując pozory ojcostwa. Toteż Dawid nie zdołał uzyskać od ojca nic więcej, jak tylko proste pozwolenie na małżeństwo oraz dokonanie swoim kosztem w domu ojca potrzebnych przeróbek. Stary niedźwiedź, ów model ojców starej daty, uczynił synowi tę łaskę, iż nie wymagał zaległych czynszów i nie obdzierał go z oszczędności, z jakimi nieostrożnie się zdradził. Dawid posmutniał: zrozumiał, że w razie nieszczęścia nie może liczyć na pomoc ze strony ojca.

W całym Angoulême gadano jedynie o słówku biskupa i odpowiedzi pani de Bargeton. Najmniejsze wydarzenia zostały niebawem tak wypaczone, powiększone, upiększone, iż poeta stał się bohaterem chwili. Ze sfer wyższych, gdzie huczała ta burza plotek, spadło kilka kropel i w światek mieszczański. Kiedy Lucjan przechodził przez Beaulieu, udając się do pani de Bargeton, zauważył zazdrosną baczość, z jaką przyglądało mu się wielu młodych ludzi, oraz pochwycił kilka zdań, które go wbiły w dumę.

— Oto szczęśliwy chłopak — rzekł dependent<sup>232</sup> adwokacki nazwiskiem Petit-Claud, bardzo brzydki kolega szkolny Lucjana, wobec którego ten przybierał miny protekcyjne.

— Nie ma gadania: ładny chłopiec, ma talent i pani de Bargeton szaleje za nim — odparł jakiś obywatelski synek, który był obecny przy lekturze.

Lucjan niecierpliwie oczekiwał godziny, w której wiedział, iż zastanie Luizę samą; czuł potrzebę uzyskania zezwolenia na małżeństwo siostry. Pani de Bargeton stała się panią jego losów. Po wczorajszym wieczorze Luiza będzie może tkliwsza, a tkliwość ta może sprowadzić chwilę szczęścia. Nie omylił się: pani de Bargeton przyjęła go z emfazą uczucia, która temu nowicjuszowi w amorach wydała się wzruszającym postępowaniem namiętności.

<sup>231</sup>dano ci na imię Dawid, ja nie posiadam skarbów Salomona — Dawid oraz jego syn i następcą Salomon byli najslawniejszymi biblijnymi królami Izraela; Salomon miał być niezmiernie bogaty, na jego panowanie przypada największa świetność monarchii izraelskiej. [przypis edytorski]

<sup>232</sup>dependent (daw.) — pomocnik adwokata lub notariusza. [przypis edytorski]

Poddała piękne złote włosy, ręce, głowę płomiennym pocałunkom poety, który przez wczorajszy wieczór tyle wycierpiał!

— Gdybyś był widział swoją twarz, kiedy czytałeś! — rzekła; wczorajszego dnia bowiem doszli do owego „ty”, do tej pieśnicy słów, wówczas gdy na kanapie Luiza białą ręką otarła krople potu, zawczasu strojące perłami czoło, na które ona kładła wieniec. — Iskry sypały się z twoich pięknych oczu! Zdawało mi się, że widzę wychodzące z twoich ust złote łańcuchy, na jakich zawisają serca u warg poetów. Przeczytasz mi całego Chéniera, to poeta kochanków. Nie będziesz już cierpiał więcej, ja nie chcę! Tak, drogi aniele, stworzę dla ciebie oazę, w której będziesz żył pełnym życiem poety, na przemian czynnym, miękkim, leniwym, pracowitym, myślącym; ale nie zapominaj nigdy, że twoje laury mnie się należą z prawa, że to będzie dla mnie wspaniałe odszkodowanie za cierpienia, jakie mnie czekają. Biedny mój drogi, ten świat nie oszczędzi mnie, tak samo jak ciebie nie oszczędził; mści się za każde szczęście, którego nie dzieli. Tak, będą mi zawsze zazdrościć, czy nie widziałeś wczoraj? Jak te muchy pijące krew prędko zbiegły się, abyssać ranki, które zadały! Ale byłam szczęśliwa! Żyłam! Już od tak dawna nie dźwięczały struny mego serca!

Łzy popłynęły po policzkach Luizy; Lucjan wziął ją za rękę i za całą odpowiedź wycisnął na niej długi pocałunek. Ta kobieta głaskała wszystkie próżności poety, tak samo jak matka, siostra, Dawid. Każdy dokoła niego pracował nad wywyższeniem urojonego piedestału, na którym się znalazł. Podtrzymywany przez cały świat, zarówno przez przyjaciół, jak przez wściekłość nieprzyjaciół, w swoich ambitnych przeświadczeniach, kroczył w atmosferze pełnej zwodnych mirażów. Młoda wyobraźnia tak łatwo staje się współniczką pochwał i myśli tego rodzaju, wszystko tak kwapi się służyć młodzieńcowi pięknemu, pełnemu przyszłości, że trzeba więcej niż jednej gorzkiej i zimnej lekcji, aby rozproszyć takie czary.

— Chcesz zatem, uroczą Luizo, być moją Beatrycze, ale Beatrycze, która pozwala się kochać?

Podniosła piękne oczy, dotąd spuszczone, i rzekła, przecząc słowom anielskim uśmiechem:

— Jeżeli zasłużysz... później! Czy nie jesteś szczęśliwy? Mieć oddane serce! Móc wszystko powiedzieć z tą pewnością, że się będzie zrozumianym, czy to nie jest szczęście?

— Tak — odparł, robiąc minę dąsającego się kochanka.

— Dzieciaku! — rzekła, przedrzeźniając go. — No, czy nie masz mi nic do powiedzenia? Wszedłeś jakby zaprzątnięty czymś, mój Lucjanie.

Lucjan zwierzył nieśmiało swej ukochanej wzajemną miłość Dawida i siostry, jak również zamierzone małżeństwo.

— Biedny Lucus! — rzekła — boi się że go wybiją, połają, jakby to on sam się żenił! Ale cóż w tym widzisz złego? — dodała, wodząc palcami po włosach Lucjana. — Co mnie obchodzi twoja rodzina, w której ty jesteś wyjątkiem? Gdyby mój ojciec zaślubił służącą, czy bardzo byś się troszczył o to? Drogie dziecko, kochankowie są sami dla siebie całą rodziną. Czy ja mam w świecie inną troskę prócz mego Lucjana? Bądź wielki, umiej zdobyć sławę, oto co nas obchodzi!

Słyszając tę egoistyczną odpowiedź, Lucjan czuł się najszczęśliwszym człowiekiem w świecie. W chwili gdy słuchał szalonych racji, za pomocą których Luiza udowadniała mu, że są sami na świecie, wszedł pan de Bargeton. Lucjan zmarszczył brwi i zdawał się zmieszany; Luiza dała mu znak i poprosiła, aby został na obiedzie, nakłaniając, aby poczytał jej Andrzeja Chéniera, dopóki nie zejda się gracze i goście wieczorni.

— Sprawia pan przyjemność nie tylko żonie — rzekł pan de Bargeton — ale i mnie także. Nic mi nie robi tyle przyjemności, co słuchać czytania po obiedzie.

Karmiony słodyczami przez pana de Bargeton, pieśczonego przez Luizę, obsługiwany przez lokai z tym szacunkiem, jaki mają dla faworytów państwa, Lucjan pozostał w pałacu Bargetonów, wzywając się we wszystkie rozkosze fortuny, do której używalności go dopuszczono. Kiedy salon napełnił się ludźmi, uczył się tak silny głupotą pana de Bargeton i miłością Luizy, że przybrał postawę zwyczajcy, w której piękna kochanka umacniała go jeszcze. Kosztował rozkoszy władzy zdobytej przez Nais, której sprawiało przyjemność z nim ją dzielić. Słowem, w ciągu tego wieczora odgrywał w całej pełni rolę bohatera



małego miasteczka. Widząc tę zmianę w zachowaniu Lucjana, niektóre osoby mniemały, że, wedle staroświeckiego wyrażenia, między nim a panią de Bargeton doszło do ostateczności. Amelia, przybyła w towarzystwie pana du Châtelet, ogłaszała tę katastrofę w kącie salonu, gdzie się zgromadzili zazdrośni i zawistni.

— Nie czyńcie Nais odpowiedzialną za wysoki próżności smarkacza nieposiadającego się z dumy, iż znalazł się w świecie, w którym nigdy nie spodziewał się stąpić nogą — rzekł Châtelet. — Czy nie widzicie, że ten Chardon bierze uprzejmość światowej kobiety za awanse? Nie umie jeszcze odróżnić milczenia, jakie zachowuje prawdziwa namiętność, od protekcyjnych grzeczności, jakie ściąga nań jego uroda, młodość i talent! Los kobiet byłby nazbyt ciężki, gdyby były odpowiedzialne za wszystkie pragnienia, które budzą. On jest zakochany, to pewne; ale co się tyczy Nais...

— Och, Nais! — podjęła przewrotna Amelia. — Nais jest bardzo szczęśliwa z tego uczucia. W jej wieku miłość młodego chłopca przedstawia tyle uroków! Kobieta odzyskuje wówczas młodość, staje się młodą dziewczyną, przybiera jej skrupuły, wzięcie, nie myśli o śmieszności... Ot, patrz pan! Syn aptekarza nadaje sobie tony władcy u pani de Bargeton!

— Miłość nie zna, co to stany — zanucił Adrian.

Nazajutrz nie było ani jednego domu w całym Angoulême, gdzie by nie dyskutowano stopnia poufaleści, w jakiej pozostaje pan Chardon, *alias*<sup>233</sup> de Rubempré, z panią de Bargeton: parę tę, zaledwie winną kilku pocałunków, świat obwiniał już o najbardziej zbrodnicze szczęście. Pani de Bargeton ponosiła ciężary swojej królewskości. Pośród różnych dziwactw społeczeństwa czyście nie zauważyli kaprysu jego sądów i szaleństwa wymagań? Są osoby, którym wszystko wolno, mogą robić rzeczy najbardziej niewłaściwe; u tych wszystko jest w porządku, ludzie na wyprzódki usprawiedliwiają wszystkie ich postęпки. Ale są inne, dla których świat rozwija niewiarygodną surowość: te powinny czynić wszystko dobrze, nigdy się nie mylić, nie błędzić, nie popełnić nawet najłżejszego głupstwa; rzeklibyście: posągi otoczone podziwem, które ściąga się z piedestału, z chwilą gdy mróz zimowy przyprawił je o utratę palca lub nadkruszenie nosa; nie pozwala się im na nic ludzkiego, są obowiązane być ciągle boskie i doskonałe. Jedno spojrzenie pani de Bargeton rzucone Lucjanowi równoważyło dwanaście lat słodczy Zizyny i Frania. Uścisk dłoni między parą kochanków miał ściągnąć na nich wszystkie gromy Charenty.

Dawid przywiózł z Paryża sekretny zapasik, który przeznaczał na koszty spowodowane małżeństwem i przybudową drugiego piętra na ojcowskim domu. Powiększyć ten dom czyż nie znaczyło pracować dla siebie? Prędzej czy później musiał on spaść na niego, ojciec miał siedemdziesiąt osiem lat. Drukarz kazał tedy wzniesić w formie drewnianej przybudowy mieszkancko Lucjana, aby nie przeciążać porysowanych murów starego domu. Z zapalem zabrał się do zdobienia, meblowania mieszkania na pierwszym piętrze, gdzie piękna Ewa miała spędzić życie. Był to dla dwóch przyjaciół czas wesela i szczęścia bez przymieszki. Mimo iż znudzony szczupłością rozmiarów prowincjonalnego życia, Lucjan zniósł bez użalań rachuby ubóstwa i jego prywacje<sup>234</sup>. Posępna melancholia ustąpiła miejsca promiennemu wyrazowi nadziei. Widział gwiazdę błyszczącą nad swą głową; marzył o pięknej egzystencji, sadowiąc swe szczęście na grobie pana de Bargeton, który od czasu do czasu miał trawienie nieco utrudnione i tę szczęśliwą manię, aby niestrawność poobiednią uważać za chorobę, na którą najlepszym lekarstwem jest obfita wieczerza.

Około początku września Lucjan nie był już protem, był panem de Rubempré, pomieszczonym wspaniale w porównaniu do nędznego poddasza, w jakim młody Chardon zamieszkiwał w Houmeau; nie był już „człowiekiem z Houmeau”, mieszkał w górnym Angoulême i bywał cztery razy na tydzień na obiedzie u pani de Bargeton. Zyskawszy sobie łaskę biskupa, był dopuszczony i do konsystorza. Zatrudnienia jego stawiały go w rzędzie najwyższej położonych osób. Wreszcie miał kiedyś zająć miejsce między chwałami Francji. To pewne, iż przebiegając ładny salonik, uroczą sypialnię i gotowalnię<sup>235</sup> pełną smaku, mógł się pocieszyć, iż zagarnia trzydzieści franków na miesiąc z ciężkiego zarobku matki i siostry; widział bowiem dzień, kiedy romans historyczny, nad którym pracował od dwóch lat, *Guardzista Karola IX*, i tomik poezji zatytułowanych *Stokrocie*

<sup>233</sup>*alias* (łac.) — inaczej. [przypis edytorski]

<sup>234</sup>*prywacja* — ograniczenie, obywanie się bez czegoś. [przypis edytorski]

<sup>235</sup>*gotowalnia* (daw.) — pomieszczenie do ubierania się. [przypis edytorski]

rozgłoszą jego imię w świecie literackim, przynosząc mu dosyć pieniędzy, aby się mógł wypłacić wobec matki, siostry i Dawida. Toteż czując, jak urasta, łowiąc uchem rozgłos swego imienia w przyszłości, przyjmował teraz te ofiary ze szlachetną ufnością; uśmiechał się ze swej niedoli, cieszył się ostatnimi chwilami swej nędzy. Ewa i Dawid położyli szczęście brata przed własnym. Ślub opóźnił się wskutek zwłoki, jakiej zażądali robotnicy dla wykończenia mebli, obić, malowideł przeznaczonych na pierwsze piętro, sprawy bowiem Lucjana szły przed innymi. Ktokolwiek znał Lucjana, nie dziwiłby się temu poświęceniu: był tak uroczy! Obejście miał tak pieśczośliwe! Swą niecierpliwość i pragnienia umiał objawiać z takim wdziękiem! Zawsze wygrał sprawę, zanim się jeszcze odezwał. Przez ten fatalny przywilej więcej młodych ludzi ginie, niż wypływa. Przyzwyczajeni do względów, jakie spotyka wszędzie urodziwa młodość, szczęśliwi z tego samolubnego poparcia, jakiego świat używa istocie, która mu się podoba, tak jak daje jałmużnę żebrakowi, który budzi w nim współczucie i przyprawia go o wzruszenie, wiele tych wielkich dzieci cieszy się tą łaską, zamiast z niej korzystać. Łudząc się co do znaczenia i sprężyn stosunków społecznych, spodziewają się zawsze spotkać ujmujące uśmiechy, ale dochodzą, nadzy, łysi, obdarci, bez wartości i mienia, do chwili, w której, niby stare kokietki i stare łachmany, świat porzuca ich u drzwi salonu lub na rogu ulicy. Ewa zresztą sama chciała tego opóźnienia, pragnęła w oszczędny sposób zaopatrzyć dom w rzeczy potrzebne dla gospodarstwa. Czegóż mogła odmówić para kochanków bratu, który widząc, jak siostra pracuje, mówił z akcentem płynącym z głębi serca: „Chciałbym umieć szyć!” Także poważny i bacznie obserwujący Dawid stał się współnikiem tego poświęcenia. Mimo wszystko od czasu triumfów Lucjana u pani de Bargeton uciuwał lęk przed przeobrażeniem, jakie dokonywało się w chłopcu; lękał się, iż rozwinie się w nim wżgarda dla mieszczańskiej prostoty. Pragnąc doświadczyć brata, Dawid stawiał go niekiedy w konieczności wyboru pomiędzy patriarchalnymi uciechami rodziny a rozkoszami wielkiego świata; aż widząc, iż Lucjan chętnie nieraz poświęca dla rodziny swoje upodobania i próżnostki, wykrzyknął: „Nie zepsują go nam!” Często trójka przyjaciół i pani de Chardon wyprawiali sobie wycieczki, ot, jak to na prowincji: puszczała się na przechadzkę do lasów sąsiadujących z Angoulême i ciągnących się wzdłuż Charenty; przyrządzali na trawie śniadanie z zapasów, jakie uczeń Dawida przynosił we wskazane miejsce; następnie wracali wieczór nieco znużeni, nie wydawszy ani trzech franków. W wielkich okolicznościach, kiedy puścili się na obiad w tak zwanej restauracji, wydatek dochodził do pięciu franków, które dzieliło się między Dawida a Chardonów. Dawid był nieskończenie wdzięczny Lucjanowi, iż umiał zapomnieć w tych sielskich dniach zadowoleń próżności, jakie znajdował u pani de Bargeton i bogatych obiadów wielkiego świata. Każdy chciał wówczas fetować wielkiego człowieka z Angoulême.

W tym stanie rzeczy, w chwili gdy już niemal nic nie brakło do przyszłego gospodarstwa, Dawid wybrał się do Marsac, aby uzyskać od ojca jego udział w ceremonii, w nadziei, iż starowina, rozbrojony urokiem synowej, przyczyni się do ogromnych wydatków spowodowanych urządzeniem domu. Otóż tego właśnie dnia zdarzył się jeden z owych wypadków, które w małym miasteczku zupełnie zmieniają postać rzeczy.

Lucjan i Luiza posiadali w panu Châtelet domowego szpiega, który z wytrwałością nienawiści pomieszanej z miłością i chciwością czatował na sposobność wywołania skandalu. Sykstus chciał zmusić panią de Bargeton do tak wyraźnego oświadczenia się za Lucjanem, aby stała się tym, co nazywają „kobietą zgubioną”. Przybrał rolę skromnego powiernika pani de Bargeton; ale o ile w jej domu rozpływał się w podziwach dla Lucjana, wszędzie indziej pastwił się nad nim, ile mógł. Nieznacznie<sup>236</sup> zdobył sobie wstęp o każdej godzinie do Nais, która pozbyła się nieufności do starego wielbiciela; ale baron zbyt wiele pokładał zaufania w kochankach, których miłość pozostawała ciągle platoniczna, ku wielkiej rozpaczycy Luizy i Lucjana. Bywają w istocie namiętności, które ruszyły z miejsca złą czy dobrą nogą, jak kto woli. Obie strony rzucają się w taktykę uczucia, mówią zamiast działać i biją się w szczerym polu zamiast podjąć obłężenie. Często zdarza się, iż sprzykrzą się samym sobie, znużywszy swoje pragnienia w próżni. W takiej grze para kochanków zostawia sobie czas na to, aby się zastanawiać, aby sądzić. Często namiętności, które wyruszyły w pole z rozwiniętymi sztandarami, dziarskie, z zapalem niepohamo-

<sup>236</sup>nieznacznie — niezauważalnie, niepostrzeżenie. [przypis edytorski]

wanym żadną zaporą, wracają w końcu do domu bez chwały, bez trofeów, zawstydzone, rozbrojone, ogłupiałe swym próżnym hałasem. Fatalności te dadzą się niekiedy wytłumaczyć nieśmiałością młodego wieku i przewlekaniem, w jakich lubują się kobiety-nowicjuszki, tego rodzaju bowiem wzajemne oszukaństwa nie zdarzą się ani wygom wytartym w praktyce życia, ani kokietkom przyzwyczajonym do manewrów miłosnych.

Życie prowincjonalne jest zresztą osobliwie wrogie zadowoleniom miłości i sprzyja intelektualnym bojom wielkich uczuć; przeszkody, jakie wszystko bez wyjątku stawia słodkiej poufałości, tak bardzo wiążącej kochanków, rzucają gorące dusze w ostateczne krańce. Życie to oparte jest na szpiegostwie tak drobiazgowym, na tak doskonałej przejrzystości wnętrza domu, tak mało dopuszcza serdecznego zbliżenia, które daje chwile szczęścia, nie obrażając cnoty, najczystsze stosunki spotykają się z tak niedorzecznymi oskarżeniami, że wiele kobiet widzi się pod pręgierzem mimo swej niewinności. Niejedna wyrzuca sobie wówczas, iż nie zakosztowała słodczy błędu, którego dźwiga wszystkie ciężary. Społeczeństwo, które bez poważniejszego zbadania potępia lub krytykuje oczywiste fakty, jakimi kończą się długie, tajemne walki, jest w ten sposób w samym zaczątku współwinowajcą tych wykroczeń; ale większość ludzi piorunujących przeciw rzekomemu zgorzeniu, do jakiego powód dają owe bez racji spotwarzane kobiety, nie zastanowiła się nigdy nad przyczynami doprowadzającymi je do takiej publicznej rezolucji. Pani de Bargeton miała się znaleźć w tej dziwacznej sytuacji, w jakiej znalazło się wiele kobiet, które się zgubiły dopiero w następstwie niesłusznego oskarżenia.

W początkach namiętności przeszkody przerażają ludzi niedoświadczonych: te, zaś z którymi spotkała się para kochanków podobne były bardzo do więzów, jakimi Lili-puci skrępowali Guliwera<sup>237</sup>. Były to same „nic”, mnożące się w takiej ilości, iż czyniły każde poruszenie niemożliwym i unicestwiały najgwałtowniejsze pragnienia. I tak pani de Bargeton zawsze musiała być widzialna. Gdyby kazała zamknąć dla gości drzwi domu w godzinach, w których bywał Lucjan, byłoby to otwarte przyznanie: na jedno wyszłoby uciec po prostu z kochankiem. Przyjmowała go, to prawda, w buduarze, z którym był tak oswojony, iż czuł się w nim jak gdyby panem, ale drzwi były cały czas skrupulatnie otwarte. Wszystko odbywało się najcnotliwiej w świecie. Pan de Bargeton snuł się po domu jak chrząszczyk, nie przypuszczając, aby żona chciała zostać sam na sam z Lucjanem. Gdyby nie było innej zapyry prócz męża, Nais mogłaby doskonale wyprawić go lub zatrudnić; ale była równocześnie zasypywana wizytami, a liczba odwiedzających rosła, w miarę jak wzmagał się pieprzyk ciekawości. Mieszkańcy prowincji są z natury przekorni, lubią przeszkadzać rodzącym się uczuciom. Służba chodziła po domu tam i sam, niewołana i nie pukając, wskutek z dawna przyjętych zwyczajów, którym kobieta nie mająca nic do ukrywania pozwoliła się zakorzenić. Zmieniać coś w wewnętrznym porządku domu czyż to nie znaczyłoby przyznać się jawnie do miłości, co do której Angoulême było jeszcze w niepewności? Pani de Bargeton nie mogła uczynić kroku poza domem, żeby miasto całe nie wiedziało, dokąd się udaje. Przechadzać się sam na sam z Lucjanem za miastem byłoby postępkami zupełnie niedwuznacznym: mniej już niebezpieczne byłoby zamknąć się z nim u siebie w domu. Gdyby Lucjan został po północy sam jeden u pani de Bargeton, gadano by o tym natychmiast nazajutrz. Tak zatem, wewnątrz, jak i zewnątrz, pani de Bargeton żyła ciągle na widowni. Te szczegóły malują całą prowincję: błędy są tam albo publiczne, albo niemożliwe.

Luiza, jak wszystkie kobiety pociągnięte namiętnością, a niemające doświadczenia, spostrzegła jedną po drugiej wszystkie trudności swego położenia; przerażały ją. Przechadzając się w tych miłosnych dyskusjach, które pochłaniają najpiękniejsze godziny sam na sam. Pani de Bargeton nie miała majątku ziemskiego, gdzie by mogła uwieźć swego kochanego poetę, jak czynią niekiedy kobiety, które pod zręcznym ukutym pozorem zagrzebują się na jakiś czas na wsi. Znużona tym życiem ciągle na widowni, doprowadzona do ostateczności tą tyranią, której jarzmo nie równoważyło się ze słodczymi, jakich kosztowała, myślała o Escarbas i zamierzała wybrać się tam do starego ojca, tak dały się jej we znaki te nędrne zapory.

<sup>237</sup> więzów, jakimi Lili-puci skrępowali Guliwera — w powieści Jonathana Swifta *Podróże Guliwera* tytułowy bohater trafia na wyspę Lili-pupów, którzy krępiją go podczas snu setkami małych lin, grubości nitek. [przypis edytorski]

Châtelet nie wierzył w tyle niewinności. Śledził godziny, w których Lucjan zjawiał się u pani de Bargeton, i wkraczał tam w kilka chwil później, zawsze w towarzystwie pana de Chandour, człowieka najbardziej niedyskretnego z całego kółka. Wchodząc, wpuszczał go przodem, spodziewając się zawsze, iż przypadek pozwoli mu trafić na jakiś drażliwy moment. Rola jego i powodzenie planu były tym trudniejsze, iż sam musiał zostać neutralny, aby móc powodować aktorami planowanego dramatu. I tak, aby uspić Lucjana, dla którego udawał przyjaźń, oraz panią de Bargeton, niepozbawioną przenikliwości, przybrał pozory człowieka, który zaleca się do Amelii. Aby zapewnić sobie lepszą służbę szpiegowską dokoła Luizy i Lucjana, zdołał od kilku dni wszcząć z panem de Chandour kontrowersję w kwestii dwojga zakochanych. Châtelet twierdził, iż pani de Bargeton żartuje sobie z Lucjana, że jest zbyt dumna, zbyt szlachetnie urodzona, aby zniżyć się do syna aptekarza. Ta rola niedowiarka odpowiadała planowi, jaki sobie zakresił, chciał bowiem uchodzić za obrońcę pani de Bargeton. Stanisław utrzymywał, że Lucjan nie jest trzymany tak krótko. Amelia podsycala dyskusję, pragnąc dowiedzieć się prawdy. Każdy dawał swoje racje. Jak zdarza się w małych miasteczkach, często parę bliskich osób trafiało na moment rozmowy, gdy Châtelet i Stanisław motywowali do syta swoje opinie za pomocą nader bystrych argumentów. Zrozumiałe jest, iż każdy z przeciwników szukał partyzantów, zapytując pierwszego z brzegu: „A pan, jakie pańskie zdanie?” Ta kontrowersja czyniła z pani de Bargeton i Lucjana przedmiot nieustannej obserwacji.

Jednego dnia, wśród dyskusji, Châtelet zwrócił uwagę, iż ilekroć pan de Chandour i on zjawiają się u pani de Bargeton w czasie wizyty Lucjana, żaden szczegół nie zdradza jakichś podejrzanych stosunków: drzwi buduaru są otwarte, służba wchodzi, wychodzi, nic tajemniczego nie zwiastuje uroczych występów miłości etc. Stanisław, któremu nie brakło porządnej dozy głupoty, postanowił nazajutrz wejść na palcach, w którym to zamiarze przewrotna Amelia utwierdzała go mocno.

Owo „nazajutrz” był to u Lucjana dzień, w którym młodzi ludzie wrywają sobie kilka włosów, przysięgając sami sobie nie znosić dłużej głupiego stanowiska wzdychacza. Oswoił się ze swoją pozycją. Poeta, który niegdyś tak trwożliwie ujmował krzesło w poświęcanym buduarze królowej Angoulême, przeobraził się w wymagającego kochanka. Pół roku wystarczyło, aby uwierzył, że jest równym Luizie, i oto chciał być jej panem. Wyszedł z domu, postanawiając sobie popełnić wszystkie szaleństwa, postawić życie na kartę, użyć wszystkich środków płomiennej wymowy, powiedzieć, że obłąd go się czepia, że nie zdolny jest począć jednej myśli ani napisać jednego wiersza. Istnieje u niektórych kobiet wstręt do powziętych z góry postanowień, wstręt przynoszący zaszczyt delikatności ich uczuć. Lubią ustępować porywowi, ale nie ukartowanym planom. Na ogół nikt nie chce przyjemności narzuconej. Pani de Bargeton zauważyła na czole Lucjana, w jego oczach, w fizjonomii i wzięciu ten niepokój, jaki zdradza obmyślany zamiar; umyśliła sobie sparować go, trochę przez zmysł przeciwieństwa, ale także przez szlachetne rozumienie miłości. Jako kobieta skłonna do przesady, przesadzała sobie wartość własnej osoby. W swoich oczach pani de Bargeton była niby królową, Beatrycze, Laurą<sup>238</sup>. Zasiadała, niby w średnich wiekach, pod baldachimem literackiego turnieju; Lucjan powinien był zasłużyć na nią po wielu zwycięstwach; trzeba mu było zaćmić „boskie dziecię”<sup>239</sup>, Larmartine’a, Waltera Scotta, Byrona. Szlachetna istota uważała swą miłość za pierwiastek twórczy: pragnienie, jakie budziła w Lucjanie, powinno było stać się dlań pobudką chwały. Ten „donkiszotyizm” kobiecy jest uczuciem, które daje miłości szacowne uświęcenie, czyni ją użyteczną, większą, chlubniejszą. W postanowieniu odgrywania roli Dulcyniei<sup>240</sup> w życiu Lucjana przez siedem do ośmiu lat, pani de Bargeton chciała, jak wiele kobiet na prowincji, kazać okupić swą osobę rodzajem lennictwa, okresem stałości, który by jej pozwolił wypróbować swego przyjaciela.

Kiedy Lucjan podjął walkę za pomocą owych dąsów, z których śmieją się kobiety jeszcze wolne sercem, a które osmucają jedynie kobietę kochającą, Luiza przybrała minę pełną godności i uderzyła w jedną ze swych długich tyrad, najeżonych wielkimi słowami.

<sup>238</sup> *Laura* — ukochana włoskiego poety Francesco Petrarke (1304–1374), adresatka jego sonetów. [przypis edytorski]

<sup>239</sup> „boskie dziecię” — Wiktor Hugo. [przypis tłumacza]

<sup>240</sup> *Dulcinea* — ukochana Don Kichota, tytułowego bohatera powieści Miguela Cervantesa. [przypis edytorski]

— Czy to mi przyrzekałeś, Lucjanie? — rzekła w końcu. — Nie obciążaj tak słodkiej terażniejszości zgryzotą, która później zatrułaby mi życie. Nie psuj przyszłości i, powtarzam to z dumą, nie psuj terażniejszości! Czy nie posiadasz całego mego serca? Czegóż ci trzeba? Czyżby twoja miłość dała się powodować zmysłom, podczas gdy najpiękniejszym przywilejem kochanej kobiety jest nakazać im milczenie? Za kogo mnie bierzesz? Czy już nie jestem twoją Beatrycze? Jeżeli nie jestem dla ciebie czymś więcej niż kobietą, jestem mniej niż kobietą!

— Cóż innego mogłaby pani powiedzieć człowiekowi, którego byś nie kochała? — wykrzyknął Lucjan, wściekły.

— Jeżeli nie czujesz, ile jest prawdziwej miłości w moim sposobie myślenia, nigdy nie będziesz mnie godny.

— Podajesz moją miłość w wątpliwość, aby nie być zmuszoną jej odplacić — rzekł Lucjan, rzucając się jej do nóg i płacząc.

Biedny chłopiec płakał na dobre, widząc się na tak długo osadzonym u wrót rajy. Były to łzy poety, który czuje się upokorzony w swej potędze, łzy dziecka w rozpacz, iż odmawiają mu zabawki, której żąda.

— Nigdy mnie nie kochałaś! — wykrzyknął.

— Nie wierzysz w to, co mówisz — odparła mile pogłaskana tym wybuchem.

— Dowiedz zatem, że jesteś moją — rzekł Lucjan w półprzytomny.

W tej chwili, Stanisław zjawił się niesłyszany, ujrzał Lucjana na w pół leżącego na ziemi, ze łzami w oczach i z głową opartą na kolanach Luizy. Zadowolony tym dostatecznie podejrzanym obrazem, Stanisław wykonał szybki odwrót wprost na pana Châtelet, który pozostał w progu salonu. Pani de Bargeton zerwała się żywo, ale nie dosięgła dwóch szpiegów, którzy cofnęli się szybko, jak ludzie przybyli nie w porę.

— Kto tu był? — spytała służby.

— Panowie de Chandour i du Châtelet — odparł Gentil, stary lokaj pani de Bargeton. Wrócili do buduaru błada i drżąca.

— Jeżeli widzieli cię w tej pozie, jestem zgubiona — rzekła do Lucjana.

— Tym lepiej! — wykrzyknął poeta.

Uśmiechnęła się na ten wykrzyknik pełnego miłości egoizmu. Na prowincji podobna anegdota zyskuje na wadze przez sposób, w jaki się ją opowiada. W jednej chwili każdy wiedział, iż Lucjana zaskoczono u kolan Nais. Pan de Chandour, uszczęśliwiony ważnością, jaką mu dawała ta przygoda, poszedł najpierw opowiedzieć wielki wypadek do klubu, a potem od domu do domu. Du Châtelet skwapliwie zaznaczał wszędzie, że nic nie widział; ale wysuwając się w ten sposób poza nawias, równocześnie podniecał Stanisława do opowiadania, wyciągał na coraz drażliwsze szczegóły; Stanisław zaś, czując, że ma powodzenie, dodawał za każdym powtórzeniem coś nowego. Wieczorem całe towarzystwo napłynęło do Amelii; do wieczora bowiem najbardziej przesadne wieści rozeszły się po arystokratycznym Angoulême, gdzie każdy narrator naśladował Stanisława. Wszyscy, kobiety i mężczyźni, niecierpliwili byli dowiedzieć się prawdy. Do kobiet, które zasłaniały sobie twarz, wykrzykując o skandalu i zepsuciu, należały przede wszystkim Amelia, Zefiryna, Fifina, Lolota, wszystkie mniej lub więcej obciążone niedozwolonymi szczęśliwościami. Drażliwy temat obrabiano na wszystkie tony.

— I cóż — mówiła jedna — ta biedna Nais, czy wiecie? Co do mnie, nie wierzę; ma za sobą całe życie bez skazy; jest o wiele za dumna, aby być czym innym niż protektorką pana Chardona. Ale jeżeli tak jest, żal mi jej z całego serca.

— Tym bardziej godna jest współczucia, że ściąga na siebie straszliwą śmieszność; ostatecznie mogłaby być matką pana Lulu, jak go nazwał Jakub. Ten poecina ma co najwyżej dwadzieścia dwa lata, a Nais, mówiąc między nami, dobrze sięga czterdziestki.

— Co do mnie — rzekł Châtelet — uważam, że właśnie położenie, w jakim znajdował się pan de Rubempré, dowodzi niewinności Nais. Człowiek nie pada na kolana, aby prosić o to, co już miał.

— To zależy! — rzekł Franio filuternym tonem, który ściągnął nań karcące spojrzenie Zefiryny.

— Ale powiedzże pan wreszcie, jak to było — pytali wszyscy Stanisława, tłocząc się w poufnym kółku w rogu salonu.

Kochanek, Łzy

Plotka

Plotka

Stanisław wypracował z tego wydarzenia małą powiastkę pełną domyślników i podkreślał je gestami i pozami obciążającymi rzecz całą w wysokim stopniu.

— To nie do uwierzenia! — powtarzano.

— W południe? — mówiła jedna z pań.

— Nais byłaby ostatnią kobietą, którą bym podejrzewała.

— Co ona teraz zrobi?

Nastąpiły komentarze, przypuszczenia bez końca...! Du Châtelet bronił pani de Bargeton; ale bronił tak niezręcznie, że podsycił jeszcze ogień komerażów<sup>241</sup> zamiast go ugasić. Lili, zrozpaczona upadkiem najpiękniejszego anioła angulemskiego Olimpu, poszła, cała zapłakana, obnieść nowinę po konsystorzu. Kiedy miasto było już dostatecznie poruszone, szczęśliwy du Châtelet udał się do pani de Bargeton, gdzie zastał, niestety! tylko jeden stolik wista; poprosił dyplomatycznie Nais o chwilę rozmowy w buduarze. Usiedli na małej kanapce.

— Wie pani zapewne — rzekł Châtelet przyciszonym głosem — czym zajmuje się całe Angoulême?

— Nie — odparła.

— Zatem — rzekł — zanadto jestem pani przyjacielem, aby panią pozostawiać w nieświadomości. Obowiązkiem moim jest dać pani możliwość usmierzenia potwarzy wymyślonych z pewnością przez Amelię, która jest na tyle zuchwała, aby się uważać za twoją rywalkę. Zaszedłem dziś rano odwiedzić panią z tą małą Stanisławem, który szedł przede mną o kilka kroków, kiedy, doszedłszy tutaj — rzekł Châtelet, wskazując na drzwi buduaru — oznajmił, iż *widział* panią z panem de Rubempré w sytuacji, która nie pozwoliła mu wejść; wpadł na mnie, cały przejęty, pociągając mnie z sobą i nie dając czasu na opamiętanie się; byliśmy już w Beaulieu, kiedy mi wyjawiał przyczynę swego odwrotu. Gdybym ją znał, nie byłbym ruszył się z salonu, aby oświetlić tę sprawę na pani korzyść; ale wrócić do domu, raz wyszedłszy, to by nie dowodziło niczego. Teraz, czy Stanisław widział fałszywie, czy też miał słuszność, *trzeba, aby się omylił*. Droga Nais, nie zostawiaj twego życia, honoru, przyszłości na igraszkę w rękach głupca; natychmiast trzeba go zmusić do milczenia. Znasz pani moje położenie tutaj? Mimo iż potrzebuję po trosze wszystkich, jestem pani zupełnie oddany. Rozrządzaj życiem, które do ciebie należy. Jakkolwiek odrzuciłaś moje marzenia, serce moje zawsze pozostanie twoim i w każdej sposobności potrafię ci dowieść, jak bardzo cię kocham. Tak, będę czuwał nad tobą niby wierny sługa, bez nadziei nagrody, jedynie dla przyjemności, jaką znajduję w tym, aby ci służyć, nawet bez twojej wiedzy. Dziś rano oświadczyłem wszędzie, że byłem w drzwiach salonu i nie widziałem nic. Jeżeli cię spytają, kto panią powiadomił o plotkach obiegających o tobie, powołaj się na mnie. Byłoby dla mnie zaszczytem być twoim jawnym obrońcą; ale otwarcie mówiąc, pan de Bargeton jest jedynym człowiekiem, który może zażądać rachunku od Stanisława... Gdyby nawet ten mały Rubempré popełnił jakie szaleństwo, honor kobiety nie może być na łasce pierwszego postrzeleńca, który upadnie jej do nóg. Oto, co powiedziałem.

Nais podziękowała Châteletowi skinieniem głowy i popadła w zamyślenie. Czowała się znużona aż do wstępu życia prowincji. Za pierwszym słowem pana du Châtelet myśl jej spoczęła na Paryżu. Milczenie pani de Bargeton postawiło jej przemyślnego przyjaciela w kłopotliwe położenie.

— Rozrządzaj mną pani — rzekł — powtarzam.

— Dziękuję — odparła.

— Co pani zamierza uczynić?

— Zobaczę.

Długie milczenie.

— Czy tak bardzo pani kochasz małego Rubempré?

Na ustach Nais zaigrał dumny uśmiech; skrzyżowała ramiona, spoglądając na franki buduaru. Châtelet wyszedł, nie zdoławszy odcyfrować serca tej wyniosłej kobiety. Kiedy Lucjan i czterej wierni starcy, którzy przybyli na swoją partię, nie dając się wzruszyć problematycznym plotkom, pożegnali się, pani de Bargeton zatrzymała męża, który właśnie wybierał się na spoczynek, otwierając usta, aby życzyć żonie dobrej nocy.

<sup>241</sup> komeraż (daw.) — złośliwa plotka. [przypis edytorski]

— Chodź tutaj, mój drogi, mam z tobą do pomówienia — rzekła z odcieniem uroczystości w głosie.

Pan de Bargeton udał się za żoną do buduaru.

— Posłuchaj — rzekła — być może, iż źle uczyniłam, wkładając w moją opiekuńczą protekcję wobec pana de Rubempré zapal równie źle zrozumiany przez głupich ludzi tego miasteczka, jak przez niego samego. Dziś rano Lucjan rzucił mi się do nóg, składając oświadczenie miłosne. Stanisław wszedł w chwili, gdy właśnie podnosiłam z kolan nieboraka. Depczą obowiązki, jakie we wszelakich okolicznościach delikatność nakazuje szlachcicowi wobec kobiety, rozpowiada, iż przydybał mnie w dwuznacznym położeniu z tym chłopcem, którego potraktowałam w tej chwili tak, jak na to zasługiwał. Gdyby ten młody postrzeleniec znał potwarze, których jego szaleństwo stało się powodem, znam go, poszedłby spoliczkować Stanisława i zmusiłby go do pojedynku. Czyn ten byłby jak gdyby publicznym wyznaniem jego miłości. Nie potrzebuję ci mówić, że żona twoja jest czysta; ale zrozumiesz, iż jest w tym coś ubliżającego dla ciebie i dla mnie, aby pan de Rubempré był moim obrońcą. Idź w tej chwili do Stanisława i zażądaj od niego poważnie rachunku z obrażających plotek, jakie o mnie rozszerza; pamiętaj, iż nie powinienes przyjąć zadośćuczynienia, o ile nie odwoła swoich słów w obecności licznych i poważnych świadków. Zdobędziesz w ten sposób poważanie wszystkich uczciwych ludzi: zachowasz się jak człowiek honoru, człowiek dzielny, i będziesz miał prawo do mego szacunku. Wyprowadzę konnego posłańca do Escarbas, ojciec musi być twoim świadkiem; mimo swoich lat, wiem, że byłby zdolny zdeptać nogami tego pajaca, który kła reputację urodzonej Négrepelisse. Przysługuje ci wybór broni; wybierz pistolety, strzelasz świetnie.

— Idę — rzekł pan de Bargeton, biorąc laskę i kapelusz.

— Dziękuję ci — rzekła małżonka, wzruszona — takich mężczyzn lubię. Jesteś prawdziwy szlachcic.

Podawała mu do pocałunku czoło, które starzec ucałował, wzruszony i dumny. Ta kobieta, mająca rodzaj macierzyńskiego uczucia dla swego dziecka, nie mogła powstrzymać łzy, słysząc trzask wjazdowej bramy zamykającej się za nim.

„Jak on mnie kocha! — pomyślała. — Biedaczysko przywiązany jest do życia, a jednak poświęciłby je dla mnie bez żalu”.

Pan de Bargeton nie troszczył się o to, że nazajutrz przyjdzie mu stanąć na placu i popatrzeć zimno w skierowaną ku niemu lufę pistoletu; nie, kłopotał się w tej chwili tylko o jedno i drżał na tę myśl, idąc do pana de Chandour.

„Co ja mu powiem? — pomyślał. — Nais powinna mi była dać notatkę”.

I łamał sobie głowę, aby sformułować jakieś parę zdań, które by nie były śmieszne.

Ale ludzie, którzy żyją, jak to miało miejsce z panem de Bargeton, w milczeniu nałożonym ograniczonością umysłu i wąskością horyzontów, posiadają w wielkich okolicznościach życia zupełnie naturalną uroczystość. Ponieważ mówią mało, tym samym mało wymyka się im głupstw; następnie, ponieważ długo myślą nad tym, co mają powiedzieć, nadzwyczajna nieufność do samych siebie każe im tak gruntownie wystudiować swoją orację, iż wysławiają się doskonale, fenomenem podobnym do owego, który rozwiązał język oślicy Balaama<sup>242</sup>. Toteż pan de Bargeton wywiązał się z zadania jak człowiek zupełnie niepospolity. Usprawiedliwił opinię tych, którzy go uważali za filozofa ze szkoły Pitagoras<sup>243</sup>. Wszedł do Stanisława około jedenastej i zastał liczne towarzystwo. Przywitał się w milczeniu z Amelią i uczestował każdego swym głupim uśmiechem, który w danych okolicznościach wydał się głęboko ironiczny. Zapanowała wielka cisza, jak w naturze przy zbliżaniu się burzy. Châtelet, który powrócił, spoglądał kolejno w sposób bardzo znaczący na pana de Bargeton i Stanisława, do którego obrażony mąż przystąpił bardzo dwornie.

Châtelet rozumiał znaczenie odwiedzin przypadających na godzinę, o której starzec zwykle już spoczywał: widocznie Nais poruszała tym wątłym ramieniem, że zaś pozycja

<sup>242</sup>Balaam (bibl.) — prorok, któremu król Moabu nakazał, by przeklął Izraelitów, gdyż stanowili zagrożenie dla jego ziemi. Balaam w celu spełnienia misji wyruszył na oślicę. Trzykrotnie drogę zastępował mu anioł, widziany tylko przez oślicę, która wówczas przystawała, a Balaam bił ją kijem. Za trzecim razem „Bóg otworzył usta oślicy”, która przemówiła ludzkim głosem, skarżąc się na bicie. Wówczas dopiero prorokowi ukazał się anioł i przekazał wolę Boga (Lb 22–23). [przypis edytorski]

<sup>243</sup>Pitagoras z Samos (ok. 572–500 p.n.e.) — gr. matematyk i filozof.; według popularnej w starożytności legendy uczniowie jego szkoły zaczęli edukację od długiego okresu obowiązkowego milczenia. [przypis edytorski]

jego wobec Amelii dawała mu prawo mieszania się do spraw domu, wstał, wziął pana de Bargeton na stronę i rzekł:

— Chce pan mówić ze Stanisławem?

— Tak — rzekł starowina, szczęśliwy, iż znalazł pośrednika, który być może zabierze głos za niego.

— Idź pan tedy do sypialnego pokoju Amelii — odparł dyrektor podatków, uszczęśliwiony z tego pojedynku, który mógł uczynić panią de Bargeton wdową, rozłączając ją zarazem z Lucjanem, przyczyną tej zwady.

— Stanisławie — rzekł Châtelet do pana de Chandour — Bargeton przybył z pewnością żądać wyjaśnień w sprawie tego, co mówiłeś o Nais. Idź do pokoju żony i zachowajcie się obaj jak przystało szlachcom. Nie rób hałasu, okazuj niewzruszoną grzeczność, słowem, rozwiń cały chłód brytyjskiej godności.

W jednej chwili Stanisław i Châtelet znaleźli się naprzeciw Bargetona.

— Panie — rzekł obrażony mąż — pan twierdzisz, iż zastałeś panią de Bargeton w dwuznacznej sytuacji z panem de Rubempré?

— Z panem Chardonem — odparł ironicznie Stanisław, który nie uważał pana de Bargeton za groźnego człowieka.

— Niech i tak będzie — odparł mąż. — Otóż, jeżeli pan nie odwołasz tego w obecności towarzystwa, które jest w tej chwili w twoim domu, proszę pana, abyś postarał się o świadka. Mój teść, pan de Negrepelisse, zgłosił się do pana o godzinie czwartej rano. Poczyńmy obaj dyspozycje, sprawa bowiem może się załatwić tylko w sposób przeze mnie wskazany. Jako strona obrażona wybieram pistolety.

Przez całą drogę pan de Bargeton przetrwał to przemówienie, najdłuższe, jakie wygłosił w życiu, tak iż wypowiedział je bez uniesienia, w sposób najprostszy w świecie. Stanisław zbladł i rzekł sobie w duchu: „Cóż ja ostatecznie widziałem?”

Ale między wstydem odwołania własnych słów wobec całego miasta, w obecności tego niemowy, który zdawał się nie znać, co to żarty, a strachem, ohydny strachem, jaki chwycił go palącymi rękami za gardło, wybrał niebezpieczeństwo bardziej oddalone.

— Dobrze. Do jutra — rzekł do pana de Bargeton, z myślą, iż może rzeczy się jakoś ułożą.

Trzej mężczyźni wrócili do salonu, gdzie każdy śledził wyraz ich twarzy. Châtelet uśmiechał się, pan de Bargeton był zupełnie taki jak u siebie w domu, natomiast Stanisław był błądy. Na ten widok parę kobiet odgadło przedmiot rozmowy. Słowa: „biją się” zaczęły krążyć z ust do ust. Połowa zebrania pomyślała, iż Stanisław zawinił, błąd jego i zmieszanie świadczyły o kłamstwie; druga połowa podziwiała zachowanie pana de Bargeton. Châtelet starał się być poważny i tajemniczy. Postawszy przez kilka chwil, przyglądając się fizjonomiom, pan de Bargeton wysunął się.

— Czy masz pistolety? — rzekł Châtelet do ucha Stanisławowi, który zadrżał.

Amelia zrozumiała wszystko; zrobiło jej się słabo, kobiety odniosły ją do sypialni. Powstał straszliwy zgiew, wszyscy mówili naraz. Mężczyźni zostali w salonie i oświadczyli jednogłośnie, iż pan de Bargeton jest w swoim prawie.

— Czy bylibyście myśleli, że ta fujara zdolna jest zachować się w ten sposób? — rzekł pan de Saintot.

— Ależ — rzekł nielitościwy Jakub — toż on za młodu był jednym z najtęższych graczy w pojedynku. Ojciec często mi opowiadał o sprawkach Bargetona.

— Ba! Postawcie ich o dwadzieścia kroków i o ile weźmiecie kawaleryjskie pistolety, nic sobie nie zrobią — rzekł Franio do Châteleta.

Skoro wszyscy się rozeszli, Châtelet dodał otuchy Stanisławowi i jego żonie, upewniając, że wszystko pójdzie dobrze i że w pojedynku między człowiekiem sześćdziesięcioletnim a trzydziestosześcioletnim ten ostatni na wszelką przewagę.

Nazajutrz rano Lucjan śniadał razem z Dawidem, który wrócił z Marsac od ojca, kiedy pani Chardon weszła cała poruszona.

— No cóż, Lucjanie, czy znasz nowinę, o której mówią wszyscy, nawet na targu. Pan de Bargeton zabił niemal pana de Chandour dziś rano o piątej. Zdaje się, pan de Chandour opowiadał wczoraj, iż przychwycił cię z panią de Bargeton.

— To fałsz! Pani de Bargeton jest niewinna! — wykrzyknął Lucjan.

— Wieśniak, od którego słyszałam szczegóły, widział wszystko, jadąc wózkiem. Pan

Pojedynek

Pojedynek



de Nègrepelisse przyjechał o trzeciej rano, aby służyć za świadka panu de Bargeton; powiedział panu de Chandour, że gdyby zięciowi zdarzyło się nieszczęście, on podejmuje się go pomścić. Oficer z pułku kawalerii pożyczył pistoletów, które pan de Nègrepelisse wypróbował na kilka zawodów<sup>244</sup>. Pan du Châtelet chciał się sprzeciwić przestrzeliwaniu pistoletów, ale oficer, wzięty za arbitra, powiedział, że o ile nie chce się robić ze sprawy dzieciństwa, trzeba upewnić się, że broń jest w porządku. Świadkowie ustawili przeciwników w odległości dwudziestu pięciu kroków. Pan de Bargeton, który zachowywał się, jak gdyby wyjechał na przechadzkę, strzelił pierwszy i wpakował panu de Chandour kulę w szyję, tak iż ten padł, nie mogąc nawet wystrzelić. Chirurg szpitalny oświadczył przed chwilą, że pan de Chandour będzie miał szyję skrzywioną na całe życie. Przyszłam ci opowiedzieć rezultat pojedynku, abys nie szedł do pani de Bargeton ani nie pokazywał się w Angoulême, ktoś bowiem z przyjaciół pana de Chandour mógłby ci zacześcić.

W tej chwili wszedł Gentil, służący pani de Bargeton, wprowadzony przez ucznia z drukarni, i oddał Lucjanowi bilecik Luizy:

Wiadomo ci zapewne, drogi przyjacielu, o wyniku pojedynku między panem de Chandour a moim mężem. Nie przyjmujemy dziś nikogo. Bądź rozsądny, nie pokazuj się, proszę Cię o to w imię przywiązania, jakie masz dla mnie. Czy nie uważasz, że najlepszym zużyciem tego smutnego dnia będzie przyjść porozmawiać z Twoją Beatrycze, której życie uległo wskutek tego wypadku zupełnej przemianie i która ma ci tysiąc rzeczy do opowiedzenia?

— Na szczęście — rzekł Dawid — ślub mój naznaczony jest na pojutrze; będziesz miał pozór, aby mniej często pokazywać się u pani de Bargeton.

— Drogi Dawidzie — odparł Lucjan — Luiza prosi mnie, abym ją odwiedził dziś jeszcze; sądzę, że trzeba być posłusznym, będzie wiedziała lepiej od nas, jak powinienem się zachować w obecnych okolicznościach.

— Wszystko zatem gotowe? — spytała pani Chardon.

— Pójdźcie zobaczyć — wykrzyknął Dawid, szczęśliwy, iż może pokazać przeobrażenie, jakiego doznało mieszkanko na pierwszym piętrze, gdzie wszystko było świeże i nowe.

Oddychał tam ten luby duch panujący w młodych małżeństwach, gdzie kwiat pomarańczowy i welon oblubienicy wieńczą zarazem i życie wewnętrzne, gdzie wiosna miłości odbija się w każdym spręcie, gdzie wszystko jest białe, czyste i kwitnące.

— Ewa będzie tu jak księżniczka — rzekła matka — ale ty musiałeś wydać za wiele pieniędzy, porobiłeś szaleństwa!

Dawid uśmiechnął się w milczeniu; pani Chardon dotknęła palcem samego wnętrza tajemnej rany, która sprawiała straszny ból biednemu kochankowi. W wykonaniu okazało się, iż obliczenia tak się rozrosły, że niepodobieństwem było dokonać przybudówki nad oficyną. Teściowa zatem długi czas jeszcze nie mogła mieć mieszkania, w jakie pragnął ją wprowadzić. Szlachetne dusze doświadczają najwyższego bólu, gdy im przychodzi chybić tego rodzaju przyrzeczeniom, które stanowią poniekąd małe próżnostki uczucia. Dawid ukrywał starannie swoje kłopoty, aby oszczędzać serce Lucjana, który mógłby czuć się przygnieciony poświęceniami, jakie uczyniono dla niego.

— Ewa wraz z przyjaciółkami też dzielnie pracowały — rzekła pani Chardon. — Wyprawka, bielizna stołowa, wszystko gotowe. Te dziewczęta tak ją kochają, że zupełnie bez jej wiedzy pokryły materace białą szarszą z różowymi wypustkami. Ślicznie wygląda! Aż zbiera ochota do pójścia za mąż!

Matka i córka zużyły wszystkie oszczędności, aby zaopatrzyć dom Dawida w rzeczy, o których nie myślał nigdy młodzi ludzie. Widząc, ile on rozwijał zbytku — była bowiem mowa i o serwisie z porcelany zamówionym w Limoges — starały się zachować harmonię między rzeczami, które one wносиły, a tymi, które kupował Dawid. Ta mała walka uczucia i hojności musiała doprowadzić do tego, iż młoda para znalazła się w trudnościach finansowych od samego początku małżeństwa, pośród wszystkich objawów mieszczańskiego dobrobytu, mogącego uchodzić za zbytek w zacofanym miasteczku, jakim było wówczas Angoulême. W chwili gdy Lucjan ujrzał, iż matka i Dawid przechodzą do sypialni obitej

<sup>244</sup>zawód (daw.) — tu: sposób. [przypis edytorski]

w białe i niebieskie prążki, wymknął się do pani de Bargeton. Zastał Nais przy śniadaniu z mężem, który czując wzmożony przyływ apetytu po rannej przejażdżce, zjadał bez najmniejszej troski o to, co się zdarzyło. Stary domator wiejski, pan de Nègrepelisse, figura na wskroś imponująca, zabytek dawnego rycerstwa francuskiego, siedział obok córki. Kiedy Gentil oznajmił pana de Rubempré, starzec z białą głową obrzucił Lucjana badawczym spojrzeniem ojca, który ciekaw jest zdać sobie sprawę z człowieka wyróżnionego przez córkę. Nadzwyczajna uroda Lucjana uderzyła go tak żywo, iż nie mógł się powstrzymać od aprobującego spojrzenia; ale zdawał się widzieć w stosunku córki raczej miłość, kaprys niżeli trwałe uczucie. Skoro śniadanie miało się ku końcowi, Luiza wstała, zostawiając ojca i pana de Bargeton oraz dając znak Lucjanowi, aby się udał za nią.

— Mój przyjacielu — rzekła głosem smutnym i radosnym zarazem — jadę do Paryża, ojciec zaś zabiera pana de Bargeton do Escarbas, gdzie zostanie przez czas mej nieobecności. Pani d'Espard, z domu Blamont-Chauvry, z którą jesteśmy spokrewnieni przez d'Espardów, starszą linię rodziny Nègrepelisse, jest w tej chwili bardzo wpływowa, i sama przez się, i przez krewnych. Jeżeli raczy przyznać się do nas, będę trzymała się jej towarzystwa: mogłaby wpływem swoim uzyskać jakieś miejsce dla pana de Bargeton. Wskutek mych starań mógłby dwór życzyć go sobie jako posła z Charenty, co by dopomogło do jego nominacji tutaj. Poselstwo mogłoby później dopomóc mi w moich krokach w Paryżu. To ty, drogie dziecko, natchnąłeś mnie myślą o odmianie egzystencji. Dzisiejszy pojedynek zmusza mnie do zamknięcia domu na jakiś czas, znajdują się bowiem ludzie, którzy będą trzymać stronę Chandourów. W położeniu, w jakim się znajdujemy, w małym miasteczku, takie zniknięcie zawsze jest potrzebne, aby pozwolić usnąć nienawiściom. Ale albo powiedz mi się i nie ujrzę już Angoulême, albo nie powiedz mi się, wówczas chcę czekać w Paryżu momentu, kiedy będę mogła spędzać lato w Escarbas, a zimę w Paryżu. To jedyny tryb życia dla kobiety mego stanowiska i zbyt późno zdecydowałam się nań. Dzień jeden wystarczy na wszystkie przygotowania, wyjadę jutro w nocy, a ty będziesz mi towarzyszył, nieprawdaż? Pojedziesz naprzód. Pomiedzy Mansle a Ruifec wezmę cię do powozu i niebawem staniemy w Paryżu. Tam, drogi mój, jest życie dla ludzi wyższych. Można się czuć dobrze jedynie wśród równych sobie, wszędzie indziej jest tylko męka. Zresztą Paryż, stolica intelektualnego świata, jest naturalną widownią twoich sukcesów; przebądź co rychlej przestrzeń, jaka cię od nich dzieli. Nie pozwól myślom twoim pleśnieć na prowincji, spoufal się szybko z wielkimi ludźmi, którzy będą kiedyś wyrazem XIX wieku. Zbliź się do dworu i władzy. Godności ani szczyty nie przyjdą szukać talentu, który kwasi się w małym miasteczku. Wymień mi zresztą, jakieś wielkie dzieła dokonane na prowincji? Popatrz, przeciwnie, na szczytnego i biednego Jana Jakuba<sup>245</sup>, jak go nieprzepraczone słońce moralne, które tworzy chwałę, rozżarzając umysły tarcie rywalizacji. Czyż nie powinieneś się spieszyć zająć miejsce w plejadzie, jaka skupia się w każdej epoce? Nie masz wyobrażenia, jak bardzo pożyteczne jest dla młodego talentu dostać się na widownię dzięki stosunkom wysokiego towarzystwa. Wprowadzę cię do pani d'Espard: nikomu nie jest łatwo dostać się do jej salonu, gdzie znajdziesz wszystkie wielkie osobistości, ministrów, ambasadorów, mówców izby, parów co najwplywowszych, ludzi bogatych lub sławnych. Trzeba by być bardzo niezręcznym, aby nie obudzić ich zainteresowania, kiedy się jest pięknym, młodym i pełnym geniuszu. Wielkie talenty nie znają małostek, użyczą ci swego poparcia. Skoro świat ujrzy cię na wyżynie, dzieła twoje nabędą niezmiernej ceny. Dla artystów wielki problem do rozwiązania to być na widoku. Znajdzie się tam tedy dla ciebie tysiąc sposobności fortuny, synekury<sup>246</sup>, pensja ze szkatuły króla. Burbonowie<sup>247</sup> tak lubią popierać nauki i sztukę! Toteż bądź równocześnie poetą religijnym i rojalistycznym. To nie tylko cię dobrze postawi, ale stworzy ci los. Czy może opozycja, czy liberalizm daje stanowiska, nagrody i stwarza fortunę pisarzy? Zatem obierz od razu dobrą drogę i kroc tam, gdzie idą ludzie

<sup>245</sup> *Jana Jakuba* — chodzi o Jana Jakuba Rousseau (1712–1778), genewskiego pisarza i filozofa tworzącego w jęz. fr., wybitnego przedstawiciela oświecenia. [przypis edytorski]

<sup>246</sup> *synekura* (z łac. *sine cura*: bez troski, bez starania) — dobrze płatne stanowisko niewymagające żadnej pracy; często w odniesieniu do stanowisk dworskich i kościelnych. [przypis edytorski]

<sup>247</sup> *Burbonowie* — dynastia królów francuskich (w latach 1589–1830, z przerwą spowodowaną Wielką Rewolucją Francuską), panująca też w Hiszpanii oraz w królestwach włoskich. [przypis edytorski]

geniuszu. Znasz mój sekret, zachowaj najgłębsze milczenie i gotuj się spieszyć za mną. Nie chcesz? — dodała, zdziwiona milczącą postawą kochanka.

Lucjan, oszołomiony tym pospiesznym rzutem oka na Paryż, słysząc te kuszące słowa, miał uczucie, iż dotąd żył tylko jedną połową mózgu; zdawało mu się, iż druga połowa odsłania się w tej chwili, tak dalece rozszerzył się horyzont jego pojęć. Ujrzał samego siebie w Angoulême, niby żabę pod kamieniem w głębi bajora. Paryż i jego przepychy, Paryż który odbija się we wszystkich prowincjonalnych wyobraźniach niby Eldorado<sup>248</sup>, ukazał mu się w złotolitej szacie, z głową opasaną królewskimi klejnotami, z ramionami otwartymi dla talentów. Ludzie znakomici mieli go przygarnąć braterskim uściskiem. Tam wszystko uśmiecha się geniuszowi. Tam nie ma ani zazdrosnych szlachetków strzelających zatrutymi słówkami, aby upokorzyć pisarza, ani też tępej obojętności dla poezji. Stamtąd tryskają dzieła poetów; tam płaci się je i stawia na świeczniku. Przeczytawszy pierwsze stronicie *Guardzisty Karola IX*, księgarze otworzą kasy i rzekną: „Ile pan żąda?”. Rozumiał zresztą, iż po podróży, w której skojarzą ich same okoliczności, pani de Bargeton będzie zupełnie jego, że będą żyć z sobą.

Na te słowa: „Czy nie chcesz?” odpowiedział łzą, ujął kibić Luizy, przycisnął ją do serca i pocętkował jej szyję namiętymi pocałunkami. Następnie zatrzymał się uderzony nagłym przypomnieniem i wykrzyknął:

— Mój Boże, pojutrze ślub siostry!

Był to ostatni krzyk szlachetnego i czystego dziecka. Owe tak potężne więzy, jakie wiążą młodych ludzi do rodziny, do pierwszego przyjaciela, do wszystkich pierwocin uczuć, miały doznać strasznego ciosu siekiery.

— Więc cóż — wykrzyknęła dumna Nègrepelisse — i cóż ma wspólnego ślub siostry ze sprawami naszej miłości? Czy tak zależy ci na tym, aby być koryfeuszem<sup>249</sup> hulających mieszczan i robotników, iż nie możesz wyrzec się dla mnie tych szlachetnych rozkoszy? Piękne poświęcenie! — rzekła ze wzgardą. — Wysłałam dziś rano męża, aby się bił za pana. Odejdź, opuść mnie! Omyliłam się na panu.

Wyczerpana, osunęła się na kanapę. Lucjan pobiegł ku niej, przeklinając w duchu rodzinę, Dawida i siostrę.

— Tak wierzyłam w ciebie — rzekła. — Pan de Cante-Croix miał matkę, którą ubóstwiał, ale aby uzyskać list, w którym mu powiem: „Jestem zadowolona!”, zginął w ogniu bitwy. A ty, kiedy chodzi o to, aby mi towarzyszyć, nie umiesz się wyrzec kolacji weselnej!

Lucjan chciał się zabić, rozpacz jego była tak prawdziwa, tak głęboka, iż Luiza przebaczyła, ale dając uczuć Lucjanowi, iż trzeba mu będzie okupić tę winę.

— Idź więc — rzekła wreszcie — bądź dyskretny i czekaj jutro wieczór, o północy, o sto kroków za stacją w Mansle.

Lucjanowi ziemia zdała się maleńką pod nogami, wrócił do Dawida ścigany nadzieją niby Orestes<sup>250</sup> przez furie, przewidywał bowiem tysiąc trudności, które streszczały się w tym strasznym słowie: „A pieniądze?”. Przenikliwość Dawida przerażała go do tego stopnia, iż zamknął się w swoim ładnym gabinecie, aby się ocucić z oszołomienia, w jakie wtrąciła go nowa pozycja. Trzeba było tedy opuścić to mieszkanko urządzone z takim kosztem, obrócić w nicość tyle poświęceń! Lucjan pomyślał, że matka mogłaby tu zamieszkać, Dawid oszczędziłby sobie w ten sposób kosztownej budowy, jaką zamierzył podjąć w głębi dziedzica. Wyjazd jego był tylko z korzyścią dla rodziny. Lucjan znalazł tysiąc rozstrzygających racji dla swej ucieczki, nie ma bowiem nic równie jezuickiego<sup>251</sup> jak pragnienie. Natychmiast pobiegł do Houmeau, do siostry, aby jej oznajmić swoje nowe losy i naradzić się wspólnie. Przechodząc koło sklepu Postela, pomyślał, że gdyby nie było innego sposobu, pożyczylby u następcy ojca sumę potrzebną na rok pobytu Paryżu.

<sup>248</sup> *Eldorado* — kraj złota, legendarna kraina w Ameryce, w której istnienie wierzone w XVI w. [przypis edytorski]

<sup>249</sup> *koryfeusz* — przewodnik chóru w teatrze starogreckim; tu: osoba wybitna, wyróżniająca się. [przypis edytorski]

<sup>250</sup> *Orestes* (mit. gr.) — król mykeński, syn Agamemnona i Klitajmestry, który pomścił swojego ojca, zabijając jego morderców: własną matkę i jej kochanka, a następnie był ścigany przez Erynie (tj. rzym. Furie), boginie zemsty, za przelanie krwi członka rodziny. [przypis edytorski]

<sup>251</sup> *jezuicki* — właściwy jezuitom, taki jak u nich; *jezuici*: męski zakon katolicki, istniejący, aby bronić Kościoła katolickiego przed reformacją; jezuitom przypisywano zakłamanie, przewrotność i bezwzględność, stosowanie zasady, że cel uświęca środki. [przypis edytorski]

— Jeżeli będę żył obok Luizy, jeden talar dziennie będzie dla mnie majątkiem, a to czyni dopiero tysiąc franków na rok. A za pół roku będę przecież bogaty!

Ewa i matka wysłuchały, pod pieczęcią ścisłej tajemnicy, zwierzeń Lucjana. Obie płakały, słuchając ambitnego chłopaka; kiedy zaś pytał o przyczynę zmartwienia, wyznały mu, że wszystko, co posiadały, pochłonęła bielizna stołowa i gospodarska, wyprawka Ewy i mnóstwo nowych nabytków, o których Dawid nie pomyślał. Lucjan zwierzył się z myślą o pożyczce; jakoż<sup>252</sup> pani Chardon podjęła się iść prosić Postela o tysiąc franków na roczny termin.

— Ale, Lucjanie — rzekła Ewa ze ściśniętym sercem — więc ty nie będziesz na moim weselu? Och! Wróć, zaczekam kilka dni! Przecież ona pozwoli ci wrócić tu za dwa tygodnie, skoro raz ją odwiedzisz! Daruje nam jakiś tydzień, nam, które wychowałyśmy cię dla niej! Nasz związek rozpocząłby się pod złą wróżbą, gdyby ciebie miało brakować... Ale czy ty dosyć będziesz miał tysiąca franków? — rzekła, przerywając sobie. — Mimo że w twoim fraku cudownie ci jest do twarzy, masz tylko jeden! Masz tylko dwie cienkie koszule, innych sześć jest z grubego płótna. Masz tylko trzy batystowe krawatki, reszta ze zwykłego muślinu; chustki też nie są dość ładne. Czy znajdziesz w Paryżu siostrę, która by ci wyprała bieliznę w ciągu dnia, jeśli będzie potrzeba? Musisz mieć więcej, koniecznie. Masz tylko jedną parę nowych nankinowych spodni, zeszłoroczne trochę zanadto są obcisłe, trzeba będzie sprawić w Paryżu, a tam są inne ceny niż w Angoulême. Masz tylko dwie możliwe białe kamizelki, reszta już naprawiana. Wiesz, ja ci radzę, weź dwa tysiące franków.

W tej chwili Dawid, wchodząc, usłyszał, zdaje się, ostatnie słowa, popatrzał bowiem na brata i siostrę w milczeniu.

— Nie ukrywajcie mi nic — rzekł.

— A więc — wykrzyknęła Ewa — jedzie z nią!

— Postel — rzekła pani Chardon, wchodząc i nie widząc Dawida — godzi się pożyczyc tysiąc franków, ale tylko na pół roku, i żąda obliżu<sup>253</sup> podpisanego przez ciebie i poręczonego przez szwagra, mówi bowiem, że ty nie przedstawiasz żadnej gwarancji.

Matka odwróciła się, ujrzała zięcia, i wszyscy czworo trwali w głębokim milczeniu. Rodzina Chardon czuła, jak dalece nadużyła Dawida. Wszyscy byli zawstydzeni. Łza kręciła się w oku drukarza.

— Nie będziesz zatem na naszym ślubie — rzekł — nie zostaniesz z nami? A ja roztrwonilem wszystko, co miałem! Ach, Lucjanie, kiedym oto przynosił Ewie te biedne klejnociki jako dary ślubne, nie wiedziałem — rzekł, ocierając oczy i wyjmując puzderko z kieszeni — iż przyjdzie mi żałować, że je kupilem.

Położył kilka safianowych pudełek na stole, przed teściową.

— Dlaczego tak wciąż myślisz o mnie? — rzekła Ewa z anielskim uśmiechem, który łagodził te słowa.

— Droga mamó — rzekł drukarz — idź powiedzieć panu Postel, że godzę się dać podpis, widzę bowiem z twojej twarzy, Lucjanie, że masz stanowczy zamiar jechać.

Lucjan pochylił miękko i smutnie głowę, mówiąc po chwili:

— Nie sądzicie mnie źle, moje anioły ukochane.

Objął Ewę i Dawida, uścisnął ich, przyciągnął do siebie, dodając:

— Czekajcie rezultatów, a przekonacie się, jak was kocham. Dawidzie, na co zdałaby się nasza górnosc myślenia, gdyby nie pozwoliła nam wyzwolić się od małych ceremonii, w jakich prawo zamyka uczucia? Mimo oddalenia czyż dusza moja nie będzie tutaj? Czyż myśl nas nie zjednoczy? Czyż nie mam przed sobą losu do spełnienia? Czy księżarz przyjdą tu szukać mego *Gwardzisty Karola Dziewiątego* i *Stokroci*? Trochę wcześniej, trochę później, czyż nie trzeba by mi ostatecznie zrobić tego, co robię dzisiaj? Czy mogę kiedy napotkać okoliczności bardziej sprzyjające? Czy cały mój los nie jest w tym, aby na wstępie do Paryża dostać się do salonu margrabiny d'Espard?

— Ma słuszność — rzekła Ewa. — Ty sam, czy nie mówiłeś mi, że powinien rychło udać się do Paryża?

<sup>252</sup>jakoż (przestarz.) — spójnik akcentujący, że coś, o czym mowa wcześniej, jest prawdziwe, zaszło lub spełniło się; i rzeczywiście, i w samej rzeczy. [przypis edytorski]

<sup>253</sup>obliż (daw.) — zobowiązanie, zwłaszcza na piśmie. [przypis edytorski]

Dawid wziął Ewę za rękę, zaprowadził ją do ciasnej alkowy<sup>254</sup>, w której sypiała od siedmiu lat, i rzekł jej do ucha:

— Potrzeba mu dwóch tysięcy franków, wszak tak mówiłaś, najdroższa? Postel daje tylko tysiąc.

Ewa objęła narzeczonego zropaczonym spojrzeniem, w którym malowała się cała jej boleść.

— Słuchaj, Ewo ubóstwiana, źle rozpoczniemy życie. Tak, wydatki moje pochłonęły wszystko, co miałem. Zostaje mi jedynie dwa tysiące franków, a połowa tego niezbędna jest, aby utrzymać w ruchu drukarnię. Dać tysiąc franków twemu bratu to znaczy oddać chleb, narazić nasz spokój. Gdybym był sam, wiem, co bym uczynił; ale jest nas dwoje. Rozstrzygnij.

Ewa, oszołomiona, rzuciła się w ramiona ukochanego, ucałowała go czule i szepnęła mu do ucha, cała we łzach:

— Rób, jak gdybyś był sam; będę pracować, aby odzyskać tę sumę!

Mimo najgorętszego pocałunku, jaki narzeczeni kiedykolwiek wymienili, Dawid opuścił Ewę przybitą i poszedł do Lucjana.

— Nie martw się — rzekł — będziesz miał swoje dwa tysiące.

— Idźcie do Postela — rzekła pani Chardon — bo macie obaj podpisać papier.

Kiedy dwaj przyjaciele wrócili, zastali Ewę i matkę modlącą się na kolanach do Boga. Mimo iż wiedziały, ile nadziei miał urzeczywistnić zwycięski powrót, czuły w tej chwili wszystko, co straciły w tym pożegnaniu; przyszłe szczęście zdawało się im zbyt drogo okupione rozłąką, która miała złamać ich życie i wtrącić je w tysiąc obaw co do losów Lucjana.

— Gdybyś kiedykolwiek zapomniał tę scenę — rzekł Dawid Lucjanowi do ucha — byłbyś ostatnim z ludzi.

Drukarz uznał widocznie za potrzebne te poważne słowa; wpływ pani de Bargeton przerażał go nie mniej jak zębna wrażliwość charakteru Lucjana, która mogła go popchnąć zarówno na złą, jak na dobrą drogę. W parę chwil Ewa przysposobiła zawiniątko Lucjana. Ten Ferdynand Cortez<sup>255</sup> literatury niewiele zabierał z sobą. Zatrzymał na sobie najlepszy surdut, najlepszą kamizelkę i jedną z dwu cienkich koszul. Cała bielizna, jego sławny strój wieczorowy, przybory i manuskrypty tworzyły tak szczupły pakiecik, że aby go ukryć oczom pani de Bargeton, Dawid zaproponował, iż wyśle go dylżanssem pod adresem swego korespondenta, handlarza papieru, zalecając, aby go przechował do dyspozycji Lucjana.

Mimo ostrożności przedsięwziętych przez panią de Bargeton dla ukrycia wyjazdu, Châtelet dowiedział się o jej planach. Chciał wiedzieć, czy odbędzie podróż sama, czy w towarzystwie Lucjana; wysłał tedy swego lokaja do Ruffec z poleceniem śledzenia wszystkich powozów zmieniających konie na stacji pocztowej.

„Jeżeli uwiezie swego poetę — pomyślał — mam ją!”

Lucjan wyjechał nazajutrz o świcie w towarzystwie Dawida, który wystarał się o kabriolet<sup>256</sup> i konia, oznajmiając, iż jedzie do ojca w interesie. To małe kłamstewko miało w danych okolicznościach pozory prawdopodobieństwa. Dwaj przyjaciele wybrali się do Marsac, gdzie spędzili część dnia u starego niedźwiedzia; następnie wieczorem udali się za Mansle, aby tam oczekiwać pani de Bargeton, która przyjechała nad ranem. Widząc starą, sześćdziesięcioletnią karocę, którą tyle razy oglądał stojącą w remizie, Lucjan doświadczył jednego z najżywszych wzruszeń w życiu; rzucił się w ramiona Dawida, który rzekł:

— Daj Boże, aby to było dla twego dobra!

Drukarz wsiadł z powrotem w liche wózek i zniknął ze ściśniętym sercem, miał bowiem straszne przeczucia co do losów Lucjana w Paryżu.

<sup>254</sup>alkowa — mały pokój bez okien, przylegający do większego pokoju, przeznaczony na sypialnię. [przypis edytorski]

<sup>255</sup>Cortez, Ferdynand, właśc. *Hernán Cortés* (ok. 1485–1547) — hiszpański konkwistador, zdobywca Meksyku; swoją samowolną akcją zbrojną przeciwko imperium Azteków rozpoczął na czele zaledwie kilkuset żołnierzy. [przypis edytorski]

<sup>256</sup>kabriolet (daw.) — lekki jednokonnny dwukołowy powóz ze składaną budą. [przypis edytorski]

# *Stracone złudzenia*

# WIELKI CZŁOWIEK Z PROWINCJI W PARYŻU

## OD TŁUMACZA

*Komedia ludzka* Balzaca, w której powieść niniejsza stanowi ważne ogniwo — niemal punkt centralny — posiada, niezależnie od swoich artystycznych wartości, pierwszorzędne znaczenie historyczno-obyczajowe. Wszystkie bez wyjątku siły składające nowoczesne społeczeństwo znajdują w niej swój wyraz, a ujęcie ich staje się tym ciekawsze przez to, iż pisarz miał sposobność śledzić je i odmalować w samych zaczątkach, w momencie kształtowania. W epoce objętej *Komedią ludzką* (lata 1815–1848) warsztat społeczny wyłania się stopniowo w swej nowożytniej, niemal współczesnej nam strukturze, a nie jest jeszcze tak skomplikowany technicznie, aby zmuszać pisarza do rozdrabniania się na utrudniające syntezę szczegóły. Taką siłą rodzącą się dopiero, a przeznaczoną w przyszłości do potężnej roli była *prasa*.

Omawiając na innym miejscu<sup>257</sup> *salon* XVIII w., zaznaczyłem nikłość funkcji, jakie pełniła wówczas prasa skrępowana tysiącnymi względami cenzury; miejsce prasy zastępowały ulotne pamflety, broszury obiegające bezimiennie, często wychodzące spod pióra największych pisarzy (Wolter, Diderot), dalej korespondencja prywatna i wspomniane już salony paryskie, będące wówczas niemal instytucją. Dziennikarz zawodowy — zezłżywie nazwany *folliculaire*<sup>258</sup> — otoczony dość powszechną wzdumą, znajdował się poza nawiasem społeczeństwa. Zrozumiałe jest, iż pod żelazną ręką Napoleona prasa, mimo iż wzmożona w sobie, nie mogła oddychać pełną piersią; dopiero Restauracja<sup>259</sup>, dająca początek konstytucyjnym i parlamentarnym rządów pod berłem obłaskawionych już Burbonów, stworzyła również potęgę tego przyszłego „mocarstwa”.

Stosunki jednak panujące w królestwie prasy były dość osobliwe. Nie mogąc, jakby niewątpliwie tego pragnął, prasy zdusić, dwór starał się ją kneblować i trzymać w zależności ograniczaniem przywileju na dziennik; zbyteczne dodawać, iż przywilej taki uzyskiwali najczęściej nie ludzie etycznie stojący najwyżej, ale najbardziej sprytni i nieprzebiegający w środkach. Ta ograniczona ilość organów publicznych, w których skupiała się opinia i interesy całego wielkiego kraju, wytworzyła kastę kondotierów<sup>260</sup> pióra toczących z sobą zajadłe walki, ale równocześnie zdolnych w razie potrzeby porozumieć się z sobą dla wspólnej korzyści. Nie od razu zresztą i dziennikarze zorientowali się w swojej rosnącej z każdym dniem potędze. Ta zgraja utalentowanych głodomorów, mających nieraz w ręku losy olbrzymich przedsięwzięć politycznych i finansowych, nie od razu posiadała technikę wybijania dla siebie samych monety z własnego wpływu. Dziennikarze, przeważnie młodzi chłopcy (w gorączkowym tym zawodzie ludzie spalają się szybko), więcej dbali o wyzyskiwanie swej „wszechmocy” za kulisami bulwarowego teatryku niż za kulisami giełdy i wielkiego przemysłu; z czasem dopiero, w miarę jak posuwająca się demokratyzacja coraz większą rolę przyznawała tzw. opinii publicznej, i dziennikarstwo przeszło na właściwy sobie i szerszy teren działania.

Te wszystkie światy grawitujące około dziennika i potrzebujące go, te najrozmaitsze możliwe, wpływowe i wykwiłtne osobistości, ubiegające się o względy dziennikarzy i „nastrajające” ich za pomocą uczt i festynów, tworzą w połączeniu z cygańskim temperamentem wykołajeńców literatury ów tak mistrzowsko odmalowany obraz fantastycznego życia, w którym najohydniejsza nędza ociera się o przepychy rafinowanego zbytku. Dlatego też w tej powieści, nie opuszczając ściśle realnego gruntu, mógł Balzac przedstawić kilka miesięcy życia młodego Lucjana niby cudowną feerię, w której zaklęty pierścień lub jakaś lampa Aladyna otwiera mu na chwilę wrota paryskich sezamów. Równocześnie wydana po polsku powieść Balzaca pt. *Muza z zaścianka* stanowi jakby dopełnienie obrazu

<sup>257</sup> *Omawiając na innym miejscu salon XVIII w.* — we wstępie do *Listów panny de Lespinasse*. [przypis edytorski]

<sup>258</sup> *folliculaire* (fr.) — pismak. [przypis edytorski]

<sup>259</sup> *Restauracja* — okres w historii Francji wyznaczony datami 1814–1830, od powrotu na tron dynastii Burbonów po upadek Napoleona I do rewolucji lipcowej. [przypis edytorski]

<sup>260</sup> *kondotier* — najemny żołnierz. [przypis edytorski]

i ukazuje nam to życie w chwili, gdy go nie złoci już swymi promieniami błogosławiona beztraska młodość.

Balzac nie lubił i nie szanował prasy, i, nawzajem, nie cieszył się jej względami. W jednym ze swych wysoce romantycznych opowiadań pt. *Historia trzynastu* wymarzył pisarz związek trzynastu niepospolitych, a bezwzględnie sobie w razie potrzeby oddanych jednostek i rosił, jak olbrzymią potęgą byłaby taka asocjacja. Życie przekonało go szybko, że instytucja taka istnieje, tylko składa się nie z trzynastu wybitnych, ale z trzydziestu, trzystu czy trzech tysięcy *miernych* jednostek, które bez żadnych regulaminów i porozumień instynktownie a solidarnie współdziałają z sobą. Otóż do tej asocjacji Balzac nigdy nie umiał się nagiąć; za sztywny miał kark do takich kompromisów; przerzynać się przez życie literackie Paryża sam, li<sup>261</sup> tylko siłą talentu i pracy. Nie iżby nie chciał iść po łatwiejszej drodze sukcesu; chciał zapewne, jak tego dowodzą różne, z dziecięcą naiwnością podejmowane próby, ale *nie mógł*: imperatyw talentu był zanadto kategoryczny. Cichy pracownik d'Artheza, przeciwstawiony zgrai szarlatanów, półtalentów i spekulantów literackich, oto człowiek, jakim Balzac rad przedstawia się własnym oczom. Tylko własnym zresztą, dla nas bowiem bujna, rabelaisowska indywidualność Balzaca bezwarunkowo nie mieści się w tym arcyszlachetnym *prymusie* literatury.

Sąd o ówczesnej prasie wypadł zapewne za czarno — sama postać Teofila Gautiera starczyłaby za odpowiedź bezwzględny oszczercom tego rzemiosła — ale tak w opisie uczt u Floryny i Koralii, jak w posiedzeniu redakcji małego dzienniczka rozsiane są rysy, które, w jednym zdaniu nieraz, genialnie streszczają istotę pewnego typu dziennikarstwa. Dzisiaj brukowe dzienniki paryskie, rozchodzące się w milionach egzemplarzy, posiadają agendy równające się co do rozmiarów i zakresu nieraz agendom jakiego ministerium i niewiele mają już wspólnego z tymi sympatycznie myszką trącącymi stosunkami, gdzie redaktor wpływowego pisma „przechwała się”, że ma dwa tysiące abonentów, i gdzie poważną rubrykę jego dochodów stanowi handel „egzemplarzami recenzyjnymi” książek i gratisowymi biletami do teatru. Dużo natomiast podobieństwa odnalazłoby się, z zachowaniem wszelkiej proporcji, między tym obrazem a naszymi stosunkami, jeżeli nie dzisiejszej (wydawcy naszych „Kurierków” z politowaniem patrzyliby dzisiaj na mikroskopijne dla nich operacje ówczesnych paryskich Finotów!), to wczorajszej doby. Nie wskazując nikogo palcem, znalazłbym w Polsce z łatwością model — i niejeden — dla takiego np. Stefana Lousteau, którego „wiek męski, wiek kłęski” maluje nam *Muza z zaścianka*.

Cóż to za kapitalna żywa figura ów Stefan Lousteau! Współczesna fama<sup>262</sup> wskazywała głośnego felietonistę Juliusza Janina<sup>263</sup> jako prototyp tej postaci; parę ustępów w korespondencji Balzaca każe raczej dopatrywać się pod nią Juliusza Sandeau, współnika doli George Sand<sup>264</sup>, czyli Aurory Dudevant, w czasie pierwszych jej lat paryskich. Ale przede wszystkim to jest typ: to dziennikarstwo ujęte ze swej niskiej, małej, niemoralnej strony, z zachowaniem całej gibkości i błyskotliwości intelektu, tak uwodzicielsko działających na młodego Lucjana.

Każda zresztą z figur tej galerii ma swoją bardzo odrębną fizjonomię<sup>265</sup>. Zapuszczając się głębiej w dzieło Balzaca, będzie miał czytelnik niejednokrotnie sposobność spotkać się z nimi i ściślej jeszcze wyodrębnić je od tła. Tak na przykład *Córka Ewy* będzie monografią duchową Natana, tego fałszywego wielkiego człowieka, którego tu widzimy w pierwszych blaskach zwodniczej sławy; tam też i gdzie indziej zresztą odnajdziemy jedną z najsympatyczniejszych figur literackiego świata, Blondeta, do którego Balzac, mimo jego sceptycznej bierności i nihilizmu duchowego, ma widoczną słabość i którego na wpeł cygańską karierę wieńczy w końcu wspaniałomyślnie świetnym małżeństwem z hrabiną de Montcornet. W innej znowu powieści zapoznamy się bliżej z panną des Touches, wzorowaną w wielu rysach na postaci George Sand, oraz z Klaudiuszem Vigno-

<sup>261</sup>li — partykuła użyta tu w funkcji wzmacniającej wymowę zdania; znaczenie: tylko, wyłącznie. [przypis edytorski]

<sup>262</sup>fama — pogłoska; rozgłos. [przypis edytorski]

<sup>263</sup>Janin, Jules Gabriel (1804–1874) — francuski pisarz i krytyk literacki. [przypis edytorski]

<sup>264</sup>George Sand — właśc. *Aurora Dudevant* (1804–1876), fr. pisarka epoki romantyzmu, autorka powieści feministycznych i społ.-obycz., przyjaciółka wybitnych twórców kultury. [przypis edytorski]

<sup>265</sup>fizjonomia (daw.) — twarz. [przypis edytorski]



nem, nieskazitelnym kapłanem krytyki, do którego za model posłużył Gustaw Planche, ów nieszczęśliwie a wytrwale George Sand oddany wielbiciel.

Osobliwej zaprawy dodają obrazowi dziennikarskiego światka figury starych napoleończyków, zamieszane między tych nowoczesnych kondotierów idei. Paradny ten konkubinat cyganerii wojskowej, szukającej naturalnego schronienia wśród cyganerii literackiej, z którą wszystko ją dzieli oprócz skłonności do kieliszka, aktorek i łatwego życia, zaznaczony jest już mimochodem w *Kawalerskim gospodarstwie*; odnajdujemy też tutaj znajomą nam figurę kapitana Giroudeau, pogłębioną rysami wzdorliwego i filozoficznego poddania się duchowi epoki, dającej w rękę fantastyczną potęgę tym „kramikom myśli”, dla których rozpedzenia „wystarczyłoby cesarzowi kaprała na czele kilku ludzi”. A komizmowi tej symbiozy nie ustępuje z pewnością ta, którą powaby kulis stwarzają pomiędzy lekkomyślnymi żonglerami paradoksu a co najgęstszą śmietaną osiadłego paryskiego mieszczaństwa.

Wśród utworów Balzaca powieść ta należy do najcenniejszych. Mistrzowska analiza psychologiczna reakcji, jaką w parze prowincjonalnych kochanków powoduje przeniesienie na teatr Paryża; iskrząca werwa w przedstawieniu krótkiej wędrowni Lucjana przez świat dziennikarski, rozsypane rysy gryzącej a trafnej satyry, wreszcie tragiczny patos zakończenia tworzą z powieści tej dzieło przelewające się od bogactwa treści. Faktura powieści Balzaca przedstawia zazwyczaj proces powolnego rozpalania się pod kotłem olbrzymiej maszyny; tutaj — co rzadko się u niego zdarza — wchodzimy *in medias res*<sup>266</sup> dzięki temu, iż powieść ta posiada ścisły związek z opowiadaniem pt. *Dwaj poeci*. Trzecia część, *Cierpienia wynalazcy*, zamyka tę trylogię<sup>267</sup>, objętą w wielu wydaniach Balzaca wspólnym tytułem *Stracone złudzenia*, przy czym niniejsza część posiada podtytuł: *Wielki człowiek z prowincji w Paryżu*. Dla zorientowania się w całości *Komedii ludzkiej* powieść ta jest bardzo pomocna; cały ów światek, który tutaj naznacza sobie schadzki, kręcąc się bliżej lub dalej około dziennika lub teatru, to uprzywilejowane typy Balzaca, które niemal wszystkie zjawiają się i w innych jego powieściach. Każdy z nich powtarzać się będzie w różnych epokach życia, różnych planach i przekrojach, wciąż pogłębiając uczucie zdumienia nad tą jedyną w swoim rodzaju nowoczesną epopeją.

Boy

Kraków, w marcu 1919

## STRACONE ZŁUDZENIA

Ani Lucjan, ani pani de Bargeton, ani Gentil, ani pokojowa Albertyna nie wspominali nigdy o wydarzeniach tej podróży; ale można mniemać, iż ustawiczna obecność służby zepsuła ją kochankowi, który spodziewał się pełnych rozkoszy wykradzenia. Lucjan, który podróżował pocztą pierwszy raz, zdumiewał się, widząc, że droga z Angoulême do Paryża pochłonęła niemal tyle, ile on przeznaczał na życie przez cały rok. Jak ludzie, którzy łączą wdzięk dzieciństwa z siłą talentu, popełniał ten błąd, iż na widok rzeczy tak dla siebie nowych wyrażał naiwne zdziwienie. Mężczyzna powinien dobrze poznać kobietę, nim odsoni przed nią z całą prostotą swoje wzruszenia i myśli. Tkliwa i szlachetna kochanka uśmiecha się z tych dzieciństw<sup>268</sup> i rozumie je; ale jeśli jest istotą bodaj trochę ambitną, nie przebaczy kochankowi, iż okazał się dziecinny, próżny i mały. Często kobiety wkładają w swój kult tyle przesady, iż chcą wciąż znajdować bóstwo w swoim fetyksu; tylko te, które kochają mężczyznę dla niego bardziej jeszcze niż dla siebie, ubóstwiają jego małostki na równi z jego wielkością. Lucjan nie wiedział jeszcze, że u pani de Bargeton miłość narodziła się z dumy. Popenił tę omyłkę, że nie umiał zrozumieć pewnych

Kobieta, Mężczyzna

<sup>266</sup>*in medias res* (łac.) — w środek rzeczy (zwykle określenie sposobu opowiadania historii, w którym rezygnuje się z długiego przedstawiania wydarzeń poprzedzających akcję). [przypis edytorski]

<sup>267</sup>*zamyka tę trylogię* — niezupełnie, gdyż dalsze losy bohatera opisuje powieść *Blaski i nędze życia kurtyzany*. [przypis edytorski]

<sup>268</sup>*dzieciństwo* (daw.) — dziś: dziecinada; postępowanie dziecinne, właściwe dzieciom, a nie dojrzałym ludziom. [przypis edytorski]

uśmiezków Luizy w ciągu tej podróży, kiedy, zamiast panować nad sobą, dawał folgę pustotom młodego szczura, który wydobył się z jamy.

Podróźni stanęli o świcie w hotelu Gaillard-Bois przy ulicy de l'Echelle. Oboje byli tak zmęczeni, że Luiza przede wszystkim chciała się położyć, poleciwszy Lucjanowi wziąć pokój o piętro wyżej. Lucjan spał do czwartej po południu. Pani de Bargeton kazała go obudzić na obiad. Dowiedziawszy się, która godzina, ubrał się spiesźnie i zastał Luizę w jednym z owych ohydnych pokoiów stanowiących hańbę Paryża, gdzie mimo tylu uroszczeń elegancji nie ma jeszcze ani jednego hotelu, w którym majątny podróżny mógłby odnaleźć dom. Lucjan, mimo iż jeszcze niezupełnie rozbudzony, nie poznał swej Luizy w tym pokoju zimnym, bez słońca, o spłowiiałych firankach, gdzie licho zaciągnięta posadzka świeciła ubóstwem, gdzie meble były wytarte, w złym smaku, stare lub przygodnie kupione. Rzeczywiście istnieją osoby, które zmieniają swój wygląd i swoją wartość, skoro je oddzielić od ludzi, rzeczy, miejsca, które im służyły za ramę. Fizjonomie<sup>269</sup> posiadają właściwą sobie atmosferę, tak jak światłocien flamandzkich obrazów potrzebny jest do życia tworam geniusza malarza. Mieszkańcy prowincji należą prawie wszyscy do tego typu. Przy tym pani de Bargeton zdawała mu się sztywniejsza, bardziej zadumana, niżby wypadało w chwili, gdy zaczynało się szczęście bez przeszkód. Lucjan nie mógł wynurzyć swoich żalów: Gentil i Albertyna kręcili się po pokoju. Obiad nie miał już owego charakteru obfitości i przedniej dobroci, jakie cechują prowincję. Ścisłe odmierzane dania pochodziły z sąsiedniej restauracji: chudo przybrane, trąciły skąpo obliczoną porcją. Paryż nie jest ładny w tych małostkach, na które skazuje ludzi o miernych środkach. Lucjan czekał końca obiadu, aby pomówić swobodniej z Luizą, której odmiany nie umiał sobie wytłumaczyć. Nie mylił się. Ważne wydarzenie — refleksje bowiem są wydarzeniami życia duchowego — zaszło, gdy on spał.

Około drugiej po południu Sykstus du Châtelet zjawił się w hotelu, kazał obudzić Albertynę, oświadczył, iż pragnie mówić z panią, i wrócił, zostawiwszy pani de Bargeton czas do ogarnięcia się trochę. Anais, której ciekawość podrażniła ta osobliwa wizyta pana du Châtelet (wierzyła w swoje najściślejsze incognito), przyjęła barona około trzeciej.

— Pędziłem za panią, narażając się na nosa od moich władz — rzekł, składając ukłon — przewidywałem bowiem to, co się stało. Ale choćbym ja miał stracić miejsce, przynajmniej pani nie będzie stracona.

— Co pan ma na myśli? — wykrzyknęła pani de Bargeton.

— Widzę, że pani kocha Lucjana — ciągnął z tkliwą rezygnacją — bo trzeba kochać, aby się nie zastanawiać nad niczym, aby zapomnieć o wszystkich konwenansach: i to pani, która znasz je tak dobrze! Czy myślisz, droga, ubóstwiana Nais, że przyjmą cię u pani d'Espard albo w jakimkolwiek salonie w Paryżu, z chwilą gdy będzie wiadomo, że po prostu uciekłaś z Angoulême z młodym chłopcem, zwłaszcza po pojedynku pana de Bargeton z panem de Chandour? Pobyt męża pani w Escarbas trąci separacją! W podobnych okolicznościach ludzie honoru najpierw biją się za swą żonę, a potem zwracają jej wolność. Kochaj pana de Rubempré, opiekuj się nim, rób, co ci się podoba, ale nie mieszkajcie razem! Gdyby kto wiedział, że odbyliście podróż w jednym powozie, byłabyś wyklęta w tym świecie, w którym chcesz szukać oparcia. Zresztą, Nais, nie rób takich ofiar dla młodego chłopca, którego jeszcze nie porównałaś z nikim, którego nie poddałaś żadnej próbie i który może tu zapomnieć o tobie dla pierwszej paryżanki, skoro mu się wyda lepszą dźwignią dla jego ambicji. Nie chcę szkodzić człowiekowi, którego pani kocha, ale pozwolisz mi, abym wyżej stawiał twoje dobro. Powiem ci tedy<sup>270</sup>: „Przyjrzyj mu się! Poznaj wprzód całą doniosłość swego kroku”. Jeśli znajdziesz wszystkie drzwi zamknięte, jeśli żadna kobieta nie zechce cię przyjąć, nie czuj przynajmniej żalu za tyle ofiar, przekonana, że ten, dla którego je uczyniłaś, będzie ich zawsze godny i zrozumie je. Pani d'Espard jest tym surowsza i tym bardziej uważająca, ile że sama żyje w separacji z mężem, mimo iż świat nie zdołał przeniknąć przyczyn ich niezgody; ale rodziny Navarreins, Blamont-Chauvry, Lenoncourt, wszyscy jej krewni opowiedzieli się za nią, kobiety najdrażliwsze na punkcie cnoty bywają u niej i przyjmują ją, tak iż margrabia d'Espard ponosi w oczach świata całą winę. Od pierwszej wizyty u niej uznasz słusz-

<sup>269</sup>fizjonomia (daw.) — twarz. [przypis edytorski]

<sup>270</sup>tedy (daw.) — więc, zatem. [przypis edytorski]

ność mych ostrzeżeń. Mogę to pani przepowiedzieć, ja, który znam Paryż: przestąpiwszy próg margrabin, będzie pani w rozpaczy na myśl, iż mogłaby się dowiedzieć, że mieszka w hotelu Gaillard-Bois z synem aptekarza, mimo iż przemianowanym na pana de Rubempré. Znajdziesz tu rywalki trochę chytrzejsze i bardziej podstępne niż Amelia: postarają się skwapliwie o wiadomości, kto pani jesteś, gdzie jesteś, skąd przybywasz i co robisz. Liczyła pani, jak widzę, na incognito; ale należysz do osób, dla których incognito nie istnieje. Czy nie spotkasz tu Angoulême na każdym kroku? To posłowie z departamentu Charenty, którzy przybywają na otwarcie Izby; to generał, który spędza urlop w Paryżu. Wystarczy jednego mieszkańca Angoulême, który cię tu zobaczy, aby twoje życie określiło się w szczególny sposób: staniesz się już tylko kochanką Lucjana. Jeśli mnie pani będzie potrzebowała w jakiej bądź sprawie, mieszkam u generalnego poborca, ulica du Faubourg-Saint-Honoré, dwa kroki od pani d'Espard. Znam na tyle marszałkową de Carigliano, panią de Sérisy i prezydenta ministrów, aby panią przedstawić w tych domach; ale spotka pani tyle osób u pani d'Espard, że nie będziesz mnie potrzebowała. Zamiast by pani miała pragnąć wstępu do tego lub owego salonu, sama będziesz upragniona we wszystkich.

Châtelet mógł mówić bez obawy, aby pani de Bargeton mu przerwała: trafność jego obserwacji oszołomiła ją. Królowa Angoulême liczyła w istocie na incognito.

— Masz słuszność, drogi przyjacielu — rzekła — ale jak to zrobić?

— Pozwól mi pani — rzekł Châtelet — wyszukać sobie umeblowany, przyzwoity apartament; w ten sposób życie będzie cię kosztowało taniej niż w hotelu, a będziesz u siebie. Jeżeli mnie pani zechce posłuchać, przeniesiesz się jeszcze dziś.

— Ale jak się pan dowiedział o moim adresie? — rzekła.

— Nietrudno było poznać powóz; zresztą, jechałem w pani ślady. W Sèvres pocztalion, który panią odwiózł, powiedział mojemu adres. Czy pozwoli mi pani być jej kwartmistrzem? Prześlę niebawem wiadomość, gdzie panią ulokowałem.

— Dobrze więc, proszę — rzekła.

To słówko zdawało się niczym, a było wszystkim. Baron du Châtelet odezwał się językiem świata do światowej kobiety. Ukazał się w całej elegancji paryskiego wykwiutu; ładny kabriolet<sup>271</sup> zaprzężony w zgrabnego konika czekał nań pod bramą. Przypadkowo pani de Bargeton zbliżyła się do okna, aby się zastanowić nad położeniem, i spostrzegła podstarzałego dandysa<sup>272</sup> w chwili, gdy odjeżdżał. W chwilę potem Lucjan, spieszenie zbudzony, spieszenie ubrany, ukazał się jej w zeszlorocznych nankinowych<sup>273</sup> pantalonach<sup>274</sup>, w lichej surducinie. Był piękny, ale śmiesznie ubrany. Ubierzcie Apollina Belwederskiego<sup>275</sup> albo Antinusa<sup>276</sup> za nosiwodę, czy poznacie wówczas boski twór greckiego lub rzymskiego dłuta? Oczy porównują, nim serce zdoła sprostować ten błyskawiczny machinalny wyrok. Kontrast między Lucjanem a Sykstusem był zbyt gwałtowny, aby uszedł oczu Luizy. Kiedy koło szóstej skończyli obiad, pani de Bargeton dała znak Lucjanowi, aby siadł przy niej na mizernej kanapie — czerwony perkal w żółte kwiaty — gdzie sama też usiadła.

— Mój Lucjanie — rzekła — czy nie jesteś zdania, iż jeśli popełniliśmy szaleństwo jednak obojga, trzeba myśleć nad tym, aby je naprawić? Nie możemy, drogie dziecko, ani mieszkać wspólnie w Paryżu, ani też pozwolić się domyślać, iż przybyliśmy tu razem. Twój los wiele zależy od mojej pozycji, nie powinnam jej narażać w żadnym sposobie. Tak więc jeszcze dziś wieczór znajdę mieszkanie o parę kroków stąd; ty zostaniesz w hotelu; wówczas będziemy się mogli widywać co dzień i nikt nie znajdzie nic do zarzucenia.

<sup>271</sup>*kabriolet* (daw.) — lekki jednokonny dwukołowy powóz ze składaną budą. [przypis edytorski]

<sup>272</sup>*dandys* — mężczyzna przesadnie zwracający uwagę na strój i formy towarzyskie. [przypis edytorski]

<sup>273</sup>*nankinowy* — wykonany z nankinu, tj. gęstego płótna bawełnianego, przeważnie o barwie płowóżółtej, z którego od XIX w. wykonywano bieliznę i męskie spodnie. [przypis edytorski]

<sup>274</sup>*pantalony* (z fr., daw.) — dziś: spodnie. [przypis edytorski]

<sup>275</sup>*Apollo Belwederski* — marmurowy posąg Apolla, boga słońca i światła, klasycznego ideału męskiego piękna, będący rzymską kopią greckiego oryginału wykonanego w IV w. p.n.e., odnaleziony w 1489, obecnie w Muzeach Watykańskich. [przypis edytorski]

<sup>276</sup>*Antinous* (111–130) — grecki młodzieniec, oficjalny kochanek cesarza Hadriana; kiedy utonął w Nilu, na rozkaz Hadriana powstało wiele rzeźb i portretów przedstawiających Antinusa jako ideał młodzieńczej piękności. [przypis edytorski]

Luiza wyłożyła kodeks świata Lucjanowi, który szeroko otwierał oczy. Nie wiedział jeszcze, iż kobieta, która trzeźwieje z szaleństwa, trzeźwieje tym samym z miłości, ale rozumiał, że nie jest już dawnym Lucjanem z Angoulême. Luiza mówiła mu tylko o sobie, o swoich interesach, o swojej reputacji, o świecie; aby usprawiedliwić swój egoizm, próbowała wytłumaczyć mu, że chodzi o niego. Nie miał żadnych praw wobec Luizy, która tak szybko przedzierzgnęła się w panią de Bargeton, i — rzecz o wiele ważniejsza! — nie miał nad nią żadnej mocy. Nie mógł też powstrzymać wielkich łez, które zakręciły mu się w oczach.

— Jeżeli ja jestem twoją chlubą, ty jesteś dla mnie czymś więcej jeszcze, jesteś mą jedyną nadzieją i przyszłością. Sądziłem, iż jeżeli masz dzielić moje triumfy, winnaś dzielić i moje niedole; i oto już się rozłączamy.

— Sądzisz moje postępowanie — rzekła — nie kochasz mnie więc.

Lucjan spojrział na nią tak boleśnie, iż dodała:

— Drogie dziecko, zostanę, jeśli chcesz, ale zgubimy się oboje i zostaniemy bez oparcia. Ale kiedy będziemy oboje jednako nędzni i samotni, kiedy niepowodzenie (trzeba wszystko brać w rachubę) wygna nas do Escarbas, pamiętaj, kochanie, że przewidywałam ten koniec i że radziłam iść do celu wedle praw świata, okazując się im posłusznym.

— Luizo — odparł, obejmując ją — przeraża mnie twój rozsądek. Pomyśl, że jestem dzieckiem, że zawierzyłem się ze wszystkim twojej dobrej woli. Co do mnie, chciałbym ujarzmić świat i ludzi siłą; ale jeśli mogę szybciej dojść z twoją pomocą, szczęśliwy będę, zawdzięczając tobie całą mą dołą. Przebacz! Za wiele nadziei położyłem w tobie, abym się mógł nie lękać... Dla mnie rozłąka jest zwiastunem opuszczenia, a opuszczenie to śmierć.

— Ależ, drogie dziecko, świat żąda od ciebie bardzo niewiele — rzekła. — Chodzi tylko o to, abyś sypiał tutaj, a zresztą<sup>277</sup> możesz przebywać cały dzień u mnie, bez zarzutu z czyjejkolwiek strony.

Trochę pieśczołot uspokoiło Lucjana. W godzinę potem Gentil przyniósł bilecik, w którym Châtelet donosił, iż znalazł mieszkanie na ulicy Neuve-de-Luxembourg. Pani de Bargeton kazała sobie objaśnić położenie tej ulicy, niezbyt oddalonej od hotelu, i rzekła do Lucjana:

— Jesteśmy sąsiadami.

W dwie godziny później Luiza wsiadła do powozu, który jej przysłał Châtelet, aby się udać do siebie. Apartament, jeden z tych, które tapicerzy meblują i wynajmują zamożnym posłom lub innym znacznym osobom przybyłym na krótko do Paryża, był bogaty, ale niewygodny. Lucjan wrócił o jedenastej do swego hotelu, ujrawszy z Paryża jedynie kawałek ulicy św. Honoriusza, łączący owe dwie ulice. Ułożył się do snu w nędznym pokoiku, który mimo woli porównał w myśli ze wspaniałym apartamentem Luizy. W chwili gdy wychodził od pani de Bargeton, zjawił się baron du Châtelet, prosto z wieczoru u ministra spraw zagranicznych, w całym blasku balowej toalety. Przybył zdać sprawę z zamówień, jakie poczynił w imieniu pani de Bargeton. Luiza była zaniepokojona, przerażał ją ten zbytek. Prowincja wycisnęła na niej swoje piętno; stała się drobiazgową w wydatkach; była tak gospodarna, że w Paryżu musiałaby uchodzić za skąpą. Wzięła z sobą przekazy bankowe blisko na dwadzieścia tysięcy, przeznaczając tę sumę na nadwyżkę wydatków na przeciąg czterech lat; obawiała się już, że jej to nie wystarczy i że wejdzie w długi. Châtelet objaśnił ją, że mieszkanie będzie kosztowało tylko sześćset franków miesięcznie.

— Nędza, drobiaz — dodał, widząc zachnięcie się Nais. — Ma pani na rozkazy powóz za pięćset franków na miesiąc: razem pięćdziesiąt ludwików<sup>278</sup>. Pozostają jedynie toalety. Kobieta, która bywa w świecie, nie może urządzić się inaczej. Jeżeli chce pani wykroić z pana de Bargeton generalnego poborcę lub uzyskać dlań posadę na dworze, nie powinna wyglądać na osobę potrzebującą. Tutaj dają tylko bogatym. Bardzo szczęśliwie — dodał — że ma pani Gentila i Albertynę, służba w Paryżu to istna ruina. Jadać u siebie będzie pani rzadko, skoro raz wpłyniesz na szerokie wody.

Zaczęli rozmawiać o Paryżu. Châtelet opowiedział nowinki, tysiąc drobnostek, które trzeba znać, jeśli się chce być paryżaninem. Udzielił rad co do magazynów, wskazał adres

Pieniądz

<sup>277</sup> zresztą (daw.) — co do reszty, poza tym. [przypis edytorski]

<sup>278</sup> ludwik a. *luidor* (fr. *Louis d'or*: złoty Ludwik) — złota moneta francuska z podobizną króla, bita w latach 1640–1791; ludwikami nazywano później tradycyjnie złote 20-frankówki. [przypis edytorski]

krawcowej i modniarki, słowem, dał Luizie odczuć potrzebę „odangulemizowania się”. Następnie światowiec pożegnał ją ze swobodnym żarcikiem na ustach.

— Jutro — rzekł od niechcenia — będę miał zapewne łożę do jakiegoś teatru; wstąpię, aby zabrać panią i pana de Rubempré. Pozwoli pani, że będę wam robił honory Paryża.

„To szlachetniejszy charakter, niż mniemałam” — rzekła w duchu pani de Bargeton, gdy usłyszała zaproszenie dla Lucjana.

W czerwcu ministrowie nie wiedzą, co począć ze swymi łożami: posłowie prawicy i ich mandanci<sup>279</sup> pilnują żniw lub winobrania, znajomi siedzą na wsi lub podróżują: toteż w tym okresie w najświetniejszych łożach widzi się typy dziwnego nabożeństwa, nieznane bywalcom teatrów i dające publiczności wygląd spłowiałego obicia. Châtelet pomyślał, iż dzięki tej okoliczności będzie mógł bez wielkich wydatków dostarczyć Nais uciech najłakomszym mieszkańcom prowincji. Nazajutrz, zjawiwszy się pierwszy raz, Lucjan nie zastał Luizy. Pani de Bargeton wyszła dla paru niezbędnych sprawunków. Udała się, wedle wskazówek barona, na naradę z poważnymi i dostojnymi autorytetami w sprawach damskiej toalety, napisała już bowiem o swym przyjeździe do margrabinie d'Espard. Mimo iż pani de Bargeton posiadała to zaufanie w siebie, jakie daje długie panowanie, drżała, iż wyda się parafianką<sup>280</sup>. Miała dość taktu, aby rozumieć, jak bardzo stosunki między kobietami zależą od pierwszego wrażenia. Mimo że czuła się na siłach, aby zrównać się szybko z poziomem kobiet tak znakomitych jak pani d'Espard, zgadywała, iż w początkach trzeba jej będzie życzliwości; nie chciała zwłaszcza pominąć żadnej z szans powodzenia. Dlatego była niezmiernie wdzięczna baronowi, że jej wskazał środki dostrojenia się do paryskiego świata. Szczególnym zbiegiem okoliczności margrabinie było w danej sytuacji niezmiernie na rękę, że mogła oddać przysługę komuś z rodziny męża. Bez wyraźnej przyczyny margrabia d'Espard usunął się: nie zajmował się ani interesami, ani sprawami publicznymi, ani rodziną, ani żoną. Stawszy się w ten sposób panią swojej woli, margrabina czuła potrzebę aprobaty świata, była więc rada, iż może w tej okoliczności zastąpić margrabiego, występując jako protektorka jego krewnych. Pragnęła nawet dać temu patronatowi pewną ostentację, aby tym więcej podkreślić winę męża. Tegoż samego dnia napisała do *pani de Bargeton z domu Négrepelisse* jeden z owych bilecików, w których forma jest tak ładna, iż trzeba wiele czasu, nim się dojrzy pod nią brak treści: czuje się szczęśliwa z okoliczności, zbliżających ją do osoby, o której słyszała i którą z dawna życzyła sobie poznać, przyjaźń bowiem w Paryżu nie jest czymś tak trwałym, aby mogła nie pragnąć posiadania jeszcze kogoś bliskiego sercu; gdyby się to nie miało ziścić, będzie to jedno złudzenie więcej, jakie pogrzebie wraz z innymi. Oddaje się cała do rozporządzenia kochanej kuzynki, którą byłaby pośpieszyła<sup>281</sup> odwiedzić, gdyby niedyspozycja nie zatrzymała jej w domu; ale uważa się już za zobowiązaną pani de Bargeton za to, że pomyślała o niej.

W czasie pierwszej swej włóczęgi przez bulwary i ulicę de la Paix Lucjan, jak wszyscy nowo przybyli, zajmował się o wiele więcej rzeczami niż ludźmi. W Paryżu zrazu pochłaniają uwagę masy: bogactwo sklepów, wysokość domów, natłok pojazdów; sprzeczności, jakie nastroczą krańcowy zbytek z krańcową nędzą, uderzają przede wszystkim. Zdumiony tym tłumem, któremu był zupełnie obcy, Lucjan, obdarzony żywą wyobraźnią, uczuł jak gdyby straszliwe pomniejszenie samego siebie. Osoby, które cieszą się na prowincji jakimś miremem i które spotykają tam na każdym kroku dowód swej ceny, nie mogą się oswoić z tą zupełną i nagłą niższą. Być czymś w swoim miasteczku, a nie być niczym w Paryżu, to dwa stany, które wymagają przejścia; ci, którzy przechodzą z jednego do drugiego zbyt gwałtownie, popadają w rodzaj unicestwienia. Młodemu poecie, nawykłemu znajdować echo dla wszystkich uczuć, powiernika dla wszystkich myśli, duszę dzielącą najmniejsze wrażenia, Paryż musiał się zdać strasliwą pustynią. Nie pomyślał o tym, aby się przebrać w odświętny niebieski fraczek, tak iż udając się o umówionej godzinie do pani de Bargeton, uczuł się zawstydzony ubóstwem, żeby nie powiedzieć: nędzą swego stroju. Zastał

List, Pozory

<sup>279</sup>mandant — tu: mandatariusz, pełnomocnik. [przypis edytorski]

<sup>280</sup>parafianka — tu: kobieta z prowincji. [przypis edytorski]

<sup>281</sup>byłaby pośpieszyła — przykład użycia czasu zaprzeczonego, wyrażającego czynność wcześniejszą niż opisana czasem przeszłym lub, jak w tym przypadku, niezrealizowaną możliwość; dziś: pośpieszyłaby. [przypis edytorski]

barona, który zabrał oboje na obiad do Rocher de Cancale<sup>282</sup>. Lucjan, oszołomiony paryskim wirem, nie mógł nic szepnąć Luizie, byli bowiem w powozie we troje; ścisnął ją za rękę, ona zaś odpowiedziała przyjaźnie myślom, które wyrażał w ten sposób. Po obiedzie Châtelet zaprowadził swoich gości do teatru Vaudeville<sup>283</sup>. Lucjana drażnił potajemnie widok Châteleta, przeklinał los, który go zawiódł do Paryża. Dyrektor podatków złożył cel podróży na swoje ambicje: ma nadzieję (mówił), że otrzyma stanowisko generalnego sekretarza i wejdzie jako referendarz<sup>284</sup> do Rady Stanu<sup>285</sup>; przybył upomnieć się o dotrzymanie obietnic, jakie mu poczyniono. Człowiek taki jak on nie może być wiecznym dyrektorem podatków; woli raczej niczym nie być, zostać posłem, wrócić do dyplomacji. Starał się urósć w oczach pani de Bargeton; Lucjan odczuwał niejasno w starym fircyku wyższość światowca zaprawionego w życiu paryskim; wstyd mu było zwłaszcza, iż z jego łaski kosztuje wielkomięjskich przyjemności. Tam, gdzie poeta był nieswój i zakłopotany, dawny sekretarz do szczególnych poruczeń czuł się jak ryba w wodzie. Châtelet uśmiechał się z wahań, zdumień, zapytań, drobnych niezręczności, w które brak obycia wtrącał jego rywala, jak stare wilki morskie dworują sobie z fryców<sup>286</sup>, którzy nie przebyli jeszcze równika.

Przyjemność znalezienia się pierwszy raz w teatrze paryskim wynagradzała Lucjanowi przykreść, jaką sprawiły mu drobne konfuzje<sup>287</sup>. Wieczór ten był dlań znamienny przez tajemne zaparcie się wielu pojęć zrodzonych na prowincji. Krąg rozszerzał się, społeczeństwo nabierało innych proporcji. Sąsiedztwo ładnych paryżanek, ubranych tak świeżo, tak wykwiśnięcie, zwróciło jego uwagę na starzyznę toalety pani de Bargeton, mimo iż dość wyszukanej: materia, fason, kolory, wszystko było niemodne. Uczesanie, które go tak zachwycało w Angoulême, wydało mu się straszliwie niegustowne w porównaniu do wytwornych pomysłów zdobiących tu główkę każdej kobiety.

„Czy to tak zostanie?” — myślał, nie wiedząc, iż Luiza obróciła ten dzień na przygotowanie transformacji.

Na prowincji nie ma wyboru ani porównania; nawyk oglądania tych samych twarzy sprawia, iż piękność opiera się na konwencji. Kobieta, która uchodzi na prowincji za ładną, w Paryżu nie zwraca najmniejszej uwagi, jest bowiem ładna tylko na zasadzie przysłowia: „W królestwie ślepych jednooki królem”. Oczy Lucjana czyniły to samo porównanie, jakie pani de Bargeton uczyniła między nim a Châteletem. Ze swej strony pani de Bargeton pozwalała sobie na osobliwe spostrzeżenia nad swym ulubieńcem. Mimo wybitnej urody biedny poeta nie przedstawiał się korzystnie. Surducina o przykrótkich rękawach, tanie prowincjonalne rękawiczki, kusa kamizelka czyniły go nader śmiesznym w porównaniu z młodymi ludźmi kręcącymi się po balkonie; w tym sąsiedztwie wydał się pani de Bargeton bardzo niepokazny. Châtelet, nadskakujący bez pretensji, czuwający nad nią z bacnością, która zdradzała głębokie uczucie, Châtelet wytworny i swobodny jak aktor, który znów się znajdzie na deskach teatru, odzyskał w dwóch dniach cały teren, jaki postradał od pół roku. Mimo iż przeciętny sąd nie uznaje, aby uczucia mogły się zmieniać nagle, to pewne, iż para kochanków rozchodzi się często szybciej, niż się skojarzyła.

W pani de Bargeton i Lucjanie gotowało się wzajemne rozczarowanie, którego przyczyną był Paryż. Życie rozszerzało się w oczach Lucjana, gdy społeczeństwo przybierało nową fizjonomię w oczach Luizy. Trzeba było u obojga jedynie przypadku, aby przeciąć więzy, jakie ich łączyły. Ten cios siekiery, straszny dla Lucjana, niedługo dał na siebie czekać. Pani de Bargeton wysadziła poetę pod hotelem i wróciła do siebie w towarzystwie du Châteleta, co straszliwie zabolowało biednego kochanka.

„Co oni będą o mnie mówili?” — myślał, idąc do swego smutnego pokoiku.

<sup>282</sup>*Rocher de Cancale* — elegancka restauracja paryska, przy ul. Montorgueil, ciesząca się wielkim powodzeniem w XIX w. [przypis edytorski]

<sup>283</sup>*teatr Vaudeville* — dawny paryski teatr, otwarty w 1792 przy ul. Chartres, po pożarze w 1838 tymczasowo przeniesiony na bulwar Bonne-Nouvelle, od 1841 do 1869 przy Place de la Bourse. [przypis edytorski]

<sup>284</sup>*referendarz* — urzędnik administracji państwowej. [przypis edytorski]

<sup>285</sup>*Rada Stanu* — jeden z organów ustanowionych przez konstytucję Bonaparte'go: opiniuje projekty ustaw i rozporządzeń oraz sprawuje funkcję najwyższego sądu administracyjnego. [przypis edytorski]

<sup>286</sup>*fryc* (daw.) — nowicjusz. [przypis edytorski]

<sup>287</sup>*konfuzja* — zmieszanie, zakłopotanie. [przypis edytorski]

— Ten chłopczyna jest piekielnie nudny — rzekł Châtelet z uśmiechem, skoro drzwiczki się zawarły.

— Jak wszyscy, którzy noszą świat myśli w sercu i w mózgu. Ludzie mający tyle rzeczy do wyrażenia w pięknych i długo marzonych dziełach gardzą zazwyczaj rozmową, tym targiem, w którym duch kurczy się, rozmieniając swe skarby na drobną monetę — rzekła dumna Nègrepelisse, która miała jeszcze odwagę bronić Lucjana, mniej dla Lucjana niż dla samej siebie.

— Godzę się z panią chętnie — odparł baron — ale cóż! Żyjemy z ludźmi, a nie z książkami. Posłuchaj, droga Nais, widzę, że jeszcze nie zaszło nic między panią a nim, to szczęście. Jeżeli pani zdecyduje się wprowadzić w życie swoje czynniki, którego zbywało ci dotąd, błagam, niechaj nim nie będzie osoba tego mniemanego geniusza. Gdybyś się miała mylić! Gdybyś za kilka dni, porównując go z prawdziwymi talentami, z naprawdę wybitnymi ludźmi, jakich tu zobaczysz, uznała, droga piękna syreno, iż wzięłaś na swój olśniewający grzbiet i zniosłaś do portu, miast<sup>288</sup> człowieka zbrojnego lirą, małpkę bez wychowania, bez znaczenia, głupią i próżną, która może mieć dość talentu na Houmeau, ale która w Paryżu staje się czymś nader pospolitym! Ostatecznie, drukują tu co tydzień tomy wierszy, z których najlichszy wart jest więcej niż cała poezja pana Chardona. Przez litość, czekaj, pani, i porównuj! Jutro piątek, dzień opery — rzekł, widząc, iż dojeżdżają — pani d'Espard ma do dyspozycji łożę dworską, zaprosi panią z pewnością. Aby panią oglądać w całej chwale, pójdę do łoży pani de Sérisy. Grają *Danaidy*<sup>289</sup>.

— Do widzenia — rzekła.

Nazajutrz pani de Bargeton postarała się skombinować przyzwoity strój, aby odwiedzić przed południem swą kuzynkę. Było trochę chłodno, nie znalazła w angulemskich rupiecicach nic lepszego nad jakąś zieloną aksamitną suknię, przybraną dość krzykliwie. Ze swej strony Lucjan podjął wyprawę po sławny niebieski fraczek, nie mógł już patrzeć na swą surducinę. Postanowił stale być dobrze ubrany, w tej myśli, iż może spotkać margrabinę d'Espard lub otrzymać od niej niespodziane zaproszenie. Wsiadł do dorożki, aby natychmiast przywieźć pakiet. W ciągu dwóch godzin wydał trzy czy cztery franki, co mu dało wiele do myślenia o finansowych proporcjach życia w Paryżu. Dotarłszy do szczytu swoich toaletowych możliwości, udał się na ulicę Neuve-de-Luxembourg, gdzie w bramie spotkał Gentila w towarzystwie wspaniale wystrojonego strzelca<sup>290</sup>.

— Miałem właśnie iść do pana; pani dała mi ten bilecik dla niego — rzekł Gentil, który, przywykły do prowincjonalnej dobroduszości, nie znał formułek paryskiego uszanowania.

Strzelec wziął poetę za służącego. Lucjan otworzył bilecik, z którego dowiedział się, że pani de Bargeton spędzi dzień u pani d'Espard, a wieczór idzie do Opery, ale poleca Lucjanowi, aby się tam zjawił; kuzynka pozwala jej użyć miejsca w łoży młodemu pocie. Margrabina — dodawała pani de Bargeton — zachwycona jest, iż może mu sprawić tę przyjemność.

„Kocha mnie zatem! Obawy moje były szalone — rzekł do siebie Lucjan — przedstawi mnie dziś wieczór kuzynce”.

Podskoczył z radości i chciał wesoło spędzić czas, jaki go dzielił od szczęśliwego wieczoru. Pomknął ku Tuileriom<sup>291</sup>, mając zamiar przechadzać się tam do chwili, w której pójdzie zjeść obiad u Véry'ego<sup>292</sup>. I oto Lucjan, rozbawiony, skoczny, lekki szczęściem, wstępuje na terasę Feuillants i przebiega ją, przyglądając się przechodniom, śledząc ładne kobiety w towarzystwie wielbicieli, elegantów przechadzających się parami pod rękę i pozdrawiających się wzajem spojrzeniem i skinieniem dłoni. Cóż za różnica między tą terasą a Beaulieu! Ptaki tej wspaniałej grzędy inny miały blask niż angulemskie kwoczki! Był to cały przepych kolorów, błyszczący w ornitologicznych rodzinach Indii lub Ameryki, w porównaniu z szarymi barwami ptaków Europy. Lucjan spędził w Tuileriach dwie

Moda, Pozycja społeczna

<sup>288</sup>miast (daw.) — zamiast. [przypis edytorski]

<sup>289</sup>*Danaidy* — opera Antonio Salieriego z roku 1784, na podstawie greckiego mitu o córkach króla Argos, Danaosa. [przypis edytorski]

<sup>290</sup>strzelec (daw.) — w dawnych dworach: służący do różnych posług, m.in. towarzyszący karecie podczas podróży. [przypis edytorski]

<sup>291</sup>Tuilerie — paryskie ogrody i istniejący do 1871 pałac, położone między Luwrem a Sekwaną. [przypis edytorski]

<sup>292</sup>Véry — jedna z najlepszych restauracji paryskich. [przypis edytorski]

okrutne godziny: poddał się sam straszemu egzaminowi i wydał wyrok. Przede wszystkim nie zobaczył wśród elegantów ani jednego fraka. Jeżeli zdarzył się ktoś we fraku, to chyba jakiś staruszek bez pretensji, biedaczyna, drobny rentier<sup>293</sup> z Dzielnicy Marais<sup>294</sup>, woźny... Zorientowawszy się, że istnieje osobny strój ranny i wieczorowy, poeta, obdarzony wrażliwością i przenikliwym spojrzeniem, ocenił szpetotę swoich sukien: rażące śmiesznością niedostatki swego ubrania o niemodnym kroju, niegustownej niebieskiej barwie, szkaradnym rysunku kołnierza, którego znoszone klapy zwieszały się smutnie; guziki były zrudziałe, szwy rysowały się szpetnymi białymi liniami. Dalej, kamizelka była zbyt krótka i miała w sobie coś tak pociesznie prowincjonalnego, że aby ją ukryć, Lucjan zapiął się mimo woli na wszystkie guziki. Wreszcie spostrzegł, iż nankinowe pantalony nosi jedynie pospółstwo; ludzie wykwinotni noszą prześliczne ineksprymable<sup>295</sup> w paski lub lśniące nieskazitelną białością. Przy tym wszyscy mieli spodnie ze strzemiączkami, jego zaś porcięta schodziły się bardzo niedoskonale z obcasami, do których skurczone brzegi materii objawiały gwałtowną antypatię. Lucjan miał białą krawatkę o rogach haftowanych przez siostrę, która, widząc podobne u pana du Hautoy, u pana de Chandour, skwapliwie postarała się o takie same dla brata. Nie tylko nikt, z wyjątkiem ludzi podsztych, jakichś starych giełdjarzy, zasuszonych urzędników, nie nosił krawatki białej rano, ale jeszcze biedny Lucjan ujrzał po drugiej stronie bariery, na ulicy Rivoli, chłopca ze sklepu, z koszykiem na głowie, na którego szyi elegant z Angoulême dostrzegł końce krawata wyhaftowane ręką jakiejś ubóstwianej gryzетки<sup>296</sup>. Widok ten był dla Lucjana niby cios w piersi, w ten jeszcze niedokładnie określony organ, gdzie się mieści nasza wrażliwość i gdzie, od czasu jak istnieją uczucia, ludzie kładą rękę tak w nadmiernej radości, jak i bólu. Nie pomawiajcie tych szczegółów o dzieciństwo. Zapewne dla bogaczy, którzy nigdy nie zaznali tego rodzaju cierpienia, jest w tym wszystkim coś mizernego i niewiarygodnego; ale cierpienia nędzarzy tak samo zasługują na uwagę, jak wstrząsy, które łamią życie potężnych i uprzywilejowanych. Czyż nie zdarza się tyleż boleści z jednej, co i z drugiej strony? Cierpienie daje wielkość wszystkiemu. Wreszcie zmieńcie terminy: w miejsce ładnego stroju pomieście wstążeczkę, odznaczenie, tytuł. Te pozornie drobne rzeczy czyż nie były udręką wielu świetnych egzystencji? Kwestia stroju jest zresztą niezmiernie doniosła dla tych, którzy chcą mieć pozór, iż mają to, czego nie mają: często najlepszy sposób, aby to osiągnąć później. Lucjan oblał się zimnym potem na myśl, iż wieczorem ma się zjawić w tym ubraniu w obliczu margrabiny d'Espard, krewnej wielkiego ochmistrza dworu, kobiety, u której bywały wszelkie znakomitości, i to przesiane przez sito.

„Wyglądam na aptekarskiego synka, na chłopca sklepowego!” — powtarzał sobie z wściekłością, widząc dokoła zgrabnych, zalotnych, wyświeżonych młodych ludzi z arystokratycznych domów. Wszyscy mieli coś wspólnego we wzięciu, coś, co ich upodabniało między sobą wytwornością linii, szlachetnością ruchu, wyrazem; różnili się zaś ramą, jaką każdy sobie obrał, aby uwydatnić indywidualne zalety. Wszyscy podkreślali swoje korzystne strony za pomocą pewnej charakteryzacji, na której młodzi ludzie w Paryżu rozumieją się równie dobrze jak kobiety. Lucjan posiadał po matce ową cenną dystynkcję fizyczną, której przewagi połykiwały mu przed oczami; ale to złoto było w rudzie, nieobrobione umiejętną ręką. Był źle ostrzyżony. Zamiast podtrzymać głowę gibkim halsztukiem<sup>297</sup>, chował ją niedbale w szpetnym kołnierzu koszuli; krawat, nie dając szyi oparcia, sprawiał, iż głowa zwieszała się żałośnie. Któżby kobieta odgadłaby ładną nogę Lucjana w angulemskich buciorach? Któryż młody człowiek pozazdrościłby mu zgrabnej figury w niebieskim worku, wcielającym dotąd dla Lucjana paradne ubranie? Widział prześliczne spinki w koszulach olśniewającej białości, gdy jego była zrudziała! Wszyscy ci lalusie byli cudownie urękawicznieni, on zaś miał rękawice godne żandarma! Ten igrał

Moda, Pozycja społeczna

<sup>293</sup>rentier — osoba utrzymująca się z dochodów z kapitału ulokowanego w banku lub na giełdzie. [przypis edytorski]

<sup>294</sup>Marais (fr.: bagna) — część Paryża na północnym brzegu Sekwany, w XIX w. zamieszkiwana przez drobnych kupców, rzemieślników i biedotę miejską. [przypis edytorski]

<sup>295</sup>ineksprymable (przestarz., z fr. *inexprimable*: niewyraźalny) — spodnie. [przypis edytorski]

<sup>296</sup>gryzетка (daw., z fr. *gris*: szary; *grissette*: tania, szara tkanina ubraniowa) — we Francji: młoda dziewczyna pracująca jako szwaczka, ekspedientka, modystka. [przypis edytorski]

<sup>297</sup>halsztuk (daw.) — chustka na szyję, noszona przez mężczyzn w końcu XVIII i w XIX w., poprzednik krawata. [przypis edytorski]



sobie rozkosznie oprawną laseczką; ów miał koszulę o mankietach spiętych małąkami złotymi guziczkami. Mówiąc z kobietą, jeden wyginał śliczną szpicrózgę<sup>298</sup>, obfite zaś fałdy pantalonów, zbryzgane paroma drobnymi plamkami, dzwoniące ostrogi, obcisły rajtroczek<sup>299</sup> świadczyły, iż za chwilę wsiądzie z powrotem na jednego z dwóch koników trzymany w pogotowiu przez małego gruma<sup>300</sup>. Inny wyjmował z kieszeni zegarek płaski jak pięćiofrankówka i spoglądał na godzinę z miną człowieka, który przybył zbyt wcześnie lub zbyt późno na schadzkę. Patrząc na te ładne bagatelki, których istnienia nie podejrzewał, Lucjan ujrzał przed sobą cały świat rzeczy niezbędnych, a zbytecznych i zadrżał na myśl, iż trzeba posiadać olbrzymi kapitał, aby mieć prawo być ładnym chłopcem! Im więcej podziwiał owych młodych ludzi o swobodnych i szczęśliwych twarzach, tym bardziej miał świadomość swej miny człowieka spadłego z księżycy, miny człowieka, który nie wie, skąd ani dokąd idzie, nie wie, gdzie jest Palais-Royal<sup>301</sup>, kiedy uderza weń nosem, i pyta przechodnia o drogę do Luwru, aby otrzymać odpowiedź: „Jest pan w nim”. Lucjan czuł, iż dzieli go od tego świata cała przepaść; pytał sam siebie, jak mógłby ją przebyć, chciał stać się podobny do smukłej i delikatnej paryskiej młodzieży. Wszyscy ci patrycjusze pozdrawiali ukłonem bosko ubrane i bosko piękne kobiety, dla których Lucjan dałby się posiekać za cenę jednego pocałunku, jak paź hrabiny Königsmarck<sup>302</sup>. W czeluściach jego pamięci Luiza, porównana z tymi królewnami, była starą kobietą. Spotkał tę i ową z kobiet, o których będzie się mówiło w historii XIX wieku, których dowcip, uroda, miłostki zaćmiały sławą monarchinie minionych wieków. Ujrzał przechodzącą olimpijską<sup>303</sup> dziewczynę, pannę des Touches, tak głośną pod mianem znakomitego pisarza Kamila Maupina, równie wielką przez swą piękność, jak przez bogactwa ducha, a której nazwisko powtarzali sobie po cichu przechodnie.

„Ach! — pomyślał w duchu — oto poezja!”

Czym była pani de Bargeton wobec tego anioła lśniącego młodością, nadzieją, przyszłością, o słodkim uśmiechu? Istoty, której czarne oko było rozległe jak niebo, jarzące jak słońce? Śmiała się, rozmawiając z panią Firmiani, jedną z najbardziej uroczych kobiet w Paryżu. Jakiś głos krzyknął w Lucjanie: „Inteligencja to dźwignia, którą porusza się świat”. Ale inny głos odkrzyknął, że punktem oparcia dla inteligencji jest pieniądz. Nie chcąc zostać pośród ruin swych marzeń i na scenie swej klęski, Lucjan skierował się ku Palais-Royal, wypytawszy się wprzódy; nie znalazł jeszcze topografii swej dzielnicy. Wszedł do Véry’ego, zamówił, aby się wtajemniczyć w rozkosze Paryża, obiad zdolny pocieszyć go w rozpacz. Butelka bordeaux<sup>304</sup>, ostendzkie ostrygi, ryba, kuropatwa, torcik, owoce stanowiły *nec plus ultra*<sup>305</sup> jego pragnień. Zanurzył się w tej niewinnej rozpuście, obmyślając skarby dowcipu, jakie roztoczy wieczór przed panią d’Espard, obiecując sobie okupić mizериę dziwacznej garderoby bogactwem intelektualnym. Wyrwała go z marzeń chwila rachunku, wydzierając mu pięćdziesiąt franków, z którymi spodziewał się zająć daleko w Paryżu. Obiad kosztował tyle, co miesiąc egzystencji w Angoulême. Toteż Lucjan zamknął za sobą z szacunkiem drzwi tego pałacu, myśląc, że nigdy więcej nie przestąpi jego progu.

„Ewa miała słuszność — rzekł do siebie, idąc Galerią Kamienną do domu, aby zacerpnąć nowy zapasik ze swej kasy — ceny w Paryżu inne są niż w Houmeau!”

Idąc, podziwiał sklepy krawców, myśląc równocześnie o toaletach, jakie widział rano.

— Nie — wykrzyknął — nie pokażę się w tych łachach pani d’Espard!

Uroda

Rozum, Pieniądz

Jedzenie, Pieniądz

<sup>298</sup>szpicrózga — szpicruta, elastyczny pręt pokryty skórą lub pleciny z rzemienia, używany do poganiania konia. [przypis edytorski]

<sup>299</sup>rajtrok — dawny surdut z rozciętymi połami używany do jazdy konnej. [przypis edytorski]

<sup>300</sup>grum a. groom (ang.) — chłopiec stajenny opiekujący się końmi. [przypis edytorski]

<sup>301</sup>Palais-Royal (fr.: Pałac Królewski) — pałac położony w centrum Paryża, 150 m od Luwru, zbudowany przez kardynała Richelieu, w latach 1643–1661 siedziba Ludwika XIV, następnie własność książąt orleańskich, którzy w latach 1780–1784 wokół udostępnionych publicznie ogrodów pałacowych zbudowali galerie mieszczące sklepy i kawiarnie, tworząc najważniejsze miejsce handlowe w mieście. [przypis edytorski]

<sup>302</sup>Aurora von Königsmarck (1662–1728) — hrabina szwedzka, faworyta króla polskiego Augusta II. [przypis edytorski]

<sup>303</sup>olimpijska — tu: piękna jak boginie greckie, zamieszkujące górę Olimp. [przypis edytorski]

<sup>304</sup>bordeaux — wino z okolic francuskiego miasta o tej samej nazwie. [przypis edytorski]

<sup>305</sup>nec plus ultra (łac.) — nic ponad to; kraniec, nieprzekraczalna granica. [przypis edytorski]

Pobiegl z chyżością jelenia do hotelu, wbiegl do pokoju, wziął sto talarów<sup>306</sup> i pośpieszył z powrotem do Palais-Royal, aby się ubrać od stóp do głowy. Widział, przechodząc, magazyny obuwia, bielizny, kamizelek, zakłady fryzjerskie, słowem, przyszłą swą elegancję rozrzuconą w dziesiątkach sklepów. Pierwszy z brzegu krawiec dał mu przymierzyć ubrań, ile Lucjan zechciał, przekonywając go, iż wszystkie są ostatniej mody. Lucjan wyszedł jako właściciel zielonego fraka, białych pantalonów i kolorowej kamizelki za sumę dwustu franków. Rychło znalazł parę trzewików wykwintnych i leżących jak ulał. Wreszcie zakupiwszy wszystko, czego pragnął, zamówił fryzjera do hotelu, dokąd każdy z kupców dostawił swój towar. O siódmej wsiadł do dorożki i kazał się zawieźć do Opery, utrefiony jak lalka fryzjerska, polyskujący nową kamizelką, krawatką, ale nieco skrępowany w tym futerale. W myśl wskazówek pani de Bargeton spytał o łożę szambelańską. Na widok człowieka, któremu pożyczana elegancja dawała wygląd družby z podmiejskiego wesela, kontroler poprosił o bilet.

— Nie mam.

— Zatem nie może pan wejść — brzmiała sucha odpowiedź.

— Jestem zaproszony przez panią d'Espard — rzekł.

— Nie jestem obowiązany wiedzieć o tym — rzekł urzędnik, wymieniając niedostrzegalny uśmiech z kolegami.

W tej chwili pod arkadami zatrzymał się powóz. Strzelec, którego Lucjan nie poznał, odchylił stopień pojazdu, z którego wysiadły dwie strojne kobiety. Lucjan, nie chcąc się narażać na impertynencką uwagę kontrolera, aby się usunął, przepuścił obie damy.

— Ależ to właśnie margrabina d'Espard, którą jakoby pan zna — rzekł ironicznie kontroler.

Lucjan był tym bardziej oszołomiony, iż pani de Bargeton wyraźnie nie poznała go w nowym upierzeniu; ale kiedy podszedł bliżej, uśmiechnęła się i rzekła:

— Doskonale się składa, niech pan idzie z nami!

Kontrolerzy przestali się uśmiechać. Lucjan szedł za panią de Bargeton, która wstępując po szerokich schodach, przedstawiła swego Rubemprégo kuzynce. Łoża szambelańska znajduje się w jednym z dwu symetrycznych załomów sali; jest na widoku i widać z niej na wszystkie strony. Lucjan umieścił się za panią de Bargeton, szczęśliwy, iż może znaleźć się w cieniu.

— Panie de Rubempré — rzekła uprzejmie margrabina — jest pan pierwszy raz w Operze, rozejrzyj się po sali, siadaj pan tu, z przodu, pozwalamy.

Lucjan usłuchał; właśnie kończył się pierwszy akt.

— Dobrze użyłeś czasu — szepnęła mu Luiza, po pierwszej chwili zdumienia spowodowanego przemianą Lucjana.

Luiza została ta sama. Sąsiedztwo modnej kobiety, margrabiny d'Espard, owej pani de Bargeton Paryża, szkodziło jej jeszcze: świetna paryżanka tak dobrze podkreślała braki parafianki, iż Lucjan, podwójnie uświadomiony błyszczącym światem w tej wspaniałej sali i towarzystwem niepospolitej damy, ujrzał wreszcie w biednej Anais de Negrepelisse kobietę rzeczywistą, taką, jaką widzieli mieszkańcy Paryża: kobietę roslą, chudą, upstrzoną na twarzy drobnymi żyłkami, zwiędłą, więcej niż rudą, kościstą, niezręczną, pretensjonalną, sztuczną, parafiańską w sposobie mówienia, źle ubraną przede wszystkim! W istocie, fałdy znoszonej sukni paryskiej świadczą jeszcze o smaku, człowiek tłumaczy ją sobie, zgaduje, czym była; ale stara suknia z prowincji jest czymś niewytłumaczonym, jest śmieszna. Suknia i kobieta nie miały wdzięku ani świeżości: aksamit był wyświechtany zarówno jak cera. Lucjan, zawstydzony, iż mógł kochać ten rybi szkielet, przyrzekł sobie skorzystać z pierwszego napadu cnoty Luizy, aby ją porzucić. Świetny wzrok chłopca pozwalał mu widzieć lornetki skierowane na tę arystokratyczną łożę. Najwykwintniejsze kobiety przyglądały się zapewne pani de Bargeton, wszystkie uśmiechały się. Jeżeli pani d'Espard odgadła po gestach i uśmiechach przyczynę sarkazmów, była na nie zupełnie niewrażliwa. Przede wszystkim każdy musiał odgadnąć w jej towarzystwie ubogą krewną z prowincji, taką, jaka może spaść na głowę każdemu w Paryżu. Następnie kuzynka wspomniała o swej toalecie, wyrażając niejaki obawy; pani d'Espard uspokoiła ją, spostrzegając, iż Anais, raz ubrana, rychło stanie się paryżanką. O ile pani de Bargeton zbywało na światowym

<sup>306</sup>talar — w oryginale: *écu*, w XIX w. potoczna nazwa srebrnej monety pięciofrankowej. [przypis edytorski]

obyciu, posiadała w zamian wrodzoną dumę kobiety wielkiej krwi i owo nieokreślone coś, co można nazwać rasą. Zatem w następny poniedziałek doczeka się odwetu. Zresztą pani d'Espard wiedziała, iż z chwilą gdy Paryż dowie się, że ta kobieta jest jej kuzynką, poniecha szyderstw i wstrzyma się z sądem do nowego egzaminu. Lucjan nie domyślał się odmiany, jaką w osobie Luizy sprawi wstążka na szyi, ładna suknia, modne uczesanie i rady pani d'Espard. Wstępując po schodach, margrabina zwróciła już kuzynce uwagę, aby nie trzymała chustki w ręce. Dobry smak opiera się na tysiącu takich drobnych odcieni, które kobieta pojętna chwytą szybko, a których wiele kobiet nie zrozumie nigdy. Pani de Bargeton, już pełna dobrej woli, aż nadto była zdolna spostrzec się, czym grzeszyła. Pani d'Espard, pewna, iż wychowanica przyniesie jej zaszczyt, godziła się służyć jej za mentorkę. Słowem, stanął między dwiema kobietami pakt umocniony obopólnym interesem. Pani de Bargeton powzięła od pierwszej chwili kult dla modnej kobiety, której wzięcie, dowcip i otoczenie oczarowały ją, porwały, olśniły. Poznała w pani d'Espard potęgę ambitnej wielkiej damy i powiedziała sobie, iż dojdzie do celu, czyniąc się satelitą tej gwiazdy: okazała więc otwarcie swoje uwielbienie. Margrabina, mile pogłaskana tym naiwnym zachwytem, zainteresowała się kuzynką, widząc ją słabą i biedną; przy tym dość było jej na rękę zyskać wychowanicę, stworzyć „szkołę”. Nie była od tego, aby w pani de Bargeton urobić sobie rodzaj damy dworu, niewolnicę, która by śpiewała jej pochwały, skarb jeszcze rzadszy między kobietami w Paryżu niż oddany krytyk w falandze<sup>307</sup> literackiej.

Tymczasem ruch ogólnej ciekawości stawał się zbyt widoczny, aby nowo przybyła nie spostrzegła go, mimo iż pani d'Espard starała się grzecznie odwrócić jej uwagę.

— Skoro nas kto odwiedzi — rzekła margrabina — dowiemy się może, dzięki czemu mamy zaszczyt zajmować te panie...

— Podejrzewam mocno, że ta stara aksamitna suknia i moja angulemska postać bawi paryżanki — rzekła, śmiejąc się pani de Bargeton.

— Nie, to nie to; jest coś, czego nie umiem sobie wytłumaczyć — dodała, odwracając się ku poecie, na którego spojrzała pierwszy raz i który wydał się jej szczególnie ubrany.

— O, pan du Châtelet — rzekł Lucjan, pokazując palcem łożę pani de Sérisy, dokąd stary piękniś, wyświeżony, wszedł właśnie.

Na ten gest pani de Bargeton zagryzła wargi ze złości, margrabina bowiem nie mogła powstrzymać spojrzenia i zdziwionego uśmiechu, które mówiły tak wzgardliwie: „Gdzie się chował ten młody człowiek?” — że Luiza uczuła się upokorzona w swej miłości, uczucie najdotkliwsze dla Francuzki i nie do przebaczenia kochankowi, który ją o nie przyprawił. W tym świecie, gdzie małe rzeczy stają się wielkimi, jeden gest, słowo gubią nowicjusza. Główną zaletą dobrych form i wykwiutnego tonu jest harmonijna całość, w której wszystko się spływa, nic nie razi. Nawet ci, którzy przez nieświadomość lub napór myśli nie przestrzegają prawideł tej wiedzy, rozumieją, iż w owej materii jeden rozdźwięk jest, jak w muzyce, zaprzeczeniem samej sztuki, której wszystkie warunki muszą być zachowane w najdrobniejszej rzeczy, pod groźą nieistnienia.

— Kto jest ten pan? — spytała margrabina, wskazując wzrokiem Châteleta. — Czy znasz już panią de Sérisy?

— A! Ta pani to słynna pani de Sérisy, która miała tyle przygód, a którą mimo to przyjmują wszędzie!

— Rzecz niesłychana, moja droga — odparła margrabina — rzecz dająca się wytłumaczyć, ale niewytłumaczona! Ludzie najwpływowisi należą do jej przyjaciół, a czemu? Nikt nie śmie zgłębiać tej tajemnicy. Więc ten pan to lew angulemski?

— Ależ baron du Châtelet — rzekła Anais (przez próżność przywraçała mu w Paryżu tytuł, którego dotąd odmawiała swemu wielbicielowi) — to człowiek, który narobił wiele hałasu. To ów towarzysz pana de Montriveau.

— Ach — rzekła margrabina — nie mogę słyszeć tego nazwiska, aby nie pomyśleć równocześnie o biednej księżnej de Langeais, która znikła niby spadająca gwiazda! Oto — rzekła, wskazując jedną z łoż — pan de Rastignac i pani de Nucingen, żona dostawcy, bankiera, spekulanta, pośrednika na wielką skalę, człowieka, który narzuca się Paryżowi

<sup>307</sup> *falanga* — zwarty szyk ciężkozbrojnej piechoty w staroż. Grecji; dziś przen.: zbity, zwarty szereg ludzi. [przypis edytorski]

przez swój majątek i który, jak słyhać, niewiele ma skrupułów w jego pomnażaniu. Robi wszelkie wysiłki, aby przekonać świat o swym przywiązaniu do Burbonów; próbował już nawet dostać się do mnie. Biorąc łożę pani de Langeais, żona jego mniemała, iż odziedziczy także jej urok, dowcip i powodzenie. Wiecznie bajka o sojce, która stroi się w pawie pióra!<sup>308</sup>

— W jaki sposób państwo de Rastignac, o których wiadomo, że nie mają ani tysiąca talarów renty<sup>309</sup>, mogą utrzymać syna w Paryżu? — rzekł Lucjan do pani de Bargeton, zdumiony elegancją i zbytkiem, jakim lśniła postać młodego człowieka.

— Łatwo poznać, że pan przebywa z Angoulême — odparła dość ironicznie margrabina, nie odejmując lornetki.

Lucjan nie zrozumiał, pochłonięty obserwowaniem łoż, w których odgadywał sądy świata o pani de Bargeton i ciekawość, jakiej sam był przedmiotem. Co do Luizy, szczególnie była dotknięta obojętnością margrabiny na urodę Lucjana.

„Nie jest zatem tak piękny, jak mniemałam!” — mówiła sobie.

Od tego do obniżenia sądu o jego geniuszu był tylko krok. Skoro kurtyna zapadła, Châtelet, który złożył wizytę księżnej Carigliano w sąsiedniej łoży, skłonił się pani de Bargeton, która odpowiedziała skinieniem głowy. Kobieta światowa widzi wszystko, toteż margrabina zauważyła nieskazitelną elegancję Châteleta. W tej chwili cztery osoby weszły kolejno do łoży margrabiny, cztery paryskie znakomitości.

Pierwszym był pan de Marsay, człowiek słynny przez namiętności, jakie budził, zwracający uwagę zwłaszcza swą urodą iście dziewczęcą, urodą miękką, zniewieściałą, ale podkreślona spojrzeniem niezłomnym, spokojnym, drapieżnym i ostrym jak spojrzenie tygrysa: kochano go i bano się zarazem. Lucjan był równie piękny, ale jego spojrzenie było tak słodkie, niebieskie oko tak przejrzyste, iż nie wydawał się zdolny do tej siły i potęgi, która tak działa na kobiety. Zresztą nic nie dodawało jeszcze ceny urodzie Lucjana, gdy de Marsay posiadał inteligencję, pewność siebie, strój podkreślający jego zalety; jakoż miażdżył dokoła rywali. Osądźcie, czym mógł być przy nim Lucjan, nieswój, wykrochmalony, sztywny i nowy jak jego ubranie! De Marsay zdobył sobie prawo mówienia impertynencji dzięki dowcipowi i urokowi form, jaki im towarzyszył. Przyjęcie margrabiny od razu objaśniło pani de Bargeton potęgę tej osobistości. Drugim z gości był jeden z braci Vandenesse, ten, który stał się przyczyną skandalu lady Dudley, łagodny, inteligentny, skromny młody człowiek: typ zgoła przeciwny pysznemu de Marsay — inne zatem cechy charakteru zdecydowały o jego karierze. Kuzynka margrabiny, pani de Mortsauf, poleciła go jej gorąco. Trzecim był generał de Montriveau, sprawca zguby księżny de Langeais, czwartym pan de Canalis, jeden z najznakomitszych poetów epoki, młody człowiek jeszcze w zaraniu sławy, który, dumniejszy ze swego szlachectwa niż z talentu, nadskakiwał ostentacyjnie pani d'Espard, aby ukryć swe miłości z księżną de Chaulieu. Pod powłoką wdzięku, skażonego nieco afektacją, zgadywało się olbrzymią ambicję, która później pchnęła go w burzę politycznego życia. Uroda jego, niemal chłopięca, pieszczotliwe obejście niedostatecznie kryły głęboki egoizm i wieczną rachubę problematycznej wówczas egzystencji; ale wybór jego skierowany na panią de Chaulieu, kobietę przeszło czterdziestoletnią, stał się dlań źródłem dobrodziejstw dworu, sympatii Dzielnicy Saint-Germain<sup>310</sup> i obelg liberałów, nazywających go poetą zakrystii.

Widząc tych czterech tak wybitnych ludzi, pani de Bargeton zrozumiała, czemu margrabina nie zwróciła uwagi na Lucjana. Następnie, kiedy zaczęła się rozmowa, kiedy każdy z tych umysłów, tak subtelnych, tak delikatnych, odsłonił się paroma błyskami, w których było więcej dowcipu, więcej głębi niż we wszystkim, co Anais słyszała przez miesiąc na prowincji, kiedy zwłaszcza wielki poeta rzucił parę lotnych słów, w których malował się cały zmysł epoki, pozytywny, ale ozłocony poezją, Luiza pojęła to, co Châtelet powiedział jej wczoraj: Lucjan był już niczym. Każdy patrzył na biednego intruza z tak okrutną

<sup>308</sup>bajka o sojce, która stroi się w pawie pióra — odniesienie do bajki La Fontaine'a (ks. IV, bajka 9). [przypis edytorski]

<sup>309</sup>renta — tu: dochód z kapitału ulokowanego w banku, w obligacjach, na giełdzie itp.; por. *rentier*. [przypis edytorski]

<sup>310</sup>dzielnica Saint-Germain — właśc. Saint-Germain-des-Prés, lewobrzeżna dzielnica Paryża, od poł. XVIII w. zamieszkiwana przez arystokrację. [przypis edytorski]

obojętnością, był on tam tak zupełnie cudzoziemcem nieznającym języka, że margrabinie żal się go zrobiło.

— Pozwoli pan — rzekła do Canalisa — że mu przedstawię pana de Rubempré. Zajmuje pan w literaturze zbyt wysokie stanowisko, aby nie przygarnąć młodego adepta. Pan de Rubempré przybywa z Angoulême, będzie z pewnością potrzebował pańskiego poparcia u tych, którzy stawiają tutaj talent na świeczniku. Nie ma jeszcze wrogów, którzy mogliby mu stworzyć powódzenie swymi atakami. Czyż nie byłoby dziełem dość oryginalnym, godnym, aby się o nie pokusić, zyskać mu ręką przyjaźni, co pan otrzymał z ręki nienawiści?

Podczas słów margrabinicy czterej nowo przybyli spojrzeli na Lucjana. Mimo iż był o dwa kroki, de Marsay podniósł lornetkę, aby się mu przypatrzeć. Spojrzenie jego przechodziło z Lucjana na panią de Bargeton, z pani de Bargeton na Lucjana, kojarząc ich szydlerczo w parę, a myśl ta okrutnie upokorzyła oboje; przyglądał się im jak dwojgu osobliwym zwierzętom i uśmiechał się. Uśmiech ten był niby żgnięcie sztyletu dla wielkiego człowieka z prowincji. Feliks de Vandenesse przybrał wyraz miłosierny. Montriveau rzucił na Lucjana spojrzenie zdolne przeniknąć go do rdzenia.

— Pani — rzekł Canalis, pochylając głowę — będę posłuszny, mimo iż osobisty interes każe nie hodować sobie rywali; ale pani przyzwyczaiła nas do cudów.

— Dobrze więc, robi mi pan tę przyjemność, aby przyjść na obiad w poniedziałek z panem de Rubempré, pomówicie swobodniej niż tutaj o sprawach literackich; będę się starała ściągnąć kilku władców literatury oraz znakomitości, które ją popierają, autorkę *Uriki*<sup>311</sup> i kilku dobrze myślących młodych poetów.

— Pani margrabinio — rzekł de Marsay — jeżeli pani popiera pana de Rubempré dla zalet ducha, ja gotów jestem zająć się nim dla jego urody; dam mu parę rad, które uczynią go jednym z najszczęśliwszych dandysów Paryża. Później, gdy zechce, może być poetą.

Pani de Bargeton podziękowała kuzynce pełnym wdzięczności spojrzeniem.

— Nie wiedziałem, że jesteś zazdrosny o ludzi z talentem — rzekł Montriveau do de Marsaya. — Szczęście zabija poetów.

— Czy dlatego może nasz mistrz pragnie się ożenić? — odparł dandys, zwracając się do Canalisa, aby zobaczyć, jak pani d'Espard przyjmie ten docinek.

Canalis wzruszył ramionami, a pani d'Espard, przyjaciółka pani de Chaulieu, zaczęła się śmiać.

Lucjan, który czuł się w zbyt nowych szatach skrepowany jak mumia egipska, wstydził się, że się nie umie zdobyć na żadną odpowiedź. Wreszcie rzekł miękko do margrabinicy:

— Dobroć pani skazuje mnie na same sukcesy.

W tej chwili wszedł Châtelet, chwytając w lot sposobność znalezienia oparcia wobec margrabinicy w osobie generała Montriveau, jednego z królów Paryża. Skłonił się pani de Bargeton i poprosił panią d'Espard, aby mu przebaczyła śmiałość, z jaką wtargnął do łoża: od tak dawna nie miał sposobności spotkać się ze swoim towarzyszem podróży! Montriveau i on widzą się po raz pierwszy, rozstawszy się w szczerzej pustyni!

— Rozstać się w pustyni i odnaleźć się w Operze! — rzekł Lucjan.

— Iście teatralne spotkanie — dodał Canalis.

Montriveau przedstawił barona du Châtelet margrabinie, ta zaś przyjęła ekssekretarza do szczególnych poruczeń Cesarskiej Wysokości tym uprzejmiej, ile że widziała go już mile witanego w trzech łożach, że pani de Sérisy dopuszczała jedynie ludzi dobrze postawionych i że wreszcie był towarzyszem generała Montriveau. Ten ostatni tytuł miał taką wartość, że pani de Bargeton mogła zauważyć w tonie, w spojrzeniach i obejściu czterech gości margrabinicy, iż uznają bez dyskusji Châteleta za jednego ze swoich. Nais zrozumiała nagle sułtańskie tony Châteleta na prowincji. Wreszcie Châtelet ujrzał Lucjana; pozdrowił go suchym i zimnym ukłonem, za pomocą którego jeden mężczyzna podcina nogi drugiemu, podkreślając wobec świata jego nicość. Ukłonowi towarzyszył drwiący wyraz, który zdawał się mówić: „Jakim cudem ten tutaj?” Zrozumiano go, de Marsay bowiem nachylił się do generała, mówiąc mu do ucha tak, aby baron go słyszał:

<sup>311</sup> *Urika* — francuska powieść z 1823, autorstwa księżnej Claire de Duras (1777–1828), opowiadająca o młodej Murzynce w Paryżu, wychowanej zgodnie ze standardami dziewcząt z wyższych sfer, lecz nieszczęśliwej z powodu koloru skóry. [przypis edytorski]

— Niech się pan spyta, kto jest ten lalusz wyglądający jak manekin z magazynu gotowych ubrań.

Châtelet szeptał chwilę do swego towarzysza, odciągając go jak gdyby dla omówienia wspomnień, i z pewnością oskubał rywala do nitki. Lucjan był zdumiony ciętością, przytomnością umysłu, z jaką ci ludzie formułowali swoje odpowiedzi, oszołomiony błyskotliwością ich dowcipu, zwłaszcza lekkością słowa i swobodą wzięcia. Zbytek, który rano przeraził go w szczegółach zewnętrznych, teraz odsłaniał mu się w dziedzinie myśli. Zapytywał sam siebie, za pomocą jakiego sekretu ludzie ci znajdują na końcu języka trafne odpowiedzi, spostrzeżenia, jakie on byłby zdolny wysmażyć chyba po długim rozmyśleniu. A przy tym u tych pięciu światowców czuło się swobodę nie tylko w słowach, ale i w stroju: nie mieli na sobie nic nowego ani nic starego. Nic w nich nie błyszczało, a wszystko wabiło oko. Zbytek ich robił wrażenie czegoś codziennego, wrodzonego. Lucjan czuł, iż wygląda na człowieka, który się ubrał po raz pierwszy w życiu.

— Patrz no, patrz — rzekł Marsay do Feliksa de Vandenesse — ten hultaj Rastignac pomyka jak kula karabinowa! Ot, widzisz go u margrabiny de Listomère, robi postępy, lornetuje nas! Zapewne musi znać pana... — ciągnął dandys, zwracając się do Lucjana, ale nie patrząc nań.

— Trudno przypuścić — odparła pani de Bargeton — aby nazwisko wielkiego człowieka, z którego jesteśmy dumni, nie doszło do pana de Rastignac: siostra jego słyszała niedawno pana de Rubempré, jak nam czytał bardzo piękne wiersze.

Feliks de Vandenesse i de Marsay pożegnali margrabinę i przeszli do pani de Listomère, siostry Vandenesse'ów. Zaczął się drugi akt; pani d'Espard, kuzynka jej i Lucjan zostali sami. Jedni śpieszyli wytłumaczyć postać pani de Bargeton kobietom zaintrygowanym jej obecnością, drudzy obwieścili przybycie poety i żartowali z jego stroju. Canalis udał się do łoży księżnej de Chaulieu i już nie wrócił. Lucjan był wielce rad, iż uwaga zwróciła się na przedstawienie. Obawy pani de Bargeton co do Lucjana wzmogły się pod wrażeniem względów, jakie kuzynka okazała baronowi du Châtelet: przyjęcie to miało zupełnie inny charakter niż protekcyjna grzeczność wobec Lucjana. Podczas drugiego aktu w łoży pani de Listomère zostało pełno gości, bohaterami zaś rozmowy byli pani de Bargeton i Lucjan. Młody Rastignac widocznie zabawiał całe towarzystwo, dawał tempo owemu paryskiemu śmiechowi, który, rzucając się co dnia na inne pożywienie, śpieszy co prędzej wyczerpać swój przedmiot, czyniąc zeń w jednej chwili coś starego i zużytego. Pani d'Espard, niespokojna, wiedząc, iż świat nie zwykł długo zostawiać interesowanych osób w nieświadomości obmowy, czekała końca aktu. Kiedy uczucia raz zaczęły analizować same siebie, jak u Lucjana i u pani de Bargeton, wówczas dzieją się osobliwe rzeczy w niedługim czasie: przewroty duchowe spełniają się na mocy praw działających z nieubłaganą szybkością. Luiza miała w pamięci wytrawne słowa, jakimi Châtelet oświecił jej Lucjana, wracając z Vaudeville. Każde było prorocstwem; Lucjan wziął sobie jakby za zadanie, aby je ziścić wszystkie. Tracąc złudzenia co do pani de Bargeton, jak pani de Bargeton co do niego, biedny chłopiec, którego losy podobne były nieco do losów Jana Jakuba Rousseau<sup>312</sup>, naśladował go do tego stopnia, iż dał się olśnić urokowi pani d'Espard i zadurzył się w niej w jednej chwili. Ludzie młodzi albo ci, którzy pamiętają wzruszenia młodości, rozumieją, iż uczucie to było czymś nader prawdopodobnym i naturalnym. Tysiąc wykwintnych drobiazgów w obejściu, delikatny sposób mówienia, szlachetny dźwięk głosu, ta kobieta tak wiotka, tak dumna, tak wysoko postawiona, budząca tyle zazdrości, ta królowa olśniła poetę tak, jak pani de Bargeton olśniła go w Angoulême. Wrażliwość charakteru popchnęła go rychło do zamarzenia o tym wysokim oparciu; najpewniejszym środkiem byłoby zdobyć tę kobietę, wówczas miałby wszystko! Powiodło mu się w Angoulême; czemuż nie miałoby się powieść w Paryżu? Bezwiednie, mimo tak nowych dla niego czarodziejstw Opery, spojrzenia jego, urzeczony przez tę wspaniałą Celimenę<sup>313</sup>, kierowały się do niej; im więcej na nią patrzył, tym więcej pragnął patrzeć! Pani de Bargeton podchwyciła jarzący błysk oczu Lucjana; zaczęła go obserwować i spostrzegła, że więcej zajęty jest margrabiną niż przedstawieniem. Byłaby się zgodziła ustąpić Lucjana

<sup>312</sup>Rousseau, Jean Jacques (1712–1778) — pisarz francuski, zaliczany do nurtu sentymentalnego, zwolennik życia blisko natury, krytyk cywilizacji, prekursor romantyzmu; jako młody człowiek, który porzucił miasto rodzinne, został utrzymankiem, a następnie również kochankiem starszej o 13 lat baronowej de Warens. [przypis edytorski]

<sup>313</sup>Celimena — piękna młoda wdowa z komedii Moliera *Mizantrop*, inteligentna i zalotna. [przypis edytorski]

pięćdziesięciu córom Danaosa<sup>314</sup>; ale kiedy spojrzenie bardziej ambitne, bardziej namiętne i wymowne od innych wytłumaczyło jej, co się dzieje w sercu Lucjana, uczuła się zazdrosna, nie tyle o przyszłość, co o przeszłość.

„Nigdy tak na mnie nie patrzył — pomyślała. — Mój Boże, Châtelet miał słuszność!”

Poznała wówczas swą omyłkę. Kiedy kobieta dojdzie do tego, iż żałuje swej słabości, przeciąga niby gąbką po całym życiu, aby wymazać zeń wszystko. Mimo iż każde spojrzenie Lucjana przepędziało ją gniewem, zachowała spokój. W międzyczasie zjawił się de Marsay, prowadząc pana de Listomère. Poważny człowiek i młody wietrznik<sup>315</sup> uświadomili niebawem dumną margrabinę, że ów wyświeżony družba, którego miała nieszczęście wpuścić do łóża, tak samo nie nazywa się de Rubempré, jak Żyd nie posiada chrzestnego imienia. Lucjan jest synem aptekarza nazwiskiem Chardon. Pan de Rastignac, doskonale znający stosunki w Angoulême, ubawił już dwie łoża kosztem mumii, którą margrabina nazywa swą kuzynką, oraz przezorności, z jaką ta dama prowadzi ze sobą aptekarza, zapewne by za pomocą eliksirów podtrzymywać swoje sztuczne życie. Wreszcie de Marsay powtórzył kilka próbek z owego tysiąca żarcików, jakie komponują w lot paryżanie i które, ledwie rzucone, giną w zapomnieniu, ale poza którymi krył się Châtelet, twórca tej iście punickiej zdrady<sup>316</sup>.

Kobieta

— Moja droga — szepnęła spod wachlarza pani d'Espard — powiedz mi, jeśli łaska, czy twój protegowany nabywa się w istocie de Rubempré?

— Przyjął nazwisko matki — rzekła Anais, zakłopotana.

— A nazwisko ojca?

— Chardon.

— I co robił ten Chardon?

— Był aptekarzem.

— Byłam pewna, moja droga, że cały Paryż nie może sobie drwić z kobiety, którą ja wprowadzam. Nie mam ochoty czekać, aż przyjdą tu żartownisie, zachwyceni, iż widzą mnie w towarzystwie aptekarskiego synka; jeśli nie masz nic przeciw temu, wyjdziemy, i to natychmiast.

Pozycja społeczna

Pani d'Espard przybrała minę dość impertynencką, tak iż Lucjan próżno łamał sobie głowę, w czym mógł dać powód do tej odmiany. Pomyślał, że kamizelka jego jest w złym smaku, co było prawdą, że krój fraka grzeszy przesadą, co było również prawdą. Przejrzał z tajemną goryczą, iż trzeba się ubierać u dobrego krawca, i przyrzekł sobie udać się nazajutrz do najslawniejszego, aby móc w najbliższy poniedziałek rywalizować z gośćmi margrabiny. Mimo iż tonął w refleksjach, oczy jego, przykute trzecim aktem, nie opuszczały sceny. Wpatrzony w przepych tego jedyne go w świecie widowiska, oddawał się marzeniu o pani d'Espard. Czuł się zgnębiony jej nagłym chłodem, będącym w osobliwej sprzeczności z żarem wyobraźni, z jakim on rzucał się w nową miłość, bez troski o ogromne trudności, które spostrzegał i które przyrzekał sobie zwyciężyć. Ocknął się z głębokiej zadumy, aby spojrzeć na swe nowe bóstwo; ale obróciwszy głowę, ujrzał się sam. Usłyszał lekkie szelest; drzwi zamykały się właśnie, pani d'Espard uprowadzała kuzynkę. Lucjan zdumiał się tym nagłym zniknięciem, ale nie myślał o nim długo właśnie dlatego, iż było niewytłumaczone.

Kiedy obie panie wsiadły do powozu, który potoczył się przez ulicę Richelieu ku Dzielnicy Saint-Honoré, margrabina rzekła z ledwie hamowanym gniewem:

— Moje drogie dziecko, co ty wyrabiasz? Ależ zaczekaj, aż syn aptekarza naprawdę będzie sławny, aby się nim zainteresować. Księżna de Chaulieu nie przyznaje się jeszcze do Canalisa, który jest sławny i który jest szlachcicem. Ten chłopak nie jest ani twoim synem, ani kochankiem, prawda? — rzekła ta pyszna kobieta, obrzucając kuzynkę badawczym i przenikliwym spojrzeniem.

<sup>314</sup>córy Danaosa (mit. gr.) — 50 córek króla Danaosa, zwanych Danaidami: zmuszone do małżeństwa ze swymi stryjecznymi braćmi, na rozkaz ojca w noc poślubną zamordowały swoich mężów, za co zostały skazane w Tartarze na napelnianie wodą beczki bez dna. Tylko najmłodsza z nich, Hypermestra, ocalała swego męża. [przypis edytorski]

<sup>315</sup>wietrznik (daw.) — człowiek lekkomyślny i niestały. [przypis edytorski]

<sup>316</sup>punicka zdrada — wyjątkowo podstępna zdrada; Rzymianie oskarżali walczących z nimi Kartagińczyków (Punijczyków) o podstępne łamanie traktatów i umów. [przypis edytorski]

„Cóż za szczęście, że trzymałam smarkacza na wodzy i nie dopuściłam go do niczego!”  
— pomyślała pani de Bargeton.

— Więc dobrze — podjęła margrabina, która wzięła wyraz jej oczu za odpowiedź — zostawże go, zaklinam cię. Uzurpować sobie świetne nazwisko!... Ależ to zuchwałstwo godne najcięższej kary! Chcę wierzyć, że to nazwisko matki; ależ pomyśl, moja droga, że tylko król ma prawo przyznać dekretem swoim nazwisko de Rubempré synowi córki tego domu. Jeśli popełniła mezalians, łaska byłaby ogromna; aby ją uzyskać, trzeba ogromnej fortuny, ważnych usług, wysokiego poparcia. Wygląd wystrojonego na niedzielę sklepikarza świadczy, że ten chłopiec nie jest ani bogaty, ani szlachcic; jest przystojny, ale wydaje mi się bardzo ograniczony, nie umie ani zachować się, ani odezwać; słowem, nie jest wychowany. Jakimż trafem ty się nim zajęłaś?

Pani de Bargeton, która zaparła się Lucjana, jak Lucjan zaparł się jej w duszy, uczuła przeraźliwy lęk, aby kuzynka nie dowiedziała się prawdy.

— Droga kuzynko, jestem doprawdy w rozpacz, że cię skompromitowałam.

— Mnie się nie kompromituje — rzekła z uśmiechem pani d'Espard. — Myślę je-  
dynie o tobie.

— Ale zaprosiłaś go na obiad.

— Będę cierpiąca — rzekła żywo margrabina — uprzedzisz go o tym, a ja wpiszę go, pod oboma nazwiskami, na czarną listę u szwajcara<sup>317</sup>.

Lucjan postanowił udać się w antrakcie<sup>318</sup> do *foyer*<sup>319</sup>, dokąd widział, iż wszyscy śpię-  
szyli. Przede wszystkim żadna z osób, które odwiedziły lożę pani d'Espard, nie pozdrowiła  
go ani nie zwracała nań uwagi, co wydało się prowincjonalnemu poecie bardzo dziwne.  
Następnie Châtelet, o którego próbował się zaczepić, śledził go spod oka i wymykał mu  
się nieustannie. Doszedłszy do przekonania, przez porównanie z mężczyznami krążącymi  
po *foyer*, że strój jego jest dość komiczny, Lucjan wcisnął się z powrotem w kąt łoży i wy-  
trwał do końca, kolejno pochłonięty baletem wspaniałym, a słynnym — w akcie piątym  
— dzięki obrazowi piekła, widokiem sali, po której spojrzenie jego wędrowało od łoży do  
łoży, i własnymi refleksjami, które w obliczu paryskiego społeczeństwa nabrały osobliwej  
głębi.

„Oto moje królestwo — rzekł do siebie — oto świat, który muszę pokonać!”

Wrócił pieszo, przetrawiając powiedzenia osób, które poznał w łoży; ich wzięcie,  
ruchy, wszystko odbijało się w jego pamięci z zadziwiającą wiernością. Nazajutrz koło  
południa pierwszym jego staraniem było udać się do Stauba, wówczas najgłośniejszego  
krawca. Uzyskał siłą próśb i potęgą gotowizny<sup>320</sup>, iż krawiec obiecał wykończyć suknie  
na ów sławny poniedziałek. Staub posunął się w ustępstwach tak daleko, iż przyrzekł na  
ów dzień rozstrzygający prześliczny redyngocik<sup>321</sup>, kamizelkę i pantalony. Lucjan zamówił  
koszulę, chustki, słowem, całą wyprawkę u bielizniarki i kazał sobie wziąć miarę na  
trzewiki i buty u słynnego szewca. Kupił u Verdiera ładną laskę, rękawiczki i spinki do  
koszuli u pani Irlande, słowem, starał się wspiąć do wyżyn dandysów. Kiedy zaspokoił  
swe marzenia, udał się na ulicę Neuve-de-Luxembourg, gdzie nie zastał Luizy w domu.

— Pani będzie na obiedzie u pani d'Espard i wróci późno — rzekła Albertyna.

Lucjan spożył dwufrankowy obiad w garkuchni w Palais-Royal i położył się wcześniej  
spać. W niedzielę o jedenastej udał się do Luizy; jeszcze nie wstała. Wrócił o drugiej.

— Pani nie przyjmuje jeszcze — rzekła Albertyna — ale dała mi list dla pana.

— Nie przyjmuje jeszcze? — powtórzył Lucjan. — Ależ ja nie jestem obcy...

— Nie wiem — rzekła Albertyna z impertynencką miną.

Lucjan, mniej zdumiony odpowiedzią Albertyny niż tym, że otrzymuje list od pani  
de Bargeton, wziął bilecik i przeczytał na ulicy te okrutne słowa:

Pani d'Espard jest niezdrowa, nie będzie mogła przyjąć Pana w ponie-  
działek. Ja także nie czuję się dobrze; mimo to ubiorę się, aby jej dotrzymać

<sup>317</sup>szwajcar (daw.) — odzwierciany, człowiek pełniący służbę przy wejściu do budynku. [przypis edytorski]

<sup>318</sup>antrakt — przerwa między jednym a drugim aktem w sztuce teatralnej, operze, koncercie. [przypis edy-  
torski]

<sup>319</sup>foyer — pomieszczenie bądź korytarz w pobliżu sali teatralnej, w którym podczas przerw przebywa pu-  
bliczność. [przypis edytorski]

<sup>320</sup>gotowizna (daw., pot.) — pieniądze w gotówce. [przypis edytorski]

<sup>321</sup>redyngot (daw.) — długi surdut z dwoma rzędami guzików, używany do jazdy konnej. [przypis edytorski]



towarzystwa. Jestem bardzo zmartwiona tą drobną przeciwnością, ale Pańskie talenty dodają mi otuchy, nie wątpię, iż wybijesz się bez szarlatanerii.

— Nie ma nawet podpisu! — rzekł do siebie Lucjan, który znalazł się w Tuilerych, nie wiedząc kiedy.

Dar jasnowidzenia, jaki posiadają niekiedy artyści, pozwolił mu przewidzieć katastrofę, którą zwiastował ten chłodny bilecik. Szedł zatopiony w myślach, przed siebie, patrząc na pomniki zdobiące plac Ludwika XV<sup>322</sup>. Była pogoda. Strojne powozy przejeżdżały nieustannie przed oczyma Lucjana, kierując się ku Polom Elizejskim<sup>323</sup>. Wmieszał się w tłum przechodniów i ujrzał kilka tysięcy powozów, które przy pogodzie napływają tu w niedzielę, przywodząc na myśl wyprawy do Longchamp<sup>324</sup>. Oszołomiony zbytciem koni, toalet i liberii, szedł wciąż dalej i zaszedł aż do rozpoczętej budowy Łuku Triumfalnego<sup>325</sup>. Cóż się w nim działo, kiedy wracając, ujrzał zbliżającą się ku niemu panią d'Espard i panią de Bargeton w przesłicznie zaprzężonym pojeździe. Ujrzał powiewające z tyłu pióra strzelca, którego poznał po zielonej, haftowanej złotem liberii. Sznur powozów zatrzymał się z powodu natłoku. Lucjan mógł się przyjrzeć Luizie w nowym przebraniu: była nie do poznania. Kolory toalety dobrane były w sposób uwydatniający cerę, suknia zachwycająca, włosy ułożone ze smakiem, kapelusz, w najlepszym guście, nie tracił nawet przy kapeluszu pani d'Espard, która dawała ton modzie. Jest pewien nieokreślony sposób noszenia kapelusza: włóćcie kapelusz nieco w tył, wyraz twarzy będzie bezczelny; zanadto naprzód — ponury; na bok — mina zawadiacka; kobiety dystyngowane kładą kapelusz jak chcą i zawsze wyglądają dobrze. Pani de Bargeton od razu rozwiązała ten szczególny problem. Ładny pasek uwydatniał smukłą kibić. Przejęła ruchy i zachowanie kuzynki; siedząc podobnie jak ona, igrała wytwornym puzderkiem z wonnościami, umocowanym na łańcuszku, pokazując, niby bez zamiaru, ładną rękę w zgrabnej rękawiczce. Słowem, upodobniła się do pani d'Espard, nie naśladowując jej niewolniczo; okazała się godną krewniaczką margrabin, która widocznie była dumna z uczennicy. Przechodnie spoglądali na świetny powóz o herbach d'Espard i Blamont-Chauvry, których godła zespolone były na tarczy. Lucjan patrzył ze zdumieniem, ile osób kłaniało się obu paniom; nie domyślał się, że cały ten Paryż, który mieści się w dwudziestu salonach, wiedział już o ich pokrewieństwie. Młodzi jeźdźcy, między którymi Lucjan zauważył de Marsaya i Rastignaca, przyłączyli się do pojazdu, aby przeprowadzić panie do Lasku. Łatwo było Lucjanowi poznać po ruchach obu fircyków, iż komplementowali panią de Bargeton za jej metamorfozę. Pani d'Espard promieniała wdziękiem i zdrowiem: zatem niedomaganie było pozorem, aby nie przyjąć Lucjana; nie przełożyła obiadu na inny dzień! Poeta, wściekły, zbliżył się wolnym krokiem do pojazdu i kiedy osądził, iż mogą go spostrzec, uklonił się. Pani de Bargeton udała, że nie widzi, margrabina spojrzała przez szkiełka i nie oddała ukłonu. Ostracyzm arystokracji paryskiej inny był niż dąsy potentatów z Angoulême; siląc się zranić Lucjana, tamci szlachetkowie uznawali jego potęgę i uważali go za człowieka, gdy dla pani d'Espard nawet nie istniał. To nie był wyrok, to było przejście nad nim do porządku. Śmiertelne zimno przeniknęło biednego poetę, kiedy de Marsay zwrócił nań swoje szkiełka; lew paryski upuścił lorgnon<sup>326</sup> tak szczególnym ruchem, iż zdawało się Lucjanowi, że to spada nóż gilotyny. Powóz przejechał. Wściekłość, pragnienie zemsty wstrząsnęły wzgardzonym chłopcem; gdyby miał w rękach panią de Bargeton, uduśiłby ją; wcielał się w myślach w jakiegoś Fouquier-Tinville<sup>327</sup>, aby sycić się rozkoszą wysłania pani d'Espard na rusztowanie; byłby chciał poddać de Marsaya wyrafinowanym

Moda

<sup>322</sup>plac Ludwika XV — ob. plac Zgody. [przypis edytorski]

<sup>323</sup>Pola Elizejskie — reprezentacyjna aleja w Paryżu, łącząca plac Zgody z placem De Gaulle'a (dawniej plac Gwiazdy), na którym znajduje się Łuk Triumfalny. [przypis edytorski]

<sup>324</sup>Longchamp — dawne opactwo pod Paryżem, zamknięte w 1790, zburzone w 1793; jego tereny, położone na skraju Lasku Bulońskiego, stały się ulubionym miejscem przechadzek. [przypis edytorski]

<sup>325</sup>Łuku Triumfalny w Paryżu — pomnik na zachodnim skraju Pól Elizejskich, mający formę jednoarkadowego rzymskiego łuku triumfalnego, zbudowany dla uczczenia wszystkich, którzy walczyli i polegali za Francję w czasie wojen rewolucji francuskiej i wojen napoleońskich; jego budowę rozpoczęto w 1806, na polecenie Napoleona, ukończono w 1836. [przypis edytorski]

<sup>326</sup>lorgnon (fr.) — rodzaj okularów z długą rączką do trzymania ich przed oczyma, używanych w XVIII i XIX w. [przypis edytorski]

<sup>327</sup>Fouquier-Tinville, Antoine Quentin (1746–1795) — francuski prawnik i działacz polityczny, bezwzględny oskarżyciel publiczny Trybunału Rewolucyjnego. [przypis edytorski]

torturom wymyślonym przez dzikich. Ujrzał Canalisa na koniu: wykwintny, jak przystało najpięszczośliwsiemu z poetów, witał ukłonem najpiękniejsze damy.

„Boże! Złota za wszelką cenę! — mówił sobie Lucjan. — Złoto jest jedyną potęgą, przed którą ten świat pada na kolana. (Nie — wołało mu sumienie — ale sława, a sława — to praca! Praca! To było hasło Dawida). Mój Boże! Po co ja tu jestem? Ale doczekam się triumfu! Przejadę po tej alei w karocy ze strzelcem! Będę miał margrabiny d'Espard!”

Rzucił te słowa, spożywając dwufrankowy obiad u Hurbaina. Nazajutrz o dziewiątej udał się do Luizy z zamiarem wypomnienia jej tego barbarzyństwa; nie tylko pani de Bargeton nie było dlań w domu, ale nawet odźwierny nie pozwolił mu wejść na górę. Stał na ulicy na czatach aż do południa. O południu wyszedł Châtelet, spostrzegł przez ramię poetę i minął go. Lucjan, dotknięty do żywego, pośpieszył za rywalem; przyciśnięty do muru, Châtelet odwrócił się i ukłonił tylko przez grzeczność, z widocznym zamiarem minięcia go.

— Jeśli łaska — rzekł Lucjan — racz mi pan poświęcić sekundę czasu, dwa słowa. Okazał mi pan przyjaźń, odwołuję się do niej, aby go prosić o nader drobną przysługę. Wychodzi pan od pani de Bargeton; niech mi pan wytłumaczy przyczynę mej niełaski u niej i u pani d'Espard.

— Panie Chardon — odparł Châtelet z fałszywą dobroduszością — czy wiesz, czemu te panie wyszły kiedyś z łoży?

— Nie — rzekł biedny poeta.

— Otóż pan de Rastignac podstawił panu, w samych początkach, nogę. Skoro go spytano o pana, młody dandys powiedział po prostu i bez ogródek, że pan się nazywa Chardon, a nie de Rubempré, że pańska matka czuwa przy położnicach, że ojciec był za życia aptekarzem w Houmeau, że pańska siostra, zresztą urocza panienka, cudownie prasuje koszule i ma wyjść za mąż za drukarza nazwiskiem Séchard. Oto świat! Wystarczy wypłynąć na widownię, a już zaczynają człowieka nicować. Pan de Marsay przyszedł do łoży pobawić się nieco pańskim kosztem i natychmiast te panie uciekły, uważając, iż pańskie towarzystwo jest kompromitujące. Niech pan nie próbuje dotrzeć do którejś z nich. Pani de Bargeton straciłaby wstępek do kuzynki, gdyby pana nadal przyjmowała. Masz pan talent, staraj się w przyszłości o odwet. Świat tobą gardzi, gardź światem. Zagrzeb się na poddaszu, stwórz arcydzieła, chwyć w ręce jaką bądź władzę, a ujrzysz świat u swoich nóg; oddasz mu wówczas z nawiązką rany, jakie ci zadał. Im więcej pani de Bargeton okazywała panu sympatii, tym więcej będzie czuła do pana niechęci. Tak się toczą uczucia kobiet. Ale nie chodzi w tej chwili o to, aby odzyskać przyjaźń Anais; chodzi o to, aby nie mieć w niej wroga, i dam panu sposób. Pisywała do pana, odeślij jej wszystkie listy, ujmie ją ten postępek godny szlachcica i później, jeżeli będziesz jej potrzebował, nie będzie panu stała na zdradzie. Co do mnie, mam tak wysokie mniemanie o pańskiej przyszłości, że wszędzie pana bronilem; tak samo nadal, jeżeli mogę co zrobić dla pana, znajdziesz mnie zawsze gotowym do usług.

Lucjan był tak zmartwiały, tak blady, tak zmieniony, że nie oddał staremu fircykowi, odmłodzonemu przez Paryż, oschle grzecznego ukłonu, jakim Châtelet go uraczył. Wrócił do hotelu, gdzie zastał samego Stauba, przybyłego nie tyle dla miary, ile dla wywiadzenia się od gospodyni hotelu, jak przedstawia się finansowo ten nieznany klient. Lucjan przybył pocztą, pani de Bargeton odwiozła go w ubiegły czwartek z Vaudeville powozem. Relacje były dobre. Staub zamianował Lucjana „panem hrabią” i zwrócił mu uwagę na zręczność, z jaką uwydatnił jego śliczne kształty.

— Młody człowiek tak ubrany — rzekł — może iść prosto na przechadzkę do Tuileries i zaślubi bogatą Angielkę, nim miną dwa tygodnie.

Ten żarcik niemieckiego krawca, wytworność ubrań, delikatność materii, wdziek, jaki Lucjan podziwiał w samym sobie, oglądając się w lustrze, wszystkie te drobiazgi rozproszyły nieco jego smutek. Powiedział sobie od niechcenia, że Paryż jest stolicą trafia, i uwierzył na chwilę w traf. Czyż nie posiada w rękopisie tomu poezji i wspaniałego romansu *Guwardzista Karola IX*? Nabrał wiary w los. Staub przyrzekł redyngocik i resztę kostiumu na jutro. Nazajutrz przybyli szewc, bieliźniarka i krawiec, wszyscy uzbrojeni w rachunki. Lucjan, nieświadom sposobu odprawiania ich z kwitkiem, Lucjan, jeszcze pod ciśnieniem obyczajów prowincji, wyrównał należność; ale po zapłaceniu z dwóch

Pieniądz, Sława, Praca

Pozycja społeczna

Pieniądz

tysięcy zostało mu ledwie trzysta sześćdziesiąt franków: był w Paryżu tydzień! Mimo to ubrał się i wyszedł się przejść po Tuileryach. Tu czekał go odwet. Był tak dobrze ubrany, tak zręczny, tak piękny, iż wiele kobiet patrzyło nań z zainteresowaniem; parę nawet, uderzonych jego urodą, odwróciło się. Lucjan studiował chód i zachowanie młodych ludzi i przeszedł kurs dobrych manier, wciąż myśląc o swoich trzystu sześćdziesięciu frankach. Wieczorem, skoro się znalazł sam w pokoiku, przyszło mu na myśl wyjaśnić problem swego życia w hotelu Gaillard-Bois, gdzie jadał śniadanie złożone z najprostszycy potraw, w mniemaniu, iż na tym oszczędza. Poprosił o rachunek, jak człowiek, który ma się wyprowadzić, i dowiedział się, że jego dług wynosi około stu franków. Nazajutrz pobiegl w „kraję łacińską”<sup>328</sup>, którą Dawid polecał mu dla jej taniości. Po długim szukaniu znalazł wreszcie przy ulicy Cluny, opodal Sorbony, nędzny hotelik, gdzie wynajęto mu pokój za możliwą cenę. Natychmiast zapłacił należność w hotelu i zainstalował się przy ulicy Cluny tego samego dnia. Przeprowadzenie kosztowało go tylko kurs dorożki.

Objąwszy w posiadanie swój biedny pokoik, zgromadził wszystkie listy pani de Bargeton, położył ten pakiet na stole i nim się jął<sup>329</sup> pisania, zaczął rozpamiętywać ów fatalny tydzień. Nie powiedział sobie, iż on sam, pierwszy, nieopatrznie sprzeniewierzył się swej miłości, nie wiedząc, czym jego Luiza stanie się w Paryżu; nie widział swoich win, widział jedynie obecne położenie; zwałił je na panią de Bargeton: zamiast mu być przewodniczką, zgubiła go. Zakłócało w nim, duma uderzyła mu do głowy i w paroksyzmie gniewu skreślił następujący list:

List

Co powiedziałyby Pani o kobiecie, której spodobało się biedne, nieśmiałe pacholę, pełne szlachtetnych wierzeń, nazywanych później, w dobie rozczarowań, złudzeniami, i która roztoczyła uroki zalotności, bogactwa umysłu i najpiękniejsze pozory macierzyńskiego uczucia, aby uwieść to niedoświadczone dziecko? Nie kosztują jej nic ani kuszące obietnice, ani domki z kart, którymi migoce mu przed oczyma; porywa go, zagarnia, łaje za brak zaufania, to znów karmi pochlebstwem. Kiedy dzieciak opuszcza rodzinę i idzie za nią ślepo, prowadzi go na brzeg olbrzymiego morza, z uśmiechem każe mu wsiąść w wąż czołenko i rzuca go samego, bez pomocy, w wir burz; następnie ze skały, na której została sama, zaczyna śmiać się i życzy mu szczęśliwej podróży. Ta kobieta to Ty, Pani; to dziecko to ja.

W rękach tego dziecka znajduje się pamiątka, która mogłaby zdradzić zbrodnie Twego dobrodziejstwa i fawory, jakimi je darzyłaś. Może przyszłoby Ci zarumienić się, spotkawszy to dziecko borykające się z falami, gdybyś pomyślała, żeś je trzymała na łonie. Kiedy przeczytasz ten list, pamiątka ta znajdzie się w Twoich rękach. Masz pełną swobodę zapomnienia o wszystkim. Po pięknych nadziejach, jakie palec Twój ukazał mi w niebie, spostrzegam rzeczywistość nędzy w błocie Paryża. Gdy Ty, świetna i ubóstwiana, będziesz kroczyć wśród wielkości tego świata, na którego próg mnie przywiodłaś, ja będę drżał od zimna na nędznym poddaszu, kędyś mnie rzuciła. Ale może pośród uczt i zabaw zdejmie Cię troska; może pomyślisz o dziecku, które wtrąciłaś w przepaść. Proszę Cię, Pani, myśl o nim bez wyrzutu! Z otchłani swej nędzy ofiaruje Ci ono jedyną rzecz, jaka mu została: przebaczenie. Tak, Pani, dzięki Tobie nie zostało mi nic. Nic! Czyż to nie jest materiał, z którego powstał świat? Geniusz winien naśladować Boga: chcę mieć jego wspaniałomyślność, nie wiedząc, czy posiadę jego siłę. Zadrzeć trzeba by Ci jedynie wówczas, gdybym szedł ku złemu: wówczas byłabyś współniczką moich błędów. Niestety! Żał mi Cię, iż straciłaś wszelkie prawo do udziału w sławie, do której będę dążył wiedziony przez pracę.

Napisawszy ten list, napuszony, ale pełen owej posępnej godności, w jaką lubi się stroić dwudziestoletni artysta, Lucjan przeniósł się myślą w krąg rodziny. Ujrzał znów ładne mieszkanko, które Dawid przystroił mu kosztem tylu ofiar, objął oczyma wizję spokojnych, skromnych, mieszczańskich radości, jakich tam kosztował. Cienie matki,

<sup>328</sup> *krajna łacińska* — Dzielnica Łacińska, uniwersytecka dzielnica Paryża, nosząca nazwę od języka łacińskiego, powszechnie używanego na uczelniach od średniowiecza aż do Rewolucji. [przypis edytorski]

<sup>329</sup> *jąć się czegoś* (daw.) — zabrać się za coś; zająć się czymś. [przypis edytorski]

siostry, Dawida zbliżyły się ku niemu, ujrzał na nowo łzy, jakie wylewali w chwili jego wyjazdu, i zapłakał, był bowiem w Paryżu sam, bez przyjaciół, bez opiekunów.

W kilka dni potem Lucjan pisał do siostry:

List

Droga Ewo, siostry mają ten smutny przywilej, iż dzieląc egzystencję braci-artystów, poznają więcej zgryzot niż radości; toteż zaczynam się obawiać, iż stanę Ci się wielkim ciężarem. Czyż nie nadużyłem już dotąd Was wszystkich, którzyście się dla mnie poświęcili? To wspomnienie przeszłości, pełne tak słodkich uciech, dodaje mi mocy w obecnym osamotnieniu. Z szybkością orła wracającego do gniazda przebyłem odległość, jaka nas dzieli, aby się znaleźć w sferze prawdziwego przywiązania, doświadczywszy pierwszych nędz i zawodów paryskiego świata! Czy świece pryskały? Czy główne osunęły się w kominku? Czy komuś z Was nie dzwoniło w uszach? Czy matka powiedziała może: „Lucjan myśli o nas”? Czy Dawid odpowiedział: „Zmaga się ze światem i z ludźmi”? Ewo moja, piszę ten list tylko do Ciebie jednej. Tobie jednej odważę się zawierzyć dobre i złe, które mnie spotka, rumieniąc się za jedno i za drugie, tutaj bowiem dobre jest tak rzadkie, jak rzadkim powinno być złe. Usłyszysz wiele rzeczy w niewielu słowach: pani de Bargeton powstydziała się mnie, zaparła, odprawiła, odrzuciła dzieńwiątego dnia po przybyciu. Widząc mnie, odwróciła głowę, a ja, aby podążyć za nią w świat, w który mnie chciała wprowadzić, wydałem tysiąc siedemset franków z dwóch tysięcy przywiezionych z Angoulême i zdobytych z takim trudem! „Na co?” — powiesz. Moja droga siostrzyczko, Paryż to osobliwa czeluść: można tu dostać obiad za osiemnaście su<sup>330</sup>, najskromniejszy zaś posiłek w wykwintnej jadłodajni kosztuje pięćdziesiąt franków; są kamizelki i pantalony po cztery i po dwa franki; ale modni krawcy nie robią ich niżej stu franków. Płaci się grosz, aby przejść suchą nogą przez rynsztok, kiedy deszcz pada. Wreszcie najmniejszy kurs dorożką kosztuje trzydzieści dwa su. Z pierwotnego mieszkania w najpiękniejszej dzielnicy znalazłem się obecnie w hoteliku przy ulicy Cluny, jednej z najuboższych i najciemniejszych uliczek Paryża, wciśniętej między trzy kościoły i stare budynki Sorbony. Mam pokoić na czwartym piętrze; mimo że brudny i nagi, płacę za niego piętnaście franków. Na śniadanie jem niedużą bułkę chleba za dwa su wraz z mlekiem za su, ale za to jem porządny obiad za dwadzieścia dwa su u niejakiego Flicoteaux na placu Sorbony. Do zimy moje wydatki, licząc wszystko, nie przekroczą sześćdziesięciu franków na miesiąc, przynajmniej mam nadzieję. W ten sposób moje dwieście czterdzieści franków wystarczą na pierwsze cztery miesiące. Do tego czasu sprzedam z pewnością *Gwardzistę Karola IX* albo *Stokrocie*. Nie troskajcie się więc o mnie. Jeśli terażniejszość jest zimna, naga, licha, przyszłość jest błękitna, bogata i wspaniała. Iluż wielkich ludzi przeszło tę nędzę, która podnieca mnie zamiast przygnębiać? Plaut<sup>331</sup>, wielki komediopisarz, był młynarczykiem. Makiawel<sup>332</sup> pisał *Księcia* wieczorami, spędziwszy cały dzień wśród ciżby robotników. Wielki Cervantes<sup>333</sup> wreszcie, który stracił ramię pod Lepanto<sup>334</sup>, przyczyniając się do zwycięstwa w owym dniu, nazwany swego czasu przez pismaków „starym, podłym mańkutem”, musiał z braku wydawcy czekać dziesięć lat z drugą częścią swego wspaniałego *Don Kichota*. Dzisiaj nie jest tak źle. Strapienia i nędza mogą być losem tylko nieznanym talentów, ale skoro raz pisarz zabyłśnie,

Pieniądz

Pieniądz

<sup>330</sup>su, właśc. sous (fr.) — w XIX w. pot. nazwa monety o wartości 5 centymów, tj. 1/20 franka. [przypis edytorski]

<sup>331</sup>Plaut, właśc. Titus Maccius Plautus (ok. 250–184 p.n.e.) — największy z komediopisarzy rzymskich, autor ponad stu sztuk, w większości przeróbek komedii greckich. [przypis edytorski]

<sup>332</sup>Makiawel, właśc. Niccolò Machiavelli (1469–1527) — florencki prawnik i teoretyk polityki; najbardziej znany z traktatu o skutecznym sprawowaniu władzy pt. *Książę*, w którym przekonywał, że dla dobra państwa obowiązkiem władcy jest skuteczność, nawet jeśli wymaga podejmowania działań nieetycznych. [przypis edytorski]

<sup>333</sup>Cervantes, Miguel de (1547–1616) — najsłynniejszy hiszpański pisarz, autor *Don Kichota*. [przypis edytorski]

<sup>334</sup>bitwa pod Lepanto (7 października 1571) — wielka bitwa morska, w której hiszpańsko-włoska flota Ligi Świętej rozgromiła flotę turecką. [przypis edytorski]

rychło zdobywa bogactwo, i ja też będę bogaty. Żyję jedynie myślą, spędzam pół dnia w Bibliotece św. Genowefy, uzupełniając braki wykształcenia, bez czego nie zaszedłbym daleko. Czuję się dziś prawie szczęśliwy. W kilka dni nauczyłem się brać wesoło moje położenie. Oddaję się od rana pracy, którą kocham; utrzymanie mam zapewnione, wiele myślę, studiuję, czuję się silny od chwili, gdy wyrzekłem się świata, gdzie próżność moja cierpiała ustawiczne męki. Ludzie, którzy mają być chlubą swej epoki, powinni żyć na uboczu. Czyż nie są niby ptaki leśne? Śpiewają, czarują naturą, a nikt nie powinien ich widzieć. Tak uczynię, jeśli w ogóle będzie mi dane urzeczywistnić me ambitne plany. Nie żałuję już pani de Bargeton. Kobieta, która postępuje w ten sposób, nie zasługuje na wspomnienie. Nie żałuję również, iż opuściłem Angoulême. Ta kobieta miała słuszość, że mnie rzuciła w Paryż, zostawiając mnie własnym siłom. Oto prawdziwy kraj pisarzy, myślicieli, poetów. Tu jedynie wyrasta sława, a widzę dokoła, jakie piękne plony wydaje ona dzisiaj. Tu tylko pisarz może znaleźć w muzeach i zbiorach żywe dzieła dawnych geniuszów, które rozgrzewają i podsycają wyobraźnię. Tu tylko bez przerwy otwarte olbrzymie biblioteki dostarczają duchowej wiadomości i pokarmu. Słowem, w Paryżu, w jego powietrzu, w najmniejszych szczegółach jest duch, którym się oddycha i którym przesiąkają twory literackie. Można się więcej nauczyć w pół godziny z rozmowy w kawiarni, w teatrze niż na prowincji w dziesięć lat. Tutaj naprawdę wszystko jest widowiskiem, porównaniem i nauką. Nadzwyczajna taniość, przeraźliwa drożyzna, oto Paryż, gdzie każda pszczoła znajdzie swą komórkę, gdzie każda dusza przyswaja sobie to, co jej odpowiada. Jeśli tedy cierpię w tej chwili, nie żałuję niczego. Przeciwnie, wspaniała przyszłość roztacza się przede mną i cieszy moje serce, udręczone przez chwilę. Bądź zdrowa, droga siostrze! Nie spodziewaj się regularnych listów; jedną z właściwości Paryża jest, że w istocie nie wiadomo, w jaki sposób czas mija. Życie toczy się tu z przerażającą szybkością. Ściskam matkę, Dawida i Ciebie czulej niż kiedykolwiek.

Flicoteaux jest to nazwisko zapisane w pamięci wielu. Mało jest studentów, którzy by mieszkając w Dzielnicy Łacińskiej w pierwszych dwunastu latach Restauracji, nie poznali byli tej świątyni głodu i nędzy. Obiad z trzech dań kosztował osiemnaście su z karafeczką wina lub flaszką piwa, dwadzieścia dwa z butelką wina. Jeśli co przeszkodziło temu przyjacielowi młodzieży zrobić kolosalny majątek, to ten punkt programu wypisany wielkimi czcionkami na afiszach jego konkurentów: *Chleb darmo bez ograniczenia*. Wiele sław wykarmiło się na łonie ojca Flicoteaux. Zaiste, serce niejednego sławnego człowieka musi doznawać rozkoszy tysiąca niewymownych wspomnień na widok wystawy o małych szybkach, wychodzącej na plac Sorbony i na ulicę Neuve-de-Richelieu, którą to wystawę Flicoteaux II lub III uszanował aż do dni lipcowych<sup>335</sup>. Ciemne jej barwy, stary i czcigodny wygląd, wszystko to tchnęło wzgardą dla szarlatanizmu, jaki uprawiają prawie wszyscy dzisiejsi restauratorzy, racząc oczy kosztem żołądka. W miejsce stert wypchanej zwierzyny, w miejsce fantastycznych ryb, usprawiedliwiających koncept Arlekina: „Widziałem ładnego karpia, może mi się uda kupić go za tydzień”, w miejsce wątpliwych nowalii układanych w kuszące sterty ku rozkoszy kaprali i ich krajanek, uczciwy Flicoteaux wystawiał skromne drutowane salaterki, w których stopy gotowanych śliwek cieszyły oko konsumenta, pewnego, iż słowo deser, zbyt hojnie zwiastowane na innych szyldach, nie jest takim samym złudzeniem jak konstytucja Burbonów<sup>336</sup>. Sześćfuntowe bułki chleba, pocięte na cztery kawałki, dodawały wiary w obietnicę chleba „bez ograniczenia”. Oto jakim przepychem zalecała się ta garkuchnia, którą, gdyby za jego czasów istniała, sławiłby Molière. Flicoteaux istnieje, będzie istniał tak długo, jak długo będą na świecie

<sup>335</sup>do dni lipcowych — tj. do rewolucji lipcowej w roku 1830, kiedy podczas kilkudniowego powstania udaremniiono próbę powrotu do absolutyzmu dokonaną przez Karola X. [przypis edytorski]

<sup>336</sup>konstytucja Burbonów — ogłoszona przez Ludwika XVIII w 1814, gwarantowała szereg swobód obywatelskich, ale udział społeczeństwa w życiu politycznym był w niej iluzoryczny, sprowadzony do minimum, gdyż wysoki cenzus majątkowy i wieku sprawiał, że z 28 milionów Francuzów zaledwie sto tysięcy miało czynne prawo wyborcze, a piętnaście tysięcy bierne. Dekrety Karola X z 25 lipca 1830 likwidowały większość praw konstytucyjnych, co doprowadziło do wybuchu rewolucji lipcowej. [przypis edytorski]

studenci. Je się tam, aby żyć, nie mniej, nie więcej; ale je się tak, jak się pracuje, z posępną lub radosną skrzętnością, wedle charakterów lub okoliczności. Słynny ten zakład obejmował wówczas dwie długie, ciasne i niskie sale, położone wobec siebie pod kątem prostym, wychodzące jedna na plac Sorbony, druga na ulicę Neuve-de-Richelieu; obie zastawione stołami pochodzącymi z jakiegoś klasztorowego refektarza<sup>337</sup>, długość ich bowiem ma coś monastycznego. Każdy stały gość posiada serwetkę w numerowanej metalowej obrączce. Flicoteaux I zmieniał obrus jedynie w niedzielę; ale Flicoteaux II namyślił się podobno zmieniać go dwa razy w tygodniu, odkąd konkurencja zaczęła zagrażać dynastii. Ta restauracja to warsztat pełen narzędzi, a nie sala biesiadna, przeznaczona dla rozkoszy stołu; każdy opuszcza ją co rychlej. Wewnątrz panuje olbrzymi ruch. Chłopcy biegają bez wytchnienia, wszyscy zajęci, wszyscy potrzebni. Potrawy są mało urozmaicone. Ziemiaki są tam wieczne, mogłoby nie być ani jednego ziemniaka w Irlandii<sup>338</sup>, mogłoby ich braknąć wszędzie, u Flicoteaux znalazłyby się jeszcze. Pojawiają się od trzydziestu lat, w owym złotawym kolorze ulubionym przez Tycjana<sup>339</sup>, upstrzone zieleninką, i cieszą się przywilejem budzącym zazdrość w kobietach: jakie się je widziało w roku 1814, takie są i w roku 1840. Kotlety baranie, filety wołowe są na karcie owego zakładu tym, co bażanty, filety z jesiotra na karcie Véry'ego: potrawy nadzwyczajne, które zamawia się rano. Samica wołu króluje tu, nieletni zaś jej syn objawia się pod nader urozmaiconymi postaciami. Kiedy sielawy, makrele nawiedzają wybrzeża oceanu, roi się od nich u Flicoteaux. Wszystko tu jest w związku z kolejami rolnictwa i kaprysami pór roku. Można się tam dowiedzieć o rzeczach, o których nie mają pojęcia bogacze, próżniacy, ludzie obojętni na fazy natury. Student zamknięty w Dzielnicy Łacińskiej posiada najdokładniejszą świadomość czasu: wie, kiedy obrodziła fasolka i groszek, kiedy Hale<sup>340</sup> zalane są kapustą i czy urodzaj na buraki zawiódł. Odwieczna potwarz, powtarzana w chwili, gdy Lucjan tam bywał, uporczywie przypisywała pojawienie się befsztyków jakiejś śmiertelności wśród rasy końskiej. Mało restauracji paryskich przedstawia równie powabny wygląd. Tam jedynie spotkasz młodość i wiarę, tam jedynie nędzę dźwiganą z humorem, mimo że nie brak i twarzy żarliwych i poważnych, posępnych i niespokojnych. Stroje przeważnie zaniedbane. Toteż zwraca uwagę każdy bywalec, gdy przypadkowo zjawi się starannie ubrany. Wszyscy wiedzą, że ten nadzwyczajny strój oznacza schadzki, teatr lub dystygowaną wizytę. Zawiaływały się tam, jak powiadają, częste przyjaźnie między studentami, którzy później dochodzili do sławy, jak się to pokaże w tym opowiadaniu. Bądź co bądź, z wyjątkiem kółek krajanów, skupionych na jednym końcu stołu, zwykle biesiadnicy zachowują powagę, która niełatwo się rozchmurza, może z przyczyny „katolicyzmu” wina<sup>341</sup>, nie sprzyjającego zbytnej rozlewności. Ci, którzy uczęszczali do Flicoteaux, potrafią sobie przypomnieć wiele ponurych i tajemniczych osobistości zawiniętych w mgły najmroźniejszej nędzy, które mogły tam jadać dwa lata i zniknąć tak, iż żadne światło nie oświeciło tych błędnych ogników Paryża w oczach najciekawszych bywalców. Przyjaźnie naszkicowane u Flicoteaux pieczętowało się w sąsiednich kawiarniach przy płomyku ponczu<sup>342</sup> lub oparach filiżaneczki czarnej kawy, zakropionej jakimś likworem<sup>343</sup>.

W pierwszych dniach instalacji w hotelu Cluny Lucjan, jak każdy neofita<sup>344</sup>, przestrzegał nieśmiały i regularnych obyczajów. Po smutnej próbie życia na wielką stopę, które pochłonęło jego kapitały, rzucił się w pracę z owym pierwszym zapalem, tak szyb-

<sup>337</sup>refektarz — jadalnia w klasztorze lub w innej instytucji kościelnej. [przypis edytorski]

<sup>338</sup>mogłoby nie być ani jednego ziemniaka w Irlandii — na pocz. XIX w. ziemniaki stanowiły podstawowe wyżywienie uboższych warstw ludności w Irlandii; stało się to przyczyną wielkiej kłęski głodu, kiedy w l. 1845–1849 zaraza niszczyła plony ziemniaków. [przypis edytorski]

<sup>339</sup>Tycjan, właśc. *Tiziano Vecelli* (ok. 1488–1576) — włoski malarz renesansowy, czołowy przedstawiciel szkoły weneckiej; na swoich obrazach często przedstawiał kobiety o długich, złotorudych włosach, stąd określenie: kolor tycjanowski. [przypis edytorski]

<sup>340</sup>Hale (fr. *Les Halles*) — nazwa dawnego najpopularniejszego targowiska miejskiego w Paryżu, istniejącego do lat 70. XX w., a równocześnie dzielnicy biedoty, gdzie się znajdowały. [przypis edytorski]

<sup>341</sup>„katolicyzm” wina — żartobliwe odniesienie do pot. określenia wina „chrzczonego”, tzn. rozcieńczonego wodą. [przypis edytorski]

<sup>342</sup>poncz — gorący napój alkoholowy, przyrządzany zwykle z wina lub rumu oraz z herbaty, z sokiem cytrynowym, cukrem i przyprawami korzennymi. [przypis edytorski]

<sup>343</sup>likwor — napitek. [przypis edytorski]

<sup>344</sup>neofita — osoba, która niedawno przyjęła jakąś wiarę; przen.: osoba, która zmieniła poglądy i od niedawna stała się zwolennikiem czegoś. [przypis edytorski]

ko rozpraszającym się pod wpływem trudności i rozrywek, jakie Paryż nastęrcza wszystkim egzystencjom, najzbytkowniejszym i najuboższym, a których pokonanie wymaga zacieklej energii prawdziwego talentu lub posępnej a wytrwałej ambicji. Lucjan wpadał do Flicoteaux około wpół do piątej, zauważywszy korzyści pierwszeństwa; potrawy były nieco bardziej urozmaicone; łatwiej było spotkać swoje ulubione dania. Jak wszystkie poetyczne natury, upodobał sobie jedno miejsce, a wybór jego świadczył o bystrzej orientacji. Od pierwszego dnia zauważył koło bufetu stolik, przy którym fizjonomie, jak również chwywane w lot rozmowy zdradziły mu kolegów po piórze. Zresztą pewien rodzaj instynktu szeptał mu, iż sadowiac się blisko bufetu, łatwiej będzie mógł nawiązać dyplomatyczne stosunki z zarządem. Z biegiem czasu wytworzył się znajomość i w dobie finansowej niedoli zdoła z pewnością uzyskać niezbędny kredyt. Usiadł tedy w pobliżu bufetu, przy kwadratowym stoliku, gdzie spostrzegł jedynie dwa nakrycia, zdobne czystymi serwetkami bez obrączki, przeznaczone widocznie dla przygodnych gości. *Vis-à-vis*<sup>345</sup> Lucjana stanowił szczupły i blade młody człowiek, najwyraźniej równie biedny jak on. Piękna twarz, już przywiędła, świadczyła, iż zawiedzione nadzieje znużyły jego czoło i zostawiły w duszy bruzdy, w których nie wschodziło płodne ziarno. Te ślady poezji oraz jakaś nieprzeparta sympatia pchnęły Lucjana ku nieznanemu.

Ten młody człowiek, pierwszy, z którym poeta z Angoulême, po tygodniu drobnych grzeczności, półsłówek i uwag, mógł wreszcie nawiązać rozmowę, nazywał się Stefan Lousteau. Jak Lucjan, i on opuścił swą prowincję, miasteczko w Berry, przed dwoma laty. Jego wymowne gesty, błyszczące spojrzenie, niekiedy zwięzłe słowo zdradzały gorzką znajomość literackiego życia. Stefan przybył z Sancerre, z tragedią w kieszeni, znęcony tym, co wabiło Lucjana: sławą, władzą i pieniądzem. Ten młody człowiek, który zrazu przychodził na obiad kilka dni z rzędu, później pokazywał się jedynie od czasu do czasu. Po kilku dniach nieobecności, spotkawszy raz znowu swego poetę, Lucjan miał nadzieję, iż ujrzy go nazajutrz; ale nazajutrz zajął miejsce jakiś nieznajomy. Kiedy dwaj młodzi ludzie widują się stale, ogień rozmowy utrzymuje się z dnia na dzień; ale te przerwy zmuszały Lucjana do łamania lodów za każdym razem na nowo i opóźniały zażyłość, która też w pierwszych tygodniach niewielkie uczyniła postępy. Zasięgnawszy języka u bufetowej, Lucjan dowiedział się, iż jego przyszyły druh jest współpracownikiem jakiegoś dzienniczka, że pisuje recenzje z książek i sprawozdania ze sztuk grywanych w Ambigu-Comique, w Gaieté, w Panorama-Dramatique. Młody człowiek urósł w oczach Lucjana. Poeta postanowił wdać się z nim w poufniejszą rozmowę i uczynić wszystko, aby zyskać przyjaźń, tak cenną dla nowicjusza. Dziennikarz nie pojawił się przez dwa tygodnie. Lucjan nie wiedział jeszcze, że Stefan jadał u Flicoteaux jedynie wówczas, kiedy był goły, co dawało mu ten posępny i gorzki wyraz, ten chłód, któremu Lucjan na próżno przeciwstawił pochlebne uśmiechy i uprzejme słówka. Bądź co bądź, znajomość ta wymagała dojrzałego zastanowienia, ile że ten pokątny dziennikarz zdawał się prowadzić życie kosztowne, przeplatane kieliszczykami likieru, filiżankami kawy, wazkami ponczu, teatrem i kolacyjkami. Otóż przez pierwsze dni po zainstalowaniu się w tej dzielnicy Lucjan kulił się niby biedne dziecko oszołomione doświadczeniami paryskiego życia. Rozpatrzywszy się w cenach tych skromnych posiłków i zważywszy swą sakiewkę, Lucjan nie odważył się wejść w ślady Stefana, lękając się na nowo wpaść w błędy, których jeszcze żałował. Ciągłe był pod uciskiem prowincjonalnych wierzeń; Ewa i Dawid, dwa opiekuńcze anioły, stawali mu przed oczami przy najmniejszej złej myśli, przypominali położone w nim nadzieje, szczęście, jakie był winien starej matce, wszystkie obietnice jego talentu. Spędzał ranki w Bibliotece św. Genowefy, studiując historię. Pierwsze studia uświadomiły mu straszliwe błędy w *Gwardziście Karola IX*. Po godzinach bibliotecznych wracał do zimnego i wilgotnego pokoiku, aby poprawiać swoje dzieło, przerabiać, wyrzucać całe rozdziały. Zjadłszy obiad u Flicoteaux, szedł do Pasażu Handlowego, czytał w publicznej czytelni Blossé'a płody współczesnej literatury, dzienniki, przeglądy, poezje, aby się obznajomić ze współczesnym ruchem umysłowym. Około północy zdążył do swego nędznego hotelu, nie zużywszy drzewa ani światła. Lektury te tak ogromnie przeobraziły jego pojęcia, że wziął na nowo do ręki zbiór sonetów o kwiatach, swoje drogie *Stokrocie*, i przerobił je tak gruntownie, że ani sto wierszy nie pozostało w dawnej postaci. Tak tedy z początku

<sup>345</sup>*vis-à-vis* (fr.) — naprzeciw; tu: osoba siedząca naprzeciw, po drugiej stronie stołu. [przypis edytorski]

Lucjan wiódł niewinne i czyste życie biednych chłopców z prowincji, dla których Flicoteaux jest zbyt w porównaniu z codziennym trybem rodzinnego domu. Biedacy ci przechadzają się dla rozrywki po alejach Luksemburgu<sup>346</sup>, przyglądając się pięknym kobietom spod oka i z sercem nabrzmiałym krwią; nie wychodzą poza Dzielnicę Łacińską i oddają się święcie pracy, myśląc o przyszłości. Ale Lucjan, urodzony poeta, oblegany niezmiernymi pragnieniami, uczuł się niebawem bezsilny wobec pokus teatru. Komedia Francuska, Vaudeville, Variétés, Opera Komiczna, dokąd chodził na parter, wydarły mu jakie sześćdziesiąt franków. Któryż student mógłby się oprzeć szczęściu oglądania Talmy<sup>347</sup> w jego wielkich rolach? Teatr, ta pierwsza miłość poetycznych dusz, oczarował Lucjana. Aktorzy i aktorki imponowali mu bez granic; nie wyobrażał sobie możliwości przekroczenia rampy i oglądania ich z bliska. Ci twórcy jego uciech byli dlań cudownymi istotami; toć dzienniki poświęcały im tyleż miejsca, co najważniejszym sprawom państwowym. Być autorem dramatycznym, być granym, cóż za marzenie, które paru odważnych, jak Kazimierz Delavigne<sup>348</sup>, zdołało urzeczywistnić! Te płodne myśli, te chwile wiary w siebie, po których następowała rozpacz, pobudzały Lucjana i utrzymywały go na świętej drodze pracy i oszczędności mimo głuchych szemrań niejednego frenetycznego pragnienia. Przez heroizm rozsądku zabronił sobie wstępu do Palais-Royal, owego miejsca zguby, gdzie w ciągu jednego dnia wydał pięćdziesiąt franków u Véry'ego, a blisko pięćset na stroje. Toteż kiedy uległ pokusie oglądania Fleury'ego<sup>349</sup>, Taimy, obu Baptystów<sup>350</sup> lub Michota<sup>351</sup>, nie zapuszczał się dalej niż w ciemną galerię, gdzie trzeba było stać w długim szeregu od wpół do szóstej i gdzie spóźnieni musieli kupować za pół franka miejsce w ogonku do kasy. Często po dwugodzinnym wystawianiu słowa: „Nie ma biletów!” rozlegały się w uchu niejednego zawiedzionego studenta. Po przedstawieniu Lucjan wracał ze spuszczonej oczyma, nie patrząc na ulicę wybrukowaną o tej godzinie żywymi pokusami. Może zdarzała mu się tu i ówdzie jakaś przygoda niezmiernie prosta, ale zajmująca wiele miejsca w młodej i lękliwej wyobraźni. Prerażony ubytkiem kapitału, jednego dnia, obliczywszy swój skarbczyk, Lucjan oblał się zimnym potem. Konieczność znalezienia jakiegos księgarza i szukania płatnej pracy stała się nagłą. Młody dziennikarz, którego mianował we własnej wyobraźni swoim przyjacielem, nie pokazywał się w jadłodajni. Lucjan czekał przypadku, i czekał na próżno. W Paryżu przypadek istnieje jedynie dla ludzi bardzo ruchliwych; ilość stosunków powiększa szanse powodzenia: przypadek jest również po stronie silniejszych batalionów<sup>352</sup>. Zachowawszy jeszcze przeczność mieszkańców prowincji, Lucjan nie chciał czekać chwili, gdy mu zostanie tylko kilka talarów: postanowił zmierzyć się z księgarzami.

W chłodny wrześnieowy poranek, z dwoma rękopisami pod pachą, puścił się ulicą la Harpe, dotarł do wybrzeża des Augustins<sup>353</sup>, przeszedł kilkadziesiąt kroków, spoglądając kolejno na Sekwanę i na sklepy księgarzy, jak gdyby dobry geniusz radził mu się rzucić raczej w wodę niż w literaturę. Po okresie piekących wahań, po bacznym przeglądzie więcej lub mniej łagodnych, wesołych, życzliwych, chmurnych lub smutnych twarzy widzianych przez szyby lub na progu, zauważył dom, przed którym chłopcy sklepowi w pośpiechu pakowali książki. Widocznie przygotowywano je do ekspedycji, mury bowiem pokryte były afiszami:

## WYSZŁY Z DRUKU

<sup>346</sup>Luksemburg — tu: Ogród Luksemburski w Paryżu, park miejski przy pałacu księcia de Luxembourg. [przypis edytorski]

<sup>347</sup>Talma, François-Joseph (1763–1826) — najsłynniejszy aktor francuski swojej epoki, znany z ról w tragediach Woltera, Szekspira, Corneille'a i Racine'a. [przypis edytorski]

<sup>348</sup>Delavigne, Casimir (1793–1843) — francuski poeta i dramaturg, członek Akademii Francuskiej (1825). [przypis edytorski]

<sup>349</sup>Fleury, Abraham-Joseph Bénard (1750–1822) — aktor Comédie Française, wybitny komik. [przypis edytorski]

<sup>350</sup>Obu Baptystów — Nicolas Anselme Baptiste, zw. Baptystą Starszym (1761–1835) oraz jego brat Paul Eustache Anselme Baptiste (1765–1839), zw. Baptystą Młodszym, francuscy aktorzy komiczni, występujący w Comédie-Française. [przypis edytorski]

<sup>351</sup>Michot, właśc. Antoine Michaut (1765–1826) — francuski aktor komiczny. [przypis edytorski]

<sup>352</sup>Przypadek jest również po stronie silniejszych batalionów — znane powiedzenie Napoleona o Bogu, że „jest zawsze po stronie silniejszych batalionów”. [przypis tłumacza]

<sup>353</sup>wybrzeże des Augustins — ośrodek księgarski położony na lewym brzegu Sekwany. [przypis edytorski]



*Samotnik*

przez wicehrabiego d'Arlincourt<sup>354</sup>, wydanie trzecie.

*Leonidas*

przez Wiktora Ducange<sup>355</sup>, 5 tomów in 12<sup>o</sup><sup>356</sup>,  
na wytwornym papierze. Cena 12 fr.

*Wnioski moralne*

przez Kératry<sup>357</sup>

Książka, Pieniądz

— Szczęśliwcy! — wykrzyknął Lucjan.

Afisz, nowa i oryginalna kreacja słynnego *Ladvocata*<sup>358</sup>, zakwitł wówczas pierwszy raz na murach. Niebawem naśladowcy tego nowego sposobu ogłaszania się, będącego źródłem jednego z dochodów publicznych, zalali cały Paryż. Wreszcie, z sercem wezbranym krwią i niepokojem, Lucjan, niegdyś tak wielki w Angoulême, a tak mały w Paryżu, przesunął się pod domami i zebrał odwagę, aby wejść do sklepu zapchanego pomocnikami, klientami, księgarzami... „I może autorami!” — pomyślał Lucjan.

— Chciałbym mówić z panem Vidal albo panem Porchon — rzekł do subiekta<sup>359</sup>.

Wyczytał na szyldzie wielkimi literami:

VIDAL I PORCHON

Księgarnia komisowa na Francję i zagranicę

— Zajęci — odparł subiekt.

— Zaczekam.

Zostawiono poetę w sklepie, gdzie przyglądał się paczkom; spędził tak dwie godziny, patrząc na tytuły, otwierając książki, czytając tu i ówdzie jaką stronicę. Wreszcie oparł się o małą szybkę ozdobioną zielonymi firaneczkami, za którą przeczuwał, iż kryje się Vidal albo Porchon, i usłyszał następującą rozmowę:

— Bierze pan pięćset egzemplarzy? Dam po pięć franków, plus trzynasty gratis.

— To by wyniosło po ile?

— Szesnaście su mniej.

— Cztery franki cztery su — rzekł Vidal lub Porchon do oferującego książki.

— Tak — odparł sprzedający.

— Na rachunek? — spytał kupiec.

— Stary kawalarz! I namyślisz się pan zapłacić za półtora roku, weksłami z rocznym terminem?

— Nie, płatne zaraz — odparł Vidal lub Porchon.

— Jaki termin? Dziewięć miesięcy? — spytał księgarz lub autor, który widocznie ofiarowywał książkę.

— Nie, drogi panie, rok — odparł jeden z księgarzy komisowych.

Nastała chwila milczenia.

— Zarzynasz mnie pan — rzekł nieznajomy.

— Ale czyż my pozbędziemy w ciągu roku pięćset *Leonidasów*? — odparł księgarz komisowy wydawcy Wiktora Ducange. — Gdyby książki szły tak, jak pragną wydawcy, byłibyśmy milionerami, drogi panie; ale idą tak, jak sobie życzy publiczność. Romanse

Książka, Interes, Pieniądz

<sup>354</sup>Prévot Charles-Victor, wicebrabia d'Arlincourt (1788–1856) — francuski powieściopisarz, popularny w l. 20. XIX w.; autor m.in. pseudohistorycznej powieści *Le Solitaire* (Samotnik, 1821), z akcją osadzoną w XV w., mającej kilkanaście wydań w ciągu kilku miesięcy, liczne tłumaczenia, kilka adaptacji operowych, wiele adaptacji teatralnych, parodii itp. [przypis edytorski]

<sup>355</sup>Ducange, Victor Henri Joseph Brabain (1783–1833) — francuski powieściopisarz i dramaturg; autor m.in. powieści *Léonide, ou la Vieille de Suresnes* (*Leonid czyli stara z Surenny*, 1823). [przypis edytorski]

<sup>356</sup>in 12° a. in duodecimo — tj. w małym formacie, w którym ze złożenia pojedynczego arkusza drukarskiego powstaje dwanaście kart. [przypis edytorski]

<sup>357</sup>Kératry, Auguste Hilarion de (1769–1859) — francuski publicysta i działacz polityczny; autor m.in. dzieła *Inductions morales et physiologiques* (Wnioski moralne i fizjologiczne, 1817). [przypis edytorski]

<sup>358</sup>Ladvoat, Pierre-François (1791–1854) — paryski księgarz i wydawca. [przypis edytorski]

<sup>359</sup>subiekt (daw.) — sprzedawca w sklepie. [przypis edytorski]

Waltera Scotta<sup>360</sup> można mieć po osiemnaście su za tom, trzy franki dwanaście su egzemplarz, i pan chcesz, abym sprzedawał pańską książkę drożej? Jeżeli pan żąda, abym pchał ten romans, dajcie mi dobre warunki. — Vidal!

Otyły człowiek opuścił kasę i zbliżył się z piórem zatkniętym za ucho.

— Ile pozbyłeś Ducange'a w ostatniej podróży? — spytał Porchon.

— Dwustu *Staruszków z Calais*<sup>361</sup>; ale żeby ich wpakować, trzeba było zarznąć dwie inne książki, na których nie dawano nam takiego opustu i które dzięki temu poszły na marynatę.

Później Lucjan dowiedział się, że „marynatą” nazywają księgarze dzieła, które pleśniejają w skrzyniach, w głębokiej samotności magazynów.

— Wiesz zresztą — ciągnął Vidal — że Picard<sup>362</sup> gotuje nowe powieści. Obiecują nam dwadzieścia procent od zwykłej ceny księgarskiej, aby wziąć szturmem rynek.

— Więc dobrze, na rok — odparł żałośnie wydawca, zmiażdżony ostatnią poufną uwagą Vidala do Porchona.

— Zatem porozumieliśmy się? — spytał Porchon nieznanomego.

— Tak.

Księgarz wyszedł. Lucjan usłyszał, jak Porchon mówił do Vidala:

— Mamy zamówionych trzysta egzemplarzy, przeciągniemy mu termin, sprzedamy *Leonidasy* po równych pięć franków, z płatnością półroczną, i...

— I — rzekł Vidal — zgarniemy tysiąc pięćset franków na czysto.

— Och! Wiedziałem dobrze, że koło niego ciasno.

— Zarzyna się! Płaci Ducange'owi cztery tysiące za dwa tysiące egzemplarzy.

Lucjan zatrzymał Vidala, zagradzając wyjście z klatki.

— Panowie — rzekł — mam zaszczyt przedstawić się...

Księgarze zaledwie skinęli głową.

— Jestem autorem romansu historycznego w rodzaju Waltera Scotta, pod tytułem *Gwardzista Karola Dziewiątego*, i ofiaruję panom nabycie dzieła.

Porchon objął Lucjana chłodnym spojrzeniem, kładąc równocześnie pióro na pulpicie. Co do Vidala, ten spojrzał brutalnie na autora i odparł:

— Panie łaskawy, nie jesteśmy księgarnią wydawniczą, ale komisową. Jeżeli wydajemy coś na nasz rachunek, robimy jedynie w nazwiskach gotowych. Kupujemy zresztą tylko książki poważne, historie, kompendia...

— Ale moja książka jest bardzo poważna: chodzi o odmalowanie w prawdziwym świetle walki katolików, oświadczających się za władzę absolutną, i protestantów, którzy chcieli stworzyć republikę...

— Panie Vidal! — krzyknął subiekt.

Vidal wymknął się.

— Nie wątpię, iż pański utwór może być arcydziełem — rzekł Porchon, czyniąc gest dość niegrzeczny — ale my się zajmujemy jedynie książkami gotowymi. Idź pan do tych, którzy kupują rękopisy: stary Doguereau, ulica du Coq, koło Luwru: to jeden z tych, którzy robią w powieści. Gdyby się pan zjawił wcześniej, był tu właśnie Pollet, konkurent starego Doguereau i księgarzy z Galerii Drewnianej.

— Mam także zbiór poezji...

— Panie Porchon! — rozległ się głos.

— Poezji! — zakrzyknął Porchon w gniewie. — Za kogo mnie pan bierze? — dodał, śmiejąc mu się w nos i znikając w czeluściach kantoru.

Lucjan, oblegany tysiącem refleksji, przebył Nowy Most. Dostępne dlań urywki handlowej gwary pozwoliły mu odgadnąć, że dla tych księgarzy książki były tym, czym czapki włóczkowe dla trykociarzy: towarem, który się drogo sprzedaje, tanio nabywa.

— Omyliłem się — powiedział sobie, uderzony brutalną i kramarską postacią, pod jaką objawiła mu się literatura.

<sup>360</sup>Scott, Walter (1771–1832) — szkocki autor powieści historycznych i poeta, bardzo popularny w swojej epoce. [przypis edytorski]

<sup>361</sup>Staruszek z Calais — dwutomowa powieść Victora Ducange pt. *Agathe, ou le Petit Vieillard de Calais* z 1819. [przypis edytorski]

<sup>362</sup>Picard, Louis Benoît (1769–1828) — francuski dramaturg, aktor, powieściopisarz. [przypis edytorski]

Spostrzegł przy ulicy du Coq skromny sklepik, koło którego już przechodził, a nad którym żółtymi literami na zielonym tle namalowane były słowa:

DOGUEREAU — KSIĘGARZ

Przypomniał sobie, iż widział tę firmę na okładce romansów czytanych u Blossé'a. Wszedł nie bez owego wewnętrznego drżenia, jakie u wszystkich ludzi obdarzonych wyobraźnią wywołuje pewność walki. Ujrzał w sklepie dziwnego starca, jedną z najoryginalniejszych postaci przemysłu księgarskiego za Cesarstwa. Doguereau miał na sobie czarny frak o wielkich kwadratowych połach, gdy moda ścinała wówczas frak spiczasto. Na kamizelce z pospolitej materii w różnokolorowe kraty zwiślał od kieszonki stalowy łańcuszek i mosiężny kluczyk, tańcząc po obszernych czarnych pludrach. Zegarek musiał być grubości cebuli. Kostium ten uzupełniały grube pończochy stalowego koloru oraz trzewiki ze srebrnymi sprzączkami. Starzec miał gołą głowę, strojną szpakowatymi włosami w dość poetycznym nieładzie. Frak, pludry<sup>363</sup> i trzewiki dawały staremu Doguereau, jak go nazwał Porchon, coś z profesora literatury, kamizelka zaś, zegarek i pończochy coś z kupca. Fizjonomia nie przeczyla temu osobliwemu skojarzeniu: wyraz miał profesorski, dogmatyczny, pooraną przeczyla twarz profesora retoryki<sup>364</sup>, żywe zaś oczy, podejrzliwie usta, nieokreślony niepokój księgarza.

— Pan Doguereau? — rzekł Lucjan.

— Tak, panie.

— Jestem autorem romansu — rzekł Lucjan.

— Bardzo pan młody — rzekł księgarz.

— Ależ panie, wiek mój nie ma tu nic do rzeczy.

— Słusznie — rzekł stary księgarz, biorąc rękopis. — Tam do licha! *Gwardzista Karola Dziewiątego*, dobry tytuł. No, młodzieńcze, opowiedz mi w dwóch słowach treść.

— Jest to dzieło historyczne w rodzaju Waltera Scotta. Walka między protestantami a katolikami ujęta jest jako ścieranie się dwóch form rządu, w którym tron jest poważnie zagrożony. Ja wziąłem stronę katolików.

— Ba, młodzieńcze, to myśl. Więc dobrze, przeczytam rękopis, przyrzekam. Wolałbym romans w rodzaju pani Radcliffe<sup>365</sup>; ale jeśli umiesz pracować, jeśli masz trochę stylu, poglądów, myśli i umiejętności podania, niczego więcej nie pragnę, jak być panu użytecznym. Czegóż nam trzeba?... Dobrych rękopisów.

— Kiedy będę mógł wstąpić?

— Jadę dziś wieczór na wieś, wrócę pojutrze, przeczytam pańską powieść i jeśli mi się nada, porozumiemy się tego samego dnia.

Lucjan, uwiedziony tą dobroduszością, wpadł na fatalną myśl wydobycia rękopisu *Stokroci*.

— Panie, mam także zbiorek wierszy...

— A, pan poeta! Nie chcę już pańskiej powieści — rzekł stary, oddając rękopis. — Wierszoroby kiepsko się sprawują, kiedy się wezmą do prozy. W prozie nie ma kwiatków, trzeba koniecznie coś powiedzieć.

— Ale, panie, Walter Scott także pisał wiersze...

— To prawda — rzekł Doguereau, który złagodniał, odgadł trudne położenie poety i zatrzymał rękopis. — Gdzie pan mieszka? Zajdę do pana.

Lucjan podał adres, nie podejrzewając ukrytej myśli starca; nie odgadł w nim księgarza dawnej szkoły, z czasu kiedy księgarze pragnęliby trzymać na strychu i pod kluczem Woltera<sup>366</sup> i Monteskiusza<sup>367</sup> umierających z głodu.

<sup>363</sup>pludry — spodnie; szczególnie: sięgające do kolan spodnie o bufiastych nogawkach, stanowiące element stroju męskiego w XVII i XVIII w. [przypis edytorski]

<sup>364</sup>retoryka — umiejętność wysławiania się i przemawiania; także: nazwa ostatniej klasy w liceach francuskich. [przypis edytorski]

<sup>365</sup>Radcliffe, Ann (1764–1823) — angielska pisarka preromantyczna; zasłynęła jako autorka romansów sentymentalnych oraz powieści gotyckich, które wywarły znaczny wpływ na twórców romantycznych, wprowadzając do literatury estetykę horroru. [przypis edytorski]

<sup>366</sup>Wolter a. Voltaire, właśc. François-Marie Arouet (1694–1778) — czołowy francuski pisarz, filozof i publicysta epoki oświecenia, znany z walki o wolność słowa i wyznania. [przypis edytorski]

<sup>367</sup>Monteskiusz, właśc. Charles Louis Montesquieu (1689–1755) — francuski filozof i pisarz, teoretyk prawa. [przypis edytorski]

— Wracam właśnie przez Dzielnicę Łacińską — rzekł stary, przeczytawszy adres.

„Zacny człowiek! — pomyślał Lucjan, żegnając księgarza. — Spotkałem tedy przyjaciela młodzieży, człowieka, który rozumie się na czymś. To mi człowiek! Mówiłem Dawidowi, talent łatwo wybije się w Paryżu”.

Wrócił lekki i szczęśliwy, marzył o sławie. Nie myśląc już o złowrogich słowach, jakie obily się o jego uszy w kantorze Vidala i Porchona, pieścił w myśli przynajmniej tysiąc dwieście franków. Tysiąc dwieście franków to rok pobytu w Paryżu, rok, przez który przygotowuje nowe dzieła. Ilez projektów zbudowanych na tej nadziei! Ilez słodkich marzeń na widok perspektywy życia wspartego na pracy! Wynajął (w myśli) mieszkanie, urządził się, niewiele brakło, aby poczynił jakieś większe zakupy. Ledwie zdołał oszukać swą niecierpliwosć, zakopując się gorączkowo w książki w czytelni. W dwa dni później Doguereau, zdziwiony bogactwem stylu, zachwycony przesadą charakterów, dopuszczalną dzięki odległej epoce, uderzony rozmachem, z jakim młody autor kreśli zawsze pierwszy projekt — zacny ojciec Doguereau nie był wybredny! — przybył do hotelu, gdzie mieszkał jego przyszły Walter Skocik. Gotów był zapłacić tysiąc franków za zupełną własność *Guardzisty Karola IX* i związać Lucjana umową na szereg utworów. Widząc hotel, stary lis rozmyślił się.

„Młody człowiek, który tak mieszka, musi mieć upodobania skromne, lubi naukę, pracę; dam mu tylko osiemset”.

Gospodyni, zapytana o pana Lucjana de Rubempré, odparła:

— Na czwartym.

Księgarz zadarł nosa i ujrzał nad czwartym piętrem tylko niebo.

„Ten młody człowiek — pomyślał — hm! ładny chłopiec, nawet bardzo piękny; gdyby zarabiał zbyt wiele, zacząłby się lampartować<sup>368</sup>, nie pracowałby. We wspólnym interesie ofiaruję mu sześćset; ale gotówką, bez akceptów<sup>369</sup>”.

Wdrapał się na schody, zapukał trzy razy do Lucjana, który podbiegł otworzyć. Pokój przedstawiał obraz rozpaczliwej nagości. Na stole stał garnuszek mleka i dwugroszowa bułka. Ta nędza geniusza uderzyła starego Doguereau.

„Niech zachowa — pomyślał — te proste obyczaje, wstrzemięźliwość, skromność potrzeb”. — Miło mi pana widzieć — rzekł do Lucjana. — Oto, drogi panie, jak żył Jan Jakub, z którym pan posiadasz niejedno podobieństwo. W takich właśnie mieszkaniach błyszczą ogień geniuszu i tworzą się tegie dzieła. Oto jak powinni by żyć ludzie pióra — miast oddawać się hulance po kawiarniach, restauracjach, tracić swój czas, talent i nasze pieniądze.

Usiadł.

— Młodzieńcze, romans jest niezgorszy. Byłem profesorem retoryki, znam historię Francji, są tam wyborne rzeczy. Słowem, masz przyszłość.

— Och, panie!

— Tak, powiadam panu, będziemy mogli robić interesy. Kupuję pański romans...

Serce Lucjana rozplynęło się, drżał z rozkoszy, miał wejść w świat literacki, miał być wreszcie drukowany!

— Kupuję go za czterysta franków — rzekł słodko Doguereau z miną mającą oznajmiać wysiłek wspaniałomyślności.

— Tom? — rzekł Lucjan.

— Nie, powieść — rzekł Doguereau, niezaskoczony zdziwieniem Lucjana. — Ale — dodał — płacę gotówką. Zobowiąziesz się dostarczać mi dwa takie rocznie przez sześć lat. Jeżeli pierwszy wyczerpie się w pół roku, zapłacę następne po sześćset. Tak więc, przy dwóch powieściach na rok, będziesz miał sto franków miesięcznie, zapewnione życie, będziesz szczęśliwy. Mam autorów, którym płacę tylko po trzysta. Dają dwieście franków za tłumaczenie z angielskiego. Dawniej była to cena wręcz niesłychana.

— Nie porozumiemy się, proszę pana o rękopis — rzekł Lucjan, zmrózony.

— Służę — rzekł stary księgarz. — Nie rozumie się pan na interesach. Wydając pierwszy romans młodego autora, księgarz musi ryzykować tysiąc sześćset franków za druk i papier. Łatwiej napisać romans niż znaleźć podobną kwotę. Mam u siebie sto

<sup>368</sup>lampartować się (daw.) — prowadzić hulaszczę, próżniacze, niemoralne życie. [przypis edytorski]

<sup>369</sup>akcept — tu: weksel po złożeniu akceptu, tj. złożeniu podpisu na wekslu przez osobę zobowiązującą się w ten sposób do zapłaty wskazanej na wekslu kwoty we wskazanym terminie. [przypis edytorski]

rękopisów, a nie mam stu sześćdziesięciu tysięcy w kasie. Niestety! Nie uciulałem tyle przez dwadzieścia lat, jak jestem księgarzem. Nie robi się majątku na wydawaniu powieści! Vidal i Porchon biorą je na warunkach, które stają się z każdym dniem uciążliwsze. Pan ryzykujesz tylko czas, a ja muszę wyłożyć dwa tysiące franków. Jeśli nas czeka zawód, gdyż *habent sua fata libelli*<sup>370</sup>, tracę dwa tysiące; co do pana, wystarczy ci wypalić odę przeciw głupocie publiczności. Rozważywszy sobie to, co mam zaszczyt powiedzieć, wrócisz pan do mnie. Wrócisz — powtórzył księgarz z mocą, w odpowiedzi na dumny gest Lucjana. — Nie tylko nie znajdziesz księgarza, który by zaryzykował dwa tysiące dla nieznanego młodzieńca, ale i ani subiekta, który by zadał sobie trud odczytania pańskich gryzmołów. Ja, który je odczytałem, mogę panu podkreślić sporo błędów językowych... Piszesz na przykład „oczekiwać na kogoś”, gdy mówi się „oczekiwać kogoś”, a „czekać na kogoś”.

Lucjan stał w milczeniu jak winowajca.

— Kiedy się zobaczymy znowu, stracisz pan sto franków — dodał — wówczas dam już tylko trzysta.

Podniósł się, uklonił, ale na progu rzekł jeszcze:

— Gdybyś pan nie miał talentu, przyszłości, gdybym się nie interesował pracowitymi młodymi ludźmi, nie ofiarowałbym ci tak pięknych warunków. Sto franków na miesiąc! Zastanów się. Ostatecznie romans w szufladzie to nie to, co koń w stajni, nie zjada chleba. Co prawda, też i nie daje!

Lucjan wziął rękopis i rzucił go o ziemię, wołając:

— Wolę raczej spalić!

— Et, poeta! — rzekł stary.

Lucjan pochłoniął bułkę, wypił duszkiem mleko i zeszedł na dół. Pokój nie był dość obszerny, musiał się kręcić w kółko niby lew w klatce w Ogrodzie Botanicznym. W Bibliotece św. Genowefy, dokąd zamierzał się udać, Lucjan widywał zawsze w tym samym kącie młodego człowieka lat około dwudziestu pięciu, pracującego z ową niezłomną wytrwałością, której nic nie jest w stanie oderwać ani rozproszyć, a po której poznaje się prawdziwych bojowników literatury. Młody człowiek bywał tam zapewne od dłuższego czasu, urzędnicy i nawet sam bibliotekarz mieli dla niego względy; wolno mu było brać książki do domu. Pracowity nieznanomy, w którym Lucjan poznał brata po nędzy i nadziei, zabierał je skrętnie i odnosił nazajutrz. Mały, szczupły i blade ten pracownik ukrywał piękne czoło pod gęstą, czarną, dość lichy utrzymaną czupryną, miał ładne ręce i uderzał pewnym podobieństwem do Bonapartego na rycinie Roberta Lefèvre<sup>371</sup>. Rycina ta to cały poemat pełnej żaru melancholii, hamowanej ambicji, ukrytej gorączki czynu. Przyjrzyjcie się dobrze: ujrzycie geniusz, powściągliwość, przebiegłość i wielkość. Oczy iskrzą się sprytem jak oczy kobiety. Spojrzenie chciwe przestrzeni, żądne przeszkód i walki. Gdyby nawet nie widniało u dołu nazwisko Bonapartego, i tak patrzylibyście nań równie długo. Młody człowiek, który wcielał tę rycinę, nosił zazwyczaj spodnie wpuszczone w grube trzewiki, surdut z pospolitego sukna, czarny krawat, srokatą kamizelkę zapiętą pod szyję i tani kapelusz. Wzgarda jego dla wszelkiego zbytku była widoczna. Ten tajemniczy nieznanomy, naznaczony piętnem, jakie Duch wyciska na czole swych niewolników, zjawiał się u Flicoteaux najregularniej ze stałych gości: jadł, aby żyć, nie zwracając uwagi na potrawy, zbyt już widać do nich przyzwyczajony, pił wodę. Czy to w bibliotece, czy u Flicoteaux miał we wszystkim jakąś godność, która płynęła z pewnością ze świadomości życia zaprzątniętego czymś wielkim i czyniła go niedostępnym. Spojrzenie było nabrzmiałe myślami. Medytacja zamieszkiwała piękne, szlachetnie narysowane czoło. Oczy, czarne i żywe, bystre i szybkie, świadczyły o nawyku zgłębiania rzeczy do dna. Ruchy miał proste i poważne. Lucjan czuł wobec niego mimowolny szacunek. Parokroć już u drzwi biblioteki albo restauracji wymienili spojrzenia, jak gdyby chcąc przemówić, ale żaden nie śmiał. Milczący młody człowiek zajmował miejsce w głębi sali, blisko okna wychodzącego na plac Sorbony, Lucjan nie mógł się tedy zbliżyć, mimo iż czuł bezwiedny pociąg do tego młodego pracownika, zdradzającego nieomylnie oznaki wyższości. Obaj, jak to sobie wyznali później, należeli do owych dziewiczych i nieśmiałych natur, wydanych na pastwę wszystkich lęków i wzruszeń właściwych samotnikom. Gdyby nie nagle

<sup>370</sup>*habent sua fata libelli* (łac.) — książki mają swoje losy. [przypis edytorski]

<sup>371</sup>*Lefèvre, Robert* (1755–1830) — francuski malarz-portrecista. [przypis edytorski]

spotkanie w chwili nieszczęścia, które dotknęło Lucjana, może nie zetknęliby się nigdy. Wchodząc w ulicę des Grès, Lucjan spostrzegł młodego nieznanego, który wracał ze św. Genowefy.

— Biblioteka zamknięta, nie wiem, z jakiej przyczyny — rzekł do Lucjana.

W tej chwili Lucjan miał łzy w oczach; podziękował nieznanemu gestem wymowniejszym niż wszystkie przemówienia, jednym z tych, które między młodymi od razu otwierają serca. Obaj szli ulicą des Grès w stronę ulicy La Harpe.

— Pójdę w takim razie się przejść po Luksemburgu — rzekł Lucjan. — Kiedy się raz wyszło z domu, trudno wrócić pracować.

— Nie ma już potrzebnego skupienia — zauważył nieznanomy. — Ale pan jakiś zmartwiony?

— Zdarzyła mi się szczególna przygoda — odparł Lucjan.

Opowiedział swoją wizytę w księgarni, potem u starego Doguereau i jego propozycje; wymienił swoje nazwisko i wspomniawszy o swym położeniu. Od miesiąca wydał sześćdziesiąt franków na życie, trzydzieści na hotel, dwadzieścia na teatr, dziesięć na czytelną, razem sto dwadzieścia franków, zostało mu już tylko sto dwadzieścia.

— Drogi panie — rzekł nieznanomy — pańska historia jest również moją, i historią tysiąca młodych ludzi, którzy co rok napływają z prowincji do Paryża. Nie jesteśmy jeszcze z najniešťliwszych. Widzisz pan ten teatr? — rzekł, pokazując wierzchołki Odeonu<sup>372</sup>. — Pewnego dnia w jednym z domów wychodzących na plac osiedlił się człowiek z talentem, pogrążony w otchłani nędzy; żonaty — nadmiar nieszczęścia, które nas obu jeszcze nie dotyka! — z kobietą, którą kochał; biedny lub bogaty, jak pan woli, dwojgiem dzieci; przytłoczony długami, ale pełen ufności w swe pióro. Przedkłada Odeonowi komedię w pięciu aktach, przyjmują ją, przeznaczają do grania przed innymi, próby w toku, dyrektor nagli. Tych pięć szans to pięć dramatów trudniejszych do zrealizowania niż napisanie pięciu aktów. Biedny autor, gnieźdzący się na poddaszu, które może pan stąd oglądać, wyczerpuje ostatnie środki, aby wyżyć do dnia triumfu, żona zastawia suknie, cała rodzina żyje tylko chlebem. W dzień ostatniej próby a wilię<sup>373</sup> przedstawienia małżeństwo dłużne było w dzielnicy pięćdziesiąt franków: piekarz, mleczarz, odźwierny. Poeta rachował tylko to, co niezbędne: frak, koszulę, pantalon, kamizelkę i trzewiki. Pewien powodzenia, przychodzi uściskać żonę, oznajmia koniec niedoli. „Wreszcie nic nie stoi między nami a szczęściem!” — wykrzyknął. „Owszem, ogień — odparła żona — patrz, Odeon się pali!” Panie, Odeon się pali! Nie skarż się tedy. Masz ubranie, nie masz żony ani dzieci, masz za sto dwadzieścia franków *możliwości* w kieszeni i nie jesteś nic winien nikomu. Sztuka miała sto pięćdziesiąt przedstawień w teatrze Louvois. Król wyznaczył autorowi pensję. Wszak Buffon<sup>374</sup> powiedział, że geniusz to cierpliwość. Cierpliwość to w istocie cnota najbardziej zbliżająca człowieka do systemu, jakiego natura używa przy swoich dziełach. Czym jest sztuka? To skupiona natura.

Młodzi ludzie przemierzali w tej chwili Luksemburg. Lucjan dowiedział się niebawem nazwiska, później okrytego sławą, towarzysza, który się starał go pocieszyć. Młody człowiek był to Daniel d'Arthez, dziś jeden z najznakomitszych pisarzy i jeden z rzadkich ludzi, którzy w duchu podniosłej myśli poety przedstawiają „zgodność pięknego talentu i pięknego charakteru”.

— Nie można być wielkim człowiekiem tanim kosztem — mówił Daniel łagodnie. — Geniusz skrapia swoje dzieła własnymi łzami. Talent to istota duchowa, która, jak wszystkie żywe stworzenia, w dzieciństwie skłonna jest do chorób. Społeczeństwo odtrąca talenty niezupełne, jak natura uprzęta istoty słabe lub niedokształcone. Kto chce się wzniesć nad poziom, winien się przygotować na walkę, nie cofać się przed żadną trudnością. Wielki pisarz jest męczennikiem, który nie umrze, oto wszystko. Masz na czole piętno geniuszu — rzekł d'Arthez, obejmując Lucjana spojrzeniem — jeżeli nie posia-

Pieniądz

Artysta, Praca

<sup>372</sup>Odeon — teatr w Paryżu, otwarty w 1782 roku dla zespołu Comédie Française, od 1796 siedziba zespołu pod nazwą Odéon; dwukrotnie niszczone w pożarze (1799 i 1818) i odbudowywany. [przypis edytorski]

<sup>373</sup>wilia (daw., reg.) — dzień poprzedni, poprzedzający; też: wigilia. [przypis edytorski]

<sup>374</sup>Buffon, Georges Louis Leclerc de (1707–1788) — francuski przyrodnik i filozof, autor liczącego 36 tomów dzieła *Histoire naturelle, générale et particulière* (Historia naturalna, ogólna i szczegółowa, 1749–1789), członek Akademii Francuskiej i Towarzystwa Królewskiego w Londynie; wywarł wielki wpływ na rozwój przyrodoznawstwa w XVIII w. [przypis edytorski]

dasz w sercu jego woli, jego anielskiej cierpliwości, jeżeli bez względu na odległość od celu, w jakiej cię postawią igraszki losu, nie podejmiesz na nowo, jak żółwie, w jakim bądź się kraju znajdują, drogi do nieskończoności, jak one drogi do ukochanego oceanu, daj już dziś za wygraną.

— Zatem pan gotuje się na męki? — rzekł Lucjan.

— Na próby wszelkiego rodzaju, na potwarz, zdradę, niesprawiedliwość rywali, na bezczelność, podstępny, brutalności rzemiosła — odparł młody człowiek zrezygnowanym głosem. — Jeżeli twe dzieło jest piękne, cóż znaczy pierwsza strata?...

— Chce pan przeczytać i osądzić?...

— Zgoda — rzekł d'Arthez. — Mieszkam przy ulicy des Quatre-Vents, w domu, gdzie jeden z najznakomitszych ludzi, jeden z najpiękniejszych geniuszów naszych czasów, fenomen nauki, Desplein, największy chirurg, przecierpiał lata męczeństwa, borykając się z pierwszymi trudnościami życia i sławy w Paryżu. To przypomnienie wlewa mi co wieczór dawkę odwagi, jakiej potrzebuję co rano. Mieszkam w tym pokoju, w którym on często jadał, jak Rousseau, chleb i wiśnie, ale bez Teresy<sup>375</sup>. Przyjdź pan za godzinę, będę w domu.

Dwaj poeci rozstali się, ściskając sobie dłonie z nieopisanym wylewem melancholijnej czułości. Lucjan pobiegł po rękopis. Daniel poszedł zastawić w lombardzie zegarek i kupić dwa naręcza drzewa, aby nowy przyjaciel zastał ogień, było bowiem zimno. Lucjan stawiał się punktualnie. Ujrzał dom o wyglądzie jeszcze lichszym niż jego hotel! Na końcu długiego, ciemnego korytarza domacał się równie ciemnych schodów. Pokój, na piątym piętrze, miał dwa okienka, między którymi znajdowała się szafka, pełna opatrzonego napisami pudełek. Nędzne, drewniane łóżko przypominające sypialnie w kolegiach, nocny stolik kupiony gdzieś przypadkiem i dwa włosiem kryte fotele zajmowały głąb pokoju, obitego poźółką od dymu i starości tapetą. Długi stół pełen papierów stał między kominkiem a jednym z okien; naprzeciw licha mahoniowa komoda. Wypełzył dywan wyścielał całą podłogę. Ten niezbędny zbytek oszczędzał opału. Koło stołu czerwony spłowiwały juchtowy<sup>376</sup> fotel oraz sześć nędznych krzeseł dopełniało umeblowania. Na kominku Lucjan ujrzał stary świecznik z abażurem, dźwigający cztery świece. Kiedy Lucjan, widząc we wszystkich szczegółach oznaki twardej nędzy, zdziwił się tym zbytkiem, d'Arthez odpowiedział, że nie znosi zapachu lojówki<sup>377</sup>. Okoliczność ta zdradzała wielką delikatność zmysłów, oznakę wykwintnej wrażliwości. Czytanie trwało siedem godzin. Daniel słuchał z religijnym skupieniem, nie mówiąc słowa, nie robiąc uwag, jeden z rzadkich dowodów dobrego smaku u słuchacza.

— I cóż? — rzekł doń Lucjan, kładąc rękopis na kominku.

— Jesteś na pięknej i dobrej drodze — odparł poważnie młody człowiek — ale dzieło twoje wymaga jeszcze pracy. Jeżeli nie chcesz po prostu małpować Waltera Scotta, trzeba ci stworzyć w sposób odmienny, ty zaś poszedłeś jego śladem. Zaczynasz, jak on, za pomocą długich rozmów, aby postawić swoje osobistości; kiedy się nagadały, przechodzisz do opisów i akcji. Przeciwwstawienie to, potrzebne każdemu dramatycznemu dziełu, zjawia się na końcu. Odwróć cały problem do góry nogami. Zastąp te rozwlekłe rozmowy, wspaniałe u Scotta, ale bezbarwne u ciebie, opisami, do których nasz język tak dobrze się nadaje. Niech dialog będzie u ciebie naturalną konsekwencją, która wieńczy przygotowania. Wejdz od początku w akcję. Ujmij przedmiot to z tej, to z owej strony; zmieniaj kąty widzenia i plany, aby uniknąć monotonii. Odkryjesz nowe źródło, stosując do historii Francji dialog szkockiego pisarza. Walter Scott jest bez namiętności, nie zna jej lub może wzbronila mu jej obłuda jego kraju. Dla niego kobieta jest wcielonym obowiązkiem. Z małymi wyjątkami, heroiny jego są zawsze jednakie: malując je, używa tylko jednej farby. Wszystkie pochodzą od Klaryssy Harlowe<sup>378</sup>: sprowadzając wszystkie do abstrakcji, umiał stworzyć tylko galerię jednego typu, urozmaiconą mniej lub więcej żywym zabarwieniem. Kobieta, będąc wcielonym uczuciem, wnosi nieład w społeczeństwo. Namiętność posiada nieskończoną skalę przypadków. Maluj więc namiętności, zdobędziesz

Dom

Twórczość

<sup>375</sup> *Levasseur, Thérèse* (1721–1801) — partnerka Rousseau, prosta kobieta, poznana przez niego podczas pobytu w Paryżu, urodziła mu pięcioro dzieci, główna spadkobierczyni po jego śmierci. [przypis edytorski]

<sup>376</sup> *jucht* — wyprawiona skóra bydłęca. [przypis edytorski]

<sup>377</sup> *lojówka* (pot.) — świeca z loju. [przypis edytorski]

<sup>378</sup> *Klaryssa Harlowe* — bohaterka popularnego w XVIII w. romansu pt. *Historia Clarissy Harlowe* (1748), napisanego przez angielskiego pisarza Samuela Richardsona. [przypis edytorski]

olbrzymie zasoby, których pozbawił się ten wielki pisarz w zamian za to, aby go czytano w każdej rodzinie świętoszkowatej Anglii. We Francji możesz przeciwstawić urocze błędy i świetne obyczaje katolickiego świata posępnym typom kalwinizmu; wszystko na tle najbardziej dyszącego namiętnością okresu naszych dziejów. Każde prawdziwe panowanie, począwszy od Karola Wielkiego<sup>379</sup>, będzie wymagało co najmniej jednego dzieła, a niektóre czterech lub pięciu, jak Ludwik XIV, Henryk IV, Franciszek I<sup>380</sup>. W ten sposób stworzysz malowniczą historię Francji: odmalujesz kostiumy, sprzęty, domy, wnętrza, życie prywatne, dając równocześnie ducha czasu zamiast opowiadać z mozołem znane fakty. Na tej drodze możesz się stać oryginalny, prostując popularne legendy zniekształcające większość naszych królów. Odważ się w pierwszym dziele przywrócić na piedestał wielką i wspaniałą postać Katarzyny<sup>381</sup>, którą poświęciłeś utartym przesądom. Wreszcie, odmaluj Karola Dziewiątego<sup>382</sup> takim, jakim był, a nie jakim go uczynili protestanccy pisarze. Po dziesięciu latach wytrwałości będziesz miał sławę i fortunę.

Była dziewiąta. Lucjan wszedł w ślady dyskretnej rozrzutności przyjaciela, ofiarując mu obiad u Edona, gdzie wydał dwanaście franków. Podczas tego obiadu Daniel zwierzył mu tajemnicę swoich nadziei i prac. D'Arthez nie uznawał wybitnego talentu bez głębokich wiadomości metafizycznych. W tej chwili nurzał się w bogactwach filozoficznych dawnych i nowych czasów, aby je sobie przyswoić. Chciał być głębokim filozofem, jak Moliere, zanim zaczął pisać komedie. Studiował świat pisany i świat żywy, myśl i fakt. Miał przyjaciół uczonych naturalistów, młodych lekarzy, pisarzy politycznych i artystów, samych ludzi pracowitych, poważnych, rokujących przyszłość. Żył ze sumiennych i skąpo płatnych artykułów w dykjonarzach<sup>383</sup> biograficznych, encyklopedycznych lub przyrodniczych; dostarczał ich zresztą ani mniej, ani więcej, niż było niezbędne, aby wyżyć i móc snuć swoją myśl. D'Arthez miał na warsztacie utwór literacki podjęty tylko po to, aby studiować środki języka. Książkę tę, jeszcze nieskończoną, podejmowaną i rzucaną wedle kaprysu, zachowywał na dni wielkiej nędzy. Był to utwór psychologiczny, kryjący pod formą powieści głębokie perspektywy. Mimo że Daniel, mówiąc o sobie, starał się być skromny, Lucjanowi wydał się olbrzymem. Wychodząc z restauracji o jedenastej, Lucjan powziął żywą przyjaźń dla tej cnoty bez napuszenia, dla tej natury szczytnej bez świadomości o tym. Poeta nie roztrząsał rad Daniela, zastosował się do nich dosłownie. Ten piękny talent, już dojrzały przez myśl i krytykę uprawianą w samotności, dla siebie, nie dla drugich, otworzył mu nagle bramę najwspanialszych pałaców wyobraźni. Mieszkaniec prowincji uczył na wargach dotknięcie żarzącego węgla; słowo paryskiego pracownika znalazło w mózgu poety z Angoulême przygotowaną głębię. Lucjan wziął się do przekuwania swego dzieła.

Szczęśliwy, iż spotkał w pustyni Paryża serce, którego szlachetne uczucia były w harmonii z jego sercem, wielki człowiek z prowincji zrobił to, co czynią wszyscy młodzi ludzie spragnieni uczucia: przywiązał się do d'Artheza jak chroniczna choroba, wstępował po niego, śpiesząc do biblioteki, przechadzał się z nim w pogodne dni po Luksemburgu, towarzyszył mu co wieczór aż do biednego pokoiku, spożywszy obok niego obiad u Flicoteaux, słowem, wtulił się w d'Artheza tak, jak żołnierz przytulał się do sąsiada w mroźnych równinach Rosji. W pierwszych dniach Lucjan zauważył, nie bez

Pieniądz, Jedzenie

Literat

Przyjaźń

<sup>379</sup>Karol Wielki (ok. 742–814) — król Franków i Longobardów, stworzył pierwsze europejskie imperium od czasu upadku cesarstwa zachodniorzymskiego, koronował się na cesarza rzymskiego w Rzymie w 800. [przypis edytorski]

<sup>380</sup>Ludwik XIV, Henryk IV, Franciszek I — Ludwik XIV (1638–1715): król Francji (od 1643), zwany „Królem Słońce”, panujący w okresie szczytowego rozwoju francuskiej monarchii absolutnej; Henryk IV (1553–1610): król Nawarry (od 1572), następnie król Francji (od 1589), pierwszy z dynastii Burbonów, obniżył podatki dla chłopów, zredukował dług publiczny, ogłosił edykt nantejski (1598) gwarantujący wolność wyznania i kończący wojny religijne w kraju; Franciszek I Wależjusz (1494–1547): król Francji (od 1515), wzmocnił władzę królewską, usprawnił finanse państwa, językiem urzędowym ustanowił francuski (zamiast łaciny), finansował biblioteki. [przypis edytorski]

<sup>381</sup>Katarzyna Medycejska (1519–1589) — księżna z rodu włoskich Medyceuszy, żona króla Francji Henryka II, po śmierci swego męża w 1559 wywierała decydujący wpływ na politykę swych synów, kolejnych królów Francji: Franciszka II, Karola IX i Henryka III Wależego. [przypis edytorski]

<sup>382</sup>Karol IX Wależjusz (1550–1574) — król Francji (od 1560); pozostawał pod silnym pod wpływem matki, Katarzyny Medycejskiej, która sprawowała rządy podczas jego małoletności; na jego panowanie przypada początek wojen religijnych we Francji po masakrze hugenotów (francuskich protestantów) w Wassy (1562) oraz krwawa rozprawa z hugenotami w Paryżu (tzw. noc św. Bartłomieja, 1572). [przypis edytorski]

<sup>383</sup>dykjonarz (daw.) — słownik, leksykon a. alfabetyczny spis biografii sławnych osób. [przypis edytorski]



przykrości, pewne skrępowanie jego obecnością, skoro kółko przyjaciół zeszło się razem. Rozmowy tych niepospolitych ludzi, o których d'Arthez mówił mu ze skupionym entuzjazmem, trzymały się w granicach powściągliwości, kłócącej się z oznakami ich żywej przyjaźni. Lucjan wychodził wówczas dyskretnie, odczuwając niejaką przykrość, spowodowaną ostracyzmem, którego był przedmiotem, oraz ciekawością, jaką budziły w nim te nieznanne osobistości; wszyscy bowiem nazywali się tylko po imieniu. Wszyscy nosili na czole, jak d'Arthez, piętno geniuszu. Wreszcie, po tajemnej opozycji zwalczanej bez jego wiedzy przez Daniela, uznano Lucjana godnym zająć miejsce w biesiadzie tych wielkich umysłów. Lucjan mógł wówczas poznać bliżej tych ludzi, spojonych najwyższymi węzłami sympatii i powagą intelektu. Schodzili się prawie co wieczór u d'Artheza. Wszyscy przeczuwali w nim wielkiego pisarza: patrzyli nań jak na swego wodza, od chwili gdy stracili jeden z największych umysłów tej doby, mistycznego geniusza, dotychczasowego swego naczelnika, który, dla przyczyn zbytecznych do wyjaśnienia tutaj, wrócił na prowincję i o którym Lucjan nieraz słyszał pod mianem Ludwika. Łatwo zrozumieć, ile ci ludzie musieli budzić ciekawości i zainteresowania w poecie, wedle miary tych, którzy później doszli, jak d'Arthez, pełni swej sławy; wielu bowiem z nich padło w drodze.

Z tych, którzy żyją jeszcze, był Horacy Bianchon, wówczas medyk w szpitalu Bożego Ciała, później jeden ze świeczników szkoły paryskiej, zbyt znany obecnie, aby było trzeba malować jego postać lub tłumaczyć charakter i umysł. Następnie Leon Giraud, ów wielki filozof, śmiały teoretyk, który przetrząsa wszystkie systemy, sądzi je, streszcza, formuluje i wlece do stóp swego bożyszczka, Ludzkości; zawsze wielki, nawet w swych błędach, uszlachetnionych dobrą wiarą. Ten nieustraszony pracownik, ten sumienny uczony stał się wodzem moralnej i politycznej szkoły, o której wartości czas jedynie może wydać wyrok. Jeżeli przekonania skierowały losy Leona w regiony obce jego towarzyszom, zawsze mimo to pozostał ich wiernym przyjacielem. Sztukę reprezentował Józef Bridau, jeden z najlepszych malarzy młodej szkoły. Gdyby nie tajemne nieszczęścia, na które skazuje go zbyt wrażliwa natura, Józef, który zresztą nie wypowiedział jeszcze ostatniego słowa, byłby mógł podjąć tradycje wielkich mistrzów włoskiej szkoły: ma rysunek rzymski i koloryt wenecki; ale miłość zabija go i kaleczy mu nie tylko serce: miłość topi groty w jego mózgu, paczy mu życie i przyprawia je o najdziwniejsze zygzaki. Jeśli w danej chwili kochanka zbyt go uszczęśliwia lub unieszczęśliwia, Józef zdolny jest wysłać na wystawę to szkice, na których farba zalewa rysunek, to obrazy, które chciał skończyć mimo brzemienia urojonych niedoli i gdzie znów rysunek zaprzął go tak, iż kolor, nad którym panuje w zupełności, zaginął. Zwodzi nieustannie i publiczność, i przyjaciół. Hoffmann<sup>384</sup> ubóstwiałby go za zuchwalstwo, z jakim przesuwają słupy graniczne sztuki, za jego kaprysy, fantazję. Kiedy jest w pełni siły, budzi podziw, napawa się nim i gniewa się, skoro nie znajduje pochwał za dzieła chybione, w których oczy jego duszy widzą to, czego brak jest dla oczu publiczności. Fantasta w najwyższym stopniu, nieraz w obecności przyjaciół niszczył skończony obraz, który mu się wydał nadto „wylizany”.

— Znadto wypracowane — mówił — zbyt szkolarskie!

Oryginalny i wzniosły niekiedy, zna wszystkie nieszczęścia i wszystkie rozkosze nerwowych organizacji, u których doskonałość wyradza się w chorobę. Dowcip ma pokrewny ze Sterne'em<sup>385</sup>, ale bez literackiego opracowania. Jego powiedzenia, rzuty myśli posiadają niesłychaną soczystość. Jest wymowny i umie kochać, ale z domieszką kaprysu, który wnosi w uczucia, jak i w *robotę*. Kochano go w Biesiadzie właśnie za to, co świat mieszczański nazwałby wadami. Wreszcie, Fulgencjusz Ridal, jeden ze współczesnych autorów obdarzonych najwyższą werwą komiczną, poeta bez troski o sławę, rzucający teatrowi jedynie swe najtańsze utwory i zachowujący w seraju<sup>386</sup> swego mózgu, dla siebie, dla przyjaciół, najładniejsze sceny, żądający od publiczności jedynie środków do niezależnego życia, spoczywający na laurach, z chwilą gdy je uzyskał. Leniwy i płodny

Artysta, Miłość

Artysta

<sup>384</sup>Hoffmann, Ernst Theodor Amadeus (1776–1822) — niemiecki pisarz, rysownik i kompozytor, autor opowiadań fantastycznych. [przypis edytorski]

<sup>385</sup>Sterne, Laurence (1713–1768) — powieściopisarz angielski, twórca prądu literackiego zwanego sentymentalizmem. [przypis edytorski]

<sup>386</sup>seraj — pałac władcy w krajach muzułmańskich. [przypis edytorski]

jak Rossini<sup>387</sup>, zniewolony jak wielcy poeci komiczni, jak Molier i Rabelais<sup>388</sup>, rozważać świat ze wszystkich stron, był sceptykiem, umiał śmiać się i śmiał się ze wszystkiego. Fulgencjusz Ridal jest wielkim filozofem praktycznym. Jego znajomość świata, geniusz obserwacji, wgarda dla sławy, którą nazywa błazeństwem, nie wysuszyły mu serca. Równie czynny dla drugich, jak obojętny na własne interesy, jeśli zadaje sobie trud, to dla przyjaciela. Aby nie kłamać swej masce, w istocie rabelaisowskiej, nie gardzi rozkoszami stołu, ale ich nie szuka, jest równocześnie melancholijny i wesoły. Przyjaciele zwą go „psem pułkowym”; nic nie maluje go lepiej niż ten przydomek. Trzej inni, co najmniej równie niepospolici, jak ci czterej, mieli kolejno ulec walce. Najpierw Meyraux, który umarł, obudziwszy wprzód słynną dysputę pomiędzy Cuvierem a Geoffroyem Saint-Hilaire’em<sup>389</sup>, poruszywszy wielkie zagadnienie, które miało podzielić świat naukowy między owych geniuszy równej miary, na kilka miesięcy przed śmiercią tego, który oświadczał się za ścisłą i analityczną wiedzę przeciw żyjącemu jeszcze i czczonemu w Niemczech panteiście<sup>390</sup>. Meyraux był przyjacielem owego Ludwika, którego przedwczesna śmierć miała niebawem wyrwać ze świata intelektu. Do tych dwóch ludzi, obu naznaczonych śmiercią, obu nieznanym dziś mimo ogromu wiedzy i geniuszu, trzeba dodać Michała Chrestien, republikanina wielkiej miary, który marzył o federacji Europy i który w 1830 silnie się zaznaczył w ruchu saintsimonistów<sup>391</sup>. Mąż polityczny na miarę Saint-Justa<sup>392</sup> i Dantona<sup>393</sup>, ale prosty i słodki jak panienka, pełen złudzeń i uczucia, obdarzony melodyjnym głosem, który byłby oczarował Mozarta, Webera<sup>394</sup> lub Rossiniego i śpiewający niektóre piosenki Bérangera<sup>395</sup> w sposób zdolny upoić serce poezją, miłością i nadzieją, Michał Chrestien, biedny jak Lucjan, jak Daniel, jak wszyscy jego przyjaciele, zarabiał na życie z diogeniczną<sup>396</sup> bez troską. Układał skorowidze do wielkich dzieł, prospekty księgarskie, kryjąc zresztą milczeniem swe poglądy, jak grób kryje tajemnice śmierci. Ten wesoły cygan, wielki mąż stanu, który byłby może przemienił oblicze świata, padł jako prosty żołnierz przy kościele Saint-Merri<sup>397</sup>. Kula jakiegoś łyka<sup>398</sup> zabiła jedną z najszlachetniejszych istot, jakie stąpały po ziemi francuskiej. Michał Chrestien zginął za nie swoje przekonania. Jego federacja zagrażała o wiele więcej niż republikanizm europejskiej arystokracji; była racjonalniejsza i mniej dzika niż wariatstwo nieograniczonej wolności głoszone przez młodych szaleńców, którzy się mienili spadkobiercami Konwentu<sup>399</sup>. Śmierć tego szlachetnego plebejusza oplakali wszyscy, co go znali; nie ma wśród nich żadnego, który by nie myślał, i często, o tym wielkim nieznanym polityku.

Tych dziewięć osób składało Biesiadę, w której przyjaźń i szacunek zapewniały jedność

Przyjaźń

<sup>387</sup>Rossini, *Giachino Antonio* (1792–1868) — włoski kompozytor operowy. [przypis edytorski]

<sup>388</sup>Rabelais, *François* (ok. 1484–1553) — francuski pisarz, lekarz, były zakonnik; autor arcydzieła francuskiego renesansu, powieści *Gargantua i Pantagruel*. [przypis edytorski]

<sup>389</sup>Saint-Hilaire, *Étienne Geoffroy* (1772–1844) — francuski zoolog, anatom porównawczy, prekursor myśli ewolucyjnej. W 1794 roku rozpoczął korespondencję z Georges’em Cuvierem, z którym wspólnie opublikował kilka dzieł. W 1830 popadł w ostry spór z Cuvierem i przez dwa miesiące prowadził z nim debatę naukową przed francuską Akademią Nauk na temat planów budowy i stałości gatunków, podkreślając, że wszystkie zwierzęta są uformowane z takich samych zasadniczo elementów, według wspólnego, jednolitego planu, zaś gatunki mogą ulegać zmianom, podczas gdy Cuvier twierdził, że budowa różnych grup organizmów jest różna, a gatunki niezmiennie. Dyskusja była szeroko komentowana przez europejskich naukowców. [przypis edytorski]

<sup>390</sup>czczony w Niemczech panteista — Johann Wolfgang Goethe (1749–1832), wybitny poeta i pisarz niemiecki. [przypis edytorski]

<sup>391</sup>saintsimoniści — zwolennicy doktryny filoz.-społecznej Henriego de Saint-Simon (1760–1825), socjalizmu utopijnego. [przypis edytorski]

<sup>392</sup>Saint-Just, *Louis de* (1767–1794) — jeden z przywódców Rewolucji Francuskiej, jakobin, zwolennik Robespierre’a, zasłynął z rewolucyjnego zaangażowania i bezwzględności. [przypis edytorski]

<sup>393</sup>Danton, *George* (1759–1794) — mówca i jeden z największych mężów stanu w czasie Rewolucji Francuskiej; oskarżony o działalność kontrrewolucyjną, został stracony. [przypis edytorski]

<sup>394</sup>Weber, *Karol Maria von* (1786–1826) — niemiecki kompozytor, twórca wielu oper i koncertów fortepianowych. [przypis edytorski]

<sup>395</sup>Béranger, *Pierre Jean de* (1780–1857) — francuski poeta, autor piosenek. [przypis edytorski]

<sup>396</sup>diogeniczny — taki jak u Diogenesa z Synopy (413–323 p.n.e.), greckiego filozofa znanego z pogardy wobec dóbr materialnych i wygod. [przypis edytorski]

<sup>397</sup>padł jako prosty żołnierz przy kościele Saint-Merri — podczas powstania republikanów w Paryżu, 5–6 czerwca 1832; przy kościele i klasztorze Saint Merri znajdowała się największa barykada i ostatni bastion powstańców, broniony przez kilkaset osób. [przypis edytorski]

<sup>398</sup>lyk (daw.) — pogard.: mieszczanin. [przypis edytorski]

<sup>399</sup>Konwent — Konwent Narodowy, rewolucyjne przedstawicielstwo ludu francuskiego po obaleniu monarchii w latach 1792–1795. [przypis edytorski]

wśród najsprzeczniejszych idei i doktryn. Daniel d'Arthez, szlachcic pikardzki, oświadczał się za monarchią z równym przekonaniem, z jakim Michał Chrestien głosił swój europejski federalizm. Fulgencjusz Ridal drwił z filozoficznych doktryn Leona Giraud, który znówuż przepowiadał d'Arthezowi koniec chrystianizmu i rodziny. Michał Chrestien, który wierzył w Chrystusa, boskiego prawodawcę równości, bronił nieśmiertelności duszy przeciw skalpelowi Bianchona, umysłu na wskroś analitycznego. Wszyscy dyskutowali, nie dysputując. Nie znali próżności, sami dla siebie stanowiąc audytorium. Dzielili się wynikami prac i wspierali się wzajem radą z cudowną dobrą wiarą młodości. Jeśli chodziło o rzecz poważną, oponent porzucał swoje mniemania, aby wejść w idee przyjaciela, tym gorliwszy w pomocy, ile że był bezstronny w sprawie lub w dziele wychodzących poza obręb jego myśli. Prawie wszyscy odznaczyli się słodyczą i tolerancją: dwa przymioty świadczące o ich wyższości. Zawieść, ten okropny przywilej zawiedzionych nadziei, poronionych talentów, chybionych sukcesów, zranionych pretensji, była im obca. Kroczyli zresztą rozmaitymi drogami. Toteż każdy, kogo, jak Lucjana, dopuszczono do towarzystwa, czuł się w nim dobrze. Prawdziwy talent jest zawsze naiwny i dobroduszny, otwarty, nienadęty; dowcip jest zawsze u niego igraszką myśli, nie godzi nigdy w miłość własną. Z chwilą gdy przybysz ocknął się z pierwszego wzruszenia zbudzonego uczuciem szacunku, doświadczał nieskończonej słodyczy w towarzystwie tych rzadkich młodzieńców. Poufalość nie wykluczała poczucia swej wartości; każdy żywił głęboki szacunek dla drugiego; wreszcie, ponieważ każdy bywał kolejno dobroczyńcą lub obdarowanym, przyjmowali wzajemną pomoc bez wzdragania. Rozmowy, pełne uroku a nienużące, ogarniały najróżnorodniejsze przedmioty. Lekkie jak strzała słowa wnikały w głąb, mimo iż padały szybko. Materialna nędza i bogactwa intelektu tworzyły osobliwy kontrast. Tam, jeżeli ktoś myślał o realnościach życia, to chyba po to, aby w nich znaleźć przedmiot do przyjacielskich żarcików. Jednego dnia, kiedy zimno przedwcześnie dało się uczuć, pięciu przyjaciół d'Artheza przybyło z tą samą myślą: wszyscy przynieśli pod płaszczem drwa, jak w owych sielskich ucztach, gdzie każdy z zaproszonych ma dostarczyć jedno danie i wszyscy przynoszą pasztet. Wszyscy obdarzeni byli ową pięknnością moralną, która odbija się w formie zewnętrznej i która zarówno jak praca i czuwanie złości młode twarze jakimś boskim odbłaskiem. Rysy mieli nieco zmęczone, ale oczyszczone i zharmonizowane skromnością życia i ogniem myśli. Czola ich odznaczały się poetyczną wyrazistością. Żywe i błyszczące oczy świadczyły o życiu bez zmazy. Kiedy im doskwierała nędza, umieli ją znosić tak wesoło, dzielić ją z takim zapałem, że nie mąciła ona bynajmniej ich pogody. Pogoda jaśniała też na twarzy tych młodych ludzi, wolnych jeszcze od ciężkich błędów. Nie splamili się żadnym z owych kompromisów, do jakich nagina bunt przeciw ubóstwu, chęć dojścia do celu bez wyboru środków i łatwa pobłażliwość, z jaką ludzie pióra przyjmują albo puszczają w niepamięć zdrady. To, co czyni przyjaźń nierozzerwalną i zdwaja jej urok, to uczucie, którego brak jest miłości: ufność. Byli pewni siebie wzajem: wróg jednego stawał się wrogiem wszystkich, byliby podeptali własne najpilniejsze interesy dla świętej solidarności serc. Niezdolni do podłości, mogli śmiało spojrzeć w oczy wszelkiemu oskarżeniu i bronić się wzajem z zupełną pewnością. Jednakże szlachetni sercem i silni uczuciem, mogli w sferze wiedzy i inteligencji wszystko pomyśleć i wszystko sobie powiedzieć; stąd niewinność ich zachowania i wesołość rozmów. Umysł ich, pewien wzajemnego porozumienia, igrał swobodnie; toteż nie robili z sobą ceremonii, zwierzali sobie troski i radości, myśleli i cierpieli pełnym sercem. Urocze dowody delikatności, które czynią z bajki o *Dwóch przyjaciółach*<sup>400</sup> skarb dla wielkich dusz, były u nich czymś codziennym. Trudność ich w dopuszczeniu nowego przybysza była zrozumiała: zbyt byli świadomi własnej wielkości i szczęścia, aby je mącić nowym i nieznanym elementem.

Ta federacja uczuć i interesów trwała bez wstrząśnień i zawodów dwadzieścia lat. Śmierć jedynie, zabierając im Ludwika Lambert, Meyraux i Michała Chrestien, mogła uszczuplić tę szlachetną plejadę. Kiedy w roku 1832 ten ostatni padł, Horacy Bianchon, Daniel d'Arthez, Leon Giraud, Józef Bridau, Fulgencjusz Ridal poszli, mimo niebezpieczeństw tego kroku, zabrać jego ciało z Saint-Merri, aby mu oddać ostatnią posługę wobec rozpalonego oblicza polityki. Odprowadzili drogę szczątki w nocy na Père-

Przyjaźń, Miłość

Przyjaźń

<sup>400</sup>*Dwaj przyjaciele* — bajka La Fontaine'a (ks. VIII, bajka 11). [przypis edytorski]

-Lachaise<sup>401</sup>. Horacy Bianchon usunął wszystkie trudności, nie cofnął się przed żadnym krokiem; uprosił ministrów, wyznając swą dawną przyjaźń dla poległego federalisty<sup>402</sup>. Wzruszająca ta scena wyrzyła się w pamięci nielicznych przyjaciół, którzy towarzyszyli pięciu sławnym ludziom. Przechadzając się po tym wykwintnym cmentarzu, ujrzenie nabyte na wieczność kawał ziemi, gdzie wznosi się grób z darni i czarny drewniany krzyż. Na krzyżu wryte są czerwonymi literami dwa słowa: Michał Chrestien. Jest to jedyny pomnik w swoim stylu. Przyjaciele sądzili, iż temu pełnemu prostoty człowiekowi trzeba oddać hołd z tą samą prostotą.

To zimne poddasze urzeczywistniało tedy najpiękniejsze marzenia serca. Tam bracia, wszyscy jednakowo tędzy w rozmaitych gałęziach wiedzy, oświecali się wzajem z dobrą wiarą, wyznając sobie wszystko, nawet swoje złe myśli. Wszyscy posiadali olbrzymie wykształcenie i wszyscy doświadczeni byli w próbach nędzy. Raz dopuszczony między te wyborowe istoty i przyjęty za swego, Lucjan wcielał tam poezję i piękność. Przeczytał swoje sonety, które wzbudziły zachwyt. Dopraszano się o sonet, jak on prosił Michała Chrestiena o piosenkę. W pustyni Paryża Lucjan znalazł tedy oazę przy ulicy des Quatre-Vents.

Z początkiem października Lucjan, obróciwszy resztę pieniędzy na zakup drzewa, został bez środków w pełni najzarliwszej pracy, mianowicie przetapiania swego dzieła. Daniel d'Arthez palił torfem i znosił heroicznie nędzę; nie skarżył się, był systematyczny jak stara panna i podobny do skąpca swą metodycznością. Ten hart podsycił wytrwałość Lucjana, który, niedawno należąc do grona, miał nieprzemyślany wstręt do mówienia o swojej nędzy. Jednego dnia zapuścił się na ulicę du Coq, aby sprzedać *Gwardzistę Karola IX* staremu Doguereau, ale go nie zastał. Lucjan nie wiedział, ile w wielkich duszach mieszka pobłażliwości. Każdy z jego przyjaciół pojmował słabości właściwe poetom, odpływy po napięciach duszy zaognionej kontemplacją natury, której odtwarzanie jest ich posłannictwem. Ci ludzie, tak silni wobec własnych niedoli, byli tkliwi dla nieszczęść Lucjana. Domyślili się jego braków. Słodkie tedy wieczory gawęd, głębokich roztrząsań, poezji, zwierzeń, lotów pełnymi skrzydłami w sfery inteligencji, w przyszłość narodów, w historię Biesiada ozdobiła rysem, który dowodzi, jak mało Lucjan zrozumiał nowych przyjaciół.

— Lucjanie, mój drogi — rzekł Daniel — nie przyszedłeś wczoraj do Flicoteaux, wiemy przyczynę.

Lucjan nie mógł wstrzymać łez, które spłynęły mu po licach.

— Nie miałeś zaufania do nas — rzekł Michał Chrestien — a przecież w dziesięciu potrafimy zapewne czegoś dokonać...

— Wszyscy, jak nas tu widzisz — rzekł Bianchon — znaleźliśmy jakiś dodatkowy zarobek: ja, z polecenia Despleina, pielęgnowałem bogatego mieszczucha; d'Arthez machnął artykuł dla „Przeglądu Encyklopedycznego”<sup>403</sup>; Chrestien godził się już zaśpiewać publicznie parę piosenek, ale znalazł zamówienie na broszurę dla jegomościa, który pragnie wejść w politykę: uciął mu Makiawela za całe sześćset franków! Leon Giraud pożyczył pięćdziesiąt franków u księgarza, Józef posprzedawał jakieś kicze, Fulgencjusz zaś wystawił w niedzielę sztukę i miał nabitą salę.

— Oto dwieście franków — rzekł Daniel — weź je i niech się to już nie powtórzy.

— Patrzajcie, on się nam na szyję rzuca, jakbyśmy zrobili coś nadzwyczajnego! — rzekł Chrestien.

Aby dać pojęcie o rozkoszach, jakich doznawał Lucjan wśród tej żywej encyklopedii anielskich duchów, tych młodzieńców, z których każdy nosił znamię oryginalności płynącej z uprawianej przezeń gałęzi wiedzy, wystarczy przytoczyć odpowiedzi, jakie otrzymał nazajutrz na list napisany do rodziny, arcydzieło tkliwości, zapału, przeraźliwy krzyk, jaki dobyła zeń rozpacz.

Dawid Séchard do Lucjana

Drogi Lucjanie, znajdziesz w tym liście weksel trzymiesięczny, na Twoje zlecenie, na sumę dwustu franków. Możesz go zrealizować przez pana

<sup>401</sup> *Père-Lachaise* — największy i najświetniejszy cmentarz paryski. [przypis edytorski]

<sup>402</sup> *federalista* — zwolennik federalizmu, tu: ustroju społecznego będącego związkiem samodzielnych wspólnot, bez centralnego rządu. [przypis edytorski]

<sup>403</sup> „Przegląd Encyklopedyczny” — „Revue encyclopédique”, francuski miesięcznik poświęcony nauce, literaturze i sztuce, wydawany w l. 1819–1833. [przypis edytorski]

Métivier, handlarza papieru, naszego dostawcy w Paryżu, ul. Serpente. Mój dobry Lucjanie, nie mamy absolutnie nic. Ewa wzięła się do prowadzenia drukarni i wywiązuje się z tego z poświęceniem, cierpliwością, energią, które każą mi błogosławić niebo, iż dało mi za żonę takiego anioła. Ona sama uznała niemożność udzielenia Ci najlżejszej pomocy. Ale, drogi przyjacielu, sądzę, że jesteś na tak pięknej drodze, w otoczeniu serc tak wielkich i szlachetnych, że nie możesz chybić swego losu, wsparty pomocą boskiej niemal inteligencji owych ludzi, których Twój drogi list dał nam poznać. Bez wiedzy Ewy podpisałem przeto ten oblig<sup>404</sup>; znajdę jakiś sposób, aby go wyrównać. Nie schodź ze swej drogi: jest twarda, ale będzie chlubna. Wolałbym przecierpieć tysiąc nieszczęść, niż żyć z myślą, że wpadłeś w jakieś bagno Paryża: widziałem ich tyle!... Unikaj, jak dotąd, podejrzanych miejsc, złych ludzi, wartogłów<sup>405</sup> i pewnego typu literatów, których w czasie pobytu w Paryżu nauczyłem się cenić wedle prawdziwej wartości. Słowem, bądź godnym współzawodnikiem niebiańskich duchów, które dałeś mi pokochać. Postępowanie Twoje znajdzie niebawem nagrodę. Bądź zdrow, ukochany bracie; napełniłeś radością me serce; nie spodziewałem się po Tobie tyle męstwa.

*Dawid*

Ewa Séchard do Lucjana

Mój drogi, Twój list wycisnął nam łzy. Niech te szlachetne serca, ku którym dobry anioł Cię zawiódł, wiedzą o tym: matka oraz biedna kobieta modlą się za nich rano i wieczór do Boga; a jeśli najzarliwsze modły docho-  
dzą Jego tronu, uzyskają nieco łaski dla was wszystkich. Tak, bracie, imiona ich wryte są w moim sercu. Och, ujrzę ich kiedyś. Pójdę, choćbym miała wędrować pieszo, podziękować im za przyjaźń dla Ciebie, rozlała bowiem niby balsam na moje żywe rany. Tu, drogi bracie, pracujemy jak wyrob-  
nicy. Mój mąż, ten nieznanany wielki człowiek, którego z każdym dniem więcej kocham, odkrywając coraz nowe bogactwa w jego sercu, zaniedbuje drukarnię i zgaduję, czemu: nędza Twoja, nasza, matki — zabijają go. Nasz ubóstwiany Dawid jest niby Prometeusz pożerany przez sępa zgryzoty, żółtej zgryzoty o ostrym dziobie. O sobie ten szlachetny człowiek nie myśli, wierzy w zdobycie fortuny. Spędza całe dnie na doświadczeniach z dziedziny wyrobu papieru; prosił mnie, abym się zajęła sprawami, w których pomaga mi o tyle, o ile pozwalają mu jego prace. Niestety! Jestem w odmiennym stanie. To wydarzenie, które byłoby mnie przepełniło radością, zasmuca mnie w położeniu, w jakim jesteśmy. Biedna matka odmłodziła jakby i znalazła siłę, aby wrócić do męczącego zawodu pielęgniarstwa. Gdyby nie troski pieniężne, byłibyśmy szczęśliwi. Stary Séchard nie chce dać ani szeląga; Dawid próbował pożyczyć od niego parę talarów, aby Ci dopomóc, list Twój doprowadził go do rozpacz. „Znam Lucjana — mówił — straci głowę i narobi głupstw”. Połajałam go. „Mój brat miałby zbroczyć w czymkolwiek z zacnej drogi!... — odparłam. — Lucjan wie, że umarłabym z bólu”. Obie z matką, bez wiedzy Dawida, zastawiłyśmy parę drobiazgów; matka wykupi je, skoro uskłada trochę. Zdołałyśmy tą drogą uciąć jakieś sto franków, które przesyłam. Nie miej mi za złe, drogi, że nie odpowiedziałam na pierwszy list. Byliśmy w położeniu pochłaniającym dnie i noce, pracowałam jak mężczyzna. Doprawdy nie przypuszczałam w sobie tyle siły. Pani de Bargeton jest kobietą bez duszy i bez serca; nawet nie kochając Cię już, samej sobie była winna, aby się Tobą opiekować i pomagać Ci. Wyrwała Cię z naszych

<sup>404</sup>oblig (daw.) — zobowiązanie, zwłaszcza na piśmie. [przypis edytorski]

<sup>405</sup>wartogłów (daw.) — narwaniec. [przypis edytorski]

objąć, aby Cię rzucić w straszne morze paryskie, gdzie trzeba istnego cudu, aby spotkać szczerą przyjaźń w tym odmęcie ludzi i spraw! Nie ma jej co żalować. Pragnęłabym przy Tobie kobiety oddanej, drugiej mnie, ale teraz, kiedy wiem, że masz przyjaciół, którzy zastępują Ci nasze uczucia, jestem spokojna. Rozwiń skrzydła, mój piękny, ukochany geniuszu! Będziesz naszą chlubą, jak już jesteś naszą miłością.

*Ewa*

Moje drogie dziecko, po tym, co Ci pisze siostra, mogę Cię tylko pobłogosławić i zapewnić, że moje modlitwy i myśli są, niestety! wszystkie pełne Ciebie, z uszczerbkiem tych, których mam przy boku; są bowiem serca, w których nieobecni nie tracą, lecz zyskują, i takim jest serce Twojej

*Matki*

W ten sposób w dwa dni później Lucjan mógł zwrócić przyjaciółom pożyczkę ofiarowaną z takim wdziękiem. Nigdy może życie nie zdało mu się piękniejsze, ale odruch jego ambicji nie uszedł głębokiego spojrzenia przyjaciół oraz ich wrażliwości.

— Można by myśleć, że lękasz się zawdzięczać nam cośkolwiek — wykrzyknął Fulgencjusz.

— Och, radość jego jest według mnie bardzo znacząca — rzekł Michał Chrestien — i potwierdza moje spostrzeżenie: Lucjan jest próżny.

— Jest poetą — rzekł d'Arthez.

— Czy bierzecie mi za złe uczucie tak naturalne w tej chwili?

— Trzeba mu liczyć za dobre, że go nam nie ukrywał — rzekł Leon Giraud — jeszcze jest szczerzy; ale obawiam się, aby w przyszłości nie zaczął się nas lękać.

— Czemu? — spytał Lucjan.

— Czytamy w twoim sercu — odparł Józef Bridau.

— Jest w tobie — rzekł Michał Chrestien — pierwiastek diaboliczny, którym usprawiedliwiasz we własnych oczach rzeczy najsprzeczniejsze z naszymi zasadami: miast być sofistą<sup>406</sup> myśli, będziesz sofistą uczynków.

— Och, boję się o to — rzekł d'Arthez. — Lucjanie, będziesz staczał w duchu wzniosłe dyskusje, w których będziesz wielki, a których owocem będą uczynki naganne... Nie będziesz nigdy w zgodzie z sobą.

— Na czym opieracie swój akt oskarżenia? — spytał Lucjan.

— Próżność twoja, drogi poeto, jest tak wielka, że barwisz nią nawet przyjaźń! — wykrzyknął Fulgencjusz. — Wszelka tego rodzaju próżność świadczy o strasliwym egoizmie, egoizm zaś jest trucizną przyjaźni.

— Och Boże! — wykrzyknął Lucjan. — Więc wy nie wiecie, jak bardzo was kocham?

— Gdybyś nas kochał, jak my się kochamy, czy byłbyś z takim pośpiechem i emfazą oddawał nam to, cośmy ofiarowali ci z taką przyjemnością?

— Tu nikt nic drugiemu nie pożycza, ale daje — rzekł szorstko Józef Bridau.

— Nie miej nas za twardych, drogie dziecko — rzekł Michał Chrestien — my jesteśmy tylko przewidujący. Lękamy się, iż któregoś dnia przelożysz może słodcze drobnej zemsty nad uciechy czystej przyjaźni. Czytaj *Tassa*<sup>407</sup> Goethego, największe dzieło tego szczytnego geniusza, a ujrzysz tam, że poeta lubi błyszczące materie, uczyty, triumfy, blask: otóż bądź Tasseem bez jego szaleństwa. Świat i jego uciechy będą cię wołać? Zostań tu... Przenieś w krainę myśli wszystko, czego żądasz od swojej próżności. A skoro już musisz

<sup>406</sup>sofista (pot.) — filozof uczący fałszywej a skutecznej argumentacji bądź osoba stosująca ją. [przypis edytorski]

<sup>407</sup>Torquato Tasso — sztuka Goethego z 1870, opowiadająca o XVI-wiecznym włoskim poccie, który podziwiany i wychwalany, stopniowo osuwa się w szaleństwo. [przypis edytorski]

spłacić dług szaleństwu, niech cnota będzie w twoich uczynkach, a występki w myśli, zamiast byś, jak mówi d'Arthez, dobrze myślał, a źle czynił.

Lucjan spuścił głowę: przyjaciele mieli słuszość.

— Wyznaję, że nie jestem tak silny jak wy — rzekł, rzucając im uroczne spojrzenie. — Nie mam ramion i barków dość krzepkich, aby udźwignąć Paryż, walczyć jak bohater. Natura dała nam odmienne temperamenty i zdolności, a wy znacie lepiej niż ktokolwiek kulisy występków i cnót. Jestem już znużony, wyznaję.

— Będziemy cię podtrzymywać — rzekł d'Arthez — to właśnie rola wiernej przyjaźni.

— Pomoc, jaką otrzymałem, jest znikoma, jesteśmy wszyscy w biedzie; niebawem potrzeba znowu mnie przycisnąć. Chrestien, wynajmujący przygodnie swe pióro, nie ma wpływu w księgarstwie. Bianchon jest poza kręgiem tego rodzaju spraw. D'Arthez zna jedynie firmy naukowe i specjalne, które nie mają nic wspólnego z wydawcami nowości; Horacy, Fulgencjusz Ridal i Bridau pracują w sferze idei będących o sto mil od wszelkiego handlu. Muszę się zdobyć na decyzję.

— Trzymaj się naszej: cierpieć! — rzekł Bianchon. — Cierpieć mężnie i ufać pracy!

— Ale to, co dla was jest tylko cierpieniem, dla mnie jest śmiercią — rzekł żywo Lucjan.

— Nim kur po trzykroć zapieje — rzekł z uśmiechem Leon Giraud — ten człowiek zdradzi pracę dla lenistwa i grzechów Paryża.

— Dokąd praca was zaprowadziła? — rzekł Lucjan, śmiejąc się.

— Kiedy się jedzie z Paryża do Włoch, nie spotyka się Rzymu w pół drogi — rzekł Józef Bridau. — Dla ciebie groszek zielony powinien rosnąć już przyrządzony na masło.

— Ten cud dzieje się tylko dla pierworodnych synów parów<sup>408</sup> Francji — rzekł Michał Chrestien. — Ale my, biedacy, siejemy groszek sami, podlewamy go i lepiej nam smakuje.

Rozmowa zesłała na żartobliwe tory; zmieniono przedmiot. Te przenikliwe umysły, te delikatne serca starały się zatrzeć małą sprzeczkę w pamięci Lucjana, który od tego czasu zrozumiał, jak trudno ich oszukać. Stopniowo ogarniała go rozpacz, którą starannie ukrywał przyjaciółom, uważając ich za nieubłaganych mentorów. Natura południowca, przebiegająca tak łatwo całą klawiaturę uczuć, rodziła w nim najsprzeczniesze postanowienia.

Kilkakrotnie oświadczał zamiar rzucenia się w dziennikarstwo; zawsze przyjaciele odpowiadali:

— Niechże cię Bóg broni!

— Tam byłby grób pięknego, słodkiego Lucjana, którego znamy i kochamy — rzekł d'Arthez.

— Nie oparłbyś się ustawicznemu kontrastowi pracy i zabawy, który jest treścią życia dziennikarzy; otóż umieć się oprzeć — to podstawa cnoty. Byłbyś tak oczarowany władzą, prawem życia i śmierci nad dziełami myśli, że stałbyś się dziennikarzem w dwa miesiące. Być dziennikarzem — to dzierżyć władzę prokonsula<sup>409</sup> w republice pióra. Kto może wszystko powiedzieć, dochodzi do tego, że może wszystko zrobić. To Napoleon wyrzekł to zdanie i jest ono dość zrozumiałe.

— Czyż nie będziecie przy mnie? — rzekł Lucjan.

— Nie będziemy! — wykrzyknął Fulgencjusz. — Raz będąc dziennikarzem, tak samo nie będziesz myślał o nas, jak tancerka opery, świetna, ubóstwiana, nie myśli w wybitej jedwabiem karcie o swojej wiosce, krowach i sabotach. Aż nadto posiadasz przymiotów dziennikarza: błyskotliwość i zwinność myśli. Nie zdołasz sobie odmówić dowcipnego słówka, choćby miało wycisnąć łzy z oczu przyjaciela. Spotykam dziennikarzy za kulisami: wstręt budzą we mnie. Dziennikarstwo to piekło, otchłań niesprawiedliwości, kłamstwa, zdrady, której nie można przejść i z której nie można wyjść czystym, chyba mając za przewodnika, jak Dante, boski laur Wergilego<sup>410</sup>.

<sup>408</sup> *par* — członek wyższej izby parlamentu we Francji w latach 1814–1848. [przypis edytorski]

<sup>409</sup> *prokonsul* — w starożytnym Rzymie tytuł nadawany od I w. p.n.e. konsulom po zakończeniu kadencji, równoznaczny z objęciem funkcji zarządu przydzielonej prowincji, z szerokimi uprawnieniami administracyjnymi, wojskowymi i sądowymi. [przypis edytorski]

<sup>410</sup> *mając za przewodnika, jak Dante, boski laur Wergilego* — w *Boskiej komedii* Dantego jego przewodnikiem po piekle i czyszcisku jest rzymski poeta Wergiliusz. [przypis edytorski]

Im więcej przyjaciele bronili Lucjanowi tej drogi, tym bardziej chęć poznania niebezpieczeństwa wabiła go; już zaczynał zadawać sobie pytanie: czy nie byłoby śmieszne dać się jeszcze raz zagarnąć nędzy, nie spróbowałszy się jej bronić? Zrażony niepowodzeniem z pierwszym romansem, Lucjan niewiele miał chęci brać się do drugiego. Zresztą, z czegoż by żył? Wyczerpał przez ten miesiąc prywatności<sup>411</sup> zapas cierpliwości. Czyż nie mógłby robić uczciwie i szlachetnie tego, co dziennikarze robią bez sumienia i godności? Przyjaciele obrażali go nieufnością, chciał im dowieść swojej siły ducha. Może zdoła im dopomóc kiedyś, stanie się heroldem ich sławy!

— Zresztą, cóż to za przyjaźń, która cofa się przed solidarnością? — spytał jednego dnia Michała Chrestien, którego odprowadził do domu w towarzystwie Leona Giraud.

— Nie cofamy się przed niczym — odparł Michał Chrestien. — Gdybyś miał nieść zbrodnię, pomógłbym ci ukryć zbrodnię i mógłbym cię jeszcze szanować; ale gdybyś został szpiegiem, unikałbym cię ze wstrętem, gdyż stałbyś się podły i bezecny świadomie. Oto dziennikarstwo ujęte w dwóch słowach. Przyjaźń wybacza błąd, odruch namiętności; ale musi być nieubłagana dla rozmyślnego handlu duszą, mózgiem i myślą.

— Czy nie mógłbym zostać dziennikarzem, aby sprzedać zbiorek poezji i powieść, a później opuścić dziennik?

— Makiawel postąpiłby w ten sposób, ale nie Lucjan de Rubempré — odparł Leon Giraud.

— Dobrze więc — wykrzyknął Lucjan — dowiodę wam, że umiem być Makiawelem.

— Ha — wykrzyknął Michał, ściskając rękę Leona — zgubiłeś go tą uwagą! Lucjanie — rzekł — masz trzysta franków, to znaczy życie bez troski przez trzy miesiące; pracuj, napisz drugi romans, d'Arthez i Fulgencjusz pomogą ci stworzyć plan; pogłębisz się, będziesz powieściopisarzem. Ja zapuszczę się w te lupanary<sup>412</sup> myśli, zostanę dziennikarzem na trzy miesiące, sprzedam twoje książki jakiemuś księgarzowi, napadając na jego wydawnictwa, napiszę ci recenzję, zdobędę je dla ciebie; zorganizujemy triumf, będziesz wielkim człowiekiem, a zostaniesz naszym Lucjanem.

— Nisko mnie cenisz, sądząc, iż zginę tam, skąd ty wyjdiesz cało — rzekł poeta.

— Przebacz mu, dobry Boże, to dziecko! — wykrzyknął Michał.

Rozszerzywszy swój horyzont dzięki wieczorom u d'Artheza, Lucjan wziął się do studiowania konceptów i artykułów na szpaltach małych dzienniczków. Pewien, że jest co najmniej równy najzdolniejszym w tym zakresie, próbował się sekretnie w tej gimnastyce myśli. Wreszcie jednego ranka wyszedł z triumfalną myślą poproszenia o służbę u jakiego pułkownika tych lekkich szwadronów prasy. Włożył najwykwintniejsze szaty i minął most z nadzieją, iż autorzy, dziennikarze, pisarze, słowem: przyszli koledzy, okażą więcej czułości i bezinteresowności niż dwa typy księgarzy, o których rozbiły się jego złudzenia. Spotka się zapewne z sympatią, z braterstwem, tak jak je znalazł przy ulicy des Quatre-Vents. Wydany na pastwę wzruszeń i przecuć, to zwalczanych, to zwycięskich, tak pełnych uroku dla poety, przybył na ulicę Saint-Fiacre, opodal bulwaru Montmartre, pod dom, gdzie mieścił się lokal dzienniczka. Serce biło mu niby młodemu człowiekowi wchodzącemu w bramę podejrzanego domu. Mimo to wszedł do biura położonego na półpiętrze. W pierwszym pokoju, przedzielonym na dwie części przepierzeniem skleconym częściowo z kraty, częściowo z desek, a sięgającym aż do sufitu, zastał inwalidę, który jedną ręką przytrzymał na głowie pakę papieru, w zębach zaś trzymał książeczkę kontrolną urzędu stemplowego. Ten biedny człowiek, o żółtawej, usianej czerwonymi pryszczami twarzy, która mu zyskała epitet Pomidora, wskazał Lucjanowi cerbera<sup>413</sup> siedzącego za kratą. Był to stary oficer, z wstążeczką Legii<sup>414</sup>, o krzaczastych, siwiejących wąsach, w czarnej jedwabnej czapeczce na głowie, zatulony w obszerny niebieski surdut niby żółw w skorupę.

— Od którego dnia życzy sobie szanowny pan abonament? — spytał ów oficer Cesarstwa.

— Nie przychodzę po abonament — odparł Lucjan.

<sup>411</sup>prywatność — ograniczenie, obywanie się bez czegoś. [przypis edytorski]

<sup>412</sup>lupanar (daw.) — dom publiczny. [przypis edytorski]

<sup>413</sup>Cerber (mit. gr.) — trzygłowy pies, pilnujący wejścia do krainy zmarłych; tu przen.: groźny strażnik. [przypis edytorski]

<sup>414</sup>Legia Honorowa — najwyższy order francuski, ustanowiony przez Napoleona I w 1802 r. [przypis edytorski]



W tej chwili poeta spostrzegł nad drzwiami, naprzeciw wejścia, kartę, na której były te słowa:

## BIURA REDAKCJI

poniżej zaś:

### WSTĘP PUBLICZNOŚCI WZBRONIONY

— Jakaś reklamacja? — podjął napoleończyk. — Och, tak; byliśmy ciężcy dla panny Mariety. Co pan chce? Ja sam nie wiem czemu. Ale jeżeli panu chodzi o satysfakcję, jestem gotów — dodał, spoglądając na floretty i pistolety, nowoczesny ryszunek rycerski, dekoracyjnie umieszczony na ścianie.

— Ani to, szanowny panie. Pragnąłbym mówić z naczelnym redaktorem.

— Nie ma tu nigdy nikogo przed czwartą.

— Słuchaj no, mój stary Giroudeau, wypada mi jedenaście kolumn, które po pięć za sztukę czynią pięćdziesiąt pięć franków; dostałem czterdzieści; winien mi jesteś jeszcze piętnaście franków, jak ci mówiłem...

Słowa te wyszły z małej, lisiej twarzy, bezbarwnej jak źle ugotowane białko. Jasnoniebieskie oczki iskrzyły się groźną złośliwością i sprytem. Wszystko to należało do szczupłego młodego człowieka, ukrytego poza korpulentną postacią ekwojskowego. Głos ten zmroził Lucjana, miał coś z miauczenia kota i z astmatycznego dławienia się hieny.

— Tak, młody milicjancie — odparł pensjonowany oficer — ale ty liczysz tytuły i „białe”<sup>415</sup>: otóż mam rozkaz Finota zsumować ilość wierszy i podzielić je przez ilość przepisaną dla jednej kolumny. Po dokonaniu na twoich płodach tej bolesnej operacji okazało się o trzy kolumny mniej.

— Nie płaci szpeku<sup>416</sup>, opryszek! Ale liczy go współnikowi w koncie wierszowego. Pójdę porozumieć się ze Stefanem Lousteau, z Felicjanem...

— Cóż robić! Rozkaz to rozkaz, mój mały — rzekł oficer. — Jak to! O piętnaście franków podnosisz wrzask przeciw swej żywicielce, ty, który kropisz artykuły tak łatwo, jak ja palę cygaro! Ech, zapłacisz jedną wazkę ponczu mniej swoim kompanom albo wygrasz jedną partię bilardu więcej i już rzecz wyrównana!

— Finot robi oszczędności, które wypadną mu bardzo drogo — odparł dziennikarz, wstając i opuszczając biuro.

— Nie powiedziałby kto, że to sam Wolter i Rousseau w jednej osobie? — rzekł do siebie kasjer, spoglądając na poetę z prowincji.

— Wróć około czwartej, proszę pana — rzekł Lucjan.

Podczas tej sprzeczki Lucjan ujrzał na ścianach portrety Beniamina Constanta<sup>417</sup>, generała Foy<sup>418</sup>, siedemnastu słynnych mówców liberalnych, wiszące między antyrządowymi karykaturami. Patrzał zwłaszcza na drzwi sanktuarium: tam musiał się rodzić dowcipny dzienniczek, który bawił go co dzień i który cieszył się przywilejem ośmieszania królów, najpoważniejszych wydarzeń, słowem, zaczepiania wszystkiego zręcznym konceptem. Lucjan poszedł wałęsać się po bulwarach. Przyjemność ta, zupełnie dlań nowa, pochłonęła go tak, iż ujrzał na zegarze czwartą, nim mu na myśl przyszło, że jeszcze nie śniadał. Wrócił szybko na ulicę Saint-Fiacre, wszedł na schody, otworzył, nie znalazł na dawnym miejscu starego żołnierza; inwalida natomiast siedział na pace stemplowanego papieru<sup>419</sup>, zajadając kromkę chleba i strzegąc posterunku z miną pełną rezygnacji,

<sup>415</sup>*białe* (żarg. drukarski) — pusta, niepokryta drukiem część wiersza. [przypis edytorski]

<sup>416</sup>*szpek* (żarg. drukarski, z niem. *Speck*: słonina) — pełne wynagrodzenie płacone za skład niepełnego wiersza, tylko częściowo wypełniającego kolumnę druku. [przypis edytorski]

<sup>417</sup>*Constant, Benjamin* (1767–1830) — polityk i pisarz francuski, autor m.in. powiastki *Adolf* i licznych dzieł z zakresu filozofii politycznej. [przypis edytorski]

<sup>418</sup>*Foy, Maximilien Sébastien* (1775–1825) — francuski dowódca i polityk; generał napoleoński, walczył w Portugalii, w Hiszpanii i pod Waterloo; w 1819 wybrany do parlamentu, odznaczył się jako mówca i stał się liderem liberalnej opozycji. [przypis edytorski]

<sup>419</sup>*stemplowany papier* a. *stemplowy papier* — czysty papier opatrzoney stemplem rządowym, sprzedawany przez organ państwowy. Dawniej używany do pobierania podatku od sporządzanych umów i zobowiązań prywatnych, dokumentów sądowych, podań do władz itp. Niekiedy wymagano go także na drukowanych egzemplarzach kart do gry, kalendarzy lub książek. [przypis edytorski]

podwładny dziennikowi jak niegdyś pańszczyźnie, tak samo nie rozumiejąc jego organizmu, jak niegdyś nie rozumiał nagłych obrotów nakazanych przez cesarza. Lucjan powziął szybką myśl oszukania tego groźnego funkcjonariusza: przeszedł, nie zdejmując kapelusza, i otworzył, jakby u siebie w domu, drzwi do sanktuarium. Chciwe jego oczy ujrzały okrągły stół pokryty zielonym suknem i sześć giętych wyplatanych krzeseł z wiśniowego drzewa, ni zdradzających śladów zużycia. Malowana podłoga, mimo że niefroterowana, była czysta, co dowodziło, iż frekwencja publiczności musiała być dość skąpa. Na kominku lustro, pospolity zakurzony zegar, dwa świeczniki, w które jakaś ręka brutalnie wetknęła świeczki, wreszcie porozrzucane karty wizytowe. Na stole stare dzienniki pomięte dokoła ozdobionego zużytymi piórami kałamarza, w którym błyszczał wyschnięty atrament, podobny do laki. Na świstkach ujrzał jakieś artykuły nagryzmołone nieczytelnym, prawie hieroglificznym pismem, przedarte u góry przez zecerów, którym ten znak służy do poznawania skryptów już złożonych. Następnie tu i ówdzie na szarych skrawkach mógł podziwiać karykatury, narysowane dość sprytnie przez ludzi, którzy bez wątpienia starali się zabić czas, zabijając coś lub kogoś dla wprawy. Na zielonkawym obiciu ujrzał dziewięć rysunków piórem, przypiętych szpileczkami, a będących pamfletem na *Samotnika*, książkę zażywającą w tej chwili w Europie niesłychanego sukcesu, który musiał nużyć dziennikarzy. „*Samotnik* na prowincji doprowadza kobiety do szału. — Wspólne czytanie *Samotnika* w zamku. — Działanie *Samotnika* na zwierzęta domowe. — Wykład o *Samotniku* u dzikich ludów osiąga najświetniejszy sukces. — *Samotnik* przełożony na chiński i przedstawiony przez autora cesarzowi w Pekinie. — Elodia gwałcona przez Dzięką Górę”. Ta karykatura zdała się Lucjanowi bardzo nieprzyzwoita, ale zabawiła go. „*Samotnik* oprowadzany przez dzienniki pod baldachimem. — *Samotnik*, rozsadziwszy prasę, kaleczy personel drukarni. — Czytany na wspak, *Samotnik* zdumiewa akademików niepospolitymi pięknosciami”. Lucjan ujrzał na opasce dziennika rysunek przedstawiający dziennikarza wyciągającego kapelusz, a pod tym: „Finot, moje sto franków!” podpisane nazwiskiem, które stało się później głośnie, ale które nigdy nie będzie znakomite. Między kominkiem a oknem stał niski sekretarzyk, mahoniowy fotel, kosz na papiery i wąski dywanik: wszystko pokryte gęstą warstwą kurzu. Okna z tanią firaneczką. Na wierzchu sekretarzyka około dwudziestu dzieł złożonych w ciągu dnia: ryciny, nuty, tabakierki z miniaturą konstytucji, egzemplarz dziewiątego wydania *Samotnika*, wciąż stanowiącego temat do konceptów, i dziesiątek zapieczetowanych listów. Kiedy Lucjan napasał oczy tym osobliwym urządzeniem, kiedy się dostatecznie nasycił refleksjami, a zegar wydzwoił piątą, wrócił do inwalidy, aby ponowić indagację. Pomidor skończył swoją kromkę i cierpliwie jak sztyldwach<sup>420</sup> czekał powrotu ozdobionego krzyżem wojskowego, który może przechadzał się po bulwarach. W tej chwili zjawiła się w progu dama, napelniwszy wprzód schody szumem spódniczki i odgłosem lekkiego kobiecego kroku, tak łatwego do poznania. Była dość ładna.

— Panie — rzekła do Lucjana — wiem, czemu panowie tak wychwalacie kapelusze panny Wirginii, i przychodzę przede wszystkim wziąć abonament na rok; ale niech mi pan powie warunki, na jakich...

— Pani, ja nie należę do dziennika.

— A!...

— Abonament od października? — spytał inwalida.

— Czego żąda ta pani? — spytał stary wojskowy, który właśnie się zjawił.

Poważny oficer wdał się w pertraktację z piękną kupczynią. Skoro Lucjan, zniecierpliwiony czekaniem, przeszedł do pierwszego pokoju, usłyszał to zakończenie:

— Ależ z największą przyjemnością, proszę pana. Panna Florentyna może przyjść do magazynu i wybrać, co się jej podoba. Mam i wstążki. Zatem wszystko ułożone, nie będziecie już wspominać o Wirginii, fuszerce niezdolnej wymyślić fasonu, gdy ja *tworzę!*

Lucjan usłyszał brzęk talarów wpadających do kasy. Następnie wojskowy zagłębił się w dziennym obrachunku.

— Panie, jestem tu od godziny — rzekł poeta dość kwaśno.

— Nie przyszli? — odparł napoleoński weteran, okazując przez grzeczność zainteresowanie. — To mnie nie dziwi. Już kawalek czasu, jak ich nie widzę. Jesteśmy w połowie

<sup>420</sup>sztyldwach (daw., z niem.) — żołnierz na warcie, strażnik. [przypis edytorski]

miesiąca, rozumie pan! Te ptaszki przychodzą tylko w porze wypłaty, między dwudziestym dziewiątym a trzydziestym.

— A pan Finot? — rzekł Lucjan, który zapamiętał nazwisko naczelnego redaktora.

— U siebie, ulica Feydeau. Pomidor, mój stary, kiedy będziesz niósł papier do drukarni, zanieś mu dzisiejszą pocztę.

— Gdzież zatem robi się dziennik? — rzekł Lucjan, mówiąc sam do siebie.

— Dziennik? — rzekł urzędnik, odbierając od Pomidora resztę z pieniędzy za stempel.

— Dziennik?... Hum, hum! — Mój stary, bądź jutro o szóstej w drukarni dopilnować roznosicieli. — Dziennik, panie, robi się na ulicy, w domu, w drukarni, między jedenastą a dwunastą w nocy. Za cesarza, panie, nie istniały te kramy do zapaskudzania papieru. Ha, ha! zaraz byłby posłał czterech ludzi i kaprała, żeby wymietli taką budę; nie dałby sobie psuć krwi! Ale dosyć gawędy. Skoro mój siostrzeniec robi na tym pieniądze i skoro gardłuje się za jego synem<sup>421</sup>, hum! hum! ostatecznie niech im będzie na zdrowie. Ha! Abonenci nie nacierają jakoś dziś zwartą kolumną, mogą śmiało opuścić posterunek.

— Pan, zdaje się, obeznany z redakcją dziennika?

— Pod względem finansowym, hum, hum! — rzekł żołnierz, odchrząkując flegmę, która zebrała mu się w krtani. — Wedle miary talentu, pięć franków albo trzy franki kolumna na pięćdziesiąt wierszy i czterdzieści liter bez białego, ot i wszystko. Co do współpracowników, to figury osobliwego kalibru. Smarkacze! Nie wziąłbym tego ani za gemajnow<sup>422</sup> do trenu, a te furfanty<sup>423</sup>, dlatego że paćkają czarno na białym papierze, puszczają finfy<sup>424</sup> pod nos staremu kapitanowi dragonów gwardii, spensjonowanemu<sup>425</sup> jako szef batalionu, który wkroczył do wszystkich stolic Europy z Napoleonem...

Lucjan popychany ku drzwiom przez napoleończyka, który otrząpywał niebieski surdut i objawiał intencję wyjścia, zdobył się na odwagę zagrozenia mu drogi.

— Przychodzę, aby wstąpić do dziennika — rzekł — i przysięgam panu, że jestem pełen szacunku dla kapitana gwardii cesarskiej, jednego z owych ludzi z brązu...

— Dobrze mówisz, frycu — rzekł oficer i szturchnął go. — Ale do jakiej klasy dziennikarzy chcesz się dostać? — dodał, przepychając się mimo Lucjana i wychodząc na schody. Zatrzymał się, aby zapalić cygaro u odźwiernego.

— Gdyby przyszedł ktoś z abonamentem, odbierzcie pieniądze i zapiszcie nazwisko, pani Chollet. — Wciąż abonament, nie znam nic prócz abonamentu — ciągnął, zwracając się do idącego za nim Lucjana. — Finot jest moim siostrzeńcem, jedynym, który okazał mi serce w moich tarapatach. Toteż ktokolwiek szuka zwady z Finotem, natknie się na starego Giroudeau, kapitana dragonów gwardii, który wyruszył jako prosty kawalerzysta do armii Sambry i Mozy<sup>426</sup>, a pięć lat był fehmistrzem w pierwszym pułku huzarów armii włoskiej<sup>427</sup>. Raz, dwa, i nie ma mego pana z pretensjami! — dodał, niby fechtując się w powietrzu. — Otóż, mój malczyku<sup>428</sup>, mamy wśród dziennikarzy dwa różne ciała: dziennikarz, który pisze i bierze lafę<sup>429</sup>, i dziennikarz, który pisze i nie bierze nic, to, co nazywamy wolontariusz; wreszcie ten, który nie pisze, i ten jest najmędrzy ze wszystkich: nie strzela bąków, uchodzi za autora, należy do dziennika, stawia nam obiady, wałęsa się po teatrach, utrzymuje aktorkę i jest bardzo szczęśliwy. Czym pan chcesz być?

— Ależ dziennikarzem dobrze pracującym i, co za tym idzie, dobrze płatnym!

<sup>421</sup>jego syn — syn cesarza Napoleona I, Napoleon II (1811–1832), od 1818 znany jako Franciszek, książę Reichstadt, którego bonapartyści mieli nadzieję wprowadzić na tron. [przypis edytorski]

<sup>422</sup>gemajn (daw., z niem. *gemein*: zwykły) — szeregowiec w wojsku polskim cudzoziemskiego autoramentu. [przypis edytorski]

<sup>423</sup>furfant (daw.) — zarozumialec, blagier, krętacz. [przypis edytorski]

<sup>424</sup>finfa a. *finfa* (daw.) — dym puszczony komuś w nos; przen.: złośliwy żart. [przypis edytorski]

<sup>425</sup>spensjonować (daw.) — odesłać w płatny stan spoczynku, na emeryturę. Oficerów pierwszego Cesarstwa Francuskiego po jego upadku zwolniono z czynnej służby i wypłacano im połowę wcześniejszej pensji wojskowej (żołdu). [przypis edytorski]

<sup>426</sup>Armia Sambry i Mozy — jedna z najbardziej znanych armii francuskich okresu Rewolucji, sformowana 29 czerwca 1794 roku z Armii Ardenów wzmocnionej lewym skrzydłem Armii Mozeli i prawym skrzydłem Armii Północy; walczyła przeciwko koalicji antyfrancuskiej na północy. [przypis edytorski]

<sup>427</sup>armia włoska — tu: Armia Italii, armia francuska stacjonująca na granicy włoskiej i biorąca udział w walkach w samych Włoszech; w 1796 naczelną dowództwo tej armii objął generał Napoleon Bonaparte, który poprowadził zwycięską kampanię włoską, pokonując Austriaków i Sardyńczyków, wskutek czego rozpadła się pierwsza koalicja antyfrancuska. [przypis edytorski]

<sup>428</sup>malczyk (z ros.) — chłopak. [przypis edytorski]

<sup>429</sup>lafę (daw.) — żołd, płaca. [przypis edytorski]

— Ba! Jesteś z tych rekrutów, co to chcą być marszałkami Francji! Wierzą staremu Giroudeau: w lewo zwrot, biegiem, idź pan zbierać gwoździe w rynsztoku, jak ten oto dzielny człowiek, który służył w linii, to widać po wzięciu. Czyż to nie zgroza, aby stary żołnierz, który tysiąc razy szedł w paszczę śmierci, zbierał gwoździe w rynsztokach Paryża? Panie na wysokościach, jesteś skończonym hultajem, skoroś opuścił cesarza! Otóż, mój mały, ten cywil, którego widziałeś dziś rano, zarobił czterdzieści franków w ciągu miesiąca. Czy potrafisz go prześcignąć? A wedle Finota to najsprytniejszy z jego pracowników.

— Kiedy się pan rwałeś do armii, mówiono panu, że tam niebezpiecznie?

— Do kata!

— A zatem?

— A zatem idź pan pogadać z Finotem, dzielnym chłopcem, najzaciejszym chłopakiem, jakiego ci się zdarzy spotkać, jeżeli w ogóle uda ci się go spotkać, bo ruchliwy jest jak ryba. W jego rzemiośle nie w tym rzecz, aby pisać, lecz sprawić, by inni pisali! Zdaje się, że najmilsi parafianie wołają się barłóżyć z aktorkami niżeli czernić papier. Ho, ho! To osobliwa branża! Mam zaszczyt pozdrowić.

Kasjer kiwnął poufnie straszliwą ołowianą trzcina i zostawił Lucjana na chodniku, równie zdumionego tym obrazem redakcji, jak niegdyś syntezą literatury u Vidala i Porchona. Lucjan biegał dziesięć razy do Finota, naczelnego redaktora, na ulicę Feydeau, nigdy nie mogąc go zastać. Wczas rano Finot jeszcze nie wrócił; w południe był w mieście; miał być na śniadaniu, mówiono, w tej a tej kawiarni. Lucjan szedł do kawiarni i powściągnął wstąpienie, pytał bufetową o Finota: dopiero co wyszedł. Wreszcie Lucjan, wyczerpany, zaczął patrzeć na Finota jako na legendarną i bajeczną istotę: uznał za prostsze czatować na Stefana Lousteau u Flicoteaux. Młody dziennikarz wyjaśni zapewne tajemnicę otaczającą dziennik, do którego należał.

Od dnia po stokroć błogosławionego, w którym Lucjan zawarł znajomość z Danielem, zmienił miejsce w restauracji: przyjaciele siadali razem i rozmawiali z cicha o wielkiej literaturze, o tematach, o sposobie ich przedstawiania, rozpoczęcia, rozwiązania. W tej chwili Daniel poprawiał *Guardzistę Karola IX*, przerabiał rozdziały, wpisywał całe stronicę, najpiękniejsze, jakie utwór ten zawiera, kreślił wspaniałą przedmowę, która może góruje nad książką i która wniosła tyle światła w młodą literaturę. Pewnego dnia, w chwili gdy Lucjan siadał obok czekającego nań Daniela i gdy d'Arthez ujmował jego rękę w swoje dłonie, poeta ujrzał Stefana Lousteau zamykającego właśnie drzwi za sobą. Lucjan puścił nagle rękę Daniela i szepnął chłopcu, aby mu podano na dawnym miejscu, koło bufetu. D'Arthez obrzucił Lucjana jednym z owych anielskich spojrzeń, w których przebaczenie splata się z wyrzutem. Spojrzenie to tak żywo zapadło w serce poety, iż ujął ponownie rękę Daniela, aby ją jeszcze raz uścisnąć.

— Chodzi o sprawę wielkiej dla mnie wagi, powiem ci później — rzekł.

Lucjan znalazł się na dawnym miejscu w chwili, gdy Lousteau siadał; pierwszy pozdrowił przybyłego; rozmowa zawiązała się niebawem i potoczyła tak żywo, że Lucjan pobiegł do domu po rękopis *Stokroci*, gdy Lousteau kończył obiad. Uzyskał to, iż dziennikarz zgodził się wysłuchać jego sonetów; miał nadzieję, iż przy jego poparciu uda mu się znaleźć wydawcę lub wejść do dziennika. Za powrotem Lucjan ujrzał w kącie restauracji smutno wspartego na dłoni Daniela, który popatrzył nań melancholijnie, ale żarty nędzą i popychany ambicją, udał, że nie spostrzega swego brata z Biesiady, i wyszedł za Stefanem. Nim zapadł wieczór, dziennikarz i neofita siedli pod drzewami w owej części Luksemburgu, która od wielkiej alei Obserwatorium prowadzi do ulicy de l'Ouest. Ulica ta była wówczas długim śmietnikiem okolonym deskami i bagnami; domy istniały tylko w stronie ulicy Vaugirard. Okolica była tak mało uczęszczana, że w tej chwili, w godzinie obiadowej, para kochanków mogłaby tam pogniewać się i najwymowniej pojednać bez obawy natrętnych spojrzeń. Jedynym osobnikiem zdolnym zakłócić spokój był weteran stojący na warcie u furki od ulicy de l'Ouest, w razie gdyby czcigodnemu żołnierzowi przyszła ochota rozszerzyć wymiar swej jednostajnej przechadzki. W tej alei, na drewnianej ławce między dwiema lipami, Stefan wysłuchiwał sonetów wybranych spośród *Stokroci*. Stefan Lousteau, który po dwóch latach terminu kładł nogę w strzemię dziennikarstwa i liczył paru przyjaciół między sławami epoki, był w oczach Lucjana imponującą osobistością. Toteż rozwijając rękopis, prowincjonalny poeta uważał za potrzebne wygłosić rodzaj przedmowy.

— Sonet jest, wedle mnie, jednym z najtrudniejszych rodzajów poezji. Forma tego małego poemaciku uległa powszechnie zaniedbania. Nikt we Francji nie mógł rywalizować z Petrarcką<sup>430</sup>, którego język, nieskończenie giętszy od naszego, dopuszcza do igraszek myśli, odrzuconych przez nasz *pozytywizm* (niech mi pan daruje to wyrażenie). Wydało mi się tedy oryginalne zadebiutować zbiorkiem sonetów. Wiktor Hugo wziął odę, Canalis skłania się do poezji ulotnej, Béranger monopolizuje piosenkę, Kazimierz Delavigne zagarnął tragedię, a Lamartine<sup>431</sup> medytację.

— Czy pan jesteś klasykiem, czy romantykiem? — spytał Lousteau.

Zdziwiona mina Lucjana zdradzała tak zupełną nieświadomość spraw literackich, iż Lousteau uznał za potrzebne go objaśnić.

— Drogi kolego, zjawiasz się w momencie zaciętej walki, trzeba się szybko decydować. Literatura w ogóle rozpada się na rozmaite strefy, ale nasi wielcy ludzie dzielą się na dwa obozy. Rojaliści są romantykami, liberały klasykami. Rozbieżność pojęć literackich łączy się z rozbieżnością przekonań politycznych, skąd wojna na wszelki rodzaj broni, potoki atramentu, docinki wyostrzone jak stal, potwarze, jadowne epitety między sławami w załączku a sławami na schyłku. Dziwnym zbiegiem, romantyczni rojaliści żądają wolności literackiej i uprzątnięcia praw określających przyjęte formy w naszej literaturze, gdy liberałi chcą utrzymać trzy jedności<sup>432</sup>, aleksandryn<sup>433</sup> i tematy klasyczne. Opinie literackie są tedy w każdym z obozów w niezgodzie z opiniami politycznymi. Jeśli zostaniesz eklektykiem<sup>434</sup>, nie będziesz miał za sobą nikogo. Po której stronie się opowiadasz?

— Którzy są mocniejsi?

— Dzienniki liberalne mają o wiele więcej abonentów niż rojalistyczne i ministerialne; swoją drogą, Canalis wybija się, mimo iż monarchista i religijny, mimo iż popierany przez dwór i przez księży. Ba! Sonety to literatura sprzed Boileau<sup>435</sup> — rzekł Stefan, widząc, iż konieczność wyboru między dwoma sztandarami przeraża Lucjana. — Bądź pan romantykiem. Romantycy składają się z młodych, a klasycy to stare peruki: romantycy będą górą.

Słowo „peruka” było ostatnim przydomkiem wynalezionym przez dziennikarstwo romantyczne, które przyzważyło nim klasyków.

— *Stokrotka* — rzekł Lucjan, odczytując jeden z dwóch sonetów, które uzasadniały tytuł i służyły za inaugurację. Lucjan uczuł się niemile dotknięty zupełną obojętnością Stefana w czasie czytania; nie znał jeszcze drażniącej obojętności, jaką daje nawyk krytyki i która cechuje dziennikarzy znużonych prozą, wierszem i dramatem. Poeta, nawykły do poklasku, przełknął zawód; przeczytał sonet ulubiony przez panią de Bargeton oraz przez kilku przyjaciół z Biesiady.

„Może ten wyrwie mu jakiś znak życia” — pomyślał.

#### SONET II <sup>436</sup>

Jestem stokrotka, niegdyś najpiękniejsze kwiecie,  
Co zdobiło trawników puchy aksamitne;  
Bliska ziemi, lecz w niebo wpatrzona błękitne,  
wierzyłam, że rósć będę w wiecznotrwałym lecie.

<sup>430</sup>Petrarca, Francesco (1304–1374) — włoski poeta; zasłynął cyklem wierszy miłosnych, głównie sonetów, poświęconych Laurze, której tożsamość pozostaje nieznana. [przypis edytorski]

<sup>431</sup>Lamartine, Alphonse de (1790–1869) — polityk i pisarz francuski, uznawany za twórcę francuskiego romantyzmu. [przypis edytorski]

<sup>432</sup>trzy jedności — zasada zachowania w dramacie trzech jedności: miejsca, czasu i akcji, wywodzona z teatru starożytnego oraz *Poetyki* Arystotelesa, stanowiła podstawową regułę budowy dramatu w klasycyzmie. Stanowi, że akcja musi się toczyć w jednym miejscu, czas jej trwania musi pokrywać się z czasem trwania widowiska lub przynajmniej nie przekraczać doby oraz że akcja musi być jednowątkowa. [przypis edytorski]

<sup>433</sup>aleksandryn (lit.) — forma wierszowa, w której szósta sylaba wersu i szósta sylaba po średniówce stanowią ostatnie sylaby akcentowane półwersów; dodatkowym wymogiem w pisaniu aleksandrynem bywa zgodność z formą heksametru jambicznego. Aleksandrynem pisze się utwory o charakterze heroicznym, np. tragedie czy epepeje. [przypis edytorski]

<sup>434</sup>eklektyk — twórca lub myśliciel łączący w całość elementy zaczerpnięte z różnych stylów lub doktryn. [przypis edytorski]

<sup>435</sup>Boileau, Nicolas (1636–1711) — francuski poeta i krytyk literacki; autor m.in. poematu dydaktycznego *Sztuka poetycka*, stanowiącego kodeks klasycyzmu. [przypis edytorski]

<sup>436</sup>SONET II — wszystkie sonety w tłum. Edwarda Leszczyńskiego (1880–1921); w oryginale pierwsze dwa są autorstwa poety Lessailly, trzeci napisał Teofil Gautier. [przypis edytorski]

Rychło losów przemianą, zbyt częstą w tym świecie,  
Dotknęły mnie wyroki twarde, choć zaszczytne;  
Odtąd już nie dla piękna, lecz dla prawdy kwitnę  
I umieram: bo wiedza jest śmiertelną przecie...

Więc stałam się na ziemi najbiedniejszym kwiatkiem:  
Miłość żąda ode mnie, bym sercu ludzkiemu  
Ulęgę niosła, bolesną pełniąc wiernie służbę;

Niecierpliwy kochanek, rwąc płatek za płatkiem,  
Odziera moje czoło z białego diademu  
I pod stopy mnie rzuca, gdy poznał mą wróżbę.

Skończywszy, poeta spojrzął na swego Arystarcha<sup>437</sup>: Stefan Lousteau wodził wzrokiem po młodych drzewkach.

— I cóż? — rzekł Lucjan.

— Cóż, drogi panie, jedź pan dalej! Czyż nie słucham? W Paryżu słuchać w milczeniu to pochwała.

— Czy ma pan dosyć? — rzekł Lucjan.

— Czytaj pan — odparł szorstko dziennikarz.

Lucjan przeczytał następny sonet, ale przy tej lekturze był wpółżywy: nieprzenikniony chłód Stefana zmroził jego recytację. Gdyby lepiej znał życie literackie, wiedziałby, że u autorów milczenie i szorstkość w podobnej okoliczności zdradzają zazdrość wywołaną pięknym dziełem, tak jak zachwyty wyrażają przyjemność wzbudzoną przez lichotę, która uspokaja ich miłość własną.

Poeta

#### SONET XXX. Kamelia

Kwiat każdy jakieś słowo natury wyraża:  
Triumf piękna, miłości róża głosi światu,  
Wdzięk prostoty z fiołków płynie aromatu,  
A skromność białej lilii w blask się przeobraża.

Lecz kamelia z potwornych kultur wirydarza<sup>438</sup>  
Wyrosła, obca życiu, miłości i latu:  
Róża — bez woni, lilia — lecz bez majestatu,  
Czczość dziewiczą kaprysem zalotnym rozmarza.

Przecie, w strojnym teatrze, w tych światłach potoku,  
Co wewnątrz łóż omgleniem złocistym przystraja,  
Jakże cudną pięknnością płonie białość wasza!

Alabastrowe gwiazdy, rozsiane w pomroku  
Czarnych włosów tych kobiet, których wdzięk upaja  
Jak cudotwórcze piękno marmurów Fidiasza<sup>439</sup>.

— Co pan myśli o moich biednych sonetach? — zapytał wprost Lucjan.

— Chce pan prawdy? — rzekł Lousteau.

— Jestem na tyle młody, iż kocham ją jeszcze, a nadto pragnę zwyciężyć, abym nie miał wysłuchać jej bez obrazu, choć nie bez rozpachy — odparł Lucjan.

— Zatem, drogi panie, zakrętasy pierwszego sonetu zwiastują dzieło rodem z Angoulême, które z pewnością zbyt wiele cię kosztowało, abyś się go mógł wyrzec; drugi

<sup>437</sup>Arystarch z Samotraki (216–146 p.n.e.) — gramatyk gr., uważany za twórcę krytyki literackiej; autor krytycznych wydań klasycznych utworów literatury gr. oraz kilkuset komentarzy do utworów poetyckich. [przypis edytorski]

<sup>438</sup>wirydarz (daw., z łac.) — mały ogród ozdobny, przeznaczony do przechadzek. [przypis edytorski]

<sup>439</sup>Fidiasz (ok. 490–ok. 430 p.n.e.) — najwybitniejszy rzeźbiarz grecki okresu klasycznego. [przypis edytorski]

i trzeci czuć już Paryżem; ale czytaj pan jeszcze! — dodał, czyniąc gest, który wydał się uroczy wielkiemu poecie z prowincji.

Zachęcony tą prośbą, Lucjan przeczytał z większą odwagą sonet, który upodobali sobie d'Arthez i Bridau, może dla jego koloru.

SONET L. Tulipan

Tulipan moje miano, na harlemskim<sup>440</sup> mule  
Wyrosła moja piękność, a flamandzki sknera  
Chętnie skrzynie zamczyste swych skarbów otwiera,  
By kupić kształt mój, w marną zaklęty cebulę.

Kochają mnie nad wszystko księżęta i króle,  
Bo w kielichu mym złotym tkwi feudalna era;  
Fascykulów<sup>441</sup> herbowych splendor mnie ubiera  
I błyska krew purpury, gdy pęk mój roztulę.

Szatę mą kolorową ogrodnik niebieski  
Tkął z promieni słonecznych, z purpury królewskiej  
I tęczkami grającej wstąg jutrzennych gazy;

Żaden kwiat takim blaskiem jak ja się nie płoni;  
Lecz natura, niestety! nie wlała swych woni  
W kielich mój, urobiony na wzór chińskiej wazy.

— No i...? — rzekł Lucjan po chwili milczenia, która wydała mu się nieskończonością.

— Mój drogi — rzekł poważnie Stefan Lousteau, spoglądając na trzewiki, które Lucjan przywiózł z Angoulême i które dodzierał — radzę ci czernić buty atramentem dla oszczędzania szuwaksu<sup>442</sup>, porobić wykałaczki z piór, aby nadać sobie minę człowieka, który jadł obiad, gdy wyszedłszy od Flicoteaux, przechadzasz się po tym pięknym ogrodzie, lub wreszcie poszukać sobie jakiej posady. Zostań pacholkiem u komornika, jeśli masz odwagę po temu, subiektem w sklepie, jeżeli masz zdrowie, albo żołnierzem, jeśli lubisz muzykę wojskową. Jest w tym materiał na trzech poetów, ale nim się przebijesz, masz czas sześć razy umrzeć z głodu, jeżeli, aby wyżyć, liczysz na produkty swej muzy. Owóż zamiarem twoim jest, jak tego dowodzą wynurzenia twego młodocianego entuzjazmu, wydobyć mimo wszystko strumień złota z kałamarza. Nie wyrokuję o twoich wierszach; są o wiele lepsze od stosów poezji, które zawalają magazyny księgarskie. Te wytworne słowiki<sup>443</sup> sprzedawane nieco drożej od innych dla ich welinowego papieru<sup>444</sup>, ścielą sobie prawie z reguły gniazdko na brzegach Sekwany, gdzie możesz iść studiować ich pienia. Radzę ci któregoś dnia podjąć pouczającą pielgrzymkę po Wybrzeżu, poczawszy od wystawy starego Jérôme przy moście Notre-Dame aż po most Królewski. Znajdziesz tam wszystkie *Próby poetyckie*, *Natchnienia*, *Wzloty*, *Hymny*, *Pieśni*, *Ballady*, *Ody*, słowem wszystkie pączuszki rozkwitłe od siedmiu lat, muzy pokryte pyłem, ochłastane przez dorożki, wygniecione przez przechodniów oglądających tytułową rycinę. Nie znasz nikogo, nie masz przystępu do żadnego dziennika: twoje *Stokrocie* zostaną wstydliwie zwinięte, tak jak je trzymasz w tej chwili; nie zakwitną nigdy w słońcu rozgłosu na welinowej łące, orzeźwione kroplami rosy, które rozdaje znakomity Dauriat, księgarz sław, król Galerii Drewnianych. Moje biedne dziecko, i ja przybyłem jak ty z sercem pełnym iluzji, pchany miłością sztuki, niesiony żądzą sławy: zastałem mus rzemiosła, opór księgarni i rzeczywistość nędzy. Egzaltacja, teraz już zdławiona, młodzieńcza gorączka

Poeta, Bieda

<sup>440</sup>harlemski — tu: z miasta Haarlem w Holandii, nad rz. Spaarne, 30 km na zach. od Amsterdamu. [przypis edytorski]

<sup>441</sup>fascykul (daw., z łac.) — zwój papierów, dokumentów. [przypis edytorski]

<sup>442</sup>szuwaks (daw.) — czarna pasta do butów. [przypis edytorski]

<sup>443</sup>słowik (fr. *rossignol*) — w ówczesnej gwarze literackiej książka, która „nie idzie”, zalegając magazyny i antykwarnie. [przypis tłumacza]

<sup>444</sup>papier welinowy — cienki, gładki papier wysokiej jakości. [przypis edytorski]

skrywały mi mechanizm świata; trzeba go było zobaczyć, uderzyć nosem o wszystkie kółeczka, potknąć się o osie, otłuścić się o wszystkie smary, usłyszeć chrzęst łańcuchów i śrubek. Jak ja, dowiesz się, że poza tymi pięknymi marzeniami istnieje gra ludzi, namiętności i potrzeb. Wmieszasz się z konieczności w straszliwe walki dzieł, ludzi, partii, gdzie trzeba się bić systematycznie, aby nie być opuszczonym przez swoich. Te niegodne walki wyczerpują duszę, każą serce i zużywają je; wysiłki twoje służą często na to, aby uwieńczyć człowieka, którego nienawidzisz, jakiś półtalencik, który ty wbrew woli musisz wynosić pod niebiosa. Życie literackie ma swoje kulisy. Sukces, kradziony czy zasłużony, spotyka się z poklaskiem; środki zawsze wstrętne, komparsi<sup>445</sup> otoczeni glorią, klakierzy i posługacze, oto co kryją kulisy. Jesteś dotąd na sali widzów. Jeszcze czas, cofnij się, nim postawisz nogę na pierwszy stopień tronu, gdzie walczy z sobą tyle ambicji; nie paskudź się jak ja, aby żyć. (Tu łza zwilżyła oczy Stefana Lousteau). Czy wiesz, jak ja żyję? — podjął z akcentem wściekłości. — Trochę pieniędzy, jakie mogła mi dać rodzina, poszło niebawem. Znalazłem się bez środków, mimo iż przyjęto mi sztukę w Komedii Francuskiej. Otóż w Komedii Francuskiej protekcja księcia krwi albo pierwszego ochmistrza dworu nie wystarczy, aby uzyskać przyspieszenie kolei: aktorzy ustępują tylko tym, którzy zagrażają ich miłości własnej. Gdybyś miał moc otrąbienia światu, że pierwszy kochanek ma astmę, heroina fistułę<sup>446</sup> w dowolnym miejscu, że subretce<sup>447</sup> czuć z ust, wystawiliby ci sztukę jutro. Nie wiem, czy do dwóch lat ja, jak tu stoję przed tobą, zdobędę taką władzę: trzeba na to zbyt wielu przyjaciół. Gdzie, jak i czym zarobić na chleb? Oto pytanie, jakie sobie zadałem, czując pierwszy skurcz głodu. Po wielu usiłowaniach, napisawszy bezimienny romans kupiony w cenie dwustu franków przez starego Doguereau, który też nie zrobił na nim majątku, doszedłem do świadomości, że tylko dziennikarstwo mogłoby mnie wyżywić. Ale jak dostać się do tego kramu? Nie będę ci opowiadał bezużytecznych starań i wędrówek ani półrocznej pracy jako „wolontariusz”, podczas której słuchałem wymówek, że wypłaszam abonentów, kiedy, przeciwnie, przyciągałem ich. Pomińmy te brudy. Dziś mam sprawozdania z bulwarowych teatrzyków, prawie darmo, w dzienniku należącym do Finota, ciężkawego młodego człowieka, który zachodzi jeszcze parę razy na miesiąc na śniadanie do kawiarni Woltera (ale prawda, pan tam nie bywasz!). Finot jest naczelnym redaktorem. Żyję, sprzedając bilety, jakie mi dają dyrektorzy teatrów, aby opłacić moje pokątne usługi, oraz książki przysyłane przez księgarzy do oceny. Wreszcie, skoro Finot już znajdzie swoje pokrycie, frymarczę naturalnymi produktami składanymi przez przemysłowców, przeciw którym albo za którymi on pozwala mi puszczać artykuły. „Woda karminowa”, „Krem sułtanek”, „Esencja kapilarna”, „Mikstura brazylijska” płacą za sprytną reklamę dwadzieścia do trzydziestu franków. Jestem zmuszony oszczekiwać księgarza, który daje dziennikowi mało egzemplarzy; dziennik bierze dwa, które sprzedaje Finot, trzeba mi wydrzeć dwa dla siebie. Księgarz skąpy na egzemplarze, gdyby nawet wydał arcydzieło, będzie zarżnięty. To podle, ale ja żyję z tego rzemiosła, jak stu innych! Nie sądzę, że świat polityczny jest o wiele piękniejszy niż literacki: tu i tam wszystko jest przepukstwem, każdy albo kupuje, albo sprzedaje się. Kiedy chodzi o większe wydawnictwo, księgarz opłaca mi się z obawy przed napaścią. Toteż dochody moje są w związku z urodzajem prospektów. Kiedy prospekt pojawia się w tysiącnych egzemplarzach, pieniądź płynie strugą do mego mieszkania, goszczę przyjaciół. Nie ma interesów w księgarzni! — wówczas obiad u Flicoteaux. Aktorki opłacają również pochwały, ale najsprytniejsze opłacają i krytyki; przede wszystkim boją się milczenia. Toteż napaść wymierzona w tym celu, aby ją odeprzeć na innym miejscu, warta jest więcej i płaci się drożej niż zwykła pochwała, której świat zapomina nazajutrz. Polemika, mój drogi, jest piedestałem sław. Na tym rzemiośle siepacza idei i reputacji przemysłowych, literackich i teatralnych zarabiam pięćdziesiąt talarów miesięcznie, mogę sprzedać powieść za pięćset franków i zaczynam uchodzić za niebezpiecznego człowieka. Kiedy miałem mieszkać u Floryny na koszt pigularza, który przybiera tony milorda, będę się mógł umeblować, kiedy przejdę do wielkiego dziennika lub zdobędę redakcję felietonu, z tym dniem, mój drogi, Floryna

Literat, Pieniądz,  
Przekupstwo, Interes

<sup>445</sup> *kompars* (daw., z fr.) — aktor występujący w roli drugoplanowej, statysta. [przypis edytorski]

<sup>446</sup> *fistula* (med.) — przetoka; fistula może być wrodzona, powstała w procesie chorobowym lub wykonana chirurgicznie. [przypis edytorski]

<sup>447</sup> *subretka* (z fr.) — pokojówka; także: typ postaci sprytniej służącej występującej w komedii. [przypis edytorski]



zostanie wielką aktorką; co do mnie, nie wiem, czym mogę zostać wówczas: ministrem albo uczciwym człowiekiem, wszystko jest jeszcze możliwe. (Podniósł upokorzoną głowę, rzucił ku zielonej gęstwie rozpaczliwe spojrzenie, pełne oskarżeń i grozy). I mam piękną tragedię przyjętą do grania! I mam w moich papierach poemat, który tam zamrze! I byłem dobry! Miałem serce czyste; mam za kochankę aktorkę Panorama-Dramatique, ja, który marzyłem o miłości najwytworniejszych dam! Wreszcie dla egzemplarza, którego księgarz odmówił dziennikowi, zohydzam książkę, która budzi we mnie zachwyt!

Lucjan, wzruszony do łez, uściśnął rękę Stefana.

— Zewnątrz świata literackiego — rzekł dziennikarz, wstając i kierując się ku wielkiej alei de l'Observatoire, dokąd dwaj poeci przeszli, jak gdyby chcąc zacerpnąć powietrza — nie istnieje ani jedna osoba, która by znała straszliwą odyseję, przez jaką dochodzi się do tego, co nazywamy, zależnie od miary talentu, powodzeniem, modą, reputacją, uznaniem, rozgłosem, sympatią publiczności, owe rozmaite szczeble, które wiodą do sławy, a które nie zastąpią jej nigdy. Ten tak świetny fenomen moralny składa się z tysiąca przypadków, zmieniających się z taką szybkością, że nie ma przykładu dwóch ludzi, którzy by wybili się tą samą drogą. Canalis i Natan to dwa zjawiska różnorodne, które się nie powtórzą. D'Arthez, który zabija się pracą, zdobędzie rozgłos przez inny przypadek. Ta sława, tak upragniona, jest prawie zawsze koronowaną nierządnicą. Tak, dla niskich twórców literatury to niby biedna dziewczyna, która marznie na rogu ulicy; dla literatury drugorzędnej to utrzymanka, która wyszła z zamtuzów<sup>448</sup> dziennikarstwa i której ja jestem sutenerem! Dla wielkiej, triumfalnej literatury to świetna, zuchwała kurtyzana, która ma własną wilgę, opłaca podatki, przyjmuje wielkich panów, podejmuje ich i tyranizuje, ma liberię, powóz i może wierzycielom kazać czekać w przedpokoju. Och! Ci, dla których ona jest — jak dla mnie niegdyś, dla ciebie dzisiaj — aniołem o przezroczych skrzydłach, ubranym w białą tunikę, z zieloną palmą w jednej dłoni, błyszczącym mieczem w drugiej, aniołem mającym coś z mitologicznej abstrakcji i coś z biednej dziewczyny z przedmieścia, zarabiającej na życie jedynie mocą szlachetnej wytrwałości i cnoty i odlatującej z powrotem do nieba bez plamy, o ile nie szczeźnie splugawiona, udręczona, zgwałcona, zapomniana w dole ubogich; ci ludzie o mózgu z brązu, o sercu jeszcze ciepłym pod śniegiem doświadczenia, rzadcy są w krainie, którą widzisz u naszych stóp — rzekł, ukazując wielkie miasto dymiące w oparach wieczoru.

Wizja Biesiady przemknęła nagle przed oczami Lucjana i wzruszyła go, ale wnet porwały go słowa Stefana, który ciągnął dalej swą przeraźliwą lamentację.

— Rzadcy są i skąpo rozsiani w tej fermentującej kadzi, rzadcy jak prawdziwi kochankowie w świecie miłości, jak uczciwe fortuny w świecie finansów, jak czysty człowiek w dziennikarstwie. Doświadczenie pierwszego, który powiedział mi to, co ja ci mówię, poszło na marne, jak moje będzie z pewnością dla ciebie bez użytku. Zawsze ta sama gorączka ciska tu, z głębi prowincji, tę samą, aby nie rzec: wciąż wzrastającą, liczbę beżwąsych ambicji, które rzucają się z podniesioną głową, z pysznym sercem, aby szturmować do Mody, niby do księżniczki Turandot z *Tysiąca i jeden dni*<sup>449</sup>, dla której każdy chce być księciem Kalafem. Ale nikt nie rozwiązuje zagadki. Wszyscy wpadają w dół nieszczęścia, w błoto dziennika, w bagno księgarni. Owoc, jaki zbierają ci biedni nędzarze, to biografie, kroniki, ploteckie dla dzienników lub książki zamawiane przez szczywanych handlarzy bibuły, którzy wolą głupstwo rozchodzące się w dwa tygodnie niż arcydzieło o powolnej sprzedaży. Te gąsienice, zdeptane, nim się rozwiną w motyla, żyją z hańby i bezwstydu, gotowe kąsać lub chwalić rodzący się talent na rozkazy paszy<sup>450</sup> z „Constitutionnela”<sup>451</sup>,

<sup>448</sup>zamtuz (daw.) — dom publiczny. [przypis edytorski]

<sup>449</sup>*Tysiąc i jeden dni* — fr. *Les mille et un jours*, zbiór opowiadań wzorowanych na modelu baśni *Tysiąca i jednej nocy*, opublikowany w 5 tomach w l. 1710–1712 przez francuskiego orientalistę François Péris de la Croix jako tłumaczenie z perskiego. Jedno z nich opowiada o księżniczce Turandot, która swoim zalotnikom zadawała zagadki, a kiedy nie potrafili ich rozwiązać, kazała ścinać im głowy, aż wreszcie książę Kalaf podał poprawne odpowiedzi. Na podstawie tego opowiadania włoski dramaturg Carlo Gozzi napisał sztukę *La Turandotte* (1762), z której powstały liczne tłumaczenia i przeróbki sceniczne oraz operowe. [przypis edytorski]

<sup>450</sup>pasza a. basza (z tur.) — wysoki urzędnik turecki; pan. [przypis edytorski]

<sup>451</sup>„Constitutionnel” — francuska gazeta polityczno-literacka założona w Paryżu w 1815, podczas Stulecia Napoleona, organ liberalów, bonapartystów i antyklerykałów. [przypis edytorski]

„Codziennej”<sup>452</sup> lub „Debatów”<sup>453</sup>, na znak księgarni, na prośbę zawistnego kolegi, często po prostu za obiad! Ci, którzy pokonają przeszkody, zapominają o nędzy początków. Ja, jak tu mówię z tobą, pisałem pół roku artykuły, zawierające kwiat moich myśli, dla nędznika, który ogłaszał je za swoje, który na podstawie tych prób został redaktorem felietonu; nie wziął mnie za współlnika, nie dał mi ani pięciu franków i ja muszę ścisnąć jego rękę i podawać mu swoją!

— Czemu? — wybuchnął Lucjan.

— Może zająć okoliczność, iż będą potrzebował kilku wierszy w jego felietonie — odparł zimno Lousteau. — Słowem, mój drogi, w literaturze sekret powodzenia jest nie w tym, aby pracować; chodzi o to, aby wyzyskiwać pracę cudzą. Właściciele dzienników to przedsiębiorcy, my jesteśmy murarze. Toteż im człowiek bardziej mierny, tym szybciej dochodzi; taki wszystko strawi, pogodzi się ze wszystkim, potrafi schlebiać podłostkom sułtanów literackich, jak ten świeżo przybyły z Limoges, Hektor Merlin, który już robi politykę w dzienniku prawego centrum, a zarazem pracuje w naszym świstku; widziałem go, jak podnosił kapelusz upuszczony przez naczelnego redaktora. Nie zrażając sobie nikogo, chłopak ten przejdzie pośród rywalizujących ambicji, podczas gdy będą się biły z sobą. Ot, żal mi ciebie. Widzę cię tym, czym byłem niegdyś, a jestem pewien, że za rok lub dwa ty będziesz tym, czym ja dzisiaj. Będziesz przypuszczał jakąś ukrytą zazdrość, jakiś osobisty interes w tych gorzkich radach; dyktuje je po prostu rozpacz potępieńca, który nie może już porzucić piekła. Nikt nie śmie powiedzieć tego, co ja tu krzyczę z bólem człowieka ugodzonego w serce i podobnego biblijnemu Hiobowi na śmietniku: „Oto moje wrzody!”

— Na tym polu czy gdzie indziej, wszędzie trzeba walczyć — rzekł Lucjan.

— Wiesz tedy — odparł Lousteau — że ta walka będzie bez wytchnienia, jeżeli masz talent, najlepiej bowiem dla ciebie byłoby go nie mieć. Sumienie twoje, dziś nieskalane, ugnie się przed tymi, w których rękach ujrzysz swoje powodzenie i którzy, jednym słowem mogąc ci dać życie, nie zechcą wymówić tego słowa; bo wierzaj mi, pisarz w *modzie* pyszniejszy jest, twardszy dla nowych przybyszów niż najbrutalniejszy księgarz. Tam, gdzie księgarz widzi tylko stratę, autor obawia się rywala: jeden wyprowadza cię w pole, drugi cię miażdży. Aby dawać piękne dzieła, moje biedne dziecko, będziesz czerpał w sercu pełnymi strugami atramentu czułość, sok, energię i będziesz je przelewał w namiętności, uczucia, kadencje! Tak, będziesz pisał, miast działać, śpiewał, miast walczyć, będziesz kochał, nienawidził, żył w swoich książkach; ale kiedy zachowasz wszystkie bogactwa dla swego stylu, złoto, purpurę dla swoich postaci, kiedy będziesz deptał w łachmanach ulice Paryża, dumny, iż wydałeś na świat, rywalizując z samym Stwórcą, żywe istoty zwane Adolfem, Korynną, Klaryssą lub Manon<sup>454</sup>, kiedy zrujnujesz własne życie i żołądek, aby dać istnienie swej kreacji, ujrzysz ją spotwarzoną, zdradzoną, sprzedaną, rzuconą w otchłań zapomnienia przez dziennikarzy, pogrzebaną przez twoich najlepszych przyjaciół. Czy potrafisz czekać na dzień, w którym dziecko twego ducha wzbije się, przebudzone przez kogo, kiedy, jak? Istnieje wspaniała książka, *pianto*<sup>455</sup> niewiary. *Obermann*<sup>456</sup>, książka, która pleśnieje samotnie w pustkowiach magazynów i którą księgarze nazywają ironicznie „marynatą”: kiedy przyjdzie dla niej dzień? Nikt nie wie! Przede wszystkim spróbuj znaleźć księgarza dość odważnego, aby wydrukować *Stokrocie*. Nie chodzi o to, aby zapłacić, ale tylko *wydrukować*. Ujrzysz ciekawe sceny!

Ta okrutna tyrada, wyrzucona całą gamą namiętnych tonów, spadła niby lawina w serce Lucjana i przejęła je lodowatym zimnem. Stał chwilę nieruchomy i milczący. Wreszcie

<sup>452</sup>„Codzienna” — „La Quotidienne”, rojalistyczna gazeta francuska wydawana od 1790 do 1847. [przypis edytorski]

<sup>453</sup>„Debaty” — właśc. „Dziennik debat” (fr. „Journal des débats”), gazeta francuska utworzona w 1789, początkowo jako główne źródło informacji o debatach Zgromadzenia Narodowego; w okresie Restauracji oraz monarchii lipcowej nosiła tytuł „Journal des débats politiques et littéraires” i była najpoczytniejszą gazetą w kraju. [przypis edytorski]

<sup>454</sup>*Adolf, Korynna, Klaryssa, Manon* — tytułowe postaci z popularnych powieści: *Adolf* (1816) Beniamina Constanta, *Korynna czyli Włochy* (1807) Madame de Staël, *Klaryssa czyli historia młodej damy* (1748) Samuela Richardsona i *Historia kawalera des Grioux i Manon Lescaut* (1731) Antoine’a Prévosta. [przypis edytorski]

<sup>455</sup>*pianto* (wł.) — płacz. [przypis edytorski]

<sup>456</sup>*Obermann* — preromantyczna, melancholijna powieść epistolarna autorstwa Étienne’a Pivert de Senancour (1770–1846), wydana w 1804, przez długi czas pozostawała niemal niezauważona. [przypis edytorski]

Bieda

Literat, Zazdrość

Literat

serce jego, jak gdyby podsycone straszliwą poezją walki, wybuchło. Ścisnął rękę Stefana i wykrzyknął:

— Zwycięzę!

— Dobryś! — rzekł dziennikarz. — Jeszcze jeden chrześcijanin wstępuje na arenę bestiom na pożarcie. Mój drogi, jest dziś premiera w Panorama-Dramatique, zacznie się aż o ósmej, jest szósta, idź włożyć, co masz najlepszego, słowem, staraj się wyglądać przyzwoicie. Wstąp po mnie. Mieszkam przy ulicy La Harpe, nad kawiarnią Servel, na czwartym. Pójdziemy najpierw do Dauriata. Trwasz w postanowieniu, nieprawdaż? Otóż zapoznam cię dziś wieczór z królem księgarni i ze śmietanką dziennikarzy. Po przedstawieniu pójdziemy przegryźć coś u mojej przyjaciółki z paroma kompanami, nasz obiad bowiem nie może się liczyć za posiłek. Spotkasz tam Finota, naczelnego redaktora i właściciela dziennika. Chcesz pływać, skacz tedy prosto w wodę.

— Nie zapomnę nigdy tego dnia — rzekł Lucjan.

— Uzbroj się także w swój rękopis i wyglądaj przyzwoicie, nie tyle dla Floryny, ile dla księgarza.

Ta koleżeńska dobroduszość, tuż po rozpaczliwym krzyku poety malującego wojnę literacką, wzruszyła Lucjana równie żywo jak niedawno, na tym samym miejscu, poważne słowa d'Artheza. Rozgrzany perspektywą bliskiej walki, niedoświadczony młodzieniec nie podejrzewał zgoła istoty niedoli moralnych, jakie mu odsłaniał dziennikarz. Nie wiedział, iż stoi na rozdrożu między dwiema różnymi drogami, dwoma kierunkami, reprezentowanymi przez Biesiadę i dziennikarstwo; jedna droga była długa, zaszczytna, pewna; druga usiana skałami i niebezpieczeństwami, pełna bagnistych rynsztoków, w których miało się zbrukać jego sumienie. Charakter niósł go ku drodze najkrótszej, na pozór najprzyjemniejszej, ku środkom stanowczym i szybkim. Nie dostrzegał w tej chwili żadnej różnicy między szlachetną przyjaźnią d'Artheza a łatwym koleżeństwem Stefana. Ruchliwy jego umysł ujrzał w dzienniku broń, po którą czuł się w prawie sięgnąć; czuł się zdatny do władania nią, zapragnął ją chwycić. Olśniony propozycjami nowego przyjaciela, którego dłoń uderzyła o jego rękę z taką pełną wdzięku swobodą, czyż mógł wiedzieć, że w armii prasy każdy potrzebuje przyjaciół, jak generałowie żołnierzy? Lousteau, widząc decyzję Lucjana, werbował go w nadziei przywiązania go do siebie. Dziennikarz znajdował w nim pierwszego przyjaciela, jak Lucjan pierwszego protektora; jeden chciał awansować na kaprała, drugi zostać żołnierzem. Neofita wrócił radośnie do hoteliku, gdzie dopełnił toalety równie starannej, jak w ów nieszczęsny dzień, gdy miał zabłysnąć w łożu margrabiny d'Espard, ale już suknie były mu bardziej do twarzy, już je sobie przyswoił. Włożył piękne obcisłe jasne pantalone, zgrabne buty z pomponami (czterdzieści franków!) i najparadniejszy fraczek. Obfite i delikatne włosy blond sfalowały się pod ręką balwierza<sup>457</sup>, który napoił je wonnościami i utrefił w błyszczące pukle. Czoło Lucjana zajaśniało odwagą czerpaną w poczuciu swej wartości i przyszłego zwycięstwa. Ręce, piękne jak u kobiety, umył i wypięłgnował, paznokcie w kształcie migdała załśniły, różowe i zgrabnie obcięte. Na tle czarnego atlasowego kołnierza zarysował się jasny owal podbródka. Nigdy ładniejszy młody człowiek nie zstępował z wyżyn „krajiny łacińskiej”. Piękny jak bóg grecki, Lucjan wziął dorożkę i o trzy kwadransy na siódmą<sup>458</sup> stanął u bramy domu, gdzie mieściła się kawiarnia Servel. Odźwierna poleciła mu wdrapać się na czwarte piętro, dając dość skomplikowane wskazówki topograficzne. Uzbrojony w te informacje, znalazł, nie bez trudu, drzwi na końcu długiego, ciemnego korytarza i ujrzał klasyczny pokój Dzielnicy Łacińskiej. Nędza młodzieńcza ścigała go tu jak na ulicy de Cluny, jak u d'Artheza, u Chrestiena, wszędzie! Ale w każdym miejscu ma ona piętno, jakie nadaje jej charakter pacjenta. Tutaj nędza ta była szpetna. Orzechowe łóżko bez firanek, u stóp którego wałał się lichej, okazjnie kupiony dywanik; firanki poźółkłe od dymu zepsutego kominka i cygar; na kominku dość zbytkowna lampa, dar Floryny, który dotąd cudem uniknął lombardu; zniszczona mahoniowa komoda, stół zarzucony papierami, parę wystrzępionych piór, książki jedynie te, które nagromadziły się w ciągu ostatnich dni, oto inwentarz tego pokoju. Ohydne widoku dopełniały schodzone buty zięjące w kącie, stare, do cna zestrzępione skarpetki; szczytki rozdeptanych cygar, brudne chustki, rozrzucone koszule,

Strój, Pieniądz

Uroda

<sup>457</sup>balwierz (daw.) — fryzjer wykonujący również zabiegi kosmetyczne i felczerskie. [przypis edytorski]

<sup>458</sup>trzy kwadransy na siódmą (daw.) — trzy kwadransy po szóstej, czyli za kwadrans siódma. [przypis edytorski]

krawaty. Był to, słowem, biwak literacki, uderzający najopłakaniejszą nagością. Na stoliku nocnym leżało kilka książek przerzucanych dziś rano i fosforowe krzesiwko, na komin-ku brzytwa, para pistoletów, pudełko cygar. Na ścianie para floretów pod maską. Trzy nędzne krzesła i dwa fotele, odpowiednie chyba dla najnędzniejszego hoteliku na tej ulicy, dopełniały urządzenia. Pokój ten, zarazem niechlujny i smutny, świadczył o życiu bez skupienia i godności: widać było, że lokator sypia w nim, pracuje w pośpiechu, mieszka w nim z musu i opuszcza go co rychlej. Cóż za różnica między tym cynicznym nieładem a schludną, wstydliwą nędzą d'Artheza!... Rady tej, podszeptanej przez wspomnienie, Lucjan nie zdążył usłyszeć, Stefan bowiem nadrobił konceptem, aby osłonić ten dokument plugawego życia.

— Oto moja nora; sale reprezentacyjne są przy ulicy de Bondy, w nowym apartamencie urządzonym przez pigularza dla Floryny. Oblewamy go właśnie dziś wieczór.

Stefan Lousteau miał czarne pantalone, starannie wyczyszczone buty, frak zapięty pod szyję; koszula, którą z pewnością miał zmienić u Floryny, kryła się pod aksamitnym kołnierzem. Czyścił kapelusz, starał się mu nadać połysk nowości.

— Chodźmy — rzekł Lucjan.

— Jeszcze nie, czekam na księgarza, aby zdobyć nieco monety; będzie się może grało, nie mam ani szeląga; zresztą, potrzebuję rękawiczek.

W tej chwili dwaj nowi przyjaciele usłyszeli w korytarzu męskie kroki.

— To on — rzekł Lousteau. — Ujrzysz, mój drogi, postać, jaką przybiera Opatrzność, kiedy się objawia poetom. Nim będziesz oglądał w jego chwale Dauriata, księgarza-światowca, ujrzysz księgarza z Quai des Augustins, księgarza-lichwę, kupca starzyzny literackiej, normandzkiego eksprzekupnia sałaty. Przybывaj, stary Tatarzynie! — krzyknął Lousteau.

— Idę, idę — rzekł głos bezdźwięczny niby pęknięty dzwonek.

— Z pieniędzmi?

— Z pieniędzmi!

— Nie ma ich już w ogóle w księgarni — odparł młody człowiek, który wchodząc, obrzucił Lucjana ciekawym spojrzeniem.

— Najpierw jesteś mi pan winien pięćdziesiąt franków — odparł Lousteau. — Następnie, oto dwa egzemplarze *Podróży po Egipcie*<sup>459</sup>. Mówią o tym cuda, zatrząsienie rycin, pokup pewny, zamówiono u Finota dwa artykuły, które ja mam pisać. *Item*<sup>460</sup>, dwa ostatnie romanse Wiktora Ducange, znakomitego dostawcy św. Kołtunerii<sup>461</sup>. *Item*, dwa egzemplarze drugiego dzieła młodego pióra, Pawła de Kock<sup>462</sup>, który robi w tym samym rodzaju. *Item*, dwie *Izoldy z Dôle*, ładne dzieło prowincjonalne. Razem sto franków, cena księgarska. Dawaj mi tedy sto franków, Barbusiu.

Barbet brał do ręki książki, przepatrując z uwagą kartki i okładkę.

— Och! Wszystkie w doskonałym stanie — wykrzyknął Lousteau. — *Podróż* nie przecięta ani Paweł de Kock, ani Ducange, ani te tam na kominku: *Rozważania o symbolice*; te dają ci darmo; są tak nudne, że nie chcę tego trzymać ani godziny, obawiam się niestrawności.

— Ale — rzekł Lucjan — w jaki sposób napisze pan o nich?

Barbet skierował na Lucjana zdumione spojrzenie, po czym spojrzął na Stefana, parskając śmiechem:

— Widać, że szanowny pan nie ma nieszczęścia być literatem.

— Nie, Barbet, nie. Ten pan jest poetą, wielkim poetą, który pograży Canalisa, Berangera i Delavigne'a. Zajdzie daleko, chyba że się rzuci na łeb do wody, a i wówczas zajechałby do Saint-Cloud<sup>463</sup>.

<sup>459</sup>*Podróż po Egipcie* — zapewne chodzi o książkę *Voyage historique en Égypte...* autorstwa Dominique Di Pietro, wydaną w 1818, jedną z licznych pozycji, jakie ukazały się we Francji po wyprawie Napoleona do Egiptu, której towarzyszyło wielu historyków, przyrodników i rysowników. [przypis edytorski]

<sup>460</sup>*item* (łac.) — również, także. [przypis edytorski]

<sup>461</sup>*kołtuneria* (pogard.) — zbiorowość ludzi zacofanych, ciemnych i nietolerancyjnych; także: mentalność i postawa właściwe takim ludziom. [przypis edytorski]

<sup>462</sup>*Kock, Paul de* (1794–1871) — francuski pisarz, autor wielu rubasznych, swobodnych obyczajowo powieści o życiu paryskim. [przypis edytorski]

<sup>463</sup>*zajechałby do Saint-Cloud* — w miasteczku Saint-Cloud, ok. 10 km od centrum Paryża, Sekwanę przegradzono sieciami w celu wylawiania ciał topielców. [przypis edytorski]

— Gdyby mi wolno było dać panu radę — rzekł Barbet — radziłbym porzucić wiersze, a wziąć się do prozy. Nie chcą już wierszy w antykwarni.

Barbet miał na sobie surducinę zapiętą na jeden guzik, z zatłuszczonym kołnierzem; wszedł w kapeluszu na głowie, na nogach miał grube buty, rozchylona kamizelka ukazywała pocziwą koszulę z grubego płótna. Twarz okrągła, rozświecona parą chciwych oczu, miała pozory dobroduszości; ale równocześnie w spojrzeniu był ów nieokreślony niepokój ludzi zamożnych, nawykłych, że ich często nagabują o pieniądze. Wydawał się gładki i łatwy, tak chytrą jego była wyścielona tuszą. Przebywszy jakiś czas praktykę jako subiekt, otworzył od dwu lat nędzną antykwarnię, skąd puszczał się między dziennikarzy, autorów i drukarzy, skupując za bezcen egzemplarze gratisowe i zarabiając w ten sposób jakieś dziesięć do dwudziestu franków dziennie. Ciulając grosz do grosza, wietrzył potrzeby każdego, myszkował za dobrą aferą, eskontował<sup>464</sup>, po piętnaście lub dwadzieścia od sta<sup>465</sup>, autorom przyciśniętym potrzebą weksle księgarzy, do których szedł nazajutrz kupić, za cenę zniżoną „dla płacącego gotówką”, jakichś kilka dobrych poszukiwanych książek, oddając im własne ich weksle miast pieniędzy. Posiadał pewne wykształcenie, które służyło mu na to, aby starannie unikać poezji i nowoczesnych powieści. Lubił nad wszystko małe przedsięwzięcia, książki użyteczne, których całkowita własność kosztowała go tysiąc franków i które mógł eksploatować do woli, jak np. *Historia Francji dla dzieci*, *Buchalteria w dwudziestu lekcjach*, *Botanika dla panienek*. Wypuścił już z rąk parę dobrych książek, wymęczywszy wprzód autorów dwudziestokrotnymi wizytami, nie mogąc się zdecydować na nabycie. Kiedy mu wymawiano tchórzostwo, pokazywał sprawozdanie ze sławnego procesu, którego skrypt, wycięty z dzienników, nie kosztował go nic, a które przyniosło mu dwa do trzech tysięcy.

Barbet był to księgarz-strachajło, który żyje chlebem i orzechami, wypuszcza jak najmniej weksli, nicuje rachunki, obrywa je, roznosi sam książki nie wiadomo gdzie, ale koniec końców, sprzedaje i robi pieniądze. Był on postrachem drukarzy, którzy nie wiedzieli, jak z nim sobie radzić: płacił ich z potrąceniem skonta<sup>466</sup> i obrzynał rachunki, wypatrzywszy chwilę pilnej potrzeby; następnie omijał tych, których raz oporządził, lekając się jakiej podrywki<sup>467</sup>.

— Cóż, idzie interes? — rzekł Lousteau.

— Ech, panie drogi — rzekł poufale Barbet — mam w sklepie sześć tysięcy tomów do zbytu. Owóż, jak mówił pewien doświadczony księgarz, łatwo się książki pisze — ale trudno sprzedaje. To żaden towar.

— Gdybyś zaszedł do jego sklepu, drogi Lucjanie — rzekł Stefan — ujrzałbyś na ladzie dębowej (nabytek z licytacji jakiejś winiarni) nieobciętą łojówkę, wówczas bowiem spala się mniej szybko. W tym blasku ujrzałbyś półki próżne. Aby strzec tej nicości, chłopczyna w niebieskiej kamizeli dmucha sobie w palce, tupie nogami lub wali się po bokach dorożkarską modą. Ot, patrz! Nie więcej książek, niż ja ich mam tutaj. Nikt nie może odgadnąć, co tam właściwie za handel się uprawia.

— Oto trzymiesięczny weksel na sto franków — rzekł Barbet, który nie mógł się wstrzymać od uśmiechu, wydobywając z kieszeni stemplowy papier. — Zabieram pańskie szpargały. Widzisz pan, nie mogę płacić już gotówką, sprzedaż idzie zbyt ciężko. Myślałem, że pan mnie będzie potrzebował, byłem bez grosza, podpisałem ten blankiet, aby panu wygodzić, bo na ogół nie lubię puszczać w świat mego podpisu.

— Żądasz zatem jeszcze mego szacunku i podziękii? — rzekł Lousteau.

— Mimo iż nie da się wyrównać weksła uczuciami, przyjmę, ostatecznie, pański szacunek — odparł Barbet.

— Ale ja potrzebuję rękawiczek, perfumierie zaś nie będą na tyle uprzejme, aby przyjmując pański oblig — rzekł Lousteau. — Ot, masz pan wspaniałe sztych, tam w pierwszej szufladzie komody, wart jest osiemdziesiąt franków, egzemplarz przed odbiciem, a po

<sup>464</sup>eskontować (daw.) — dyskontować weksel, tj. wykupywać weksel przed terminem jego płatności po potrąceniu pewnej części sumy, na jaką go wystawiono. [przypis edytorski]

<sup>465</sup>od sta (daw.) — od stu (sta: daw. D. słowa „sto”, odmienianego jak rzeczownik); dziś: procent. [przypis edytorski]

<sup>466</sup>skonto — procentowe zmniejszenie sumy należności udzielane nabywcy towaru, jeżeli płaci należność gotówką, zamiast korzystać z oferowanego przez sprzedawcę odroczenia płatności. [przypis edytorski]

<sup>467</sup>podrywka (daw.) — podstęp. [przypis edytorski]

artykule, nagryzmoiliem o tym parę dość uciesznych wierszy. Było co pisać o tym *Hipokracie odrzucającym dary Artakserksesa*<sup>468</sup>. He? Ta piękna rycina nadałaby się w salonie lekarzy, którzy odrzucają zbyt kosztowne dary satrapów<sup>469</sup> paryskich. Znajdziesz pan jeszcze pod ryciną z trzydzieści romansów. No, bierz wszystko i daj czterdzieści franków.

— Czterdzieści franków! — rzekł księgarz, wydając pisk przestraszonej kury. — Najwyżej dwadzieścia. A i te mogę stracić — dodał Barbet.

— Gdzież te dwadzieścia franków? — odparł Lousteau.

— Daję słowo, nie wiem, czy mam — odparł Barbet, obszukując kieszenie. — Są. Obdzierasz mnie pan, masz na mnie wpływ, w istocie...

— Dalej, chodźmy — rzekł Lousteau, który wziął rękopis Lucjana i zrobił pod węzełkiem znaczek atramentem.

— Ma pan jeszcze co? — spytał Barbet.

— Nie, mój Shyloczku<sup>470</sup>. Ale nastreczę panu świetny interes (na którym stracisz tysiąc talarów, żeby cię nauczyć, za to, że mnie okradasz w ten sposób!) — rzekł po cichu Lousteau do Lucjana.

— A pańskie recenzje? — rzekł Lucjan, gdy dorożka wiozła ich w stronę Palais-Royal.

— Ba, nie wiesz, jak się to kleci? Co do *Podróży po Egipcie*, otwarłem książkę i rzuciłem okiem, nie przecinając, przy czym odkryłem jedenaście błędów językowych. Machnę jedną kolumnę, pisząc, że jeżeli autor nauczył się języka kaczek wrytych na kamieniach egipskich zwanych obeliskami, nie zna w zamian własnego języka, i dowiodę mu tego. Powiem, że zamiast nam mówić o historii naturalnej i starożytnościach, powinien był się raczej zająć przyszłością Egiptu, postępem cywilizacji, sposobami pozyskania Egiptu dla Francji, która, zdobywszy go raz i straciwszy, może go jeszcze zjednać sobie drogą moralnego wpływu. W tym miejscu kuplecik patriotyczny, nadziewany tyradami o Marsylii, Wschodzie, o handlu francuskim.

— A gdyby to był uczynił, cóż byś wówczas powiedział?

— Hm, wówczas powiedziałbym, że zamiast nas piłować polityką powinien był się zająć sztuką, ująć kraj z jego strony malowniczej i terytorialnej. Krytyk daje wówczas upust lamentacjom. Polityka, powiada, zalewa nas, nudzi, pełno jej wszędzie. Żałowałbym owych uroczych historii podróżniczych, w których tłumaczono nam trudności żeglownia, urok pełnego morza, rozkosze przejścia równika<sup>471</sup>, słowem, wszystkie te cuda tak łakome dla ludzi, którzy nie będą podróżowali nigdy. Wciąż pełen entuzjazmu, dworując sobie mimochodem z podróżników, którzy święcą jako wielkie wydarzenia przelatującego ptaka, latającą rybę, połów, oznaczanie punktów geograficznych, gruntowanie dna. Domagam się na nowo owych specjalów naukowych, zupełnie niezrozumiałych, które pociągają jak wszystko, co głębokie, tajemnicze, niepojęte. Abonent śmieje się, ma za swoje pieniądze. Co do romansów, Floryna jest największą pożeraczką romansów pod słońcem, opowiada mi treść i klecę recenzje wedle jej opinii. Kiedy ją znudziło to, co nazywa gadaniną, wówczas biorę książkę pod uwagę i żądam nowego egzemplarza od wydawcy, który przesyła go czym prędzej, uszczęśliwiony, iż będzie miał pochlebny artykuł.

— Dobry Boże, ale krytyka, święta krytyka? — rzekł Lucjan, przepojony hasłami Biesiady.

— Mój drogi — odparł Lousteau — krytyka to szcztoka, której nie da się używać do lekkich materii, wydarłaby z nich włos do szcztetu. Ale słuchaj, dajmy pokój rzemiosłu. Widzisz ten znaczek? — rzekł, ukazując rękopis *Stokroci*. — Zrobiłem małą kreskę przez sznurek i papier. Jeśli Dauriat przeczyta rękopis, nie zdoła oczywiście zawiązać sznurka dokładnie tak samo. Zatem rękopis jest jak opieczętowany. Nie będzie to bez pożytku dla doświadczeń, które chcesz podjąć. A zauważ, że nie zjawiasz się sam, bez ojca

<sup>468</sup> *Hipokrat odrzucający dary Artakserksesa* — obraz Anne-Louis Girodeta (1767–1824) z roku 1792, ukazujący odrzucenie darów i zaproszenia perskiego króla przez słynnego lekarza greckiego, który nie chciał pomagać wrogom; w 1816 Jean Massard wykonał miedziorytową reprodukcję obrazu Girodeta. [przypis edytorski]

<sup>469</sup> *satrapa* — namiestnik prowincji (satrapii) w starożytnej Persji; synonim tyrana. [przypis edytorski]

<sup>470</sup> *Shylock* — chciwy lichwiarz z komedii Szekspira *Kupiec wenecki*. [przypis edytorski]

<sup>471</sup> *rozkosze przejścia równika* — „chrzest równikowy”, obejmujący szereg prób, tradycyjnie urządzany przez załogę statku, przebraną za bóstwa morskie, osobom, które po raz pierwszy przekraczają równik. [przypis edytorski]

chrzestnego w tym kramie, jak owi młodzi panice, co to obchodzą dziesięciu księgarzy, nim znajdą jednego, który im ofiaruje bodaj krzesło...

Lucjan doświadczył już prawdziwości tej uwagi. Lousteau zapłacił dorożkarza, rzucając mu trzy franki, ku zdumieniu Lucjana, uderzonego tą hojnością tuż po takiej nędzy. Następnie przyjaciele zapuścili się w Galerie Drewniane, gdzie królował wówczas księgarski rynek „nowości”. W tej epoce Galerie Drewniane stanowiły jedną z najsłynniejszych osobliwości Paryża. Nie od rzeczy będzie odmalować tutaj ten plugawy bazar; przez trzydzieści sześć lat odgrywał on w życiu paryskim tak wielką rolę, iż niewielu jest dojrzałych mężczyzn, którym by ten opis, niewiarygodny dla młodych, nie sprawił jeszcze przyjemności. W miejsce zimnej, wysokiej i szerokiej Galerii Orleańskiej, cieplarni bez kwiatów, znajdowały się baraki lub, aby rzec ściślej, budy z desek, nędznie pokryte, małe, lichy oświetlone od dziedzińca i ogrodu przez okienka wychodzące na sąsiednie posesje, a podobne do okien w najbrudniejszym szynku za rogatka mi. Potrójny rząd sklepów tworzył dwie galerie, wysokości około dwunastu stóp. Sklepy położone w środku otwarte były na obie galerie, których atmosfera udzielała im swego zaduchu, dach zaś przepuszczał cokolwiek światła przez zawsze brudne szyby. Jamy te nabrały olbrzymiej ceny wskutek napływu publiczności. Mimo że niektóre z nich były tak ciasne, iż liczyły ledwie sześć stóp szerokości a osiem do dziesięciu długości, czynsz roczny sięgał tysiąca talarów. Sklepy wychodzące na ogród i dziedziniec ogrodzone były zielonymi kratkami, może po to, aby tłum swoim naporem nie uszkodził lichy tynkowanych murów, które tworzyły tył magazynów. W ten sposób powstała przestrzeń na parę stóp szeroka, gdzie wegetowały najdziwniejsze produkty nieznaney nauce flory, zmieszane z wytworami rozmaitych nie mniej kwitnących gałęzi przemysłu. Stara gazeta spoczywała na krzaku róży w ten sposób, iż kwiatom retoryki udzielał się zapach skrofulicznych<sup>472</sup> kwiatów tego lichy pielęgnowanego, ale w zamian bogato nawożonego ogródka. Wstążki wszelakich kolorów albo stare prospekty kwitły wśród gałęzi. Strzępy konfekcji dławiły wegetację: widziałeś tam kokardę z wstążek na pęku zieloności i doznawałeś uczucia zawodu, odkrywając atlasową wstążkę w czymś, co z daleka brałeś za dalię. Tak od dziedzińca, jak od ogrodu wygląd tego fantastycznego pałacu nastęczał oczom najdziksze obrazy paryskiego niechlujstwa: splukane deszczem malatury, łatanie tynki, stare malowidła, fantastyczne szyldy. Poza tym publiczność zanieczyszczała starannie te zielone kraty, zarówno od ogrodu, jak od dziedzińca. Tak więc po obu stronach plugawy ten i cuchnący szpaler zdawał się delikatnym ludziom bronić przystępu do galerii; ale ludzie delikatni tak samo nie cofali się przed tymi plugastwami, jak książęta z cudownych baśni nie cofają się przed smokami i przeszkodami, którymi złe duchy odgradziły upragnioną księżniczkę. Tak samo jak dzisiaj, galerie miały pośrodku przejście, wchodziło się tam przez dwa obecne perystyle<sup>473</sup>, zaczęte przed rewolucją i zaniechane dla braku pieniędzy. Piękna kamienna galeria, która prowadzi do Komedii Francuskiej, tworzyła wówczas wąski pasaż o nieproporcjonalnie wysokich ścianach i tak lichy pokryty, że często zaciekał. Nazywano go Galerią Szklaną, dla odróżnienia od Galerii Drewnianych. Dachy tych nor były zresztą wszystkie w tak złym stanie, że dom Orleanów miał proces ze słynnym kupcem jedwabnym, któremu w ciągu jednej nocy niszczył towar na bardzo znaczną sumę. Kupiec wygrał sprawę. Podwójne płótno napuszczone smołą służyło w wielu miejscach za pokrycie. Podłogę Galerii Szklanej, gdzie Chevet zaczął się dorabiać fortuny, jak również podłogę Galerii Drewnianych stanowił naturalny grunt Paryża, pomnożony o sztuczny nasyp, naniesiony butami i trzewikami przechodniów. Co krok nogi natykały się na góry i doliny stwardniałego błota, wymiatane nieustannie przez kupców i wymagające od nowicjuszków niejakiej wprawy w chodzeniu.

Ten żalosny zbiór nieczystości, te zbrukane kurzem i deszczem oszklenia, te budy płaskie i okryte od zewnątrz lachami, te brudne niedokończone mury, ten natłok rzeczy mających coś z obozu Cyganów, coś z jarmarcznych namiotów, z tymczasowych szalowań otaczających w Paryżu pomniki, których się nie buduje, ta fizjonomia, jak gdyby wykrzywiona szpetnym grymasem, doskonale odpowiadała rodzajom handlu, które roily się pod tą szopą, bezwstydną, bezczelną, pełną szczebiotu i szalonej wesołości, gdzie

<sup>472</sup>skrofuliczny — chory na gruźlicę węzłów chłonnych szyi, dawniej zwaną skrofulami. [przypis edytorski]

<sup>473</sup>perystyl — wewnętrzny dziedziniec otoczony kolumnami. [przypis edytorski]

między rewolucją roku 1789 a rewolucją roku 1830 toczyły się olbrzymie interesy. Przez dwadzieścia lat giełda znajdowała się naprzeciwko, na parterze pałacu. Tak więc opinia publiczna, reputacje tworzyły się i padały tutaj, zarówno jak sprawy polityczne i finansowe. Naznaczano sobie spotkania w tych galeriach przed i po giełdzie. Bank i handel Paryża skupiały się często na dziedzińcu Palais-Royal i chroniły się pod te szopy w czas deszczu. Ta wyrosła nie wiadomo w jaki sposób budowla obdarzona była przedziwną akustycznością. Wybuchy śmiechu rozlegały się donośnie. Wystarczyło, aby w jednym końcu wszczęła się kłótnia, a już w drugim wiedziało się, o co chodzi. Były tam tylko księgarnie: poezja, polityka, powieść; modniarki, wreszcie dziewczęta lekkiego życia zjawiały się jedynie wieczór. Tam wykwitwały nowinki i książki, młode i stare sławy, konspiracje polityki i kłamstwa księgarń. Tam sprzedawało się nowości i publiczność upierała się kupować je tylko tam. Tam sprzedano w ciągu jednego wieczora ileś tam tysięcy pamfletu Pawła Ludwika Courier<sup>474</sup> albo *Przygód córki królewskiej*<sup>475</sup>, pierwszego pocisku wystrzelonego przez Orleanów<sup>476</sup> w burbońską konstytucję. W epoce, w której Lucjan odwiedził galerię, kilka sklepów posiadało oszklone i dość wykwintne wystawy, ale wszystkie wychodziły na dziedziniec lub ogród. Aż do chwili, w której ta osobliwa kolonia zginęła pod młotem architekta, sklepy położone między dwiema galeriami były zupełnie otwarte, podparte słupami jak budy jarmarczne w miasteczku; poprzez sterty towarów lub oszklone drzwi oko mogło przeniknąć obie galerie. Ponieważ niemożliwe było opalać tę przestrzeń, kupcy mieli tylko małe piecyki i sami sprawowali funkcje straży pożarnej, jedna bowiem nieostrożność mogła pochłonąć w kwadrans to miasteczko z desek wyschłych na słońcu, jak gdyby już rozpalonych przez prostytutkę, pełnych gazy, muślinu, papieru, niekiedy wentylowanych przeciągami. Sklepy modystek pełne były nieprawdopodobnych kapeluszy, przeznaczonych nie tyle na sprzedaż, co na wystawę, wieszanych setkami na żelaznych grzybkach i strojących galerię tysiącem kolorów. Przez dwadzieścia lat przechodnie zadawali sobie pytanie, na jakich głowach kończą swą karierę te zakurzone kapelusze. Modystki, przeważnie brzydkie, ale hoże, wabiły chytrze kobiety i zachęcały do kupna obyczajem i gwarą hal. Gryzетка, o języku równie sprawnym jak jej ślepki, stała na taborecie i nawoływała: „Paniusiu, kup sobie paniusia ładny kapelus! — Dajże pan coś utargować dzisiaj”. Słownik ich, bogaty i malowniczy, mienił się w tysięcznych modulacjach głosu, którym towarzyszyły spojrzenia i docinki pod adresem przechodniów. Księgarze i modystki żyli z sobą w harmonii. W pasażu, pompatycznie nazwanym Galerią Szklaną, mieściły się jeszcze osobliwsze handle. Tam sadowili się brzuchomówcy, szarlatani wszelakiego rodzaju, widowiska, w których nie widzi się nic, i inne, w których pokazują ci świat cały. Tam osiadł człowiek, który zarobił siedem- czy osiemkroć tysięcy franków, wędrując po jarmarkach. Miał on za godło słońce obracające się na czarnym tle, dokoła zaś błyszczały te słowa, wypisane czerwono: „Tutaj ogląda człowiek to, czego nie danym jest oglądać samemu Bogu. Cena: dwa su”. Wywoływacz wpuszczał zawsze tylko dwie osoby — nigdy inaczej. Wszedłszy, znajdowaliście się nos w nos z wielkim zwierciadłem. Naraz głos, zdolny przerazić berlińczyka Hoffmanna, odzywał się jakby za pociśnięciem sprężyny: „Widzicie, panowie, to, czego przez całą wieczność Bogu nie jest dane oglądać, to znaczy *podobnych sobie*. Bóg nie ma podobnego sobie”. Wychodziliście zawstyżeni, nie śmiejąc przyznać się do swej głupoty. Ze wszystkich drzwiczek dobywały się podobne głosy, zachwalające kosmoramy<sup>477</sup>, widoki Konstantynopola, przedstawienia marionetek, automaty grające w szachy, psy rozpoznające najpiękniejszą kobietę z towarzystwa. Tam kwitnął, w kawiarni Borela, brzuchomówca Fitz-James, nim zginął na

Żart, Interes

Handel

<sup>474</sup>*Courier*, Paul Louis (1772–1825) — francuski hellenista i publicysta liberalny; jeden z najbardziej zaciekle krytyków rządów Restauracji, atakował je w szeregu listów i pamfletów. [przypis edytorski]

<sup>475</sup>*Przygody córki królewskiej* (fr. *Aventures de la fille d'un roi*) — alegoryczna opowieść o Karcie Konstytucyjnej Ludwika XVIII, wydana anonimowo przez Jeana Vatout w 1821. [przypis edytorski]

<sup>476</sup>*Orleanowie* — orleańska linia rodu Burbonów; jej przedstawicielem był Ludwik Filip I, ostatni monarcha Francji z rodu Burbonów, który objął władzę po wybuchu rewolucji lipcowej w 1830 oraz abdykacji i ucieczce króla Karola X. [przypis edytorski]

<sup>477</sup>*kosmorama* — panoramiczne malowidło przedstawiające widok miasta, wystawiane w zaciemnionym pomieszczeniu, dzięki zastosowaniu soczewek i odpowiedniego oświetlenia dające złudzenie głębi przestrzennej. Pierwszy salon kosmoram otwarto w 1808 w Paryżu, w Palais-Royal. [przypis edytorski]



Montmartre<sup>478</sup>, zamieszany między elewów<sup>479</sup> Szkoły Politechnicznej. Były tam owocarki i kwaciarki, sławny krawiec, na którego wystawie galony wojskowe błyszcząły wieczorem niby słońca. Rano aż do drugiej po południu galerie były nieme, posępne i puste. Kupcy gwarzyli niby u siebie w domu. Ogólna schadzka ludności Paryża zaczynała się dopiero około trzeciej, z godziną giełdy. Z chwilą gdy tłum zaczynał napływać, młodzi ludzie, łaknący literatury a pozbawieni pieniędzy, uprawiali bezpłatną lekturę na wystawach księgarskich. Subiektci, mający powierzona straż nad wystawionymi książkami, pozwalali litościwie biedakom przewracać kartki. Dwustustronicowy tom in 12°, jak *Smarra, Piotr Schlehmil, Jan Sbogar, Jocko*<sup>480</sup>, łykało się w dwóch posiedzeniach. W owym czasie nie istniały jeszcze wypożyczalnie; kto chciał przeczytać książkę, musiał ją kupić; toteż powieści sprzedawało się w ilościach, które dziś wydałyby się bajeczne. Było coś na wskroś francuskiego w tej jałmużnie na rzecz młodej, łakomej a biednej inteligencji. Ale poezja tego straszliwego bazaru zaczynała promieniować ze schyłkiem dnia. Z przyległych ulic napływało mnóstwo dziewcząt, które mogły przechadzać się tu bez opłaty. Ze wszystkich kątów Paryża ściągały dziewczyny: każda musiała odbyć swoją turę Pałacu. Galerie Kamienne należały do uprzywilejowanych domów, które opłacały prawo wystawiania kobiet ubranych jak księżniczki między tą a tą arkadą i w odpowiadającym jej odcinku ogrodu, podczas gdy Galerie Drewniane były dla prostytucji terenem publicznym, prawdziwym Pałacem, które to słowo oznaczało wówczas świątynię prostytucji. Kobieta mogła tam wejść, wyjść w towarzystwie swej ofiary, uprowadzić ją, gdzie się jej podobało. Otóż kobiety te ściągały wieczorem do Galerii Drewnianych tłum tak ogromny, że można się było posuwać tylko krok po kroku, jak na procesji albo maskaradzie. To powolne tempo, na które nikt się nie skarżył, ułatwiało przegląd. Piękności owe ubierały się w sposób dziś już nieznany, jak nieznana już jest ich moda obnażania się do połowy pleców a bardzo nisko z przodu; toż samo znikły dziwaczne fryzury mające na celu ściągnięcie uwagi: ta po normandzku, owa za Hiszpankę, jedna cała w lokach jak piesek, druga z gładkimi pasmami; nogi w białej pończosze, odsłaniane Bóg wie dokąd, ale zawsze ze smakiem — cała ta poezja bezwstydu przepadła. Tej swobody pytań i odpowiedzi, tego harmonizującego z miejscem publicznego cynizmu nie znajduje się już ani na maskaradach, ani na słynnych dzisiejszych balach. Było to straszne i wesołe razem. Olśniewające ramiona i piersi połyskiwały pośród ciemnych przeważnie ubrań męskich i stwarzały gamę wspaniałych kontrastów. Zmieszane głosy i szurkot nóg tworzyły szmer, który słycać było aż w ogrodzie, niby *basso continuo*<sup>481</sup> zahaftowany śmiechem dziewcząt lub krzykami jakiejś niezbyt częstej kłótni. Osoby ze „świata”, najwybitniejsze osobistości ocierały się o najpodejrzniejsze figury. Te potworne zbliżenia miały w sobie coś dziwnie drażniącego; najzimniejsi z natury ludzie czuli się podnieceni. Toteż cały Paryż cisnął się tam do ostatniej chwili; tłoczył się na drewnianej podłodze, którą architekt wznosił nad piwnicami podczas przebudowy. Olbrzymi i jednogłośnie żal towarzyszył ruinie tego plugawego baraku.

Książka

Kobieta "upadła"

Księgarz Ladvocat usadowił się od kilku dni na rogu pasażu dzielącego w połowie tę galerię, naprzeciw Dauriata, młodego człowieka dziś zapomnianego, ale pełnego inicjatywy: on to pierwszy wykarczował drogę, na której zabłysnął później jego współzawodnik. Sklep Dauriata znajdował się w szeregu bud wychodzących na ogród, księgarnia zaś Ladvocata od dziedzińca. Sklep Dauriata podzielony był na dwie części; jedna stanowiła obszerny magazyn, druga gabinet. Lucjan, który znalazł się tu po raz pierwszy wieczorem

<sup>478</sup> *Montmartre* — historyczna dzielnica w pln. części Paryża, położona na wzgórzu o tej samej nazwie; *zginął na Montmartre*: podczas walk w obronie Paryża przed armiami sprzymierzonych wojsk austriackich, rosyjskich i pruskich, 30 marca 1814. [przypis edytorski]

<sup>479</sup> *elew* (z fr.) — uczeń, wychowanek. [przypis edytorski]

<sup>480</sup> *Smarra, Piotr Schlehmil, Jan Sbogar, Jocko* — *Smarra albo demony nocy* (1821): opowiadanie fantastyczne Charlesa Nodiera (1780–1844); *Historia cudowna Piotra Schlehmiela (Peter Schlemiela Schicksale)*, 1814): nowela niem. poety Adalberta de Chamisso (1781–1838), o człowieku, który sprzedał swój cień, wydana po francusku w 1822; *Jan Sbogar* (1818): powieść gotycka Charlesa Nodiera; *Jocko, anegdota z niewydanych listów o instynkcie zwierząt (Jocko, anecdote détachée des Lettres inédites sur l'instinct des animaux)*, 1824): książka francuskiego pisarza, tłumacza i wydawcy Charlesa de Pougens (1755–1833). [przypis edytorski]

<sup>481</sup> *basso continuo* (wł.: ciągly bas) — linia głosu basowego stanowiąca podstawę harmoniczną utworu. [przypis edytorski]

rem, stracił głowę od tego widoku, któremu nie oprze się żaden prowincjał ani młokos. Stracił niebawem swego przewodnika.

— Gdybyś był taki śliczny jak ten glancus, wydałabym ci jeszcze reszty — rzekła jakaś dziewczyna do starszego jegomościa, wskazując Lucjana.

Lucjan zacerwienił się po białka; płynął z falą w stanie oszołomienia i pijaństwa, trudnym do opisania. Nagabywany spojrzeniami kobiet, wabiony bielą kształtów, wyzywającymi piersiami błyskającymi ze wszystkich stron, ścisnął kurczowo rękopis, bojąc się, aby mu go nie ukradli, niebożątko!

— Przepraszam! — krzyknął, czując, iż ktoś bierze go za ramię, i myśląc, że to jego poezje zwabiły jakiegoś autora.

Poznał świeżego przyjaciela, który rzekł:

— Wiedziałem, że cię to weźmie!

Poeta znalazł się w drzwiach magazynu, dokąd Lousteau go wepchnął. Pełno ludzi czekało tam na chwilę, w której będzie można pomówić z sułtanem księgarni. Drukarze, papiernicy i rysownicy, cisnący się dokoła subiektów, wypytawali ich o interesy w toku lub w planie.

— Patrz, oto Finot, „naczelnym” mego dziennika; ten, z którym rozmawia, to zdolna szelma, Felicjan Vernou; ziółko złośliwe niczym sekretna choroba.

— Pamiętaj, masz dziś premierę, stary — rzekł Finot, zbliżając się z Felicjanem do Stefana Lousteau. — Rozporządziłem twoją lożą.

— Sprzedałeś Braulardowi?

— A choćby, więc cóż? Każesz sobie dać miejsce. Czego ty chcesz od Dauriata? Ale, ale, porozumieliśmy się, że będziemy pchali Pawła de Kock: Dauriat wziął dwieście, a Ducange odmówił mu powieści. Dauriat chce, mówił mi, stworzyć nową sławę w tym samym rodzaju. Wyśrubujesz Pawła de Kock ponad Ducange’a.

— Ale ja wystawiam z Ducange’em sztukę w Gaieté — zauważył Lousteau.

— Więc dobrze, powiesz mu, że artykuł ja pisałem, że miał być straszny, ty go złądziłeś, i jeszcze będzie ci wdzięczny.

— Czy nie mógłbyś się postarać o zeskontowanie tego akceptu na sto franków u tujejszego kasjera? — rzekł Stefan. — Wiesz, że ucztujemy dziś razem: oblewa się nowy apartament Floryny.

— Ach prawda, podejmujesz nas — odrzekł Finot z miną człowieka, który coś sobie z trudnością przypomina. — No, Gabusson — rzekł Finot, biorąc akcept Barbeta i podając kasjerowi — daj no mu za mnie dziewięćdziesiąt franków. Podpiszże z tyłu, stary!

Gdy kasjer odliczał pieniądze, Lousteau wziął jego pióro i podpisał. Lucjan, cały zmieniony we wzrok i w słuch, nie stracił ani sylaby.

— To nie wszystko, drogi przyjacielu — rzekł Stefan — nie dziękuję ci, wiesz, że jestem ci oddany do grobowej deski. Mam pana de Rubempré przedstawić Dauriatowi i chciałbym, abyś go usposobił życzliwie.

— O co chodzi? — spytał Finot.

— O zbiorek poezji — odparł Lucjan.

— A! — rzekł Finot, wzruszając ramionami.

— Szanowny pan — rzekł Vernou, patrząc na Lucjana — od niedawna widać obcuje z księgarzami, inaczej wcisnąłby pan rzeczony rękopis w najustronniejszy kącik swego domostwa.

W tej chwili przystojny młody człowiek, Emil Blondet, który świeżo zadebiutował w „Journal des débats” szeregiem doniosłych artykułów, wszedł, uściśnął rękę Finota, Stefana i lekko pozdrowił Felicjana Vernou.

— Bądź dziś z nami o północy u Floryny — rzekł Lousteau.

— Już się stało — odparł młody człowiek. — A kto będzie?

— Hm — rzekł Lousteau — będą Floryna i Matifat, król pigularzy; du Bruel, autor, który dał rolę Florynie na debiut; stary Cardot wraz z zięciem Camusotem, dalej Finot...

— Czy twój pigularz umie się postawić przynajmniej?

— Nie da nam samych pigulek, mam nadzieję — rzekł Lucjan.

— Pan jest bardzo dowcipny — rzekł poważnie Blondet, spoglądając na Lucjana. — Czy i ten pan będzie dzisiaj, Stefanie?

— Tak.

— Ubawimy się.

Lucjan zaczerwienił się po białka.

— Długo tam jeszcze, Dauriat? — rzekł Blondet, pukając w szybkę gabinetu.

— Służę ci w tej chwili.

— Dobra — rzekł Lousteau do protegowanego. — Ten młody człowiek, ledwie że starszy od ciebie, jest w „Debatach”. To jeden z książąt krytyki: boją się go. Dauriat przyjdzie słodki jak cukierek i będziemy mogli wytoczyć naszą sprawę temu paszy rysowników i drukarzy. Inaczej ani o jedenastej nie doczekalibyśmy się kolei. Coraz tu rojniej.

Lucjan i Lousteau zbliżyli się do Blondeta, Finota i Vernou, skupiając się w kącie.

— Co on tam robi? — rzekł Blondet do Gabussona, dysponenta, który podszedł się z nim przywitać.

— Kupuje tygodnik: chce go odrestaurować i przeciwstawić „Minerwie”<sup>482</sup>, która zanadto wyłącznie służy Eymery’emu<sup>483</sup>, oraz „Konserwatystę”<sup>484</sup>, który jest zbyt ślepo romantyczny.

— Będzie dobrze płacił?

— Ależ, jak zawsze... zanadto! — rzekł kasjer.

W tej chwili wszedł do księgarni młody człowiek, który świeżo wydał wspaniały romans, rozchwytywany szybko i uwieńczony najpiękniejszym sukcesem, romans, którego drugie wydanie drukowało się dla Dauriata. Młody ów człowiek, o niepospolitym i dziwacznym wyglądzie znamionującym naturę artysty, uderzył żywo Lucjana.

— To Natan — szepnął Lousteau prowincjonalnemu pocię.

Natan, mimo nieposkromionej dumy malującej się w jego fizjonomii, wówczas w kwiecie młodości, przystąpił do dziennikarza z kapeluszem w dłoni i zachował się niemal uniesienie wobec Blondeta, którego znał dotąd tylko z widzenia. Blondet i Finot stali w kapeluszach na głowie.

— Panie, szczęśliwy jestem ze sposobności, jaką nastęrcza mi przypadek...

— Jest tak zmieszany, że popełnił pleonazm<sup>485</sup> — rzekł Felicjan do Stefana.

— ...aby panu wyrazić moją wdzięczność za piękny artykuł, który zechciałeś poświęcić mi w „Debatach”. Jest pan w połowie twórcą powodzenia mej książki.

— Nie, drogi panie, nie — rzekł Blondet tonem niby to dobrodusznym, a w gruncie protekcyjnym. — Ma pan talent, niech mnie czarci porwą, i rad jestem niezmiernie, że pana poznaję.

— Ponieważ pański artykuł już się ukazał, nie będę wyglądał na człowieka, który schlebia władzy; możemy mówić swobodnie. Czy zrobi mi pan ten zaszczyt i przyjemność, aby zjeść ze mną obiad jutro? Finot też będzie. Lousteau, mój stary, nie odmówisz mi? — dodał Natan, ściskając rękę Stefana. — Och, pan jesteś na pięknej drodze, drogi panie — rzekł do Blondeta — idziesz w ślady Dussaulta, Fiévée, Geoffroy<sup>486</sup>; Hoffman mówił o panu Klaudiuszowi Vignon, swemu uczniowi, jednemu z moich przyjaciół, i powiedział, że umrze spokojnie, bo „Journal des débats” ma życie zapewnione. Muszą panu płacić bajecznie?

— Sto franków kolumnę — rzekł Blondet. — Ta cena to nic, skoro się jest obowiązującym czytać książki, czytać ich sto, aby znaleźć jedną, którą się można zająć, jak pańską. Pańskie dzieło sprawiło mi przyjemność, słowo honoru.

— I przyniosło mu tysiąc pięćset franków — szepnął Lousteau do Lucjana.

— Ale pan robi i politykę? — rzekł Natan.

— Tak, miejscami — odparł Blondet.

<sup>482</sup>„Minerwa” — tu: „Minerwa literacka” („Minerve littéraire”), paryska gazeta liberalna, wydawana w l. 1820–1822. [przypis edytorski]

<sup>483</sup>Eymery, Alexis Blaise (1774–1854) — paryski wydawca i autor książek dla dzieci i młodzieży. [przypis edytorski]

<sup>484</sup>„Konserwatysta” — „Le Conservateur”, paryska gazeta ultraroyalistów, wydawana w l. 1818–1820. [przypis edytorski]

<sup>485</sup>pleonazm — wypowiedź „nadmiarowa”; wyrażenie, w którym powielane są te same treści (pot. masłane). [przypis edytorski]

<sup>486</sup>Dussault, Fiévée, Geoffroy — umiarkowani rojaliści francuscy, współpracownicy pisma „Journal des débats”: Jean Joseph Dussault (1769–1824): bibliotekarz, dziennikarz i krytyk literacki; Joseph Fiévée (1767–1839): dziennikarz, pisarz, dramaturg; Julien Louis Geoffroy (1760–1828): krytyk literacki. [przypis edytorski]

Lucjan, który czuł się tu niby embrionem, podziwiał książkę Natana, czcił autora jej na równi z bóstwem i głupeł po prostu, widząc taką uniżoność wobec krytyka, którego imię i wpływ były mu obce.

„Czy i ja kiedyś znajdę się w tej roli? Trzebaż tedy wyrzec się godności? — rzekł do siebie. — Włóżże kapelusz, Natanie! Stworzyłeś piękną książkę, a krytyk napisał tylko artykuł”.

Te myśli smagały mu krew w żyłach. Widział od czasu do czasu zjawiających się lekkliwych młodych ludzi, autorów w potrzebie, którzy pragnęli mówić z Dauriatem, ale którzy, widząc sklep pełny, wątpili o możliwości uzyskania audiencji i powiadali sobie, odchodząc: „Wrócę kiedy indziej”. Paru polityków rozmawiało o zwołaniu Izby i o sprawach dnia, w grupie złożonej z politycznych znakomitości. Tygodnik, o który traktował<sup>487</sup> Dauriat, miał prawo zabierać głos w polityce. W owym czasie niewiele było tych papierowych mównic: koncesja na dziennik była przywilejem równie poszukiwanym, co na teatr. Jeden z najwpływowszych akcjonariuszy „Constitutionnela” znajdował się w tej grupie polityków. Lousteau cudownie wywiązywał się z obowiązków *cicerone*<sup>488</sup>. Z każdym zdaniem Dauriat ogromniał w umyśle Lucjana, który widział całą literaturę i politykę skupione w tym sklepie. Na widok znakomitego poety prostytuującego dziennikarzowi swą muzę, upokarzającego sztukę, tak jak upokorzona, sprostituowana była kobieta pod tymi cuchnącymi arkadami, wielki człowiek z prowincji przechodził straszliwą szkołę. Pieniądz! Oto słowo zagadki<sup>489</sup>. Lucjan czuł się sam, nieznan, ledwie przyczepiony do powodzenia i fortuny nitką wątpiwej przyjaźni. Oskarżał w duchu swoich serdecznych, prawdziwych przyjaciół z Biesiady, iż odmalowali mu świat w fałszywych kolorach, iż przeszkodzili mu rzucić się z piórem w dłoni w wir bitwy.

„Byłbym już Blondetem!” — wykrzyknął w duchu.

Lousteau, który niedawno na wyżynach Luksemburgu krzyczał niby ranny orzeł, który zdawał mu się tak wielki, obecnie kurczył się w oczach Lucjana do nader drobnych rozmiarów. Modny księgarz, ośrodek wszystkich tych egzystencji, wydał mu się naprawdę ważnym człowiekiem. Poeta, ściskając swój rękopis, odczuł drżenie bardzo podobne do strachu. W sklepie na drewnianych, malowanych na marmur piedestałach widniały popiersia Byrona, Goethego i pana de Canalis, od którego Dauriat miał nadzieję uzyskać jaki tom; skoro poeta zajdzie do tego kramu, pogłaszcz go widomy dowód czci. Mimo woli Lucjan malwał we własnych oczach, odwaga jego słabła, przewidywał, jaki wpływ będzie miał ów Dauriat na jego egzystencję, i oczekiwał niecierpliwie jego zjawienia.

— I cóż, dzieci — rzekł krótki i gruby człowieczek o twarzy dość podobnej do rzymskiego prokonsula, ale złagodzonej wyrazem dobroduszości, na którą łapali się ludzie powierzchowni — oto jestem właścicielem jedyne go tygodnika, który był do kupienia i który ma dwa tysiące abonentów.

— Kawalarz! Urząd stemplowy wykazuje siedmiuset, a i to już ładna cyfra — rzekł Blondet.

— Najświętsze słowo honoru, tysiąc dwustu. Powiedziałem dwa tysiące — dodał zniżonym głosem — na intencję papierników i drukarzy, którzy tam stoją. — Myślałem, że masz więcej taktu, mój stary — podjął głośno.

— Bierzesz współników? — spytał Finot.

— To zależy — rzekł Dauriat. — Chcesz trzecią część własności za czterdzieści tysięcy?

— Zgoda, jeśli pan przyjmie jako współpracowników tu obecnego Emila Blondeta, Klaudiusza Vignona, Scribe'a, Teodora Leclercq, Felicjana Vernou, Jay, Jouy<sup>490</sup>, Lousteau...

— A czemu nie Lucjana de Rubempré? — rzekł, wpadając buńczucznie w słowo, prowincjonalny poeta.

— I Natana — dokończył Finot.

<sup>487</sup> *traktować* — tu: negocjować. [przypis edytorski]

<sup>488</sup> *cicerone* (wł.) — przewodnik. [przypis edytorski]

<sup>489</sup> *słowo zagadki* (daw.) — rozwiązanie zagadki. [przypis edytorski]

<sup>490</sup> *Scribe, Teodor Leclercq* (...) *Jay, Jouy* — *Eugène Scribe* (1791–1861): autor komedii, wodewilów, librecista, jeden z najbardziej wpływowych i płodnych w historii opery; *Théodore Leclercq* (1777–1851): dramaturg, autor krótkich sztuk obyczajowych; *Antoine Jay* (1770–1854): pisarz, dziennikarz i historyk; *Victor-Joseph Étienne, zwany de Jouy* (1764–1846): dramaturg i librecista. [przypis edytorski]

— A czemu nie każdego z ulicy? — rzekł księgarz, marszcząc brwi i zwracając się do autora *Stokroci*. — Z kim mam przyjemność? — rzekł, mierzząc Lucjana lekceważącym spojrzeniem.

— Chwileczkę, Dauriat — rzekł Lousteau. — To ja przyprowadziłem pana. Podczas gdy Finot będzie rozważał propozycję, posłuchaj pan chwilę.

Lucjan uczył zimny pot na grzbiecie, widząc chłodną i niechętną minę straszliwego padyszacha<sup>491</sup> księgarzni, który „tykał” Finota, mimo że Finot mówił mu „pan”, który groźnemu Blondetowi mówił „moje dziecko” i który królewskim ruchem podał rękę Natanowi z poufałym skinieniem głowy.

— Nowy interes, Stefanku? — wykrzyknął Dauriat. — Ależ wiesz przecie, mam tysiąc sto rękopisów. Tak, panowie — wykrzykiwał — złożono mi tysiąc sto rękopisów, spytajcie Gabussona! Po prostu niedługo będę potrzebował osobnej administracji, aby zarządzać składem manuskryptów, całego biura dla ich czytania; będą posiedzenia, głosowanie o ich wartości, diety i stały sekretarz przedkładający mi sprawozdania. Słowem, filia Akademii Francuskiej, z tą różnicą, iż akademicy lepiej będą płatni w Galeriach Drewnianych niż w Instytucie.

— To jest myśl — rzekł Blondet.

— Licha myśl — odparł Dauriat. — To nie moja rzecz grzebać się w elukubracjach<sup>492</sup> wszelkiego jegomości, który chwyta się literatury, kiedy nie może zostać ani kapitalistą, ani szewcem, ani kapralem, ani lokajem, ani kancelistą, ani woźnym! Tu wchodzi się jedynie z gotową reputacją. Bądź sławny, a znajdziesz tu strumienie złota. Oto od dwóch lat trzy wielkości powstały z mojej łaski i dochowałem się trzech niewdzięczników. Natan śpiewa mi sześć tysięcy franków za drugie wydanie książki, która mnie kosztowała trzy tysiące w artykułach, a nie przyniosła na czysto ani tysiąca. Za dwa artykuły Blondeta zapłaciłem tysiąc franków i obiad za pięćset...

— Ależ panie, jeżeli wszyscy księgarze powiedzą tak jak pan, w jaki sposób wydać pierwszą książkę? — spytał Lucjan, w którego oczach Blondet ogromnie stracił na wartości, odkąd usłyszał cyfrę, za jaką Dauriat zdobył artykuły w „Debatkach”.

— To mnie nie obchodzi — rzekł Dauriat, uderzając zabójczym spojrzeniem pięknego Lucjana, który przybrał najbardziej ujmującą minę. — Ja się nie bawię w wydawanie książki, w ryzyko dwóch tysięcy, aby zarobić drugie dwa; ja robię w literaturze na wielką skalę: wydaję czterdzieści tomów po dziesięć tysięcy egzemplarzy, jak Panckoucke<sup>493</sup> i Baudouinowie<sup>494</sup>. Siłą moich stosunków i artykułów, za które płacę, pcham interes na sto tysięcy talarów, zamiast popychać jeden tomik za dwa tysiące franków. Tyleż trzeba wysiłku, aby wprowadzić w świat nowe nazwisko, autora i jego książkę, co aby puścić *Teatr cudzoziemski, Zwycięstwa i zdobycze* albo *Pamiętniki o rewolucji*<sup>495</sup>, które są kopalnią złota. Ja nie jestem tu po to, aby być podnóżkiem dla przyszłych sław, ale aby zarabiać i dawać pieniądze ludziom sławnym. Rękopis, za który płacę sto tysięcy, tańszy jest niż ten, za który nieznanemu autorowi żąda sześćset franków! Jeżeli nie jestem zupełnym mecenasem, w każdym razie mam prawo do wdzięczności literatów: podbiłem już cenę rękopisów o więcej niż sto procent. Tłumaczę to panu, bo jesteś przyjacielem Stefana, młodzieńcze — rzekł Dauriat do poety, klepiąc go bezczelnie poufałym ruchem po ramieniu. — Gdybym rozmawiał ze wszystkimi autorami, którzy szukają wydawcy, trzeba by zamknąć sklep, gdyż traciłbym cały czas na rozmówkach niezmiernie przyjemnych, ale o wiele za

Interes, Książka

<sup>491</sup> *padyszach* — tytuł władców tureckich i perskich. [przypis edytorski]

<sup>492</sup> *elukubracja* — liche utwór literacki, wypracowany mozolnie przez osobę pozbawioną talentu. [przypis edytorski]

<sup>493</sup> *Panckoucke, Charles Louis Fleury* (1780–1844) — francuski wydawca i księgarz, pisarz, tłumacz dzieł Tacyta; zapoczątkował liczącą ponad 200 tomów kolekcję francuskich tłumaczeń klasyki rzymskiej (wyd. 1826–1839, 1842–1849). [przypis edytorski]

<sup>494</sup> *Baudouinowie* — synowie François Jeana Baudouina (1759–1835), który był oficjalnym drukarzem rządu podczas Rewolucji Francuskiej; bracia Charles (1791–1867) i Alexandre (1791–1859), którzy od 1820 również prowadzili księgarnię wydawniczą, od 1828 razem ze swoim młodszym bratem, Hippolytem (ur. 1795). [przypis edytorski]

<sup>495</sup> *Teatr cudzoziemski, Zwycięstwa i zdobycze albo Pamiętniki o rewolucji* — *Teatr cudzoziemski* (*Théâtres étrangers* 1822–1823): 25-tomowa seria przekładów wydana przez Lavocata; *Zwycięstwa i zdobycze* (*Victoires et conquêtes...*, 1817–1822): 27-tomowa praca o wojnach Francuzów w l. 1792–1815, wydana przez Panckouckę'a; *Pamiętniki o rewolucji* (*Collection des Mémoires relatifs à la Révolution française*: 1822–1828): 57-tomowa kolekcja pamiętników wydana przez Berville'a i Barrière'a. [przypis edytorski]

drogich. Nie jestem jeszcze dość bogaty, aby słuchać monologów każdej miłości własnej. To się da znieść tylko w teatrze, w klasycznej tragedii.

Wykwintny strój straszliwego Dauriata dodawał wagi w oczach prowincjonalnego poety temu piekielnie logicznemu wywodowi.

— Cóż to takiego? — rzekł księgarz do Stefana Lousteau.

— Wspaniały tomik wierszy.

Słyszac to słowo, Dauriat obrócił się do Gabussona ruchem godnym Talmu:

— Gabusson, mój przyjacielu, poczuwszy od dziś dnia, ktokolwiek przyjdzie proponować mi rękopis... Słyszycie, hej? — rzekł, zwracając się do trzech subiektów wylaniających się spoza stert książek na podniesiony głos pryncypała, który oglądał tymczasem swoje paznokcie i ręce, istotnie ładne. — Ktokolwiek przyniesie mi rękopis, spytacie, czy to wiersze, czy proza. Jeżeli wiersze, odprawcie natychmiast. Wiersze stoczą księgarnię jak robaki.

— Brawo, Dauriat! Świetnie to powiedział — wykrzyknęli dziennikarze.

— To prawda — wykrzyknął księgarz, przemierzając sklep z rękopisem Lucjana w ręku. — Nie wiecie panowie, ile złego spowodowało powodzenie lorda Byrona, Lamartine'a, Wiktora Hugo, Kazimierza Delavigne, Canalisa i Berangera. Ich chwała sprowadziła na nas najazd barbarzyńców. Jestem pewien, że mam w tej chwili wśród rękopisów tyśiąc tomów wierszy zaczynających się luźnymi historiami bez głowy i ogona, na wzór *Korsarza* i *Lary*<sup>496</sup>. Pod pretekstem oryginalności młodzi ludzie lubują się w niezrozumiałych strofach, w poematach opisowych, w których młoda szkoła mniema, iż toruje nowe drogi, odkrywając na nowo Delille'a<sup>497</sup>. Od dwóch lat poeci roją się jak chrabąszcze. Straciłem na tym w zeszłym roku dwadzieścia tysięcy! Spytajcie Gabussona! Mogą istnieć na świecie poeci nieśmiertelni, znam takich białych i różowych cacusiów, którzy mają jeszcze mleko pod nosem — rzekł do Lucjana — ale w księgarni, młody człowieku, jest tylko czterech poetów: Beranger, Kazimierz Delavigne, Lamartine, Wiktor Hugo; bo Canalis!... to poeta zrobiony sztuką.

Lucjan nie czuł w sobie odwagi, aby się nastroszyć obrażoną dumą wobec tych wpływowych ludzi, którzy śmiali się serdecznie. Zrozumiał, iż zarznąłby się i okrył śmiesznością, ale miał wściekłą ochotę skoczyć księgarzowi do gardła, zakłócić drażniącą harmonię węzła jego krawatki, zerwać złoty łańcuch połyskujący na piersi, podeptać mu zegarek i rozszarpać jego samego w sztuki. Podrażniona miłość własna otwarła wrota zemście; uśmiechając się słodko, poprzysiął księgarzowi śmiertelną nienawiść.

— Poezja jest jak słońce, które rodzi wiekuiste lasy, a także płodzi komary, muchy, moskity — rzekł Blondet. — Nie ma cnoty, która by nie była podszyta przywarą. Literatura wydaje księgarzy...

— I dziennikarzy! — rzekł Lousteau.

Dauriat parsknął śmiechem.

— No, więc cóż to takiego? — rzekł, wskazując rękopis.

— Zbiór sonetów, zdolny przyprowadzić Petrarę o rumieniec — rzekł Lousteau.

— Jak to rozumiesz? — spytał Dauriat.

— Zwyczajnie — odparł Lousteau, który spostrzegł sprytny uśmiech na wszystkich wargach.

Lucjan nie mógł się gniewać, ale pocił się w swoim rymsztunku.

— Więc dobrze, przeczytam — rzekł Dauriat, czyniąc królewski gest, świadczący o całej doniosłości ustępstwa. — Jeśli twoje sonety są na wyżynie dziewiętnastego wieku, zrobię z ciebie wielkiego poetę, mój mały.

— Jeśli ma tyle talentu, co urody, nie poniesie pan zbytniego ryzyka — rzekł jeden z najsławniejszych mówców Izby<sup>498</sup>, rozmawiający z redaktorem „Constitutionnela” i dyrektorem „Minerwy”.

<sup>496</sup> *Korsarz, Lara* — powieści poetyckie Byrona z 1814. [przypis edytorski]

<sup>497</sup> *Delille, Jacques* (1738–1813) — francuski poeta i tłumacz, autor opisowych poematów klasycystycznych (*Ogrody, Ziemiannin*). [przypis edytorski]

<sup>498</sup> *Jeden z najsławniejszych mówców Izby* — uznawany za wybitnego mówcę generała napoleońskiego Maximilien Sebastien Foy (1775–1825), jeden z przywódców opozycji w okresie Restauracji. [przypis edytorski]

— Generale — rzekł Dauriat — sława to artykułów za dwanaście tysięcy franków i obiadów za trzy tysiące, spytaj pan autora *Samotnika*... Jeżeli pan Beniamin de Constant zechce napisać artykuł o tym młodym poecie, dobijemy interesu bez targów.

Na to słowo „generale” oraz znakomite nazwisko Beniamina Constanta kramik urósł w oczach wielkiego człowieka z prowincji do rozmiarów Olimpu.

— Lousteau, mam z tobą do pomówienia — rzekł Finot — ale zobaczymy się w teatrze. Dauriat, gotów jestem na interes, ale pod pewnymi warunkami. Przejdźmy do gabinetu.

— Chodź, serdenko — rzekł Dauriat, przepuszczając Finota i dziesięciu osobom, które nań czekały, dając gestem znak, że jest zajęty.

Miał zniknąć, kiedy Lucjan, pełen niecierpliwości, zatrzymał go.

— Zatrzymuje pan rękopis, kiedyż odpowiedź?

— Hm, młody poeto, zajdź tu za trzy, cztery dni, zobaczymy.

Lousteau pociągnął Lucjana, nie zostawiając mu czasu na pożegnanie ukłonem Felicjana Vernou ani Blondeta, ani Raula Natana, ani generała Foy, ani Beniamina Constanta, którego dzieło *Sto dni* świeżo opuściło prasę. Lucjan spostrzegł za ledwie w przelocie tę jasną i delikatną głowę, tę pociągłą twarz, rozumne oczy, ujmujące usta, słowem człowieka, który przez dwadzieścia lat był Potiomkinem pani de Staël<sup>499</sup> i który prowadził wojnę z Burbonami, tak jak ją prowadził wprzód z Napoleonem, ale który miał umrzeć przygnieciony zwycięstwem.

— Co za sklep! — wykrzyknął Lucjan, usiadłszy w kabriolecie obok Stefana.

— Panorama-Dramatique, a ostro, zarobisz trzydzieści su — rzekł ten do dorożkarza. — Dauriat jest obwieś, który sprzedaje za milion pięćkroć lub sześćkroć książek na rok, jest to niby minister literatury — odparł Lousteau, którego miłość własna czuła się przyjemnie polechtana i który odgrywał wobec Lucjana rolę mistrza. — Chciwość jego, nieustępująca łakomstwu Barbeta, operuje masami. Dauriat ma doskonale wzięcie, szeroką rękę, ale jest próżny; co do inteligencji, ta składa się ze wszystkiego, co słyszy naokoło siebie; sklep jego jest bardzo polecenia godną szkołą. Można tam spotkać najwybitniejszych ludzi. Tam, mój drogi, młody człowiek nauczy się więcej w godzinie, niż schnąc nad księgami przez dziesięć lat. Dyskutuje się artykuły, szkicuje pomysły, wchodzi się w stosunki ze sławnymi lub wpływowymi ludźmi, którzy mogą być użyteczni. Dziś, aby dojść do czegoś, trzeba mieć stosunki. Wszystko jest trafem, jak widzisz. Najniebezpieczniejsza rzecz to mieć rozum samemu w kącie.

— Ale co za tupet! — rzekł Lucjan.

— Ba! Kpimy sobie wszyscy z Dauriata — odparł Stefan. — Potrzebujesz go, przejdzie ci po brzuchu; potrzebuje on „Debatów”, Blondet kręci nim jak bąkiem. Och, jeśli wejdiesz w literaturę, zobaczysz ładniejsze rzeczy! I cóż ci mówiłem?

— Tak, masz słuszność — odparł Lucjan. — Cierpiałem w tym sklepie okrutniej, niż się spodziewałem wedle twego programu.

— I po cóż poddawać się cierpieniu? To, co nas kosztuje życie, owoc pracowitych nocy, który wysłał naszą mózgowicę, wszystkie wędrówki przez pola myśli, pomnik wzniesiony naszą krwią, staje się dla wydawców dobrym albo złym interesem. Księgarz sprzeda twój utwór albo nie sprzeda. Oto cały problem. Książka dla nich to kwestia ryzyka kapitału. Im książka piękniejsza, tym mniej widoków, aby *szała*. Wszelki człowiek wyższy wznosi się ponad masy, powodzenie jego zatem jest w stosunku prostym do czasu potrzebnego, aby ocenić dzieło. Żaden księgarz nie chce czekać. Książka, która wyszła dziś, powinna się rozejść jutro. W myśl tego systemu księgarze odrzucają książki głębsze, które wywalczają sobie powoli zrozumienie i poklask.

— D’Arthez ma słuszność — wykrzyknął Lucjan.

— Znasz d’Artheza? — rzekł Lousteau. — Nie ma nic niebezpieczniejszego niż ci samotnicy, którzy myślą, jak ten chłopak, iż zdołają świat do siebie przyciągnąć. Fana tyzując młode wyobrażenie wiara, która schlebia, zrazu dając poczucie olbrzymiej siły, ci kandydaci do pośmiertnej sławy przeszkadzają im ruszać się w świecie, wówczas gdy mo-

Interes

Literat, Książka, Interes

<sup>499</sup> *Potiomkin pani de Staël* — aluzja do relacji łączącej Beniamina Constanta z panią de Staël: Grigorij Potiomkin był faworytem carycy Katarzyny II. [przypis edytorski]

gliby coś zdziałać i coś zdobyć. Ja jestem za systemem Mahometa, który kazawszy górze, aby doń przyszła, wykrzyknął: „Skoro ty nie przyjdiesz do mnie, przyjdę ja do ciebie!”

Wykrzyknik ten, ujmujący dowcipnie kwestię i stawiający ją na ostrzu noża, postawił Lucjana między systemem cierpliwego ubóstwa panującego w Biesiadzie a bojową teorią, jaką rozwijał Lousteau. Toteż poeta z Angoulême zachował milczenie aż do bulwaru du Temple.

Panorama-Dramatique, na której miejscu stoi dziś jakiś dom czynszowy, była to śliczna sala teatralna na wprost ulicy Charlot przy bulwarze du Temple. Dwie dyrekcje padły w tym teatrze, nie zdolawszy zdobyć najmniejszego sukcesu, mimo że debiutował tam Bouffé<sup>500</sup>, jeden z następców Potiera<sup>501</sup>, i Floryna, aktorka, która w pięć lat później zyskała taką sławę. Teatry, jak ludzie, podlegają jakimś fatalnościom. Panorama-Dramatique musiała rywalizować z Ambigu, Gaieté, Porte-Saint-Martin i małymi teatrzykami; nie mogła się ostać ich zabiegom, skrępowana warunkami swej koncesji, oraz brakowi dobrych sztuk. Autorowie nie chcieli się narażać teatrom istniejącym dla teatru, którego żywot był problematyczny. Mimo to dyrekcja liczyła na nową sztukę, rodzaj komicznej melodramy młodego autora, współpracownika kilku sław, nazwiskiem du Bruel, który głosił, że sam ją napisał. Sztukę tę przeznaczono na debiut Floryny, dotąd figurantki w Gaieté. Od roku grywała tam drobne rólki, w których zwróciła na siebie uwagę, nie mogąc jednak uzyskać stałego *engagement*<sup>502</sup>, tak iż Panorama uprowadziła ją swemu sąsiadowi. Koralia, druga aktorka, również miała debiutować. Kiedy dwaj przyjaciele znaleźli się w przedsionku, Lucjan zdumiał się, widząc potęgę prasy.

— Ten pan jest ze mną — rzekł Stefan do kontrolera, który uklonił się nisko.

— Trudno będzie panu redaktorowi znaleźć miejsce — rzekł naczelny kontroler. — Wolna jest tylko łóża dyrektora.

Stefan i Lucjan stracili nieco czasu, błędząc po korytarzach i parlamentując<sup>503</sup> z bileterkami.

— Chodźmy za kulisy, pogadamy z dyrektorem, weźmie nas do łóży. Przy tej sposobności przedstawię cię bohaterce wieczoru, Florynie.

Na znak Stefana odzwierny wydobył klucz i otworzył drzwiczki kryjące się w grubej ścianie. Lucjan posuwał się za przyjacielem; z oświetlonego korytarza znalazł się nagle w czarnej dziurze, która prawie we wszystkich teatrach służy za połączenie między salą a kulisami. Po kilku wilgotnych stopniach prowincjonalny poeta dostał się za kulisy, gdzie go czekało osobliwe widowisko. Wąskie płyty bocznych kulisy, wysokość sceny, kinkiety, dekoracje tak ohydne z bliska, uszminkowani aktorzy, dziwaczne i z pospolitych materii sporządzone kostiumy, chłopcy w zatuszczonych kurtach, zwisające sznury, reżyser przechadzający się w kapeluszu na głowie, statyści siedzący gdzie kto może, płótna zwieszające się z góry, strażacy — ten zespół rzeczy śmiesznych, smutnych, brudnych, ohydnych, jaskrawych tak mało podobny był do tego, co Lucjan oglądał dotąd z sali widzów, że zdumienie jego nie miało granic. Kończono rozwlekły, pocziwy melodramat pt. *Bertram*, sztukę naśladowaną z Maturyna<sup>504</sup>, którą niezmiernie cenili Nodier<sup>505</sup>, lord Byron i Walter Scott, ale która nie miała w Paryżu powodzenia.

— Trzymaj się mnie za rękę, jeśli nie chcesz dać nura w zapadnię, ściągnąć sobie lasu na głowę, przewrócić pałacu lub zaczepić guzikiem o chatkę — rzekł Stefan. — Floryna w garderobie, moje zlotko? — rzekł do aktorki, która gotowała się do wejścia na scenę, nasłuchując dialogu.

— Tak, kochanie. Dziękuję ci za to, co napisałeś o mnie. Jest to tym ładniej z twojej strony, że Floryna miała przyjść tutaj.

— No, nie spynij tylko swego efektu, moja mała — rzekł Lousteau. — Rzuć się, łapy do góry! Nie żałuj zdrowia, kropnij jak należy swoje: „Wstrzymaj się, nieszczęśliwy”! Bo jest dwa tysiące franków w kasie.

<sup>500</sup>Bouffé, Hugues (1800–1888) — francuski aktor komiczny. [przypis edytorski]

<sup>501</sup>Potier, Charles (1775–1838) — francuski aktor komiczny. [przypis edytorski]

<sup>502</sup>*engagement* (fr.) — angaż, zatrudnienie. [przypis edytorski]

<sup>503</sup>*parlamentouac* (daw.) — wypełniać obowiązki parlamentariusza, prowadzić rokowania. [przypis edytorski]

<sup>504</sup>Maturin, Charles Robert (1782–1824) — irlandzki pisarz i dramaturg, jeden z najwybitniejszych przedstawicieli powieści gotyckiej; jego tragedia *Bertram* (1816) cieszyła się w wielkim powodzeniem zarówno w Londynie, jak we Francji, gdzie od 1821 wystawiano jej przeróbkę. [przypis edytorski]

<sup>505</sup>Nodier, Charles (1780–1844) — francuski pisarz, krytyk, prekursor romantyzmu. [przypis edytorski]



Lucjan ujrzał ze zdumieniem, jak w jednej chwili aktorka mieni<sup>506</sup> twarz i woła: „Wstrzymaj się, nieszczęśliwy!” w sposób zdolny ściąć krew w żyłach. W tej chwili była to inna kobieta.

— Więc to jest teatr? — rzekł do Lousteau.

— To samo co sklepik w Galeriach Drewnianych i co dziennik dla literatury, istna kuchnia — odpowiedział nowy przyjaciel.

Zjawił się Natan.

— Dla kogo ty tu jesteś? — spytał Lousteau.

— Przecież robię małe teatry dla „Gazety”<sup>507</sup>, w braku czego lepszego — odparł Natan.

— Chodź więc dziś z nami na kolację i obejdz się dobrze z Floryną, z prawem wzajemności — rzekł Lousteau.

— Służę ci, najchętniej — odparł Natan.

— Wiesz, mieszka teraz przy ulicy du Bondy.

— Kto jest ten śliczny chłopiec z tobą, Lousteau? — rzekła aktorka, schodząc ze sceny.

— O, moja droga, to wielki poeta, człowiek, który będzie sławny. Skoro macie wieczerać razem, Natanie, przedstawiam ci pana Lucjana de Rubempré.

— Nosi pan piękne nazwisko — rzekł Raul.

— Lucjanie! Pan Raul Natan — rzekł Stefan do nowego przyjaciela.

— Na honor, czytałem pana przed dwoma dniami i nie mogłem pojąć, iż ktoś, kto napisał pańską książkę i pański tomik poezji, może być tak pokorny wobec dziennikarza.

— Pogadamy o tym po pańskiej pierwszej książce — odparł Natan z wiele mówiącym uśmiechem.

— Ho, ho, ultra i liberały gruchają z sobą tak czule? — wykrzyknął Vernou, widząc ten tercet.

— Rano jestem przekonana mego dziennika — rzekł Natan — ale wieczór myślę, co chcę: w nocy panuje wolność myśli, obok wszelkich innych wolności.

— Stefanie — rzekł Felicjan do dziennikarza — Finot przyszedł ze mną i szuka cię. A, idzie właśnie.

— Cóż, nie ma żadnego miejsca? — rzekł Finot.

— Ma je pan zawsze w naszych sercach — rzekła aktorka, zwracając się doń z najśłodszy uśmiechem.

— Cóż tam, Florvilciu, już wyleczyłaś się ze swej miłości? Mówiono, że cię wykradł jakiś rosyjski książę.

— Alboż dzisiaj wykrada się kobiety? — rzekła Florville, aktorka, która wygłosiła owo: „Wstrzymaj się, nieszczęśliwy!” — Przegruchaliśmy dziesięć dni w Saint-Mandé, mój książę wykpił się ze sprawy, płacąc za mnie karę. Dyrektor — dodała Florville, śmiejąc się — będzie prosił Boga, aby mu zesłał więcej rosyjskich książąt: odszkodowania dałyby mu czysty dochód bez kosztów.

— A ty, dziecko — rzekł Finot do ładnej wieśniaczki, która się im przysłuchiwała — gdzieś ty ukradła te diamentowe butony<sup>508</sup>, które masz w uszkach? Czyś obrobiła jakiego indyjskiego księcia?

— Nie, ale handlarza szuwaksu, Anglika; już pojechał. Nie każdemu się uda, jak Florynie i Koralii, znaleźć milionowych przemysłowców znudzonych rodzinną cnotą; te mają szczęście!

— Spóznisz się na scenę, Florville — krzyknął Lousteau — szuwaks przyjaciółki uderzył ci do głowy!

— Jeśli chcecz mieć sukces — rzekł Natan — to zamiast krzyczeć jak furia: „Ocalo-

Teatr

<sup>506</sup>mienić (daw.) — zmieniać. [przypis edytorski]

<sup>507</sup>„Gazeta” — „La Gazette”, najstarsza gazeta francuska (tygodnik), założona w roku 1631, wydawana do 1915; w okresie Restauracji otwarcie rojalistyczna. [przypis edytorski]

<sup>508</sup>buton (z fr.) — kolczyk w kształcie guzika, na ogół z dużym brylantem. [przypis edytorski]

ny!”, wejdź zupełnie cicho, dojdź aż pod rampę i powiedz piersiowym głosem: „Ocalony”, jak Pasta<sup>509</sup> mówi „*O patria*”<sup>510</sup> w *Tankredzie*<sup>511</sup>. No, jedź — rzekł, popychając ją.

— Za późno, sygnie się na amen! — rzekł Vernou.

— Co ona zrobiła? Sala wali brawo jak wściekła — rzekł Lousteau.

— Pokazała im cały gors, padając na kolana, to jej ostatnia deska ratunku — rzekła aktorka, wdowa po szuwaksie.

— Dyrektor oddaje nam swoją lożę, znajdziesz mnie tam — rzekł Finot do Stefana.

Przez labirynt kulis, korytarzy i schodów Lousteau zaprowadził Lucjana na trzecie piętro, do małego pokoiku, gdzie w ślad za nimi dotarli Natan i Vernou.

— Dzień dobry czy dobry wieczór, panowie — rzekła Floryna. — Panie Matifat — rzekła, zwracając się do krótkiego i grubego mężczyzny, stojącego w kącie — ci panowie są władcami moich losów, przyszłość moja jest w ich rękach; ale mam nadzieję, iż będą jutro spoczywać u nas pod stołem, jeśli pan Lousteau niczego nie zaniedbał...

— Cyt! Będziecie miały Blondeta z „Debatów” — rzekł Stefan — prawdziwego Blondeta, samego Blondeta, słowem, Blondeta!

— Och, mój złociutki Lousteau, czekaj, muszę cię uściskać — rzekła, rzucając mu się na szyję.

Na ten wyskok Matifat, ów gruby jegomość, przybrał minę serio. Floryna, wówczas szesnastolatka, była chuda. Piękność jej, niby pełen obietnic pączek kwiatu, mogła się podobać jedynie artystom, którzy wolą szkice od obrazów. Rysy uroczej aktorki zdradzały całą subtelność, jaka ją cechuje; podobna była wówczas do Goethowskiej Mignon<sup>512</sup>. Matifat, bogaty drogista<sup>513</sup> z ulicy Lombardzkiej, mniemał, iż aktoreczka z bulwarów nie będzie zbyt rozrzutna, ale w niespełna rok Floryna schrupała sześćdziesiąt tysięcy. Nic tak nie uderzyło Lucjana, jak ten uczciwy i rzetelny kupiec, wmurowany niby bożek Terminus<sup>514</sup> w kącie tego zakamarka odziesięciu kwadratowych stopach powierzchni, obitego ładnym papierem, ozdobionego dużym lustrem, otomanką, parą krzesel, dywanem, kominkiem i mnóstwem szaf. Garderobiana kończyła ubierać Florynę za Hiszpankę. Zapowiedziana sztuka było to *imbroglio*<sup>515</sup>, w którym Floryna grała rolę hrabiny.

— Za pięć lat będzie to najładniejsza aktorka w Paryżu — rzekł do Felicjana Natan.

— Słuchajcie, aniołki — rzekła Floryna, obracając się ku dziennikarzom — popiszcie się jutro, jak należy. Wiecie, zatrzymałam powozy na całą noc, odeślę was pijanych jak bele. Matifat wynalazł wina, ba, mówię wam, wina godne Ludwika Osiemnastego<sup>516</sup>, i wziął kucharza z pruskiej ambasady.

— Widząc pana, oczekujemy rzeczy wprost potwornych — rzekł Natan.

— On wie, że podejmuje ludzi najniebezpieczniejszych w Paryżu — odparła Floryna.

Matifat spojrział niespokojnie na Lucjana; niezwykła uroda młodego człowieka pobudziła jego zazdrość.

— Ale to jakieś pacholę, którego jeszcze nie znam — rzekła Floryna, spostrzegając Lucjana. — Kto z was sprowadził z Florencji Apollina Belwederskiego? Śliczny jak figurka Girodeta<sup>517</sup>.

— Panno Floryno — rzekł Lousteau — oto poeta z prowincji, którego zapomniałem pani przedstawić. Jest pani tak piękna dziś wieczór, że niepodobna pamiętać o obowiązkach godziwej i dozwolonej uprzejmości, która...

— Czy taki bogaty, że bawi się w poezje? — zapytała Floryna.

Uroda

Kobieta „upadła”, Pieniądz

Uroda

<sup>509</sup> *Pasta, Giuditta* (1797–1865) — włoska sopranistka, znana z występów w Paryżu. [przypis edytorski]

<sup>510</sup> *O patria* (wł.) — O ojczyźnie. [przypis edytorski]

<sup>511</sup> *Tankred* — opera Rossiniego z 1813. [przypis edytorski]

<sup>512</sup> *Goethowska Mignon* — piękna i delikatna dziewczyna z powieści Goethego *Lata nauki Wilhelma Meistra* (1796). [przypis edytorski]

<sup>513</sup> *drogista* (daw.) — właściciel lub sprzedawca w drogerii, sklepie z lekami dostępnymi bez recepty, kosmetykami itp. [przypis edytorski]

<sup>514</sup> *Terminus* (mit. rzym.) — bóg strzegący granic; opiekun kamieni granicznych, które w łacinie nosiły tę samą nazwę i były z nim utożsamiane. [przypis edytorski]

<sup>515</sup> *imbroglio* (wł.) — dosł.: zamieszanie, zamęt; tu: zawila intryga sceniczna. [przypis edytorski]

<sup>516</sup> *Ludwik XVIII* (1755–1824) — król Francji z dynastii Burbonów, objął władzę po abdykacji Napoleona Bonaparte (1814). [przypis edytorski]

<sup>517</sup> *Girodet de Rousy-Trioson, Anne-Louis* (1767–1824) — francuski malarz i ilustrator, ceniony portrecista. [przypis edytorski]

— Biedny jak Job<sup>518</sup> — odparł Lucjan.

— To bardzo kuszące dla nas — odparła aktorka.

Du Bruel, autor sztuki, młody człowiek w surducie, drobny, ruchliwy, mający razem coś z biurokraty, kamienicznika i agenta giełdowego, wszedł nagle.

— Florynciu, serce, umiemy dobrze rolę, co? Żadnych sypek. Pamiętaj się popisać w scenie drugiego aktu, sprytnie, szelmowsko! Powiedz: „Nie Kocham pana”, tak jakżeśmy to omówili.

— Czemu ty przyjmujesz rolę, w których są takie zdania? — rzekł Matifat do Floryny. Powszechny śmiech przyjął uwagę drogisty.

— Co to szkodzi — rzekła — skoro nie do ciebie mówię, grubasie? Och, to moja rozkosz, te jego odezwania — dodała, spoglądając po autorach. — Słowo uczciwej dziewczyny, płaciłabym mu od sztuki za każde tumaństwo, gdyby to nie była pewna ruina.

— Tak, ale mówiąc to, patrzysz na mnie, gdy przepowiadasz rolę, a to przykre — odparł drogista.

— Więc dobrze, będę patrzeć na mego Stefunia.

Dzwonek rozległ się w korytarzach.

— Idźcie sobie wszyscy — rzekła Floryna — pozwólcie mi odczytać rolę i starać się ją zrozumieć.

Lucjan i Lousteau wyszli ostatni. Lousteau ucałował ramiona Floryny; Lucjan usłyszał aktorkę, jak mówiła:

— Dziś niepodobna. Stare bydlę powiedziało żonie, że wyjeżdża na wieś.

— Cóż, ładna? — spytał Stefan Lucjana.

— Ale, mój drogi, ten Matifat... — wykrzyknął Lucjan.

— Ech, moje dziecko, nic jeszcze nie rozumiesz paryskiego życia — odparł Lousteau. — Są konieczności, którym się trzeba poddać! To tak jakbyś kochał mężatkę, oto wszystko. Trzeba być rozsądnym.

Weszli do łoży parterowej przy samej scenie, gdzie zastali dyrektora teatru i Finota. Na wprost nich, po przeciwnej stronie, siedział Matifat z jednym z przyjaciół nazwiskiem Camusot, kupcem jedwabnym, który popierał Koralię; towarzyszył mu mały poczciwy staruszek, jego teść. Trzej mieszczuchy przecierali szkła lornetek, spoglądając z pewnym niepokojem na ożywiony parkiet. Łoże mieściły ową specjalną publiczność, która wypełnia premiery: dziennikarzy i ich kochanki, kobiety na utrzymaniu i ich amantów, nieco starych bywalców teatralnych, łasych na premierowe wrażenia, osoby ze „świata” lubiące tego rodzaju emocje. W pierwszej łoży znajdował się generalny dyrektor z rodziną, który wkręcił du Bruela do jakiegoś ministerium, gdzie fabrykant wodewilów stworzył sobie czystą synekurę<sup>519</sup>. Od obiadu Lucjan wpadał ze zdumienia w zdumienie. Życie literackie, od dwóch miesięcy tak biedne, tak nędzne w jego oczach, tak ohydne w izdebce Stefana, tak pokorne i bezczelne zarazem w Galeriach Drewnianych, rozwijało się wśród osobliwych przepychów i pod szczególną postacią. To pomieszanie wyżyn i nizin, kompromisu z sumieniem, talentu i nikczemności, zdrad i uciech, wielkości i niewoli, wprawiało go w oszołomienie, niby człowieka śledzącego z uwagą niesłychane widowisko.

— Myślisz, że du Bruel robi kasę? — spytał Finot dyrektora.

— Hm, to sztuka z intrygą, du Bruel chce się bawić w Beaumarchais<sup>520</sup>. Bulwarowa publiczność nie lubi tego rodzaju, chce, żeby ją wzruszać. Dowcip nie jest tutaj w cenie. Wszystko dziś zależy od Floryny i od Koralii, które są czarujące, urocze. Te dwie istoty mają spódniczki bardzo kuse, wykonując taniec hiszpański mogą porwać publiczność. Ten spektakl to niby partia *écarté*<sup>521</sup>. Jeżeli dzienniki kropną parę artykułików, mogą w razie powodzenia zarobić trzykroć.

— Już rozumiem: skończy się na sukcesie literackim — rzekł Finot.

<sup>518</sup> Job a. Hiob (bibl.) — człowiek doświadczony przez Boga nieszczęściami w celu wypróbowania jego wiary, główny bohater *Księgi Hioba*. [przypis edytorski]

<sup>519</sup> synekura (z łac. *sine cura*: bez troski, bez starania) — dobrze płatne stanowisko niewymagające żadnej pracy. [przypis edytorski]

<sup>520</sup> Beaumarchais, Pierre Augustin (1732–1799) — pisarz i dramaturg francuski, autor komedii takich jak *Wesele Figara* czy *Cyrulik sewilski*. [przypis edytorski]

<sup>521</sup> *écarté* (fr.) — ekarte, rodzaj dwuosobowej gry w karty, popularnej w XIX w. [przypis edytorski]

— Jest zmowa uplanowana przez trzy sąsiednie teatry; będą nawet gwizdali; ale postarałem się o to, aby sparować figiel. Przeplaciłem klakę nasłaną przeciw mnie, będą gwizdali niezręcznie. Oto trzech przemysłowcy, którzy, aby zapewnić triumf Koralii i Florynie, wzięli każdy po sto biletów i rozdali je znajomym, gotowym w potrzebie wyrzucić oponentów za drzwi. Obwiesie, zapłacone dwa razy, pozwolą się wyrzucić, a tego rodzaju egzekucja zawsze dobrze usposabia publiczność.

— Dwieście biletów! Cóż za szacowni ludzie! — wykrzyknął Finot.

— Tak. Dajcie mi jeszcze dwie ładne aktorki tak suto utrzymywane jak Floryna i Koralia, a jakoś bym się wyplątał.

Od dwóch godzin w uszach Lucjana wszystko streszczało się w pieniądzu. W teatrze jak w księgarni, w księgarni jak w dzienniku — o sztuce, sławie nie było mowy. Te uderzenia sztancy menniczej, raz po raz walące w głowę jego i serce, stawały mu się męczarnią. Gdy orkiestra grała uwerturę, nie mógł się wstrzymać, aby oklaskom i świstom wzburzonego parteru nie przeciwstawić scen spokojnej i czystej poezji, jakich kosztował w drukarni Dawida, gdy obaj oglądali cuda sztuki, szlachetne triumfy geniuszu, sławę o białych skrzydłach. Przypomniawszy sobie wieczory Biesiady i Iza zabłysła w oczach poety.

— Co tobie? — spytał Lousteau.

— Widzę poezję na śmietniku — rzekł.

— Ech, mój drogi, ty jeszcze masz złudzenia!

— Zatem trzeba tutaj pełzać i cierpieć tego grubego Matifata i Camusota, tak jak aktorki cierpią dziennikarzy, jak my cierpimy księgarnię?

— Mój drogi — rzekł mu do ucha Stefan, pokazując Finota — widzisz tego dryblasa, bez krzty talentu, ale chciwego, żadnego dobić się fortuny za każdą cenę i zręcznego w interesach, człowieka, który u Dauriata wziął ode mnie czterdzieści procent z miną dobroczyńcy? Otóż on ma listy, w których wielu przyszłych geniuszów tarza się przed nim na kolanach dla uzyskania stu franków.

Skurcz wstrętu ścisnął gardło Lucjana, przypomniał sobie: „Finot, moje sto franków?” — ów rysunek, porzucony na stoliku w redakcji.

— Raczej umrzeć — rzekł.

— Raczej żyć — odparł Stefan.

W chwili gdy kurtyna poszła w górę, dyrektor wyszedł i udał się za kulisy, aby wydać parę rozkazów.

— Mój drogi — rzekł Finot do Stefana — mam słowo Dauriata, jestem w jednej trzeciej właścicielem tygodnika. Subskrybowałem trzydzieści tysięcy gotówką pod warunkiem, że będę na czele redakcji i administracji. Jest to wspaniały interes. Blondet powiedział mi, że gotują ograniczenia prasy i że jedynie istniejące pisma zachowają koncesję. Za pół roku trzeba będzie mieć milion, aby stworzyć nowy dziennik, zdecydowałem się więc, choć mam zaledwie dziesięć tysięcy. Posłuchaj. Jeżeli sprawisz, aby Matifat kupił połowę mojej części, czyli jedną szóstą, za trzydzieści tysięcy, dam ci naczelną redakcję mego dzienniczka, dwieście pięćdziesiąt franków na miesiąc. Będziesz moim parawanem. Chcę zawsze mieć wpływ na pismo, pilnować w nim moich interesów, a uchylić pozory, iż mam z tym coś wspólnego. Za wszystkie artykuły będziesz pobierał osobno: pięć franków od kolumny; w ten sposób możesz sobie wykroić piętnaście franków dziennie, płacąc sam po trzy franki i korzystając z darmochoy. To znowu czterysta pięćdziesiąt franków na miesiąc. Ale chcę zachować w dzienniku swobodę napadania lub bronienia ludzi i spraw wedle tego, jak mi wypadnie, zresztą<sup>522</sup> pozwalam ci zadowolić twoje sympatie i nienawiści, o ile nie będą psuły mojej polityki. Może będę ministerialny albo ultra, nie wiem jeszcze, ale chcę zachować po cichu moje stosunki liberalne. Mówię ci wszystko, wiem, że jesteś dobry chłopiec. Być może, oddam ci sprawozdania z Izby, które prowadzę w innym dzienniku, prawdopodobnie nie będę mógł ich zatrzymać. Użyj tedy Floryny do tej małej szacherki i powiedz, aby wzięła w obroty swojego drogistę; mam tylko czterdzieści osiem godzin czasu na zrzucenie się, w razie gdybym się nie mógł wyplątać, Dauriat sprzedał drugi udział za trzydzieści tysięcy franków swemu drukarzowi i swemu dostawcy papieru. On sam ma swój udział gratis i w dodatku dziesięć tysięcy „lukru” wobec tego, iż płaci za całość tylko pięćdziesiąt tysięcy. Ale za rok będzie można odprzedać tygodnik dworowi

Interes

<sup>522</sup>zresztą (daw.) — co do reszty, poza tym. [przypis edytorski]

za dwieście tysięcy, jeśli król będzie miał, jak utrzymują, błogosławioną myśl ukrócenia dzienników.

— Ty masz szczęście! — wykrzyknął Lousteau.

— Gdybyś przeszedł przez tę nędzę, jakiej ja zaznałem, nie wymawiałbyś tego słowa. Ale widzisz, dziecko, jak na dzisiejsze czasy, obciążony jestem nieszczęściem bez ratunku: jestem synem kapelusznika, który sprzedaje jeszcze kapelusze przy ulicy du Coq. Jedyne rewolucja mogłaby mnie wynieść w górę; w braku zaś przewrotów społecznych trzeba mi mieć miliony. Nie wiem, czy z tych dwu ewentualności nie jest łatwiej o rewolucję. Gdybym nosił nazwisko twego przyjaciela, byłbym na ładnej drodze. Sza, oto dyrektor. Bądź zdrow — rzekł Finot, wstając. — Idę do Opery, może czeka mnie jutro pojedynek: piszę i podpisuję literą F piorunujący artykuł przeciw dwóm tancerkom, protegowanym dwóch generałów. Biorę się do Opery ostro.

— A, tak? — rzekł dyrektor.

— Tak, wszyscy kręcą ze mną — odparł Finot. — Ten orzyna mnie na łóżach, tamten wzdraga się wziąć pięćdziesiąt abonamentów dziennika. Postawiłem Operze ultimatum: sto abonamentów, cztery łóża na miesiąc. Jeżeli przyjmą, mój dziennik będzie miał ośmiuset abonentów rzeczywistych, a tysiąc płatnych. Znam sposoby wydobycia jeszcze dwustu: w styczniu będziemy mieli tysiąc dwieście...

— Przywieźcie nas w końcu do ruiny — rzekł dyrektor.

— Panu szczególnie krzywda się dzieje, z pańskimi dziesięcioma numerami! Wyrobiłem wam dwa dobre artykuły w „Constitutionnelu”.

— Och, ja się nie skarżę na pana — okrzyknął się dyrektor.

— Do jutra wieczór, Lousteau — odparł Finot. — Dasz mi odpowiedź we Francuskim, na premierze; że zaś sam nie będę mógł napisać sprawozdania, weźmiesz moją łóżę. Daję tobie pierwszeństwo: naharowałeś się za mnie, umiem być wdzięczny. Felicjan Vernou ofiaruje zrzec się honorariów na rok i dopłacić dwadzieścia tysięcy za trzecią część dziennika, ale ja chcę zostać absolutnym panem. Bądź zdrow.

— Nie darmo ten nazywa się Finot<sup>523</sup> — rzekł Lucjan.

— Och, obwieś zajdzie daleko — odparł Stefan, nie troszcząc się o to, czy wyga, który zamykał właśnie drzwi, usłyszy.

— On?... — rzekł dyrektor. — Będzie milionerem, będzie zażywał powszechnego szacunku i może będzie miał przyjaciół...

— Dobry Boże — rzekł Lucjan — cóż za jaskinia! I ty użyjesz tej rozkosznej dziewczyny do takiej negocjacji? — rzekł, pokazując Florynę strzelającą ku nim oczyma.

— I uda się jej. Nie znasz poświęcenia i sprytu tych drogich stworzonek — odparł Lousteau.

— Okupują wszystkie wady, wymazują wszystkie błędy przez bezmiar, nieskończoność swej miłości, kiedy kochają — ciągnął dyrektor. — Miłość aktorki jest rzeczą tym piękniejszą, im gwałtowniejszy kontrast tworzy z otoczeniem.

— To znaczy znaleźć w błocie diament godny zdobić najdumniejszą koronę — dorzucił Lousteau.

— Ale — podjął dyrektor — Koralia jest coś roztargniona. Nasz młody przyjaciel *wziął* Koralie, sam nie wiedząc o tym, i sprawi, iż popsuje nam ona wszystkie efekty; sypie się, dwa razy nie dosłyszała sufflera. Panie, proszę pana, schowaj się pan w kącie — rzekł do Lucjana. — Jeśli Koralia zakochała się w panu, pójdę jej powiedzieć, że pana nie ma.

— Ech, nie — wykrzyknął Lousteau — powiedz pan, że będzie na dzisiejszej kolacji, że zrobi z nim, co tylko sama zechce, a będzie grała jak druga panna Mars<sup>524</sup>.

Dyrektor wyszedł.

— Powiedz mi, mój drogi — rzekł Lucjan do Stefana — jak to! Ty nie masz żadnych skrupułów wyciskać przez Florynę trzydziestu tysięcy franków od tego drogisty, za połowę rzeczy, którą Finot nabył za tę cenę?

Lousteau nie zostawił Lucjanowi czasu na dokończenie wywodu.

<sup>523</sup>Nie darmo ten nazywa się Finot — gra słów; fr. *finaud*: spryciarz, człowiek przebiegły. [przypis edytorski]

<sup>524</sup>panna Mars (pseud.), właśc. *Anne Françoise Hyppolyte Boutet* (1779–1847) — francuska aktorka komediowa, jedna z największych gwiazd swoich czasów. [przypis edytorski]

— Ależ z jakiejż krainy ty jesteś, moje dziecko? Ten drogista to nie człowiek, to kasa zesłana przez miłość.

— Ale sumienie?

— Sumienie, mój drogi, to kij, który każdy bierze, aby nim grzmocić sąsiada, ale którym nigdy nie posługuje się dla siebie. Co ty, u diaska, za ćwieki sobie w głowę wbijas? Przypadek robi dla ciebie w jednym dniu cud, na który ja czekałem dwa lata, i ty się bawisz w rozważanie środków? Jak to? Ty, który zdajesz się niepozbawiony oleju we łbie, który osiągniesz niezależność myśli, jaką powinni posiadać intelektualni kondotierzy naszego świata, ty babrzesz się w skrupułałach zakonnicy obwiniającej się, iż jedząc jajko, zgrzeszyła pożądlivością?... Jeśli Florynie się uda, zostaję naczelnym redaktorem, mam dwieście pięćdziesiąt franków stałej pensji, biorę wielkie teatry, zostawiam Felicjanowi Vernou wodewile, ty na początek obejmujesz po mnie bulwary. Dostaniesz trzy franki od kolumny, machniesz jedną na dzień, trzydzieści na miesiąc, razem dziewięćdziesiąt franków; będziesz miał za sześćdziesiąt franków książek do spuszczenia u Barbeta; możesz zażądać w swoich teatrach po dziesięć biletów miesięcznie, razem czterdzieści biletów do sprzedania za czterdzieści franków Barbetowi od teatrów, z którym cię zapoznam. W ten sposób liczę cię na dwieście franków miesięcznie. Będziesz mógł, idąc na rękę Finotowi, umieścić ten i ów stufrankowy artykuł w jego nowym tygodniku, w razie jeżeli rozwiniesz talent transcendentalny, bo tam podpisuje się nazwiskiem, nic nie może być „puszczone”, jak w naszym dzienniczku. Będziesz miał wówczas sto talarów na miesiąc. Mój drogi, niejedyn szczery talent, jak ten biedny d'Arthez, który jada co dzień u Flicoteaux, dziesięć lat się naszamota, nim zarobi sto talarów. Wyrobisz sobie piórem cztery tysiące franków rocznie, nie licząc książek, jeśli będziesz pracował. Otóż podprefekt ma tylko tysiąc talarów pensji i musi sterczeć w swoim okręgu jak... Nie mówię ci o przyjemności bezpłatnego teatru, ta przyjemność stanie ci się rychło katorgą, ale będziesz miał wstęp za kulisy czterech bud. Bądź twardy i cięty przez miesiąc lub dwa, posypią się zaproszenia, kolacyjki u aktorek; protektorzy ich będą tańczyć koło ciebie; będziesz jadł u Flicoteaux tylko w dnie, w które nie będziesz miał trzydziestu su w kieszeni ani zaproszenia na obiad. O piątę w Luksemburgu nie wiedziałeś, gdzie głowę skłonić nazajutrz po południu, i oto stajesz się jednym ze stu matadorów<sup>525</sup>, którzy narzucają opinię Francji. Za trzy dni, jeśli się nam powiesz, możesz, za pomocą trzydziestu konceptów — po trzy dziennie — przywieść kogo zechcesz do tego, iż przeklinać będzie życie; możesz sobie stworzyć harem aktorek, możesz położyć dobrą sztukę i kazać światu tłoczyć się na lichej. Jeżeli Dauriat odmówi wydrukowania *Stokroci* bezpłatnie, możesz go zmusić, aby pokorny i skruszony przyszedł błagać cię o nie, ofiarowując dwa tysiące franków. Miej talent i kropnij w trzech różnych piórnach trzy artykuły, które zagrożą jakiej ukartowanej spekulacji Dauriata albo książce, na którą liczy, a ujrzysz, jak będzie się drapał na twoje poddasze i wystawał jak dziad na odpuście. Wreszcie, co do twego romansu, księgarze, którzy obecnie wyprawiali cię wszyscy mniej lub więcej grzecznie za drzwi, będą stali w ogonku w twoim gabinecie; ba, rękopis, który stary Doguereau szacował na czterysta franków, dojdzie do czterech tysięcy! Oto korzyści zawodu dziennikarza. Dlatego też bronimy nowicjuszom przystępu; nie tylko trzeba olbrzymiego talentu, ale i szczęścia, aby się tam dostać. I ty prawujesz się ze swoim szczęściem!... Patrz, gdybyśmy się nie spotkali dziś u Flicoteaux, mógłbyś jeszcze trzy lata wystawać po księgarniach albo przymierać głodem, jak d'Arthez, na strychu. Kiedy d'Arthez stanie się uczony jak Bayle<sup>526</sup> i wielki jak Rousseau, my dobijemy się fortuny, będziemy panami jego losu i sławy. Finot będzie posłem, właścicielem wielkiego pisma; my, czym sami zechcemy: parami Francji albo klientami więzienia za długi.

— I Finot sprzeda swój dziennik ministrom, którzy mu więcej zapłacą, jak sprzedaje pochwały pani Bastienne, oczerniając pannę Wirginię i dowodząc, że kapelusze pierwszej są ładniejsze od tych, które wychwalał z początku! — wykrzyknął Lucjan, przypominając sobie scenę, której był świadkiem.

— Jesteś głuptas, mój drogi — odparł sucho Lousteau. — Finot trzy lata temu cho-

<sup>525</sup>matador (daw.) — przen. osoba wyższego stanu, mająca wysoką pozycję a. zajmująca ważne stanowisko; znakomitość. [przypis edytorski]

<sup>526</sup>Bayle, Pierre (1647–1706) — francuski filozof, historyk i publicysta, autor *Słownika historycznego i krytycznego* (1695), jeden z fundatorów myśli społecznej Oświecenia. [przypis edytorski]

Sumienie

Interes, Pieniądz

Pieniądz, Bieda, Bogactwo

dził w dziurawych butach, jadał obiady u Tabara po osiemnaście su, gryzmołił prospekty po dziesięć franków, ubranie zaś trzymało mu się na ciele za pomocą tajemnicy równie nieprzeniknionej, jak tajemnica niepokalanego poczęcia; dziś Finot ma na wyłączną własność swój dziennik, szacowany na sto tysięcy; łącznie z abonentami płacącymi a nieobysłanymi, z abonentami rzeczywistymi i „podatkami pośrednimi”, ściągany przez jego wuja, zarabia dwadzieścia tysięcy rocznie; ma co dzień najwspanialsze obiady, od miesiąca kabriolet; wreszcie, od jutra stanie na czele tygodnika, z szóstą częścią własności za nic, z pięciomaset frankami miesięcznie, do których dorzuci tysiąc franków od artykułów uzyskanych gratis, za które każe sobie płacić współnikom. Ty pierwszy, jeśli Finot zechce ci zapłacić pięćdziesiąt franków za stronicę, przyniesiesz mu z radością trzy artykuły darmo. Kiedy będziesz w analogicznym położeniu, będziesz mógł sądzić Finota: sądzić nas mogą tylko równi. Czyż nie masz przed sobą olbrzymiej przyszłości, jeśli będziesz ślepo posłuszny wszystkim strategiom nienawiści, jeśli będziesz atakował, kiedy Finot ci powie: „Atakuj!”, a chwalił, kiedy ci powie: „Chwal!” Kiedy sam będziesz się chciał zemścić na kimś, możesz mordować swego przyjaciela lub wroga paroma wierszami wsuniętymi co rano w naszym dzienniczku, mówiąc mi: „Lousteau, zabijmy tego człowieka!” Dorzńiesz swą ofiarę „zasadniczym” artykułem w tygodniku. Wreszcie, jeżeli sprawa jest dla ciebie pierwszorzędnej wagi, Finot, któremu potrafisz uczynić się potrzebnym, pozwoli ci zadać ostatni cios maczugą w wielkim dzienniku o dziesięciu lub dwunastu tysiącach abonentów.

— Sądzisz zatem, że Floryna potrafi namówić pigularza na ów interes? — spytał Lucjan, olśniony.

— Spodziewam się! Oto właśnie antrakt, pójdę szepnąć jej słówko, ubijemy to tej nocy. Skoro wytłumaczę jej, o co idzie, Floryna rozwinię cały spryt, swój i mój.

— I pomyśleć, że pocziwy kołtun siedzi tam z rozdziawioną gębą, podziwiając Florynę, i nie przeczuwa, że tu gotuje się zamach na jego trzydzieści tysięcy!...

— Znowu głupstwo! Powiedziałby kto, że go się okrada! — wykrzyknął Lousteau. — Ależ, mój drogi, jeśli ministerium kupi pismo, za pół roku pigularz dostanie pięćdziesiąt tysięcy za swoich trzydzieści. Przy tym dla Matifata nie idzie tu o dziennik, ale o Florynę. Kiedy będzie wiadomo, że Matifat i Camusot (bo podzielił się tym interesem) są właścicielami tygodnika, we wszystkich dziennikach pojawią się przychyłne artykuły o Florynie i Koralii. Floryna stanie się sławna, znajdzie może *engagement* na dwanaście tysięcy w innym teatrze. Słowem, Matifat oszczędzi tysiąc franków miesięcznie, którą to sumę kosztowały go podarki i obiady dla dziennikarzy. Nie znasz się ani na ludziach, ani na interesach.

— Biedny człowiek! — rzekł Lucjan. — Spodziewa się, iż czeka go przyjemna noc.

— Tymczasem — odparł Lousteau — urzędzą mu piłę proroka Izajasza<sup>527</sup> aż do skutku, póki nie pokaże Florynie rejentanego aktu kupna. I nazajutrz ja będę naczelnym redaktorem i będę zarabiał tysiąc franków na miesiąc. Nareszcie koniec nędzy! — wykrzyknął kochanek Floryny.

Lousteau wyszedł, zostawiając Lucjana oszołomionym, zgubionym w otchłani myśli, szybującym ponad światem takim, jak jest. Ujrzawszy w Galeriach Drewnianych maszynię księgarni i kuchnię sławy, przeszedłszy się po kulisach teatru, poeta spostrzegł podszewkę sumień, grę kótek paryskiego życia, mechanizm świata. Zazdrościł szczęścia Stefanowi, podziwiając Florynę na scenie, zapominając na chwilę o Matifacie. Zaduma ta trwała czas nieokreślony, może pięć minut. To była wieczność. Płomienne myśli paliły duszę Lucjana, gdy zmysły jego rozżarzyły się od widoku tych aktorek o rozwiązanych oczach podkreślonych szminką, o lśniących piersiach ujętych w rozkoszne staniki, w krótkich spódnicach falujących lubieżnie i odsłaniających nogi w czerwonych pończochach z zielonymi strzałkami, obute w sposób zdolny przyprawić widzów o szaleństwo. Dwa rodzaje zepsucia szły równoległymi liniami, jak dwie fale, które w czas powodzi dążą do zlania się z sobą; pożerały poetę wspartego na łokciu w łoży, z ramieniem na aksamitnym oparciu, z ręką przewieszoną przez poręcz, z oczami utkwionymi w kurtynę. Lucjan tym dostępniejszy był urokom tego życia splecionego z błyskawic i chmur, iż zamigotało mu ono niby świetny fajerwerk po głębokiej nocy pracowitego, cichego, jednostajnego

Pożądanie

<sup>527</sup> Izajasz — prorok biblijny; od jego imienia pochodzi tytuł *Księgi Izajasza*. [przypis edytorski]

go życia. Nagle miłosne światło oka, przebijając kurtynę, spłynęło na roztargnione oczy Lucjana. Poeta, zbudzony z odrętwienia, poznał oko Koralii, które paliło go żarem; spuścił głowę i popatrzył na Camusota: właśnie siadał z powrotem w łożu. Amator ten był to poczciwy, otyły i pulchny kupiec jedwabny z ulicy des Bourdonnais, sędzia w Izbie Handlowej, ojciec czworga dzieci, powtórnie żonaty, posiadacz osiemdziesięciu tysięcy renty. Człeczyna ten, liczący pięćdziesiąt sześć lat, z wianuszkami siwiejących włosów na głowie, miał obłudną minę człowieka, który spija ostatnie słodczyce życia i nie chce się z nim rozstać, nie wyczerpawszy swego konta rozkoszy, a połknąwszy wprzód tysiąc i jedno utrapienie handlu. To łysawe czoło, te lica rumiane niby u mnicha zdawały się nie dość szerokie, aby pomieścić rozkwit ukontentowania<sup>528</sup> sięgający zenitu: Camusot był bez żony i słyszał, jak oklaskują Koralię do szaleństwa. Koralia skupiała w sobie wszystkie próżności bogatego mieszczucha; dzięki niej czuł się wielkim panem dawnych czasów. W tej chwili miał uczucie, że dzieli w połowie triumf aktorki; a miał je tym słuszniej, iż opłacił ten triumf z własnej kieszeni. Rolę tę uświęcał swą obecnością teść Camusota, upudrowany staruszek, z okiem swawolnym, mimo to pełen godności. Skrupuły Lucjana obudziły się na nowo, przypomniał sobie czystą, egzaltowaną miłość, jaką przez rok żywił dla pani de Bargeton. Fantazja poety rozwinęła białe skrzydła, błękitne mgły wspomnień otoczyły wielkiego człowieka z Angoulême, który znów utonął w zadumie. Kurtyna się podniosła. Koralia i Floryna były na scenie.

— Moja droga, on myśli o tobie tyle, co o sultanie tureckim — szepnęła Floryna, gdy Koralia wygłaszała jakąś kwestię.

Lucjan nie mógł wstrzymać się od śmiechu i spojrział na Koralię. Kobieta ta, jedna z najbardziej uroczych i rozkosznych aktorek paryskich, rywalka pani Perrin i panny Fleuriet, do których była podobna i których los miała podzielić, miała typ w najwyższym stopniu przemawiający do zmysłów. Koralia przedstawiała najpiękniejszy model semickiej piękności: pociągła owalna twarz o tonach kości słoniowej, usta czerwone jak granat, bródka delikatna jak brzeg czary. Pod powiekami przepalonymi żrenicą czarną jak heban, pod odgiętymi rzęsami odgadywało się omdlewające spojrzenie, w którym w tej chwili połyskiwały wszystkie żary pustyni. Nad tymi oczyma, obwiedzionymi oliwkowym kręgiem, rysowały się sklezione i obfite brwi. Na brunatnym czole, strojnym dwoma pasmami hebanu, w których migotały w tej chwili, niby na lakierowym pantofelku, światełka kulis, mieszkająca wspaniałość myśli, zdolna obudzić wiarę w iskrę geniuszu. Ale, podobna w tym do wielu aktorek, Koralia, bez inteligencji mimo taniej werwy kulis, bez wykształcenia mimo swoich doświadczeń alkowy<sup>529</sup>, miała jedynie polot zmysłów i dobroć kobiet stworzonych do miłości. Czyż można było zresztą zaprzętać się duchową stroną tej dziewczyny, wówczas gdy olśniewała oczy krągłymi i gładkimi ramionami, delikatnymi paluszkami, złotymi tonami karku oraz piersią opiewaną przez *Pieśń nad Pieśniami*<sup>530</sup>, ruchliwą i wygiętą szyją, nóżkami o cudownie wytwornej linii, obleczonymi w czerwony jedwab? Piękności te, o poezji prawdziwie wschodniej, uwydatniał jeszcze hiszpański kostium, modny wówczas w teatrach. Koralia przejmowała salę rozkoszą: wszystkie oczy ścisnęły jej zręczną i smukłą kibić, pieściły andaluzyjskie kłęby, nadające spódniczce lubieżne skręty. Była chwila, w której Lucjan, widząc tę istotę grającą jedynie dla niego, troszczącą się o Camusota tyle co ulicznik z paradyżu<sup>531</sup> o ogryzek, stawiał miłość zmysłową powyżej miłości czystej, użycie powyżej pragnienia: demon rozpusty podszeptął mu straszliwe myśli.

„Nie znam całego świata miłości, która się przewala przy obfitym stole, przy winie, w rozkoszach materii — rzekł sobie. — Więcej żyłem dotąd myślą niż rzeczywistością. Człowiek, który chce wszystko malować, winien wszystko znać. Oto moja pierwsza wspaniała uczta, pierwsza orgia wśród tego dziwnego świata: czemuż nie posmakować raz owych sławnych rozkoszy, w których tarzali się magnaci ubiegłego wieku, żyjąc w alkowie tych istot? Choćby tylko po to, aby te uczucia przenieść w strefy prawdziwej miłości, czyż nie trzeba poznać rozkoszy, doskonałości, uniesień, sposobów, finezji, jakie kryje miłość

Uroda

Uroda, Kobieta

<sup>528</sup>ukontentowanie (daw., z łac.) — zadowolenie. [przypis edytorski]

<sup>529</sup>alkowa (daw.) — sypialnia. [przypis edytorski]

<sup>530</sup>*Pieśń nad Pieśniami* — hebrajski poemat miłosny z IV–III w. p.n.e., zaliczany do ksiąg dydaktycznych Starego Testamentu. [przypis edytorski]

<sup>531</sup>paradyz (daw.) — najwyższe usytuowane i najtańsze miejsca w teatrze. [przypis edytorski]



kurtyzan i aktorek? Czyż to nie jest poezja zmysłów? Dwa miesiące temu te kobiety zdawały mi się bóstwami strzeżonymi przez groźne smoki; oto jedna z nich, piękniejsza od Floryny, której zazdrościłem Stefanowi: czemu nie skorzystać z jej kaprysu, skoro najwięksi panowie kupują za cenę skarbów jedną noc u tych kobiet? Ambasadorowie, kiedy stawiają stopę w te otchłanie, nie troszczą się o wczoraj ani o jutro. Byłbym głupcem, gdybym miał więcej skrupułów niż królowie i książęta, zwłaszcza gdy nie kocham jeszcze nikogo”.

Lucjan nie myślał już o Camusocie. Objawwszy wobec przyjaciela najgłębszy wstręt do najszeptniejszego podziału, wpadał w tę czeluść, tonął w żądzy, ciągnięty jezuityzmem<sup>532</sup> namiętności.

— Koralia szaleje za tobą — rzekł Lousteau, wchodząc. — Twoja piękność, godna marmurów Grecji, robi za kulisami istne spustoszenie. Szczęśliwy jesteś, mój drogi. W osiemnastym roku Koralia może za kilka dni mieć sześćdziesiąt tysięcy franków rocznie za swą urodę. Jest jeszcze bardzo cnotliwa. Sprzedana przez matkę przed trzema laty za sześćdziesiąt tysięcy, zebrała dotąd same tylko udręczenia i szuka szczęścia. Wstąpiła do teatru z rozpaczy, nienawidziła de Marsaya, swego pierwszego nabywcy; wyszedłszy z tej katorgi (król naszych dandysów rzucił ją niebawem), znalazła poczciwego Camusota, którego nie kocha oczywiście ani odrobiny; ale że jest dla niej jak ojciec, znosi go i pozwala się kochać. Odrzuciła już najbogatsze propozycje; trzyma się swego Camusota za to, że jej nie dręczy. Jesteś tedy jej pierwszą miłością. Och! Skoro cię ujrzała, uczuła niby postrzał w piersi: Floryna poszła jej przemawiać do rozsądku w garderobie, gdzie płacze z przyczyny twego chłodu. Sztuka padnie, Koralia nie wie już, co mówi, i bywaj zdrowe, *engagement* do Gymnase, które Camusot jej gotował!

— Ba!... Biedna dziewczyna! — rzekł Lucjan. Słowa te polechtały wszystkie jego próżnostki, uczuł, iż serce wzdyma mu się od dumy. — Spada na mnie, mój drogi, w jeden wieczór więcej wydarzeń niż przez całe osiemnaście lat życia.

Tu Lucjan opowiedział amory z panią de Bargeton i swą nienawiść do Châteleta.

— Czekaj no, dziennikowi brakuje właśnie w tej chwili ofiary, weźmiemy się do twego barona. Ten baron to piękniś z czasów Cesarstwa, zawzięty ministeriał, nada się nam jak obszył. Uważałem go nieraz w Operze. Widzę stąd twoją *grandezze*<sup>533</sup>, bywa często w łoży margrabiny d'Espard. Baron umizga się do twego eksydeatu, istnej ościstej ryby. Czekaj! Finot przysłała mi wiadomość, że dziennik nie ma skryptu; jeden z redaktorów, szelma Hektorek Merlin, któremu obcięto białe, wypłatał nam psikus. Finot w rozpaczy gryzmolił atak na Operę. Mam myśl: mój drogi, napisz ty recenzję ze sztuki, przysłuchaj się, przemyśl. Ja pójdę do gabinetu dyrektora kropnąć jakie trzy kolumny na barona i na twoją Beatrycze<sup>534</sup>: jutro będą się diablo skrobali za ucho.

— Więc oto jak i gdzie robi się dziennik? — rzekł Lucjan.

— Zawsze tak — odparł Lousteau. — Od dziesięciu miesięcy, jak w nim jestem, dziennik zawsze jest bez kopii o ósmej wieczór.

Kopię nazywa się w gwarze drukarskiej rękopis przeznaczony już do składania. Ogół zapewne mniema, iż autor nadsyła jedynie kopię swego dzieła. A może kryje się w tym ironiczna interpretacja łacińskiego wyrazu *copia* (obfitość), jako że kopii stale braknie.

— Wielki projekt, który nie urzeczywistni się nigdy, to aby mieć materiał na kilka numerów naprzód — ciągnął Lousteau. — Oto dziesiąta i nie ma ani wiersza. Aby świetnie skończyć numer, podbechtałem Felicjana Vernou i Natana: machną ze dwadzieścia dowcipów na posłów, na kanclerza Crusoe<sup>535</sup>, ministrów, w ostateczności na naszych przyjaciół. W takim wypadku zmasakrowałoby się własnego ojca; człowiek jest jak korsarz, który nabija armaty złupionymi talarami, aby nie zginąć. Wysil się w recenzji na dowcip, a pozyskasz sobie Finota: jest wdzięczny z wyrachowania. To w rezultacie

<sup>532</sup> *jezuityzm* — tu: zasady i zachowanie właściwe jezuitom; *jezuici*: męski zakon katolicki, istniejący, aby bronić Kościoła katolickiego przed reformacją; jezuitom przypisywano zakłamanie, przewrotność i bezwzględność, stosowanie zasady, że cel uświęca środki. [przypis edytorski]

<sup>533</sup> *grandezza* (z wł.) — wielka dama. [przypis edytorski]

<sup>534</sup> *Beatrycze* — ukochana wł. poety Dantego, umieszczona przez niego w *Boskiej komedii* jako przewodniczka po raju. [przypis edytorski]

<sup>535</sup> *kanclerz Crusoe* — tak nazywano wicehrabiego Charlesa Henriego Dambray (1760–1829), kanclerza Francji w okresie Restauracji. [przypis edytorski]

najlepszy i najpewniejszy rodzaj wdzięczności! Oczywiście po tej, jaką okazuje nam lombard...

— Cóż za ludzie, ci dziennikarze!... — wykrzyknął Lucjan. — Jak to! Więc trzeba sięść do stołu i być dowcipnym?

— Absolutnie tak, jak się zaświeca kinkiet... póki nie braknie oliwy.

W chwili gdy Lousteau otwierał drzwi, weszli dyrektor i du Bruel.

— Panie — rzekł autor do Lucjana — pozwól mi pan od siebie powiedzieć Koralii, że ją odwieszysz do domu po kolacji, albo moja sztuka padnie. Biedna dziewczyna nie wie już, co mówi ani co robi, gotowa płakać, gdzie trzeba się śmiać, a śmiać się, gdzie trzeba płakać. Już zaczynają gwizdać. Może pan jeszcze ocalić sztukę. Przecie to znów nie takie nieszczęście przespać się ze śliczną dziewczyną.

— Panie, nie jest w moim zwyczaju znosić rywali.

— Nie powtarzaj jej pan tego — rzekł dyrektor, spoglądając na autora — dziewczyna zdolna by była wyrzucić Camusota i zrujnowałaby się na gładkiej drodze. Ten godny właściciel „Złotego Kokona” daje Koralii dwa tysiące franków miesięcznie, płaci wszystkie kostiumy i klakę.

— Ponieważ pańskie przyrzeczenie nie obowiązuje mnie do niczego, ratuj pan sztukę — rzekł Lucjan tonem łaskawego sułtana.

— Ale nie bądź pan twardy dla tego uroczego stworzenia — rzekł błagalnie du Bruel.

— Paradne! Mam więc równocześnie pisać recenzję ze sztuki i robić słodkie oczy do pierwszej naiwnej, niech będzie! — wykrzyknął poeta.

Autor znikł, dawszy znak Koralii, która od tej chwili grała cudownie. Bouffé, piastujący rolę starego alkada<sup>536</sup>, w której objawił po raz pierwszy swój talent w zakresie „starców”, wyszedł na środek sceny, oznajmił wśród grzmotu oklasków:

— Panowie, sztuka, którą mieliśmy zaszczyt wam przedstawić, jest pióra Raula i Cursy'ego.

— A, Natan umaczał palce w tej sztuce! — rzekł Lousteau. — Nie dziwi mnie już jego obecność.

— Koralia! Koralia! — ryczał rozszalały parter.

Z łoży, w której siedzieli dwaj kupcy, rozległ się piorunowy głos:

— I Floryna!

— Floryna i Koralia! — powtórzyło wówczas kilka głosów.

Kurtyna się podniosła, Bouffé ukazał się z dwiema aktorkami, którym Matifat i Camusot rzucili po wieńcu; Koralia podniosła swój i podała go Lucjanowi. Dla Lucjana te dwie godziny spędzone w teatrze były niby sen. Kulisy, mimo swych okropności, zaczęły dzieło czarnoksiężstwa. Poeta, jeszcze niewinny, zaciągnął się tchem wyuzdania i powietrzem rozkoszy. W tych brudnych, zastawionych rekwizytami korytarzach, oświetlonych kopącymi i zatłuszczonymi lampkami, panuje jakby zaraza, która pożera duszę. Życie przestaje tam być święte i rzeczywiste. Człowiek śmieje się z rzeczy poważnych, a rzeczy niemożliwe<sup>537</sup> wydają się prawdziwe. Był to dla Lucjana niby narkotyk, a Koralia zanurzyła go do reszty w radosnym pijaństwie. Żyrandol zgasł. W sali pozostały już tylko garderobiane, z charakterystycznym hałasem zbierając podnóżki i zamykając łoże. Rampa, zdmuchnięta od jednego zamachu niby świeczka, ziała straszliwym zaduchem. Kurtyna znów się podniosła. Latarka spuściła się z powały. Strażacy rozpoczęli ront<sup>538</sup> w towarzystwie maszynistów. Po feerii sceny, po widoku łoż pełnych ładnych kobiet, po oszałamiających światłach, po wspaniałej magii dekoracji i nowych kostiumów — chłód, ohyda, ciemność, pustka. To było wstrętne. Lucjan stał pogrążony w nieopisanym zdumieniu.

— Cóż, idziesz? — rzekł Lousteau z wyżyn sceny. — Skacz z łoży tutaj.

Jednym skokiem Lucjan znalazł się na scenie. Ledwie poznał Florynę i Koralie; zebrane, zawinięte w ciepłe płaszcze, na głowach miały kapelusze o czarnych woalach; podobne były motylom, które wróciły w swą larwę.

— Czy będzie pan tak łaskaw podać mi ramię? — rzekła Koralia z drżeniem.

<sup>536</sup>alkad (z hiszp.: sędzia) — najwyższy urzędnik miasta lub gminy w Hiszpanii; burmistrz a. wójt. [przypis edytorski]

<sup>537</sup>niemożliwy (daw.) — niemożliwy. [przypis edytorski]

<sup>538</sup>ront (daw.) — patrol. [przypis edytorski]

— Chętnie — odparł Lucjan, który uczył serce aktorki na swoim, tłukące się jak u schwytanego ptaka.

Aktorka, przyciskając się do poety, doznawała rozkoszy kotki, która trze się o nogę pana z lubieżnym żarem.

— Więc będziemy jedli kolację razem! — rzekła.

Wszyscy czworo wyszli i ujrzeli dwa pojazdy na wprost wyjścia artystów. Koralia kazała Lucjanowi wsiąść do dorożki, gdzie już znajdował się Camusot i jego teść, zacny pan Cardot. Ofiarowała również miejsce du Bruelowi. Dyrektor pojechał z Floryną, Matifatem i Stefanem Lousteau.

— Straszne są te dorożki — rzekła Koralia.

— Czemu nie ma pani powozu? — odparł du Bruel.

— Czemu? — wykrzyknęła z irytacją. — Nie chcę mówić o tym w obecności pana Cardot, który z pewnością kształcił swego zięcia. Czy uwierzyłby pan, że ten oto pan Cardot, jak go widzicie, stary i chuderlawy, daje Florentynie ledwie pięćset franków na miesiąc, akurat tyle, ile trzeba, aby zapłacić mieszkanie i szmatki i mieć co włożyć do gęby? Stary margrabia de Rochegude, który ma sześćset tysięcy renty, ofiarowuje mi powóz od dwóch miesięcy. Ale ja jestem artystka, a nie taka...

— Będzie pani miała powóz pojutrze, panno Korolio; nigdy mi pani o tym nie wspominała.

— Czyż o to trzeba prosić? Jak to, więc kiedy się kocha kobietę, pozwala się jej brodzić w błocie lub naraża się ją, aby łamała nogi, idąc pieszo? Jedni chyba rycerze łockia radzi widzą zabłocone falbanki.

Mówiąc te słowa z irytacją, od której Camusotowi pękało serce, Koralia odszukała nogę Lucjana i ścisnęła ją między swymi, ujęła go za rękę i tuliła ją. Zamilkła, cała skupiona w nieopisaną rozkosz, w jakiej te biedne stworzenia znajdują nagrodę za wszystkie przeszłe zgryzoty, za swe nieszczęścia; chwile te rozwijają w ich duszy poezję obcą innym kobietom, nieznaną, na szczęście, tych gwałtownych kontrastów.

— Grała pani w końcu tak dobrze jak panna Mars — rzekł du Bruel do Koralii.

— Tak — rzekł Camusot — z początku widać było, że pannie Koralii coś przeszkadza; ale od końcowych scen drugiego aktu była wprost bajeczna. Ma połowę zasługi w pańskim powodzeniu.

— A ja połowę w jej — rzekł du Bruel.

— Ot, bajecie, i tyle — rzekła zmienionym głosem.

Aktorka skorzystała z chwili ciemności, aby podnieść do ust rękę Lucjana, i ucałowała ją, zlewając łzami. Lucjan uczył się wzruszony do szpiku. Pokora zakochanej kurtyzany kryje w sobie przepychy zdolne zawstydzić aniołów.

— Pan łaskawy ma pisać recenzję — rzekł du Bruel do Lucjana — może pan wtrącić cudowny ustęp o naszej drogiej Koralii.

— Och, chciej pan nam oddać tę małą przysługę — rzekł Camusot błagalnym głosem — znajdziesz we mnie człowieka bardzo oddanego w każdej okoliczności.

— Ależ dajcie panu spokój — krzyknęła aktorka, wściekła — napisze, co będzie chciał. Papo Camusot, kupuj mi powozy, a nie pochwały!

— Będzie je pani miała bardzo tanio — odparł grzecznie Lucjan. — Nigdy nie pisywałem w dziennikach, nie znam ich obyczajów, będzie pani miała pierwociny mego pióra...

— To paradne! — rzekł du Bruel.

— Oto ulica de Bondy — rzekł stary Cardot, którego wybuch Koralii ściął z nóg.

— Ja będę miała pierwociny twego pióra, a ty mego serca — szepnęła Koralia w przelotnej chwili, przez którą została sama z Lucjanem w powozie.

Pośpieszyła za Floryną do sypialni, aby przywdziać posłaną tam wprzód toaletę. Lucjan nie znał zbytku, jaki roztaczają u aktorek albo u swoich kochanek wzbogaceni przemysłowcy chcący używać życia. Mimo iż Matifat, który nie miał fortuny tak znacznej jak jego przyjaciel Camusot, nie bardzo się wysadził, Lucjan zdumiał się, widząc jadalnię artystycznie przybraną, wybitą zielonym sukniem usianym ćwiekami o złoconych łebkach, piękne lampy, wazony pełne kwiatów, dalej salon obity żółtym jedwabiem w brązowy

Dom

desień, najmodniejsze meble, pyszny świecznik Thomire'a<sup>539</sup>, perski dywan. Zegar, kandelabry, kominek, wszystko było w dobrym smaku. Matifat polecił urządzenie całości Grindotowi, młodemu architektowi, który mu stawiał dom i który znając przeznaczenie apartamentu, wypieścił go z osobliwym staraniem. Toteż Matifat, zawsze kupiec, z niesłychaną ostrożnością dotykał najmniejszej bagateli, ciągle zdawał się mieć przed oczyma cyfrę rachunku i patrzył na te wspaniałości jak na klejnoty nieopatrznie wyjęte z puzderka.

„Nie ma co! Trzeba będzie tak samo urządzić Florentynę!” — oto myśl, którą czytało się w oczach starego Cardot.

Lucjan zrozumiał naraz, czemu stan pokoju, w którym mieszkał Lousteau, nie trapił dziennikarza, posiadającego serce Floryny. Jako tajemny król owych festynów, Stefan korzystał z tych wszystkich pięknych rzeczy. Toteż mimo woli przyjmował pozycję pana domu, stojąc przed kominkiem i rozmawiając z dyrektorem, który wieszował du Bruelowi.

— Skrypt! Skrypt! — krzyknął Finot, wchodząc. — Nic nie ma w skrzynce. Zecerzy wzięli do składania mój artykuł i niebawem skończą.

— Idziemy — rzekł Stefan. — Znajdziemy stół i światło w buduarze<sup>540</sup> Floryny. Jeśli pan Matifat zechce nam dostarczyć papieru i atramentu, sklecimy dziennik, gdy panie będą się ubierać.

Cardot, Camusot i Matifat znikli, skwapliwie szukając piór, scyzoryków i innych potrzebnych przyborów. W tej chwili jedna z najładniejszych tancerek owego czasu, Tulia, wpadła do salonu.

— Moje drogie dziecko — rzekła do Finota — będziesz miał swoich sto abonamentów, nie będą kosztowały dyrekcję ani grosza, już je umieszczono, narzucono je chórom, orkiestrze i baletowi. Twój dzienniczek jest tak zabawny, że nikt nie będzie się skarżył. Będziesz miał łożę. Oto za pierwszy kwartał — rzekła, podając dwa banknoty. — Zatem nie pastw się już nade mną!

— Jestem zgubiony — wykrzyknął Finot. — Przepadł naczelny artykuł do jutrzejszego numeru, bo w ten sposób trzeba mi cofnąć mą bezwstydną napaść...

— Cóż za świetna myśl, moja boska Lais<sup>541</sup>! — wykrzyknął Blondet, który wszedł za tancerką z Natanem, Vernou i wprowadzonym przezeń Klaudiuszem Vignon. — Zostaniesz z nami na kolacji, najmiłsza, albo cię zgniotę jak motyla, do którego jesteś podobna. Jako tancerka, nie wzniesiesz tutaj żadnej rywalizacji. Co do piękności, to jesteście wszystkie zanadto sprytne, aby być zazdrosne o siebie publicznie.

— Mój Boże! Przyjaciele, du Bruel, Natan, Blondet, ratujcie mnie! — wykrzyknął Finot. — Trzeba mi pięciu kolumn.

— Wypełnię dwie moją recenzją — rzekł Lucjan.

— Ja z mego tematu wycisnę jedną — rzekł Lousteau.

— No więc, Natan, Vernou, du Bruel, zróbcie mi koncepty na zamknięcie numeru. Poczciwy Blondet mógłby mi wygodzić dwiema kolumnienkami na pierwszą stronę. Pędź do drukarni. Na szczęście Tulia ma powóz.

— Tak, ale siedzi w nim księżę z ambasadorem niemieckim — rzekła.

— Zaprosimy księcia i ambasadora — rzekł Natan.

— Brawo! Niemiec tego pije, nabożnie słucha, nagadamy mu tyle bezecenstw, że będzie miał gotowy raport dla swojego dworu — wykrzyknął Blondet.

— Któż jest z nas wszystkich dość poważną osobistością, aby zejść z nimi gadać? — rzekł Finot. — Ty, du Bruel, ty jesteś biurokrata, sprowadź księcia de Rhétoré, ambasadora i podaj ramię Tulii. Mój Boże, ależ ta Tulia piękna dziś wieczór!...

— Będzie nas trzynaścioro! — rzekł Matifat, blednąc.

— Nie, czternaścioro — rzekła Florentyna, wchodząc — przychodzę pilnować mi lorda Cardot („melort Kerdet”).

— Zresztą — rzekł Lousteau — Blondet przyszedł z Klaudiuszem Vignon.

<sup>539</sup> *Thomire, Pierre-Philippe* (1751–1843) — francuski rzeźbiarz i brązownik, najwybitniejszy wytwórca ozdobnych przedmiotów ze złoczonego brązu w okresie Cesarstwa. [przypis edytorski]

<sup>540</sup> *buduar* — pokój pani domu służący do odpoczynku. [przypis edytorski]

<sup>541</sup> *Lais* — imię słynnych z piękności kurtyzan greckich: Lais z Koryntu (ok. 425 p.n.e.) oraz Lais z Hykkary na Sycylii (zm. 370 p.n.e.). [przypis edytorski]

— Przywiódłem go, iżby pił — odparł Blondet, biorąc kałamarz. — No, wy tam chłopcy, ruszcie dowcipem za te pięćdziesiąt sześć butelek wina, które wypijemy — rzekł do Natana i do Vernou. — Zwłaszcza bacność na du Bruela, to urodzony kawalarz, podgrzejecie go tylko, a wyciśniecie zeń parę soczystych konceptów.

Lucjan, pobudzony chęcią zdania egzaminu wobec tak wybitnych osobistości, napisał swój pierwszy artykuł na okrągłym buduarowym stoliku Floryny, przy blasku różowych świec zapalonych przez Matifata.

#### PANORAMA-DRAMATIQUE

*Pierwsze przedstawienie „Alkada w opałach”, imbrogljo w 3 aktach. — Debiut panny Floryny. — Panna Koralia. — Bouffé.* Wchodzą, wychodzą, rozmawiają, przechadzają się, szukają czegoś, a nie znajdują nic, ciągły gwar, zamęt... Alkad zgubił córkę, a odnajduje czapkę: czapka coś nie na jego miarę, ani chybi, to czapka złodzieja. Gdzie złodziej? Znow wchodzą, wychodzą, mówią, przechadzają się, szukają w najlepsze. Wreszcie alkad znajduje jakiegoś mężczyznę bez swej córki i córkę bez mężczyzny, ku zadowoleniu tego godnego urzędnika, ale nie publiczności. Spokój wraca, alkad chce badać więźnia. Stary sędzia zasiada w wielkim sędziowskim fotelu, odwijając sędziowskie rękawy. Hiszpania jest jedynym krajem, gdzie widzi się alkadów nurzających się w owych wielkich rękawach, gdzie widzi się na szyjach alkadów owe krezy, które w teatrach paryskich stanowią połowę ich funkcji. Ten alkad, który tyle się nadreptał kroczeniem astmatycznego starca, to Bouffé, Bouffé, następca Potiera, młody człowiek, który tak dobrze odtwarza staruszków, że najstarsi z publiczności odmłodnieli od śmiechu. Jest przyszłość stu starców w tym obnażonym czole, w tym trzęsącym się głosie, w tych piszczelach uginających się pod ciałem Geronta<sup>542</sup>. Ten młody aktor jest tak stary, że przeraża: widz czuje lęk, aby ta starość nie udzieliła się jak zaraźliwa choroba. Cóż za cudowny alkad! Cóż za paradny uśmiech niepokoju! Cóż za ważna głupota! Cóż za ośła godność, cóż za niepewność prawoznawcza! Jak ten człowiek wie dobrze, że wszystko na przemian może być fałszem i prawdą! Jakież on godny zostać ministrem konstytucyjnego króla! Każde pytanie alkada nieznajomy odbija pytaniem; Bouffé odpowiada w ten sposób, iż pytany odpowiedziami alkad wyjaśnia wszystko za pomocą pytań. Ta scena wysokiego komizmu, w której wieje jakby dech Moliera, wprawiła salę w szal radości. Wszyscy na scenie zdawali się zadowoleni; ale, co do mnie, nie jestem zdolny powiedzieć, o ile sprawa jest jasna lub ciemna: była przy śledztwie córka alkada, wcielona przez prawdziwą córę Andaluzji, Hiszpankę o hiszpańskich oczach, hiszpańskiej cerze, hiszpańskiej kibici, hiszpańskim chodzie, Hiszpankę od stóp do głowy, ze sztyletem za podwiązką, miłością w sercu, krzyżykiem na piersiach. Z końcem aktu ktoś mnie zagadnął, jak idzie sztuka, odparłem: „Ma czerwone pończochy z zieloną strzałką, stópkę ot tycią, w lakierowanych pantofelkach, i najpiękniejszą nogę w Andaluzji”. Ach, ta córka alkada! Kiedy się na nią patrzy, miłość przychodzi do ust, rodzi straszliwe pragnienia, ma się ochotę skoczyć na scenę i ofiarować jej swą chatkę i serce albo trzydzieści tysięcy liwrów renty i swoje pióro. Ta córka Andaluzji jest najpiękniejszą aktorką w Paryżu. Koralia — trzeba ją nazwać po imieniu — potrafiłaby być hrabiną lub gryzetską. Nie wiadomo, pod jaką postacią podobałaby się więcej. Będzie, czym zechce, urodzona jest do *wszystkiego*; czyż to nie najwyższa pochwała dla bulwarowej aktorki?

W drugim akcie zjawia się Hiszpanka z Paryża, z twarzyczką kamei<sup>543</sup> i morderczymi oczami. Zapytałem znowuż, skąd przybywa; powiedziano mi, że *zza kulis* i że nazywa się Floryna; ale, na honor, nie mogłem w to uwierzyć, tyle miała ognia w ruchach, tyle szału w swej miłości. Ta rywalka cór-

Teatr

<sup>542</sup>Geront (z gr. *geron*: starzec) — w sztukach Moliera (*Szelmostwa Skapena*, *Lekarz mimo woli*) typ łatwomiernego starca. [przypis edytorski]

<sup>543</sup>kamea (z wł.) — ozdoba z kamienia szlachetnego lub półszlachetnego z płaskorzeźbą, często portretową. [przypis edytorski]

ki alkada jest żoną magnata wykrojonego z płaszcza Almavivy<sup>544</sup>, którego materia starczy na stu magnatów z bulwarów. Floryna nie miała wprawdzie ani czerwonych pończoch z zieloną strzałką, ani lakierowanych trzewiczków, ale miała mantylę, welon, którym posługiwała się bajecznie; urodzona dama! Pokazała w sposób wprost cudowny, że tygrysica może się stać kotką. Po ciętych słówkach, jakie obie Hiszpanki wymieniły z sobą, zrozumiałem, że musi tu być jakiś dramat zazdrości w powietrzu. Potem, kiedy wszystko miało się ułożyć, głupota alkada poplątała rzecz na nowo. Cały ten świat pochodni, bogaczy, lokajów, Figarów, magnatów, alkadów, dziewczyn i kobiet zaczął na nowo szukać, chodzić, wracać, krążyć. Intryga zawikłała się, a ja pozwoliłem się jej wikłać; te dwie kobiety, zazdrosna Floryna i szczęśliwa Koralia, zamotały mnie do reszty w fałdy swoich spódniczek i mantylek i zaproszyły mi oko swymi maleńkimi nóżkami.

Zdołałem dotrzeć do trzeciego aktu jako tako spokojnie, nie ściągawszy interwencji komisarza policji ani nie zgorszywszy sali; od tej chwili wierzę w potęgę publicznej i religijnej moralności, którymi tak bardzo zajmują się izby poselskie, iż można by mniemać, że w ogóle już nie ma moralności we Francji. Zdołałem zrozumieć, że chodzi o mężczyznę, który kocha dwie kobiety, nie będąc kochany, lub też jest kochany, nie kochając, który nie kocha alkadów i którego alkadowie nie kochają, ale który, to pewne, jest dzielnym człowiekiem kochającym kogoś, samego siebie lub, w braku lepszego przedmiotu, Boga, zostaje bowiem mnichem. Jeżeli chcecie wiedzieć więcej, pędźcie do Panorama-Dramatique. Już was uprzedziłem należycie, że trzeba iść pierwszy raz, aby się oswoić z triumfalnymi czerwonymi pończoszkami, z nóżką pełną obietnic, z oczami, przez które sączy się promień słońca, z finezjami kobiety-paryżanki przebranej za córę Andaluzji i córy Andaluzji przebranej za paryżankę; następny raz, aby się ucieszyć sztuką, która ubawi was do łez rolą starca, a wzruszy do łez postacią zakochanego magnata. Sztuka powiodła się w dwojakim sposobie. Autor, który, jak powiadają, miał za współpracownika jednego z naszych wielkich poetów, palnął w samo sedno sukcesu z dwururki, nabiwszy każdą lufę rozkoszną dziewczuszką, toteż omal nie ubił na śmierć widowni, oszalałej z rozkoszy. Nogi tych dwóch dziewczyn kryły swoim wdziękiem cały dowcip autora. Mimo to, kiedy obie rywalki zeszyły ze sceny, spostrzegano się, że dialog jest zręczny, że dosyć triumfalnie dowodzi wartości sztuki. Autora wymieniono wśród oklasków, które przyprawiły o niepokój architekta; ale autor, oswojony z wybrykami pijanego Wezuwiusza kipiącego pod żyrandolem<sup>545</sup>, nie zadrżał: jest nim pan de Cursy. Co się tyczy dwóch aktorek, odtańczyły słynne bolero sewilskie, które znalazło niegdyś łaskę przed ojcami głośnego soboru, a które cenzura przepuściła mimo niebezpiecznej wymowy póź. To bolero wystarczy, aby ściągnąć wszystkich starców, którzy nie wiedzą, co począc ze swą resztką zasobów miłosnych; jestem na tyle litościwy, iż uprzedzam ich, aby doskonale przetarli lornetki.

Gdy Lucjan pisał te stronicę, które sprawiły rewolucję w dziennikarstwie, odsłaniając nowy i oryginalny sposób ujęcia przedmiotu, Lousteau gryzmolił artykułik, rzekomo obyczajowy, pod tytułem *Ekspiękniś*, który zaczynał się tak:

Piękniś z czasów Cesarstwa jest to człowiek zawsze długi i szczupły, dobrze zakonserwowany, który nosi sznurówkę i krzyż Legii. Nazywa się coś w rodzaju Potelet<sup>546</sup>; aby zaś być dobrze widzianym na dworze, baron Cesarstwa przyozdobił się maleńkim „du”: jest baronem du Potelet z gotowością

<sup>544</sup>*Almaviva* — hiszpański hrabia z komedii Pierre’a Beaumarchais’go: *Cyrulik sewilski* (1775) oraz *Wesele Figara* (1792); od jego imienia obszerne kolisty płaszcze męskie bez rękawów nazywano *almawiuq*. [przypis edytorski]

<sup>545</sup>*wybryki pijanego Wezuwiusza kipiącego pod żyrandolem* — mowa o żywiołowo reagującej publiczności zajmującej miejsca na najwyższym piętrze, pod świecznikami, od których buchało gorąco. [przypis edytorski]

<sup>546</sup>*potelet* (fr.) — słupek, pacholek. [przypis edytorski]

wrócenia do dawnego Poteleta na wypadek rewolucji. Człowiek dwulicowy, zresztą jak jego imię, nadskakuje diuszom<sup>547</sup> w salonach Saint-Germain, odznaczywszy się wprzód jako chlubny, pożyteczny i przyjemny nosiogonek siostry człowieka, którego wstyd zabrania mi nazwać. Jeżeli du Potelet zapiera się swych usług przy Jej Cesarskiej Wysokości, wyśpiewuje jeszcze romanse swej poufnej dobrodziejki...

Artykuł był stekiem osobistych aluzji dość płaskich, jak to w owej epoce, rodzaj ten bowiem później wydoskonalono znakomicie, zwłaszcza w „Figarze”<sup>548</sup>. Lousteau przeprowadzał naszpikowaną błazeństwami paralelę między panią de Bargeton, do której baron du Châtelet się zaleca, a ościstą rybą; koncept wyzyskano z werwą zdolną zabawić nawet tych, którzy nie znali osób. Châtelet porównany był do czapli. Amory czapli, która nie mogła przełknąć ościstej ryby, opisane były z nieprzepartym komizmem. Żart ten, rozproszony na kilka artykułów, miał, jak wiadomo, ogromny rozgłos w Dzielnicy Saint-Germain i był jedną z tysięcy przyczyn obostrzeń wprowadzonych w prasie. W godzinę potem Blondet, Lousteau, Lucjan wrócili do salonu, gdzie rozmawiali biesiadnicy, książę, ambasador i cztery kobiety, trzech kupcy, dyrektor teatru i Finot. Chłopiec z drukarni, strojny w sakramentalną papierową czapkę, przyszedł już nacierać o skrypt.

— Zecerzy odejdą, jeśli im nic nie przyniosę.

— Masz, daj im dziesięć franków i niech czekają — odparł Finot.

— Jeśli im dam tych dziesięć franków, proszę pana, urzną się i dobranoc z numerem.

— Zdrowy rozsądek tego pacholęcia przeraża mnie — rzekł Finot.

Właśnie w chwili gdy ambasador przepowiadał świetną przyszłość temu urwisowi, weszli trzej autorowie. Blondet przeczytał nader dowcipny artykuł przeciw romantykom. Koncept Stefana Lousteau przyjęto śmiechem. Aby nie wywoływać zbyt oburzenia w Dzielnicy Saint-Germain, książę de Rhétoré poradził wsunąć mimochodem jakiś komplement dla pani d'Espard.

— No, a pan, młody człowieku, przeczytaj nam, co napisałeś — rzekł Finot.

Kiedy Lucjan, który drżał ze strachu, skończył, salon rozebrzmiał od oklasków, aktorki ścisnęły neofitę, trzej kupcy dusili go w objęciu, du Bruel podał mu rękę i miał lzy w oczach, dyrektor wreszcie zapraszał go na obiad.

— Nie ma już dzieci — rzekł Blondet. — Ponieważ pan de Chateaubriand<sup>549</sup> zużył już epitet „boskiego dziecięcia” dla Wiktora Hugo, muszę powiedzieć panu po prostu, że jesteś człowiekiem z sercem, głową i stylem.

— Pan de Rubempré należy do dziennika — rzekł Finot, dziękując Stefanowi i rzucając mu przebiegle spojrzenie handlarza żywym towarem.

— Jakie dowcipy sfabrykowaliście? — rzekł Lousteau do Blondeta i du Bruela.

— Oto płody du Bruela — rzekł Natan.

...Widząc, jak bardzo wicehrabia d'A...<sup>550</sup> zaprzęta sobą publiczność, wicehrabia Demostenes<sup>551</sup> powiedział wczoraj: „Może zostawią mnie w spokoju”.

<sup>547</sup> diuszesa (z fr. *duchesse*) — księżna. [przypis edytorski]

<sup>548</sup> „*Le Figaro*” — francuska gazeta wydawana w Paryżu; powstała w 1826 jako tygodnik satyryczny; obecnie jeden z największych i najstarszych z dzienników francuskich. [przypis edytorski]

<sup>549</sup> Chateaubriand, François-René de (1768–1848) — francuski pisarz i polityk, inicjator romantyzmu w literaturze francuskiej. [przypis edytorski]

<sup>550</sup> wicehrabia d'A... — d'Arlincourt. [przypis edytorski]

<sup>551</sup> wicehrabia Demostenes — Louis François Sosthènes de La Rochefoucauld (1785–1864), francuski polityk, ultraroyalista; 5 grudnia 1815 ośmieszył się publicznie, kiedy po jego mowie w parlamencie hrabia d'Artois, późniejszy król Karol X, skomplementował go, iż przemawia jak Demostenes (znakomity ateński mówca, słynny z żarliwych mów w obronie demokracji przeciwko królowi Macedonii Filipowi). La Rochefoucauld odpowiedział wówczas: „Sire, nawet jeśli nie mam elokwencji Demostenesa, to przynajmniej mam jego miłość do króla”. Za panowania Karola X La Rochefoucauld został Dyrektorem Generalnym Sztuk Pięknych (1824–1830); zyskał wówczas rozgłos, wydając zarządzenie regulujące długość sukni tancerek w Operze oraz nakazując umieszczenie listków figowych na posągach w Luwrze. [przypis edytorski]

...Pewna dama powiedziała do pewnego rojalisty, który ganił metodę pana Pasquier<sup>552</sup> jako wznawiającą system Decazes'a<sup>553</sup>: „Tak, ale ma łydki na wskroś monarchiczne”.

— Po takim początku nie pytam już o dalsze, wszystko będzie doskonale — rzekł Finot. — Biegnij, zanieś im to — rzekł do chłopca. — Dziennik trochę spóźniony, ale to nasz najlepszy numer — rzekł, zwracając się do pisarzy, którzy już spoglądali na Lucjana z odcieniem niechęci.

— Ma głowę ten chłopak — rzekł Blondet.

— Artykuł bardzo tęgi — rzekł Klaudiusz Vignon.

— Do stołu! — wołał Matifat.

Księżę podał ramię Florynie, Koralia pociągnęła Lucjana, tancerka miała z jednej strony Blondeta, z drugiej niemieckiego ambasadora.

— Nie rozumiem, czemu wy napadacie na panią de Bargeton i na barona du Châtelet, którego, jak słyszę, mianowano prefektem Charenty i referendarzem stanu.

— Pani de Bargeton potraktowała Lucjana jak chłystka — rzekł Lousteau.

— Takiego pięknego młodego człowieka! — zdziwił się ambasador.

Kolacja, podana na nowym srebrze, sewrskiej porcelanie, cieniutkim i lśniącym obrusie, tchnęła solidnym przepychem. Chevet przygotował menu, wina wybrał najsłynniejszy specjalista, przyjaciel kupieckiej trójcy. Lucjan, który po raz pierwszy oglądał z bliska zbytek paryski, stapał z jednej niespodzianki w drugą, ale ukrywał swe zdumienie, jako „człowiek z głową, sercem i stylem”, na którego pasował go Blondet.

Mijając salon, Koralia szepnęła do ucha Florynie:

— Zrób to dla mnie i upij Camusota tak, aby musiał tu nocować.

— Wzięło cię? — spytała Floryna, posługując się gwarą kulis.

— Nie, moja droga, Kocham! — odparła Koralia z cudownym ściągnięciem ramion.

Słowa te zabrzmiały w uchu Lucjana całą gamą pokus. Koralia była wyśmienicie ubrana, toaleta uwydatniała umiejętnie jej uroki, każda bowiem kobieta posiada sobie właściwe doskonałości. Suknia jej, jak i suknia Floryny, zrobiona była z cudownej materii, dotąd nieznaney, nazwanej jedwabnym muślinem; ten przywilej „nowalii” należał na kilka dni do Camusota, potężnego odbiorcy fabryk lionskich, jako szefa firmy „Pod Złotym Kokonem”. Tak więc miłość i strój, owa barwiczka i zapach kobiety, podnosiły urok szczęśliwej Koralii. Rozkosz oczekiwana i która się nie wymknie, wywiera potężny czar na młodych ludzi. Być może pewność jest w ich oczach całym urokiem podejrzanych lokali, może jest ona tajemnicą długotrwałych wierności? Miłość czysta, szczerą, słowem, pierwsza miłość, połączona z jednym z owych kapryśnych zachceń, jakim podlegają te biedne istoty, a także z podziwem wywołanym niezwykłą pięknnością Lucjana, tchnęła inteligencję w serce Koralii.

— Kochałabym cię, choćbyś był brzydki i chory! — szepnęła mu do ucha, siadając do stołu.

Cóż za słowo dla poety! Camusot rozwiął się w mgłę; Lucjan nie widział go już, patrząc na Koralię. Zali<sup>554</sup> człowiek będący samym użyciem i samą wrażliwością, znudzony szarzyzną prowincji, przyciągany otchłaniami Paryża, znużony nędzą, szarpany przymusową wstrzemięźliwością, zmęczony klasztornym życiem ulicy de Cluny, pracami bez rezultatu, mógł się wyrwać z tej świetnej uczty? Lucjan tkwił jedną nogą w łóżku Koralii, a drugą w lepie dziennikarstwa, za którym tyle się nagonił, nie mogąc go osiągnąć. Po tyłu daremnych czatach przy ulicy du Sentier znajdował dziennik przy stole, pijący na umór, wesoły, dobroduszny. Kosztował zemsty za wszystkie swe cierpienia w artykule mającym nazajutrz przeszyć dwa serca, w które dawno, ale na próżno, pragnął przelać wściekłość i ból, jakimi go napojono. Patrząc na Stefana, powiadał sobie: „Oto przyjaciel!”, nie podejrzewając, że już Lousteau obawia się go jako niebezpiecznego rywala.

<sup>552</sup>Pasquier, Etienne Denis (1767–1862) — francuski polityk, umiarkowany rojalista; w l. 1819–1821 minister spraw zagranicznych. [przypis edytorski]

<sup>553</sup>Decazes, Elie de (1780–1860) — francuski polityk, umiarkowany monarchista, premier w l. 1819–1820; zmuszony do ustąpienia po zabójstwie księcia de Berry, gdyż ultraroyalści zarzucali mu, że zbyt liberalną polityką umożliwił zamach. [przypis edytorski]

<sup>554</sup>zali (daw.) — czy, czyż. [przypis edytorski]



Lucjan popełnił ten błąd, iż pokazał cały talent: artykuł mierny byłby dlań o wiele korzystniejszy. Blondet przeciwważył zawiść pożerającą Stefana, mówiąc Finotowi, że trzeba kapitulować przed talentem, skoro jest tej miary. Ten wyrok rozstrzygnął o postępowaniu Stefana, który postanowił zostać przyjacielem Lucjana i porozumieć się z Finotem, aby wyzyskać nowego przybysza, utrzymując go w niedostatku. Postanowienie to, powzięte szybko i zrozumiane przez tych dwóch ludzi w całej rozciągłości, wyraziło się w paru zdaniach na ucho:

— Ma talent.

— Będzie wymagający!

— Och!

— Dobrze!

— Ilekroć wieczoram w towarzystwie francuskich dziennikarzy, zawsze doświadczam uczucia pewnego niepokoju — rzekł dyplomata niemiecki ze spokojną i godną dobroduszością, zwracając się do Blondeta, którego spotkał już u hrabiny de Montcornet. — Jest jedno powiedzenie Blüchera<sup>555</sup>, które panom dane jest urzeczywistnić.

— Jakie? — spytał Natan.

— Kiedy Blücher przybył na wzgórze Montmartre, wraz z Saakenem<sup>556</sup>, w tysiąc osiemset czterem — darujcie mi, panowie, że przenoszę was myślą w ten dzień tak dla was fatalny — Saaken, który był brutalem, rzekł: „Zatem puścimy z dymem Paryż!” — „Niechże Bóg broni, Francja umrze tylko z tego!” — odparł Blücher, ukazując ten wielki wrzód, który rozciągał się u ich stóp, rozżarzony i dymiący, w dolinie Sekwany. Błogosławię Boga, że nie ma dzienników w moim kraju — ciągnął po pauzie ambasador. — Jeszcze nie opamiętałem się z przerażenia, o jakie mnie przyprawił ten mały człowieczek ubrany w czapkę z papieru, który w dziesiątym roku posiada rozum starego dyplomaty. Toteż dziś wieczór mam uczucie, jakbym wieczerał w towarzystwie lwów i panter, które czynią mi ten zaszczyt, że chowają swoje pazury.

— Nie ulega wątpliwości — rzekł Blondet — że moglibyśmy powiedzieć i udowodnić Europie, że Wasza Eksceleńcja zwymiotował dzisiejszego wieczoru węża, że omal go nie zaszczepił pannie Tulii, najpiękniejszej z naszych tancerek. Na ten temat moglibyśmy snuć komentarze o Ewie, Biblii, pierwszym i ostatnim grzechu. Ale proszę się uspokoić, Eksceleńcja jest naszym gościem.

— To byłby dobry kawał — rzekł Finot.

— Wydrukowalibyśmy szereg rozpraw naukowych o wszelakiego rodzaju węzach znalezionych w sercu i ciele człowieka, aby wreszcie dojść do ciała dyplomatycznego — rzekł Lousteau.

— Moglibyśmy pokazać jakiegokolwiek węża w tej oto flaszy po nalewce wiśniowej — dorzucił Vernou.

— Eksceleńcja gotów by w końcu uwierzyć — rzekł Vignon do dyplomaty.

— Panowie, nie budźcie pazurów, które śpią! — wykrzyknął książę de Rhétoré.

— Wpływ, potęga dziennika są dopiero w zaraniu — rzekł Finot — dziennikarstwo przechodzi okres dzieciństwa, rośnie. Wszystko za dziesięć lat podda się królestwu prasy. Myśl rozświeci wszystko, myśl...

— Splugawi wszystko — rzekł Blondet, wpadając w słowo.

— Koncept! — rzekł Klaudiusz Vignon.

— Będzie tworzyła królów — rzekł Lousteau.

— A burzyła monarchie — rzekł dyplomata.

— Toteż — rzekł Blondet — gdyby prasa nie istniała, lepiej byłoby jej nie wynajdować, ale istnieje, żyjemy nią.

— Umrzecie na nią — rzekł dyplomata. — Czy nie widzicie, że podniesienie mas (przyjmijmy, że je oświecacie) utrudni wielkość jednostki; że sięjąc w sercu niższych klas krytykę, będziecie zbierali bunt i będziecie jego pierwszymi ofiarami? Co rozbijają w Paryżu, kiedy przychodzi do rozruchów?

<sup>555</sup>Blücher, *Gebhard Leberecht von* (1742–1819) — feldmarszałek, dowódca armii pruskiej w czasie wojen napoleońskich, m.in. pod Lipskiem i Waterlo. [przypis edytorski]

<sup>556</sup>Osten-Saaken, *Fabian Gottlieb von* (1752–1837) — rosyjski książę, feldmarszałek; podczas kampanii sprzymierzonych w l. 1814–1815 współpracował z Blücherem; 19 marca 1814 został wyznaczony gubernatorem woj-skowym Paryża. [przypis edytorski]

— Latarnie — rzekł Natan — ale jesteśmy zbyt skromni, aby się obawiać; wybija nam tylko szyby.

— Jesteście narodem zbyt inteligentnym, aby dać się rozwinąć jakiemukolwiek rządowi — rzekł ambasador. — Inaczej rozpoczęlibyście piórem podbój Europy, której oręż wasz nie umiał utrzymać.

— Dzienniki są złem — rzekł Klaudiusz Vignon. — Można było spożytkować to zło, ale rząd chce je zwalczać. Przyjdzie do starcia. Kto ulegnie? Oto pytanie.

— Rząd! — rzekł Blondet. — Toż krzyczę to do upadłego. We Francji dowcip silniejszy jest niż wszystko, dzienniki zaś, oprócz dowcipu wszystkich inteligentnych ludzi razem, mają i hipokryzję Tartufe'a<sup>557</sup>.

— Blondet, Blondet — rzekł Finot — idziesz za daleko! Są tutaj abonenci.

— Ty jesteś właścicielem jednego z handlów trucizny, bądźże tedy w strachu, ale ja sobie kpię ze wszystkich waszych kramów, mimo że z nich żyję!

— Blondet ma słuszność — rzekł Klaudiusz Vignon. — Dziennik, miast być kapłaństwem, stał się orężem partii; z oręża stał się handlem i jak każdy handel, wyzuł się ze czci i wiary. Wszelki dziennik jest, jak powiada Blondet, kramem, gdzie sprzedaje się publiczności frazes dowolnej barwy. Gdyby istniał dziennik garbatych, udowodniałby rano i wieczór piękność, dobroć, potrzebę garbu. Dziennik ma za zadanie już nie oświecać, ale schlebiać mniemaniom. Toteż wszystkie dzienniki staną się z czasem nikczemne, obłudne, bezwstydną, kłamliwe, mordercze; będą zabijać myśli, systemy, ludzi i przez to właśnie będą kwitły. Będą miały przywilej wszystkich abstrakcji: będzie zło, nie będzie winnego. My, to jest ja, Vignon, ty, Lousteau, ty, Blondet, ty, Finot, będziemy Arystydesami, Platonami, Katonami, mężami na miarę Plutarcha<sup>558</sup>; będziemy wszyscy niewinni, będziemy mogli umyć ręce od wszelkiego bezceństwa. Napoleon wytłumaczył to zjawisko moralne czy niemoralne, jak wolicie, wspaniałym określeniem, które podyktowały mu jego studia nad Konwentem: „Zbrodnia zbiorowa nie obciąża nikogo”. Dziennik może sobie pozwolić na rzeczy najhaniebniejsze, nikt nie uważa, aby był osobiście zbrukany.

— Ale władza stworzy ustawy karne — rzekł du Bruel — już je gotuje.

— Ba — rzekł Natan — co może prawo przeciw francuskiemu dowcipowi, najlotniejszemu ze wszystkich rozkładających środków?

— Myśl można zobojeźnić tylko myślą — podjął Vignon. — Terror, despotyzm mogą jedynie zdławić francuskiego ducha, którego język nadaje się cudownie do aluzji, do dwuwykładności. Im dalej prawo pójdzie w represji, tym bardziej myśl wybuchnie, jak para w maszynie z kłapą bezpieczeństwa. I tak: król robi wszystko dobrze; jeżeli dziennik będzie przeciw niemu, wówczas wszystko składa się na ministra, i na odwrót. Jeżeli dziennik wymyśli bezwstydną potwarz, ktoś mu ją powiedział. Z jednostką, która czuje się pokrzywdzona, skwituje się, przepraszając ją z całą lojalnością. Jeśli zawłoką dziennik przed kratki sądowe, skarży się, że nie zażądano sprostowania, ale zażądajcie go, odmówi, śmiejąc się, bagatelizując swą zbrodnię. Wreszcie oplwa swą ofiarę, kiedy triumf jej stanie się jasny. Jeżeli go ukarzą, jeżeli go dotkną zbyt ciężką grzywną, postawi skarżącego pod pręgierz, jako wroga swobód, kraju i oświaty. Powie, że taki a taki pan jest złodziejem, dowodząc, że jest najuczciwszym człowiekiem pod słońcem. Zatem zbrodnie dziennika — bagatele! Jego napastnicy — potwory! Temu, kto go czyta co dzień, dziennik może w określonym czasie wmówić, co zechce. Dalej wszystko, co mu się nie podoba, będzie niepatriotyczne, on zaś nie myli się nigdy. Posłuży się religią przeciw religii, konstytucją przeciw królowi; sponiewiera władzę, jeśli władza nie pójdzie mu na rękę, pochwali ją, gdy będzie służyła namiętnościom pospólstwa. Aby zdobyć abonentów, będzie wymyślał najbardziej wzruszające baśnie albo też błaznował. Dziennik podałby własnego ojca na surowo, przyprawionego solą konceptów, raczej niżby miał nie zająć lub nie zabawić czytelników; stanie się aktorem, wkładającym popioły syna do urny, aby płakać naturalnymi łzami, kochanką poświęcającą wszystko dla ukochanego.

— Jednym słowem: to lud *in folio*<sup>559</sup> — rzekł Blondet, przerywając.

<sup>557</sup> *Tartufe* — główny bohater komedii Moliera *Świętoszek*. [przypis edytorski]

<sup>558</sup> *Plutarch z Cheronei* (ok. 50–ok. 125) — grecki filozof, historyk, moralista; autor popularnego zbioru zestawionych parami życiorysów sławnych Greków i Rzymian (*Żywoty równoległe*). [przypis edytorski]

<sup>559</sup> *in folio* (łac.) — o książce: w formacie złożonego na pół arkusza drukarskiego; ogólnie: wielkich rozmiarów. [przypis edytorski]

— Lud pełen hipokryzji i bez szlachetności — mówił dalej Vignon — wygna ze swego łona talent, jak Ateny wygnały Arystydesa<sup>560</sup>. Ujrzymy, jak dzienniki, prowadzone zrazu przez ludzi wybitnych, podpadną później pod władzę najmierniejszych, którzy będą mieli ciągłość i podatność gumelastyki<sup>561</sup>, zbywającą geniuszom, lub pod władzę kramarzy, których stać będzie na to, aby kupować sobie pióra. Widzimy już dziś takie rzeczy! Ale za dziesięć lat lada świeżo upieczony student będzie się uważał za wielkiego człowieka, wstąpi na kolumnę dziennika, aby policzkować swoich poprzedników, będzie ich włócił za nogi, aby zająć ich miejsce. Napoleon miał wielką słusność, nakładając kaganiec prasie. Założyłbym się, że gdyby dzienniki opozycyjne zdołały stworzyć rząd, atakowałyby z całą zajadłością tymi samymi artykułami i argumentami, jakimi dziś mierzą w rząd królewski, ten własny rząd, gdyby im czego odmówił. Im więcej będzie się czyniło ustępstw dziennikarzom, tym bardziej dzienniki staną się wymagające. Miejsce dziennikarzy, którzy się dorobili, zajmą dziennikarze zgłodniaли i biedni. Rana jest nieuleczalna, stanie się z każdym dniem złośliwsza, zuchwalsza; im większe będzie zło, tym bardziej będzie bezkarne, aż do dnia, w którym powstanie zamęt między dziennikarzami dla ich mnogości, jak przy wieży Babel. Wiemy wszyscy, ilu nas tu jest, że dzienniki pójdą w niewdzięczności dalej niż sami królowie; w spekulacji i rachunkach dalej niż najbrutalniejszy przemysł; że pożrą nasze inteligencje, sprzedając co rano swój tani bazar intelektualny; ale będziemy pisywać w nich wszyscy, jak ludzie, którzy pracują w kopalni rtęci, wiedząc, że w niej umrą. Tam, obok Koralii, siedzi młody człowiek... Jak się nazywa? Lucjan! Jest piękny, jest poeta i, co więcej dlań warte, człowiekiem z głową; otóż przedzie przez parę tych zamtuzów myśli zwanych dziennikami, rzuci tam najpiękniejsze myśli, wysuszy mózg, skazi duszę, popełni bezimienne podłości, które w walce hasła zastąpiły chytryść, łupiestwo, pożogi, trucicielstwo kondotierów. Kiedy wreszcie, jak tysiąc innych, roztrwoni swój piękny talent na korzyść akcjonariuszy, ci handlarze trucizny pozwolą mu umrzeć z głodu, jeśli będzie miał pragnienie, a z pragnienia, jeśli będzie cierpiał głód.

— Dziękuję — rzekł Finot.

— Ech, Boże — rzekł Klaudiusz Vignon — wiedziałem o tym, jestem w tej kaźni i przybycie nowego skazańca sprawia mi przyjemność. Blondet i ja jesteśmy więcej wari od jegomościów, którzy spekulują naszym talentem, a mimo to zawsze będziemy ich łupem. Mamy obok inteligencji serce, brak nam pazurów wyzyskiwacza. Jesteśmy leniwi, marzyciele, lubimy myśleć, dociekać; wypiją nasz mózg i potępią nas za niemoralność!

— Myślałam, że będziecie zabawniejsi — wykrzyknęła Floryna.

— Floryna ma słusność — rzekł Blondet — kurację chorób społecznych zostawmy szarlatanom zwanym mężami stanu. Jak mówi Charlet<sup>562</sup>: „Nie plujmy do zupy, którą musimy jeść!”

— Wiecie, jakie wrażenie robi na mnie Vignon? — rzekł Lousteau, wskazując Lucjana. — Jednej z owych grubych damulek z pewnych domów, co to mówią do studenta: „Mój mały, za młody jesteś, aby przychodzić tutaj...”

Koncept ten, przyjęty ogólnym śmiechem, spodobał się Koralii. Trójka kupców jadła i piła, przysłuchując się.

— Cóż za naród, w którym spotyka się tyle dobrego i złego! — rzekł ambasador do księcia. — Panowie, jesteście rozrzutnicy, którzy nie mogą się zrujnować.

Tak więc, błogosławieństwem przypadku, żadnej nauki nie brakło Lucjanowi na kraju przepaści, w którą miał się stoczyć. D'Arthez naprowadził poetę na szlachetną drogę pracy, budząc w nim hart, dla którego nie istnieją przeszkody. Lousteau z samolubnych pobudek starał się go zrazić, malując mu dziennikarstwo i literaturę w prawdziwym świetle. Lucjan nie chciał wierzyć w tyle ukrytego zepsucia; oto słyszał wreszcie dziennikarzy obnażających z krzykiem swe niedole, widział ich przy robocie, targających trzewia swej

<sup>560</sup>Arystydes (ok. 530–ok. 467 p.n.e.) — ateński polityk i wódz, nazywany Sprawiedliwym; uczestnik bitwy pod Maratonem (490); był zwolennikiem walki z Persją na lądzie i sprzeciwiał się polityce Temistoklesa, który dążył do budowy wielkiej floty obronnej. Kiedy Temistokles przeforsował swój plan, doprowadził do wygnania Arystydesa z Aten przez ostracyzm (ok. 483). Wobec inwazji perskiej Arystydes został wezwany do powrotu i wybrany na jednego z wodzów, walczył pod Salaminą (480) i Platejami (479); odegrał ważną rolę podczas tworzenia Ateńskiego Związku Morskiego. [przypis edytorski]

<sup>561</sup>gumelastyka (daw.) — kauczuk, guma. [przypis edytorski]

<sup>562</sup>Charlet, Nicolas Toussaint (1792–1845) — francuski malarz i grafik. [przypis edytorski]

żywicielki w jasnowidzeniu przyszłości. Zjrzał tego wieczoru w samą głąb rzeczy. Miał zdrzec od grozy na widok serca paryskiego zepsucia, które tak dobrze osądził Blücher, on rozkoszował się i upajał lotnym dowcipem tej szajki. Ci ludzie, tak imponujący pod damasceńską<sup>563</sup> zbroją swych nałogów i pod błyszczącym szyszakiem<sup>564</sup> zimnej analizy, wydali mu się wyżsi od poważnych i zrównoważonych druhów z Biesiady. Przy tym Lucjan smakował pierwszych rozkoszy bogactwa, był pod urokiem zbytku, przepychów stołu; wybredne jego instynkty budziły się; pił pierwszy raz szacowne wina, smakował przednie potrawy wykwiintnej kuchni; widział ambasadora, księcia, tancerkę, jak w towarzystwie dziennikarzy podziwiają ich okrutną władzę; czuł straszliwą żądzę zapanowania nad tym światem królów, czuł w sobie siłę, aby ich zwyciężyć. Wreszcie, siedziała przy nim Koralia, której dał oto kosztować triumfu za pomocą kilku frazesów, patrzył na nią w blasku jarzących świec, przez opar półmisków i mgłę pijaństwa, zdawała mu się boską, miłość czyniła ją tak piękną! Ta dziewczyna była zresztą najładniejszą, najbardziej uroczą aktorką w Paryżu. Biesiada, owo niebo szlachetnej inteligencji, musiała ulec wobec tej pełni pokus. Sąd znawców polaskotał autorską próżność Lucjana: zakosztował pochwały przyszłych rywali! Powodzenie artykułu i zdobycie Koralii to były dwa triumfy zdolne zawrócić i nie tak młodą głowę.

Podczas tej rozmowy całe zgromadzenie jadło wyśmienicie i piło potężnie. Lousteau, sąsiad Camusota, wlał mu niepostrzeżenie parę razy kirszu<sup>565</sup> do wina i podniecił jego ambicję wypicia duszkiem. Manewr przeprowadzony był tak zręcznie, że kupiec nie poznał się na nim: uważał się w swoim rodzaju za równie sprytnego, jak dziennikarze. Ostre koncepty zaczęły krążyć, kiedy podano deser i ciężkie wina. Dyplomata, człowiek wielkiego taktu, z chwilą, gdy spostrzegł, iż „kwiat inteligencji” chyli się ku rozpasaniu, jakim zwykle kończą się te orgie, dał znak księciu i tancerce i wszyscy troje znikli. Z chwilą gdy Camusot stracił przytomność, Koralia i Lucjan, którzy przez całą wieczność zachowywali się jak zakochana para piętnastolatków, zbiegli czym prędzej po schodach i wskoczyli do dorożki. Ponieważ Camusot leżał pod stołem, Matifat sądził, że znikł w towarzystwie aktorki; zostawił swoich gości, palących, pijących, śmiejących się, dysputujących, i wymknął się za Florynę, która udała się na spoczynek. Dzień zaskoczył walczących lub raczej Blondeta, nieustraszonego pogromcę flaszek, jedyne, który mógł mówić i który zagrzewał śpiących do wypicia toastu na cześć różanopalcej Aurory<sup>566</sup>.

Lucjan nie był zahartowany w orgiach paryskich; był jeszcze przytomny na schodach, ale powietrze dopełniło miary jego pijaństwa, które objawiło się ohydnie. Koralia i jej pokojówka musiały wnieść poetę na pierwsze piętro ładnego domu przy ulicy du Vendôme, gdzie mieszkała aktorka. Na schodach Lucjan omal nie zemdlął i pochorował się gruntownie.

— Prędko, Berenice — wykrzyknęła Koralia — herbaty! Zrób herbaty!

— To nic, to powietrze — mówił Lucjan — i... ja nigdy tyle nie piłem.

— Biedne dziecko! Niewinne to jak jagniątko — rzekła Berenice, tęga Normandka, której brzydota dorównywała piękności Koralii.

Wreszcie bez jego wiedzy położono Lucjana do łóżka Koralii. Z pomocą Berenice aktorka rozebrała z macierzyńską troskliwością poetę, który powtarzał:

— To nic, to powietrze. Dziękuję, mamusiu.

— Jak on ślicznie mówi: mamusiu! — wykrzyknęła Koralia, całując go we włosy.

— Co to za rozkosz kochać takiego aniołka, proszę pani! Gdzie go pani wyłowiła? Nie myślałam, aby mógł istnieć chłopiec tak ładny jak pani sama — rzekła Berenice.

Lucjan chciał spać, nie wiedział, gdzie jest, nie widział nic; Koralia dała mu przełknąć parę filiżanek herbaty, następnie zostawiła go śpiącego.

— Odźwierna ani nikt nie widział nas? — spytała Koralia.

— Nie, czekałam na panią.

<sup>563</sup>damasceński — wykonany z bardzo cenionej, twardej stali produkowanej w okolicach Damaszku w Syrii; powierzchnię stali damasceńskiej pokrywały powstałe w procesie produkcji charakterystyczne wstęgowe wzory. [przypis edytorski]

<sup>564</sup>szyszak — rodzaj stożkowatego hełmu bez przyłbicy. [przypis edytorski]

<sup>565</sup>kirsz (z niem. *Kirschwasser*) — bezbarwny, wysokoprocentowy alkohol destylowany z czereśni lub wiśni. [przypis edytorski]

<sup>566</sup>Aurora (mit. rzym.) — bogini zorzy porannej, Jutrzenka, odpowiednik Eos w mit. gr., określanej przez Homera jako „różanopalca”. [przypis edytorski]

— Wiktoria nic nie wie?

— Ani dudu! — odparła Berenice.

W dziesięć godzin później, koło południa, Lucjan obudził się pod wzrokiem Koralii, która patrzyła nań, jak śpi! Poeta zrozumiał ją. Aktorka była jeszcze w strojnej wieczorowej sukni, zupełnie poplamionej, z której miała uczynić relikwię. Lucjan uznał poświęcenie, delikatność prawdziwej miłości, która wymagała nagrody: spojrzął na Koralię. W jednej chwili Koralia, rozebrana, wśliznęła się jak wąż do łóżka. O piątej z wieczora poeta spał kołyszany boskimi rozkoszami, ujrzał przez chwilę pokój aktorki, rozkoszny twór zbytku, cały biały i różowy, świat cudów i zalotnego wykwinu, przewyższający jeszcze to, co Lucjan widział u Floryny. Koralia już wstała; o siódmej musiała być w teatrze. Przypatrzyła się jeszcze swemu poecie uspijonemu rozkoszą, upiła się, nie mogąc się napaść tą szlachetną miłością, która kojarzyła zmysły z sercem i serce ze zmysłami, aby je wraz doprowadzić do szczytu upojeń. To ubóstwienie, które pozwala kochankom być dwojgiem tu na ziemi, a w niebie miłości tworzyć jednię, było jej rozgrzeszeniem. Której zresztą kobiecie nadziemska piękność Lucjana nie byłaby starczyła za wymówkę? Klęcząc przy łóżku, szczęśliwa miłością wolną od wszelkiej domieszki, aktorka czuła się jakby uswięcona. Rozkosze te zmaściło wejście Berenice.

— Camusot! — krzyknęła. — Wie, że pani jest.

Lucjan zerwał się, myśląc, z wrodzoną szlachetnością, o tym, aby nie szkodzić Koralii. Berenice odsunęła portierę. Wpadł do rozkosznej gotowalni<sup>567</sup>, gdzie Berenice i jej pani przeniosły z niesłychaną chyżością ubranie Lucjana. Kiedy kupiec wszedł do pokoju, buty poety uderzyły oko Koralii: Berenice ustawiła je przed ogniem dla wygrzania, oczyściwszy je potajemnie. Obie zapomniały o tych butach, będących niby aktem oskarżenia. Berenice wyszła, zamieniwszy z panią niespokojne spojrzenie. Koralia zanurzyła się w kozetce i wskazała Camusotowi fotel. Zaczny człowiek, który ubóstwiał Koralię, patrzył na buty i nie śmiał podnieść oczu na kochankę.

„Czy mam się obrazić o tę parę butów i rozstać z Koralią? To by była, w istocie, przesadna wrażliwość. Buty są wszędzie. Te byłyby bardziej na miejscu na wystawie u szewca albo na bulwarach, zażywając przechadzki na nogach mężczyzny. Natomiast tu, bez nóg, powiadają wiele rzeczy sprzecznych z paragrafem wierności. Ha, trudno, mam pięćdziesiąt lat: powinienem być ślepy jak amor”.

Ten kompromisowy monolog daremnie szukałby usprawiedliwienia. Owa para butów to nie były rozpowszechnione dziś trzewiki, których do pewnego stopnia człowiek roztargniony mógłby nie zauważyć; była to, jak przepisywała ówczesna moda, para wysokich butów, bardzo wykwinnych, z pomponikami, które lśniły się na obcisłych pantalonach<sup>568</sup>, prawie zawsze jasnego koloru, i w których przedmioty odbijały się jak w zwierciadle. Tak więc buty kłuły w oczy pocziwego kupca i, powiedzmy też, kłuły go zarazem w serce.

— Co panu? — spytała Koralia.

— Nic — odparł.

— Zadzwoń — rzekła Koralia, uśmiechając się z tchórzostwa Camusota. — Berenice — rzekła do Normandki, skoro ta się zjawiała — pamiętaj o haczykach, abym mogła wreszcie włożyć te przekłete buty. Nie zapomnij przynieść mi ich wieczorem do garderoby.

— Jak to!... Twoje buty?... — rzekł Camusot, oddychając swobodnie.

— A cóż pan sądzi? — spytała wyniośle. — Och, ty grubasie głupi, ty może myślałeś?... Ach, on byłby zdolny przypuszczać!... — rzekła do Berenice. — Mam męską rolę w sztuce Ikxa, a nigdy nie przebierałam się za mężczyznę. Szewc teatralny przysłał mi te buty, abym się przyzwyczajała chodzić, nim dostarczy mi bucików wykonanych na miarę; włożyłam je, ale tak mi dolegały, żeśm zdjęła, a i tak trzeba będzie włożyć znowu.

— Nie kładź, skoro cię cisną — rzekł Camusot, którego buty te cisnęły również, ale w serce.

— Pewnie — rzekła Berenice — że lepiej by pani zrobiła, zamiast się dręczyć jak przed chwilą; aż pani płakała, proszę pana! O, gdybym ja była mężczyzną, nigdy bym nie

<sup>567</sup>gotowalnia (daw.) — pomieszczenie do ubierania się. [przypis edytorski]

<sup>568</sup>pantalony (z fr., daw.) — dziś: spodnie. [przypis edytorski]

pozwoliła płakać kobiecie, którą bym kochała! Lepiej by pani zrobiła, zamawiając buciki z cieniutkiego safianu. Ale dyrekcja tak skąpi na wszystkim! Doprawdy, powinien by pan zamówić dla pani...

— Tak, tak — rzekł kupiec. — Dopieroś wstała? — spytał Koralii.

— W tej chwili, wróciłam dopiero o szóstej, naszukawszy się ciebie wszędzie: przez ciebie trzymałam dorożkę siedem godzin. Oto pańska troskliwość! Zapomnieć o mnie dla butelki! Muszę się szanować, skoro teraz mam grywać co wieczór, dopóki *Alkad* będzie robił kasę. Nie chcę zadać kłamu recenzji tego młodego człowieka.

— Piękny chłopiec — rzekł Camusot.

— Uważasz? Nie lubię tego typu mężczyzn, zanadto podobni do kobiety, przy tym taki laluś nie umie kochać jak wy, stare pierniki sklepowe. Tacy jesteście namolni!

— Czy pan będzie jadł obiad z panią? — spytała Berenice.

— Nie, niewyraźnie się dziś czuję.

— Byłeś ładnie wstawiony wczoraj. Tak, staruszk: przede wszystkim nie lubię mężczyzn, którzy piją...

— Musisz coś ofiarować temu młodemu człowiekowi — rzekł kupiec.

— Och, tak, wolę ich płacić w ten sposób, niż robić to, co Floryna. No, dalej, stare ladaco kochane, idź sobie albo kup mi powóz, abym nie potrzebowała tracić czasu.

— Jutro pojedziesz własnym powozem na obiad, który daje twój dyrektor w Rocher de Cancale. Nowa sztuka nie idzie w niedzielę.

— Chodź, muszę coś zjeść — rzekła Koralia, pociągając Camusota.

W godzinę później Lucjan otrzymał wolność z ręki Berenice, towarzyski dziecińczy lat Koralii, istoty równie sprytniej, równie lotnej dowcipem, jak korpulentnej ciałem.

— Niech pan zostanie. Koralia wróci sama, chce nawet odprawić Camusota, jeżeli pana mierzi — rzekła Berenice do Lucjana — ale, drogie dziecię jej serca, nadto jesteś aniołem, aby chcieć jej ruiny. Powiedziała mi sama, gotowa jest rzucić wszystko, opuścić ten raik, aby żyć z tobą na poddaszu. Och! Małoż to zazdrośnicy, zawistni nakładli jej do głowy, że pan nie masz złamanego szeląga, że mieszkasz w Dzielnicy Łacińskiej! Poszłabym za wami, widzisz, prowadziłabym wam gospodarstwo. Ale pocieszyłam to biedne dziecko. Nieprawdaż, mój złoty panie, że pan ma za dużo rozumu, aby się pchać w podobne głupstwa? Och, zobaczy pan, że tamten gruby ma tylko trupa, a pan jesteś ukochany, najmiłszy, bóstwo, któremu się oddaje duszę. Gdybyś wiedział, jak Koralia jest uroczą, kiedy przerabia ze mną rolę! Rozkoszne dziecko, delikcje! Warta była, aby Bóg jej zesłał takiego anioła, brzydziło ją już życie. Była taka nieszczęśliwa przy matce, która ją biła, sprzedała ją! Tak, panie, matka, własną córkę! Gdybym miała córkę, obsługiwałabym ją jak moją małą Koralie, z której zrobiłam niby swoje dziecko. To pierwszy raz, że się jej coś wiedzie, pierwszy raz miała porządne oklaski. Zdaje się, że z okazji tego, co pan napisał, przygotowano tęgą kłakę na drugie przedstawienie. Kiedy pan spał, Braulard przyszedł tu uradzać z Koralią.

— Co za Braulard? — spytał Lucjan, któremu się zdawało, że słyszał już to nazwisko.

— Szef klaki; przyszedł porozumieć się o ustępy, które trzeba wybić. Mimo że niby przyjaciółka, Floryna mogłaby łatwo spłacać jej psikusa i zgarnąć wszystko dla siebie. Całe bulwary się trzęsą po pańskim artykule. Cóż za łóżko godne książęcych amatorów!... — rzekła, kładąc na łóżku kołderkę na nogi, całą z koronek.

Zapaliła świece. Przy świetle Lucjan, oszołomiony, w istocie miał wrażenie, iż znalazł się w zaczarowanym pałacu. Najbogatsze tkaniny „Złotego Kokona”, wybrane przez Camusota, dostarczyły materii na obicia i draperie okienne. Poeta stąpał po królewskim dywanie. Palisander mebli odbijał powierzchnią swych rzeźb igrające po nim błyski światła. Biały marmurowy kominek lśnił kosztownymi drobiazgami. Dywanik przed łóżkiem był z puchu łabędzia, lamowany sobolami. Czarne aksamitne pantofle, wysłane purpurowym jedwabiem, mówiły o rozkoszach, jakie czekały poetę *Stokroci*. Rozkoszna lampa zwisała z jedwabnego stropu. W cudownych żardinierach jaśniały wyborowe kwiaty, wdzięczne paprocie, bezwonne kamelie. Wszędzie same obrazy niewinności. Jak sobie wyobrazić w tej ramie aktorkę i teatr? Berenice zauważyła oszołomienie Lucjana.

— Ładnie? — rzekła spieszonym głosem. — Nie lepiej wam będzie kochać się tu niż na poddaszu? Wstrzymaj ją pan od tego szaleństwa — ciągnęła, przysuwając przed

Bogactwo

Lucjana bogaty stoliczek zastawiony potrawami odkradzionymi z obiadu pani, by kucharka nie mogła podejrzewać obecności kochanka.

Lucjan spożył z apetytem obiad podany przez Berenice na rzeźbionym srebrze, na malowanych talerzach po ludwiku sztuka. Zbytek ten działał na jego duszę tak, jak dziewczyna z ulicy, z nagą, połyskującą piersią i dobrze obciągniętymi białymi pończochami, działa na wypuszczonego z liceum uczniaka.

— Szczęśliwy ten Camusot! — wykrzyknął.

— Szczęśliwy? — podjęła Berenice. — Och! Oddałby pewnie swój majątek, żeby być na pańskim miejscu i zamienić swą łysinę na te blond kędziory.

Zachęciła Lucjana, któremu podała najrozkoszniejsze wino, jakie Bordeaux wypiełgnowało dla bogatego Anglika, aby wrócił do łóżka, czekając na Koralię, i przespał się tymczasem nieco. W istocie łóżko to, które tak podziwiał, kusilo Lucjana. Berenice wyczytała to pragnienie w oczach poety, uczuła się szczęśliwa za swą panią. O wpół do jedenastej Lucjan obudził się pod przepojonym miłością spojrzeniem. Koralia stała nad nim w najrozkoszniejszym negliżu. Poeta przespał się, pijany był już tylko pragnieniem. Berenice wysunęła się, pytając:

— O której jutro?

— O jedenastej; przyniesiesz nam śniadanie do łóżka. Nie ma mnie dla nikogo przed drugą.

O godzinie drugiej nazajutrz aktorka i jej kochanek byli już ubrani; siedzieli naprzeciw siebie, jak gdyby poeta przyszedł złożyć wizytę swej protegowanej. Koralia ukąpała, uczesała, skropiła, ubrała Lucjana; posłała dlań do Colliau po tuzin pięknych koszul, tuzin halsztuków, tuzin chustek, tuzin par rękawiczek w cedrowej skrzynce. Słyszac turkot powozu, rzuciła się z Lucjanem do okna. Oboje ujrzeli Camusota wysiadającego ze wspaniałego pojazdu.

— Nie myślałam — rzekła — aby można było tak znienawidzić jakiegoś człowieka i jego zbytku...

— Jestem zbyt biedny, aby pozwolić, byś się rujnowała przeze mnie — rzekł Lucjan, przechodząc w ten sposób pod kaudyńskie jarzmo<sup>569</sup>.

— Katusiu najśodszy — rzekła, przyciskając Lucjana do serca — kochasz mnie tedy? — Zaprosiłam pana — rzekła do Camusota, wskazując Lucjana — aby mnie odwiedził dziś rano, myśląc, że przejedziemy się po Polach Elizejskich dla spróbowania powozu.

— Jedźcie sami — rzekł smutnie Camusot — nie będę z tobą na obiedzie; to imieniny żony, zapomniałem.

— Biedny Musot, toż się wynudzisz! — rzekła, skacząc na szyję kupcowi.

Była pijana ze szczęścia, że sama pierwszy raz wsiądzie z Lucjanem do tego pięknego pojazdu, że sama z nim pojedzie do Lasku; w przystępie radości robiła wrażenie, że kocha Camusota, którego obsypała tysiącem czułości.

— Chciałbym móc ci dawać codziennie powozy! — rzekł biedny człowiek.

— Dalej, panie, już druga — rzekła aktorka do Lucjana, a równocześnie, widząc jego zawstyżenie, pocieszyła go cudownym gestem.

Koralia zbiegła po schodach, pociągając Lucjana, który słyszał z dala sapanie przemyślowca; włókl się za nimi jak foka, nie mogąc ich doścignąć. Poeta doświadczył najbardziej upajającej rozkoszy: Koralia, którą szczęście robiło uroczą, ściągała zachwycone oczy strojem pełnym smaku i elegancji. Paryż Pól Elizejskich podziwiał tę parę. W alei Lasku Bulońskiego powóz ich spotkał pojazd pań d'Espard i de Bargeton, które zmierzyły Lucjana z wyrazem zdziwienia, a którym on rzucił wzdardliwe spojrzenie poety przeczuwającego swą sławę i żadnego sycić się swą potęgą. Chwila, w której tym rzutem oka mógł wypluć na te dwie kobiety uczucie zemsty, jakie wyrosło w jego sercu, była jedną z najśodszych w życiu i rozstrzygnęła może o jego losie. Lucjan stał się na nowo pastwą furii pychy; zapragnął wypłynąć w świecie, znaleźć wspaniały odwet; wszystkie małości społeczne, zdeptane niegdyś nogami pracowitego druha Biesiady, wyłoniły się w jego duszy. Zrozumiał całą doniosłość ataku podjętego dlań przez Stefana; Lousteau

<sup>569</sup> *kaudyńskie jarzmo* — znak zniewolenia i upokorzenia; podczas drugiej wojny samnickiej wojsko rzymskie, otoczone w Wąwozie Kaudyńskim (321 p.n.e.), musiało się poddać; żołnierze zostali rozbrojeni i jako pokonani zmuszeni do przejścia kolejno „pod jarzmem”, jakie nakładano wołom do orki; w tym przypadku wykonano je z włóczni. [przypis edytorski]

szedł na rękę jego namiętnościom, gdy Biesiada, ów zbiorowy mentor, czyniła wrażenie, że pragnie je unicestwić na korzyść nudnych cnót i prac, które Lucjan zaczynał uważać za bezużyteczne. Pracować! Czyż to nie jest śmierć dla dusz chciwych użycia? Toteż z jaką łatwością pisarze osuwają się w *far niente*<sup>570</sup>, słodczy łatwego i wykwiutnego życia aktorek i kurtyzan! Z jaką łatwością zapamiętują się w rozkoszach kulinarnych! Lucjan czuł nieprzepartą ochotę snuć dalej godziny tych dwóch szalonych dni.

Obiad w Rocher de Cancale był rozkoszny. Lucjan zastał wszystkich gości Floryny, prócz ambasadora, księcia i tancerki oraz prócz Camusota. W miejsce nieobecnego kupca przybyło dwóch sławnych aktorów oraz Hektor Merlin w towarzystwie uroczej kochanki, znanej pod mianem pani du Val-Noble, najpiękniejszej i najwytworniejszej z owych kobiet, które tworzyły wówczas w Paryżu wyjątkowe społeczeństwo istot skromnie dziś nazwanych loretkami<sup>571</sup>. Lucjan, który od czterdziestu ośmiu godzin żył w raj, dowiedział się o powodzeniu swego artykułu. Widząc, iż go fetują, podziwiają, poeta nabrał pewności siebie; spał iskrami, stał się owym Lucjanem de Rubempré, który przez kilka miesięcy błyszczał w literaturze i w świecie artystów. Finot, ten człowiek niezaprzeczonej zęczności w odgadywaniu talentów, który wietrzył je jak Sinobrody<sup>572</sup> zapach świeżego ciała, chodził koło Lucjana, starając się go wciągnąć w huf dziennikarzy, którymi dowodził. Lucjan wziął się na lep pochlebstw. Koralia zauważyła manewry tego pożeracza mózgow i chciała przestrzec Lucjana, aby się miał na baczności.

— Nie zobowiązuje się, kochanie — szepnęła swemu pocie — zaczekaj; chcę cię wyzyskać, pomówimy o tym wieczorem.

— Ba — rzekł Lucjan — czuję się na siłach, aby być równie twardy i przebiegły jak oni.

Finot, któremu ani w głowie było poróżnić się z Hektorem Merlinem o jego psikus, zapoznał dziennikarza z Lucjanem. Koralia i pani du Val-Noble poczęły się kumać z sobą, obsypywały się czułościami i uprzejmościami. Pani du Val-Noble zaprosiła Lucjana i Koralię na obiad. Hektor Merlin, najniebezpieczniejszy ze wszystkich dziennikarzy obecnych na tym obiedzie, był to mały człowieczek, suchy, o zaciśniętych wargach, dławiący w sobie niepomiarłą ambicję, zazdrość bez granic, delektujący się wszystkim złem, jakie działo się dookoła niego, korzystając ze swarów, które podsycił, mający wiele inteligencji, mało woli, ale zastępujący wolę instynktem, który wiedzie arywistów<sup>573</sup> w sfery oświetlone złotem i potęgą. Obaj z Lucjanem uczuli do siebie wzajemną antypatię; nie trudno wytłumaczyć, czemu. Merlin miał to nieszczęście, iż mówił do Lucjana głośno to, co Lucjan myślał po cichu. Przy deserze zdawało się, iż węzły najserdeczniejszej przyjaźni łączą tych ludzi, z których każdy uważał się za wyższego od drugich. Lucjan jako nowo przybyły był przedmiotem ich zalotów. Rozmawiano z całym wylaniem<sup>574</sup>. Hektor Merlin jedyny nie brał udziału w ogólnym weselu. Lucjan spytał go o powód tej wstrzeźliwości.

— Hm, patrz na pana, jak wchodzisz w świat literatury i dziennika, pełen złudzeń. Wierzysz w przyjaciół. My wszyscy jesteśmy przyjaciółmi lub wrogami, wedle okoliczności. Pierwsi godzimy w siebie bronią, która powinna by nam służyć tylko dla gnębienia obcych. Przekonasz się niedługo, że nie zdobędziesz nic pięknymi uczuciami. Jeśli z natury jesteś dobry, stań się zły. Bądź drapieżny z wyrachowania. Jeżeli nikt ci nie zdradził tej naczelnej maksy, ja ci ją zdradzę; a nie jest to byle co. Aby być kochanym, nie rozstawaj się nigdy z kochanką, nie wycisnąwszy jej trochę łez z oczu; aby dojść do czegoś piórem, rań cały świat, nawet przyjaciół, wyciskaj łzy miłości własnej, cały świat będzie ci się lasił.

Hektor Merlin był rad, widząc z miny Lucjana, że słowa jego wchodzą w neofitę jak ostrze sztyletu. Zaczęto grać. Lucjan przegrał wszystko, co miał. Wyszedł, uprowadzony przez Koralię, słodczy miłości dały mu zapomnieć o straszliwych wzruszeniach gry, która

<sup>570</sup>*far niente* (wł.) — próżnowanie, beczynność. [przypis edytorski]

<sup>571</sup>*loretka* (daw.) — kobieta z półświatka paryskiego; od nazwy zamieszkiwanej przez wiele z nich dzielnicy Matki Boskiej Loretańskiej, zbudowanej wokół kościoła o tej samej nazwie. [przypis edytorski]

<sup>572</sup>*Sinobrody* — postać z baśni Charles'a Perraulta, stary, zamożny szlachcic, zabijający w tajemniczy sposób swoje kolejne żony. [przypis edytorski]

<sup>573</sup>*arywista* (z fr.) — człowiek bez skrupułów dążący do zdobycia pozycji, pieniędzy lub władzy; karierowicz. [przypis edytorski]

<sup>574</sup>*z wylaniem* (daw.) — wylewnie; serdecznie, dając wyraz uczuciom. [przypis edytorski]



później miała w nim znaleźć jedną ze swych ofiar. Nazajutrz, wychodząc od kochanki i wracając do Dzielnicy Łacińskiej, znalazł w sakiewce całą przegraną sumę. Ta pamięć dziewczyny osmuciła go zrazu; chciał biec do aktorki i zwrócić dar, który go upokarzał; ale był już na ulicy La Harpe, powlókł się dalej ku hotelowi. Idąc, wracał wciąż myślą do postętku Koralii, ujrzał w nim dowód macierzyństwa, jakim u tych kobiet barwi się miłość. U nich namiętność obejmuje wszystkie uczucia. Tak brnąc w myślach, Lucjan znalazł wreszcie furtkę, mówiąc sobie: „Kocham ją, będziemy żyli z sobą, nie opuszczę jej nigdy”.

Któż, o ile nie jest Diogenesem, nie zrozumiałby wrażeń Lucjana, kiedy wstępował po zabloconych i cuchnących schodach, kiedy usłyszał zgrzyt klucza w zamku, kiedy ujrzał brudną podłogę i nędzny kominek w pokoju, ohydny swą nagością i nędzą. Znalazł na stole rękopis swego romansu i parę słów od Daniela:

Nasze grono jest prawie że zadowolone z Twego dzieła, drogi poeto. Możesz je przedstawić, ich zdaniem, z większą niż wprzód ufnością, przyjaćiom i wrogom. Czytaliśmy świetną recenzję z Panorama-Dramatique, musisz budzić tyle zazdrości w świecie literackim, ile żalu wśród nas.

*Daniel*

— Żalu? Co on chce powiedzieć? — rzekł Lucjan, zdziwiony tonem wyszukanej grzeczności, jaki panował w liście.

Byłże już obcym w Biesiadzie? Pochłonawszy rozkoszne owoce, jakie mu podała Ewa z rajy kulis, tym więcej przykładał wagi do szacunku i przyjaźni druhów z ulicy des Quatre-Vents. Jakiś czas trwał w zadumie, ogarniając myślą swą terażniejszość w tej izdebce i przyszłość w pokoju Koralii. Rzucony na pastwę wahań, zaszczytnych i hańbiących na przemian, usiadł i zaczął badać własne dzieło, zwrócone mu przez przyjaciół. Jakież było jego zdumienie! Rozdział po rozdziale, biegle i oddane pióro tych wielkich, mimo iż nieznanymi jeszcze ludzi zmienilo jego nędzę w bogactwa. Dialog pełny, zwarty, zwięzły, drgający życiem zastąpił jego gawędy; uczuł, do jakiego stopnia były one czczym gadulstwem w porównaniu do tych rozmów, tchnących duchem epoki. Jego portrety, nieco miękkie, nabrały wyrazu i koloru; wiązały się z ciekawymi zjawiskami ludzkiego życia za pomocą obserwacji fizjologicznych, będących zapewne dziełem Bianchona, ujętych subtelnie i głęboko. Opisy, wprzód gadatliwe, stały się pełne treści i życia. Oddał druhom dziecię niewydarzone, licho odziane, a odnajdował rozkoszną dziewczynę w białej sukni, z różową szarfą dokoła kibici i na szyi, czarującą istotę. Noc zastała Lucjana z oczyma mokrymi od łez; szlachetność ta przygniatała go; czuł wartość podobnej lekcji, podziwiał te poprawki, które szerzej mu otwierały oczy na literaturę i sztukę niż cztery lata lektury, porównań i studiów. Poprawienie źle naszkicowanego kartonu, dotknięcie mistrza na żywym dziele zawsze mówią więcej niż teorie i obserwacje.

— Co za przyjaciele! Co za serca! Jakież jestem szczęśliwy! — wykrzyknął, ściskając rękopis.

Pociągnięty uniesieniem właściwym poetycznym i wrażliwym naturom, pobiegł do Daniela. Wstępując na schody, czuł się jednakże mniej godny tych serc, których nic nie zdołało sprowadzić ze ścieżki honoru. Jakiś głos mówił mu, że gdyby Daniel pokochał Koralię, nie zgodziłby się na Camusota. Znał też głęboką odrazę Biesiady do dziennikarzy, a sam się już po trosze do nich liczył. Zastał przyjaciół, z wyjątkiem Meyraux, który wyszedł właśnie, w rozpaczony malującej się na wszystkich twarzach.

— Co wam jest, drodzy? — rzekł Lucjan.

— Dowiedzieliśmy się przed chwilą o strasznej katastrofie; największy umysł epoki, najukochańszy przyjaciel, ten, który przez dwa lata był naszym światłem...

— Ludwik Lambert — rzekł Lucjan.

— Znajduje się w stanie katalepsji<sup>575</sup>, która nie zostawia żadnej nadziei — rzekł Bianchon.

<sup>575</sup>*katalepsja* — odrętwienie, zeszytwnienie mięśni powodujące zastygnięcie ciała, często w nienaturalnej pozycji; występuje przy niektórych zaburzeniach psychicznych, chorobach mózgu oraz zatruciach. [przypis edytorski]

— Umrze z ciałem bez czucia, a głową w niebie — dodał uroczyście Michał Chrestien.  
 — Umrze, jak żył — rzekł d'Arthez.  
 — Miłość, wkradłszy się jak ogień w przestworza jego mózgu, zażęgła w nim pożar — rzekł Leon Giraud.  
 — Tak — rzekł Józef Bridau — wzbila go aż do stref, w których tracimy go z oczu.  
 — My to jesteśmy godni pożałowania — rzekł Fulgencjusz Ridal.  
 — Wyleczy się może! — wykrzyknął Lucjan.  
 — Sądząc z tego, co mówi Meyraux, nie ma nadziei. Głowa jego jest teatrem zjawisk, nad którymi medycyna nie ma władzy.  
 — Istnieją wszak środki... — rzekł d'Arthez.  
 — Tak — rzekł Bianchon — jest tylko kataleptykiem, my możemy go zrobić idiotą.  
 — Nie móc ofiarować geniuszowi Zła głowy w zamian za tę głowę! Oddałbym moją własną! — krzyknął Michał.  
 — A co by się stało z federacją europejską? — rzekł d'Arthez.  
 — Och, prawda — rzekł Michał Chrestien — nim się należy do jednego człowieka, należy się do ludzkości.  
 — Szedłem tu z sercem pełnym podzięków dla was wszystkich — rzekł Lucjan. — Zamieniliście mój liczman<sup>576</sup> w ważkie złoto.  
 — Podziękuj! Za kogo nas bierzesz? — rzekł Bianchon.  
 — Przyjemność była po naszej stronie — dodał Fulgencjusz.  
 — Zatem jesteś dziennikarzem? — rzekł Leon Giraud. — Rozgłos twego pierwszego występu doszedł aż do Dzielnicy Łacińskiej.  
 — Jeszcze nie — odparł Lucjan.  
 — Chwała Bogu! — rzekł Michał Chrestien.  
 — Mówiłem wam przecie — dodał d'Arthez. — Lucjan jest z tych serc, które znają wartość czystego sumienia. Czyż to nie jest pokrzepiający wiatyk<sup>577</sup>: kłaść co wieczora głowę na poduszce, mogąc sobie rzec: „Nie sądziłem niczyich dzieł; nie sprawiłem nikomu zgrzyoty; dowcip mój nie wdierał się jak sztylet w duszę żadnego prostaczka; żart mój nie zmącił niczyjego szczęścia, nie zakłócił nawet szczęśliwej głupoty, nie nękał niesprawiedliwie geniuszu; gardziłem łatwym triumfem złośliwości; zwłaszcza nie skłamałem nigdy swoim przekonaniem”.  
 — Ale — rzekł Lucjan — można chyba zachować to wszystko, nawet pracując w dzienniku. Gdybym ostatecznie miał tylko ten sposób do życia, musiałbym się go chwycić.  
 — Och! Och! Och! — rzekł Fulgencjusz, podnosząc ton przy każdym wykrzykniku. — Kapitulujemy!  
 — Będzie dziennikarzem — rzekł poważnie Leon Giraud. — Ach! Lucjanie, gdybyś chciał być z nami, w chwili gdy mamy stworzyć dziennik, w którym nigdy prawda ani sprawiedliwość nie będą obrażone, gdzie będziemy rozszerzać nauki pożyteczne dla ludzkości, może...  
 — Nie będziecie mieli ani jednego abonenta — odparł makiawelicznie Lucjan, przerywając Leonowi.  
 — Będą mieli pięciuset, wartych pięciuset tysięcy — odparł Michał Chrestien.  
 — Trzeba wam będzie kapitałów — podjął Lucjan.  
 — Nie — rzekł d'Arthez — ale poświęcenia.  
 — Przysięgłby ktoś, że to sklep z pachnidłami — wykrzyknął Michał Chrestien, wachając komicznym ruchem głowę Lucjana. — Widziano cię w powozie wybitym jedwabiami, zaprzężonym w rumaki godne dandysa, z kochanką iście księżęcą, Koralią.  
 — Więc cóż — rzekł Lucjan — czy w tym co złego?  
 — Mówisz tak, jakbyś się poczuwał! — krzyknął Bianchon.  
 — Pragnąłbym dla Lucjana — rzekł d'Arthez — Beatrycze, szlachetnej kobiety, która by go podtrzymała w życiu...  
 — Ależ Danielu, czy miłość nie jest wszędzie jednaka? — rzekł poeta.

Cnota, Sumienie

<sup>576</sup>liczman — żeton zastępujący monetę, przen. coś bezwartościowego. [przypis edytorski]

<sup>577</sup>wiatyk — w chrześcijaństwie (zwł. w katolicyzmie) komunია święta podawana choremu na łożu śmierci. [przypis edytorski]

— Och — rzekł republikanin — w tym jestem arystokratą. Nie mógłbym nigdy kochać kobiety, którą aktor całuje na oczach publiczności, kobiety, którą „tykają” za kulisami, która płaszczy się wobec parteru i mizdrzy się do niego, która tańczy, podkasując spódniczki, i przebiera się po męsku, aby pokazać to, co ja pragnę sam jeden mieć prawo oglądać. Albo gdybym kochał podobną kobietę, opuściłaby teatr, a ja oczyściłbym ją moją miłością.

— A gdyby nie mogła opuścić teatru?

— Umarłbym ze zgrozy, z zazdrości, z tysiąca mąk. Nie można wydrzeć miłości z serca, tak jak się wyrywa ząb.

Lucjan sposepniał, zamyślił się.

„Kiedy się dowiedzą, że się godzę na Camusota, będą mną gardzić” — pomyślał.

— Ot, co tu gadać — rzekł nieubłagany republikanin z okrutną dobroduszością — możesz być wielkim pisarzem, ale zawsze będziesz pajacem.

Wziął kapelusz i wyszedł.

— Twardy jest Michał Chrestien — rzekł poeta.

— Twardy i zbawienny jak obcegi dentysty — rzekł Bianchon. — Michał widzi twą przyszłość, w tej chwili może płacze nad tobą na ulicy.

D'Arthez był łagodny i kojący, starał się pokrzepić Lucjana. Po upływie godziny poeta opuścił Biesiadę, nękany sumieniem, które krzyczało: „Będziesz dziennikarzem!”, jak czarownica krzyczy Makbetowi<sup>578</sup>: „Będziesz królem!”. Na ulicy spojrzął w okna cierpliwego d'Artheza, oświecone słabym światłem, i wrócił do siebie z sercem zasmuconym, duszą niespokojną. Jakieś przeczucie mówiło mu, że ostatni raz przycisnęli go do serca jego prawdziwi przyjaciele. Wchodząc w ulicę Cluny przez plac Sorbony, poznał zaprzęg Koralii. Aby ujrzeć na chwilę swego poetę, aby mu powiedzieć proste dobranoc, aktorka przebyła przestrzeń od bulwaru du Temple do Sorbony. Lucjan ujrział swą kochankę we łzach na widok jego poddasza; chciała być biedną jak jej kochanek, płakała, układając koszule, rękawiczki, krawaty i chustki do nosa w ohydnej hotelowej komodzie. Rozpacz jej była tak wielka, tak prawdziwa, wyrażała tyle miłości, że Lucjan, któremu tak wymawiano tę miłość aktorki, ujrział w Koralii świętą, gotową przywdziać włosienicę nędzy. Aby przybyć tu, czarująca istota chwyciła się pozorów: uprzedziła swego kochanka, iż spółka Camusot, Koralia i Lucjan ma odwzajemnić spółce Matifat, Floryna i Lousteau ich wieczrę, oraz spytała Lucjana, czy nie zależy mu specjalnie na jakimś zaproszeniu. Lucjan odpowiedział, iż pomówi ze Stefanem. Zabawiwszy chwilę, aktorka odfrunęła, ukrywając Lucjanowi, że Camusot czeka na dole. Nazajutrz o ósmej rano Lucjan poszedł do Stefana, nie zastał go, pobiegł do Floryny. Dziennikarz i aktorka przyjęli kamrata w ładnej sypialni, gdzie sobie usłali gniazdko małżeńskie, i wszyscy troje spożyli przednie śniadanko.

— Mój drogi — rzekł Lousteau, kiedy znaleźli się przy stole i gdy Lucjan wspomniał o projektowanej przez Koralię wieczery — radzę ci pójść ze mną do Felicjana Vernou, zaprosić go i zaprzyjaźnić się z nim, o ile można się zaprzyjaźnić z podobnym ziółkiem. Felicjan wprowadzi cię może do politycznego dziennika, w którym pitrasi felieton i gdzie będziesz mógł kwitnąć w *zasadniczych* artykułach na pierwszej stronie. To pismo, jak i nasze, należy do partii liberalnej, będziesz liberałem, to dzisiaj hasło dnia; zresztą, gdybyś chciał przejść na stronę ministerialną, uzyskasz tym lepsze warunki, im okażesz się niebezpieczniejszym. Czy Hektor Merlin i jego pani du Val-Noble, u której bywa kilku wielkich panów, młodych dandysów i milionerów, nie prosili ciebie i Koralii na obiad?

— Owszem — odparł Lucjan — i ty także masz być z Floryną.

Podczas piątkowego pijaństwa i niedzielnego obiadu Lucjan i Lousteau doszli do tego, że byli z sobą na ty.

— Więc dobrze, spotkamy Merlina w dzienniku, to chłopak, który pójdzie rychło w ślady Finota; staraj się być z nim dobrze, winienesz go zaprosić wraz z jego damą; może ci być niebawem użyteczny. Człowiek, który tak dyszy nienawiścią jak on, potrzebuje wspólników; dopomoże ci, aby mieć w potrzebie twoje pióro.

<sup>578</sup>*Makbet* — tytułowy bohater tragedii Szekspira, waleczny wódz szkocki, który za sprawą ambicji, wzbudzonych w nim przez czarownice, tytułujące go przyszłym królem, i nakłoniony przez żonę zamordował prawowitego króla i zagarnął tron. Poczucie winy i paranoiczna podejrzliwość popychały go do kolejnych zbrodni, aż do fatalnego końca w zamku oblężonym przez zbuntowanych rycerzy. [przypis edytorski]

— Pański debiut narobił dość hałasu, aby usunąć wszystkie przeszkody — rzekła Floryna do Lucjana — niech się pan śpieszy wyzyskać to, inaczej pójdiesz rychło w zapomnienie.

— Kapitalna sprawa, o której mówiliśmy kiedyś — podjął Lousteau — stała się ciąłem! Finot, ten człowiek bez cienia talentu, jest dyrektorem i naczelnym redaktorem tygodnika Dauriata, właścicielem szóstej części, która go nic nie kosztuje, i ma sześćset franków pensji miesięcznie. Ja, mój drogi, jestem od dziś rana „naczelnym” naszego dzienniczka. Wszystko się odbyło, jak przewidywałem owego wieczoru; Floryna była wspaniała, zakasowała księcia de Talleyrand<sup>579</sup>.

— Trzymamy mężczyzn przez ich przyjemności — rzekła Floryna — dyplomaci biorą ich jedynie miłością własną; dyplomaci widzą ich w pompie, my w negliżu; jesteśmy tedy mocniejsze.

— Dobijając targu, Matifat popełnił jedyny dowcip, jaki mu się wymknął w całym żywocie pigularza: „Ostatecznie — rzekł — ten interes jest w zakresie mego przemysłu!”

— Podejrzewam Florynę, że mu go podszeptała! — wykrzyknął Lucjan.

— Zatem, drogi adonisie<sup>580</sup> — podjął Lousteau — zrobiłeś pierwszy krok do fortuny.

— Urodził się pan w czepku — rzekła Floryna. — Iluż młodych ludzi drepce lata całe po Paryżu, nie mogąc umieścić jednego artykułu. Będzie z panem tak jak z Emilem Blondetem. Widzę już za pół roku pańską ważną fizjonomię! — dodała z uśmiechem, spoglądając drwiąco na Lucjana.

— A ja! Czyż nie tkwię w Paryżu trzy lata — rzekł Lousteau — a dopiero od wczoraj Finot daje mi stałych trzysta franków na miesiąc za naczelną redakcję, pięć za kolumnę i sto za arkusz w tygodniku.

— Jakże, i pan nic na to? — zawołała Floryna, patrząc na Lucjana.

— Zobaczymy — rzekł Lucjan.

— Mój drogi — rzekł Lousteau, dotknięty — ułożyłem wszystko, jakbyś był moim bratem; ale nie odpowiadam za Finota. Finot będzie obłożony przez sześćdziesięciu obwiesiów, którzy jutro, pojutrze zaczną się licytować *in minus*<sup>581</sup>. Przyrzekłem za ciebie, możesz się zrzucić, jeśli chcesz. Nie oceniasz swego szczęścia — rzekł dziennikarz po pauzie. — Będziesz tym samym należał do kategorii, której członkowie atakują swoich nieprzyjaciół w kilku dziennikach i wspomagają się wzajem.

— Chodźmy przede wszystkim do Felicjana Vernou — rzekł Lucjan, któremu pilno było zapoznać się z groźnymi sępami literatury.

Lousteau posłał po kabriolet; dwaj przyjaciele pomknęli na ulicę Mandar, gdzie Vernou mieszkał na drugim piętrze w domu o ciemnej sieni. Lucjan zdumiał się, zastając tego ostrego, wzdarcia i wybrednego krytyka w jadalnym pokoju bezgranicznie pospolitym, z lichą kraciastą tapetą w ułożone symetrycznie kwiatki, z rycinami w złożonych ramach. Krytyk siedział przy stole z kobietą zbyt brzydką, aby nie była legalną żoną, i dwójkiem drobnych dzieci, usadowionych w wysokich krzeselkach z poręczami, żeby smarkacze nie pospadali. Zaskoczony w cycowym<sup>582</sup> szlafroku sporządzonym z starej sukni żony, Felicjan podniósł się z miną dość kwaśną.

— Po śniadaniu jesteś, Lousteau? — rzekł, podając krzesło Lucjanowi.

— Idziemy od Floryny — rzekł Stefan — tamesmy śniadali.

Lucjan nie przestawał się przyglądać pani Vernou, która podobna była do pocziwej, grubej kucharki, z dość białą cerą, ale niesłychanie pospolitej. Na nocnym czepeczku z tasemkami miała zawiązany fular<sup>583</sup>, poza który przelewały się ściśnięte a obfite policzki. Szlafrok bez paska, spięty pod szyją, spadał luźnymi fałdami, czyniąc ją podobną do kopca. Obdarzona rozpaczliwie kwitnącym zdrowiem, dama miała policzki niemal fioletowe, a palce w kształcie kielbasek. Ta kobieta wytłumaczyła nagle Lucjanowi zagadkę

Żona, Kobieta, Uroda

Żona, Małżeństwo

<sup>579</sup> Talleyrand, właśc. książę Charles-Maurice de Talleyrand-Périgord (1754–1838) — francuski dyplomata i polityk; zasłynął jako inteligentny, cyniczny i bezwzględny pragmatyk, pełniąc funkcje agenta dyplomatycznego lub ministra spraw wewnętrznych kolejnych rządów: Dyrektoriatu, Napoleona, Burbonów i Ludwika Filipa I. [przypis edytorski]

<sup>580</sup> adonis — tu iron.: piękny mężczyzna, wzór urody męskiej; w mit. gr. Adonis był pięknym młodzieńcem, w którym kochały się boginie Afrodyta i Persefona. [przypis edytorski]

<sup>581</sup> in minus (łac.) — na niekorzyść; na zniżkę. [przypis edytorski]

<sup>582</sup> cycowy — wykonany z cycu (z hol. *sits*), tj. taniego materiału bawełnianego, perkalu. [przypis edytorski]

<sup>583</sup> fular — chustka jedwabna na szyję. [przypis edytorski]

Felicjana Vernou. Chory na swoje małżeństwo, nie dość bezwzględny, aby opuścić żonę i dzieci, ale dość poeta w duszy, aby się wciąż tym dręczyć, człowiek ten nie mógł nikomu przebaczyć powodzenia, musiał być nierad ze wszystkiego, wciąż nierad z samego siebie. Lucjan zrozumiał kwaskowaty wyraz, jaki mroził tę zawistną fizjonomię, cierpkosć, jaką dziennikarz zaprawiał rozmowę, zjadliwość stylu, zawsze wyostrego i zatrutego jak sztylet.

— Przejdźmy do gabinetu — rzekł Felicjan, wstając — chodzi zapewne o sprawy literackie.

— Tak i nie — odparł Lousteau. — Mój stary, chodzi o kolację.

— Przyszedłem — rzekł Lucjan — prosić pana w imieniu Koralii.

Na to imię pani Vernou podniosła głowę.

— ...Na kolację od dziś za tydzień — ciągnął Lucjan. — Zastanie pan to samo towarzystwo co u Floryny, z dodatkiem pani du Val-Noble, Merlina i kilku innych. Będzie partyjka.

— Ale, mój drogi, mamy tego dnia iść do pani Mahoudeau — rzekła żona.

— Co ma jedno z drugim? — rzekł Vernou.

— Gdybyśmy nie poszli, czułaby się dotknięta, a zależy ci na niej, kiedy chodzi o eskont weksli księgarzy.

— Słyszysz, mój drogi, ta kobieta nie rozumie, że kolacja zaczynająca się o północy nie przeszkadza iść na wieczór, który kończy się o jedenastej! I ja żyję, pracuję w tym domu! — dodał.

— Ma pan tyle wyobraźni! — odparł Lucjan, który tym słówkiem zrobił sobie z Felicjana śmiertelnego wroga.

— Zatem — podjął Lousteau — przychodzisz, ale to nie wszystko. Pan de Rubempré zostaje jednym z naszych, popieraj go zatem w swoim dzienniku; przedstaw go jako chwata zdolnego uprawiać wielką literaturę, aby mógł umieścić przynajmniej dwa artykuły na miesiąc.

— Owszem, jeżeli chce przystać do nas, atakować naszych wrogów, a bronić przyjaciół, z prawem wzajemności, wspomnę o nim dziś wieczór w Operze — odparł Vernou.

— Zatem do jutra, stary — rzekł Lousteau, ściskając rękę Felicjana z oznakami gorącej przyjaźni. — Kiedy wychodzi twoja książka?

— Ba — rzekł ojciec rodziny — to zależy od Dauriata; ja skończyłem.

— Jesteś zadowolony?

— Tak i nie...

— Podgrzejemy sukces — rzekł Lousteau, wstając i składając ukłon żonie kolegi.

To nagłe wyjście umotywowane było wrzaskami dwojga dzieci, które posprzeczały się i zaczęły sobie wzajem ochlapywać twarze zupą, czerpiąc ją pełnymi łyżkami.

— Widziałeś, moje dziecko — rzekł Stefan do Lucjana — kobietę, która nie wiedząc o tym, czyni wiele spustoszeń w literaturze. Biedny Vernou nie może nam przebaczyć swojej żony. Powinno by się go uwolnić od niej w dobrze zrozumianym interesie publicznym. Uniknęlibyśmy potoku jadowitych krytyk, wycieczek przeciw wszystkim sukcesom i wszystkim reputacjom. Co począć z taką kobietą, obciążoną dwojgiem potwornych smarkaczy? Widziałeś Rigaudina w *Domu na loterii*<sup>584</sup> Picarda; otóż tak samo jak Rigaudin, Vernou nie będzie się bił, ale sprawi, że inni będą się bili; wydziobałby sobie oko, byle w zamian wydziobać oba najlepszemu przyjacielowi; ujrzyz go depczącego każdego trupa, chichoczącego nad każdym nieszczęściem, atakującego książąt, hrabiów, margrabiów, szlachtę, bo jest plebejuszem, atakującego bezżenne sławy z przyczyny swej żony, prawiącego wciąż o moralności, mówiącego kazania o szczęściu domowym i obowiązkach obywatela. Słowem, ten tak moralny krytyk nie przepuści nikomu, nawet dzieciom. Żyje przy ulicy Mandar z żoną, która mogłaby grać „mamamuszi” w *Mieszczaninie szlachcicem* Moliera<sup>585</sup>, oraz z dwojgiem małych Verniątek, brzydkich jak grzech śmiertelny; sili

<sup>584</sup>*Dom na loterii* — *La maison en loterie*, jednoaktowa komedia Picarda i Radeta z roku 1817. Jednym z jej bohaterów jest Rigaudin, zdeformowany, garbaty urzędnik pracujący u notariusza; rolę tę odgrywał słynny Hugues Bouffé. [przypis edytorski]

<sup>585</sup>*mamamuszi* w „*Mieszczaninie szlachcicem*” Moliera — w komedii *Mieszczanin szlachcicem* marzący o szlachectwie pan Jourdain zostaje przez rzekome poselstwo od syna sultana tureckiego mianowany *mamamuszim*, co ma oznaczać „wojewodę”. [przypis edytorski]

się smagać szyderstwem Dzielnicy Saint-Germain, gdzie nigdy noga jego nie postanie, i każe margrabinom przemawiać językiem, jakim mówi jego żona. Oto człowiek, który bez ustanku naszczekuje na jezuitów, znieważa dwór, wmawia weń intencje wskrzeszenia pańszczyzny, prawa starszeństwa<sup>586</sup> i który gotów jest głosić wojny krzyżowe w imię równości, on, który nikogo nie uważa za równego sobie. Gdyby był kawalerem, gdyby mógł błyszczyć, gdyby miał wzięcie poetów-rojalistów wysiadujących synekury, upstrzonych krzyżami Legii, byłby optymistą. Dziennikarstwo składa się z tysiąca podobnych pobudek. To wielki taran, wprawiany w ruch przez drobne nienawiści. Masz teraz ochotę do żeniaczki? Vernou nie ma już serca, żółć wszystko w nim zalała. Toteż jest on dziennikarzem w każdym calu, dwurękim tygrysem, który rozdziera wszystko, jak gdyby pióro jego cierpiało na wściekłość.

— To ofiara ginofobii<sup>587</sup>. Ma talent?

— Ma spryt. To chodzący artykuł. Vernou płodzi artykuły, zawsze będzie robił artykuły i nic tylko artykuły. Najuporczywsza praca nie zdoła nigdy skleić książki z jego kartek. Felicjan niezdolny jest począć dzieło, rozłożyć proporcje, połączyć harmonijnie osoby za pomocą planu, który rozpoczyna się, zawiązuje i zmierza do głównego punktu; ma idee, ale nie zna faktów; bohaterowie jego to utopie filozoficzne albo liberalne; wreszcie, styl odznacza się szukaną oryginalnością, jego wydęte zdanie padłoby na płask, gdyby je krytyka nakłuła szpileczką. Toteż obawia się ogromnie dzienników, jak wszyscy ci, którzy potrzebują hałasu reklamy, aby się utrzymać na powierzchni.

— Ależ to gotowy felieton! — wykrzyknął Lucjan.

— Z tych, moje dziecko, które trzeba sobie mówić, ale nigdy nie trzeba ich pisać.

— Stajesz się naczelnym redaktorem — rzekł Lucjan.

— Gdzie mam cię wysadzić? — spytał Lousteau.

— U Koralii.

— Aha, jesteście zakochani — rzekł Lousteau. — Cóż za błąd! Zrób z Koralii to, co ja robię z Floryny, spiżarnię, ale wolność ponad wszystko!

— Świętego zawiódłbyś do piekła — rzekł, śmiejąc się, Lucjan.

— Piekło ojczyzną szatanów — odparł Lousteau.

Lekki, błyszczący ton nowego przyjaciela, sposób, w jaki odnosił się do życia, paradoksy jego, zmieszane z maksymami paryskiego makiawelizmu, mimowiednie działały na Lucjana. W teorii poeta uznawał niebezpieczeństwo tych poglądów, w praktyce pojmował ich użyteczność. Dobiwszy do bulwaru du Temple, przyjaciele postanowili, iż spotkają się między czwartą a piątą w redakcji, gdzie zjawi się bez wątpienia i Hektor Merlin. Lucjan w istocie tonął w rozkoszach szczerzej miłości kurtyzany, z rasy kobiet, które wpijają pazury w najczulsze miejsca duszy, naginając się z nieprawdopodobną gibkością do wszystkich pragnień, schlebując leniwym nałogom i czerpiąc w nich swą siłę. Miał już we krwi rozkosze Paryża, polubił łatwe, obfite i wystawne życie, jakie aktorka stwarzała mu u siebie. Zastał Koralie i Camusota pijanych radością. Teatr Gymnase ofiarował jej od Wielkanocy *engagement*, którego warunki, sformułowane jasno, przewyższyły nadzieje Koralii.

— Panu zawdzięczamy ten triumf — rzekł Camusot.

— Och! Z pewnością, gdyby nie on, *Alkad* zrobiłby kłapę, nie byłoby prasy i tkwiłabym na bulwarach jeszcze sześć lat.

Skoczyła mu na szyję w obecności Camusota. Wybuch aktorki miał coś dziwnie miękkiego w swej żywości, tkliwego w rozigraniu: kochała! Jak wszyscy ludzie w chwili wielkiego bólu, Camusot opuścił oczy i spostrzegł na szwie butów Lucjana kolorową nitkę używaną przez modnych szewców, znaczącą się ciemnożółtym kolorem na czarnej błyszczącej cholewce. Oryginalny kolor tej nitki zaprzętał był Camusota podczas monologu o niewytłumaczonej obecności pary butów przed kominkiem Koralii. Wyczytał, czarnymi literami na białej i miękkiej skórce podszewki, adres głośniego wówczas szewca: „Gay, ulica Michodière”.

— Panie — rzekł do Lucjana — ma pan bardzo piękne buty.

<sup>586</sup>prawo starszeństwa — prawo feudalne przyznające najstarszemu synowi pierwszeństwo i główny udział w dziedziczeniu; zniesione przez rewolucję w 1789; w czasach Restauracji rząd Josepha de Villele'a usiłował je przywrócić (1826). [przypis edytorski]

<sup>587</sup>ginofobia, właśc. gynofobia a. gynefobia (z gr.) — lęk przed kobietami. [przypis edytorski]

— Wszystko ma piękne — rzekła Koralia.  
— Chciałbym się przenieść do pańskiego szewca.  
— Och — rzekła Koralia — jak to trąci kramikiem pytać każdego o adresy! Chcesz nosić modne buciki, dobre dla młodego? Ładny będzie z ciebie chłoptaş! Zachowaj swoje buty z cholewami, odpowiednie dla obywatela na stanowisku, który ma żonę, dzieci i kochankę.

— Gdyby pan zechciał zdjąć jeden but na próbę, wyświadczyłby mi pan niezmierną grzeczność — rzekł uparcie Camusot.

— Nie potrafiłbym go potem włożyć bez haczyków — rzekł Lucjan, rumieniąc się.

— Berenice przyniesie, znajdą się — rzekł kupiec piekielnie jowialnym tonem.

— Camusot — rzekła Koralia, rzucając mu spojrzenie przepelnione bezlitosną wzgardą — miej pan odwagę swojej nikczemności! No, powiedz wszystko. Uważasz, że buty pana de Rubempré podobne są do moich? Zabraniam panu zdejmować — rzekła do Lucjana. — Tak, panie Camusot, tak, to najzupełniej te same, które owego dnia stały przed kominkiem: ten pan, ukryty w mojej gotowni, czekał na nie, spędził noc tutaj. Czy to myślałeś, powiedz? Myśl, owszem, bardzo proszę. To szczerza prawda. Oszukuję pana. Cóż dalej? Tak mi się podoba!

Usiadła bez gniewu, z miną najswobodniejszą w świecie, patrząc na Camusota i Lucjana, którzy nie śmieli spojrzeć na siebie.

— Uwierzę tylko w to, co sama zechcesz — rzekł Camusot. — Nie żartuj, zbłądziłem, przyznaję.

— Albo jestem bezwstydną ladacnicą, która za pierwszym spotkaniem rzuciła się temu panu na szyję, albo biedną nieszczęśliwą istotą, pierwszy raz świadomą prawdziwej miłości, za którą upędzają się wszystkie kobiety. W obu wypadkach trzeba mnie albo rzucić, albo wziąć, jak jestem — rzekła, miażdżąc kupca gestem królowej.

— Byłaby to prawda? — rzekł Camusot, który z zachowania Lucjana poznał, że Koralia nie żartuje, i który żebrał, aby go oszukano.

— Kocham Koralię — rzekł Lucjan.

Słyszając te słowa, powiedziane wzruszonym głosem, Koralia skoczyła na szyję poety, utuliła go i obróciła głowę w stronę kupca, ukazując mu cudowną grupę miłosną, jaką tworzyła z Lucjanem.

— Biedny Musot, zabierz wszystko, co mi dałeś, nie chcę nic od ciebie, kocham jak szalona tego dzieciaka, nie za jego talent, ale za urodę. Wolę nędzę z nim niż miliony z tobą.

Camusot padł na fotel, utopił twarz w rękach i trwał w milczeniu.

— Czy chce pan, abyśmy sobie poszli? — rzekła z nieprawdopodobnym okrucieństwem.

Lucjan uczuł zimno w plecach, czując, iż spada na nie kobieta, aktorka i gospodarstwo.

— Zostań tu, zachowaj wszystko, Koraliu — rzekł kupiec słabym i bolesnym głosem, płynącym z głębi duszy — nie chcę ci nic odbierać. Włożyłem wprawdzie sześćdziesiąt tysięcy w to urządzenie, ale nie mógłbym ścierpieć myśli, że moja Koralia jest w nędzy. A jednak znajdziesz się w nędzy, i to niedługo. Mimo iż ten pan posiada zapewne świetne talenty, nie potrafią ci one zapewnić egzystencji. Oto co nas czeka wszystkich, nas starych! Pozwól mi, Koraliu, odwiedzić cię niekiedy: mogę ci być użyteczny. Zresztą, wyznaję, niepodobieństwem byłoby mi żyć bez ciebie.

Pokora tego biedaka, wyzutego z całego szczęścia w chwili, gdy zdało mu się ono najpewniejsze, wzruszyła Lucjana, ale nie Koralię.

— Przychodź, biedny Musot, przychodź, ile masz ochotę — rzekła — będę cię lepiej znosiła, nie musząc cię oszukiwać.

Camusot zdawał się rad, iż nie wygnano go z raju ziemskiego, gdzie bez wątpienia miał cierpieć, ale gdzie spodziewał się wrócić z czasem do wszystkich praw, polegając na przypadkach paryskiego życia i na pokusach, jakie otoczą Lucjana. Stary wyga, osiwiały w handlu, pomyślał, że prędzej czy później ten piękny młodzieniec dopuści się jakiej niewierności; aby go móc szpiegować, aby go zgubić w sercu Koralii, chciał zostać ich przyjacielem. Ta podłość prawdziwego uczucia przeraziła Lucjana. Camusot zaprosił młodą parę na obiad do Véry'ego w Palais-Royal, oni zaś nie odmówili.

Zdrada, Miłość

— Co za szczęście! — wykrzyknęła Koralia, skoro Camusot odszedł. — Skończyły się ciupy w Dzielnicy Łacińskiej, będziesz mieszkał tu, nie będziemy się rozstawać; weźmiesz, dla zachowania pozorów, mieszkanie przy ulicy Charlot, i niech żyje miłość.

Odańczyła swój hiszpański taniec z furją, w której malowała się niepohamowana namiętność.

— Pracując usilnie, mogę zarobić pięćset franków na miesiąc — rzekł Lucjan.

— Mam tyleż samo w teatrze, nie licząc *feu*<sup>588</sup>. Camusot będzie mnie zawsze ubierał, kocha mnie! Mając tysiąc pięćset franków miesięcznie, będziemy żyli jak krezusy.

— A konie, woźnica, służba? — rzekła Berenice.

— Będę robiła długi — wykrzyknęła Koralia.

I znów zaczęła tańczyć *gigę*<sup>589</sup> z Lucjanem.

— Trzeba w takim razie przyjąć propozycję Finota — wykrzyknął Lucjan.

— Dalej — rzekła Koralia — ubieram się i odwożę cię do redakcji; zaczekam w powozie na bulwarach.

Lucjan siadł na sofie, patrzył na aktorkę robiącą toaletę i pogrążył się w smutnych refleksjach. Byłby wolał raczej zostawić Koralii wolność niż brać na siebie takie zobowiązania; ale była tak piękna, tak ślicznie zbudowana, tak ponętna, iż poeta dał się uwieść malowniczym pozorom życia cyganerii i rzucił rękawicę w twarz Fortuny. Berenice miała się zająć przeprowadzeniem i instalacją Lucjana. Następnie triumfująca, piękna, szczęśliwa Koralia porwała ukochanego poetę i przejechała przez cały Paryż, aby dotrzeć na ulicę Saint-Fiacre. Lucjan wbiegł lekko po schodach i z pańską miną wkroczył do redakcji. Pomidor, wiecznie z plikiem stemplowanego papieru na głowie, oraz stary Giroudeau oznajmili mu, z miną dość obłudną, że nie ma nikogo.

— Ależ współpracownicy muszą się gdzieś spotykać, aby się porozumieć co do numeru — rzekł.

— Prawdopodobnie, ale redakcja mnie nie obchodzi — rzekł kapitan gwardii, który wziął się do sprawdzania opasek ze swym wiecznym: hum, hum!

W tej chwili przypadkiem — szczęśliwym czy nieszczęśliwym? — Finot wszedł, aby wtajemniczyć wuja w rzekomą abdykację i polecić mu dozór swoich interesów.

— Nie ma co robić dyplomacji z panem, należy do dziennika — rzekł do wuja Finot, ściskając równocześnie rękę Lucjana.

— A, pan należy?... — wykrzyknął Giroudeau, zdziwiony gestem siostrzeńca. — No no, drogi panie, nietrudno panu przyszło się dostać.

— Chcę z panem omówić warunki, aby pana nie wykiwał nasz Stefanek — rzekł Finot, obejmując Lucjana byстрыm spojrzeniem. — Będzie pan brał po trzy franki od kolumny wszelkiego tekstu, włącznie ze sprawozdaniami z teatrów.

— Nikomu jeszcze nie dawałeś takich warunków! — rzekł Giroudeau, patrząc ze zdumieniem na Lucjana.

— Będzie miał cztery bulwarowe teatryki, masz dbać o to, aby mu nikt jego łóż nie zwędził i aby bilety oddawano mu do rąk. Radzę panu mimo to kazać je sobie odsyłać do domu — rzekł, zwracając się do Lucjana. — Zobowiązuje się pan dostarczać, poza krytyką, dziesięć artykułów do działu „Rozmaitości”, w przybliżeniu na dwie kolumny, po pięćdziesiąt franków miesięcznie, przez rok. Czy to panu dogadza?

— Owszem — rzekł Lucjan, który miał ręce spętane okolicznościami.

— Wuj — rzekł Finot, zwracając się do kasjera — zredaguje umowę i podpiszemy, wychodząc.

— Kogo mam zaszczyt?... — spytał Giroudeau, wstając i uchylając czarnej jedwabnej czapeczki.

— Lucjan de Rubempré, autor recenzji z *Alkada* — odparł Finot.

— Młodzieńcze — wykrzyknął stary wojskowy, uderzając w czoło Lucjana — masz tu kopalnię złota. Nie jestem literatem, ale pański artykuł przeczytałem od deski do deski, zrobił mi przyjemność. Takich mi dawajcie! To się nazywa humor. Zaraz sobie pomyślałem: „To nam ściągnie abonentów!” I przyszli, przyszli. Sprzedaliśmy pięćdziesiąt numerów.

<sup>588</sup>*feu* (fr. dosł.: światło) — w teatrze: dodatkowe wynagrodzenie płatne od występu. [przypis edytorski]

<sup>589</sup>*giga* — żywy, skoczny taniec ludowy pochodzenia angielskiego. [przypis edytorski]



— Czy moja umowa ze Stefanem Lousteau spisana w podwójnym egzemplarzu i gotowa do podpisu? — rzekł Finot do wuja.

— Tak — odparł Giroudeau.

— Połóż na umowie z panem wczorajszą datę, aby Lousteau już był związany tymi warunkami.

Finot ujął pod ramię nowego współpracownika z pozorami koleżeństwa, które chwyciło poetę, i pociągnął go na schody, mówiąc:

— Masz tedy pozycję zapewnioną. Przedstawię cię sam *moim* pracownikom. Następnie wieczór Lousteau wprowadzi cię do teatrów. Możesz zarobić sto pięćdziesiąt franków miesięcznie w dzienniczku, który będzie prowadził Lousteau: toteż staraj się żyć z nim dobrze. Już dziś ten hultaj będzie miał pretensje do mnie, że mu związałem co do pana rękę: ale pan masz talent, nie chcę, abyś był zdany na łaskę „naczelnego”. Co się nas tyczy, może mi pan dać do dwóch arkuszy na miesiąc do mego tygodnika, ofiaruję panu dwieście franków. Nie mów nikomu o tym układzie, zadziobaliby mnie dawniejsi, już podrażnieni sukcesem przybysza. Palnij, w tych rozmiarach, cztery artykuły, podpisz dwa nazwiskiem, a dwa pseudonimem, aby nie wyglądało, że odbierasz chleb innym. Zawdzięczasz swą pozycję Blondetowi i Vignonowi, którzy uważają, że masz przyszłość. Dlatego nie daj się zjeść w kaszy. Zwłaszcza strzeż się przyjaciół. Co do nas obu, zawsze możemy się porozumieć. Idź na rękę mnie, ja będę szedł tobie. Masz za czterdzieści franków łóż i biletów do sprzedania i za sześćdziesiąt książek do spuszczenia. Ten drobny przemysł oraz artykuły dadzą ci czterysta pięćdziesiąt franków miesięcznie. Mając głowę na karku, potrafisz wycisnąć co najmniej dwieście franków ponadto z księgarzy, którzy ci będą opłacać recenzje i prospekty. Ale jesteś *mój*, nieprawdaż? Mogę liczyć na pana?

Lucjan uściśnął rękę Finota z wylewem niesłychanej radości.

— Niech nie wygląda, żeśmy się porozumieli — rzekł Finot Lucjanowi do ucha, otwierając drzwi do izdebki na piątym piętrze, w głębi długiego korytarza.

Lucjan ujrzał Stefana Lousteau, Felicjana Vernou, Hektora Merlina i jeszcze dwóch dziennikarzy, których nie znał. Siedzieli przy stole przykrytym zielonym sukniem, przy dobrym ogniu, na krzesłach lub fotelach; palili cygara i śmiali się. Stół był zarzucony papierami, stał na nim prawdziwy kałamarz pełen atramentu, pióra dość liche, ale dzielnie wprawiane w ruch przez dziennikarzy. Przybysz zrozumiał, że tutaj wysmaża się wielkie dzieło.

— Panowie — rzekł Finot — celem zebrania jest wprowadzenie na moje miejsce i stanowisko druha naszego, Stefana Lousteau: obejmuje naczelną redakcję dziennika, który ja zmuszony jestem opuścić. Ale mimo iż moje poglądy ulegają zmianie, nieuchronnej dla objęcia redakcji tygodnika, którego przeznaczenie znacie, przekonania moje zostały te same i jesteśmy nadal przyjaciółmi. Jestem wam szczerze oddany i liczę na wzajemność. Okoliczności są zmienne, zasady są stałe. Zasady są osią, na której kręci się igła politycznego barometru.

Współpracownicy parsknęli jednogłośnie śmiechem.

— Któż ci podsunął te aforyzmy? — spytał Lousteau.

— Blondet — odparł Finot.

— Wiatr, deszcz, burza, pogoda — rzekł Merlin — wszystko po kolei.

— Zresztą — rzekł Finot — nie brnijmy w metafory: każdy, kto zechce umieścić u mnie artykuł, znajdzie Finota. Ten pan — rzekł, przedstawiając Lucjana — należy do waszego grona. Podpisałem z nim, Lousteau.

Każdy wyraził parę pochlebnych słów Finotowi z powodu jego wyniesienia i nowych przeznaczeń.

— Jedziesz zatem oklep ku przyszłości na grzbiecie tygodnika — rzekł jeden z dziennikarzy nieznanym Lucjanowi.

— Byle nie na naszym...

— Pozwolisz nam nadal przypiekać naszym wrogom?

— Ile tylko zechcecie! — rzekł Finot.

— Och — rzekł Lousteau — dziennik nie może się cofać. Pan Châtelet obraził się, nie popuścimy go cały tydzień.

— Co się stało? — spytał Lucjan.

— Przyszedł żądać zadośćuczynienia — rzekł Vernou. — Ekspięknis Cesarstwa trafił na starego Giroudeau, który z najzimniejszą krwią wskazał jako autora artykułu Filipa Bridau, Filip zaś poprosił barona o wskazanie czasu i broni. Na tym sprawa utknęła. Obecnie gotujemy się przeprosić barona w jutrzejszym numerze. Każde zdanie jest pchnięciem sztyletu.

— Gryźcie go do żywego, zgłosi się do mnie — rzekł Finot. — Zaskarbię sobie jego względy, poskramiając was; ma stosunki w ministerium, capnie się przy tej okazji jakąś profesurkę albo traficzkę<sup>590</sup>. Bardzo szczęśliwie, że dał się wciągnąć do gry. Kto z was chce napisać w moim tygodniku zasadniczy artykuł o książce Natana?

— Daj Lucjanowi — rzekł Lousteau. — Hektor i Vernou kropną sprawozdania w swoich pismach.

— Żegnam was, panowie, spotkamy się oko w oko u Barbina<sup>591</sup> — rzekł Finot, śmiejąc się.

Lucjan uszczknął parę komplementów z okazji wstępu do groźnego ciała dziennikarzy, Lousteau przedstawił go jako człowieka, na którego można liczyć.

— Lucjan prosi was gromadnie, panowie, na wieczerną do swej damy, pięknej Koralii.

— Koralia przechodzi do Gymnase — rzekł Lucjan do Stefana.

— Hej, panowie, rozumie się samo przez się, że będziemy popierali Koralię, hę? We wszystkich dziennikach umieścicie parę wierszy o nowym *engagement* i o jej talencie. Podniesiecie takt i zręczność dyrekcji Gymnase; czy możemy jej przyznać i inteligencję?

— Przyznajmy i inteligencję — rzekł Merlin. — Fryderyk<sup>592</sup> ma tam sztukę ze Scribe'em.

— Och, w takim razie dyrektor Gymnase jest najbardziej przewidującym i najprzenikliwszym ze spekulantów — rzekł Vernou.

— Hola! A nie piszcie o książce Natana, póki się nie porozumiemy; zaraz wam powiem, czemu — rzekł Lousteau. — Trzeba nam się przysłużyć nowemu koledze. Lucjan ma dwie książki do zbycia: zbiorek sonetów i romans. Wystarczy parę artykułików, a od dziś za trzy miesiące będzie wielkim poetą! Posłużymy się jego *Stokrociami*, aby sponiewierać ody, ballady, medytacje, całą poezję romantyczną.

— To byłoby zabawne, gdyby jego sonety były lichotą — rzekł Vernou. — Co myślisz o swoich sonetach, Lucjanie?

— Aha, jak pan je uważa? — rzekł jeden z nieznanych.

— Tęgie są — rzekł Lousteau — słowo honoru.

— Dobrze, bardzom rad z tego — rzekł Vernou — cisnę je na łeb tym poetom z zakrystii, którzy mi już kością w gardle stają.

— Jeżeli Dauriat dziś wieczór nie weźmie *Stokroci*, kropniemy artykuł po artykule przeciw Natanowi.

— Ale cóż Natan na to? — wykrzyknął Lucjan.

Pięciu dziennikarzy parsknęło śmiechem.

— Będzie uszczęśliwiony — rzekł Vernou. — Zobaczysz, jak my to urządzimy.

— Zatem ten pan jest *nasz*? — rzekł jeden z dwóch dziennikarzy, których Lucjan nie znał.

— Tak, tak, Fryderyku, bez kawałów. Widzisz, Lucjanie — rzekł Stefan do neofity — jak my postępujemy z tobą; myślę, że i ty nie cofniesz się w potrzebie. Kochamy wszyscy Natana, i będziemy go *rznąć*. A teraz podzielmy cesarstwo Aleksandrowe<sup>593</sup>. Fryderyku, chcesz Komedię Francuską i Odeon?

— Jeżeli panowie się zgodzą — rzekł Fryderyk.

Wszyscy skłonili głowy, ale Lucjan dostrzegł w oczach błyski zawiści.

<sup>590</sup>*traficzka* — zdrobn. od trafika: sklep z wyrobami tytoniowymi. Handel tytoniem wymagał uzyskania koncesji. [przypis edytorski]

<sup>591</sup>*spotkamy się (...) u Barbina* — cytat z komedii Moliera *Uczone białogłowy* (akt III, scena V); *Claude Barbin* (ok. 1628–1698): paryski księgarz, wydawca m.in. Moliera i La Fontaine'a. [przypis edytorski]

<sup>592</sup>*Fryderyk* — Frédéric Dupetit-Méré (1785–1827), francuski dramaturg, autor i współautor licznych sztuk, z których niemal wszystkie opublikował jako „Fryderyk”. [przypis edytorski]

<sup>593</sup>*podzielmy cesarstwo Aleksandrowe* — po śmierci Aleksandra Macedońskiego (323 p.n.e.) jego wodzowie podzielili się władzą, przyznając sobie części jego imperium, z którym utworzyli potem własne państwa. [przypis edytorski]

— Ja zatrzymuję Operę, Włochów<sup>594</sup> i Operę Komiczną — rzekł Vernou.  
 — Zatem Hektor weźmie wodewile — rzekł Lousteau.  
 — Jak to! Ja wcale nie będę miał teatrów? — rzekł drugi z dziennikarzy nieznanymi Lucjanowi.  
 — Więc dobrze, Hektor zostawi ci Variétés, a Lucjan Porte-Saint-Martin — powiedział Stefan. — Oddaj mu Porte-Saint-Martin, durzy się jak wściekły w Fanny Beaupré — rzekł do Lucjana — weźmiesz w zamian Cirque-Olimpique. Ja będę miał Bobino, Funambules i panią Saqui... Co mamy do dziennika na jutro?  
 — Nic.  
 — Nic?  
 — Nic.  
 — Panowie, wystąpcie świetnie na mój pierwszy numer. Baron du Châtelet i jego rybka nie starczą na dłużej niż tydzień. Autor *Samotnika* już zużyty.  
 — Sosten-Demosten przestał być zabawny — rzekł Vernou — wszyscy go od nas przejęli.  
 — Tak, trzeba nam nowej padliny — rzekł Fryderyk.  
 — Panowie, a gdyby tak ośmieszyć cnotliwych mężów z prawicy? Gdyby napisać, że panu de Bonald czuć nogi? — wykrzyknął Lousteau.  
 — Może by zacząć serię portretów mówców ministerialnych? — rzekł Hektor Merlin..  
 — Zrób to, moje dziecko — rzekł Lousteau — znasz ich, to twoi ludzie, będziesz mógł zadowolić parę wewnętrznych antypatyjek. Skubnij Beugnota, Syrieysa de Mayrinhac<sup>595</sup> i innych. Artykuły mogą być gotowe z góry, zdejmie nam to z głowy kłopot o numer.  
 — Gdybyśmy wymyślili jakąś odmowę pogrzebu<sup>596</sup> z okolicznościami mniej lub więcej obciążającymi? — rzekł Hektor.  
 — Nie dojadamy resztek po wielkich dziennikach konstytucyjnych, które mają swoje fiszki z księżmi, pełne takich kaczek — odparł Vernou.  
 — Kaczka? — rzekł Lucjan.  
 — Kaczką — objaśnił Merlin — nazywamy fakt, który ma pozór rzeczywistości, ale który wymyśla się dla ożywienia kroniczki, kiedy jest mdła. Kaczka to pomysł Franklina<sup>597</sup>, który wynalazł gromochron, kaczkę i republikę. Ten dziennikarz tak dobrze wziął na kawał encyklopedystów swymi zamorskimi kaczkami, że w *Historii filozoficznej Indii* Raynal<sup>598</sup> przytacza dwie takie kaczusie jako autentyczne fakty.  
 — Nie wiedziałem o tym — rzekł Vernou. — Cóż to za kaczkę?  
 — Historia o Angliku, który sprzedał swoją oswobodzicielkę, Murzynkę, uczyniwszy ją wprzód matką, aby wydobyć z niej więcej pieniędzy. Następnie wzniosła obrona młodej dziewczyny brzemiennej, która w końcu wygrała sprawę. Kiedy Franklin przybył do Paryża, przyznał się u Neckera<sup>599</sup> do swych kaczek, ku wielkiej konfuzji paryskich filozofów. I oto jak nowy świat po dwakroć zakazał stary.

<sup>594</sup>Włochów — tj. Comédie-Italienne, teatr paryski, założony w XVII w., gdzie w przeciwieństwie do Comédie-Française oferowano repertuar włoski. [przypis edytorski]

<sup>595</sup>Beugnot, Syrieys de Mayrinhac — Jacques Claude Beugnot (1761–1835): polityk francuski, umiarkowany rojalista, w 1814 członek rządu tymczasowego, w 1815 z powodu braku poparcia ultraroyalistów otrzymał honorową funkcję ministra stanu bez teki, od 1816 jako poseł, bronił wolności prasy, w 1820 wycofał się z życia publicznego; Jean Jacques Félix Syrieys de Mayrinhac (1777–1831): polityk francuski, skrajny monarchista, w l. 1824–1828 radca stanu i dyrektor generalny ds. rolnictwa. [przypis edytorski]

<sup>596</sup>odmowa pogrzebu — samobójcom i wolnomyślicielom Kościół katolicki odmawiał pochówku, co było powodem ataków liberalnej opozycji na rząd, wspierający katolicyzm jako oficjalną religię Francji. [przypis edytorski]

<sup>597</sup>Franklin, Benjamin (1706–1790) — amerykański polityk i publicysta, jeden z autorów *Deklaracji niepodległości Stanów Zjednoczonych*. Był też malarzem i naukowcem, wynalazcą m.in. piorunochronu. [przypis edytorski]

<sup>598</sup>Raynal, Guillaume (1713–1796) — francuski historyk, pisarz i filozof epoki oświecenia; autor *Filozoficznej i politycznej historii kolonii i handlu Europejczyków w obu Indiach (L'Histoire philosophique et politique des établissements et du commerce des Européens dans les deux Indes, 1770)*, w której krytykował postępowanie kleru i władz wobec ludności kolonii. [przypis edytorski]

<sup>599</sup>Necker, Jacques (1732–1804) — finansista i polityk genewski, minister finansów, a potem minister stanu Ludwika XVI. [przypis edytorski]

— Dziennik — rzekł Lousteau — uważa za prawdziwe wszystko, co jest prawdopodobne. To nasze założenie.

— Sąd karny postępuje nie inaczej — rzekł Vernou.

— A zatem dziś wieczór, o dziewiątej, tutaj — rzekł Merlin.

Wszyscy powstali, uściśli sobie ręce i zamknięto posiedzenie wśród objawów wzruszającej serdeczności.

— Cóżes ty zadał Finotowi — rzekł Stefan do Lucjana, schodząc — że zawarł z tobą pisemną umowę? Jesteś jedyny, z którym wiąże się w ten sposób.

— Ja? Nic, sam mi się ofiarował — rzekł Lucjan.

— Ostatecznie, choćbyś i miał z nim swoje układy, byłbym z tego bardzo kontent, tym silniejsi będziemy obaj.

Na parterze Stefan i Lucjan spotkali Finota, który wziął Stefana do reprezentacyjnego gabinetu.

— Podpisz pan umowę, aby nowy redaktor myślał, że datuje się od wczoraj — rzekł Giroudeau, podsuwając Lucjanowi dwa arkusiki stemplowego papieru.

Podczas czytania umowy Lucjan usłyszał między Stefanem a Finotem dość żywą dyskusję, której tematem były dochody „w naturze”. Stefan chciał mieć udział w tych podatkach, ściąganych przez starego Giroudeau. Musiało dojść do porozumienia, gdyż dwaj przyjaciele opuścili redakcję w zupełnej zgodzie.

— O ósmej w Galerjach Drewnianych, u Dauriata — rzekł Stefan do Lucjana.

W tej chwili zjawił się jakiś młody człowiek żądny pracy w piśmie, z tą samą spłoszoną i niespokojną miną, jaką Lucjan miał kiedyś. Lucjan ujrzał z tajoną przyjemnością, jak Giroudeau używał sobie na neoficie; słuchał żarcików, którymi stary wojskowy zwodził swego czasu i Lucjana; własny interes uczynił mu zupełnie zrozumiałym ten manewr, który stawiał zapory niemal nie do przebycia między debiutantami a poddaszem, do którego wnikali wybrańcy.

— Nie ma zbytku pieniędzy dla współpracowników — rzekł do kapitana.

— Gdyby was było więcej, każdy z was miałby mniej — odparł Giroudeau. — Ot, co!

Ekswojkskowy puścił w ruch ołowianą łaskę, wyszedł z wiekuistym „hum, hum” i nie taił zdumienia, widząc, jak Lucjan wsiada do pięknego pojazdu czekającego na bulwarach.

— Teraz wy jesteście żołnierze, a my cywile — rzekł stary wiarus.

— Słowo daję, mam wrażenie, że ci młodzi ludzie to najpocziwsi chłopcy w świecie — rzekł Lucjan do Koralii. — Jestem tedy dziennikarzem, z gwarancją zarobienia sześciuset franków miesięcznie, pracując jak koń; ale ulokuję moje dwa dzieła i stworzę nowe; przyjaciele zorganizują mi bajeczny sukces! Zatem puszcza się na bystre wody!

— Zdobędziesz świat, jedyny; ale nie bądź tak dobry, jak jesteś piękny, zarząbys się. Bądź z ludźmi szelmą, to daje pozycję.

Koralia i Lucjan pojechali do Lasku, gdzie znów spotkali margrabinę d'Espard, panią de Bargeton i barona Châtelet. Pani de Bargeton obrzuciła Lucjana powłóczytym spojrzaniem, które mogło uchodzić za ukłon. Camusot zamówił paradny obiad, Koralia, czując się wolna, była tak miła dla biednego kupca, że nie pamiętał, aby przez czternaście miesięcy ich stosunku widział ją kiedykolwiek tak uroczą i powabną.

„Trudno — rzekł sobie w duchu — porozumiejmy się jakoś, *mimo wszystko!*”

Camusot ofiarował tajemnie Koralii, iż przepisze na jej imię sześć tysięcy renty z kapitału, jaki posiadał w obligacjach państwowych, w sekrecie przed żoną, jeżeli zechce być nadal jego kochanką; godził się przymknąć oczy na amory z Lucjanem.

— Zdradzać takiego anioła?... Ale spójrz na niego, biedny szympansie, i spójrz na siebie! — rzekła, wskazując na poetę, którego Camusot spoił lekko, dolewając mu wina.

Camusot postanowił czekać, aż nędza odda mu z powrotem kobietę, którą nędza mu już raz wydała.

— Będę zatem tylko twoim przyjacielem — rzekł, całując ją w czoło.

Lucjan zostawił Koralię z Camusotem, aby się udać do Galerii Drewnianych. Jakież zmiany zaszły w jego umyśle od chwili wdarcia się w tajemnice dziennika! Wmieszał się bez obawy w tłum fałujący w Galerjach, spoglądał nań wyniośle, bo miał kochankę, wszedł do Dauriata niedbałym krokiem, bo był dziennikarzem. Znalazł tam wielkie zebranie, uścił rękę Blondeta, Natana, Finota, całej literatury, z którą żył za pan brat

od tygodnia; uważał się sam za znaczną osobistość i pochlebiał sobie, iż prześcignie kolegów; kropelka wina, którą miał jeszcze w żyłach, posłużyła mu znakomicie, skrzył się dowcipem, pokazał, że umie krakać między wronami. Mimo to Lucjan nie spotkał się z niemy lub głośnym uznaniem, jakiego się spodziewał; spostrzegł pierwszy odruch zazdrości w tym światku, nie tyle niespokojnym, ile ciekawym, jakie miejsce zajmie nowa gwiazda i ile pochłonie z powszechnego podzięcia. Finot, który widział w Lucjanie kopalnię do wyeksploatowania, Lousteau, który uważał, iż ma prawo do niego, byli jedyni, na których ustach poeta spotkał uśmiech. Lousteau, który już przybrał tony naczelnego redaktora, zapukał w szybę gabinetu Dauriata.

— Za momencik, mój drogi — odparł księgarz, podnosząc głowę ponad zielone firaneczki i poznając Stefana.

Momencik trwał godzinę, po której Lucjan i jego kompan weszli do sanktuarium.

— I cóż, myślał pan o sprawie naszego przyjaciela? — rzekł nowy naczelny redaktor.

— Oczywiście — rzekł Dauriat, rozpierając się sultańsko w fotelu. — Przejrzałem zbioręk, dałem go odczytać człowiekowi wytrawnego smaku, dobremu sędziemu, sam bowiem nie mam pretensji znać się na tym. Ja, mój przyjacielu, kupuję sławę już gotową, jak ów Anglik kupował miłość. Jest pan równie tęgim poetą, jak ślicznym chłopcem, młodzieńcze — ciągnął Dauriat. — Słowo uczciwego człowieka (nie mówię: księgarza, zauważcie to!), pańskie sonety są wspaniałe, nie czuć w nich pracy, co jest naturalne, kiedy się ma natchnienie i werwę. Wreszcie umiesz pan rymować: jeden z przymiotów nowej szkoły. Pańskie *Stokrocie* to piękna książka, ale to nie jest interes, ja zaś mogę się zajmować jedynie szerokimi przedsięwzięciami. Sumiennie mówiąc, nie mogę wziąć pańskich sonetów, niepodobna byłoby mi pchnąć je, nie dają widoków zysku zdolnych pokryć koszty sukcesu. Zresztą, pan nie pójdziesz drogą poezji, pański tomik będzie odosobniony. Jesteś młody, młodzieńcze! Przynosisz mi wiekuisty zbioręk pierwszych wierszy, jakie wychodzą ze szkół, popelniają wszyscy literaci, na których zależy im zrazu, a z których żartują sobie później. Lousteau, pański przyjaciel, musi mieć jakiś poemat zagrzebany wśród starych skarpetek. No, powiedz, nie masz tam jakiegoś poematu, na który byłbyś przysięgał, Lousteau? — rzekł Dauriat, rzucając Stefanowi porozumiewawcze spojrzenie.

— Ba, w jakiz sposób mógłbym inaczej pisać prozą? — rzekł Lousteau.

— Ot, widzisz pan, nawet mi nigdy o tym nie mówił; to człowiek, który rozumie się na księgarstwie i na interesach — podjął Dauriat. — Dla mnie — rzekł przyjaźnie do Lucjana — kwestia nie w tym, czy pan jesteś wielkim poetą; masz w sobie wiele, bardzo wiele; gdybym był początkującym księgarzem, popelniałbym ten błąd, iż skusiłbym się na wydanie pańskich wierszy. Ale przede wszystkim dziś wspólnicy i kapitaliści odmówiliby mi kredytu; wystarczy im, żem na tym towarze stracił dwadzieścia tysięcy w przeszłym roku, nie chcą słyszeć o poezji, a to są moi tyrani. Jednakże kwestia nie w tym. Przypuszczam, że będziesz wielkim poetą, ale czy będziesz płodny? Czy będziesz znosił regularnie sonety? Czy dobiejesz do dziesięciu tomów? Czy staniesz się *interesse*? Otóż nie, będziesz pan rozkosznym pisarzem prozą, masz za wiele dowcipu, aby go psuć przez średniówki<sup>600</sup>, możesz z łatwością zarobić trzydzieści tysięcy franków rocznie w dziennikach i nie zamienisz ich na trzy tysiące, które dałyby ci, z wielkim mozolem, hemistychy<sup>601</sup>, strofy i inne wywijasy!

— Wiesz, Dauriat, że Lucjan należy do dziennika? — rzekł Lousteau.

— Wiem — odparł Dauriat — czytałem jego artykuł i w dobrze zrozumianym jego własnym interesie odrzucam *Stokrocie*! Tak, drogi panie, dam panu za pół roku od dziś więcej pieniędzy za artykuły, o które pana przyjdę prosić, niż za pańską poezję bez odbiorców!

— A sława? — wykrzyknął Lucjan.

Dauriat i Lousteau zaczęli się śmiać.

— Ba — rzekł Lousteau — chłopię długo przechowuje iluzję!

— Sława — odparł Dauriat — to dziesięć lat wytrwałości i sto tysięcy franków straty

Literat, Poeta, Interes

Sława, Książka, Interes

<sup>600</sup>*średniówka* — przerwa intonacyjna rozdzielaająca wers wiersza na dwie w przybliżeniu równe części. [przypis edytorski]

<sup>601</sup>*hemistych* — półwers, w poezji nowożytniej: połówka wersu wyodrębniona przez średniówkę. [przypis edytorski]

lub zysku dla księgarza. Jeśli pan znajdzie szaleńców, którzy wydrukują twoje poezje, za rok nabierzesz dla mnie szacunku, dowiadując się o rezultatach ich machinacji.

— Czy ma pan rękopis tutaj? — rzekł Lucjan zimno.

— Oto jest, drogi panie — odparł Dauriat, którego ton stał się znacznie słodszy.

Lucjan wziął rulon, nie patrząc na sznurek, tak wszystko przemawiało za tym, że Dauriat czytał *Stokrocie*. Wyszedł ze Stefanem, nie zdając się zgnębiony ani niezadowolony. Dauriat przeprowadził obu przyjaciół do sklepu, mówiąc o swym piśmie i o dzienniku Stefana. Lucjan bawił się niedbale rękopisem *Stokroci*.

— Czy myślisz, że Dauriat czytał albo dał do czytania twoje sonety? — szepnął mu Stefan.

— Tak — odparł Lucjan.

— Popatrz na pieczęć.

Lucjan spostrzegł, iż atrament i sznurek znajdują się w stanie niezamąconej spójności.

— Który sonet zwrócił szczególnie pańską uwagę? — rzekł Lucjan do księgarza, blednąc z wściekłości.

— Wszystkie są godne uwagi, drogi panie — odparł Dauriat — ale ten o stokrotce jest rozkoszny, kończy się myślą bardzo subtelną i głęboką. Z niego odgadłem sukces, jaki uzyska pańska proza. Toteż poleciłem pana natychmiast Finotowi. Dawaj nam pan artykuły, zapłacimy je dobrze. Widzisz pan, myśleć o sławie to bardzo pięknie, ale nie zapominaj o tym, co realne, i bierz, co się następuje. Kiedy będziesz bogaty, wówczas możesz pisać wiersze.

Poeta wyszedł nagle w galerię, aby nie wybuchnąć, był wściekły.

— I cóż, dzieciaku — rzekł Lousteau, który szedł za nim — bądźże spokojny, bierz ludzi za to, czym są, za środki. Chcesz mieć odwet?

— Za wszelką cenę — rzekł poeta.

— Oto egzemplarz książki Natana, który Dauriat właśnie mi wręczył; drugie wydanie pojawia się jutro, przeczytaj jeszcze raz utwór i kropnij artykuł równający go z ziemią. Felicjan Vernou nie może cierpieć Natana, którego triumf szkodzi, w jego mniemaniu, przyszłemu sukcesowi jego dzieła. Jedną z manii tych małych duszyczek jest pojęcie, że nie ma miejsca pod słońcem na dwa powodzenia. Toteż umieści skwapliwie twój artykuł w wielkim dzienniku, w którym pracuje.

— Ale co można powiedzieć przeciw tej książce? Jest tak piękna! — rzekł Lucjan.

— Ech, dziecko, naucz się rzemiosła — rzekł, śmiejąc się Lousteau. — Książka, chociażby była arcydziełem, musi stać się pod twoim piórem stekiem idiotyzmów, dziełem niezdrowym i niebezpiecznym.

— Ale jak?

— Zmienisz piękności w wady.

— Niezdolny jestem do podobnej sztuki.

— Mój drogi, dziennikarz jest akrobatą, musisz się przyzwyczaić do trudności zawodu. Ot, jestem dobry kolega: podam ci sposób postępowania w podobnych okolicznościach. Uwaga, malcze! Zacziesz od tego, iż pochwalisz piękności książki; wówczas możesz sobie zrobić przyjemność i napisać, co o niej myślisz. Publiczność powie: „To przynajmniej krytyk wolny od zazdrości, z pewnością będzie bezstronny”. Od tej chwili publiczność uważa twój krytykę za sumienną. Zdobywszy zaufanie czytelnika, zaczniesz ubolewać, iż musisz potępić drogę, na jaką podobne książki wiodą nasze piśmiennictwo. „Czyliż Francja, powiesz, nie panuje nad inteligencją całego świata? Dotąd z wieku na wiek pisarze francuscy przodowali Europie na drodze analizy, filozoficznego badania za pomocą potęgi stylu i oryginalnej formy, jaką dawali myślom”. Tutaj wsuniesz dla zbudowania kołtuna pochwałę Woltera, Russa, Diderota, Monteskiusza, Buffona. Wytłumaczysz, jak we Francji język jest nieubłagany, udowodnisz, że jest on jak gdyby pokostem powlekającym myśl. Wyrzucisz z siebie parę aksjomatów, jak np.: „Wielki pisarz we Francji jest zawsze wielkim człowiekiem, język zniewala go do ustawicznego myślenia; nie tak w innych krajach” *et caetera*<sup>602</sup>. Udowodnisz swą tezę, porównując Rabenera<sup>603</sup>, satyryka-

<sup>602</sup>*et caetera* (łac.) — i tak dalej. [przypis edytorski]

<sup>603</sup>Rabener, *Gottlieb Wilhelm* (1714–1771) — niemiecki satyryk i publicysta okresu oświecenia. [przypis edytorski]

-moralistę niemieckiego, z La Bruyère'em<sup>604</sup>. Nic tak nie stawia krytyka, jak kiedy mówi o nieznanym cudzoziemskim autorze. Kant<sup>605</sup> jest piedestałem Cousina<sup>606</sup>. Raz wszedłszy na ten teren, rzucasz formułę, która streszcza i tłumaczy głupcom naszych genialnych ludzi w ubiegłym wieku, nazywając ich literaturę „literaturą idei”. Zbrojny tą formułą, rzucasz wszystkich znakomitych nieboszczyków na łeb autorom żyjącym. Tłumaczysz, iż za naszych czasów powstaje nowa literatura, która nadużywa dialogu (najłatwiejszej z form literackich) i opisów, uwalniających od myślenia. Romanse Woltera, Diderota, Sterne'a, Le Sage'a<sup>607</sup> tak treściwe, tak głębokie, przeciwstawiasz powieści nowożytniej, gdzie wszystko wyraża się obrazami i którą Walter Scott zbyt mocno udratyzował. W takim rodzaju jest miejsce tylko dla wynalazcy. „Romans à la<sup>608</sup> Walter Scott to rodzaj, a nie system”, powiesz. Rzucasz gromy na ten oplakany rodzaj, w którym myśl się rozgadnia, w którym klepie się ją na blaszki, rodzaj dostępny wszystkim, rodzaj, w którym każdy może stać się twórcą tanim kosztem, rodzaj, który nazwiesz wreszcie „literaturą obrazów”. Zwalisz te argumenty na Natana, wykazując, że jest naśladowcą i że ma tylko pozory talentu. Brak jego książce wielkiego zwartego stylu osiemnastego wieku; udowodnisz, iż autor zastąpił uczucia anegdotą. Ruch nie jest życiem, obraz nie jest myślą! Miotaj takie sentencje, publiczność je potem powtarza. Mimo zalet dzieła wyda ci się ono zgubne i niebezpieczne, otwiera świątynię sławy tłumom: ukazujesz w oddali armię pisarków skwapliwie naśladowujących tę formę, tak łatwą do opanowania. Tutaj grzmiące lamentacje nad upadkiem smaku, pochwała panów Etienne, Jouy, Tissot, Gosse, Duval, Jay, Beniamina Constant, Aignan, Baour-Lormian<sup>609</sup>, Villemain, koryfeuszów<sup>610</sup> napoleońskiego liberalizmu, pod których protektoratem jest dziennik Felicjana. Wskażesz tę chlubną falangę opierającą się inwazji romantyków, broniącą myśli i stylu przeciw obrazowi i gadulstwu, podtrzymującą ciągłość szkoły wolteriańskiej przeciw szkole angielskiej i niemieckiej, tak jak siedemnastu mówców lewicy walczy w imię narodu przeciw wstecznikom. Wsparty tymi nazwiskami, czczonymi przez ogromną większość Francuzów, która zawsze będzie w opozycji, możesz zmiażdżyć Natana, którego dzieło, mimo iż zawiera znakomite piękności, daje we Francji palmę literaturze bez idei. Z tą chwilą nie chodzi już o Natana i jego książkę, rozumiesz? Ale o chwałę Francji! Obowiązkiem uczciwych i odważnych piór jest przeciwstawić się tym obcym nalotom. Tu głaszczesz ambicję abonenta. Wedle ciebie, Francja jest mądra ryba, niełatwo ją podejść. Jeżeli księgarzowi za pomocą sposobów, w które nie chcesz wchodzić, udało się wyłudzić sukces, prawdziwa publiczność rychło zrobi porządek z pomyłką pięciuset dudków<sup>611</sup>, którzy stanowią jej awangardę. Powiesz, że zdolawszy rozprzedać jedno wydanie, księgarz bardzo jest zuchwały, puszczając się na drugie; bolejesz, że tak sprytny wydawca tak mało rozumie ducha swego kraju. Oto główne linie. Posól to trochę konceptem, zapraw odrobiną octu, a Dauriat jest gotów. Ale nie zapomnij, mówiąc o Natanie, ubolewać nad omyłką człowieka, któremu, jeżeli opuści tę drogę, literatura współczesna zawdzięczać będzie piękne dzieła.

Lucjan słuchał Stefana zdumiony; w miarę jak dziennikarz mówił, spadała mu łuska z oczu, odkrywał prawdy literackie, o których mu się nie śniło.

— Ależ w tym, co mówisz — wykrzyknął — jest wiele sensu i słuszności!

<sup>604</sup>La Bruyère, Jean de (1645–1696) — eseista francuski, autor dzieła *Charaktery, czyli Przymioty Teofrasta* (1688), zawierającego satyryczne portrety współczesnych i ostrą krytykę społeczeństwa. [przypis edytorski]

<sup>605</sup>Kant, Immanuel (1724–1804) — niemiecki filozof oświeceniowy, twórca rewolucyjnej doktryny filozofii krytycznej, czołowa postać nowożytnej filozofii. [przypis edytorski]

<sup>606</sup>Cousin, Victor (1792–1867) — francuski filozof i historyk filozofii, popularyzator niemieckiej filozofii klasycznej. [przypis edytorski]

<sup>607</sup>Le Sage a. Lesage, Alain-René (1668–1747) — powieściopisarz i dramaturg francuski, zasłynął jako autor powieści *Diabeł kulawy* oraz *Przypadki Idziego Blasa*. [przypis edytorski]

<sup>608</sup>à la (fr.) — na wzór, na sposób przypominający coś innego. [przypis edytorski]

<sup>609</sup>Gosse, Duval, (...) Baour-Lormian — Étienne Gosse (1773–1834): francuski dramaturg i dziennikarz; Alexandre Vincent Pineux Duval (1767–1842): francuski dramaturg, librecista i aktor, członek Akademii Francuskiej; Pierre Baour-Lormian (1770–1854): francuski poeta i pisarz, tłumacz *Pieśni Osjana* i *Jerozolimy wyzwolonej*, członek Akademii Francuskiej. [przypis edytorski]

<sup>610</sup>koryfeusz — przewodnik chóru w teatrze starogreckim; przen.: lider, przodownik nowych działań w jakimś środowisku, zwłaszcza artystycznym lub naukowym. [przypis edytorski]

<sup>611</sup>dudék (daw., pot.) — głupiec. [przypis edytorski]

— Czyż mógłbyś inaczej rozbić w puch książkę Natana? — rzekł Lousteau. — Oto, moje dziecko, pierwszy typ recenzji, jakiej się używa, aby ubić książkę. To oskard krytyka. Ale są jeszcze inne formułki! Wykształcisz się w nich z czasem. Kiedy będziesz absolutnie zmuszony mówić o człowieku, którego nie lubisz (niekiedy właściciel dziennika lub naczelny redaktor nie mogą tego uniknąć), rozwinięsz negatyw tego, co nazywamy „artykułem zasadniczym”. Umieszczasz na czele artykułu tytuł książki, którą polecono ci omówić; zaczynasz od rozważań ogólnych, w których można mówić o Grekach i Rzymianach, wreszcie powiadasz: „Te rozważania prowadzą nas do książki pana X. Y., która będzie treścią następnego artykułu”. I następny artykuł nie pojawia się nigdy. Dławi się w ten sposób książkę między dwiema obietnicami. Tu nie piszesz artykułu przeciw Natanowi, ale przeciw Dauriatowi, trzeba użyć oskarda. Pięknego dzieła oskard nie naruszy; w złą książkę wchodzi po same bebechy; w pierwszym wypadku rani jedynie księgarza, w drugim oddaje przysługę publiczności. Tych form krytyki literackiej używa się również w polityce.

Okrutna lekcja Stefana otwierała nowe horyzonty wyobraźni Lucjana, który cudownie chwycił to rzemiosło.

— Chodźmy do dziennika — rzekł Lousteau — zastaniemy tam przyjaciół i omówimy szturm generalny przeciw książce Natana, to ich ubawi, zobaczysz.

Przybywszy na ulicę Saint-Fiacre, wdrapali się na poddasze, gdzie się wysmażał dziennik. Lucjan z równym zdumieniem, jak zachwytem patrzył na szczególniejszy entuzjazm, z jakim koledzy uchwalili zniszczyć książkę Natana. Hektor Merlin wziął ćwiartkę papieru i nakreślił tych kilka wierszy, które zaniósł do swego dziennika:

Zapowiadają drugie wydanie książki p. Natana. Pragnęliśmy zachować milczenie o tym utworze, ale pozór sukcesu zmusza nas do zamieszczenia artykułu nie tyle o dziele, ile o ogólnej tendencji młodej literatury.

Na czele konceptów do jutrzejszego numeru Lousteau umieścił to zdanie:

\*\*\* Księgarz Dauriat puszcza w świat drugie wydanie książki p. Natana. Czyżby nie znał starożytnego aksjomu<sup>612</sup>: *Non bis in idem*<sup>613</sup>? Cześć nieszczęśliwej odwadze!

Słowa Stefana były jak gdyby pochodnią dla Lucjana, któremu żądza zemścić się na księgarzu zastąpiła sumienie i inspirację. Trzy dni nie wychodził z pokoju Koralii, gdzie pracował przy kominku, obsługiwany przez Berenice i pieszczony w chwilach znużenia przez uważną i milczącą Koralię. Wreszcie Lucjan przepisał na czysto artykuł, mniej więcej trzy kolumny, w których wznosił się do zdumiewającej wysokości. O dziewiątej wieczór pobiegł do dziennika, zastał kolegów i przeczytał im swą pracę. Słuchali poważnie. Felicjan nie rzekł słowa, wziął artykuł i zbiegł po schodach.

— Co jemu się stało? — wykrzyknął Lucjan.

— Niesie artykuł do drukarni! — rzekł Hektor Merlin. — To arcydzieło, w którym nie ma ani słowa do ujęcia, ani wiersza do dodania.

— Wystarczy ci pokazać drogę! — rzekł Lousteau.

— Chciałbym widzieć minę Natana, kiedy będzie to czytał jutro — rzekł inny, na którego twarzy jaśniało łagodne zadowolenie.

— Bezpieczniej być twoim przyjacielem — rzekł Hektor Merlin do Lucjana.

— Więc dobrze? — spytał żywo Lucjan.

— Na Blondzie i Vignonie skóra ścierpie — rzekł Lousteau.

— Oto — dodał Lucjan — artykułik, który nabazgrałem dla ciebie i który, w razie powodzenia, mógłby rozpocząć serię podobnych utworów.

— Przeczytaj — rzekł Lousteau.

Lucjan odczytał jeden z rozkosznych szkiców, które stworzyły powodzenie dzienniczka: w dwóch kolumnach malował jakiś drobny szczegół życia paryskiego, figurę, typ, zwykle wydarzenie lub jakąś osobliwość. Próbką ta, zatytułowana *Przechodnie Paryża*,

<sup>612</sup>aksjom (daw.) — aksjomat: pewnik, niewzruszona zasada. [przypis edytorski]

<sup>613</sup>*non bis in idem* a. *ne bis in idem* (łac.) — dosł.: nie dwukrotnie w tej samej (sprawie); zasada prawna zabraniająca ponownych działań prawnych w sprawie już raz rozstrzygniętej. [przypis edytorski]



była napisana w tym nowym i oryginalnym stylu, w którym myśl wylania się ze zderzenia słów, gdzie brzęk przysłówków i przymiotników działa podniecająco na czytelnika. Artykuł ten był równie odmienny od poważnego i głębokiego studium o Natanie, jak *Listy perskie*<sup>614</sup> różnią się od *Ducha praw*<sup>615</sup>.

— Jesteś urodzony dziennikarz — rzekł Lousteau. — To pójdzie jutro, dawaj takich, ile chcesz.

— He, he — rzekł Merlin — Dauriat wściekły jest o dwa pociski, jakie cisnęliśmy w jego kramik. Byłem właśnie u niego; kłął, wymyślał na Finota, który tłumaczył mu, iż odprzedał ci swój dziennik. Wziąłem go na stronę i szepnąłem mu tyle: „*Stokrocie* będą pana kosztowały drogo! Przychodzi do pana człowiek z talentem, a pan odprawiasz go z kwitkiem, gdy my go przyjmujemy z otwartymi ramionami!”

— Dauriat będzie jak rażony gromem po twoim artykule — rzekł Lousteau do Lucjana. — Widzisz, dziecko, co to jest dziennik? Ale twoja zemsta postępuje! Baron du Châtelet był tu już pytać o twój adres; dziś rano zamieściliśmy krwawą notatkę przeciw niemu, ekspięknął ma słabą głowę, jest w rozpacz. Nie czytałeś? Paradne! Patrz: „Kondukt żalobny Czaplí oplakiwanej przez ościstą Rybkę”. Pani de Bargeton nikt w wielkim świecie nie nazywa inaczej niż Rybką, a Châteleta inaczej niż baron Czaplá.

Lucjan wziął dziennik i nie mógł się wstrzymać od śmiechu, czytając małe arcydzieło żartu, stworzone przez Felicjana Vernou.

— Będą kapitulować — rzekł Hektor Merlin.

Lucjan, z weselem w duszy, dorzucił swą cząstkę do kilku conceptów i „słówek”, jakimi kończono dziennik, pałac i gwarząc, opowiadając sobie wypadki dnia, śmieszności kolegów lub jakieś nowe szczegóły ich charakteru. Rozmowa ta, drwiąca, dowcipna, złośliwa, zapoznała Lucjana z obyczajami i osobistymi właściwościami personelu literatury.

— Podczas gdy będą składać dziennik — rzekł Lousteau — obejdę z tobą teatryki, przedstawię cię w kontroli i za kulisami; później zajdziemy do Floryny i Koralii w Panorami i pogzimy się z nimi troszkę w garderobie.

I obaj, trzymając się poufale pod rękę, poszli od teatru do teatru, gdzie Lucjan wkroczył jako „redaktor”, komplementowany przez dyrektorów, zjadany spojrzeniami przez aktorki, świadome sukcesu, jaki jeden jego artykuł zapewnił Koralii i Florynie, zaangażowanym jedna do Gymnase na dwanaście tysięcy, druga na osiem do Panoramy. Lucjan spotykał się wszędzie z owacjami, które powiększały go we własnych oczach i dawały mu miarę własnej potęgi. O jedenastej dwaj przyjaciele wkroczyli do Panorama-Dramatique, gdzie niedbały tonik Lucjana zrobił furorę. Zastali tam Natana. Natan podał rękę poecie, który przyjął ją i uściśnął.

— Ejże, szanowni mistrze — rzekł, patrząc na Lucjana i Lousteau — chcecie mnie pogrzebać?

— Czekaj do jutra, mój drogi, zobaczysz, jak Lucjan chwycił cię za grdykę. Słowo honoru, będziesz zadowolony. Kiedy autor spotka się z tak poważną krytyką, książka zyskuje na tym.

Lucjan był czerwony ze wstydu.

— Czy ostra? — spytał Natan.

— Poważna — rzekł Lousteau.

— Więc nie zrobicie mi krzywdy? — podjął Natan. — Hektor Merlin mówił w foyer Wodewilu, że wióry ze mnie lecą.

— Pozwól mu mówić i czekaj — rzekł Lucjan, który pomknął do garderoby Koralii, biegnąc za aktorką, gdy schodziła ze sceny w swym powabnym kostiumie.

Nazajutrz, w chwili gdy Lucjan jadł śniadanie z Koralią, usłyszeli kabriolet, którego turkot na ulicy, zwykle dość cichej, zapowiadał wykwintny pojazd; także konik lekkim krokiem swoim i sposobem, w jaki zatrzymał się w miejscu, zdradzał rasę. Jakoż, wychyliwszy się przez okno, Lucjan dojrzał wspaniałego angielskiego konia oraz Dauriata, który wysiadając, rzucił lejce grumowi.

<sup>614</sup>*Listy perskie* — powieść epistolarna Monteskiusza, satyra na system społeczny feudalnej Francji, opublikowana anonimowo w 1721. [przypis edytorski]

<sup>615</sup>*Duch praw* — składający się z 31 ksiąg traktat polityczny Monteskiusza, opublikowany w 1748, zawierający analizę znanych ówczesnie form ustrojowych i popularyzujący koncepcję trójpodziału władzy. [przypis edytorski]

— To księgarz! — krzyknął Lucjan do kochanki.

— Niech czeka — rzekła bez namysłu Koralia do Berenice.

Lucjan uśmiechnął się z tupetu młodej dziewczyny, która tak cudownie wchodziła w jego interesy, i podszedł uściskać ją z prawdziwą czułością: miłość natchnęła ją sprytem! Pośpiech impertynenckiego księgarza, nagle ukorzenie się tego księcia szarlatanów były w związku z okolicznościami, które dziś poszły prawie zupełnie w zapomnienie, tak bardzo ruch księgarski przeobraził się od lat piętnastu. Od roku 1816 do 1827, epoki, w której czytelnie literackie, zrazu utworzone dla czytania dzienników, zaczęły dostarczać nowych książek za pewną opłatą i kiedy powiększenie podatku prasy stworzyło anons<sup>616</sup>, księgarz nie miał innych sposobów ogłaszania wydawnictw, jak tylko recenzje w felietonie albo na łamach gazet. Do roku 1822 dzienniki francuskie ukazywały się w tak małych rozmiarach, że wielkie pisma zaledwie przekraczały wymiar dzisiejszych pisemek brukowych. Broniąc się tyranii dziennikarzy, Dauriat i Ladvocat pierwsi wymyślili afisze, ściągając nimi uwagę Paryża, rozwijając bogactwo fantastycznych czcionek, dziwaczny dobór barw, winiety<sup>617</sup>, a później litografie<sup>618</sup>, które uczyniły z afisza poemat dla oczu a często rozczarowanie dla sakiewki amatorów. Afisze stały się tak oryginalne, że jeden z maniaków zwanych kolekcjonerami posiada kompletny zbiór paryskich afiszów. Ten sposób ogłaszania, zrazu ograniczony do sklepowych szyb i bulwarowych wystaw, później rozszerzony na całą Francję, ustąpił z kolei anonsowi. Mimo to afisz, który uderza jeszcze oczy, gdy anons, a czasem i dzieło poszły już w zapomnienie, będzie istniał zawsze, zwłaszcza odkąd zaczęto malować go na murach. Anons dostępny dla wszystkich za opłatą — pomysł, który zmienił czwartą stronicę dziennika w pole równie urodzajne dla urzędu podatkowego, jak dla spekulantów — zrodził się pod rygorami stempla, poczty i przymusowych kaucji. Ograniczenia te, wymyślone za czasu pana de Villele<sup>619</sup>, który mógł być wówczas zabić dzienniki, popolitując je, stworzyły, przeciwnie, rodzaj przywileju, czyniąc założenie nowego pisma prawie niemożliwym. W roku 1821 dzienniki miały tedy prawo życia i śmierci nad płodami myśli i przedsięwzięciami księgarskimi. Kilkuwierszowy anons, umieszczony w kronice paryskiej, płaciło się straszliwie drogo. Intrygi w łonie redakcji, wieczorem zaś na polu bitwy w drukarni, w godzinie, gdy warunki łamania rozstrzygały o przyjęciu lub odrzuceniu tego lub owego artykułu, dochodziły do takiego nasilenia, że poważne firmy księgarskie miały na żołdzie literata dla redagowania tych artykułków, gdzie trzeba było zamknąć wiele myśli w niewielu słowach. Ci pokątni dziennikarze, płatni dopiero po umieszczeniu, czatowali czasami noce całe w drukarni, aby widzieć, jak idą pod prasę bądź to duże artykuły, uzyskane sam Bóg wie jak, bądź owych kilka wierszy, które później przybrały nazwę reklamy. Dziś obyczaje literatury i księgarni zmieniły się tak bardzo, że wielu ludzi uważałoby za bajkę straszliwe wysiłki, przepokupstwa, podłostki, intrygi, jakie żądza uzyskania tych reklam podsuwała księgarzom, autorom, męczennikom sławy, wszystkim galernikom skazanym na konieczność nieustannego sukcesu. Obiady, drobne usługi, podarki, wszystko wprawiano w ruch, aby pozyskać dziennikarzy. Następująca anegdota lepiej niż wszystkie zapewnienia wytłumaczy ścisły związek między krytyką a księgarnią.

Pewien człowiek wielkiej miary i idący ku temu, aby stać się mężem stanu, w owym czasie młody, dworny, a zarazem redaktor wielkiego dziennika, stał się beniaminkiem<sup>620</sup> słynnej firmy księgarskiej. Pewnego dnia, w niedzielę, na wsi, gdzie zamożny księgarz ugaszczal wybitnych dziennikarzy, pani domu, wówczas młoda i ładna, pociągnęła do parku znakomitego autora. Pierwszy komisant<sup>621</sup>, zimny, poważny i metodyczny Niemiec,

<sup>616</sup>anons — ogłoszenie. [przypis edytorski]

<sup>617</sup>winieta — ozdoba graficzna drukowanego tekstu, którą może stanowić ornament lub dekoracyjnie ujęta scena figuralna. [przypis edytorski]

<sup>618</sup>litografia (z gr.) — obrazek odbity za pomocą płyty kamiennej, na którą uprzednio naniesiono rysunek. [przypis edytorski]

<sup>619</sup>Villele, Jean Baptiste de (1773–1854) — francuski polityk i arystokrata, przywódca frakcji ultrakonserwatywnej, premier Francji (1821–1828); jego rząd zaostriżył przepisy dotyczące prasy, przywrócił cenzurę prewencyjną i wprowadził karę śmierci za świętokradztwo. [przypis edytorski]

<sup>620</sup>beniaminek — ulubione, najmłodsze dziecko; ulubieniec. [przypis edytorski]

<sup>621</sup>komisant — człowiek sprzedający (lub kupujący) przedmioty na rzecz zleceniodawcy, ale we własnym imieniu, za co pobiera określoną prowizję; dawniej: agent handlowy, przedstawiciel przedsiębiorstwa. [przypis edytorski]

myślący jedynie o interesach, przechadzał się pod rękę z jakimś felietonistą, rozmawiając o przedsięwzięciu, o które go się radził; wśród rozmowy wyszli poza park i zapuścili się do lasu. Naraz w gąszczu Niemiec spostrzeża coś, co mu przypomina pryncypałową; bierze lornetkę, daje znak młodemu dziennikarzowi, aby umilkł i oddalił się, i sam ostrożnie kieruje kroki w inną stronę.

— Co pan tam zobaczył? — spytał dziennikarz.

— Drobnostkę — odparł. — Nasz wielki artykuł przechodzi. Jutro będziemy mieli przynajmniej trzy kolumny w „Debatach”.

Drugi fakt wytłumaczy tę potęgę recenzji.

Książka pana de Chateaubriand o ostatnim Stuartcie spoczywała w magazynach w stanie „marynaty”. Jeden artykuł napisany przez młodego człowieka w „Debatach” sprawił, iż książkę wyprzedano w ciągu tygodnia. W czasach kiedy, aby przeczytać książkę, trzeba ją było kupić, a nie wypożyczyć, sprzedawano do dziesięciu tysięcy egzemplarzy niektórych dzieł o tendencji liberalnej, wysławianych przez dzienniki opozycji, ale też nie istniały jeszcze nieprawne przedruki belgijskie<sup>622</sup>. Wstępne ataki przyjaciół Lucjana oraz jego artykuł zdolne były wstrzymać sprzedaż książki Natana. Natan cierpiał jedynie w miłości własnej, nie miał nic do stracenia, był zapłacony; ale Dauriat mógł stracić trzydzieści tysięcy. W istocie przemysł księgarski tak zwanych nowości streszcza się w tym oto zagadnieniu handlowym: ryza czystego papieru warta jest piętnaście franków; zadrukowana, warta jest, wedle sukcesu, albo pięć, albo trzysta. Jeden artykuł *pro* lub *contra* rozstrzygał często w owych czasach tę finansową kwestię. Dauriat, który miał pięćset ryz do sprzedania, przybiegał tedy kapitulować. Z sułtana księgarz stawał się niewolnikiem. Odczekawszy jakiś czas, szemrając, robiąc możliwie największy hałas i parlamentując z Berenice, uzyskał wreszcie wstęp do Lucjana. Hardy księgarz przybrał uśmiech dworaka, wchodząc na dwór, ale zaprawny tupetem i dobroduszością.

— Nie przerywajcie sobie, aniołki! — rzekł. — Jakież urocze te dwie turkaweczki! Robicie na mnie wrażenie pary gołąbków! Kto by powiedział, śliczna pani, że ten człowiek, który wygląda na młodą dziewczynę, to tygrys o pazurach ze stali, które rozdzierają reputację, tak jak muszą rozdzierać pani peniuary, skoro nie zdejmujesz ich dość szybko?

I zaczął się śmiać, nie dokończywszy konceptu.

— Drogi panie... — ciągnął dalej, siadając obok Lucjana. — Pani, jestem Dauriat — wtrącił, zwracając się do Koralii.

Księgarz uznał za potrzebne strzelić swoim nazwiskiem, uważając, że Koralia przyjmuje go nie dość czule.

— Czy pan już po śniadaniu? Chce pan nam dotrzymać towarzystwa? — rzekła aktorka.

— Ależ owszem, lepiej rozmawia się przy stole — odparł Dauriat. — Przy tym, przyjmując pani śniadanie, zyskam prawo zaproszenia jej na obiad wraz z moim przyjacielem Lucjanem, powinniśmy bowiem być teraz przyjaciółmi, niby dłoń i rękawiczka.

— Berenice! Ostryg, cytryny, masła i szampańskie — rzekła Koralia.

— Jest pan zbyt sprytny, aby nie wiedzieć, co mnie sprowadza — rzekł Dauriat, patrząc na Lucjana.

— Przychodzi pan nabyć sonety?

— Otóż to — odparł Dauriat. — Przede wszystkim obustronne zawieszenie broni.

Wydobył z kieszeni wytworny pugilares<sup>623</sup>, wyjął zeń trzy tysięcyfrankowe bilety<sup>624</sup>, położył na talerzu i podał Lucjanowi dworskim ruchem, mówiąc:

— Czy pan zadowolony?

— Owszem — odparł poeta, który uczył, iż zalewa go nieopisana błogość na widok fantastycznej sumy.

<sup>622</sup>przedruki belgijskie — brak odpowiednich umów między państwami powodował, że poczytne powieści wydawane w odcinkach w prasie francuskiej były na bieżąco składane do druku w Belgii, w której jednym z języków jest francuski, i wydawane w postaci książki zaraz po opublikowaniu ostatniego odcinka, bez wiedzy i zgody autorów i bez płacenia im honorariów; praktyka ta pozbawiała autorów, również Balzaca, dodatkowych dochodów. [przypis edytorski]

<sup>623</sup>pugilares (daw.) — portfel. [przypis edytorski]

<sup>624</sup>bilet (daw.) — tu: bilet bankowy, banknot, drukowane pieniądze. [przypis edytorski]

Lucjan powściągał się, ale miał ochotę śpiewać, skakać, wierzył w tej chwili w cudowną lampę, w czarnoksiężników, wierzył w swój geniusz.

— Zatem *Stokrocie* są moje — rzekł księgarz — ale nie będzie pan zaczął nigdy żadnego z moich wydawnictw?

— *Stokrocie* są pańskie; ale nie mogę wiązać mego pióra; należy ono do moich przyjaciół, jak ich pióro do mnie.

— Ależ ostatecznie stajesz się pan jednym z moich autorów. Wszyscy moi autorzy są moimi przyjaciółmi. Zatem przyrzekasz nie szkodzić interesom firmy, nie uprzedziwysz mnie o atakach, iżbym mógł im zapobiec.

— Zgoda.

— Na pańską sławę — rzekł Dauriat, podnosząc szklanę.

— Widzę, że pan czytał *Stokrocie* — rzekł Lucjan.

— Moje dziecko, kupić *Stokrocie*, nie znając ich, to najpiękniejszy komplement, na jaki może pozwolić sobie księgarz. Za pół roku będziesz wielkim poetą; będziesz miał prasę, boją się ciebie, nie będę miał najmniejszego kłopotu ze sprzedażą pańskiej książki. Ja jestem ten sam kupiec co przed czterema dniami. Nie ja się zmieniłem, ale pan: w zeszłym tygodniu pańskie sonety były dla mnie warte tyle, co liście kapusty; dziś pozycja pańska zrobiła z nich banknoty.

— Zatem — rzekł Lucjan, którego sułtańska rozkosz posiadania pięknej kochanki przy boku, jak również pewność powodzenia czyniły drwiącym i cudownie impertynencim — jeżeli nie czytał pan moich sonetów, czytał pan w każdym razie mój artykuł.

— Tak, drogi panie, czyż byłbym przyszedł tak szybko? Na nieszczęście, ten straszliwy artykuł jest bardzo piękny. Och! Pan masz olbrzymi talent. Wierzaj mi, korzystaj z chwili powodzenia — rzekł z dobroduszością, która pokrywała głęboką złośliwość tego zdania. — Ale musiał pan dostać dziennik; czytałeś?...

— Jeszcze nie — rzekł Lucjan — a wszak to pierwszy raz drukuję większy ustęp prozą; Hektor musiał odesłać numer do mnie, na ulicę Charlot.

— Masz, czytaj!... — rzekł Dauriat, naśladując Talmę w *Manliuszu*<sup>625</sup>.

Lucjan wziął dziennik, który Koralia mu wyrwała.

— Dla mnie pierwociny twego pióra, pamiętasz — rzekła, śmiejąc się.

Dauriat był niezwykle słodki i dworski, obawiał się Lucjana, zaprosił go z Koralią na wielki obiad, jaki wydawał z końcem tygodnia dla dziennikarskiej rzeszy. Zabrał rękopis *Stokroci*, mówiąc *swemu* poecie, aby wstąpił, kiedy zechce, do Galerii podpisać umowę. Zawsze wierny królewskiemu wzięciu, którym starał się imponować ludziom powierzchownym, i pragnąc uchodzić raczej za mecenasa niż za księgarza, zostawił trzy tysiące franków bez pokwitowania, odsunął niedbałym gestem ofiarowany przez Lucjana kwit i odjechał, ucałowawszy rękę Koralii.

— I cóż, kochanie, czy widziałbyś dużo takich świstków, gdybyś siedział w swej dziurze i grzebał się w szpargałach u świętej Genowefy? — rzekła Koralia do Lucjana, który opowiedział jej całą swą egzystencję. — Wiesz, ci twoi przyjaciele z ulicy des Quatre-Vents robią na mnie wrażenie wielkich dudków.

Jego bracia z Biesiady — dudki! Lucjan wysłuchał tego wyroku, śmiejąc się. Przeczytał swój artykuł w druku, kosztował tej niewymownej radości autorów, tej pierwszej rozkoszy miłości własnej, której myśl zażywa tylko raz. Czytając i odczytując swój artykuł, Lucjan lepiej czuł jego doniosłość i wagę. Druk jest dla rękopisu tym, czym teatr dla kobiet, wydobywa piękność i wady; zabija lub daje życie: błąd skacze do oczu równie jasno, jak piękna myśl. Lucjan, upojony, nie myślał już o Natanie. Natan był stopniem pod jego nogami, tonął w radości, widział się bogatym. Dla chłopca, który niedawno schodził promenadą z Beaulieu do Angoulême i wracał do Houmeau na stryszek u Postela, gdzie cała rodzina żyła za tysiąc dwieście franków rocznie, suma ofiarowana przez Dauriata była bogactwem Krezusa<sup>626</sup>! Wspomnienie, żywe jeszcze, ale które miało się zaćmić w niustającym karnawale paryskiego życia, przeniosło go na plac du Mûrier. Przypomniał sobie piękną, szlachetną Ewę, Dawida i biedną matkę; natychmiast wyprawił Berenice,

<sup>625</sup>*Manliusz Kapitoński*, fr. *Manlius Capitolinus* — tragedia Antoine'a de La Fosse (1653–1708) z roku 1698. [przypis edytorski]

<sup>626</sup>*Krezus* (595–546 p.n.e.) — król Lidii słynący ze swojego wielkiego bogactwa; jego imię jest obecnie synonimem bogacza. [przypis edytorski]

aby zmieniła banknot, przez ten czas napisał liścik do rodziny; następnie posłał Berenice na pocztę, lękając się, iż jeżeli się spóźni, nie będzie mógł nadać pięciuset franków, które przeznaczył matce. Dla niego, dla Koralii restytucja<sup>627</sup> ta przedstawiała się jako dobry uczynek. Aktorka uściskała Lucjana, wysławiała go jako wzór synów i braci, obsypywała go pieścizotami. Tego rodzaju rysy zachwycają owe dziewczęta, które wszystkie mają serca na dłoni.

— Mamy teraz — rzekła — codziennie zaproszenie na obiad przez cały tydzień, zrobimy sobie małe zapusty<sup>628</sup>; dość się napracowałeś.

Koralia, pragnąc się nacieszyć pięknnością mężczyzny, którego wszystkie kobiety miały jej zazdrościć, zawiozła go jeszcze raz do Stauba, Lucjan nie był dla niej jeszcze dość dobrze ubrany. Stamtąd para kochanków pojechała do Lasku i wróciła na obiad do pani du Val-Noble, gdzie Lucjan zastał Rastignaca, Bixiou, des Lupeaulx, Finota, Blondeta, Vignona, barona de Nucingen, Beaudenorda, Filipa Bridau, wielkiego muzyka Contiego<sup>629</sup>, cały świat artystów, spekulantów, ludzi, którzy przeplatają wielką pracę silnymi wzruszeniami i którzy wszyscy przyjęli Lucjana wyśmienicie. Lucjan, pewien siebie, szafował dowcipem tak, jakby to nie był jego towar, i zyskał sobie miano tęgiego chwata, pochwałę bardzo wówczas w modzie wśród tych kamratów.

— Ha, trzeba się będzie przekonać, co on ma w brzuchu — rzekł Teodor Gaillard do jednego z poetów protegowanych przez dwór, który myślał o założeniu rojalistycznego dzienniczka, nazwanego później „Jutrzenką”.

Po obiedzie dwaj dziennikarze pojechali ze swymi paniami do Opery, gdzie Merlin miał łożę i gdzie znów znalazła się cała kompania. Tak więc Lucjan wrócił jako triumfator tam, gdzie kilka miesięcy przedtem runął tak ciężko. Pojawił się w *foyer* pod ramię z Merlinem i Blondetem, patrząc prosto w twarz dandysom, którzy niegdyś bawili się jego kosztem. Miał Châteleta pod nogami! De Marsay, Vandenesse, Manerville, lwy epoki, wymienili z nim parę wyzywających spojrzeń. Zapewne musiała być mowa o pięknym, eleganckim Lucjanie w łoży pani d'Espard, gdzie Rastignac złożył długą wizytę, gdyż margrabina i pani de Bargeton lornetowały Koralię. Czyżby Lucjan obudził żal w sercu pani de Bargeton? Myśl ta zaprzętała poetę: na widok Korynny z Angoulême żądza zemsty miotała jego sercem jak w owym dniu, w którym odczuł wzdarcę tej kobiety i jej kuzynki na Polach Elizejskich.

— Czyś pan przyjechał z prowincji z jakimś amuletem? — rzekł Blondet, wchodząc w kilka dni później, około jedenastej, do Lucjana, który jeszcze nie wstał z łóżka. — Piękność jego — rzekł, pokazując Lucjana Koralii, którą ucałował w czoło — robi spustoszenia od piwnicy po strych, w górze, w dole. Przychodzę cię zarekwirować, mój drogi — dodał, ściskając rękę poecie — wczoraj we Włoskim hrabina de Montcornet poleciała mi, abym cię przyprowadził. Nie odmówisz, mam nadzieję, kobiecie uroczej, młodej, u której zastaniesz elitę wykwiartnego świata

— Jeżeli Lucjan jest poczciwy — rzekła Koralia — nie pójdzie do pańskiej hrabiny. Na co mu potrzebne wycierać frak po salonach? Znudziłby się.

— Chcesz zatem zmonopolizować, dziecko, swego nadwornego trubadura? — rzekł Blondet. — Byłażbyś zazdrosna o przyzwoite kobiety?

— Tak — wykrzyknęła Koralia — gorsze są niż my.

— Skądże to wiesz, koteczko? — rzekł Blondet.

— Od ich mężów — odparła. — Zapomina pan, że miałam de Marsaya pół roku.

— Czy myślisz, dziecko — rzekł Blondet — że mi wiele zależy na tym, aby wprowadzić do hrabiny de Montcornet mężczyznę tak pięknego jak twój małżonek? Jeżeli się sprzeciwiasz, nie ma o czym mówić. Ale chodzi tu mniej, jak sądzę, o kobiety niż o to, aby wyblagać u Lucjana odpust i przebaczenie dla biednego nieboraka, codziennej pastwy dziennika. Baron du Châtelet jest na tyle dziecinny, że bierze te artykułiki poważnie. Margrabina d'Espard, pani de Bargeton i salon hrabiny de Montcornet interesują się Czaplą, toteż przyrzekłem doprowadzić do pojednania między Laurą a Petrarką, między panią de Bargeton a Lucjanem.

<sup>627</sup>restytucja — przywrócenie dawnego stanu; także: zwrot bezprawnie posiadanej rzeczy. [przypis edytorski]

<sup>628</sup>zapusty (daw.) — karnawał. [przypis edytorski]

<sup>629</sup>Conti — muzyk z powieści Balzaca. [przypis edytorski]

— Ha! — wykrzyknął Lucjan, któremu wszystkie żyły zaczęły pulsować i który uczuł rozkosz zadowolonej zemsty — postawiłem im tedy nogę na brzuchu! Sprawileś w tej chwili, że ubóstwiałem moje pióro, ubóstwiałem moich przyjaciół, ubóstwiałem złowrogą potęgę prasy. Nie pisałem jeszcze sam ani słowa o Rybce i o Czapli. Pójdę, kochasiu — rzekł, biorąc Blondeta wpół — tak, pójdę, ale wówczas, kiedy ta para uczuje ciężar tej rzeczy tak lekko!

Wziął pióro, którym skreślił artykuł o Natanie, i potrząsnął nim.

— Jutro cisnę im dwie małe kolumnienki na głowę. Później zobaczymy. Nie lękaj się niczego, Koraliu; nie chodzi o miłość, ale o zemstę, i chcę, aby była zupełna.

— To mi człowiek! — rzekł Blondet. — Gdybyś wiedział, Lucjanie, jak rzadkim jest spotkać podobny wybuch w zużytych paryskim świecie, mógłbyś się ocenić. Będzie z ciebie tegie ladaco — rzekł, posługując się nieco energiczniejszym wyrażeniem — jesteś na drodze, która prowadzi do władzy.

— Wyplynie — rzekła Koralia.

— Ba! Dość już zrobił drogi w sześć tygodni.

— A kiedy będzie go dzielić od jakiego berła tylko szerokość trupa, może sobie uczynić stopień z ciała Koralii — dodała.

— Kochacie się jak w złotym wieku — rzekł Blondet. — Winszuję ci artykułu — podjął, patrząc na Lucjana — pełen jest nowych myśli. Zdobyłeś sobie ostrogi<sup>630</sup>.

Lousteau, Hektor Merlin i Vernou zaszli odwiedzić Lucjana, który uczuł się mile poglaskany ich względami. Felicjan przyniósł Lucjanowi sto franków honorarium. Dziennik poczuwał się do obowiązku wynagrodzenia pracy tak udanej, aby pozyskać sobie autora. Koralia, widząc zebraną kapitułę<sup>631</sup> dziennikarzy, posłała po śniadanie do Cadran-Bleu, najbliższej restauracji; skoro Berenice oznajmiła, że wszystko gotowe, zaprosiła gości do pięknej jadalni. Przy śniadaniu, kiedy szampańskie uderzyło do wszystkich głów, odsłoniła się racja wizyty, jaką składali Lucjanowi koledzy.

— Nie masz zamiaru — rzekł Lousteau — robić sobie nieprzyjaciela z Natana? Natan jest dziennikarzem, ma przyjaciół, wypłatałby ci jaką psotę przy twojej pierwszej publikacji. Czy nie masz zamiaru wydać *Gwardzisty Karola Dziewiątego*? Widzieliśmy Natana dziś rano, jest w rozpacz; ale ty kropniesz artykułik, w którym bryźniesz mu w twarz samymi pochwałami.

— Jak to? Po moim artykule przeciw jego książce chcecie...? — spytał Lucjan.

Blondet, Merlin, Lousteau, Vernou przerwali mu homerycznym śmiechem<sup>632</sup>.

— Zaprosiłeś go tutaj na kolację pojutrze? — rzekł Blondet.

— Artykuł — ciągnął Lousteau — nie jest podpisany. Felicjan, który nie jest taki nowicjusz jak ty, miał tę oględność, aby podznaczyć go literą C, którą możesz odtąd podpisywać artykuły w jego dzienniku, należącym do skrajnej lewicy. My wszyscy jesteśmy w opozycji. Felicjan okazał tę delikatność, iż nie chciał wiązać twoich przyszłych przekonań. W kramiku Hektora, który jest prawe centrum, możesz podpisywać L. Atakuje się anonimowo, ale można podpisać pochwałę.

— Nie chodzi o podpis — rzekł Lucjan — ale nie mam nic do powiedzenia na korzyść książki.

— Wierzyłeś zatem w to, coś pisał? — rzekł Hektor.

— Tak.

— Och, mój chłopcze — rzekł Blondet — uważałem cię za tęższego! Nie, słowo honoru daję, patrząc na twoje czoło, przypisywałem ci wszechmoc podobną tej, jaką mają wielkie umysły, których potężna organizacja zdolna jest ujmować każdą rzecz pod jej dwoistą postacią. Moje dziecko, w literaturze wszelka idea ma swoją prawą i lewą stronę; nikt nie może przysiąc, która jest lewa. Wszystko jest dwustronne w dziedzinie myśli. Idee mają dwie twarze. Janus<sup>633</sup> jest mitem krytyki i symbolem geniuszu. Jedynie Bóg

Twórczość

<sup>630</sup>*Zdobyłeś sobie ostrogi* — częścią ceremoniału pasowania na rycerza było przypięcie ostróg, dokonywane przez stojącego wyżej w hierarchii społecznej. [przypis edytorski]

<sup>631</sup>*kapituła* — rada przełożonych zakonu, tu ogólnie: zgromadzenie. [przypis edytorski]

<sup>632</sup>*homeryczny śmiech* — niepohamowany, głośny, szczery śmiech, jakim śmieją się bogowie w *Iliadzie* Homera. [przypis edytorski]

<sup>633</sup>*Janus* (mit. rzym.) — bóg początków, przejść i zmian, opiekun drzew, bram i mostów, zwyczajowo przedstawiany z dwiema twarzami. [przypis edytorski]

jest trójkątem! Co stawia Moliera i Corneille'a<sup>634</sup> w rzędzie mistrzów, jeśli nie ta zdolność mówienia „tak” ustami Alcesta, a „nie” ustami Filinta<sup>635</sup>; Augusta i Cynny<sup>636</sup>? Rousseau w *Nowej Heloizie* napisał list za i przeciw pojedynkowi; czy ważyłbyś się rozstrzygnąć, jakie było jego prawdziwe mniemanie? Kto z nas mógłby wydać sąd między Klaryssą a Lowelasem<sup>637</sup>, Achillesem a Hektorem? Który z nich jest bohaterem Homera? Jaka była intencja Richardsona? Krytyka powinna oglądać dzieła pod wszelkim kątem. Słowem, my jesteśmy wielcy protokolanci.

— Obstawiasz przy tym, coś napisał? — rzekł drwiąco Felicjan. — Ależ my jesteśmy handlarze frazesów, żyjemy z naszego kramiku. Kiedy będziesz chciał stworzyć wielkie i piękne dzieło, słowem, książkę, będziesz mógł zakląć w nią swoją myśl, duszę, wżyć się w nią, bronić jej; ale artykuł, czytany dziś, zapomniany jutro, to warte dla mnie tylko tyle, ile za to płacą. Jeżeli przywiązujesz wagę do podobnych dzieciństw, niedługo zaczniesz żegnać się znakiem krzyża i wzywać Ducha Świętego, aby napisać prospekty dla księgarni.

Wszyscy dziwili się skrupułom Lucjana i do reszty podarli w strzępy jego suknię młodzieńczą, aby mu włożyć męską togę dziennikarza.

— Czy wiesz, czym pocieszył się Natan, przeczytawszy twój artykuł? — rzekł Lousteau.

— Skąd mogę wiedzieć?

— Wykrzyknął: „Artykułik mija, dzieło zostaje”. Ten człowiek przyjdzie tu za dwa dni na wieczerzę, powinien słać się u twoich nóg, całować twoje ostrogi i mówić ci, że jesteś wielkim człowiekiem.

— To byłoby zabawne — rzekł Lucjan.

— Zabawne? — odparł Blondet. — To konieczne.

— Moi drodzy, ja chciałbym, i owszem — rzekł Lucjan, nieco „zaprószonej” — ale jak to zrobić?

— Otóż — rzekł Lousteau — napisz do dziennika Merlina trzy kolumny, w których odeprzesz samego siebie. Ubawiwszy się wściekłością Natana, powiedzieliśmy mu, że niebawem będzie nam dziękował za tęgą polemikę, którą sprawimy, że książkę jego rozchwytają w ciągu tygodnia. W tej chwili jesteś dlań szpiegiem, kanalią, hultajem; pojutrze będziesz wielkim człowiekiem, otwartą głową, mężem na miarę Plutarcha! Natan uściska cię jako najlepszego przyjaciela. Dauriat kapitulował, masz trzy tysiące w kieszeni: sztuka się udała. Teraz potrzebny ci szacunek i przyjaźń Natana. Wykierowany powinien być tylko księgarz. Powinniśmy prześladować i gnębić tylko naszych wrogów. Gdyby chodziło o człowieka, który zdobył imię bez nas, o niewygodny talent, który trzeba by unicestwić, nie obstawalibyśmy za podobną repliką; ale Natan to nasz kompan; sam Blondet postarał się, aby książkę zaatakowano w „*Mercure*”<sup>638</sup>, aby mieć przyjemność odpowiedzi w „*Debatach*”. Toteż pierwsze wydanie rozeszło się w lot!

— Moi drodzy, słowo uczciwego człowieka, niezdolny jestem napisać dwóch słów pochwały o tej książce...

— Znów zarobisz sto franków — rzekł Merlin. — Natan przyniesie ci już dziesięć ludwików, nie licząc artykułu, który możesz umieścić u Finota i za który dostaniesz sto franków od Dauriata, a sto od redakcji: łącznie dwadzieścia ludwików!

— Ale co powiedzieć?

— Oto jak mógłbyś się z tego wypłatać, moje dziecko — odparł Blondet, skupiając się. — Zawieść, która się czepia tęgich dzieł, jak robak zdrowych owoców, próbowała ukąsić tę książkę, powiesz. Aby odkryć w niej wady, krytyk musiał ukuć specjalne teorie, rozróżnić dwie literatury: idei i obrazów. Tu powiesz, mój mały, że ostatnim wyrazem

<sup>634</sup>Corneille, *Pierre* (1606–1684) — francuski dramaturg, autor tragedii klasycystycznych. [przypis edytorski]

<sup>635</sup>*Alcest i Filint* — bohaterowie komedii Moliera *Mizantrop* (1666): Alcest występuje przeciwko obłudzie arystokracji francuskiej, Filint jest wobec niej tolerancyjny. [przypis edytorski]

<sup>636</sup>*August i Cynna* — bohaterowie tragedii Pierre'a Corneille'a *Cynna, czyli łaskawość Augusta* (1643): Cynna zobowiązuje się zabić cesarza Augusta dla pomśzczenia ojca swojej ukochanej, jednak dobroć i hojność władcy stawiają go przed dylematem. [przypis edytorski]

<sup>637</sup>*Klaryssa i Lowelas* — para głównych bohaterów powieści *Klaryssa czyli historia młodej damy* (1748) Samuela Richardsona. [przypis edytorski]

<sup>638</sup>„*Mercure de France*” — pierwsze francuskie czasopismo literackie, założone w 1672 jako „*Mercure Galant*”, zmieniło nazwę w 1724; wydawane do 1825, dwukrotnie wskrzeszane, ostatecznie przestało się ukazywać w 1965. [przypis edytorski]

sztuki pisarskiej jest zamknąć ideę w obrazie. Starając się dowieść, że obraz to cała poezja, będziesz ubolewał nad naszym językiem, który ma tej poezji tak skąpo, wspomnisz o zarzutach, jakie czynią cudzoziemcy *pozytywizmowi* naszego stylu, i pochwalisz pana de Canalis i Natana za usługi, jakie oddają Francji *deprozaizując* język. Rozbij w puch poprzednią swą argumentację, wykazując, iż postąpiliśmy naprzód od osiemnastego wieku. Wymyśl *postęp* (cudowna mistyfikacja dla kołtunów)! Nasza młoda literatura operuje obrazami, w których spotykają się wszystkie rodzaje, komedia i dramat, opisy, charakter, dialog, spojone węzłami zajmującej intrygi. Powieść, która wymaga uczucia, stylu i obrazu, jest najpotężniejszym nowożytnym tworem; zajęła miejsce komedii, która w nowoczesnym społeczeństwie nie jest możliwa ze swymi starymi prawidłami. W swoich koncepcjach, które wymagają i dowcipu La Bruyère'a, i jego wnikliwego spojrzenia, obejmuje ona fakt i ideę, charakter ujęte na modłę Moliera, wielkie dramaty Szekspirowskie i najdelikatniejsze odcienie namiętności, jedyny skarb, jaki zostawili nam poprzednicy. Toteż powieść jest o wiele wyższa od zimnej i matematycznej dyskusji, od suchej analizy osiemnastego wieku. „Powieść — rzekniesz sentencjonalnie — to epepeja, z tą poprawką, że jest zabawna”. Cytuj *Korynnę*, powołuj się na panią de Staël. „Osiemnasty wiek wszystko ujął w pytajnik, dziewiętnasty ma za zadanie wyciągnąć konkluzję; jakoż wyciąga ją za pomocą realności, które żyją i chodzą; wprowadza w grę namiętność, czynnik nieznanym Wolterowi. (Tu tyrada przeciw Wolterowi). Co do romansów Russa, to są tylko poubierane rozumowania i systemy. Julia i Klara<sup>639</sup> to entelechie<sup>640</sup>, nie mają ciała ani kości”. Możesz haftować na ten temat i powiedzieć, że winni jesteśmy pokojowi i Burbonom literaturę młodą i oryginalną, bo pamiętaj, że piszesz w dzienniku prawego centrum. Naigrawaj się z fabrykantów systemów. Wreszcie możesz wykrzyknąć w pięknym uniesieniu: „Oto jak ocena naszego kolegi roi się od błędów, od kłamstw! I czemu? Aby poniżyć piękne dzieło, aby oszukać publiczność i dojść do tego wniosku: Książka, która idzie, nie idzie. *Proh pudor!*”<sup>641</sup> Koniecznie *proh pudor!* To szanowne przekleństwo podnieca czytelnika. Wreszcie lamentuj nad upadkiem krytyki! Konkluzja: „Jest tylko jedna literatura, literatura książek zajmujących. Natan wszedł na nową drogę, zrozumiał swoją epokę i odpowiada jej potrzebom. Potrzebą epoki jest dramat. Dramat jest pragnieniem wieku, w którym polityka jest nieustającym mimodramem. Czyż nie mieliśmy — powiesz — w ciągu dwudziestu lat czterech dramatów: Rewolucji, Dyktatoratu, Cesarstwa i Restauracji?” Stąd toczysz się wartko w dytyramb<sup>642</sup> pochwały i oto drugie wydanie rozchwyte! Oto jak: w przyszłą sobotę napiszesz ćwiartkę w naszym tygodniku i podpiszesz ją „de Rubempré”, nazwiskiem. W tym ostatnim artykule powiesz: „Właściwością pięknych dzieł jest, że wzniecają bogate dyskusje. W tym tygodniu taki a taki dziennik powiedział to a to o książce Natana, ten a ten odpowiedział mu na to wymownie”. Krytykujesz obu krytyków: C. i L., mówisz mi mimochodem komplement z okazji mego pierwszego artykułu w „Debatach” i kończysz, twierdząc, że książka Natana jest najpiękniejszym dziełem epoki. To nie obowiązuje do niczego, to się mówi o wszystkich książkach. Zarobiłeś czterysta franków w ciągu tygodnia, oprócz przyjemności, iż gdzieś po drodze napisałeś prawdę. Ludzie rozsądni przyznają słuszność albo panu C., albo L., albo Rubemprému, może wszystkim razem! Mitologia, która niewątpliwie jest jednym z największych wymysłów ludzkich, umieściła prawdę na dnie studni<sup>643</sup>: czyż nie trzeba wiader, aby ją wyciągnąć? Dałeś publiczności trzy zamiast jednego. *Ecco*<sup>644</sup>, mój chłopcze. A teraz naprzód, marsz!

Lucjan był oszołomiony; Blondet ucałował go w oba policzki, mówiąc:

— Idę do budy.

<sup>639</sup>*Julia i Klara* — postaci z sentymentalnej powieści epistolarnej *Nowa Heloiza* (1761) Jeana Jacques'a Rousseau. [przypis edytorski]

<sup>640</sup>*entelechia* — w filozofii Arystotelesa: działająca celowo w organizmie żywym wewnętrzna tendencja a. siła, kształtująca jego materię i powodująca rozwój; tu w znaczeniu: czysta forma, abstrakcja. [przypis edytorski]

<sup>641</sup>*proh pudor* (łac.) — o hańbo. [przypis edytorski]

<sup>642</sup>*dytyramb* (lit.) — rozwinięta w kulturze greckiej pieśń pochwalna, utrzymana w patetycznym tonie. [przypis edytorski]

<sup>643</sup>*Mitologia* (...) *umieściła prawdę na dnie studni* — stwierdzenie, iż prawda leży w głębinach (często tłumaczone: na dnie studni), pochodzi nie z mitologii, lecz od Demokryta z Abdery, filozofa greckiego z V w. p.n.e., cytowanego przez Diogenesa Laertiosa (ks. IX, 72). [przypis edytorski]

<sup>644</sup>*ecco* (wł.) — ot, otóż. [przypis edytorski]



Każdy poszedł do swojej budy. Dla tych *mocnych* ludzi dziennik był tylko budą. Wszyscy mieli się spotkać wieczorem w Galeriach Drewnianych, gdzie Lucjan zamierzał wstąpić, aby podpisać umowę z Dauriatem. Floryna i Lousteau, Lucjan i Koralia, Blondet i Finot obiadowali w Palais-Royal, gdzie du Bruel podejmował dyrektora Panorama-Dramatique.

— Mają słuszość — wykrzyknął Lucjan — ludzie powinni być narzędziami w rękach tęgich chwatów. Czteryście franków za trzy artykuły! Doguereau zaledwie chciał mi je dać za książkę, która kosztowała mnie dwa lata pracy.

— Bądź krytykiem — rzekła Koralia — baw się! Czyż ja się nie przebieram dziś za Andaluzijkę, jutro za Cygankę, pojutrze za chłopca? Rób jak ja, fikaj im kozły za ich pieniądze i żyjmy szczęśliwie.

Lucjan, oczarowany paradoksem, dosiadł swą inteligencją tego kapryśnego muła, syna Pegaza<sup>645</sup> i oślidy Balaama<sup>646</sup>. Jął galopować po błoniach myśli podczas przejażdżki w Lasku i odkrył nowe piękności w tezie Blondeta. Zjadł obiad jak człowiek, który czuje się szczęśliwy, podpisał u Dauriata umowę, mocą której odstępował mu na zupełną własność rękopis *Stokroci*, nie przewidując w tym żadnego podstępu; wreszcie wstąpił do dziennika, gdzie nakreślił dwie kolumny, i wrócił na ulicę Vendôme. Nazajutrz rano uczuł, iż wczorajsze myśli wykielkowały w jego głowie, jak bywa w mózgach pełnych soku, jeszcze nie zużytych. Lucjan z rozkoszą obmyślał nowy artykuł, wziął się z zapalem do pracy. Pióro jego znalazło piękności płynące z tarcia słów. Był dowcipny i drwiący, wznosił się nawet do oryginalnych poglądów na uczucie, myśl i obraz w literaturze. Umysł jego, wrażliwy i lotny, odnalazł, aby pochwalić Natana, pierwsze wrażenia doznane przy czytaniu książki w bibliotece publicznej. Z krwawego i cierpkiego krytyka, z przezabawnego kpiarza Lucjan zmienił się w poetę w ostatnich kilku zdaniach, które kołysały się majestatycznie niby kadzielnice przed ołtarzem.

— Sto franków, Korolio! — rzekł, ukazując osiem ćwiartek zapisanych, gdy aktorka się ubierała.

Korzystając z werwy, nakreślił od niechcienia zapowiedziany Blondetowi pamflecik na barona du Châtelet i panią de Bargeton. Zakosztował tego ranka jednej z najmilszych dziennikarzom tajemnych rozkoszy: rozkoszy ostrzenia złośliwości, szlifowania zimnej klingi, która wbija się w serce ofiary, a zarazem rzeźbienia rękojeści dla czytelników. Publiczność podziwia misterną robotę tej rękojeści, nie czuje żądła, nie wie, że dyszące zemstą ostrze konceptu ryje się w skrwawionej umiejętności miłości własnej, przesytej tysiącem ciosów. Ta straszliwa rozkosz, posępna i samotnicza, smakowana bez świadków, jest niby pojedynkiem z nieobecnym, zabijanym na odległość ukłuciem pióra, jak gdyby dziennikarz miał ów fantastyczny talizman bajek arabskich. Paszkwil to geniusz nienawiści, nienawiści, która czerpie sok ze wszystkich złych namiętności, tak samo jak miłość skupia w sobie wszystkie przymioty. Dlatego nie ma człowieka, który by nie był dowcipny w zemście, jak nie ma takiego, którego by nie upajała miłość. Mimo łatwości, pospolitości tego dowcipu we Francji, trafia on zawsze do smaku. Artykułik ten miał doprowadzić i doprowadził do szczytu reputację złośliwości i niegodziwości dzienniczka; wszedł aż do dna dwu serc, zranił głęboko panią de Bargeton, eks-Laureę, i barona du Châtelet, rywala Lucjana.

— No, dalej, teraz do Lasku; konie zaprzężone, niecierpliwią się — rzekła Koralia — nie trzeba się zabijać pracą.

— Zawieźmy artykuł o Natanie do Hektora. Stanowczo dziennik jest jak włócznia Achillea, goi rany, które zadaje<sup>647</sup> — rzekł Lucjan, poprawiając jeszcze kilka wyrażań.

Para kochanków pomknęła i ukazała się w całej świetności temu Paryżowi, który niegdyś wyparł się Lucjana, a który obecnie zaczynał się nim zajmować. Zająć Paryż sobą, kiedy się zrozumiało ogrom tego miasta i trudność stania się w nim *czymś*, to źródło upajającej rozkoszy, która też odurzyła Lucjana.

<sup>645</sup> Pegaz (mit. gr.) — skrzydlaty koń, symbol natchnienia poetyckiego i malarskiego. [przypis edytorski]

<sup>646</sup> oślida Balaama — oślida, na której podróżował biblijny prorok Balaam i która przemówiła do niego ludzkim głosem, kiedy niewidzialny dla niego anioł zastąpił drogę (Lb 22–23). [przypis edytorski]

<sup>647</sup> jak włócznia Achillea, goi rany, które zadaje — wg mitów greckich rana, którą Achilles zadał swoją włócznią Telefosowi, synowi Heraklesa i królowy tegejskiej Auge, nigdy się nie goiła, mogło ją uleczyć jedynie to samo ostrze. [przypis edytorski]

— Moje kochanie — rzekła aktorka — wstąpmy do krawca przynaglic twoje ubrania i przymierzyc je, o ile są gotowe. Jeżeli pójdziesz do swoich cacanych damul, chcę, abyś zakasował tego potwora de Marsay, młodego Rastignaca i wszystkich Ajuda-Pintów, Maksymów de Trailles, Vandenesse'ów, słowem wszystkich elegantów. Pamiętaj, że jesteś kochankiem Koralii. Ale nie splatasz mi jakiego figla, co?...

W dwa dni później, w wilię kolacji wydanej przez Lucjana i Koralię dla przyjaciół, teatrzyk Ambigu wystawiał nową sztukę, z której Lucjan miał pisać sprawozdanie. Zjadłszy obiad, kochankowie udali się piechotą z ulicy Vendôme do Panorama-Dramatique, szli przez bulwar du Temple po stronie kawiarni Tureckiej, która w owym czasie stanowiła jeden z modniejszych punktów. Lucjan słyszał zachwyty nad swoim szczęściem i nad pięknością kochanki. Jedni mienili Koralię najpiękniejszą kobietą w Paryżu, drudzy znajdowali, iż Lucjan jest jej godny. Poeta czuł się w swoim środowisku. To było jego życie. Biesiadę zaledwie że pamiętał! Te wielkie duchy, ci ludzie, których tak podziwiał dwa miesiące temu, dziś rodzili w nim pytanie, czy oni nie byli trochę głupiutcy ze swymi pojęciami i swym purytyzmem<sup>648</sup>. Miano dudków, rzucone lekko przez Koralię, wykielkowało w umyśle Lucjana i wydało owoce. Odprowadziwszy Koralię do garderoby, krążył chwilę po kulisach, gdzie przechadzał się jak sułtan: wszystkie aktorki pieściły go spojrzzeniami i słówkami pełnymi pochlebstwa.

„Trzeba iść do Ambigu pełnić swoje rzemiosło” — rzekł sobie.

W Ambigu sala była pełna; nie było miejsca dla Lucjana. Lucjan udał się za kulisy, czyniąc cierpkie wymówki, że go nie ulokowano. Sekretarz, który nie znał go jeszcze, oświadczył, iż posłano dziennikowi dwie łóża, i odprawił poetę z kwitkiem.

— Będę pisał o sztuce wedle tego, ile usłyszę — rzekł Lucjan, dotknięty.

— Jaki pan głupi! — rzekła pierwsza amantka do reżysera. — To amant Koralii.

Natychmiast sekretarz zwrócił się do Lucjana i rzekł:

— Niech pan będzie łaskaw zaczekać, pomówię z dyrektorem.

Tak więc najdrobniejsze szczegóły dowodziły Lucjanowi potęgi dziennika i pieściły jego próżność. Dyrektor przybył i uzyskał od księcia de Rhétoré i tancerki Tulii, którzy zajmowali łóża na proscenium, że zaprosili Lucjana do siebie. Książę zgodził się, poznając Lucjana.

— Doprowadził pan dwie osoby do rozpacz — rzekł młody człowiek, opowiadając o baronie du Châtelet i pani de Bargeton.

— Cóż dopiero będzie jutro? — rzekł Lucjan. — Dotychczas przyjaciele moi bawili się nimi jak woltyżerowie, ale dzisiejszej nocy strzelam ostrymi kulami. Jutro zobaczycie, czemu sobie drwimy z Poteleta. Artykuł zatytułowany jest: „Potelet w tysiąc osiemset jedenastym a Potelet w tysiąc osiemset dwudziestym pierwszym”. Châtelet będzie typem ludzi, którzy zaparli się swego dobroczyńcy, przechodząc do Burbonów. Skoro dam im uczuć wszystko, *co mogę*, pójdę do pani de Montcornet.

Podczas rozmowy z księciem Lucjan sypał iskrami dowcipu; pragnął za wszelką cenę dowieść młodemu magnatowi, jak grubą omyłkę popełniły panie d'Espard i de Bargeton, lekceważąc go; ale zdradził niechcący swoją słabostkę, próbując podtrzymać swoje prawa do nazwiska de Rubempré, kiedy przez złośliwość księcia de Rhétoré nazwał go panem Chardonem.

— Powinien by pan — rzekł książę — zostać rojalistą. Pokazałeś, że masz talent, pokaż teraz, że masz głowę. Jedyńm sposobem uzyskania dekretu króla, który by panu wrócił tytuł i nazwisko macierzystych przodków, jest prosić o to w nagrodę usług oddanych dynastii. Liberały nigdy cię nie zrobią hrabią! Widzisz pan, Restauracja da sobie w końcu radę z prasą, jedyną naprawdę niebezpieczną potęgą. Nadto długo zwlekano, już powinna by mieć kaganiec na pysku. Skorzystaj pan z ostatnich chwil tej wolności, aby się okazać groźnym. Za kilka lat nazwisko i tytuł będą we Francji bogactwem pewniejszym niż talent. Może pan w ten sposób mieć wszystko: talent, szlachectwo i urodę; świat będzie przed tobą otworem. Bądźże więc na razie liberałem, ale jedynie po to, aby dobrze sprzedać swój rojalizm.

<sup>648</sup>purytanizm (z łac. *puritas*: czystość) — ruch religijno-społeczny dążący w XVI–XVII w. do zwiększenia czystości doktrynalnej Kościoła anglikańskiego oraz propagujący surowe zasady moralne i obyczaje; przen.: rygorystyczność, surowość zasad moralnych. [przypis edytorski]

Księżę prosił Lucjana, aby przyjął zaproszenie na obiad, jakie zamierzał mu przesłać ambasador, z którym wieczerał u Floryny. W jednej chwili Lucjan uległ czarowi refleksji młodego panka oraz szczęściu, iż otwierają się przed nim drzwi salonów, z których kilka miesięcy temu czuł się na zawsze wygnany. Podziwiał potęgę myśli. Prasa i inteligencja są tedy dźwignią obecnego społeczeństwa. Lucjan zrozumiał, że Lousteau już może żałuje, iż otworzył mu wrota świątyni; sam czuł już, z własnego popędu, potrzebę trudnych do przebycia zapór dla tych, którzy się cisną z prowincji do Paryża. Gdyby poeta jakiś przyszedł do niego, tak jak on się rzucił w ramiona Stefana, nie śmiał pytać sam siebie, z jakim by się spotkał przyjęciem. Młody księżę spostrzegł głęboką zadumę Lucjana i nie omylił się co do przyczyn: odsłonił ambitnemu chłopcu, bez określonej woli, ale nie bez pragnień, cały horyzont polityczny, tak jak dziennikarze ukazali mu z krążanka świątyni, niby zły duch Jezusowi, świat literatury i jego bogactwa. Lucjan nieświadom był małego spisku uknutego przez ludzi, których dzienniczek w tej chwili ranił, spisku, w którym pan de Rhétoré maczał palce. Młody księżę przeraził salon pani d'Espard, prawiąc cuda o talentach i dowcipie Lucjana. Uproszony przez panią de Bargeton, aby wysondował dziennikarza, miał nadzieję spotkać go w Ambigu-Comique. Ani wielki świat, ani dziennikarze nie kryli żadnych głębin, nie wierzyli w jakieś uplanowane zdrady. Ani jedna, ani druga strona nie układała planu; makiawelizm ten działa, można rzec, z dnia na dzień i polega na tym, aby być zawsze przytomnym, gotowym na wszystko, umieć wyzyskać tak złe, jak i dobre, śledzić chwilę, w której namiętność wyda im człowieka. Na kolacji u Floryny młody księżę poznał charakter Lucjana, brał go na lep próżności i ćwiczył się na nim jako przyszły dyplomata.

Po przedstawieniu Lucjan pobiegł na ulicę Saint-Fiacre napisać recenzję. Krytyka jego była z wyrachowaniem, ostra i gryząca; znajdował przyjemność w tym, aby spróbować swej siły. Melodram był lepszy niż w Panorama-Dramatique; ale dziennikarz chciał się przekonać, czy może, jak mu mówiono, zabić dobrą sztukę i dać sukces lichej. Nazajutrz, siedząc przy śniadaniu z Koralią, rozwinął dziennik, powiedziawszy jej, że w puch rozbił Ambigu-Comique. Jakież było jego zdumienie, kiedy po artykuliku o pani de Bargeton i Châtelecie ujrzał recenzję z Ambigu tak doskonale ocukrzoną przez noc, że — przy zachowaniu dowcipnego rozbioru sztuki — wypadła zeń konkluzja pochlebna. Sztuce wróżono wielkie powodzenie. Trudno odmalować wściekłość Lucjana; postanowił rozmówić się ze Stefanem. Uważał się już za nieodzownego i obiecywał sobie, iż nie da sobą rządzić, wyzyskiwać się jak dudek. Aby rozwinąć całą swą potęgę, napisał artykuł, w którym streszczał i ważył wszystkie sądy o książce Natana: artykuł przeznaczony był do przeglądu Dauriata i Finota. Następnie, raz się rozgrzawszy, nakreślił jedną z sylwetek swego cyklu „Rozmaitości” dla małego dzienniczka. W pierwszym kipieniu werwy młodzi dziennikarze płodzą artykuły z miłością i oddają w ten sposób niebacznie wszystkie swoje kwiaty. Dyrektor Panorama-Dramatique dawał premierę nowego wodewilu, aby zostawić Florynie i Koralii wolny wieczór. Przed kolacją miała być partyjka. Lousteau wstąpił po recenzję napisaną zawczasu o sztuce, którą Lucjan widział na generalnej próbie, aby być zupełnie spokojnym o numer. Kiedy Lucjan przeczytał mu jedną z tych uroczych impresji z bruku Paryża, które stworzyły powodzenie pisma, Stefan ucałował poetę z dubeltówki, nazywając go opatrnością dzienników.

— Czemu zatem pozwalasz sobie zmieniać ducha moich artykułów? — rzekł Lucjan, który nakreślił tę świetną stronicę jedynie po to, aby dać większą siłę swym wyrzutom.

— Ja? — wykrzyknął Lousteau.

— Któż tedy zmienił moją recenzję?

— Mój drogi — rzekł Stefan, śmiejąc się — nie znasz jeszcze tajemnic redakcji. Ambigu bierze u nas dwadzieścia abonamentów, z których dostarczamy tylko dziewięć: dyrektor, kapelmistrz, reżyser, ich kochanki i trzej współwłaściciele teatru. Każdy z bulwarowych teatryków płaci w ten sposób dziennikowi osiemset franków. Tyleż przedstawiają łoża, które dają Finotowi, nie licząc abonamentu aktorów i autorów. Hycel wybija w ten sposób osiem tysięcy franków z samych bulwarów. Z małych teatrów możesz sądzić o dużych! Rozumiesz? Musimy być bardzo pobłażliwi.

— Rozumiem, że nie mam prawa pisać tego, co myślę...

— Ech! Cóż ci to szkodzi, skoro i ty masz swój udział? — wykrzyknął Lousteau. — Zresztą, mój drogi, co masz za pretensję do tego teatru? Trzeba jakiejś przyczyny, aby

Interes

zerznąć sztukę. Różąc, aby różnić, skompromitowalibyśmy pismo. Później, kiedy dziennik atakowałby z racją, nie robiłby już żadnego efektu. Czy dyrektor ci w czym uchybił?

— Nie zatrzymał mi miejsca.

— Dobrze — rzekł Lousteau. — Pokażę twój artykuł dyrektorowi, powiem, że go złagodził, i lepiej na tym wyjdiesz, niż gdybyś go ogłosił. Poproś go jutro o bilety, podpisze ci czterdzieści *in blanco*<sup>649</sup> na cały miesiąc, a ja cię zaprowadzę do człowieka, z którym się porozumiesz co do ulokowania ich; kupi je od ciebie z opustem pięćdziesiąt na sto od ceny przy kasie. Na biletach robi się ten sam handel co na ksiązkach. Zobaczysz innego Barbeta, szefa klaki, mieszka niedaleko stąd, mamy czas, chodź.

— Ale, mój drogi, Finot uprawia haniebne rzemiosło, ściągając na niwie myśli takie dwuznaczne podatki. Wcześniej czy później...

— Ech! Czy ty spadłeś z księżycą? — wykrzyknął Lousteau. — Za kogo ty bierzesz Finota? Pod jego fałszywą dobroduszością, pod tą miną Turcareta<sup>650</sup>, pod powłoką ignorancji i głupoty siedzi w nim cała chytryść kramarza, z jakiego wyszedł. Czyś nie widział w biurze dziennika, w klatce z nagłówkiem „Kasa”, żołnierza Cesarstwa, wujaszka Finota? Ten wuj jest nie tylko uczciwym człowiekiem, ale ma to szczęście, iż uchodzi za głupca. Otóż on jest z góry skompromitowany we wszystkich transakcjach pieniężnych. W Paryżu człowiek ambitny wygrał los na loterii, jeśli ma przy sobie kreaturę, która godzi się przyjąć tę wątpliwą rolę. W polityce, jak w dziennikarstwie, jest mnóstwo wypadków, w których szef nie powinien wchodzić w grę. Gdyby Finot stał się figurą polityczną, wuj zostałby jego sekretarzem i pobierałby na swój rachunek kontrybucje, jakie urzędy nasze ściągają od wielkich afer. Giroudeau, którego na pierwszy rzut oka wzięłoby się za głupca, ma właśnie na tyle sprytu, aby być nieodgadniętym. Stoi na straży, abyśmy nie byli co dzień pastwą krzyków, pretensji, debiutantów, reklamacji, i nie sądzę, by miał równego sobie w którym dzienniku.

— Tak — rzekł Lucjan — widziałem go przy robocie.

Stefan i Lucjan udali się na ulicę Faubourg-du-Temple, gdzie naczelny redaktor zatrzymał się przed okazałym domem.

— Czy pan Braulard jest u siebie? — spytał odźwiernego.

— Jak to, *pan*? — rzekł Lucjan. — Szef klaki jest *panem*?

— Mój drogi, Braulard ma dwadzieścia tysięcy franków renty, klientelę jego tworzą wszyscy autorowie dramatyczni bulwarów: mają u niego bieżący rachunek jak u bankiera. Bilety autorskie i inne gratisówki to towar; Braulard zajmuje się jego lokatą. Popracuj trochę w statystyce: użyteczna nauka, byle jej nie nadużywać. Licząc po pięćdziesiąt biletów na wieczór z każdego teatru, masz dwieście pięćdziesiąt dziennie; jeżeli jeden w drugi warte są po dwa franki, Braulard płaci sto dwadzieścia pięć franków dziennie autorom i kupuje widoki zarobienia tyłuż. Tak więc same bilety autorskie dają mu blisko cztery tysiące na miesiąc, razem czterdzieści osiem tysięcy rocznie. Przyjmij dwadzieścia tysięcy straty, bo nie zawsze może umieścić wszystkie bilety.

— Czemu?

— Och! Widzowie, którzy kupili po prostu w kasie, mają pierwszeństwo przed gratisowymi, którzy nie posiadają miejsc zarezerwowanych. Słowem, teatr zachował sobie tutaj głos decydujący. Bywają dnie ładnej pogody, a lichych spektaklów. Ogółem Braulard zarabia może trzydzieści tysięcy na tym artykule. Potem, ma swoją klakę: drugi przemysł. Floryna i Koralia siedzą u niego w kieszeni; gdyby się mu nie opłacały, nie miałyby brawa przy wejściu i zejściu ze sceny.

Lousteau udzielał tych objaśnień półgłosem, wchodząc na schody.

— Paryż jest szczególnie krainą — rzekł Lucjan, widząc interes czający się we wszystkich kątach.

Schludna służąca wprowadziła dziennikarzy do pana Braularda. Handlarz biletów, siedzący na okazałym fotelu przy wielkim biurku, podniósł się, widząc Stefana. Braulard, otulony w miękką flanelową kurtę, miał pantalone ze strzemiączkami i czerwone pantofle, ni mniej ni więcej jak jaki lekarz lub adwokat. Lucjan ujrzał w nim człowieka z gminu,

<sup>649</sup>*in blanco* (z wł.) — o formularzu, dokumencie itp.: niewypełniony, zawierający tylko podpis wystawiającego. [przypis edytorski]

<sup>650</sup>*Turcaret* — tytułowy bohater komedii Alaina-Reného Lesage’a z 1709, nieuczciwy, bezwzględny i rozwiązły finansista. [przypis edytorski]

spasionego dostatkami: twarz pospolita, szare oczki pełne chytrłości, ręce klakiera, cera, po której orgie spłynęły jak deszcz po dachu, siwiejące włosy, głos nieco przygasły.

— Przychodzi pan zapewne w sprawie panny Floryny, a pan szanowny w sprawie panny Koralii? Poznaję pana. Niech pan będzie spokojny — rzekł do Lucjana — kupuję klientelę Gymnase, będę dbał o pańską damę i uprzedzę ją o kawałach, jakie chciano by jej płatać.

— Propozycja będzie mile przyjęta, mój drogi Braulard — rzekł Lousteau — ale na razie przychodzimy o bilety redakcyjne wszystkich bulwarowych teatrów: ja jako naczelny, pan jako sprawozdawca.

— Aha, tak, Finot sprzedał dziennik. Wiedziałem o tym. Finot jedzie ostro. Zaprosiłem go na obiad z końcem tygodnia. Jeżeli panowie uczynicie mi ten zaszczyt i przyjemność, aby przybyć również, możecie przyprowadzić swoje małżonki; zapowiada się szeroka zabawa; będziemy mieli Adelę Dupuis, Ducange'a, Fryderyka Du Petit-Méré, moją kochankę pannę Millot; będziemy śmiać się tęgo! A pić jeszcze tężej.

— Ducange musi być w opalach: przegrał proces!<sup>651</sup>

— Pożyczyłem mu dziesięć tysięcy; powodzenie *Calasa*<sup>652</sup> zwróci mi je; podgrzałem je też naleźycie! Ducange to chłopak z talentem, da sobie radę...

Lucjanowi zdawało się, że śni, słysząc tego człowieka oceniającego talenty autorów.

— Koralia wyrabia się — rzekł Braulard tonem kompetentnego sędziego. — Jeżeli będzie grzeczna, poprę ją po cichu przeciw intrygom przy debiucie w Gymnase. Posłuchaj pan: na jej intencję rozmieszczę na galerii chwatów, którzy będą uśmiechać się i robić szmerek, aby pociągnąć oklaski. To sztuczka, która stawia aktorkę. Podoba mi się Koralia, musi pan z niej być zadowolony, to sercowa kobieta. He, he! Już ja tam potrafię wygwizdać, kogo zechcę...

— Uregulujmyż sprawę z biletami — rzekł Lousteau.

— Dobrze, zajdę po nie osobiście do pana w pierwszych dniach każdego miesiąca. Ten pan jest pańskim przyjacielem, będę go traktował na równi z panem. Masz pan pięć teatrów, dadzą panu trzydzieści biletów; to będzie coś około siedemdziesięciu pięciu franków miesięcznie. Może chce pan coś naprzód? — rzekł handlarz biletów, wracając do biurka i wyciągając zeń szufladę pełną talarów.

— Nie, nie — rzekł Lousteau — zachowamy tę deskę ratunku na czarną godzinę.

— Panie — rzekł Braulard do Lucjana — przyjdę na konferencję z Koralią w tych dniach, porozumiemy się.

Lucjan rozglądał się nie bez głębokiego zdziwienia po gabinecie, gdzie ujrzał bibliotekę, ryciny, przyzwoite urządzenie. Przechodząc przez salon, zauważył umeblowanie równie oddalone od tandety, jak od przesadnego zbytku. Jadalnia wydała mu się najlepiej zagospodarowana; śmiejąc się, podniósł ten szczegół.

— Ba! Braulard to gastronom — rzekł Lousteau. — Obiady jego, słynne w literaturze dramatycznej, są w harmonii z jego kasą.

— Mam dobre wina — rzekł skromnie Braulard. — Oho, idą moi *entuzjaści* — wykrzyknął, słysząc zachrypnięte głosy i szmer charakterystycznych kroków na schodach.

Wychodząc, Lucjan minął się z cuchnącą kohortą<sup>653</sup> klakierów i handlarzy biletami. Wszyscy byli w kaszkietach, w wytłoczonych pantalonach, wytartych surdutach, o twarzach łajdackich, sinych, zielonkawych, ziemistych, wynędzniałych; długie brody, oczy dzikie i obleśne zarazem: ohydna klasa ludności, która żyje i roi się na bulwarach Paryża; rano sprzedaje łańcuszki bezpieczeństwa, złote precjoza po dwadzieścia pięć su, wieczorem bije brawo w blasku kinkietów; słowem, nagina się do wszystkich plugawych konieczności Paryża.

<sup>651</sup>*Ducange* (...) *przegrał proces* — w 1821 Ducange wydał powieść *Walentyzna* (*Valentine ou le Pasteur d'Uzès*), w której opisał zbrodnie popełnione przez rojalistów na południu Francji podczas tzw. białego terroru, po upadku Napoleona w roku 1815. Powieść skonfiskowano, zaś autor został skazany siedem miesięcy więzienia. [przypis edytorski]

<sup>652</sup>*Calas* — trzyaktowy dramat Ducange'a z roku 1819, którego bohaterem jest Jean Calas, protestant z Tuluzy torturowany i stracony w 1762 za rzekome morderstwo swojego syna, który chciał przejść na katolicyzm. [przypis edytorski]

<sup>653</sup>*kohorta* — w armii staroż. Rzymu: dziesiąta część legionu; pogard.: agresywna gromada, banda. [przypis edytorski]

— Oto Rzymianie! — rzekł Lousteau, śmiejąc się. — Oto sława aktorek i autorów. Widziana z bliska, nie jest piękniejsza od naszej.

— Trudno — odparł Lucjan, żegnając się — zachować złudzenia co do czegokolwiek w Paryżu. Wszystko jest opodatkowane, wszystko się sprzedaje, fabrykuje, nawet powodzenie.

Gośćmi zaproszonymi przez Lucjana byli: Dauriat, dyrektor Panoramy, Matifat i Floryna, Camusot, Lousteau, Finot, Natan, Hektor Merlin i pani du Val-Noble, Felicjan Vernou, Blondet, Vignon, Filip Bridau, Marieta, Giroudeau, Cardot i Florentyna, Bixiou. Lucjan zaprosił również przyjaciół z Biesiady. Tancerka Tulia, która, jak mówiono, była dość łaskawa dla du Bruela, również znalazła się na liście, ale bez księcia; także właściciele dzienników, gdzie pracowali Natan, Merlin, Vignon i Vernou. Razem zebrano się około trzydziestu osób, jadalnia Koralii nie mogła pomieścić więcej. Około ósmej, w blasku świeczników, meble, obicia, kwiaty tego mieszkania przybrały ów odświętny wygląd, który zbyt kowi paryskiemu użycza pozorów bajki. Lucjan uczuł nieuchwytnie drgnienie szczęścia, zadowolonej próżności i nadziei, widząc się panem tego przybytku; nie zastanawiał się już, jak ani przez kogo spełniło się to dotknięcie różdżki. Floryna i Koralia, ubrane z szalonym zbytkiem i z artystycznym smakiem aktorek, uśmiechały się do poety z prowincji, jak dwa anioły gotowe mu otworzyć pałac marzeń. Lucjan niemalże śnił. W kilka miesięcy życie jego uległo tak gwałtownej przemianie, tak nagle przeszedł z nędzy do dostatku, iż chwilami zdejmował go niepokój, jak ludzi, którzy śniąc, czują, że śpią. Mimo to na widok tej pięknej rzeczywistości oko jego wyrażało ufność, której zawistni daliby nazwę pyszałkostwa. On sam również się zmienił. Codziennie sycony miłością, przybladł, oczy jego zamglily się słodkim znużeniem; słowem, wedle określenia pani d'Espard, miał minę „kochaną”. Piękność jego zyskiwała na tym. Świadomość własnej potęgi i siły przebiegała w fizjonomii rozświetlonej miłością i doświadczeniem. Spoglądał wreszcie twarzą w twarz literaturze i społeczeństwu, czując moc przechadzania się po nich jako władca. Temu poecie, w którym refleksja miała się obudzić dopiero pod brzemieniem niedoli, terażniejszość zdawała się bez trosk. Powodzenie wzdymało żagle jego barki, miał na rozkazy narzędzia potrzebne dla swych zamiarów: urządzony dom, kochankę, której zazdrościł mu cały Paryż, pojazd, wreszcie nieobliczalne sumy w kalamarzu. Dusza jego, serce i umysł przeobraziły się w jednakim stopniu; nie myślał już o wazieniu środków w obliczu tak pięknych rezultatów. Ten tryb domu wyda się tak słusznie podejrzany ekonomistom, którzy stykali się z życiem paryskim, że godzi się wskazać podstawę, mimo iż wątpli, na jakiej spoczywało materialne szczęście aktorki i jej drogiego poety. Nie zdradzając się z tym, Camusot upoważnił po cichu dostawców Koralii, aby jej zostawili kredyt jeszcze trzy miesiące. Konie, służba, wszystko miało tedy iść jak czarami dla tych dwojga dzieci, śpieszących się używać i używających wszystkiego z rozkoszą. Koralia wzięła Lucjana za rękę i pokazała mu teatralną perspektywę jadalni zastawionej wspaniale, oświetlonej kandelabrami o czterdziestu świecach: oczarowała go królewskim zbytkiem deseru i *menu*, które było dziełem Chevet'a. Lucjan pocałował Koralię w czoło, przyciskając ją do serca.

— Zwycięzę, mój aniele — rzekł — i nagrodzę ci tyle miłości i poświęcenia.

— Ba! — rzekła — jesteś zadowolony?

— Byłbym chyba bardzo niewdzięcznym!

— Ten uśmiech płaci mi wszystko — odparła, zbliżając wężowym ruchem usta do ust Lucjana.

Zastali Florynę, Stefana Lousteau, Matifata i Camusota narządzających stoliki do gry. Przyjaciele Lucjana schodzili się: wszyscy ci ludzie nazywali się już przyjaciółmi Lucjana! Grano od dziewiątej do północy. Szczęściem dla siebie, Lucjan nie znał żadnej gry; ale Lousteau przegrał tysiąc franków i pożyczył je od Lucjana, który nie wyobrażał sobie, aby się mógł wymówić, skoro przyjaciel żąda. Koło dziesiątej zjawili się Michał, Fulgencjusz i Józef. Lucjan, który podszedł do nich, znalazł twarze dość chłodne i poważne, aby nie rzec niechętne. D'Arthez nie mógł przyjść, kończył swoją książkę. Leon Giraud zajęty był pierwszym numerem nowego pisma. Biesiada wysłała swoich trzech artystów, którzy mogli się czuć mniej nieswojo od innych wśród orgii.

— I cóż, drodzy — rzekł Lucjan, przybierając lekki ton wyższości — przekonacie się, że *mały pajac* może się stać *wielkim politykiem*.

— Serdecznie pragnę, abym się omylił — rzekł Michał.

— Żyjesz z Koralią w oczekiwaniu czegoś lepszego? — spytał Fulgencjusz.

— Tak — odparł Lucjan tonem, który silił się uczynić swobodnym. — Koralia miała poczciwego starego kupca, który ją ubóstwiał, ale wylała go za drzwi. Jestem szczęśliwszy od twego brata Filipa, który nie umie dać sobie rady z Marietą — dodał, spoglądając na Józefa Bridau.

— Słowem — rzekł Fulgencjusz — stałeś się obecnie człowiekiem jak drudzy, zrobisz karierę.

— Człowiekiem, który, w jakiejkolwiek sytuacji, dla was zostanie zawsze ten sam — rzekł Lucjan.

Michał i Fulgencjusz spojrzeli po sobie, wymieniając drwiący uśmieszek, który Lucjan spostrzegł i który objaśnił mu śmieszność jego frazesu.

— Koralia jest cudownie piękna — wykrzyknął Bridau. — Cóż by to mógł być za wspaniały portret!

— I dobra — rzekł Lucjan. — Słowo honoru, anielska jest; ale zrób jej portret; weź ją, jeżeli chcesz, za model swojej Wenecjanki, którą starucha przyprowadza senatorowi.

— Każda kobieta, która kocha, jest anielska — rzekł Michał Chrestien.

W tej chwili Raul Natan rzucił się na Lucjana z furią przyjaźni, wziął go za rękę i uściśnął je.

— Mój dobry przyjacielu, nie tylko jesteś wielkim człowiekiem, ale co więcej, masz duszę, co dziś jest rzadsze od geniuszu — rzekł. — Umiesz być przyjacielem. Krótko mówiąc, jestem twój na życie i śmierć, nie zapomnę nigdy tego, coś w tym tygodniu zrobił dla mnie.

Lucjan, uszczęśliwiony pochlebstwami człowieka, którym zajmowała się fama, spojrział na przyjaciół z Biesiady z odcieniem wyższości. Przyczyną wybuchu Natana stała się użyczona mu przez Merlina korekta artykułu, który miał się ukazać nazajutrz.

— Zgodziłem się napaść na ciebie — rzekł Lucjan do ucha Natana — jedynie pod warunkiem, że sam będę mógł odpowiedzieć. Jestem zawsze twój, możesz na mnie liczyć.

Wrócił do przyjaciół z Biesiady, szczęśliwy z okoliczności usprawiedliwiającej poniekąd frazes, z którego śmiał się Fulgencjusz.

— Niech się pojawi książka d'Artheza, a jestem w tym położeniu, że mogę mu być użytecznym. Ta jedna okoliczność skłoniłaby mnie do pozostania w dzienniku.

— Czy jesteś w nim wolny? — rzekł Michał.

— O tyle, o ile jest nim człowiek nieodzowny — odparł z fałszywą skromnością Lucjan.

Około północy biesiadnicy siedli do stołu, zaczęła się orgia. Rozmowy były swobodniejsze niż u Matifata, nikt bowiem nie przypuszczał rozbieżności uczuć między trzema wysłannikami Biesiady a przedstawicielami dzienników. Te młode umysły, zdeprawowane szkołą paradoksu, zaczęły zmagać się z sobą i podrzucać jak piłkę najstrasliwsze aksjomy swoistego kodeksu, który płodziło naówczas dziennikarstwo. Klaudiusz Vignon, który pragnął zachować krytyce jej dostojny charakter, zaczął powstawać przeciw tendencji małych dzienniczków do osobistych wycieczek, mówiąc, że z czasem pisarze dojdą do tego, iż zaczną zagryzać sami siebie wzajem. Lousteau, Merlin i Finot wzięli otwarcie w obronę ten system walki, twierdząc, iż stanie się on jak gdyby stemplem, za pomocą którego będzie się cechować<sup>654</sup> talent.

— Wszyscy, którzy oprą się tej próbie, to ludzie naprawdę tędzy — rzekł Lousteau.

— Zresztą — wykrzyknął Merlin — podczas owacji zgotowanych wielkim ludziom trzeba około nich, jak około triumfatorów rzymskich, koncertu zniewag<sup>655</sup>.

— Ba — rzekł Lucjan — wszyscy, z których się będzie drwiło, gotowi w takim razie uwierzyć w swój triumf.

<sup>654</sup>cechować — tu: umieszczać na przedmiocie cechę, tj. znak urzędu, fabryki itp.; znakować. [przypis edytorski]

<sup>655</sup>podczas owacji zgotowanych wielkim ludziom trzeba około nich, jak około triumfatorów rzymskich, koncertu zniewag — za zwycięskim wodzem, odbywającym w rydwanie triumf w staroż. Rzymie, stał niewolnik, powtarzający mu: „Pamiętaj, że jesteś (tylko) człowiekiem”. [przypis edytorski]

— Przysiągłby ktoś, że mówisz o sobie! — wykrzyknął Finot.  
 — *Faciamus experimentum in anima vili*<sup>656</sup> — wtrącił Lucjan.  
 — I biada tym, których dziennik nie będzie zaczął, którym rzuci wieńce w początkach kariery! Ci będą siedzieć jak święci w swoich niszach, nikt nie zwróci na nich uwagi — rzekł Vernou.  
 — Powie się im jak Champcenez<sup>657</sup> margrabiemu de Genlis, gdy zbyt miłośnie patrzył na jego żonę: „Idźcie, dobry człowieku, jużście dostali” — rzekł Blondet.  
 — We Francji sukces zabija — rzekł Finot. — Jesteśmy zbyt zazdrośni jedni o drugich, aby nie chcieć zapomnieć i nie przyczynić się do zapomnienia triumfów drugiego.  
 — To fakt, że jedynie walka daje życie w literaturze — rzekł Klaudiusz Vignon.  
 — Jak w naturze, gdzie wynika z dwóch zmagających się zasad — wykrzyknął Fulgencjusz. — Tryumf jednej nad drugą to śmierć.  
 — Jak w polityce — dorzucił Michał Chrestien.  
 — Właśnieśmy tego dowiedli — rzekł Lousteau. — Dauriat sprzeda w tym tygodniu dwa tysiące egzemplarzy Natana. Czemu? Bo książka zaczepiona spotyka się z tęgą obroną.  
 — W jaki sposób podobny artykuł — rzekł Merlin, wyjmując korektę jutrzejszego dziennika — nie zmusiłby do rozchwytania edycji?  
 — Przeczytajcie mi artykuł — rzekł Dauriat. — Jestem księgarzem wszędzie, nawet przy kolacji.  
 Merlin odczytał triumfalny artykuł Lucjana, który spotkał się z oklaskiem.  
 — Czyż ten artykuł mógłby powstać bez pierwszego? — spytał Lousteau.  
 Dauriat wydobyl korektę trzeciej krytyki i przeczytał ją. Finot słuchał z uwagą tego artykułu, przeznaczonego do drugiego numeru jego tygodnika, i, w roli naczelnego redaktora, przesadził w entuzjazmie.  
 — Panowie — rzekł — gdyby Bossuet<sup>658</sup> żył za naszych czasów, nie napisałby inaczej.  
 — Bardzo wierzę — rzekł Merlin. — Bossuet byłby dzisiaj dziennikarzem.  
 — Za zdrowie Bossueta Drugiego! — rzekł Klaudiusz Vignon, podnosząc szklankę i skłaniając ironicznie głowę przed Lucjanem.  
 — Za zdrowie mego Krzysztofa Kolumba! — odparł Lucjan, wznosząc zdrowie Dauriatu.  
 — *Bravo!* — krzyknął Natan.  
 — Czy to przydomek?<sup>659</sup> — spytał złośliwie Merlin, spoglądając na Lucjana i na Finota.  
 — Jeżeli pójdziecie tym trybem — rzekł Dauriat — nie będziemy mogli wam naśladować; panowie — rzekł, wskazując na Matifata i Camusota — przestaną was rozumieć. Żart jest jak wełna; skoro ją prząść zbyt cienko, pęka, powiedział Bonaparte.  
 — Panowie — rzekł Lousteau — jesteśmy świadkami faktu poważnego, niepojętego, niesłuchanego, w istocie zdumiewającego. Czy nie podziwiacie szybkości, z jaką nasz przyjaciel zmienił się z prowincjała w dziennikarza?  
 — Był urodzonym dziennikarzem — rzekł Dauriat.  
 — Moje dzieci — rzekł wówczas Finot, wstając i trzymając butelkę szampańskiego — wszyscy popieraliśmy i wspomagali początki naszego amfitriona<sup>660</sup> w karierze, która przeszła wszelkie oczekiwania. W dwa miesiące zdobył sobie ostrogi pięknymi artykułami, których nie potrzebuję wymieniać; proponuję, aby go ochrzcić formalnie dziennikarzem.  
 — Dajcie wieniec z róż, aby stwierdzić jego podwójne zwycięstwo — rzekł Bixiou, spoglądając na Koralie.  
 Koralia dała znak służącej, która poszła poszukać starych sztucznych kwiatów w pudełkach aktorki. Ledwie gruba Berenice przyniosła kwiaty, którymi przystroili się po-

<sup>656</sup>*Faciamus experimentum in anima vili* (łac.) — zróbmy doświadczenie na duszy lichej (daw. o doświadczeniach na zwierzętach). [przypis edytorski]

<sup>657</sup>*Champcenez, Louis René Quentin de Richebourg de*, zwany kawalerem de *Champcenez* (1760–1794) — francuski dziennikarz, znany z dowcipu. [przypis edytorski]

<sup>658</sup>*Bossuet, Jacques-Bénigne* (1627–1704) — francuski biskup, kaznodzieja i pisarz, teoretyk absolutyzmu, wybitny mówca. [przypis edytorski]

<sup>659</sup>*Czy to przydomek?* — włoskie słowo *bravo*, jako wykrzyknik oznaczające „doskonałe! świetnie!”, jako rzeczownik oznacza „najemny bandyta, zbir”. [przypis edytorski]

<sup>660</sup>*amfitrion* (daw.) — gościnnie pan domu, gospodarz wydający ucztę a. fundator przyjęcia; od imienia króla Tyrynsu i Teb w mit. gr. [przypis edytorski]



cieszenie co najpijjański, w mig uwito wieniec z róż. Finot, jako arcykapłan, wylał kilka kropel szampańskiego na piękną jasną głowę Lucjana, wymawiając z przekomiczną powagą sakramentalne słowa.

— W imię Stempla, Kaucji i Grzywny, ja ciebie chrzczę dziennikarzem. Niechaj artykuły będą ci lekkie.

— I płacone bez odliczania białego! — rzekł Merlin.

W tej chwili Lucjan ujrzał zasmucone twarze Michała Chrestien, Józefa Bridau i Fulgencjusza Ridał, którzy wzięli kapelusze i wyszli wśród wrzawy złorzeczeń.

— A to mi osobliwi goście! — rzekł Merlin.

— Fulgencjusz był dobry chłopiec — dodał Lousteau — ale *oni* przewrócili mu w głowie moralami.

— Kto? — spytał Klaudiusz Vignon.

— Młodzi ludzie pełni namaszczenia, którzy zbierają się w tinglu<sup>661</sup> filozoficznym i religijnym przy ulicy des Quatre-Vents i trapią się ogólnym sensem ludzkości — rzekł Blondet.

— Och, och, och!

— ...Starają się dociec, czy obraca się ona dokoła siebie — ciągnął dalej Blondet — czy też posuwa się naprzód. Byli w wielkim kłopotcie między linią prostą a krzywą, trójkąt biblijny wydał im się nonsensem, wówczas zjawił się między nimi jakiś prorok, który oświadczył się za spiralą.

— Ostatecznie, jeżeli to głupstwo, trzeba przyznać, iż bywają głupstwa niebezpieczniejsze — wykrzyknął Lucjan, który chciał bronić Biesiady.

— Bierzesz tego rodzaju teorie za czcze słowa — rzekł Felicjan Vernou — ale przychodzi chwila, w której zmieniają się one w strzały z fuzji albo w gilotynę.

— Dopiero znajdując się w punkcie — rzekł Bixiou — szukania myśli opatrnościowej szampańskiego wina, sensu humanitarnego pantalonów ze strzemiączkami i małego zwierzątka, które porusza światem. Zbierają z ziemi upadłych wielkich ludzi, jak Vico, Saint-Simon, Fourier<sup>662</sup>. Bardzo się boją, aby nie zawrócił w głowie pocziwemu Józkwowi Bridau.

— Oni są przyczyną — rzekł Lousteau — że Bianchon, mój krajan i kolega, boczy się na mnie od jakiegoś czasu...

— Czy tam uczą gimnastyki i ortopedii ducha? — spytał Merlin.

— Możliwe — odparł Finot — skoro Bianchon wziął się na ich facecje<sup>663</sup>.

— Ba — rzekł Lousteau — i tak będzie wielkim lekarzem!

— Wszak ich widomą głową jest niejaki d'Arthez — rzekł Natan — ów niepozorny młody człowiek, który ma połknąć nas wszystkich?

— To geniusz! — zawołał Lucjan.

— Wolę kieliszek kseresu<sup>664</sup> — rzekł z uśmiechem Klaudiusz Vignon.

W tej chwili każdy objaśniał sąsiadowi własny charakter. Kiedy inteligentni ludzie dojdą do tego, iż chcą eksplikować<sup>665</sup> samych siebie, dawać klucz do swego serca, pewne jest, że rumak pijaństwa unosi ich w pełnym galopie. W godzinę potem biesiadnicy, stawszy się najlepszymi przyjaciółmi, mianowali się wielkimi ludźmi, ludźmi mocnymi, do których należy przyszłość. Lucjan, w roli gospodarza, zachował jeszcze nieco przytomności: słuchał sofizmatów<sup>666</sup>, które wniknęły wewnątrz i dokończyły dzieła demoralizacji.

— Moje dzieci — rzekł Finot — stronnictwo liberalne musi ożywić swą polemikę; w tej chwili nie ma nic do wystrzelenia przeciw rządowi, a pojmujecie, w jakim kło-

Pijaństwo

<sup>661</sup> *tingel* (z niem., daw.) — podrzędna kawiarnia lub restauracja, miejsce występów piosenkarzy, tancerzy, striptizerek; także: tingel-tangel. [przypis edytorski]

<sup>662</sup> *Vico, Saint-Simon, Fourier* — *Giambattista Vico* (1668–1744): włoski filozof, historyk i myśliciel społeczny, prekursor nowoczesnego historyzmu i teorii rozwoju społecznego; *Henri de Saint-Simon* (1760–1825): francuski pisarz i filozof, socjalista utopijny; *Charles Fourier* (1772–1837): francuski socjalista utopijny. [przypis edytorski]

<sup>663</sup> *facecja* (daw.) — żart, dowcip, anegdota. [przypis edytorski]

<sup>664</sup> *kseres* (ang. *sherry*) — białe, wzmocnione wino hiszpańskie, zawierające 16–20% alkoholu, pochodzące z Andaluzji, z rejonu Jerez de la Frontera. [przypis edytorski]

<sup>665</sup> *eksplikować* (daw., z łac.) — tłumaczyć, wyjaśniać. [przypis edytorski]

<sup>666</sup> *sofizmat* — pozornie poprawne rozumowanie rozmyślnie dowodzące nieprawdziwej tezy, w rzeczywistości opierające się na zatajonym błędzie. [przypis edytorski]

pocie znajduje się wówczas opozycja. Kto z was chce napisać broszurę, w której będzie żądał przywrócenia praw starszeństwa, abyśmy mogli podnieść krzyk przeciw tajemnym zamysłom dworu? Broszura dobrze płatna.

— Ja — rzekł Hektor Merlin — to wchodzi w zakres moich przekonań.

— Twoje stronnictwo powiedziałoby, że je kompromitujesz — odparł Finot. — Felicjanie, kropnij ty broszurę. Dauriat wyda, zachowamy tajemnicę.

— Ile? — spytał Vernou.

— Sześćset franków! Podpiszesz „hrabia C...”

— Stoi! — rzekł Vernou.

— Chcecie zatem wznieść kaczkę do wyżyn polityki? — spytał Lousteau.

— To sprawa Chabot<sup>667</sup> przeniesiona w sferę idei — rzekł Finot. — Wmawia się w rząd intencje i judzi się przeciw niemu opinie.

— Nigdy nie potrafię wyjść ze zdziwienia, patrząc, że rząd pozostawia ster myśli hul-tajom takim jak my — rzekł Klaudiusz Vignon.

— Jeżeli ministerium popełni to głupstwo, aby zstąpić w arenę — rzekł Finot — uderzymy w surmy wojenne; jeżeli się zacieknie, rozjążymy kwestię, pchniemy ją między masy. Dziennik nie ryzykuje nic, gdy władza ma zawsze wszystko do stracenia.

— Francja pozostanie bezsilna do dnia, w którym dziennik będzie wyjęty spod praw — rzekł Klaudiusz Vignon. — Robicie z dnia na dzień postępy — rzekł do Finota. — Staniecie się jezuitami, z tą różnicą, że bez wiary, bez przewodniej myśli i jedności.

Wszyscy skierowali się do zielonych stolików. Brzask świtu przyćmił niebawem płoną-ące świece.

— Twój przyjaciele z ulicy des Quatre-Vents byli smutni jak skazańcy — rzekła Koralia do kochanka.

— Jak sędziowie — odparł poeta.

— Oho! Sędziowie są zabawniejsi, to numery! — odparła Koralia.

Miesiąc spłynął Lucjanowi wśród kolacji, obiadów, śniadań, wieczorów; nieprzparty prąd wciągnął go w wir łatwych prac i uciech. Przestał rachować. Potęga rachunku pośród komplikacji życia to zamię woli, której poeci, ludzie słabi lub powierzchowni, nie potrafią nigdy wykrzesać. Jak większość dziennikarzy, Lucjan żył z dnia na dzień, wydając w miarę, jak zarabiał, nie myśląc o stałych ciężarach paryskiego życia, tak miazdzących dla cyganów. Strój jego i wzięcie rywalizowały z najsłynniejszymi dandysami. Koralia lubiła, jak wszyscy fanatycy, stroić swoje bożyszcze; rujnowała się, aby dać ukochanemu pocie ów wytorny ryzsztunek elegantów, którego tak pożądał podczas pierwszej przechadzki w Tuileriach. Miał przeto cudowne laski, zachwycającą lornetkę, diamentowe spinki, pierścionki do rannych krawatów, sygnety, olśniewające kamizelki wszystkich odcieni. Niebawem zyskał reputację dandysa. W dniu, w którym udał się na zaproszenie niemieckiego dyplomaty, metamorfoza jego wzbudziła tajoną zazdrość młodych ludzi, którzy dotąd dzierżyli berło w królestwie *fashionu*<sup>668</sup> jak de Marsay, Vandenesse, Ajuda-Pinto, Maksym de Trailles, Rastignac, książę de Maufrigneuse, Beaudenord, Manerville etc.<sup>669</sup> Światowcy zazdrośni są między sobą niegorzej od kobiet. Hrabina de Montcornet i margrabina d'Espard, na których cześć był ów obiad, wzięły Lucjana między siebie i zasypały go uprzejmościami.

— Czemu przestał pan pokazywać się w świecie? — spytała margrabina. — Miał pan wszystkie warunki, aby go rozrywano, fetowano... Muszę się wyklócić! Należała mi się od pana wizyta i dotąd czekam na nią. Kiedyś widziałam pana w Operze, nie raczyłeś odwiedzić mnie ani nawet się uklonić...

— Kuzynka pani udzieliła mi odprawy w sposób tak niedwuznaczny...

— Nie zna pan kobiet — przerwała pani d'Espard. — Zraniłeś anielskie serce, duszę najszlachetniejszą, jaką znam. Nie wie pan, co Luiza chciała uczynić dla pana i jak troskliwie obmyśliła plan. Och! Byłoby się jej powiodło — dodała na nieme zaprzeczenie

<sup>667</sup> Chabot, François (1759–1794) — francuski polityk czasów rewolucji 1789, członek Konwentu Narodowego; w lecie 1793 otrzymał wielkie łapówki od akcjonariuszy Kompanii Indyjskiej w zamian za sfalszowanie dokumentów, za część pieniędzy zawarł fikcyjne małżeństwo z córką bogatego bankiera, żeby usprawiedliwić nagłe wzbogacenie się; aresztowany i zgilotynowany. [przypis edytorski]

<sup>668</sup> fashion (ang.) — moda, styl. [przypis edytorski]

<sup>669</sup> etc. (łac.) — skrót od *et caetera*: i tak dalej. [przypis edytorski]

Lucjana. — Czyż mąż, który obecnie umarł, jak mu się to dawno należało, z niestrawności, nie miał jej wcześniej czy później uczynić wolną? Czy wyobraża pan sobie, że miała ochotę zostać panią Chardon? Tytuł hrabiny de Rubempré wart był, aby na niego zapracować. Widzi pan, miłość to wielka próżność, która, zwłaszcza w małżeństwie, winna być w zgodzie z innymi próżnościami. Mogłabym pana kochać do szaleństwa, to znaczy na tyle, aby wyjść za pana, a i tak byłoby mi ciężko nazywać się panią Chardon. Przyznaj pan! A teraz widział pan trudności życia w Paryżu, wiesz, ilu trzeba kołować, aby dojść do celu; otóż niech pan zrozumie, że, jak dla nieznanego chłopca bez majątku, Luiza marzyła o faworze niemal fantastycznym, nie mogła tedy niczego zaniedbać. Panu nie brak sprytu, ale my, kiedy kochamy, mamy go więcej niż najsprytniejszy mężczyzna. Luiza chciała użyć tego pociesznego Châteleta... Zawdzięczam panu wiele przyjemności, pańskie koncepty na niego ubawiły mnie serdecznie! — wtrąciła.

Lucjan nie wiedział, co myśleć. Wtajemniczony w perfidie dziennikarstwa, nie znalazł jeszcze makiawelizmu *świata*, toteż mimo całej przenikliwości czekały go twarde lekcje.

— Jak to, pani — rzekł poeta, zaciekawiony tym zwrotem — alboż pani nie popiera Czapli?

— Ależ rozumie pan, że w świecie trzeba nam się cackać z najokrutniejszymi wrogami, udawać, że nas bawi towarzystwo nudziarzy, i często trzeba nam poświęcić, na pozór, przyjaciół, aby im tym lepiej służyć. Taki z pana jeszcze nowicjusz? W jaki sposób pan, który chcesz być pisarzem, możesz nie znać najpotoczniejszych kłamstw świata? Jeżeli moja kuzynka pozornie poświęciła pana dla Czapli, czy to nie było konieczne, aby wyzyskać ten stosunek na pańską korzyść? To figura bardzo dobrze widziana w obecnym ministerium! Aby panu zabezpieczyć możliwość pojednania, wytłumaczyliśmy Châteletowi, iż do pewnego stopnia pańskie ataki są dlań korzystne. Rząd postarał się wynagrodzić baronowi pańskie prześladowania. Toż des Lupeaulx powiadał kiedyś ministrom: „Podczas gdy dzienniki ośmieszają Châteleta, zostawiają w spokoju ministerium!”

— Pan Blondet zrobił mi nadzieję, że będę miała przyjemność widzieć pana u siebie — rzekła hrabina de Montcornet, korzystając z chwili, w której margrabina zostawiła Lucjana refleksjom. — Spotka pan kilku artystów, pisarzy oraz kobietę, która pała najwyższym pragnieniem poznania pana, pannę des Touches, jeden z talentów rzadkich wśród naszej płci. Zapewne zechce pan tam bywać. Panna des Touches, Kamil Maupin, jeśli pan woli, osoba bardzo bogata, posiada jeden z najwybitniejszych salonów w Paryżu: powiedziano jej, że pan jest równie piękny, jak utalentowany, umiera z ochoty poznania pana.

Lucjanowi nie pozostało nic, jak tylko rozplątać się w podziękowaniach; równocześnie obrzucił Blondeta spojrzeniem zawiści. Między kobietą typu i stanowiska hrabiny de Montcornet a Koralią było tyleż różnicy, co między Koralią a dziewczyną z ulicy. Hrabina, osoba piękna, młoda i inteligentna, posiadała jako osobliwą cechę białość, właściwą kobietom Północy; matka jej była z domu księżniczka Szerbełow; toteż ambasador rozwijał dla niej najwyższą uprzejmość.

Margrabina kończyła właśnie niedbale skrzydełko kurczęcia.

— Biedna Luiza — rzekła do Lucjana — ona jest panu tak życzliwa! Byłam powiernicą przyszłości, jaką dla pana marzyła; byłaby wiele zniosła, ale jakże pan ją zranił, odsyłając jej listy! Możemy przebaczyć okrucieństwa; zawsze są one dowodem pamięci; ale obojętność!... Obojętność jest jak lód podbiegunowy, ścina wszystko. No, przyznaj pan, straciłeś prawdziwe skarby z własnej winy. Po co zrywać? Gdyby nawet pańska ambicja ucierpiała, czyż nie chodzi tu o przyszłość, o nazwisko, które ci trzeba zdobyć? Luiza myślała o tym wszystkim.

— Czemuż nic nie mówiła? — odparł Lucjan.

— Ech! Boże, to ja poradziłam jej, aby pana nie wciągać do sekretu. Ot, mówiąc między nami, kiedy widziałam pana tak mało obyty w świecie, miałam obawy: lękałam się, aby pańskie niedoświadczenie, pańska nieopatrna gorączka nie zniszczyły albo nie spaczyły jej obliczeń a naszych planów. Czy może pan dziś przypomniać sobie samego siebie? Przyznaj pan: oglądając dziś swego sobowtóra, byłbyś mojego zdania. Nie jest pan podobny do siebie. Oto jedyny błąd, jakiśmy popełniły. Ale czyż znajdzie się jeden człowiek wśród tysiąca, który by z takim talentem jednoczył tak cudowną zdolność dostrojenia się do właściwego tonu? Nie przypuszczałam, abyś pan był tak zdumiewającym

wyjątkiem. Przeobraziłeś się tak szybko, wtajemniczyłeś się tak łatwo w sekrety Paryża, że nie poznałam pana po prostu w Lasku Bulońskim miesiąc temu.

Lucjan słuchał wielkiej damy z niewymowną przyjemnością; pochlebnym słówkom towarzyszyła minka tak ufna, tak otwarta, naiwna, pani d'Espard zdawała się mu tak serdecznie życzliwa, że uwierzył w jakiś cud, podobny cudowi pierwszego wieczora w Panorama-Dramatique. Od owego szczęśliwego dnia cały świat uśmiechał się doń; Lucjan przypisywał swojej młodości moc talizmanu, zapragnął tedy wypróbować margrabinę, przyrzekając sobie, że się nie da wywieść w pole.

— Jakież były, proszę pani, te plany, które dziś stały się chimera<sup>670</sup>?

— Luiza chciała wyjednać u króla dekret zezwalający panu nosić nazwisko i tytuł rodziny de Rubempré. Chciała pogrzebać Chardona. Ten pierwszy sukces, tak łatwy wówczas, a który dziś przekonania pańskie czynią prawie niemożliwym, przedstawiał dla pana całą fortunę. Będzie pan traktował te rzeczy jako urojenia i drobiazgi; ale my znamy życie i wiemy, jak rzetelną wartość posiada tytuł hrabiowski, o ile stroi wytwornego, czarującego młodego człowieka. Każ pan oznajmić wobec kilku młodych milionowych Angielek albo w ogóle wobec jakiejś bogatej herytiery<sup>671</sup> pana Chardona albo hrabiego de Rubempré, wywołasz dwa wręcz przeciwne odruchy. Choćby nawet tonął w długach, hrabia zawsze znajdzie serca otwarte, uroda jego stanie się niby diament w bogatej oprawie. Na pana Chardona nie zwrócono by nawet uwagi. Nie stworzyliśmy tych pojęć, spotykamy się z nimi wszędzie, nawet wśród mieszczaństwa. W tej chwili depcze pan swój los. Patrz na tego przystojnego młodego człowieka, wicehrabiego Feliksa de Vandenesse: jest jednym z dwu osobistych sekretarzy króla. Król dosyć lubi inteligentnych młodych ludzi; ten chłopiec przybył z zapadłej prowincji z walizką nie o wiele cięższą niż pańska; pan masz tysiąc razy więcej talentu, ale czy należysz do wielkiej rodziny? Czy masz nazwisko? Zna pan referendarza des Lupeaulx; nazwisko jego przypomina pańskie, zwie się Charadin; ale nie sprzedałby za milion swego folwarczku des Lupeaulx, zostanie kiedyś hrabią des Lupeaulx, a wnuk jego będzie wielkim panem. Jeżeli dalej zechcesz postępować fałszywą drogą, na którą wszedłeś, jesteś zgubiony. Patrz pan, o ile pan Blondet okazał się rozsądniejszy! Pracuje w dzienniku, który wspiera władzę, jest dobrze widziany przez wpływowe sfery, może bez niebezpieczeństwa bratać się z liberałami, jest *dobrze myślący*; toteż wcześniej lub później zrobi karierę; umiał sobie wybrać przekonania i protektorów. Ta młoda osoba, pańska sąsiadka, jest z domu de Troisville, ma trzech parów Francji i dwóch posłów w rodzinie; wyszła bogato za męża dzięki nazwisku; prowadzi otwarty dom, będzie miała wpływy i poruszy cały polityczny świat dla swego Emilka. Do czego prowadzi pana taka Koralia? Do tego, iż za kilka lat znajdziesz się przywalony długami, wyspany... Źle pan lokujesz swą miłość i źle kierujesz życiem. Oto co mówiła mi kiedyś w Operze kobieta, nad którą podoba się panu znęcać. Ubolewając nad złym użyciem, jaki czynisz z talentu i młodości, myślała nie o sobie, ale o panu.

— Ach, gdyby to było prawdą! — wykrzyknął Lucjan.

— Jakież interes przypuszcza pan w kłamstwie? — rzekła margrabina, obrzucając Lucjana zimnym i wyniosłym spojrzeniem, które na nowo grażyło go w nicości.

Lucjan, zmieszany, nie podjął już rozmowy, margrabina, obrażona, nie odezwała się więcej. Był dotknięty, ale uznał, iż popełnił niezręczność, i postanowił ją naprawić. Zwrócił się do pani de Montcornet i zaczął mówić o Blondecie, wysławiając talent młodego pisarza. Spotkał się z łaskawym przyjęciem hrabiny, która na znak margrabiny d'Espard zaprosiła go na swój najbliższy wieczór, pytając, czy nie ujrzałby z przyjemnością pani de Bargeton, która mimo żaloby zgodziłaby się może przyjść: nie chodzi o wielki raut, ale o małe zebranie, ot, między przyjaciółmi.

— Pani margrabina twierdzi, że wszystkie winy są po mojej stronie, kuzynce jej zatem przystoi okazać się pobłażliwą.

— Niech pan powstrzyma niedorzeczne napaści, których jest przedmiotem i które łączą jej nazwisko z człowiekiem dla niej niesympatycznym, a niebawem podpiszecie pokój. Pan mniemał podobno, że ona zapała się pana: co do mnie, widziałam ją bardzo

<sup>670</sup> *Chimera* (mit. gr.) — ziejący ogniem potwór z głową lwa, ciałem kozy i ogonem węża; przenośnie: urojenie, mrzonka. [przypis edytorski]

<sup>671</sup> *herytier* (daw.) — posażna panna, dziedziczka znacznego majątku. [przypis edytorski]

zasmuconą tym, że pan ją rzucił. Czy to prawda, że ona opuściła swoje strony z panem i dla pana?

Lucjan spoglądał na hrabinę z uśmiechem, nie wiedząc, co odpowiedzieć.

— Jak pan mógł nie ufać kobiecie, która tyle dla pana poświęciła? A zresztą osoba tak piękna i rozumna jak ona miała prawo żądać, aby ją kochano *mimo wszystko*. Pani Bargeton kochała pana nie tyle dla pana samego, ile dla twego talentu. Niech mi pan wierzy, talent to dla kobiety więcej niż uroda — rzekła, spoglądając ukradkiem na Emila Blondeta.

Lucjan poznał w pałacu ambasadora różnicę, jakie istnieją między wielkim światem a wyjątkowym światkiem, w którym żył od pewnego czasu. Te dwa przepychy nie miały z sobą żadnego podobieństwa, żadnego punktu styczności. Wysokość i rozkład pokojów w tym apartamencie, jednym z najbogatszych w Dzielnicy Saint-Germain, stare złocenia w salonach, wykwint ozdób, poważne bogactwo szczegółów, wszystko było mu nowe, obce; ale, ostrzelany ze zbytkiem, nie okazał zdziwienia. Zachowanie jego było równie odległe od pewności siebie i arogancji, jak od uniżoności i służalstwa. Poeta zrobił dobre wrażenie i podobał się tym, którzy nie mieli racji być mu nieprzyjaźni; jedynie młodszy ludzie, w których to nagle zjawienie się poety w wielkim świecie, powodzenie jego i uroda z góry budziły zazdrość, patrzyli nań niechętnie. Wstając od stołu, podał ramię pani d'Espard, która je przyjęła. Widząc Lucjana przedmiotem względów pani d'Espard, Rastignac podszedł doń, powołując się na swój charakter krajana i przypominając pierwsze spotkanie u pani du Val-Noble. Młody szlachcic okazał chęć zbliżenia z prowincjonalnym wielkim człowiekiem, zapraszając, aby przyszedł doń którego ranka na śniadanie, i ofiarowując się zapoznać go ze złotą młodzieżą. Lucjan przyjął.

— Kochany Blondet również będzie łaskaw — rzekł Rastignac.

Ambasador przyłączył się do grupy utworzonej przez margrabiego de Ronquerolles, księcia de Rhétoré, de Marsaya, generała de Montriveau, Rastignaca i Lucjana.

— Bardzo dobrze — rzekł do Lucjana ze swą niemiecką dobroduszością, pod którą ukrywał niebezpieczną bystrość spojrzenia — zawarł pan pokój z margrabiną d'Espard, jest panem zachwycona, a wiemy wszyscy — dodał, spoglądając po mężczyznach wkoło — że niełatwa jest w swoich gustach.

— Margrabina ubóstwia dowcip — rzekł Rastignac — a mój znakomity krajana ma go na sprzedaż.

— Niebawem sam spostrzeże, jaki zły handel uprawia — rzekł żywo Blondet — przyjdzie do nas, rychło ujrzymy go w swoim obozie.

Wszczął się dokoła Lucjana cały chór na ten temat. Ludzie poważni rzucili despotycznym tonem kilka głębokich zdań, młodzi pokpiwali sobie z liberalów.

— Zagrał, jestem pewny — rzekł Blondet — w cetno i lichu<sup>672</sup>, prawica czy lewica, ale teraz będzie miał czas wybrać.

Lucjan zaczął się śmiać, przypominając sobie scenę ze Stefanem w Ogrodzie Luksemburskim.

— Wziął sobie za przewodnika — ciągnął Blondet — niejakiego Lousteau, zbira brukowych dzienników, który widzi jedynie pięć franków w każdej kolumnie, którego polityka zasadza się na wierze w powrót Napoleona i, co jeszcze głupsze, we wdzięczność i patriotyzm lewicy. Jako Rubempré, Lucjan musi mieć skłonności arystokratyczne; jako dziennikarz, powinien być za władzą; inaczej nigdy nie zostanie Rubemprém ani sekretarzem ambasady.

Lucjan, któremu dyplomata podał kartę zapraszającą do wista<sup>673</sup>, obudził zdumienie, wyznając, iż nie zna tej gry.

— Mój drogi — szepnął mu Rastignac — przyjdź pan wcześniej do mnie w dniu, w którym zechcesz zjeść liche śniadanie, nauczę cię wista; zniesławiasz nasze królewskie miasto Angoulême! Powtórzę ci słówko pana de Talleyrand, który rzekł, iż kto nie posiada tej gry, gotuje sobie bardzo smutną starość.

Oznajmiono referendarza des Lupeaulx, beniaminka rządu na sekretnych usługach ministerstwa, sprytnego i ambitnego człowieka, który się wciskał wszędzie. Przywitał

<sup>672</sup>*cetno i lichu* — dawna gra w zgadywanie, czy druga osoba trzyma w dłoni parzystą (cetno), czy nieparzystą (lichu) liczbę przedmiotów. [przypis edytorski]

<sup>673</sup>*wist* — gra karciana dla czterech osób, popularna w XVIII i XIX w., poprzednik brydża. [przypis edytorski]

Lucjana, z którym spotkał się już u pani du Val-Noble, a powitanie jego miało odcień przyjaźni, zdolnej oszukać Lucjana. Zastając tutaj młodego dziennikarza, człowiek ten, który w polityce starał się być przyjacielem całego świata, aby nigdy nie wpaść, zrozumiał, iż Lucjan zdobędzie w świecie tyleż sukcesu, co w literaturze. Odgadł w poecie ambitnego człowieka i zasypał go uprzejmościami, oświadczeniami przyjaźni, zainteresowania, nawiązując od razu tym sposobem ściślejszą znajomość, a oszalamiając Lucjana deszczem obietnic i słów. Des Lupeaulx miał za zasadę dobrze znać tych, których się chciał pozbyć, kiedy widział w nich rywali. Jakoż Lucjan spotkał się z dobrym przyjęciem u wszystkich. Zrozumiał, co zawdzięcza księciu de Rhétoré, ambasadorowi, pani d'Espard, pani de Montcornet. Nim się pożegnał, podszedł porozmawiać z każdą z tych pań, rozwijając wszystkie uroki dowcipu.

— Co za pretensjonalność! — rzekł des Lupeaulx do margrabiny, gdy Lucjan wyszedł.

— Zepsuje się, nim dojrzeje — rzekł de Marsay do margrabiny z uśmiechem. — Musicie panie mieć jakieś ukryte pobudki, aby mu tak przewracać w głowie.

Lucjan zastał Koralie w dziedzińcu, ukrytą w powozie; przyjechała, aby czekać na niego; pamięć jej wzruszyła go. Opowiedział Koralii wieczór. Ku zdziwieniu Lucjana aktorka pochwaliła nowe idee, które błąkały się już po jego głowie, i zachęciła go mocno, aby się zaciągnął pod sztandar ministerialny.

— Z liberałami możesz oberwać tylko guza, konspirują, zabili księcia de Berry<sup>674</sup>. Czy obalą kiedy rząd? Nigdy! Przez nich nie dojdiesz do niczego, gdy po przeciwnej stronie zostaniesz hrabią. Możesz oddać usługi, zostać parem Francji, ożenić się bogato. Bądź rojalistą. Zresztą to należy do szyku — rzekła, rzucając słowo, które dla niej stanowiło najwyższy argument. — Val-Noble, u której byłam na obiedzie, powiedziała mi, że Teodor Gaillard zakłada stanowczo dziennik rojalistyczny „Jutrzenka”, aby odpowiadać na ataki waszego świstka i „Zwierciadła”<sup>675</sup>. Wedle niego, pan de Villele i jego ludzie znajdą się w gabinecie przed upływem roku. Staraj się skorzystać z tej zmiany, stając przy nich wówczas, gdy jeszcze są niczym; ale nie mów nic Stefanowi ani innym: byłiby zdolni wypłatać ci jakąś sztuczkę.

W tydzień potem Lucjan stawiał się u pani de Montcornet, gdzie doświadczył najgwałtowniejszego wyruszenia, widząc kobietę, którą niegdyś tak kochał, a której jego żarciki przeszły serce. Luiza także się przeobraziła! Stała się znowu tym, czym byłaby bez wpływów prowincji: wielką damą. Żaloba jej odznaczała się wdziękiem i wyszukaniem, które nie dowodziły zbyt smutnego wdowieństwa. Lucjan mniemał, iż odgrywa pewną rolę w tej zalotności, i nie mylił się; ale pokosztował już, niby Sinobrody, świeżego mięsa i przez cały ten wieczór wahał się między piękną, zakochaną, rozkoszną Koralie a chudą, wyniosłą, okrutną Luizą. Nie umiał się zdobyć na to, aby poświęcić aktorkę dla wielkiej damy. Pani de Bargeton, która widząc Lucjana pięknym i pełnym uroku, odgrzebała w sercu dawną miłość, czekała na tę ofiarę przez cały wieczór; ale wszystkie kuszące słowa, zalotne minki spaliły na panewce; toteż opuściła salon z nieodwołalną żądzą zemsty.

— I cóż, drogi Lucjanie — rzekła ze szlachetną i pełną wdzięku dobrocią — miałeś być moją dumą, tymczasem mnie obrałeś za pierwszą ofiarę. Przebaczyłam ci, moje dziecko, myśląc, że jest jeszcze resztką miłości w takiej zemście.

Pani de Bargeton wzmocniała swą pozycję tym zdaniem, któremu towarzyszyło iście królewskie spojrzanie. Lucjan, który tysiącokrotnie wierzył w swe prawa do zemsty, znalazł się w roli winowajcy. Nie było mowy ani o jego strasliwym liście pożegnalnym, ani o pobudkach zerwania. Wielkie damy mają cudowny talent zmniejszania swych błędów, obracając je w żart. Mogą i umieją wszystko wymazać jednym uśmiechem, udanym zdziwieniem. Nie przypominają sobie nic, tłumaczą wszystko, dziwią się, pytają, komentują, amplifikują<sup>676</sup>, lają i w końcu osiągają to, iż wywabiają swą winę tak, jak się wywabia

Dama

<sup>674</sup>Karol Ferdynand d'Artois, książę de Berry (1778–1820) — syn przyszłego króla Karola X; 13 lutego 1820 został zaatakowany i śmiertelnie raniony przez bonapartystowskiego robotnika Louvela, kiedy opuszczał budynek paryskiej opery. [przypis edytorski]

<sup>675</sup>„Zwierciadło widowisk, literatury, obyczajów i sztuki” — „Le Miroir des spectacles, des lettres, des moeurs et des arts”, francuski liberalny dziennik ilustrowany, wydawany w Paryżu w l. 1821–1823. [przypis edytorski]

<sup>676</sup>amplifikować (daw.) — przesadzać, przerysowywać w opowiadaniu. [przypis edytorski]

plamę, lekko przepierając ją w wodzie z mydłem; widziałeś, że są czarne, stają się w jednej chwili białe i niewinne; ty sam czujesz się szczęśliwy, iż nie obwiniono cię o jakąś zbrodnię nie do odpuszczenia. Przez chwilę Lucjan i Luiza odzyskali złudzenia, mówili językiem przyjaźni, ale Lucjan, pijany nasyconą próżnością, pijany Koralią, która, powiedzmy to, czyniła mu życie łatwym, nie umiał odpowiedzieć jasno na to pytanie, które Luiza podkreśliła westchnieniem: „Czy jesteś szczęśliwy?”. Melancholijne „nie” było by się stało fortuną Lucjana. Poeta uznał za właściwe rozwieść się nad stosunkiem do Koralii; podniósł bezinteresowność jej uczucia, słowem, wszystkie brednie zadurzonego mężczyzny. Pani de Bargeton zagryzła wargi. Kości padły. Pani d’Espard wraz z panią de Montcornet podeszła do kuzynki. Lucjan uczył się, można rzec, bohaterem wieczoru, te trzy kobiety otoczyły go względami, uprzejmościami, czułościami, w które zamotały go z nieskończoną sztuką. Powodzenie Lucjana w tym wielkim i błyszczącym świecie było tedy nie mniejsze niż w dziennikarstwie. Piękna panna des Touches, tak sławna pod nazwiskiem Kamila Maupina, której panie d’Espard i de Bargeton przedstawiły Lucjana, zaprosiła go na którąś środę na obiad; słynna już uroda poety wyraźnie uczyniła na niej żywe wrażenie. Lucjan starał się dowieść, że inteligencja jego przewyższa jeszcze urodę. Panna des Touches wyraziła swój zachwyt z tą szczerością i z tym ujmującym zapałem, na który biorą się ci, co nie znają do gruntu paryskiego życia, gdzie przesyt czyni ludzi tak spragnionymi wszelkiej nowości.

— Gdybym się jej podobał tak jak ona mnie — rzekł Lucjan do Rastignaca i de Marsaya — skróciłibyśmy fabułę romansu...

— Zbyt dobrze umiecie oboje je pisać, aby je z sobą przeżywać naprawdę — odparł Rastignac. — Czyż para autorów może naprawdę się kochać? Zawsze przychodzi chwila, w której zbierają wzajem z siebie wzorki<sup>677</sup>...

Artysta, Miłość

— Prześniłbyś pan wcale niezgorszy sen na jawie — dodał, śmiejąc się de Marsay. — Ta urocza dziewczyna ma trzydzieści lat, to prawda, ale ma blisko osiemdziesiąt tysięcy franków renty. Jest cudownie kapryśna, a typ jej piękności zapowiada długie trwanie. Koralia jest gąską, drogi panie, dobra, aby się „postawić” z początku, bo nie wypada, aby ładny chłopiec był bez kochanki; ale jeżeli nie zaczepisz się o kogoś z towarzystwa, aktorka zaszkodzi ci na dłuższą metę. No dalej, młodzieńcze, wyparuj Contiego, który ma właśnie śpiewać z Kamilem Maupinem. Od najdawniejszych czasów poezja miała krok przed muzyką.

Skoro Lucjan usłyszał pannę des Touches i Contiego, nadzieje jego rozpierzchły się.

— Conti za dobrze śpiewa — rzekł do pana des Lupeaulx.

Lucjan wrócił do pani de Bargeton; pociągnęła go do salonu, gdzie zastał margrabinę d’Espard.

— No i cóż, nie zechcesz zająć się nim? — rzekła pani de Bargeton do kuzynki.

— Ależ niech pan Chardon — rzekła margrabina tonem zarazem lekceważącym i pełnym pokusy — postawi się tak, aby można było popierać go bez ujmy. Jeżeli chce uzyskać dekret, który mu pozwoli opuścić nędzne nazwisko ojca a przybrać macierzyste, czyż nie powinien bodaj należeć do nas?

— Nim miną dwa miesiące, ułożę wszystko — rzekł Lucjan.

— Zatem — rzekła margrabina — poproszę mego ojca i wuja, którzy pełnią służbę przy królu, aby wspomnieli kanclerzowi o panu.

Dyplomata oraz te dwie kobiety dobrze odgadli czuły punkt Lucjana. Poeta, oczarowany arystokratycznym blaskiem, odczuwał męki, słysząc, jak go zwą panem Chardonem, gdy naokoło widział w salonach jedynie ludzi noszących pięknie dźwięczące nazwiska, oprawne w tytuł. To cierpienie powtarzało się wszędzie, gdzie się pojawiał. Równą męką było dlań wracać do zajęć zawodowych, skąpawszy się poprzedniego dnia w wielkim świecie, gdzie dzięki pojazdowi i służbie Koralii prezentował się przyzwoicie. Nauczył się jeździć konno, aby galopować przy powozie pani d’Espard, panny des Touches i hrabiny de Montcornet: przywilej, którego tak zazdrościł w pierwszych dniach pobytu w Paryżu. Finot chętnie dostarczył swemu cennemu współpracownikowi wolnego wstępu do Opery, gdzie Lucjan stracił wiele wieczorów, ale odtąd liczył się do specjalnego świata

<sup>677</sup>zbierać wzorki (z kogoś) (daw. pot.) — dopatrywać się czyichś wad, niestosowności, drobniawo krytykować, obgadywać. [przypis edytorski]

elegantów tej epoki. Poeta, oddając Rastignacowi i złotej młodzieży wspaniałe śniadanie, popełnił ten błąd, iż wydał je u Koralii; był zbyt młody, zbyt poeta i zbyt naiwny, aby znać pewne odcienie: aktorka, wyborna dziewczyna, ale bez wychowania, czyż mogła go nauczyć życia? Prowincjał odsłonił, w sposób najoczywistszy, tym młodym ludziom, na ogół najgorzej dlań usposobionym, owo poufne współżycie z aktorką, którego każdy młody człowiek po cichu zazdrości, ale które wszyscy głośno zohydzają. Najkrwawiej jeszcze tegoż wieczora żartował na ten temat Rastignac, mimo iż podtrzymywał się w świecie podobnymi środkami, ale zachowując pozory. Lucjan szybko nauczył się wista. Gra stała się u niego namiętnością. Koralia, widząc w tym tarczę przeciw wszelkiej rywalizacji, nie tylko nie upominała Lucjana, ale zachęcała go w marnotrawstwie, z zaślepieniem właściwym doskonałemu uczuciu, które zawsze widzi jedynie terażniejszość i wszystko, nawet przyszłość, poświęca chwili. Prawdziwa miłość ma wiele podobieństwa z dziecięctwem: jego brak zastanowienia, nierozwagę, rozrzutność, śmiechy i płacze.

W epoce tej kwitło towarzystwo młodych ludzi, bogatych, biednych, pędzących próżniacze życie, zwanych *viveurami*, którzy w istocie, żyli z niewiarygodną bez troską; tędy szermierze przy stole i jeszcze tężsi bibosze<sup>678</sup>. Wszyscy nie liczący się z pieniędzmi, przepłatający najdziwniejszymi koncepcjami ową egzystencję już nie szaloną, ale wściekłą, nie cofali się przed żadną niemożliwością, czynili sobie chlubę ze swoich wybryków, trzymanych bądź co bądź w pewnych granicach; eskapady ich odznaczały się taką oryginalnością i dowcipem, że nie sposób było ich nie przebaczyć. Fakt ten jest najjaskrawszym oskarżeniem helotyizmu<sup>679</sup>, na jaki Restauracja skazała młodzież. Młodzi ludzie, którzy nie wiedzieli, na co obrócić swe siły, nie tylko rzucali je w dziennikarstwo, w konspirację, w literaturę i sztukę, ale trwonili je w najdziwniejszych wybrykach, tyle było soku i jurności w młodej Francji. Pracując, młodzież ta żądała władzy i użycia; oddając się sztuce, pragnęła skarbów; próżniacząc się, chciała żyć pełnią namiętności; na wszelki sposób chciała miejsca, a polityka nie dawała go jej nigdzie. *Viveurzy* byli to ludzie prawie bez wyjątku obdarzeni wybitnymi zdolnościami; niektórzy zatracili je w tym wyczerpującym życiu, niektórzy mu się oparli. Najślynniejszy z nich i najinteligentniejszy, Rastignac, wszedł z czasem, prowadzony przez de Marsaya, na poważną drogę, na której się odznaczył. Koncepty, jakim oddawali się ci ludzie, stały się tak sławne, że dostarczyły tematu liczny wodewilom. Lucjan, pchnięty przez Blondeta w tę kompanię rozrzutników, zabłysnął w niej obok Bixiou, jednego z najzłośliwszych i najokrutniejszych kpiarzy. Przez całą zimę życie Lucjana było zatem długim pijaństwem, przerywanym łatwymi pracami dziennikarstwa; ciągnął dalej serię artykułków i czynił ogromny wysiłek, aby wydać od czasu do czasu kilka stronik tęgiej krytyki. Ale praca była wyjątkiem, poeta oddawał się jej jedynie pod naporem konieczności; śniadania, obiady, wycieczki, prośzone wieczory, gra zabierały mu cały czas, a Koralia pochłaniała resztę. Lucjan bronił się myśli o jutrze. Widział zresztą, iż wszyscy jego rzekomi przyjaciele żyli jak on, łatając drogo opłacanymi prospektami dla księgarzy, premiami za pewne artykuły potrzebne dla ryzykownych przedsięwzięć, przejadając dochody i mało troszcząc się o przyszłość. Dopuszczony do dziennikarstwa i literatury na prawach równego, Lucjan spostrzegł trudności piętrzące się, w razie gdyby chciał wznieść się wyżej: każdy godził się go mieć równym, nikt wyższym. Nieznacznie<sup>680</sup> zrezygnował tedy ze sławy literackiej, mniemając, iż kariera polityczna jest łatwiejsza.

— Intryga budzi mniej zawiści niż talent, podziemne jej zabiegi nie ściągają niczyjej uwagi — orzekł Châtelet, z którym Lucjan się pojednał. — Intryga to zresztą rzecz wyższa od talentu: z niczego robi się coś, gdy olbrzymie zasoby talentu służą przeważnie po to, aby unieszczęśliwić swego posiadacza.

Poprzez to życie, płynące w orgiach z dnia na dzień, mimo ciągłych postanowień pracy, Lucjan ścigał tedy swą przewodnią myśl: pokazywał się pilnie w świecie, nadska kiwał pani de Bergeton, margrabinie d'Espard, hrabinie de Montcornet, nie opuszczał ani jednego wieczoru panny des Touches; zjawiał się w salonach przed jakąś bibką, po obiedzie wydawanym przez autorów lub księgarzy; opuszczał salon, śpiesząc na kolację,

<sup>678</sup>bibosz (z łac.) — człowiek lubiący pić alkohol w wesołym towarzystwie; opój, pijak. [przypis edytorski]

<sup>679</sup>helotyizm — niewolnictwo; heloci byli niewolnikami państwowymi w staroż. Sparcie. [przypis edytorski]

<sup>680</sup>nieznacznie — niezauważalnie, niepostrzeżenie. [przypis edytorski]



owoc jakiegoś zakładu; ekspens<sup>681</sup> paryskiej konwersacji i gra pochłaniały resztę myśli i sił, jakie zostawiały mu jego wybryki. Poeta nie miał już owej jasności myśli, owego zimnego spojrzenia, potrzebnych, aby obserwować dokoła siebie, aby zachować ów najwyborniejszy takt, jaki ludzie pnący się w górę muszą rozwijać bez ustanku; niepodobna mu było rozeznac momentów, w których pani de Bargeton wracała ku niemu, oddalała się zraniona, wybaczała mu i potępiała go na nowo. Châtelet ocenił groźne atuty rywala i stał się przyjacielem Lucjana, aby go utrzymać na tej zawrotnej drodze. Rastignac, zazdrosny o krajana, widząc zresztą w baronie pewniejszego i użyteczniejszego sprzymierzeńca, współdziałał z Châteletem. I tak, w kilka dni po spotkaniu angulemskiego Petrarki z jego Laurą, Rastignac pogodził poetę i starego piękniś Cesarstwa, wydając wspaniałą kolację w Rocher de Cancale. Lucjan, który codziennie wracał nad ranem i wstawał koło południa, nie umiał bronić się miłości, będącej zawsze tuż i zawsze z otwartymi ramionami. W ten sposób sprężyna jego woli, wciąż wątłona lenistwem, które czyniło go obojętnym na piękne postanowienia powzięte w chwilach jasnowidzeń, straciła resztę siły i nie odpowiadała z czasem nawet najsilniejszym upomnieniom nędzy. Zrazu Koralia, szczęśliwa, że Lucjan się bawi, utrzymywała go w tym szalonym życiu, widząc w nim zakład stałości jego uczuć i więzów przez owo życie stwarzanych. Później słodka i tkliwa dziewczyna znalazła dość siły, aby upominać kochanka i zachęcać go do pracy; nieraz musiała zwracać mu uwagę, że niewiele zarobił w ciągu miesiąca. Para kochanków zadłużała się z przerażającą szybkością. Półtora tysiąca franków pozostałe z honorarium *Stokroci*, jak również pierwsze pięćset franków zapracowane w dzienniku znikły szybko. W ciągu kwartału artykuły przyniosły poecie nie więcej niż tysiąc franków, a miał uczucie, że ogromnie pracował. Ale Lucjan nabrał łatwego poglądu na życie, właściwego zadłużającej się młodzieży. Długi mają wdzięk w dwudziestu pięciu latach; później nikt ich już nie przebacza. Trzeba zauważyć, że istnieją dusze istotnie poetyczne, ale obdarzone słabą wolą, natury żyjące odczuwaniem po to, aby oddać swoje uczucia za pomocą obrazów; ludziom takim zbywa zasadniczo na zmyśle moralnym, który winien towarzyszyć wszelkiej obserwacji. Poeci wolą raczej chłonąć wrażenia niż wchodzić w innych, aby studiować mechanizm uczuć. Toteż Lucjan nie dociekał przyczyny ubytków, jakie co pewien czas spostrzegał w gronie młodych utracuszów; nie zastanawiał się nad przyszłością tych rzekomych przyjaciół, z których jedni mieli napięte sukcesje<sup>682</sup>, drudzy pewne widoki, inni uznane talenty, inni znów niezłomną wiarę w przyszłość oraz bezwzględność w środkach. Lucjan ufał w swą gwiazdę, polegając na tych głębokich zasadach Blondeta: „Wszystko się jakoś układa. — Nic nie może stać się ludziom, którzy nic nie mają. — Możemy stracić jedynie fortunę, której szukamy! — Płynąc z prądem, zawsze się gdzie zapłynie. — Człowiek z głową, raz zyskawszy punkt zaczepienia, dochodzi do wszystkiego, kiedy sam zechce!”

W ciągu tej zimy, wypełnionej tyłoma uciechami, udało się wreszcie Teodorowi Gaillardowi i Hektorowi Merlinowi znaleźć kapitały, jakich wymagało założenie „Jutrzenki”. Pierwszy numer ukazał się dopiero w marcu 1822. Interes ten traktowano w salonie pani du Val-Noble. Wytworna i sprytna kurtyzana posiadała pewien wpływ na bankierów, wielkich panów i pisarzy z obozu rojalistów, nawykłych zbierać się w jej salonie dla omawiania spraw niepodobnych do omawiania gdzie indziej. Hektor Merlin, któremu przeznaczono redakcję „Jutrzenki”, miał mieć za prawą rękę Lucjana, obecnie swego najbliższego przyjaciela, któremu zarazem obiecano felieton jednego z ministerialnych dzienników. Tę zmianę frontu przygotowywał Lucjan po cichu, wśród życia tonącego w uciechach. Dzieciak uważał się za wielkiego polityka, knując ten „zamach stanu”, i liczył, iż hojność ministerium pozwoli mu załatać najpilniejsze rachunki oraz uśmierzyć tajemne kłopoty Koralii. Aktorka, zawsze z uśmiechem na ustach, ukrywała swą rozpacz; ale Berenice, śmielsza, uświadamiała Lucjana co do sytuacji. Jak wszyscy poeci, ten wielki człowiek „na pniu” roztkliwił się przez chwilę, przyrzekał pracować, zapomniał o przyrzeczeniu i topił przelotną troskę w hulance. Koralia, spostrzegając chmury na czole kochanka, lajała Berenice i mówiła swemu poecie, że wszystko będzie dobrze.

Panie d'Espard i de Bargeton czekały nawrócenia Lucjana, aby za pośrednictwem Châteleta wyprosić, jak mówiły, u ministra ową tak upragnioną zmianę nazwiska. Lucjan

<sup>681</sup> *ekspens* (daw.) — wydatek, koszt. [przypis edytorski]

<sup>682</sup> *sukcesja* — następstwo prawne, w wyniku którego zbywca przenosi swoje prawa na nabywcę np. spadek, spuścizna. [przypis edytorski]

przyrzekł ofiarować *Stokrocie* margrabinie d'Espard, mile na pozór pogłaskanej wyróżnieniem, które autorzy uczynili rzadkim, odkąd stali się potęgą. Kiedy Lucjan zachodził wieczór do Dauriata i pytał, co się dzieje z książką, księgarz przedstawiał niezbite racje, aby opóźnić oddanie jej do druku. Raz Dauriat miał na głowie wydawnictwo, które pochłaniało mu każdą chwilę; to znów miał się ukazać nowy tom Canalisa, któremu lepiej było nie wchodzić w drogę; nowe *Medytacje* pana de Lamartine były pod prasą, dwa zaś wybitne zbiorki poezji nie mogą się zjawić równocześnie; autor winien zresztą polegać na czuciu księgarza. Tymczasem potrzeby Lucjana stały się tak naglące, że uciekł się do Finota, który udzielił mu paru zaliczek na artykuły Kiedy wieczorem, przy kolacji, poeta-dziennikarz tłumaczył swoją sytuację towarzyszom hulanków, topili jego skrupuły w potokach szampańskiego wina mrożonego konceptem. Długi! Alboż istnieje *silny człowiek bez długów!* Długi przedstawiają zaspokojone potrzeby, wymagające nalogi. Człowiek dochodzi do czegoś jedynie pod żelazną ręką konieczności.

— Wielkim ludziom, wdzięczny bank pobożny<sup>683</sup> — wykrzykiwał Blondet.

— Wszystkiego chcieć, znaczy wszystko być dłużnym — mówił Bixiou.

— Nie: wszystko być dłużnym, to znaczy wszystkiego użyć! — odpowiedział des Lupeaulx.

*Viveurzy* umieli wytłumaczyć temu dziecku, że długi będą złotą ostrogą, którą popędzi konie zaprzężone do wozu fortuny. Następnie ów wieczny Cezar ze swymi czterdziestoma milionami długów<sup>684</sup> i Fryderyk II<sup>685</sup> pobierający od ojca dukata miesięcznie, i wciąż te same słynne demoralizujące przykłady wielkich ludzi, ukazywanych od strony ich błędów, a nie we wszechpotężde wytrwałości i geniuszu! W końcu powóz, konie i meble Koralii zafantowano<sup>686</sup> imieniem wierzycieli, których łączne kwoty dochodziły czterech tysięcy. Kiedy Lucjan pobiegł do Stefana zażądać tysiąca franków, które mu pożyczył, Lousteau pokazał mu pozwy, które dokumentowały u Floryny analogiczną sytuację; ale przez wdzięczność obiecał poczynić kroki, aby ulokować *Gwardzistę Karola IX*.

— W jakim sposobie Floryna tak zabrnęła? — spytał Lucjan.

— Matifat wystraszył się — odparł Lousteau — straciliśmy go; ale jeżeli Floryna zechce, drogo przyplaci on swą zdradę! Opowiem ci całą sprawę.

W trzy dni po daremnej wizycie Lucjana u kolegi para kochanków spożywała smutno śniadanie przy kominku pięknej sypialni. Berenice usmażyła na kominku sadzone jajka, kucharka bowiem, stangret, służba, wszystko odeszło. Niepodobna było rozporządzać zajętymi meblami. Nie było w domu ani jednego złotego lub srebrnego przedmiotu, ani też żadnej wartościowej rzeczy; wszystko zmieniło się w kwity lombardowe, tworząc tomik *in octavo*<sup>687</sup>, bardzo pouczający. Berenice ocaliła dwa nakrycia. Dziennik oddawał nieoszacowane usługi Lucjanowi i Koralii, utrzymując w ryzach krawca, modystkę i właścicieli magazynów, którzy drżeli wszyscy przed obrazą dziennikarza, zdolnego zohydzić ich zakłady. W czasie śniadania wpadł Lousteau, wołając:

— Hura! Niech żyje *Gwardzista Karola Dziewiątego!* Spuściłem za sto franków książek, moje dzieci, podzielmy się!

Wręczył pięćdziesiąt franków Koralii i posłał Berenice, aby przyniosła jakieś treściwe śniadanie.

— Wczoraj jedliśmy obaj z Hektorem obiad u księgarzy i za pomocą przebiegłych insynuacji przygotowaliśmy sprzedaż twego romansu. Jesteś w układach z Dauriatem, ale Dauriat leni się, nie chce dać więcej niż cztery tysiące franków za dwa tysiące egzemplarzy, a ty żądasz sześć tysięcy. Zrobiliśmy cię dwa razy większym od Waltera Scotta. Och! Masz na warsztacie nieporównane dzieła! Przedstawiasz nie jedną książkę, ale całą aferę; jesteś autorem nie jednego romansu, ale staniem się całą kolekcją! To słowo „kolekcja”

<sup>683</sup>*bank pobożny* (w oryg.: wł. *monte di pietà*) — lombard dobroczynny, instytucja udzielająca ubogim nieoprocenowanych pożyczek pod zastaw. [przypis edytorski]

<sup>684</sup>*Cezar ze swymi czterdziestoma milionami długów* — rzymski wódz i polityk Juliusz Cezar, sprawując urząd edyla, zaciągnął ogromne długi na organizację igrzysk, żeby zdobyć popularność wśród ludu. [przypis edytorski]

<sup>685</sup>*Fryderyk II Wielki* (1712–1786) — król Prus z dynastii Hohenzollernów, panował w latach 1740–1786, stał się twórcą potęgi państwa pruskiego. [przypis edytorski]

<sup>686</sup>*zafantować* (daw.) — zająć za długi. [przypis edytorski]

<sup>687</sup>*in octavo* (łac.: w ósemce) — daw. format książki, w którym z trzykrotnie złożonego na pół arkusza papieru powstaje osiem kart; obecnie określenie książek mających typowy współczesny rozmiar: ok. 20–25 cm wysokości. [przypis edytorski]

chwyciło. Dlatego nie zapominaj swej roli; masz w tece *Wielki Lauzun, czyli Francja za Ludwika Czternastego; Kotylion Pierwszy, czyli pierwsze dni Ludwika Piętnastego; Królowa i Kardynał, czyli obraz Paryża z czasów Frondy; Syn Concinię, czyli Intrygi kardynała Richelieu!*... Romanse te oznajmi się na okładce. Nazywamy to zablagowaniem sukcesu. Tłoczy się książki na okładce, aż staną się sławne; autor wówczas ma o wiele większe imię przez dzieła, których nie napisał, niż przez te, które napisał naprawdę. „Pod prasą” to hipoteka literatury. No, dalej, pośmiejmy się trochę! Ot, jest i szampańskie. Wyobrażasz sobie, Lucjanie, że spekulanci wybałuszili oczy wielkie jak ten spodek... Wy macie jeszcze spodki?

— Zajęte — odparła Koralia.

— Rozumiem i ciągnę dalej — rzekł Lousteau. — Księgarze uwierzą w twoje rękopisy, skoro ujrzą jeden. Księgarz ma zwyczaj żądać skryptu, udaje, że go czyta! Zostawmy księgarzom ich próżnostkę; nigdy nie czytają książek; inaczej nie drukowaliby ich tyle. Daliśmy do zrozumienia z Hektorem, że za pięć tysięcy franków ustąpiłbyś prawa do trzech tysięcy egzemplarzy w dwóch wydaniach. Daj mi rękopis, pojutrze mamy tam być na śniadaniu; dorzniemy ich!

— Któż to taki? — rzekł Lucjan.

— Dwaj wspólnicy, dobre chłopaki, dość głady w interesach, nazwiskiem Fendant i Cavalier. Pierwszy to dawny dysponent Vidala i Porchona, drugi to jeden z najsprytniejszych komiwojażerów, obaj prowadzą interes ledwie od roku. Straciwszy nieco na romansach z angielskiego, chwaty chcą teraz eksploatować wyroby tubylców. Chodzą wieści, że ci dwaj handlarze bibuły puszczają w obieg jedynie cudze kapitały, ale jest ci, jak sądzę, obojętne, z jakiego źródła będą pieniądze.

Na trzeci dzień dwaj dziennikarze stawili się na śniadanie przy ulicy de Serpente, w dawnej dzielnicy Lucjana, gdzie Lousteau zachował zawsze swój pokoik. Lucjan, który wstąpił po przyjaciela, ujrzał izdebkę w tym stanie, w jakim znajdowała się w ów pamiętny wieczór, gdy wprowadzono go w świat literatury, ale nie zdziwił się już: edukacja, jaką przeszedł, wtajemniczyła go w odwrotne strony życia dziennikarzy, pojmował wszystko. Wielki człowiek z prowincji otrzymał już, postawił na kartę i przegrał honorarium niejednego artykułu, tracąc równocześnie ochotę do napisania go; nakreślił niejedną kolumnę wedle przemysłnych procederów, jakie mu rozwinął Lousteau, kiedy wędrowali ulicą La Harpe do Palais-Royal. Zależny od Barbeta i Braularda, „spławił” książki i bilety; wreszcie, nie cofał się przed żadną pochwałą ani atakiem. W tej chwili był rad, że wyciągnie ze Stefana wszystkie możliwe korzyści, nim się odwróci plecami do liberałów, którym obiecywał sobie dopiec tym skuteczniej, im lepiej ich wystudiował. Ze swej strony Lousteau otrzymywał, z uszczerbkiem Lucjana, sumę pięciuset franków w gotówce od panów Fendanta i Cavaliera, tytułem prowizji za to, iż sprokurował tego przyszłego Waltera Scotta księgarzom, będącym w poszukiwaniu za Scottem krajowym.

Księgarnia Fendant i Cavalier było to jedno z przedsiębiorstw bez kapitału, jakich wiele powstawało wówczas i będzie powstawać zawsze, dokąd papiernie i drukarnie będą dawały księgarzowi kredyt na rozegranie owej partii *écarté* zwanej wydawnictwem. Wówczas jak i dziś kupowało się od autorów dzieła za weksle sześć-, dziesięcio-, dwunastomiesięczne: sposób płatności oparty na naturze sprzedaży, którą reguluje się w księgarstwie za pomocą walorów jeszcze dłużej terminowych. Tą samą monetą księgarz płacił papierników i drukarzy i miał w ten sposób przez rok gratis całą księgarnię, złożoną z jakich dwunastu lub dwudziestu dzieł. Przypuściwszy dwa lub trzy sukcesy, owoc dobrych interesów pokrywał niedobór złych: w ten sposób księgarnia stawała na nogach, gromadząc książkę na książkę. Jeżeli wszystkie operacje okazały się wątpliwe albo jeżeli, nieszczęściem, księgarze trafiali na dobre książki, idące z wolna, smakowane i ocenione dopiero przez prawdziwą publiczność, jeśli uzyskali eskont na uciążliwych warunkach, jeśli sami bankrutowali, zgłaszali spokojnie niewypłacalność, bez żadnej troski, przygotowani z góry na ten rezultat. W ten sposób wszystkie szanse były na ich korzyść, rzucali na zielony stolik spekulacji kapitał cudzy, nie własny. Fendant i Cavalier znajdowali się w tym położeniu: Cavalier wniósł do spółki fachową wiedzę, Fendant — spryt handlowy. Kapitał spółki zasadał się na kilku tysiącach franków, oszczędzonych z trudem przez ich kochanki; w bilansie przedsiębiorstwa przyznali sobie obaj kierownicy dość znaczne pensje, które skrupulatnie obracali na obiady dla dziennikarzy i autorów i na bilety do

Interes, Książka

teatrów, gdzie, jak mówili, robią się interesa. Obaj ci hultaje uchodzili za sprytnych; ale Fendant był przebieglejszy. Zgodnie ze swym nazwiskiem, Cavalier podróżował<sup>688</sup>, Fendant kierował sprawami w Paryżu. Spółka ta była tym, czym będzie zawsze spółka między dwoma księgarzami — pojedykiem.

Wspólnicy zajmowali parter starego pałacu przy ulicy Serpente; biuro znajdowało się na końcu wielkich salonów, zmienionych na magazyny. Wydali już wiele romansów, jak: *Wieża Północy*, *Kupiec z Benares*, *Źródło w grobowcu*, *Tekeli*, romanse Galta, angielskiego autora, który nie przyjął się we Francji. Powodzenie Waltera Scotta zwróciło uwagę księgarzy na produkty angielskie; wszyscy księgarze, jako prawdziwi Normandowie, mieli nabitą głowę podbojem Anglii<sup>689</sup>; szukali tam Waltera Scotta, jak później szukano asfaltu w kamienistych terenach, bitumu w bagnach i realizowano zyski z projektowanych kolei żelaznych. Jedną z największych niedorzeczności paryskiego handlu jest to, że chce zawsze znaleźć sukces w analogii, gdy on leży w przeciwieństwie. W Paryżu zwłaszcza powodzenie zabija powodzenie. Toteż pod tytułem *Strzelcy, czyli Rosja przed stu laty* Fendant i Cavalier dodawali spokojnie wielkimi literami: „w rodzaju Waltera Scotta”. Fendant i Cavalier potrzebowali gwałtownie sukcesu: dobra książka mogła im pomóc do spławienia stosów zadrukowanego papieru. Złakomili się nadzieją artykułów w dziennikach, co stanowiło wówczas kardynalny warunek sprzedaży, niezmiernie rzadko bowiem zdarza się, aby księgarz nabył książkę dla jej istotnej wartości; prawie zawsze wydaje ją z przyczyn obcych jej zaletom. Fendant i Cavalier widzieli w Lucjanie dziennikarza, a w jego książce towar, którego pierwsze wpływy ułatwią im miesięczne wypłaty. Dziennikarze zastali wspólników w biurze, umowa była gotowa, weksle podpisane. Szybkość ta zachwyciła Lucjana. Fendant był to drobny i chudy człowieczek z odstręczającą fizjonomią: rysy Kałmuka<sup>690</sup>, niskie czoło, zapadły nos, wąskie usta, błyszczące czarne oczki, twarz pomięta, cera żółtawa, głos podobny do rozbitego dzwonka, słowem, pozory skończonego opryszka; ale wynagradzał te braki cukrową słodyczą, dochodził do celu siłą wymowy. Cavalier, pucołowaty mężczyzna, którego raczej wzięłoby się za konduktora dylizansu niż za księgarza, miał włosy ryżawe, twarz żywą, okrągłą talię i miodopłynne gadulstwo komiwojażera.

— Nie będzie między nami sporów — rzekł Fendant, zwracając się do dziennikarza. — Czytałem książkę, jest bardzo literacka; odpowiada nam tak dalece, że już oddałem rękopis do druku. Umowę spisaliśmy na podstawie ustnego porozumienia; zresztą nie wychodzimy nigdy poza granice, jakieśmy tam zakreślili. Weksle na sześć, dziewięć i dwanaście miesięcy; zeskontuje je pan łatwo, zwrócimy koszty dyskontu. Zastrzegliśmy sobie prawo dania książce innego tytułu: nie podoba się nam *Gwardzista Karola Dziewiątego*, nie dość pobudza ciekawość: jest wielu królów imieniem Karol, a w średnich wiekach było tylu gwardzistów! A! Gdybyś pan powiedział *Żołnierz Napoleona!* Ale *Gwardzista Karola Dziewiątego!*... Cavalier musiałby mieć cały wykład historii, nim by ulokował egzemplarz na prowincji.

— Gdybyś pan znał ludzi, z którymi mamy do czynienia! — wykrzyknął Cavalier.

— *Noc świętego Bartłomieja*<sup>691</sup> byłaby lepsza — dodał Fendant.

— *Katarzyna Medycejska, czyli Francja za Karola Dziewiątego* — rzekł Cavalier — to by bardziej przypominało Waltera Scotta.

— Wreszcie, zdecydujemy to, kiedy dzieło będzie wydrukowane — rzekł Fendant.

— Jak panowie chcecie — rzekł Lucjan — byle tytuł mi odpowiadał.

Po przeczytaniu i podpisaniu umowy, wymianie duplikatów Lucjan schował do kieszeni weksle z nieopisanym zadowoleniem. Następnie wszyscy czterej udali się do mieszkania Fendanta, gdzie czekało ich najpospolitsze śniadanie: ostrygi, befsztyki, nereczki na szampańskim i ser brie; ale *menu* temu towarzyszyły wyborne wina, dzięki Cavalierowi, który znał komiwojażera „robiącego w winach”. W chwili gdy siadali do stołu, zjawił

<sup>688</sup>Zgodnie ze swym nazwiskiem, Cavalier podróżował — fr. *cavalier*: kawalerzysta, jeździec. [przypis edytorski]

<sup>689</sup>jako prawdziwi Normandowie, mieli nabitą głowę podbojem Anglii — rycerze z księstwa Normandii, w pln.-zach. Francji, pod wodzą Wilhelma Zdobywcy w 1066 podbili Anglię. [przypis edytorski]

<sup>690</sup>Kałmuk — członek ludu mongolskiego zamieszkującego okolice M. Kaspijskiego, do pocz. XX w. czowniczego. [przypis edytorski]

<sup>691</sup>*noc św. Bartłomieja* — rzeź dokonana przez katolików w Paryżu w nocy z 23 na 24 sierpnia 1572 r., której ofiarą padło 3 tys. hugenotów (francuskich protestantów), na czele z ich przywódcą, admirałem Coligny, i która dała sygnał do dalszych rzezi w całej Francji; krwawą rozprawę z heretykami pochwalili papież Grzegorz XIII, złożył też specjalne podziękowania Katarzynie Medycejskiej jako inicjatorce zająć. [przypis edytorski]

się drukarz; chciał zrobić niespodziankę Lucjanowi, przynosząc dwa pierwsze arkusze korekty.

— Chcemy jechać jak najszybciej — rzekł Fendant — rachujemy na pańską książkę, a diabelnie nam potrzeba sukcesu.

Śniadanie, zaczęte w południe, skończyło się dopiero koło piątej.

— Gdzież znaleźć pieniądze? — rzekł Lucjan do Lousteau.

— Chodźmy do Barbeta — odparł Stefan.

Przyjaciele, nieco podnieceni winem, puścili się w kierunku Wybrzeża.

— Koralia jest w najwyższym stopniu zdumiona katastrofą, jaka spotkała Florynę; Floryna powiedziała jej o tym dopiero wczoraj, przypisując tobie to nieszczęście: była tak rozżalona, iż zdawało się, że jest gotowa cię puścić — rzekł Lucjan do Stefana.

— To prawda — odparł Lousteau, który nie wytrwał w ostrożności i otworzył serce Lucjanowi. — Mój przyjacielu, bo jesteś moim przyjacielem, Lucjanie, pożyczyles mi tysiąc franków i upomniałeś się o nie dopiero raz... Strzeż się gry. Gdybym nie grał, byłbym szczęśliwy. Długów mam jak włosów na głowie. Mam w tej chwili komornika i woźnego trybunału na karku; kiedy idę do Palais-Royal, zmuszony jestem omijać przylądki.

W języku *viveurów* „omijać przylądek” znaczy robić koło, bądź aby nie przejść blisko wierzyciela, bądź aby ominąć miejsce, w którym go można spotkać. Lucjan, który też nie wszystkie ulice przebywał swobodnie, znał ów manewr, mimo iż nie znał nazwy.

— Dużoś winien?

— Nędza! Tysiąc talarów ocaliłoby mnie. Chciałem się ustatkować, przestać gry i aby zlikwidować interesy, puściłem się na lekki szantaż.

— Cóż to takiego szantaż? — spytał Lucjan, który nie znał tego słowa.

— Szantaż to wynalazek prasy angielskiej, świeżo przemycony do Francji. Rycerze jego to ludzie, którym stanowisko pozwala jakoby rozrządzać dziennikiem. Nigdy właściciel dziennika ani naczelny redaktor nie może ściągnąć podejrzania, iż maczał palce w szantażu. Ma na to panów Giroudeau, Filipów Bridau i innych. Tacy majsterkowie udają się do człowieka, który dla pewnych przyczyn nie pragnie, aby się nim zajmowano. Wielu ludzi ma na sumieniu mniej lub więcej oryginalne grzeszki. Jest w Paryżu wiele podejrzanych fortun, zdobytych na drodze mniej lub więcej legalnej, często zbrodniczej, które dostarczyłyby rozkosznych anegdotek, jak na przykład owa żandarmeria Fouchégo<sup>692</sup> osaczająca policję, która, nie będąc wtajemniczona w fabrykację fałszywych biletów banku angielskiego, miała aresztować tajnych drukarzy popieranych przez ministra; dalej historia diamentów księcia Galathione, sprawa Maubreuil, sukcesja Pombretona i inne. Mistrz szantażu zdobywa jakiś papier, jakiś ważny dokument i naznacza schadzki dwuznacznemu bogaczowi. Jeżeli człowiek skompromitowany nie zgodzi się wybulić żądanej sumy, szantażysta grozi mu prasą, gotową się nim zająć, odsłonić jego machinacje. Bogacza strach oblatuje, opłaca się. Sztuka się udała. Puszczasz się na jaką ryzykowną operację, która może upaść wskutek ataków dziennika: nastawiają na ciebie szantażystę, który proponuje odkupienie artykułów. Są ministrowie, którzy układają się z szantażystami, że dziennik będzie atakował ich działalność polityczną, a nie osobę, albo którzy wydają na łup siebie samych, a proszą zmiłowania dla swoich kochanek. Des Lupeaulx, mały referendarzyk, którego znasz, jest nieustannie zajęty tego rodzaju negocjacjami. Hultaj ten wyrobił sobie cudowną pozycję w samym centrum władzy przez swoje stosunki: jest zarazem mandatarium prasy i ambasadorem ministrów, prowadzi szacherkę miłości własnych; rozciąga nawet ten przemysł na sprawy polityczne, uzyskuje milczenie dzienników o takiej a takiej pożyczce, koncesjach, udzielonych bez konkursu i obwieszczeń, rzucając ochłap żbikom bankowym liberalów. Ty zrobiłeś mały szantażyk z Dauriatem, dał ci tysiąc talarów, aby cię powstrzymał od zohydzenia Natana. W osiemnastym wieku dziennikarstwo było w powijakach, szantaż uprawiało się za pomocą pamfletów, których zniszczenie opłacały

Szantaż

<sup>692</sup>Fouché, Joseph (1759–1820) — francuski polityk, oceniany jako przebiegły i bezwzględny karierowicz; członek Konwentu w okresie rewolucji francuskiej, głosował za skazaniem Ludwika XVI na śmierć, odpowiedzialny za krwawe stłumienie powstania w Lyonie w 1793, minister policji podczas panowania Napoleona, po jego upadku w 1815 został prezydentem rządu tymczasowego, następnie ministrem policji króla Ludwika XVIII. [przypis edytorski]

faworyty i wielcy panowie. Wynalazcą szantażu jest Aretino<sup>693</sup>, bardzo wielki człowiek we Włoszech, który opodatkowywał królów, tak jak za naszych czasów ten lub ów świstek opodatkowuje aktorów.

— Cóżes za zamach wykonał na Matifata, aby wydobyć swoje tysiąc talarów?

— Postarałem się, aby napadnięto Florynę w sześciu pismach, Floryna zaś poszła uznać się Matifatowi. Matifat poprosił Braularda, aby odkrył przyczynę napaści. Braulard złapał się, przywieziony na hak przez Finota. Finot, na którego rachunek robiłem ten szantażyk, powiedział mu, że to ty chcesz zniszczyć Florynę w interesie Koralii. Giroudeau przyszedł oświadczyć poufnie Matifatowi, że wszystko by się ułożyło, gdyby się zgodził sprzedać swoją szóstą część w tygodniku Finota za dziesięć tysięcy. W razie powodzenia Finot dawał mi tysiąc talarów. Matifat miał dobić sprawę, szczęśliwy, iż odzyska dziesięć tysięcy z trzydziestu, które uważał za utopione w błocie; od kilku dni Floryna kładła mu w uszy, że tygodnik Finota coś nie idzie. Zamiast dywidendy była mowa o podwyższeniu kapitału. Przed ogłoszeniem bankructwa dyrektor Panorama-Dramatique potrzebował spuścić parę akceptów z *grzeczności*; otóż, aby je ulokować przez Matifata, uprzedził go o sztuczce Finota. Matifat, jako wytrawny kupiec, zerwał z Floryną, zatrzymał swoją szóstą część i teraz on ma nas w ręku. Finot i ja wyjemy z rozpacz. Mieliśmy nieszczęście zaatakować człowieka, któremu nie zależy na kochance, nędznika bez serca i duszy. Na nieszczęście, przemysł Matifata nie podlega wpływowi prasy, niepodobna dosięgnąć tego kramarza. Nie krytykuje się drogisty, tak jak się krytykuje kapelusze, galanterię, teatry lub dzieła sztuki. Kakao, pieprz, farby, politura, opium to rzeczy, których nie da się zdeprecjonować. Floryna goni resztkami, Panoramę zamykają jutro, więc nie wie, co z sobą począć.

— Wskutek zwinięcia teatru Koralia debiutuje za kilka dni w Gymnase — rzekł Lucjan — będzie mogła dopomóc Florynie.

— Nigdy! — rzekł Lousteau. — Koralia nie jest orlicą, ale i tak nie będzie na tyle głupia, aby sobie ściągać rywalkę. Interesy diabła się zbakierowały. Ale cóż! To Finot tak się napał odzyskać swoją szóstą część.

— Dlaczego?

— Toż to bajeczny interes, mój drogi. Są widoki sprzedania dziennika za trzysta tysięcy. Finot miałby tedy trzecią część, prócz komisowego od współników, które podzieliłby z nim des Lupeaulx. Dlatego mam zamiar podsunąć mu projekt nowego szantażu.

— Zatem szantaż to znaczy: „pieniądze lub życie”?

Szantaż

— O wiele więcej — rzekł Lousteau — to „pieniądze lub honor”. Przedwczoraj dzienniczek, którego właścicielowi odmówiono kredytu, napisał, że zegarek repetierowy<sup>694</sup> wysadzany diamentami, należący do jednej z grubych ryb stolicy, znajduje się dziwnym sposobem w rękach żołnierzy gwardii królewskiej, i zapowiedział opowieść tego wydarzenia, godną *Tysiąca i jednej nocy*. Gruba ryba czym prędzej pośpieszyła zaprosić naczelnego redaktora na obiad. Naczelnny redaktor z pewnością coś na tym zarobił, ale historia współczesna straciła anegdotkę o zegarku. Za każdym razem, kiedy ujrzysz prasę rozjuszoną na jakieś wpływowe osobistości, wiedz, że się pod tym kryją odrzucone eskonty, odmowa jakiejś usługi. Ten szantaż wkraczający w dziedzinę prywatnego życia to rzecz, której najbardziej lękają się bogaci Anglicy: odgrywa on dużą rolę w sekretnych dochodach brytyjskiej prasy, nieskończenie bardziej zdemoralizowanej niż nasza. My jesteśmy dziećmi! W Anglii kupuje się kompromitujący list w cenie pięciu do sześciu tysięcy franków, aby go odprzedać z zyskiem.

Szantaż

— Jakż masz sposób, aby dosięgnąć Matifata? — rzekł Lucjan.

— Mój drogi — odparł Lousteau — otóż ten plugawy korzennik pisywał do Floryny listy najosobliwsze w świecie: ortografia, styl, myśli, wszystko sięga szczytów komizmu. Matifat boi się bardzo żony: możemy tedy, nie wymieniając go, nie dając możliwości skar-

Szantaż

<sup>693</sup>Aretino, Pietro (1492–1556) — włoski pisarz z czasów Odrodzenia, poeta, satyryk, znany ze skandalizujących dialogów; zarabiał na oszczerstwach i szantażu, m.in. opłacali go równocześnie król francuski Franciszek I oraz rywalizujący z nim cesarz Karol V. [przypis edytorski]

<sup>694</sup>zegarek repetierowy — zegarek za naciśnięciem przycisku wydzwaniający godziny, kwadrans, a nawet minuty; modeli takich używano przed upowszechnieniem się sztucznego oświetlenia, żeby umożliwić określenie czasu w ciemności. [przypis edytorski]

gi, dosięgnąć go na łonie larów i penatów<sup>695</sup>, gdzie się mniema zupełnie bezpiecznym. Wyobraź sobie jego wściekłość, skoro ujrzy pierwszy felieton romansiku obyczajowego pod tytułem „Zaloty drogisty”, otrzymawszy uprzednio lojalne ostrzeżenie o przypadku, jaki oddał w ręce redakcji pewnego dziennika listy, gdzie mówi o małym Kupidyńku<sup>696</sup>, gdzie pisze „podózka” zamiast poduszka, gdzie mówi o Florynie, iż pomagała mu przebyć przełęcz życia, co może budzić przypuszczenie, iż porównywa ją do mulicy. Słowem, za pomocą tej cudacznej korespondencji można przyprowadzić abonentów o konwulsje śmiechu przez jakie dwa tygodnie. Zastraszy go się delikatnie możliwością anonimowego listu, którym wtajemniczyłoby się żonę w klucz tego konceptu. Rzecz w tym, czy Floryna zgodzi się zdradzić, że maczała palce w prześladowaniu Matifata? Ona ma jeszcze zasady, to znaczy nadzieje. Może chowa listy dla siebie, chce sama coś z nich wykroić. To kuta dziewczyna, moja wychowanica. Ale kiedy spostrzeże się, że odwiedzi komornika to nie kawał, kiedy Finot zrobi jej odpowiedni prezencik lub nadzieję *engagement*, Floryna wyda listy, które ja w zamian za brzęczące talary doręcę Finotowi, Finot odda korespondencję w ręce wuja, a Giroudeau doprowadzi drogistę do kapitulacji.

Zwierzanie to otrzeźwiło Lucjana. Pomyślał, że ma przyjaciół bardzo niebezpiecznych; następnie rozważył, że nie trzeba zrywać z nimi, może bowiem potrzebować ich straszliwych wpływów, w razie gdyby pani d'Espard, pani de Bargeton i Châtelet chybili słowa. Dwaj dziennikarze dotarli właśnie do wybrzeża, pod nędzny sklepik Barbeta.

— Barbet — rzekł Stefan do księgarza — mamy pięć tysięcy Fendanta i Cavaliera na sześć, dziewięć i dwanaście; chce pan?

— Za tysiąc talarów — rzekł Barbet z niewzruszonym spokojem.

— Tysiąc talarów! — wykrzyknął Lucjan.

— Nie dostanie pan nigdzie tyle — odparł księgarz. — Ci panowie ogłoszą bankructwo przed upływem kwartału; ale ja wiem u nich o dwóch dobrych książkach o sprzedaży twardej, ale pewnej; oni nie mogą czekać, wezmą je w cenie gotówkowej i zwrócę im ich własne akcepty: w ten sposób zdobędę dwa tysiące opustu na towarze.

— Chcesz stracić dwa tysiące? — rzekł Stefan do Lucjana.

— Nie! — wykrzyknął Lucjan, przestraszony tym pierwszym interesem.

— Źle robisz — odparł Stefan.

— Nie pozbędzie pan ich papieru nigdzie — rzekł Barbet. — Dzieło pańskie jest ostatnim atutem Fendanta i Cavaliera; mogą wydrukować książkę, jedynie zostawiając ją w depozycie u drukarza, sukces ocali ich ledwie na pół roku, prędzej czy później trzasną! Ci ludzie wypijają więcej lampeczek, niż sprzedają książek! Dla mnie akcepty ich przedstawiają wartość, może pan tedy uzyskać kwotę wyższą od tej, jaką dadzą eskonterzy, którzy będą zważali na każdy podpis. Rzemiesło eskontera polega na ocenianiu, czy w razie upadłości każdy z trzech podpisów może dać trzydzieści od sta; pan zaś daje tylko dwa podpisy, z których żaden nie wart ani dziesięć procent.

Przyjaciele spojrzeli po sobie zdumieni, iż z ust tego prostaka wychodzi analiza, w której niewielu słowach mieści się cały duch eskonta.

— Bez gadania, Barbet — rzekł Lousteau. — Gdzie możemy z tym iść?

— Stary Chaboisseau, Quai Saint-Michel, wie pan, robił bilans ostatniego miesiąca u F.? Jeżeli nie godzicie się na moją propozycję, idźcie do niego, ale wróćcie do mnie i wtedy dam tylko dwa tysiące pięćset.

Stefan i Lucjan udali się na Quai Saint-Michel, gdzie w małym domku, w głębi dużej sieni, mieszkał Chaboisseau, jeden z eskonterów księgarskich. Znaleźli go na drugim piętrze, w mieszkaniu umeblowanym najoryginalniej w świecie. Ów pokątny bankier, zresztą milioner, lubił styl grecki. Gzyms pokoju stanowił desę grecki. Łóżko udrapowane purpurową materią i ustawione grecką modą wzdłuż ściany, niby tło obrazu Dawida<sup>697</sup>, o formie bardzo czystej, pochodziło z epoki Cesarstwa, kiedy wszystko wyrabiano w tym stylu. Fotele, stoły, lampy, świeczniki, najdrobniejsze akcesoria, z pewnością dobierane cierpliwie u antykwariuszy, oddychały delikatnym i wątlym, ale wytwornym wdziękiem

<sup>695</sup> *Lary i Penaty* (mit. rzym.) — bóstwa opiekuńcze domu i rodziny, często wymieniane i czczone razem; przen.: ognisko domowe, dom, rodzina. [przypis edytorski]

<sup>696</sup> *Kupidyń* a. *Amor* (mit. rzym.) — bóg miłości, przedstawiany jako skrzydlaty chłopczyk z łukiem. [przypis edytorski]

<sup>697</sup> *David, Jaques-Louis* (1748–1825) — francuski malarz, główny reprezentant klasycyzmu. [przypis edytorski]

starożytności. Ten mitologiczny i lekki styl tworzył osobliwą sprzeczność z obyczajami eskontera. Jest rzeczą godną uwagi, że najdziwniejsze typy znajdują się pomiędzy ludźmi handlującymi pieniędzem. Ludzie ci to, można powiedzieć, rozpustnicy myśli. Mogąc wszystko posiadać, a co za tym idzie, z góry przesyleni, czynią ogromne wysiłki, aby się wyrwać ze swej obojętności. Kto się im umie przyglądać, znajdzie zawsze jakąś manię, jakiś zakątek serca, przez który można ich osiągnąć. Chaboisseau zamknął się w starożytności jak w niezdołanym obozie.

— Lubuje się w antyku i sam wygląda jak antyk, zobaczysz — uśmiechnął się Stefan.

Chaboisseau, mały człeczyna o upudrowanych włosach, w zielonkawym surducie, orzechowej kamizelce, ubrany w czarne pluderki, pstrokate pończochy i trzewiki skrzypiące przy każdym kroku, wziął weksle, obejrzał, następnie oddał je Lucjanowi z powagą.

— Panowie Fendant i Cavalier to przemili chłopcy, młodzi ludzie pełni inteligencji, ale chwilowo nie posiadam gotówki — rzekł łagodnie.

— Mój przyjaciel byłby skłonny do ustępstw — zauważył Stefan.

— Nie wziąłbym tych walorów za żadną cenę — rzekł mały człowieczek, którego słowa przecięły propozycję Stefana niby nóż gilotyny.

Przyjaciele skierowali się ku drzwiom; mijając przedpokój, do którego przeprowadził ich ostrożnie Chaboisseau, Lucjan ujrzał stos książek, które eskonter, dawny księgarz, był zakupił; oczom romansopisarza błysło dzieło architekta Ducerceau o pałacach królewskich i sławnych zamkach Francji, których plany wyrysowane są tam z wielką dokładnością.

— Czy odstąpiłby mi pan to dzieło? — rzekł Lucjan.

— Owszem — rzekł Chaboisseau, z eskontera stając się znów księgarzem.

— Cena?

— Pięćdziesiąt franków.

— To drogo, hm... a potrzebne mi jest; ale jako zapłatę miałbym tylko walory, których pan nie chce.

— Ma pan tam jeden akcept pięćsetfrankowy na sześć miesięcy, wezmę go — rzekł Chaboisseau, który zapewne winien był księgarzom jakąś resztkę rachunku na powyższą sumę.

Przyjaciele wrócili do greckiego pokoju, gdzie Chaboisseau sporządził rachuneczek na sześć od sta tytułem procentu i sześć od sta komisowego, razem trzydzieści franków; doliczył pięćdziesiąt franków, cenę dzieła Ducerceau, i z kasy pełnej błyszczących talarów wydobył czterysta dwadzieścia franków.

— He, he! Panie Chaboisseau, akcepty są albo wszystkie dobre, albo wszystkie złe, czemuż nie zeskontuje pan innych?

— Ja nie eskontuję, ja realizuję należność za sprzedaną książkę — odparł mały człowieczek.

Stefan i Lucjan śmieli się jeszcze z Chaboisseau, nie przeniknąwszy jego manewru, kiedy przybyli do sklepu Dauriata, gdzie poprosili Gabussona, aby im wskazał eskontera. Wzięli kabriolet na godzinę i pomknęli na bulwar Poissonière, opatrzeni listem polecającym, jaki dał Gabusson, zapowiadając, wedle swego wyrażenia, najbardziej osobliwego i dziwnaczego „pasażera”.

— Jeżeli Samanon nie weźmie weksli — rzekł Gabusson — nikt ich wam nie zeskontuje.

W jednej osobie antykwarz na parterze, kupiec starzyzny na pierwszym piętrze, handlarz zakazanych rycin na drugim, Samanon trudnił się prócz tego pożyczaniem na fanty. Żadnej z Hoffmannowskich figur, żadnego ze złowrogich skąpców Waltera Scotta nie da się porównać z tym, co społeczna i paryska natura pozwoliła sobie stworzyć w tym człowieku, o ile w ogóle Samanon był człowiekiem. Lucjan nie mógł powstrzymać odruchu grozy na widok małego, zasuszonego starca, którego kości zdawały się przebijać skórę zupełnie wyschlą, upstrzoną żółtymi i zielonymi plamami, niby malowidło Tycjana albo Pawła Veronese<sup>698</sup> oglądane z bliska. Samanon miał jedno oko nieruchome i lodowate, drugie błyszczące i żywe. Skąpiec, który zdawał się posługiwać martwym okiem przy eskoncie, drugiego zaś używał przy sprzedaży bezwstydnym rycin, nosił nędzną, zrudziałą

<sup>698</sup>Veronese, Paolo (1528–1588) — włoski malarz renesansowy. [przypis edytorski]



peruczkę, spod której wymykały się siwe włosy; żółte czoło miało wygląd groźny, policzki zapadały się nad kwadratowymi szczękami, zęby, jeszcze białe, sterczały z warg niby u ziewającego konia. Kontrast oczu i grymas ust, wszystko to dawało mu wyraz jakiejś dzikości. Twarda i kolczasta szczec na brodzie musiała być kłująca na kształt szpilek. Kusa, wyszarzała surducina, zetlona na hubkę, czarny spłowiwały halsztuk, wytarty od brody i odsłaniający szyję pomarszczoną jak u indyka, świadczyły, iż starzec niezbyt dbał o to, aby staranną toaletą okupić naturalne braki. Dziennikarze zastali go przy straszliwie brudnym biurku, zajętego przyklejaniem etykietek do jakichś starych, nabytych na licytacji książek. Wymieniwszy spojrzenie, w którym odbijały się tysiące pytań obudzonych istnieniem podobnej osobistości, Lucjan i Lousteau przywitali go, podając list Gabussona i weksle Fendanta i Cavaliera. Podczas gdy Samanon czytał, wszedł do ciemnego sklepiku człowiek o twarzy zdradzającej wysoką inteligencję, ubrany w kusy tużurek<sup>699</sup>, który zdawał się wykrojony z blachy, tak był stwardniały od aliażu<sup>700</sup> tysiąca obcych substancji.

— Potrzeba mi mego fraka, czarnych spodni i atlasowej kamizelki — rzekł do Samanona, podając kartkę z numerem.

Samanon pociągnął mosiężną rączkę dzwonka, na którego dźwięk zeszła kobieta, sądząc z bogactwa kolorów wyglądająca na Normandkę.

— Pożycz panu jego ubrania — rzekł, wyciągając rękę do pisarza. — Z panem to prawdziwa przyjemność robić interesy; ale jeden z pańskich przyjaciół przyprowadził mi młodego urwisa, który mnie diabelnie wykierował.

— Jego ktoś wykierował! — rzekł artysta do dziennikarzy, wskazując Samanona głęboko komicznym ruchem.

Ów wielki człowiek czynił tak, jak czynią lazarony<sup>701</sup>, aby wypożyczyć na dzień świąteczny swoje ubranie z *monte di pietà*: złożył trzydzieści su, które żółta i popękana ręka eskontera zgarnęła i wpuściła do kasy.

— Cóż ty za osobliwy handel uprawiasz? — rzekł Lousteau do wielkiego artysty, który wydany na pastwę opium, pochłonięty kontemplacją zaczarowanych pałaców, nie chciał lub nie mógł tworzyć.

— Ten człowiek szacuje fanty o wiele wyżej niż bank pobożny, a co ważniejsze, ma to okropne miłosierdzie, iż pozwala odebrać odzież w ważnych okazjach — odparł. — Mam dziś być na obiedzie u Kellerów z moją kochanką. Łatwiej mi się wystarać o trzydzieści su niż o dwieście franków; przychodzę tedy wydobyć moją garderobę, która od pół roku przyniosła temu miłosiernemu lichwiarzowi sto franków. Samanon pożarł już moją bibliotekę tom po tomie.

— I grosz po groszu — uśmiechnął się Lucjan.

— Dam panu tysiąc pięćset franków — rzekł Samanon do Lucjana.

Lucjan cofnął się gwałtownie, jak gdyby eskonter zatopił mu w serce rozżarzony pręt żelazny. Samanon oglądał uważnie bilety, rozpatrując daty.

— A i to jeszcze — rzekł kupiec — musiałbym się rozmówić z Fendantem i przejrzeć jego książki. Pan nie jesteś wiele wart — rzekł do Lucjana — żyjesz z Koralią i meble masz zajęte.

Lousteau spojrział na Lucjana, który odebrał akcepty i wypadł ze sklepu, mówiąc:

— Czy to diabeł?

Poeta spoglądał przez kilka chwil na sklepik: był tak mizerny, przegródki z ponumerowanymi książkami były tak brudne i nędzne, iż na widok jego każdy przechodzień musiał się uśmiechnąć, pytając samego siebie: „Cóż za przemysł tu się uprawia?”

W kilka chwil wielki nieznajomy, który w dziesięć lat później miał brać udział w olbrzymim, mimo iż na kruchych podstawach opartym przedsięwzięciu saintsimonistów, wyszedł bardzo przyzwoicie ubrany, uśmiechnął się do dziennikarzy i skierował się wraz z nimi do pasażu Panoramy, aby tam uzupełnić toaletę, dając sobie wyszczotkować obuwie.

<sup>699</sup>tużurek — rodzaj dwurzędowego surduta z ciemnej wełny. [przypis edytorski]

<sup>700</sup>aliaż (daw.) — stop, mieszanina. [przypis edytorski]

<sup>701</sup>lazaron (daw., z wł. *lazzarone*) — bezdomny włóczęga uliczny, żebrak. [przypis edytorski]

— Kiedy się widzi Samanona wchodzącego do księgarni, papierni lub drukarni, to znaczy, iż wchodzi tam śmierć — rzekł artysta. — Samanon jest jak grabarz, który przychodzi brać miarę na trumnę.

— Nie zeskontujesz już akceptów — rzekł Stefan do Lucjana.

— Tam, gdzie Samanon odmawia — mówił nieznajomy — nikt nie przyjmuje, on jest *ultima ratio*<sup>702</sup>! To jeden z naganiaczy Gigonneta, Palmy, Werbrusta, Gobsecka i innych krokodylów pływających po rynku Paryża, z którymi człowiek będący w drodze do zrobienia lub stracenia fortuny wcześniej lub później musi się spotkać.

— Jeżeli nie możesz zeskontować weksli po pięćdziesiąt za sto, trzeba je wymienić za gotówkę.

— A to jak?

— Daj Koralii, wpakuje je Camusotowi. Burzysz się — ciągnął Lousteau, widząc, iż Lucjan rzucił się gwałtownie. — Cóż za dzieciństwo! Czy możesz kłaść na szalę swoją przyszłość o podobne głupstwo!

— Tyle wiem, że te pieniądze zaniosę Koralii — rzekł Lucjan.

— Drugie głupstwo! — wykrzyknął Lousteau. — Nie załatasz nic czterystu frankami, gdzie potrzeba czterech tysięcy. Zachowaj tyle, aby było za co spić się w razie przegranej, i idź grać.

— Rada wcale roztropna — rzekł wielki nieznajomy.

O cztery kroki od Frascati<sup>703</sup> słowa te miały magiczną siłę. Przyjaciele odprawili kabriolet i weszli do domu gry. Zrazu wygrali trzy tysiące franków, spadli z powrotem na pięćset, znów wygrali trzy tysiące siedemset; następnie spadli do pięciu franków, odnaleźli się w dwu tysiącach i rzucili na „parę”, aby je podwoić od jednego zamachu; „para” nie wyszła od pięciu obrotów, zaryzykowali więc całą sumę. „Niepara” wyszła jeszcze raz. Lucjan i Lousteau zbiegli tedy po schodach tego słynnego przybytku, straciwszy dwie godziny na morderczych wzruszeniach. Zachowali sto franków. Na schodach małego perystylu o dwu kolumnach podtrzymujących blaszany daszek, w który niejedno oko wpatrywało się z miłością lub rozpaczą, Lousteau rzekł, widząc rozplomienione oko Lucjana:

— Przejedźmy tylko pięćdziesiąt.

Wrócili. W godzinie doszli do tysiąca talarów; postawili cały tysiąc na „czerwone”, które przeszło już pięć razy, rachując na traf, który spowodował poprzednią przegraną. Wyszło „czarne”. Była szósta.

— Schowajmy na obiad tylko dwadzieścia pięć — rzekł Lucjan.

Nowa próba trwała krótko, dwadzieścia pięć franków utonęło w dziesięciu obrotach. Lucjan rzucił z wściekłością dwadzieścia pięć franków na cyfrę swoich lat i wygrał; nic nie zdoła opisać drżenia jego ręki, kiedy wziął grabki dla ściągnięcia talarów, które bankier rzucał po jednemu. Dał dziesięć ludwików Stefanowi i rzekł:

— Uciekaj do Véry'ego.

Lousteau zrozumiał, pobiegł zamówić obiad. Lucjan, zostawszy sam, postawił café trzydziści ludwików na „czerwone” i wygrał. Ośmielony tajemnym głosem, jaki słyszą niekiedy gracze, zostawił wszystko na „czerwonym” i wygrał: uczuł w żołądku palenie jakby rozżarzonych węgli! Mimo głosu przesunął sto dwadzieścia ludwików na „czarne” i przegrał. Doznał wówczas rozkosznego uczucia, jakie następuje u graczy po straszliwych wzruszeniach, kiedy nie mając już nic do rzucenia na stół, opuszczają płomienisty pałac, gdzie się trawią ich ulotne marzenia. Znalazł Stefana u Véry'ego, gdzie, jak powiada La Fontaine, zanurzył się w rozkoszach kuchni i utopił zgryzoty w winie. O dziewiątej był tak pijany, że nie mógł zrozumieć, czemu odźwierna z ulicy Vendôme odsyła go na ulicę de la Lune.

— Panna Koralia opuściła apartament i przeniosła się do domu, którego adres wypisano tutaj.

Lucjan, zbyt pijany, aby się czemukolwiek dziwić, wrócił do fiakra: kazał się zawieźć na ulicę „księżycową”<sup>704</sup>, w myśli płodząc kalambury na temat tego miana. W ciągu po-

<sup>702</sup>*ultima ratio* (łac.) — ostatni argument, środek ostateczny. [przypis edytorski]

<sup>703</sup>*Frascati* (*café Frascati*) — lokal przy bulwarze Montmartre w Paryżu, mieścił elegancką restaurację i dom hazardu. [przypis edytorski]

<sup>704</sup>ulica „księżycowa” — wspomniana ulica de la Lune (fr. *la lune*: księżyc). [przypis edytorski]

ranka gruchnęła upadłość Panorama-Dramatique. Aktorka, przerażona, sprzedała czym prędzej, za zgodą wierzycieli, całe urządzenie staruszkowi Cardot, który, aby nie zmieniać przeznaczenia apartamentu, pomieścił w nim Florentynę. Koralia zapłaciła, zlikwidowała wszystko i zaspokoila właściciela. Przez czas potrzebny do tej operacji, którą Berenice nazywała „wielkim praniem”, wierna sługa urzędowała przy pomocy nabytych okazyjnie najniezbędniejszych mebli trzy pokoiki na czwartym piętrze przy ulicy de la Lune, o dwa kroki od Gymnase. Koralia oczekiwała Lucjana, ocaliwszy z tego rozbicia swą miłość bez skazy i woreczek z tysiąc dwustoma frankami. Pod wpływem pijaństwa Lucjan opowiedział swoje nieszczęścia.

— Dobrze zrobiłeś, aniele — rzekła aktorka, tuląc go. — Berenice potrafi wpakować twoje weksle Braulardowi.

Nazajutrz rano Lucjan obudził się w upajających rozkoszach, jakimi obsypała go Koralia. Aktorka dwoiła swą miłość i tkliwość, jak gdyby chcąc skarbami serca wynagrodzić niedostatek. Była czarująca z włosami wymykającymi się spod fularu, biała i świeża, ze śmiejącymi się oczami, ze szczebiotem wesołym jak promień wschodzącego słońca, które wdarło się przez okna, aby ozłocić tę uroczą nędzę. Pokój, jeszcze schludny, obity był zielonkawym papierem z czerwoną obwódką, ozdobiony dwoma lustrami, jednym w ramie kominka, drugim nad komodą. Nabyty okazyjnie dywan, który Berenice wbrew woli Koralii kupiła za własne grosze, okrywał nagą i zimną podłogę. Garderoba kochanków mieściła się w szafie z lustrem i w komodzie. Mahoniowe meble pokryte były niebieską bawełną. Berenice ocaliła z rozbicia zegar, dwie porcelanowe wazy, cztery srebrne nakrycia i pół tuzina łyżeczek. Jadalnia, która znajdowała się obok sypialni, przypominała mieszkanie urzędnika o tysiącu dwustu frankach pensji. Kuchnia wychodziła na korytarz. Berenice sypiała o pięterko wyżej, na poddaszu. Czynsz wynosił nie więcej niż sto talarów. Ten ohydny dom miał bramę wjazdową tylko z pozoru. Odźwierny mieszkał w małej norze z wybitym na schody okienkiem, przez które nadzorował siedemnastu lokatorów. Ul taki nazywa się w stylu notarialnym „domem czynszowym”. Lucjan znalazł biurko, fotel, atrament, pióra i papier. Wesołość Berenice, która liczyła na debiut Koralii w Gymnase, radosny szczebiot aktorki oglądającej rolę — spory kajecik związany niebieską wstążką — rozpedziły niepokoje i smutek wytrzeźwionego poety.

— Byleby w świecie nie dowiedziano się o tej degrengoladzie<sup>705</sup> — rzekł — damy sobie jakoś radę. Ostatecznie, mamy przed sobą cztery tysiące pięćset franków! Wyzyskam moją nową pozycję w dziennikach rojalistycznych. Jutro inaugurujemy „Jutrzenkę”; znam się już na dziennikarstwie, ja im pokażę!

Koralia, która widziała w tych słowach jedynie miłość, ucałowała usta, które je wymówiły. W tej chwili Berenice nakryła stół przy kominku i podała skromne śniadanko złożone z jajecznicy, dwóch kotletów i kawy ze śmietanką. Ktoś zapukał. Trzej szczerzy przyjaciele, d'Arthez, Leon Giraud i Michał Chrestien, ukazali się zdziwionym oczom Lucjana, który żywo wzruszony prosił, by podzielili z nim śniadanie.

— Nie — rzekł d'Arthez. — Przychodzimy dla spraw poważniejszych niż proste słowa pociechy. Wiemy wszystko, wracamy z ulicy Vendôme. Znasz moje zapatrywania, Lucjanie. W każdej innej okoliczności cieszyłbym się widząc, iż podzielasz moje przekonania polityczne; ale w sytuacji, w jakiej się postawiłeś, pisując w liberalnych dziennikach, nie mógłbyś przejść do naszych szeregów bez splamienia na zawsze swego charakteru i skalania egzystencji. Przychodzimy cię zaklinać w imię naszej przyjaźni, mimo iż się rozluźnia, abys się nie plamił w ten sposób. Atakowałeś romantyków, prawicę i rząd; nie możesz obecnie bronić rządu, prawicy i romantyków.

— Pobudki, które każą mi tak czynić, wynikają z wyższej kategorii pojęć; cel usprawiedliwi wszystko — rzekł Lucjan.

— Nie rozumiesz może obecnej sytuacji — rzekł Leon Giraud. — Rząd, dwór, Burboni, stronnictwo absolutystyczne albo, jeżeli chcesz wszystko zamknąć w ogólnym wyrażeniu, system antykonstytucyjny, który dzieli się na kilka frakcji, całkowicie rozbieżnych, gdy chodzi o środki zwalczania rewolucji, jest co najmniej w zgodzie co do ko-

<sup>705</sup>degrengolada — upadek moralny lub materialny, stoczenie się. [przypis edytorski]

nieczności okiełzania prasy. Założenie „Jutrzenki”, „Pioruna”<sup>706</sup>, „Białego Sztandaru”<sup>707</sup>, trzech dzienników przeznaczonych do odgryzania się potwarzom, obelgom, szyderstwom prasy liberalnej (czego bynajmniej nie pochwalam, i to właśnie niezrozumienie wielkości naszego posłannictwa skłoniło nas do założenia godnego i poważnego dziennika, który rychło zdobędzie sobie posłuch) — rzekł Leon, czyniąc nawias — otóż ta rojalistyczna i ministerialna artyleria jest pierwszą próbą represaliów<sup>708</sup>, podjętych, aby liberałom oddać cios za cios, ranę za ranę. Cóż myślisz, iż stąd wyniknie, Lucjanie? Abonenci są w przewadze po lewicy. W prasie, jak na wojnie, zwycięstwo będzie po stronie silnych batalionów. Ty będziesz należał do bezecznych, kłamców, wrogów ludu; tamci będą obrońcami ojczyzny, ludźmi honoru, męczennikami, mimo iż bardziej może obłudni i przewrotni od was. Środek ten pomnoży zgubny wpływ prasy, uprawniając i uświęcając jej najwstrętniejsze metody. Zniewagi i wycieczki osobiste staną się jednym z jej praw publicznych, przyjętym dla uciechy abonentów i siłą obustronnej praktyki utrwalonym jako niewzruszony obyczaj. Kiedy zło ujawni się w całej rozciągłości, prawa ograniczające prasę, cenzura, wprowadzona po zabójstwie księcia de Berry i uchylona od czasu otwarcia Izby, powróci. Czy wiesz, co lud francuski wyciągnie za wniosek z tego sporu? Da ucho podszeptom liberałów, uwierzy, że Burboni chcą zaczepić istotne zdobycze rewolucji, a pewnego pięknego dnia powstanie i wypędzi Burbonów. Nie tylko ty splamisz swoje życie, ale znajdziesz się w szeregach zwyciężonych. Jesteś zbyt młody, zbyt nowy w prasie, zbyt mało znasz jej tajemnych sprzężyn; obudziłeś zbyt wiele zazdrości, aby się oprzeć ogólnej nagonce, jaka zacznie się przeciw tobie w prasie postępowej. Wpadniesz w wir furii stronnictw, które są jeszcze w paroksyzmie gorączki; z tą różnicą, iż od brutalnych postępów w roku tysiąc osiemset piętnastym i tysiąc osiemset szesnastym<sup>709</sup> gorączka ich przeszła w idee, w walkę na słowa w Izbie i w polemikę prasy.

— Moi przyjaciele — rzekł Lucjan — nie jestem dudkiem ani „poetą”, jakiego chcecie widzieć we mnie. Co bądź by się mogło zdarzyć, zdobędę korzyść, jakiej triumf partii liberalnej nie dałby mi nigdy. Kiedy wy zwyciężycie, moja sprawa będzie gotowa.

— Obetniemy ci... włosy — rzekł, śmiejąc się Michał Chrestien.

— Będę miał wówczas dzieci — odparł Lucjan — i choćbyście mi ucięli głowę, będzie to bez znaczenia.

Trzej przyjaciele nie zrozumieli Lucjana, u którego stosunki z wielkim światem rozwinęły w najwyższym stopniu dumę rodową i arystokratyczne próżnostki. Poeta widział, słusznie zresztą, olbrzymią fortunę w swej urodzie i talencie, popartych nazwiskiem i tytułem hrabiego de Rubempré. Panie d'Espard, de Bargeton i de Montcornet trzymały go tą nitką, jak dziecko trzyma chrząszcza. Lucjan fruwał już tylko w ograniczonym kole. Te słowa: „Jest nasz, jest dobrze myślący!” — powiedziane trzy dni przedtem w salonie panny des Touches, upoiły go zarówno jak powinszowania książąt de Lenoncourt, de Navarreins i de Grandlieu, Rastignaca, Blondeta, pięknej księżnej de Maufrigneuse, hrabiego d'Esgrignon, pana des Lupeaulx, najwpływowszych i najlepiej widzianych wśród członków partii rojalistycznej.

— Ano, powiedzieliśmy wszystko — rzekł d'Arthez. — Trudniej ci będzie niż komukolwiek zachować czystość pióra i własny szacunek. Będziesz bardzo cierpiał, o ile cię znam, kiedy uczujesz wzdargę tych właśnie, którym się sprzedasz.

Pożegnali Lucjana bez przyjacielskiego uścisku dłoni, Lucjan pozostał przez kilka chwil zamyślony i smutny.

— Ech! Zostawże tych dudków — rzekła Koralia, wskakując mu na kolana i zaplatając piękne, świeże ramiona dokoła szyi poety — oni biorą życie serio, a życie to żart. Zresztą będziesz hrabią Lucjanem de Rubempré. Jeżeli będzie trzeba, obrobię figury z kancelarii. Wiem, jak się wziąć do tego rozpustnika des Lupeaulx: postara się o dekret. Czy ci nie

<sup>706</sup> „Piorun” — „La Foudre”, ultraroyalistyczna gazeta paryska, wydawana w l. 1821–1823. [przypis edytorski]

<sup>707</sup> „Biały Sztandar” — „Le Drapeau Blanc”, rojalistyczny dziennik paryski, wydawany w l. 1819–1827. [przypis edytorski]

<sup>708</sup> *represalia* — środki odwetowe stosowane przez państwo w odpowiedzi na bezprawną działalność innego państwa. [przypis edytorski]

<sup>709</sup> *brutalne postępy w roku 1815 i 1816* — tzw. biały terror, masowe wyroki śmierci i mordy dokonywane na republikanach i bonapartystach przez władze i zbrojne grupy rojalistyczne po ostatecznym upadku Napoleona, głównie na południu Francji. [przypis edytorski]

powiedziała, że kiedy ci będzie brakowało jednego stopnia, aby osiągnąć cel, możesz postawić nogę na trupie Koralii?

Nazajutrz Lucjan pozwolił umieścić swoje nazwisko między współpracownikami „Jutrzenki”. Nazwisko to otrąbiono jako zdobycz w prospekcie rozrzuconym, za staraniem ministerium, w stu tysiącach egzemplarzy. Lucjan stawił się na triumfalnej wieczerzy, która trwała dziewięć godzin, u Roberta, o dwa kroki od Frascati. Brali w niej udział koryfeusze prasy rojalistycznej: Martainville, Auger, Destains<sup>710</sup> i mnóstwo żyjących jeszcze autorów, którzy w owym czasie, wedle uświęconego wyrażenia, „budowali monarchię i religię”.

— Damy im bobu, panom liberalom! — wołał Hektor Merlin.

— Panowie — odparł Natan, który zaciągnął się pod tę flagę, sądząc trafnie, iż w karierze teatralnej, o której myślał, lepiej jest mieć władzę za sobą niż przeciw — jeżeli robimy z nimi wojnę, róbmyż ją serio; nie strzelajmy kulkami z chleba! Atakujmy wszystkich pisarzy klasycznych i liberalnych bez różnicy płci i wieku, przepuśćmy wszystkich przez ostrze naszego języka i nie dawajmy pardonu<sup>711</sup>.

— Bądźmy honorowi, nie dajmy się brać na egzemplarze, podarki, pieniądze księgarzy. Stwórzmy odrodzenie dziennikarstwa.

— Brawo! — rzekł Martainville. — *Justum et tenacem propositi virum!*<sup>712</sup> Bądźmy nieubłagani i kąśliwi! Zrobię z Lafayette’a<sup>713</sup> to, czym jest: pajaca!

— Ja — rzekł Lucjan — biorę na siebie bohaterów „Constitutionnela”, sierżanta Merciera<sup>714</sup>, *Dzieła wszystkie* pana de Jouy, znamienitych mówców lewicy!

O pierwszej z rana dziennikarze, którzy utopili wszystkie swoje odcienie myśli w płomienistym ponczu, zawotowali jednogłośnie walkę na śmierć i życie.

— Urzęliśmy się monarchiczno-religijnie — rzekł na odchodnym jeden z najsławniejszych romantyków.

To historyczne powiedzenie puszczone w kurs przez księgarza, który też uczestniczył w biesiadzie, ukazało się nazajutrz w „Zwierciadle”, ale zdradę przypisano Lucjanowi.

Odstępstwo to dało sygnał do strasznego harmideru w dziennikach liberalnych. Lucjan stał się codziennym łupem; kluto go szpileczkami w najokrutniejszy sposób; opowiadano nieszczęsne koleje jego sonetów, powiadomiono publicznie, że Dauriat wołał stracić tysiąc talarów niż je drukować, nazywano go „poetą bez sonetów”!

Jednego ranka, w tym samym dzienniku, w którym zadebiutował tak świetnie, Lucjan przeczytał następujących kilka wierszy, napisanych wyłącznie dla niego, dla publiczności bowiem koncept ten był niezrozumiały:

\*\*\* Jeżeli księgarz Dauriat nadal będzie się upierał nie drukować sonetów przysłego francuskiego Petrarcki, postąpimy sobie jak szlachetni wrogowie, otworzymy nasze szpalty tym utworom. Muszą być interesujące, sądząc po próbie, której udzielił nam jeden z przyjaciół autora.

I pod tą straszną zapowiedzią poeta przeczytał następujący sonet, który oblał gorącymi łzami:

W wytwornym, pełnym kwiatów błyszczących ogrodzie  
Zeszła roślinka, nikła dość i podła; ale  
Głosząc swe przysze blaski, zaczęła zuchwale  
Cuda prawić o swoim szlachectwie i rodzie.

<sup>710</sup>Martainville, Auger, Destains — *Alphonse Martainville* (1776–1830): francuski dziennikarz polityczny i dramaturg, redaktor „Białego Sztandaru”; *Louis Simon Auger* (1772–1829): francuski dziennikarz, krytyk literacki i dramaturg, przeciwnik romantyzmu, w czasach Restauracji współpracownik pism rojalistycznych i cenzor królewski; *Eugène Destains* (1793–1830): francuski pisarz i dziennikarz. [przypis edytorski]

<sup>711</sup>pardon (daw.) — oszczędzenie przeciwnika w walce. [przypis edytorski]

<sup>712</sup>*Justum et tenacem propositi virum...* (łac.) — początek ody Horacego (*Ody* III, 3, 1): Męża sprawiedliwego i niewzruszonego... (nikt nie zwiedzie z drogi i nic nim nie zachwieje). [przypis edytorski]

<sup>713</sup>*Lafayette, Marie-Joseph de* (1757–1834) — francuski polityk, liberal i dowódca wojskowy, uczestnik wojny o niepodległość Stanów Zjednoczonych, Wielkiej Rewolucji Francuskiej i rewolucji lipcowej; podczas Restauracji należał do liberalnych członków Izby Deputowanych. [przypis edytorski]

<sup>714</sup>*sierżant Mercier* — dowódca oddziału Gwardii Narodowej, który 4 marca 1823 odmówił wykonania rozkazu usunięcia z sali obrad Izby Deputowanych posła Jacques’a Antoine’a Manuela, wykluczonego przez rojalistyczną większość za ostrą krytykę rządu, planującego interwencję wojskową w Hiszpanii. [przypis edytorski]

Cierpiano ją; gdy jednak niewdzięczne nasienie  
Zaczęło żyć bez sromu<sup>715</sup> swe zacniejsze siostry,  
Uczyniono sąd nad nią: wyrok, niezbyt ostry,  
Orzekł, iżby poparła swoje pochodzenie.

Wówczas zakwitła. Ale nigdy na jarmarku  
Kuglarza nie wydrwiono tak szpetnie, jak ową  
Nowalię, która, w rzeczy, była zielskiem prostym;

Ogrodnik, idąc, prętem nadkręcił jej karku,  
Nad grobem jej li osieł zaryczał grobowo,  
Bo też ten rajski kielich był zwyczajnym ostem<sup>716</sup>.

Vernou robił aluzję do namiętności Lucjana do gry i napiętnował zawczasu *Gwardzi-  
stę* jako utwór antynarodowy, w którym autor bierze stronę katolickich zbirów przeciw  
kalwińskim ofiarom. W ciągu tygodnia wojna zaostrzyła się. Lucjan liczył na swego przy-  
jaciela Lousteau, który mu był winien tysiąc franków i z którym miał tajne układy; ale  
Lousteau stał się zaciętym wrogiem Lucjana. Oto jak. Od trzech miesięcy Natan kochał  
się we Florynie i nie wiedział, jak sprzątnąć ją Stefanowi, dla którego zresztą dziewczyna  
ta była opatrnością. Wśród nędzy i rozpaczy, w jakiej znajdowała się aktorka pozbawio-  
na *engagement*, Natan, współpracownik Lucjana, zaszedł do Koralii i poprosił ją, by się  
wystarała dla Floryny o rolę w jego sztuce, sam podejmując się wyrobić jej warunko-  
we miejsce w Gymnase. Floryna, parta ambicją, nie zawahała się. Miała czas poznać do  
gruntu Stefana Lousteau. Natan był to człowiek ambitny literacko i politycznie, człowiek,  
który miał tyleż energii, co potrzeb, gdy u Stefana nałogi zabijały wolę. Aktorka, która  
chciała wrócić na widownię w nowym blasku, wydała listy drogiście Natanowi, Natan zaś  
zmusił Matifata do odkupienia ich za upragnioną przez Finota szóstą część dziennika.  
Floryna najęła wówczas wspaniałą apartament przy ulicy Hauteville i przyjęła protektor-  
rat Natana w obliczu całego dziennikarstwa i teatru. Wydarzenie to tak strasznie zraniło  
Stefana, iż płakał pod koniec obiadu, jaki przyjaciele wydali, aby go pocieszyć. Wśród  
tej orgii biesiadnicy osądzili, że Natan był w porządku. Dziennikarze, jak Finot i Ver-  
nou, znali miłość dramaturga do Floryny; ale, zdaniem wszystkich, Lucjan, pośrednicząc  
w tej sprawie, chybił najświętszym prawom przyjaźni. Duch partii, chęć usłużenia no-  
wym przyjaciółom, będące jego pobudką, czyniły ten postępek świeżego rojalisty nie do  
wybaczenia.

— Natan działał uniesiony logiką namiętności, gdy wielki człowiek z prowincji, jak  
go nazywa Blondet, powodował się rachunkiem! — wykrzykiwał Bixiou.

Toteż zagładę Lucjana, intruza, chłystka, który chciał połknąć ich wszystkich, po-  
stanowiono jednogłośnie i obmyślono ją głęboko. Vernou, który nienawidził Lucjana,  
podjął się szcuć go do upadłego. Aby się uchylić od zapłacenia Stefanowi tysiąca ta-  
larów, Finot oskarżył Lucjana, że przeszkodził mu zarobić pięćdziesiąt tysięcy, wydając  
Natanowi sekret akcji wymierzonej przeciw drogiście. Natan, za radą Floryny, zachował  
sobie Finota, odprzedając mu jego upragnioną „szóstą” za piętnaście tysięcy. Lousteau,  
który stracił tysiąc talarów, nie darował Lucjanowi tej szczyby. Rany miłości własnej  
stają się nieuleczalne, skoro wsączy się w nie kwas straty pieniężnej. Żadne wyrażenie,  
żaden obraz nie oddadzą wściekłości, jaka chwyta pisarzy, kiedy ich miłość własna cierpi,  
ani energii, jaką znajdują w chwili, gdy ich draśnie zatruta strzała szyderstwa. Ci, któ-  
rych energia i opór potęgują się pod wpływem ataku, ulegają rychło. Ludzie spokojni,  
którzy obmyślają zemstę dopiero po głębokim zapomnieniu, w jakim utonie obelżywy  
artykuł, ci okazują w literaturze prawdziwy hart ducha. Dlatego słabi na pierwszy rzut  
oka wydają się silni; ale ich opór trwa tylko chwilę. Pierwsze dwa tygodnie Lucjan, roz-  
wścieczony, spał istny grad artykułów w rojalistycznych dziennikach, gdzie dzielił ciężar

<sup>715</sup>srom (daw.) — wstyd. [przypis edytorski]

<sup>716</sup>ten rajski kielich był zwyczajnym ostem — w oryginale wykorzystano dosłowne znaczenie nazwiska bohatera:  
fr. *chardon*: oset. [przypis edytorski]

krytyki z Hektorem Merlinem. Codziennie na wyłomie „Jutrzenki” skrzył się ogniem całego swego talentu, wspomagany przez Martainville’a, jedyne go człowieka, który wspierał go bez ubocznej myśli i którego nie wprowadzono w sekret paktów przypieczonego żartobliwie przy butelce lub u Dauriata, za kulisami wreszcie, między dziennikarzami dwóch stronnictw, których sekrety rzemiosła łączyły zawsze potajemnie. Kiedy Lucjan ukazywał się w *foyer* Wodewilu, nie traktowano go z koleżeńską; jedynie ludzie z jego stronnictwa podawali mu rękę, podczas gdy Natan, Hektor Merlin, Teodor Gaillard kumali się bez sromu z Finotem, Lousteau, Vernou i paroma innymi, uznanymi za „dobrych chłopców”. W owej epoce *foyer* Wodewilu stanowiło główną kwaterę plotek literackich, rodzaj buduaru, gdzie zachodzili ludzie wszystkich stronnictw, politycy i rządowcy. Po reprimendzie udzielonej w pewnym wysokim trybunale, prezydent, który zarzucił jednemu ze swych kolegów, iż zamiata togą deski kulis, sam spotkał się z połajaniem „toga w togę” w *foyer* w Wodewilu. Lousteau z Natanem podali tam wreszcie sobie ręce, Finot przychodził tam prawie co wieczór. Kiedy Lucjan miał czas, studiował tam nastrój swych wrogów; nieszczęśliwy chłopiec spotykał zawsze nieubłagany chłód.

W owym czasie zjadliwość stronnictwa rodziła nienawiści o wiele poważniejsze niż dzisiaj. Na dłuższą metę wszystko osłabiło się przez zbyt napięte sprężyny. Dziś krytyka, uczyniwszy *auto da fé*<sup>717</sup> z książką pisarza, podaje mu rękę. Ofiara musi uściskać ofiarnika pod grozą śmiechoty. W razie odmowy pisarz zowie się antyspołeczny, niemożliwy w pożyciu, źle wychowany, przesiąknięty miłością własną, nieprzystępny, niekoleżeński, obraźliwy. Dziś, kiedy autor otrzymał zdradziecki cios w plecy, kiedy uniknął zastawionych z bezwstydną obłudą pułapek, kiedy zniósł najgorsze napaści, patrzy, jak jego mordercy przychodzą mu rzec dzień dobry i mają pretensje do jego szacunku, ba, przyjaźni! Wszystko tłumaczy się i usprawiedliwia w epoce, w której przerobiono cnotę na występki, tak jak ochrzczono niektóre występki cnotami. Kamaraderia<sup>718</sup> stała się najświętszą ze swobód. Przywódcy najsprzeczniejszych obozów mówią ze sobą grzecznymi półsłówkami, uprzejmymi aluzjami. W owym czasie, jeżeli kto jeszcze pamięta, dla pewnych pisarzy rojalistycznych i pewnych pisarzy liberalnych odwagą było znaleźć się w jednym teatrze. Padały najnienawistniejsze wyzwiska. Spojrzenia były naładowane jak pistolety, lada iskra mogła spowodować wystrzał, sprzeczki. Któż nie słyszał, jak sąsiad jego klnie przez zęby za wejściem kilku ludzi specjalnie wystawionych na ataki przeciwnego stronnictwa? Istniały wówczas jedynie dwie partie, rojalistów i liberalów, romantyków i klasyków, ta sama nienawiść pod dwiema formami, nienawiść, która pozwala zrozumieć szafoty Konwentu. Lucjan, stawszy się zaciekle rojalistą i romantykiem, z liberała i zagorzałego wolterianina, jakim był w początkach, odczuł ciężar wszystkich nienawiści unoszących się nad głową człowieka najbardziej zniechęconego liberałom owej epoki, Martainville’a, jedyne go, który go bronił i lubił. Solidarność ta zaszkodziła Lucjanowi. Stronnictwa są niewdzięczne wobec własnych patroli, opuszczają chętnie swoich straceniów. W polityce zwłaszcza, dla tych, którzy chcą *dojść*, ważne jest, aby szli z korpusem armii. Główną złośliwością małych dzienników było sparzyć Lucjana i Martainville’a. Liberalizm rzucił ich sobie w ramiona. Ta fałszywa czy prawdziwa przyjaźń ściągnęła na nich obu artykuły napisane żółcią Felicjana, rozjadłego powodzeniem Lucjana w „świecie” i wierzącego, jak wszyscy dawni koledzy, w jego bliskie wywyższenie. Rzekomą „zdradę” poety zatruto tedy i ubrano w najbardziej obciążające okoliczności. Lucjana nazwano małym Judaszem, a Martainville’a wielkim Judaszem, Martainville’a bowiem oskarżono, słusznie czy nie, że wydał swego czasu most w Pecq<sup>719</sup> armiom nieprzyjacielskim... Lucjan zauważył, śmiejąc się do pana des Lupeaulx, iż co do niego, wydał z pewnością swoim przyjaciółom *most osli*<sup>720</sup>. Zbytek Lucjana, mimo iż fałszywy i oparty na kredycie, drażnił jego przyjaciół, którzy nie mogli mu darować ani wykwintnego pojazdu, dla nich

<sup>717</sup> *auto da fé* (port.: akt wiary) — końcowy etap procesu inkwizycyjnego: publiczna deklaracja potwierdzenia lub odrzucenia religii katolickiej przez oskarżonego przed jego spalaniem na stosie; uroczyste spalanie na stosie heretyka lub dzieł heretyckich. [przypis edytorski]

<sup>718</sup> *kamaraderia* a. *kameraderia* (daw.) — zażyłość koleżeńska, koleżeństwo. [przypis edytorski]

<sup>719</sup> *most w Pecq* — drewniany most we wsi Pecq, po którym 1 lipca 1815 armie Wellingtona i Blüchera przeszły przez Sekwanę. [przypis edytorski]

<sup>720</sup> *osli most* — zapewne aluzja do popularnej anegdoty: król Filip Macedoński na wiadomość, że pewne miasto jest nie zdobycia, miał zapytać, czy nie ma do niego ścieżki dość szerokiej, by zmieścił się osioł obładowany złotem. [przypis edytorski]

bowiem rozpierał się w nim wciąż jeszcze, ani przepychów z ulicy Vendôme. Wszyscy czuli instynktownie, że człowiek młody i piękny, inteligentny i zepsuty przez nich może dojść do wszystkiego; toteż aby go obalić, wprawili w ruch wszystkie środki.

Na kilka dni przed występem Koralii w Gymnase Lucjan wszedł pod ramię z Hektorem Merlinem do *foyer* Wodewilu. Merlin wyrzucał przyjacielowi, iż popierał Natana w sprawie z Floryną.

— Zrobiłeś sobie tak z Lousteau, jak z Natana śmiertelnych wrogów. Dawałem ci dobre rady; nie skorzystałeś z nich. Rozdawałeś pochwały i siałeś dobrodziejstwa, będziesz okrutnie ukarany za swe dobre uczynki. Floryna i Koralia nigdy nie będą na jednej scenie żyły w zgodzie: jedna będzie chciała zgasić drugą. Masz tylko nasze pisma, aby bronić Koralii; Natan, poza przewagą, jaką daje mu autorstwo, rozporządza w kwestiach teatru dziennikami liberalnymi i jest w prasie nieco dłużej od ciebie.

Zdanie to odpowiadało tajemnym obawom Lucjana, który nie znajdował ani u Natana, ani u Gaillarda szczerości, do jakiej miał prawo; ale nie mógł się skarżyć; był tak świeżo nawrócony! Gaillard miażdżył Lucjana, mówiąc, że nowi przybysze muszą długi czas przebywać próbę, nim stronnictwo będzie mogło im zaufać. Poeta spotkał w łonie rojalistycznych i ministerialnych dzienników zazdrość, o jakiej nie śnił, zazdrość, która objawia się u wszystkich ludzi w obliczu kłaska do podziału i czyni ich podobnymi do psów gryzących się o żer: te same warczenia, ta sama postawa, natura. Płatali jedni drugim tysiące tajemnych sztuczek, aby sobie zaszkodzić w oczach władzy, oskarżali się o brak gorliwości, i dla pozbycia się konkurenta wymyślali najprzewrotniejsze machinacje. Liberalowie, z dala od władzy i faworów, nie mieli żadnego powodu do walk wewnętrznych. Widząc tę skłębioną sieć ambicji, Lucjan nie miał ani dość odwagi, aby dobyć szpady i rozciąć jej węzły, ani też nie czuł w sobie cierpliwości, aby je rozplątywać; nie umiał być ani Aretinem, ani Beaumarchais'm, ani Fréronem<sup>721</sup> swojej epoki, trwał w jednym pragnieniu: uzyskać swój dekret, rozumiał bowiem, iż ta restytucja przyniesie mu korzystne małżeństwo. Przyszłość zależeć będzie wówczas jedynie od przypadku, któremu przyjdzie w pomoc jego uroda. Lousteau, który objawił mu tyle zaufania, posiadał jego sekret; dziennikarz wiedział, gdzie zranić śmiertelnie poetę z Angoulême, toteż w dniu, w którym Merlin przyprowadził Lucjana do Wodewilu, Stefan zastawił mu straszliwą pułapkę, w którą ten dzieciak miał się złapać i runąć.

— Oto nasz piękny Lucjan — rzekł Finot, pociągając referendarza des Lupeaulx, z którym gwarzył, w stronę poety, któremu ścisnął ręce z wylewem serdecznej przyjaźni. — Nie znam przykładu równie szybkiego triumfu — rzekł Finot, spoglądając kolejno na Lucjana i na referendarza. — W Paryżu fortuna jest dwojakiego rodzaju: albo materialna, pieniądze, które każdy może zdobyć, albo moralna, stosunki, pozycja, wstęp do świata niedostępnego dla pewnych osób, bez względu na majątek. Otóż mój młody przyjaciel...

— *Nasz przyjaciel* — poprawił des Lupeaulx, rzucając Lucjanowi serdeczne spojrzenie.

— *Nasz przyjaciel* — podjął Finot, ściskając rękę Lucjana — wyciągnął pod tym względem świetny los. Co prawda, Lucjan ma więcej zasobów, talentu, dowcipu niż wszyscy, którzy mu zazdroszczą; następnie ta jego bajeczna uroda... Dawni przyjaciele nie mogą mu przebaczyć powodzenia, powiadają, że ma szczęście.

— Tego rodzaju szczęście — rzekł des Lupeaulx — nie zdarza się nigdy głupcem ani niezdarom. Ba! Czyż można nazwać szczęściem los Bonapartego? Było przed nim dwudziestu generałów dowodzących armią we Włoszech, jak obecnie jest stu młodych ludzi chcących się dostać do salonu panny des Touches, którą już swatają z tobą, mój drogi — rzekł des Lupeaulx, klepiąc po ramieniu Lucjana. — Och! Och! Jesteś w wielkich łaskach. Panie d'Espard, de Bargeton i de Montcornet szaleją za tobą. Wszak jesteś dziś wieczór na balu u pani Firmiani, a jutro na raucie u księżnej de Grandlieu?

— Tak — rzekł Lucjan.

— Pozwól, że ci przedstawię młodego bankiera, pana du Tillet, człowieka godnego ciebie. Umiał sobie w krótkim przeciągu czasu zdobyć ładne stanowisko.

<sup>721</sup>Fréron, *Louis-Marie-Stanislas* (1754–1802) — francuski polityk i dziennikarz; od 1790 redagował radykalną gazetę „Orateur du Peuple” (Mówca ludowy), wyróżniającą się ostrością ataków na monarchię, po obaleniu rządów Robespierre’a w 1794 prezentował w niej z kolei agresywny antyjakobinizm. [przypis edytorski]



Lucjan i du Tillet skłonili się, zawiązali rozmowę, bankier zaprosił Lucjana na obiad. Finot i des Lupeaulx, równie szczeni i dosyć znający się wzajem, aby zawsze zostać przyjaciółmi, niby ciągnęli dalej zaczęłą rozmowę; zostawili Lucjana, Merlina, du Tilleta i Natana i przeszli w stronę kanapki w rogu *foyer*.

— He, he! Drogi przyjacielu — rzekł Finot — powiedz mi pan prawdę! Czy pozycję Lucjana można brać serio? Wiesz pan, iż stał się on codzienną pastwą moich panów pisarzy; otóż, nim dam im wolną rękę, chciałem się pana poradzić, czy nie lepiej byłoby schować puginał<sup>722</sup> do pochwy i wspierać go po cichu.

Tu referendarz i Finot spojrzeli po sobie, czyniąc dłuższą pauzę, z głęboką uwagą.

— Jak to, drogi panie — rzekł des Lupeaulx — czy pan sobie wyobraża, że margrabia d'Espard, baron du Châtelet i pani de Bargeton, która postarała się dla barona o prefekturę i tytuł hrabiego, aby sobie zgotować triumfalny powrót do Angoulême, przebaczą Lucjanowi jego napaści? Pchnęli go w rojalizm, aby go unicestwić. Dziś szukają pozorów, aby odmówić tego, co przyrzekli temu dzieciakowi; znajdź je pan! Oddasz obu paniom ogromną przysługę: przyjdzie dzień, że przypomną sobie o tym. Posiadam sekret tych dwóch dam; nienawidzą Lucjana tak, że aż mnie to zdumiało. Lucus mógł się pozbyć najsrozszej nieprzyjaciółki, pani de Bargeton, niechając<sup>723</sup> ataków jedynie pod warunkami, jakim wszystkie kobiety lubią się poddawać, rozumie pan? Jest młody, piękny, byłby utopił tę nienawiść w potokach miłości, zostałby wówczas hrabią de Rubempré, Rybka byłaby mu uzyskała miejsce przy osobie króla, jakieś synekury! Lucjan to był materiał na bardzo miłego lektora dla Ludwika XVIII, byłby bibliotekarzem, nie wiem już gdzie, referendarzem świeżego powietrza, dyrektorem jakichś tam Drobnych Przyjemności<sup>724</sup>. Głuptas spudłował zupełnie. Może tego nie chcą mu przebaczyć. Miał podyktować warunki przyjął je. W dniu, w którym Lucjan dał się złapać na obietnicę dekretu, Châtelet uczynił wielki krok. Koralia zgubiła tego chłopca. Gdyby nie żył z aktorką, zapłonąłby na nowo do Rybki i byłby ją dostał.

— Zatem możemy go uprzątnąć — rzekł Finot.

— Jak? — spytał od niechcienia des Lupeaulx, który chciał ubrać się w tę zasługę wobec pani d'Espard.

— Mamy z nim umowę, która zobowiązuje go do współpracownictwa w dzienniczku Stefana; wyciśniemy zeń artykuły tym łatwiej, że jest bez grosza. Skoro kanclerzowi jaki artykułik wyda się zbyt dowcipny i skoro mu się dowiedzie, że Lucjan jest autorem, uzna go za człowieka niegodnego łaski królewskiej. Aby zamącić do reszty w głowie wielkiemu człowiekowi z prowincji, przygotowaliśmy upadek Koralii; ujrzy swą kochankę wygwizdaną i bez ról. Z chwilą gdy raz dekret zawieszą na czas nieograniczony, wyśmieją naszą ofiarę za jej arystokratyczne pretensje; rozrąbimy matkę akuszerkę i ojca aptekarza. Lucjan ma energię jedynie na pozór, ulegnie, wyprawimy go tam, skąd przyszedł. Natan sprzedał mi przez Florynę szóstą część tygodnika, którą posiadał Matifat, udało mi się odkupić udział fabrykanta papieru, jestem sam z Dauriatem; możemy się porozumieć, pan i ja, aby oddać dziennik na usługi dworu. Popierałem Natana i Florynę jedynie pod warunkiem zwrotu mojej szóstej części, sprzedali mi ją, muszę im iść na rękę, ale przedtem chciałem zbadać widoki Lucjana...

— Jesteś pan godny swego nazwiska — rzekł des Lupeaulx, śmiejąc się. — He, he! Lubię ludzi pańskiego kroju...

— Więc cóż, może się pan postarać o stałe *engagement* dla Floryny? — rzekł Finot.

— Tak; ale uwolnij nas pan od Lucjana; Rastignac i de Marsay nie chcą już słyszeć o nim.

— Śpijcie w pokoju — rzekł Finot. — Natan i Merlin będą mieli zawsze w zanadrzu artykuły, którym Gaillard obiecał pierwszeństwo. Lucjan nie zdoła umieścić ani wiersza; odetniemy mu środki żywności. Aby bronić siebie i Koralii, będzie miał jedynie dziennik Martainville'a: jeden przeciw wszystkim, niepodobna mu będzie dać sobie rady.

<sup>722</sup>*puginał* — sztylet; krótki miecz. [przypis edytorski]

<sup>723</sup>*niechać* (daw.) — zaniechać, porzucić. [przypis edytorski]

<sup>724</sup>*Drobne Przyjemności Króla* (fr. *Menus-Plaisirs du Roi*) — przed Wielką Rewolucją Francuską (1789) oraz w czasach Restauracji (1814–1830) specjalny urząd zajmujący się organizacją ceremonii, uroczystości i widowisk dworskich, odpowiedzialny również za wystrój, kostiumy i rekwizyty. [przypis edytorski]

— Wskażę panu tklive punkty ministra, ale odda mi pan rękopis artykułu, który każesz napisać Lucjanowi — odparł des Lupeaulx, któremu ani się śniło zdradzać, że ów przyrzeczony Lucjanowi dekret był prostym żarcikiem.

Des Lupeaulx opuścił *foyer*. Finot podszedł do Lucjana i owym dobrodusznym tonem, na który wzięło się tyłu, wytłumaczył mu przyczyny, dla których nie może się wyrzec jego współpracownictwa. Finot wzdrażał się przed procesem rujnującym nadzieje, jakie przyjaciel jego widzi w obozie rojalistów. Finot (powiadał sam) lubi ludzi dość śmiałych, aby ryzykować zmianę przekonań. Czyż on i Lucjan nie mają się nieraz spotkać w życiu, czy nie potrzebują od siebie wzajem tysiąca drobnych usług? Lucjan, ciągnął dalej, potrzebuje oddanego człowieka wśród liberałów, aby w danym razie zaatakować ministeriałów lub rojalistów, gdyby mu nie chcieli iść na rękę.

— Jeżeli będą z tobą nieszczerzy, cóż poczniesz? — dodał Finot na zakończenie. — Jeżeli jakiś minister, sądząc, iż trzyma cię na powrozie twego odstępstwa, przestanie się ciebie obawiać i odeśle cię z kwitkiem, czy nie będzie ci trzeba piesków, którzy by go chwycili za łydki? Otóż patrz: poróżniłeś się na śmierć ze Stefanem, dyszy zemstą. Z Felicjanem nie gadacie do siebie. Ja jeden ci zostałem. Jednym z przykazań mego zawodu jest żyć w zgodzie z ludźmi naprawdę silnymi. Możesz w świecie, w którym bywasz, odplacić mi usługi, jakie ci oddam w prasie. Ale interes przede wszystkim! Dawaj mi artykuły czysto literackie, nie skompromitują cię, a dopełnisz warunków.

Lucjan ujrzał w propozycjach Finota jedynie przyjaźń zmieszaną ze sprytną rachubą. Jego pochlebstwa, podkreślone jeszcze przez pana des Lupeaulx, dodały mu otuchy: podziękował Finotowi!

W życiu ludzi ambitnych i wszystkich tych, którzy mogą osiągnąć cel jedynie przy pomocy ludzi i okoliczności, dzięki mniej lub więcej dobrze obmyślonemu i przeprowadzonemu planowi postępowania, zdarzają się okrutne chwile, w których jakaś nieznama potęga poddaje ich okrutnym próbom: wszystko naraz zawodzi, ze wszystkich stron nici trzaskają lub płaczą się, nieszczęście zjawia się na wszystkich punktach. Kiedy wśród tego moralnego rozprzężenia człowiek straci głowę, jest zgubiony. Ludzie, którzy umieją się oprzeć pierwszej fali owego buntu rzeczy martwych, którzy skupiają się w sobie, pozwalając minąć nawałnicy, lub ratują się, wspinając się straszliwym wysiłkiem w sferę wyższą, to ludzie istotnie silni. Każdy człowiek, chyba że się urodził bogaty, ma to, co trzeba nazwać fatalnym tygodniem. Dla Napoleona tygodniem takim był odwrót spod Moskwy. Ta okrutna chwila nadeszła dla Lucjana. Wszystko w świecie i w literaturze układało się dlań zbyt pomyślnie; był nadto szczęśliwy, miał ujrzeć, jak ludzie i rzeczy obracają się przeciw niemu. Pierwsza boleść była najżywsza i najokrutniejsza, dosięgła go tam, gdzie mniemał, iż nic mu nie grozi: w serce jego i miłość. Koralia mogła nie być zbyt inteligentna, ale obdarzona piękną duszą, miała zdolność wypowiedania się w owych nagłych rzutach, które tworzą wielką aktorkę. Ten dziwny fenomen, o ile nie stał się drugą naturą przez długie przyzwyczajenie, bywa igraszką kaprysu, charakteru, a często cudownej wstydlivosti, jakiej podlegają młode jeszcze artystki. W duszy naiwna i lękliwa, na zewnątrz śmiała i swobodna, jak powinna być aktorka, Koralia, jeszcze zakochana, ucierpiała przez swą miłość w talencie scenicznym. Sztuka oddawania uczuć, ta wzniosła obłuda, nie odniosła jeszcze u niej triumfu nad naturą. Wstyd jej było dawać widzom to, co należało się jedynie miłości. Następnie miała słabość właściwą prawdziwym kobietom. Czując się powołana do królowania w teatrze, potrzebowała sukcesu. Niezdolna grać przed salą, w której nie czuła sympatii, drżała zawsze, wychodząc na scenę: chłód publiczności mroził ją. To straszliwe wzruszenie sprawiało, że każda rola była dla niej nowym debiutem. Oklaski rodziły w niej rodzaj pijaństwa obojętnego dla miłości własnej, ale niezbędnego dla odwagi. Szmerek niezadowolenia lub milczenie publiczności odejmowały jej wszystkie zasoby: sala pełna, uważna, spojrzenia życzliwe i pełne podziwu elektryzowały ją; wówczas współżyła ze szlachetnymi drgnieniami wszystkich tych dusz, czuła w sobie moc podniesienia ich, wzruszenia. Ta dwojaka reakcja była dowodem nerwowej i genialnej zarazem organizacji, zdradzając również delikatność i tklivość biednego dziecka. Lucjan nauczył się z czasem cenić skarby tego serca, poznał, ile było dziewczęcego w Koralii. Niewprawna w aktorskim fałszu, Koralia nie umiała się bronić przed rywalizacją i przed intrygami kulis, w których Floryna, dziewczyna równie niebezpieczna, równie zepsuta, jak przyjaciółka jej była prosta i szlachetna, pływała jak ryba w wodzie. Koralia czekała, aż role

Artysta

przyjdą do niej; była zbyt dumna, aby zebrać u autorów i poddawać się ich hańbiącym warunkom, aby ulegać lada pismakowi, który postraszy ją swą miłością i piórem. Talent, sam z siebie rzadki w tej tak osobliwej sztuce aktorskiej, jest tylko jednym z warunków powodzenia; talent jest nawet długo szkodliwy, o ile nie łączy się ze zmysłem intrygi, na którym najzupełniej zbywało Koralii. Przewidując cierpienia, jakie czekały kochankę przy debiucie, Lucjan chciał jej za wszelką cenę zapewnić triumf. Pieniądze pozostałe ze sprzedaży ruchomości, zarobki Lucjana, wszystko poszło na kostiumy, urządzenie garderoby, na wszelkie koszty debiutu. Na kilka dni przedtem Lucjan podjął upokarzający krok, na który zdobył się przez miłość: wziął akcepty Fendanta i Cavalierego i udał się na ulicę Bourdonnais, pod „Złotego Kokona”, ofiarować je Camusotowi do eskontu. Poeta nie był jeszcze tak zepsuty, aby na zimno iść do tego ataku. Wiele wycierpiał po drodze, przeszedł najcięższe chwile, powiadając sobie kolejno: Tak! — Nie! Mimo to dotarł do małego gabinetu, czarnego, zimnego, z oknem na dziedziniec, gdzie zasiadał poważnie już nie wielbiciel Koralii, dobroduszny walkoń, hulaka, niedowiarek Camusot, którego znał, ale poważny ojciec rodziny, kupiec zbrojny cnotami i chytryością, zamaskowany urzędową powagą sędziego trybunału handlowego, broniony surowym chłodem szefa firmy, otoczony komisantami, kasjerami, zielonymi tekami, rachunkami i próbkami, przywalony żoną, mający przy boku skromnie odzianą córkę. Lucjan, zbliżając się, zadrżał od stóp do głowy; godny przemysłowiec objął go lekceważącym i obojętnym spojrzeniem, które poeta już widywał w oczach lichwiarzy.

— Przynoszę panu pewne walory, byłbym tysiącnie zobowiązany, gdyby pan zechciał je wziąć — rzekł, stojąc przed kupcem, który nie ruszył się z fotela.

— Pan mi także coś wzięłeś — rzekł Camusot — przypominam sobie.

Lucjan wyjaśnił położenie Koralii, półgłosem szepcząc do ucha handlarza jedwabiu, który mógł wyczuć bicie serca upokorzonego poety. Nie było w intencjach Camusota, aby Koralia padła. Kupiec, słuchając, spojrzał na podpisy i uśmiechnął się: był sędzią trybunału handlowego, znał położenie księgarzy. Dał cztery tysiące pięćset franków Lucjanowi pod warunkiem, aby wypisał na conceptach: „Wartość otrzymano w jedwabiu”. Lucjan udał się natychmiast do Braularda i załatwił wszystko szczodłą ręką, aby zapewnić Koralii pełny sukces. Braulard sam stawiał się, jak przyrzekł, na generalną próbę, umówił się o miejsca, w których „Rzymianie” mają puścić w ruch swoje żywe łopaty i porwać za sobą tłum. Lucjan oddał resztę pieniędzy kochance, tając przed nią bytność u Camusota; uspokoił Koralię i Berenice, które nie wiedziały już, jak wiązać koniec z końcem. Martainville, jeden z najlepszych wówczas znawców teatru, zaszedł kilka razy, aby przeobrazić rolę z Koralią. Lucjan uzyskał u kilku rojalistycznych dziennikarzy obietnicę przychylnych recenzji, nie przewidywał tedy nieszczęścia. W wilię debiutu zdarzyła się rzecz złowroga w następstwach dla Lucjana. Pojawiła się książka d’Artheza. Naczelny redaktor dał książkę Lucjanowi jako najzdolniejszemu sprawozdawcy; nieszczęsną reputację w tym kierunku zawdzięczał poeta artykułom o Natanie. W redakcji było pełno, wszyscy współpracownicy byli zebrani. Martainville przyszedł porozumieć się co do pewnego punktu ogólnej polemiki, podjętej przez rojalistyczne dzienniki przeciw liberałom. Natan, Merlin, wszyscy współpracownicy „Jutrzenki” rozmawiali o dwutygodniku Leona Girauda, tym niebezpieczniejszym, iż ton jego był roztropny, spokojny i umiarkowany. Zaczęto mówić o zebraniach z ulicy des Quatre-Vents, nazywano je Konwentem. Uchwalono, że dzienniki rojalistyczne wydadzą śmiertelną i systematyczną wojnę niebezpiecznym przeciwnikom, którzy stali się w istocie doktrynerami<sup>725</sup>, ową fatalną sektą zadającą Burbonom rozstrzygający cios, z chwilą gdy małostkowa zemsta skłoniła najświetniejszego rojalistycznego pisarza<sup>726</sup> do połączenia się z nimi. D’Arthez, którego przekonania absolutystycznych nie znano, objęty ogólną klątwą, miał być pierwszą ofiarą. Książka jego miała być, wedle uświęconego wyrażenia, *zjeżdżona*. Lucjan odmówił artykułu. Odmowa ta wywołała najgwałtowniejsze zgorszenie u matadorów rojalizmu, przybyłych na konferencję. Oświadczone Lucjanowi stanowczo, że neofita nie może mieć woli: że jeżeli mu nie dogadza wierność dla tronu i religii, może wrócić do dawnego obozu. Merlin

<sup>725</sup> doktrynerzy — tak w kręgach rojalistycznych nazywano opozycję liberalną. [przypis edytorski]

<sup>726</sup> zemsta skłoniła najświetniejszego rojalistycznego pisarza... — François-René de Chateaubriand, który od 1822 był ministrem spraw zagranicznych, w 1824 został przez ultraroyalistycznego premiera de Villèle’a zwolniony ze stanowiska i przeszedł do liberalnej opozycji. [przypis edytorski]

i Martainville wzięli go na bok i zwrócili przyjacielsko uwagę, że wydaje Koralię na pastwę dzienników liberalnych, które zięją przeciw niemu nienawiścią, a niweczy możliwość obrony w pismach ministerialnych i rojalistycznych. Aktorka (mówili) stanie się z pewnością przedmiotem zaciętej polemiki, zapewniającej ów rozgłos, za którym tak wzdychają w teatrze kobiety.

— Nie rozumiesz się na rzeczy — rzekł Martainville — Koralia będzie grała trzy miesiące w krzyżowym ogniu dzienników i zarobi trzydzieści tysięcy na prowincji podczas letniego urlopu. Dla czczych skrupułów, które człowiek polityczny powinien deptać, zabijasz Koralię i swoją przyszłość, pozbawiasz się chleba.

Lucjan stanął w konieczności wyboru między d'Arthezem a Koralią; kochanka będzie zgubiona, o ile on nie zarznie d'Artheza w wielkim dzienniku i w „Jutrzence”. Biedny poeta wrócił do domu, mając śmierć w duszy; usiadł w izdebce przy kominku i przeczytał książkę d'Artheza, jedną z najpiękniejszych w literaturze współczesnej. Uronił łzy przy niejednej stronie, wahał się długo, wreszcie napisał drwiący artykuł, z tych, które umiał przyprowadzić tak dobrze: wziął w ręce tę książkę tak, jak dzieci biorą pięknego ptaka, aby go oskubać i zadreżyć. Zatrute jego koncepty były tej natury, iż mogły zaszkodzić książce. Kiedy odczytywał to piękne dzieło, wszystkie dobre uczucia Lucjana obudziły się; przebiegł Paryż o północy, dotarł do mieszkania d'Artheza, ujrzał przez szyby drżący blask czystego i wstydliwego światła, które tak często oglądał ze słusznym podziwem dla szlachetnej wytrwałości tego prawdziwie wielkiego człowieka; nie miał sił, aby wejść na górę, stał kilka chwil na progu. Wreszcie, popchnięty przez swego dobrego anioła, zapukał, zastał d'Artheza przy książce, bez ognia.

— Co się stało? — rzekł młody pisarz na widok Lucjana, przeczuwając, że mogło go sprowadzić tylko straszliwe nieszczęście.

— Twoja książka jest wspaniała — wykrzyknął Lucjan z oczami pełnymi łez — a oni kazali mi ją napaść.

— Biedny chłopcze, twardej jesz chleb! — rzekł d'Arthez.

— Proszę cię tylko o jedną łaskę, zachowaj tajemnicę tych odwiedzin i zostaw mnie w moim piekle, przy tym warsztacie potępienia. Nie dochodzi się może do niczego, póki najtkliwsze miejsca naszego serca nie stwardnieją w podeszwę.

— Zawsze ten sam! — rzekł d'Arthez.

— Czy uważasz mnie za nikczemnika? Nie, d'Arthezie, ja jestem biedne dziecko pijanej miłości.

I wytłumaczył mu swoje położenie.

— Zobaczmyż artykuł — rzekł d'Arthez, wzruszony tym, co Lucjan powiedział o Koralii.

Lucjan podał rękopis, d'Arthez przeczytał i nie mógł się wstrzymać od uśmiechu.

— Cóż za fatalny użytek z talentu! — wykrzyknął.

Ale umilkł, widząc Lucjana w fotelu, przygniecionego prawdziwą boleścią.

— Czy pozwolisz mi poprawić artykuł? Odeślę ci go jutro — podjął. — Kpiny poniżają dzieło, sumienna i poważna krytyka jest niekiedy pochwałą, potrafię uczynić twój artykuł bardziej zaszczytnym i dla ciebie, i dla mnie. Zresztą, ja sam tylko znam dobrze swoje wady!

— Wstępując na skalistą górę, znajduje się niekiedy owoc, aby uśmierzyć żary straszliwego pragnienia; oto właśnie taki owoc! — rzekł Lucjan, który rzucił się w ramiona d'Artheza, wyplakał się w nich i ucałował go w czoło, mówiąc: — Mam uczucie, że powierzam ci moje sumienie, abys mi je oddał kiedyś.

— Uważam periodyczną skruczę za wielką obłudę — rzekł uroczyście d'Arthez — żał jest wówczas niby premia dawana złym postępkom. Skrucza jest dziewictwem, które dusza nasza winna jest Bogu; człowiek, który kaja się dwa razy w życiu, jest strasznym obłudnikiem. Lękam się, że ty widzisz w swoich aktach żalu jedynie rozgrzeszenie.

Słowa te spiorunowały Lucjana, który wolnym krokiem wrócił do domu. Nazajutrz poeta zaniósł do dziennika artykuł przerobiony przez d'Artheza; ale od tego dnia trawiła go melancholia, którą nie zawsze zdołał pokryć. Kiedy wieczorem ujrzał salę Gimnase pełną, doświadczył owych straszliwych wzruszeń, jakie daje debiut w teatrze, a które zwiększyły się u niego o całą potęgę miłości. Wszystkie jego próżności były w grze, spojrzenie poety ogarniało fizjonomie, jak spojrzenie obwinionego ogarnia twarze przysię-

głych i sędziów; każdy szmer przyprawiał go o dreszcz; najmniejsze wydarzenia na scenie, wejście i wyjście Koralii, najłżejsze załamanie głosu wznuszały go ponad miarę. Sztuka, w której debiutowała Koralia, była z tych, które padają, ale które podnoszą się; padła. Wchodząc na scenę, Koralia nie usłyszała żadnego brawa; uderzył ją niezwykle chłód sali. Z łóż, oprócz łoży Camusota, nie padł ani jeden oklask. Balkon i galerie uciszyły kupca kilkakrotnym „psst”. Galerie nakazały milczenie klace, kiedy wybuchała w salwach wyraźnie przesadzonych. Martainville oklaskiwał dzielnie, obłudna zaś Floryna, Natan, Merlin towarzyszyli mu. Z chwilą gdy kurtyna zapadła ostatecznie, mnóstwo osób znalazło się w garderobie Koralii, ale tłum ten powiększył jej ból przez pociechy, jakimi ją obsypywano. Aktorka wróciła do domu w rozpaczy, a chodziło jej nie tyle o siebie, co o Lucjana.

— Braulard zdradził nas — rzekł.

Koralia dostała straszliwej gorączki, cios ugodził ją w samo serce. Nazajutrz niepodobna jej było grać; zrozumiała, iż kariera jej jest podcięta. Lucjan ukrył przed nią dzienniki, rozpieczętował je w jadalni. Wszystkie przypisywały upadek sztuki Koralii: nadto zaufała siłom; ona, tak rozkoszna aktorka bulwarów, nie była na swoim miejscu w Gymnase; pchnęła ją tam ambicja niewątpliwie chwalebna, ale nie obliczyła się ze środkami, źle ujęła rolę. Lucjan odczytał wycieczki przeciw Koralii, przyprawione wedle obłudnej recepty jego artykułów o Natanie. Wściekłość godna Milona krotńskiego<sup>727</sup>, kiedy uczuł ręce uwięzione w dębie, który sam rozszczępił, ogarnęła Lucjana — pobladł z gniewu: przyjaciele jego dawali Koralii, we frazeologii kapiącej dobrocią, życzliwością i dobrą wolą, najobłudniejsze rady. Powinna grywać, pisano, rolę, o których ci przewrotni autorowie bezecnych recenzji wiedzieli, że są najzupełniej sprzeczne z jej talentem. Tak pisały dzienniki rojalistyczne, obrobione zapewne przez Natana. Co do dzienników liberalnych i małych świstków, te sypały zjadliwe drwiny, ileż razy uprawiane przez Lucjana! Koralia usłyszała szlochanie, wyskoczyła z łóżka, ujrzała dzienniki, wydarła je z rąk Lucjana i przeczytała. Następnie wróciła do łóżka i leżała w milczeniu. Floryna była w spisku, przewidziała jego skutki, umiała rolę Koralii, przerabiała ją z Natanem. Dyrekcja, której zależało na sztuce, zdecydowała się oddać rolę Koralii Florynie. Dyrektor zaszedł do biednej aktorki, była we łzach, bez siły; ale kiedy usłyszała przy Lucjanie, że Floryna umie rolę i że niepodobieństwem jest cofnąć sztukę, zerwała się, wyskoczyła z łóżka.

— Będę grała! — wykrzyknęła.

Padła zemdlona. Floryna objęła rolę i zdobyła nią reputację, podniosła bowiem sztukę; miała we wszystkich dziennikach owacje, od których datuje się jej imię. Tryumf Floryny doprowadził Lucjana do ostatecznej rozpaczy.

— Nędznica, której ty dałaś chleb w rękę! Jeżeli Gymnase chce, może odkupić *engagement*. Będę hrabią de Rubempré, zrobię majątek i ożenię się z tobą.

— Cóż za szaleństwo! — rzekła Koralia, rzucając mu blade spojrzenie.

— Szaleństwo! — wykrzyknął Lucjan. — Otóż za kilka dni będziesz mieszkała w wykwintnym domu, będziesz miała powóz i ja napiszę dla ciebie rolę!

Wziął dwa tysiące franków i pobiegł do Frascati. Nieszczęśliwy wytrwał tam siedem godzin, szarpany przez furie, z twarzą na pozór spokojną i chłodną. W ciągu wieczora przechodził najzmienniejsze koleje: miał już do trzydziestu tysięcy franków i wyszedł bez grosza. Za powrotem zastał Finota, który czekał nań, aby się dopominać o artykułiki, Lucjan popełnił ten błąd, iż począł się żalić.

— Ha, nie wszystko w życiu jest różowe — odparł Finot. — Zrobiłeś tak brutalnie „w prawo zwrot”, że musiałeś stracić poparcie prasy liberalów, o wiele silniejszej niż dzienniki ministerialne i rojalistyczne. Nie trzeba nigdy przechodzić z jednego obozu do drugiego, nie usławszy sobie dobrze łożka, w którym by się można pocieszyć po przypuszczalnych stratach. W każdym wypadku roztropny człowiek naradza się z przyjaciółmi, przedstawia swoje racje, doprowadza ich do tego, że doradzają mu jego zaprzaństwo; stają się wówczas współnikami, ubolewają nad nim i wówczas można się porozumieć jak Natan i Merlin ze swymi kolegami, co do wymiany usług. Wilki nie zjadają się wzajem. Ty okazałeś w tej całej sprawie niewinność baranka. Musisz pokazać zęby nowemu stronnictwu, aby

<sup>727</sup> *Milon z Krotony* (VI w. p.n.e.) — zapaśnik grecki słynny ze swojej siły, zwycięzca wielu zawodów; kiedy zobaczył w lesie pień drzewa z wbitymi klinami, próbował go rozerwać, jednak kliny obsunęły się, ręce uwięzły mu w szczelinie i bezbronny Milon zginął rozszarpany przez wilki. [przypis edytorski]

wydobyc zeń jaki kęsek. Obecnie z konieczności poświęcono cię dla Natana. Nie będę ci ukrywał hałasu, zgorzenia i krzyków, jakie podnosi twój artykuł przeciw d'Arthezowi. Marat<sup>728</sup> jest święty w porównaniu do ciebie! Gotują się ataki na ciebie, twoja książka padnie ofiarą. Jak daleko zaszedł twój romans?

— Oto ostatnie arkusze — rzekł Lucjan, pokazując zwitek korekt.

— Przypisują ci niepodpisane paszkwile w dziennikach ministerialnych i rojalistycznych na tego d'Arthezika. Obecnie co dzień szpileczki w „Jutrzence” kierują się przeciw owym panom z ulicy des Quatre-Vents, a koncepty są tym krwawsze, iż są zabawne. Istnieje poza tygodnikiem Leona Girauda cała koteria polityczna, poważna i niebezpieczna, koteria, w której rękach znajdzie się wcześniej czy później władza.

— Nie przestąpiłem progu „Jutrzenki” od tygodnia.

— A zatem pomyśl o moich artykułkach, machnij bodaj pięćdziesiąt od ręki, zapłacę ryczałtem, ale muszą być w tonie dziennika.

I Finot podał od niechcenia Lucjanowi temat zabawnego pamfletu przeciw kancle-rzowi, opowiadając rzekomą anegdotę, która, jak twierdził, obiega salony.

Aby odrobić kłęski gry, Lucjan odnalazł, mimo przygnębienia, werwę i świeżość dowcipu i napisał trzydzieści artykułków, po dwie kolumny każdy. Ukończywszy, udał się do Dauriata, pewien, iż spotka tam Finota, któremu chciał je oddać po kryjomu; miał się zresztą rozmówić z księgarzem w sprawie *Stokroci*. Zastał sklep pełen swoich wrogów. Z wejściem poety zapanowało milczenie, rozmowy ustały. Widząc się tak wyświeconym<sup>729</sup> z dziennikarstwa, Lucjan uczuł przypływ energii i rzekł sam do siebie, podobnie jak w alei Luksemburgu:

— Zwycięzę!

Dauriat nie był ani protekcyjny, ani słodki, okazał się drwiący, obwarował się w swoim prawie: wyda *Stokrocie*, gdy zechce, zaczeka, aż pozycja Lucjana zapewni sukces książki, kupił ją na zupełną własność. Kiedy Lucjan nadmienił, iż Dauriat z natury transakcji zobowiązany jest wydać *Stokrocie*, księgarz stanął na stanowisku przeciwnym i rzekł, iż prawniczo nie można go zmusić do przedsięwzięcia, które uważa za niekorzystne, i że on sam rozstrzyga o właściwej chwili. Jest zresztą rozwiązanie, które uzna każdy trybunał. Lucjan ma prawo zwrócić tysiąc talarów, odebrać dzieło i oddać je w ręce jakiego księgarza rojalistycznego!

Lucjan odszedł, bardziej dotknięty umiarkowaniem księgarza niż swego czasu autokratyczną pompą pierwszego zetknięcia. Tak więc *Stokrocie* nie mają widoków druku aż do chwili, kiedy Lucjan będzie miał za sobą poparcie potężnego koleżeństwa lub też stanie się sam przez się niebezpieczny! Poeta wrócił do domu wolno, wydany na łup zniechęcenia, które parłoby go do samobójstwa, gdyby czyn szedł w ślady myśli. Ujrzał Koralię w łóżku, bladą i cierpiącą.

— Dajcie jej rolę albo umrze — rzekła Berenice, gdy Lucjan ubierał się, aby iść na ulicę Mont-Blanc do panny des Touches, na raut, gdzie miał spotkać Blondeta, Vignona, des Lupeaulx, panie d'Espard i de Bargeton.

Bohaterami wieczoru mieli być: Conti, wielki kompozytor, zarazem jeden z najświetniejszych głosów poza zawodowymi śpiewakami, panie Cinti i Pasta<sup>730</sup> oraz panowie Garcia, Levasseur<sup>731</sup> i paru świetnych amatorów z wielkiego świata. Lucjan prześliznął się do miejsca, gdzie siedziała margrabina, kuzynka jej i pani de Montcornet. Nieszczęśliwy chłopiec przybrał ton lekki, radosny, zadowolony; żartował, okazał się takim, jakim był w dniach świetności, nie chciał, aby się wydawało, iż potrzebuje świata. Podniósł usługi, jakie oddaje rojalistom, i jako dowód przytoczył krzyki nienawiści liberałów.

<sup>728</sup> Marat, Jean-Paul (1743–1793) — francuski polityk i dziennikarz okresu Rewolucji Francuskiej, bliski współpracownik Robespierre'a i Saint-Justa, jakobin; zabity przez Charlotte Corday z obozu żyrondistów. [przypis edytorski]

<sup>729</sup> wyświecony (daw.) — wypędzony, wygnany. [przypis edytorski]

<sup>730</sup> Cinti i Pasta — Laura Cinti-Damoreau, właśc. Laura Cinthie Montalant (1801–1863): francuska sopranistka, sławna z ról w operach Rossiniego; Giuditta Pasta (1797–1865): włoska sopranistka, znana z występów w Paryżu. [przypis edytorski]

<sup>731</sup> Garcia, Levasseur — Manuel del Pópulo Vincente Garcia (1775–1832): hiszpański śpiewak (tenor) i kompozytor; Nicolas Prosper Levasseur (1791–1871): francuski śpiewak (bas), związany szczególnie z rolami w operach Rossiniego. [przypis edytorski]

— Będiesz za to hojnie wynagrodzony, drogi przyjacielu — rzekła pani de Bargeton, zwracając się doń z wdzięcznym uśmiechem. — Udaj się pojutrze do kancelarii dworskiej z Czaplą i z panem des Lupeaulx, a zastaniesz dekret podpisany przez króla. Kanclerz ma go jutro zanieść do Zamku; ale jutro jest Rada, wróci późno; mimo to gdybym dowiedziała się o rezultacie w ciągu wieczora, posłę do pana. Gdzie pan mieszka?

— Przyjdę — odparł Lucjan, wstydząc się powiedzieć, iż mieszka na ulicy de la Lune.

— Książęta de Lenoncourt i de Navarreins wspomnieli o panu królowi — podjęła margrabina — chwalili w panu jedno z owych bezwzględnych poświęceń, które wymaga świetnej nagrody, aby pana pomścić za prześladowania liberalnej prasy. Zresztą nazwisko i tytuł de Rubempré, do których masz prawo przez matkę, odzyskają dawny blask w pana osobie. Król powiedział Jego Dostojności dziś wieczór, aby mu przyniesiono dekret uprawniający imię<sup>732</sup> Lucjana Chardona do nazwiska i tytułu hrabiów de Rubempré, w charakterze wnuka ostatniego hrabiego przez matkę. „Popierajmy szczygły, gdy nuca na chwałę dobrej sprawy” — rzekł, przeczytawszy pański sonet o lilii, który szczęśliwie przypomniła sobie moja kuzynka i który dała księciu. „Zwłaszcza kiedy król może zrobić ten cud, aby je zmienić w orły” — odparł pan de Navarreins.

Lucjan rozplynął się w słowach wdzięczności, które mogłyby rozczulić kobietę mniej głęboko zranioną, niż nią była Luiza d'Espard de Négrepelisse. Im Lucjan był piękniejszy, tym bardziej pożądała zemsty. Des Lupeaulx miał słuszość. Lucjan okazał brak wycucia: nie odgadł, że dekret, o którym mu mówiono, był jedną z owych drwin, na jakie umiała sobie pozwalać pani d'Espard. Ośmielony tym sukcesem i pochlebny wyróżnieniem panny des Touches, został do drugiej rano, aby pomówić z nią na osobności. Lucjan dowiedział się w redakcji rojalistycznych dzienników, że panna des Touches była cichą współpracowniczką sztuki, w której miała grać mała Fay<sup>733</sup>, cudo obecnej chwili. Skoro salony się opróżniły, zaciągnął pannę des Touches na kanapkę do buduaru i opowiedział jej w sposób tak wzruszający nieszczęścia Koralii i swoje, iż znamienita hermafrodytka<sup>734</sup> przyrzekła mu się postarać o główną rolę dla Koralii.

Nazajutrz po tym wieczorze, w chwili gdy Koralia, uszczęśliwiona przyrzeczeniem panny des Touches, wracała do życia i siedziała przy śniadaniu ze swoim poetą, Lucjan czytał dzienniczek liberalny, gdzie znajdowała się dotkliwa anegdota wymyślona na kanclerza i jego żonę<sup>735</sup>. Najczarniejsza złośliwość kryła się pod iskrzącym dowcipem. Król Ludwik XVIII był cudownie wyprowadzony na scenę i ośmieszony w sposób nie dający się uchwycić. Oto ów fakt, któremu liberalna partia starała się dać pozory prawdy, ale który tylko pomnożył liczbę jej dowcipnych potwarzy.

Namiętność Ludwika XVIII do dwornej i czulej korespondencji, pełnej subtelności i madrygałów<sup>736</sup>, wytłumaczono tam jako ostatni wyraz jego skłonności miłosnych, które stawały się teoretyczne: od faktów przechodziły do pojęć. Dostojna kochanka<sup>737</sup>, tak okrutnie zaczepiona przez Bérangera pod imieniem Oktawii, powzięła bardzo poważne obawy. Korespondencja zaczynała omdlewać. Im więcej Oktawia rozwijała dowcipu, tym bardziej amant jej stawał się mdły i chłodny. W końcu Oktawia odkryła przyczynę niełaski: władzę jej zachwiał powab i pieprzyk nowej korespondencji królewskiego listopisa z żoną wielkiego kanclerza. Zaczynała być przedstawiona jako osoba niezdolna sklecić bileciku, mogła być jedynie i po prostu odpowiedzialnym wydawcą zuchwałej ambicji. Kto więc był ukryty pod tą spódniczką? Po dłuższej obserwacji Oktawia odkryła, że król korespondował ze swoim ministrem. W mig uknęła plan. Wsparta przez wiernego przyjaciela, zatrzymuje jednego dnia ministra w Izbie za pomocą gwałtownej dyskusji i stara

<sup>732</sup>imc — skrót od wyrażenia grzecznościowego *jego miłość*, stawianego przeważnie przed nazwiskiem. [przypis edytorski]

<sup>733</sup>Fay, Léontine (1810–1876) — francuska aktorka komediowa; debiutowała w wieku pięciu lat, następnie podróżowała po Belgii i Francji jako „cudowne dziecko”, od 1820 występowała w paryskim teatrze Gymnase. [przypis edytorski]

<sup>734</sup>hermafrodyta — istota dwupłciowa; tu: o kobiecie, która publikuje pod męskim pseudonimem. [przypis edytorski]

<sup>735</sup>kanclerza i jego żonę — mowa o Pierre Francois Hercule de Serre (1776–1824), prawniku i polityku, który był ministrem sprawiedliwości w l. 1818–1821, oraz jego żonie, która była faworytą Ludwika XVIII przed hrabiną du Cayla. [przypis edytorski]

<sup>736</sup>madrygał — gatunek krótkiego poematu miłosnego z motywami sielankowymi. [przypis edytorski]

<sup>737</sup>Dostojna kochanka — Zoé Victoire Talon, zwana hrabiną du Cayla (1784–1850), faworyta Ludwika XVIII. [przypis edytorski]

się o sam na sam, w którym porusza miłość własną króla, odsłaniając szalbierstwo. Ludwik XVIII, w przystępie burbońskiego i królewskiego gniewu, wybucha przeciw Oktawii, nie chce wierzyć; Oktawia ofiarowuje bezpośredni dowód, prosząc króla, aby skreślił słówko, wymagając bezzwłocznej odpowiedzi. Nieszczęśliwa kobieta, zaskoczona, posyła do Izby po męża; ale wszystko przewidziano: w tej chwili znajdował się na trybunie. Kobieta wydaje z siebie siódme poty, zbiera cały dowcip i kładzie go w list ściśle tyle, ile go posiada.

— Kanclerz Waszej Królewskiej Mości dopowie jej resztę<sup>738</sup> — wykrzyknęła Oktawia, śmiejąc się z rozczarowania króla.

Mimo iż kłamliwy, artykuł dotykał do żywego kanclerza, żonę jego i króla. Des Lupeaulx, któremu Finot dochował wiecznego sekretu, był, powiadają, autorem anegdoty. Dowcipny ten i jadowity artykułik wprawił w radość liberałów i partię brata królewskiego<sup>739</sup>; Lucjan zabawił się nim, nie widząc w tym nic więcej prócz uciechnej „kaczki”. Nazajutrz wstąpił do referendarza des Lupeaulx i Châteleta. Baron szedł podziękować Jego Dostojności. Imć Châtelet, mianowany radcą stanu do nadzwyczajnych poruczeń, otrzymywał tytuł hrabiego, z przyrzeczeniem prefektury Charenty, z chwilą gdy obecny prefekt dosłuży kilku miesięcy do pełnej emerytury. Hrabia du Châtelet („du” bowiem pomieszczono w dekrecie) wziął Lucjana do powozu z oznakami serdecznej przyjaźni. Gdyby nie artykuły Lucjana (powiadał) nie byłby może doszedł do celu tak prędko: prześladowania liberałów stały się dlań piedestałem. Des Lupeaulx znajdował się w ministerstwie, w gabinecie generalnego sekretarza. Na widok Lucjana urzędnik aż skoczył ze zdumienia i spojrzął na referendarza.

— Jak to! Pan śmie się tu pojawiać? — rzekł do zdumionego Lucjana. — Jego Dostojność podarł pański dekret, przygotowany, ot, widzisz pan! (Pokazał pierwszy lepszy papier przedarty na czworo). Minister żądał poznać autora potwornego wczorajszego artykułu i oto rękopis — rzekł generalny sekretarz, podając Lucjanowi jego skrypt. — Podajesz się pan za rojalistę, a jesteś współpracownikiem tego bezecnego świstka, który przyprawia o siwiznę ministrów, psuje krew centrum i wlecze nas do przepaści. Śniadasz z „Korsarzem”<sup>740</sup>, „Zwierciadłem”, „Constitutionnelem”, „Kurierem”<sup>741</sup>; jesz obiad z „Codzienną” i „Jutrzenką”, a wieczerasz z Martainville’em, najstraszliwszym wrogiem ministerium, pchającym króla do absolutyzmu, co sprowadziłoby rewolucję szybciej niż program najsakrajniejszej lewicy! Jesteś pan bardzo sprytnym dziennikarzem, ale nie będziesz nigdy politycznym człowiekiem. Minister wskazał pana jako autora artykułu królowi, który oburzony połajał księcia de Navarreins, pierwszego ochmistrza! Zrobiliście sobie wrogów tym potężniejszych, im bardziej byli wprzód życzliwi. To, co uważam za naturalne u wroga, u przyjaciela staje się straszne.

— Ależ pan jesteście chyba zupełnym dzieckiem, mój drogi — rzekł des Lupeaulx. — Skompromitowałeś mnie. Panie d’Espard i de Bargeton, pani de Montcornet, które ręczyły za pana, muszą być wściekle. Książę wyładował swój gniew na margrabinie, a margrabina musiała połajać kuzynkę. Nie chodź pan tam! Zaczekaj.

— Oto Jego Dostojność, uciekaj pan! — rzekł generalny sekretarz.

Lucjan znalazł się na placu Vendôme, ogłuszony jak człowiek, który otrzymał w głowę cios maczugą. Wrócił pieszo przez bulwary, usiłując rozpatrzeć się w samym sobie. Ujrzał się igraszką ludzi zawistnych, chciwych i przewrotnych. Czymże był w tym świecie ambicji? Dzieckiem, które biegło za uciechami i rozkoszami próżności, poświęcając im wszystko; poetą bez głębszego zastanowienia, lecącym od światła do światła jak motyl, bez stałego planu, jak niewolnik okoliczności, myśląc dobrze, a czyniąc źle. Sumienie stało mu się bezlitosnym katem. W rezultacie nie miał grosza, a czuł się wyczerpany pracą i cierpieniem. Jego artykuły musiały ustępować miejsca artykułom Merlina i Natana. Szedł tak przed siebie, zatopiony w refleksjach; idąc, ujrzał w kilku czytelnich literackich,

Upadek

<sup>738</sup>Kanclerz... dopowie resztę — znane w drastycznej legendzie powiedzenie Stanisława Leszczyńskiego, które tu sparodiowano. [przypis tłumacza]

<sup>739</sup>partia brata królewskiego — skupiona wokół hr. Artois, późniejszego Karola X, grupa skrajnych rojalistów. [przypis edytorski]

<sup>740</sup>„Korsarz” — „Le Corsaire”, francuska gazeta liberalna, poświęcona literaturze i sztuce, wydawana w l. 1823–1858. [przypis edytorski]

<sup>741</sup>„Kurier francuski” — „Le Courier français”, francuski dziennik liberalny, wydawany w l. 1820–1851. [przypis edytorski]



które zaczęły obok dzienników dawać do czytania i książki, afisz, gdzie pod dziwnym tytułem, zupełnie mu nieznanym, jaśniało jego nazwisko: „Przez Lucjana Chardona de Rubempré”. Dzieło jego wyszło, on sam o tym nie wiedział, dzienniki milczały! Stał ze zwisłymi ramionami, bez ruchu, nie widząc grupy młodych ludzi z najwykwintniejszego świata, wśród których znajdowali się Rastignac, de Marsay i kilku innych. Nie zwrócił uwagi na Michała Chrestiena i Leona Girauda, którzy zbliżali się ku niemu.

— Czy pan jesteś imię Chardon? — rzekł Michał tonem, który szarpnął wewnętrznymi strunami Lucjana niby strunami.

— Czyż mnie nie znacie? — spytał, błędąc.

Michał plunął mu w twarz.

— Oto honorarium za pańskie artykuły przeciw d'Arthezowi. Gdyby każdy w sprawie swojej lub swoich przyjaciół zachował się jak ja, prasa zostałaby tym, czym być powinna: czcigodnym i czczonym kapłaństwem.

Lucjan zachwiał się i oparł na Rastignacu, do którego rzekł, zarówno jak do Marsaya:

— Panowie, nie odmówicie mi, gdy was poproszę, abyscie byli moimi świadkami. Ale chcę wprzód zrównać szanse i sprawić, by rzecz stała się bez ratunku.

Wymierzył żywo policzek Michałowi, który nie spodziewał się tego. Dandysi i przyjaciele Michała rzucili się między republikanina a rojalistę, nie chcąc, aby zajęcie przybrało charakter bójk ulicznej. Rastignac ujął Lucjana i zaprowadził go do siebie, na ulicę Taitbout, o dwa kroki od tej sceny, która rozegrała się na bulwarze de Gand, w porze obiadowej. Okoliczność ta ocaliła ich przed zwyczajnym w takich razach zbiegowiskiem. De Marsay wstąpił po Lucjana, którego dwaj dandysi zmusili, aby spożył z nimi wesoło obiad w kawiarni Angielskiej, gdzie się upili.

— Mocny jesteś na szpady? — spytał de Marsay.

— Nigdy nie miałem szpady w ręku — odparł Lucjan.

— Na pistolety? — rzekł Rastignac.

— W życiu nie strzelałem.

— Masz tedy za sobą traf, jesteś groźnym przeciwnikiem, możesz położyć swego partnera — rzekł de Marsay.

Lucjan zastał, bardzo szczęśliwie, Koralię w łóżku, uspioną.

Aktorka dostała nieoczekiwanie rolę w małej sztuce, znalazła odwet, zbierając zasłużone, a nie kupione oklaski. Wieczór ten, którego nie spodziewali się jej wrogowie, skłonił dyrektora do oddania jej głównej roli w sztuce Kamila Maupina, odkrył bowiem wreszcie przyczynę niepowodzenia Koralii przy debiucie. Podrażniony intrygami Floryny i Natana dla „położenia” aktorki, na której mu zależało, dyrektor obiecał Koralii poparcie właścicieli teatru.

O piątej rano Rastignac wstąpił po Lucjana.

— Kiepsko musi ci się powodzić, mój drogi, skoro mieszkasz na takiej ulicy — rzekł za całe powitanie. — Bądźmy pierwsi na miejscu, na drodze do Clignancourt; to jest w dobrym tonie, a zresztą powinniśmy świecić przykładem.

— Oto program — rzekł de Marsay, z chwilą gdy powóz potoczył się Przedmieściem Saint-Denis. — Pistolety, dwadzieścia pięć kroków, idąc do mety powoli, do piętnastu. Każdy ma prawo do pięciu kroków i trzech strzałów, nie więcej. Co bądź się stanie, obaj zobowiązujecie się na tym poprzestać. My nabijamy pistolety przeciwnika, jego świadkowie twoje. Broń wybrali wspólnie świadkowie u rusznikarza. Mogę ci powiedzieć, żeśmy pomogli przypadkowi, strzelacie się pistoletami kawaleryjskimi.

Dla Lucjana życie stało się złym snem; obojętne mu było żyć albo umrzeć. Odwaga właściwa samobójcom pomogła mu tedy rozwinąć całą brawurę w oczach świadków. Stał, nie ruszając się, w miejscu. Obojętność ta zrobiła wrażenie zimnego rachunku; osądzono poetę za tęgiego gracza. Michał doszedł aż do mety. Przeciwnicy dali ognia równocześnie, stopień zniewagi bowiem uznano za równy. Za pierwszym strzałem Chrestien drasnął podbródek Lucjana, którego kula przeszła o dziesięć stóp nad głową przeciwnika. Za drugim — kula Michała utkwiała w kołnierzu surduta; na szczęście był grubo pikowany i usztywniony płótnem. Za trzecim — Lucjan otrzymał kulę w pierś i upadł.

— Trup? — spytał Michał.

— Nie — odparł chirurg — wylize się.

— Tym gorzej — rzekł Michał.

Pojedynek

— Och, tak, tym gorzej — powtórzył Lucjan, zalewając się łzami.

O południu nieszczęsne dziecko znalazło się u siebie w łóżku; trzeba było pięciu godzin i wielkich ostrożności, aby go przewieźć. Mimo iż stan nie był rozpacźliwy, wymagał uwagi; gorączka mogła sprowadzić komplikacje. Koralia zdławiła rozpacz i zgryzoty. Przez cały czas niebezpieczeństwa spędzała noc z Berenice przy łóżku, ucząc się roli. Groźny stan trwał dwa miesiące. Biedna istota grała niekiedy rolę żądającą wesołości, gdy w duchu mówiła sobie: „Biedny Lucjan może umiera w tej chwili”.

Przez cały czas pielęgnował Lucjana Bianchon. Poeta zawdzięczał życie poświęceniu tego przyjaciela, mimo iż tak żywo dotkniętego. D'Arthez zwierzył Horacemu tajemnicę odwiedzin Lucjana, usprawiedliwiając biednego poetę. W chwili przytomności (Lucjan miał atak bardzo poważnej gorączki nerwowej) Bianchon, który podejrzewał d'Artheza o wybieg wspaniałomyślności, wypytał chorego; Lucjan oświadczył, iż oprócz poważnego krytycznego artykułu nie pisał żadnej notatki o książce d'Artheza.

Z końcem miesiąca Fendant i Cavalier zgłosili upadłość. Bianchon szepnął aktorce, aby utuliła ten straszny cios Lucjanowi. Słynny romans *Guardzista Karola IX*, ogłoszony pod dziwnym tytułem, nie miał żadnego powodzenia. Aby wycisnąć trochę pieniędzy przed upadłością, Fendant, bez wiedzy Cavaliera, sprzedał hurtem to dzieło kramarzom, którzy pozbywali się go po niskiej cenie w drodze kolportażu. W tej chwili książka Lucjana stroiła parapety mostów i wybrzeży Sekwany. Pokątni księgarze, którzy wzięli pewną ilość egzemplarzy, stanęli w obliczu znacznej straty wskutek tego obniżenia ceny: cztery tomy in 12°, zakupione po cztery franki pięćdziesiąt, szły obecnie po dwa i pół. Speculanci wydawali krzyki zgrozy, a dzienniki zachowywały najgłębsze milczenie. Barbet nie przewidział tej „klapy”, wierzył w talent Lucjana; wbrew swoim obyczajom ubrał się w dwieście egzemplarzy; perspektywa straty doprowadzała go do szaleństwa; wygadywał na Lucjana niemożliwe rzeczy. Barbet powziął postanowienie heroiczne: przez upór, właściwy skąpcom, złożył egzemplarze w kącie magazynu i pozwolił kolegom wyzbywać się książki za bezcen. Później, w roku 1824, kiedy piękna przedmowa d'Artheza, zalety książki i dwa artykuły napisane przez Leona Girauda przywróciły temu dziełu jego wartość, Barbet wyprzedził swoje egzemplarze pojedynczo, po cenie dziesięciu franków. Mimo ostrożności Berenice i Koralii niepodobna było przeszkodzić Hektorowi Merlinowi odwiedzić umierającego przyjaciela; jakoż dał mu wypić, kropla po kropli, gorzki kielich tego „bulionu”! Jest to słowo używane w księgarstwie dla określenia haniebnej operacji, jakiej dokonali Fendant i Cavalier, wydając książkę nowicjusza. Martainville, jedyny wierny Lucjanowi, napisał wspaniały artykuł w obronie dzieła; ale zaciętrzewienie i liberalów, i ministerialnych przeciw naczelnemu redaktorowi „Arystarcha”<sup>742</sup>, „Proporca”<sup>743</sup> i „Białego Sztandaru” było takie, iż wysiłki tego niezmordowanego atlety, oddającego zawsze liberalom dziesięć obelg za jedną, zaszkodziły Lucjanowi. Mimo żywości ataków rojalistycznego szermierza żaden dziennik nie podjął rękawicy. Koralia, Berenice i Bianchon zamknęli drzwi rzekomym przyjaciołom Lucjana, którzy protestowali z oburzeniem, ale niepodobna ich było zamknąć woźnym trybunału. Wskutek upadłości Fendanta i Cavaliera akcepty podlegały natychmiastowemu pościgowi, na mocy jednego z paragrafów kodeksu handlowego, godzącego dotkliwie w prawa żyranta<sup>744</sup>, który w ten sposób pozbawiony jest przywilejów terminu. Najbardziej bezlitosnym prześladowcą Lucjana stał się Camusot. Widząc to nazwisko, aktorka zrozumiała straszliwy i upokarzający krok, do którego zmuszony był poeta, dla niej tak anielski; pokochała go za to dziesięć razy więcej, lecz nie mogła się zdobyć na to, aby iść błagać Camusota. Przyszedszy szukać swego jeńca, straż trybunalska zastała go w łóżku i wzdrygała się go ująć; udali się do Camusota, nim zwrócili się do prezydenta trybunału z prośbą o wskazanie domu zdrowia, gdzie będą mogli umieścić dłużnika. Camusot przybiegł natychmiast na ulicę de la Lune. Koralia zeszła i wróciła na górę, trzymając w ręku akt pościgu, w którym w myśl dopisku na akceptce traktowano Lucjana jako kupca. W jaki sposób uzyskała te papiery od Camusota? Jakie dała obietnice? Milczała głucho, ale wróciła wpółmartwa. Koralia grała

Książka, Pieniądz

<sup>742</sup>„Arystarch francuski” — „L'Aristarque français”, francuska gazeta rojalistyczna, poświęcona polityce, historii i literaturze, wydawana w l. 1815–1827. [przypis edytorski]

<sup>743</sup>„Proporzec” — „L'Oriflamme”, paryska gazeta poświęcona „literaturze, nauce i sztuce, historii oraz doktrynom monarchicznym i religijnym”, wydawana w l. 1824–1825. [przypis edytorski]

<sup>744</sup>żyrant — poręczyciel; tu: osoba poręczająca za kogoś splate sumy weksla. [przypis edytorski]

w sztuce Kamila Maupina i wiele przyczyniła się do sukcesu znakomitej hermafrodytki literackiej. Kreacja tej roli była ostatnią iskierką tej pięknej lampy. Podczas dwudziestego przedstawienia, w chwili gdy Lucjan, już prawie zdrowy, zaczynał przechadzać się, jeść i mówić o powrocie do pracy, Koralia rozchorowała się: trawiła ją tajemna zgryzota. Berenice mniemała zawsze, iż aby ocalić Lucjana, przyrzekła wrócić do Camusota. Aktorka zaznała tej męki, iż patrzyła, jak jej rolę oddają Florynie. Natan zagroził wojną teatrowi Gymnase, gdyby Floryna nie dostała jej po Koralii. Grając do ostatniej chwili, aby nie dać sobie wydrzeć roli, Koralia wyczerpała ostatek sił: podczas choroby Lucjana teatr udzielił jej paru zaliczek, nie mogła nic żądać z kasy. Mimo najlepszej chęci Lucjan nie mógł jeszcze pracować, zresztą pielęgnował Koralię na zmianę z Berenice, biedne stadło<sup>745</sup> doszło przeto do ostatecznej nędzy. Lucjan miał przynajmniej to szczęście, iż znalazł w Bianchonie biegłego i oddanego lekarza, który przy tym wyrobił mu kredyt w aptece. Niebawem dostawcy i gospodarz domu dowiedzieli się o położeniu Koralii i Lucjana. Meble zajęto. Modniarka i krawiec, nie lękając się już dziennikarza, zaczęli ścigać parę cyganów wszelkimi środkami. W końcu już tylko aptekarz i masarz dawali kredyt nieszczęśliwym dzieciom. Lucjan, Berenice i biedna chora musieli blisko tydzień jadać tylko wieprzowinę, pod wszelkimi pomysłowymi i urozmaiconymi formami, jakie jej dają masarze. Wędlna, rozpalająca z natury, pogorszyła stan chorej. Lucjan, zmuszony nędzą, udał się do Stefana Lousteau przypomnieć tysiąc franków, które ten dawny przyjaciel, ten zdrajca, był mu winien. Był to wśród wszystkich nieszczęść krok, który go kosztował najwięcej. Lousteau nie mógł już pokazać się u siebie, na ulicy la Harpe, sypiał u przyjaciół, ścigany, tropiony jak zajęć. Lucjan zdołał znaleźć swego złowrogięgo inicjatora w świat literacki jedynie u Flicoteaux. Lousteau jadał przy tym samym stoliku, gdzie Lucjan spotkał go, na swoje nieszczęście, w dniu, w którym wydarł się d'Arthezowi. Lousteau ofiarował mu obiad i Lucjan przyjął! Kiedy wychodząc od Flicoteaux, Klaudiusz Vignon, obiadujący tam tego dnia, Lousteau, Lucjan i wielki nieznajomy, który zastawiał garderobę u Samanona, chcieli się udać do kawiarni Voltaire na kawę, nie mogli złożyć trzydziestu su, gromadząc wszystkie miedziaki, jakie im zostały w kieszeniach. Zapuscili się w Ogród Luksemburski w nadziei spotkania jakiego księgarza i ujrzeli w istocie jednego z najsłynniejszych drukarzy owego czasu, którego Lousteau poprosił o czterdzieści franków. Lousteau podzielił sumę na cztery równe części: każdy wziął jedną część. Nędza zdławiła u Lucjana wszelką dumę, wszelkie uczucie; płakał wobec trzech artystów, opowiadając swoje położenie. Ale każdy z kolegów miał równie straszliwy dramat do opowiedzenia; kiedy każdy wytrząsnął swoją paczkę, poeta okazał się najmniej nieszczęśliwy z czterech... Toteż wszyscy musieli zapomnieć i swoich nieszczęść, i swoich myśli, które zdwajały nieszczęście. Lousteau pobiegł do Palais-Royal rzucić na stół ruletki dziewięć franków, które mu zostały. Wielki nieznajomy, mimo iż miał anielską kochankę, udał się do plugawego domu zanurzyć się w kałuży niebezpiecznych rozkoszy. Vignon poszedł do Rocher de Cancale z zamiarem wypicia tam dwóch flaszek bordeaux, aby się wyzuc z rozumu i pamięci. Lucjan opuścił Klaudiusza Vignona na progu, odmawiając udziału w wieczery. Uściskowi ręki, jaki wielki człowiek z prowincji wymienił z jedynym dziennikarzem, który nie okazał się jego wrogiem, towarzyszyło okropne ściśnięcie serca.

— Co robić? — spytał.

— Na wojnie jak na wojnie — odparł wielki krytyk. — Książka twoja jest piękna, ale zrobiła ci zawistnych, czeka cię długa i trudna walka. Talent to straszliwa choroba. Każdy pisarz nosi w sercu potwora, który, podobny tasiemcowi w jelitach, pożera w nim uczucia, w miarę jak się rozwijają. Kto kogo pokona? Choroba człowieka — czy człowiek chorobę? Zaiste, trzeba być wielkim człowiekiem, aby utrzymać równowagę między geniuszem a charakterem. Talent rośnie, serce wysycha. O ile nie jest kolosem, o ile nie ma barków Herkulesa, człowiek zostaje albo bez serca, albo bez talentu. Ty jesteś wątły i nikły, ulegniesz — dodał, wchodząc do restauracji.

Lucjan wrócił do domu, rozmyślając nad tym straszliwym wyrokiem, którego głęboka prawda oświeślała mu życie literackie.

„Pieniędzy!” — krzyczał w nim głos.

<sup>745</sup>stadło (daw.) — małżeństwo, związek małżeński; para małżeńska; tu: gospodarstwo domowe. [przypis edytorski]

Wystawił sam na własne zlecenie trzy tysiącfrankowe weksle płatne za jeden, dwa i trzy miesiące od daty, naśladowując z doskonałą sztuką podpis Dawida Sécharda; poręczył je swoim nazwiskiem i nazajutrz zaniósł do Métiviera, handlarza papieru z ulicy Serpente, który przyjął je bez trudności. Lucjan napisał parę słów do szwagra, aby go uprzedzić o tym zamachu na jego kasę, przyrzekając, wedle zwyczaju, wystarać się o gotówkę na termin. Po spłaceniu długów Koralii i Lucjana zostało trzysta franków, które poeta oddał wiernej Berenice, prosząc, aby mu odmówiła, w razie gdyby chciał zaczerpnąć z tych pieniędzy: lękał się, by go nie porwała chęć spróbowania szczęścia w grze. Lucjan, ożywiony posępną, zimną i milczącą wściekłością, wziął się do pisania najdowcipniejszych artykułków, czuwając przy blasku lampy obok łóżka Koralii. Kiedy szukał w głowie myśli, widział tę ubóstwianą istotę, białą jak porcelana, piękną pięknnością umierających, uśmiechającą się doń bladymi wargami, z oczami błyszczącymi jak oczy kobiet, które podcina zarówno choroba, jak zgryzota. Lucjan posyłał artykuły do dzienników; ale ponieważ nie mógł sam obchodzić redakcji, aby męczyć naczelnych redaktorów, artykuły nie pojawiały się. Kiedy się zdecydował udać do dziennika, Teodor Gaillard, który udzielił mu już zaliczek i który później skorzystał z tych diamentów literackich, przyjmował go chłodno.

— Bierz się w kupę, mój drogi; nie znać już twego dawnego dowcipu, nie daj się, miej werwę! — mówił.

— Ten Lucus miał w brzuchu tylko swoją powieść i pierwsze artykuły — wykrzykiwali Felicjan Vernou, Merlin i wszyscy zawistni, kiedy była mowa o Lucjanie u Dauriata lub w Wodewilu. — Przysyła nam rzeczy wprost oplakane.

„Nie mieć nic w brzuchu” — wyrażenie uświęcone w dziennikarskiej gwarze, mieści w sobie ostateczny wyrok, od którego, skoro raz padnie, trudno apelować. To słówko, obnoszone wszędzie, zabijało Lucjana, bez jego wiedzy zresztą, wówczas bowiem miał utrapienia przechodzące jego siły. Pośród druzgocącej pracy, ścigany za akcepty Dawida Sécharda, uciekał się do doświadczenia Camusota. Dawny protektor Koralii był na tyle szlachetny, aby wesprzeć Lucjana. To okropne położenie trwało dwa miesiące, znaczone mnogimi papierami stemplowymi, które za radą Camusota Lucjan odsyłał do Desroches'a, przyjaciela Blondeta, Bixiou i des Lupeaulx.

Z początkiem sierpnia Bianchon powiedział poecie, że Koralia jest stracona i że ma przed sobą już tylko kilka dni. Berenice i Lucjan strawili te nieszczęsne dni, płacząc, niezdolni ukryć też przed biedną dziewczyną, rozpaczającą, iż śmierć rozłącza ją z Lucjanem. Dziwnym nawrotem Koralia zażądała, aby Lucjan sprowadził jej księdza. Aktorka chciała pojednać się z Kościołem i umrzeć w pokoju. Koniec jej był chrześcijański, skrucza szczerą. Ta agonია i śmierć do reszty odjęły Lucjanowi siły i odwagę. Poeta trwał w zupełnym odrętwieniu, siedząc w fotelu przy łóżku Koralii, nie przestając patrzeć na nią do chwili, w której oczy aktorki przesłoniły się całunem śmierci. Była piąta rano. Ptaszek jakiś zabłąkał się między doniczki z kwiatami za oknem i zawiódł śpiew. Berenice, na kolanach, całowała rękę Koralii, stygnącą pod jej łzami. Na kominku leżało jedenaście su. Lucjan wyszedł popychany rozpaczą, która doradzała mu żebrać jałmużny na pogrzeb kochanki lub też rzucić się do stóp margrabiny d'Espard, hrabiego du Châtelet, pani de Bargeton, panny des Touches lub groźnego dandysa de Marsaya: nie czuł już w sobie dumy ani siły. Aby wydobyć trochę pieniędzy, zaciągnąłby się na żołnierza! Dotarł, wolnym i opieszalym krokiem, dobrze znanym u ludzi nieszczęśliwych, do willi panny des Touches, wszedł, nie zwracając uwagi na nieład swego stroju, i poprosił, aby go oznajmiono.

— Pani położyła się o trzeciej rano, nikt nie może wejść do niej, aż zadzwoni — odparł kamerdyner.

— Kiedyż zwykle dzwoni?

— Nigdy przed dziesiątą.

Lucjan napisał wówczas rozpaczliwy list, z tych, w których błyszcząca nędza nie ukrywa już niczego. Niegdyś, kiedy Lousteau mówił mu o prośbach zanoszonych przez młode talenty do Finota, Lucjan powątpiewał o możliwości takich upodleń: dziś pióro unosiło go może poza granice, w jakie niedola wtrąciła jego poprzedników. Wraciał ogłupiały i zgorączkowany przez bulwary, nie podejrzewając, jakie straszliwe arcydzieło podyktowała mu rozpacz; spotkał Barbeta.

— Barbet, pięćset franków? — rzekł, podając mu rękę.

— Nie, dwieście — odparł księgarz.

Śmierć

— Ach, więc ty masz serce!

— Tak, ale mam też i interesy. Straciłem na panu dużo pieniędzy — dodał, opowiadawszy mu bankructwo Fendanta i Cavaliera — dajże mi pan coś zarobić.

Lucjan zadrżał.

— Jesteś pan poetą, musisz umieć robić wszelkiego rodzaju wiersze — ciągnął księgarz. — Potrzeba mi lekkich piosenek, aby je wmieszać w piosenki zaczerpnięte z rozmaitych autorów; w ten sposób zabezpieczam się od procesu o nadużycie i będę mógł sprzedawać na bulwarach ładny zbiorek po pół franka. Jeśli się pan podejmie przysłać jutro dziesięć dobrych piosenek pijackich albo też trochę pikantnych... ten... rozumiesz?... dam panu dwieście franków.

Lucjan wrócił do domu: zastał Koralię wyciągniętą prosto i sztywno na marach, zawiniętą w liche płótno, które Berenice zszywała, płacząc. Gruba Normandka zapaliła cztery świece w rogach łóżka. Na twarzy Koralii błyszczał ten kwiat piękności, który tak głośno przemawia do żywych, zwiastując im zupełny spokój. Podobna była do młodych dziewczątek chorych na blednicę<sup>746</sup>; zdawało się chwilami, że te fioletowe wargi rozchyliły się i wyszeptały imię Lucjana, to samo, które, złączone z imieniem Boga, poprzedziło jej ostatnie tchnienie. Lucjan polecił służącej, aby zamówiła w zakładzie kondukt nie przekraczający dwustu franków, z nabożeństwem w skromnym kościółku Zwiastowania. Skoro Berenice wyszła, poeta siadł przy stole, przy ciele biednej kochanki, i ułożył dziesięć swawolnych piosenek na popularne melodie. Doświadczył niepojętych męczarni, nim zdołał się wziąć do pracy, ale wreszcie poddał inteligencję swoją usługom konieczności, tak jak gdyby nic nie przeszedł. Dopelniał już straszliwego wyroku Klaudiusza Vignona co do rozdziału, jaki następuje pomiędzy sercem a mózgiem. Co za noc spędził biedny dzieciak, wypruwając z siebie wiersze, przeznaczone, by je śpiewano w szynku, a pisane przy blasku żalobnych świec, obok księdza, który modlił się za Koralię!... Nazajutrz rano Lucjan, ukończywszy ostatnią piosenkę, próbował ją podłożyć pod modną wówczas melodię; słysząc, jak śpiewa, Berenice i ksiądz zlekli się, czy nie oszalał.

Śmierć

W piosence, przyjaciele,  
Morał to rzecz jałowa,  
Na co dumać zbyt wiele  
I składać górne słowa;  
Gdy Bakcha<sup>747</sup> sok cudowny  
Rozgrzeje nam żołądek,  
Ten wówczas jest wymowny,  
Kto gwizdże na rozsądek!  
A więc,  
A więc:  
Pijmy, żyjmy,  
Żyjmy, pijmy,  
Z reszty sobie drwijmy!

Kto pije, żyje zdrowo,  
Hipokrat<sup>748</sup> tak powiada,  
A że tam to lub owo  
Już służbę wypowiada,  
Do czarta z miłostkami,  
Kiep<sup>749</sup> wzdycha do kochanek:  
Wystarczym sobie sami,  
Byle był pełny dzbanek!  
A więc,

<sup>746</sup>*blednica* (daw. med.) — niedokrwiłość związana z niedoborem żelaza, występująca głównie u młodych dziewcząt i kobiet. [przypis edytorski]

<sup>747</sup>*Bachus* a. *Bakchus* (mit. rzym.) — bóg wina, odpowiednik greckiego Dionizosa (Bachosa). [przypis edytorski]

<sup>748</sup>*Hippokrates* (ok. 460–ok. 370 p.n.e.) — lekarz grecki, prekursor współczesnej medycyny. [przypis edytorski]

<sup>749</sup>*kiep* (daw.) — dureń, głupiec. [przypis edytorski]

A więc:  
Pijmy, żyjmy,  
Żyjmy, pijmy,  
Z reszty sobie drwijmy!

Skąd się tu bierze człowiek,  
Odgadnąć nie jest sztuka,  
Lecz po zamknięciu powiek  
Do jakich wrót zapuka?  
Któż by się troszczył o to!  
Raz żyjem! Tam do licha!  
Z podwójną więc ochotą  
Raj sączmy dziś z kielicha!

A więc,  
A więc:  
Pijmy, żyjmy,  
Żyjmy, pijmy,  
Z reszty sobie drwijmy!

W chwili gdy poeta śpiewał ten straszliwy ostatni kuplet, weszli Bianchon i d'Arthez i zastali go w paroksyzmie przygnębienia: wylewał strumienie łez i nie miał już sił, aby przepisać na czysto piosenki. Kiedy wśród łkań odmalował swoje położenie, ujrzał łzy w oczach słuchaczy.

— To — rzekł d'Arthez — maże wiele błędów!

— Szczęśliwi, którzy znajdują piekło na ziemi — rzekł poważnie ksiądz.

Widok pięknej umarłej, uśmiechającej się do wieczności, widok kochanka kupującego jej grób za pomocą podkasanych piosenek, Barbet oplacający koszty ostatniej posługi, te cztery świece dokoła aktorki, której spódniczka i czerwone pończochy z zielonymi strzałkami przyprawiły niegdyś o dreszcz całą salę, wreszcie przy drzwiach ksiądz, który pojednał ją z Bogiem, wracający do kościoła, aby odmówić mszę za zbawienie tej, która tyle kochała! — wszystkie te wielkości i ohydy, te cierpienia zmiażdżone ciężarem konieczności zmroziły wielkiego pisarza i wielkiego lekarza. Usiedli, nie mogąc wymówić słowa. Wszedł służący i oznajmił pannę des Touches. Piękna i szlachetna dziewczyna zrozumiała wszystko, podeszła żywo do Lucjana, uścisnęła mu dłoń i wsunęła w nią dwa tysiącfrankowe bilety.

— Już nie czas — rzekł, rzucając jej martwe spojrzenie.

D'Arthez, Bianchon i panna des Touches opuścili Lucjana dopiero wówczas, kiedy ukołysali jego rozpacz najśłodszyimi słowy<sup>750</sup>; ale wszystkie sprężyny były w nim strzaskane. O południu Biesiada, z wyjątkiem Michała Chrestien, którego wszelako wywiedziono z błędu co do rozmiarów wina Lucjana, znalazła się w kościółku Zwiastowania; oprócz nich Berenice, panna des Touches, dwie podrzędne aktorki z Gymnase, garderobiana Koralii i nieszczęśliwy Camusot. Mężczyźni odprowadzili aktorkę aż na Père-Lachaise. Camusot, który płakał gorącymi łzami, przyrzekł uroczyście Lucjanowi zakupić na wieczny czas kawał ziemi i wznieść na nim kolumnkę z napisem:

#### KORALIA

pod spodem zaś:

Zmarła  
w dziewiętnastym roku życia  
w sierpniu 1822

Lucjan został sam aż do zachodu słońca na tym pagórku, z którego oczy jego obejmowały Paryż.

<sup>750</sup>najśłodszyimi słowy (starop. forma N. Im) — dziś: najśłodszyimi słowami. [przypis edytorski]

„Któż będzie mnie kochał? — pytał sam siebie. — Prawdziwi przyjaciele gardzą mną. Cokolwiek bym uczynił, wszystko wydawało się szlachetne i piękne tej, która tu leży! Mam już tylko siostrę, Dawida i matkę! Co oni tam myślą o mnie?”

Biedny wielki człowiek z prowincji wrócił na ulicę de la Lune, gdzie doznał tak silnego wrażenia na widok pustego mieszkania, że przeniósł się do lichego hotelu na tej samej ulicy. Dwa tysiące panny des Touches opłaciły wszystkie długi, ale dopiero łącznie z sumą uzyskaną ze sprzedaży mebli. Berenice i Lucjan zostali ze stoma frankami, które żywiły ich dwa miesiące. Czas ten spędził Lucjan w chorobliwym przygnębieniu: nie mógł ani pisać, ani myśleć, poddał się boleści; Berenice litowała się, patrząc na niego.

— Gdyby pan zechciał wrócić do swoich, w jaki sposób zdołasz się tam dostać? — odparła na wykrzyknik Lucjana, który wspominał siostrę, matkę i Dawida.

— Pieszko — odparł.

— I tak trzeba pieniędzy na życie i noclegi. Gdybyś pan robił dwanaście mil dziennie, potrzebowałbyś przynajmniej dwudziestu franków.

— Będę je miał — odparł.

Wziął ubranie i wykwintną bieliznę, zostawił jedynie to, co ściśle potrzebne, i udał się do Samanona, który ofiarował pięćdziesiąt franków za wszystko. Błagał lichwiarza, aby dał przynajmniej tyle, ile trzeba na opłacenie dyliżansu; nie mógł go zmiękczyć. W napadzie wściekłości Lucjan pobiegł, jak stał, do Frascati, spróbował szczęścia i wrócił bez grosza. Kiedy się znalazł w nędznym pokoju, prosił Berenice, aby mu dała szal Koralii. Z kilku spojrzeń, zwłaszcza gdy Lucjan przyznał się do nieszczęśliwej gry, zacna dziewczyna zrozumiała zamiar nieszczęsnego poety: chciał się powiesić.

— Czy pan oszalał, panie Lucjanie? — rzekła. — Idź się pan przejść i wróć o północy, postaram się o pieniądze; ale idź pan na bulwary i nie zapuszczaj się ku wybrzeżu.

Lucjan przechadzał się po bulwarach, ogłuszony boleścią, przyglądając się ekwipażom<sup>751</sup>, przechodniom, czując się sam, mały w tej ciżbie Paryża, która wirowała smagana tysiącem interesów. Oglądając myślą brzegi Charenty, uczył pragnienie rodzinnego szczęścia; uczył jeden z owych błysków siły, zwodzających wszystkie te wpółkobiece natury, nie chciał dać za wygraną, nim nie wyleje serca na łono Dawida i nie zasięgnie rady trojga aniołów, które mu pozostały. Wałęsając się, ujrzał Berenice, odświętnie wystrojoną, rozmawiającą z jakimś mężczyzną na błotnistym bulwarze Bonne-Nouvelle, gdzie wystawała na rogu ulicy de la Lune.

— Co ty robisz? — rzekł Lucjan, przerażony podejrzeniami, jakie powziął na widok Normandki.

— Oto dwadzieścia franków, które mogą mnie kosztować drogo, ale pan pojedzie! — odparła, wsuwając cztery pięciofrankówki w rękę poety.

Berenice uciekła, nim Lucjan zdążył się opatrzeć; trzeba bowiem powiedzieć na jego chlubę: pieniądze te paliły mu ręce, chciał je oddać, ale musiał je zachować jako ostatni stygmat Paryża.

*Jardies 1832 — Paryż, maj 1839*

## *Stracone złudzenia*

<sup>751</sup>ekwipaż (daw.) — lekki, ekskluzywny pojazd konny; tu ogólnie: powóz. [przypis edytorski]

# CIERPIENIA WYNALAZCY

## OD TŁUMACZA

Jeden z licznych monografistów Balzaca<sup>752</sup> analizując drobiazgowo wpływy, jakie mogły współdziałać w kształtowaniu się jego tworu, wymienia też owe „indyjskie”<sup>753</sup> powieści Coopera, tak dobrze nam pamiętne z dzieciństwa, a które na początku XIX w. czarowały świat literacki świeżością motywów i barwą wyobraźni. Dziwne zestawienie. Na pozór, cóż może być wspólnego pomiędzy ultracywilizowanym społeczeństwem paryskim a owymi pierwotnymi mieszkańcami puszczy Nowego Świata, jacy u autora *Ostatniego Mohikanina* i *Jeziora Ontario* toczą zacięte boje na chytrą i zdradę. A jednak le Breton skłonny jest podejrzewać, że ulubione postaci Balzaca, ów świat lichwiarzy, adwokatów, bankierów, rejentów, noszą niejaki odcisk tej egzotycznej lektury i że w *Komedii Ludzkiej*, „przechadza się po Paryżu zbyt wielu Mohikanów w surdutach i Huronów w tużurkach”.

Zdaje mi się, że w uwadze tej jest wiele słuszności. Treścią powieści Balzaca jest często walka jak gdyby rozmaitych szczepów, zamieszkujących wspólny las społeczeństwa. Te same zasadzki, podchody, tę samą olbrzymią chytrą, jaką zużywają mieszkańcy puszczy, aby się tropić wzajem lub chronić przed sobą, Balzac przenosi w dziedzinę inteligencji. Spostrzeżenie to przypominało mi się także w niejednym epizodzie *Cierpień wynalazcy*. Te kolowania Cointetów koło swej ofiary, te głęboko obmyślane plany Petit-Clauda, podstępny Cérizet, kontrmarsze wiernego Kolba, mają w istocie coś z „indyjskich” powieści. Różnica jest ta, iż u Coopera tropi się ślady stóp w trawach prerii, tu zaś cała chytrą rozwija się w dziedzinie myśli ludzkiej i faktów psychologicznych, które przedstawiają więcej pola dla niespodzianek, dla nieobliczalnych zwrotów; dlatego akcja oparta na tego rodzaju kombinacjach ma nieraz w sobie coś naciągniętego. Tak i tutaj; co chwilę przychodzi czytelnikowi do głowy refleksja krytyczna, niepozwalająca poddać się bez oporu sugestii Balzaca, zazwyczaj tak porywającej. Mimo stwierdzonego faktu, że genialni ludzie, wynalazcy, artyści, bywają naiwni, trudno nam przelknąć *naiwność* Dawida, który przez cały czas akcji ani na chwilę nie zastanawia się, że nawet przy najlepszych widokach wynalazku niepodobna mu będzie obejść się bez kapitału, tym samym bez wspólnika, i broni się wszystkim racjonalnym kombinacjom, aby wkrótce później, po jednej nocy spędzonej na przyczynie więzienia za długi, pozwolić się związać i ostrzyć jak baran. Kombinacja Petit-Clauda, oparta na sztucznym tryumfie Lucjana, wydaje mi się bardzo przemądrkowana, jak tego omal nie dowiódł bieg wydarzeń (interwencja pani du Châtelet na rzecz Dawida). Nie bardzo też rozumiem katastrofę spowodowaną uwięzieniem: tak jak rzeczy stoją, wystarczyło przecież jednego słowa prefekta albo prefektowej, aby go uwolnić, w niczym zaś uwięzienie to nie miało powodu wpłynąć na akcję prefekta na rzecz tak wspaniałego wynalazku. Dlaczego zatem Lucjan, zamiast iść się topić, nie biegnie w te pędy po ratunek do pani du Châtelet, nie jest mi jasne. A ów Cérizet, podsłuchujący zza parkanu zwierzeń dwóch szwagrów, ten już w istocie nazbyt jest „indiański”. Cała akcja wydaje mi się mocno przechytzona. Balzac popełniał nieraz w ocenie spraw ludzkich jeden błąd: on, który spalał tak ogromną ilość inteligencji w swej twórczości, wyposażał nią też czynności działających osób swego świata; ponieważ zaś sprężyną ludzkich postępów jest raczej wszystko inne niż wytrwała, rozważna i konsekwentna inteligencja, nieraz psychologia jego schodzi na fałszywe tory. Figury Balzaca są często niby genialni szachiści obliczający na piętnaście pociągnięć naprzód; podczas gdy w życiu nawet ludzie bystrzy obliczają zazwyczaj tylko na jedno. Powieść niniejsza, stanowiąca łącznik między *Straconymi złudzeniami*, poniekąd *Ojcem Goriot*, a dalszymi ogniwami cyklu, słabsza jest od tych dwu arcydzieł. Nie czuć w niej owego rozpędu, jaki w najświetniejszych utworach Balzaca ogarnia czytelnika, porywa go, oszalał, każe zapomnieć o wszelkim krytycyzmie. Ale, jak nieraz wspominałem, utworów Balzaca ani czytać, ani oceniać nie należy oddzielnie: są to organiczne człony olbrzymiej całości. Potrzebne są te cierpliwe gromadzenia faktów i wydarzeń, aby nagle mogła z nich strzelić świetna błyskawica syntezy. Dla

<sup>752</sup>Jeden z licznych monografistów Balzaca — A. le Breton; *Balzac, l'homme et l'oeuvre*. Balzac powieści Coopera znał i entuzjastmował się nimi, dowodzą ustępy z jego korespondencji. [przypis tłumacza]

<sup>753</sup>indyjski — tu daw.: indiański. [przypis edytorski]



prawych balzakistów zresztą (a jest ich — jak się codziennie z przyjemnością dowiaduję — w Polsce coraz więcej) interesujące są nawet te mniej nasilone momenty twórczości pisarza: wolniej, nie tak zawrotnie obracające się koła i tryby pozwalają tym lepiej śledzić i rozbierać jej mechanizm. Najżywiej, najszczerzej w całej powieści odczuta jest historia *protestu wekslowego*: niejednokrotnie wspominałem już o warunkach finansowej egzystencji Balzaca, nie potrzebuję tedy podkreślać, jak bardzo jest wyjęta spod samego serca pisarza. Jest ona zarazem wspaniałym przykładem, do jakiego stopnia Balzac umiał rzeczy martwe przetwarzać we współaktorów swej *Komedii*.

Romantyczne spotkanie Lucjana z księdzem Karlosem Herrerą stanowi drugi wariant owego Kuszenia Szatana, które wypełniało znaczną część *Ojca Goriot*, i jest zarazem przejściem do dalszego rozwinięcia tego prastarego mitu na tle nowożytnego Paryża.

Boy

Kraków, w październiku 1919

## CIERPIENIA WYNALAZCY

Nazajutrz Lucjan zawizował paszport, kupił tęgi leszczynowy kij i wziął na ulicy d'Enfer biedkę<sup>754</sup>, która za dziesięć su dowiozła go do Lonjumeau. Jako pierwszy etap, przeno-cował w jakiejś stajni, o dwie mile od Arpajon. Kiedy dobił do Orleanu, czuł się potężnie zmęczony i zбитy; za trzy franki przewoźnik dowiózł go do Tours; na życie w drodze wydał tylko dwa franki. Z Tours do Poitiers Lucjan szedł pięć dni. Kawał za Poitiers posiadał już tylko pięć franków, ale zebrał resztę sił, aby wędrować dalej. Jednego dnia Lucjan, zaskoczony przez noc na równinie, postanowił tam rozbić obóz, kiedy ujrzał w parowie karocę ciągnącą się na wzgórze. Niespostrzeżony przez pocztyliona, podróżnych i loka-ja na koźle, zdołał się wcisnąć z tyłu między dwa tłumoki i usnął, ułożywszy się tak, aby uniknąć wstrząśnień. Rano, obudzony słońcem, które świeciło mu w oczy, i gwa-rem, poznał Mansle, ową mięścinę, gdzie półtora roku temu spieszył oczekiwać na panią de Bargeton z sercem pełnym miłości, nadziei i radości. Znalazłszy się, okryty kurzem, w kręgu ciekawych i pocztylionów, zrozumiał, iż czeka go przeprawa; zerwał się na nogi, miał się odezwać, kiedy widok pary podróżnych, którzy w tej chwili wysiedli z karocy, odjął mu mowę: ujrzał świeżego prefekta<sup>755</sup> Charenty, hrabiego Sykstusa du Châtelet, i żonę jego, Luizę de Nègrepelisse.

— Gdybyśmy byli wiedzieli<sup>756</sup>, jakiego towarzysza zesłał nam przypadek! — rzekła hrabina. — Niechże pan będzie łaskaw sięść z nami.

Lucjan skłonił się zimno tej parze, rzucając jej pokorne zarazem i brzemienne groźbą spojrzenie, i rzucił się w boczną drogę ku Mansle, chcąc dobić do zagrody, gdzie by mógł dostać nieco chleba i mleka, odpocząć i w ciszy podumać nad przeszłością. Miał jeszcze trzy franki. Autor *Stokroci*, gnany gorączką, biegł długo bez odpoczynku; pędził równo z biegiem rzeczki, rozpatrując się w okolicy, która stawała się coraz bardziej malownicza. Około południa dotarł do miejsca, gdzie struga, otoczona wierzbami, tworzyła małe jeziorko. Zatrzymał się, aby nasycić wzrok świeżą i bujną zielonością gaiku, którego sielski urok oddziaływał na jego duszę. Jakiś domek, przylegający do młyna nad odnogą rzeczki, widniał między wierzchołkami drzew słomianą strzechą, strojną rozchodnikiem<sup>757</sup>. Prosty ten budynek miał za jedyną ozdobę kilka krzewów jaśminu, przewiercienia<sup>758</sup> i chmielu, dokoła zaś kwiaty floksu<sup>759</sup> i wspaniałe jarzyny. Na kamiennej grobli, pod-

Podróż

<sup>754</sup>biedka — mały dwukolowy powóz konny. [przypis edytorski]

<sup>755</sup>prefekt — naczelnik administracji departamentu we Francji, reprezentant władzy centralnej. [przypis edytorski]

<sup>756</sup>Gdybyśmy byli wiedzieli — przykład użycia czasu zaprzeszłego, wyrażającego czynność wcześniejszą niż opisana czasem przeszłym lub, jak w tym przypadku, niezrealizowaną możliwość; dziś: gdybyśmy wiedzieli. [przypis edytorski]

<sup>757</sup>rozchodnik — pospolita roślina o mięsistych liściach, płożąca się lub wznosząca, rosnąca zwykle na suchych, piaszczystych lub skalistych, miejscach. [przypis edytorski]

<sup>758</sup>przewiercień, wiciokrzew przewiercień (bot.) — ozdobne pnącze o różowawych kwiatach i pomarańczowych owocach. [przypis edytorski]

<sup>759</sup>floks a. płomyk — roślina z rodziny wielosilowatych o jaskrawych, czerwonych lub fioletowych kwiatach, chętnie uprawiana w ogródkach jako ozdobna. [przypis edytorski]

partej grubymi palami, która chroniła gościniec od wylewów, ujrzał sieci suszące się na słońcu. Kaczki pływały po przezroczej sadzawce za młynem, między dwoma strumieniami wody szumiącej w stawidłach<sup>760</sup>. Słychać było drażniący swą monotonią turkot młyna. Na prostej ławie poeta ujrzał poczciwą, zażywną gospozię robiącą na drutach i czuwającą nad dzieckiem, które znęcało się nad kurami.

— Moja dobra kobieto — rzekł Lucjan, podchodząc — jestem bardzo zmęczony, mam gorączkę, a posiadam tylko trzy franki; czy chcecie żywić mnie czarnym chlebem i mlekiem i dać mi legowisko na słomie przez tydzień? Będę miał czas napisać tymczasem do krewnych, którzy przysłą mi pieniędzy albo przyjadą po mnie tutaj.

— Chętnie — odparła — oczywiście, jeżeli mąż się zgodzi. Hej tam, stary, a chodź no!

Młynarz wyszedł, spojrzął na Lucjana i wyjął fajkę z ust, mówiąc:

— Trzy franki, tydzień? To już lepiej nic nie weźmiemy od pana.

„Kto wie, czy nie przystanę na parobka do młyna” — rzekł sobie poeta, spoglądając na ten rozkoszny pejzaż, nim ułożył się w łóżku przygotowanym przez młynarkę, gdzie zasnął w sposób, który przeraził gospodarzy.

— Pietrze, idź no zobaczyć, czy ten młody pan nie umarł; już czternaście godzin, jak się położył, ja nie śmiem tam wejść — rzekła młynarka nazajutrz koło południa.

— Ja myślę — odparł młynarz, kończąc rozciągać sieci i rozkładać inny sprzęt rybacki — że ten ładny chłopczyk to może jaki kompan od komediantów; ot golec.

— Z czegoż to myślisz, stary? — rzekła młynarka.

— Ano, przecież nie jest żaden książe ani minister, ani deputat, ani biskup; czemuż ma ręce takie białe jak człowiek, co nic nie robi?

— Dziwno mi w takim razie, że głód go nie obudzi — rzekła młynarka, która właśnie przygotowała śniadanie dla gościa, zesłanego w wilię<sup>761</sup> przypadkiem do domu. — Komediant? — powtórzyła. — Gdzież by szedł? Toć<sup>762</sup> jeszcze nie pora na jarmark w Angoulême.

Ani młynarz, ani młynarka nie mogli podejrzewać, iż poza komediantem, księciem i biskupem istnieje człowiek, zarazem książe i komediant, człowiek obleczony wspaniałym kapłaństwem, Poeta, który na pozór nic nie robi, a mimo to króluje nad ludzkością, kiedy ją umiał odmalować.

— Któż by to mógł być? — rzekł Piotr do żony.

— Może to niebezpiecznie go trzymać? — spytała gosposia.

— Ba, złodzieje mają chybsze ręce, już byłby nas oporządził — odparł młynarz.

— Nie jestem ani księciem, ani złodziejem, ani biskupem, ani komediantem — rzekł smutnie Lucjan, który ukazał się w tej chwili, a który musiał słyszeć przez okno rozmowę chłopków. — Jestem biedakiem opadłym z sił, który przybył tu z Paryża piechotą. Nazywam się Lucjan de Rubempré, a jestem synem pana Chardona, poprzednika pana Postela, aptekarza z Houmeau. Siostra moja wyszła za Dawida Séchara, drukarza z placu du Mûrier w Angoulême.

— Czekałże pan! — rzekł młynarz. — Czy ten drukarz to nie jest syn starego wygi, tego, co to ma folwarczek w Marsac?

— Właśnie — odparł Lucjan.

— Ładny ojczulek, dalibóg — rzekł młynarz. — Toć on, powiadają, każe licytować syna do ostatniego stołka, a sam ma gruntu za przeszło dwieście tysięcy franków, nie licząc tego, co trzyma w pończosze.

Kiedy dusza i ciało zużyły się w długiej i bolesnej walce, godzina, w której siły się wyczerpały, sprowadza za sobą albo śmierć, albo unicestwienie podobne do śmierci, ale w którym zdolna do oporu natura odzyskuje wówczas siły. Lucjan, będący pastwą takiego przesilenia, zdawał się bliski omdlenia w chwili, gdy się dowiedział, mimo iż tak mglisto, o katastrofie spadłej na Dawida Séchara, swego szwagra.

— Och, siostro! — wykrzyknął. — Co ja uczyniłem, mój Boże? Jestem nędznikiem.

<sup>760</sup>stawidło — ruchome zamknięcie zapory spiętrzającej wodę w rzece, służące do regulacji przepływu wody. [przypis edytorski]

<sup>761</sup>wilia (daw., reg.) — dzień poprzedni, poprzedzający; też: wigilia. [przypis edytorski]

<sup>762</sup>toć (daw.) — przecież. [przypis edytorski]

Następnie osunął się na drewnianą ławę, blady i osłabły, jak gdyby miał umierać; młynarka skwapliwie przysunęła mu kubek mleka, zmuszając go, by wypił; ale Lucjan poprosił młynarza, aby mu pomógł położyć się na łóżko, przeprasząc za kłopot, jaki uczyni w domu swą śmiercią, mniemał bowiem, iż nadeszła ostatnia godzina. Widząc przed oczyma widmo śmierci, ów pełen wdzięku poeta uczuł w sercu przyływ religijnych uczuć: chciał mówić z księdzem, wyspowiadać się i przyjąć sakramenta. Skargi te, wyjęczone słabym głosem przez chłopca o tak pięknej twarzy i zręcznej postaci, wzruszyły panią Piotrową.

— Słuchaj no, stary, siadaj na koń i jedź poprosić pana Marrona, lekarza z Marsac; zobaczy, co jest temu młodemu paniczowi, który nie wydaje mi się w tegiej skórze; sprowadzisz także proboszcza. Może będą wiedzieli lepiej niż ty, jak stoi sprawa z tym drukarzem: toć Postel jest zięciem pana Marrona.

Po odjeździe męża młynarka, przekonana, jak wszyscy ludzie wiejscy, że choroba wymaga odżywiania, nakarmiła Lucjana; nie wzbraniał się, pogrążony w gwałtownych wyrzutach, które wyrwały go z prostracji<sup>763</sup> przez wstrząs, wywołany tego rodzaju *topicum*<sup>764</sup> moralnym.

Młyn znajdował się o milę od Marsac, stolicy powiatu, położonej w pół drogi między Mansle a Angoulême, toteż zacny młynarz przywiózł niebawem lekarza i proboszcza. Osobistości te słyszały o stosunkach Lucjana z panią de Bargeton. Ponieważ w tej chwili cały departament Charenty rozprawiał o małżeństwie tej damy i o jej powrocie do Angoulême z nowym prefektem, hrabią Sykstusem du Châtelet, lekarz i proboszcz, dowiadując się, że Lucjan jest u młynarza, uczyli gwałtowną chętkę spenetrowania przyczyn, jakie wstrzymały wdowę po panu de Bargeton od poślubienia młodego poety, z którym swego czasu uciekła; chcieli również dowiedzieć się, czy przybył do rodzinnego miasta, aby wspomóc szwagra, Dawida Sécharda. Ciekawość, ludzkość, wszystko jednoczyło się tedy<sup>765</sup>, aby sprowadzić rychłą pomoc umierającemu poecie. Toteż w dwie godziny po wyjeździe młynarza Lucjan usłyszał na kamienistym dojeździe do młyna szczęk żelaziwa, jaki wydawała bryczuszka wiejskiego lekarza. Obaj Marronowie ukazali się równocześnie, lekarz bowiem był bratankiem proboszcza. Lucjan ujrzał tedy w tej chwili osoby związane blisko z ojcem Dawida Sécharda, jak bywa w małym miasteczku, gdzie wszyscy hodują wino. Skoro lekarz przyjrzał się umierającemu, zmacał puls, obejrzał język, popatrzył na młynarkę, uśmiechając się w sposób rozprasający wszystkie obawy.

— Pani Courtois — rzekł — nie wątpię, że pani musi mieć w piwnicy jaką dobrą butelkę wina, w sadzawce zaś ładnego węgorka. Niechże je pani poda choremu, któremu nic nie brakuje poza troszką przemęczenia. Po tym lekarstwie nasz wielki człowiek stanie niebawem na nogi.

— Ach, panie — rzekł Lucjan — moja choroba jest nie w ciele, ale w duszy! Ci zacni ludzie powiedzieli mi coś, co mnie zabiło, oznajmiając nieszczęście, jakie spadło na dom mojej siostry, Dawidowej Séchard. Na imię Boga, pan, który, jak wspominała pani Courtois, wydałeś córkę za Postela, musisz coś wiedzieć o sprawach Dawida?

— Myślę, że musi być w więzieniu — odparł lekarz — ojciec odmówił mu pomocy...

— W więzieniu! — wykrzyknął Lucjan. — I za co?

— Ano, z przyczyny weksli zaskarżonych w Paryżu, o których widać zapomniał; uchodzi za człowieka, który nie bardzo wie, co robi — odparł pan Marron.

— Zostawcie mnie, proszę, z księdzem proboszczem — rzekł poeta, którego fizjonomia<sup>766</sup> zmieniła się gwałtownie.

Doktor, młynarz i jego żona wyszli. Skoro Lucjan został sam ze starym księdzem, wykrzyknął:

— Zasługuję na śmierć, która się zbliża, czuję to, ojczy; jestem nędznikiem, któremu nie zostaje nic, jak tylko rzucić się w objęcia religii. To ja, ojczy, jestem katem siostry i brata; bo Dawid Séchard jest bratem dla mnie! Podpisałem weksle, których Dawid nie mógł zapłacić... Zrujnowałem go. W straszliwej nędzy, w jakiej się znalazłem, zapo-

<sup>763</sup>prostracja — stan skrajnego wyczerpania nerwowego. [przypis edytorski]

<sup>764</sup>topicum (med., z gr.) — ogólne określenie leku stosowanego miejscowo. [przypis edytorski]

<sup>765</sup>tedy (daw.) — więc, zatem. [przypis edytorski]

<sup>766</sup>fizjonomia (daw.) — twarz. [przypis edytorski]

mniałem o tej zbrodni. Kroki, do których te weksle dały przyczynę, wstrzymano wskutek interwencji pewnego milionera. Myślałem, że je umorzył; widzę, że stało się inaczej!

I Lucjan opowiedział swe nieszczęścia. Skończywszy ten poemat opowiedziany w gorączce, w istocie godny poety, błagał proboszcza, aby się udał do Angoulême i dowiedział się u Ewy, jego siostry, i u matki, pani Chardon, o prawdziwym stanie rzeczy, dla sprawdzenia, czy można jeszcze coś pomóc.

— Aż do twego powrotu, ojcze — rzekł, płacząc gorącymi łzami — zdołam żyć. Jeżeli matka, siostra, Dawid nie odtrąca mnie, nie umrę.

Wymowa paryżanina, lży tej straszliwej skruchy, widok bladego i niemal umierającego z rozpaczy pięknego młodzieńca, opowieść niedoli przekraczających siły ludzkie, wszystko to obudziło zainteresowanie i współczucie proboszcza.

— Na prowincji, jak w Paryżu, drogi panie — odparł — trzeba w połowie tylko wierzyć temu, co ludzie gadają; nie przerażaj się więc pogłoską, która tu, o trzy mile od Angoulême, musi być bardzo niedokładna. Stary Séchard, nasz sąsiad, opuścił Marsac od kilku dni; prawdopodobnie zatem zajmuje się układaniem spraw syna. Spieszę do Angoulême i przybędę oznajmić ci, czy możesz wrócić na łono rodziny, wobec której wyznanie twoje, żal pomogą mi bronić twej sprawy.

Proboszcz nie wiedział, iż od półtora roku Lucjan tyle razy się kajał, że żał jego, mimo całej gwałtowności, nie przedstawiał nic więcej jak tylko scenę doskonale odegraną, i to odegraną z dobrą wiarą! Po proboszczu zjawił się lekarz. Rozpoznając u chorego przesilenie nerwowe, którego niebezpieczeństwo zaczynało mijać, również starał się go pocieszyć; w końcu zdołał wpłynąć na chorego, aby się posilił.

Proboszcz, który znał okolicę i jej obyczaje, podążył do Mansle, gdzie niebawem miał przejeżdżać dylizans z Ruffec do Angoulême; znalazł w nim miejsce. Stary ksiądz umyślił zasięgnąć języka o Dawidzie Séchardzie u wnuka swego, Postela, aptekarza w Houmeau, niegdyś współzawodnika drukarza wobec pięknej Ewy. Widząc troskliwość, z jaką aptekarzyna wysadził staruszka z ohydnej landary, pełniącej wówczas służbę między Ruffec a Angoulême, najmniej przenikliwy widz byłby odgadł, iż oboje państwo Postel hipotekują przyszły dobrobyt na sukcesji po księdzu.

— Wujaszek już po śniadaniu? Nie zjadłby wujaszek czego? Nie spodziewaliśmy się wujaszka oglądać: cóż za miła niespodzianka...

Nastąpiło tysiąc pytań. Pani Postel zdawała się urodzona na żonę aptekarza z Houmeau. Tego samego wzrostu co mały Postel, miała czerwoną twarz wiejskiej dziewczyny; figurę miała pospolitą, a cała uroda polegała na świeżości. Rude włosy, zarastające nisko na czole, wzięcie jej i wysłowienie, zestrojone z tępotą wyciśniętą na okrągłej twarzy o żółtych niemal oczach, wszystko to świadczyło, iż poślubiono ją dla nadziei majątkowych. Toteż już po roku rządziła w domu i, zdaje się, zawładnęła zupełnie Postelem, uszczęśliwionym, iż wyszperała tę przyszlą dziedziczkę. Pani Leonia Postel, z domu Marron, karmiła synka, ukochanie starego proboszcza, lekarza i ojca, ohydneho bębna, podobnego do rodziców.

— I cóż, wuju, co zamierzasz robić w Angoulême — rzekła Leonia — skoro nie chcesz nic jeść i żegnasz się z nami zaraz po przybyciu?

Zaledwie zacny duchowny wymienił Ewę i Dawida, Postel zarumienił się, Leonia zaś rzuciła na małego człowieczka owo spojrzenie obowiązkowej zazdrości o przeszłość, zazdrości, której kobieta, nawet będąc zupełną panią męża, nie zaniedbuje nigdy wyrazić, dla zabezpieczenia się na przyszłość.

— Cóż cię obchodzą ci ludzie, wuju, że zaprzątasz się ich sprawami? — rzekła Leonia z widoczną żółcią.

— Są nieszczęśliwi, moje dziecko — odparł proboszcz; po czym odmalował Postelowi stan, w jakim znalazł Lucjana u młynarzy.

— Ho, w takiej skórze wraca z Paryża? — krzyknął Postel. — Biedny chłopak! Miał głowę, mimo wszystko, i ambicję! Myślał, że świat zdobędzie, a wraca z niczym. Ale czego on tu szuka? Siostra jest w ostatniej nędzy, wszyscy bowiem ci geniusze, Dawid tak samo jak Lucjan, to nie ma żadnego pojęcia o handlu. Sprawa jego była w trybunale; jako sędzia, musiałem podpisać wyrok... Można pojąć, jak mi to było przykro! Nie wiem, czy w obecnych okolicznościach Lucjan będzie mógł pokazać się siostrze; w każdym razie pokoik, który zajmował tutaj, jest wolny, ofiaruję mu go chętnie.

— Dobrze, Postel — rzekł ksiądz, wkładając na głowę swój pierożek<sup>767</sup> i gotując się opuścić sklep, uściśnawszy dziecko, które spało w ramionach Leonii.

— Zostaniesz pewnie u nas na obiedzie, wuju — rzekła pani Postel — nie uwiniesz się tak szybko, jeżeli zechcesz się tknąć interesów tych ludzi. Mąż odwiezie cię kucykiem.

Para małżeńska spoglądała za szacownym stryjecznym dziadkiem, idącym ku Angoulême.

— Doskonale się trzyma jak na swój wiek — rzekł aptekarz.

Podczas gdy czcigodny kapłan wspina się na zbocze Angoulême, nie bez pożytku będzie wytłumaczyć sieć interesów, której miał dotknąć.

Po wyjeździe Lucjana do Paryża Dawid Séchard, ten wół równie wytrwały i inteligentny, jak ów, którego malarze przydają za towarzysza ewangelicie<sup>768</sup>, chciał zrobić szybką i wielką fortunę, jakiej zapragnął nie tyle dla siebie, ile dla Ewy i dla Lucjana. Pragnienie to sięgało owego wieczora nad brzegiem Charenty, kiedy siedzieli z Ewą na barierze, w dniu, gdy oddała mu serce i rękę. Wprowadzić żonę w sferę wykwintu i dostatku, do której była stworzona, podtrzymać silnym ramieniem ambicję szwagra, oto był program, wypisany płomiennymi głoskami przed jego oczyma. Dziennik, polityka, olbrzymi rozwój księgarni, literatury i wiedzy, dążenie do roztrząsania w publicznej dyskusji wszystkich interesów kraju, cały ruch społeczny, który się rozpoczął od czasu umocnienia Restauracji<sup>769</sup>, wszystko to musiało wymagać produkcji papieru niemal dziesięciokrotnej w porównaniu do ilości, na której podstawie sławny Ouvrard<sup>770</sup> na początku rewolucji spekulował, kierowany podobnymi motywami. Ale w roku 1821 papiernie były zbyt liczne we Francji, aby można było mieć nadzieję stania się ich wyłącznym posiadaczem, jak to uczynił Ouvrard, który zagarnął największe fabryki, opanowawszy wprzód ich wytwory. Dawid nie miał zresztą śmiałości ani kapitałów, jakich wymagają podobne spekulacje. W tej chwili zaczynały funkcjonować w Anglii maszyny do wyrabiania papieru nieograniczonej długości. Toteż nie było pilniejszego problemu niż dostosować papiernictwo do potrzeb cywilizacji francuskiej, która groziła rozciągnięciem dyskusji na wszystko i oparciem się na nieustającym wypowiedaniu się myśli indywidualnej — prawdziwa klęska, ludy bowiem, które rozprawiają, działają bardzo słabo. I tak, rzecz osobliwa, gdy Lucjan wchodził w kółka olbrzymiej maszyny dziennikarstwa, z niebezpieczeństwem zostawienia w nich strzępów inteligencji i honoru, Dawid Séchard, w zaciszu swej drukarni, ogarniał rozwój periodycznej prasy w jej materialnych następstwach. Chciał doprowadzić środki do harmonii z rezultatem, do którego zmierzał duch epoki. Poglądy jego, każące mu szukać fortuny w fabrykacji taniego papieru, były tak trafne, iż wypadki usprawiedliwiły jego przewidywania. Podczas tych ostatnich piętnastu lat biuro patentów otrzymało więcej niż sto zgłoszeń w zakresie fabrykacji papieru. Bardziej tedy niż kiedykolwiek przekonany o wadze tego odkrycia, dającego niewielki rozgłos, ale olbrzymie zyski, Dawid po wyjeździe szwagra utonął w wyteżającym zajęciu, jakie ten problem nakładał każdemu, kto go chce rozwiązać. Ponieważ urządzenie domu i podróż Lucjana pochłonęły wszystkie zasoby, Dawid znalazł się od razu po ślubie w najgłębszej nędzy. Zachował tysiąc franków na potrzeby drukarni, a na takąż sumę opiewał weksel będący w rękach aptekarza. Tak więc dla głębokiego myśliciela problem był podwójny: trzeba było wynaleźć tani papier, i to wynaleźć szybko; trzeba było wreszcie dostosować korzyści odkrycia do potrzeb swego domu i swego warsztatu. Jakimż przydomkiem uczcić mózg zdolny strząsnąć okrutne troski, jakie kryje w sobie i konieczność ukrywania nędzy, i widok rodziny bez chleba, i codzienne wymagania zawodu, tak żmudnego jak zawód drukarza, a równocześnie wciąż przebiegać przestrzenie Nieznanego z żarem i upojeniem uczonego, w pościgu za

<sup>767</sup>pierożek — tu: dwurożny kapeluszy w kształcie trójkąta, powszechny w XVIII i XIX w., kojarzony często z Napoleonem Bonaparte. [przypis edytorski]

<sup>768</sup>wół (...) którego malarze przydają za towarzysza ewangelicie — tradycyjnie w sztuce autorzy ewangelii są przedstawiani razem z przypisywanymi im istotami żywymi, które są ich atrybutami i jednocześnie symbolami; symbolem Łukasza Ewangelisty jest wół. [przypis edytorski]

<sup>769</sup>Restauracja — okres w historii Francji wyznaczony datami 1814–1830, od powrotu na tron dynastii Burbonów po upadku Napoleona I do rewolucji lipcowej. [przypis edytorski]

<sup>770</sup>Ouvrard, Gabriel Julien (1770–1846) — wpływowy francuski finansista, syn właściciela fabryki papieru; wzbogacił się głównie dzięki handlowi kolonialnemu i dostawom dla wojska; oskarżony o nieprawidłowości i więziony, był oczyszczany z zarzutów, finansował przedsięwzięcia kolejnych rządów, udzielał im pożyczek i gwarancji. [przypis edytorski]

tajemnicą, która z dnia na dzień umyka się najsubtelniejszym poszukiwaniom? Niestety! Jak się to okaże, wynalazcy muszą znosić inne jeszcze niedole, nie licząc niewdzięczności mas, którym próżniacy i głupcy powiadają o genialnym człowieku: „Był urodzony, aby stać się wynalazcą, nie mógł robić nic innego. Nie więcej należy mu się wdzięczności za jego odkrycie niż innemu za to, że się urodził księciem! Daje upust swoim naturalnym zdolnościom! Znalazł zresztą nagrodę w samej pracy”.

Małżeństwo powoduje w młodej dziewczynie głębokie duchowe i fizyczne zaburzenia; ale wychodząc za mąż w mieszczańskich warunkach średniej klasy, musi ona w dodatku nabywać obcych jej dotąd umiejętności i zapoznawać się z interesami; stąd faza, w której, z konieczności, pozostaje bierną obserwatorką. Miłość Dawida opóźniła, nieszczęściem, wychowanie Ewy; nie śmiał jej wyznać stanu rzeczy ani nazajutrz po ślubie, ani następnym dni. Mimo rozpaczliwego położenia, w jakim stawało go skąpstwo ojca, nie mógł się zdobyć na to, aby zamącić miodowy miesiąc smutnym wtajemniczeniem Ewy w swoje pracowite rzemiosło i naukami potrzebnymi dla żony przemysłowca. Toteż tysiąc franków, jedyne ich mienie, raczej wsiąkło w gospodarstwo niż w drukarnię. Nieopatrzność Dawida i nieświadomość żony trwały cztery miesiące! Obudzenie było straszliwe. W terminie weksłu Postela dom znalazł się bez grosza; Ewa zaś pamiętała na tyle pochodzenie tego długu, aby dla umorzenia go poświęcić i swoje klejnociki ślubne, i srebro. W sam wieczór spłaty obligu Ewa postanowiła rozmówić się z Dawidem w kwestii interesów, zauważyła bowiem, iż mąż zaniedbuje drukarnię dla problemu, o którym mówił jej niedawno. Od drugiego miesiąca małżeństwa Dawid spędzał większą część godzin w przybudówce w głębi dziedzińca, w pokoiku, który mu służył do topienia rulonów. W trzy miesiące po przybyciu do Angoulême wprowadził on, w miejsce poduszczek do czernienia czcionek, naczynie opatrzone stolikiem i cylindrem, w którym przyrządza się i nadaje farbę za pomocą rulonów z kleju i melasy<sup>771</sup>. To pierwsze udoskonalenie typografii było tak niezaprzeczone, iż ujrawszy je, natychmiast bracia Cointetowie wprowadzili je u siebie. Dawid umocował w tej kuchni drukarskiej piec z basenem miedzianym, pod pozorem oszczędzania węgla przy topieniu rulonów, których zardzewiałe formy stały pod murem i których nie przetopił ani dwa razy. Nie tylko zaopatrzył ten pokój w mocne dębowe drzwi, wewnątrz wybite blachą, ale jeszcze zastąpił brudne szybki szkłem żłobkowanym, tak aby nikt z zewnątrz nie mógł śledzić jego zatrudnień. Za pierwszym słowem, jakie rzekła Ewa w kwestii przyszłości, Dawid spojrział niespokojnie na żonę i wstrzymał ją tymi słowy:

— Moje dziecko, rozumiem wszystko, co musi w tobie budzić widok zaniedbanej drukarni i zastój w moich interesach; ale widzisz — ciągnął, prowadząc ją do okna ich pokoju i pokazując tajemne schronienie — przyszłość nasza jest tam... Musimy cierpieć jeszcze kilka miesięcy; ale cierpmy mężnie; pozwól mi rozwiązać problem przemysłowy, który znasz i który położy kres wszystkim utrapieniom.

Dawid był tak dobry, poświęcenie jego budziło taką ufność, iż biedna kobieta, zaprzęgnięta, jak wszystkie kobiety, codziennymi wydatkami, wzięła sobie za zadanie chronić męża od kłopotów gospodarstwa; opuściła tedy ładny biało-niebieski pokoik, w którym, gwarząc z matką, zabawiała się ręczną robótką, i przeniosła się do jednej z dwu drewnianych klatek w drukarni, aby studiować handlową stronę rzemiosła. Czy to nie był heroizm ze strony kobiety już brzemiennej? Podczas tych pierwszych miesięcy robotnicy, dotąd niezbędni, odeszli jeden po drugim, opuszczając nieczynną drukarnię Dawida. Zawaleni robotą, bracia Cointetowie zatrudniali nie tylko robotników miejscowych, znęconych widokami wysokich zarobków, ale ściągali ich z Bordeaux, skąd zwłaszcza przybywali czeladnicy, którzy czuli się na siłach, aby skrócić lata terminu. Rozpatrując się w środkach drukarni, Ewa ujrzała już tylko trzy osoby. Przede wszystkim Cérizet, uczeń, którego Dawid przywiózł sobie z Paryża, jak czynią prawie wszyscy proci<sup>772</sup>. Zwyczaj wśród wielkiej liczby robotników, których ma pod sobą, prot przywiązuje się osobliwie do niektórych; jakoż Dawid zabrał z sobą ucznia do Angoulême, gdzie Cérizet wydoskonalił się jeszcze. Dalej była Maryna, przywiązana do domu jak pies podwórzo-  
wy; wreszcie Kolb, Alzatczyk, niegdyś parobek u Didotów. Powołany do wojska, Kolb

<sup>771</sup>melasa — gęsty, ciemnobrunatny syrop, produkt uboczny przy wyrobie cukru. [przypis edytorski]

<sup>772</sup>prot — człowiek kierujący pracami w zecerni. [przypis edytorski]

znalazł się przypadkiem w Angoulême, gdzie Dawid poznał go na jakiejś rewii, w czasie właśnie, gdy służba jego miała się skończyć. Kolb zaszedł odwiedzić Dawida i zadurzył się w grubej Marynie, odkrywając w niej wszelkie zalety, jakich człowiek z jego klasy szuka w kobiecie: tryskające z policzków zdrowie, siłę godną mężczyzny, która pozwalała Marynie podnosić bez trudności kasztę<sup>773</sup> pełną czcionek, tę ślepą uczciwość, którą tak cenią Alzatzycy, poświęcenie dla chlebobawców będące dowodem zacnego charakteru, oszczędność wreszcie, której zawdzięczała sumkę tysiąca franków, bieliznę, suknie i inne drobne sprzęty, istic prowincjonalnej schludności. Maryna, tęga i zażywna, licząca trzydzieści sześć lat, mile polechtana atencjami<sup>774</sup> kirasjera<sup>775</sup> wysokiego na pięć stóp i siedem cali<sup>776</sup>, dobrze zbudowanego, mocnego jak koń, podsunęła mu oczywiście myśl poświęcenia się drukarstwu. W chwili gdy Alzatzycy otrzymał zwolnienie z armii, Maryna i Dawid wyhodowali zeń już wcale przyzwoitego niedźwiedzia<sup>777</sup>, mimo że nie umiał czytać ani pisać. Składanie robót tak zwanych miastowych nie było w tym kwartale tak obfite, aby Cérizet nie mógł im nastarczyć. Będąc w jednej osobie zecerem, metrapaźem<sup>778</sup> i protem, Cérizet wcielał to, co Kant<sup>779</sup> nazywa trojakością zjawiska: składał, poprawiał swój skład, wpisywał zamówienia i wystawiał rachunki; ale najczęściej, niezatrudniony, czytywał romanse w swej klatce w głębi drukarni, czekając zamówienia jakiegoś afisza lub zawiadomień o ślubie. Maryna, wyrobiona przez starego Séchara, przygotowywała papier, wilżyła go, pomagała Kolbowi drukować, rozciągała, przycinała, co jej nie przeszkadzało krzątać się w kuchni i śpieszyć z koszykiem na targ wczesnym rankiem.

Kiedy Ewa poleciła Cérizetowi, aby przedłożył rachunki z pierwszego półrocza, przekonana się, iż dochód wynosił osiemset franków. Wydatek, licząc po trzy franki na Cérizeta i Kolba, którzy pobierali dziennie jeden dwa franki, a drugi franka, dochodził sześciuset franków. Otóż, ponieważ koszt materiału, jakiego wymagały zamówienia, wynosił sto i coś franków, jasne było dla Ewy, iż podczas pierwszych miesięcy małżeństwa Dawid stracił sumę czynszu, procent od kapitału, jaki przedstawiała wartość inwentarza i koncesji, zasługi Maryny, koszt farby drukarskiej i filcu używanego w drukarstwie, a chroniącego czcionki przy zbyt silnym ucisku prasy, i wreszcie zyski, które powinien mieć ze swego rzemiosła. Obznajomiwszy się z grubsza ze środkami i rezultatami, Ewa odgadła, jak mało widoków przedstawia ten zakład, огоłocony zachłanną energią braci Cointetów, równocześnie fabrykantów papieru, dziennikarzy, uprzywilejowanych drukarzy konsystorza<sup>780</sup>, dostawców miasta i prefektury. Dziennik, który dwa lata przedtem Séchar dowie ojciec i syn sprzedali za dwadzieścia dwa tysiące, przynosił obecnie osiemnaście tysięcy rocznie. Ewa zrozumiała wyrachowanie ukryte pod pozorną wspaniałomyślnością braci Cointetów, którzy zostawiali drukarni Séchara dość roboty, aby mogła istnieć, a nie dość, aby im robiła konkurencję. Ujawszy ster interesów, zaczęła od sporządzenia dokładnego inwentarza. Puściła w ruch Kolba, Marynę i Cérizeta, aby uporządkować pracownię, odczyścić ją i zaprowadzić ład. Następnie, pewnego wieczora, kiedy Dawid wrócił z włóczgi po polach, prowadząc z sobą babę, która niosła ogromny toból owinięty w szmaty, Ewa odbyła z nim naradę co do wyzyskania szczątków, jakie zostawił im ojciec Séchar, przyrzekając zająć się sama prowadzeniem interesów. Za radą męża uporządkowała wedle gatunku i zużyła wszystkie resztki papieru, jakie znalazła, drukując w dwóch kolumnach, na pojedynczych ćwiartkach owe popularne kolorowe legendy, jakie wieśniacy przylepiają na ścianach chaty: historię Żyda Wiecznego Tułacza, Roberta Diabła, Pięknej Magelony, opowiadania o cudach. Ewa zrobiła Kolba kolporterem.

Pieniądz

Interes, Pieniądz

<sup>773</sup>kaszt — element urządzenia drukarni: szuflada podzielona na przegródki zawierające czcionki drukarskie oraz materiał justunkowy, czyli materiał służący do wypełniania odstępów między wyrazami i wierszami. [przypis edytorski]

<sup>774</sup>atencja (daw. z łac.) — względy, poważanie, szacunek. [przypis edytorski]

<sup>775</sup>kirasjer — żołnierz ciężkiej jazdy. [przypis edytorski]

<sup>776</sup>pięć stóp i siedem cali — tj. 170 cm. [przypis edytorski]

<sup>777</sup>niedźwiedź — we fr. żargonie drukarskim: robotnik pracujący przy prasie drukarskiej; por. pierwsza część cyklu, *Dwaj poeci*. [przypis edytorski]

<sup>778</sup>metrapaź (z fr. *mettre en pages*: umieszczać na stronach) — łamacz, pracownik zecerni formujący kolumny druku ze szpalt złożonych przez zecera. [przypis edytorski]

<sup>779</sup>Kant, Immanuel (1724–1804) — niemiecki filozof oświeceniowy, twórca rewolucyjnej doktryny filozofii krytycznej, czołowa postać nowożytnej filozofii. [przypis edytorski]

<sup>780</sup>konsystorz — urząd podległy biskupowi, kancelaria diecezjalna. [przypis edytorski]

Cérizet nie tracił chwili, składał te naiwne stronicie i ich równie proste ozdoby od rana do wieczora. Maryna sama porała<sup>781</sup> się z drukiem. Pani Chardon objęła zajęcia domowe, Ewa bowiem kolorowała ryciny. W dwa miesiące, dzięki sprawności Kolba i jego uczciwości, pani Séchard sprzedawała, na dwanaście mil w okolicy, trzy tysiące ćwiartek, których wyrób kosztował ją trzydzieści franków, a które przyniosły, licząc po dwa su<sup>782</sup> sztuka, trzysta franków. Ale skoro wszystkie chałupy i karczmy przystroili się w te druki, trzeba było pomyśleć o innej specjalizacji, Alzatzczyk bowiem nie mógł się puszczać poza granice departamentu. Ewa, która przetrząsała wszystko w drukarni, znalazła zbiorek rycin do kalendarza tzw. „Pasterskiego”, w którym rzeczy przedstawione są za pomocą znaków, obrazków i rycin w barwach czerwonej, czarnej lub niebieskiej. Stary Séchard, który nie umiał czytać ani pisać, zarobił niegdyś sporo grosza, drukując tę książkę, przeznaczoną również dla niezających owej sztuki. Kalendarz ten, który sprzedaje się po jednym su, składa się z jednego arkusza złożonego 64 razy, co stanowi egzemplarz in 64°, liczący 128 stronic. Uszczęśliwiona powodzeniem swych ulotnych kartek (któremu to przemysłowi oddają się z upodobaniem wszystkie prowincjonalne drukarnie), pani Séchard podjęła „Kalendarz Pasterski” na wielką skalę, poświęcając na to swoje zyski. Papier „Kalendarza Pasterskiego” (wydawnictwo, którego rocznie sprzedaje się we Francji kilka milionów) jest bardzo pospolity i kosztuje około czterech franków za ryzę. Zadrukowana, ryza ta, która zawiera pięćset arkuszy, sprzedaje się, licząc po su za arkusz, w cenie dwudziestu pięciu franków. Pani Séchard postanowiła obrócić sto ryz na pierwszy nakład, co stanowiło pięćdziesiąt tysięcy egzemplarzy z dwoma tysiącami franków domniemanego zysku. Mimo iż zazwyczaj roztargniony, jak człowiek pogrążony w głębokich rachunkach, Dawid zdumiał się, zaglądając do hali, że prasa jęczy bez ustanku, Cérizet zaś, ciągle na nogach, składa coś pod kierunkiem pani Séchard. Dzień, w którym zaszedł do drukarni, aby rzucić okiem na przedsiębiorstwo podjęte przez Ewę, był pięknym dniem triumfu dla młodej pryncypałowej<sup>783</sup>: Dawid uznał interes z kalendarzem za wyśmienity. Drukarz przyrzekł swą pomoc w sporządzaniu różnych farb, koniecznych przy ilustrowaniu tego kalendarza, gdzie wszystko przemawia do oczu. Wreszcie podjął się sam przetopić rulony w swej tajemniczej pracowni, aby — o ile w jego mocy — pomóc żonie w jej wielkim drobnym przedsięwzięciu.

Z początkiem tych wyteżonych zabiegów przybyły rozpaczliwie listy, w których Lucjan zawiadamiał matkę, siostrę i szwagra o swych niepowodzeniach i niedoli paryskiej. Można zrozumieć tedy, iż posyłając temu spieszczonemu dziecku trzysta franków, Ewa, pani Chardon i Dawid ofiarowali pocie po prostu najczystsą swą krew. Przybita tymi nowinami i zrozpaczona, iż zarabia tak mało, pracując tak wytrwale, Ewa nie bez przeżenienia przyjęła wydarzenie, które stanowi zwykle szczyt radości młodego stadła. Czując się przy nadziei zostania matką, pomyślała:

„Jeżeli mój drogi Dawid nie osiągnie celu do chwili mego połogu, cóż się z nami stanie?... I kto poprowadzi rozpoczęte przedsiębiorstwa naszej biednej drukarni?”

„Kalendarz Pasterski” miał być gotowy przed Nowym Rokiem; ale Cérizet, na którym spoczywał cały skład, prowadził rzecz z powolnością tym rozpaczliwszą, ile że pani Séchard nie znała się na tyle na drukarstwie, aby go upominać, i zadowalała się obserwowaniem chłopaka. Sierota, wychowany w domu podrzutków w Paryżu, Cerizet dostał się do firmy Didot jako uczeń. Od czternastego do siedemnastego roku życia był wiernym rabem<sup>784</sup> Sécharda, który go oddał pod kierunek najzdolniejszego robotnika i uczynił zeń swego pupila, swego drukarnianego pazia. Dawid zainteresował się szczerze Cérizetem, widząc jego inteligencję, i zdobył jego przywiązanie, dostarczając mu nieco rozrywek i drobnych przyjemności, których broniło mu ubóstwo. Obdarzony dość miłą pociągłą twarzą, rudymi włosami, niebieskim okiem nieco mętnym, Cérizet wniósł w angulemski zaścianek obyczaj paryskiego wygi. Żywy i cięty jego umysł oraz wrodzona złośliwość czyniły go niebezpiecznym. Mniej dozorowany w Angoulême przez Dawida, czy to że wiek jego wzbudzał w mentorze więcej zaufania, czy że drukarz liczył na wpływy prowincji, Cérizet

<sup>781</sup>porać się — zмагаć się, walczyć; por. uporać się. [przypis edytorski]

<sup>782</sup>su, właśc. sous (fr.) — w XIX w. pot. nazwa monety o wartości 5 centymów, tj. 1/20 franka. [przypis edytorski]

<sup>783</sup>pryncypałowa (daw.) — żona pryncypała, tj. szefa, pracodawcy. [przypis edytorski]

<sup>784</sup>rab (daw.) — niewolnik, sługa. [przypis edytorski]



stał się bez wiedzy opiekuna beniaminkiem<sup>785</sup> kilku robotnic i zdeprawował się zupełnie. Moralność jego, urobiona w szynkowniach paryskich, widziała w interesie osobistym jedyne prawo. Zresztą Cérizet, który, wedle popularnego wyrażenia, miał „stawać” do wojska na przyszły rok, nie widział przed sobą przyszłości; robił długi w tej myśli, iż za pół roku zostanie żołnierzem i że wówczas wierzyciele nie będą mogli gonić za nim. Dawid zachował pewną powagę w oczach chłopca, nie jako chlebobdawca, nie dlatego, że go wychował, ale dlatego że eksulicznik paryski uznawał w Dawidzie wysoką inteligencję. Cérizet zważał się niebawem z robotnikami Cointetów, pociągnięty ku nim powinowactwem robotniczej bluzy, duchem zawodowego braterstwa, silniejszym może w ostatnich niżeli w wyższych klasach. W obcowaniu tym Cérizet zatracił tych niewiele dobrych zasad, jakie mu wszczepił Dawid. Mimo to, kiedy podrzywano sobie z jego „magli”, którym to pogardliwym terminem chrzcili niedźwiedzie stare prasy Sécharda, pokazując mu dwanaście wspaniałych żelaznych pras, które funkcjonowały w olbrzymiej hali Cointetów, gdzie jedyna istniejąca prasa drewniana służyła do odbijania korekt, prot brał jeszcze stronę Dawida i rzucił z dumą kpiarzom te słowa:

— Przy swoich maglach mój stary zajdzie dalej niż wasi ze swoimi cackami z żelaza, spod których się sypią same książki do modlenia! On szuka tajemnicy, która zapędzi w kozi róg wszystkie drukarnie Francji i Nawarry!

— Nim to nastąpi, mizerny dwufrankowy procino, masz za pryncypała być praczkę! — odpowiadali mu.

— Phi! Ładna jest — odpierał Cérizet — przyjemniejsza do patrzenia niż mordy waszych pryncypałów.

— Bardzo się nakarmisz oglądaniem buzi pani pryncypałowej!...

Z atmosfery szynku lub z bramy drukarni, gdzie te przyjacielskie sprzeczki miały miejsce, doszły do braci Cointetów pogłoski o położeniu Sécharda; dowiedzieli się o wydawnictwie podjętym przez Ewę i uważali za potrzebne osadzić w miejscu przedsięwzięcie, które mogło naprowadzić biedną kobietę na drogę pomyślności.

— Trzeba ją trochę trzepnąć po palcach, aby jej obrzydzić handel — powiedzieli sobie bracia.

Ów z braci Cointetów, który prowadził drukarnię, spotkał Cérizeta i ofiarował mu czytanie korekt dla ich firmy po tyle a tyle od arkusza, aby ulżyć ich korektorowi, który nie mógł sobie dać rady z nawalem pracy. Pracując kilka godzin w nocy, Cérizet zarobił więcej u Cointetów niż u Dawida przez dzień. Wynikło z tego pewne zbliżenie między Cérizetem a Cointetami, którzy uznali w chłopcu wielkie zdolności i wyrazili ubolewanie, iż znajduje się w położeniu tak mało dającym widoków.

— Mógłbyś — rzekł mu raz jeden z Cointetów — zostać protem w poważnej drukarni, gdzie zarabiałbyś sześć franków dziennie. Ze swoją inteligencją doszedłbyś z pewnością do tego, iż zyskałbyś udział w interesie.

— Na cóż mi się zda, że jestem dobrym protem? — odparł Cérizet. — Jestem sierotą, staję na przyszły rok do wojska i jeżeli wyciągnę los, któż mi opłaci zastępcę?

— Jeżeli potrafisz stać się pożytecznym — odparł bogaty drukarz — czemu nie miałby ktoś zaliczyć potrzebnej sumy, aby cię zwolnić?

— Z pewnością nie mój stary! — rzekł Cérizet.

— Ba, znajdzie może sekret, którego szuka...

Zdanie to powiedziane było w sposób zdolny obudzić najgorsze myśli w tym, kto je usłyszał; toteż Cérizet rzucił fabrykantowi papieru spojrzenie równające się najprzenikliwszemu pytaniu.

— Nie wiem, nad czym on się tam biedzi — odparł ostrożnie, widząc, iż stary milczy — tyle jest pewne, że szuka kapitałów nie w kaszcie drukarskiej.

— Słuchaj, przyjacielu — rzekł drukarz, biorąc sześć arkuszy „Parafianina” i podając Cérizetowi — jeżeli zdążyż to skorygować do jutra, zgarniesz osiemnaście franków. My nie jesteśmy źli ludzie, dajemy zarobić protowi własnego konkurenta! Ot, tak samo moglibyśmy pozwolić pani Séchard puścić się na interes z „Kalendarzem Pasterskim” i zrujnować ją; otóż pozwalamy ci jej powiedzieć, że myśmy się wzięli do wydania „Ka-

<sup>785</sup>beniaminek — ulubione, najmłodsze dziecko; ulubieniec. [przypis edytorski]

lendarza Pasterskiego”, i zwrócić jej uwagę, że nie zdąży przed nami na targ ze swoim towarem...

Można zrozumieć teraz, czemu Cérizet tak wolno się posuwał ze składaniem kalendarza.

Na wiadomość, że Cointetowie umyślili podciąć jej biedną spekulacyjkę, na Ewę padł postrach; chciała widzieć dowód przywiązania w zwierzeniu, jakiego Cérizet udzielił jej dość obłudnie, zapowiadając groźną konkurencję; ale niebawem spostrzegła u swego jedyne go zecera oznaki ciekawości zbyt żywej, aby ją można było przypisać wyłącznie jego wiekowi.

— Cérizet — rzekła doń pewnego dnia — stajesz w progę i czekasz na pana Séchar-  
da, gdy idzie na górę, aby zobaczyć, co ukrywa; kiedy wychodzi z pracowni, aby przetapiać  
rulony, zaglądasz w dziedziniec, zamiast kończyć składanie kalendarza. Wszystko to nie  
jest ładnie, zwłaszcza gdy widzisz, że ja, żona, szanuję jego tajemnice i zadaję sobie tyle  
trudu na to, aby mu zostawić swobodę w jego pracy. Gdybyś nie zmarnował tyle cza-  
su, kalendarz byłby skończony, Kolb mógłby go już sprzedawać i bracia Cointetowie nie  
zrobiliby nam wielkiej krzywdy.

— Ech, proszę pani, przy dwóch frankach, które zarabiam tutaj, czy pani myśli, że to  
nie dość, jeśli naskładam za pięć franków dziennie? Toć gdybym nie miał wieczór korekty  
dla braci Cointetów, mógłbym się ślicznie żywić otrębami.

— Wcześniej zaczynasz być niewdzięczny, zajdziesz daleko — odparła Ewa, ugodzona  
w serce nie tyle wymówką Cérizeta, ile zuchwalstwem jego tonu, postawą pełną pogroźek  
i napastliwym spojrzeniem.

— Ale z pewnością nie z babą za pryncypała, wówczas bowiem miesiąc rzadko ma  
trzydzieści dni.

Dotknięta w godności kobiety, Ewa obrzuciła Cérizeta piorunującym spojrzeniem  
i wróciła do siebie. Kiedy Dawid zszedł na obiad, rzekła:

— Czy ty jesteś pewny, mój drogi, tego urwisa Cérizeta?

— Cérizeta? — odparł. — Ech, toć to mój pupił, ja go uczyłem, był moim chłopcem  
do pomocy. Ja go postawiłem przy kaszcie, słowem, zawdzięcza mi wszystko, czym jest!  
To tak jakbyś spytała ojca, czy jest pewny swego dziecka.

Ewa powiedziała wówczas mężowi, że Cérizet robi korektę dla braci Cointetów.

— Biedny chłopiec! Musi przecieżyć żyć — odparł Dawid z pokorą chlebobawcy, który  
poczuwa się do winy.

— Zapewne; ale, mój drogi, oto różnica między Kolbem a Cérizetem: Kolb robi po  
dwadzieścia mil dzień w dzień, wydaje piętnaście lub dwadzieścia su, odnosi nam siedem,  
osiem, czasem dziewięć franków za sprzedane druki i żąda jedynie franka, po pokryciu  
wydatków. Kolb raczej dałby sobie rękę uciąć, niżby dotknął sztangi u prasy Cointetów,  
i nie spojrzalby na coś, co byś ty wyrzucił na podwórze, choćby mu kto dawał tysiąc  
talarów<sup>786</sup>, gdy Cérizet wszystko zbiera i przegląda.

Piękne dusze z trudnością godzą się uwierzyć w zło, w niewdzięczność, trzeba im  
twardych lekcji, nim poznają rozciągłość ludzkiego zepsucia; następnie zaś, skoro otworzą  
się im oczy, wznoszą się do pobłażliwości, która jest ostatnim szczeblem wzgardy.

— Ba! Typowa ciekawość paryskiego urwisa — rzekł Dawid.

— Zatem, mój drogi, bądź tak uprzejmy zejść do pracowni, przyjrzeć się temu, co  
twój urwis złożył od miesiąca, i powiedzieć mi, czy przez ten miesiąc nie powinien był  
złożyć kalendarza...

Po obiedzie Dawid uznał, iż kalendarz mógł być złożony w ciągu tygodnia; następ-  
nie, dowiedziawszy się, że bracia Cointetowie gotują podobny, pośpieszył na pomoc żo-  
nie: kazał przerwać Kolbowi sprzedaż obrazków i zarządził wszystko w drukarni; sam  
puścił w ruch formę, za pomocą której Kolb odbijał z Maryną, gdy on sam odbijał drugą  
z Cérizetem, nadzorując druk w rozmaitych kolorach. Każdy kolor wymaga oddzielne-  
go tłoczenia. Cztery odmienne farby wymagają czterokrotnego brania na prasę. W ten  
sposób drukowany, „Kalendarz Pasterski” przedstawia nakład tak kosztowny, że podej-  
mować go mogą jedynie prowincjonalne drukarnie, gdzie cena pracy ręcznej i procent  
od uwięzionego kapitału są prawie żadne. Produkt ten, mimo że tak pospolity, jest tedy

Interes

<sup>786</sup>talar — w oryginale: *écu*, w XIX w. potoczna nazwa srebrnej monety pięciofrankowej. [przypis edytorski]

niedostępny drukarniom, z których wychodzą piękne dzieła. Pierwszy raz od usunięcia się starego Sécharda słyszano dwie prasy na raz toczące się w starej pracowni. Mimo iż kalendarz był w swoim rodzaju arcydziełem, Ewa musiała sprzedawać go po dwa liardy<sup>787</sup>, bracia Cointetowie bowiem dawali domokrażcom swój po trzy centymy<sup>788</sup>: na kolportażu odbiła tylko koszty, zarabiała na sprzedaży wprost przez Kolba; niemniej cała spekulacja zawiodła. Widząc, iż stał się przedmiotem nieufności pięknej pryncypałowej, Cérizet zbył się wewnętrznie wszystkich skrupułów i powiedział sobie „Podejrzewasz mnie, potrafisz się zemścić!” Taka jest natura paryskiego urwisa. Cérizet przyjął tedy od braci Cointetów nieproporcjonalnie wysokie wynagrodzenie za korekty, po które zachodził wieczór, a odnosił je rano. Wdając się z nimi w coraz poufniejsze rozmowy, zadomowił się tam, zaczął się wreszcie kołysać nadzieją zwolnienia od służby wojskowej, które mu ukazywano jako przynętę; nie tylko bracia Cointetowie nie potrzebowali go przekupywać, ale sami usłyszeli z jego ust pierwsze słowa dotyczące szpiegowania i wyzyskania tajemnicy, które szukał Dawid.

Widząc, jak mało może liczyć na Cérizeta, a w niemożności znalezienia drugiego Kolba, Ewa, zaniepokojona, postanowiła oddalić jedyne zecera, w którym jasnowidzenie kochającej kobiety kazało się jej domyślać zdrajcy; ale ponieważ byłaby to śmierć drukarni, powzięła iście męskie postanowienie: poprosiła listownie pana Métiviera, korespondenta Dawida Sécharda, Cointetów i prawie wszystkich fabrykantów papieru w departamencie, aby ogłosił w „Dzienniku Księgarskim” w Paryżu następujący anons:

Do odstąpienia drukarnia w pełnym ruchu, wraz z materiałem i koncesją, w Angoulême. Bliższych szczegółów udzieli p. Métivier, ul. Serpente.

Przeczytawszy numer, w którym znajdowało się to ogłoszenie, bracia Cointetowie rzekli sobie:

— Ta kobietka ma głowę; najwyższy czas, abyśmy się stali panami drukarni, dając Séchardom z czego żyć; inaczej moglibyśmy znaleźć przeciwnika w następcy Dawida; w naszym zaś interesie jest, abyśmy zawsze mieli w tej fabryczce oko i ucho.

Pod wpływem tej myśli bracia Cointetowie wybrali na rozmowę z Dawidem. Ewa, do której zwrócili się bracia, uczuła żywą radość, widząc rychły skutek swego podstępu, nie ukrywali bowiem zamiaru proponowania panu Séchardowi, aby zechciał przyjmować roboty na ich rachunek; są przeciążeni, prasy nie mogą nastarczyć zamówieniom, zażądali robotników z Bordeaux i czują się na siłach zatrudnić trzy prasy Dawida.

— Proszę panów — odparła Ewa, gdy Cérizet poszedł uprzedzić Dawida o wizycie — mąż mój znał u panów Didotów znakomitych pracowników, uczciwych i dzielnych, wybierze sobie z pewnością następcę spośród najlepszych... Czyż nie korzystniej sprzedać zakład za jakie dwadzieścia tysięcy, które dadzą nam tysiąc franków renty<sup>789</sup>, niż stracić tysiąc franków rocznie na skutek postępowania panów? Czyż się godziło wydierać nam drobny zysk z naszego kalendarza, który był zresztą odwieczną własnością tej drukarni?

— Ależ pani, czemu państwo nas nie uprzedzili? Nie bylibyśmy wchodzili w szkodę — rzekł uprzejmie ów z braci, którego nazywano Wielkim Cointetem.

— Ech, dajmy pokój, moi panowie! Wzięliście się do kalendarza dopiero wówczas, kiedyście się dowiedzieli od Cérizeta o moim projekcie.

Wymawiając żywo te słowa, spojrzała bystro na Wielkiego Cointeta, który mimo woli spuścił oczy. W ten sposób Ewa zyskała pewność zdrady Cérizeta.

Ów Cointet, dyrektor papierni i całego przedsiębiorstwa, był o wiele lepszą głową niż brat jego Jan, który zresztą prowadził drukarnię z wielkim sprytem, ale którego zdolności można było porównać z uzdolnieniem pułkownika, gdy Bonifacy był generałem, dzierżącym w dłoni — za zgodą Jana — naczelne dowództwo. Bonifacy, chudy i suchy, o twarzy żółtej jak świeca i pocętkowanej czerwonymi plamami, z zaciśniętymi ustami

<sup>787</sup>liard — drobna miedziana moneta francuska. Wprowadzona w 1654, stanowiła najdrobniejszy nominal w czasach królestwa, była emitowana do 1792, istniejące monety jedno- i dwuliardowe wycofano z obiegu w 1856. Jeden liard miał wartość 1/4 sou, zaś wprowadzony w czasach Republiki centym był wart 1/5 sou; dwa liardy to 2,5 centyma. [przypis edytorski]

<sup>788</sup>centym — drobna moneta francuska o wartości 1/100 franka. [przypis edytorski]

<sup>789</sup>renta — tu: dochód z kapitału ulokowanego w banku, w obligacjach, na giełdzie itp.; por. *rentier*. [przypis edytorski]

i oczyma kota, nie unosił się nigdy; słuchał z nabożnym spokojem najgrubszych obelg i odpowiadał łagodnie. Chodził na mszę, do spowiedzi i komunikował<sup>790</sup>. Pod obleśnymi pozorami, pod zewnętrzną miękkością ukrywał on iście księżą ambicję i wytrwałość oraz chciwość kupca pożeranego pragnieniem bogactw i zaszczytów. Od roku 1820 Wielki Cointet pragnął tego, co całe mieszczaństwo uzyskało wreszcie z rewolucją roku 1830<sup>791</sup>. Pełen nienawiści do arystokracji, obojętny w rzeczach religii, był on dewotem, jak Bonaparte był montagnardem<sup>792</sup>. Kark jego giął się ze zdumiewającą elastycznością wobec szlachty i władz, dla których robił się mały, pokorny, ustępliwy. Wreszcie — aby odmalować tego człowieka rysem, którego znaczenie potrafią ocenić ludzie żyjący w świecie interesów — nosił niebieskie szkła, którymi zasłaniał oczy pod pozorem ochrony przed blaskiem w mieście, gdzie grunt i budowle są białe i gdzie położenie samo wzmaga nasilenie światła. Mimo iż wzrostu niewiele ponad średni, wydawał się duży z przyczyny swej chudości, która ujawniała przywalony pracą temperament, myśl w nieustającej fermentacji. Jezuicką<sup>793</sup> fizjonomię uzupełniały uczesane płasko włosy, szpakowate, długie, ucięte na sposób księży, oraz strój, który od siedmiu lat składał się z czarnych pantalonów<sup>794</sup>, czarnych pończoch, czarnej kamizelki i orzechowej lewitki (tak w tych stronach zowią surdut). Nazywano go Wielkim Cointetem dla odróżnienia od brata, którego zwano Grubym Cointetem, wyrażając w ten sposób przeciwieństwo zarówno we wzroście, jak w zdolnościach dwóch braci, jednakowoż zresztą niebezpiecznych. W istocie, Jan Cointet, poczciwy grubas o flamandzkiej twarzy<sup>795</sup>, ściemnionej angulemskim słońcem, mały i krótki, brzuchaty jak Sanczo<sup>796</sup>, z uśmiechem na ustach, barczysty, przedstawiał uderzający kontrast z bratem. Jan różnił się od brata nie tylko fizjonomią i inteligencją; wyznawał zasady prawie liberalne, reprezentował lewe centrum, chodził na mszę tylko w niedzielę i znakomicie się porozumiewał z kupcami przekonań liberalnych. Niektórzy handlowcy z Houmeau utrzymywali, że ta rozbieżność przekonań była grą ułożoną między braćmi. Wielki Cointet zrećcznie wyzyskiwał pozorną rubasznosc brata, posługiwał się Janem jak maczugą. Jan brał na siebie twarde słowa, egzekucje, przed którymi wzdragała się łagodność Bonifacego. Jan miał wydział gniewów, unosił się, wyrzucał z siebie propozycje nie do przyjęcia, dzięki którym poprawki brata wydawały się tym umiarkowańsze; w ten sposób, wcześniej czy później, zawsze dochodzili do celu.

Ewa, z przenikliwością właściwą kobietom, rychło odgadła charaktery braci, toteż wobec tak niebezpiecznych przeciwników miała się na ostrożności. Dawid, uprzedzony już przez żonę, słuchał z roztargnioną miną propozycji wrogów.

— Porozumcie się, panowie, z żoną — rzekł, opuszczając gabinet, aby wrócić do małego laboratorium — lepiej zna drukarnię ode mnie samego. Ja zajmuję się sprawą, która będzie zyskowniejsza niż ten mizerny zakład i przy pomocy której powetuję sobie to, co stracę na panach...

— Jakże to? — rzekł Gruby Cointet ze śmiechem.

Ewa spojrzała na męża, aby mu zalecić ostrożność.

— Będziecie mymi podatnikami, wy i wszyscy konsumenci papieru — odparł Dawid.

— Nad czym pan tedy pracuje? — spytał Benedykt Bonifacy Cointet.

Skoro Bonifacy słodkim i obleśnym tonem rzucił to pytanie, Ewa znów spojrzała na męża, upominając, aby nie odpowiadał lub też zbył ich byle czym.

— Szukam fabrykacji papieru o pięćdziesiąt procent tańszego od ceny dzisiejszej...

<sup>790</sup>komunikować — tu: przyjmować komunie. [przypis edytorski]

<sup>791</sup>rewolucja lipcowa (1830) — kilkudniowe powstanie we Francji, w wyniku którego obalony został Karol X Bourbon, usiłujący przywrócić absolutyzm, a na tron powołano Ludwika Filipa I. [przypis edytorski]

<sup>792</sup>montagnardzi (z fr.: górale) a. Góra (fr. *La Montagne*) — pot. francuskie określenie jakobinów, najbardziej radykalnej grupy politycznej okresu rewolucji, pochodzące stąd, że na sali obrad Zgromadzenia Narodowego zajmowali górne ławki. [przypis edytorski]

<sup>793</sup>jezuicki — właściwy jezuitom, taki jak u nich; *jezuici*: męski zakon katolicki, istniejący, aby bronić Kościoła katolickiego przed reformacją; jezuitom przypisywano zakłamanie, przewrotność i bezwzględność, stosowanie zasady, że cel uświęca środki. [przypis edytorski]

<sup>794</sup>pantalony (z fr., daw.) — dziś: spodnie. [przypis edytorski]

<sup>795</sup>flamandzka twarz — okrągła, pełna twarz, jaką często przedstawiali malarze flamandzcy. [przypis edytorski]

<sup>796</sup>Sancho Pansa — postać z *Don Kichota* Cervantesa, otyły, prostoduszny i przyziemny giermek głównego bohatera. [przypis edytorski]

I odszedł, nie zauważwszy spojrzenia, które wymienili bracia, jak gdyby mówiąc: „Ten człowiek musi być wynalazcą: nie można mieć takiego karku i siedzieć beczynnio! — Wyzyskajmy go! — mówił Bonifacy. — Ale jak?” — mówił Jan.

— Dawid postępuje z panami jak ze mną — rzekła pani Séchard. — Obawia się widać mego imienia i kiedy się robię zanadto ciekawa, rzuca mi ten frazes, który, ostatecznie, jest tylko programem.

— Jeżeli mąż pani zdoła urzeczywistnić ten program, dojdzie do fortuny z pewnością szybciej niż drukarstwem. Nie dziwię się już teraz, że tak zaniedbuje zakład — odparł Bonifacy, spoglądając ku opuszczonej pracowni, gdzie Kolb, siedząc na tarcicy, nacierał kromkę chleba czosnkiem. — Bądź co bądź, nie byłoby nam zbyt na rękę widzieć tę drukarnię w ręku czynnego, ruchliwego, ambitnego konkurenta; może tedy porozumielibyśmy się z sobą. Jeżeli, na przykład, zgodzilibyście się państwo wynająć za pewną sumę inwentarz jednemu z naszych ludzi, który pracowałby dla nas pod waszą firmą, jak się to praktykuje w Paryżu, dalibyśmy temu chłopcu dosyć roboty, aby mógł państwu płacić bardzo dobry czynsz i samemu odkładać nieco...

— To zależy od sumy — odparła Ewa. — Ile ofiarujecie panowie? — rzekła, patrząc na Bonifacego w sposób mający świadczyć, że rozumie doskonale jego plan.

— A żądania państwa? — odparł żywo Jan Cointet.

— Trzy tysiące franków półrocznie — rzekła.

— Ech, droga pani, wszak mówiła pani o sprzedaży drukarni za dwadzieścia tysięcy — odparł słodziutko Bonifacy.

— Procent od dwudziestu tysięcy wynosi tylko tysiąc dwieście, licząc po sześć od sta<sup>797</sup>.

Ewa umilkła na chwilę, zakłopotana: oceniła całą wagę dyskrecji w interesach.

— Będzicie się panowie posługiwali naszymi prasami, czcionkami, którymi, jak tego dowiodłam, umiem jeszcze zarobić to i owo — odparła. — Przy tym mamy ciężary: musimy płacić czynsz panu Séchardowi, ojcu Dawida, który nie obsypuje nas podarkami...

Po dwugodzinnej walce Ewa uzyskała dwa tysiące za pół roku, z których tysiąc z góry. Skoro wszystko umówiono, bracia oznajmili, że zamiarem ich jest wynająć inwentarz Cérizetowi. Ewa nie mogła wstrzymać gestu zdumienia.

— Czy nie lepiej wziąć człowieka, który jest obznajmiony z zakładem? — rzekł Gruby Cointet.

Ewa skinęła głową bez odpowiedzi i postanowiła sobie sama czuwać nad Cérizetem.

— A zatem, nieprzyjaciele w fortocy! — rzekł, śmiejąc się, Dawid, kiedy przy obiedzie żona przedstawiła mu akt do podpisu.

— Ba — odparła — ręczę za przywiązanie Kolba i Maryny; tych dwoje potrafi upilnować wszystkiego. Zresztą wycisnęliśmy cztery tysiące renty z ruchomości, do których musieliśmy dokładać; masz przed sobą rok czasu dla zrealizowania swoich nadziei!

— Stworzona byłaś, jak mi to powiedziałaś tam nad rzeką, na żonę wynalazcy! — rzekł Séchard, ściskając czule rękę Ewy.

O ile Dawid posiadał sumę potrzebną, aby przeżyć zimę, o tyle w zamian znalazł się pod nadzorem Cérizeta i nie wiedząc o tym, w zależności od fabrykanta papieru.

— Mamy ich! — rzekł, wychodząc, dyrektor papierni do brata-drukarza. — Nieboracy przyzwyczajają się pobierać swój czynsz za drukarnię, będą na to liczyli, zadłużą się. Za pół roku nie odnowimy najmu, zobaczymy wówczas, co ten geniusz ma w brzuchu; ofiarujemy się wydobyć go z kłopotu, tworząc spółkę do eksploataowania wynalazku.

Gdyby jaki szczywany kupiec mógł widzieć minę Cointeta, kiedy wymawiał słowa: tworząc spółkę, zrozumiałby, że małżeństwo mniej bywa niebezpieczne w merostwie<sup>798</sup> niż w trybunale handlowym. Czyż to nie było już nadto, że ci zajadli łowcy byli na tropie zwierzyny? Czyż Dawid i jego żona, nawet wspomagani przez Kolba i Marynę, byli w stanie obronić się sztuczkom takiego Bonifacego Cointeta?

Kiedy nadszedł połóg pani Séchard, pięćset franków przysłane przez Lucjana, połączone z drugą płatnością Cérizeta, pozwoliły nastarczyć wszystkim wydatkom. Ewa,

<sup>797</sup>od sta (daw.) — od stu (sta: daw. D. słowa „sto”, odmienianego jak rzeczownik); dziś: procent. [przypis edytorski]

<sup>798</sup>merostwo — we Francji: siedziba mera, odpowiednika wójta, burmistrza lub prezydenta miasta. [przypis edytorski]

matka jej i Dawid, którzy sądzili już, iż Lucjan o nich zapomniał, doświadczyli wówczas radości równej tej, jaką im sprawiły pierwsze triumfy poety, którego początki w dziennikarstwie więcej jeszcze narobiły hałasu w Angoulême niż w Paryżu.

Uśpiony zwodnym bezpieczeństwem, Dawid zachwiał się na nogach, otrzymując od szwagra tę okrutną wiadomość:

List, Kłamstwo

Drogi Dawidzie, zrealizowałem u Métiviera trzy weksle podpisane przez Ciebie, wystawione na moje zlecenie, na jeden, dwa i trzy miesiące od daty. Między tą negocjacją a samobójstwem wybrałem tę straszną deskę ratunku, która z pewnością przyczyni Ci wiele kłopotu. Wytlumaczę Ci, w jakiej ostateczności się znajduję; będę się zresztą starał przesłać Ci w terminach potrzebne kwoty.

Spal mój list, nie mówiąc nic ani siostrze, ani matce, wyznając bowiem, iż liczyłem na Twój heroizm, dobrze znany Twemu zrozpaczonemu bratu

*Lucjanowi de Rubempré*

— Twój biedny brat — rzekł Dawid do żony, która podnosiła się wówczas z połogu — jest w straszliwych opalach, posłałem mu trzy weksle po tysiąc franków, na jeden, dwa i trzy miesiące; zaciągnij je do księżek.

Następnie wyszedł w pole, aby uniknąć wyjaśnień. Ale omawiając z matką to brzemienne nieszczęściami odezwanie Dawida, Ewa, już bardzo zaniepokojona półrocznym milczeniem brata, powzięła tak złe przecucia, iż aby je rozproszyć, zdobyła się na heroiczny krok. Eugeniusz de Rastignac przybył właśnie spędzić kilka dni na łonie rodziny; otóż młody elegant wyrażał się o Lucjanie dość dwuznacznie, a te paryskie nowiny, komentowane przez wszystkie usta, doszły także do siostry i matki poety. Ewa udała się do pani de Rastignac, uprosiła o rozmowę z jej synem, któremu zwierzyła wszystkie swe obawy, prosząc o całą prawdę. Biedna Ewa dowiedziała się o stosunku Lucjana z Koralią, o pojedynku z Michałem Chrestienem, spowodowanym zdradą wobec d'Artheza, poznała wreszcie wszystkie okoliczności życia Lucjana, jadowicie ubarwione przez sprytnego dandysa<sup>799</sup>, który umiał nadać swej zawiści i nienawiści pozory współczucia, przyjacielską formę niepokoju ziomka o przyszłość wielkiego człowieka, wreszcie barwę szczerego uwielbienia dla jego talentu. Rozwiódł się nad błędami Lucjana, które pozbawiły go poparcia najwyższych osobistości, jak również unicestwiły dekret wracający mu nazwisko i herby rodziny de Rubempré.

— Gdyby brat pani miał życzliwego doradcę, byłby dziś na drodze do zaszczytów, byłby mężem pani de Bargeton; ale cóż pani chce, opuścił ją, znieważył. Została hrabiną Sykstusową du Châtelet, ku wielkiemu swemu żalowi, kochała bowiem Lucjana.

— Czy podobna?... — wykrzyknęła pani Séchard.

— Pani brat to orlątko, oślepięte pierwszymi promieniami zbytku i sławy. Kiedy orzeł spada, któż zgłębi dno przepaści, które go zatrzyma? Upadek wielkiego człowieka mierzy się zawsze wysokością lotu.

Ewa wróciła przerażona tym zdaniem, które przeszło jej serce jak strzała. Zraniona w najtkliwsze punkty duszy, zachowała w domu głębokie milczenie; ale niejedna łza spłynęła na lica i czoło dziecięcia, które karmiła. Tak trudno jest rozstać się ze słodkimi złudzeniami siostrzanej miłości, iż Ewa nie wierzyła jeszcze Eugeniuszowi de Rastignac; chciała usłyszeć głos prawdziwego przyjaciela. Napisała zatem wzruszający list do d'Artheza, którego adres dał jej w swoim czasie Lucjan, w epoce entuzjazmu dla Biesiady. Oto odpowiedź, jaką otrzymała:

List

Pani!

Pyta Pani, jakie naprawdę życie wie dzie Lucjan w Paryżu, pragnie Pani zdać sobie sprawę z jego przyszłości; aby mnie zachęcić do szczerzej odpowiedzi, donosi mi Pani, co Jej powiedział w tej mierze pan de Rastignac, pytając, czy powyższe fakty są prawdziwe. O ile mnie tyczy, trzeba sprostować, na korzyść Lucjana, objaśnienia pana de Rastignac. Lucjan uczuł wyrzuty,

<sup>799</sup>dandys — mężczyzna przesadnie zwracający uwagę na strój i formy towarzyskie. [przypis edytorski]

przyszedł pokazać mi krytykę mojej książki, powiadając, że mimo niebezpieczeństw, jakie odmowa rozkazom jego partii ściąga na bardzo mu drogą osobę, nie może się zdobyć na to, aby ogłosić ten artykuł. Niestety, Pani, zadaniem pisarza jest rozumieć namiętności, skoro czerpie w tym chlubę, aby je wyrażać; zrozumiałem tedy, iż w konflikcie uczuć między kochanką a przyjacielem przyjaciel musi paść ofiarą. Ułatwiłem bratu Pani jego zbrodnię, sam poprawiłem morderczy artykuł i dałem mu zupełnie wolną rękę. Pyta Pani, czy Lucjan zachował mój szacunek i przyjaźń. Tu odpowiedź jest trudniejsza. Chłopiec ten jest na drodze do zguby. W tej chwili żałuję go jeszcze; niebawem rad będę o nim zapomnieć, nie tyle dla tego, co dotąd popełnił, ile dla tego, co popełni jeszcze. Lucjan to poetyczna głowa, ale nie poeta; marzy, a nie myśli; miota się, ale nie tworzy. Jest to, niech mi Pani pozwoli powiedzieć, kobieciątko, które lubi błyszczeć: kardynalna wada Francuzów. To człowiek, który zawsze poświęci najlepszemu przyjacielowi dla przyjemności olśnienia dowcipem. Podpisałby jutro pakt z samym diabłem, gdyby ten pakt zapewnił mu na kilka lat świetne i zbyt krótkie życie. Czyż nie uczynił już gorzej, przeżyłszy swą przyszłość za przelotne rozkosze publicznego życia z aktorką? W tej chwili młodość, piękność, poświęcenie tej kobiety — bo Koralia go ubóstwia — przesłaniają mu grozę sytuacji, której ani sława, ani powodzenie, ani majątek nie są zdolne usprawiedliwić w oczach świata. Otóż za każdą nową pokusą Lucjan będzie widział, tak jak dziś, jedynie rozkosz chwili. Niech Pani będzie spokojna; nigdy nie posunie się do zbrodni, nie miałby siły po temu; ale przyjąłby zbrodnię już gotową, podzieliłby się zyskiem, nie dzieląc niebezpieczeństw: rzecz ohydna w oczach wszystkich, nawet w oczach zbrodniarzy. Będzie pogardzał samym sobą, będzie się kajał; ale w razie ponownej potrzeby rozpocząłby na nowo; brak mu woli, jest bez sił przeciw rozkoszy, przeciw zadowoleniu swych najmniejszych ambicji. Leniwy jak wszyscy ludzie bawiący się poezją, mniema, iż dowodzi wielkiego sprytu, umykając się trudnościom, zamiast je zwyciężać. Zdobędzie się na odwagę w pewnej chwili, ale w innej znowu stchórzy. I tak samo nie trzeba cenić jego odwagi, jak wyrzucać mu tchórzostwa; Lucjan jest harfą, której struny napinają się lub miękną wedle wahań atmosfery. Potrafi napisać piękną książkę w paroksyzmie gniewu lub upojenia i nie dbać o jej powodzenie, mimo iż pragnął go tak gorąco. Od pierwszych dni przybycia do Paryża wdał się z młodym człowiekiem bez zasad, olśniony jego zręcznością i doświadczeniem wśród trudności literackiego życia. Ten prestidigitator<sup>801</sup> opętał Lucjana zupełnie, wciągnął w bagno, które, nieszczęściem dlań, miłość ozłociła swoimi czarami. Zbyt łatwo używany podziw jest oznaką słabości: nie wolno płacić tą samą monetą linoskoczka i poety. Wszystkich nas zraniło pierwszeństwo dane intrydze i literackiemu szelmostwu nad odwagą i honorem tych, którzy radzili Lucjanowi przyjąć walkę, zamiast podkraść sukces; rzucić się, na arenę miast<sup>802</sup> zostawać jednym z trębaczy w orkiestrze. Społeczeństwo jest, przez osobliwy kaprys, pełne pobrażania dla ludzi tego pokroju; lubi ich, daje się wziąć na ich piękne pozory; od nich samych nie wymaga nic, usprawiedliwia wszystkie błędy, przypisuje im zalety natur pełnych, widzi w nich same dobre strony, słowem, czyni z nich swoje rozpieszczone dzieci. Przeciwnie, dla silnych i pełnych natur okazuje ono surowość bez granic. Bawi się pajacami, nie żądając od nich nic prócz rozrywki, i zapomina ich rychło; aby natomiast ugiąć kolano przed wielkością, żąda od niej boskich przepychów. Każda rzecz ma swoje prawa: wiekiasty diament musi być bez skazy, chwilowy wytwór mody może być lekki, kapryśny i nietrwały. Toteż mimo jego wad może powiedzieć się Lucjanowi w życiu; wystarczy mu wyzyskać szczęśliwą sposobność lub też wejść w dobre towarzystwo; ale jeśli spotka złego anioła, zajdzie na samo dno

<sup>800</sup>*fymarczyć* (daw.) — kupczyć, handlować. [przypis edytorski]

<sup>801</sup>*prestidigitator* — sztukmistrz, iluzjonista. [przypis edytorski]

<sup>802</sup>*miast* (daw.) — zamiast. [przypis edytorski]

piekiel. Jest to zbiór pięknych przymiotów, wyhaftowanych na zbyt wiotkiej kanwie; wiek wystrzępi kwiaty, zostanie samo tło; jeśli jest liche, okaże się szmatą. Póki Lucjan jest młody, będzie się podobał; ale w trzydziestym roku jakież będzie jego położenie? Oto pytanie, które winni sobie postawić ci, co go szczerze kochają. Gdybym ja sam tylko myślał w ten sposób o Lucjanie, może nie odważyłbym się sprawić Pani tyle przykrości; ale zbywać komunalami siostrzaną troskliwość zdaje mi się niegodnym Pani, której list jest krzykiem trwogi, oraz mnie, któremu Pani okazuje aż nazbyt wiele szacunku. Otóż przyjaciele moi, którzy znali Lucjana, dzielą ten sąd, uważałem tedy za obowiązek rzec całą prawdę, choćby tak straszna. Można spodziewać się wszystkiego po Lucjanie, w dobrym, jak w złym. Oto, krótko mówiąc, nasze zdanie, w którym zawiera się sens niniejszego listu. Gdyby okoliczności jego życia, bardzo obecnie nędznego i oplakanego, sprowadziły go do Was, użyjcie Państwo całej mocy, aby go zatrzymać na łonie rodziny; póki charakter jego nie nabierze hartu, Paryż będzie dlań niebezpieczny. Nazywał Was oboje swymi aniołami opiekuńczymi, zapewne musiał Was zapomnieć; ale przypomni sobie o Was w chwili, gdy miotany burzą, nie ujrzy przed sobą innego schronienia prócz rodziny; zachowajcie mu serca, będzie ich potrzebował.

Przyjm, Pani, wyrazy szczerzej czci człowieka, któremu znane są Jej cenne przymioty i który nadto szanuje Pani macierzyńskie niepokoje, aby nie przedłożyć Jej swoich służb, kreśląc się Pani oddanym

*d'Arthez*

W dwa dni po tej odpowiedzi Ewa musiała wziąć mamkę, pokarm jej przepadł. Lucjan był dla niej bóstwem i oto patrzyła, jak najcenniejsze jego przymioty zawiodły go, w jej pojęciu, w błoto. Szlachetna istota nie umiała paktować z uczciwością, ze skrupułami, z religią domowych cnót pielęgnowanych w ognisku rodzinnym, tak czystym, tak promiennym jeszcze na zapadłej prowincji. Dawid miał więc słuszość w swych przewidywaniach! Kiedy w owej szczerzej rozmowie, w której małżeństwo albo para kochanków wszystko może sobie powiedzieć, Ewa zwierzyła mężowi zgryzotę barwiącą jej białe czoło ołowianym cieniem, Dawid znalazł słowa pociechy. Mimo iż miał łzy w oczach, widząc nadobną pierś żony zdławioną bólem, patrząc na tę matkę w rozpacz, iż nie może dopełnić zadań macierzyństwa, starał się pokrzepić Ewę, ukazując jej jakieś nadzieje.

— Widzisz, dziecko, brat twój zgrzeszył wyobraźnią. Jest tak naturalne u poety, iż pragnie dla siebie sukni z purpury i lazuru, iż tak skwapliwie biegnie na wszystkie gody życia! Ten ptak łapie się na blask, na zbytek z taką dobrą wiarą, że sam Bóg rozgrzesza go wówczas, gdy społeczeństwo go potępia!

— Ale on nas zabija!... — wykrzyknęła biedna kobieta.

— Zabija nas dziś, jak nas uratował kilka miesięcy temu, posyłając nam pierwszy swój zarobek! — odparł dobry Dawid, który umiał odczuć, że rozpacz prowadzi Ewę poza granice i że wróci ona niebawem do swej miłości dla Lucjana. — Mercier<sup>803</sup> powiedział w swoim *Obrazie Paryża*, jakieś pięćdziesiąt lat temu, iż literatura, poezja, nauka i wiedza, w ogóle twory ducha, nie mogą zapewnić chleba; otóż Lucjan, jak prawdziwy poeta, nie chciał wierzyć doświadczeniu pięciu wieków. Zbiory podlane atramentem wschodzą (jeśli wschodzą!) w dziesięć lub dwanaście lat po zasianiu, Lucjan zaś wziął zieleninę za zboże. Nauczył się przynajmniej życia. Zawiodłszy się na kobiecie, musiał z kolei przejść zawód świata i fałszywych przyjaźni. Doświadczenie, które zyskał, kosztowało drogo, oto wszystko. Nasi przodkowie mawiali: „Byle syn wrócił do domu z oboma uszami i całym honorem, wszystko dobrze...”

— Honor!... — wykrzyknęła biedna Ewa. — Ha! Ileż razy Lucjan go naraził... Pisać przeciw własnemu sumieniu!... Napadać najlepszego przyjaciela!... Przyjmować pieniądze od aktorki... Żyć z nią publicznie! Przywieść nas do ruiny!...

<sup>803</sup>Mercier, Louis Sébastien (1740–1814) — francuski pisarz i dramaturg epoki oświecenia; autor m.in. reporterskiego zbioru obserwacji obyczajowych i kulturalnych pt. *Obraz Paryża (Le Tableau de Paris, 1781–1788)*. [przypis edytorski]



— Och, to jeszcze nie!... — wykrzyknął Dawid i urwał.

Tajemnica popełnionego przez szwagra fałszerstwa omal mu się nie wyrwała, nie-  
szczęściem zaś Ewa, spostrzegłszy ten odruch, zachowała nieokreślony niepokój.

— Jak to, nic? — odparła. — Jak zdołamy zapłacić te trzy tysiące?

— Przede wszystkim — odparł Dawid — możemy liczyć na przedłużenie dzierżawy  
przez Cérizeta. W ciągu sześciu miesięcy piętnasty procent, jaki mu płacą Cointetowie od  
wykonanej dla nich roboty, dał mu sześćset franków, dorobił zaś z pewnością z pięćset  
zamówieniami z miasta.

— Jeżeli Cointetowie wiedzą o tym, może nie odnowią najmu, będą się go obawiali  
— rzekła Ewa — Cérizet to człowiek niebezpieczny.

— Ech, cóż nam to wszystko? — wykrzyknął Séchard. — Za kilka dni będziemy  
bogaci! Z chwilą gdy Lucjan będzie bogaty, mój aniele, będzie miał same cnoty...

— Och, Dawidzie, drogi mój, jakież straszne słowo ci się wymknęło! Wydany na  
pastwę nędzy, Lucjan byłby zatem bezsilny wobec zła?! Myślisz o nim to, co i d'Arthez!  
Nie ma geniuszu bez siły, Lucjan zaś jest słaby... Anioł, którego nie trzeba kusić, cóż to  
jest?...

— Ba, to natura, która jest piękna tylko w swoim środowisku, w swojej sferze, w swo-  
im niebie. Lucjan nie jest stworzony do walki, ja mu oszczędzę walk. Ot, patrz! Zbyt  
blisko jestem rezultatu, aby cię nie wtajemniczyć w swoje prace.

Wyjął z kieszeni kilka ćwiartek białego papieru, potrząsnął nimi zwycięsko i złożył je  
na kolanach żony.

— Ryza tego papieru, format *grand raisin*<sup>804</sup>, będzie kosztowała nie więcej niż pięć  
franków — rzekł, pozwalając obracać w palcach te próbki Ewie, która objawiała dziecinne  
zaciekawienie.

— Czym posłużyłeś się do tych prób?

— Starym włosianym sitem, pożyczonym od Maryny — odparł.

— I jeszcze nie jesteś zadowolony? — spytała.

— Kwestia nie leży w fabrykacji, tylko w cenie samej masy. Ba, moje dziecko, jestem  
ledwie jednym z ostatnich, którzy weszli na tę trudną drogę. Pani Masson jeszcze w ty-  
siąc siedemset dziewięćdziesiątym czwartym próbowała przerabiać papier drukowany na  
biały; udało się, ale jakim kosztem! W Anglii koło roku tysiąc osiemsetnego margrabia  
Salisbury próbował, niemal równocześnie co Seguin<sup>805</sup> w roku tysiąc osiemset pierwszym  
we Francji, użyć słomy do wyrobu papieru. Nasza pospolita trzcina, *Arundo phragmites*,  
dostarczyła ćwiartek, które trzymasz w ręku. Ale mam zamiar użyć pokrzyw, ostów, aby  
bowiem utrzymać taniość surowca, trzeba się zwracać do substancji roślinnych, które  
mogą się rodzić na bagnach, na złym gruncie: wówczas będą za bezcen. Cały sekret jest  
w przygotowaniu, jakiemu trzeba poddać te łądygi. W tej chwili mój sposób nie jest  
jeszcze dość prosty. Otóż mimo tej trudności jestem pewien, iż dam papiernictwu fran-  
cuskiemu przywilej, jakim cieszy się nasza literatura: uczynię zeń monopol naszego kraju,  
jak Anglicy mają monopol żelaza, węgla i wyrobów garncarskich. Chcę być Jacquardem<sup>806</sup>  
papierni.

Ewa podniosła się, uniesiona entuzjazmem i podziwem, jaki budziła w niej prostota  
Dawida; otworzyła ramiona i przycisnęła go do serca, skłaniając głowę na jego ramię.

— Nagradzasz mnie, jak gdybym już znalazł — rzekł.

Za całą odpowiedź Ewa ukazała piękną twarz zalaną łzami: przez chwilę nie mogła  
mówić.

— Nie ściskam genialnego człowieka — rzekła — ale pocieszyciela! Chwale upadłej  
przeciwstawiasz chwałę, która się wznosi. Zgryzotom, które mi sprawia poniżenie brata,  
przeciwstawiasz wielkość męża... Tak, ty będziesz wielki jak Graindorge, jak Rouvet, jak

<sup>804</sup>*grand raisin* — dawny francuski format papieru, mierzący 500×700 mm. [przypis edytorski]

<sup>805</sup>*Seguin, Marc* (1786–1875) — francuski inżynier, wynalazca mostu wiszącego oraz ulepszonego kotła paro-  
wego. [przypis edytorski]

<sup>806</sup>*Jacquard, Joseph-Marie* (1752–1834) — francuski tkacz i wynalazca, w 1805 udoskonalił krosno przez skon-  
struowanie programowalnego urządzenia, znanego dziś jako maszyna Jacquarda (Żakarda), do wielobarwnego  
tkania wielowzrostowego. [przypis edytorski]

van Robais<sup>807</sup>, jak ów Pers, który obdarzył nas barwnikiem z marzanny<sup>808</sup>, jak wszyscy ci, o których mi mówiłeś, a których imiona zostają nieznanne, bo udoskonalając przemysł, czynią wielką rzecz bez rozgłosu.

— Co oni robią w tej chwili?... — dumal Bonifacy.

Wielki Cointet przechadzał się po placu z Cérizetem, śledząc cień Dawida i Ewy na muslinowych firankach; co dzień zachodził o północy na rozmowę z Cérizetem, który miał poleczone nadzorować najmniejszy krok swego chlebobdawcy.

— Pokazuje jej z pewnością papier, który sfabrykował dziś rano — odparł Cérizet.

— Jakich substancji użył? — spytał fabrykant.

— Niepodobna zgadnąć — odparł Cérizet. — Przedziurawiłem dach, wdrapałem się na wierzch i ujrzałem pryncypała, jak całą noc gotował masę w mosiężnym kociołku; daremnie przyglądałem się zapasom w kącie, wszystko, co mogłem dojrzeć, to to, iż surowiec podobny był do kupy przedziwa.

— Nie posuwaj się dalej — rzekł Bonifacy Cointet oblesnym tonem do szpiega — to byłoby nieuczciwe!... Pani Séchard proponuje ci, abys odnowił dzierżawę; powiedz, że chcesz nabyć drukarnię na własność; ofiaruj połowę tego, co wart inwentarz i koncesja, gdyby się zaś zgodzili, przyjdź do mnie. W każdym razie przewlekaj... Są w opalach?

— Bez grosza! — odparł Cérizet.

— Bez grosza — powtórzył Wielki Cointet. — „Mam ich” — rzekł w duchu.

Obie firmy, tak Métivier, jak bracia Cointetowie, trudniły się, prócz swoich zawodowych czynności, i eskontem<sup>809</sup>, strzegąc się wszelako pilnie nabywać patent bankierskiego rzemiosła. Skarb nie znalazł jeszcze, w handlowych sprawach, sposobu tak daleko posuniętej kontroli, aby zmusić wszystkich, którzy sekretnie robią interesy bankowe, do opłacania koncesji, która w Paryżu, na przykład, kosztuje pięćset franków. Bracia Cointetowie i Métivier, mimo braku uprawnień, obracali jakimiś paromakroć kwartalnie na rynkach Paryża, Bordeaux i Angoulême. Otóż tego samego wieczora firma Cointet otrzymała z Paryża na trzy tysiące fałszywych weksli, podrobionych przez Lucjana. Wielki Cointet zbudował natychmiast na tym długu potężną machinę, skierowaną, jak się pokaże, przeciw cierpliwemu i biednemu wynalazcy.

Nazajutrz o siódmej rano Bonifacy Cointet przechadzał się nad korytem wodnym, które odżywiało jego rozległą papiernię i którego szum pokrywał dźwięk słów. Oczekiwał tam młodego człowieka lat dwudziestu dziewięciu, od pół roku adwokata przy trybunale pierwszej instancji w Angoulême, imieniem Piotr Petit-Claud.

— Pan byłeś w kolegium w Angoulême w tym samym czasie co Dawid Séchard? — rzekł Wielki Cointet, witając ukłonem młodego adwokata, który skwapliwie stawił się na wezwanie bogatego fabrykanta.

— Tak, panie — odparł Petit-Claud, stosując się do kroku Wielkiego Cointet.

— Czy utrzymujecie stosunki?

— Spotkaliśmy się najwyżej dwa razy od jego powrotu. Nie mogło być inaczej: ja tkwiłem w kancelarii lub w sądzie, w niedzielę zaś lub w święta pracowałem nad dopełnieniem wykształcenia, wszystko bowiem budowałem na samym sobie...

Wielki Cointet skinął głowę z uznaniem.

— Kiedyśmy się spotkali z Dawidem, spytał, co się ze mną dzieje. Powiedziałem, iż skończywszy prawo w Poitiers, zostałem dependentem<sup>810</sup> u pana Olivet i że spodziewam się lada dzień nabyć od niego kancelarię... Znałem o wiele bliżej Lucjana Chardona, który

<sup>807</sup> *Graindorge, Rouvet, van Robais* — *André Graindorge* (XVI w.): tkacz z Caen, wynalazł sposób produkcji tkanin ze wzorami w kwadraty i kwiaty; *Jean Rouvet* (XVI w.): handlarz drewnem, ulepszył sposób spławiania drewna na wielkie odległości, w celu regularnego dostarczania do Paryża; *Josse van Robais* (1630–1685): niderlandzki przedsiębiorca, za zachętą francuskiego ministra Colberta założył manufakturę w Abbeville, produkującą luksusowe tkaniny ozdobne, jeden z najważniejszych zakładów przemysłowych tamtych czasów. [przypis edytorski]

<sup>808</sup> *Pers, który obdarzył nas barwnikiem z marzanny* — Jean Althen, właśc. Hovhannes Althounian (1709–1774), Ormianin urodzony pod panowaniem perskim, osiadł we Francji, gdzie w Awinionie od 1763 z wielkim powodzeniem rozwinął uprawę marzanny, z której wytwarzano czerwony barwnik. [przypis edytorski]

<sup>809</sup> *eskonto* (daw.) — dziś: dyskonto weksli, tj. wykupywanie weksla przed terminem jego płatności po potrąceniu pewnej części sumy, na jaką go wystawiono. [przypis edytorski]

<sup>810</sup> *dependent* (daw.) — pomocnik adwokata lub notariusza. [przypis edytorski]

się teraz przezwal panem de Rubempré, kochanka pani de Bargeton, naszego wielkiego poeę, słowem, szwagra Dawida.

— Może pan tedy oznajmić Dawidowi swą nominację i ofiarować mu usługi — rzekł Wielki Cointet.

— To nie uchodzi — odparł młody adwokat.

— Nie miał nigdy procesów, nie ma adwokata; może ujść — odparł Cointet, mierząc zza okularów młodego adwokacinę.

Syn krawca z Houmeau, lekceważony przez towarzyszy w kolegium, Piotr Petit-Claud zdawał się mieć we krwi sporą przymieszkę żółci. Twarz jego miała ów brudny i mętny kolor, będący świadectwem dawnych chorób, niedospania i nędzy, i prawie zawsze złego charakteru. Cały był ostry i kanciasty. Chrypliwy głos harmonizował z cierpką twarzą, mizerną postacią i niezdecydowanym kolorem oczu, podobnych do oka sroki. Sroczę oko jest, wedle obserwacji Napoleona, znamieniem nieuczciwości. „Spójrz na niego — rzekł do Las Cases’a<sup>811</sup> na Wyspie św. Heleny, mówiąc o jednym z zaufanych, którego oddalił z przyczyny nadużyć — nie rozumiem, jak mogłem tak długo mylić się co do niego, on ma zupełnie oko sroki”. Toteż Wielki Cointet przyjrzał się bacznie chuderlawemu adwokacinie, zeszpeconemu osną, o rzadkich włosach, o czole i czaszce spływających się z sobą. Stwierdziwszy, że już gotów byłby przeskoczyć skrupuł, rzekł sobie: „Oto człowiek, jakiego mi trzeba”.

W istocie, Petit-Claud, napojony wzgardą, pożerany żądzą wybicia się, odważył się, mimo iż bez grosza, kupić kancelarię pryncypała za trzydzieści tysięcy; ufał, iż sposób wypłacenia się znajdzie w bogatym małżeństwie. Wedle zwyczaju liczył na pryncypała, że znajdzie mu żonę, poprzednik bowiem zawsze ma interes w tym, aby wyswatać następcę i ściągnąć zeń swą należność. Petit-Claud liczył jeszcze więcej na siebie, nie zbywało mu bowiem na pewnym, dość rzadkim na prowincji polocie, którego pierwiastek tkwił zresztą w nienawiści. Wielka nienawiść zdolna jest do wielkiego wysiłku.

Istnieje ogromna różnica między adwokatami w Paryżu a na prowincji; otóż Cointet był zbyt zręczny, aby nie wyzyskać namiętnostek, które powodują tymi małymi adwokatami. W Paryżu wybitny adwokat, a jest ich wielu, posiada coś z dyplomaty: ilość spraw, waga interesów, rozległość powierzonych mu zadań zwalniają go od szukania w procedurze środka fortuny. Procedura, bądź jako broń zaczepna, bądź odporna, nie jest już dla niego, jak dawniej, przedmiotem zysków. Na prowincji, przeciwnie, adwokaci uprawiają to — jak się mówi w Paryżu — smarowanie rachunczków, tę nieskończoność akcików, które przeciążają sprawę kosztami i zjadają mnóstwo stemplowego papieru<sup>812</sup>. Te bagatelki stanowią główny cel adwokata na prowincji; sili się narobić kosztów, gdy adwokat paryski ma na oku jedynie honorarium. Honorarium oznacza to, co klient winien jest, poza kosztami, zapłacić adwokatowi za mniej lub więcej zręczne prowadzenie sprawy. W kosztach uczestniczy do połowy skarb, gdy honoraria przypadają całe adwokatowi. Powiedzmy śmiało: honoraria, które się realizuje, rzadko są w harmonii z honorarium żądanym i należnym za usługi dobrego adwokata. Adwokaci, lekarze i obrońcy paryscy mają się, jak kurtyzany wobec przygodnych kochanków, niezmiernie na baczności co do wdzięczności klientów. Klient po sprawie i przed sprawą mógłby stanowić model dwóch cudownych rodzajowych obrazków, godnych Meissoniera<sup>813</sup>, o które licytowałiby się z pewnością wzięci adwokaci. Istnieje jeszcze jedna różnica między adwokatem paryskim i prowincjonalnym. Adwokat paryski broni rzadko; staje niekiedy w trybunale w ważnych wypadkach, natomiast w roku 1822 (później zaczęło się roić od obrońców) na prowincji adwokaci pełnili zarazem funkcje obrońców i sami stawali w sądzie. Z tego podwójnego życia wynika podwójny typ zajęcia, który daje prowincjonalnemu adwokatowi przywary intelektualne obrońcy, nie zdejmując zeń ważkich obowiązków adwokata.

<sup>811</sup>Las Cases, Emmanuel de (1766–1842) — francuski arystokrata, towarzysz Napoleona podczas zesłania na Wyspie św. Heleny, autor popularnej książki *Le Mémorial de Sainte-Hélène* (Pamiętnik ze św. Heleny). [przypis edytorski]

<sup>812</sup>stemplowy papier — czysty papier opatrzone stemplem rządowym, sprzedawany przez organ państwowy. Dawniej używany do pobierania podatku od sporządzanych umów i zobowiązań prywatnych, dokumentów sądowych, podań itp. Niekiedy wymagano go także na drukowanych egzemplarzach kart do gry, kalendarzy lub książek. [przypis edytorski]

<sup>813</sup>Meissonier, Jean Louis Ernest (1815–1891) — francuski malarz i ilustrator; tworzył małe obrazki rodzajowo-historyczne, odznaczające się dbałością o szczegóły i wierność historyczną. [przypis edytorski]

Interes, Małżeństwo

Prawnik

Adwokat prowincjonalny staje się gadułą; traci ową jasność sądu, tak potrzebną do prowadzenia spraw. Rozdwajając się w ten sposób, człowiek wyższy znajduje często w sobie samym dwóch ludzi miernych. W Paryżu adwokat, nie rozpraszając się w słowach przed kratkami trybunału, nie przerzucając się raz po raz z jednej do drugiej roli, może zachować rzetelność myśli. Jeśli świadom jest balistyki<sup>814</sup> prawa, jeżeli szpera w arsenałe środków, jakie następczą mu sprzeczności prawoznawstwa, zachowuje mimo to swoje przekonanie o sprawie, której sili się zgotować triumf. Słowem, myśl zaślepia o wiele mniej niż słowo. Pod wpływem własnych słów człowiek wierzy w końcu w to, co mówi, gdy działać można przeciw własnej myśli, nie pacząc jej, i osiągnąć wygraną złej sprawy, nie twierdząc, że jest dobra, jak to czyni obrońca. Toteż stary adwokat paryski może, o wiele lepiej niż stary obrońca, być dobrym sędzią. Adwokat prowincjonalny ma tedy wiele przyczyn, aby być człowiekiem miernym: wciela się w małe namiętnostki, prowadzi małe sprawy, żyje z płodzenia „kosztów”, nadużywa kodeksu i wreszcie — sam broni! Słowem, ma wiele ułomności. Toteż kiedy się trafi między prowincjonalnymi adwokatami wybitna osobistość, musi to być naprawdę tegi człowiek.

— Sądziłem, że pan mnie wezwał dla swoich spraw — odparł Petit-Claud, podkreślając zawartą w tej uwadze krytykę spojrzeniem, jakim obrzucił nieprzeniknione okulary Wielkiego Cointeta.

— Dajmy pokój ceregielom — odparł Bonifacy Cointet. — Posłuchaj pan...

Po tym słowie, brzemienym w zwierzenia, Cointet usiadł na ławce, dając znak adwokatowi, aby poszedł za jego przykładem.

— Kiedy pan du Hautoy przejeżdżał przez Angoulême w roku tysiąc osiemset czwartym, udając się do Walencji w charakterze konsula, poznał tu panią de Senonches, wówczas pannę Zefiryne, i miał z nią córkę — rzekł Cointet po cichu do ucha prawnika. — Tak — podjął, widząc wzdrygnięcie Petit-Clauda — małżeństwo panny Zefiryny z panem de Senonches nastąpiło rychło po tym sekretnym połogu. Ta córka, wychowana na wsi u mojej matki, jest to panna Franciszka de la Haye, a opiekuje się nią pani de Senonches, która, wedle zwyczaju, jest jej chrzestną matką. Ponieważ moja matka, żona dzierżawcy w majątku pani de Cardanet, babki panny Zefiryny, posiadała tajemnicę jedynej spadkobierczynie rodziny Cardanetów i starszej linii Senonches'ów, powierzono mi obracanie sumką, jaką pan Franciszek du Hautoy przeznaczył w swoim czasie córce. Majątek mój wyrósł na tych dziesięciu tysiącach, które dziś dochodzą trzydziestu tysięcy. Pani de Senonches da z pewnością wyprawę, srebro i jakieś mebelki swej pupilce; ja zaś mogę się postarać o to, abyś dostał pannę, mój chłopcze — rzekł Cointet, klepiąc po kolanie adwokata. — Żeniąc się z Franciszką de la Haye, pomnożysz swą klientelę o większą część angulemskiej arystokracji. Ten alians z lewej ręki otwiera przed tobą wspaniałą przyszłość... Pozycja obrońcy będzie wystarczająca; nie żądają więcej, wiem o tym.

— Cóż trzeba uczynić?... — rzekł chciwie Petit-Claud. — Wszak pańskie sprawy prowadzi pan Cachan...

— Toteż nie rozstanę się nagle z Cachanem dla pana, moje zastępstwo dostaniesz później — rzekł chytrze Wielki Cointet. — Co trzeba czynić, przyjacielu? Objąć sprawy Dawida Séchara, ot co! Ten nieborak ma u nas za tysiąc talarów weksli, nie wykupi ich, będziesz go bronił przeciw krokom sądowym w ten sposób, aby narobić olbrzymich kosztów... Bądź bez obawy, jedź śmiało, wynajduj kruczki. Doublon, mój komornik, który poprowadzi akcję pod kierunkiem Cachana, też nie będzie się lenił... Mam nadzieję, że mnie rozumiesz. A teraz, młody człowieku...

Nastąpiła wymowna pauza, podczas której obaj spoglądali na siebie.

— Nie widzieliśmy się nigdy — ciągnął Cointet — nic panu nie mówiłem, nie wiesz nic o panu du Hautoy ani o pani de Senonches, ani o pannie de la Haye; tylko, kiedy będzie czas, za dwa miesiące, poprosisz o rękę młodej osoby. Kiedy będzie nam się trzeba widzieć, przyjdiesz tutaj, wieczorem. Pisywać nie będziemy.

— Chce pan tedy zrujnować Séchara? — spytał

— Niezupełnie; ale trzeba go potrzymać jakiś czas pod kluczem...

— W jakim celu?

<sup>814</sup>balistyka — nauka o miotaniu i ruchu pocisków. [przypis edytorski]

— Czy uważasz mnie za tak głupiego, że ci to powiem? Jeśli będziesz miał dość sprytu, aby zgadnąć, znajdziesz go też na tyle, aby milczeć.

— Ojciec Séchard ma pieniądze — rzekł Petit-Claud, wchodząc już w tok myśli Bonifacego i spostrzegając możliwość niepowodzenia.

— Póki żyje, nie da synowi ani szeląga; nie wybiera się wcale na tamten świat.

— Zatem rzecz ułożona — rzekł Petit-Claud, który zdecydował się szybko. — Nie żądam od pana gwarancji, jestem adwokatem; gdyby mnie pan wystrychnął na dudka, porachowalibyśmy się.

„Hultaj zajdzie daleko” — pomyślał Cointet, żegnając Petit-Clauda ukłonem.

Nazajutrz po tej naradzie, trzydziestego kwietnia, bracia Cointetowie przedstawili pierwszy z trzech podrobionych przez Lucjana weksli. Na nieszczęście, oddano go biednej pani Séchard, która poznając, iż podpis męża jest podrobiony, zawołała Dawida i rzekła wprost:

— Nie podpisywałeś tego weksla?

— Nie — odparł — brat twój był w tak nagłym położeniu, że podpisał go za mnie...

Ewa oddała papier inkasentowi firmy Cointetów, mówiąc:

— Nie jesteśmy w możności.

Następnie, czując, że nogi się pod nią uginają, poszła do swego pokoju. Dawid za nią.

— Mój jedyny — rzekła Ewa do Sécharda zamierającym głosem — biegnij do panów Cointetów, będą mieli względy dla ciebie; proś, aby zaczekali; zwróć zresztą ich uwagę, że przy odnawianiu dzierżawy przez Cérizeta będą ci winni tysiąc franków.

Dawid udał się natychmiast do swych wrogów. Prot może zawsze zostać drukarzem, ale nie zawsze zdolność typograficzna łączy się ze zdatnością handlową, toteż Dawid, który niewiele znał się na interesach, nie wiedział, co odpowiedzieć Wielkiemu Cointetowi, kiedy ze ściśniętym gardłem i bijącym sercem, wyjąkawszy dość lichy swoje usprawiedliwienia i prośby, otrzymał tę odpowiedź:

— To nas zupełnie nie dotyczy, otrzymaliśmy weksel od pana Métiviera. Métivier zapłaci. Zwróć się pan do pana Métiviera.

— Och — rzekła Ewa, dowiadując się o tej odpowiedzi — z chwilą gdy weksel wraca do Métiviera, możemy być spokojni.

Nazajutrz Wiktor Anioł Hermenegildiusz Doublon, komornik firmy Cointetów, doręczył protest<sup>815</sup> o godzinie drugiej, w porze, gdy plac du Mûrier pełen jest ludzi; mimo dyskrecji, z jaką wdał się w drzwiach w rozmówkę z Maryną i Kolbem, protest był przed wieczorem wiadomy całemu kupieckiemu Angoulême. Zresztą osądzicie, czyliż obłudne formy imć<sup>816</sup> pana Doublona, któremu Wielki Cointet zalecił największe względy, mogły ocalić Ewę i Dawida od hańby niewypłacalności? Tutaj rozwlekłość nawet wyda się zbyt krótką. Dziewięćdziesięciu czytelników na stu będzie smakować następujące szczegóły jak najbardziej pobudzającą nowość. Tak więc jeszcze raz zostanie stwierdzona prawda tego pewnika: Nie ma nic mniej znanego jak to, co cały świat znać winien, to jest prawo!

Z pewnością dla ogromnej większości Francuzów mechanizm jednego z kółek operacji bankowych, dobrze opisany, będzie interesujący jak rozdział z podróży po cudzoziemskich krajach. Kiedy kupiec jakiś przesyła z miasta, gdzie ma przedsiębiorstwo, weksel osobie mieszkającej w innym mieście, jak to rzekomo uczynił Dawid, aby wygodzić Lucjanowi, zmienia operację, tak prostą przy podpisaniu weksla między kupcami w jednym mieście dla celów handlowych, w coś podobnego do przekazu bankowego. Dlatego, przyjąwszy trzy weksle Lucjana, Métivier, chcąc uzyskać należną kwotę, musiał je przesłać firmie braci Cointetów, swoich korespondentów. Stąd pierwsza strata dla Lucjana, określona nazwą komisowego za zmianę miejsca, a wyrażająca się w tylu a tylu od sta straconych na każdym wekslu, prócz eskontu. Akcepty<sup>817</sup> Sécharda przeszły tedy do kategorii negocjacji bankowych. Nie uwierzylibyście, do jakiego stopnia charakter bankiera, połączony z dostojnym tytułem wierzyciela, zmienia położenie dłużnika. Zatem w bankowości

Interes, Pieniądz

<sup>815</sup> *protest wekslowy* — dokument sporządzany w przypadku odmowy zapłacenia sumy wekslowej. [przypis edytorski]

<sup>816</sup> *imć* — skrót od wyrażenia grzecznościowego *jego miłość*, stawianego przeważnie przed nazwiskiem. [przypis edytorski]

<sup>817</sup> *akcept* — tu: weksel po złożeniu akceptu, tj. złożeniu podpisu na wekslu przez osobę zobowiązującą się w ten sposób do zapłaty wskazanej na wekslu kwoty we wskazanym terminie. [przypis edytorski]

(zrozumcie dobrze to wyrażenie!), z chwilą gdy papier przesłany z rynku paryskiego na rynek Angoulême nie zostanie wykupiony, bankierzy obowiązani są wobec samych siebie zaaplikować to, co nazywa się rachunkiem zwrotnym. I nigdy zaiste romansopisarze nie wymyślili bardziej fantastycznej historii, oto bowiem pomysłowe koncepty *à la*<sup>818</sup> Mascarille<sup>819</sup>, jakim sprzyja pewien paragraf kodeksu handlowego, a których wytłumaczenie pokaże wam, ile okropności kryje się pod tym strasznym słowem: legalność!

Z chwilą gdy imć Doublon zarejestrował protest, przyniósł go sam panom Cointetom. Woźny miał stały rachunek z tymi drapieżcami z Angoulême i udzielał im półrocznego kredytu, który Wielki Cointet przeciągał do roku przez sposób, w jaki się wypłacał, natracając z miesiąca na miesiąc tej wicehienie: „Cóż, Doublon, trzeba ci pieniędzy?” To nie wszystko jeszcze! Doublon dawał pewien opust tej potężnej firmie, która dzięki temu zarabiała coś na każdym akcie, drobnostkę, nędzę, jakieś półtora franka na proteście!... Wielki Cointet siadł spokojnie do biurka, wziął arkusik stemplowego papieru za trzydzieści pięć centymów, rozmawiając wśród tego z Doublonem w ten sposób, aby zeń wydobyć informacje o istotnym stanie rozmaitych firm.

— I cóż, kontent<sup>820</sup> jesteś z młodego Ganneraca?

— Niezgorzej. Ba, interes przewozowy...

— Hm, fakt jest, że płaci ciężko. Mówiono mi, że żona dużo go kosztuje...

— Jego?... — wykrzyknął Doublon ironicznym tonem.

Bonifacy Cointet, który skończył właśnie liniować papier, wypisał rondem złowieszczy tytuł, pod którym umieścił następujący rachunek (*sic*.<sup>821</sup>):

*Rachunek zwrotny i koszty*

Za akcept opiewający na tysiąc franków, datowany w Angoulême dnia 10 lutego 1822, podpisany przez Sécharda-syna na zlecenie Lucjana Chardona, mieniącego się de Rubempré, ponownie na zlecenie pana Métiviera i na nasze zlecenie, płatny 30 kwietnia, zaprotestowany przez pana Doublona, komornika, dnia pierwszego maja 1822.

Kwota... 1000 fr. — c.

Protest... 12 „ 35 „

Prowizja po pół od sta... 5 „ — „

Kurtaż ćwierć od sta... 2 „ 50 „

Stemple niniejszego rachunku i reeskontu... 1 „ 5 „

Koszty i opłata pocztowa... 3 „ — „

..... 1024 fr. 20 c.

Zmiana miejsca i 1/4% od 1024,20... 13 „ 25 „

Razem... 1037 fr. 45 c.

Tysiąc trzydzieści siedem franków, czterdzieści pięć centymów, którą to sumę wpisujemy na nasze dobro w rachunku pana Métiviera, ul. Serpente w Paryżu, na zlecenie pana Ganneraca z Houmeau.

Angoulême, 2 maja 1822

*Bracia Cointetowie*

U dołu tego rachunku, sporządzonego z wprawą praktyka, Wielki Cointet, nie przezywając rozmowy z Doublonem, wypisał następującą deklarację:

My, podpisani, Postel, właściciel apteki w Houmeau, i Gannerac, właściciel firmy przewozowej, kupcy tutejsi, stwierdzamy, iż różnica kursu między naszym rynkiem a Paryżem wynosi jeden i ćwierć od sta.

Angoulême, 3 maja 1822

<sup>818</sup>*à la* (fr.) — na wzór, na sposób przypominający coś innego. [przypis edytorski]

<sup>819</sup>*Mascarille* (pol. *Maskaryl*) — typ wesołego i beczelnego lokaja w dawnej komedii francuskiej (m.in. w sztuce *Wartogłów* Moliera). [przypis edytorski]

<sup>820</sup>*kontent* (daw.) — zadowolony. [przypis edytorski]

<sup>821</sup>*sic* (łac.) — tak; tak właśnie. [przypis edytorski]

— Masz, Doublon, bądź pan taki uprzejmy udać się do panów Postela i Ganneraca i poprosić o podpisanie tej deklaracji; odniesiesz mi ją jutro rano.

I Doublon, oswojony z tymi narzędziami tortury, poszedł, jak gdyby chodziło o rzecz najprostszą w świecie. Oczywiście, gdyby nawet protest doręczono Dawidowi, jak robi się w Paryżu, w kopercie, całe Angoulême wiedziałoby o nieszczęśliwym stanie interesów tego biednego Sécharda. Iluż komentarzy stała się już przedmiotem apatia wynalazcy! Jedni twierdzili, iż zgubiła go nadmierna miłość do żony; drudzy obwiniali go o zbyt nieprzywiązanie do szwagra. I jakież potworne konkluzje każdy wyciągał skwapliwie z tych przesłanek! Nie powinno się nigdy być uczynnym dla swych bliskich. Pochwalono nie-ludzkość ojca Sécharda, ba, podziwiano ją!

A teraz wy wszyscy, którzy z jakich bądź przyczyn zaniedbujecie uczynić zadość swoim zobowiązaniom, przyjrzyjcie się dobrze na wskroś legalnym procederom, za pomocą których, w bankowym obyczaju, w dziesięć minut przysparza się procent dwudziestu ośmiu franków od tysiąca.

Pierwszy punkt tego rachunku zwrotnego jest w nim jedyną rzeczą bezsporną.

Drugi punkt zawiera należność skarbu państwa i woźnego. Sześć franków, jakie pobiera administracja, rejestrując zgryzotę dłużnika i dostarczając stemplowego papieru, będą długi czas jeszcze podtrzymywały to nadużycie! Wicie zresztą, że ten punkt daje zysk półtora franka bankierowi, dzięki opustowi, jaki czyni mu Doublon.

Prowizja półtora od sta, przedmiot trzeciego punktu, jest brana pod tym przemysłnym pretekstem, iż nie otrzymać zapłaty znaczy dla bankiera tyle, co eskontować weksel. Mimo iż rzecz ma się zupełnie przeciwnie, nie ma nic podobniejszego niż dać tysiąc franków, a nie otrzymać ich. Ktokolwiek przedstawiał weksle do eskontu, wie, że prócz sześciu od sta, należnych legalnie, eskonter ściąga, pod skromną nazwą prowizji, tyle a tyle od sta; jest to procent, który pobiera, ponad stopę prawną, od talentu, z jakim umie obracać swymi kapitałami. Im więcej może wycisnąć, tym więcej żąda. Toteż najlepiej eskontować u prostaczków, to wypada taniej. Ale czyż w kwestii eskontu istnieją prostaczkowie?...

Prawo zobowiązuje bankiera do tego, aby potwierdził przez agenta giełdowego stopę zmiany rynku. W miastach boleśnie upośledzonych brakiem giełdy agenta zastępuje dwóch kupców.

Prowizja, zwana kurtażem, należna agentowi ustalona jest na ćwierć od sta sumy wyrażonej w proteście. Weszło w zwyczaj liczyć tę prowizję jako daną kupcom, którzy zastępują agenta; w istocie zaś bankier chowa ją po prostu do kieszeni. Stąd trzeci artykuł tego uroczego rachunku.

Czwarty artykuł zawiera koszt stemplowego papieru, na którym zredagowany jest rachunek zwrotny, i koszt stempla na dokumencie nazwanym tak przemyślnie reeskontem, to znaczy nowego weksła wystawionego przez bankiera na zlecenie kolegi, w celu uzyskania pokrycia.

Piąty artykuł obejmuje porto<sup>822</sup> listów i prawne procenty sumy za cały czas, przez który mogło jej brakować w kasie bankiera.

Wreszcie zmiana rynku, istotny przedmiot operacji bankowej, wynosi koszt przekazania zapłaty z jednego miejsca na drugie.

Obecnie weźcie pod lupę ten rachunek, gdzie, wedle dodawania Poliszynela<sup>823</sup> w neapolitańskiej piosence tak dobrze odtwarzanej przez Lablache'a<sup>824</sup>, piętnaście i pięć czynią dwadzieścia dwa! Oczywiście, podpis panów Postela i Ganneraca był rzeczą uprzejmości; Cointetowie poświadczyliby dla Ganneraca to, co Gannerac poświadczal dla Cointetów. Jest to praktyczne zastosowanie znanego przysłowia: „Dziś ty mnie, jutro ja tobie”. Panowie Cointetowie, mając rachunki bieżące z Métivierem, nie potrzebowali wystawić nowego akceptu. W tym stosunku, zwrócony akcept stanowi po prostu jeden wiersz więcej w koncie „ma” lub „winien”.

<sup>822</sup>porto (z wł.) — opłata za przesyłkę. [przypis edytorski]

<sup>823</sup>Poliszynel — jedna z charakterystycznych postaci włoskiej komedii dell'arte, zwykle występująca z kogucim piórem, charakteryzująca się złośliwością, nieuprzejmością i egoizmem. [przypis edytorski]

<sup>824</sup>Lablache, Louis (1794–1858) — śpiewak operowy (bas) pochodzenia francusko-irlandzkiego. [przypis edytorski]

Ten fantastyczny rachunek w rzeczywistości ograniczał się tedy do dłużnych tysiąca franków, do protestu w cenie trzynastu franków i do pół od sta procentu za miesięczną opóźnienia, razem może tysiąc osiemnaście franków.

Jeżeli duży dom bankowy ma co dzień w przecięciu<sup>825</sup> rachunek zwrotny od sumy tysiąca franków, zgarbie codziennie dwadzieścia osiem franków dzięki łasce bożej i konstytucjom bankowości, potężnego mocarstwa wymyślonego przez Żydów w XII wieku, które dziś włada nad tronami i narodami. Innymi słowy, tysiąc franków przynosi wówczas temu domowi 28 franków dziennie, czyli 10 220 franków rocznie. Potrójcie przeciętną rachunków zwrotnych, a ujrzenie dochód 30 000 franków, dawany przez fikcyjne kapitały. Dlatego też nie ma rzeczy miłośniejszej pielęgnowanej niż rachunki zwrotne. Dawid Séchard mógłby się zgłosić do wykupienia swego podpisu 3 maja albo nazajutrz po proteście, a bracia Cointetowie powiedzieliby mu: „Zwróciliśmy pański weksel panu Métivierowi!”, chociażby weksel leżał jeszcze na ich biurku. Rachunek zwrotny wchodzi w życie tego samego dnia, tuż po proteście. To się nazywa w prowincjonalnej gwarze bankowej: dawać talarom na poty. Samo porto przynosi jakie dwadzieścia tysięcy franków domowi Kellerów, który jest w stosunkach z całym światem, rachunki zwrotne zaś opłacają łożę we włoskiej operze, powóz i toalety baronowej de Nucingen. Owo porto jest nadużyciem tym okropniejszym, że bankierzy załatwiają dziesięć podobnych spraw w dziesięciu wierszach listu. Rzecz dziwna! Państwo ma swój udział w tej premii wydzieranej nieszczęściu, a skarb tuczy się niejako katastrofami handlowymi. Co się tyczy banku, rzuca on dłużnikowi z wyżyny swych kantorów to pełne rozsądku słowo: „Dlaczego nie wypłacił się pan w terminie?”, na które, nieszczęściem, nie można nic odpowiedzieć. Rachunek zwrotny tedy to bajka pełna straszliwych urojeń, wobec której dłużnicy, zastanowiwszy się nad tą pouczającą stroną, będą odtąd doświadczać zbawiennej grozy.

4 maja Métivier otrzymał od braci Cointet rachunek zwrotny wraz ze zleceniem podjęcia w Paryżu wszelkich kroków przeciw panu Lucjanowi Chardonowi, mieniącemu się de Rubempré.

Za kilka dni Ewa otrzymała, jako odpowiedź na list do pana Métiviera, następujące wyjaśnienie, które uspokoiło ją zupełnie:

Do Pana Sécharda-syna, drukarza w Angoulême

Otrzymałem w prawidłowym czasie Pańskie szacowne pismo z 5 b. m. Zrozumiałem z Pańskich wyjaśnień odnośnie do niezapłaconego akceptu z 30 b. m., że wygodziłeś Pan szwagrowi, panu de Rubempré. Młody ten człowiek wydaje dość pieniędzy, zmusić go tedy do zapłaty znaczy wyświadczyc Panu przysługę: jest on w sytuacji pozwalającej mniemać, iż nie dopuści do ostatecznych kroków. Gdyby Pański szanowny szwagier nie zapłacił, odwołam się do rzetelności Pańskiej starej firmy i pozostaję, jak zawsze, oddanym sługą

*Métivier*

— Więc dobrze — rzekła Ewa do Dawida — Lucjan zrozumie z tego pościgu, że nie mogliśmy zapłacić.

Jakiegoż przeobrażenia świadectwem było to powiedzenie Ewy! Rosnąca miłość, jaką budził w niej charakter Dawida, w miarę jak go poznawała coraz lepiej, zajmowała w jej sercu miejsce miłości do brata. Ale z ilu złudzeniami trzeba jej było się rozstać!

Przyjrzyjmy się obecnie całej drodze, jaką rachunek zwrotny odbywa na rynku paryskim. Osoba trzecia będąca w posiadaniu — nazwa handlowa tego, który posiada weksel drogą przelania — może, wedle terminu prawa, ścigać jedynie tego z szeregu dłużników, który przedstawia widoki najrychlejszego pokrycia. Na podstawie tego przywileju Lucjan stał się przedmiotem kroków komornika, pana Métiviera. Oto fazy tej akcji, zupełnie zresztą bezużytecznej. Métivier, za którym kryli się Cointetowie, znał niewypłacalność Lucjana, ale, ciągle w duchu prawa, niewypłacalność faktyczna istnieje prawnie dopiero wówczas, kiedy została stwierdzona.

<sup>825</sup>w przecięciu (daw.) — przeciętnie, średnio. [przypis edytorski]



Stwierdzono tedy niemożebność<sup>826</sup> uzyskania od Lucjana pokrycia w sposób następujący:

Komornik firmy Métiviera przedłożył dnia 5 maja rachunek zwrotny i protest angulemski Lucjanowi, pozywając go przed paryski trybunał handlowy, iżby tam wysłuchał mnóstwa rzeczy, między innymi, że zostanie skazany na więzienie, w charakterze kupca. Kiedy w jakiejś chwili swego gorączkowego życia Lucjan odczytał te gryzmoły, otrzymał już zawiadomienie o wyroku zyskanym przeciw niemu zaocznie. Koralia, nie wiedząc, o co chodzi, myślała, że Lucjan zaręczył za szwagra; oddała mu wszystkie akta razem, zbyt późno. Aktorka za często widzi w wodewilach aktorów w roli komorników, aby brać poważnie pozew.

Lucjan miał łzy w oczach, rozczulił się nad Séchardem, zawstydzil się swego fałszerstwa, chciał zapłacić. Oczywiście poradził się przyjaciół, co czynić, aby zyskać na czasie. Ale kiedy Lousteau, Blondet, Bixiou, Natan pouczyli Lucjana o tym, jak mało groźną instancją dla poety jest trybunał handlowy, jurysdykcja dla sklepikarzy, poeta znajdował się już pod grozą zajęcia. Ujrzał na drzwiach owe żółte ogłoszenie, od którego portierey pełzną i blakną, które posiada porażające własności dla wszelkiego kredytu, wnosi postrach w serca najdrobniejszych dostawców, a zwłaszcza ścina krew w żyłach poetów, dość czułych, aby się przywiązać do tych kawałków drzewa, tych łachów jedwabiu, tych placht kolorowej wełny, słowem błahostek, które nazywamy „urządzeniem”.

Kiedy ludzie zjawili się, aby wynosić meble Koralii, autor *Stokroci* pobiegł do przyjaciela młodych cyganów, adwokata Desroches, który zaczął się śmiać, widząc Lucjana w przerażeniu dla takiej drobnostki.

— To nic, mój drogi... Chcesz zyskać na czasie?

— Ile tylko się da!

— Więc dobrze, załóż sprzeciw. Zgłoś się do jednego z moich przyjaciół, pana Massona, obrońcy handlowego, zanieś mu dokumenty, wniesie sprzeciw, stanie za ciebie i uchyli kompetencję trybunału. To nie przedstawia najmniejszych trudności, jesteś dziennikarzem dość znanym. O ile cię pozwą przed trybunał cywilny, zgłoś się do mnie, to już moja rzecz: zobowiązuję się wystrychnąć na dudka tych, co chcą dokuczać pięknej Koralii.

28 maja Lucjan, pozwany przed trybunał cywilny, został skazany rychlej, niż myślał Desroches, ścigano go bowiem z całym rygiorem praw. Kiedy dokonano nowego zajęcia, kiedy żółta kartka ponownie ozdobiła pilastry<sup>827</sup> i kiedy chciano zabierać meble, Desroches, nieco zawstydzony, iż dał się „wykiwać” koledze (to jego wyrażenie), założył sprzeciw, utrzymując, słusznie zresztą, że meble są własnością panny Koralii; wygotował rekurs<sup>828</sup>. Na podstawie rekursu prezydent trybunału odesłał strony do rozprawy, na której własność mebli przyznano sądownie aktorce. Métiviera, który apelował od wyroku, oddalono nowym wyrokiem z dnia 30 lipca.

Sąd

7 sierpnia Cachan otrzymał pocztą olbrzymi plik akt zatytułowany:

List, Pieniądz, Sąd

*Métivier przeciw Séchardowi i Lucjanowi Chardonowi*

Pierwszy akt przedstawiał następujący śliczny rachunczek, o gwarantowanej autentyczności, ponieważ jest wprost skopiowany:

Akcept z d. 30 kwietnia br. wystawiony przez Sécharda-syna na zlecenie Lucjana de Rubempré. (2 maja) Rachunek zwrotny... 1037 fr. 45 c.

(5 maja) Doniesienie o rachunku zwrotnym i proteście wraz z pozwaniem przed trybunał handlowy miasta Paryża na 7 maja... 8 „ 75 „

(7 maja) Rozprawa, wyrok zaoczny z przymusem pozbawienia wolności... 35 fr. — c.

(10 maja) Doręczenie wyroku... 8 „ 50 „

(12 maja) Nakaz zajęcia... 5 „ 50 „

(14 maja) Protokół zajęcia... 16 „ — „

(18 maja) Protokół przyłożenia pieczęci... 5 „ 25 „

(19 maja) Ogłoszenie w dzienniku sądowym... 4 „ — „

<sup>826</sup>niemożebność (daw.) — niemożliwość. [przypis edytorski]

<sup>827</sup>pilaster — detal architektoniczny w formie kolumny przylegającej do ściany. [przypis edytorski]

<sup>828</sup>rekurs (daw., z łac.) — odwołanie się. [przypis edytorski]

(24 maja) Protokół zeznań świadków, spisany przed sprzedażą ruchomości i zawierający sprzeciw imć pana Lucjana de Rubempré... 12 „ — „

(27 maja) Wyrok trybunału, który w uwzględnieniu przytoczonych okoliczności, odsyła, na podstawie prawnie uzasadnionego sprzeciwu, strony przed trybunał cywilny... 35 „ — „

(28 maja) Powołanie w krótkiej drodze przez pana Métiviera przed trybunał cywilny z ustanowieniem zastępcy prawnego... 6 „ 50 „

(2 czerwca) Wyrok wydany w obecności strony, skazujący Lucjana Chardona na zapłacenie w całości rachunku zwrotnego, obciążający zaś powoda kosztami sprawy przed trybunałem handlowym... 150 „ — „

(6 czerwca) Zawiadomienie o tymże... 10 „ — „

(15 czerwca) Nakaz zajęcia... 5 „ 50 „

(19 czerwca) Protokół poprzedzający zajęcie i zawierający sprzeciw odnośnie do tegoż wniesiony przez pannę Koralię, która utrzymuje, iż ruchomości należą do niej, i żąda natychmiastowego przesłuchania w razie nieuwzględnienia... 20 fr. — c.

Nakaz prezydenta trybunału, który naznacza rozprawę celem przesłuchania strony odnośnie do tej okoliczności... 40 „ — „

(19 czerwca) Wyrok, który przyznaje własność ruchomości rzeczonyj panie Koralii... 250 „ — „

(20 czerwca) Apelacja Métiviera... 17 „ — „

(30 czerwca) Ostateczne zatwierdzenie wyroku... 250 „ — „

Razem... 889 „ — „

Weksel z 31 maja, rachunek zwrotny... 1037 fr. 45 c.

Doręczenie panu Lucjanowi Chardonowi... 8 „ 75 „

Razem... 1046 fr. 20 c.

Weksel z dnia 30 czerwca, rachunek zwrotny... 1037 fr. 45 c.

Doręczenie panu Lucjanowi Chardonowi... 8 „ 75 „

Razem... 1046 fr. 20 c

Aktom tym towarzyszył list, w którym Métivier dawał panu Cachanowi, swemu zastępcy prawnemu w Angoulême, zlecenie ścigania Dawida Sécharda za pomocą wszelkich prawnych środków. Imć Wiktor Anioł Hermenegildiusz Doublon pozwał tedy dnia 3 lipca Dawida Sécharda przed trybunał handlowy w Angoulême o zapłacenie łącznej sumy czterech tysięcy osiemnastu franków osiemdziesięciu pięciu centymów, tj. wysokości trzech weksli i już narosłych kosztów. W dniu, w którym Doublon miał przedłożyć nakaz zapłacenia tej olbrzymiej dla Séchardów sumy, Ewa otrzymała rano piorunujący list, skreślony przez Métiviera.

Do Pana Sécharda-syna, drukarza w Angoulême

Pański szwagier, p. Chardon, jest człowiekiem oczywistej złej wiary; w odpowiedzi na mój pozew zgłosił ruchomości swoje pod nazwiskiem aktorki, z którą żyje. Powinien był mnie W-ny Pan uprzedzić lojalnie o tych okolicznościach, aby mnie nie narażał daremnie na kroki sądowe; nie odpowiedział bowiem W-ny Pan na mój list z 10 maja br. Niech mi Pan tedy nie bierze za złe, że zażądaję natychmiastowego wyrównania trzech akceptów wraz ze wszystkimi kosztami. Z poważaniem

*Métivier*

Nie słysząc od dawna o niczym, Ewa, mało uczona w prawie handlowym, mniemała, iż brat naprawił zbrodnię, wykupując podrobione akcepty.

— Dawidzie — rzekła do męża — biegnij przede wszystkim do Petit-Clauda, wytłumacz mu nasze położenie i poradź się go.

— Mój drogi — rzekł biedny drukarz, wchodząc do kancelarii kolegi, do którego udał się śpiesznie — kiedy przyszedłeś mi oznajmić o swym mianowaniu i ofiarować usługi, nie wiedziałem, że tak szybko będę ich potrzebował.

Skoro Dawid usiadł w fotelu naprzeciw adwokata, Petit-Claud zagłębił się w pięknej twarzy myśliciela, nie słuchał bowiem szczegółów sprawy, którą znał lepiej niż ten, który mu je wykladał. Od pierwszej chwili, widząc zaniepokojone oblicze Sécharda, pomyślał: „Udało się”.

Tego rodzaju scena rozgrywa się dość często w kancelariach adwokackich.

„Czemu Cointetowie go prześladowają?...” — zapytywał sam siebie Petit-Claud.

Jest w naturze adwokatów chęć przeniknięcia równie dobrze duszy swoich klientów, co przeciwników; trzeba im znać jednak dobrze podszewkę, jak wierzch tkaniny sądowej.

— Chcesz zyskać na czasie — odparł wreszcie Petit-Claud, kiedy Séchard skończył. — Ile ci trzeba? Jakież trzy, cztery miesiące?

— Och, cztery miesiące! Jestem ocalony! — wykrzyknął Dawid, któremu Petit-Claud wydał się aniołem.

— Więc dobrze, nie tkną ci ani jednego mebla i nie będą mogli uwięzić cię przed trzema lub czterema miesiącami... Ale będzie cię to kosztowało drogo — rzekł Petit-Claud.

— Ech, to drobnostka! — wykrzyknął Séchard.

— Spodziewasz się jakichś wpływów, czy jesteś ich pewny?... — spytał adwokat, prawie zdumiony łatwością, z jaką klient wchodzi w jego machinację.

— Za trzy miesiące będę bogaty — odparł wynalazca z pewnością wynalazcy.

— Twój ojciec jeszcze nie patrzy na księżą oborę — rzekł Petit-Claud — woli bezpieczne schronienie w chłodnej piwniczce.

— Alboż ja liczę na śmierć ojca?... — odparł Dawid. — Jestem na tropie sekretu, który pozwoli mi wyrabiać bez źdźbła bawelny papier równie trwałe jak holenderski, a o pięćdziesiąt procent tańszy...

— To majątek! — wykrzyknął Petit-Claud, który zrozumiał Cointeta.

— Wielki majątek, przyjacielu; za dziesięć lat trzeba będzie dziesięć razy więcej papieru, niż go się zużywa obecnie. Dziennikarstwo będzie szaleństwem naszych czasów.

— Nikt nie zna tego sekretu?

— Nikt prócz żony.

— Nie zwierzałeś swego projektu, swoich planów komukolwiek... Cointetom, na przykład?

— Wspominałem coś, ale tylko ogólnie, jak sędzę.

Błysk szlachetności przebiegł w przepojonej żółcią duszy Petit-Clauda, który zapragnął wszystko pogodzić: interes Cointetów, swój i Sécharda.

— Słuchaj, Dawidzie, jesteśmy koledzy ze szkół, będę cię bronił; ale wiedz dobrze, ta obrona na wspak prawu będzie cię kosztowała pięć do sześciu tysięcy!... Nie narażaj swojego mienia. Sądzę, że będziesz zmuszony podzielić korzyści wynalazku z którymś z naszych fabrykantów. Zastanów się, sporo wody upłynie, nim zdołasz kupić albo zbudować papiernię; trzeba ci będzie zresztą opatentować wynalazek... Wszystko to wymaga czasu i pieniędzy. Komornicy rzucą się na ciebie może za wcześnie, mimo sztuczek, jakimi spróbujemy się bronić...

— Mam swoją tajemnicę — rzekł Dawid z naiwnością uczonego.

— A zatem tajemnica twoja będzie twą deską zbawienia — odparł Petit-Claud, odrzucony w pierwotnej i lojalnej intencji uniknięcia procesu za pomocą układu — nie chcę jej znać; ale posłuchaj mnie dobrze: skryj się ze swoją pracą gdzieś pod ziemię, niech cię nikt nie widzi i nie może podejrzewać środków wykonania, inaczej deskę twoją wykradną ci spod nóg... Wynalazca bywa niekiedy bardzo naiwny! Nadto myślisz o swoich sekretach, aby móc myśleć o wszystkim. W końcu zaczną się domyślać celu twoich poszukiwań, otoczony jesteś fabrykantami! Ilu fabrykantów, tylu wrogów! Wydajesz mi się niby gronostaj wśród strzelców, baczże, abyś im nie oddał skóry...

— Dziękuję, drogi kolego, sam sobie powtarzałem to wszystko — wykrzyknął Séchard — ale wdzięczny ci jestem, iż okazujesz mi tyle przezorności i troski... Nie o mnie chodzi w tym przedsięwzięciu. Mnie tysiąc dwieście franków rocznie starczyłoby w zupełności, ojciec zaś zostawi mi kiedyś co najmniej trzy razy tyle... Żyję miłością i myślą! Boskie życie... Chodzi o Lucjana i o żonę, dla nich pracuję...

— Dobrze więc, podpisz to pełnomocnictwo i nie zaprzataj się już niczym prócz swego wynalazku. W chwili gdy trzeba będzie ukryć się przed dekretem uwięzienia, uprzedzę

cię w wilię, należy wszystko przewidywać. I przyjm ode mnie rade, abys nie pozwolił wchodzić w swój próg nikomu, kogo nie jesteś pewien jak samego siebie.

— Cérizet nie zgodził się odnowić dzierżawy, stąd te drobne kłopoty pieniężne. Zostaje przeto w domu jedynie Maryna, Kolb — Alzacyjny przywiązany do mnie jak pies — żona moja i teściowa...

— Słuchaj — rzekł Petit-Claud — nie trzeba ufać i psu...

— Nie znasz go! — wykrzyknął Dawid. — Kolb to drugi ja.

— Godzisz się, abym go wziął na próbę?

— Dobrze — rzekł Séchard.

— Zatem do widzenia; racz powiedzieć pięknej pani Séchard, aby się potrudziła do mnie; pełnomocnictwo żony jest nieodzowne. I, mój drogi, nie zapominaj, że dach pali ci się nad głową — rzekł Petit-Claud, uprzedzając w ten sposób Dawida o wszystkich nieszczęściach prawnych, jakie miały się zwać na niego.

„Jestem tedy jedną nogą w Burgundii, a drugą w Szampanii” — rzekł do siebie Petit-Claud, odprowadzając przyjaciela swego Dawida do drzwi kancelarii.

Dreńczony kłopotami, jakie przynosi z sobą brak pieniędzy, zgryzotami, jakie mu sprawiał stan żony, podciętej haniebnym postępkami Lucjana, Dawid szukał ciągle rozwiązania swego problemu; otóż, udając się do Petit-Clauda, żuł po drodze, przez roztargnienie, w ustach łydę pokrzywy, którą włożył był do wody, aby dojść do jakiegoś sposobu moczenia łydę przeznaczonych na materiał do wyrobu masy. Idąc przez ulicę, dosyć zadowolony z konferencji, znalazł w zębach kulkę miazgi, wziął ją na rękę, rozpląszczył i ujrzał masę doskonalszą od wszystkich swych dotychczasowych kompozycji; główną bowiem ujemną stroną miazgi roślinnej jest brak spójności. Słoma, na przykład, daje papier łamiący się, jakby metaliczny i dźwięczny. Przypadki takie wchodzi w rękę jedynie śmiałym poszukiwaczom naturalnych przyczyn!

„Trzeba mi teraz — rzekł sobie — operację, której dokonałem w tej chwili bezwiednie, zastąpić działaniem maszyny i czynnika chemicznego”.

Stanął przed żoną w upojeniu wiary i triumfu.

— Och, mój aniele, bądź bez obawy! — rzekł Dawid, widząc, że żona płakała. — Petit-Claud ręczy nam za spokój na kilka miesięcy. Wynikną z tego koszty, ale ostatecznie, jak powiedział mi na rozstaniu: „Każdy obywatel ma prawo kazać czekać wierzycielowi, byle w końcu zapłacił kapitał, procenty koszty!... Więc dobrze, zapłacimy”.

— A żyć? — rzekła biedna Ewa, która myślała o wszystkim.

— Och, to prawda! — odparł Dawid, podnosząc rękę do ucha owym nieokreślonym ruchem, wspólnym prawie wszystkim ludziom w zakłopotaniu.

— Matka będzie pilnować Lucusia, a ja mogę zacząć pracować — rzekła.

— Ewo! O moja Ewo! — rzekł Dawid, obejmując żonę i tuląc ją do serca. — Ewo, dwa kroki stąd, w Saintes, w szesnastym wieku, jeden z największych Francuzów — nie tylko bowiem był wynalazcą emalii, był również chlubnym poprzednikiem Buffona<sup>829</sup>, Cuviera<sup>830</sup>; tak, wynalazł geologię przed nimi, ów dobroduszny człeczyna! — Bernard Palissy, nękanym był namiętnością szukania tajemnic; ale miał żonę, dzieci, całą dzielnicę przeciw sobie. Żona sprzedała mu narzędzia... Błądził po wsiach, niezrozumiany, ścigany, wytykany palcem!... Ale ja jestem kochany...

— Mocno kochany! — odparła Ewa ze spokojnym wyrazem miłości, która jest pewna samej siebie.

— Można ścierpieć wówczas to, co wycierpiał ów biedny Bernard Palissy, twórca ekuenskich<sup>831</sup> fajansów, którego Karol Dziewiąty<sup>832</sup> oszczędził w noc świętego Bartłomieja i który w końcu, w obliczu Europy, stary, bogaty i szanowany, wygłaszał swoje publiczne wykłady o nauce ziemnej, jak ją nazywał.

<sup>829</sup> Buffon, Georges Louis Leclerc de (1707–1788) — francuski przyrodnik i filozof; wywarł wielki wpływ na rozwój przyrodznawstwa w XVIII w. [przypis edytorski]

<sup>830</sup> Cuvier, Georges (1769–1832) — wybitny francuski zoolog i paleontolog, współtwórca anatomii porównawczej. [przypis edytorski]

<sup>831</sup> ekuenski — pochodzący z Ecouen, miasta w pobliżu Paryża. [przypis edytorski]

<sup>832</sup> Karol IX Walezjusz (1550–1574) — król Francji (od 1560); na jego panowanie przypada początek wojen religijnych we Francji po masakrze hugenotów (francuskich protestantów) w Wassy (1562) oraz krwawa rozprawa z hugenotami w Paryżu (tzw. noc św. Bartłomieja, 1572). [przypis edytorski]

— Póki moje ręce będą miały siłę utrzymać żelazko, nie będzie ci zbywać na niczym! — wykrzyknęła biedna kobieta z akcentem najgłębszego poświęcenia. — Gdy byłam starszą pracownicą u pani Prieur, zaprzyjaźniłam się z młodą panią bardzo zącną, krewną Postela, Brygidą Clerget; otóż Brygida oznajmiła mi, odnosząc bieliznę, że obejmuje zakład po pani Prieur; pójdę pracować u niej...

— Och! Nie będziesz pracowała długo! — odparł Séchard. — Znalazłem...

Pierwszy raz szczytna wiara w zwycięstwo, która podtrzymuje wynalazców i daje im odwagę, aby iść naprzód w dziewicze lasy odkryć, wywołała u Ewy uśmiech niemal smutny, pod którym Dawid opuścił głowę posępnym ruchem.

— Och, najdroższy, ja nie drwię sobie, ja się nie śmieję, nie wątpię! — wykrzyknęła piękna Ewa, klękając przed mężem. — Ale widzę, jak słusznie postępowałeś, zachowując najgłębsze milczenie o swoich próbach, nadziejach. Tak, najdroższy, wynalazcy powinni skrywać uciążliwe rodzenie swej chwały; powinni je ukrywać całemu światu, nawet własnej żonie!... Kobieta jest zawsze kobietą. Twoja Ewa nie mogła się wstrzymać od uśmiechu, słysząc, jak mówisz: „Znalazłem!...” siedemnasty raz w ciągu miesiąca.

Dawid zaczął się śmiać tak szczerze z samego siebie, że Ewa wzięła go za rękę i ucałowała ją ze czcią. Była to rozkoszna chwila, jedna z owych róż ukochania i tkliwości, jakie kwitną na skraju najbardziej wyschłych dróg nędzy, niekiedy na dnie przepaści.

Ewa zdwoiła męstwo, widząc, jak nieszczęście podwaja swą furję. Wielkość męża, naiwność wynalazcy, lzy, jakie podchwyciła nieraz w oczach tego człowieka serca i poezji, wszystko rozwinęło w niej niesłychaną siłę oporu. Szukała jeszcze raz ratunku w sposobie, który się jej tak powiódł. Napisała do Métiviera, aby ogłosił sprzedaż drukarni, ofiarując się spłacić go z uzyskanej sumy i błagając, by nie rujnował Dawida niepotrzebnymi kosztami. Wobec tego sprytnego listu Métivier przytaił się; dysponent odpowiedział, iż w nieobecności pana Métiviera nie może na własną rękę wstrzymać pościgu, ponieważ nie jest to obyczajem jego pryncypała. Ewa ofiarowała odnowienie weksli z poniesieniem wszystkich kosztów, na co dysponent przystał, byle ojciec Dawida zgodził się dać gwarancję lub pokrycie. Wówczas Ewa udała się pieszo do Marsac w towarzystwie matki i Kolba. Wzięła w obroty starego winiarza, była urocza, zdołała rozchmurzyć tę wyschlą fizjonomię, ale kiedy z bijącym sercem wspomniała o gwarancji, ujrzała nagłą i zupełną zmianę na twarzy opoja.

— Gdybym tylko pozwolił synowi, aby przyłożył mi rękę do warg, do krajuszka mej kasy, zanurzyłby ją niebawem aż do samych trzewiów i wypróżniłby wszystko! — wykrzyknął. — Dzieci zawsze żerują w sakiewce ojcowskiej. He, he! A jakże ja dawałem sobie rady? Nie kosztowałem rodziców ani złamanego szeląga. Drukarnia stoi pustką. Jedynie szczury i myszy przychodzą tam drukować... Ty jesteś ładna, lubię cię, jesteś dbała i pracowita; ale syn!... Wiesz, co jest Dawid? Więc ci powiem: uczony nygus<sup>833</sup>. Gdybym go był zostawił, jak mnie zostawiono, nieznanego liter, i gdybym zrobił zeń niedźwiedzia, jak jego ojciec, miałby dziś majątek... Och, to mój krzyż, ten chłopiec, moje utrapienie!... I na nieszczęście jednak; nie ma co bowiem myśleć o drugim nakładzie! Wreszcie, ciebie unieszczęśliwia tylko...

Ewa energicznie zaprotestowała gestem.

— Tak — ciągnął, odpowiadając na jej gest — musiałś wziąć mamkę, zgryzota spędziła ci pokarm. Wiem wszystko, daj pokój, wisicie w trybunale, obębniiono was po mieście. Ja byłem tylko niedźwiedziem, nie jestem uczony, nie byłem protem u Didotów, chluby naszego drukarstwa; ale nigdy nie korespondowano ze mną na stemplowym papierze! Wiesz, co sobie mówiłem, obchodząc moje wino, pielęgnując je i zbierając, popychając pomału swoje interesa?... Ot, co mówiłem: „Mój biedny stary, zadajesz sobie wiele trudu, ciulasz talar do talara, zostawisz ładny kawał grosza na komorników, na adwokatów albo na chimery, na fantazje...” Ot, moje dziecko, jesteś matką chłoptasia, który, tak mi się widziało, kiedy go trzymałem do chrztu z panią Chardon, ma w miejsce nosa taką samą trufkę jak jego dziadek; otóż słuchaj mnie: myśl nie tyle o mężu, co o tym huncwocie... Mam zaufanie do ciebie... Ty mogłabyś ocalić mój majątek... mój biedny mająteczek...

<sup>833</sup>nygus (daw. pot.) — leń, człowiek wymigujący się od pracy. [przypis edytorski]

— Ależ, papusiu, syn będzie twoją chlubą, ujrzysz go pewnego dnia bogatym, bogatym własną pracą, z wstążeczką Legii Honorowej<sup>834</sup> na piersi...

— Niby skąd? — spytał winiarz.

— Zobacz ojciec! Ale nim to nastąpi, czy zrujnowałby cię tysiąc talarów?... Tysiącem talarów mógłbyś wstrzymać pościg... Więc dobrze, jeśli nie masz zaufania do Dawida, pożycz mnie, ja ci oddam, ubezpieczysz je na moim posagu, na mojej pracy...

— Zatem Dawida ścigają? — wykrzyknął winiarz, zdumiony, iż to, co uważał za potwarz, jest prawdą. — Oto co znaczy umieć się podpisać!... A moje czynsze!... O, panienko, trzeba mi w te pędy iść do Angoulême, zabezpieczyć się i pogadać z Cachanem, moim zastępcą... Ślicznieś zrobiła, żeś mnie przysła odwiedzić... Dobrze wiedzieć zawczasu, jak rzeczy stoją...

Po dwugodzinnej walce Ewa musiała odejść, pobita tym niezwykłym argumentem: „Kobiety nie mają pojęcia o interesach”. Przybywszy z nieokreśloną nadzieją, Ewa puściła się z powrotem niemal złamana. Wróciwszy, trafiła właśnie na czas, aby otrzymać wyrok skazujący Sécharda na zapłacenie Métivierowi całej sumy. Na prowincji obecność woźnego u drzwi jest sama z siebie wielkim wydarzeniem; ale Doublon zachodził tu od jakiegoś czasu zbyt często, aby sąsiedztwo nie miało o tym gadać. Toteż Ewa nie śmiała wychodzić z domu, obawiała się usłyszeć po drodze szepty.

— Och, bracie, bracie! — wykrzyknęła biedna Ewa, przebiegając korytarz i wstępując na schody. — Nie mogłabym ci przebaczyć, chyba w godzinie...

— Ha! — rzekł Séchard, który wyszedł naprzeciw. — Chodziło o to, aby go ratować od samobójstwa.

— Nie mówmy więc już o nim nigdy — odparła łagodnie. — Kobieta, która go wciągnęła w otchłań Paryża, ma ciężką zbrodnię na sumieniu!... A twój ojciec, Dawidzie, jest bardzo nielitościwy!... Cierpmy w milczeniu.

Dyskretne pukanie wstrzymało tkliwe słowa na ustach Dawida; ukazała się Maryna, ciągnąc przez pokój wielkiego i zwalistego Kolba.

— Proszę pani — rzekła — oboje, Kolb i ja, widzimy, że państwo są w ciężkim kłopotcie; że zaś mamy razem do kupy tysiąc i sto franków oszczędności, pomyśleliśmy, że nie można by lepiej ich ulokować niż w rękach pani...

— Hum, hum — przytwierdził Kolb z zapalem.

— Kolbie — wykrzyknął Dawid Séchard — nie rozstaniemy się nigdy! Zanieś tysiąc franków na rachunek do Cachana, adwokata, ale żądaj pokwitowania; zatrzymamy resztę. Kolbie, niech żadna siła ludzka nie wydrze ci słowa o tym, co ja robię, kiedy się wydałam<sup>835</sup> z domu, o tym, co mógłbyś wiedzieć, że przynoszę z sobą. Kiedy cię pošlę, abys nzbierał ziół, wiesz, niech żadne oko ludzkie cię nie ujrzy. Będą starali się, mój dobry Kolbie, przekupić cię, ofiarując ci tysiące, może dziesiątki tysięcy, abyś...

— Szepcy mi tafali miliony, nie biznąpym ani zło! A po ja do nie snam, co je rosgaz fojsgofy?

— Zatem wiesz, czego się trzymać, maszeruj i poproś pana Petit-Clauda, aby był obecny przy wręczaniu gotówki panu Cachanowi.

— Tag — rzekł Alzatczyk — zbocifam zię gietyż pydź tozyć pokady, szepcy mu fykarpofać mortę, demu gausybercie<sup>836</sup>! Nie botopa mi się jeko wadzjada!

— To dobry człowiek, proszę pani — rzekła gruba Maryna — mocny jak wół, a łagodny jak baranek. Szczęśliwa kobieta, która by go dostała za męża! Toć to on wpadł na tę myśl, aby tak umieścić nasze *sazhuki*! Zacne człeczysko! Źle gada, ale dobrze myśli, i rozumiem go i tak. Wybiera się już iść pracować do obcych, żeby domu nic nie kosztować.

— Chciałoby się zostać bogatym bodaj po to, aby nagrodzić tych dzielnych ludzi — rzekł Séchard, spoglądając na żonę.

Ewie zdawało się to zupełnie proste, nie była zdziwiona, spotykając duszę na wysokości swojej. Zachowanie jej byłoby wytłumaczyło całą piękność jej charakteru najtępszemu osobnikowi, nawet obojętnemu.

<sup>834</sup>Legia Honorowa — najwyższy order francuski, ustanowiony przez Napoleona I w 1802 r. [przypis edytorski]

<sup>835</sup>wydałać się — oddalać się skądś, opuszczać jakieś miejsce. [przypis edytorski]

<sup>836</sup>gausyberta — znieksz. kauzyperda, tj. nieudolny prawnik. [przypis edytorski]

— Będzie pan bogaty, drogi panie, chlebuś już jak w szabaśniku<sup>837</sup> — zawołała Maryna — ojciec kupił nowy folwark, gromadzi dla was, gromadzi ładny mająteczek...

W tych okolicznościach te słowa, powiedziane przez Marynę, aby zmniejszyć poniekąd wartość jej postępków, czyż nie zdradzały już same najwyborniejszej delikatności?

Jak wszystkie rzeczy tego świata, procedura francuska ma swoje błędy; mimo to, jak broń ma dwa ostrza, i ona służy zarówno do obrony, jak do ataku. Prócz tego to w niej jest zabawne, że jeśli dwaj adwokaci porozumieją się (a mogą się porozumieć, nie wymieniając ani dwóch słów, rozumieją się za pomocą samych kroków swojej procedury), wówczas proces podobny jest do wojny takiej, jak ją prowadził pierwszy marszałek de Biron<sup>838</sup>, któremu syn poddawał przy oblężeniu Rouen sposób wzięcia miasta w dwa dni; „Tak ci już pilno — odparł — wrócić do sadzenia kapusty?” Dwaj wodzowie mogą wlec wojnę w nieskończoność, nie doprowadzając do niczego stanowczego i oszczędzając armię wedle metody austriackich generałów, których Rada Nadworna nigdy nie potępia za to, iż chybili jakiej kombinacji, aby pozwolić zjeść w spokoju obiad żołnierzom. Imć Cachan, Petit-Claud i Doublon zachowali się jeszcze lepiej niż generałowie austriaccy, wzorowali się na Austriaku starożytności, na Fabiuszu Kunktatorze<sup>839</sup>.

Petit-Claud, chytry jak muł, szybko zrozumiał wszystkie korzyści swej pozycji. Z chwilą gdy Cointet gwarantował koszty, adwokat postanowił grać w ciuciubabkę z Cachanem i błysnąć swoim talentem przed oczyma fabrykanta papieru, stwarzając incydenty, które by obciążyły Métiviera. Ale nieszczęściem dla chwały tego młodego Figara<sup>840</sup> palestry<sup>841</sup> historyk musi przejść przez teren jego czynów tak, jakby stąpał po rozżarzonych węglach. Jeden rachunek kosztów, jak ów paryski, wystarcza z pewnością dla historii współczesnych obyczajów. Naśladujmy tedy styl biuletynów Wielkiej Armii<sup>842</sup>; dla jasności bowiem opowiadania, im szybsze będzie streszczenie czynów i działań Petit-Clauda, tym lepszą będzie ta stronica wyłącznie sędownicza.

Pozwany 3 lipca przed trybunał w Angoulême, Dawid nie stawiał się; ósmego doręczono wyrok. Dziesiątego Doublon zakomunikował mu nakaz zajęcia i usiłował w istocie 12 lipca dokonać tegoż zajęcia, któremu sprzeciwił się Petit-Claud, pozywając wzajem Métiviera z terminem dwutygodniowym. Ze swej strony Métivierowi wydał się ten czas zbyt długi; odpowiedział nowym pozwem krótkoterminowym i uzyskał dziewiętnastego wyrok, który oddalił Sécharda z jego sprzeciwem. Ten wyrok, doręczony bez zwłoki dwudziestego pierwszego, uprawnił do zajęcia dnia dwudziestego drugiego, nakazu uwięzienia dwudziestego trzeciego i protokołu zajęcia dwudziestego czwartego. Ta gorączka okupacyjna spotkała się z zaporą ze strony Petit-Clauda, który sprzeciwił się, zgłaszając apelację. Apelacja ta, ponowiona 15 lipca, ściągnęła Métiviera do Poitiers.

— Dobrze — powiedział sobie Petit-Claud — możemy zostać jakiś czas w tym punkcie.

Z chwilą gdy raz burza skierowała się na Poitiers, do adwokata trybunału apelacyjnego, któremu Petit-Claud dał instrukcje, dwulicowy ten obrońca pozwał w krótkiej drodze Dawida Sécharda, imieniem pani Séchard, o separację majątkową. Wedle wyrażenia trybunału, „przypiłował” sprawę w ten sposób, iż uzyskał wyrok separacji 28 lipca, ogłosił go w „Kurierze Charenty” i zalegalizował po formie<sup>843</sup>. Dnia 1 sierpnia odbyła się w obecności rejenta likwidacja pretensji pani Séchard, która stawała się wierzycielką męża na drobną sumę dziesięciu tysięcy posagu, jaki rozkochany oblubieniec przyznał jej w kontrakcie ślubnym. Na pokrycie tej pretensji Dawid ustąpił jej ruchomości dru-

<sup>837</sup>szabaśnik — piec chlebowy, piekarnik. [przypis edytorski]

<sup>838</sup>Gontaut-Biron, Armand de (1524–1592) — marszałek Francji (od 1576) za panowania Henryka IV. Podczas wojny przeciwko Lidze Katolickiej oblegał Rouen; pod jego dowództwem w kampanii brał udział jego syn, Charles de Gontaut-Biron (1562–1602). [przypis edytorski]

<sup>839</sup>Fabiusz Kunktator, właśc. Quintus Fabius Maximus (ok. 280–203 p.n.e.) — rzymski polityk i wódz z czasów II wojny punickiej; stosował przeciw Hannibalowi taktykę unikania otwartego starcia, nękając wrogie oddziały i prowadząc wojnę na wyczerpanie, stąd otrzymał przydomek Cunctator, tj. zwlekający. [przypis edytorski]

<sup>840</sup>Figaro — obdarzony błyskotliwą inteligencją, energiczny i sprytny służący hrabiego Almavivy, bohater komedii Pierre’a Beaumarchais’go, spopularyzowanych przez opery Rossiniego i Mozarta. [przypis edytorski]

<sup>841</sup>palestra — ogół adwokatów; adwokatura. [przypis edytorski]

<sup>842</sup>Wielka Armia (fr. Grande Armée) — armia francuska dowodzona przez Napoleona I w okresie wojen napoleońskich. [przypis edytorski]

<sup>843</sup>po formie (daw. rusycyzm) — zgodnie z formą, tj. z przepisami lub z przyjętym sposobem zachowania się. [przypis edytorski]

karni oraz prywatnego mieszkania. Ubezpieczywszy w ten sposób mienie małżeństwa, Petit-Claud przeforsował w Poitiers zasadę, na której oparł swą apelację. Wedle niego, Dawid nie był odpowiedzialny za koszty, jakich przyczynił w Paryżu pościg przeciw Lucjanowi de Rubempré, ile że cywilny trybunał departamentu Sekwany w wyroku swoim obciążył nimi Métiviera. Pogląd ten, uznany przez trybunał za słuszny, uświęcono wyrokiem, który zatwierdził pretensje wytoczone przed trybunał handlowy w Angoulême przeciw Dawidowi Séchardowi, uchylając z nich sumę sześciuset franków z kosztów paryskich, przerzuconych na Métiviera, rozkładając niektóre koszty między strony, zważywszy okoliczności usprawiedliwiające apelację Sécharda. Wyrok ten, doręczony 17 sierpnia Dawidowi Séchardowi, wyraził się dnia 18 sierpnia w nakazie zapłacenia kapitału, procentów i należnych kosztów; w ślad za nim nastąpił protokół zajęcia 20 sierpnia. Tutaj Petit-Claud założył sprzeciw w imieniu pani Séchard i zażądał wyłączenia ruchomości, jako należących do legalnie separowanej małżonki. Co więcej, Petit-Claud wprowadził na scenę starego Sécharda, który stał się jego klientem. Oto w jaki sposób:

Nazajutrz po odwiedzinach synowej stary winiarz udał się do swego zastępcy prawnego, Cachana, aby się go poradzić o zabezpieczenie zaległych czynszów, narażonych na niebezpieczeństwo w katastrofie synowskiej.

— Nie mogę zajmować dla ojca wówczas, gdy ścigam syna, ale idź pan pomówić z Petit-Claudem; to zręczna sztuka, wygodzi panu może lepiej ode mnie.

W trybunale Cachan rzekł do Petit-Clauda:

— Posłałem ci starego Sécharda, zajmij za mnie, zrewanżuję się przy sposobności.

Między adwokatami, zarówno na prowincji, jak w Paryżu, praktykuje się tego rodzaju usługi.

Nazajutrz Wielki Cointet odwiedził swego przymierzeńca i rzekł:

— Staraj się pan dać szkołę ojcu Séchardowi! Ten człowiek nigdy nie darowałby synowi, że go kosztował tysiąc franków; uraza ta wysuszy w jego sercu wszelką szlachetną myśl, gdyby nawet zakiełkowała!

— Wracaj pan do swego wina — rzekł Petit-Claud nowemu klientowi — syn pański jest w kłopotach, nie obciążaj go pan swoim wiktem. Wezwę pana, gdy będzie czas.

Zatem w imieniu starego Sécharda Petit-Claud wystąpił z twierdzeniem, że prasy, bezprawnie opieczętowane, są, z przeznaczenia swego, nieruchomością, ile że od panowania Ludwika XIV dom służył za drukarnię. Cachan, oburzony imieniem Métiviera, który, natknąwszy się w Paryżu na meble Lucjana należące do Koralii, znajdował znowuż w Angoulême meble Dawida będące własnością żony i ojca (ładne słówka padły w tym duchu na rozprawie!), pozwał ojca i syna, aby obalić tego rodzaju pretensje.

— Chcemy — wykrzyknął — zdemaskować podstępny tych ludzi, którzy ze złej wiary budują najstraszliwsze fortyfikacje; którzy z najniewinniejszych i najjaśniejszych paragrafów kodeksu robią palisadę dla własnej obrony! I przed czym? Przed zapłatą trzech tysięcy franków! Pobraną gdzie?... W kasie biednego Métiviera. I ktoś śmie jeszcze potępiać eskonterów! W jakich czasach żyjemy!... Czy w końcu, pytam, nie dojdzie do tego, że zacznie się po prostu czerpać w kieszeni sąsiada?... Nie możecie panowie dawać sankcji pretensjom, które wprowadziłyby niemoralność w samo serce wymiaru sprawiedliwości!...

Sąd w Angoulême, wzruszony piękną obroną Cachana, przyznał w obecności stron wyłączną własność mebli jedynie pani Séchard, oddalił pretensje ojca i skazał go w krótkiej drodze na zapłacenie czterystu trzydziestu czterech franków sześćdziesięciu pięciu centymów z tytułu kosztów.

— Dobrze tak staremu Séchardowi — rzekli, śmiejąc się, adwokaci — chciał dobrać się do miodu, niech mu gęba spuchnie!

Dnia 26 sierpnia doręczono wyrok, tak iż 28 sierpnia można było dokonać zajęcia pras i przyborów drukarskich. Przylepiono afisze!... Uzyskano, na prośbę strony, wyrok przyzwalający sprzedaż na miejscu. Zamieszczono ogłoszenie o sprzedaży w dziennikach; Doublon pochlebiał sobie, iż z września będzie mógł przystąpić do sprawdzenia inwentarza i sprzedaży. W tej chwili Dawid Séchard, mocą prawomocnego osądu i wyroku niewołącego do zapłaty, całkiem legalnie winien był Métivierowi łączną sumę pięciu tysięcy dwustu siedemdziesięciu pięciu franków dwudziestu pięciu centymów, nie licząc procentów.



Winien był Petit-Claudowi tysiąc dwieście franków, plus honoraria; cyfrę ich, w duchu szlacheckiego zaufania dorozkarczy, którzy ostro powieźli gościa, zostawiono jego hojności. Pani Séchard winna była Petit-Claudowi około trzystu pięćdziesięciu franków i honoraria. Ojciec Séchard winien był swoich czterysta trzydzieści cztery franki sześćdziesiąt pięć centymów, Petit-Claud zaś żądał odeń sto talarów honorarium. Tak zatem wszystko łącznie mogło dochodzić do dziesięciu tysięcy. Poza użytecznością tych dokumentów dla cudzoziemskich narodów, które będą mogły oglądać w nich grę artylerii sądowej we Francji, godzi się, aby prawodawca (jeżeli w ogóle prawodawca ma czas na czytanie) poznał, jak daleko może zajść nadużycie procedury. Czy nie powinno by się ukuć maleńkiego prawa, które by w pewnych wypadkach zabraniało adwokatom przekraczać kosztami sumy stanowiącej przedmiot procesu? Czy nie jest pocieszne, aby pod dawać półmorgow<sup>844</sup> habendę<sup>845</sup> tym samym formalnościom co milionowe dobra? Dzięki temu bardzo suchemu przedstawieniu wszystkich faz sprawy można zrozumieć znaczenie tych słów: formalność, sprawiedliwość, koszty, o których ogromna większość Francuzów nie ma pojęcia. Oto co się nazywa w gwarze sądowej zapuścić ogień w czyjeś interesy. Czcionki drukarni, ważące pięć tysięcy funtów<sup>846</sup>, warte były, na metal, dwa tysiące franków. Trzy prasy warte były sześćset franków. Resztę sprzedano by jako stare żelastwo i stare drzewo. Urządzenie domu byłoby dało najwyżej tysiąc franków. Zatem z walorów należących do Sécharda-syna i przedstawiających sumę około czterech tysięcy Cachan i Petit-Claud ukuli pretekst do siedmiu tysięcy franków kosztów, nie licząc przyszłości, której kwiat, jak się okaże, zapowiadał dość piękne owoce. Zaiste, kauzyperdzi<sup>847</sup> Francji i Nawarry, ba, nawet Normandii, wyrażą szacunek i podziw imć panu Petit-Claudowi; ale ludzie z sercem czyż nie użyczą lży sympatii Kolbowi i Marynie?

Podczas tej wojny Kolb, warując na krześle przy drzwiach, o ile Dawid go nie potrzebował, spełniał obowiązki czujnego psa. Odbierał akta sądowe, w czym zresztą dependent Petit-Clauda otaczał go ścisłym nadzorem. Kiedy afisze ogłosiły sprzedaż materiału drukarni, Kolb zdarł je natychmiast i pobiegł na miasto zdzierać je również, krzycząc:

— Łajtagi... trędzidyż dagieko sadzneko dźłofiega! Do zię nasyfa zbrafietlifosdź!

Maryna zarabiała do południa dziesięć su, obracając maszynę w papierni, i pokrywała tym codzienne wydatki. Pani Chardon podjęła bez szemrania nużące obowiązki pielęgniarki i przynosiła córce z końcem każdego tygodnia swój zarobek. Odprawiła już dwie nowenny, dziwiąc się, iż znajduje<sup>848</sup> Boga głuchym na prośby i ślepym na światło ofiarowanych świeczek.

2 września Ewa otrzymała jedyny list, jaki napisał Lucjan od czasu, gdy oznajmił szwagrowi puszczenie w obieg jego trzech weksli, co Dawid ukrył był przed żoną.

— Trzeci list, jaki dostałam od niego od wyjazdu! — rzekła biedna siostra, wahając się z rozpieczętowaniem nieszczęsnego papieru.

W tej chwili właśnie dawała pić dziecku; karmiła je z flaszeczki, trzeba było bowiem dla oszczędności oddalić mamkę. Mąż spał: spędziwszy noc na fabrykowaniu papieru, zasnął nad ranem. Można osądzić, w jaki stan, zarówno ją, jak Dawida, którego zbudziła, wprowadziło odczytanie następującego listu:

Paryż, 29 sierpnia

Droga siostrzo!

Przed dwoma dniami, o piątej rano, wydała ostatnie tchnienie jedna z najpiękniejszych istot, jedyna kobieta zdolna mnie kochać tak, jak Ty mnie kochasz, jak kochają mnie Dawid i matka, łącząc do uczuć tak bezinteresownych to, czego nie mogą dać matka i siostra: upojenia miłości! Poświęciwszy mi wszystko, może biedna Koralia umarła dla mnie, dla mnie, który w tej chwili nie mam jej za co pogrzebać... Byłaby mnie pocieszyła po zawodach życia; Wy jedni, drogie anioły, możecie mnie pocieszyć po jej śmierci. Ta święta dziewczyna znajdzie, sądzę, łaskę w oczach Boga, umarła bowiem po

<sup>844</sup>*morga* — dawna miara powierzchni gruntu, nieco ponad 0,5 ha. [przypis edytorski]

<sup>845</sup>*habenda* (daw. żart., z łac.) — mająteczek, niewielka posiadłość. [przypis edytorski]

<sup>846</sup>*funt* — dawna jednostka wagi, wynosząca 0,4–0,5 kg. [przypis edytorski]

<sup>847</sup>*kauzyperda* (daw. pogard.) — lichego prawnika. [przypis edytorski]

<sup>848</sup>*znaleźć kogoś jakimś* (daw.) — zobaczyć, że ktoś jest jakiś; uznać kogoś za jakiegoś; ocenić jako. [przypis edytorski]

chrześcijańsku. Och! Paryż!... Ewo moja, Paryż jest zarazem chwałą i hańbą Francji!... Straciłem już w nim dosyć złudzeń i stracę ich resztę, żebrząc o tę trochę<sup>849</sup> pieniędzy, których potrzebuję, aby w poświęcanej ziemi złożyć ciało anioła!

*Twój nieszczęśliwy brat Lucjan.*

P.S. Musiałem Ci sprawić wiele zgryzot mą lekkomyślnością, dowiesz się kiedyś wszystkiego i wytłumaczysz mnie. Zresztą, możesz być spokojna: widząc nas tak udreńczonych — Koralię i mnie — zacny przemysłowiec, któremu uczyniłem wiele złego, pan Camusot, podjął się załatwić, jak mówił, tę sprawę.

— List jeszcze mokry od łez! — rzekła do Dawida, patrząc nań tak miłosiernie, że w oczach jej błyszczało coś z dawnego przywiązania do Lucjana.

— Biedny chłopiec, musiał bardzo cierpieć, jeśli w istocie tak go kochała, jak on mówi! — wykrzyknął szczęśliwy małżonek Ewy.

I zarówno mąż, jak żona, wobec krzyku tego ostatecznego bólu, zapomnieli o wszystkich swoich cierpieniach. W tej samej chwili Maryna wpadła, wołając:

— Proszę pani, idą!... Idą!...

— Kto?

— Doublon i jego draby, sam diabeł! Kolb bije się z nimi, będą sprzedawać.

— Nie, nie, nie będą sprzedawać, uspokójcie się! — wykrzyknął Petit-Claud, którego głos zabrzmiał w przyległym pokoju. — Podpisałem właśnie apelację. Nie możemy zostawać pod brzemieniem wyroku, który pomawia nas o złą wiarę. Nie mam zamiaru bronić się tutaj. Aby zyskać na czasie, pozwoliłem wygadać się Cachanowi, gdy ja gotuję się odnieść triumf jeszcze raz w Poitiers...

— Ale ile ten triumf będzie kosztował? — spytała pani Séchard.

— Moje honorarium, jeśli wygracie, a tysiąc franków, jeżeli przegramy.

— Mój Boże — wykrzyknęła biedna Ewa — czyż to lekarstwo nie jest gorsze od choroby?

Słyszac ten krzyk niewinności oświeconej luną sędowiczego pożaru, Petit-Claud stanął jak osłupiały, tak uderzyła go piękność Ewy. Równocześnie zjawił się, wezwany przez adwokata, stary Séchard. Obecność starca w sypialni młodej pary, gdzie wnuczek w kołysce uśmiechał się do nieszczęścia, dopełniła tej sceny.

— Papo Séchard — rzekł młody adwokat — winien mi pan siedemset franków za interwencję; ale ściągniesz je sobie z syna, doliczając do czynszów, które ci jest dłużny.

Stary winiarz odczuł gryzącą ironię, jaką Petit-Claud włożył w swoje słowa.

— Mniej byłoby ojca kosztowało zaręczyc za Dawida!... — rzekła Ewa, odchodząc od kołyski, aby uściskać starca.

Dawid, przygnębiony zbiegowiskiem, jakie uczyniło się przed domem, gdzie walka Kolba z ludźmi Doublona ściągnęła ciekawych, wyciągnął rękę do ojca bez słowa powitania.

— Jakim cudem mogę być panu winien siedemset franków? — zapytał starzec Petit-Clauda.

— Ba, za to, iż, po pierwsze, dokonałem zajęcia pańskim imieniem. Ponieważ chodzi o pańskie czynsze, jest pan wobec mnie odpowiedzialny wraz ze swym dłużnikiem. Jeśli syn nie zapłaci mi kosztów, pan zapłacisz... Ale to nic: za kilka godzin przyjdą tu, aby wsadzić Dawida do więzienia, czy pozwoli pan na to?

— Ile jest winien?

— Phi, jakieś pięć do sześciu tysięcy, nie licząc tego, co jest winien panu i żonie.

Starzec, z sercem napojonym nieufnością, spojrzął na wzruszający obraz, jaki przedstawiał jego oczom ten biało-niebieski pokój: piękna kobieta we łzach przy kołysce; Dawid, uginający się wreszcie pod brzemieniem zgryzot; adwokat, który może ściągnął go tu niby do pułapki... Stary niedźwiedz pomyślał, iż może zagrano na kartę jego ojcowskich uczuć; zląkł się, aby go nie wyzyskano. Zbliżył się do kołyski, aby popieścić malca,

<sup>849</sup>trocha (daw.) — odrobina, niewielka ilość czegoś. [przypis edytorski]

który wyciągał ku niemu rączyny. Wśród tyłu trosk dziecko, pielęgnowane jak dziecko para<sup>850</sup> Anglii, miało na głowie śliczny haftowany czepeczek z różową podszewką.

— Et, niech Dawid radzi sobie, jak umie; ja myślę tylko o dziecku — zawołał stary — a matka przyzna mi słusność. Dawid jest tak uczony, że powinien wiedzieć, jak zapłacić długi.

— Ja panu dokładnie wyklaruję pańskie uczucia — rzekł drwiąco adwokat. — Ot, papo Séchard, jesteś zazdrosny o syna. Posłuchaj pan prawdy! Wtrąciłeś Dawida w katastrofę, sprzedając mu drukarnię trzy razy drożej, niż była warta, i rujnując go, aby ściągnąć tę lichwiarską cenę. Tak, nie potrząśaj głową, dziennik sprzedany Cointetom, którego cenę ty zgarnąłeś w całości do kieszeni, stanowił całą wartość twojej drukarni... Nienawidzisz syna nie tylko dlatego, żeś go ograbił, ale także, żeś uczynił zeń człowieka przerastającego cię stanem. Nadajesz sobie tony niezwykłej miłości dla wnuka, aby pokryć bankructwo uczuć wobec syna i synowej, którzy by cię kosztowali nieco grosza *hic et nunc*<sup>851</sup>, gdy wnuk potrzebuje twego przywiązania jedynie *in extremis*<sup>852</sup>. Kochasz tego malca, aby zachować pozór, iż kochasz kogoś ze swych bliskich, i nie być pomawianym o brak serca. Oto co siedzi na dnie worka, papo Séchard...

— Czyście mnie po to sprowadzili, aby mi kazać tego słuchać? — rzekł starzec groźnie, spoglądając kolejno na adwokata, synową i syna.

— Ależ, panie — krzyknęła biedna Ewa, zwracając się do Petit-Clauda — czyż pan zaprzysiągł naszą zagładę? Nigdy Dawid nie skarżył się na ojca...

Winiarz spojrział na nią podejrzliwie.

— Mówił mi sto razy, że ojciec kocha go na swój sposób — rzekła do starca, odczuwając jego nieufność.

Zgodnie z instrukcjami Wielkiego Cointeta, Petit-Claud starał się do reszty poróżnić ojca z synem, aby przypadkiem ojciec nie wybawił syna z okrutnego położenia.

— W dniu, w którym będziemy mieli Dawida pod kluczem — powiedział mu w wilię Wielki Cointet — przedstawię cię pani de Senonches.

Przenikliwość, jaką daje przywiązanie, oświeciła panią Séchard, która odgadywała to robione oburzenie, jak niegdyś wyczuliła zdradę Cérizeta. Każdy łatwo zrozumie zdziwioną minę Dawida, który nie mógł pojąć, w jaki sposób Petit-Claud zna tak dobrze ojca i jego sprawy. Uczciwy drukarz nie podejrzewał stosunków swego obrońcy z Cointetami; nie wiedział zresztą, że Cointetowie tkwią w skórze Métiviera. Milczenie Dawida było znie wagą dla starego winiarza; toteż adwokat skorzystał ze zdumienia klienta, aby opuścić pole.

— Bądź zdrów, drogi Dawidzie; ostrzegąłem cię, apelacja nie uchyla osobistego przymusu; wierzycielom twoim zostaje ta jedyna droga, użyj ją. Zatem uciekaj! Albo raczej, jeśli chcesz mnie posłuchać, ot, rozmów się z braćmi Cointetami, oni mają kapitały; jeśli twoje odkrycie jest gotowe i udane, stowarzysz się z nimi; to są, razem wzięwszy, bardzo głodcy ludzie...

— Co za sekret? — zapytał ojciec Séchard.

— Czyż pan wyobraża sobie, iż twój syn byłby na tyle głupi, aby zaniedbać drukarnię, nie mając czego innego w głowie? — wykrzyknął adwokat. — Jest na drodze, zwierzył mi się, fabrykowania papieru po trzy franki ryza, gdy obecnie wypada ona dziesięć...

— Jeszcze jeden sposób, aby mnie złapać! — wykrzyknął ojciec Séchard. — Wąchacie się tu wszyscy jak złodzieje na jarmarku. Jeżeli Dawid to wynalazł, nie potrzebuje mnie, jest milionerem! Do widzenia, miłe ptaszyny, dobranoc!

I skierował się ku schodom.

— Myśl o tym, jak się ukryć — rzucił Dawidowi Petit-Claud, który pobiegł za starym, aby go jeszcze podjudzić.

Adwokacina dopadł mruczącego pod nosem winiarza na placu du Mûrier, odprowadził go do Houmeau i rozstał się z nim, grożąc, iż o ile nie będzie zapłacony w ciągu tygodnia, wytoczy proces o należne koszty.

— Zapłacę panu, jeśli mi dasz sposoby wydziedziczenia syna bez szkody dla wnuka i synowej!... — rzekł stary, gwałtownie skręcając w ulicę.

<sup>850</sup>*par* — tu: członek izby wyższej parlamentu angielskiego. [przypis edytorski]

<sup>851</sup>*hic et nunc* (łac.) — tu i teraz. [przypis edytorski]

<sup>852</sup>*in extremis* (łac.) — w ostateczności, w ostatnich chwilach życia. [przypis edytorski]

— Jak ten Wielki Cointet zna ludzi!... Ha, ha, powiedział mi z góry: te siedemset franków kosztów wstrzymają ojca od zapłacenia siedmiu tysięcy za syna — wykrzykiwał kauzyperda, drapiąc się z powrotem do Angoulême. — Bądź co bądź, nie dajmy się wy kierować temu wydze papiernikowi; czas wycisnąć zeń coś więcej niż słowa.

— No i cóż, drogi Dawidzie, co myślisz począć?... — rzekła Ewa do męża, kiedy ojciec i adwokat opuścili mieszkanie.

— Postaw największy kociołek na ogniu, moje dziecko — krzyknął Dawid do Maryny — mam wreszcie tajemnicę!...

Słyszając te słowa, Ewa z gorączkową żywością włożyła kapelusz, szal, trzewiki.

— Ubieraj się, mój drogi — rzekła do Kolba — pójdiesz ze mną; muszę się dowiedzieć, czy istnieje sposób wydobywania się z tego piekła.

— Panie — wykrzyknęła Maryna po wyjściu Ewy — niechże pan będzie rozsądny albo pani umrze ze zgrzyoty. Niech pan znajdzie pieniądze, aby zapłacić, co pan winien, a później będzie pan szukał skarbów, ile się panu podoba...

— Cicho, Maryna — odparł Dawid — zwyciężymy ostatnią trudność. Będę miał równocześnie patent na wynalazek i na udoskonalenie.

Rana wynalazców we Francji to patent na udoskonalenie. Człowiek strawi dziesięć lat życia na szukanie sekretu jakiegoś przemysłu, jakiejś maszyny, odkrycia, bierze patent, sądzi, że jest panem rzeczy; w ślad jego idzie konkurent, który jeśli wynalazca nie przewidział wszystkiego, udoskonala jego odkrycie jedną śrubką i wydziera mu je z rąk. Otóż w fabrykacji papieru sam wynalazek taniej masy to jeszcze nie było wszystko! Inni mogli ulepszyć ten proceder. Dawid Séchard chciał wszystko przewidzieć, aby się nie narażać na utratę fortuny, szukanej wśród tylu przeciwności. Papier holenderski (ta nazwa została się papierowi wyrabianemu z czystej szmaty lnianej, mimo że Holandia już go nie wyrabia) jest lekko gumowany; ale gumuje się go arkusz po arkuszu zabiegiem ręcznym, który podraża papier. Gdyby można gumować miążgę w kadzi, za pomocą taniego kleju (co robi się zresztą dziś, ale jeszcze niedoskonale), nie zostałoby już żadnej możliwości udoskonalenia. Od miesiąca Dawid szukał tedy sposobu gumowania w kadzi ciasta papierowego. Mierzył od razu w dwie tajemnice.

Ewa udała się do matki. Pomyślnym zbiegiem pani Chardon pielęgnowała żonę sekretarza sądu, która świeżo obdarzyła spadkobiercą rodzinę Milaudów z Nevers. Ewa, nieufna wobec adwokackiej czeredy, wpadła na pomysł, aby w tym krytycznym położeniu zasięgnąć rady urzędowego obrońcy wdów i sierot, zapytać, czy mogłaby wyzwolić Dawida, przyjmując na siebie zobowiązanie, sprzedając swoje prawa; równocześnie zaś miała nadzieję dowiedzieć się prawdy o dwuznacznym postępowaniu Petit-Clauda. Urzędnik, zaskoczony pięknnością pani Séchard, przyjął ją nie tylko z względami dłużnymi kobiecie, ale z odcieniem dworności, do której Ewa nie przywykła. Biedna kobieta ujrzała w oczach urzędnika ten wyraz, który od czasu swego małżeństwa znajdowała jedynie u Kolba; a wyraz ten dla kobiet pięknych jak Ewa jest kryterium, za pomocą którego sądzą ludzi. Kiedy inna namiętność, interes lub wiek ostudzą w oczach mężczyzny ten błysk bezwarunkowego poddania, jaki płonie w nich w młodym wieku, wówczas kobieta nabiera nieufności do tego człowieka i zaczyna go obserwować. Cointetowie, Petit-Claud, Cérizet, wszyscy ludzie, w których Ewa odgadła nieprzyjaciół, patrzyli na nią okiem suchym i zimnym; uczuła się tedy mile pogłaskana obejściem sekretarza. Jednak prawnik, przyjmując panią Séchard z całą uprzejmością, zniweczył zarazem w niewielu słowach wszystkie nadzieje.

— Nie jest pewne, proszę pani — rzekł — czy apelacja skasuje wyrok, który ogranicza do mebli mieszkalnych cesję, jaką ze wszystkiego, co posiadał, uczynił na pani rzecz mąż, aby zabezpieczyć jej pretensje. Pani przywilej nie może służyć jako parawan. Natomiast, ponieważ będzie pani dopuszczona w charakterze wierzycielki do podziału ceny zajętych przedmiotów, ponieważ teść pani również będzie miał prawo wkroczenia tytułem należnych czynszów, wyłoni się, już po wyroku, materia do innych kontestacji<sup>853</sup>, z racji tego, co nazywamy w terminach prawnych kontrybucją.

— Zatem Petit-Claud rujnuje nas? — wykrzyknęła.

— Postępowanie pana Petit-Clauda — odparł urzędnik — zgodne jest ze zleceniem, jakie mu dał mąż pani, który chce, jak mówi jego zastępca prawny, zyskać na czasie. Wedle

<sup>853</sup>kontestacja — zakwestionowanie, sprzeciw. [przypis edytorski]

mnie, może byłoby lepiej wyrzec się prawa apelacji i starać się utrzymać — pani i teść — jako nabywcy przy sprzedaży przyborów najpotrzebniejszych do waszego przemysłu: pani w granicach tego, co jej ma przypaść, on w wysokości sumy swoich czynszów. Ale to by znaczyło iść zbyt szybko do celu. Adwokaci was skubią!

— Znalazłabym się wówczas w rękach ojca, któremu byłabym winna czynsze za przybory i najem domu; mąż natomiast zostałby mimo to nadal pod brzemieniem pościgu pana Métiviera, któremu nie dostałoby się pewnie nic?...

— Tak, pani.

— Zatem położenie byłoby gorsze niż to, w którym jesteśmy...

— Ostatecznie, droga pani, prawo musi chronić wierzyciela. Otrzymaliście państwo trzy tysiące franków, trzebaż je oddać...

— Och, panie, czy uważa nas pan za zdolnych do...?

Ewa zatrzymała się, spostrzegając niebezpieczeństwo, jakie usprawiedliwienie jej mogłoby ściągnąć na brata.

— Och, ja wiem dobrze — odparł urzędnik — że ta sprawa jest ciemna i ze strony dłużników, którzy są uczciwi, skrupulatni, wielcy nawet!... i ze strony wierzyciela, który jest tylko płaszczykiem...

Ewa, przestraszona, patrzyła na urzędnika błędnym wzrokiem.

— Rozumie pani — dodał, rzucając spojrzenie pełne rubasznego sprytu — że dla zastanawiania się nad tym, co się dzieje przed naszymi oczami, mamy cały ten czas, przez który trzeba nam słuchać przemówień panów obrońców.

Ewa wróciła zrozpaczona swą bezsilnością.

Wieczorem o siódmej Doublon przyniósł nakaz oznajmiający przymus osobisty. W tej chwili pościg doszedł więc kulminacyjnego punktu.

— Od jutra — rzekł Dawid — nie będę mógł wychodzić, chyba w nocy.

Ewa i pani Chardon załamywały się łzami. Dla nich kryć się to była hańba. Dowiadując się, że wolność ich pana jest zagrożona, Kolb i Maryna zaniepokoiли się tym więcej, iż od dawna ocenili go jako człowieka głęboko naiwnego. Drżeli o niego tak, iż przyszli do pokoju, gdzie znajdowała się pani Chardon wraz z Ewą i Dawidem, pod pozorem spytania, na co mogliby się przydać. Zjawili się w chwili, gdy te trzy istoty, dla których życie dotąd było tak proste, płakały, widząc konieczność ukrywania Dawida. Ale jak ujść niewidzialnym szpiegom, którzy od tej chwili mieli śledzić najdrobniejszy krok tego człowieka, na nieszczęście tak roztargnionego?

— Jeszeli bani chdze sadżegadz mały gwatranzig, sabuźdzę regonezanz do oposu niebżyjadziół — rzekł Kolb. — Sopadżydzie, sze zię snam na dym, chodziasz fyklontam na Żfapa; ale sze jezdem źdżery Wrاندzus, mam jezdze drochę zbrydu.

— Och, pani — rzekła Maryna — niech mu pani pozwoli iść, on medytuje jedynie nad tym, jak ratować pana, nie ma innej myśli w głowie. Kolb to już nie Alzatczyk; to jest... czy ja wiem?... czysty nowofunlandczyk!

— Idź, dobry Kolbie — rzekł Dawid — mamy jeszcze czas powziąć postanowienie.

Kolb pobiegł do woźnego, gdzie nieprzyjaciele, zgromadzeni na naradę, rozprawiali o sposobie owdarcia Dawidem.

Uwięzienie dłużnika jest na prowincji, jeśli się już zdarzy, faktem przechodzącym miarę, anormalnym. Przede wszystkim, wszyscy znają się zbyt dobrze, aby ktokolwiek uciekał się do tak wstrętnego środka. Wierzycielom i dłużnikom przeznaczone jest spotykać się twarzą w twarz przez całe życie. Następnie, kiedy przemysłowiec, bankrut — aby się posłużyć wyrażeniem prowincji, która nie robi ceremonii z tego rodzaju legalną kradzieżą — obmyśla upadłość na szeroką skalę, wówczas szuka zawczasu schronienia w Paryżu. Paryż jest do pewnego stopnia Belgią prowincji<sup>854</sup>, istnieją w nim kryjówki niemal nieprzeniknione, mandat zaś komornika wygasa na granicach jego okręgu. Poza tym są inne przeszkody, udaremniające poniekąd wyrok. I tak prawo, które uświęca nietykalność mieszkania, panuje bez wyjątku na prowincji; woźny nie ma mocy, jak w Paryżu, wdzierać się do obcego domu, aby tam pochwycić dłużnika. Prawodawca uważał za właściwe wyłączyć Paryż z przyczyny stałego nagromadzenia wielu rodzin w jednym domu. Ale

<sup>854</sup>Paryż jest do pewnego stopnia Belgią prowincji — Belgia nie miała wówczas z Francją umów o ekstradycji, dlatego chronili się tam francuscy przestępcy, podobnie jak ogromny Paryż stawał się schronieniem dla przestępców z prowincji. [przypis edytorski]

na prowincji, aby pogwałcić mieszkanie dłużnika, woźny musi przybyć w towarzystwie sędziego pokoju. Otóż sędzia pokoju, który dzierży pod swą władzą woźnych, posiada niemal samoistną moc użyczenia lub odmówienia swego udziału. Na pochwałę sędziów pokoju trzeba powiedzieć, że ten obowiązek im ciąży, wzdragają się służyć ślepej namiętności lub zemście. Są jeszcze inne, nie mniej poważne trudności, które poniekąd łagodzą to najzupełniej zbyteczne okrucieństwo, jakim jest prawo o przymusie osobistym. Trudności te płyną z obyczajów, które często zmieniają prawa aż do unicestwienia. W wielkich miastach istnieje dosyć nędzników, ludzi do gruntu skażonych, bez czci i wiary, z których rekrutuje się armia szpiegów; ale w małych miasteczkach wszyscy zanadto się znają, aby ktoś zechciał służyć woźnemu jako najemnik. Ktokolwiek, nawet w najuboższej klasie, zgodziłby się na to poniżenie, byłby zmuszony opuścić miasto. Dlatego uwięzienie winnego, niebędące, jak w Paryżu lub innych wielkich centrach, przedmiotem uprzywilejowanego przemysłu straży handlowej, staje się czynnością prawną niezmiernie trudną, walką na chytrłość między dłużnikiem a rodem woźnieńskim, którego pomysły dostarczały niekiedy bardzo zabawnych opowiastek „kroniczce” dzienników paryskich. Starszy Cointet nie chciał się zdradzić, ale Gruby Cointet, który mówił, iż Métivier powierzył mu tę sprawę, przyszedł do Doublona na naradę wraz z Cérizetem, który został jego korektorem i którego współdziałanie zapewniono sobie przyrzeczeniem premii tysiąca franków. Doublon mógł liczyć na dwóch stałych konfidentów. Cointetowie zatem mieli już trzy psy gończe, aby tropić swą ofiarę. W chwili aresztowania Doublon mógł zresztą użyć żandarmerii, która, wedle litery wyroku, winna jest na żądanie użyczyć pomocy komornikowi. Tych pięć osób znalazło się tedy w gabinecie imię Doublona, mieszczącym się na parterze domu, za kancelarią.

Wchodziło się do kancelarii przez dość szeroki korytarz wyłożony taflami, stanowiący rodzaj sieni. Po obu stronach bramki widniały złożone godła urzędowe; w środku, czarnymi literami, napis:

#### KOMORNIK

Dwa okna kancelarii wychodzące na ulicę zbrojne były silną kratą. Okna gabinetu wychodziły na ogród, gdzie komornik, miłośnik Pomony<sup>855</sup>, hodował sam z powodzeniem drzewa owocowe. Naprzeciw kancelarii była kuchnia, za kuchnią zaś schody na wyższe piętro. Dom leżał przy małej uliczce, za nowym gmachem sądu, wówczas w budowie, ukończonym dopiero po 1830 roku. Te szczegóły potrzebne są dla zrozumienia przygody Kolba. Alzatczyk umyślił zgłosić się do woźnego pod pozorem wydania mu swego pana, aby się dowiedzieć, jakiego rodzaju pułapki grożą Dawidowi, i ubezpieczyć go od nich. Skoro kucharka wyszła do drzwi, Kolb oświadczył, że ma interes do pana Doublona. Niezadowolona, iż przeszkadzono jej w zmywaniu statków<sup>856</sup>, kobieta otworzyła drzwi kancelarii, polecając Kolbowi, którego nie znała, aby tam zaczekał, bo pan ma właśnie konferencję w gabinecie; następnie poszła uprzedzić pana, że jakiś człowiek pragnie z nim mówić. To wyrażenie „człowiek” tak niewątpliwie oznaczało wieśniaka, iż Doublon rzekł:

— Niech czeka!

Kolb ulokował się blisko drzwi gabinetu.

— No więc? Jak zamierzacie wziąć się do rzeczy? Gdybyśmy mogli przyskrzynić go jutro rano, oszczędzilibyśmy na czasie — rzekł Gruby Cointet.

— Ba! Toć to dobra dusza: sam wlezie nam w ręce — wykrzyknął Cérizet.

Poznawszy głos Grubego Cointeta, zwłaszcza zaś słysząc te dwa zdania, Kolb odgadł natychmiast, że idzie o Dawida; zdumienie jego wzrosło, kiedy poznał głos Cérizeta.

„Chłobag, gdóry jatł jeko chlepi” — wykrzyknął w duchu ze zgrozą.

— Moje dzieci — rzekł Doublon — oto jak trzeba się wziąć do rzeczy. Rozrzucimy naszych ludzi w znacznej odległości od ulicy de Beaulieu i placu du Mûrier, we wszystkich kierunkach, w ten sposób, aby bez jego wiedzy postępować w tropy ptaszka; nie opuścimy go, póki nie wejdzie do domu, który obierze sobie za kryjówkę; zostawimy mu parę dni spokoju, następnie przykryjemy go tam pewnego pięknego dnia przed wschodem albo po zachodzie słońca.

<sup>855</sup>*Pomona* (mit. rzym.) — bogini sadów, ogrodów i drzew owocowych. [przypis edytorski]

<sup>856</sup>*statki* (daw.) — naczynia. [przypis edytorski]

— Ale co on robi w tej chwili? Może się nam wymknąć — rzekł Gruby Cointet.

— Jest u siebie — rzekł imć Doublon — gdyby wyszedł, wiedziałbym o tym. Jeden z moich pomocników (komornicy nadają swoim szpiclom uczciwe miano pomocników) stoi na posterunku na placu du Mérier, drugi na rogu przy trybunale, a trzeci o trzydzieści kroków od mego domu. Jeśli ptaszek wyściubi nos z domu, gwizdną; nie zdążyłby uczynić trzech kroków, a jużbym wiedział o tym za pomocą mego telegrafu.

Kolb nie rachował na tak pomyślny przypadek; opuścił kancelarię, mówiąc służącej:

— Ban Touplon sajendy na tłuco, bofródz judro rano wdżeźnie.

Alzaczek, dawny kawalerzysta, powziął pewną myśl, którą natychmiast wprowadził w czyn. Pobiegł do znanego sobie najemcy koni, wybrał konia, kazał go osiodłać i wrócił co najspieszniej do domu, gdzie zastał panią Ewę w głębokiej rozpacz.

— Cóż takiego, Kolbie? — spytał drukarz, widząc minę Alzaczka, radosną wraz i wystraszoną.

— Jezdeździe bańsdfu ododzeni łajtagami. Najpesbiedźniej jezd ugrydź bana. Dży bani myżłała o dym, szepy bana kcie zchofadź?

Skoro zacny Kolb przedstawił zdradę Cérizeta, czaty rozstawione koło domu, udział Grubego Cointeta w tej sprawie, skoro obudził przecucie podstępów, do jakich tacy ludzie będą zdolni, położenie Dawida ukazało się w nader posępnym świetle.

— To bracia Cointetowie cię ścigają! — wykrzyknęła biedna Ewa w odrętwieniu. — Oto czemu Métivier okazał się tak twardy... To ci fabrykanci papieru: chodzi im o twoją tajemnicę.

— Ale co czynić, aby się im wymknąć? — wykrzyknęła pani Chardon.

— Jeszeli bani ma jagie miejdzde, kciepy bana zchofadź — rzekł Kolb — botejmuję że tofiesdź ko dam, dag sze nigd że nie zbozdzesze.

— Udaj się do Brygidy Clerget, ale dopiero w nocy — odparła Ewa. — Pójdę omówić z nią wszystko. W takiej sprawie liczę na Brygidę jak na samą siebie.

— Szpiegowie pójda twoim śladem — rzekł wreszcie Dawid, który odzyskał trochę przytomności umysłu. — Chodzi o to, aby móc uprzedzić Brygidę, nie chodząc do niej.

— Bani mosze iżdź — rzekł Kolb. — Odo moja gompinadzja: ja fyjtę z banem, otdziakniemy źpiekóf na naź drob. Bżes den dżas bani bójcie to banny Glerszet, nigd nie saufaszy deko. Mam gonja, fesmę bana z dyłu sa ziotło i niech mnie dżardzi borfą, jeźli nas gdo tobatnie.

— A zatem do widzenia, drogi mój! — wykrzyknęła biedna kobieta, rzucając się w ramiona męża. — Nikt z nas nie będzie cię odwiedzał, bo moglibyśmy cię narazić. Trzeba pożegnać się z sobą na cały czas, przez który będzie trwało to dobrowolne więzienie. Będziemy porozumiewali się pocztą. Brygida będzie rzucać twoje listy, a ja będę pisała na jej nazwisko.

Wyszedszy z domu, Dawid i Kolb usłyszeli gwizdanie i doprowadzili szpiegów aż w dół, do bramy Palet, gdzie był najem koni. Tam Kolb wziął pana za siodło, zalecając mu dobrze się trzymać.

— Końdzie, końdzie, topszy bżyjadzie! Gbię zobie s faz — wykrzyknął Kolb. — Nie tobatniedzie zdareko gafaleszyzdy.

I stary kawalerzysta pocwalał w pole z szybkością, która uniemożliwiła szpiegom zarówno pościg, jak rozeznanie kierunku.

Ewa udała się do Postela pod dość zmyślnym pretekstem poradzenia się go. Wycierpiawszy zniewagi owej litości, która szafuje tylko słowami, opuściła państwa Postel i dostała się niepostrzeżenie do Brygidy. Zwierzyła przyjaciółce swoje strapienia, prosząc o pomoc i oparcie. Brygida, która dla większego bezpieczeństwa wciągnęła Ewę do swego pokoju, otworzyła drzwi do przyległego alkierza<sup>857</sup>, gdzie światło dochodziło przez ukośne okienko i gdzie żadne oko nie mogło ich dojrzeć. Przyjaciółki odetkały kominek, którego rura biegła wzdłuż kominka pracowni, gdzie robotnice utrzymywały ogień dla grzania żelazek. Rozciągnęły na podłodze jakieś stare kołdry, aby stłumić hałas, jakiego mógłby narobić Dawid przez nieuważę; ustawiły składane łóżko, piec dla jego doświadczeń, stół i krzesło, aby mógł usiąść i pisać. Brygida przyrzekła żywić go w nocy, ponieważ zaś nikt nie wchodził do jej pokoiku, Dawid mógł uragać wszystkim wrogom, nawet policji.

<sup>857</sup>alkierz — mały, boczny pokój. [przypis edytorski]

— Wreszcie — rzekła Ewa, ściskając przyjaciółkę — będzie w bezpiecznym schronieniu.

Ewa wróciła do Postela, aby rozjaśnić jakąś wątpliwość, która, jak mówiła, sprowadza ją jeszcze do tak wytrawnego znawcy spraw trybunału handlowego, i pozwoliła mu się odprowadzić, słuchając jego utyskiwań.

— Gdybyś pani za mnie wyszła, czy byłoby doszło do tego?...

To uczucie tkwiło na dnie każdego zdania aptekarzyny. Za powrotem Postel zastał żonę zazdrosną o cudowną piękność pani Séchard i wściekłą o mężowskie uprzejmości. Uspokoiła Leonie dopiero rzekoma opinia aptekarza, sławiąca wyższość kobiet małych i rudych nad wysokimi brunetkami, które, wedle niego, są jak piękne konie: zawsze bezczynne w stajni. Nieborak musiał dać jakieś dowody szczerości, nazajutrz bowiem pani Postel była nastrojona bardzo miękko.

— Możemy być spokojni — rzekła Ewa do matki i do Maryny, które zastała, wedle wyrażenia Maryny, jeszcze z duszą na ramieniu.

— Och, pojechali — rzekła Maryna, kiedy Ewa machinalnie zajrzała do pokoju.

— Kcie mam gierofadź?... — spytał Kolb, znalazłszy się o milę za miastem, na gościńcu paryskim.

— Do Marsac! — odparł Dawid. — Skoro mnie zawiodłeś na tę drogę, spróbuję jeszcze ostatni raz odwołać się do serca ojca.

— Folałpym radźej żarszofadź paderię armad; dodź on nie ma zerdza, den bańzgi żanofny ojdziedz.

Stary drukarz nie wierzył w syna; sądził go, jak sądzi lud, po rezultatach. Po pierwsze, nie poczuwał się do tego, że obłupił Dawida; po wtóre, nie zastanawiając się nad różnicą czasów, mówił sobie:

„Posadziłem go w siodle, tak jak i ja sam znalazłem się z początku; i on, który uczył się tysięcy razy więcej, nie umiał ruszyć z miejsca!”

Niezdolny pojąć syna, potępiał go i przyznawał sobie jak gdyby wyższość nad tą wysoką inteligencją, mówiąc:

— Zabezpieczam mu chleb.

Nigdy moralisci nie zdołają uwydatnić całego wpływu, jaki uczucia mają na interesy. Wpływ ten jest równie potężny, jak wpływ interesów na uczucia. Wszystkie prawa natury mają podwójne działanie, w odwrotnym do siebie stosunku. Dawid rozumiał ojca i miał tę szczytną wielkoduszność, że go tłumaczył. Przybywszy o ósmej do Marsac, Kolb i Dawid zastali starego kończącego obiad, który z konieczności schodził się z chwilą spoczynku.

— Widzę cię z łaski trybunałów — rzekł ojciec do syna z gorzkim uśmiechem.

— Jag ban chdżez, apy ban Tafit mółk zię zbodygadź s panem? On fętruje bo niepie, a ban dgfiż safze f finnidzy! — wykrzyknął Kolb oburzony. — Sabładź ban, sabładź! Do bańsga ojdzofsga bofinnoźdź.

— Idź sobie, Kolb, idź sobie; odprowadź konia do pani Courtois, żeby nie sprawiać ojcu kłopotu, i wiedz, że rodzice mają zawsze słusność.

Kolb odszedł, warcząc jak pies, który, złajany przez pana za swą gorliwość, protestuje jeszcze, mimo że jest posłuszny. Dawid, nie zdradzając tajemnicy, ofiarował się dać ojcu najoczywistszy dowód swego odkrycia, proponując mu udział w przedsiębiorstwie za cenę sum, jakie będą potrzebne tak dla jego uwolnienia, jak dla eksploatacji sekretu.

— Ba, jak mi udowodnisz, że zdołasz z niczego zrobić piękny papier, który nic nie kosztuje? — rzekł były drukarz, kierując na syna spojrzenie zamglone winem, ale przebiegłe, ciekawe, łakome; rzeklibyście, błyskawica wylaniająca się z dżdżystej chmury, stary bowiem niedźwiedź, wierny swoim tradycjom, nie kładł się nigdy spać, nie zaopatrzwszy głowy na noc. Jego szlafmyca<sup>858</sup> składała się z dwóch butelek doskonałego starego wina, które, wedle swego wyrażenia, cyckał sobie pomalutku.

— Nic prostszego — odparł Dawid. — Nie mam tu żadnego papieru przy sobie, przybyłem, uchodząc przed Doublonem; znalazłszy się na drodze do Marsac, pomyślałem, że mógłbym u ciebie, ojcze, znaleźć pomoc, jaką znalazłbym u lichwiarza. Nie mam nic

<sup>858</sup>szlafmyca (z niem.) — nakrycie głowy zakładane na noc, do snu. [przypis edytorski]



w kieszeni. Proszę mnie zamknąć w jakiejś szczelnej ubikacji<sup>859</sup>, gdzie by się nikt nie mógł dostać, gdzie by mnie nikt nie podglądał, i...

— Jak to — rzekł starzec, obrzucając syna przerażającym spojrzeniem — nie pozwoliłbyś mi być świadkiem?...

— Mój ojciec — odparł Dawid — dowiodłeś mi, że nie ma ojca w interesach...

— Ha! Nie ufasz temu, który dał ci życie!

— Nie; ale temu, który odjął mi do niego środki.

— Każdy dla siebie; masz słuszość! — rzekł starzec. — Dobrze więc, zamknę cię w lamusie<sup>860</sup>.

— Zamykam się tam z Kolbem; da mi ojciec kociołek na sporządzenie mojej miazgi — odparł Dawid, nie spostrzegłszy spojrzenia, jakim zmierzył go stary — następnie pójdzie mi ojciec nabierać łydąg karczochów, szparagów, pokrzyw, trzciny, której natniesz nad rzeczką. Jutro rano wyjdę z lamusa z próbką wspaniałego papieru.

— Jeśli to możebne... — wykrzyknął niedźwiedź, przerywając sobie czkawką — dam ci może... zastanowię się, czy będę ci mógł dać... ba! dwadzieścia pięć tysięcy franków, pod warunkiem, że zarobisz dla mnie tyleż samo co roku.

— Niech mnie ojciec weźmie na próbę, zgadzam się! — wykrzyknął Dawid. — Kolb, siadaj na koń, jedź do Mansle, kup tam wielkie sito włosiane u bednarza<sup>861</sup>, kleju w sklepiku i wracaj co żywo.

— Masz... napij się!... — rzekł ojciec, podsuwając synowi butelkę wina, chleb i resztki zimnego mięsa. — Nabierz sił; pójdę zgromadzić ci zapas twoich zielonych gałganów; zielone bowiem są twoje gałgany! Boję się nawet, że trochę nadto zielone.

W dwie godziny potem, koło jedenastej wieczór, starzec zamknął syna i Kolba w izdebce przylegającej do lamusa, pokrytej dachówką i mieszczącej przybory potrzebne do palenia win angulemskich, które dostarczają, jak wiadomo, wszystkich wódek nazywanych koniakiem.

— Och, ależ tu istna fabryka! Drzewo, kotły! — krzyknął Dawid.

— Więc dobrze, do jutra — rzekł ojciec Séchard — zamknę cię i spuszczę oba psy: w ten sposób jestem pewien, że nikt ci tu nie przyniesie papieru. Pokaż mi jutro parę arkuszy, a oświadczam, że będę twoim współnikiem; wszystko pójdzie jasno i gładko.

Kolb i Dawid pozwolili się zamknąć i spędzili około dwóch godzin na łamaniu, przygotowywaniu łydąg, posługując się dwiema dębowymi tarcicami. Ogień błyszczał, woda wrzała. Około drugiej w nocy Kolb, mniej zajęty od Dawida, usłyszał westchnienie przechodzące jak gdyby w pijacką czkawkę. Wziął świecę i zaczął się rozglądać: ujrzał fioletową twarz starego Sécharda, wtłoczoną w kwadratowy otwór znajdujący się ponad drzwiami, które łączyły lamus z palarnią, a zasłonięty pustymi beczkami. Chytry starzec wprowadził syna i Kolba do palarni zewnętrznymi drzwiami, które służyły do wytaczania beczek przeznaczonych do odbioru. Te drugie, wewnętrzne drzwi pozwalały przetaczać baryłki z lamusa do palarni, nie okrążając przez dziedziniec.

— A! Dag zię nie pafimy, chdze ban fygifadz zyna?... Ojdzulgu, ojdzulgu, fielgie s faz latadzo!

— Och! ojczel!... — rzekł Dawid.

— Przyszedłem zajrzeć, czy nie potrzebujesz czego — rzekł winiarz, wpół wytrzeźwiony.

— I bżes drozglifożdź o naz fsiależ ban dę trapingę? — rzekł Kolb, który otworzył drzwi, uprzątąwszy przystęp do nich, i znalazł starca w koszuli, siedzącego na drabince.

— Narażać tak zdrowie! — wykrzyknął Dawid.

— Zdaje mi się, że jestem po trosze lunatyk — rzekł starzec, zawstydzony, schodząc. — Twój brak zaufania do ojca zaburzył mi sen, śniło mi się, że się porozumiewałeś z diabłem, aby osiągnąć rzeczy niemożliwe.

— Tjapeł, do bańzga baza to dalaróf — wykrzyknął Kolb.

— Idź się położyć, ojczel — rzekł Dawid — zamknij nas, jeśli chcesz, ale oszczędź sobie trudu podglądania; Kolb będzie stał na straży.

<sup>859</sup>ubikacja (daw., z łac.) — miejsce; pomieszczenie. [przypis edytorski]

<sup>860</sup>lamus — składzik; budynek gospodarczy do przechowywania narzędzi, sprzętów gospodarczych i rzadko używanych rzeczy. [przypis edytorski]

<sup>861</sup>bednarz — rzemieślnik wyrabiający różne naczynia z drewna. [przypis edytorski]

Nazajutrz o czwartej Dawid wyszedł z palarni, zniweczywszy wszelkie ślady swoich czynności, i przyniósł ojcu z jakich trzydzieści arkusików papieru, którego cienkość, białość, zbitość, trwałość nie zostawiały nic do życzenia i na którym, niby znak wodny, wyraźnie można było rozpoznać nierównomierne prążki, pochodzące z włosianego sita. Starzec wziął próbki, przyłożył do nich język, jak prawdziwy niedźwiedź, przyzwyczajony od młodu podniebieniem swoim próbować jakość papieru, obracał je w palcach, gniótł, zwijał, poddał wszystkim próbom, jakimi drukarze doświadczają papier, aby poznać jego właściwości, i mimo że nie było nic do zarzucenia, nie chciał uznać, że jest pobity.

— Trzeba wiedzieć, jak się to będzie spisywać pod prasą!... — rzekł, aby się wywinąć od pochwały.

— Cifny dźłofieg! — wykrzyknął Kolb.

Starzec, ochłonawszy, skrył pod ojcowską powagą udane niezdecydowanie.

— Nie chcę cię zwodzić, ojcze, ten papier wydaje mi się jeszcze zbyt kosztowny; chcę również rozwiązać problem gumowania w kadzi... Zostaje mi jedynie osiągnąć ten postęp...

— A! chciałeś mnie złapać!

— Mam powiedzieć ojcu prawdę? Gumuję w kadzi, ale dotąd klej nie przesiąka dość jednostajnie i daje papier szorstki jak szczotka.

— Więc dobrze, udoskonal swoje gumowanie, a wtedy gotów jestem wyłożyć pieniądze.

— Mój ban nikty nie sopadzy koloru bańgich bienięcy!

Starzec wyraźnie chciał odplącić Dawidowi wstyd, jakiego napił się w nocy; dlatego też był dlań bardzo zimny.

— Ojcze — rzekł Dawid, odprawiwszy Kolba — nigdy nie miałem do ciebie żalu, żeś oszacował drukarnię zbyt wysoko i żeś mi ją sprzedał jedynie na podstawie własnego szacunku; zawsze widziałem w tobie ojca. Powiedziałem sobie: „Pozwólmy starcowi, który wiele się natrudził w życiu, który wychował mnie z pewnością lepiej, niż mi się to należało, cieszyć się w spokoju, wedle upodobania, owocami pracy”. Zostawiłem ci nawet mienie matki i przyjąłem bez szemrania ciężkie życie, jakie mi zgotowałeś. Postanowiłem zdobyć majątek, nie odwołując się do ciebie. Otóż znalazłem ten sekret, z ziemią palącą się pod stopami, bez chleba w domu, dręczony długami, które nie ja zrobiłem... Tak, walczyłem cierpliwie, póki siły się nie wyczerpały. Może mam prawo do tej twojej pomocy!... Ale nie myśl o mnie, miej na pamięci kobietę i dziecko... — tu Dawid nie mógł wstrzymać łez — i użycz im pomocy i oparcia. Czyż okażesz się niższy od Maryny i Kolba, którzy oddali mi swe oszczędności? — wykrzyknął syn, widząc ojca zimnego jak marmur prasy drukarskiej.

— I to ci nie wystarczyło?... — zawołał starzec, nie okazując najmniejszego wstydu. — Ależ ty pożarłabyś całą Francję!... Dobranoc! Jestem zanadto nieuczony, aby się pakować w przemysł, którego jedyną pewną daną jest moja kieszeń. *Małpa*<sup>862</sup> nie poźre niedźwiedzia — rzekł, czyniąc aluzję do zawodowej gwary. — Jestem winiarz, nie bankier... A potem, widzisz, interesy między rodziną to nic niewarte. Chodź na obiad, ot, nie powiesz przynajmniej, że cię głodem morzę!...

Dawid należał do tych istot o głębokim sercu, które umieją zdusić cierpienia tak, aby z nich uczynić tajemnicę dla swych najdroższych; u tych natur, kiedy boleść wylewa się w ten sposób, to już ich ostateczny wysiłek. Ewa dobrze zrozumiała ten piękny męski charakter. Ale ojciec widział w tej boleści, wydzierającej się z głębi, jedynie pospolite lamenty dzieci, które chcą nabrać ojca, przygnębienie zaś syna wziął za wstyd nieudanego zamachu. Rozstali się chłodno. Dawid i Kolb wrócili koło północy do Angoulême; weszli do miasta pieszo, jak złodzieje na wyprawę. Około pierwszej w nocy wprowadzono Dawida, bez świadków, do Brygidy Clerget, do nieprzeniknionej kryjówki, przygotowanej przez Ewę. Wszedłszy tam, Dawid znalazł się pod pieczę najprzemysłniejszej litości pod słońcem, litości gryzетки<sup>863</sup>. Nazajutrz Kolb chępił się, iż uprowadził pana na koniu i opuścił go dopiero, wsadziwszy na wózek, który miał go zawieźć gdzieś pod Limoges.

<sup>862</sup>*małpa* — we fr. żargonie drukarskim: pracownik drukarni składający tekst z czcionek; zecer; por. pierwsza część cyklu, *Dwaj poeci*. [przypis edytorski]

<sup>863</sup>*gryzетка* (daw., z fr. *gris*: szary; *grissette*: tania, szara tkanina ubraniowa) — we Francji: młoda dziewczyna pracująca jako szwaczka, ekspedientka, modystka. [przypis edytorski]

W piwnicy Brygidy nagromadzono spory zapas surowców, tak iż Kolb, Maryna, pani Séchard i jej matka mogli nie utrzymywać żadnych stosunków z panną Clerget.

W dwa dni po scenie z synem stary Séchard, który miał przed sobą jeszcze trzy tygodnie do winobrania, zaszedł do synowej, pędzony chciwością. Nie mógł spać, chciał wiedzieć, czy odkrycie ma jakie widoki powodzenia; pragnął, wedle swego wyrażenia, czuwać nad zbiorem. Rozgościł się nad mieszkaniem synowej w jednym z owych dwu pokoików na poddaszu, które sobie zatrzymał, i żył na koszt Ewy, zamykając oczy na braki nękające dom syna. Winni mu byli za czynsze, mogli go przynajmniej karmić! Nie znajdował w tym nic osobliwego, że podawano do stołu na cynowym nakryciu.

— I ja tak zaczynałem — odparł synowej, gdy się tłumaczyła, że nie daje srebra.

Maryna była zmuszona zaręczyć u kupców za wszystko, co się spożywało w domu. Kolb pomagał murarzom za dwadzieścia su dziennie. Biednej Ewie, która w interesie dziecka i Dawida poświęcała ostatnie środki, aby dobrze przyjąć starego, zostało wreszcie ledwie dziesięć franków. Miała ciągle nadzieję, że jej przymilność, jej pełna szacunku czułość, jej rezygnacja rozczulą skąpca; ale stary był niewzruszony. Wreszcie, widząc u niego owo zimne oko Cointetów, Petit-Clauda i Cérizeta, chciała przeniknąć jego charakter, odgadnąć intencje; ale stracony trud! Ojciec Séchard mylił wszelkie tropy, będąc nieprzerwanie pod dobrą datą. Pijaństwo jest podwójną zasłoną. Przy pomocy swego zaproszenia, równie często udanego, jak prawdziwego, stary próbował wydrzeć Ewie sekrety Dawida. Starał się to głaskać, to przerażać synową, kiedy zaś Ewa odpowiadała, że nic nie wie, powiadał:

— Przepiję cały majątek, oddam go na dożywocie...

Te upokarzające walki nękały biedną ofiarę, która aby nie uchybić winnemu szacunkowi, zamknęła się wreszcie w niemocie. Jednego dnia, doprowadzona do ostateczności, rzekła:

— Ależ, ojczy, jest bardzo prosty sposób, aby uzyskać wszystko: niech ojciec zapłaci długi Dawida, on wróci tu, porozumiecie się z sobą.

— Aha! Oto wszystko, czego chcecie ode mnie! — wykrzyknął. — Dobrze to wiedzieć.

Stary Séchard, który nie wierzył w syna, wierzył w Cointetów. Cointetowie, których poszedł się poradzić, olśnili go rozmyślnie, powiadając, że odkrycie jego syna to rzecz milionowa.

— Jeśli syn pański udowodni, że udało mu się, nie zawaham się dopuścić go jako współnika do mojej papierni, zaliczając mu wynalazek jako równy udział.

Nieufny starzec zasięgnął tyle informacji, przepijając po łyčku z robotnikami, wziął tak dobrze na spytki Petit-Clauda, udając tumana, iż w końcu zaczął podejrzewać Cointetów, że to oni kryją się za Métivierem. Wpadł na myśl, iż pragną zrujnować drukarnię oraz wycisnąć zeń swą wierzitelność, biorąc go na lep odkrycia; stary wieśniak bowiem nie mógł odgadnąć współnictwa Petit-Clauda ani machinacji dążących do tego, aby prędzej lub później owdładnąć tajemnicą Dawida. Wreszcie jednego dnia starzec, doprowadzony do rozpaczki tym, że nie może zwalczyć milczenia synowej ani nawet wycisnąć z niej wiadomości o kryjówce syna, postanowił się wedrzeć do pracowni, dowiedziawszy się w końcu, że Dawid robił tam doświadczenia. Pewnego ranka zeszedł na dół i zaczął majstrować koło zamka.

— Hej, hej, cóż wy tam robicie, ojczy Séchard? — krzyknęła Maryna, która wstawiała o świcie, aby iść do fabryki, i poskoczyła na ten widok.

— Czy nie jestem u siebie w domu, Maryna? — rzekł stary, zawstydzony.

— A to co! Chcecie się stać złodziejem na stare lata?... A przecież jeszczeście na czczo... Opowiem to zaraz, jak stoję, naszej pani.

— Cicho siedź, Maryna — rzekł stary, wyjmując z kieszeni dwa sześćiofrankowe talary. — Masz...

— Będę siedziała cicho, ale niech się to nie powtórzy — rzekła Maryna, grożąc mu palcem — albo rozpowiem po całym mieście.

Ledwie starzec odszedł, Maryna pognała do pani.

— Ot, proszę pani, wyciągnęłam dwanaście franków paninemu teściowi, proszę wziąć...

— A to w jaki sposób?

— Ano chciał obejrzeć kotły i magazyn naszego pana, niby żeby spenetrować sekret. Wiedziałałam dobrze, że nic już tam nie ma w kuchence; ale narobiłam mu wstydu, niby że chciał okraść syna, i dał mi dwa talary, żebym siedziała cicho...

W tej chwili wbiegła radośnie Brygida, niosąc w sekrecie przyjaciółce list Dawida, napisany na wspaniałym papierze:

Moja Ewo ubóstwiana, piszę do Ciebie pierwszej na pierwszym arkusiku papieru uzyskanym moim sposobem. Udało mi się rozwiązać problem gumowania w kadzi! Funt masy wypada, nawet biorąc w rachubę specjalną uprawę żyznych terenów pod rośliny, których używam, po pięć su. W ten sposób dwunastofuntowa ryza zużyje za trzy franki gumowanej masy. Jestem pewien, iż zdołam zmniejszyć o połowę ciężar książek. Koperta, list, próbki, każde jest odmiennej fabrykacji. Ściskam Cię; tuż tuż, a czeka nas szczęście i majątek, jedyna rzecz, której nam brakowało.

— Masz, ojczu — rzekła Ewa do teścia, podając próbki — poświęć synowi zysk z jednego zbioru i daj mu możliwość zrobienia fortuny; odda ci dziesięciokrotnie to, co mu zaliczysz. Osiągnął swój cel!...

Stary Séchard pobiegł natychmiast do Cointetów. Tam poddano każdą próbkę szeregowi doświadczeń i drobiazgowych badań: jedne próbki były gumowane, drugie bez kleju; były poznaczone od 3 franków do 10 franków ryza; jedne były metalicznej czystości, inne miękkie jak papier chiński; przedstawiały wszystkie możliwe odcienie białości. Żydom badającym diamenty nie bardziej płonęły oczy, niż płonęły przy tym oczy Cointetów i starego Sécharda.

— Pański syn jest na dobrej drodze — rzekł Gruby Cointet.

— Zatem zapłaćcie jego długi — rzekł stary tłocznik.

— Bardzo chętnie, jeśli nas zechce wziąć do spółki — odparł Wielki Cointet.

— Jesteście rabusie! — wykrzyknął były niedźwiedz. — Ścigacie mego syna pod nazwiskiem Métiviera i chcecie, abym was spłacił, oto wszystko. Nie głupim, moi obywatele!

Bracia spojrzeli po sobie, ale zdołali powściągnąć zdumienie, o jakie przyprawiła ich przenikliwość skąpca.

— Nie jesteśmy jeszcze na tyle milionerami, aby się bawić eskontem — odparł Gruby Cointet. — Czuliibyśmy się szczęśliwi, gdybyśmy mogli płacić za szmaty gotówką, ale sami wystawiamy jeszcze weksle naszemu dostawcy.

— Trzeba przeprowadzić doświadczenia na większą skalę — rzekł zimno Wielki Cointet — to bowiem, co udaje się w małym garnuszku, może zawieść w fabrykacji na wielki kamień. Wykup pan syna.

— Tak, ale czy syn, uwolniony, przyjmie mnie za współnika?

— To nas nie obchodzi — odparł Gruby Cointet. — czy myślisz, pocziwcze, że kiedy dasz synowi dziesięć tysięcy, to już wszystko? Patent kosztuje dwa tysiące, trzeba będzie jeździć do Paryża; następnie, nim się puści na ten interes, bezpieczniej jest, jak powiada brat, wyrobić tysiąc ryz, ryzykować całe kadzie, aby sobie zdać sprawę ze wszystkiego. Widzisz pan, nie ma rzeczy, przed którą trzeba by się tak mieć na bacności jak przed wynalazcami.

— Ja — rzekł Wielki Cointet — lubię chleb już upieczony.

Stary spędził noc na przeżuwananiu problemu.

„Jeśli zapłacę długi Dawida, będzie wolny, a wówczas nie ma potrzeby dopuszczać mnie do udziału. Wie dobrze, że wykiwałem go w pierwszej spółce, nie będzie chciał wchodzić w drugą. W moim interesie byłoby trzymać go w więzieniu, gnębić...”

Cointetowie znali dostatecznie ojca Sécharda, aby wiedzieć, iż będą w nim mieli towarzysza w polowaniu. Zatem ci trzech ludzie mówili sobie:

— Aby utworzyć towarzystwo oparte na tym sekrecie, trzeba doświadczeń; aby wykonać te doświadczenia, trzeba uwolnić Dawida. Skoro go uwolnimy, wymyka się nam z rąk.

Każdy prócz tego miał jakąś ukrytą myśl. Petit-Claud powiadał sobie:

„Po moim małżeństwie będę miał wolną rękę z Cointetami, ale do tej pory oni mają mnie w garści”.

Wielki Cointet powiadał sobie:

„Wolałbym, bądź co bądź, mieć Dawida pod kluczem, wówczas byłbym panem sytuacji”.

Stary Séchard powiadał sobie:

„Jeśli zapłacę długi, syn ukloni mi się i powie: Padam do nózek”.

Ewa, napastowana, straszona przez winiarza wypędzeniem z domu, nie chciała wyjawic ani schronienia męża, ani nawet nakłonić go do przyjęcia żelaznego listu. Nie była pewna, czy jej się uda ukryć Dawida równie dobrze jak pierwszym razem, odpowiadała tedy teściowi:

— Niech ojciec uwolni Dawida, a dowie się wszystkiego.

Czterej zainteresowani znaleźli się jakby przed obficie zastawionym stołem, ale żaden nie miał odwagi zasiąść do uczty, z obawy, by go inni nie uprzedzili; toteż wszyscy nieufnie spoglądali na siebie.

W kilka dni po zniknięciu Sécharda Petit-Claud odwiedził Wielkiego Cointeta w piarni.

— Zrobiłem, co mogłem — rzekł. — Dawid zamknął się sam w więzieniu, którego nie znamy, i szuka tam w spokoju jakiegoś ulepszenia. Jeśli nie osiągnąłeś pan celu, to nie z mojej winy; czy dotrzyma pan obietnicy?

— Tak, jeśli dopniemy swego — odparł Wielki Cointet. — Stary Séchard siedzi tu od kilku dni, zachodził badać nas o kwestie fabrykacji papieru; stary skąpiec zwęszył wynalazek i chce go wyzyskać, jest zatem nadzieja spółki. Pan jesteś adwokatem ojca i syna...

— Niech pana Duch Święty natchnie, abys ich wykierował — dorzucił Petit-Claud z uśmiechem.

— Tak — odparł Wielki Cointet. — Jeśli ci się uda wpakować Dawida do więzienia albo wydać go nam w ręce aktem spółki, będziesz mężem panny de la Haye.

— To pańskie ultimatum? — rzekł Petit-Claud.

— *Yes* — odparł Cointet — skoro mówimy cudzoziemskimi językami.

— Oto zatem moje, w poprawnej francuszczyźnie — podjął Petit-Claud sucho.

— No! Cóż takiego? — rzekł Wielki Cointet, zaciekawiony.

— Przedstaw mnie pan jutro pani de Senonches, spraw, aby rzecz weszła na pozytywne tory, słowem, dopełnij pan obietnicy albo ja sam płacę dług Sécharda i wchodzę z nim w spółkę, sprzedając kancelarię. Nie chcę się dać wystrychnąć na dudka. Pan mówiłeś ze mną po prostu i ja posługuję się tym samym językiem. Zrobiłem swoje, zrób i pan swoje. Pan masz wszystko, ja nic. Jeśli nie będę miał dowodów pańskiej szczerości, wiem, co mi trzeba uczynić.

Wielki Cointet wziął kapelusz, parasol, przybrał swą jezuicką minę i wyszedł, prosząc Petit-Clauda, aby mu towarzyszył.

— Zobaczysz pan, drogi przyjacielu, jak ci przetarłem drogi — rzekł do adwokata.

W jednej chwili przebiegły i chytry fabrykant zrozumiał niebezpieczeństwo, w jakim się znalazł: poznał w Petit-Claudzie jednego z ludzi, z którymi trzeba grać w uczciwe karty. Już wprzód, aby być w porządku i mieć spokojne sumienie, rzucił, przy zdawaniu rachunku z finansów panny de la Haye, kilka słów w ucho eksgeneralnego konsula.

— Miałbym coś dla Franciszki; z trzydziestoma tysiącami franków posagu — rzekł, uśmiechając się — panna nie może być wymagająca.

— Pomówimy o tym jeszcze — odparł Francis du Hautoy. — Od czasu wyjazdu pani de Bargeton pozycja pani de Senonches bardzo się zmieniła; będziemy mogli wyswatać Franciszkę z jakimś zacnym starszym obywatelem.

— I zyskać to, że się będzie źle prowadzić — rzekł papiernik, przybierając maskę chłodu. — Ech! Wydadzcie ją lepiej za człowieka zdolnego, ambitnego, któremu użyczenie poparcia i który stworzy żonie ładną pozycję.

— Zobaczymy — powtórzył Francis — przede wszystkim trzeba zasięgnąć zdania chrestnej matki.

Po śmierci pana de Bargeton Luiza de Nègrepelisse kazała sprzedać pałac przy ulicy du Minage. Pani de Senonches, niezadowolona ze swego *domicilium*<sup>864</sup>, skłoniła pana

<sup>864</sup>*domicilium* (łac.) — mieszkanie, siedziba. [przypis edytorski]

de Senonches, aby kupić ten dom, kolebkę ambicji Lucjana. W nim to zaczęła się nasza opowieść. Zefiryne de Senonches zapragnęła objąć następstwo po pani de Bargeton w jej małym królestwie; postanowiła stworzyć salon, słowem, odgrywać rolę wielkiej damy. W wysokim towarzystwie angulemskim nastąpiło rozdwojenie: po pojedynku pana de Bargeton z panem de Chandour jedni obstawali za niewinnością Luizy, drudzy za prawdą potwarzy Stanisława de Chandour. Pani de Senonches oświadczyła się za Bargetonami i zjednała sobie od razu całe stronnictwo. Następnie, zamieszkawszy w pałacu, wyzszyła przyzwyczajenie wielu ludzi, którzy przychodzili tam od tylu lat na partyjkę. Przyjmowała co wieczór i pobiła stanowczo Amelię de Chandour, która wystąpiła jako jej antagonistka. Nadzieje Frania du Hautoy, który znalazł się w samym sercu angulemskiej arystokracji, posunęły się aż do chęci wydania Franciszki za starego pana de Séverac, którego pani du Brossard nie zdołała zagarnąć dla córki. Powrót pani de Bargeton jako prefektowej powiększył jeszcze pretensje Zefiryne dla ukochanej chrześniaczki. Mówiła sobie, że hrabina Sykstusowa du Châtalet użyje swych wpływów dla tej, która stała się jej szermierzem. Papiernik, który znał Angoulême jak swoją kieszeń, ocenił jednym rzutem oka wszystkie trudności, ale postanowił wydobyć się z drażliwej sytuacji za pomocą śmiałego kroku, na jaki tylko Tartufe<sup>865</sup> umiałby się zdobyć. Adwokacina, zdumiony lojalnością swego współnika w krętactwie, nie przerywał mu medytacji, krocząc z papierni do pałacu przy ulicy du Minage, gdzie, w sieni, służba wstrzymała niewczesne odwiedziny tymi słowami:

— Jaśnie państwo są przy śniadaniu.

— Nie szkodzi. Proszę nas poznać — odparł Wielki Cointet.

Dzięki swemu nazwisku nabożny przemysłowiec został wprowadzony natychmiast, przedstawił adwokata mizdrzącej się Zefiryne, która śniadała z Franiem du Hautoy i panną de la Haye. Pan de Senonches, jak zazwyczaj, otwierał polowanie u pana de Pimentel.

— Oto, pani, młody adwokat, o którym mówiłem i który podejmie się usamowolnienia jej pięknej pupilki.

Eksdyplomata przyjrzał się adwokatowi, który ze swej strony spojrział ukradkiem na piękną pupilkę. Zefiryne, której nigdy Cointet ani Franio nie wspomnieli o tym ani słówka, zdumiała się tak, że widelec wypadł jej z dłoni. Panna de la Haye, jędzunia o kwaskowatej twarzy, bez wdzięku, chuda, z płowymi włosami, była mimo swej arystokratycznej minki nadzwyczaj trudna do wyswatania. Te słowa: „Ojciec i matka nieznaną”, zawarte w metryce, broniły jej nieodbicie wstępu do sfery, w której życzliwość chrestnej matki oraz Frania pragnęłyby ją umieścić. Panna de la Haye, nie znając swego położenia, pozwalała sobie wybredzać; byłaby odrzuciła najbogatszego przemysłowca z Houmeau. Dostatecznie wymowne skrzywienie na widok chudego adwokaciny zupełnie było jednomyślnie z tym, które Cointet ujrzał na wargach Petit-Clauda. Pani de Senonches i Franio zdawali się porozumiewać oczami nad sposobem odprawienia Cointeta i jego protegowanego. Cointet, który widział wszystko, poprosił pana du Hautoy, aby mu udzielił chwili posłuchania, i przeszedł z dyplomatem do salonu.

— Panie — rzekł prosto z mostu — ojcostwo pana zaślepią. Niełatwo przyjdzie panu wydać córkę za męża, toteż w interesie was wszystkich postawiłem was w niemożności cofnięcia się; kocham bowiem Franciszkę jak swoją wychowankę. Petit-Claud wie wszystko!... Jego niezmierna ambicja poręcza szczęście tego drogiego dziecka. Przede wszystkim, Franciszka zrobi z męża, co zechce; państwo zaś, przy pomocy pani prefektowej, która właśnie przybywa, zrobicie zeń prokuratora. Pan Milaud mianowany jest ostatecznie w Nevers. Petit-Claud sprzeda kancelarię, uzyskacie dlań łatwo miejsce podprokuratora, niebawem zostanie prokuratorem, potem prezydentem sądu, posłem...

Wróciwszy do jadalni, Franio był nadzwyczaj uprzejmy dla konkurenta. Spojrzawszy znacząco na panią de Senonches i zakończył tę scenę prezentacji, zapraszając Petit-Clauda na następny dzień na obiad dla pogadania o interesach. Następnie, odprowadziwszy obu aż na dziedziniec, oświadczył adwokatowi, iż na zalecenie Cointeta gotów jest, zarówno jak i pani de Senonches, zatwierdzić wszystko, co piastun fortuny panny de la Haye obmyślił dla szczęścia tego aniołka.

— Ha! Jakaż brzydka! — wykrzyknął Petit-Claud. — Wpadłem!...

<sup>865</sup> *Tartufe* — główny bohater komedii *Świętoszek* Moliera. [przypis edytorski]

— Wygląda dystyngowanie — odparł Cointet — zresztą, gdyby była ładna, czyżby ją panu dali?... Ech, mój drogi! Znalazłby się niejeden drobny obywatel ziemski, któremu trzydzieści tysięcy, poparcie pani de Senonches oraz hrabiny du Châtelet starczyłyby w zupełności; tym więcej, że pan du Hautoy nie ożeni się nigdy i że ta dziewczyna jest jego dziedziczką... Twoje małżeństwo jest faktem dokonanyml...

— A to jak?

— Oto co powiedziałem — odparł Wielki Cointet, streszczając adwokatowi swój śmiały zamach. — Mój drogi, pan Milaud ma być, jak mówią, mianowany prokuratorem w Nevers; sprzedasz kancelarię i za dziesięć lat będziesz ministrem sprawiedliwości. Jesteś dość odważny, aby się nie cofnąć przed żadną usługą, jakiej dwór zażąda.

— Dobrze więc, bądź pan zatem jutro o wpół do piątej na placu du Mûrier — rzekł adwokat, podniecony tą wizją przyszłości — pogadam ze starym Séchardem i dobijemy spółki, w której ojciec i syn staną się łupem Cointetów.

W chwili gdy stary proboszcz z Marsac wspinał się do Angoulême, aby powiadomić Ewę o stanie brata, Dawid od jedenastu dni znajdował się ukryty o dwa domy od tego, który zacny kapłan właśnie opuścił.

Kiedy ksiądz Marron stanął na placu du Mûrier, zastał trzech ludzi — trzy typy godne uwagi, każdy w swoim rodzaju — którzy zaważyli całym swoim ciężarem na przyszłości i terażniejszości biednego dobrowolnego więźnia: byli to stary Séchard, Wielki Cointet i chudy adwokacina. Trzej ludzie, trzy chciwości, ale trzy chciwości tak różne jak ludzie! Jeden gotów był prehandlować syna, drugi klienta, zaś Wielki Cointet kupował te wszystkie ohydy, kołyszac się nadzieją, że nic nie zapłaci. Było koło piątej; większość osób wracających na obiad zatrzymywała się, przyglądając się przez chwilę tym trzem ludziom.

— Co, u diaska, stary Séchard i Wielki Cointet mogą mieć sobie do powiedzenia?... — zastanawiali się najciekawsi.

— Chodzi zapewne o tego nieszczęśnika, który zostawia żonę, dziecko i teściową bez chleba — odpowiadano.

— Posyłajże tu dzieci na edukację do Paryża! — zawyrokował jeden z prowincjonalnych matadorów<sup>866</sup>.

— Ho, ho! Co ksiądz tutaj robi, księżu proboszczu? — krzyknął winiarz, spostrzegłszy ojca Marrona.

— Przyszedłem tu w interesie pańskich najbliższych — odparł starzec.

— Znowu koncept mego synala!... — rzekł stary Séchard.

— Tak by pana niewiele kosztowało wrócić wszystkim szczęście — rzekł ksiądz, wskaźując okno, z którego pani Séchard wychylała piękną główkę,

W tej chwili Ewa uspokajała krzyki dziecka, hojdając<sup>867</sup> je na kolanach i nucąc mu piosenkę.

— Czy ksiądz przynosi nowiny od syna — rzekł ojciec — albo, co by więcej było warte, pieniądze?

— Nie — rzekł ksiądz Marron — przynoszę siostrze nowiny od brata.

— Lucjana?... — wykrzyknął Petit-Claud.

— Tak. Biedny chłopiec przybył z Paryża pieszo. Zastałem go u młynarza, umiera z wyczerpania i nędzy. Och, bardzo jest nieszczęśliwy!

Petit-Claud skłonił się księdzu i ujął Cointeta za ramię, mówiąc:

— Mamy być na obiedzie u pani de Senonches, czas się ubierać!...

I odszedłszy o dwa kroki, szepnął mu do ucha:

— Kiedy się chwyci młode, ma się niebawem i matkę. Mamy Dawida!...

— Ja wyswatałem ciebie, wyswatajże ty mnie — rzekł Wielki Cointet z nieszczerym uśmiechem.

— Lucjan jest moim kolegą szkolnym, byliśmy bardzo blisko!... W ciągu tygodnia będę coś wiedział od niego. Postaraj się pan, aby wydano zapowiedzi, a ja podejmę się przyskrzycić Dawida. Moja misja kończy się z jego zamknięciem pod klucz.

— Ach! — wykrzyknął jakby do siebie Wielki Cointet — ładna by to była rzecz uzyskać patent na nasze nazwisko!

<sup>866</sup>matador (daw.) — przen. osoba wyższego stanu, mająca wysoką pozycję a. zajmująca ważne stanowisko; znakomitość. [przypis edytorski]

<sup>867</sup>hojdać (gw.) — huścić, kołysać. [przypis edytorski]

Słyszając to, chuderlawy adwokacina zadrżał.

W tej chwili Ewa ujrzała w drzwiach teścia i księdza Marrona.

— Ot, pani Séchard — rzekł stary niedźwiedź do synowej — oto nasz proboszcz, który z pewnością przybył nam opowiedzieć ładne historie o bracie.

— Och! — wykrzyknęła Ewa, ugodzona w serce. — Cóż jeszcze mogło mu się zdarzyć?...

Wykrzykownik ten zwiastował tyle nagromadzonych bólów, tyle i tak różnorodnych obaw, że ksiądz Marron pośpieszył dodać:

— Niech się pani uspokoi, żyje!

— Czy byłbyś tak łaskaw, ojciec — rzekła Ewa do starego winiarza — poprosić moją matkę; chciałabym, aby słyszała to, co ksiądz proboszcz ma opowiedzieć o Lucjanie.

Starzec poszedł poszukać pani Chardon.

— Czeka was nowy pasztet — rzekł. — Idź pani pogadać z księdzem Marronem, który jest dobry człowiek, chociaż ksiądz. Obiad spóźni się zapewne, wrócę za godzinę.

I starzec, nieczuły na wszystko, co nie dzwoniło lub nie błyszczało złotem, opuścił starą kobietę, nie troszcząc się, jak zniesie cios, który jej zadał. Niestety, jakie ciężyło nad dwojgiem jej dzieci, rozbicie nadziei składanych na głowie Lucjana, nieoczekiwana odmiana tego charakteru, który tak długo zdawał się energiczny i uczciwy, słowem wszystkie wypadki, jakie zaszły od półtora roku, zmieniły panią Chardon do niepoznania. Była ona nie tylko szlachetna z rasy, była szlachetna i z serca i ubóstwiała swoje dzieci, toteż więcej wycierpiała przez te ostatnie pół roku niż przez cały czas wdowieństwa. Lucjan miał widoki uzyskania nazwiska de Rubempré dekretem królewskim, zaczęcia na nowo tej rodziny, wskrzeszenia jej tytułu i godła, stania się wielkim! I runął w błoto! Pani Chardon, surowsza dlań od siostry, uważała syna za zgubionego od dnia, gdy dowiedziała się o sprawie z weksłami. Matka chce się niekiedy łudzić, ale zawsze zna dobrze dziecko, które wykarmiła, z którym się nie rozstawała; toteż w dyskusjach między Ewą a Dawidem o widoki Lucjana w Paryżu pani Chardon, na pozór dzielając złudzenia Ewy, drżała, by obawy Dawida nie okazały się słuszne, mówił bowiem tak, jak mówiło w głębi jej matczyne sumienie. Nadto znała wrażliwość córki, aby zdradzić przed nią swe cierpienia, musiała tedy tłumić je w owym milczeniu, do jakiego są zdolne jedynie matki umiejące kochać. Ewa znowuż śledziła ze zgrozą spustoszenia, jakie zgrzyzota czyniła w matce, patrzyła, jak przechodzi od starości do zgrzybiałości, posuwając się w oczach niemal! Matka i córka dopuszczały się tedy wzajem owych szlachetnych kłamstw, które nikogo nie zwodzą. W życiu tej matki zdanie okrutnego winiarza było kroplą wody, która miała przepelnić miarę: tych kilka słów sięgnęło panią Chardon w samo serce.

Matka

Toteż kiedy Ewa powiedziała księdzu: „Księżę proboszczu, oto moja matka”, kiedy ksiądz spojrział na tę twarz umęczoną jak twarz starej zakonnicy, okoloną włosami zupełnie białymi, ale uszlachetnioną łagodnym i spokojnym spojrzeniem nabożnej rezygnacji, spojrzeniem kobiety kroczącej, jak mówi Pismo, wedle woli Bożej, zrozumiał całe życie tych dwóch istot. Znikło w księdzu uczucie litości dla kata, dla Lucjana; zadrżał, odgadując cierpienia, jakie przeszły jego ofiary.

— Matko — rzekła Ewa, ocierając oczy — biedny Lucjan jest bardzo niedaleko, w Marsac.

— A czemu nie tu? — spytała pani Chardon.

Ksiądz Marron powtórzył wszystko, co mu Lucjan opowiedział o niedolach podróży i nieszczęściach ostatnich dni w Paryżu. Odmalował rozpacz poety, z chwilą gdy się dowiedział, jak zaciążyła na rodzinie jego nieopatrzność; opisał również obawy jego o przyjęcie, z jakim by się spotkał w Angoulême.

— Czyż doszedł do tego, iż nauczył się wątpić o nas? — rzekła pani Chardon.

— Nieszczęśliwy szedł do was pieszo, znosząc najokropniejsze braki; wraca upokorzony, skruszony i pragnie odmienić życie, naprawić swoje błędy.

— Ojciec — rzekła siostra — mimo złego, jakie nam wyrządził, kocham brata tak, jak się kocha ciało istoty, która już nie istnieje; kochać go w ten sposób to znaczy jeszcze kochać więcej, niż wiele sióstr kocha swoich braci. Wtrącił nas w straszną nędzę; ale niech przyjdzie, podzieli ten liche kawałek chleba, jaki jeszcze mamy, słowem to, co nam zostawił. Ach, gdyby nie był nas opuszczał, księżę proboszczu, nie postradalibyśmy najdroższych skarbów!

Siostra



— I to ta sama kobieta, która go stąd uprowadziła, przywiozła go z powrotem swą karocą — wykrzyknęła pani Chardon. — Wyjechawszy w kolonie pani de Bargeton, obok niej, wrócił z tyłu, na walizce!

— W czym mogę być państwu użyteczny? — spytał zacny proboszcz, szukając jakiegoś pożegnalnego frazesu.

— Ach, księżo — odparła pani Chardon — rana pieniężna nie jest śmiertelna, powiadają; ale takich ran nie może uleczyć kto inny niż sam chory.

— Gdybyś, ojcze, miał dość wpływu, aby skłonić mego teścia do wspomnienia Dawida, ocaliłbyś całą rodzinę.

— On nie wierzy w was i wydał mi się bardzo podrażniony — rzekł starzec. Z domyślników winiarza sprawy jego syna wydały się księdzu gniazdem os, w które niebezpiecznie jest stąpać<sup>868</sup> nogą.

Ukończywszy swą misję, ksiądz udał się na obiad do Postela, który rozproszył do reszty odrobinę dobrych chęci wuja, przyznając, jak całe Angoulême, słuszność nie Dawidowi, lecz jego ojcu.

— Można sobie dać radę z marnotrawcą — rzekł na zakończenie mały Postel — ale ludzie bawiący się w wynalazki to czysta ruina.

Ciekawość proboszcza nasyciła się zupełnie, co stanowi na prowincji główny cel zapamiętania, z jakim ludzie zajmują się drugimi. Wieczorem ksiądz obznajmił poetę ze wszystkim, co się dzieje u Séchardów, przedstawiając mu swą podróż jako misję najczystszej miłości.

— Zadłużyłeś siostrę i szwagra na dziesięć do dwunastu tysięcy — rzekł w końcu. — Takiej sumy, drogi panie, nikt nie znajdzie u sąsiada. U nikogo z nas się nie przelewał! Myślałem, że chodzi o znacznie mniejszą sumę, kiedy mi pan mówiłeś o swoich skryptach.

Podziękowawszy starcowi za jego dobroć, Lucjan rzekł:

— Słowa przebaczenia, jakieś mi, ojcze, przyniósł, są dla mnie prawdziwym skarbem.

Nazajutrz Lucjan puścił się bardzo rano z Marsac do Angoulême, gdzie stanął około dziewiątej, z laską w rękę, w surducinie dosyć uszkodzonej podróżą oraz w czarnych pantalonach w białe paski. Zużyte obuwie mówiło dość jasno, iż należał do nieszczęśliwej klasy pieszych wędrowców. Toteż nie tail przed sobą wrażenia, jakie musiał wyrzucić na ziemiach kontrast jego powrotu i wyjazdu. Ale z sercem jeszcze drgającym od wyrzutów, które obudziło w nim opowiadanie starego księdza, przyjmował w tej chwili tę karę, gotów znieść spojrzenia znajomych. Powiadał sobie w duchu:

„Jestem heroiczny!”

Wszystkie te poetyckie natury zaczynają od tego, iż oszukują same siebie. W miarę jak Lucjan szedł przez Houmeau, w duszy jego walczył wstyd tego powrotu i poezja wspomnień. Serce mu zabiło, kiedy przechodził pod drzwiami Postela, gdzie szczęściem dlań Leonia Marron znajdowała się w sklepie sama z dzieckiem. Ujrzał z przyjemnością (taką moc zachowała w nim próżność), iż nazwisko ojca znikło z szyldu. Od swego małżeństwa Postel kazał przemalować sklep i umieścić na szyldzie, jak w Paryżu, po prostu:

## APTEKA

Mijając bramę Palet, Lucjan odczuł działanie rodzinnego powietrza, nie czuł już ciężaru swych niedoli i rzekł sobie z rozkoszą:

„Ujrę ich zatem!”

Dotarł do placu du Mûrier, nie spotkawszy nikogo: szczęście, o jakim zaledwie marzył, on, który niegdyś przechadzał się po mieście jako triumfator! Maryna i Kolb, strażujący u bramy, rzucili się ku schodom, wołając:

— Idzie! Idzie!...

Lucjan ujrzał starą drukarnię, dziedziniec, zastał na schodach siostrę i matkę: uściskali się, zapominając na chwilę w tym uścisku wszystkich nieszczęść. W rodzinie wchodzi się prawie zawsze w jakiś układ z nieszczęściem; człowiek ściele sobie łóżko, a nadzieja pozwala ścierpieć jego twardość. O ile Lucjan przedstawiał obraz rozpaczony, przedstawiał także i jej poezję: opalił się w drodze od słońca, głęboka melancholia naznaczyła jego rysy, rzucając cienie na czoło poety. Ta zmiana świadczyła o tylu cierpieniach, że na widok

<sup>868</sup>stąpać (daw.) — postawić krok; dziś: stąpnąć. [przypis edytorski]

śladów, jakie nędza wyryła na jego fizjonomii, jedynym możliwym uczuciem była litość. Wyobraźnia, która przed dwoma laty opuściła łono rodziny, odnajdowała za powrotem smutną rzeczywistość. Ewa, przy całej radości, miała uśmiech męczennicy. Pod wpływem zgryzot twarz pięknej i młodej kobiety staje się niebiańska. Powaga, która zastąpiła na licach siostry dawną słodycz i niewinność, zbyt wymownie przemawiała do Lucjana, aby mogła nie wyrzucić na nim bolesnego wrażenia. Toteż po pierwszym wylewie, tak żywym i naturalnym, nastąpiła z obu stron reakcja: każde lękało się przemówić. Lucjan mimo woli szukał spojrzeniem tego, którego brakowało w zebraniu. To spojrzenie, dobrze zrozumiane, spowodowało wybuch łez Ewy, a w następstwie i Lucjana. Pani Chardon siedziała blada i na pozór niewzruszona. Ewa wstała, zeszła na dół, aby oszczędzić bratu twardego słowa, i rzekła do Maryny:

— Moje dziecko, pan Lucjan lubi poziomki, trzeba by się postarać!...

— Och! Ja myślałam sobie, że państwo będą chcieli uczcić przyjazd pana Lucjana. Niech pani będzie spokojna, będziecie mieli doskonale śniadanko i obiad też jak się patrzy.

— Lucjanie — rzekła pani Chardon — masz tutaj dużo do naprawienia. Wyjechawszy, aby stać się przedmiotem naszej dumy, pograżył nas w nędzę. Niemal strzaskałeś w rękach brata narzędzie fortuny, o której marzył jedynie dla nas wszystkich. Złamałeś nie tylko to... — rzekła matka.

Nastąpiła straszliwa pauza; milczenie Lucjana wyrażało poddanie się tym macierzyńskim wyrzutom.

— Wejdz na drogę pracy — podjęła łagodnie pani Chardon. — Nie potępiam cię, iż kusieś się wskrzesić szlachetny ród, z którego pochodzę; ale do takich przedsięwzięć trzeba przede wszystkim majątku i osobistej godności: brakło ci jednego i drugiego. W miejsce wiary zaszczyliłeś w nas nieufność. Zniweczyłeś spokój pracowitej i zrezygnowanej rodziny, która kroczyła tutaj trudną drogą... Pierwszym błędem należy się przebaczenie. Nie powtarzaj już tego. Znajdujemy się w położeniu trudnym, bądź roztropny, słuchaj siostry; nieszczęście jest nauczycielem, którego twarde lekcje wydały w niej owoce: nauczyła się myśleć poważnie, jest matką, dźwiga, przez poświęcenie dla drogiego Dawida, cały ciężar gospodarstwa; słowem, stała się, z twojej winy, mą jedyną pociechą.

— Miałaś prawo być surowszą — rzekł Lucjan, ściskając matkę. — Przyjmuję twoje przebaczenie, jest ono jedyne, jakiego będę w życiu potrzebował.

Ewa wróciła; z upokorzonej postawy brata zrozumiała, że pani Chardon przemówiła mu do sumienia. Dobroć sprowadziła na jej usta uśmiech, na który Lucjan odpowiedział tłumionymi łzami. Obecność ma jakiś czar, zmienia najbardziej wrogie usposobienia tak między kochankami, jak w łonie rodziny, choćby przyczyny żalu i urazy były najszlachetniejsze. Czy przywiązanie żłobi w duszy drogi, w które rada jest powracać? Czy to zjawisko należy do sfery magnetyzmu? Czy rozum powiada, że trzeba albo już rozstać się na zawsze, albo przebaczyć? Czy objaw ten należy przypisać rozumowaniu, przyczynom fizycznym czy też duszy? Każdy musiał doświadczyć, iż spojrzenie, ruch, postępek kochanej istoty wydobywają z serca tych, których ona najbardziej obraziła, zmartwiła lub znękała, iskry czułości. Choć rozumowi trudno jest zapomnieć, choć poczucie krzywdy trwa jeszcze, serce, mimo wszystko, wraca do swej niewoli. I tak biedna siostra, słuchając aż do śniadania zwierzeń brata, nie była panią swych oczu, kiedy patrzyła na niego, ani też swego głosu, kiedy pozwoliła mówić sercu. Ogarniając obraz literackiego życia w Paryżu, rozumiała, jak Lucjan mógł ulec w walce. Radość poety pieszczącego dziecię Ewy, wybuchy jego dzieciństwa<sup>869</sup>, szczęście, iż ogląda kraj rodzinny i swoich, zmieszane z głęboką troską o ukrywającego się Dawida, słowa żalu, jakie wydarły się Lucjanowi, rozczulenie jego na widok poziomek, gdy ujrzał, iż pośród swych udręczeń siostra pamiętała o ulubionym przysmaku, wszystko, aż do konieczności pomieszczenia tego marnotrawnego brata i zajęcia się nim, uczyniło dzień ten świętem. Było to jak gdyby wytchnienie w niedoli. Aż stary Séchard zmałował obu kobietom tę chwilę wylania<sup>870</sup>, mówiąc:

— Podejmujecie go, jak gdyby wam przywiózł złote góry!...

— A cóż Lucjan zrobił takiego, abyśmy go nie miały podejmować?... — wykrzyknęła pani Séchard, czuła na opinię Lucjana.

<sup>869</sup> *dzieciństwo* (daw.) — dziś: dzieciada; postępowanie dzieciinne, właściwe dzieciom, a nie dojrzałym ludziom. [przypis edytorski]

<sup>870</sup> *wylanie* (przestarz.) — wylewność, żywiołowa szczerłość, serdeczność. [przypis edytorski]

Jednakże po pierwszych chwilach roztkliwienia rzeczywistość upomniała się o swoje prawa. Lucjan zauważył niebawem u Ewy różnicę między przywiązaniem obecnym a tym, jakie dlań miała niegdyś. Dawid był dla niej przedmiotem głębokiej czci, gdy Lucjana kochała mimo wszystko, tak jak się kocha kochankę, mimo klęsk, jakie sprowadza. Szacunek, niezbędny grunt dla przywiązania, jest owym twardym materiałem, który mu daje nieokreśloną pewność, bezpieczeństwo, stanowiące podstawę życia; otóż tego uczucia brakło pani Chardon i Ewie w stosunku do Lucjana. Nie czuł w nich tej ufności, jaką byłby posiadał, gdyby nie chybił honorowi. Sąd wydany o nim przez d'Artheza, sąd, który stał się przekonaniem siostry, przebijał mimo woli w jej gestach, spojrzeniach, głosie. Lucjan budził współczucie; ale aby miał być chlubą, ozdobą rodziny, bohaterem domowego ogniska, wszystkie te piękne nadzieje pierchły bezpowrotnie. Lękano się jego nieopatrności tak dalece, iż tajono przed nim schronienie Dawida. Ewa, nieczuła na pieszczoty, w jakie stroiła się ciekawość Lucjana, spragnionego widoku szwagra, nie była już tą Ewą z Houmeau, dla której niegdyś spojrzenie Lucjana było nieodpartym nakazem. Lucjan mówił o naprawieniu błędów, chępiąc się, iż mógłby ocalić Dawida. Ewa odpowiadała:

— Nie miesza się do tego; wrogowie nasi to najbardziej przewrotni i szczymani ludzie pod słońcem.

Lucjan potrząsnął głową, jak gdyby mówiąc: „Walczyłem z paryżanami...” Siostra odpowiadała spojrzeniem, które znaczyło: „I padłeś...”

„Nie kochają mnie już — myślał Lucjan. — Dla rodziny, jak i dla świata, trzeba tedy powodzenia!”

Od drugiego dnia, starając się wytłumaczyć sobie brak zaufania matki i siostry, poeta ogarniał rodzinny dom myślą nie nienawistną, ale zgryźliwą. Zaczął przykładać miarę paryską do tego skromnego prowincjonalnego życia, zapominając, że cierpliwa mierność tej wzniosłej swą rezygnacją rodziny była jego dziełem.

„Ot, mieszczyki z nich, niezdolne mnie zrozumieć” — mówił sobie, oddalając się w ten sposób od siostry, matki i Séchara, których nie mógł już oszukać ani co do swego charakteru, ani co do przyszłości.

Ewa i pani Chardon, w których tyle wstrząśnień nieszczęść obudziło zmysł jasnowidzenia, śledziły tajemne myśli Lucjana, odczuły jego niesprawiedliwy sąd i jego obcość.

„Paryż bardzo go nam odmienił” — myślały.

Zbierały wreszcie owoc egoizmu, które same wyhodowały. Z obu stron ten lekki zacyzn musiał dojść do fermentacji i doszedł w istocie, zwłaszcza u Lucjana, który tyle sobie miał do wyrzucenia. Co do Ewy, była ona z rzędu siostr umięjących powiedzieć bratu, który pobjął: „Przebac mi twoje winy...” Kiedy spójnia dusz bywa równie doskonała jak niegdyś między Ewą i Lucjanem, wszelka skaza na tym ideale jest śmiertelna. Gdy zbrodniarze godzą się po pchnięciach sztyletu, zakochani rozchodzą się nieodwołalnie dla jednego spojrzenia, jednego słowa. Często we wspomnieniu o rzekomej doskonałości serc kryje się tajemnica nie wyjaśnionego na pozór rozstania. Można żyć z nieufnością w sercu wówczas, gdy przeszłość nie jawi obrazu przywiązania czystego i bez chmurki; ale dla dwojga istot niegdyś doskonale bliskich, skoro spojrzenie, słowo wymagają ostrożności, życie staje się niemożliwe. Dlatego też wielcy poeci każą swoim Pawłom i Wirginiom<sup>871</sup> umierać na progu młodości. Czy moglibyście sobie wyobrazić Pawła i Wirginię poróżnionych? Zważmy na chwałę Ewy i Lucjana, że sprawy materialne, mimo iż tak drażliwe, nie jątrzyły tych ran; zarówno u nieskazitelnej siostry, jak u ciężko winnego poety wszystko rozgrywało się w sferze uczucia, toteż najmniejsze nieporozumienie, najdrobniejsza sprzeczka, nowy zawód ze strony Lucjana mogły ich rozłączyć lub stać się przyczyną rodzinnego starcia, którego nie da się naprawić. Gdzie chodzi o pieniądze, wszystko się da ułożyć, ale uczucia są nieubłagane.

Nazajutrz Lucjan otrzymał numer miejscowego dziennika i pobjął z przyjemności, widząc się tematem wstępnego artykułu, na jaki pozwoliła sobie ta szacowna gazetka,

Miłość, Zbrodniarz

<sup>871</sup>*Paweł i Wirginia* — tytułowa para nieszczęśliwych kochanków z powieści Jacques'a-Henriego Bernardina de Saint-Pierre z 1788, opisującej miłość na łonie przyrody oraz zgubny wpływ wychowania w cywilizacji. [przypis edytorski]

która, podobna w tym do prowincjonalnych akademii, jak dobrze wychowana panna, wedle określenia Woltera<sup>872</sup>, nigdy nie dała przyczyn do mówienia o sobie.

Niech Framche-Comté wbija się w puchę tym, że wydało Wiktora Hugo, Karola Nodier<sup>873</sup> i Cuviera; Bretania Chateaubrianda<sup>874</sup> i Lamennais<sup>875</sup>, Normandia Kazimierza Delavigne<sup>876</sup>, Turenia autora *Eloi*<sup>877</sup>; dziś Angoulême, które już za Ludwika XIII zrodziło znakomitego Gueza<sup>878</sup>, bardziej znanego pod nazwiskiem de Balzac, nie ma nic do pozazdrośczenia tym prowincjom ani też Limuzji, która wydała Dupuytren<sup>879</sup>, ani Oweronii, ojczyźnie Montlosiera<sup>880</sup>, ani Bordeaux, które miało szczęście patrzeć na urodzenie tylu wielkich ludzi; my także mamy poetę! Autor pięknych sonetów zatytułowanych *Stokrocie* łączy do chwały poety sławę prozaika, świat bowiem zawdzięcza mu również wspaniały romans *Gwardzista Karola IX*. Przyjdzie dzień, w którym wnuki nasze będą dumne, iż miały za ziomka Lucjana Chardon, rywała Petrarci<sup>881</sup>!!!

W prowincjonalnych dziennikach tego czasu wykrzykniki podobne były do owych „hura”, którymi przyjmuje się mowy na mityngach w Anglii.

Mimo olśniewających sukcesów w Paryżu młody poeta przypomniał sobie, że pałac Bargeton był kolebką jego triumfów, że arystokracja angulemska pierwsza przyklasnęła jego poezjom; że małżonka prefekta, hrabiego du Châtelet, dodawała odwagi pierwszym jego krokom w służbie Muz; i wrócił między nas!... Całe Houmeau doznało głębokiego wzruszenia, kiedy wczoraj zjawił się w nim nasz Lucjan de Rubempré. Nowina o jego powrocie wywarła wszędzie najżywsze wrażenie. To pewna, iż Angoulême nie da się wyprzedzić mieszkańcom Houmeau w objawach czci, jakie rodzinne miasto gotuje się złożyć temu, który, w prasie czy literaturze, tak chlubnie reprezentował je w Paryżu. Lucjan, poeta zarazem religijny i rojalistyczny, zwycięsko stawiał czoło rozjuszeniu stronnictw; przybył, jak powiadają, odpocząć po trudach walki, która zużyłaby atletów silniejszych jeszcze od tego delikatnego artysty i marzyciela.

Dzięki głęboko politycznej myśli, której przyklaskujemy i którą, jak powiadają, pierwsza powzięła hrabina du Châtelet, jest mowa o tym, aby przywrócić wielkiemu poecie tytuł i nazwisko znakomitej rodziny de Rubempré, której matka poety, pani Chardon, jest jedyną latoroślą. Odmładzać w ten sposób, za pomocą nowych talentów i nowej chwały, stare i bliskie wygaśnięcia rody jest u nieśmiertelnego twórcy Konstytucji<sup>882</sup> nowym dowodem jego stałego dążenia, wyrażonego słowy: Jedność i zapomnienie.

Nasz poeta zamieszkał u siostry swej, pani Séchard.

W rubryce „Kronika angulemska” znajdowały się następujące nowiny:

<sup>872</sup>Wolter a. Voltaire, właśc. François-Marie Arouet (1694–1778) — czołowy francuski pisarz, filozof i publicysta epoki oświecenia, znany z walki o wolność słowa i wyznania. [przypis edytorski]

<sup>873</sup>Nodier, Charles (1780–1844) — francuski pisarz, krytyk, prekursor romantyzmu. [przypis edytorski]

<sup>874</sup>Chateaubriand, François-René de (1768–1848) — francuski pisarz i polityk, inicjator romantyzmu w literaturze francuskiej. [przypis edytorski]

<sup>875</sup>Lamennais, Félicité Robert de (1782–1854) — francuski pisarz i ideolog, propagator socjalizmu chrześcijańskiego. [przypis edytorski]

<sup>876</sup>Delavigne, Casimir (1793–1843) — francuski poeta i dramaturg, członek Akademii Francuskiej (1825). [przypis edytorski]

<sup>877</sup>Eloa — alegoryczny poemat Alfreda de Vigny (1797–1863) z roku 1824. [przypis edytorski]

<sup>878</sup>Balzac, Jean-Louis Guez de (1597–1654) — francuski pisarz, autor listów, które wywarły duży wpływ na kształtowanie się nowożytnej prozy francuskiej. [przypis edytorski]

<sup>879</sup>Dupuytren, Guillaume (1777–1835) — francuski chirurg, wprowadził wiele nowych metod operacyjnych. [przypis edytorski]

<sup>880</sup>Montlosier, właśc. François Dominique de Reynaud, książę de Montlosier (1755–1838) — konserwatywny francuski polityk i pisarz. [przypis edytorski]

<sup>881</sup>Petrarca, Francesco (1304–1374) — włoski poeta; zasłynął cyklem wierszy miłosnych, głównie sonetów, poświęconych Laurze, której tożsamość pozostaje nieznana. [przypis edytorski]

<sup>882</sup>nieśmiertelny twórca Konstytucji — król Ludwik XVIII, który 4 czerwca 1814 ogłosił Kartę Konstytucyjną. [przypis edytorski]

Nasz prefekt, hrabia du Châtelet, już zamianowany zwyczajnym podkomorzym JKM<sup>883</sup>, otrzymał godność radcy stanu do nadzwyczajnych poruczeń.

Wszystkie władze złożyły wczorajszego dnia panu Prefektowi swoje uszanowanie.

Hrabina Sykstusowa du Châtelet będzie przyjmowała co czwartek.

Mer Escarbas, pan de Nègrepelisse, reprezentant młodszej gałęzi rodziny d'Espard, ojciec pani du Châtelet, świeżo mianowany hrabią, parem Francji i komandorem Św. Ludwika<sup>884</sup>, jest, jak powiadają, upatrzony na przewodniczącego wielkiego kolegium wyborczego w Angoulême przy najbliższych wyborach.

— Patrz! — rzekł Lucjan do siostry, przynosząc dziennik.

Przeczytawszy uważnie, Ewa oddała gazetę Lucjanowi z zamyśloną twarzą.

— Cóż ty na to?... — spytał Lucjan, zdziwiony tą wstrzemięźliwością, która miała odcień chłodu.

— Mój drogi — rzekła — ten dziennik należy do Cointetów; oni wyłącznie rozstrzygają o treści; zniewolić może ich pod tym względem jedynie prefektura albo konsystorz. Czy przypuszczasz, że twój dawny rywal, dzisiejszy prefekt, jest dość wspaniałomyślny, aby śpiewać twoje pochwały? Czy zapominasz, że Cointetowie ścigają nas pod nazwiskiem Métiviera i chcą z pewnością doprowadzić Dawida do tego, aby im oddał w ręce zyski swego odkrycia?... Z którejkolwiek strony pochodzi ten artykuł, wydaje mi się niepokojący. Budziłeś tutaj jedynie nienawiści, zazdrości; spotwarzano cię na mocy przysłowia: „Nikt nie jest prorokiem we własnym kraju”, i oto wszystko zmienia się w mgnieniu oka.

— Nie znasz miłości własnej prowincjonalnych miasteczek — odparł Lucjan. — W pewnej mieścinie na południu ludność wyległa, aby przyjmować u bram młodego człowieka, który otrzymał nagrodę na jakimś konkursie, widząc w nim wielkiego człowieka *in spe*<sup>885</sup>!

— Słuchaj mnie, drogi Lucjanie, nie chcę ci mówić kazań, powiem wszystko w jednym słowie: miej się tu na baczności przed najmniejszym drobiazgiem.

— Masz słuszność — odparł Lucjan, przykro dotknięty, iż znalazł u siostry tak mało entuzjazmu.

Poeta był u szczytu radości, widząc, jak pokątny i hańbiący powrót do Angoulême zmienia się w triumf.

— Nie wierzysz w tę trochę sławy, która nas kosztuje tak drogo! — wykrzyknął Lucjan po godzinie milczenia, w czasie którego burza zebrała się w jego sercu.

Za całą odpowiedź Ewa spojrzała na Lucjana, a spojrzenie to sprawiło, iż zawstydził się swego oskarżenia.

Na krótko przed obiadem woźny z prefektury przyniósł list zaadresowany do Lucjana Chardona; list ten jak gdyby przyznawał słuszność próżności poety, którego już oto świat wyrwał rodzinie. List mieścił następujące zaproszenie:

Hrabiostwo Sykstusowie du Châtelet mają zaszczyt prosić p. Lucjana Chardona na obiad dnia 15 września br.

Do listu dołączona była karta wizytowa:

Hrabia Sykstus du Châtelet  
Podkomorzy JKM, Prefekt Charenty, Radca Stanu

— Jesteś pan w łasce — rzekł stary Séchard — mówią o panu w mieście jak o wielkiej figurze... Wszczyzna się sprzeczka między Angoulême a Houmeau, które z nich ma ci uwieść wieńce...

<sup>883</sup>JKM — Jego Królewskiej Mości. [przypis edytorski]

<sup>884</sup>komandor Św. Ludwika — osoba odznaczona Orderem Świętego Ludwika drugiej klasy (komandoria), nadawanym za zasługi wojenne. [przypis edytorski]

<sup>885</sup>*in spe* (łac. dosł.: w nadziei) — w oczekiwanej przyszłości; przyszły, spodziewany. [przypis edytorski]

— Droga Ewo — szepnął Lucjan siostrze — znajduję się najzupełniej w tym samym położeniu co w dniu, gdy miałem pierwszy raz iść do pani de Bargeton: nie mam się w co ubrać na ten obiad.

— Masz tedy zamiar przyjąć to zaproszenie?... — krzyknęła pani Séchard, przestraszona.

Wywiązała się w tej kwestii polemika między bratem i siostrą. Zdrowy rozsądek mieszkanki prowincji powiadał Ewie, że należy się pokazywać światu jedynie z uśmiechniętą twarzą, w nienagannym stroju; ale pod tym kryła się jeszcze jej prawdziwa myśl: „Dokąd ten obiad zawiedzie Lucjana? Jakże nań ma zamiary ten wielki świat? Czy nie knują czegoś przeciw niemu?”

Wreszcie, udając się na spoczynek, Lucjan rzucił siostrze:

— Ty sobie nie zdajesz sprawy z mego wpływu! Żona prefekta zlekka się dziennikarza; zresztą w hrabinie du Châtelet tkwi zawsze jeszcze dawna Luiza! Kobieta, która uzyskała tyle faworów, może ocalić Dawida! Powiem jej o odkryciu, którego mój brat dokonał; uzyskać dziesięć tysięcy od ministerstwa będzie dla niej drobnostką.

O jedenastej wieczór Lucjan, jego siostra, matka i stary Séchard jak również Kolb i Maryna zbudzili się, wyrwani ze snu przez orkiestrę miejską wzmocnioną muzyką załogi, i ujrzeni plac du Mûrier pełen ludzi. Młodzież miejscowa wyprawiała serenadę dla Lucjana Chardona de Rubempré. Lucjan stanął w oknie pokoju siostry i po ostatnim utworze, wśród najgłębszego milczenia, rzekł:

— Dziękuję wam, rodacy, za zaszczyt, jaki mi czynicie, zaszczyt, którego będę się starał być godny; darujcie mi, że nie powiem więcej: wzruszenie moje jest tak żywe, że nie pozwala mi znaleźć słów.

— Niech żyje autor *Guardzisty!*... Niech żyje autor *Stokroci!*... Niech żyje Lucjan de Rubempré!

Po tych trzech salwach, wzniesionych przez kilka głosów, trzy wieńce wraz z kilkoma bukietami wpadły, zręcznie rzucone, przez okno do mieszkania. W dziesięć minut później plac był pusty i cichy.

— Wolalbym dziesięć tysięcy franków — rzekł stary Séchard, który z głęboko sztydzą miną obracał w rękach wieńce i bukiety. — Ale cóż! Pan dałeś im stokrotki, oni oddają ci bukietki: robicie w kwiatkach.

— Tak pan ceni zaszczyt, jaki mi świadczą ziomkowie! — wykrzyknął Lucjan, którego fizjonomia przedstawiała wyraz zupełnie wolny od melancholii i promieniejący prawdziwą radością. — Gdybyś znał ludzi, papo Séchard, wiedziałbyś, że podobna chwila nie zdarza się dwa razy w życiu. Jedynie prawdziwemu entuzjastomowi można zawdzięczać podobne triumfy!... To, droga matko i siostrzo, zaciera wiele zgrzytot.

Lucjan uściskał matkę i siostrę, jak się ściskają ludzie w owych chwilach, gdy radość występuje z brzegów falą tak szeroką, że trzeba ją przelać w serce przyjaciela... („W braku przyjaciela — rzekł kiedyś Bixiou — pijany powodzeniem autor ściska odźwiernego”).

— I cóż, drogie dziecko — rzekł do Ewy — czemu płaczesz? A, to z radości...

— Ach — rzekła Ewa do matki, skoro znalazły się same i miały wrócić do łóżek — zdaje się, że w każdym poecie mieszka piękniejsza najgorszego rodzaju...

— Masz słuszność — odparła matka, potrząsając głową — Lucjan zapomniał już wszystko, nie tylko swoje nieszczęścia, ale i nasze.

Matka i córka rozstały się, nie śmiejąc wyrazić całej swojej myśli.

W krajach pożeranych niesubordynacją społeczną, ukrytą pod słowem „równość”, wszelki triumf jest cudem, który nie dzieje się, jak i wiele cudów zresztą, bez udziału zręcznych maszynistów. Na dziesięć owacji, jakie spotykają żyjących ludzi z porywu wdzięcznej ojczyzny, z pewnością dziewięć ma przyczyny obce osobie laureata. Czyż triumf Woltera na deskach Komedii Francuskiej nie był triumfem filozofii jego wieku?<sup>886</sup> We Francji można triumfować jedynie wtedy, kiedy cały świat wieńczy siebie w osobie triumfatora. Toteż obie kobiety miały słuszność w swoich przecuciach. Sukces prowincjonalnego geniusza był czymś zbyt przeciwnym prowincjonalnej martwocie Angoulême, aby

<sup>886</sup> Czyż triumf Woltera na deskach Komedii Francuskiej nie był triumfem filozofii jego wieku? — Wolter był zarówno znanym pisarzem i filozofem, jak i sławnym dramaturgiem: napisał ponad 50 sztuk teatralnych, wystawianych z wielkim powodzeniem na scenie Comédie Française. Uznaje się go za największego francuskiego dramaturga XVIII w., choć obecnie jego sztuki nie są grywane. [przypis edytorski]

sprężyną jego nie miał być jakiś interes albo też gorliwy maszynista: dwa zarówno niebezpieczne współpracownictwa. Nieufność Ewy, jak bywa zresztą u większości kobiet, tkwiła w instynkcie: sama przed sobą nie umiałaby jej usprawiedliwić. Zaspiając, myślała:

„Kto tutaj tak bardzo jest przejęty Lucjanem, aby na jego rzecz poruszyć całe miasto? *Stokrocie* nie są zresztą jeszcze wydane; skądże tedy te owacje na rachunek przyszłego sukcesu?...”

Triumf ten był w istocie dziełem Petit-Clauda. W dniu, w którym proboszcz z Marsac oznajmił mu powrót Lucjana, adwokat był po raz pierwszy na obiedzie u pani de Senonches, która miała oficjalnie przyjąć prośbę jego o rękę pupilki. Był to jeden z owych rodzinnych obiadów, których uroczystość ujawnia się raczej w toaletach niż w ilości biesiadników. Mimo iż w rodzinie, wszyscy czują się jak na przedstawieniu, każdy wyraża coś swoim zachowaniem. Franciszkę wystawiono niby za gablotkę. Pani de Senonches wywiesiła flagi swoich najwyszukańszych toalet. Pan du Hautoy był w czarnym fraku. Pan de Senonches, uwiadomiony przez żonę o przybyciu pani du Châtelet, która miała się pokazać u nich po raz pierwszy, oraz o oficjalnym występie konkurenta Franciszki, przybył od państwa de Pimentel. Cointet, ubrany w swój najpiękniejszy orzechowy surdut, przypominający krojem sutannę, migotał oczom obecnych diamentem wartości sześciu tysięcy franków, wpiętym w żabot; była to zemsta bogatego kupca nad ubogą arystokracją. Petit-Claud, wystrzyżony, wyczesany, wymyty, nie mógł się wyzbyć sztywnej i oschłej miny. Trudno było nie porównać tego chudego adwokaciny w opiętym fraku do zamrożonej żmii; ale nadzieja tak ożywiła jego oczy podobne do oczu sroki, twarz jego oblekła się w tyle lodowatego chłodu, trzymał się tak sztywno, że utrafił właśnie w ton godnego i ambitnego prokuratora z prowincji. Pani de Senonches prosiła zaufanych, aby nie wspominali nikomu o pierwszym spotkaniu jej pupilki z konkurentem ani o zapowiedzianej wizycie pani prefektowej, spodziewała się tedy, iż goście napłyną hurmem. Prefekt i jego żona załatwili urzędowe wizyty prostym rzuceniem biletów, zachowując zaszczyt osobistej bytności jako osobliwe i celowe wyróżnienie, toteż arystokracja angulemska nie posiadała się z ciekawości i wiele osób z obozu Chandour postanowiło udać się do pałacu Bargeton — jako że wzbraniano się nazywać ów dom pałacem Senonches. Oznaki wpływów hrabiny du Châtelet rozbudziły wiele ambicji; opowiadano zresztą, iż tak zmieniła się na korzyść, że każdy chciał to osądzić własnymi oczami. W drodze Petit-Claud dowiedział się od Cointeta, iż pani prefektowa pozwoliła łaskawie, aby Zefiryna przedstawiła jej narzeczonego drogiej Frani; za czym<sup>887</sup> adwokat postanowił wyciągnąć korzyść z fałszywego położenia, w jakim powrót Lucjana stawiał Luizę.

Państwo de Senonches, kupując dom Bargetonów, wzięli na siebie tak ciężkie zobowiązania, iż jako szczerzy mieszkańcy prowincji nie odważyli się podjąć najmniejszej zmiany. Toteż pierwszym słowem Zefiryny, kiedy wyszła na spotkanie uroczyste oznajmionej prefektowej, było:

— Patrz, droga Luizo, jesteś tu jeszcze u siebie!... — Tak mówiła, pokazując świecznik z kryształowymi wisiorami, boazerie i umeblowanie, które niegdyś tak bardzo olśniły Lucjana.

— O tym, moja droga, najmniej pragnę sobie przypominać — rzekła z wdziękiem prefektowa, rzucając dokoła spojrzenie, aby się przyjrzeć zgromadzeniu.

Każdy przyznał w duchu, iż Luiza de Nègrepelisse niepodobna była do samej siebie. Wielki świat paryski, w którym bawiła półtora roku, pierwsze chwile szczęścia małżeńskiego, które tak samo przekształciły kobietę, jak Paryż mieszkankę prowincji, pewna godność, jaką daje władza, wszystko to uczyniło z hrabiny du Châtelet osobę zaledwie tak podobną do dawnej pani de Bargeton, jak dwudziestoletnia dziewczyna podobna jest do swej matki. Miała zachwycający stroik z koronek i kwiatów, niedbale przypięty diamentową szpilką. Włosy ułożone *à l'anglaise*<sup>888</sup> dobrze oprawiły twarz i odmładzały ją, zacierając kontury. Fularowa<sup>889</sup> wycięta suknia, rozkosznie oszyta frędzelkami — dzieło słynnej Wiktoryny — uwydatniała smukłą kibić. Ramiona, okryte blondynową<sup>890</sup> chusteczką, ledwie były widoczne pod gazą, zręcznie owiniętą koło zbyt długiej szyi. Mó-

Strój

<sup>887</sup>za czym (daw.) — po czym; więc, zatem, wobec tego. [przypis edytorski]

<sup>888</sup>à l'anglaise (fr.) — na sposób angielski. [przypis edytorski]

<sup>889</sup>fularowy — wykonany z fularu, miękkiego, delikatnego jedwabiu. [przypis edytorski]

<sup>890</sup>blondynowy — wykonany z blondyny, tj. koronki klockowej z surowego jedwabiu. [przypis edytorski]

więc, bawiła się ładnymi drobiażdżkami, z którymi obchodzenie się jest zabójczą rafią dla mieszkanki prowincji; śliczny flakonik z solami wisiał na łańcuszku u bransolety; w rękę trzymała wachlarz i chusteczkę, nic nie czując się nimi zakłopotana. Smak najdrobniejszych szczegółów, wzięcie skopiowane z pani d'Espard odsłaniały w Luizie pilną uczennicę Dzielnicy Saint-Germain. Co się tyczy starego galanta z epoki Cesarstwa, to dojrzał w małżeństwie jak owe melony, które, z zielonych poprzedniego dnia, stają się żółte w ciągu jednej nocy. Znajdując na rozkwitłej twarzy żony świeżość, którą Sykstus postradał, podawano sobie z ucha do ucha tradycyjne prowincjonalne koncepty tym skwapliwiej, iż wszystkie kobiety wściekle były o nową pozycję ekskrólowej Angoulême; uparty intruz musiał tedy zapłacić za żonę. Wyjąwszy państwa de Chandour, nieboszczyka pana de Bargeton, pana de Pimentel i Rastignaców, zebranie było prawie równie liczne jak w dniu, kiedy Lucjan czytał w tym samym salonie swoje utwory, gdyż Jego Wielebność ksiądz biskup przybył również w asystencji wielkich wikariuszów<sup>891</sup>. Petit-Claud, wzruszony widokiem angulemskiej arystokracji, która cztery miesiące temu nie mogła być dlań nawet fantastycznym marzeniem, uczuł, iż nienawiść jego do wyższych klas słabnie. Hrabina du Châtelet wydała mu się uroczą, zwłaszcza iż równocześnie rzekł sobie w duchu:

„Pomyśleć, że ta kobieta może mnie zrobić podprokuratorem!”

W połowie wieczoru, używszy jednak dłużej chwili rozmowy każdej z kobiet, odmieniając ton i wzięcie wedle ważności osoby oraz jej zachowania się w epoce uciezki z Lucjanem, Luiza usunęła się z Jego Wielebnością do buduaru<sup>892</sup>. Wówczas Zefiryna ujęła pod ramię Petit-Clauda, któremu serce biło jak młotem, i zaprowadziła go do tego buduaru, gdzie rozpoczęły się nieszczęścia Lucjana i gdzie miały się one dopełnić.

— Oto pan Petit-Claud, moja droga; polecam ci go tym żywiej, iż wszystko, co uczynisz dla niego, będzie niewątpliwie z korzyścią mojej pupilki.

— Pan jest adwokatem? — rzekła dostojna córka Negrepelisse'ów, mierząc spojrzeniem Petit-Clauda.

— Niestety, tak, pani hrabino.

Nigdy syn krawca z Houmeau nie miał, w całym życiu, sposobności posłużyć się tymi dwoma słowami; toteż kiedy je wymawiał, usta miał jakby przepelnione.

— Ale — podjął — od pani hrabiny zależy, abym się znalazł w trybunale. Pan Milaud idzie, jak mówią, do Nevers...

— Zwykle — zauważyła hrabina — zostaje się drugim, potem pierwszym podprokuratorem. Ja chciałabym pana widzieć od razu pierwszym... Aby się zająć panem i uzyskać dla pana tę łaskę, chciałabym mieć pewność pańskiego oddania tronowi, religii, a zwłaszcza panu de Villele<sup>893</sup>.

— Ach, pani — rzekł Petit-Claud, nachylając się do ucha hrabiny — jestem człowiekiem gotowym do bezwarunkowego posłuszeństwa królowi.

— Tego potrzeba nam dzisiaj — odparła, uchylając się wstecz, aby mu dać do zrozumienia, że nie życzy sobie rozmowy na ucho. — Jeśli zawsze będzie się pan cieszył poparciem pani de Senonches, może pan na mnie liczyć — dodała, czyniąc królewski ruch wachlarzem.

— Pani — rzekł Petit-Claud, który ujrzał Cointeta w drzwiach buduaru — Lucjan wrócił.

— Więc co?... — odparła hrabina tonem, który byłby oniemiał pospolitego człowieka.

— Pani hrabina nie rozumie mnie — odparł Petit-Claud, posługując się formułą pełną szacunku. — Ja pragnę złożyć jej dowód mego oddania. Jak pani hrabina chce, aby wielki człowiek, którego pani stworzyła, był przyjęty w Angoulême? Nie ma pośredniej drogi: musi stać się przedmiotem wzdargy albo chwały.

Luiza de Negrepelisse nie myślała dotąd nad tym problemem, który niewątpliwie miał dla niej swą wagę, więcej z powodu przeszłości niż terażniejszości. Otóż od obecnych

<sup>891</sup>wielki wikariusz — tu: generalny wikariusz, duchowny wyznaczony przez biskupa diecezjalnego do pomocy w zarządzaniu całą diecezją jako jego pełnomocnik. [przypis edytorski]

<sup>892</sup>buduar — pokój pani domu służący do odpoczynku. [przypis edytorski]

<sup>893</sup>Villele, Jean-Baptiste de (1773–1854) — francuski polityk i arystokrata, minister finansów (1821), premier Królestwa Francji od 1822 do 1828. [przypis edytorski]



uczuc hrabiny dla Lucjana zależało powodzenie planu, jaki ukuł adwokat, aby doprowadzić do skutku uwięzienie S charda.

— Panie Petit-Claud — rzekła, przybierając postawę wyniosłą i godną — pan chce byc człowiekiem rządu. Wiedz pan, że pierwsz  jego zasad  jest nie mylić si  nigdy i z  kobiety, bardziej jeszcze od rządu, maj  poczucie wladzy i poczucie wlasnej godno ci.

— Tak wlasnie my lałem, pani — odparł  ywo, przygl daj c si  hrabinie nieznacznie a bystro. — Lucjan przybywa tu w ostatecznej n dzy. Ale o ile ma byc przedmiotem owacji, mog  go takz  zmusi , wlasnie z przyczyny owacji, do opuszczenia Angoul me, gdzie siostra jego i szwagier s   cigani przez komornikow...  
Dumn  twarz Luizy de N grepelisse przebiegł lekki skurcz stłumionej rado ci. Zdziwiona, i  adwokat odgadł j  tak dobrze, spojrzala nań, rozwijaj c wachlarz. W tej chwili weszła Franciszka, co dało hrabinie czas na znalezienie odpowiedzi.

— Widz  — rzekła ze znaczcym u miechem — że b dzie pan rychło prokuratorem...  
Czy to nie znaczyło powiedziec wszystkim, nie zdradzaj c si ?  
— Och, pani — wykrzyknęła Franciszka, biegn c dzi kowa c hrabinie — pani zatem będe winna szcz cie mego  ycia!

I nachylaj c si  do swej protektorki ruchem młodego dziewcz cia, szepnęła:  
— To byłaby dla mnie  mierc na wolnym ogniu, gdyby mi przyszło byc żon  pro-wincjonalnego adwokaciny.

Jeżeli Zefiryra przypu ciła ten szturm do Luizy, popchn ł j  do tego Franio, kt remu nie zbywało na pewnej znajomo ci biurokratycznego  wiata.

— W pierwszych dniach wszelkiego dojscia do wladzy, czy to chodzi o prefekta, czy o dynastie, czy o przedsi biorstwo — rzekł ekskonsul do przyjaciolki —  wiezo upieczeni szcz liwcy okazuj  nadzwyczajny zapal do oddawania uslug; ale niebawem spostrzegaj  si  w uci zliwo ciach protekcji i staj  si  jak z lodu. Dzi  Luiza uczyni dla Petit-Clauda to, czego za kwartał nie chciałaby zrobi c dla twego m z .

— Czy pani hrabina pomyslała — rzekł Petit-Claud — o zobowiazaniach, jakie nakłada na ni  triumf naszego poety? Będzie pani trzeba przyjac Lucjana w ciagu tych dziesieciu dni, kt re potrwa entuzjazm miasteczka.

Prefektowa skinęła głow , aby odprawic Petit-Clauda, i podniosła si , aby pomowic z pani  de Pimentel, kt ra ukazała si  w drzwiach buduaru. Przejęta niespodziewanym wyniesieniem starego N grepelisse do godno ci para, margrabina uważała za potrzebne odswieżyć stosunki z kobiet  do c zręcn , aby swój *quasi*<sup>894</sup> fałszywy krok wyzyskać dla pomnozenia wplywu.

— Powiedz mi, droga, czemu zadał s sobie ten trud, aby wprowadzi  ojca do Izby Parow<sup>895</sup>? — spytała margrabina w ród poufnej rozmowy, w kt rej ugięła kolano przed wyzszo ci  drogiej Luizy.

— Moje dziecko, udzielono mi tej laski tym latwiej, i  ojciec nie ma dzieci i będzie glosował zawsze za koron ; ale je li będe miała synow, liczę na to, że starszy będzie mógł przejac tytuł, herb i parostwo po dziadku...

Pani de Pimentel pomyslała ze zmartwieniem, że matka, kt rej ambicja rozci ga si  na dzieci maj ce dopiero si  urodzi c, nie będzie jej pomocn  w wyniesieniu do parostwa pana de Pimentel, co było jej sekretnym marzeniem.

— Mam prefektow  w gar ci — rzekł Petit-Claud do Cointeta, wychodz c — i przyrzekam panu akt sp łki... Będe za miesiac podprokuratorem, a pan będziesz wladc  losow S charda. Staraj si  pan teraz znalezc kogo , kto by odkupił moją kancelarie; w p  roku zrobilem z niej pierwsz  w Angoul me.

— Wystarczyło wsadzi  ci  na siodło — rzekł Cointet, prawie zazdrosny o swe dzieło.

Ka dy zrozumie teraz przyczynę triumfu Lucjana w rodzinnym mie cie. Na spos b owego kr la Francji, kt ry si  nie m ci za księcia Orleanu<sup>896</sup>, Luiza nie chciała pamiet c

<sup>894</sup>*quasi* (łac.) — jakby, niby, pozornie. [przypis edytorski]

<sup>895</sup>*Izba Parow* — izba wyzsa parlamentu francuskiego w latach 1815–1848. [przypis edytorski]

<sup>896</sup>*Kr l Francji, kt ry si  nie m ci za księcia Orleanu* — kr l Ludwik Filip I, kt ry po objęciu tronu w 1830 o wiadczył, że nie będzie si  m ci za przesiadowania, kt rych w czasach Restauracji, kiedy nosił tytuł księcia Orleanu. [przypis edytorski]

zniewag wyrządzonych w Paryżu pani de Bargeton. Chciała wziąć Lucjana pod swój patronat, zmiążyć go protekcją i pozbyć się go w przyzwoity sposób. Świadomy, drogą plotek, całej paryskiej intrygi, Petit-Claud dobrze odgadł tę nienawiść, jaką kobieta żywi dla mężczyzny, który nie umiał kochać jej w chwili, gdy miała ochotę być kochaną.

Nazajutrz po owacji, która była usprawiedliwieniem przeszłości Ludwika de Nègrepelisse, aby do reszty odurzyć Lucjana i ugnieść go w rękach, Petit-Claud zjawił się u pani Séchard na czele sześciu młodych ludzi, ekskolegów Lucjana.

Deputację<sup>897</sup> tę wysłali do autora *Stokroci* i *Gwardzisty Karola IX* koledzy, aby go zaprosić na bankiet, jaki zamierzali wydać ma cześć wielkiego człowieka wyrosłego z ich szeregów.

— Patrzcie! To ty, Petit-Claud! — wykrzyknął Lucjan.

— Twój powrót tutaj — rzekł Petit-Claud — pobudził naszą miłość własną, wzięliśmy na ambit, zebraliśmy składkę i gotujemy dla ciebie wspaniałą bankiet. Dyrektor kolegium i profesorowie będą również; jak się rzeczy zapowiadają, będziemy mieli z pewnością i władze.

— Na kiedyż to? — spytał Lucjan.

— W najbliższą niedzielę.

— Niemożliwe — odparł poeta. — Mógłbym przyjąć aż za dziesięć dni... wówczas, bardzo chętnie...

— A zatem, na twoje rozkazy — rzekł Petit-Claud — dobrze, za dziesięć dni.

Lucjan był czarujący wobec dawnych kolegów, którzy okazywali mu podziw graniczący ze czcią. Podtrzymywał przez jakie pół godziny nader błyskotliwą rozmowę, czuł się bowiem na piedestale i chciał usprawiedliwić opinię świata; zatknął ręce za kamizelkę, przemawiał jak człowiek, który widzi rzeczy z wysokości, na której współobywatele go postawili. Był skromny, przystępny, prawdziwy geniusz w negliżu. Były to skargi atlety znużonego walkami Paryża, rozczarowanego zwłaszcza; wieszował kolegom, że nie opuścili poczciwej prowincji etc<sup>898</sup>. Oczarował ich. Następnie wziął na stronę Petit-Clauda i zażądał szczerą prawdy o sprawach Dawida, wyrzucając mu sekwestr<sup>899</sup>, pod jakim zastał szwagra. Lucjan chciał wziąć Petit-Clauda na chytrą. Petit-Claud postarał się utrwalić dawnego kolegę w mniemaniu, iż on, Petit-Claud, jest mizernym adwokacina i z prowincji, pozbawionym wszelkiego sprytu.

Obecne ukształtowanie społeczeństwa, nieskończenie bardziej złożone niż dawniej, spowodowało zróżnicowanie zdolności u człowieka. Niegdyś ludzie wybitni, zmuszeni do wszechstronności, pojawiali się wśród starożytnych narodów w małej liczbie i na kształt pochodni. Później, o ile zdolności się wyspecjalizowały, zdatność odnosiła się jeszcze do ogółu rzeczy. I tak, człowiek będący szczerą liszką<sup>900</sup>, jak to mówiono o Ludwiku XI<sup>901</sup>, mógł zużyć swą przemyślność do wszystkiego; ale dziś sama zdatność uległa podziałom. Ile zawodów, tyle rozmaitych chytrą. Przebiegłego dyplomatę wystrychnie doskonale na dudka, gdzieś na zapadłej prowincji, w pokątnej sprawie, mierny adwokat lub nawet chłop. Najsprytniejszy dziennikarz może się okazać zupełnym głupcem w kwestiach handlowych; toteż Lucjan musiał się stać i stał się igraszką w ręku Petit-Clauda. Przebiegły adwokat oczywiście sam napisał artykuł, wskutek którego Angoulême, łącznie z przedmieściami, znalazło się w obowiązku uczczenia Lucjana. Współobywatele zgromadzeni na placu du Mûrier byli to robotnicy z drukarni i papierni Cointetów, prowadzeni przez dependentów Petit-Clauda, Cachana i paru ekskolegów Lucjana. Stawszy się dla poety dawnym koleżką z ławy szkolnej, adwokat przypuszczał trafnie, iż w sposobnej chwili Lucjan zdradzi mu tajemnicę schronienia Dawida. Otóż jeżeli Dawid padnie przez winę Lucjana, pobyt w Angoulême stanie się niemożliwy dla poety. Dlatego aby lepiej ugruntować swój wpływ, adwokat uczynił się wobec Lucjana małym.

— Jakżebym mógł nie zrobić, co tylko było w mej mocy? — rzekł. — Przecież chodziło tu o siostrę dawnego kolegi; ale w trybunale bywają sytuacje z góry skazane na

<sup>897</sup>deputacja (daw.) — delegacja, grupa przedstawicieli jakiejś zbiorowości wysłana w celu załatwienia jakiejś sprawy. [przypis edytorski]

<sup>898</sup>etc. (łac.) — skrót od *et caetera*: i tak dalej. [przypis edytorski]

<sup>899</sup>sekwestr — zajęcie majątku w celu zapewnienia realizacji dochodzonego roszczenia. [przypis edytorski]

<sup>900</sup>liszka (daw., gw.) — lis. [przypis edytorski]

<sup>901</sup>Ludwik XI (1423–1483) — król Francji (od 1461), złamał potęgę wielkich feudalów. [przypis edytorski]

stracenie. Dawid prosił mnie pierwszego czerwca, abym mu zapewnił spokój na trzy miesiące; jakoż katastrofa przysłała dopiero we wrześniu, a i tu jeszcze zdołałem ubezpieczyć przed wierzycielami całe jego mienie; wygram w apelacji, uzyskam wyrok, że przywilej żony jest bezwarunkowy i że w danym wypadku nie jest żadnym oszukaństwem... Co do ciebie, wracasz nieszczęśliwy, ale jesteś genialnym człowiekiem...

Lucjan uczynił ruch człowieka, któremu kadzielnica buja zanadto blisko nosa.

— Tak, mój drogi — podjął Petit-Claud — czytałem *Gwardzistę Karola Dziewiątego*, to więcej niż romans, to dzieło! Przedmowę mogło napisać tylko dwóch ludzi: Chateaubriand albo ty!

Lucjan przyjął pochwałę, nie mówiąc, że przedmowa jest pióra d'Artheza. Na stu francuskich autorów dziewięćdziesięciu dziewięciu postąpiłoby jak on.

— Otóż tutaj ludzie jak gdyby cię nie znali — podjął Petit-Claud z udanym oburzeniem. — Kiedy widziałem tę powszechną obojętność, powziąłem myśl poruszenia naszego światka. Kropnąłem artykuł, który musiałeś czytać.

— Jak to, to ty?... — wykrzyknął Lucjan.

— Tak, ja!... Angoulême i Houmeau zaczęły się spierać o pierwszeństwo; zebrałem młodych ludzi, kolegów z ławy szkolnej, i zorganizowałem wczorajszą serenadę; następnie, raz wpłynąwszy na fale entuzjazmu, puściliśmy subskrypcję na obiad. „Jeżeli Dawid musi się kryć, niech przynajmniej Lucjan będzie uwieńczony!” — powiedziałem sobie. Zrobiłem więcej — podjął Petit-Claud — widziałem hrabinę du Châtelet i dałem jej do zrozumienia, że winna jest samej sobie to, aby wydobyć Dawida z jego położenia; może to zrobić, musi!... Jeśli Dawid w istocie znalazł tajemnicę, o której mi mówił, rząd nie zrukuje się, popierając go, a cóż za honor dla prefekta grać rolę człowieka, który, dzięki swej szczęśliwej protekcji, ma połowę zasługi w tak doniosłym odkryciu! Jednym zamachem zyska rozgłos światłego administratora... Siostra twoja przerażona jest naszą sądową pukaliną! Przelęknęła się dymu... Wojna w trybunale kosztuje równie drogo, jak na polu bitwy; ale Dawid utrzymał swą pozycję, jest panem tajemnicy; nie mogą go uwięzić, nie uwiężą go!

— Dziękuję ci, mój drogi, widzę, że mogę ci powierzyć mój plan, pomożesz mi go urzeczywistnić.

Petit-Claud spojrział na Lucjana; haczykowany jego nos przybrał kształt pytajnika.

— Chcę ocalić Sécharda — rzekł Lucjan ważnym tonem — jestem przyczyną jego nieszczęścia, naprawię wszystko... Mam wielką władzę nad Luizą...

— Jaką Luizą?...

— Hrabinią du Châtelet.

Petit-Claud uczynił gest zdumienia.

— Mam większą władzę nad nią, niż ona sama myśli — podjął Lucjan — ale, mój drogi, o ile mam władzę nad waszym rządem, nie mam fraka...

Petit-Claud wykonał nowy ruch, jak gdyby chcąc ofiarować sakiewkę.

— Dziękuję — rzekł Lucjan, ściskając ręką adwokata. — Za dziesięć dni złożę wizytę pani prefektowej i oddam ci twoją wizytę.

I rozstali się, wymieniając koleżeński uścisk dłoni.

„Musi być poetą — rzekł sobie w duchu Petit-Claud — bo ma klepki nie w porządku”.

„Nie ma co — myślał Lucjan, wracając do siostry — gdy chodzi o przyjaciół, naprawdę wiąże jedynie ława szkolna...”

— Mój Lucjanie — spytała Ewa — co tobie przyrzekł Petit-Claud, że jesteś dla niego taki czuły? Strzeż się go!

— Jego? — wykrzyknął Lucjan. — Słuchaj, Ewo — dodał jakby pod wpływem zastanowienia — nie wierzysz już we mnie, nie ufasz mi, możesz także nie ufać Petit-Claudowi, ale za dziesięć lub dwanaście dni odmienisz zdanie — dodał z miną zwyczajcy.

Lucjan udał się do swego pokoju i napisał taki list do Stefana Lousteau:

Mój przyjacielu, z nas dwu ja jeden mogę sobie przypomnieć o tysiącu franków, które Ci pożyczyłem: ale zbyt dobrze znam, niestety! położenie, w jakim będziesz, otwierając ten list, aby nie dodać natychmiast, że nie żądam ich od Ciebie w walucie złotej lub srebrnej; nie, proszę Cię o nie w kre-

List

dycie, tak jakby ktoś ich żądał od Floryny w pocałunkach. Mamy wspólnego krawca, możesz tedy dać mi sporządzić w najkrótszym czasie kompletną przyodziewę. Nie będąc zupełnie zredukowany do kostiumu Adama, nie mogę wszelako pokazać się w mieście. Tutaj, ku wielkiemu memu zdumieniu, czekają mnie honory departamentalne, należne świecznikom paryskim. Jestem bohaterem bankietu, ni mniej, ni więcej jak poseł z lewicy; pojmujesz obecnie konieczność czarnego fraka? Przyrzeknij zapłatę, weź ją na siebie, puść w ruch aparat reklamy; słowem, znajdź nowy wariant sceny don Juana z panem Niedzielą<sup>902</sup>, trzeba mi bowiem wyniedzielić się za wszelką cenę. Nie mam nic prócz łachów; weź to za punkt wyjścia! Mamy wrzesień, pogoda jest przesłiczna; *ergo*<sup>903</sup>, czuwaj nad tym, abym otrzymał z końcem tygodnia śliczny kostium poranny: żakietik ciemnobrązowy, trzy kamizelki, jedna kanarkowa, druga w szkocką kratę, trzecia biała; dalej trzy pary pantalonów zdobywczych, jedne białe angielskie, drugie nankinowe<sup>904</sup>, trzecie kaszmirowe czarne; wreszcie czarny frak i czarną atlasową kamizelkę na wieczór. Jeżeliś znalazł jaką nową Florynę, polecam się jej o dwa wzorzyste krawaty. To jeszcze nic, liczę na Ciebie, na Twój spryt: krawiec to najmniejsza troska. Drogi przyjacielu, niejeden raz biadaliśmy nad tym: inteligencja nędzy, która z pewnością jest najdzielniejszą trucizną ze wszystkich, jakie nurtowały kiedy człowieka *par excellence*<sup>905</sup>, paryżanina! ta inteligencja, której sprawność zdumiałaby szatana, nie znalazła jeszcze sposobu wydostania na kredyt kapelusza! Kiedy wprowadzimy w modę kapelusze po tysiąc franków, kapelusze staną się dostępne; ale do tej pory trzeba nam zawsze mieć dosyć złota w kieszeni, aby zapłacić kapelusz. Ach, ileż złego narobiła nam Komedja Francuska ze swą wieczną apostrofą<sup>906</sup> do służącego: „Lafleur, włożysz mi złoto do kieszeni!” Czuję tedy głęboko wszystkie trudności wykonania tej prośby: dołącz do przesyłki krawca parę butów, parę trzewików, kapelusz, sześć par rękawiczek! To znaczy żądać niemożliwości, wiem. Ale czyż życie literackie nie jest niemożliwością ujętą w regularne formy?... Powiadam Ci tylko jedno: działaj ten cud, płódz jak wielki artykuł albo małe świństwo, a kwituję Cię i zwalniam z długu. A to jest dług honorowy, mój chłopcze, wisi od roku; zarumieniłbyś się, gdybyś był zdolny się rumienić. Drogi Lousteau, żart na stronę, okoliczności są poważne. Osądź z jednego słowa: Rybka przytyła, została żoną Czapli, Czapla zaś jest prefektem w Angoulême. Ta ohydna para może ocalić mego szwagra, którego wpędziłem w straszliwe położenie, którego ścigają, ukrywa się, jest pod brzemieniem zaskarżonych weksli!... Chodzi o to, aby ukazać się na nowo pani prefektowej i odzyskać, za wszelką cenę, jej serce. Czyż nie jest straszne myśleć, że los Dawida zależy od ładnej pary bucików, od szarych jedwabnych ażurowych pończoch (nie zapomnij o nich) i od nowego kapelusza!... Ogłoszę się chorym i cierpiącym, położę się do łóżka jak w komedii, aby się uwolnić od zapału rodaków. Rodacy wyprawili mi wczoraj, tak, tak, mój drogi, bardzo piękną serenadę. Zaczynam pytać siebie, ilu głupców trzeba, aby złożyć to słowo „rodacy”, od czasu jak się dowiedziałem, że twórcami entuzjazmu stolicy angulemczyków było kilku moich dawnych kolegów.

Gdybyś mógł zamieścić w kronice paryskiej parę wierszy o mym przyjęciu, podwyższyłbyś mnie tutaj o kilka obcasów. Dałbym zresztą uczuć Rybce, że mam, jeżeli nie przyjaciół, to przynajmniej jakiś wpływ w prasie paryskiej. Ponieważ nie zrezygnowałem z przyszłości, odwzięczę Ci to. Gdyby Ci trzeba było tęgiego artykułu do jakiego tygodnika, mam czas, aby przemyśleć

<sup>902</sup>scena *Don Juana z panem Niedzielą* — w komedii Moliera *Don Juan* krawiec Niedziela daje się oszukać miłymi słówkami tytułowego bohatera, który ma u niego niespłacony dług. [przypis edytorski]

<sup>903</sup>*ergo* (łac.) — więc, a zatem. [przypis edytorski]

<sup>904</sup>*nankinowy* — wykonany z nankinu, tj. gęstego płótna bawełnianego, przeważnie o barwie płowozółtej, z którego od XIX w. wykonywano bieliznę i męskie spodnie. [przypis edytorski]

<sup>905</sup>*par excellence* (fr.) — w całym znaczeniu tego słowa, w najwyższym stopniu. [przypis edytorski]

<sup>906</sup>*apostrofa* — figura retoryczna polegająca na bezpośrednim zwróceniu się do fikcyjnego lub realnego adresata. [przypis edytorski]

go do woli. Na zakończenie tylko jedno słowo, przyjacielu: liczę na Ciebie, jak Ty możesz liczyć na tego, który się pisze Twoim oddanym

*Lucjanem de R.*

Adresuj wszystko do biura dylizansów poste restante<sup>907</sup>.

List ten, w którym Lucjan pod wpływem świeżego sukcesu odzyskał ton dawnej wyższości, przypomniał mu Paryż. Od tygodnia pogrążony w beznadziejnym spokoju prowincji, zwracał się myślą ku barwnym niedolom Paryża; uczuł nieokreślone żale, cały tydzień marzył o hrabinie du Châtelet. Przywiązywał tyle wagi do swego pojawienia się w świecie, że kiedy z zapadnięciem nocy schodził do Houmeau, aby spytać w biurze dylizansów o pakiety z Paryża, przechodził wszystkie męki niepewności, jak kobieta, która pomieściła swoje ostatnie nadzieje w oczekiwanej toalecie i która traci widoki otrzymania jej.

„Ach! Lousteau! Przebaczam ci twoje zdrady” — rzekł w duchu, widząc z kształtu, że przesyłka musi zawierać wszystko, o co prosił.

W pudełku z kapeluszem znalazł następujący list:

List

*Z salonu Floryny*

Moje drogie dziecko!

Krawiec znalazł się bardzo *correct*<sup>908</sup>; ale, jak to przeczuł Twój głęboki retrospektywny rzut oka, krawaty, kapelusz, jedwabne pończochy wniosły niepokój w nasze serca, nie miały bowiem czego zaniepokoić w naszych sakiewkach. Mówiliśmy nieraz z Blondetem: można by zrobić majątek, zakładając firmę, gdzie by młodzi ludzie mogli dostać przedmioty niewielkiej ceny. Ostatecznie bowiem płacimy w końcu bardzo drogo to, czego nie płacimy. Zresztą, wielki Napoleon, zahamowany wyprawie na Indie brakiem pary butów, powiedział: „Sprawy łatwe nigdy nie przychodzą do skutku!” Zatem wszystko szło z wyjątkiem obuwia... Widziałem Cię wyfraczonym bez kapelusza, ukamizelczonym bez butów i myślałem Ci już posłać parę mokasynów, które pewien Amerykanin darował Florynie jako osobliwość. Floryna złożyła kapitał czterdziestu franków z tym przeznaczeniem, aby je „postawić” dla Ciebie. Natan, Blondet i ja wybraliśmy się w tej misji. Grając nie na swój rachunek, mieliśmy takie szczęście, iż zostało jeszcze tyle, aby zaprosić na kolację Drętwę, ekszczura imć pana des Lupeaulx. Należało nam się to od pani ruletki! Floryna zajęła się sprawunkami, przydała do nich trzy piękne koszule. Natan ofiarowuje Ci laskę. Blondet, który wygrał trzysta franków, posyła złoty łańcuszek. Drętwa przyczepia doń złoty zegarek wielkości czterdziestofrankówki: darował go jej jakiś dudek, a nie chodzi. „Ot tandeta, jak i to, co dostał w zamian!” — zwierzyła się nam. Bixiou, który czekał na nas w Rocher de Cancale<sup>909</sup>, dołączył do tego honorowego daru stolicy fiaskę wody portugalskiej. Nasz pierwszy komik rzekł: „Jeśli to może uczynić go szczęśliwym, niech nim będzie!...” — z tym basowym akcentem i tą mieszczańską pompą, w której tak celuje. Wszystko to, drogie dziecko, dowodzi Ci, jak w Paryżu kocha się przyjaciół w nieszczęściu. Floryna, której, wiedziony słabością, przebaczyłem, prosi, abys nadesłał artykuł o ostatniej książce Natana. Bywaj, mój synu! Mogę Cię tylko żałować, iż wróciłeś do zapiecka, któregoś szczęśliwie opuścił, kiedyś się stał starym kamratem Twego przyjaciela

*Stefana L.*

<sup>907</sup> *poste restante* (fr.) — poczta pozostająca, wysyłka na adres urzędu pocztowego dogodnego dla odbiorcy, a nie na adres zamieszkania. [przypis edytorski]

<sup>908</sup> *correct* — w porządku, jak należy. [przypis edytorski]

<sup>909</sup> *Rocher de Cancale* — elegancka restauracja paryska, przy ul. Montorgueil, ciesząca się wielkim powodzeniem w XIX w. [przypis edytorski]

„Pocziwi chłopcy! Poszli grać dla mnie!” — myślał Lucjan, wzruszony. Z krajów niezdrowych albo z tych, gdzie się najwięcej wycierpiał, przychodzą takie fale powietrza, które podobne są rajskim zapachom. W życiu rozpaczliwym swą mdłością wspomnienie dawnych cierpień jest jakby nieokreśloną rozkoszą. Ewa zdumiała się, kiedy brat zeszedł w nowym ubraniu; ledwie go poznała.

— Mogę; teraz przejdź się po Beaulieu! — wykrzyknął. — Nie powiedzą o mnie: „Wrócił w lachmanach!” Widzisz ten zegarek: daruję ci go, siostrzyczko, bo należy do mnie; podobny jest zresztą do mnie, sprężynę ma pękniętą.

— Jaki z ciebie dzieciak!... — rzekła Ewa. — Nie można o nic mieć żalu do ciebie.

— Czyżbyś sobie wyobrażała, drogie dziecko, że postarałem się o tę wyprawkę w głupiej intencji błyszczenia w oczach Angoulême, o które troszczyć się ot, tyle? — rzekł, smagając powietrze trzcina z złotej gałce. — Chcę naprawić zło, którego narobiłem, i dlatego musiałem znaleźć się pod bronią.

Powodzenie Lucjana jako eleganta było jedynym rzeczywistym triumfem, jaki osiągnął, ale triumf ten był olbrzymi. Zawiesz rozwiązuje języki, podczas gdy podziw je ścina. Kobiety były oczarowane, mężczyźni wymyślali co wlezie; słowem, Lucjan mógł wykrzyknąć z piosenkarzem: „Ubranie moje, dzięki składam tobie!”<sup>910</sup> Poszedł złożyć dwa bilety w prefekturze; oddał również wizytę Petit-Claudowi, którego nie zastał. Nazajutrz po bankiecie wszystkie dzienniki paryskie zawierały w rubryce „Angoulême” następującą notatkę:

*Angoulême.* Powrót młodego poety, którego początki były tak świetne, autora *Gwardzisty Karola IX*, jedyne francuskiego romansu historycznego wolnego od naśladownictwa Waltera Scotta<sup>911</sup> i będącego, dzięki swej przedmowie, wydarzeniem literackim, zaznaczył się owacją równie zaszczytną dla pana Lucjana de Rubempré, jak dla jego rodzinnego miasta. Ojczysty gród poety pokwapił się wydać na jego cześć bankiet patriotyczny. Nowy prefekt, zaledwie osiadły w mieście, przyłączył się do objawów powszechnego zapału, podejmując autora *Stokroci*, którego talent w początkach swoich doznał tyle zachęty ze strony hrabiny du Châtelet.

We Francji, gdy raz padnie hasło entuzjazmu, nikt nie jest go już w mocy powstrzymać. Pułkownik garnizonu ofiarował swą orkiestrę. Właściciel hotelu „Dzwon”, którego indyki z truflami docierają aż do Chin w pięknych porcelanowych dzieżkach<sup>912</sup>, udekorował salę draperiami, na których laurowe wieńce przeplatane bukiecikami wywoływały wspaniały efekt. O piątej czterdzieści osób znajdowało się tam, wszyscy w gali. Gromada stu kilku mieszkańców, ściągniętych głównie obecnością orkiestry na dziedzińcu, reprezentowała rodaków.

— Całe Angoulême jest tutaj — rzekł Petit-Claud, wychylając się oknem.

— Nic nie rozumiem — rzekł do żony Postel, który przyszedł posłuchać muzyki. — Jak to! Prefekt, generalny poborca, pułkownik, dyrektor prochowni, poseł, mer, prowizor<sup>913</sup>, dyrektor odlewni w Ruelle, prezydent, prokurator, pan Milaud, wszystkie władze się zeszyli!...

Kiedy zajęto miejsca przy stole, orkiestra zaczęła wariacje na temat hymnu „Niech żyje król, niech żyje Francja!”, hymnu, który nie zdołał zyskać popularności. Była piąta. O ósmej deser na sześćdziesiąt pięć porcji, odznaczający się Olimpem z cukrów, nad którym górowała Francja z czekolady, dał sygnał do toastów.

— Panowie — rzekł prefekt, wstając — niech żyje król!... Niech żyje prawa dynastia! Czyż nie pokojowi, jakim obdarzyli nas Burboni<sup>914</sup>, zawdzięczamy generację poetów i myślicieli, utrzymującą w rękach Francji berło literatury?...

— Niech żyje król! — krzyknęli biesiadnicy, między którymi przeważali ministerialni.

<sup>910</sup> *Ubranie moje, dzięki składam tobie!* — cytat z wiersza francuskiego komediopisarza Michela Jeana Sedaine’a (1719–1797) *Une épître à mon habit* (List do mojego ubrania). [przypis edytorski]

<sup>911</sup> *Scott, Walter* (1771–1832) — szkocki autor powieści historycznych i poeta, bardzo popularny w swojej epoce. [przypis edytorski]

<sup>912</sup> *dzieżka* — garnek bez uszu. [przypis edytorski]

<sup>913</sup> *provizor* (daw.) — rzadca, administrator; tu: dyrektor liceum. [przypis edytorski]

<sup>914</sup> *Burbonowie* — dynastia królów francuskich (w latach 1589–1830, z przerwą spowodowaną Wielką Rewolucją Francuską), panująca też w Hiszpanii oraz w królestwach włoskich. [przypis edytorski]

Podniósł się czcigodny prowizor.

— Za zdrowie młodego poety — rzekł — bohatera dnia, który z wdziękiem poezji Petrarcki, w rodzaju, który Boileau<sup>915</sup> mienił tak trudnym, umiał połączyć talent prozaika!

— Brawo, brawo!

Powstał pułkownik.

— Panowie! Za zdrowie rojalisty, gdyż bohater tej uczty miał odwagę bronić zdrowych zasad!

— Brawo! — rzekł prefekt, który nadawał ton oklaskom.

Z kolei podniósł się Petit-Claud.

— W imieniu kolegów Lucjana wnoszę toast na chwałę kolegium w Angoulême, za zdrowie czcigodnego prowizora, który nam jest tak drogi i któremu winniśmy przypisać lwią część zasługi w naszych sukcesach.

Stary prowizor, który nie spodziewał się tego toastu, wytarł sobie oczy. Lucjan powstał: zapanowało najgłębsze milczenie, poeta zbladł. W tej chwili stary prowizor, który siedział obok niego po lewej, włożył mu na głowę laurowy wieniec. Zaczęto klaskać. Lucjan miał łzy w oczach i w głosie.

— Urznął się — rzekł do Petit-Clauda przyszły prokurator w Nevers.

— To nie wino go upiło — odparł adwokat.

— Drodzy rodacy, ukochani koledzy — rzekł wreszcie Lucjan — chciałbym mieć całą Francję za świadka tej sceny. W ten sposób wychowuje się ludzi i zdobywa dla naszego kraju wielkie dzieła i wielkie czyny. Ale zważywszy to niewiele, co zrobiłem, i ten wielki zaszczyt, jakiego za to doznaję, mogę się czuć tylko zawstydzonym i zdać się po trosze na przyszłość z usprawiedliwieniem dzisiejszego przyjęcia. Pamięć tej chwili doda mi sił wśród nowych walk. Pozwólcie mi przypomnieć waszej czci tę, która była mą pierwszą muzą i protektorką, a zarazem wypić toast na cześć rodzinnego miasta: zatem, zdrowie pięknej hrabiny Sykstusowej du Châtelet i zdrowie szlacheckiego miasta Angoulême!

— Nieźle się spisał — rzekł prokurator, który potrząsnął głową z uznaniem. — Nasze toasty były przygotowane, a on swój zaimprovizował.

O dziesiątej biesiadnicy rozeszli się grupami. Dawid Séchard, słysząc tę niezwykłą muzykę, rzekł do Brygidy:

— Co dziś takiego dzieje się w Houmeau?

— Wydają — odparła — bankiet dla pańskiego szwagra Lucjana...

— Biedny chłopiec — rzekł — musi żałować, że mnie tam nie ma!

O północy Petit-Claud odprowadził Lucjana aż na plac du Mûrier. Tam Lucjan rzekł do adwokata:

— Mój drogi, do zgonu ci tego nie zapomnę.

— Jutro — rzekł adwokat — podpisuję u pani de Senonches kontrakt ślubny z panną Franciszką de la Haye, jej wychowanicą; zrób mi tę przyjemność i przyjdź; pani de Senonches prosiła, abym cię przyprowadził. Spotkasz prefektową, która musi być mile pogłaskana twoim toastem, z pewnością powiedzą jej o nim.

— Miałem w tym swoją myśl — rzekł Lucjan.

— Och, ty ocalisz Dawida!

— Jestem tego pewien — odparł poeta.

W tej chwili, jakby czarami, ukazał się Dawid. Oto w jaki sposób. Dawid znajdował się w położeniu dość trudnym: żona broniła mu bezwarunkowo i przyjmować Lucjana, i uwiadamić go o miejscu schronienia, podczas gdy Lucjan wypisywał doń najczulsze listy, powiadając, iż w najbliższym czasie naprawi wszystko. Otóż panna Clerget, objasnając Dawidowi przyczyny uroczystości, której muzyka dochodziła do jego uszu, oddała mu równocześnie dwa następujące listy:

Mój drogi, rób tak, jakby Lucjana tu nie było; nie niepokój się niczym, utrwaj w swojej drogiej głowie ten pewnik: bezpieczeństwo nasze całkowicie zależy od tajemnicy, w jakiej zdołamy zachować przed wrogami miejsce Twego ukrycia. Smutno to wyznać, ale więcej ufam Marynie, Kolbowi, Brygidzie niż memu bratu. Niestety! Biedny Lucjan nie jest już

<sup>915</sup>Boileau, Nicolas (1636–1711) — francuski poeta i krytyk literacki; autor m.in. poematu dydaktycznego *Sztuka poetycka*, stanowiącego kodeks klasycyzmu. [przypis edytorski]

niewinnym i tkliwym poetą, któregośmy znali. Dlatego właśnie, że chce się mieszać do Twoich spraw i ma tę zarozumiałość, iż spodziewa się znaleźć sposób umorzenia naszych długów (przez pychę, Dawidzie!...), obawiam się go. Otrzymał z Paryża piękne ubranie i pięć sztuk złota w ładnej sakiewce. Oddał mi je i żyjemy z tych pieniędzy. Mamy wreszcie jednego wroga mniej: Twój ojciec nas opuścił, wyjazd zaś jego zawdzięczamy Petit-Claudowi, który przejrzał jego intencje i z miejsca je unicestwił, mówiąc mu, że Ty już nie uczynisz ani kroku na własną rękę, że on, Petit-Claud, nie pozwoli Ci ustąpić swego wynalazku bez zaliczki trzydziestu tysięcy: najpierw piętnaście, aby zlikwidować Twoje sprawy; piętnaście tysięcy, które otrzymałbyś w każdym wypadku, bez względu na wynik. Petit-Claud jest dla mnie zagadką. Ściskam Cię tak, jak kochająca żona ściska nieszczęśliwego męża. Nasz Lucuś ma się dobrze. Cóż za widok tego kwiatu, który nabiera barw i rośnie wśród burz domowych! Matka, jak zawsze, modli się i ściska Cię prawie równie czule jak

*Twoja Ewa*

Petit-Claud i Cointetowie, przestraszeni chłopską chytrą starości Sécharda, pozbyli się go, jak się okazuje, tym łatwiej, iż winobranie wzywało go do Marsac.

List Lucjana, dołączony do listu Ewy, brzmiał jak następuje:

Drogi Dawidzie, wszystko idzie dobrze. Jestem uzbrojony od stóp do głów; ruszam dziś w pole; za dwa dni odwałę kawał drogi. Z jakąż rozkoszą uściskam Cię, kiedy będziesz wolny i czysty od moich długów! Ale czuję się zraniony na całe życie i do głębi serca nieufnością, jaką siostra i matka mi wciąż okazują. Czyż nie wiem bez nich, że kryjesz się u Brygidy? Za każdym razem kiedy Brygida przychodzi do nas, mam wiadomość od Ciebie i odpowiedź na moje listy. Jest zresztą oczywiste, że siostra mogła polegać tylko na dawnej koleżance. Dzisiaj byłbym z Tobą! Mógłbym Ci wyrazić, jak ciężko mnie boli, że nie mogę Cię mieć przy sobie na uczenie, jaką dają dla mnie! Próżność naszego Angoulême zgotowała mi mały triumf, który za kilka dni utonie doszczętnie w niepamięci, ale w którym Twoja radość byłaby jedyną szczerą radością. Słowem, jeszcze kilka dni, a przebacysz temu, który nad wszystkie chwały świata ceni sobie to, iż jest bratem Twym

*Lucjanem*

Serce Dawida znalazło się w rozdwojeniu, pod działaniem dwóch sił, mimo iż były one nierówne, ubóstwiał bowiem żonę, tklivość zaś dla Lucjana ostygła nieco w miarę utraty szacunku. Ale w samotności siła uczuć zmienia się zupełnie. Człowiek sam, wydany na pastwę trosk podobnych tym, jakie pożerały Dawida, ulega myślom, przeciw którym znalazłby siłę w zwyczajnych warunkach. I tak, czytając list Lucjana wśród fanfar tego nieoczekiwanego triumfu, uczył się głęboko wzruszony, znajdując słowa żalu, których się spodziewał. Tklive dusze nie umieją się oprzeć tym drobnym objawom uczucia, przypisując im u drugich potęgę, do jakiej są sami zdolni. Czyż to nie jest kropla wody przelewająca pełny puchar?... Toteż koło północy błagania Brygidy nie mogły wstrzymać Dawida od zamiaru widzenia się z Lucjanem.

— Nikogo — rzekł — nie ma o tej porze na ulicy, nikt mnie nie zobaczy, nie mogą mnie uwięzić w nocy; gdyby mnie zaś spotkano, mogę się znowuż posłużyć sposobem Kolba, aby wrócić do swego schronienia. Zresztą — dodał — zbyt dawno nie uściskałem żony i dziecka.

Brygida ustąpiła tym argumentom, ostatecznie dość racjonalnym, i pozwoliła wyjść Dawidowi, który krzyknął: „Lucjan!” w chwili, gdy Lucjan i Petit-Claud życzyli sobie dobrej nocy. I bracia, płacząc, rzucili się sobie w ramiona.

Niewiele bywa podobnych momentów w życiu. Lucjan czuł w Dawidzie wylew owej bezwzględnej przyjaźni, z którą człowiek nie liczy się nigdy, mimo iż doświadcza wy-



rzutów, że ją oszukał. Dawid czuł potrzebę przebaczenia. Szlachetny i wspaniałomyślny wynalazca chciał nade wszystko przemówić Lucjanowi do serca i rozproszyc chmury między siostrą a bratem. Wobec sprawy uczucia wszelkie niebezpieczeństwa wynikłe z kwestii pieniężnej znikły.

Petit-Claud rzekł do klienta:

— Idź do domu, skorzystaj przynajmniej ze swej nieostrożności, uściskaj żonę i dziecko... i żeby cię nikt nie widział!... — Cóż za nieszczęście — mówił sobie Petit-Claud, zostawszy sam na placu du Mûrier. — Ach! gdybym miał tutaj Cérizeta!...

W chwili gdy adwokat monologował, przechadzając się wzdłuż parkanu, okalającego miejsce, gdzie dziś wznosi się dumnie gmach sądu, usłyszał pukanie w deskę, jak gdyby ktoś stukał do drzwi.

— Jestem — rzekł Cérizet, którego głos przechodził przez szczeliny źle spojonych desek. — Widziałem Dawida wychodzącego z Houmeau. Zaczynałem się domyślać miejsca jego schronienia, teraz jestem pewny i wiem, gdzie go chwycić; ale aby mu zastawić pułapkę, trzeba mi wiedzieć coś o projektach Lucjana... i oto pan ich wyprawia do domu! Zostań pan przynajmniej tutaj pod jakim bądź pozorem. Kiedy Dawid i Lucjan wyjdą, ściągnij pan ich w moją stronę; będą myśleli, że są sami, i usłyszą ostatnie słowa pożegnania.

— Diabeł z ciebie! — rzekł półgłosem Petit-Claud.

— Do kroćset — wykrzyknął Cérizet — czegoż by się nie zrobiło, aby zapracować na to, coś mi pan obiecał!

Petit-Claud wydostał się z ogrodu i przechadzał się po placu, spoglądając w okna pokoju, gdzie zgromadziła się rodzina, i myśląc o swej przyszłości, jakby dla dodania sobie odwagi, zręczność bowiem Cérizeta pozwalała mu zadać ostatni cios. Petit-Claud był jednym z owych ludzi głęboko przebiegłych i fałszywych, którzy przeniknąwszy zmienność ludzkiego serca i strategię interesów, nie dają się nigdy złapać na przynętę chwili ani na pozory żadnego przywiązania. Dlatego niewiele czasu rachował na Cointeta. W razie gdyby małżeństwo chybiło, przygotował sobie środki zalania Wielkiemu Cointetowi sadła za skórę — choćby nawet nie miał tytułu oskarżać go o zdradę; ale od swego sukcesu w pałacu Bargeton Petit-Claud grał w otwarte karty. Jego kontrmina stała się bezużyteczna, a była niebezpieczna dla pozycji politycznej, do której dążył. Oto podstawy, na których chciał oprzeć swą przyszłość: Gannerac oraz kilku grubszych kupców zaczęli tworzyć w Houmeau „komitet liberalny”, związany przez stosunki handlowe z przywódcami opozycji. Gabinet pana Villele, zatwierdzony przez Ludwika XVIII<sup>916</sup> na łożu śmierci, stał się sygnałem zmiany taktyki opozycji, która od śmierci Napoleona wyrzekła się niebezpiecznej drogi konspiracji. Stronnictwo liberalne organizowało na prowincji system legalnego oporu: dążyło do tego, aby opanować wybory i dojść do celu przez pozyskanie mas. Petit-Claud, zaciekły liberał i dziecię Houmeau, był promotorem, duszą i tajemną sprężyną opozycji dolnego miasta, uciśnionego przez arystokrację górnego Angoulême. On pierwszy wskazał na niebezpieczeństwo zostawienia Cointetom władzy nad całą prasą w departamencie Charenty, gdzie opozycja powinna była mieć dziennik, aby nie być w tyle za innymi miastami.

— Niech każdy z nas złoży udział pięciuset franków Ganneracowi, będzie miał wówczas dwadzieścia kilka tysięcy, aby kupić drukarnię Séchardów, której staniemy się panami, trzymając w ręku właściciela za pomocą pożyczki — rzekł Petit-Claud.

Adwokat przeparł tę myśl, chcąc wzmocnić w ten sposób swą dwoistą pozycję wobec Cointetów i Sécharda; z natury rzeczy zwrócił oczy na hultaja w typie Cérizeta i postanowił zeń uczynić człowieka zaprzędanego partii.

— Jeśli zdołasz zwąchać kryjówkę pryncypała i oddać mi go w ręce — rzekł do dawnego korektora — dostaniesz dwadzieścia tysięcy na kupno drukarni i prawdopodobnie staniesz na czele dziennika. Zatem, naprzód marsz!

Bardziej pewny sprawności człowieka takiego jak Cérizet niż wszystkich Doublonów na świecie, Petit-Claud przyrzekł Cointetowi uwięzienie Sécharda. Ale od czasu jak Petit-Claud pieścił nadzieję wielkiej kariery urzędniczej, przewidywał konieczność zerwania

<sup>916</sup>Ludwik XVIII (1755–1824) — król Francji z dynastii Burbonów, objął władzę po abdykacji Napoleona Bonaparte (1814). [przypis edytorski]

z liberałami, tak dobrze zaś podgrzał sprawę w Houmeau, że kapitał potrzebny do nabycia drukarni miał już w ręku. Wówczas Petit-Claud postanowił zostawić rzeczy naturalnemu biegowi.

„Ba — pomyślał sobie — Cérizet dopuści się jakiegoś prasowego przestępstwa; wówczas wyzyskam tę okoliczność, aby pokazać swoje talenty...”

Podszedł do bramy drukarni i rzekł do Kolba, który stał na straży:

— Idź powiedzieć Dawidowi, niech korzysta z chwili i ulotni się, a miejcie się dobrze na baczności; ja już odchodzę, jest pierwsza.

Skoro Kolb opuścił posterunek, Maryna zajęła jego miejsce. Lucjan i Dawid zeszli na dół, Kolb szedł przed nimi o sto kroków naprzód, Maryna o sto kroków w tyle. Kiedy bracia przechodzili koło parkanu, Lucjan mówił z zapalem do Dawida:

— Mój drogi — rzekł — plan jest nadzwyczaj prosty; ale jak o nim mówić przy Ewie? Nigdy nie zrozumiałaby tego rodzaju środków. Jestem pewien, że w sercu Luizy drzemie pragnienie, które potrafię rozbudzić; chcę ją mieć, bodaj dlatego, aby się zemścić na tym cymbale prefekcie. Jeśli się pokochamy, choćby na tydzień, każę jej zażądać od ministerstwa dwudziestu tysięcy franków subwencji dla ciebie. Jutro ujrzę tę damę w buduaru, gdzie zaczęły się nasze amory i gdzie, wedle Petit-Clauda, nic się nie zmieniło; zagram komedię. Zatem pojutrze rano prześlę przez Brygidę słóweczko, aby ci donieść, czy mnie wygwizdano... Kto wie, może już będziesz wolny!... Rozumiesz teraz, dlaczego chciałem ubrać z Paryża? W lachmanach niepodobna grać roli pierwszego amanta.

O szóstej rano Cérizet odwiedził Petit-Clauda.

— Jutro w południe niech Doublon będzie gotów; nakryję ptaszka, ręczę za to — rzekł paryżanin — mam w ręku jedną z robotnic panny Clerget!

Wysłuchawszy planu przyszłego drukarza, Petit-Claud pobiegł do Cointeta.

— Zrób pan, aby dziś wieczór pan du Hautoy zgodził się uczynić Franciszkę swoją bezsporną dziedziczką, a za dwa dni podpiszesz spółkę z Séchardem. Ślub mój dopiero w tydzień po kontrakcie, jest zatem obopólna gwarancja: z rączki do rączki. Ale baczmy dobrze dziś wieczór, co się będzie działo między Lucjanem a hrabiną du Châtelet, w tym bowiem tkwi wszystko... Jeżeli Lucjan poweźmie nadzieję uzyskania czegoś przez prefektową, Dawid jest mój...

— Wierzę, że zostaniesz ministrem sprawiedliwości.

— Dlaczego by nie? Pan de Peyronnet<sup>917</sup> nim został — odparł Petit-Claud, który jeszcze nie całkiem wyzbył się swego liberalizmu.

Dwuznaczne położenie panny de la Haye sprowadziło większość arystokracji angulemskiej na uroczystość podpisywania kontraktu. Ubóstwo przyszłego stadła, które miało się obejść bez prezentów ze strony pana młodego, podsycalo zainteresowanie, które świat chętnie okazuje; z miłosierdziem bowiem jest tak jak z triumfami; świat lubi współczucie, które zadowala miłość własną. Toteż margrabina du Pimentel, hrabina du Châtelet, pan de Senonches i kilku przyjaciół domu wystąpili z podarkami, które narobiły w mieście wiele hałasu. Te ładne drobiażdżki, dołączone do wyprawy przygotowywanej od roku przez Zefiryne, do klejnotów ojca chrzestnego i do przepisanych zwyczajem podarków oblubieńca, pocieszyły Franciszkę i pobudziły ciekawość wielu matek, które przybyły w towarzystwie córek. Petit-Claud i Cointet zauważyli już, iż „urodzeni” angulemscy cierpią ich obu na swoim Olimpie jako konieczność: jeden był administratorem mienia, prawnym opiekunem Franciszki, drugi był niezbędny przy podpisaniu kontraktu jak wisielec przy egzekucji; ale nazajutrz po ślubie, o ile pani Petit-Claud zachowałaby prawo odwiedzania chrzestnej matki, mąż czuł, iż z trudnością by go tam dopuszczono; przyrzekł sobie w duchu odwet nad tym pysznym światkiem. Rumieniąc się za swych mizernych rodziców, adwokat uznał za właściwe nie sprowadzać na uroczystość matki, zamieszkałej w Mansle; poprosił ją, aby się wymówiła chorobą i dała mu zezwolenie na piśmie. Upokorzony tym, iż znalazł się bez rodziny, bez oparcia, bez nikogo, kto by podpisał kontrakt z jego strony, Petit-Claud czuł się tedy szczęśliwy, iż może przedstawić jako swego przyjaciela człowieka sławnego i mile widzianego przez hrabinę. Wstąpił tedy

<sup>917</sup>*Peyronnet, Pierre Denis de (1778–1854)* — francuski prawnik i polityk, minister sprawiedliwości (1821–1828); rozpoczął karierę jako adwokat w Bordeaux, następnie prezes miejscowego sądu pierwszej instancji. [przypis edytorski]

po Lucjana powozem. Poeta rozwinął tego pamiętnego wieczoru zasoby toalety, która musiała mu zapewnić, bez protestu, wyższość nad wszystkimi mężczyznami. Pani de Senonches oznajmiła zresztą zjawienie się bohatera chwili; spotkanie poróżnionych kochanków stanowiło jedną z owych scen, których prowincja szczególnie jest łakoma. Lucjan wyrósł do wysokości lwa: miał być tak piękny, tak zmieniony, tak nadzwyczajny, iż cały kobiecy świat „urodzonego” Angoulême pałał żądzą ujrzenia go. Idąc za modą epoki, której zawdzięczamy przejście od dawnych balowych pluderków<sup>918</sup> do szpetnych dzisiejszych spodni, Lucjan włożył czarne obcisłe pantaloney. Strój męski uwydatniał wówczas jeszcze kształty, ku rozpaczy ludzi chudych lub źle zbudowanych; kształty zaś Lucjana były istic apollinijskie<sup>919</sup>. Szare jedwabne ażurowe pończochy, lekkie pantofelki, czarna atlasowa kamizelka, krawat, wszystko było najstaranniej dobrane, ulane wprost na nim. Jasne, bujne kędziory podkreślały białosc czoła, dokoła którego pukle wiły się z wyszukaną gracją. Oczy, pełne dumy, sypały iskry. Drobne, kobiece ręce, piękne pod wykwitną rękawiczką, nie raczyły się ukazać obnażone. Całe wzięcie skopiował Lucjan z de Marsaya, sławnego paryskiego dandysa: w jednej ręce trzymał laskę i kapelusz, którego nie odłożył ani na chwilę, drugą gestykułował lekko, podkreślając słowa. Lucjan chciał się wsunąć nieznacznie, na sposób tych sławnych ludzi, którzy przez fałszywą skromność pochylają głowę, przechodząc pod bramą Saint-Denis. Ale Petit-Claud, który miał tylko jednego przyjaciela, „podał go” z całą okazałością. W pełni wieczoru, niemal celebrując, przyprowadził Lucjana przed panią de Senonches. Przechodząc, poeta słyszał szmery, które niegdyś byłyby go przyprowidyły o zawrót głowy, a które przyjął dziś chłodno; dziś czuł się pewny, iż sam jeden wart jest całego tego angulemskiego Olimpu.

— Pani — rzekł do pani de Senonches — winszowałem już memu przyjacielowi Petit-Claudowi, w którym widzę materiał na przyszłego ministra, że ma szczęście wejść do pani domu, mimo iż węzły, jakie łączą chrzestną matkę z jej pupilką, są natury dość wątlej... (To było powiedziane w sposób doskonale podchwycony przez wszystkie kobiety, które nasłuchiwały pilnie, choć nieznacznie). — Co do mnie, błogosławię okoliczność, która pozwala mi przedłożyć pani moje uniżone służby.

Słowa te wygłosił Lucjan bez najmniejszego zakłopotania, z miną wielkiego pana, który zaszczycił odwiedzinami skromną chatkę. W czasie odpowiedzi Zefiryny, pełnej ozdobnych zakrętasów, poeta wodził oczyma po salonie, przygotowując dalsze efekty. Skłonił się z wdziękiem, cieniując swe uśmiechy, Franiowi du Hautoy i prefektowi, którzy skłonili się wzajem; następnie podszedł do pani du Châtelet, udając, iż w tej chwili ją spostrzega. Spotkanie to było tak dalece główną okrasą wieczoru, iż zapomniano wręcz o kontrakcie ślubnym, na którym miały położyć podpisy najwybitniejsze osobistości, prowadzone w tym celu do sypialni bądź przez rejenta, bądź przez Franciszkę. Lucjan uczynił kilka kroków w stronę Luizy i z ową paryską gracją, za którą tęskniła od swego powrotu, rzekł dość głośno:

— Czy pani zawdzięczam zaproszenie, dzięki któremu będę miał zaszczyt obiadować pojutrze w prefekturze?

— Zawdzięcza je pan jedynie swojej sławie — odparła sucho Luiza, nieco dotknięta zaczepnym frazesem, który Lucjan obmyślił, aby zranić dumę swej dawnej protektorki.

— Ach, pani hrabino — rzekł Lucjan tonem zarazem subtelnym i pewnym siebie — niepodobna mi będzie korzystać z zaproszenia, jeśli mam nieszczęście być u niej w niełasce.

I nie czekając odpowiedzi, obrócił się na miejscu, spostrzegając biskupa, któremu skłonił się z wdziękiem.

— Wasza Dostojność była niemal prorokiem — rzekł czarującym głosem — a dołożę starań, aby się nim stała w zupełności. Szczęśliwy się czuję, iż przybyłem tu dzisiaj, skoro mogę złożyć Waszej Dostojności wyrazy mego szacunku.

Lucjan wciągnął biskupa w rozmowę trwającą z dziesięć minut. Wszystkie kobiety patrzyły na Lucjana jak na zjawisko. Jego nieoczekiwane zuchwalstwo odebrało pani du Châtelet mowę, nie umiała znaleźć odpowiedzi. Widząc Lucjana przedmiotem podziwu

<sup>918</sup>pluderki — zdrobn. od pludry: sięgające do kolan spodnie o bufiastych nogawkach, stanowiące element stroju męskiego w XVII i XVIII w. [przypis edytorski]

<sup>919</sup>apollinijskie kształty — takie jak greckiego boga Apolla, będącego ideałem męskiego piękna. [przypis edytorski]

kobiet, nasłuchując, od grupy do grupy, szeptów powtarzających na ucho odpowiedź, którą Lucjan jakoby zmiądzzył hrabinę i okazał jej wyraźnie wzgardę, uczuła w sercu skurcz podrażnionej ambicji.

„Gdyby nie przyszedł do prefektury po tej odpowiedzi, cóż za skandal! — pomyślała. — Skąd mu się bierze ta duma? Czyżby panna des Touches była nim zajęta?... Jest tak piękny! Powiadają, że poleciała do niego w Paryżu, nazajutrz po śmierci tej aktorki. Może przyjechał, aby ocalić szwagra, i znalazł się w Mansle za naszą karocą wskutek wypadku w podróży? Patrzył na nas owego ranka osobliwym wzrokiem...”

Oblegał ją rój myśli; nieszczęściem dla siebie, Luiza poddawała się im, patrząc na Lucjana, który rozmawiał z biskupem, jak gdyby był królem zebrania: nie kłaniał się nikomu i czekał, aż się ktoś doń zbliży; wodził spojrzeniem po sali, nadając mu wyraz rozmaity, ze swobodą godną de Marsaya, swego pierwowzoru. Opuścił prałata, aby się przywitać z panem de Senonches, który ukazał się w pobliżu.

Po dziesięciu minutach Luiza nie wytrzymała. Wstała, podeszła do biskupa i rzekła:

— Cóż takiego opowiada Waszej Wielbności ten młody człowiek, że tak często widzę uśmiech na Jej ustach?

Lucjan usunął się o kilka kroków, aby zostawić dyskretnie panią du Châtelet z prałatem.

— Ach, pani hrabino, to młodzieniec bardzo niepospolity! Tłumaczył mi właśnie, iż pani zawdzięcza całą swoją siłę...

— Nie jestem niewdzięcznikiem, pani!... — rzekł Lucjan ze spojrzeniem pełnym wyrzutu, które oczarowało hrabinę.

— Porozumiejmy się — rzekła, przywołując Lucjana ruchem wachlarza — chodź pan tu razem z Jego Wielbnością, tutaj!... Jego Dostojność będzie naszym sędzią.

Wskazała na buduar, pociągając biskupa.

— Szczególną, w istocie, rolę każe odgrywać biskupowi — rzekła dość głośno jakaś dama z obozu Chandour.

— Naszym sędzią!... — rzekł Lucjan, spoglądając kolejno na prałata i na prefektową. — Jest zatem i winny?...

Luiza siadła na kanapce swego dawnego buduaru. Posadziwszy Lucjana po jednej stronie, a biskupa po drugiej, zaczęła mówić. Lucjan, ku zachwytowi, zdziwieniu i szczęściu pani du Châtelet, nie słuchał. Przybrał postawę i ruchy Pasty<sup>20</sup> w *Tankredzie*, kiedy ma mówić: *O patria!*...<sup>21</sup> Fizjonomią swoją odśpiewał słynną kawatynę *dei risi*<sup>22</sup>. Wreszcie uczeń Koralii dokazał tego, iż uronił nieznaczną łezkę.

— Ach, Luizo, jak ja cię kochałem! — szepnął jej do ucha, nie troszcząc się o prałata ani o rozmowę, w chwili gdy ujrzał, iż hrabina zauważyła jego łzy.

— Wytrzyj oczy albo mnie zgubisz na tym samym miejscu po raz drugi — rzekła, odwracając się ku niemu ruchem, który zgorszył biskupa.

— Pierwszy wystarczy — odparł żywo Lucjan. — To odezwanie godne kuzynki pani d'Espard osuszyłoby wszystkie łzy Magdaleny. Mój Boże!... Odnalazłem na chwilę moje wspomnienia, iluzje, moje dwadzieścia lat, a pani mi je...

Biskup przeszedł nagle do salonu, rozumiejąc, iż godność jego nie bardzo licuje z dłuższym pobytem w tej atmosferze. Zostawiono ostentacyjnie Lucjana i prefektową sam na sam. W kwadrans potem Sykstus, któremu nie podobały się rozmówki, śmiechy i przechadzki pod progiem buduaru, wkroczył z miną więcej niż chmurną i zastał Lucjana i Luizę bardzo ożywionych.

— Luizo — rzekł do ucha żony — ty, która lepiej ode mnie znasz Angoulême, czy nie powinna być myśleć o stanowisku prefektowej i o rządzie?

— Mój drogi — rzekła Luiza, mierząc swego „odpowiedzialnego wydawcę” wzrokiem, którego wyniosłość przyprawiła go o drżenie — rozmawiam z panem de Rubempré

<sup>20</sup>*Pasta, Giuditta* (1797–1865) — włoska sopranistka, znana z występów w Paryżu; odgrywała m.in. tytułową rolę w operze *Tankred*. [przypis edytorski]

<sup>21</sup>*O patria* (wł.) — O ojczyźnie. [przypis edytorski]

<sup>22</sup>*kawatyna* — liryczna pieśń solowa w operze XVIII i XIX w., krótsza i prostsza od arii; *kawatyna dei risi*: potoczna, tradycyjna nazwa niezmiernie popularnej w XIX w. w Europie kawatyny *Di tanti palpiti* (Od tyłu wzruszeń serca) z I aktu opery *Tankred* (1813) Rossiniego, oznaczająca po włosku „ryżowa”, gdyż kompozytor miał ją ułożyć, oczekując na zamówione danie z ryżu. [przypis edytorski]

o rzeczach nader ważnych dla ciebie. Chodzi to, aby ocalić wynalazcę, któremu grozi, iż stanie się ofiarą najnikczemniejszych machinacji, i ty nam pomożesz! Co zaś do tego, co te panie mogą o mnie pomyśleć, zobaczysz, w jaki sposób postąpię sobie, aby zmrozić jad na ich językach.

Wyszła z buduaru wsparta na ramieniu Lucjana i poprowadziła go do podpisania kontraktu, urągając, ze śmiałością wielkiej damy, pozorom.

— Podpiszemy razem — rzekła, podając pióro Lucjanowi.

Lucjan poprosił Luizę, aby mu wskazała miejsce, gdzie położyła podpis, tak aby oba nazwiska znalazły się obok siebie.

— Panie de Senonches, czy byłby pan poznał pana de Rubempré? — rzekła hrabina, zmuszając nieuprzejmego myśliwca<sup>923</sup>, aby przywitał Lucjana.

Przeprowadziła Lucjana do salonu, sadzając go między Zefiryką a sobą na groźnej środkowej kanapie. Następnie, niby królowa na tronie, zaczęła, zrazu półgłosem, dowcipną rozmowę, do której przyłączyło się kilku dawnych przyjaciół oraz większość kobiet, tworzących niby jej dwór. Niebawem hrabina naprowadziła Lucjana, który stał się bohaterem całego koła, na rozmowę o życiu paryskim. Poeta nakreślił z nieopisaną werwą jego obraz, przeplatając go anegdotkami o sławnych ludziach, których to smakołyków mieszkańcy prowincji są tak szczególnie łakomi. Podziwiano dowcip i inteligencję dandysa, jak wprzód podziwiano jego urodę. Hrabina Sykstusowa tak pieczołowicie przedłużała swój triumf, grała na Lucjanie jak kobieta zachwycona swym instrumentem, podawała mu piłkę rozmowy tak zręcznie, żebrała dlań uznania za pomocą tak kompromitujących spojrzeń, że wiele kobiet zaczęło się dopatrywać w tym przypadkowym jednoczesnym powrocie Luizy i Lucjana głębokiej miłości, która padła ofiarą jakiegoś obustronnego nieporozumienia. Może jakieś chwilowe zwady spowodowały to niewczesne małżeństwo z du Châteletem, przeciw któremu obecnie buntuje się dawne uczucie.

— A zatem — rzekła Luiza półgłosem, podnosząc się z kanapy o pierwszej po północy — do pojutra, a proszę, bądź pan punktualny.

Pożegnała Lucjana lekkim, ale nader przyjacielskim skinieniem i poszła szepnąć parę słów Sykstusowi, który szukał kapelusza.

— Jeżeli to, co mi moja małżonka powiedziała przed chwilą, jest prawdą, drogi Lucjanie, licz na mnie — rzekł prefekt, puszczając się w pościg za żoną, która zabierała się do odejścia, nie oglądając się nań, jak w Paryżu. — Od dziś wieczora szwagier twój może być pewny swego bezpieczeństwa.

— Należało mi się to od pana hrabiego — rzekł Lucjan z uśmiechem.

— Wszystko spaliło tedy na panewce!... — rzekł Cointet do ucha Petit-Claudowi, który, jak on, był świadkiem tego pożegnania.

Petit-Claud, oszołomiony powrotem Lucjana, zdumiony fajerwerkami jego dowcipu i jego urokiem, spoglądał na Francyszkę de la Haye, której fizjonomia, pełna podziwu dla Lucjana, zdawała się mówić oblubieńcowi: „Bądź taki jak twój przyjaciel”.

Błysk radości przemknął po twarzy Petit-Clauda.

— Obiad u prefekta dopiero pojutrze, mamy jeszcze dzień, ręczę za wszystko.

— A zatem, mój drogi — rzekł Lucjan do Petit-Clauda, wracając o drugiej pieszo — przybyłem, ujrzałem, zwyciężyłem! Za kilka godzin Dawid będzie bardzo szczęśliwy.

„Oto wszystko, co chciałem wiedzieć” — pomyślał Petit-Claud. — Uważałem cię tylko za poetę, ale ty jesteś i Lauzunem<sup>924</sup>, to znaczy dwakroć poetą — odparł, żegnając go uściskiem dłoni, który miał być ostatni.

— Droga Ewo — rzekł Lucjan, budząc siostrę — dobra nowina! Za miesiąc Dawid nie będzie miał już długów!...

— Jakim cudem?

— Otóż w spódniczce pani du Châtelet kryje się dawna Luiza; kocha mnie więcej niż kiedykolwiek, postara się za pośrednictwem męża przesłać raport o naszym odkryciu

<sup>923</sup>myśliwiec (daw.) — myśliwy. [przypis edytorski]

<sup>924</sup>Antoine Nompar de Caumont, książę de Lauzun (1632—1723) — francuski arystokrata, dworzanin i wojak; znany głównie z tego, że wzbudził miłość księżnej de Montpensier, kuzynki Ludwika XIV i jednej z najbogatszych dziedziczek w Europie, którą następnie, wbrew zakazowi króla, potajemnie poślubił. [przypis edytorski]

ministrowi spraw wewnętrznych!... Tak więc mamy przed sobą już tylko miesiąc cierpień, tyle, ile mi trzeba, aby się zemścić na prefekcie i uczynić go najszczęśliwszym z mężów.

Ewa, słuchając brata, miała uczucie, że śni.

— Kiedym oglądał ten popielaty salonik, gdzie przed dwoma laty drzałem jak dziecko, kiedym patrzył na te meble, malowidła i postacie, miałem wrażenie, że luska spada mi z oczu! Jak Paryż odmienia człowieka!

— Czy to szczęście?... — rzekła Ewa, zrozumiałwszy wreszcie brata.

— No, kładź się, ty już usypiasz; pogadamy jutro — rzekł Lucjan.

Plan Cérizeta odznaczał się nadzwyczajną prostotą. Mimo iż należał on do rzędu podstępów, jakimi posługują się prowincjonalni komornicy, aby pochwycić dłużników, podstępów, których powodzenie jest wielce wątpliwe, miał się on powieść, opierał się bowiem zarówno na znajomości charakterów Lucjana i Dawida, jak i na ich nadziejach. Wśród robotnic, których Cérizet (chwilowo odkomenderowany przez Cointetów do poruczeń szczególnych) był Don Juanem<sup>925</sup> i nad którymi panował, wygrywając jedne przeciw drugim, wyróżniał w tej chwili jedną z prasowaczek Brygidy Clerget, dziewczynę prawie równie piękną jak pani Séchard, nazwiskiem Henryka Signol, której rodzice posiadali winniczkę o dwie mile od Angoulême, na drodze do Saintes. Signolowie, jak wszyscy wieśniacy, uważali, iż nie mają na tyle, aby chować jedyne dziecko przy sobie, i przeznaczili ją do „obowiązku”, to znaczy na pokojową w jakim zamożnym domu. Na prowincji panna służąca musi umieć prac i prasować wykwinutą bieliznę. Zakład pani Prieur, której Brygida była następczynią, miał tak świetną reputację, że Signolowie oddali tam córkę na naukę, płacąc za mieszkanie i życie. Pani Prieur należała do tej rasy prowincjonalnych pryncypałów starej daty, którzy poczuwają się do zastępowania rodziców. Żyła z uczennicami jak w rodzinie; prowadziła je do kościoła i dozorowała je sumiennie. Henryka, ładna, bujnie rozwinięta brunetka o śmiałym oku, gęstych, długich włosach, była biała, jak są białe dziewczęta Południa, białością magnolii. Toteż Cérizet wziął natychmiast piękną dziewczynę na oko, ale ponieważ należała do rodziny uczciwych rolników, ustąpiła jedynie pokonana zazdrością, złym przykładem i tym kuszącym słowem: „Ożenię się z tobą!”, które szepnął jej Cérizet, skoro został młodszym korektorem u Cointetów. Dowiedziawszy się, iż Signolowie posiadają winnicę wartości jakich dziesięciu do dwunastu tysięcy i dość przyzwoity domek, paryżanin postarał się o to, aby Henryce uniemożliwić inne małżeństwo. Taki był stan amorów pięknej Henryki i sprytnego Cérizeta, kiedy Petit-Claud ukazał chłopakowi nadzieje na drukarnię Sécharda, przy subwencji dwudziestu tysięcy franków, która miała dlań być niby wędzidłem. Ta przyszłość olśniła korektora, w głowie mu się zawróciło, panna Signol wydała mu się zaporą dla jego ambicji, zaczął zaniedbywać biedną dziewczynę. Henryka, w rozpacz, przywiązała się do korektorzyny tym więcej, im mniej on okazywał jej względów. Odkrywszy, że Dawid ukrywa się u panny Clerget, paryżanin zmienił poglądy co do Henryki, nie zmieniając wszelako postępowania; postanowił zużyć do swych celów jej rozpaczliwe położenie i jej miłość. W dniu, w którym Lucjan miał odzyskać swą Luizę, Cérizet zwierzył rankiem Henryce tajemnicę Brygidy i dał do poznania, że los ich i małżeństwo zależą od wytropienia kryjówki Dawida. Raz wprowadzona na trop, Henryka odgadła bez trudności, że drukarz może się znajdować jedynie w alkierzyku panny Clerget. Dziewczyna, wydając tę tajemnicę, nie sądziła, aby popełniała coś złego; ale ta pierwsza zdrada wciągnęła ją w sidła Cérizeta.

Lucjan spał jeszcze, kiedy Cérizet przyszedł dowiedzieć się o rezultacie wieczoru, słuchał w gabinecie Petit-Clauda opisu wielkich, mimo że małych, wydarzeń, które miały niebawem poruszyć całe Angoulême.

— Czy Lucjan napisał do pana słówko od swego powrotu? — spytał paryżanin, potrząsnąwszy głową na znak zadowolenia, skoro Petit-Claud skończył.

— Oto wszystko, co mam od niego — odparł adwokat, podając list, gdzie Lucjan skreślił parę wierszy na papierze listowym, którym posługiwała się siostra.

— A zatem — rzekł Cérizet — dziesięć minut przed zachodem słońca niech Doublon zasadzi się przy bramie Palet, niech ukryje żandarmów i rozstawi ludzi, będziemy mieli ptaszka.

<sup>925</sup>Don Juan — legendarny uwodziciel, bohater licznych oper i dramatów. [przypis edytorski]

— Jesteś pewny swojej sprawy? — rzekł Petit-Claud, mierząc spojrzeniem Cérizeta.  
— Zdaję się na los — rzekł eksurwis paryski — ale los to skończony hultaj, nie lubi uczciwych ludzi.

— Trzeba, aby się powiodło — rzekł adwokat sucho.

— Powiedzie się — odparł Cérizet. — To pan pchnąłś mnie w błoto, możesz mi tedy dać tych parę banknotów, żebym się miał czym obetrzeć... Ale, drogi panie — rzekł paryżanin, pochwywszy na twarzy adwokata wyraz, który mu się nie podobał — jeżeli mnie pan zwiódł, jeśli nie kupisz mi drukarni w ciągu tygodnia... przygotuj się, że zostawisz młodą wdowę — rzekł cicho ulicznik paryski, sącząc śmierć w spojrzeniu.

— Jeśli uwięzimy Dawida o szóstej, bądź o dziewiątej u pana Ganneraca; załatwimy twój interes — odparł rozkazująco adwokat.

— Zrozumiano; gość będzie obsłużony! — rzekł Cérizet.

Cérizet znał już sztukę, która polega na wywabianiu pisma i która dziś poważnie podkopyje interesy skarbu. Wywabił więc kilka wierszy skreślonych przez Lucjana i zastąpił je innymi, naśladowując pismo z doskonałością złowróbną dla przyszłości korektora.

Mój drogi Dawidzie, możesz przyjść bez obawy do prefekta, sprawa Twoja załatwiona; zresztą o tej porze możesz już wyjść; idę naprzeciw Ciebie, aby Ci wytłumaczyć, jak się masz zachować u prefekta

*Twój brat Lucjan*

W południe Lucjan napisał list do Dawida, donosząc mu o powodzeniu wieczoru i zapewniając o poparciu prefekta, który, jak mówił, tegoż samego dnia ma złożyć ministrowi raport o odkryciu, do którego bardzo się zapalił. W chwili gdy Maryna przyniosła ten list Brygidzie, pod pozorem oddania jej koszul Lucjana do prania, Cérizet, pouczony przez Petit-Clauda o możliwości tego listu, wyciągnął z domu pannę Signol i chodził z nią długo nad brzegiem Charenty. Musiała toczyć się walka, w której honor Henryki bronił się długo, przechadzka bowiem trwała dwie godziny. Nie tylko wchodził w grę interes dziecka, ale także całe przyszłe szczęście, los; a to, o co prosił Cérizet, to był drobiazg — uwodziciel bowiem nie odsonił dziewczynie konsekwencji swego żądania. Jednakże nieproporcjonalna cena tej drobnostki przerażała Henrykę. Mimo to Cérizet uzyskał wreszcie od kochanki, iż zgodziła się wziąć udział w intrydze. O piątej Henryka miała wyjść i wrócić, oznajmiając panie Clerget, iż pani Séchard prosi ją o natychmiastowe przybycie. Następnie, w kwadrans po wyjściu Brygidy, wejdzie, zapuka do alkierza i odda Dawidowi fałszywy list Lucjana. Po czym Cérizet zdał się ze wszystkim na los.

Pierwszy raz od roku blisko Ewa uczuła, iż się rozluźnia żelazna obręcz, jaką ścisła ją konieczność. Wreszcie zaczęła mieć nadzieję. I ona także zapragnęła ucieszyć się bratem, pokazać się pod ramię z człowiekiem wielbionym przez rodzinne miasto, ubóstwianym przez kobiety, kochanym przez dumną hrabinę du Châtelet. Ubrała się odświętnie i po obiedzie zamierzyła przejść się po Beaulieu pod ramię z Lucjanem. O tej godzinie, we wrześnie, całe Angoulême zażywa świeżego powietrza.

— Ho, ho! To piękna pani Séchard — rzekło kilka głosów na widok Ewy.

— Nigdy nie myślałabym tego o niej — rzekła jakaś kobieta.

— Mąż się chowa, żona wystawia się na pokaz — rzekła pani Postel dość głośno, aby biedna kobieta mogła usłyszeć.

— Och, wracajmy, źle uczyniłam — rzekła Ewa do brata.

Na kilka minut przed zachodem słońca, na drodze, która spada w zakrętach ku Houmeau, dał się słyszeć gwar jakiegoś zbiegowiska. Lucjan i Ewa, zdjęci ciekawością, skierowali się w tamtą stronę, z kilku słów bowiem, jakie padły dokoła nich, można było sądzić, jakoby popełniono tam jakąś zbrodnię.

— Zdaje się, że przytrzymało złodzieja... Błąd jest jak śmierć — rzekł przechodzień do nich, widząc, iż biegną w stronę rosnącej ciżby.

Ani Lucjan, ani Ewa nie doznawali najmniejszego lęku. Ujrzeni sporą gromadkę dzieci, starych kobiet, robotników wracających z roboty; gromadka ta poprzedzała żandar-mów, których galony błyszcząły w głównej grupie. Grupa ta ciągnęła za sobą setkę innych osób, posuwała się naprzód jak chmura niosąca burzę.

- Ach — rzekła Ewa — to mój mąż!
- Dawid! — krzyknął Lucjan.
- To jego żona! — krzyknął tłum, rozstępując się.
- Kto zdołał cię wywabić z domu? — spytał Lucjan.
- Twój list — odparł Dawid, blady i wzruszony.
- Byłam tego pewna — rzekła Ewa, padając jak martwa.

Lucjan podniósł siostrę; dwie osoby pomogły ją przenieść do domu, gdzie Maryna ułożyła ją do łóżka. Kolb pobiegł po lekarza. Kiedy zjawił się doktor, Ewa nie odzyskała jeszcze przytomności. Lucjan musiał wyznać matce, iż stał się przyczyną aresztowania Dawida, nie mógł bowiem mieć najmniejszego pojęcia o *qui pro quo*<sup>26</sup> z fałszywym listem, Lucjan, spiorunowany spojrzeniem matki, która zawarła w nim przekleństwo, pobiegł do swego pokoju i zamknął się.

Czytając ten list, pisany w nocy i przerywany raz po raz, każdy odgadnie, ze zdań rzuconych w pośpiechu, wzruszenia, jakie przechodził Lucjan:

List

Ukochana siostrzo, widzieliśmy się przed chwilą ostatni raz. Postanowienie moje jest nieodwołalne. Oto dlaczego. W wielu rodzinach zdarza się nieszczęsna jednostka, która dla swoich bliskich jest jakby chorobą. Ja jestem taką jednostką dla Was. Spostrzeżenie to nie jest moje, ale człowieka znającego dobrze świat. Wieczeraliśmy jednego dnia w kółku przyjaciół, w Rocher de Cancalle. Wśród tysiąca żarcików, jakie padały, ów dyplomata powiedział, że pewna młoda osoba, która, ku powszechnemu zdziwieniu, nie wychodzi za mąż, jest „chora na swego ojca”. Za czym rozwinął swą teorię chorób rodzinnych. Wytłumaczył nam, czemu, gdyby nie matka, któryś dom żyłby szczęśliwie; w jaki sposób któryś syn zrujnował ojca, jak ów ojciec zniszczył przyszłość i stanowisko dzieci. Mimo iż bronił swej tezy wpół żartem, poparł ją w ciągu dziesięciu minut tyloma przykładami, że mnie to uderzyło. Ta prawda opłacała wszystkie niedorzeczne, ale dowcipne paradoksy, jakimi dziennikarze bawią się między sobą, kiedy nie ma dla kogo grać komedii. Otóż ja jestem klątwą naszej rodziny. Z sercem przepelnionym czułością, działam jak wróg. Wszystkie Wasze poświęcenia odpłaciłem złem. Mimo iż mimowolny, ten ostatni cios najokrutniejszy jest ze wszystkich. Gdy ja wiodłem w Paryżu życie niegodne, pełne uciech i nędz, biorąc kamaraderię<sup>27</sup> za przyjaźń, opuszczając prawdziwych przyjaciół dla ludzi, którzy chcieli i umieli mnie wyzyskać, zapominając o Was lub przypominając sobie tylko po to, aby Wam czynić źle — Wy szliście skromną ścieżką pracy, idąc mozolnie, ale pewnie ku fortunie, którą ja chciałem tak obłudnie pochwycić. Gdy Wy stawialiście się lepsi, ja brnąłem coraz dalej na drodze zguby. Tak, mam nieokiełznane ambicje, które nie pozwalają mi pogodzić się ze skromnym i prostym życiem. Mam upodobania, nałogi, a wspomnienie ich zatruwa szczęście, które mi jest dostępne i które niegdyś byłoby mnie zadowolilo. O, droga Ewo, sądzę się sam surowiej niż ktokolwiek w świecie, potępiam się bezwarunkowo i nieubłaganie. Walka w Paryżu wymaga ciągłego napięcia, a moja wola działa jedynie wybuchami, a mózg nierównomiernie. Przyszłość przeraża mnie tak, że nie chcę przyszłości, a teraźniejszość jest mi nie do zniesienia. Chciałem Was ujrzeć; lepiej bym uczynił, opuszczając kraj na zawsze. Ale ekspatriacja<sup>28</sup> bez środków do życia byłaby szaleństwem, a szaleństw mam już dosyć... Śmierć zdaje mi się znośniejsza niż niezupełne życie; w jakiejkolwiek zaś roli się znajdę, próżność popchnie mnie do czynienia głupstw. Niektóre istoty są jak zera: trzeba im cyfry, która by je poprzedzała, wówczas nicość ich nabiera dziesięciokrotnej wartości. Ja mogę nabrać wartości jedynie przez skojarzenie się z silną, nieubłaganą wolą. Pani de Bargeton to była żona dla mnie, przegrałem życie przez to, iż

<sup>26</sup>*qui pro quo* (łac.) — wzięcie czegoś za coś innego, pomyłka, nieporozumienie. [przypis edytorski]

<sup>27</sup>*kamaraderia* a. *kameraderia* (daw.) — zażyłość koleżeńska, koleżeństwo. [przypis edytorski]

<sup>28</sup>*ekspatriacja* — opuszczenie kraju ojczystego. [przypis edytorski]



nie opuściłem dla niej Koralii. Dawid i Ty mogliście być dla mnie wybornymi sternikami, ale nie jesteście dość silni, aby ujarzmić mą słabość, która na pozór wymyka się panowaniu. Lubię życie łatwe, bez trosk; aby się wymigać przeciwnościom, jestem zdolny do rzeczy, które mogą mnie zawieść bardzo daleko. Jestem urodzonym księciem. Mam inteligencji więcej niż trzeba, aby wypłynąć, ale mam ją jedynie przez chwilę, nagroda zaś w szrankach, w których staję do biegu tyle ambicji, przypada temu, kto rozwija tylko tyle siły, ile jest konieczne, i znajduje jeszcze jej zapas u schyłku dnia. Potrafiłbym robić źle, jak tu narobiłem, z intencjami najlepszymi w świecie. Są ludzie-dęby, ja jestem może tylko wdzięcznym bluszczem, a mam pretensję być cedrem. Oto mój bilans. Ten rozdźwięk między środkami a pragnieniami, ten brak równowagi będzie zawsze udaremniał me wysiłki. Istnieje w sferze literackiej wiele takich charakterów, a to z przyczyny nieustannych dysproporcji między umysłem a charakterem, między pragnieniem a wolą. Jaki byłby mój los? Mogę to z góry odgadnąć, przypominając sobie kilka dawnych sław paryskich, dziś zupełnie zapomnianych. Znajdę się u progu starości, przedwcześnie zużyty, bez majątku, bez szacunku u ludzi. Cała moja obecna istota wzdryga się przed podobną starością: nie chcę być lachmanem. Droga, ubóstwiana siostrzo, którą uwielbiam zarówno dla okazanej mi ostatnio surowości, jak za miłość z dawnych dni, jeśli zbyt drogo opłaciliśmy przyjemność, jaką znalazłem w tym, aby ujrzeć Ciebie i Dawida, pomyślicie może kiedyś, iż żadna cena nie była zbyt wysoka, by opłacić ostatnie szczęście biednej istoty, która Was kochała!... Nie dowiadujcie się o mnie ani o mój los; na to mi się choć zda inteligencja, aby doprowadzić do skutku mój zamiar. Rezygnacja, mój aniele, jest codziennym samobójstwem; co do mnie, mam zapas rezygnacji tylko na jeden dzień, skorzystam z niej dzisiaj!...

#### *Godzina druga w nocy*

Tak, już postanowiłem. Żegnaj więc na zawsze, droga Ewo! Doświadczam pewnej słodczy na myśl, że już będę żył tylko w Waszych sercach. Tam będzie mój grób... nie chcę innego. Jeszcze raz, żegnajcie!... To ostatnie słowo brata Twego

#### *Lucjana*

Napisawszy ten list, Lucjan zeszedł bez hałasu, położył go na kolebce małego Lucusia, złożył na czole uśpionej siostry ostatni, zwilżony łzami pocałunek i wyszedł. Zgasił świecę w szarzejącym blasku, spojrzawszy ostatni raz na stary dom, otworzył po cichu drzwi do sieni; ale mimo tych ostrożności obudził Kolba, który spał na materacu rozciągniętym na ziemi w hali.

— Gdo icie?... — zakrzyknął Kolb.

— To ja — rzekł Lucjan — idę stąd, Kolb.

— Lebi pyż ban sropił, szepyz nikty nie bźychocził — rzekł Kolb do siebie, ale dość głośno, aby Lucjan usłyszał.

— Lepiej byłbym zrobił, żebym nie przychodził na świat — odparł Lucjan. — Bądź zdrow, Kolb, nie mam ci za złe myśli, którą podzielam. Powiesz Dawidowi, że moim ostatnim westchnieniem był żal, że go nie mogę uściskać.

Skoro Alzatczyk wstał i ubrał się, Lucjan zamknął drzwi i puścił się ku Charencie przez aleję Beaulieu, ale tak jak gdyby szedł na zabawę, oblekł bowiem niby całun swe paryskie suknie, cały wykwinny rysz tunek dandysa. Uderzony akcentem ostatnich jego słów, Kolb chciał się dowiedzieć, czy pani Ewa wie o wyjeździe brata i czy się z nią pożegnał; ale znajdując dom pogrążony w głębokim milczeniu, pomyślał, że wyjazd był zapewne ułożony z góry, i położył się z powrotem.

W stosunku do wagi przedmiotu, bardzo mało pisano o samobójstwie, nie obserwowano go. Może choroba ta umyka się obserwacji. Samobójstwo jest wynikiem uczucia, które nazwalibyśmy, jeżeli chcielibyśmy, szacunkiem dla samego siebie, aby go nie mieszać

Samobójstwo

ze słowem „honor”. W dniu, w którym człowiek sobą gardzi lub czuje się wzgardzony, w chwili gdy rzeczywistość jest w rozdźwięku z jego nadziejami, zabija się, składając w ten sposób hołd społeczeństwu, wobec którego nie chce pozostać odarty ze swych cnót lub z blasku. Co bądź by kto mówił, wśród ateuszów (u chrześcijanina trzeba uważać samobójstwo za niemożliwe) tchórze tylko przyjmują życie w hańbie. Samobójstwo bywa trojaki: raz, samobójstwo będące tylko ostatnim napadem długiej choroby i należące niewątpliwie do patologii; dalej, samobójstwo z rozpaczy; wreszcie — z wyrozumowania. Lucjan chciał się zabić z rozpaczy i z wyrozumowania; są to dwa rodzaje samobójstwa, z których można się cofnąć; nieodwołalne jest tylko samobójstwo patologiczne; często jednakże wszystkie trzy przyczyny się łączą, jak u Jana Jakuba Rousseau<sup>929</sup>.

Lucjan, raz powziąwszy postanowienie, zamyślił się nad wyborem środków: jako poeta, chciał skończyć poetycznie. Myślał zrazu po prostu rzucić się do Charenty; ale schodząc ostatni raz zakosami do Beaulieu, usłyszał wyobraźnią hałas, jaki wywoła jego samobójstwo, ujrzał ohydne widowisko, własne ciało wydobyte z wody, zniekształcone, będące przedmiotem dochodzeń sądowych; uczył, jak bywa u samobójców, przypływ pośmiertnej próżności. W ciągu dnia spędzonego w młynie przechadzał się nad rzeką i zauważył niedaleko od młyna okrągłe jezioro, takie jak zdarza się w biegu małych rzeczek, a którego spokojna powierzchnia zdradzała głębię. Woda nie jest wówczas ani zielona, ani niebieska, ani przezroczysta, ani żółta; jest jak gdyby zwierciadło polerowanej stali. Na brzegach tej czary nie widać było ani mieczyków, ani niezapominajek, ani szerokich liści nenufaru; trawa na stoku była krótka i gęsta, dokoła płaczące wierzby rosnące wcale malowniczo. Łatwo było odgadnąć przepaść pełną wody. Ktoś, kto by się zdobył na odwagę napełnienia kieszeni kamykami, mógłby znaleźć tam nieuniknioną śmierć, bez obawy, że go odnajdą kiedyś.

— Ha — rzekł poeta, podziwiając ładny zakątek — to miejsce dla topielców wymarzone!

Obraz ten stanął mu w pamięci w chwili, gdy dochodził do Houmeau. Szedł tedy ku Marsac, zdany na pastwę ostatnich i grobowych myśli, z niezłomnym postanowieniem, aby w ten sposób pochować na wieki sekret swojej śmierci, uniknąć śledztwa, pogrzebu, nie pokazać się oczom ludzi w ohydny stan niesionego przez wodę topielca. Dotarł niebawem do pagórków, których tyle spotyka się po drodze we Francji, zwłaszcza między Angoulême a Poitiers. Dylizans z Bordeaux do Paryża nadjeżdżał z całą chyżością; można było przypuszczać, iż podróżni zechcą wysiąść, aby się piąć na długie zbocze piechotą. Lucjan, który nie chciał, aby go widziano, rzucił się w zapadłą dróżkę i zaczął rwać kwiatki w jakiejś winnicy. Kiedy wrócił na gościniec, trzymając w ręku bukiet pleniącego się w kamienistych winnicach żółtego kwiecia, wpadł prosto na podróżnego, ubranego zupełnie czarno, o pudrowanych włosach, obutego w trzewiki ze srebrnymi klamrami. Pleć<sup>930</sup> miał ciemną i pokrytą bliznami, jak gdyby w dzieciństwie wpadł w ogień. Podróżny ten, wyglądający na osobę duchowną, szedł z wolna i palił cygaro. Słyszając Lucjana, który skoczył z winnicy na drogę, nieznajomy odwrócił się; melancholijna piękność poety, jego symboliczny bukiet i wykwintny strój uderzyły go wyraźnie. Podróżny podobny był w tej chwili do myśliwca, który znajduje długo i bezskutecznie szukaną ofiarę. Wyczeakał, aż Lucjan się zbliży, i przyglądał mu się z dala, jak gdyby błędząc oczyma po zboczu. Lucjan, który czynił ten sam ruch, ujrzał małą kolaskę<sup>931</sup>, zaprzężoną w dwa konie, oraz pocztyliona pieszo.

— Odjechał pana dylizans, młody panie, stracisz miejsce, chyba że zechcesz wsiąść do mej kolaski, aby go doścignąć; poczta idzie szybciej niż publiczny wehikuł — rzekł podróżny do Lucjana, wymawiając te słowa z wybitnym akcentem hiszpańskim i dając swej propozycji cechy najwykwintniejszej grzeczności.

Nie czekając na odpowiedź, Hiszpan dobył z kieszeni puzderko cygar i otwarłszy, podał je z uprzejmym gestem Lucjanowi.

— Nie jestem podróżnym — odparł Lucjan — i jestem zbyt blisko kresu drogi, aby się bawić w przyjemność palenia...

<sup>929</sup>Rousseau, Jean Jacques (1712–1778) — pisarz francuski, zaliczany do nurtu sentymentalnego, zwolennik życia blisko natury, krytyk cywilizacji, prekursor romantyzmu. [przypis edytorski]

<sup>930</sup>pleć (daw.) — cera; koloryt skóry twarzy. [przypis edytorski]

<sup>931</sup>kolaska — powóz, bryczka. [przypis edytorski]

— Jest pan bardzo surowy dla samego siebie — odparł Hiszpan. — Mimo iż jestem kanonikiem w Toledo, pozwalam sobie od czasu do czasu na cygarko. Bóg zesłał nam tytoń, aby usypiać nasze bóle i namiętności... Zdajesz się pan mieć zmartwienie, przynajmniej masz jego godło w ręku, jak smutny bóg Hymenu<sup>932</sup>. Ot, weź pan... wszystkie zmartwienia twoje ulecą z tym dymem...

I ksiądz ponownie wysunął kuszącym ruchem słomiane puzderko, obrzucając Lucjana pełnym współczucia spojrzaniem.

— Daruj, ojcze — odparł sucho Lucjan — nie ma cygara, które by mogło rozproszyć me zgryzoty...

Przy tych słowach oczy Lucjana zwilżyły się łzami.

— Och, młodzieńcze, czyż więc Opatrzność wzbudziła we mnie chęć przechadzki (podróźni zwykli w ten sposób rozpraszać ogarniającą ich nad ranem sennosć), iżbym mógł, niosąc ci pociechę, dopełnić mojej misji na ziemi?... I jakież tak wielkie zgryzoty możesz mieć w swoim wieku?

— Twoje pociechy, ojcze, byłyby bezużyteczne; pan jesteś Hiszpan, ja Francuz; pan wierzysz w nakazy Kościoła, ja jestem ateusz...

— *Santa Virgen del Pilar!*<sup>933</sup> Ateusz! — wykrzyknął ksiądz, ujmując Lucjana pod ramię z macierzyńską pieczołowitością. — Ba! oto jedna z osobliwości, które przyrzekałem sobie studiować w Paryżu. My, Hiszpanie, nie wierzymy w ateuszów... W jednej tylko Francji można, mając dziewiętnaście lat, wyznawać podobne zasady.

— Och, jestem ateuszem do szpiku kości; nie wierzę ani w Boga, ani w społeczeństwo, ani w szczęście. Przypatrz mi się dobrze, ojcze, za kilka godzin bowiem już mnie nie będzie... Oto moje ostatnie słońce!... — rzekł Lucjan z pewną emfazą, wskazując na niebo.

— Ejże! Cóż takiego uczynił, aby umierać? Kto cię skazał na śmierć?

— Najwyższy trybunał, ja sam!

— Dziecko! — wykrzyknął ksiądz. — Czy zabiłeś człowieka? Czy czeka cię rusztowanie? Mówmyż na rozum. Skoro chcesz wstąpić, wedle siebie, w nicość, wszystko ci jest obojętne na ziemi?

Lucjan skinął głową.

— A zatem możesz mi opowiedzieć swoje strapienia?... Chodzi zapewne o jakąś miłość, która nie idzie po myśli?...

Lucjan uczynił gest bardzo wymowny.

— Chcesz się zabić, aby uniknąć hańby lub dlatego, żeś zwątpił o życiu? Więc dobrze, zabijesz się równie dobrze w Poitiers, jak w Angoulême, w Tours równie dobrze, jak w Poitiers. Ruchome piaski Loary nie zwracają łupu...

— Nie, ojcze — odparł Lucjan — znalazłem, co mi trzeba. Przed trzema tygodniami spostrzegłem najbardziej uroczą przystań, przez jaką może się dostać na tamten świat człowiek zmierzony życiem...

— Na tamten świat? Nie jesteś więc ateuszem.

— Och! To, co rozumiem pod „tamnym światem”, to przyszłe przeobrażenie w zwierzę lub roślinę...

— Cierpisz na jaką nieuleczalną chorobę?

— Tak, ojcze.

— Aha, doszliśmy wreszcie do kłębka — rzekł ksiądz. — A jakąż?

— Ubóstwo.

Ksiądz spojrział na Lucjana i rzekł z nieskończonym wdziękiem oraz z uśmiechem niemal ironicznym:

— Diament nie zna swej wartości.

— Jeden chyba ksiądz zdolny jest głaskać miłymi słówkami biedaka, który ma umrzeć!... — krzyknął Lucjan.

— Nie umrzesz! — rzekł Hiszpan z powagą w głosie.

<sup>932</sup>*Hymen* (mit. gr.) — bóg zaślubin i małżeństwa; przen.: małżeństwo. [przypis edytorski]

<sup>933</sup>*Santa Virgen del Pilar!* (hiszp.) — Święta Dziewico z Kolumny; wezwanie Matki Boskiej z Bazyliki Nuestra Señora del Pilar w Saragossie, gdzie znajduje się kolumna, na której wg tradycji aniołowie nieśli Maryję, objawiającą się w ten sposób apostołowi Jakubowi, prowadzącemu ewangelizację tych okolic. [przypis edytorski]

— Słyszałem — odparł Lucjan — iż ograbia się ludzi na gościńcu, nie wiedziałem, że się ich wzbogaca.

— Dowiesz się — rzekł ksiądz, przyjrawszy się, czy odległość, w jakiej znajdował się pojazd, pozwoli im przejść samotnie jeszcze kilka kroków. — Posłuchaj — rzekł ksiądz, żując cygaro — ubóstwo to nie jest dostateczna racja, aby umrzeć. Trzeba mi sekretarza, mój umarł właśnie w Barcelonie. Znajduję się w tym samym położeniu, w jakim był baron de Görtz, słynny minister Karola Dwunastego<sup>934</sup>, który przybył bez sekretarza do pewnego miasteczka, jadąc do Szwecji, jak ja do Paryża. Baron spotkał syna złotnika, chłopca uderzającego pięknnością, mimo iż z pewnością nie mogła się równać z twoją. Baron de Görtz odgadł w młodym człowieku inteligencję, jak ja widzę poezję na twoim czole; wziął go do kolaski, jak ja wezmę ciebie; i z tego chłopca, skazanego na to, by oksydować nakrycia i fabrykować klejnoty w miasteczku podobnym do Angoulême, uczynił swego faworyta, jak ty będziesz moim. Przybywszy do Sztokholmu, baron instaluje chłopca i zarzuca go pracą. Młody sekretarz trawi nocę na pisaniu; jak wszyscy wielcy pracownicy, nabiera nałogu: zaczyna żuć papier. Śliczny chłopca zaczyna od papieru białego, ale przyzwyczajają się i przechodzi do papieru zapisanego, który mu się zdaje smakowitszy. Nie palono jeszcze wówczas tak jak dziś. Wreszcie sekretarzyna dochodzi z jednego smaku w drugi, do tego, że zaczyna żuć pergaminy i zjadać je. Toczyły się wówczas między Rosją a Szwecją rokowania o traktat pokojowy, który Stany<sup>935</sup> narzucały Karolowi Dwunastemu, jak w roku tysiąc osiemset cztertnastym chciano zmusić Napoleona, aby się układał o pokój. Podstawą negocjacji był traktat zawarty między dwoma mocarstwami z przyczyny Finlandii<sup>936</sup>. Görtz powierza oryginał swemu sekretarzowi; ale kiedy przychodzi moment przedstawienia Stanom projektu, zachodzi ta mała trudność, że traktat znikł bez śladu. Stany wyobrażają sobie, że przez usłużność dla króla minister postarał się usunąć dokument. Stawiają barona de Görtz w stan oskarżenia; wówczas sekretarz wyznaje, iż zjadł traktat... Wszczyła się proces, fakt stwierdzono, skazują sekretarza na śmierć. Ale ponieważ nie jesteś w tym położeniu, weź cygaro i zapal, czekając na naszą kolaskę.

Lucjan wziął cygaro i zapalił, jak to jest przyjęte w Hiszpanii, od cygara księdza, mówiąc sobie:

„Ma słuszność, zawsze mam czas się zabić”.

— Często — podjął Hiszpan — właśnie w chwili, kiedy młodzi ludzie najbardziej rozpaczają o przyszłości, zaczyna się ich dobra dola. Oto co ci chciałem powiedzieć, ale wolałem wykazać przykładem. Piękny sekretarz, skazany na śmierć, znajdował się w sytuacji tym rozpaczliwszej, iż król szwedzki nie mógł go ulaskawić, skoro wyrok wydały Stany szwedzkie; ale przymknął oczy na ucieczkę. Śliczny młodzieniec umyka na łódce z kilkoma talarami w kieszeni i przybywa na dwór kurlandzki<sup>937</sup>, opatrzony listem polecającym Görtza, w którym szwedzki minister tłumaczy księciu przygodę i manię swego protegowanego. Książę pomieszcza ładnego chłopca jako sekretarza u swego intendenta. Książę był rozrzutnikiem, miał ładną żonę i intendenta, trzy źródła ruiny. Jeżeli myślisz, że ów młodzian, skazany na śmierć za to, iż zjadł traktat dotyczący Finlandii, poprawił się ze swego przewrotnego smaku, nie znasz władzy, jaką ma nałóg nad człowiekiem; kara śmierci nie powstrzyma go, gdy chodzi o rozkosz, jaką sobie stworzył! Skąd pochodzi ta potęga narowu? Czy ta siła tkwi w samej jego istocie, czy pochodzi z ludzkiej słabości? Czy istnieją pasje będące już na granicy szaleństwa? Śmiać mi się chce, gdy widzę, jak

<sup>934</sup>Karol XII (1682–1718) — król Szwecji, wybitny dowódca wojskowy; objąwszy tron jako nastolatek (1697), wkrótce został zmuszony do podjęcia wojny (tzw. III wojna północna, 1700–1721), podczas której prowadził bardzo zręczne działania i wielokrotnie rozbijał przeważające wojska koalicji Rosji, Saksonii, królestwa Danii i Norwegii oraz Polski. [przypis edytorski]

<sup>935</sup>Stany — tu: dawny szwedzki parlament stanowy, Ständsriksdagen, w którym zasiadali przedstawiciele czterech stanów królestwa: duchowieństwa, szlachty, mieszczaństwa i chłopów. [przypis edytorski]

<sup>936</sup>traktat zawarty (...) z przyczyny Finlandii — Finlandia była wówczas częścią królestwa Szwecji; podczas III wojny północnej Rosja zaatakowała terytorium Finlandii, pokonując armię, a następnie flotę szwedzką (1714). [przypis edytorski]

<sup>937</sup>Kurlandia — kraina historyczna, obecnie zachodnia część Łotwy; powstała w 1561 Księstwo Kurlandii i Semigalii stanowiło formalnie lenno Rzeczypospolitej Obojga Narodów, od 1711 znalazła się nieoczekiwanie w strefie wpływów rosyjskich, do czego doprowadził ślub księżniczki Anny, córki cara Iwana V, z księciem Fryderykiem Wilhelmem Kettlerem, który zmarł kilka miesięcy po ślubie. [przypis edytorski]

moralisci usiłują zwalczać podobne choroby za pomocą pięknych sentencji!... Zdarzyła się chwila, w której książę, podrażniony odmową intendenta, gdy raz zażądał pieniędzy, zapragnął przejrzeć rachunki, ot, głupstwo! Nic łatwiejszego jak sporządzić rachunek, nie w tym trudność. Intendent powierzył sekretarzowi wszystkie akta, aby z nich ustalił bilans listy cywilnej<sup>938</sup> Kurlandii. Wśród swej pracy, w nocy, gdy ją miał już ukończyć, młody papierozerca spostrzega się, iż żuje pokwitowanie księcia na dość znaczną sumę. Strach go ogarnia; przerywa w pół wyrazu, biegnie rzucić się do stóp księżnej, tłumacząc jej swój nałóg, błagając o wstawiennictwo, żebrząc ratunku. Było to w nocy... Uroda młodego sekretarza wywarła takie wrażenie na tej kobiecie, iż wyszła zań, skoro została wdową. I tak, w pełni osiemnastego wieku, w kraju, gdzie królowała wszechwładna moc herbu, syn złotnika został panującym... Ba, czymś więcej!... Był regentem w czasie śmierci pierwszej Katarzyny, opanował cesarzową Annę<sup>939</sup> i zapragnął być Richelieu<sup>940</sup> Rosji. Otóż, młodzieńcze, wiedz to jedno: że jeżeli ty jesteś piękniejszy od Birona<sup>941</sup>, ja, mimo iż prosty kanonik, wart jestem więcej od barona Görtza. Zatem siadaj! Znajdziemy ci księstwo kurlandzkie w Paryżu, w braku zaś księstwa zawsze znajdziemy bodaj jaką księżnę.

Hiszpan wziął Lucjana pod ramię, zmusił go dosłownie, aby wszedł do kolasy, a pocztillion zatrzasnął drzwiczki.

— Teraz mów, słucham — rzekł kanonik toledański do zdumionego Lucjana. — Jestem stary ksiądz, któremu wszystko możesz powiedzieć bez obawy. Schrupałeś dotąd zapewne jedynie swą ojcowiznę albo pieniądze mamusi. Narobiliśmy trochę dłużków, jesteśmy zaś nadziani honorem aż po koniuszek tych ślicznych lakierowanych bucików... No, wypowiadaj się śmiało; zupełnie tak, jakbyś mówił do samego siebie.

Lucjan znajdował się w położeniu owego rybaka z arabskiej bajki, który chcąc się utopić w pełnym oceanie, dostaje się w podmorską krainę i zostaje tam królem. Ksiądz hiszpański wydawał mu się tak szczerze życzliwy, że poeta nie wahał się otworzyć mu serce; opowiedział tedy, pomiędzy Angoulême a Ruffec, całe swe życie, nie opuszczając żadnego błędu, aż do ostatniej klęski, jaką spowodował. W chwili gdy kończył to opowiadanie, wygłoszone tym poetyczniejszemu, ile że powtarzał je trzeci raz od dwóch tygodni, pojazd przybył w miejsce, gdzie, niedaleko Ruffec, znajduje się wioska Rastignaców. Nazwisko to, wymówione przez Lucjana, uczyniło na kanoniku wrażenie.

— Oto — rzekł Lucjan — skąd wyruszył młody Rastignac, który z pewnością nie więcej jest wart ode mnie, ale który miał więcej szczęścia.

— A!...

— Tak, ta pańska rudera to ich dom. Został, jak panu mówiłem, kochankiem pani de Nucingen, żony słynnego bankiera. Ja bawiłem się w poezję; on, sprytniejszy, trzymał się rzeczy pozytywnych.

Ksiądz kazał stanąć, chciał, przez ciekawość, przejść małą aleję, która z gościńca prowadziła do domu, i przyglądał się wszystkiemu z większym zaciekawieniem, niżby się można spodziewać po hiszpańskim księdzu.

— Ojciec zna Rastignaców?... — spytał Lucjan.

— Znam cały Paryż — rzekł Hiszpan, siadając z powrotem. — Zatem dla braku dziesięciu czy dwunastu tysięcy miałeś się zabić. Jesteś dziecko, nie znasz ani ludzi, ani świata. Los człowieka wart jest tyle, na ile go sam szacuje; ty cenisz swą przyszłość na dwanaście tysięcy, otóż ja z miejsca kupuję cię za wyższą cenę. Co do uwięzienia szwagra, to błaźnista. Jeśli ten zacny pan Séchard zrobił odkrycie, będzie bogaty. Ludzie bogaci nie siedzą nigdy w więzieniu za długi. Nie wydajesz mi się zbyt mocny w historii. Są dwie

Los

Historia

<sup>938</sup>lista cywilna — fundusze państwowe przeznaczone na utrzymanie władcy. [przypis edytorski]

<sup>939</sup>Był regentem w czasie śmierci pierwszej Katarzyny, opanował cesarzową Annę — chodzi o Katarzynę I, żonę cara Piotra I, panującą w l. 1724–1727, oraz o Annę Iwanowną Romanową, córkę cara Iwana V, księżną Kurlandii i Semigalii (1711–1731) i cesarzową Rosji (1730–1740). [przypis edytorski]

<sup>940</sup>Richelieu, Armand-Jean du Plessis de (1585–1642) — francuski książę, kardynał, od 1624 roku pierwszy minister Francji; faktycznie kierował polityką państwa. [przypis edytorski]

<sup>941</sup>Biron, Ernest Johann (1690–1772) — szlachcic inflancki, w 1716 wybrany przez księżnę Annę Iwanowną Romanową na doradcę i faworyta po śmierci męża. Kiedy Anna została carycą Rosji, Biron stopniowo przejął kontrolę nad administracją cywilną oraz zwierzchnictwo nad armią, faktycznie sprawował pełną władzę w Rosji (okres tzw. bironowszczyzny). [przypis edytorski]

historie: jedna urzędowa, kłamliwa, ta, której uczą, historia *ad usum delphini*<sup>942</sup>; druga, historia sekretna, gdzie znajdują się prawdziwe przyczyny wydarzeń, historia haniebna. Pozwól sobie opowiedzieć, w trzech słowach, drugą historijkę, której nie znasz. Ambitny młody człowiek, ksiądz, chce się docisnąć do spraw publicznych, robi się pokornym psem faworyta, faworyta królowej; faworyt nabiera dlań sympatii, podnosi go rangi ministra, dając mu miejsce w Radzie. Pewnego wieczora jeden z tych ludzi, którym się wydaje, że oddają przysługę (nie oddawaj nigdy przysług, o które cię nie proszą!), uwiadamia ambitnego młodzieńca, że życie jego dobroczyńcy jest zagrożone. Król zbrzydził sobie jego kuratele; jutro faworyt, jeśli się uda do pałacu, ma zginąć. I cóż, młodzieńcze, cóż byś uczynił, gdybyś otrzymał ten list?...

— Poszedłbym natychmiast ostrzec swego dobroczyńcę — wykrzyknął żywo Lucjan.

— Jesteś wciąż tym samym dzieckiem, jakim okazałeś się w obrazie swego życia — rzekł ksiądz. — Młodzieniec powiedział sobie: „Jeśli król waży się aż na zbrodnię, mój dobroczyńca jest zgubiony; trzeba udać, żem otrzymał list za późno!” I spał do godziny, w której zabijano faworyta...

— To potwór! — rzekł Lucjan, który podejrzewał, że ksiądz chce go wypróbować.

— Wszyscy wielcy ludzie są potworami; ten nazywał się kardynał de Richelieu — odparł kanonik — dobroczyńca zaś jego — marszałek d’Ancre<sup>943</sup>. Widzisz, że nie znasz jeszcze historii Francji. Czy nie miałem słuszności, mówiąc, że historia nauczana w szkołach to zbiorek dat i faktów przede wszystkim nader wątpliwy, a potem bez najmniejszego pożytku? Na co ci się zda wiedzieć, że istniała Joanna d’Arc<sup>944</sup>? Czyś wyciągnął kiedy z tego konkluzję, że gdyby Francja była wówczas przyjęła andegaweńską dynastię Plantagenetów, dwa zjednoczone narody miałby dzisiaj władztwo nad światem, i że dwie wyspy, gdzie się dziś wytwarza ferment zamieszek politycznych całego kontynentu, byłyby dwiema francuskimi prowincjami?... Ba, czy zastanawiałeś się nad środkami, za pomocą których Medyceusze<sup>945</sup>, prości kupcy, doszli do godności wielkich książąt Toskanii?

— Poeta we Francji nie ma obowiązku być benedyktynem — rzekł Lucjan.

— Otóż, młodzieńcze, zostali książętami tak samo, jak Richelieu ministrem. Gdybyś szukał w historii przyczyny wydarzeń, zamiast uczyć się na pamięć ich nagłówków, byłbyś z nich wyciągnął prawidła postępowania. Z tego, co zacerpnąłem, ot tak, nie przebierając, w zbiorce prawdziwych faktów, wynika to prawo. Uważaj ludzi, a zwłaszcza kobiety, jedynie za narzędzia, ale nie pozwól im się tego domyślać. Uwielbiaj jak bóstwo tego, kto, stojąc wyżej od ciebie, może ci być użyteczny, i nie opuszczaj go, póki nie opłaci na wagę złota twego służalstwa. W stosunkach ze światem bądź twardy jak Żyd i jak on uniżony; czyn dla władzy wszystko to, co on czyni dla pieniędzy. Ale też człowiek upadły niech będzie dla ciebie tak, jakby nigdy nie istniał. Wiesz, czemu winieneś postępować w ten sposób?... Chcesz panować nad światem, prawda? Trzeba zacząć od tego, aby być posłusznym światu i dobrze go studiować. Uczni z głębią książki, politycy z głębią ludzi, ich interesy, źródła ich postępów. Otóż świat, społeczeństwo, ludzie, wzięci w ogóle, są fatalistami i ubóstwiają fakt. Wiesz, czemu ci czynię ten mały wykład historii? Ponieważ domyślałem się w tobie bezgranicznej ambicji...

— Tak, ojczcie!

— Poznałem to — odparł kanonik. — Ale w tej chwili powiadasz sobie: „Ten hiszpański kanonik wymyśla anegdoty i nakręca historię, aby mi dowieść, że byłem nadto cnotliwy...”

Lucjan uśmiechnął się, widząc, iż tak dobrze odgadnięto jego myśl.

<sup>942</sup>*ad usum delphini* (łac.) — dosł.: do użytku delfina, tj. francuskiego następcy tronu; ocenzurowane, ze względów moralnych, wydania klasyków łacińskich przeznaczone dla syna Ludwika XIV; ogólnie: wersje utworów przeznaczone dla dzieci i młodzieży. [przypis edytorski]

<sup>943</sup>*Concino Concini, markiz d’Ancre* (1575–1617) — włoski arystokrata i polityk, faworyt królowej Francji Marii Medycejskiej, odegrał znaczącą rolę polityczną w okresie małoletniości króla Ludwika XIII. Zginął zamordowany przez spiskowców młodego króla, który przy pomocy własnych faworytów chciał przejąć ster rządów w państwie. [przypis edytorski]

<sup>944</sup>*Joanna d’Arc* (1412–1431) — bohaterka narodowa Francji; podczas wojny stuletniej z Anglią poprowadziła armię francuską do kilku ważnych zwycięstw, twierdząc, że działa kierowana przez Boga; zginęła spalona na stosie. [przypis edytorski]

<sup>945</sup>*Medyceusze* — florencki ród kupiecki i bankierski, od 1532 książęcy; od 1434 jego członkowie rządzą Florencją, która w 1569 stała się stolicą Wielkiego Księstwa Toskanii; odegrali wielką rolę kulturalną i polityczną. [przypis edytorski]

Zło

Historia

Historia, Polityka

Żyd

— A zatem, młody człowieku, weźmy fakty, które stały się już banalne — rzekł ksiądz. — Pewnego dnia Francja stała się niemal całą łupem Anglików, król ma już tylko jedną prowincję. Z łona ludu podnoszą się dwie istoty: uboga młoda dziewczyna, właśnie ta Joanna d'Arc, o której mówiliśmy; następnie mieszczanin, nazwiskiem Jakub Coeur<sup>946</sup>. Jedna daje swe ramię i urok swego dziewictwa, drugi swoje złoto: królestwo uratowane. Ale dziewczyna dostaje się do niewoli!... Król, który może wykupić dziewczynę, pozwala ją spalić żywcem. Co zaś do bohaterskiego mieszczanina, król daje go oskarżyć o śmiertelne zbrodnie swoim dworakom, którzy rozszarpują jego mienie. To, co zdarto z niewinnego człowieka, osaczonego, tropionego, zdławionego ręką sprawiedliwości, bogaci pięć szlacheckich domów... I ojciec arcybiskupa z Bourges opuszcza królestwo, aby doń nigdy nie wrócić, bez grosza ze swych majątków we Francji, nie mając innego mienia prócz tego, które zawierzył Arabom, Saracenom w Egipcie. Mógłbyś jeszcze powiedzieć: „To przykłady zbyt stare, wszystkie te niewdzięczności mają za sobą trzysta lat publicznego nauczania, szkielety zaś liczące tyleż lat życia przechodzą w sferę bajki”. Otóż, młody człowieku, czy wierzysz w ostatniego półboga Francji, w Napoleona? Trzymał jednego ze swych generałów w niełasce, zrobił go marszałkiem jedynie bardzo niechętnie, nigdy nie posługiwał się nim szczerze. Ten marszałek nazywał się Kellermann<sup>947</sup>. Wiesz czemu? Kellermann ocalił Francję i Pierwszego Konsula pod Marengo śmiałą szarżą, której dano brawo wśród krwi i ognia. W biuletynie nie było nawet wzmianki o tej bohaterkiej szarży. Przyczyna oziębłości Napoleona dla Kellermanna jest także przyczyną niełaski Fouchégo<sup>948</sup>, Talleyranda<sup>949</sup>: to ta sama niewdzięczność króla Karola Siódmego<sup>950</sup>, Richelieugo, niewdzięczność...

— Ale, ojczy, przypuściwszy, iż ocalisz mi życie i dasz w rękę fortunę — rzekł Lucjan — czynisz mi w ten sposób wdzięczność zbyt lekką.

— Urwisie — rzekł ksiądz, uśmiechając się i biorąc Lucjana za ucho, aby je pokręcić z poufalością jak gdyby królewską — gdybyś był niewdzięczny wobec mnie, byłbyś wówczas człowiekiem silnym i pokłoniłbym się przed tobą; ale jeszcze nie zaszedłeś tak daleko; z prostego ucznia chciałeś zbyt szybko stać się mistrzem. To wada Francuzów w waszej epoce. Popsuł ich przykład Napoleona. Wnosisz dymisję, ponieważ nie możesz otrzymać epoletów, których pragniesz... Ale czyż skupił całą swą wolę, wszystkie czyny w jednej myśli?...

— Niestety, nie — rzekł Lucjan.

— Byłeś tym, co Anglicy nazywają *inconsistent*<sup>951</sup> — ciągnął kanonik z uśmiechem.

— Mniejsza o to, czym byłem, skoro nie mogę już być niczym! — odparł Lucjan.

— Niech poza wszystkimi twymi pięknymi przymiotami znajdzie się siła *semper vivens*<sup>952</sup> — rzekł ksiądz, ostentacyjnie pokazując, iż umie nieco po łacinie — a nie oprze ci się nic w świecie. Kocham cię już na tyle...

Lucjan uśmiechnął się z niedowierzaniem.

<sup>946</sup> *Coeur, Jacques* (1395–1456) — francuski kupiec i finansista, skarbnik i pożyczkodawca Karola VII, wspomagał tworzenie francuskiej armii narodowej podczas wojny stuletniej; zdobył wielką władzę i majątek; w 1451 został aresztowany i uwięziony pod zarzutami oszustw, korupcji i porwań, zaś jego majątek skonfiskowano; w 1455 udało mu się zbiec do Rzymu. [przypis edytorski]

<sup>947</sup> *Kellermann* — pomyłone dwie postacie: za zasługi w bitwie pod Valmy (1804) do stopnia marszałka Cesarstwa Francuskiego został awansowany przez Napoleona generał François Christophe Kellermann (1735–1820), natomiast dowódcą ciężkiej kawalerii w bitwie pod Marengo (1800) był jego syn, François Étienne Kellermann (1770–1835), wówczas generał brygady, awansowany po bitwie na generała dywizji, który jednak nigdy nie otrzymał nominacji marszałka. [przypis edytorski]

<sup>948</sup> *Fouché, Joseph* (1759–1820) — francuski polityk, oceniany jako przebiegły i bezwzględny karierowicz; członek Konwentu w okresie rewolucji francuskiej, odpowiedzialny za krwawe stłumienie powstania w Lyonie w 1793, minister policji podczas panowania Napoleona, po jego upadku w 1815 został prezydentem rządu tymczasowego, następnie ministrem policji króla Ludwika XVIII. [przypis edytorski]

<sup>949</sup> *Talleyrand*, właśc. książę *Charles-Maurice de Talleyrand-Périgord* (1754–1838) — francuski dyplomata i polityk; zasłynął jako inteligentny, cyniczny i bezwzględny pragmatyk, pełniąc funkcje agenta dyplomatycznego lub ministra spraw wewnętrznych kolejnych rządów: Dyrektoriatu, Napoleona, Burbonów i Ludwika Filipa I. [przypis edytorski]

<sup>950</sup> *Karol VII Walezjusz* (1403–1461) — król Francji od 1422; na mocy traktatu w Troyes (1420) pozbawiony praw do tronu na rzecz króla Anglii Henryka V; po udanej misji Joanny d'Arc i odparciu Anglików spod Orleanu koronował się w Reims (1429), uwolnił terytorium całego kraju i pomyślnie zakończył wojnę stuletnią. [przypis edytorski]

<sup>951</sup> *inconsistent* (ang.) — niekonsekwentny, niestały. [przypis edytorski]

<sup>952</sup> *semper vivens* (łac.) — wiecznie zielona; stale świeża, młodzieńcza. [przypis edytorski]

— Tak — ciągnął nieznajomy, odpowiadając na jego uśmiech — obchodzisz mnie tak, jak gdybyś był moim synem, jestem zaś dość silny, aby mówić z tobą otwarcie, jak ty mówiłeś ze mną. Wiesz, co mi się podoba w tobie?... Sam uczyniłeś z sobą generalne pranie, możesz tedy wysłuchać kursu moralności, którego nie spotkasz nigdzie; ludzie bowiem skupieni w gromadę są jeszcze bardziej obłudni niż wówczas, gdy interes zmusza ich do grania komedii. Dlatego też znaczną część życia pochłania plewienie w swoim sercu tego, czemu pozwoliło się wzrosnąć w młodości. Ta operacja nazywa się nabywaniem doświadczenia.

Lucjan, słuchając księdza, myślał:

„To jakiś stary dyplomata, rad, iż może rozerwać się w drodze. Bawi go to, aby przewracać w głowie biednemu chłopcu, którego spotkał na progu samobójstwa, po czym puści mnie wolno, wyczerpawszy zabawę... Ale rozumie się na paradoksach i nie ustępuje w niczym takiemu Blondetowi albo Lousteau”.

Mimo tej roztropnej myśli wpływ zepsucia, jakie roztaczał ów dyplomata, wchodził głęboko w duszę Lucjana, z natury dość podatną w tej mierze, i czynił w niej spustoszenia tym większe, ile że wspierał się na głośnych przykładach. Przykuty urokiem tej cynicznej konwersacji, Lucjan czepiał się tym chętniej życia, iż czuł jak gdyby potężne ramię, dobywające go z głębin samobójstwa na powierzchnię. Ksiądz zdawał sobie sprawę ze swego zwycięstwa, toteż od czasu do czasu okraszał swe historyczne sarkazmy chytrym uśmiechem.

— Jeżeli zasady moralne księdza podobne są do jego poglądu na historię — rzekł Lucjan — chciałbym wiedzieć, jaka jest w tej chwili pobudka owego rzekomego miłosierdzia?

— To, młody człowieku, jest ostatni punkt mego kazania; pozwolisz mi go zachować na później, w ten sposób bowiem nie rozstaniemy się dzisiaj — odparł z subtelnym uśmiechem ksiądz, widząc, że sztuczka się udała.

— A zatem, mówmy o moralności — rzekł Lucjan, który pomyślał: „Zabawię się i ja jego kosztem”.

— Moralność, młody człowieku, zaczyna się z prawem — rzekł ksiądz. — Gdyby chodziło tylko o religię, prawa byłyby zbyt liczne: ludy religijne mają mało praw. Ponad prawem cywilnym jest prawo polityczne. Chcesz wiedzieć, co dla człowieka politycznego widnieje na czole tego waszego dziewiętnastego stulecia? Francuzi wymyślili w tysiąc siedemset dziewięćdziesiątym trzecim wszechwładzę ludu, która skończyła się samowładnym monarchą. Oto historia waszego narodu. Co do obyczajów: pani Tallien i pani Beauharnais<sup>953</sup> prowadziły się zupełnie jednako; Napoleon pojmuje jedną za żonę, czyni z niej waszą cesarzową, drugiej zaś nie zechciał nigdy przyjąć, mimo iż była księżną. On sam, *sans-culotte*<sup>954</sup> w tysiąc siedemset dziewięćdziesiątym trzecim, wkłada w tysiąc osiemset czwartym żelazną koronę<sup>955</sup>. Krwiożerczy kochankowie hasła „równość lub śmierć” w tysiąc siedemset dziewięćdziesiątym drugim — stają się od tysiąc osiemset szóstego współtwórcami arystokracji ulegalizowanej przez Ludwika Osiemnastego. Za granicą arystokraci, którzy królują dziś w Dzielnicy Saint-Germain, zrobili gorzej: byli lichwiarzami, kupcami, paszтетnikami, ekonomami, pastuchami. We Francji zatem, tak w prawie politycznym, jak i moralnym, wszyscy i każdy z osobna zadali kłam punktowi wyjścia przez ostateczny rezultat; wszyscy wykazali rozbieżność przekonań i postępowania. Nie było logiki ani u rządu, ani u jednostek. Dlatego moralność jest dziś wam czymś

Religia, Prawo, Cnota

Polityka, Pozory

<sup>953</sup>pani Tallien i pani Beauharnais — Thérèse Tallien (1773–1835): francuska arystokratka, słynęła z urody i swobodnego trybu życia; wyszła za mąż w wieku 14 lat, po rozwodzie jej kochankiem, a potem drugim mężem został rewolucjonista Jean Tallien; po rozwodzie z Tallieniem miała krótki flirt z Napoleonem, dwa kolejne romanse, ostatecznie wyszła za mąż za księcia de Chimay; *Józefina de Beauharnais* (1763–1814): od 1779 żona wicehrabiego Alexandre’a de Beauharnais, straconego w 1794, przeżywała liczne romanse, w 1796 została pierwszą żoną Napoleona Bonaparte’go. [przypis edytorski]

<sup>954</sup>*sans-culotte* (fr.) — dosłownie: bez (krótkich) spodni; w czasie Rewolucji Francuskiej nazwa nadawana rewolucjonistom, którzy nosili spodnie długie, zamiast modnych wówczas wśród szlachty krótkich spodni z koronkami (fr. *culotte*). [przypis edytorski]

<sup>955</sup>żelazna korona — średniowieczna korona królów longobardzkich, którą po podbiciu ich państwa przejął Karol Wielki; w średniowieczu koronowali się nią cesarze Świętego Cesarstwa Rzymskiego jako królowie Włoch; Napoleon Bonaparte koronował się nią w 1805 na króla Włoch (podczas jego koronacji na cesarza Francuzów w 1804 została użyta nowa korona, zaprojektowana na średniowieczny wygląd, gdyż tradycyjna korona królewska została zniszczona podczas rewolucji). [przypis edytorski]



obcym. Dzisiaj u was sukces jest najwyższą racją wszystkich postępów, bez względu na ich wartość i charakter. Fakt nie jest już niczym sam w sobie, cały jest w pojęciu, jakie drudzy sobie o nim tworzą. Stąd, młody człowieku, nowa nauka: miej piękne pozory! Ukrywaj podszewkę swego życia i pokazuj bardzo świetny wierzch. Dyskrecja, ta dewiza ambitnych, jest hasłem naszego zakonu<sup>956</sup>; niech się stanie i twoim. Wielcy popełniają niemal tyle podłości, co nędzarze; ale popełniają je w cieniu, paradują zaś cnotami: są zawsze wielcy. Mali rozwijają swe cnoty w cieniu, wystawiają swe nędze na światło: są przedmiotem wzgardy. Ty ukrywałeś swe wielkości, odsłaniałeś zaś rany. Kochałeś publicznie aktorkę, żyłeś z nią, mieszkasz u niej; nie czyniłeś nic godnego nagany, każdy uważał, że oboje jesteście zupełnie wolni, ale stawałeś w ten sposób wbrew pojęciom świata; jakoż brakło ci owego poważania, którego świat użycza ludziom posłusznym jego prawu. Gdybyś podzielił Koralię z owym panem Camusotem, gdybyś ukrywał swoje z nią stosunki, zaślubiłbyś panią de Bargeton, byłbyś prefektem i margrabią de Rubempré. Zmień postępowanie: wysuń naprzód swą piękność, wdzięk, dowcip, poezję. Jeśli sobie pozwolisz na małe bezceństwo, niech to będzie w czterech ścianach. Wówczas nie popełnisz już owego nietaktu, aby czynić widoczną plamę na dekoracjach wielkiego teatru zwanego światem. Napoleon nazywa to: prać brudną bieliznę w rodzinie. Z drugiej zasady wypływa ten dalszy pewnik: wszystko polega na formie. Zrozum, co nazywam formą. Są ludzie bez wychowania, którzy, przyciśnięci potrzebą, biorą drugiemu jakąś sumę gwałtem; nazywają się zbrodniarzami i mają do czynienia z kodeksem karnym. Biedny genialny człowiek znajduje sekret, który wart jest całe skarby, pożyczasz mu trzy tysiące (na wzór tych Cointetów, którym wpadły w ręce twoje trzy tysiące franków i którzy obłupią twego szwagra), nękaś go póty, aż ci odstąpi wszystko albo część sekretu; masz do czynienia tylko ze swoim sumieniem, sumienie zaś nie zaprowadzi cię przed kratki sądowe. Wrogowie porządku społecznego korzystają z tej sprzeczności, aby ujadać na sprawiedliwość i gniewać się w imieniu ludu o to, że posyła się na galery złodzieja, który w nocy skradnie kurę z podwórka, gdy skazuje się ledwie na kilka miesięcy więzienia człowieka, który rujnuje całe rodziny podstępny bankructwem; ale ci hipokryci wiedzą dobrze, że skazując złodzieja, sędziowie utrzymują między bogatymi a biednymi barierę, której obalenie byłoby końcem porządku społecznego, gdy fałszywy bankrut, zręczny łowca sukcesji, łajdaki bankier powoduje jedynie przemieszczenie kapitałów. Tak więc społeczeństwo, mój synu, zmuszone jest na swoją rzecz czynić to samo rozróżnienie, jakie ja czynię na twoją. Najważniejsze jest to, aby się czuć równym całej społeczności. Napoleon, Richelieu, Medyceusze mieli się za równych swemu wiekowi. Ty szacujesz się na dwanaście tysięcy franków!... Twoje społeczeństwo nie uwielbia już prawdziwego Boga, ale złotego cielca!... Taka jest religia waszej konstytucji, która w polityce liczy się już tylko z własnością. Czyż to nie znaczy powiedzieć wszystkim poddanym: „Starajcie się być bogaci...”? Kiedy zdoławszy sobie legalnie wykroić fortunę, będziesz bogatym i margrabią, wówczas pozwolisz sobie na honor i tym podobne zbytki. Wówczas rozwinięsz tyle skrupułów, iż nikt nie będzie śmiał cię oskarżyć, żeś im kiedykolwiek chybił; o ile chybiłś im kiedy, dążąc do fortuny, czego nie radziłbym ci nigdy — rzekł ksiądz, ujmując rękę Lucjana i klepiąc ją poufale. — Cóż tedy trzeba włożyć w tę piękną główkę?... Jedynie tę zasadę: postaw sobie świetny cel i kryj środki, jakimi doń dążysz. Postępowałeś jak dziecko, bądź mężczyzną; bądź myśliczem, czaj się w zasadzce wśród tego paryskiego świata, czekaj ofiary i przypadku, nie oszczędzaj ani swej osoby, ani tego, co się nazywa godnością, wszyscy bowiem jesteśmy posłuszni czemuś, jakiemuś nałogowi, jakiejś konieczności; ale przestrzegaj najwyższego prawa: tajemnicy.

— Przerażasz mnie, ojczy — wykrzyknął Lucjan — to mi trąci filozofią opryszków.

— Masz słuszność — rzekł kanonik — ale nie ja ją stworzyłem. Tak rozumowali wszyscy ci, co chcieli dojść, dom austriacki, jak i dom francuski. Ty nie masz nic, jesteś w położeniu Medyceuszów, Richelieugo, Napoleona w początkach ich kariery. Ci ludzie, mój chłopcze, uważali, iż przyszłość ich warta jest niewdzięczności, zdrady i najskrajniejszych sprzeczności postępowania. Trzeba wszystko ważyć, aby zdobyć wszystko. Rozumujemy. Kiedy siadasz do gry, czy spierasz się o warunki? Reguły są ustanowione, przyjmujesz je.

<sup>956</sup>nasz zakon — ze słów księdza wydaje się wynikać, że należy on do zakonu jezuitów. [przypis edytorski]

Pozory

Pozory, Theatrum mundi

Sąd, Pozycja społeczna

Bogactwo, Honor

Władza

„Ho, ho! — pomyślał Lucjan — on zna i karteczki”.

— W jaki sposób zachowujesz się przy grze? — rzekł ksiądz. — Czy przestrzegasz najpiękniejszej z cnót, szczerości? Nie tylko ukrywasz swą grę, ale nawet, kiedy jesteś pewny triumfu, starasz się wzbudzić przekonanie, że grozi ci przegrana. Słowem, maskujesz się, nieprawdaż?... Kłamiesz, aby zyskać pięć ludwików<sup>957</sup>!... Cóż byś powiedział o graczu dość wspaniałomyślnym, aby przestrzec drugich, w karcie ma „wózek”? Otóż człowiek ambitny, który chce walczyć wedle zasad cnoty, podczas gdy przeciwnicy obywają się bez nich, jest dzieckiem. Takiemu dziecku stary polityk mógłby powiedzieć to, co gracze mówią komuś, kto nie korzysta ze swoich „wózków”: „Drogi panie, niech pan nigdy nie grywa w hazard”... Alboż to ty ustanawiałeś reguły w grze ambicji? Dlaczego mówiłem ci o potrzebie postawienia się na równi ze społeczeństwem?... Dlatego, że dziś, młody człowieku, społeczeństwo nieznacznie przywłaszczyło sobie tyle praw nad jednostką, że jednostka zmuszona jest walczyć ze społeczeństwem. Nie ma już praw, istnieją jedynie obyczaje, to znaczy komedia, wyłącznie forma.

Lucjan uczynił gest zdumienia.

— Ach, dziecko — rzekł ksiądz w obawie, iż posunął się za daleko — spodziewałeś się znaleźć archanioła Gabriela w księdzu obciążonym wszystkimi nieprawościami kontrdyplomacji dwóch królów? (Jestem pośrednikiem między Ferdynandem Siódmym<sup>958</sup> a Ludwikiem Osiemnastym, dwoma wielkimi... królami, którzy obaj zawdzięczają koronę głębokim... kombinacjom). Wierzę w Boga, ale bardziej wierzę w nasz zakon, nasz zakon zaś wierzy jedynie w doczesną władzę. Aby uczynić władzę doczesną bardzo silną, zakon nasz podpira Kościół apostolski, katolicki i rzymski, to znaczy całokształt uczuć, które utrzymują lud w posłuszeństwie. Jesteśmy nowożytnymi templariuszami<sup>959</sup>, mamy swój ideał. Jak templariuszów, tak i nasz zakon złamano dla tych samych przyczyn: byłby zagarnął świat. Jeśli chcesz być żołnierzem, ja będę twoim hetmanem. Słuchaj mnie, jak żona słucha męża, dziecko matki, a ręczę ci, że w niespełna trzy lata będziesz margrabią de Rubmpré, zaślubisz jedną z najwyższej urodzonych panien i zasiądziesz kiedyś na ławie parów<sup>960</sup>. W tej chwili, gdybym cię nie był zabawił rozmową, czym byłbyś? Trupem nie do odszukania w mule rzeczonym; a więc zdobądź się na wysiłek poezji!...

Tu Lucjan spojrział z ciekawością na swego protektora.

— Młody człowiek, który siedzi tu w tej kolasce, obok księdza Karlosa Herrery, tytularnego kanonika kapituły w Toledo, sekretnego posła Jego Królewskiej Mości Ferdynanda Siódmego do Jego Królewskiej Mości króla Francji, wiozącego mu depesę, która powiada może: „Kiedy mnie oswobodzisz, każ powiesić wszystkich tych, którym łaszę się w tej chwili, zwłaszcza zaś mego posła, aby był na pewno sekretny”, ten młody człowiek — rzekł ksiądz — nie ma nic wspólnego z poetą, który umarł. Wyłowilem cię, wróciłem cię życiu, należysz do mnie, jak stworzenie do stwórcy, jak w bajkach cudownych afryt<sup>961</sup> do geniusza, ikoglan<sup>962</sup> do sułtana, jak ciało do duszy. Podtrzymam cię tą oto potężną dłońią na drodze władzy; równocześnie zaś przyrzekam ci rozkosz, zaszczyty, nieustające uciechy... Nigdy nie braknie ci pieniędzy... Będziesz błyszczał, będziesz paradował, gdy ja, schylony w błocie fundamentów, będę murował błyszczący gmach twej fortuny. Ja kocham potęgę dla potęgi! Będę szczęśliwy twymi rozkoszami, których mi wzbronio-

Władza

<sup>957</sup>ludwik a. *luidor* (fr. *Louis d'or*: złoty Ludwik) — złota moneta francuska z podobizną króla, bita w latach 1640–1791; ludwikami nazywano później tradycyjnie złote 20-frankówki. [przypis edytorski]

<sup>958</sup>Ferdynand VII (1784–1833) — król Hiszpanii w roku 1808, obalony przez Napoleona, odzyskał tron w 1813; w 1820 jego rządy spowodowały liberalną rewolucję, podczas której pozostawał uwięziony; w 1823 dzięki wojskowej interwencji Francji powrócił do władzy absolutnej. [przypis edytorski]

<sup>959</sup>templariusze — zakon rycerski, założony ok. 1120 w Jerozolimie w celu obrony i eskorty pielgrzymów do Ziemi Świętej. Posiadali kilkanaście prowincji w Europie, dzięki licznym nadaniom, przywilejom papieskim i operacjom finansowym zgromadzili wielkie bogactwa, dzięki którym mieli znaczące wpływy polityczne. Po upadku Królestwa Jerozolimskiego, pozbawieni siedziby templariusze przenieśli się na Cypr, a następnie do Francji. Upadek zakonu spowodowały wysunięte przez króla Francji Filipa IV Pięknego (1268–1314), poważnie zadłużonego u zakonu, oskarżenia o świętokradztwa, herezję i czary. Francuska gałąź zakonu została skasowana w 1311, jej majątki skonfiskowano, a wielu templariuszy, włącznie z wielkim mistrzem Jakubem de Mollay i najwyższymi dostojnikami, spalono na stosie. Ostatecznie zakon został zawieszony przez papieża w 1317. [przypis edytorski]

<sup>960</sup>par — członek wyższej izby parlamentu we Francji w latach 1814–1848. [przypis edytorski]

<sup>961</sup>afryt a. *ifyyt* — zły duch, demon w ludowych wierzeniach arabskich; tu jako podległy geniuszowi, tj. dżinowi, potężnej istocie powstałej z powietrza lub ognia. [przypis edytorski]

<sup>962</sup>ikoglan — paź na dworze sułtana. [przypis edytorski]

no. Słowem, będę tobą!... Otóż w dniu, w którym ten pakt człowieka z biesem, dziecka z dyplomata, przestanie ci dogadzać, zawsze możesz sobie poszukać małego zakątka, jak ten, o którym mi mówiłeś, aby się utopić; będziesz trochę więcej albo trochę mniej tym, czym jesteś dziś: nieszczęśliwym lub zhańbionym.

— To nie jest kazanie arcybiskupa Grenady!<sup>963</sup> — wykrzyknął Lucjan, widząc, iż kolasa zatrzymuje się przed stacją.

— Nie wiem, jaką nazwę dajesz temu związłemu katechizmowi, mój synu (adoptuję cię bowiem i uczynię cię spadkobiercą); ale to jest kodeks ambicji. Niewielka jest liczba wybrańców bożych. Nie ma wyboru: albo trzeba się zakopać w klasztorze (a i tam często odnajdziesz świat w miniaturze!), albo przyjąć ten kodeks.

— Może lepiej jest człowiekowi nie być tak uczonym — rzekł Lucjan, próbując zgłębić duszę straszliwego księdza.

— Jak to! — rzekł ksiądz. — Zgawszy się przez niezajomość zasad gry, ty chcesz opuścić partię w chwili, gdy stajesz się silny, gdy zjawiasz się, mając za sobą tęgie plecy... i nawet nie okazujesz pragnienia odwetu? Jak to! Nie doświadczasz chętki, aby wsiąść na kark tym, którzy cię wygnali z Paryża?

Lucjan zdrzął, jak gdyby jakiś instrument z brązu, jakiś chiński gong wydał straszliwy dźwięk szarpiący wszystkie nerwy.

— Jestem tylko skromnym księdzem — podjął ten człowiek, którego twarz spalona na brąz słońcem Hiszpanii przybrała okropny wyraz — ale gdyby ludzie mnie upokorzyli, zdeptali, storturowali, zdradzili, sprzedali, jak z tobą uczyniły łajdaki, o których mi mówiłeś, stałbym się jak Arab na pustyni!... Tak, poświęciłbym ciało i duszę zemście. Drwiłbym z tego, iż skończę na szubienicy, spętany na śmiertelnym wózku, wbity na pał, zgilotynowany jak u was; ale oddałbym głowę nie wprzód, ażbym zgniotł wrogów pod obcasem.

Lucjan milczał, odeszła mu już ochota bawić się kosztem księdza.

— Jedni pochodzą od Abła, drudzy od Kaina — rzekł na zakończenie kanonik. — Ja jestem krwi mieszanej: jestem Kainem dla wrogów, Ablem dla przyjaciół; biada temu, który obudzi Kaina!... Ostatecznie, ty jesteś Francuz, ja Hiszpan i, co więcej, kanonik!...

„Cóż za arabska krew!” — pomyślał Lucjan, przyglądając się ukradkiem zesłanemu przez niebo protektorowi.

Ksiądz Karlos Herrera nie miał w sobie nic, co by zdradzało jezuitę czy choćby duchownego. Krótki, gruby, o szerokich rękach i takimż tułowiu, o sile Herkulesa, spojrzeniu straszliwym, ale złagodzone przybraną słodyczą, o brązowej cerze kryjącej nieprzeniknioną powłoką wszelkie uczucia, czynił on na pierwszy rzut oka wrażenie raczej odpychające. Długie i piękne włosy, pudrowane wzorem księcia de Talleyrand, dawały temu osobliwemu dyplomacie wygląd biskupa; niebieska z białą obwódka wstążka, na której wisiał złoty krzyżyk, zdradzała zresztą dostojnika kościelnego. Czarne jedwabne pończochy rysowały kształt nóg godnych atlety. Ubranie, wytwornie schludne, zdradzało tę drobiazgową staranność o swą osobę, którą u prostych księży nie zawsze się spotyka, zwłaszcza w Hiszpanii. Trójgraniasty kapelusz spoczywał na przednim siedzeniu kolasy z cyfrą<sup>964</sup> korony hiszpańskiej. Mimo tylu przyczyn do odrazy, wzięcie jego, szorstkie i ujmujące razem, łagodziło wrażenie; w stosunku zaś do Lucjana ksiądz rozwijał wyraźną zalotność, pieszczoty niemal kocie. Stroskane oko Lucjana zwracało uwagę na najdrobniejsze szczegóły. Czuł, że w tej chwili rozstrzyga się dlań śmierć albo życie, znajdował się bowiem o dwa stajania<sup>965</sup> za Ruffec. Ostatnie słowa Hiszpana poruszyły wiele strun w jego sercu; i, powiedzmy to na wstyd Lucjana i księdza, który przenikliwym okiem śledził piękną fizjonomię poety, te struny były z najgorszych, z tych, które drgają pod działaniem niskich uczuć. Lucjan oglądał na nowo Paryż, chwycił na nowo cugle władzy, które jego niezręczne ręce wypuściły, mścił się! Świeże porównanie prowincji z życiem Paryża —

Ksiądz

<sup>963</sup>To nie jest kazanie arcybiskupa Grenady — odniesienie do opowieści z książki *Przypadki Idziego Blasa* (1715–1735) Alaina René Lesage'a, w której główny bohater, młody łazik, zostaje sekretarzem mającego ambicje literackie arcybiskupa Grenady i ma za zadanie ostrzec go, jeśli uzna, że jego homilie i pisma straciły na sile kaznodziejskiej, gdyż sam arcybiskup obawia się, że może nie być obiektywny w ocenie. [przypis edytorski]

<sup>964</sup>cyfra (daw.) — inicjały, monogram. [przypis edytorski]

<sup>965</sup>stajanie a. staje — staropolska miara długości drogi, odległość przebyta przez konia pomiędzy dwoma odpoczynkami. [przypis edytorski]

owa najsilniejsza z pobudek jego samobójstwa — znikало mu z oczu: miał się odnaleźć w swoim środowisku, ale wspierany dłonią polityka, dochodzącego w głębokości aż do zbrodni Cromwella<sup>966</sup>.

„Byłem sam, teraz będzie nas dwóch” — mówił obie.

Im więcej odsłaniał błędów w poprzednim swym postępowaniu, tym więcej duchowny okazywał mu sympatii. Współczucie tego człowieka rosło w miarę nieszczęścia, nie dziwił się zaś niczemu. Mimo to Lucjan pytał sam siebie, jakie może mieć pobudki ów pośrednik intryg królewskich. Najpierw zadowolił się zdawkową racją: Hiszpanie są szczodrzy! Hiszpan jest szczodry, jak Włoch jest truciciel i zazdrośnik, jak Francuz jest lekki, Niemiec prostoduszny, Żyd plugawy, Anglik szlachetny. Odwróćcie te pewniki, a ujrzycie prawdę. Żydzi zagarnęli złoto, komponują *Roberta Diabła*, grają *Fedre*, śpiewają *Wilhelma Tella*, zamawiają obrazy, budują pałace, piszą *Reisebilder*<sup>967</sup> i cudowne poezje, są potężniejsi niż kiedykolwiek, religia ich jest uznana, udzielają kredytu papierowi! W Niemczech dla każdej drobnostki pytają cudzoziemca: „Czy ma pan kontrakt na piśmie?”, tyle spotyka się złej wiary. We Francji oklaskuje się od pięćdziesięciu lat na scenie idiotyzmy narodowe, nosi się wytrwale nieprawdopodobne kapelusze i zmienia się rząd jedynie pod tym warunkiem, że będzie ciągle taki sam!... Anglia rozwija w obliczu świata perfidie, których ohydę można porównać tylko z jej chciwością. Hiszpan, pochłonawszy złoto dwu Indii<sup>968</sup>, nie ma już nic. Nie ma kraju na świecie, gdzie by było mniej otruc niż we Włoszech i gdzie obyczaje byłyby łatwiejsze i bardziej rycerskie. Hiszpanie wiele korzystali z reputacji Maurów<sup>969</sup>.

Kiedy Hiszpan siadł z powrotem do kolasy, szepnął poczytliwemu do ucha:

— Co koń wyskoczy, trzy franki na wino.

Lucjan wahał się jeszcze. Książd rzekł:

— No, siadaj, chłopcze.

I Lucjan wsiadł, pod pozorem zaaplikowania swemu protektorowi argumentu *ad hominem*<sup>970</sup>.

— Mój ojciec — rzekł — człowiek rozwijający z najzimniejszą krwią zasady, które niejeden mieszcuch uważałby za głęboko niemoralne...

— I które są nimi, mój synu, oto czemu Chrystus chciał, aby zgorzenie miało miejsce; i oto czemu świat okazuje taką obawę przed zgorzeniem.

— Człowieka pańskiej miary nie zdziwi pytanie, jakie mu zadam?

— Ech, synu — rzekł Karlos Herrera — nie znasz mnie. Czy myślisz, że przyjąłbym sekretarza, nimbym się przekonał, czy ma zasady dość pewne, aby mnie nie okraść? Jestem rad z ciebie. Posiadasz wszystkie skrupuły człowieka, który myśli o samobójstwie w dwudziestu latach. Chciałeś zapytać...

— Czemu się pan mną interesuje? Jaką wartość przedstawia dla pana moja powolność?... Czemu dajesz mi wszystko? Jakie pan ma w tym wyrachowanie?

Hiszpan popatrzał na Lucjana i uśmiechnął się.

— Poczekajmy nowego wzgórza, chłopcze, pójdziemy kawał pieszko i pogadamy na świeżym powietrzu. Wnętrze kolasy nie jest dość dyskretne.

<sup>966</sup>*Cromwell, Olivier* (1599–1658) — polityk ang., główna postać angielskiej wojny domowej (1642–1651, zw. też rewolucją angielską), rozgromił siły rojalistów, stłumił powstanie w Szkocji oraz krwawo ujarzmił Irlandię; doprowadził do postawienia przed Najwyższym Trybunałem Sądowym króla Karola I Stuarta, który został publicznie ścięty, co oznaczało obalenie monarchii i ustanowienie republiki w Anglii; od 1653 jako lord protektor sprawował dyktatorskie rządy. [przypis edytorski]

<sup>967</sup>komponują „*Roberta Diabła*”, grają „*Fedre*”, śpiewają „*Wilhelma Tella*” (...) piszą „*Reisebilder*” — *Robert Diabeł* (1831): opera Giacomo Meyerbeera, niemieckiego kompozytora żydowskiego pochodzenia; *Fedra* (1677): tragedia Racine’a, w której główną rolę w 1842 z ogromnym sukcesem odgrywała Rachel Félix (1821–1858), francuska aktorka żydowskiego pochodzenia; *Wilhelm Tell* (1829): opera Rossiniego; *Reisebilder* (*Obrazy z podróży*, 1826–31): książka Heinricha Heinego, niemieckiego poety żydowskiego pochodzenia. [przypis edytorski]

<sup>968</sup>*duu Indii* — dawniej mówiono o Indiach Wschodnich oraz o Indiach Zachodnich, tj. Karaibach; Hiszpanie mieli kolonie w obu rejonach. [przypis edytorski]

<sup>969</sup>*Maurowie* (hist.) — od średniowiecza do pocz. XIX w.: europejska nazwa na określenie muzułmańskich mieszkańców Płw. Iberyjskiego i płn.-zach. Afryki, z pochodzenia w większości Berberów (rdzennych mieszkańców Afryki Płn.). [przypis edytorski]

<sup>970</sup>*ad hominem* (łac.) — dosł. do człowieka; *argument ad hominem*: niemerytoryczny sposób argumentowania, skierowany do konkretnego człowieka i odwołujący się do jego poglądów w celu pokazania ich sprzeczności z przedstawioną przez niego tezą. [przypis edytorski]

Milczenie panowało jakiś czas między dwoma towarzyszami podróży, szybkość zaś jazdy dopomogła, można powiedzieć, do moralnego odurzenia Lucjana.

— Dojeżdżamy do wzgórza, ojcze — rzekł Lucjan, budząc się jak gdyby ze snu.

— A zatem, chodźmy — rzekł ksiądz, krzyknąwszy mocnym głosem na pocztyliona, aby się zatrzymał.

Wyskoczyli na gościniec.

— Dziecko — rzekł Hiszpan, biorąc Lucjana pod ramię — czy przemyślałeś kiedy *Ocalenie Wenecji*<sup>971</sup> Otwaya? Czy rozumiałeś tę głęboką przyjaźń mężczyzny do mężczyzny, jaka wiąże Piotra i Jaffiera, która czyni, iż kobieta jest dla nich bagatelką, i która zmienia między nimi wszystkie pojęcia społeczne?... To mówię dla poety.

„Ksiądz kanonik zna i teatr” — pomyślał Lucjan. — Czy ojciec czytał Woltera?... — zapytał.

— Uczyniłem lepiej — odparł kanonik — wprowadzam go w czyn.

— Nie wierzysz ksiądz w Boga?

— Dobryś, więc to ja jestem ateuszem! — rzekł ksiądz, uśmiechając się. — Przejdźmy do rzeczy pozytywnych, moje dziecko — rzekł, ujmując go wpół. — Mam czterdzieści sześć lat, jestem naturalnym synem<sup>972</sup> wielkiego pana, tym samym bez rodzimy, a mam serce... Ale dowiedz się tego, wyryj to w mózgu swoim, jeszcze miękkiem: człowiek lęka się samotności. A ze wszystkich samotności samotność moralna przeraża go najwięcej. Pierwsi pustelnicy żyli z Bogiem, zamieszkiwali świat najbardziej zaludniony, świat duchowy. Skąpcy zamieszkują świat wyobraźni i rozkoszy. Skąpiec ma wszystko, nawet pleć swoją, w mózgu. Pierwszą myślą człowieka, niechby to był trędowaty lub galernik, zhańbiony lub chory, jest mieć towarzysza swej doli. Na zadowolenie tego uczucia, które jest zasadą samego życia, obraca wszystkie siły, całą swą potęgę, cały zapas żywotności. Bez tego najwyższego pragnienia czyż szatan byłby mógł znaleźć towarzyszy?... Tkwi w tym cały nienapisany jeszcze poemat: byłby to prolog do *Raju utraconego*<sup>973</sup>, który jest tylko apologią buntu.

— A to byłaby *Iliada* zepsucia — rzekł Lucjan.

— Otóż ja jestem sam, żyję sam! Mam wprawdzie suknię, ale nie mam duszy księdza. Lubię się poświęcać, mam ten nałóg. Żyję poświęceniem, dlatego jestem księdzem. Nie lękam się niewdzięczności, a jestem wdzięczny. Kościół jest niczym dla mnie, to idea. Oddałem się na usługi królowi Hiszpanii; ależ nie można kochać króla Hiszpanii, jest moim panem, unosi się wysoko nade mną. Pragnę kochać moje stworzenie, ukształtować je, ulepić na swój użytek, aby je kochać jak ojciec własne dziecko. Będę się rozpierał w twoim kabrioletcie, mój chłopcze, będę się delectował twymi powodzeniami u kobiet, będę sobie mówił: „Ten piękny młody człowiek to ja! Tego margrabiego de Rubempré ja stworzyłem i wprowadziłem w arystokrację; wielkość jego jest moim dziełem, myśli mą myślą, milczy moim milczeniem albo mówi moim głosem, radzi się mnie we wszystkim”. Ksiądz de Vermont<sup>974</sup> odegrał taką rolę przy Marii Antoninie.

— Zaprowadził ją na rusztowanie!

— Nie kochał królowej!... — odparł Hiszpan. — Kochał tylko księdza de Vermont.

— Mamże zostawić za sobą rozpacz? — rzekł Lucjan.

— Mam skarby, będziesz w nich czerpał.

— W tej chwili wiele bym uczynił, aby uwolnić Sécharda — odparł Lucjan głosem, który nie dźwięczał już samobójstwem.

— Powiedz słowo, synu, a jutro rano otrzyma sumę potrzebną dla swego uwolnienia.

— Jak to! Dałbyś mi, ojcze, dwanaście tysięcy?...

<sup>971</sup>*Ocalenie Wenecji* — najbardziej znany dramat angielskiego pisarza Thomasa Otwaya (1652–1685), opowiadający o przyjaźni Wenecjanina Jaffiera i najemnego żołnierza Piotra, uczestników spisku przeciwko senatowi weneckiemu; aby zdobyć zaufanie bezwzględny przywódca spiskowców, Jaffier pozostawia pod jego opieką własną żonę jako zakładniczkę, narażając ją na gwałt; kiedy po ujawnieniu spisku pojmany Piotr ma zostać powieszony, Jaffier, aby oszczędzić mu hańbiącej śmierci, przebija go i popelnia samobójstwo. [przypis edytorski]

<sup>972</sup>*syn naturalny* — syn urodzony poza małżeństwem; daw. przeciwieństwo syna legalnego. [przypis edytorski]

<sup>973</sup>*Raj utracony* — poemat epicki w 12 księgach autorstwa angielskiego poety Johna Milтона (1608–1674), opowiadający o buncie aniołów pod wodzą Szatana oraz o upadku i wygnaniu pierwszych ludzi z raju. [przypis edytorski]

<sup>974</sup>*Vermont, Mathieu-Jacques de*, zwany księdzem de Vermont (1735–1806) — nauczyciel, zaufany powiernik, a także sekretarz gabinetu Marii Antoniny, żony Ludwika XVI. [przypis edytorski]

— Dziecko! Czyż nie widzisz, że robimy cztery mile na godzinę? Staniemy na obiad w Poitiers. Tam, jeśli chcesz podpisać pakt, dać mi jeden jedyny dowód posłuszeństwa — jest on wielki, żądam go! — wówczas dyliżans jadący do Bordeaux zawiezie piętnaście tysięcy franków twojej siostrze...

— Gdzie są?

Hiszpański kanonik nie odpowiedział nic, Lucjan zaś pomyślał:

„Wydał się, żartował sobie ze mnie”.

W chwilę potem Hiszpan i poeta siedli w milczeniu z powrotem. Milcząc, ksiądz sięgnął ręką do kieszeni kolaski, wydobyl z niej ów worek skórzany, podzielony na trzy przegródki, kształtu myśliwskiej torby, tak znany podróżnikom, po czym wygarnął zeń sto portugalskich dukatów, zanurzając po trzykroć szeroką rękę i wyjmując ją za każdym razem pełną złota.

— Ojczy, jestem twój — rzekł Lucjan, olśniony złotym strumieniem.

— Dziecko! — rzekł ksiądz, całując Lucjana z czułością w czoło. — To tylko trzecia część złota, która znajduje się w tej torbie; trzydzieści tysięcy franków, nie licząc pieniędzy na podróż.

— I ojciec podróżuje sam?... — wykrzyknął Lucjan.

— Cóż to jest? — rzekł Hiszpan. — Mam więcej niż sto tysięcy talarów w przekazach na Paryż. Dyplomata bez pieniędzy to to, czym ty byłeś przed chwilą: poeta bez woli<sup>975</sup>.

W chwili gdy Lucjan wsiadał do powozu z rzekomym dyplomata hiszpańskim, Ewa wstawiała, aby nakarmić syna. Znalazła nieszczęsny list i przeczytała. Zimny pot zrosił jej ciało, ciepłe jeszcze z rannego snu, w oczach się jej zaćmiło, zawołała Marynę i Kolba.

Na pytanie jej: — Czy pan Lucjan wyszedł? — Kolb odpowiedział:

— Dag, brozę bani, bżed źfidem.

— Zachowajcie największą tajemnicę o tym, co wam zwierzę — rzekła Ewa do dwojga służących — brat mój wyszedł z pewnością, aby odebrać sobie życie. Biegnijcie oboje, zasięgnijcie ostrożnie wiadomości i przepatrzcie brzeg rzeki.

Ewa została sama, w stanie trudnym do opisanego. Wśród tego wzruszenia zjawił się u niej o siódmej rano Petit-Claud, aby pomówić o interesach. W takich chwilach człowiek jest gotów posłuchać każdego.

— Pani — rzekł adwokat — nasz drogi Dawid jest w więzieniu; znalazł się w sytuacji, którą przewidywałem od początku. Radziłem mu wówczas stowarzyszyć się, dla eksploatacji odkrycia, z jego konkurentami, braćmi Cointetami; ci ludzie posiadają środki urzeczywistnienia tego, co u pani męża jest jedynie pomysłem. Toteż wczoraj wieczór, ledwie doszła mnie nowina o aresztowaniu, coż uczyniłem? Poszedłem do panów Cointetów z zamiarem wydobycia z nich ustępstw, które by was mogły zadowolić. Jeśli zechcecie bronić tego odkrycia, życie wasze będzie w dalszym ciągu tym, czym jest: pasmem procesów, w których będziecie pobici. W końcu, wyczerpani i dogorywający, skończycie na tym, iż zrobicie, może ze swoją szkodą, z jakimś kapitalistą to, co, gdybyście posłuchali mej rady, zrobilibyście dziś jeszcze, ku swej korzyści, z braćmi Cointetami. Oszczędzicie sobie w ten sposób prywacji<sup>976</sup>, wzruszeń, walki wynalazcy z chciwością kapitalisty i obojętnością społeczeństwa. Ot! Gdyby panowie Cointetowie spłacili wasze długi, gdyby spłacili długi, dali jeszcze sumkę, która by wam przypadła bez względu na to, jaka będzie wartość, przyszłość lub wykonalność odkrycia, przyznając Dawidowi, rozumie się, prócz tego pewien udział w eksploatacji, czy nie byłibyście szczęśliwi?... Pani staje się w ten sposób właścicielką inwentarza drukarni i sprzedaje ją pani zapewne: to da jakieś dwadzieścia tysięcy; podejmuję się znaleźć nabywcę na tych warunkach. Jeśli uzyskacie piętnaście tysięcy franków za akt spółki z panami Cointetami, będziecie mieli kapitalik trzydziestu pięciu tysięcy, z czego, wedle obecnego kursu renty, uzyskacie dwa tysiące rocznie... Można żyć na prowincji za dwa tysiące. I, niech pani zauważy, będziecie mieli jeszcze ewentualność spółki z Cointetami. Powiadają ewentualność, trzeba bowiem liczyć się z niepowodzeniem. A zatem, oto punkty, które, jak sądzę, zdołałbym uzyskać: przede wszystkim, zupełne uwolnienie Dawida, następnie, piętnaście tysięcy franków jako odszkodowanie za jego pracę, płatne bez prawa do rewindykacji, gdyby nawet odkrycie

<sup>975</sup>Mam więcej niż sto tysięcy talarów w przekazach na Paryż... — czytelnicy *Ojca Goriot* Balzaca domyślili się zapewne tożsamości księdza Karlosa Herrery z Jakubem Colliem, inaczej Vautrinem. [przypis tłumacza]

<sup>976</sup>prywacja — ograniczenie, obywatelstwo. [przypis edytorski]

okazało się nieproduktywne; wreszcie, spółka między Dawidem panami Cointetami dla eksploatacji uzyskanego przezeń patentu, po wypróbowaniu (wykonanym wspólnie i pod dyskrecją!) sposobu fabrykacji, na podstawach następujących: panowie Cointetowie poniosą wszystkie koszty. Aporem<sup>977</sup> Dawida będzie jego patent; będzie miał prawo do czwartej części zysków. Pani jesteś kobietą zdrowej rady i bardzo rozsądną, co nie zawsze jest przywilejem pięknych kobiet; niech pani pomyśli nad tymi propozycjami, a uzna pani, że zasługują na przyjęcie...

— Ach, panie — wykrzyknęła biedna Ewa w rozpaczy, zalewając się łzami — czemu nie przyszedł pan wczoraj wieczór ofiarować mi tę transakcję? Rylibyśmy uniknęli hańby i... o wiele gorzej.

— Dyskusja moja z Cointetami, którzy, jak mogła się pani domyślać, kryją się za Métivierem, skończyła się o północy. Ale cóż takiego zaszło od wczoraj, co jest gorsze niż uwięzienie biednego Dawida? — spytał Petit-Claud.

— Oto straszliwa wiadomość, jaką zastałam za przebudzeniem — rzekła, podając adwokatowi list Lucjana. — Dał mi pan w tej chwili dowód, że jesteś nam oddany, jesteś przyjacielem Dawida i Lucjana, nie potrzebuję tedy prosić o tajemnicę...

— Niech pani będzie bez obawy — rzekł Petit-Claud, oddając list po przeczytaniu. — Lucjan się nie zabije. Stawszy się przyczyną uwięzienia szwagra, potrzebował jakiejś racji, aby was opuścić, ten list to jedynie, ot, tyrada w stylu teatralnym przed zejściem ze sceny.

Cointetowie doszli do celu. Storturowawszy wynalazcę i jego rodzinę, pochwycili chwilę, w której wyczerpanie rodzi pragnienie spoczynku. Nie wszyscy poszukiwacze tajemnic mają naturę buldoga, który zdycha ze swym łupem w zębach; Cointetowie zaś wystudowali dobrze charakter swych ofiar. Dla Wielkiego Cointeta uwięzienie Dawida było ostatnią sceną pierwszego aktu w tym dramacie. Drugi akt zaczynał się propozycją, jaką przyniósł właśnie Petit-Claud. Jako skończony gracz, adwokat ujrzał w wyskoku Lucjana jedną z tych niespodzianych szans, które przyspieszają rozgrywkę partii. Ujrzał Ewę tak ściętą z nóg ostatnim wypadkiem, że postanowił skorzystać z tego, aby pozyskać jej zaufanie, ocenił bowiem wreszcie wielki jej wpływ na Dawida. Zatem, miast grażyć panią Séchard jeszcze głębiej w rozpaczy, starał się ją pokrzepić i skierował ją bardzo zręcznie ku więzieniu, myśląc, że w obecnym stanie ducha będzie wpływała na Dawida, aby zawarł spółkę z Cointetami.

— Dawid, proszę pani, mówił mi, iż pragnie fortuny jedynie dla pani i dla jej brata; ale musiała pani dojść do przekonania, że szaleństwem byłoby chcieć wzbogacić Lucjana. Ten chłopiec połknąłby trzy fortuny.

Wyraz twarzy Ewy mówił dość jasno, że ostatnie jej złudzenie co do brata uleciało; toteż adwokat uczynił pauzę, aby przekształcić milczenie klientki w pewnego rodzaju zgodę.

— Zatem w całej tej kwestii chodzi tylko o panią i o dziecko. Pani rzeczą jest ocenić, czy dwa tysiące renty starczą do waszego szczęścia, nie licząc sukcesji po ojcu. Pani teść uciułał sobie już od dawna dochodzik jakich siedmiu do ośmiu tysięcy, nie licząc procentów, jakie umie wyciskać z kapitałów; ostatecznie, macie przed sobą ładną przyszłość. Po co się dręczyć?

Adwokat opuścił panią Séchard, pozwalając jej zastanowić się nad tą perspektywą, dość zręcznie przygotowaną poprzedniego dnia przez Wielkiego Cointeta.

— Ukaż pan im możliwość otrzymania jakiegokolwiek sumy — rzekł ów angulemski żbik do adwokata, kiedy ów przyszedł mu oznajmić o aresztowaniu — skoro się zaś oswoją z myślą zgarnięcia jakiejś gotowizny, mamy ich; zaczniemy się targować i pomalutku ściągniemy ich do kwoty, którą mamy zamiar ofiarować za ten sekret.

To zdanie zawierało poniekąd streszczenie drugiego aktu tego finansowego dramatu.

Kiedy pani Séchard, z sercem złamanym obawami los brata, ubrała się i zeszła, aby się udać do więzienia, uczuła lęk na myśl o tym, iż przyjdzie jej przebyć samej ulice Angoulême. Nie troszcząc się zgoła o stan duszy klientki, Petit-Claud wrócił wszelako, aby jej ofiarować ramię, sprowadzony myślą dosyć makiaweliczną, i mimo woli bardzo ujął Ewę,

<sup>977</sup> *aport* — wkład niepieniężny wnoszony do spółki, mający postać wartości niematerialnych (np. patentów) lub rzeczy, wyceniany jako określona wartość majątkowa. [przypis edytorski]

która poczytała tę przysługę za dowód delikatności; przyjął podziękowanie, nie wyprowadzając jej z błędu. Ta drobna uprzejmość u człowieka tak twardego, tak bezwzględnego i w podobnej chwili wpłynęła na zmianę sądu pani Séchard o Petit-Claudzie.

— Prowadzę panią — rzekł — dalszą drogą, ale za to nikogo nie spotkamy.

— Tak, pierwszy raz nie mam prawa pokazywać się z podniesioną głową! Twardo mi to dano odczuć wczoraj...

— To był pierwszy i ostatni raz.

— Och, to pewne, że nie zostanę w tym mieście...

— Gdyby mąż pani zgodził się na propozycje na wpół już ułożone między Cointetami a mną — rzekł Petit-Claud, zbliżając się z Ewą do bram więzienia — zechce mnie pani zawiadomić, przyszedłbym natychmiast z upoważnieniem Cachana, na mocy którego Dawid mógłby wyjść i prawdopodobnie nie wróciłby już do więzienia...

Te słowa, powiedziane w obliczu kaźni, były tym, co Włosi nazywają *combinazione*. U nich słowo to wyraża trudny do określenia postęp, w którym spotyka się trochę perfidii zmieszanej z legalnością, zręczność dozwolonego podejścia, wółlegalne i dobrze przygotowane szalbierstwo. Według nich noc św. Bartłomieja to była *combinazione* polityczna.

Dla przyczyn wyłuszczonej wyżej uwięzienie za długi jest wydarzeniem sądowym na prowincji tak rzadkim, że w przeważnej ilości miast nie istnieje dom karny dla tego celu. W takim razie wtrąca się dłużnika do tego więzienia, w którym zamyka się aresztowanych, uwięzionych, oskarżonych i skazanych. Takie są poszczególne nazwy, jakie w obliczu prawa kolejno przybierają ci, których lud nazywa pospolicie zbrodniarzami. Dawida umieszczono tedy tymczasowo w jednej z izdebek angulemskiego więzienia, którą może świeżo opuścił jakiś skazaniec, odsiedziawszy swą karę. Wtrącony do aresztu, z przyznaną przez prawo sumą na miesięczny koszt wyżywienia, Dawid znalazł się w obliczu grubego jegomości, który dla tych nieszczęśników staje się potęgą większą niż król: dozorca więzienny! Na prowincji nie istnieje typ dozorczy chudego. Przede wszystkim, to miejsce jest niemal synekurą<sup>978</sup>; następnie, dozorca jest niby oberżysta niepłacący czynszu za lokal: żywi się bardzo dobrze, żywiąc bardzo lichy więźniów, których lokuje, tak samo jak oberżysta, wedle ich środków. Znał Dawida z nazwiska, przez ojca zwłaszcza, toteż miał na tyle zaufania, aby go dobrze umieścić na jedną noc, mimo że drukarz był bez grosza.

Więzienie w Angoulême datuje się z bardzo dawnych czasów i nie więcej doznało zmian niż katedra. Furta jego jest klasyczna: brama nabijana gwoździami, mocna, zużyta, niska, o budowie tym bardziej cyklopiej, ile że ma jakby jedyne oko na czole w otworku zwanym „judaszem”, przez który odzwierny ogląda przybysza, nim otworzy. Na parterze wzdłuż fasady biegnie korytarz; na ten korytarz wychodzą liczne cele, których okna, wysokie i opatrzone koszykami, otrzymują mdłe światło z podwórza. Dozorca zajmuje mieszkanie oddzielone od tych cel sklepioną sienią, która przegradza parter na dwie części; na końcu tej sieni znajduje się krata zamykająca wyjście na dziedziniec. Dozorca zaprowadził Dawida do pokoiku w pobliżu sieni, tuż prawie koło swego mieszkania. Stary wyga pragnął zatrzymać w sąsiedztwie swoim człowieka, który, zważywszy jego wyjątkową pozycję, mógł mu służyć za towarzystwo.

— To najlepszy pokój — rzekł, widząc, iż Dawid zdumiał się na widok lokalu.

Mury były z kamienia, dość wilgotne. Okna, bardzo wysoko umieszczone, miały kraty żelazne. Kamienna posadzka wiała lodowatym chłodem. Słyszało się regularny krok strażnika, przechadzającego się w korytarzu. Ten szmer, monotony jak przyływ morza, nasuwa bez ustanku tę myśl: „Pilnuj cię! Nie jesteś wolny!” Wszystkie te szczegóły, ten całokształt wrażeń mają niezmierny wpływ na duchowy stan uczciwych ludzi. Łóżko, które wskazano Dawidowi, było ohydne; ale uwięzieni przechodzą tak gwałtowny wstrząs pierwszej nocy, że dopiero na drugi dzień uświadamiają sobie twardość legowiska. Dozorca starał się być miły i oczywiście zaproponował więźniowi, aby się przechadzał aż do zmroku. Cierpienie Dawida zaczęło się dopiero z chwilą ułożenia na spoczynek. Regulamin bronił więźniom światła, trzeba było pozwolenia samego prokuratora, aby uwięzionego za długi zwolnić z przepisów, które niewątpliwie miały na uwadze jedynie

<sup>978</sup>synekura (z łac. *sine cura*: bez troski, bez starania) — dobrze płatne stanowisko niewymagające żadnej pracy. [przypis edytorski]

Więzienie

Więzienie



ludzi będących w zatargu ze sprawiedliwością. Dozorca ofiarował Dawidowi gościnność u siebie, ale wreszcie, w godzinie spoczynku, trzeba było więźnia zamknąć. Biedny wynalazca poznał wówczas ohydę więzienia i grubość jego obyczajów, która go przejęła odrazą. Ale, mocą reakcji właściwej myślicielom, zizolował się w tej samotności, ocalił się z niej, utonawszy w owym marzeniu, jakie poeci zdolni są snuć na jawie. Nieszczęśliwy zaczął wreszcie ogarniać myślą swoje sprawy. Więzienie popycha do rachunku sumienia. Dawid spytał sam siebie, czy spełniał obowiązki głowy rodziny. Jakaż musiała być rozpacz jego żony! Czemu, jak mówiła Maryna, nie postarał się najpierw zarobić dosyć pieniędzy, aby móc później oddać się do woli wynalazkom?

„Jak zostać w Angoulême — pomyślał — po takim skandalu? Skoro wyjdę z więzienia, co się z nami stanie? Gdzie się podziac?”

Przyszły mu wątpliwości co do odkrytej przez siebie metody. Była to chwila lęku, jaką zdolni są zrozumieć tylko wynalazcy! Z jednej wątpliwości w drugą, Dawid zaczął widzieć jasno swą sytuację i sam powiedział sobie to, co Cointetowie mówili staremu Séchardowi i co Petit-Claud przed chwilą mówił Ewie:

„Przypuściwszy, że wszystko pójdzie dobrze, cóż będzie przy wprowadzaniu w praktykę? Trzeba uzyskać patent, skąd wziąć na to pieniędzy?... Trzeba mi fabryki, gdzie bym mógł przeprowadzić badania na szerszą skalę, to znaczy wydać swoją tajemnicę!... Och! Jakaż Petit-Claud miał słuszność!”

Z najciemniejszego więzienia tryska nieraz najżywsze światło.

„Ba — rzekł Dawid, zasypiając na tapczanie, na który rzucono ohydny materac kryty brązowym, bardzo grubym sukniem — Petit-Claud zajdzie tu z pewnością jutro rano”.

Dawid był tedy sam z siebie bardzo dobrze przygotowany, aby wysłuchać propozycji, jakie mu żona przynosiła z obozu wrogów. Skoro Ewa uściskała męża i siadła w nogach łóżka (był tam tylko jeden najpospolitszy drewniany stół), spojrzenie jej padło na ohydny kubek w kącie i na mury upstrzone nazwiskami i napisami poprzedników Dawida. Wówczas z oczu jej, zaczerwienionych od płaczu, zaczęły na nowo cieknąć łzy. Znalazła jeszcze łzy, po wszystkich, które wylała, na widok męża w roli zbrodniarza!

— Oto więc dokąd może zawieść żądza sławy! — wykrzyknęła. — O mój aniele, porzuć tę drogę!... Idźmy razem ubitą ścieżką, nie szukajmy nagłej fortuny... Tak mało mi trzeba, aby być szczęśliwą, zwłaszcza po tym, co wycierpiałam!... I gdybyś wiedział!... To hańbiące więzienie nie jest naszym największym nieszczęściem!... Patrz!...

Podala list Lucjana, który Dawid skwapliwie przeczytał; aby go pocieszyć, przytoczyła okrutny sąd adwokata o Lucjanie.

— Jeśli Lucjan się zabił, to już się stało — rzekł Dawid — jeśli zaś nie stało się w tej chwili, nie zabije się już: nie potrafi, jak sam mówi, mieć woli dłużej niż jeden ranek...

— Ale jak żyć w tej obawie?... — wykrzyknęła siostra, która przebaczyła bratu prawie wszystko na myśl o jego śmierci.

Powtórzyła mężowi propozycje, które Petit-Claud rzekomo uzyskał u Cointetów i które Dawid natychmiast przyjął z prawdziwym zadowoleniem.

— Będziemy mieli z czego żyć w wiosce koło Houmeau, gdzie znajduje się fabryka Cointetów, a nie chcę już nic prócz spokoju! — zawołał wynalazca. — Jeśli Lucjan ukarał się śmiercią, będziemy mieli dosyć, aby czekać fortuny po ojcu, jeśli zaś żyje jeszcze, biedny chłopiec potrafi się zastosować do naszych skromnych środków... Cointetowie zrobią z pewnością majątek na tym odkryciu; ale, ostatecznie, czymże jestem wobec kraju? Człowiekiem. Jeśli mój sekret wyjdzie na dobre ogółowi, będę zadowolony! Ot, droga Ewo, ani ty, ani ja nie jesteśmy stworzeni na handlarzy. Nie mamy ani namiętności zysku, ani tej twardości w wypuszczaniu z mieszka pieniędzy, nawet najprawowiczej należnych, a to są, jak się zdaje, główne cnoty przemysłowca; te dwie odmiany sknerstwa nazywają ludzie przezornością i talentem do interesów!

Uszczęśliwiona z tej zgodności zapatrywań, jednego z najśłodszych kwiatów miłości, interesy bowiem poglądy mogą się nie zgadzać u dwojga nawet się kochających się istot, Ewa poprosiła dozorcę, aby posłał od niej do Petit-Clauda słówko, w którym żądała uwolnienia Dawida, oznajmiając wzajem zgodę na zamierzony układ. W dziesięć minut Petit-Claud zjawił się w ohydnej izbie i rzekł:

— Niech pani wróci do domu, przyjdziemy niebawem... No i cóż, drogi przyjacielu — rzekł Petit-Claud do Dawida — dałeś się więc chwycić! Jak mogłeś popełnić ten błąd, aby wyjść z kryjówki?

— Ba! Jakże nie miałem wyjść? Oto co Lucjan pisał.

Dawid oddał Petit-Claudowi list Cérizeta; adwokat wziął go, przeczytał, obejrzał, obmacał i zaczął rozmawiać o interesach, mnąc list jakby przez roztargnienie i chowając go do kieszeni. Następnie adwokat wziął Dawida pod rękę i wyszedł z nim w czasie bowiem tej rozmowy przyniesiono dozorcę nakaz zwolnienia, wystawiony przez komornika.

Znalazszy się w domu, Dawid miał uczucie, że jest w niebie; płakał jak dziecko, ściskając Lucusia i widząc się w swej sypialni po dwudziestu dniach uwięzienia, którego ostatnie godziny były, w duchu pojęć prowincji, hańbiące. Kolb i Maryna zjawili się z powrotem. Maryna dowiedziała się w Houmeau, że widziano Lucjana idącego drogą do Paryża, za Marsac. Strój dandysa zwrócił uwagę wieśniaków śpieszących z żywnością na targ. Puściwszy się konno gościńcem, Kolb dowiedział się wreszcie w Mansle, że Lucjan (którego poznał pan Marron) przejechał tamtędy w kolasce pocztowej.

— Cóż wam mówiłem? — wykrzyknął Petit-Claud. — To nie poeta, ten chłopak to chodzący romans.

— Pocztowej! — rzekła Ewa. — Gdzież on znów mógł jechać?

— Teraz — rzekł Petit-Claud do Dawida — chodźmy do Cointetów, oczekują cię.

— Ach, panie — wykrzyknęła piękna pani Séchard — proszę, broń pan dobrze naszych interesów, masz całą naszą przyszłość w rękach.

— Czy chce pani — rzekł Petit-Claud — aby konferencja odbyła się u państwa? Zatem zostawiam pani Dawida. Ci panowie przybędą tu dziś wieczór, przekonacie się, czy umiem bronić waszych interesów.

— Och, bardzo będę panu wdzięczna! — rzekła Ewa.

— A zatem — rzekł Petit-Claud — dziś wieczór, tutaj, koło siódmej.

— Dziękuję — rzekła Ewa ze spojrzeniem i akcentem, które dowiodły Petit-Claudowi, jakie postępy czynił w zaufaniu klientki.

— Nie lękajcie się o nic! Widzicie, miałem słuszość — dodał. — Brat pani jest o trzydzieści mil od samobójstwa. Wreszcie może dziś wieczór będziecie mieli mająteczek. Zjawia się poważny nabywca na drukarnię.

— Jeżeli tak — rzekła Ewa — czemuż nie zaczekać, nim zwiążemy się z Cointetami?

— Zapomina pani — rzekł Petit-Claud, który spostrzegł niebezpieczeństwo płynące z jego postępowania — że będziecie państwo mogli sprzedać drukarnię dopiero, spłaciwszy pana Métiviera, ponieważ cały inwentarz jest dotąd zajęty.

Wróciwszy do domu, Petit-Claud posłał po Cérizeta. Kiedy korektor zjawił się w gabinecie, pociągnął go do okna.

— Będziesz jutro wieczór właścicielem drukarni Sécharda, a jest wszelka nadzieja, iż uzyskamy przełanie koncesji — rzekł mu do ucha — ale, jak sądzę, nie masz ochoty skończyć na galerach?

— He? Co? Czemu na galerach?

— List do Dawida jest podrobiony i ja go mam... gdyby wzięto na spytki Henrykę, cóż by powiedziała?... Nie chcę cię zgubić — dodał natychmiast Petit-Claud, widząc, że Cérizet blednie.

— Czy pan jeszcze ma jakie żądanie? — zawołał paryżanin.

— Otóż to, czego spodziewałem się po tobie — odparł Petit-Claud. — Słuchaj uważnie! Będziesz tedy za dwa miesiące drukarzem... ale będziesz wisiał z ceną kupna i nie wypłacisz się ani za dziesięć lat!... Będziesz pracował długo na kapitalistów i co więcej, będziesz musiał grać rolę parawana dla liberalów... Ja mam spisywać twój akt cichej spółki z panem Gannerakiem; ułożę go w taki sposób, abyś mógł kiedyś posiąść tę drukarnię na własność... Ale jeżeli założą dziennik, jeżeli ty będziesz redaktorem odpowiedzialnym, jeżeli ja będę tu podprokuratorem, porozumiesz się z Wielkim Cointetem, aby umieścić w swoim piśmie artykuły, które spowodują proces i jego zawieszenie... Cointetowie zapłacą ci sownie tę małą przysługę... Wiem, będziesz skazany, poznasz się z więziennym wiktem, ale w zamian będziesz uchodził za człowieka ważnego, prześladowanego. Staniesz się w partii liberalnej figurą w rodzaju sierżanta Merciera, Pawłem Ludwikiem Courie-

rem, Manuelem<sup>979</sup> na małą stopę. Nie dopuszczę do tego, aby ci odebrano koncesję. Wreszcie, w dniu kiedy dziennik będzie zawieszony, spalę ten list w twojej obecności... Kariera nie będzie cię kosztowała zbyt drogo...

Ludzie niewykształceni mają bardzo mętne pojęcie o prawnych rozróżnieniach fałszerstwa; toteż Cérizet, któremu już majaczyły kraty więzienne, odetchnął.

— Zostanę do lat trzech prokuratorem w Angoulême, możesz mnie potrzebować, pamiętaj o tym!

— Zrozumiano — rzekł Cérizet. — Ale pan mnie nie zna: spal pan ten list tu, wobec mnie — dodał — i polegaj pan na mej wdzięczności.

Petit-Claud popatrzał na Cérizeta. Był to jeden z tych pojedyneków na oczy, gdzie spojrzenie tego, co bada, jest niby skalpel, który stara się wniknąć w duszę, badany zaś usiłuje spojrzeniem swoim wyrazić wszystkie jej zalety.

Petit-Claud nie odpowiedział nic; zapalił świecę i spalił list, mówiąc sobie: „Ba, mam go i tak w ręku!”

— Ma pan we mnie człowieka oddanego na śmierć i życie — rzekł korektor.

Dawid oczekiwał z nieokreślonym niepokojem konferencji; zaprzętała go nie dyskusja o interesach ani też akt, który miano sporządzić, ale mniemanie, jakie fabrykanci powezmą o jego odkryciach. Znajdował się w położeniu autora dramatycznego wobec sędziów. Ambicja wynalazcy i jego obawy w chwili dojścia do celu tłumili wszelkie inne uczucia. Wreszcie, koło siódmej, w chwili gdy hrabina du Châtelet kładła się do łóżka pod pozorem migreny i zostawiała mężowi sprawowanie honorów obiadu, tak była zmartwiona sprzecznymi nowinami obiegającymi o Lucjanie, bracia Cointetowie, Wielki i Gruby, wchodzili z Petit-Claudem do domu współzawodnika, który wydawał się im w ręce związany jak baran. Najpierw wyłoniła się trudność: w jaki sposób zawierać akt spółki, nie znając metod Dawida? Skoro by zaś Dawid raz zdradził swe metody, znajdowałby się na łasce Cointetów. Petit-Claud uzyskał to, iż akt miano sporządzić pierwiej. Wielki Cointet poprosił Dawida, aby mu pokazał niektóre swoje wytwory, wynalazca zaś przedstawił ostatnie arkusze, jakie sporządził, gwarantując cenę produkcji.

— Otóż i mamy — rzekł Petit-Claud. — Zatem byłaby podstawa aktu; możecie panowie zawrzeć spółkę na tych danych, wprowadzając klauzulę rozwiązania, w razie gdyby warunki patentu nie ziściły się w fabrycznym wykonaniu.

— Inna rzecz, drogi panie — rzekł Wielki Cointet do Dawida — inna rzecz wytwarzać na drobną skalę, w pracowni, w małej formie, próbki papieru, a co innego puścić się na fabrykację na wielką stopę, Niech pan osądzi z jednego faktu! Wyrabiamy papiery kolorowe, kupujemy, dla barwienia ich, materiały do farb zupełnie identyczne. Tak na przykład bierzemy indygo, którym barwimy na niebiesko nasz papier Coquille — z jednej skrzyni, z tej samej fabrykacji. Otóż mimo to nigdy nie mogliśmy otrzymać dwóch rozczyńców o zupełnie jednakim odcieniu... W procesach przygotowania materiału zachodzą fenomeny, których nie możemy pochwycić. Ilość, jakość masy zmienia natychmiast wszelkie kwestie. Kiedy pan masz w kociołku cząstkę ingrediencji<sup>980</sup> (których wskazania nie żądam), jesteś ich panem, możesz oddziaływać na wszystkie części jednorodnie, spajając je, przerabiając, miesiąc, ugniatając do woli, nadawać jednostajną spoistość... Ale kto panu ręczy, że w masie na pięćset ryz rzecz odbędzie się tak samo i że pańskie sposoby okażą się skuteczne?...

Dawid, Ewa i Petit-Claud spojrzeli po sobie, wyrażając oczami wiele rzeczy.

— Weź pan przykład, który przedstawia niejaką analogię — rzekł Wielki Cointet po pauzie. — Zbierasz pan dwie wiązki siana z łąki i trzymasz je dobrze, mocno związane w pokoju, nie pozwoliwszy sianu się zagrzać, jak mówią chłopi; fermentacja nastąpi, ale nie spowoduje wypadku. Oprze się pan na tym, aby ścisnąć dwa tysiące wiązek w drewnianym spichrzu?... Wiesz dobrze, że siano zajęłoby się i spichrz spłonąłby jak zapalka. Jest pan

<sup>979</sup>sierżant Mercier, Paweł Ludwik Courier, Manuel — sierżant Mercier: popularny wśród ówczesnej opozycji dowódca oddziału Gwardii Narodowej, który 4 marca 1823 odmówił wykonania rozkazu usunięcia z sali obrad Izby Deputowanych posła Manuela, wykluczonego przez rojalistyczną większość za ostrą krytykę rządu, planującego interwencję wojskową w Hiszpanii; Paul Louis Courier (1772–1825): francuski hellenista i publicysta liberalny; jeden z najbardziej zaciekle krytyków rządów Restauracji, atakował je w szeregu listów i pamfletów; Jacques Antoine Manuel (1775–1827): polityk liberalny, poseł opozycji w okresie Restauracji. [przypis edytorski]

<sup>980</sup>ingredienca — składnik. [przypis edytorski]

człowiekiem uczonym — rzekł Cointet — sam wyciągnij wnioski... W tej chwili skosił pan dwie wiązki siana, my zaś lękamy się zapuścić ogień w papierni, gromadząc ich dwa tysiące. Mówiąc inaczej, możemy stracić mnóstwo czasu i materiału na próby, ponieść straty i znaleźć się z próżnymi rękami, wyrzuciwszy wiele pieniędzy.

Dawid był zmiądzłony. Praktyka przemawiała swym pozytywnym językiem do teorii, której słowo należy zawsze do przyszłości.

— Do diaska, jeśli ja podpiszę podobną spółkę! — wykrzyknął brutalnie Gruby Cointet. — Trać swoje pieniądze, jeśli chcesz, Bonifacy; ja tam ani myślę! Ofiaruję się zapłacić długi pana Sécharda i dodać sześć tysięcy... I to jeszcze trzy tysiące w akceptach — rzekł, poprawiając się — na dwanaście i piętnaście miesięcy... I tak już dosyć ryzyka. Trzeba nam będzie przejąć dwanaście tysięcy na konto Métiviera. To razem piętnaście tysięcy franków!... Ale tę sumę zapłaciłbym po prostu za sekret, aby go eksploatować zupełnie na własną rękę. Ech, więc to jest ten nadzwyczajny interes, o którym mi mówiłeś, Bonifacy?... Ślicznie ci dziękuję, miałem cię za mądrzejszego. Nie, z takimi interesami lepiej do mnie nie przychodź...

— Kwestia, dla panów — rzekł Petit-Claud, nie przerażając się tym wybuchem — sprowadza się do tego: czy chcecie ryzykować dwadzieścia tysięcy franków, aby nabyć sekret, który może was wzbogacić? Ależ, panowie, ryzyko jest zawsze w stosunku do korzyści... Jest to stawka dwudziestu tysięcy franków za szansę całej fortuny. Gracz stawia w rulecie ludwika, aby zdobyć trzydzieści sześć, ale wie, że jego ludwik idzie na stracenie. Uczynicie tak samo.

— Trzeba się zastanowić — rzekł Gruby Cointet — ja nie jestem taka głowa jak mój brat. Jestem sobie skromny, poczciwy człowiek, który umie tylko jedno: drukować po dwadzieścia su „Parafianina” i sprzedawać go po czterdzieści. Wynalazek, który dopiero jest w fazie doświadczeń, przedstawia mi się jako źródło ruiny. Uda się pierwsza próba, nie uda druga, próbuje się dalej, człowiek się wciąga, a kiedy raz włoży bodaj palec w tryby, wnet porwą go całego...

Opowiedział historię przemysłowca z Bordeaux, który się zrujnował tym, iż chciał gospodarować na Landach<sup>981</sup>, zaufawszy uczonemu; znalazł sześć podobnych przykładów w okolicy, w przemyśle i rolnictwie; uniósł się, nie chciał niczego słuchać, przedstawienia Petit-Clauda wzmagaly jego irytację, zamiast ją uspokoić.

— Wolę raczej kupić za wyższą sumę coś pewniejszego niż to odkrycie, choćby zadowolając się małym zyskiem — rzekł, patrząc na brata. — Wedle mnie, rzecz bynajmniej nie jest dojrzała do interesu — wykrzyknął na zakończenie.

— Ostatecznie, przyszlście tu panowie w jakimś celu? — rzekł Petit-Claud. — Cóż ofiarujecie?

— Uwolnić pana Sécharda i zapewnić mu, w razie powodzenia, trzydzieści procent w zyskach — odparł żywo Gruby Cointet.

— Ależ, panie — rzekła Ewa — z czegoż będziemy żyli przez cały czas doświadczeń? Mąż poniósł już wstyd aresztowania, może wrócić do więzienia, nie przybędzie mu przez to ani nie ubędzie, a jakoś wreszcie spłacimy nasze długi.

Petit-Claud położył palec na ustach, spoglądając na Ewę.

— Nie jesteście panowie rozsądni — rzekł do braci. — Widzieliście papier; stary Séchard powiedział wam, że syn jego, zamknięty przezeń, wytworzył w ciągu jednej nocy, za pomocą materiałów niewątpliwie niekosztownych, doskonały papier... Jesteście tu, aby dojść do porozumienia. Chcecie nabyć, czy nie chcecie?

— Ot — rzekł Wielki Cointet — czy brat chce, czy nie chce, ja ryzykuję na własną rękę spłatę długów pana Sécharda, daję sześć tysięcy franków gotówką i pan Séchard będzie miał trzydzieści od sta w zyskach; ale słuchajcie dobrze: jeżeli w ciągu roku nie urzeczywistni warunków, jakie sam postawi w akcie, odda nam sześć tysięcy, prawo zaś wynalazku zostanie przy nas, będziemy sobie radzili, jak się nam uda.

— Czy jesteś pewny siebie? — rzekł Petit-Claud, biorąc Dawida na stronę.

— Tak — rzekł Dawid, który złapał się na taktykę dwóch braci i drżał, aby Gruby Cointet nie zerwał konferencji, od której zależała jego przyszłość.

<sup>981</sup>Landy — francuski departament położony na pld.-zach. krańcu kraju; do poł. XIX w. większość jego terenów pokryta była słabo osuszonymi wrzosowiskami (fr. *lande*), stąd nazwa. [przypis edytorski]

— Dobrze więc, zatem ułożę akt — rzekł Petit-Claud do Cointetów i do Ewy — każda ze stron otrzyma kopię dziś wieczór; rozmyślicie to sobie przez jutrzejsze rano, następnie jutro po południu, o czwartej, po rozprawie, podpiszecie. Panowie umorzycie pretensje Métivieira. Ja wystosuję pismo do sądu, aby wstrzymano proces, i podpiszemy wzajem akty zrzeczenia.

Oto jak brzmiały w akcie zobowiązania Sécharda:

Między podpisanymi *etc.*

Na podstawie twierdzenia pana Dawida Sécharda-syna, drukarza w Angoulême, iż znalazł sposób jednostajnego gumowania papieru w kadzi, jak również sposób obniżenia ceny fabrykacji wszelkiego papieru o więcej niż pięćdziesiąt od sta przez wprowadzenie do miazgi materii roślinnych, bądź to mieszając je do szmat używanych obecnie, bądź też bez domieszki szmat, zawiera się, dla eksploatacji patentu, który ma być uzyskany na te metody, spółka między panem Dawidem Séchardem-synem a pp. braćmi Cointetami o następujących punktach i klauzulach.

Jeden z paragrafów aktu odzierał zupełnie Dawida Sécharda z jego praw, w razie gdyby nie dopełnił przyrzeczeń wyrażonych w tym piśmie, starannie ułożonym przez Wielkiego Cointeta a przyjętym przez Dawida.

Przynosząc ten akt nazajutrz o wpół do ósmej rano, Petit-Claud oznajmił Dawidowi i jego żonie, że Cérizet ofiaruje dwadzieścia dwa tysiące gotówką za drukarnię. Akt sprzedaży można podpisać jeszcze wieczorem.

— Ale — rzekł — gdyby Cointetowie dowiedzieli się o tej sprzedaży, gotowi by nie podpisać naszego aktu, dręczyć nas, wystawić na licytację...

— Czy pan jest pewien płatności? — rzekła Ewa, zdziwiona, iż dochodzi do skutku transakcja, o której zwątpiła i która trzy miesiące wcześniej byłaby ocaliła wszystko.

— Mam pieniądze u siebie — odparł wręcz.

— Ależ to czary — rzekł Dawid, pytając Petit-Clauda o wytłumaczenie tego szczęścia.

— Nie, to bardzo proste: kupcy z Houmeau chcą założyć dziennik — odparł Petit-Claud.

— Ależ ja zrzekłem się prawa do tego — wykrzyknął Dawid.

— Ty... ale nie twój następcą... Zresztą — dodał — nie troszcz się o nic, sprzedaj, zgarnij należność i zostaw to Cérizetowi; da sobie radę.

— Och, tak! — rzekła Ewa.

— Jeżeli pan zrzekł się prawa wydawania dziennika w Angoulême — dodał Petit-Claud — kapitaliści stojący za Cérizetem przeniosą go do Houmeau.

Ewa, olśniona perspektywą posiadania trzydziestu tysięcy franków, wydobyć się z kłopotów, patrzyła już na akt spółki jako na rzecz podrzędną. Tak więc Dawid i Ewa ustąpili co do punktu, który dał pozór do ostatniej dyskusji. Wielki Cointet żądał, aby patent był na jego nazwisko. Udało mu się wytłumaczyć, że z chwilą gdy prawa i korzyści Dawida będą w akcie zupełnie jasno określone, obojętne jest, na czyje imię będzie wystawiony sam patent. Wreszcie brat jego dodał:

— On daje pieniądze na patent, on wyklada na koszty podróży (znowuż dwa tysiące franków!) niechże go weźmie na swoje imię albo dajmy wszystkiemu spokój.

Drapieżca triumfował na wszystkich punktach. Akt spółki podpisano około wpół do piątej. Wielki Cointet ofiarował dwornie pani Séchard sześć tuzinów srebrnych nakryć i piękny szal, aby zechciała zapomnieć o żywej dyskusji, jak mówił. Ledwie wymieniono odpisy, ledwie Cachan zdążył oddać Petit-Claudowi akta procesu, jak również trzy straszliwe weksle Lucjana, zabrzmiał na schodach głos Kolba, następujący tuż po ogłuszającym hałasie wózka pocztowego, który zatrzymał się przed bramą.

— Bani, bani, biednażdzie dyżędzy wrangóf — krzyczał — bieżłane z Boadiers, w brafcifym biniącu, ot bana Ludzjana!

— Piętnaście tysięcy franków! — wykrzyknęła Ewa, podnosząc ręce.

— Tak, pani — rzekł urzędnik, wchodząc do pokoju — piętnaście tysięcy franków przywiezionych przez dyliżans idący do Bordeaux, konie miały co ciągnąć, tak! Mam na

dole dwóch ludzi, którzy wnoszą worki. Nadawcą jest pan Lucjan Chardon de Rubem-pré... Mam prócz tego dla pani mały skórzany woreczek, w którym znajduje się pięćset franków w złocie i prawdopodobnie list.

Ewie zdawało się, że śni, gdy czytała następujący list:

Droga siostrze, oto piętnaście tysięcy franków.  
Zamiast się zabić — sprzedałem swoje życie. Nie należę już do siebie:  
jestem więcej niż sekretarzem hiszpańskiego dyplomaty, jestem jego rzeczą.  
Rozpaczam na nowo straszliwą egzystencję. Może lepiej byłoby się utopić.  
Bywajcie zdrowi! Dawid będzie wolny, za cztery tysiące franków będzie  
mógł z pewnością kupić małą papiernię i dojść do fortuny.  
Nie myślcie już, proszę Was, o Waszym biednym bracie,

*Lucjanie*

— Powiedziane jest — wykrzyknęła pani Chardon, która weszła, na widok wnoszonych worków — że mój biedny syn, jak sam pisał, będzie wam zawsze przynosił nieszczęście, nawet czyniąc dobrze.

— Aleśmy uniknęli ładnego niebezpieczeństwa! — wykrzyknął Cointet, znalazłszy się na placu. — W godzinę później błyski tego złota byłyby oświeciły akt i Dawidek byłby się wystraszył. Za trzy miesiące, jak nam przyrzekł, będziemy wiedzieli, czego się trzymać.

Wieczorem o siódmej Cérizet kupił drukarnię i zapłacił ją, przejmując ciężar czynszu za ostatni kwartał. Nazajutrz Ewa wręczyła czterdzieści tysięcy franków generalnemu poborcy, aby kupił na imię Dawida dwa tysiące pięćset franków renty państwowej<sup>982</sup>. Następnie napisała do teścia, aby jej znalazł w Marsac małą posiadłość wartości dziesięć tysięcy franków, gdzie by mogła umieścić swą osobistą fortunę.

Plan Wielkiego Cointeta był straszliwie prosty. Na pierwszy rzut oka gumowanie w kadzi zdało mu się niepodobieństwem. Dodatek mało kosztownych materii roślinnych do miazgi ze szmat wydał mu się jedyną prawdziwą drogą do fortuny. Postanowił sobie tedy traktować jako bagatelę tanią masę, przykładać zaś ogromną wagę do gumowania w kadzi. Oto czemu. Fabryki angulemskie produkowały wówczas prawie wyłącznie gatunki papierów do pisania, zwanych: Ecu, Poulet, Ecolier, Coquille, które z konieczności są gumowane. Była to przez długi czas chwała miejscowego papiernictwa. Zatem specjalność ta, zmonopolizowana od wielu lat przez wytwórców angulemskich, usprawiedliwiała na pozór wymagania Cointeta; papier gumowany, jak się okaże, nie wchodził w zupełności w jego spekulację. Produkcja papieru do pisania jest niezmiernie ograniczona, gdy wytwarzanie papieru drukarskiego niegumowanego jest niemal bez granic. W czasie podróży, jaką podjął do Paryża, aby wziąć patent na swoje imię, Cointet zakręcał się koło spraw, które mogły rozstrzygnąć o wielkich zmianach w sposobie fabrykacji. Zajechawszy de Métiviera, Cointet dał mu instrukcje, aby w ciągu roku wydrzeć dostawę dla dzienników papiernikom, którzy mieli ją dotąd, zniżając ceny za ryzę do normy, do której żadna fabryka nie mogła się posunąć, i przyrzekając każdemu dziennikowi białosć i inne przymioty wyższe od najpiękniejszych rodzajów używanych dotąd. Ponieważ umowy dzienników mają swoje terminy, trzeba było dość długich sekretnych konszachtów z wydawcami, aby dojść do zrealizowania tego monopolu; ale Cointet obliczył, iż będzie miał czas pozbyć się Sécharda, gdy Métivier będzie przeprowadzał układy z głównymi dziennikami paryskimi, których zapotrzebowanie dochodziło wówczas dwustu ryz dziennie. Cointet zainteresował oczywiście Métiviera w odpowiedniej proporcji w tych dostawach, aby mieć zręcznego reprezentanta na rynku paryskim i nie tracić czasu na podróże. Fortuna Métiviera, jedna z najznaczniejszych w papiernictwie, datuje się od tego interesu. Przez dziesięć lat miał on, bez obawy konkurencji, dostawę dzienników w Paryżu. Spokojny co do przyszłego zbytu, Wielki Cointet wrócił do Angoulême dość wcześnie, aby być obecnym na ślubie Petit-Clauda, który sprzedał kancelarię i czekał nominacji swego następcy, aby zająć miejsce pana Miauda, przyrzeczone protegowanemu hrabiny du Châtelet. Drugi prokurator w Angoulême został pierwszym w Limoges, minister zaś obsadził jednym ze swych beniaminków trybunał w Angoulême, gdzie miejsce pierwszego

<sup>982</sup>renta państwowa — tu: roczne odsetki od zakupionych obligacji państwowych. [przypis edytorski]

podprokuratora wakowało przez dwa miesiące. Ten przeciąg czasu był miodowym miesiącem Petit-Clauda. W nieobecności Wielkiego Cointeta Dawid dokonał zrazu wytworu pierwszej partii bez gumy, która dała papier gazetowy o wiele wyższy niż ten, którego dzienniki używały dotąd. Następną próbą dała wspaniały papier welinowy<sup>983</sup>, przeznaczony na ozdobne druki; drukarnia Cointetów posłużyła się nim na wydanie „Parafianina”. Materiał przygotował w sekrecie sam Dawid, nie chciał bowiem mieć przy sobie nikogo prócz Kolba i Maryny.

Za powrotem Wielkiego Cointeta wszystko zmieniło postać: obejrzał próbki uzyskanego papieru i wydał się bardzo średnio zadowolony.

— Mój drogi przyjacielu — rzekł do Dawida — przemysł Angoulême to gładki cienki papier, tak zwany Coquille. Chodzi przede wszystkim o to, aby uzyskać możliwie piękny papier Coquille o pięćdziesiąt procent tańszy od dzisiejszego.

Dawid próbował wytworzyć partię miazgi gumowanej na papier Coquille i uzyskał papier szorstki jak szcztoka, w którym klej zbijał się w grudki. W dniu, w którym doświadczenie było ukończone, Dawid dostał do rąk pierwszy arkusz, schronił się w kącie, aby w samotności przelknąć swą zgryzotę; ale Wielki Cointet odnalazł go, rozwinął nadzwyczajną uprzejmość, pocieszał współnika.

— Nie zrażaj się pan — rzekł Cointet — tylko śmiało naprzód! Ja jestem dobry chłop, ja rozumiem pana i gotów jestem wytrwać do końca!...

— Doprawdy — rzekł Dawid do żony, wróciwszy do domu na obiad — mamy do czynienia z zacnymi ludźmi; nigdy nie byłbym posądził Wielkiego Cointeta o tyle szlachetności!

I opowiedział rozmowę z przewrotnym współnikiem.

Trzy miesiące upłynęły na doświadczeniach. Dawid sypiał w piapierni, śledził rezultaty rozmaitych kombinacji. To przypisywał niepowodzenie mieszaniu szmat z roślinnym materiałem i sporządzał partię złożoną wyłącznie z własnych ingrediencji. To próbował gumować miazgę uzyskaną wyłącznie ze szmat. I ścigając swe dzieło z cudowną wytrzymałością, pod oczyma Wielkiego Cointeta, przed którym biedny człowiek przestał się mieć na baczności, doszedł, nie mieszając teraz różnorodnych surowców, do tego, iż wyczerpał serię swoich ingrediencji kombinowanych z rozmaitymi rodzajami klejów. Przez pierwszą połowę roku 1823 Dawid żył w piapierni z Kolbem, jeśli nazywa się życiem zaniedbywać wszelką troskę o swoje pożywienie, strój i osobę. Bił się tak rozpaczliwie z trudnościami, iż dla innych niż Cointetowie byłoby to zaiste szczytne widowisko, żadna bowiem myśl o zysku nie zaprzętała tego śmiałego szermierza. Była chwila, w której nie pragnął nic prócz samego zwycięstwa. Z cudowną bystrością śledził tak kapryśne wyniki substancji przemienionych ręką człowieka w przetwory odpowiednie jego potrzebom, gdzie natura jest do pewnego stopnia pokonana w swoich tajemnych wzdarganiach, i wyprawdzał stąd piękne prawa przemysłu, stwierdzając, iż nie można osiągnąć tego rodzaju kreacji inaczej, niż będąc posłusznym wewnętrznym stosunkom rzeczy, temu, co nazywał drugą naturą substancji. Wreszcie w sierpniu zdołał uzyskać papier gumowany w kadzi, zupełnie podobny temu, jaki przemysł wytwarza w tej chwili i którego używa się jako papieru korektowego w drukarniach, ale którego gatunki nie są bynajmniej jednakowe, którego gładkość nawet nie zawsze jest pewna. Rezultat ten, tak piękny w roku 1823 w stosunku do stanu piapiernictwa, kosztował dziesięć tysięcy franków. Dawid spodziewał się rozwiązać ostatnie trudności problemu. Ale wówczas rozeszły się po Angoulême i Houmeau osobliwe pogłoski: Dawid Séchard rujnuje braci Cointetów! Pochłonawszy trzydzieści tysięcy franków na doświadczenia, otrzymał wreszcie, powiadano, bardzo lichy papier. Inni fabrykanci, przerażeni, trzymali się swoich procederów; zazdrośni o Cointetów, rozszerzali pogłoski o bliskim upadku tej ambitnej firmy. Wielki Cointet tymczasem sprowadzał maszyny do wyrabiania papieru ciągłego, podtrzymując opinię, że są to maszyny potrzebne do doświadczeń Dawida. Chytry jezuita mieszał do swej miazgi ingrediencje wskazane przez Sécharda, wciąż zachęcając jego samego, aby się zajmował tylko papierem gumowanym w kadzi; sam zaś wysyłał do Métiviera tysiące ryz papieru gazetowego.

<sup>983</sup> papier welinowy — cienki, gładki papier wysokiej jakości. [przypis edytorski]

We wrześnie Wielki Cointet wziął Dawida na stronę; usłyszawszy, iż wynalazca gotuje jeszcze jedno, triumfalne doświadczenie, odradził mu dalszego prowadzenia walki.

— Drogi Dawidzie, jedź do Marsac odwiedzić żonę odpocząc po trudach; my nie chcemy się zrujnować — rzekł przyjacielsko. — To, co ty uważasz za wielki triumf, jest ledwie punktem wyjścia. Poczekamy teraz, nim się puścimy na nowe doświadczenia. Bądź sprawiedliwy! Oto rezultaty. Jesteśmy nie tylko papiernikami, ale drukarzami, finansistami; otóż ludzie szepcą sobie, że ty nas rujnujesz...

Dawid uczynił gest cudownej naiwności, aby zaręczyć za swą dobrą wiarę.

— To nie te pięćdziesiąt tysięcy wrzucone do Charenty zrujnują nas — rzekł Wielki Cointet, odpowiadając na ruch Dawida — ale nie chcemy być zmuszeni, z przyczyny oszczerstw, jakie obiegają na nasz rachunek, płacić wszystkiego gotówką; bylibyśmy zniewoleni zahamować obroty. Oto stan rzeczy przewidziany w naszej umowie, trzeba się zastanowić jednej i drugiej stronie.

„Ma słuszność!” — pomyślał Dawid, który pogrążony w doświadczeniach na wielką skalę, nie zwrócił uwagi na ruch w fabryce.

I wrócił do Marsac, gdzie od pół roku odwiedzał Ewę co sobotę wieczór i żegnał ją we wtorek rano. Za radą teścia Ewa kupiła tuż koło jego winnicy dworek zwany la Verberie, z trzema morgami ogrodu i kawałkiem winnicy wcinającym się w winnicę starego. Żyła z matką i Maryną bardzo skromnie, miała bowiem do spłacenia jeszcze pięć tysięcy z ceny kupna tej ślicznej posiadłości, najładniejszej w Marsac. Domek, z dziedzińcem i ogrodem, był z białego wapiennego kamienia, kryty łupkiem i ozdobiony rzeźbami, na które, przy tym łatwym do obrabiania kamieniu, można sobie pozwolić małym kosztem. Ładne mebelki sprowadzone z Angoulême zdawały się jeszcze ładniejsze na wsi, w okolicy, gdzie nikt nie znał wówczas zbytku. Przed fasadą, od ogrodu, znajdował się szereg drzew granatu, pomarańcz i rzadkich roślin, które poprzedni właściciel, stary generał, zmarły jako pacjent doktora Marrona, wyhodował własną ręką.

Pod te pomarańcze, w chwili gdy Dawid zabawiał się z żoną i małym Lucusem, w obecności ojca, komornik z Mansle przyniósł osobiście pozew braci Cointetów, wzywający współnika do ustanowienia polubownego sądu, przed który, wedle aktu spółki, miało się wytaczać obopólne pretensje. Bracia Cointetowie żądali zwrotu sześciu tysięcy franków i własności patentu, równie jak zrzeczenia się dalszych pretensji do eksploatacji, wszystko tytułem odszkodowania za olbrzymie wydatki poniesione bez rezultatu.

— Powiadają, że ich rujnujesz! — rzekł winiarz do syna. — Przyznam ci się, że ze wszystkiego, co zrobiłeś, to jedyna rzecz, która mnie cieszy.

Nazajutrz Ewa i Dawid znaleźli się o dziewiątej rano w gabinecie Petit-Clauda, który z urzędu stał się obrońcą wdów, opiekunem sierot i którego rady wydały im się jedynie godne zaufania.

Dygnitarz przyjął nader serdecznie dawnych klientów i nalegał koniecznie, aby państwo Séchardowie zechcieli spożyć w jego domu śniadanie.

— Cointetowie żądają od was sześciu tysięcy franków! — rzekł z uśmiechem. — Ile macie jeszcze ciężaru na waszym domku?

— Pięć tysięcy, proszę pana, ale mam na to już dwa tysiące... — odparła Ewa.

— Zachowaj pani swoje dwa tysiące — odparł Petit-Claud. — Hm, pięć tysięcy!... Trzeba by wam jeszcze dziesięć tysięcy franków, aby się dobrze zagospodarować. Otóż za dwie godziny Cointetowie przyniosą wam piętnaście tysięcy.

Ewa uczyniła gest zdziwienia.

— W zamian za zrzeczenie się wszystkich przywilejów spółki, którą rozwiązacie polubownie — rzekł urzędnik. — Czy wam to dogadza?

— I to będzie zupełnie prawnie nasze? — rzekła Ewa.

— Najzupełniej — odparł urzędnik, uśmiechając się. — Cointetowie narobili wam dosyć utrapień, chcę położyć koniec ich pretensjom. Słuchajcie, dziś jestem prokuratorem, winien wam jestem prawdę. Otóż Cointetowie wyzyskują was w tej chwili, ale jesteście w ich rękach. Moglibyście wygrać proces, jaki wam wytoczą, podejmując walkę. Chcecie po dziesięciu latach jeszcze grzęznąć w tym procesie? Będą wzywać coraz nowych ekspertów i arbitrów, będziecie zdani na los najsprzeczniejszych orzeczeń... A — dodał z uśmiechem — nie widzę adwokata, który by was mógł bronić tutaj... Mój następcą



to człowiek bez zdolności. Ot, moim zdaniem, zła ugoda jest jeszcze lepsza niż dobry proces.

— Wszelka ugoda, która zapewni nam spokój, będzie dobra — rzekł Dawid.

— Pawle — krzyknął Petit-Claud na służącego — idź poprosić pana Ségauda, mego następcę!... Podczas kiedy będziemy jedli śniadanie, on pójdzie do Cointetów — rzekł eksadwokat do swoich byłych klientów — za kilka godzin wrócicie do Marsac, zrujnowani, ale spokojni. Za tych dziesięć tysięcy franków kupicie sobie jeszcze pięćset franków renty i w swojej ładnej posesyjce będziecie żyli szczęśliwie.

Po upływie dwóch godzin, jak to Petit-Claud przepowiedział, pan Ségaud wrócił z aktami formalnie podpisanymi przez Cointetów oraz piętnastoma banknotami po tysiąc franków.

— Winni ci jesteśmy dużo! — rzekł Séchard do Petit-Clauda.

— Ależ ja was zrujnowałem — odparł Petit-Claud zdumionym eksklientom. — Zrujnowałem was, powtarzam, przekonacie się z czasem; ale ja was znam, wolicie ruinę niż majątek, który może przyszedłby za późno.

— Nie jesteśmy chciwi; dziękujemy panu, żeś nam dał środki do szczęścia — rzekła pani Ewa — może pan zawsze liczyć na naszą wdzięczność.

— Mój Boże, nie błogosławciez mnie... — rzekł Petit-Claud — przyprawiacie mnie o wyrzuty sumienia; ale sądzę, że wszystko jest dziś naprawione. Jeśli zostałem dygnitarzem, to dzięki wam, i jeśli kto powinien być wdzięczny, to ja... Bywajcie!

Z czasem Alzatczyk zmienił opinię co do starego Sécharda, który ze swej strony zaprzyjaźnił się z Alzatczykiem, znajdując go, jak sam był, zgoła nieświadomym sztuki czytania i pisania i łatwym do zalania pałki. Eksniedźwiedź uczył ekskirasjera chodzić koło wina i sprzedawać je; wychowywał go w myśli zostawienia człowieka z głową swoim dzieciom, w ostatnich dniach bowiem trapiły go wielkie i dziecinne obawy o los mienia. Zwierzał się młynarzowi Courtois.

— Zobaczysz — mówił — jak wszystko pójdzie w rękach moich dzieci, z chwilą gdy ja znajdę się w ziemi. Och, Boże! Przyszłość ich przyprawia mnie o drżenie.

W roku 1829, w marcu, stary Séchard umarł, zostawiając około dwustu tysięcy franków w gruntach, które, złączone z la Verberie, stworzyły wspaniałą posiadłość, doskonale prowadzoną od dwóch lat przez Kolba.

Prócz tego Dawid i jego żona znaleźli u ojca blisko sto tysięcy talarów w złocie. Głos publiczny, jak zawsze, powiększył skarb ojca Sécharda tak, iż w całym departamencie oceniano go na milion. Ewa i Dawid uzyskali koło trzydziestu tysięcy franków renty, łącząc do sukcesji swój mająteczek; zaczęli bowiem nieco z umieszczeniem kapitałów i mogli je ulokować w rencie po rewolucji lipcowej. Wówczas dopiero departament Charenty i Dawid Séchard dowiedzieli się, czego się trzymać co do fortuny Wielkiego Cointeta. Wielokrotny milioner, wybrany posłem, Wielki Cointet jest parem Francji i będzie, jak powiadają, w najbliższej kombinacji ministrem handlu. W roku 1842 zaślubił córkę jednego z najwplywowszych mężów stanu, pannę Popinot, córkę Anzelma Popinota, posła miasta Paryża, mera jednego z okręgów.

Odkrycie Dawida wsiątkło w przemysł francuski jak pokarm w wielkie ciało. Dzięki wprowadzeniu materiałów innych niż szmaty Francja może fabrykować papier tańszy niż którykolwiek kraj w Europie. Ale papier holenderski, wedle przewidywań Sécharda, przestał istnieć. Wcześniej lub później trzeba będzie wznieść królewską fabrykę papieru, jak stworzono Gobeliny, Sèvres, La Savonnerie i Drukarnię Królewską<sup>984</sup>, które dotychczas przetrwały ciosy, jakie im zadali mieszczańscy wandale.

Dawid Séchard, ubóstwiany przez żonę, jest ojcem dwóch synów i córki. Ma ten dobry smak, aby nigdy nie mówić o swych usiłowaniach; Ewa zaś miała ten rozsądek, iż odciągnęła go od straszliwego powołania wynalazców, tych Mojżeszów pożeranych przez krzak Horebu<sup>985</sup>. Dawid uprawia dla rozrywki literaturę, ale w istocie pędzi szczęśliwy

<sup>984</sup>*Gobeliny, Sèvres, La Savonnerie i Drukarnia Królewska* — francuskie manufaktury królewskie, założone w XVII i XVIII wieku; *Gobeliny*: paryska manufaktura gobelinów; *Sèvres*: na obrzeżach Paryża, siedziba manufaktury produkującej porcelanę; *La Savonnerie*: paryska manufaktura dywanów; *Drukarnia Królewska*: paryska drukarnia. [przypis edytorski]

<sup>985</sup>*Horeb* — biblijna góra, na której Bóg ukazał się Mojżeszowi pod postacią płonącego krzewu i powołał go na wyzwoliciela Izraelitów z niewoli egipskiej. [przypis edytorski]

i pełen wywczasów żywot właścicieli ziemskich. Pożegnawszy się niepowrotnie ze sławą, przeniósł się rezolutnie w krainę marzycieli i kolekcjonerów i poświęca się entomologii, bada tak tajemnicze do dziś dnia przeobrażenia owadów, znanych nauce jedynie w swej ostatniej postaci.

Wszyscy słyszeli o sukcesach Petit-Clauda jako generalnego prokuratora; jest rywalem słynnego Vineta z Provins, ambicją zaś jego jest zostać prezydentem sądu apelacyjnego w Poitiers.

Cérizet, często skazywany za przestępstwa polityczne, odegrał rolę dość głośną. Najśmielszy ze stracenców partii liberalnej, zyskał sobie przydomek Odważnego Cérizeta. Zmuszony przez następcę Petit-Clauda do sprzedaży drukarni, szukał na prowincjonalnej scenie nowej egzystencji, którą aktorski jego talent mógł uczynić świetną. Znajomość z młodą aktoreczką stała się musowym powodem wyprawy do Paryża celem szukania u nauki środków przeciw cierpieniom miłości, podczas którego to pobytu próbował spieniężyć w tym mieście fawory partii liberalnej.

Co się tyczy Lucjana, powrót jego do Paryża należy do innej opowieści<sup>986</sup>.

1835–1843

---

<sup>986</sup>Dalsze koleje i koniec Lucjana znajdzie Czytelnik w powieści *Blaski i nędze życia kurtyzany, Jak kochają ladacznice, Po czemu miłość wypada starcom*. [przypis tłumacza]

---

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z *Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur*.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na *Licencji Wolnej Sztuki 1.3*. Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w *Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur*. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/balzac-stracone-zludzenia>

Tekst opracowany na podstawie: Honoriusz Balzac, *Wielki człowiek z prowincji w Paryżu*, Czytelnik, Warszawa 1957; *Dwaj poeci*, G. Gebethner i Wolff, Kraków 1918; *Cierpienia wynalazcy*, Czytelnik, Warszawa 1972

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>). Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Aleksandra Kopeć, Bartłomiej Nawrocki, Marta Golańska, Mateusz Osmoła, Paulina Choromańska, Piotr Ostrowski, Wojciech Kotwica.

ISBN 978-83-288-6540-2

*Wesprzyj Wolne Lektury!*

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

*Jak możesz pomóc?*

Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: [szczegóły na stronie Fundacji](#).